

JEDNA Z NAJLEPSZYCH POWIEŚCI WĘGERSKICH,
ZAKAZANA PRZEZ WŁADZE PRL.



GYÖRGY SPIRÓ

IKSOWIE





György Spiró

IKSOWIE

przełożył Mieczysław Dobrowolny



Książka wydana dzięki wsparciu

Hungarian Books and Translations Office i Petőfi Irodalmi Múzeum.



Tytuł oryginału: *Az Ikszek*

Spis treści

Wstęp

Iksowie

Przypisy

Biogram autora

Do Pana Profesora Zbigniewa Raszewskiego

W Warszawie, na ulicę Długą

Wielce Szanowny Panie Profesorze!

Dwukrotnie spotkałem się z Panem w Warszawie w kwietniu 1975 roku i chociaż - może także dla Pana było to miłe zaskoczenie - skruszyło się między nami sporo barier natury pokoleniowej, językowej oraz innych - nie odważyłem się wspomnieć, iż piszę powieść o bohaterze Pańskiej wspaniałej monografii, o Wojciechu Bogusławskim, gdyż mimo wszystko to dość nietypowe, by jakiś w miarę młody Węgier zabrał się za pisanie powieści o pewnej dziwnej, także przez polskich pisarzy rzadko opisywanej, epoce z dziejów Polski. A jednak napisałem ją, bo chociaż dzieje obu narodów są podobne, to nie na tyle, by osobę postronną mogły sparaliżować tematy tabu i istniejące uprzedzenia.

Pan, Profesorze Kustoszu, będzie dokładnie wiedział, gdzie do wydarzeń historycznych podchodziłem z pedantyczną wręcz dokładnością, a gdzie od nich odchodziłem, uzupełniając jakby przypadkowość historii. Pan wie, że po roku 1799 Bogusławski nie występował już we Lwowie; że zmarł dopiero w 1829 roku; że wybudował sobie pałacyk; że Pierożyńska nie mogła się nim opiekować; że Grudzińska nie grywała u Mistrza, a za mąż wyszła dopiero w 1820 roku; ze względów konstrukcyjnych skondensowałem wiele lat i, co tu ukrywać, popuszczałem wodze swej fantazji. Ale może Pan zauważyć także to, iż wszystkie moje postaci są bez wyjątku postaciami historycznymi, od Wielkiego Księcia po inspicjenta, od antykwariusza po suflera, a opisywane przedstawienia zrelacjonowałem w oparciu o dane źródłowe.

Pan, Panie Profesorze, z pewnością na pamięć zna przetłumaczone przeze mnie dosłownie teksty *Iksów*, które dzięki profesorowi Szwankowskiemu oraz Panu ukazały się w wydany 23 lata temu przez Ossolineum, a liczącym ponad 600 stron woluminie wzbogaconym o liczne przypisy oraz ilustracje. Dla mnie Towarzystwo Iksów jest czymś więcej niż tajnym stowarzyszeniem istniejącym w rzeczywistości. Dostrzeże Pan, iż w mej powieści każdy jest, w szerokim znaczeniu, Iksem: Ipsyloni, Zera a także niebiorący udziału w polemikach, gdyż wszyscy są członkami społeczeństwa - ta tajemnicza litera oznacza zarówno zamieszkującą w nas zbiorową nieświadomość, jak również niezależne od nas, karmiące się z nas wszystkich to, co nienazwane.

Być może Pan Profesor pamięta, że, aczkolwiek dość ponuro, to jednak zgodziłem się z konkluzją Pańskich rozważań, zgodnie z którą wielka proza w dzisiejszych czasach może pojawić się jedynie w Związku Radzieckim lub Stanach Zjednoczonych, a u nas - w Polsce

i na Węgrzech - nie ma ku temu warunków. W głębi duszy jednak miałem nadzieję, iż niepowstałą jeszcze powieścią zaprzeczę nam obydwu. Pragnąłem napisać takie dzieło, pod którym załamię się stół.

Od naszego spotkania minęły cztery lata. Coś z pewnością udało mi się osiągnąć: wyplenilem z siebie skłonność do efektownych, lecz tonących w niejasności rozwiązań. Pośrednio pomógł mi w tym także Pański niezłomny obiektywizm naukowy. Dlatego proszę, Panie Profesorze, pozwolić, iż na pamiątkę naszych rozmów prowadzonych na ulicy Długiej, niedaleko dawno już zburzonego warszawskiego Teatru Narodowego, tę książkę zadedykuję Panu oraz polskim ludziom światłej myśli takim jak Pan.

Lipiec, 1979

György Spiró

Iksowie

- Przybył Bogusławski - zakomunikował Macrott.

Osiński zza biurka wpatrzył się w teatralnego golibrodę nieruchomym wzrokiem.

- Bogusławski? - spytał.

Macrott przytaknął.

- Przybył?

- Przybył, panie dyrektorze.

- I gdzie jest teraz?

- Rozprawia w teatralnej knajpie.

Najpierw powinien przyjść do mnie, pomyślał Osiński, ale wolał zaszyć się w suterenie. Z pewnością raczy aktorów legendami o sobie. Nie, nie zejdę do niego, postanowił twardo, niech on do mnie przyjdzie.

- I po to pan do mnie przyszedł, Macrott?

- Po to. Myślałem, że to pana dyrektora zainteresuje.

- Może pan odejść, Macrott.

Z uczuciem zawodu Macrott opuścił pokój dyrektora, po czym w swej pracowni teatralnego golibrody zabrał się do pisania codziennego raportu. Od razu poprawił mu się nastrój. Pięknymi, spokojnie i starannie kaligrafowanymi literami kreślił na papierze, iż Wojciech Bogusławski, znany aktor, wrócił do Warszawy po półrocznym pobycie we Lwowie, a jego zamiarem jest najprawdopodobniej ponowne przejęcie dyrekcji teatru od swego zięcia, pana Osińskiego. U dołu kartki Macrott pieczołowicie wpisał datę.

Tego dnia w Paryżu podpisano Święte Przymierze.

O tym fakcie nikt Macrotta nie powiadomił.

Raport Tobiasza Macrotta, teatralnego golibrody szkockiego pochodzenia, następnego dnia rano wraz z herbatą otrzymali:

generał Roźniecki, szef żandarmerii, hrabia Mostowski, minister spraw wewnętrznych, prezydent Węgrzecki, książę Czartoryski, kandydat na urząd namiestnika, baron Mohrenheim, sekretarz Wielkiego Księcia i wielu innych.

Osiński długo siedział za swoim biurkiem i wreszcie doszedł do wniosku, że Bogusławski nie może mu już zaszkodzić, przezorność jednak nie zawadzi. Postanowił więc, że następnego dnia powiadomi o przybyciu Bogusławskiego ministra spraw wewnętrznych Mostowskiego, księcia Czartoryskiego, Mohrenheima, sekretarza Wielkiego Księcia, ewentualnie prezydenta miasta Węgrzeckiego, a jeśli zostanie doń dopuszczony, wspomni

o tym również samemu Nowosilcowowi.

Jest już stary, pomyślał Osiński, ma pięćdziesiąt osiem lat. Długo raczej nie pociągnie. I po uszy zadłużony. Zadłużony u mnie.

Zadłużenie Bogusławskiego wynosiło sto osiemdziesiąt tysięcy złotych, kiedy Osiński za sto osiem tysięcy kupił teatr wraz z dekoracjami i kostiumami oraz częścią rękopisów, dalsze osiemnaście zapłacił Bogusławskiemu za opuszczenie teatru - tej kwoty mu nie wręczył, bo tyle Bogusławski przyrzekł Rozalii w posagu, co oczywiście pozostało tylko czczą obietnicą - zostało więc jeszcze do spłacenia siedemdziesiąt dwa. W południe podczas obiadu Osiński na wszelki wypadek spytał żonę:

- Powiedz, moja droga, ile jest mi winien pani ojczulek?

- Znaczną sumę - odparła Rozalia.

Osiński przytaknął.

- Czemu pytasz? - zainteresowała się Rozalia.

- Wrócił ze Lwowa - powiedział Osiński.

Rozalia milczała.

W tym czasie w teatralnej suterenie Bogusławski jadł na kredyt kaszę.

- Miałem z sobą dwa paszporty - opowiadał z pełnymi ustami, z ziarnkami kaszy na długej, siwej brodzie. - Jeden prawdziwy, drugi jakiegoś kupca, który załatwiłem we Lwowie. Wytrzęśliśmy się już dylizanssem za Kraków, kiedy nadjechał oddział Austriaków i zażądali paszportów. Wyciągnąłem prawdziwy, spytali, czym się zajmuję, i nieopatrznie powiedziałem, że jestem kupcem.

Siedzący w gospodzie aż syknęli.

- Austriacy powiedzieli: tu wpisano, że aktor. Mówię im, że tylko żartowałem. Macie pojęcie - oni nie znają się na żartach.

- Nie mają poczucia humoru - potwierdził Zdanowicz.

- Zabrali mnie z powrotem do Krakowa i przymknęli w jakiejś piwnicy. Przez cały dzień nie dali mi nic do jedzenia. Siedziałem zasępiiony w tej zimnej norze i wpadłem na pomysł, jak by należało przebudować teatr. I to całkiem tanio.

- Prościej będzie zburzyć - uznał Malinowski.

- Od dłuższego czasu - ciągnął Bogusławski, mieszając kaszę - pierwszy raz miałem okazję do rozmyślań w całkowitym spokoju. Ci Habsburgowie to całkiem porządni faceci. Następnego dnia zaprowadzili mnie do oficera, który drobiazgowo, we właściwy im sposób, zaczął mnie wypytywać, położył przede mną oba paszporty, żebym sobie któryś wybrał, skoro tak bardzo lubię podróżować. Mówię: jestem aktorem, co najmniej takim jak Talma.

Nawet nie drgnął. Nie widział Talmy.

- My też - stwierdziła rzeczowo Helena Rutkowska.

- Ale on nawet o nim nie słyszał - odparł Bogusławski z niezadowoleniem. - Mówię mu: ja pierwszy śpiewałem w Warszawie Mozarta, ale o Mozarcie także nic nie słyszał! Zapytałem, czy był kiedyś w teatrze. Kiedyś tam był, nawet mu się podobało, ale tytułu sztuki nie pamiętał, jakiś negus zadźgał swoją żonę.

- Otello - oznajmił z dumą Szczurowski.

- O to i ja spytałem - odparł Bogusławski, przysuwając sobie kolejne danie - ale tylko wzruszył ramionami. Czy pan ją dobrze pamięta, kapitanie? Skinął głową. No więc, mówię, odegram panu kapitanowi żonę negusa.

Żółkowski parsknął śmiechem.

- Wyszczrzył zęby i przywołał nawet wartowników. Swego czasu Bulla grał Otella po niemiecku, pamiętałem kilka fragmentów. Poprosiłem oficera, by stanął naprzeciw mnie - on będzie zazdrosnym negusem, ja jego żoną. I zacząłem mówić. Na początku rechotali, ale powoli milkli i tak się gapili, jakby jeszcze nigdy w życiu nie spotkali ponętnej dziewczyny. Widziałem po oczach oficera, że naprawdę wczuwa się w rolę Maura, w jego wzroku było tyle zazdrości, że natychmiast bym go zaangażował do roli. Kiedy go objąłem i pocałowałem, nikt nawet się nie zaśmiał. Albo mnie rozstrzelają, pomyślałem, albo wypuszczą.

W bufecie zapadła cisza, Bogusławski zanurzył łyżkę w misie.

- Sądzicie zapewne, że mnie rozstrzelali, co? - rzucił ze śmiechem.

- Mistrzu, Mistrzu - Malinowski pokręcił z niedowierzaniem czarną czupryną - to takie piękne, że tylko pan mógł coś podobnego wymyślić.

- Nie musi nawet być prawdziwe - burknął zrzędliwie Żółkowski. - Grunt, że piękne.

- Wobec tego postawcie mi jeszcze jeden obiad - odparł Bogusławski. - Mięsa nie ma?

- Nie ma - oznajmił osowiale tłusciuch Żółkowski.

- Od tygodni nie ma - dodał Szymanowski.

- Nie szkodzi - powiedział Bogusławski. - Jest kasza.

- Musiał się pan nieźle zadłużyć we Lwowie, Mistrzu - rzucił Malinowski.

- Rzeczywiście nieźle. Ale stara gwardia, jak widzę, została.

- Są i nowi - odparł Szymanowski ponuro. - Sam pan zobaczy. Osiński zaangażował kupę durniów.

- Coś brak wam humoru - stwierdził Bogusławski. - A przecież jest kasza. Co idzie dziś wieczorem?

- Genialna sztuka - skrzywił się Żółkowski. - Bezwzględnie musi pan zobaczyć. Przez

te pół roku sporo się tu zmieniło.

- Dmuszewscy jeszcze są? - spytał Bogusławski.

- Są.

- Kudlicz też jest - dodał Malinowski. - Bardzo się ucieszy, że Mistrz wrócił.

- Będę miał przynajmniej kogo nienawidzić - odparł ze śmiechem Bogusławski.

Przed gmachem teatru już się nie śmiał. Jego wysoka, chuda postać przygarbiła się, długa, zapuszczona we Lwowie siwa broda smętnie opadała na wytarte futro. Oczekiwał, że rzucą mu się na szyję, lecz oni tylko beznamiętnie zastygli wokół niego, z rzadka ktoś rzucił pytanie, nikt naprawdę się nie cieszył, nawet dowcipy Żółkowskiego były posępne. Nie wierzą we mnie, pomyślał, już się mnie nie boją.

Kręcił się przy tylnym wejściu do teatru, mijali go znajomi aktorzy i technicy, mignęła twarz suflera Wąsikowskiego i Gerlicera, szefa maszynowni, żaden jednak go nie dostrzegł. Przecież nie mógł się przez te pół roku aż tak zestarzeć. To ta broda.

Ruszył w kierunku Miodowej, obejrzał się na stojący pośrodku placu teatr. Zniszczony, odrapany budynek, nadający się do wszystkiego, tylko nie na teatr. Kiedy król zaakceptował tanią propozycję Bonawentury Solariego zamiast pełnych rozmachu projektów Schrögera i Merliniego, Bogusławski nie mógł jeszcze przypuszczać, że wkrótce, po zaledwie dwunastu latach, jemu przypadnie remont, i ponownie za niewielkie pieniądze. Do budynku głównego dostawił przybudówkę, wzmocnił fundamenty, w trakcie remontu okazało się, że całe obelkowanie zbutwiało i trzeba je wymienić; na poddaszu urządzono mieszkanie dla maszynisty, a przy wejściu do budynku postawiono stajnię. Król w końcu dorzucił zrozpaczonemu Bogusławskiemu trochę pieniędzy, pod warunkiem że zbudują dodatkowe wejście do loży królewskiej. Tak też się stało. Na magazyn dekoracji i na garderoby funduszy już oczywiście zabrakło. Po kilku latach gmach znów groził zawaleniem, więc w 1808 roku wszystko zaczęło się od początku. Bogusławski wiedział, że nawet mimo tamtego remontu teatr jeszcze jakoś się trzyma tylko dzięki modlitwom. Z kwot przeznaczonych na nieustanne naprawy można by wznieść trzy przyzwoite teatry. I tak najńędniejszym teatrem Europy stał się ten w Warszawie; potwierdzało to wielu podróżnych, wśród nich Kotzebue.

A zresztą, teraz niech się martwi Osiński.

Plac Krasińskich tchnął tą samą atmosferą, którą czuł rano, przeprawiając się promem z Pragi. Warszawa zesła na dziady, stała się przygnębiającym, zbiedniałym miastem. Gmach sądu, pałac Krasińskich już z daleka zalatywały stęchlizną, na Długiej budynki chyliły się ku ruinie, a najbardziej kamienica czynszowa Ehlerta, mogąca przyjąć dwa tysiące mieszkańców. Na Miodowej do tej pory nie wywieszono nazwy ulicy. Nie tak dawno z wielką pompą

przechrzczono ją na ulicę Napoleona, a potem po cichu zdjęto tabliczkę, lecz starej nie przywrócono jeszcze na dawne miejsce. Cały plac Teatralny pokrywało błoto. U wylotu Długiej kotłował się niewielki tłum, roilo się od żandarmów, widać przeprowadzano rewizję w poszukiwaniu tytoniu i spirytusu. Rankiem, gdy Bogusławski przeprowiał się przez Wisłę, dokładnie zrewidowano także jego, a potem raz jeszcze obszukano go przed bramą miejską.

Powolnym krokiem dotarł do końca Miodowej. Słynna cukiernia u Lessla była zamknięta, na drzwiach wypożyczalni książek Glücksberga krata z kłódką, ale dwie inne cukiernie, Honoratka i pobliska Dziurka Marysi, były otwarte. Bogusławski nadal czuł głód; przystanął na rogu Miodowej i Senatorskiej przed restauracją Chovota, lecz po chwili ruszył dalej: zje raczej za darmo u syna.

Większość sklepów po obu stronach Krakowskiego też była zamknięta. Mięsa nie widział nigdzie. Zajrzał na chwilę na Stare Miasto, ratusz ział pustką i do połowy wypalonymi murami, tylko dzieci grały tam w piłkę. Kramiki przyklejone do murów ratusza również stały puste, wałęsało się przed nimi zaledwie kilku Żydów, wyraźnie znudzonych. Przy karetach wychudzone konie. Stangreci na kozłach drzemali owinięci kocami, żaden nie zaoferował swoich usług. Bogusławski przemierzył całe Krakowskie Przedmieście i przystanął przed pałacem Radziwiłłów. Budynek służący niegdyś za teatr, w którym zaczynał karierę, wyglądał teraz opłakanie, pośród kamieni pleniło się zielsko, a na dachu rosło drzewko. Nigdy jeszcze Warszawa nie była taką pustynią.

Nie szkodzi, pomyślał Bogusławski, nawet w takich czasach trzeba robić teatr.

Ruszył w stronę domu Nacewiczów.

Jeśli oni też nie przyjmą mnie należycie, pomyślał, natychmiast wrócę do Krakowa.

Przy Świętokrzyskiej stały drewniane domy. Tu zaczynało się nowe getto, od kilku lat Żydów przesiedlano ze śródmieścia na Marszałkowską, w okolice starego cmentarza, gdzie raz za razem wody gruntowe wypłukiwały z ziemi zwłoki. Syn mieszkał na obrzeżu getta i próżno starał się przenieść do śródmieścia, gdzie mieszkali inni młodzi oficerowie, nie pozwalał mu na to zbyt mały żołd; Bogusławski nie był w stanie wesprzeć go nawet marnym groszem, a zresztą nie chciał tego.

Drzwi otworzyła Aniela, przez chwilę tylko patrzyła, potem rzuciła mu się na szyję i wciągnęła do środka.

- Ignacego jeszcze nie ma - powiedziała w pokoju. - Cały czas ćwiczą parady, do domu wraca tylko na spanie.

Bogusławski zasiadł w starym fotelu - podarował go dzieciom w prezencie ślubnym - z cichym chrzęstem starych kości rozprostował zeszytywniałe palce i załzawionymi oczami

przyglądał się drobnej, delikatnie zbudowanej dziewczynie.

- Nie zerkniesz na wnuka? - spytała Aniela.
- To ja mam wnuka? - odparł zaskoczony Bogusławski.
- Zapomniałaś, co? Kiedy wyjeżdżałaś, byłam w czwartym miesiącu.
- Ten wyskrobek to mój wnuk?
- Owszem. Wojciech Maurycy.

Bogusławski patrzył osłupiały, Aniela cicho się roześmiała i zaniósła niemowlę do drugiego pokoju.

- Jest tylko kasza - powiedziała, wracając.
- Jadłem już w teatrze. Napiłbym się herbaty.
- Opowiesz mi wszystko? - zapytała Aniela, przyniósłszy samowar.

Bogusławski wzruszył ramionami.

- Sześć miesięcy szlag trafił - powiedział. - Narobiłem długów.
- I tak ich nie zwrócisz - stwierdziła Aniela.
- Chyba nie - odparł Mistrz. - Mimo to było dobrze.
- Przywykłeś już...

Bogusławski uniósł głowę i uśmiechnął się. Przytaknął.

- Tak - powiedział. - Jeśli człowiek przez lata jest Wielkim Dyrektorem... a potem nagle spada między dawnych pochlebców... z Dyrektora na kuglarza...

Wzruszył ramionami i roześmiał się.

- Czego chcesz? - powiedziała Aniela. - W czerwcu, kiedy ogłoszono, że staliśmy się królestwem, znów grano *Cud mniemany*. Zawsze grają twoją sztukę, gdy ktoś przybywa do Warszawy. Teraz dorobiono temu gębę ku większej chwale Wielkiego Księcia. Wyszedł szajs.

- Bo nie ja reżyserowałem - stwierdził Mistrz. - Pewnie na cześć cara Aleksandra też wystawimy *Cud mniemany*. To pocieszające. Wystarczy, że raz w życiu napisze się rewolucyjną operę. - Skrzywił się pogardliwie.

- Napoleon przegrał pod Waterloo - rzuciła Aniela.
- Wiem. Jest mleko?
- Nie ma.

Aniela naląła herbaty.

- Ignacy zdobył na czarnym rynku. Już i o herbatę trudno. Mleko może będzie, jak car przyjedzie na koronację.

- Wtedy mleko na pewno będzie. I znów zagrają moją sztukę. Powiedz mi, czemu

jesteś smutna?

- Nie ma sensu, bym wracała do teatru.

Bogusławski powoli sączył herbatę. Zaledwie szesnastoletnia, urocza, cudowna dziewczyna. Jeszcze pół roku temu była trzpiotowatym podlotkiem. A teraz ruchy ma powolne i znużone, oczy zwrócone do wewnątrz, jakby wiedziały o rzeczach, o których tylko jemu, Bogusławskiemu, wypada wiedzieć.

- Nie postarzałam się - uśmiechnęła się Aniela. - Ja się tylko zmieniłam.

Bogusławski westchnął.

- Nadal chciałbyś mnie za żonę?

- Chciałbym - odrzekł Bogusławski - gdybym tylko był trzydzieści lat młodszy.

- Więc dobrze, przy najbliższej okazji wyjdę za ciebie.

Porzuć mego syna, chciał powiedzieć Bogusławski, ja naprawdę się z tobą ożenię.

- Zagraj coś - poprosił.

Aniela siadła do fortepianu i zaczęła grać. Bogusławski rozparł się wygodnie w fotelu i przymknął oczy. Aniela zaczęła Mozartem, potem zagrała luźne tematy. Jak ona dziwnie improwizuje, pomyślał Bogusławski, ileż w niej mroku. Każda jej kadencja to dysonans, potem długie wprowadzenie do tematu, te jednak nie rozwijają się i nie znajdują rozwiązania. Samo falowanie, niewiodące ku żadnemu celowi. Ona niszczy formy, ale w ich miejsce nie tworzy innych. Jakże wielką tragiczką mogłaby być ta mała.

Aniela przykryła drzemiącego Bogusławskiego i długo wpatrywała się w jego twarz.

Potem poszła do pokoju i niechętnie nakarmiła piersią dziecko.

Bogusławski obudził się późnym popołudniem. Naburmuszony i rozbity wygramolił się z fotela.

- Miałem długą podróż - powiedział. - Wczoraj rano wyruszyłem z Krakowa, ten parszywy dylizans wytrząsł mi wszystkie flaki. Całe godziny czekałem na Pradze na prom. W strasznym ścisisku tłoczyli się wokół mnie jacyś cieśle, chłopci, gałganiarze, Cyganie, Żydzi, rabusie, a ja tylko czekałem na chwilę, kiedy mnie rozpoznają i nazwą Mistrzem. Jakby ktokolwiek z nich był kiedyś w teatrze. - Roześmiał się. - Zgolę brodę, żeby mogli mnie rozpoznać, i zapuszczę na nowo dopiero wtedy, kiedy przyprowadzę mój lud do nowej ojczyzny. Daj mi jakieś ubranie, w tych gałganach nie mogę przecież pójść do teatru.

Aniela przyglądała się ze smutnym uśmiechem, jak teść przebiera się w ubranie syna. Stary pan wychudł, można było policzyć mu żebra, kości miednicy prawie że przebijały skórę.

- Co tak patrzysz? - spytał Bogusławski. - Chudy jestem? Przynajmniej nie muszę się

martwić, że utyję.

Aniela milczała.

- To niedobrze, że mnie kochasz - oznajmił szorstko Bogusławski. - Wiem, że mnie kochasz, chociaż masz teraz przed sobą wychudzone widmo. Nakazuję ci, byś mnie ponownie pokochała dopiero wtedy, kiedy znów będę taki jak dawniej, kiedy będę kimś, za kim szaleje widownia, kogo wynosi się na rękach ze sceny. Do tego czasu masz mnie nie kochać, słyszysz?

Aniela skinęła głową.

- Nie wierzysz już we mnie, co?

Uśmiechnęła się.

- Jestem pełen planów - powiedział Bogusławski chmurnie. - Wygryzę tego idiotę Osińskiego. Nie pozwolę tak sobą pomiatać. Wygramolę się z długów, zobaczysz, nawet Pan Bóg nie może mi przeszkodzić, a co dopiero taki Osiński. Bydlę bez polotu.

- To u niego jesteś zadłużony.

- I co z tego? Mam jeszcze przyjaciół. Stworzę taki teatr, jakiego jeszcze nie było. To nie mrzonki zgrzybiałego starca. Mówię to ja, Bogusławski, polski Molier. Dożyjesz jeszcze tego, że Moliera będą nazywali francuskim Bogusławskim. Nie ma jakiegoś kapelusza?

Aniela przyniosła kapelusz.

- Zamieszkaj u nas.

- Mam swoje mieszkanie - obruszył się Bogusławski.

Na ulicy zaczął się zastanawiać, skąd weźmie na opał. Nieważne. W końcu przetrwał już gorsze czasy.

O wpół do szóstej dotarł do teatru. W suterenie kazał sobie zgolić brodę.

- Ostatnio jakby przerzedziły się panu włosy - powiedział Macrott.

- Tym lepiej uda się dobrać perukę - odparował Mistrz.

Pryszczaty wyrostek zgarnął szczotką kosmyki siwych włosów.

- Chłopak znakomicie robi peruki - rzucił Tobiasz. - Ma na imię Hieronim. To syn pana Szymańskiego.

Przez chwilę Bogusławski przyglądał się chłopakowi, po czym poklepał go po twarzy. Chłopak się zaczerwienił.

- Z nim trzeba delikatnie - przestrzegł Tobiasz dobrotliwie. - Czasem potrafi aktora ugryźć w rękę.

Przed spektaklem Bogusławski nie zszedł już do knajpy, nie chciał, by ponownie za niego płacono. Na widowni usiadł w ostatnim rzędzie, skąd mógł objąć wzrokiem całość.

Ogarnęła go trema. Czekał na cud, widok pustych ław przepelniał go rozkosznym niepokojem. W czasie przedstawień, jeśli akurat nie grał i mógł obserwować kolegów na scenie, zaczynało mu burczeć w brzuchu. Teraz też poczuł, że kiszki zagrają mu marsza. To przedstawienie będzie śledzić z przejęciem, chociaż nie ma z nim nic wspólnego, to już interes Osińskiego.

Pojawiła się stara bileterka, żeby go przegonić. Uśmiechnął się do niej.

- Mistrz! - szepnęła kobiecina i zmieszana podreptała z powrotem.

Bogusławski przypatrywał się wchodzącym widzom. Wszyscy wyelegantowani. Miejsca stojące na drugim piętrze, tak zwany paradyz lub inaczej jaskółkę, wypełniali młodzi, najwyraźniej studenci nowo powstałej uczelni.

Podwójna loża królewska z lewej świeciła pustką. Od reszty widowni nadal oddzielały ją kraty, w głębi połyskiwały lustra. To tu, w asyście jakby wiecznie tych samych żołnierzy gwardii przybocznej, tkwili nieruchomo w fotelu Fryderyk August, Fryderyk Wilhelm, Napoleon i Poniatowski, tu teraz siaduje Wielki Książę Konstanty, tutaj też niebawem zasiądzie car Aleksander. Przez królewską lożę przewijali się wszyscy panujący, Polacy, Prusacy, Sasi, Rosjanie, zmieniały się postacie, ale dekoracja pozostała ta sama. Tak jak pozostali prawdziwi aktorzy, wysługujący się każdej władzy, którzy w sprzyjającym momencie potrafili w każdą władzę uderzyć zza pleców.

To jest moje królestwo, pomyślał Bogusławski, nikt mi go nie jest w stanie odebrać. Ani Osiński, ani car, ani nawet Pan Bóg.

Całe zmęczenie gdzieś z niego uleciało. Pięćdziesiąt osiem lat to jeszcze nie starość. Być może ma przed sobą dwa lub trzy lata, ale równie dobrze może ich być dwadzieścia albo też trzydzieści. Trzeba tak żyć, jakby wszystko mogło się jeszcze zdarzyć, a wówczas z pewnością coś się zdarzy. Trzeba grać.

Kiedy na widowni wygaszono światła, Bogusławskiemu zaczęło burczeć w brzuchu.

Przypominał sobie tę dekorację. Pejzaż wymalowany na tylnej kulisie w głębi sceny to dzieło Smuglewicza. Namalował go chyba piętnaście lat temu do jakiejś sztuki; teraz malarz od pięciu lat już nie żyje, a wyblakły pejzaż nadal jest użyteczny. Drzewo z przewierconej na wylot deski z wiszącymi na nim ogromnymi owocami było pomysłem Plerscha jeszcze z początku wieku, kiedy w jakimś dramacie grozy z dziupli drzewa miał się wynurzyć wampir. W każdym z tych krzeseł Bogusławski siedział, pił z każdego pucharu, te przedmioty to jego przyjaciele, ze wszystkimi wiążą go miłe sercu wspomnienia, wszystkie je traktował jak swoją własność. Potem wraz z teatrem sprzedał Osińskiemu także rekwizyty, wiosną tego roku, gdy znalazł się na dnie z powodu bankructwa. To on kazał wykonać wszystkie

rekwizyty, on biegał za każdym meblem, on kierował pędzlem Smuglewicza i własnymi rękami montował nad sceną pomosty podczas ostatniej przebudowy. Mógł je sobie Osiński kupić, nie mógł jednak mieć pojęcia o ich prawdziwej wartości, bo tej kupić nie można.

Grano dramat grozy, po bożemu, według ustalonego kanonu. Przez drogi i bezdroża zbójcy, bez wytchnienia, ścigali bohatera. Z pełnym aprobaty znużeniem Bogusławski śledził wydarzenia, do chwili gdy pojawiła się małpa, wierny druh bohatera, która bełkocząc coś i huśtając się na drzewie, pełna poświęcenia, dopóty będzie ratować życie swego pana, dopóki zbójcy jej nie zastrzelą. Bogusławski często grał w sztukach rojących się od dzikich zwierząt i upiórów, jednak ta małpa jakoś nie mogła mu się pomieścić w głowie. Nie wiedział, kto ją gra, poza małpim bełkotem nie słyszał innych głosów. Ale najbardziej przeszkadzało mu, że nie rozumiał, co małpa ma wyrażać. Na początku snuł domysły, że bohaterem sztuki jest Napoleon, a zatem małpa oznacza Polskę, która za wszelką cenę trzyma się cesarza. Sądząc jednak po reakcji publiczności, nie o to chodziło. Później starał się odszukać w sztuce inne aktualne treści - że być może małpa to Wielki Książę, wobec tego postać pana to wiecznie wyczekująca ocalenia Polska, lecz i ta interpretacja jakoś mu nie pasowała, Osiński nie mógł mieć tyle odwagi, by ukryć Wielkiego Księcia pod postacią małpy. Bogusławski niespokojnie wiercił się na krześle. Sztuka pobudzała do śmiechu i śmiał się w typowy dla siebie sposób, do wewnątrz, spazmatycznie i bezgłośnie, lecz widownia nie śmiała się wcale. Śledziła wydarzenia w głębokiej ciszy i była wyraźnie przejęta. W małpie widziała tylko małpę.

Bogusławski musiał pogodzić się z myślą, że przez taką widownię wcale nie komedię ogląda. Nie wyczuwał atmosfery komedii. Cóż to za dziwna widownia? Pół roku temu jeszcze umieliby się śmiać. A przynajmniej nie siedzieliby tak cicho. Jeśli współczują małpie, niech przynajmniej pokrzykują, by dodać jej otuchy.

Kiedy pod koniec spektaklu zbójcy zastrzelili wierną małpę, a ona na wierzchołku drzewa śmiertelnie raniona przez długie chwile coś bełkotała, aż spadła - w tej samej chwili opadła też kurtyna - widownia zanosła się szlochem. Kobiety podnosiły do oczu różki chusteczek, panowie ze smutkiem, w głębokim zamyśleniu, wpatrywali się w pustkę. Cichnący szloch zastąpiły pojedyncze oklaski. Aktorzy wyszli do braw, niosąc na ramionach małpę. Grający ją aktor nie zdjął kostiumu, nie raczył nawet uchylić maski. Bogusławski oczekiwał, że małpa wytnie teraz coś nieprzyzwoitego, lecz na próżno.

- Wstrząsające przeżycie - usłyszał głos jakiejś damy w foyer. Miała na głowie wielki wspaniały kapelusz.

- Gdybym to ja miała takie wierne zwierzę - dorzuciła inna.

- Mówią, że małpy rozumieją ludzki język - powiedział jakiś pan.

- Szkoda, że w naszych lasach nie mieszkają małpy - dodał inny.

Bogusławski powlókł się z powrotem do sutereny, zapukał do garderoby Ledóchowskiej, ale drzwi były zamknięte. Ledóchowska w tej sztuce nie grała. Pan Bautz właśnie zamykał teatralną knajpę, ale jeszcze zrobił Bogusławskiemu herbatę. Na korytarzu przesuwano dekoracje, Zieliński klął i pokrzykiwał dyszkantem, bo któryś z aktorów spóźnił się z wejściem na scenę. Ciekawe, pomyślał Bogusławski, ja tego nie zauważyłem.

Odgłosy z wolna zamierały, pozostawiony sam sobie Bogusławski opuścił teatr.

Przed pałacem kasztelana Sołtyka na Nowolipkach - piętnaście lat temu założono tu Towarzystwo Przyjaciół Nauk, nazywane potocznie Akademią - długie minuty dobijał się do bramy, nim wreszcie pojawił się odźwierny i łaskawie obiecał zameldować panu kasztelanowi o przybyciu pana Wojciecha, po czym zatrzasnął bramę Bogusławskiemu przed nosem. Siąpił zimny deszcz ze śniegiem. Stary aktor postawił kołnierz. Zostawiłem gdzieś kapelusz syna, pomyślał ze smutkiem.

Na ulicy nie było żywej duszy, minęła już ósma, większość lamp się nie paliła. Na całej trasie między teatrem a pałacem kasztelana zagadał do niego tylko jeden lampiarz, ale i jego Bogusławski szybko się pozbył; nie miałby nawet jak mu zapłacić za przyświecanie w drodze. To w ogóle cud, pomyślał, że oświetlenie w teatrze działa normalnie.

Kasztelan w towarzystwie syna przyjął go w znajomej, ogromnej, pełnej chłodnego przepychu sali. Bogusławski uściśnął dłoń tak kasztelana, jak i jego kruczowłosego syna o wyrazistej twarzy, po czym usiadł w jednym z liczących sobie już kilka wieków foteli.

- Proszę nie zdejmować płaszcza, panie Wojciechu - powiedział kasztelan Stanisław - nie najlepiej stoimy z opałem.

Przez kilka chwil milczeli.

- Co nowego we Lwowie? - spytał kasztelan.

- Żyją tak, jakby w ogóle nie było wojny - odrzekł Bogusławski.

- Popelniliśmy wielki błąd - powiedział Roman Sołtyk - że nie zorganizowaliśmy na Ukrainie oddziałów partyzanckich. A tyle razy molestowałem w tej sprawie Napoleona. Osadzili go na Świętej Helenie, słyszał pan?

Bogusławski przytaknął.

- A w Krakowie? - spytał kasztelan.

- Żyją dla siebie. Cieszą się niewymownie, że znaleźli się poza Królestwem Polskim. Na serio chcą odgrywać rolę miasta-państwa. Powiadają, że nie wiedzieliby, co począć z polskim rządem.

- A gdzie tu mamy polski rząd? - zapytał Roman. - Tu jest tylko wielki książę, no i Nowosilcow. Odkrył go kiedyś książę Czartoryski, to on polecił go uwadze Aleksandra, ściągnięto go nam tutaj na kark, a Czartoryski był niezmiernie zdumiony, gdy całymi dniami nie mógł się doprosić o audiencję u Nowosilcowa.

Znów na chwilę zamilkli.

- Nie ma tu teraz nic do roboty - powiedział kasztelan. - Najpierw myśleliśmy, że przejdziemy do opozycji, ale do tego potrzebna byłaby opozycja. Pan również nic nie wie o opozycji, prawda, panie Wojciechu? Musimy czekać, aż sytuacja jeszcze się pogorszy.

Bogusławski utkwiał wzrok w przepięknych srebrnych świecznikach.

- Cały czas wspomina się o konstytucji - mówił dalej kasztelan - a tym możemy zabawić się przez całe lata. Nikt nie chce zmian, najmniej car Aleksander. Według poufnych wiadomości... - zamilkł i machnął ręką. - Szeregowcom odebrano broń i rozpuszczono ich na cztery wiatry, chłopcy się cieszą, że nie muszą już więcej walczyć. Wszyscy oficerowie mogli sobie zachować stopnie otrzymane od Napoleona, ale oni też poszli w rozsypkę, a nasi generałowie dostają wspaniałe emerytury od niedawnego jeszcze wroga, naszego dobroczyńcy, batuszki cara. U nas wielki spokój, panie Wojciechu. Z całą pewnością Czartoryski zostanie namiestnikiem.

Znów zamilkli.

- Wolnomularze jeszcze działają? - zapytał Bogusławski.

- Tak - odparł Roman i zaśmiał się. - Nawet Wielki Książę do nich przystąpił. A jak pan myśli, kto jest zastępcą Wielkiego Mistrza? Generał Roźniecki! Resztę może pan sobie dopowiedzieć.

- Napije się pan? - spytał kasztelan i zadzwonił.

- Dziękuję.

Kamerdyner rozlał do kieliszków czerwone wino.

- Od Fukiera - powiedział kasztelan. - Nie wiem, skąd on je bierze, to czarodziej.

W czym panu możemy pomóc?

Kasztelan, broniąc się przed chłodem, szczelniej owinął się futrem z lisa.

- Chciałbym wrócić do teatru - odrzekł Bogusławski. - Jeśli się uda, przyrzekam, że będę panom pomagać jak dawniej.

Kasztelan tylko machnął ręką.

- Nie ma w czym pomagać, panie Wojciechu. W porządku. Powiem Józefowi Krasieńskiemu, on z pomocą wolnomularzy może wyrzucić presję na Osińskiego. Wspomnę o panu także Linowskiemu, zauważyłem, że interesuje się teatrem. Moje stosunki ze

Staszycem się popsuły, ale, jak pamiętam, pana także niezbyt lubił.

- Dwa razy odrzucił moją kandydaturę do Akademii - powiedział Bogusławski.

- Mogę też porozmawiać z generałem Dąbrowskim. Żyje teraz samotnie w swoim majątku, ale na dniach przyjedzie do Warszawy.

- Dziękuję.

- A Niemcewiczowi nie wspomnieć o panu? - spytał kasztelan.

Bogusławski zastanawiał się przez chwilę.

- Raczej nie - odrzekł. - Z Niemcewiczem nigdy nie wiadomo, po czyjej stronie zagra.

- Dobrze. Czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić?

Bogusławski milczał. Kasztelan zadzwonił na kamerdynera i kazał przynieść szkatułkę. Lokaj się oddalił, Bogusławski czekał w milczeniu.

- Zwróci mi pan, kiedy będzie miał z czego - powiedział kasztelan.

Bogusławski opuścił głowę.

Na ulicy wziął głęboki oddech i przeliczył pieniądze. Dostał tyle, ile sam sobie płacił za miesiąc, kiedy teatr należał jeszcze do niego. Mógł za to przeżyć skromnie nawet trzy miesiące, choć powinien opłacić zaległy czynsz za ponad pół roku. Trzy miesiące to sporo czasu, wystarczająco dużo, by dokonać choćby i trzech cudów jednego po drugim. Z pewnym zaskoczeniem uprzytomnił sobie, że wciąż ma siedemdziesiąt dwa tysiące długu. Jeszcze moi wnukowie będą go spłacać, pomyślał. Karol na przykład będzie spłacać go sam sobie, jako syn Osińskiego i wnuk Bogusławskiego.

Jego gniew zwrócił się nagle przeciw Sołtykom. Wspaniałomyślnie rzucili mu parę złotych z posiadanych setek tysięcy. I musi jeszcze być za to wdzięczny, musi je przyjąć, wstydząc się za siebie, i będzie ich dłużnikiem do samej śmierci. Nazywają siebie opozycją, bo nigdy nie mieli dość oleju w głowie, by wkręcić się między rządzących. Kasztelan odważnie zaszył się w swoim majątku, natomiast Roman przetrwał wojnę jako adiutant Napoleona, pole bitwy widział tylko wtedy, gdy szedł identyfikować trupy. On także bierze nieliczny żołd od cara. A teraz obaj są w opozycji. Przyjdzie im zdechnąć z nudów.

Po chwili przestał utyskiwać: pomyślał, jaką minę robi kamienicznik, ten stary handlarz, kiedy mu ciśnie w twarz zaległy dług.

Nie miał jednak szczęścia, w domu była tylko przygłupawa córka handlarza, jej kazał podpisać pokwitowanie.

Bogusławski postanowił, że jak będzie mieć pieniądze, kupi sobie dom. Jakiś pałac. Drewniane schody szyderczo zaskrzypiały.

W pokoju wypełnionym po sufit rekwizytami, pamiątkami i rękopisami długo walczył

z żelaznym piecykiem. Nie miał czym rozpalić, o mało co nie zdjął ze ściany portretu swej dawnej miłości, Anny Lampel, ale po chwili postanowił, że okaże jej łaskę, Bacciarellim przecież nie pali się w piecu, raczej oddaje się go w zastaw. Nie spalił również pastelowego portretu Marianny Pierożyńskiej, z podobnych względów.

Dygotał jeszcze z zimna, opatulony obszernym płaszczem, kiedy weszła Marianna, pierwotny pastelowy obraz, tylko w starszym wydaniu.

- Szybko rozchodzą się wieści po Warszawie - powiedział Bogusławski uszczypliwie.

Marianna Pierożyńska, matka dzieci Bogusławskiego - Ignacego i Rozalii, jak również babka jego wnuków - Karola i Wojciecha Maurycego, bez słowa wyrzutu wypakowała wędzoną rybę. Bogusławski zaczął jeść, nie przestając jednak gderać.

- Kto to rozpaplał? - spytał. - Aniela?

- Moja starsza siostra - powiedziała Marianna.

Bogusławski zaczął wymyślać na wszystkich krewnych Truskolaskiej.

- Co za babsko! - pieklił się z pełnymi ustami. - Minęło już dziesięć lat, jak na zawsze zburzyłem jej karierę, a ona ciągle miesza w tym gównie.

Marianna z wychudzoną i zwiotczałą twarzą, lecz radością w oczach, wpatrywała się w jedzącego łapczywie Mistrza.

Wielu ludzi znowu będzie źle spało, pomyślał Bogusławski, wyciągając się z rozkoszą na łóżku.

Osiński, nie mogąc zasnąć, ciężko posapuje i obiecuje sobie solennie, że w żadnym wypadku, przenigdy nie zaangażuje swojego teścia.

Żółkowskiego dręczy sumienie, że nie był dość uprzejmy dla Mistrza, który uczynił z niego aktora.

Szymanowski żyje nadzieją, że z pomocą Mistrza uda mu się wygryźć młodego Werowskiego, którego zaangażował Osiński.

Malinowski żałuje, że duma nie pozwoliła mu okazać radości z powrotu Mistrza.

Ignacy jest zazdrosny z powodu Anieli i wolałby być biedny, żeby tylko nie musieć pomagać ojcu. A przecież to bez wątpienia on dał Mariannie pieniądze na rybę. Biedny chłopcze, pomyślał Bogusławski, widać nie jesteś aż tak ubogi.

Dmuszewscy też już muszą o nim wiedzieć, pierwszą myślą chyba wszystkich było właśnie ich zawiadomić. Może Mistrz znów uwiedzie Konstancję. Pewnie Dmuszewski, roztkliwiając się, głaszcze teraz główkę Stanisława. Ile lat ma teraz Stanisław? Siedem. Stanisław Pięknowski. Konstancja nie chciała, by nosił nazwisko Mistrza, lecz nie zezwoliła również, by Dmuszewski prawnie go adoptował. Swoją drogą Konstancja ładnie się tu

zachowała, pomyślał Bogusławski i westchnął. Jednym słowem, Dmuszewski będzie teraz otaczać żonę jeszcze większą miłością i on właśnie będzie nadal najbardziej oddany Mistrzowi. Dostanie rozwolnienia, rozmyślał dalej Bogusławski, całą noc przesiedzi w wychodku.

- He, he - powiedział Mariannie na dobranoc i zapadł w spokojny sen.

Rano najchętniej pobiegłby od razu do teatru, by wszystkich od Osińskiego po dekoratorów zmieszać z błotem za wczorajsze przedstawienie. Psują publiczność głupawymi przedstawieniami, jego publiczność! W porę wróciłem, pomyślał, to banda beztalenci, beze mnie do niczego nie dojdą.

Ogolił się, długo stroił miny do lustra, wymamrotał kilka monologów i doszedł do wniosku, że na twarzy nie ma ani śladu starości. Wciąż jest tym samym Bogusławskim. Wytaszczył okuty blachą drewniany kufer, w którym przechowywał rękopisy. Nigdy się z nim nie rozstawał, zawsze go zabierał ze sobą, raz tylko zostawił, właśnie teraz, gdy wyjechał do Lwowa. To była niepoważna ucieczka, pomyślał. Przypomniawszy sobie po kolei wszystkich znajomych dyrektorów teatrów, którzy splajtowali; jeśli któryś nie siedział w więzieniu, przeważnie musiał ukrywać się przed wierzycielami. Związał z Warszawy Montbrun, w którego trupie rozpoczynał karierę, uciekł Bizesti; Foures, kierujący trupą aktorów francuskich, ledwo umknął przed więzieniem - to ja ich zrujnowałem, pomyślał Bogusławski z zadowoleniem - nawet Döbbelin zwinął swój namiot i uciekł z powrotem do Poznania...

Bogusławski liczył, że przez te pół roku przeszła już aktorom złość, zapomnieli, ile razy wstrzymywał im gąże, a teraz będą musieli obwiniać za wszystkie dotychczasowe krzywdy nowego dyrektora, Bogu ducha winnego Osińskiego.

Marianna przyniosła śniadanie, Bogusławski pochłaniał je ze smakiem, wypytując o sprawy teatru. Marianna już od sześciu lat nie zagrała nawet epizodu, miała jednak dość dokładne informacje. Wbrew zakazom Bogusławskiego odwiedzała czasem córkę Rozalię; niekiedy spotykała się z siostrą Truskolaską, która do początków jedyńowładztwa Bogusławskiego kierowała najsilniejszą trupą; Marianna była w dobrych stosunkach z córką Truskolaskiej, Ledóchowską, wielką aktorką tragiczną; bardzo chętnie znosił jej też wieści Nacewicz, lubiący wypić epizodysta, którego córka Aniela niedawno urodziła drugiego wnuka Marianny, Wojciecha Maurycego.

Bogusławski przygotował niewielkie karteczki, zapisał na nich nazwiska aktorów, a obok nazwisk świeżo zaangażowanych wpisał najpotrzebniejszą informację. Marianna nigdy się nie myliła w swoich ocenach dotyczących talentu i wad charakteru poszczególnych

aktorów, rzadko się jednak orientowała, jakie siły za nimi stoją.

- Nie mam z ciebie wiele pożytku - warknął wreszcie Bogusławski i zaczął się bawić karteczkami jak talią kart. Marianna w milczeniu obserwowała, jak przez dłuższą chwilę układał sobie z nich pasjansa. Intryga zawsze była istotnym elementem strategii Bogusławskiego.

Skończywszy aktorskiego pasjansa, Bogusławski zaczął wypytywać o ogólne samopoczucie robotników, krawców, garderobianych, stolarzy, golibrodów i muzyków. Układanie pasjansa z informacjami na ich temat nie trwało wiele krócej. Marianna odniosła wrażenie, że Bogusławski jest zadowolony z wyniku.

- Gdzieś w tym mieście - powiedział Mistrz z uśmiechem - od samego rana gra się w podobny sposób moim nazwiskiem.

- Nie chcesz zobaczyć Zosi? - spytała Marianna.

- Co z nią? - rzucił Bogusławski i stracił humor. Jedenastoletnia córka, z którą nie można było jeszcze sensownie porozmawiać, zdecydowanie go nudziła. Zosia w ogóle nie powinna się była urodzić. Była owocem przelotnej przygody, Marianna wzięła ją do siebie i opiekowała się jak własną córką. Bogusławski nie traktował poważnie miłosierdzia, nie uważał go za szczerze.

- Ciągle choruje - powiedziała Marianna. - Oddałam ją do Szpitala Świętego Ducha. Bogusławski burknął z niezadowoleniem. Ten szpital zyskał sławę najgorszego w mieście, mordowano w nim więcej chorych niż we wszystkich pozostałych łącznie.

- Odwiedzę ją kiedyś - wykrztusił w końcu.

Marianna nie zrobiła żadnej uwagi na temat tego, że to w końcu nie ona jest matką jego dziecka.

Bogusławski zaczął się ubierać.

- Pójdę do Niemcewicza - powiedział.

- Wrócisz na obiad?

Przytaknął z roztargnieniem.

Wziął dorożkę, pieniądze otrzymane od Sołtyka mile łechtaly go w kieszeni płaszcza. Była piękna słoneczna pogoda, kiedy ruszył na Ursynów, do Niemcewicza, do jego majątku nieprzypominającego nawet w najmniejszym stopniu posiadłości ziemskiej, sprawiającego raczej wrażenie zapuszczonego wysypiska śmieci, które Niemcewicz nazywał rzecz jasna farmą. Kupił ją krótko po powrocie z emigracji w Stanach Zjednoczonych. Zamierzał ją nazwać Waszyngton, na cześć amerykańskiego prezydenta, ale nie wyrażono na to zgody, narodził się więc Ursynów, od drugiego imienia Niemcewicza. Tylko jedna część farmy była

doprowadzona do porządku - szambo, obok którego Niemcewicz założył ogród pełen rzeźb i kazał zawiesić hamaki; z dumą pokazywał go gościom. „Tutaj ja jestem panem”, zwykł mawiać i piał, naśladując koguta.

Niemcewicz wylegiwał się na słońcu w ogrodzie, jakby w oczekiwaniu gościa.

- Słyszałem - powiedział przysadzisty, szerokolicy siwy lew i spod krzaczastych brwi spojrzał ironicznie na Bogusławskiego - że już wczoraj odbyłeś pogawędkę z Sołtykiem.

- Mała jest ta Warszawa - odparł Bogusławski i opadł wygodnie na drugi fotel. To też był rekwizyt, przez ćwierć wieku grał w głośnej komedii Niemcewicza *Powrót posła*. Owo przedstawienie było największym sukcesem Bogusławskiego. Wtedy łączyła ich jeszcze wielka przyjaźń, byli młodzi, obaj rewolucjoniści i obaj optymiści. Wtedy istniało też jeszcze państwo polskie. Fotel sprzedał potem Bogusławski tanio Smuglewiczowi, malarzowi, od którego wycygnął go następnie Niemcewicz, kiedy ostatecznie wrócił do kraju, by, jak mówił, „spojrzeć prosto w oczy samemu sobie z dawnych lat”.

- Też możesz szukać, tam gdzie warto, słyszysz - powiedział Niemcewicz. - Niewiele rodów odstawiono całkowicie na ubocze, Sołtykowie jednak byli jednymi z pierwszych.

- Co mogę zrobić, jeśli nie mam wysoko postawionych protektorów?

- Na przykład ja jestem - odparł Niemcewicz uprzejmie.

- Aha - rzucił Mistrz. - Krótko mówiąc, piszesz komedię i nie chcesz, żebym ci ją zepsuł.

- Jesteś pewien, że wrócisz na scenę? - zainteresował się życzliwie Niemcewicz.

- Chyba przeczuwam - ciągnął niezmierny Bogusławski - o czym będzie twoja komedia: o Sołtykach, czyż nie? Odstawiono ich na bok, więc można się teraz z nich naigrawać. Kasztelan liże dupę Czartoryskim, bo jak zwycięży Aleksander, młody Czartoryski będzie miał szansę zasiąść na tronie; swego syna na wszelki wypadek uczyni adiutantem u boku Napoleona, bo w końcu i Francuzi mogą przecież zwyciężyć...

- To nic strasznego. - Niemcewicz machnął ręką. - Tak bywało w każdej lepszej rodzinie.

- No cóż, to prawda - przytaknął Bogusławski. - Przecież twój wysoki protektor, stary Czartoryski, bawił się w to samo.

- Ale on jest moim protektorem - uśmiechnął się szyderczo Niemcewicz. - O nim nie mógłbym pisać.

- Dlatego napisz o Sołtykach - zaproponował Bogusławski.

- Ech - rzucił Niemcewicz. - Staruszkule, o iluż ja rzeczach wiem! Pokój to piękna rzecz, teraz wychodzi na jaw, co się działo w minionych latach za kulisami.

- To opowiadaj - zachęcił Bogusławski.

Niemcewicz zaśmiał się.

- Ode mnie niczego nie wyciągniesz - odparł. - Słyszałeś, że nasi szwoleżerowie spotkali pod Paryżem Kościuszkę?

- Co z nim?

- Nasi bohaterowie narodowi rekwirowali właśnie słomę dla swych koni. To było dzień po abdykacji Napoleona. Rabują więc nasi, rabują, kiedy nagle w stajni pojawia się jakiś zgrzybiały staruszek i wzywa po polsku naszych dzielnych zuchów, by nie odbierali mienia francuskim chłopom, którzy sporo już wycierpieli. Nasi bohaterscy chłopcy porządnie przyłożyli staremu, po czym spytali, skąd zna polski. „Ja-ja-jes-tem Ko-Ko-Kościuszko - wyjąkał pobity do krwi starzec. - Wa-al-alczyłem o wo-wo-olność!” Usłyszawszy to, dzielni rodacy wzięli staruszka z zakrwawionym nosem na ramiona, ponieśli przez całą wieś, potem postawili na ziemi i odeszli, a słomę i tak zabrali. Opowiadał to Vandernoot, oficer przyboczny Napoleona, obecnie wielce szanowany doradca naszej tajnej służby carskiej, który był świadkiem tego wydarzenia.

- Biedny Kościuszko. Był kiedyś twoim przyjacielem.

- Czyim to przyjacielem ja nie byłem! Niewielu polskich pisarzy mogłoby się poszczycić taką kolekcją skalpów jak moja. Moim przyjacielem był książę Poniatowski, dopóki się nie utopił, moimi przyjaciółmi byli George Washington i prezydent Jefferson, moim przyjacielem był główny strażnik więzienny Twierdzy Pietropawłowskiej, ty także swego czasu byłeś moim przyjacielem. Jeden przyjaciel mi pozostał, Mostowski, któremu w petersburskiej celi bez wytchnienia wystukiwałem przez ścianę posiadane informacje. Stare, dobre czasy! Ech, Twierdza Pietropawłowska! Gdybym tak kiedyś zasiadł do pisania pamiętników!

- To pisz.

- Wolę pisać tragedie. Pana Osińskiego, który jest twoim odkryciem, a zarazem zięciem, pociągają wzniosłe poematy. Tragedie o niczym nie mówią, ale przynajmniej dobrze potrafią wynudzić. Pisz tragedie, jest na nie zbyt. Możesz je wydać pod moim nazwiskiem, w uszach Osińskiego twoje nazwisko nie brzmi zbyt melodyjnie. A propos, jadłem śniadanie u Mostowskiego, który spytał, co ma z tobą zrobić.

- Co odpowiedziałeś?

- A co ty byś odpowiedział na moim miejscu?

Bogusławski milczał.

- Widzisz - rzekł Niemcewicz. - Powiedziałem mu dokładnie to samo. Mostowski

podsunął myśl, czyby nie wysłać cię na emeryturę.

- Przynajmniej rozwiązałyby się sprawa starości polskich aktorów - odparł ponuro Bogusławski. - Dziesięć lat temu, kiedy po raz pierwszy to zaproponowałem, wyśmiano mnie. Musieliśmy przegrać największą wojnę w naszej historii, by warunki dojrzały do załatwienia emerytury dla aktorów.

- Jeszcze nie dość przegraliśmy - powiedział Niemcewicz. - Krótko mówiąc, Mostowski wcale cię nie wyśle na emeryturę. Jak powiedział, taniej będzie, jeśli da sobie z tobą spokój.

- Miły człowiek.

- Wręcz przemiły. Nie dlatego tak go chwale, że jest moim przyjacielem, ale że również w sprawach finansowych jest przykładem realisty. Pisz raczej powieści. Ludzi nudzą już głupoty de Genlis, Cottina czy Delille'a, za to D'Arlincourt cieszy się ogromnym powodzeniem. Prędej czy później i tak zamkną teatr.

- Tak? A kto to zrobi?

- No dobrze, ja też postaram się coś uczynić w tej sprawie - zaśmiał się ustępliwie Niemcewicz. - Ale żebym nie zapomniał: słyszałem, że wczoraj wieczorem zabroniłeś Sołtykowi prosić mnie o wstawienie się za tobą. Czyżbyś mi już nie dowierzał?

Bogusławski śmiał się głośno dłuższą chwilę.

- I to właśnie, mój królu - odpowiedział, kiedy znów udało mu się wziąć oddech - tak uwielbiam w Warszawie.

Niemcewicz śmiał się razem z nim, a po chwili z leżącej pod krzesłem ogrodowym torby podróżnej wyjął dwa pliki rękopisów.

- Nadal jestem grafomanem - powiedział. - Interesują cię?

- Sztuki? - spytał Bogusławski, krzywiąc się.

- Ależ skąd, to poważne rzeczy - zaprotestował Niemcewicz. - Popatrz tylko, to nowa konstytucja wolnomularstwa, wyryję ją w kamieniu.

Bogusławski wziął jeden plik, nieźle waży, stwierdził i przerzucił kilka kartek.

- Cała rzecz w tym - powiedział Niemcewicz - że zamierzam dobrać się do dogmatycznych przywódców, by bronić symbolicznych łóż. Toż to w końcu karygodne, że od lat już nie zaprasza się członków Wielkiego Wschodu na zebrania Kapituły Najwyższej.

Bogusławski uniósł brwi.

- Łoże są zupełnie pozbawione kierownictwa - ciągnął Niemcewicz. - Wynajdują sobie różne dziwne rytuały, rozpadła się nam cała masoneria.

- I wierzysz, że w interesie Rosjan leży...?

- Nie wierzę - odparł Niemcewicz.

- Wierzysz, że można wskrzesić?...

- Nie można.

- Po co się w takim razie tyle mordowałeś nad tymi bzdurami? - spytał Bogusławski, wskazując na przekreślone i poprawione zdania.

- Może uda się jeszcze wzmocnić pozycję Wielkiego Mistrza.

- No, chyba że tak - powiedział Bogusławski. - Czemu od tego nie zacząłeś? Powiedz, że Kostka Potocki dobrze płaci.

- To tylko sukces moralny - odparł Niemcewicz. - Wiesz, ile dostaje Nowosilcow za to, że siedzi nam tutaj na karku? Sto tysięcy rocznie. Podczas gdy na wszystkie szpitale możemy przeznaczyć zaledwie dziewięćset tysięcy.

Bogusławski cmokał bez przekonania, kartkując rękopis.

- A to co takiego? Wielki Mistrz ma mieć zastępcę?

- Musiałem to wprowadzić - tłumaczył się Niemcewicz. - Roźnieckiemu trzeba dać jakąś wysoką pozycję.

- Krótko mówiąc, tajna służba też jest uwzględniona w waszej konstytucji.

- A co, wśród nas i tak jest pełno szpicli. Bez kompromisu nic się nie da zrobić. Zresztą to wszystko nie miałoby sensu, gdybym nie mógł się pokręcić tam, gdzie zapadają decyzje. Odłóż to, popatrz raczej tutaj. - Podał Bogusławskiemu inny rękopis. - Moje pamiętniki - oznajmił dobitnie.

Bogusławski zaczął kartkować nowy rękopis.

- Może kiedyś przydadzą się komuś - powiedział Niemcewicz. - Podejrzewam, że dość dużo wiemy. Jeśli nikt tego nie opisze, wszystko przeminie bez śladu.

- Pamiętniki mają sens tylko wtedy - odparł Bogusławski - kiedy jest w nich wszystko.

Niemcewicz zaśmiał się.

- W tych nie ma wszystkiego, tu są tylko nieszkodliwe kwękania. Ale równolegle piszę jeszcze inne, te będą prawdziwe.

- Pokaż mi.

- Nie mam ich u siebie - powiedział Niemcewicz. - Są schowane. Po co mają je znaleźć przy jakiejś przypadkowej rewizji. Kiedy mam gotową jedną, dwie strony, zanoszę je do kogoś. Prowadzę też dziennik. Jego także u mnie nie znajdują. Trzymam tylko to. W tym niczego nie ma. Ale i tak byłbym oburzony, gdyby mi przeszkodzono w ich wydaniu.

Niemcewicz z wyraźnym zadowoleniem delektował się własną przebiegłością.

- Nie będziesz miał w najbliższym czasie rewizji, mój królu - powiedział

Bogusławski, rezygnując z dalszej namowy.

- Tak myślisz? Uspokoiłby mnie twój optymizm, gdyby niecałe dwa tygodnie temu Nowosilcow nie spalił publicznie mojej parodii sprzed dwudziestu lat.

- Której? Tej antyrosyjskiej?

- Właśnie tej, staruszku, chociaż już odsiedziałem za nią dwa lata. Natknęli się na nią u jakiegoś nieszczęsnego rzeźnika i przymknęli go. A ja, autor, łażę sobie na wolności, tytułując mnie senatorem, a każdej zimy przenoszę się do pałacu Potockich, gdzie w drugim skrzydle zamieszkał Nowosilcow. Kiedy się spotykamy, wymieniamy uprzejmości. Może nadejść jeszcze taka chwila, że nie każe spalić moich ulotek, tylko wykorzysta je jako akt oskarżenia przeciwko mnie.

- Mój ty Boże - powiedział Bogusławski.

- Ten idiota Staszic - ciągnął z goryczą Niemcewicz - ma cholernie dużo szczęścia. Dwadzieścia lat temu w *Ostatnim ostrzeżeniu* agitował za Rosjanami i teraz głośno czy półgębkiem może się na to powołać. Ale ja?!

- Takiś biedny, mój królu, że mi chyba serce pęknie - odparł Bogusławski.

W domu Marianna czekała już z pieczoną gęsią. Bogusławski zajął się apetytem. Po południu ktoś zapukał do drzwi. Stał w nich niechlujnie wyglądający osobnik, mówiący, że szuka Mistrza.

Mistrz wysysał właśnie kość.

- Jestem Cieślak - powiedział przybysz, który wdarł się do środka i stanął przed Bogusławskim. - Sądząc z nazwiska, powinienem być cieślą, ale przez pomyłkę wyuczyłem się krawiectwa.

- Cieszę się - odrzekł Bogusławski.

- Przysłano mnie z teatru - powiedział Cieślak.

Bogusławski wyszukał wśród karteczek tę z nazwiskiem Cieślaka.

- Proszę mówić, mój królu.

- Mistrzu - rzekł Cieślak ze wzruszeniem w głosie - dziś przed południem zebrali się wszyscy aktorzy i rozprawiali o panu. Proszą, by wrócił pan do teatru i zajął należne sobie miejsce. Wysłano mnie, abym powiadomił Mistrza o panującej powszechnie opinii.

- To bardzo ładnie, mój królu. Kto był obecny na tym zebraniu?

Cieślak wymienił nazwiska. Bogusławski przekładał leżące przed nim karteczki.

- Dobrze, mój królu - odparł po chwili. - Ale właściwie czego oni chcą? Bez umowy nie mogę wrócić.

Cieślak milczał bezradnie.

- Powiedz im, że muszą wywalczyć dla mnie umowę. I jeszcze jedno. Kiedy będą zwoływać kolejne szumne zebranie, niech zaproszą mnie na piśmie.

O czwartej nad ranem odwiedził Dmuszewskiego. Konstancja jeszcze spała. O tej porze Dmuszewski zwykł był pracować. Bogusławski przywitał się z zaskoczonym Dmuszewskim jak z rodzonym bratem, dając do zrozumienia, że nie przybył do niego w sprawie teatru, lecz chce z nim porozmawiać jako wolnomularz. Słyszając to, Dmuszewski podał mu rękę w wolnomularskim geście powitania i bez słowa poprowadził do jednego z pokoi, gdzie półki uginały się pod ciężarem przetłumaczonych już i czekających jeszcze na przekład dramatów. Dmuszewskiemu było obojętne, co tłumaczy i co gra, pod tym względem uważał się za ucznia Bogusławskiego.

Bogusławski prosił go o pomoc w uzyskaniu stopnia mistrza.

Dmuszewski zmieszał się, zaczął gładzić długie, siwe włosy. Miał wyrzuty sumienia - swego czasu Bogusławski, będący już od dawna wolnomularzem, rekomendował go, później Dmuszewski, dzięki poparciu Osińskiego, awansował z terminatora na ucznia, z ucznia na mistrza, natomiast Bogusławski utknął na stopniu ucznia. Dmuszewski najchętniej by mu teraz oświadczył, że syna Mistrza, Stanisława, kocha jak własne dziecko, a także, że jedynym jego pragnieniem jest zobaczyć Mistrza z powrotem w teatrze, ale nie wiedział, jak zacząć.

- Uczynię wszystko - szepnął rozpaczliwie, po czym nieco chaotycznie zaczął opowiadać, iż ruch wolnomularski czeka teraz wielki rozkwit, albowiem wspiera go zarówno Wielki Książę, jak i generał Roźniecki. Mówił o pracy łóż Światło Wschodu oraz Świątynia Izis, zapowiadając jednocześnie, że bracia dążą do utworzenia jednolitej Polskiej Łoży Narodowej. Do owych dążeń nawet sam car podchodzi z pełnym zrozumieniem.

Kiedy Dmuszewski dostał zadyszki, Bogusławski nieoczekiwanie zaczął ronić łzy i drżącym głosem podziękował mu, iż wziął udział w tym tak już głośnym zebraniu, które, wedle wieści przyniesionych przez Cieślaka, obdarzyło go, marnotrawnego syna, życzliwością aktorów.

W oczach Dmuszewskiego także pojawiły się łzy i powiedział, że jak tylko mały Stasio wstanie, da mu zaraz prztyczka w łepetynę. Korzystając z okazji, uroczyście zaprosił Bogusławskiego, aby za pół roku, podczas świąt wielkanocnych, koniecznie przybył na ucztę do gospody Potok, na którą już teraz gromadzi pieniądze.

Bogusławski wcześniej się przygotował i teraz wygrzebał ile miał pięciogroszówek. Dmuszewski znany był z tego, że od wszystkich, czy kto chciał, czy nie chciał, dopraszał się natrętnie pięciogroszówek, by następnie rozdawać je żebrakom.

Ta uprzejmość rozczuliła Dmuszewskiego; oświadczył, że cokolwiek by się stało,

zawsze pozostanie wierny Mistrzowi, któremu tyle, a właściwie to w ogóle wszystko na tym bożym świecie, zawdzięcza.

- Kto grał małpę w tym kretyństwie? - spytał Bogusławski, gdy Dmuszewski doszedł już nieco do siebie.

- Kratzer - odparł Dmuszewski. - Dwa miesiące temu przyjechał tu z Krakowa.

- Korepetytor muzyki? - upewnił się zaskoczony Bogusławski.

Dmuszewski przytaknął.

- Osiński go zaangażował, ale potem się zorientował, że Kratzer nie ma słuchu. To pechowiec, kiedyś kupił w Krakowie teatr i w dwa tygodnie zbankrutował.

- I jak tu być dyrektorem teatru! - rzucił Bogusławski.

Dmuszewski chodził nerwowo po pokoju.

- Nie chce pan zobaczyć Konstancji? - spytał nagle. - Jest taka miła, kiedy śpi.

Bogusławski odmówił gestem.

- Już ją oglądałem - powiedział.

- Kupiłem teatralną knajpę - odparł na to Dmuszewski - i podarowałem go panu Bautzowi. To inwalida wojenny, zasłużył na to.

Bogusławski uznał ten gest za piękny i wielce szlachetny.

Po odejściu Bogusławskiego Dmuszewski długo jeszcze biegał wzburzony po pokoju, po czym, jak to zawsze robił w krytycznych chwilach, błyskawicznie zabrał się do tłumaczenia jakiejś francuskiej farsy. Było to siedemdziesiąte czy osiemdziesiąte już tłumaczenie, którym mógł się pochwalić, bądź przeróbka; wszystkie, od pierwszego do ostatniego, zawdzięczały swe istnienie duchowym kryzysom tłumacza.

Bogusławski próbował nawiązać jakiś kontakt z Józefem Krasieńskim, lecz ten przebywał w Wiedniu, a do Ludwika Platera, drugiego co do rangi masona, nie mógł się dostać. Na młodszego brata Ludwika, Stanisława Platera, natknął się nieoczekiwanie na dziedzińcu pałacu. Stanisław życzliwie wypytywał go o samopoczucie, Bogusławski zaś od razu powierzył mu przekład jednej ze sztuk Kotzebuego.

- Jest w niej wspaniała rola ojca - uzasadnił swój wybór.

Plater się zgodził. Mistrz był zdziwiony, że Stanisława wcale nie interesuje, jakim prawem zleca mu pracę ktoś, kto nie jest ani dyrektorem, ani nawet członkiem teatru, i w końcu doszedł do wniosku, że Plater nie ma zielonego pojęcia o sytuacji w teatrze, być może nie wie nawet, iż od pół roku dyrektorem jest Osiński.

Bogusławski się uspokoił. Wynika z tego, że są tacy, w których świadomości na zawsze pozostał dyrektorem Teatru Narodowego.

Po chwili zawrzał w nim gniew. W końcu wszyscy powinni wiedzieć, że ciągle się go niesprawiedliwie pomija.

- Napisałem list do Kostki Potockiego - powiedział wieczorem Mariannie.

Marianna milczała; minister oświecenia nie lubił zbytnio Mistrza.

- Nie pisałem w swoim imieniu - zaśmiał się drwiąco Bogusławski. - Pewne tajne stowarzyszenie domaga się, bym powrócił na scenę.

- Tego to chyba nie musiałeś...

- Z pewnością pojawią się tajne stowarzyszenia - rzucił Mistrz. - Pojawią się? Już są. Zresztą Mostowski także otrzymał podobne listy. Jeszcze we Lwowie i w Krakowie pisałem do niego, w imieniu swoich wielbicieli, że pan minister spraw wewnętrznych powinien od czasu do czasu łaskawie wyrazić zgodę na to, by również na odłączonych terenach ludzie mogli zachwycać się moją sztuką.

Zanosił się śmiechem. Nie przyznał się już do tego, iż pisał także do gubernatora carskiego Łanskoja i do Wielkiego Księcia; pierwszemu zaproponował, że chętnie zagra mu Fonwizina po rosyjsku, natomiast uwadze drugiego z należną mu czcią i szacunkiem polecał swoją niezrównaną umiejętność gry na oboju. Do Kostki Potockiego napisał również we własnym imieniu, że chciałby prowadzić na uniwersytecie zajęcia z historii dramatu, rzecz jasna darmo, wyłącznie z pobudek patriotycznych.

I zaczął się zjawiać wszędzie, gdzie mógł.

W budynku pijarów na Miodowej wielką owację zgotowała mu młodzież ze Szkoły Dramatycznej. Odegrał przed nimi rolę Wielkiego Bogusławskiego, użył kilku nieprzyzwoitych słów, doprawił ironią, a na dodatek pozwolił sobie na aluzję do perkatego nosa Wielkiego Księcia. Umówił się na oddzielne randki z dwiema piętnastolatkami; szybki sukces uszczęśliwił go, cały dzień rozpierała go duma i męskość, dowcipkował nawet z Marianną, która nie mogła zrozumieć, co się Mistrzowi stało. Na randki oczywiście nie poszedł.

Natomiast w czwartek udał się do biskupa Woronicza. Zjawił się u niego przed południem i ze wzruszeniem w głosie zapytał, czy biskup nie mógłby osobiście odprawić modlitwy za zdrowie jego córki Zosi. To sprawiło, że z kolei wzruszył się Woronicz, obiecał spełnić prośbę, po czym zaczął go dokładnie wypytywać o przeżycia ze Lwowa i dalsze plany. Rozmowa, jak to sobie Bogusławski zaplanował, przeciągnęła się, tak że biskup zatrzymał go również na obiad. A ponieważ właśnie we czwartki zwykł był wydawać swe obiady literackie - o tej samej porze, co generał Wincenty Krasiński, do którego jednak Mistrz nie mógłby przyjść bez zapowiedzi - wielu wspaniałych mężów miało okazję ujrzeć z bliska

eksydyrektora po powrocie z wojaży. Towarzystwo było mieszane: Węcki, wydawca, Lesznowski - redaktor naczelny „Gazety”, Linde, dyrektor liceum, był tam również radca stanu Sierakowski oraz adiutant Maksymilian Fredro z żoną Rosjanką. Bogusławski recytował wiersze Zabłockiego (Woronicz przepadał za tym autorem: był to jedyny wybitniejszy pisarz polski, który wstąpił do klasztoru), po czym zapatrzywszy się posępnie w dal, z goryczą oznajmił zebranym, że jeśli nie zostanie dopuszczony na scenę, bez wątpienia rzuci się carowi Aleksandrowi do stóp, gdy ten wreszcie przybędzie do Warszawy. Woronicz zapewnił go, że w tej sprawie nie musi się jeszcze zwracać do cara.

- No - powiedział w domu Mistrz Mariannie - doprowadziłem do tego, że Linde zaprosił mnie do siebie na wieczór.

- Pójdiesz? - zdziwiła się Marianna.

- Ani myślę.

Już samo przypuszczenie uznał za obraźliwe.

- Żenujące typy - powiedział. - Choćby ten Lesznowski!... Kiwa głową i się szczerzy. Szczerzy zęby i kiwa głową. Oto cały repertuar.

Również o innych nie wyrażał się lepiej.

- Nudzą się śmiertelnie - podsumował. - Był najwyższy czas wracać do domu. Już ja ich wyrwę z tej nudy.

Nadal nikt z teatru go nie poszukiwał, zaczynał się niepokoić, przemierzał ulice, przesiadywał godzinami w kawiarniach, pozwalał się rozpoznać, gawędził sobie z wielbicielami, pełen dostojeństwa i nieprzystępny, i rozprawiał o swoich przyszłych rolach.

Do teatru nie poszedł. Trzeba poczekać, aż Osiński zacznie go błagać, by wrócił, wtedy on okaże swoją łaskę.

Niebawem złożył mu wizytę Węgrzecki, prezydent.

- Uczynię, co mogę - powiedział na przywitanie i usiadł.

Był wysokim, szczupłym mężczyzną o mizernej twarzy pooranej zmarszczkami. Choć kilka lat młodszy od Bogusławskiego, wyglądał jak jego równolatek.

- Co we Lwowie? - zapytał.

- Beznadziejne miasto - odparł Bogusławski.

Węgrzecki pokiwał głową.

- Warszawa jest jeszcze gorsza niż Lwów, mój królu - powiedział z determinacją. - To już koniec. Pomyłką było nie tylko to, w co kiedyś wierzyliśmy, ale też to, w co kiedyś będziemy wierzyć.

- A jeśli tak?

- Przydałaby się raz jakaś gruntowna rewolucja - ciągnął Węgrzecki. - Gdyby i ona upadła, jak francuska, z powodu jakiegoś nowego Napoleona, to wtedy zgoda. Wówczas zaczęlibyśmy się zastanawiać.

- U nas też upadła w dziewięćdziesiątym czwartym - powiedział Bogusławski.

- Ale nie dostatecznie - osądził ten fakt Węgrzecki. - Zdławiono ją z zewnątrz. Gdyby przegniła wyłącznie od wewnątrz, bez żadnej zewnętrznej pomocy, byłbym teraz spokojny. Ale zdławiono ją i wobec tego, jak znam siebie, nadal pozostanę jakobinem. Niezbyt to wdzięczna rola.

Bogusławski milczał.

- Jesteśmy w całkowitej defensywie - kontynuował Węgrzecki. - Jeśli Arakcejewowi wpadnie do głowy i u nas założyć kolonię wojskową, jak to się stało w Nowogródku, nasze szacowne stany jak psy radośnie zamerdają ogonami, a nasze dzieci i kobiety wcieli się do regularnej armii. Aleksander powiedział, że w Rosji musi być tylu żołnierzy, ilu jest w Prusach i Austrii łącznie. Wyobraź sobie, co by powiedział, gdyby te państwa nie były jej sprzymierzeńcami!

- Twoim zdaniem, mój królu, będzie wojna?

- Będzie. Wszyscy się zbroją. Możemy liczyć tylko na to, że jeśli, powiedzmy, Metternich wypowie wojnę Aleksandrowi, Rosjanie dowiedzą się o tym po piętnastu, dwudziestu latach.

Bogusławski roześmiał się.

- To nie dowcip - powiedział Węgrzecki. - Czytałem pewien poufny raport, opracowany przez Kapodistriasa, tyle trwa przechodzenie dekretów carskich przez kolejne urzędy.

- Nieźle - odparł Bogusławski z uznaniem.

- W zeszłym roku jesienią na osobiste polecenie Golicyna na uniwersytecie w Kazaniu uroczyście zakopano w poświęconej ziemi preparaty anatomiczne... Wiesz, ile idzie w tym roku na ich armię? Sto dwadzieścia milionów rubli. Na flotę dalsze piętnaście. Na policję osiem. Na kulturę dwa miliony. Dwa miliony. A w tym są przecież i szpitale.

- Mój Boże - odparł Bogusławski. - Tak zawsze było.

Ponownie zamilkli.

- Dzierżkowski jeszcze żyje? - spytał Węgrzecki.

- Jest coraz grubszy - odrzekł Bogusławski. - Przesyła pozdrowienia.

- Co porabia?

- Zbiera książki, jak zwykle.

- Kiedyś mu je ukradną - stwierdził Węgrzecki.

- Niech do tego czasu zbiera. Widziałem u niego pisma ulotne, pięknie oprawione.

Węgrzecki wzruszył ramionami. Pięć lat temu wydał własnym sumptem broszurkę, w której przedstawiał swoje stanowisko w kwestii zakładania komun, tolerancji oraz równości społecznej, zrobiło się wokół niego gorąco, ale wkrótce wydarzyły się jeszcze ważniejsze sprawy, na przykład wojna, i Węgrzeckiemu jakoś się upiekło.

- Jednym słowem, nie powinienem jechać do Lwowa - westchnął Węgrzecki - ale wobec tego nie mam już zupełnie dokąd jechać.

Następnego dnia znów ktoś zapukał. W drzwiach stał jasnowłosy młodzieniec o dużych oczach i dziewczęcej twarzy, która spłonęła rumieńcem.

- Nazywam się Antoni Fiszer - powiedział.

Bogusławski przyglądał mu się spod przymrużonych powiek i przypomniał sobie, że to nazwisko znajduje się wśród karteczek zawierających charakterystyki muzyków. Tympanista, pomyślał.

- Czy przypadkiem nie łączy coś pana z generałem Fiszerem? - spytał. - Wiesz, mój król, tym który poległ pod Moskwą jesienią dwunastego roku.

- Był moim styjem - powiedział młodzieniec wstydliwie. - Ale nigdy go nie widziałem.

Bogusławski zaprosił go do środka.

- Czego pan szuka w orkiestrze? - spytał.

Fiszer ścisnął w ręku gruby rękopis.

- Jest pan bardzo nieśmiały - rzucił Bogusławski. - Teatr nie jest dobrym miejscem dla pana.

- Wiem - odpowiedział Fiszer ze smutkiem. - Matka chciała mnie widzieć prawnikiem. Mam nawet za sobą dwa semestry.

Zamilkł, po czym, jękając się, wyrzucił z siebie:

- Przyniosłem dramat.

Bogusławski uśmiechnął się.

- Proszę położyć na stole. Jeśli się nie mylę, to tragedia.

- A skąd pan wie?

- No, nie ma się co wstydzić, to minie. Ale wie pan, że nie mam teraz w teatrze nic do powiedzenia?

Fiszer skinął głową, a Bogusławskiego ogarnęło dziwne wzruszenie.

- Przypomina mi pan Zabłockiego - powiedział. - On też miał takie durne, wielkie

oczy.

- O ile wiem - odparł chłopak - Mistrz nie znosił Zabłockiego.

- Oczywiście, że go nie znosiłem, król darzył go swoimi łaskami. Nie twierdzę, że nie miał talentu, pominąwszy tę drobnostkę, że się silił na tragedie. Od kiedy przestał pisać, naprawdę go lubię. Raz go nawet odwiedziłem w klasztorze. Pan też skończy w habicie.

Fiszer siedział na krześle jak sparaliżowany.

- Słowem, bywa pan również na uniwersytecie - zamyślił się Bogusławski. - Ma pan przyjaciół wśród studentów?

Fiszer skinął głową.

- Następnym razem proszę mi o nich opowiedzieć, dobrze? - poprosił Bogusławski i utkwiał wzrok w jakimś punkcie ponad głową chłopca. - W ciągu najbliższych dni przeczytam sztukę.

Fiszer wycofał się tyłem z pokoju, Bogusławski wrzucił rękopis do przepastnego kufra.

Wszyscy już trajkotali na temat przygotowań związanych z przyjazdem cara Aleksandra, kiedy do markotnego Bogusławskiego wpadła zadyszana Marianna.

- Osiński podpisał! - zawołała.

Bogusławski zerwał się z krzesła.

- Kto ci powiedział?

- Kupiec korzenny.

Uspokojony Bogusławski uśmiechnął się szeroko, ubrał się, wypróbował przed lustrem kilka min pełnych chłodnego dostojeństwa i zaczął czekać.

Posłaniec przybył po obiedzie i przedstawił się jako Maciej Unicki. Oznajmił, że od trzech miesięcy służy w teatrze w charakterze starszego kontrolera i sekretarza.

- Służy pan? - spytał Bogusławski.

- Zostałem zdemobilizowany w stopniu kapitana - oznajmił Unicki. - Jestem prawą ręką pana Osińskiego. Pan Osiński komunikuje, że z wielką radością angażuje do swojego zespołu pana Bogusławskiego, i łaskawie prosi o podpisanie kontraktu.

Bogusławski usiadł za stołem, flegmatycznie obracał w ręku papier, po czym zaczął go gruntownie studiować. Pana Unickiego zapomniał poprosić o zajęcie miejsca.

Nie okazał jednak radości.

Szybko zrozumiał, czemu Osiński był tak hojny. Wszyscy będą teraz nienawidzić Mistrza za wyższą o dwadzieścia procent gażę.

Nie szkodzi.

Zastanawiał się, jaki błąd mógłby znaleźć w kontrakcie, aby móc go odesłać i aby Osiński był zmuszony ustąpić, lecz nie znalazł niczego, co dałoby się zakwestionować. I podpisał.

Jeszcze tego dnia pod wieczór przyszedł do teatru.

Dostojnie podniesioną głową dawał wszystkim do zrozumienia, że on jest tutaj panem. Chwilę porozmawiał z panem Bautzem, który dzięki Dmuszewskiemu awansował na właściciela teatralnej knajpy, panią Bautzową, podstarzałą markietankę, poklepał po zaczerwienionej twarzy i postawił wszystkim wódkę. Po kilku chwilach spory tłumek zgromadził się w rogu sali przy stole dla stałych gości; zdawało się, że Bogusławski zasiada na tronie i podpity rozdziela wszystkim uśmiechy. Jednym uchem słuchał głośnych szeptów na swój temat.

Jak Mistrz młodzieńczo wygląda, Mistrz wspaniale się trzyma, Mistrz wreszcie zrobi porządek.

Zakłamana banda, pomyślał Bogusławski ciepło, zakłamane, obłudne, podle i samolubne dranie.

Czy pamięta pan, Mistrzu, jak... - i snuli soczyste opowieści o wielkich dniach, o dawnym teatrze, który działał w pałacu Radziwiłłów.

Wszyscy tłoczyli się wokół niego, Szymanowski, Żółkowski, Zdanowicz, pojawił się również Dmuszewski, za nim ledwie widoczna stała wciąż jeszcze piękna Dmuszewska, lecz nie podeszła do Bogusławskiego; oboje zrobili miejsce Ledóchowskiej, pupilce Bogusławskiego, delikatnej tragiczce o dziewczęcej urodzie, którą teraz zobaczył pierwszy raz od dnia powrotu; zauważył Fiszera; Rutkowski wzniosł toast w imieniu wszystkich, a Nacewicza, który zalał się kompletnie już pierwszym kieliszkiem, w porę wyprowadzono do ustępu. Weinert na cześć Mistrza zagrał na flecie wspaniałą arię z *Cudu mniemanego*, Weniger akompaniował mu na oboju, a Czyże na fagocie i razem z Bogusławskim odśpiewano refren arii Bardosa, który ćwierć wieku temu wychodzący z teatru warszawiacy śpiewali na ulicach:

Świat srogi, świat przewrotny,

Wszystko na opak idzie,

Kto nie wart - pan stokrotny,

A człek poczciwy w biedzie.

Lecz rozum górę bierze,

Tym sobie życie słodzę;

I ja porosnę w pierze,

Choć dzisiaj boso chodzę.

Bogusławski patrzył na zaczerwienione twarze, na zasnute mgiełką oczy; w niechlujnej, ciemnej knajpce możliwe mu się zdało rozpoczęcie na nowo minionych trzydziestu lat. Nawet nie przyszło mu na myśl uciszanie tych ludzi.

- Jeszcze kiedyś będzie Polska! - krzyknął Malinowski i głos mu się załamał.

- Jeszcze Polska nie zginęła! - śpiewano wrzaskliwie *Mazurek Dąbrowskiego*. Nawet Kudlicz i Szczurowski szlochali.

Byli wszyscy z wyjątkiem Osińskiego i pana sekretarza Unickiego.

Tobiasz był szczęśliwy, że będzie miał o czym pisać w raporcie.

Następnego dnia Osiński potrafił za karę półroczną gażę wszystkim aktorom, którzy śpiewali *Mazurek Dąbrowskiego*.

Bogusławski był wielce zadowolony i kręcił głową z oburzeniem, kiedy aktorzy przychodzili mu się poskarżyć. Przyrzekł, że wystąpi do Osińskiego o złagodzenie kary. Ani myślał jednak spotykać się z Osińskim. Dobrze jest, jak jest, niech mają pretensje tylko do dyrektora.

Jego dobry humor nieco przygasł, kiedy w kasie, gdzie od starego Uszyńskiego odbierał pierwszą gażę, okazało się, że z tytułu spłaty długu dostanie co miesiąc na rękę jedynie połowę pensji, a za pierwszy miesiąc, jako że on także śpiewał *Mazurek Dąbrowskiego*, otrzyma wszystkiego dwieście pięćdziesiąt złotych.

Gdy minęła pierwsza złość, Bogusławski zamówił u pana Harazyna, rekwizytora, duplikat klucza do łoża dyrektorskiej. Harazyn wzburzony odmówił przyjęcia złotej monety, albowiem on dla Mistrza zrobi wszystko, zwłaszcza duplikat klucza do łoża, za darmo.

Mistrz postarał się wysłuchać wszystkich skarg, planów, marzeń oraz relacji o kłopotach rodzinnych, i chociaż niczego nie przyrzekał, wszyscy się łudzili, że ich los od tej

chwili znalazł się w dobrych rękach. Przede wszystkim prosili o role. Tylko najwięksi zwolennicy Osińskiego nie pojawili się przed jego obliczem. Podział na jednych i drugich był dokładnie taki, jak rozkład kart z nazwiskami, które nie tak dawno rozłożył w domu.

Rivoli, chudy jak tyka i małomówny epizodysta, powiedział, że dla uczczenia cara nie wystawią *Cudu mniemanego*, tylko pisze się nowy utwór zatytułowany *Łaska imperatora*. Autorami libretta będą Dmuszewski, Osiński i Kudlicz, muzykę zaś komponuje Elsner. Bogusławski wzruszył tylko ramionami i w dwie noce szczegółowo przedstawił na papierze propozycję, by w miejsce rozpadającej się hali targowej w Marywilu postawić nowy Teatr Wielki. Te plany od lat już pieścił w głowie, a gotowe fragmenty leżały w kufrze wraz z kilkoma szkicami, które jeszcze przed wojnami napoleońskimi odkupił od Włochów, miał wtedy pieniądze, jednak z powodu bankructwa nie sporządził wniosku. Teraz w ostatecznie opracowanej wersji wykazał także konieczność przejęcia przez państwo Teatru Narodowego. Szczegółowo i zawile uzasadniał, czemu nie należy dalej utrzymywać obecnego systemu, który subwencjonuje teatr w wysokości dwudziestu, trzydziestu procent kosztów, a jednocześnie pozostawia go w prywatnych rękach. Często powoływał się na interes kultury polskiej. Z zadowoleniem spoglądał na pięknie zredagowany wniosek. Jeśli przypadkiem zostanie przyjęty, za darmo wpadnie mu w ramiona teatr, którego w żadnym wypadku nie udałoby mu się odkupić z własnych funduszy od zięcia.

Bogusławski, gdyby mógł, zaproponowałby coś całkiem innego. Po pierwsze, domagałby się otwarcia innego teatru, w krótkim czasie doprowadziłby Osińskiego do bankructwa, jak to zrobił z niezliczonymi konkurentami w ciągu minionych trzydziestu, czterdziestu lat. Po drugie, domagałby się stanowczo, by przy nowym Teatrze Wielkim, budującym się w Marywilu, pozostawić targ i magazyny. Niech przychodzą tam dzierżawcy, ale oprócz nich także ci, którzy tworzą na tym targu tłum sprzedawców i kupujących.

Wniosek, który zawierał wszystko: od planu sytuacyjnego i rozplanowania przestrzeni wewnętrznej począwszy, a na wyszczególnieniu gaź skończywszy, kazał Mariannie przepisać w trzech egzemplarzach i przesłał pocztą ministrowi oświecenia Kostce Potockiemu, ministrowi skarbu Matuszewiczowi oraz Staszicowi, prezesowi Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Następnie brudnopis projektu zaniósł do teatru i puścił w knajpce do przedyskutowania. Wysłuchał wszystkich opinii i podziękował za każdą radę. W teatrze przez długie dni rozprawiano o projekcie Bogusławskiego, Osiński miotał się bezradnie z wściekłości i popędził, by przygotowywać operę ku czci cara, którego wizyta zbliżała się

niebezpiecznie szybko.

Bogusławski zachowywał się tak, jakby miał całkowitą pewność, że wkrótce ponownie zostanie dyrektorem. Doświadczenie nauczyło go, że kto nie porywa się na maksimum, nie osiągnie nawet minimum. Jednocześnie dręczył się, że nie może wystąpić na scenie, chociaż sezon był już w pełni, a koledzy co wieczór mogli się rozkoszować i zachłystywać swoim powołaniem, lecz nie przyśpieszał biegu wypadków i jak przystało na dyrektora teatru, oglądał każde przedstawienie bądź z ostatniego rzędu parteru, bądź siedząc przy pulpicie inspicjenta, po spektaklu zaś analizował w knajpce poszczególne kreacje, odgrywał błędy, proponował nowe rozwiązania i omawiał pokrótce ogólne zasady techniki gry. Wpatrzeni w Mistrza słuchali go również ci, którzy od lat, a nawet dziesiątków lat, występowali razem z nim. W ostatnich piętnastu latach Bogusławski zbytnio zaangażował się w prowadzenie teatru, zmuszony był mniej grać, a w Szkole Dramatycznej, gdzie miał nauczać podstaw zawodu, nie za bardzo mógł błyszczeć. Teraz całą swoją energię skierował na pięcio-, dziesięciominutowe komentarze i nawet Szymanowski przyznał przy wszystkich, że diabeł wstąpił w Mistrza i wciąż jeszcze można się od niego uczyć.

Osińskiego roznosiło ze złości, natomiast Kudlicz, kierujący Szkołą Dramatyczną po Bogusławskim, który ją niegdyś założył, poczuł się zagrożony. Bogusławski wiedział, że niebawem skończą się możliwości niezakłóconego snucia intryg i dlatego był bardziej wyrozumiały, cierpliwy i uprzejmy niż kiedykolwiek, nigdy tak bezinteresownie nie cieszył się z kilku dobrych chwil słabych i średniego lotu aktorów. Pana Bautza i jego żonę drobną kwotą skłonił, by nie zamykali jeszcze knajpki, po której biegał wte i wewte, wyjaśniał coś, wymachując szeroko rękami, sam jeden odegrał wszystkie role, a widownia, aktorzy, co chwila zrywali się i próbowali wcielać w życie kolejne pomysły Mistrza. W większości pomysły te nie wchodziły do następnych przedstawień, choćby z tego tylko względu, że także Osiński był zmuszony prowadzić politykę kulturalną, a więc daną sztukę mógł wystawiać jedynie trzy lub cztery razy, z długimi przerwami, mimo to każdy cieszył się z ostatnich prób korygujących. Ubóstwiali u Bogusławskiego zwłaszcza ten zwyczaj, że przy interpretowaniu poszczególnych ról odwoływał się do pomocy mało znaczących przejawów codzienności. Jego porównania roily się od fachowych wyrażen związanych z jedzeniem i kochaniem się, które w jego ustach brzmiały jednak lekko i filozoficznie, a wielu młodych aktorów teraz po raz pierwszy usłyszało, że publiczność jest po to, by dokonywać na niej ze sceny zbiorowego gwałtu. Helena Rutkowska, brzydka, początkująca baletnica o nieprzeciętnym talencie, której już nawet Bogusławski powierzał epizody, nieraz powtarzała ze zdumieniem, że Mistrz, którego w życiu uważała za nieciekawego mężczyznę i nigdy by jej nie przyszło do głowy

pójść z nim do łóżka, podnieca ją, ilekroć zaczyna grać w knajpce.

- Patrzę i patrzę - powtarzała z konsternacją - jak szaleje, wymachuje długimi ramionami, meczy tym swoim drżącym drewnianym głosem, wszystko na nim wisi, ubranie, ciało, skóra, paskudny jak czort, a ja siedzę i przeżywam.

Kiedy Osiński wreszcie się połapał i pod groźbą zamknięcia teatralnej knajpy zabronił Bautzowi obsługiwać kogokolwiek po spektaklu, Bogusławski zaprosił aktorów do siebie. Ledóchowskiej przypadł fotel. Żółkowski siedział na podłodze, bo wszystkie sprzęty nadające się do siedzenia okazały się dla niego zbyt wąskie. Rivoli podpierał futrynę drzwi, Rutkowski przyprowadził z sobą obie córki, Helenę i Aszpergerową, która jeszcze przed przyjściem Rosjan przeniosła się wraz z mężem z Wilna do Warszawy; Rutkowskim przypadła w udziale kanapa, Aszperger siedział, dyndając nogami, na komodzie w towarzystwie Szymanowskiego i Fiszera (wszyscy trzej byli bardzo szczupli). Malinowski zachowywał się tak, jakby nie miał z nimi wszystkimi nic wspólnego, kręcił się po przedpokoju i co jakiś czas przystawał w otwartych drzwiach, jakby przypadkowo zajrzał do Mistrza.

Marianna poczuła się bardzo ważna, uwijała się w kuchni, częstowała gości herbatą i ciastami, gdyż alkohol i bardziej treściwe jedzenie goście przezornie przynieśli ze sobą.

Osiński nie mógł zabronić Bogusławskiemu zapraszać gości do mieszkania.

Po interpretacjach Bogusławskiego, które Dmuszewski ożywiał swoimi uwagami, zaczęła się ogólna improwizacja pod przewodem Zdanowicza i Żółkowskiego. Atmosfera przypominała tę ze spotkań radosnej i beztroskiej cyganerii z minionych lat świetności, kiedy to w teatrze gromadziło się jeszcze więcej niż obecnie awanturników i pięknoduchów, których nie krępowały kwestie estetyczne i zawodowe. W tym czasie na mapach widniała jeszcze Rzeczpospolita, a wieczorami można było grać to, co przed południem działo się w Warszawie. Obecnie młodzi gapili się na starszych z otwartymi ustami. Bardziej żyli w teatrze, niż mogli z niego wyżyć.

Zdanowicz znakomicie parodiował Wielkiego Księcia Konstantego, wskutek czego Joanna Grudzińska, młoda jasnowłosa nadzieja Szkoły Dramatycznej i przyszła naiwna, zadurzyła się w nim po uszy. Żółkowski parodiował Osińskiego, a Szymanowski, elegancki i subtelny amant, odgrywał wielkich polskich wodzów od Poniatowskiego po Wincentego Krasińskiego, przedstawiając, jak każdy z nich, w charakterystyczny dla siebie i niepowtarzalny sposób, wymachuje szablą w czasie oddawania stolca.

Bogusławski, nie chcąc niepotrzebnie tracić czasu, parodiował jedynie swoich osobistych wrogów, bardzo oszczędnie, bez jednego gestu, nie troszcząc się nawet o to, by naśladować ich głosy. Długo kwiczeli ze śmiechu, tarzając się na podłodze po sparodiowaniu

Niemcewicza, choć Bogusławski niczego nie robił, siedział tylko za biurkiem, z piórem w ręce i zamyślony cicho mamrotał nazwiska członków rządu.

Na Fiszera zwrócono uwagę dopiero wtedy, gdy po jednym takim udanym wieczorze zsunął się z komody z pustą kartką w ręce i bezbarwnym głosem zaczął donosić generałowi Roźnieckiemu, iż w mieszkaniu pewnego aktora nazwiskiem Bogusławski co wieczór odbywają się tajne spotkania, których celem jest podkopanie Świętego Przymierza oraz zamordowanie w drodze spisku Metternicha, cara Aleksandra tudzież pana Osińskiego, a wszystko po to, by pan Napoleon, znany aktor francuski, przejął dyрекcję Teatru Narodowego w Warszawie.

- Przeczytam pana sztukę! - wykrzyknął lekko podchmielony Bogusławski. - Przysięgam, mój królu, że przeczytam!

Ledóchowska z niezwykłym u niej przejęciem śpiewała psalmy i marsze wojskowe, tak przy tym szlochając, jak cała Polska, gdy w minionych latach przy akompaniamencie tych melodii pędziła w objęcia śmierci. Szymanowski naszkicował karykatury całego towarzystwa i zawiesił je na ścianach. Ponieważ robiło się coraz zimniej, coraz częściej po kilka osób nie wracało na noc do domu i spało u Bogusławskiego. Na przykład Aszpergerowie zawsze u niego nocowali, ponieważ nie mieli pieniędzy na opał. Ktoś spał na stole, ktoś inny na podłodze. Zdanowicz z Joanną wspólnie objęli w dzierżawę na czas nieokreślony kuchnię, a w niej wyglądającą jak koryto dzieżę, w której choć z pewnym trudem, to jednak się jakoś mieścili. Bogusławski bez słowa sprzeciwu przyjął pieniądze za dzieżę. Tylko Ledóchowska zawsze wracała do domu, chociaż jej także nie starczało na opał.

- Mój ty Boże! - wrzasnął radośnie pijany Fiszer, który ostatnio przestał się rumienić. - Tylko teatr, nic innego, tylko teatr!

- Niech pan spojrzy na tych idiotów - Bogusławski wskazał ululane towarzystwo. - Niech pan, mój królu, rzuci te swoje tragedie i napisze im dobre role, dobre, jędrne, wesołe i nadające się do grania role. Dla nich, dla tych kretynów, teatr jest całym życiem.

Młoda Ewa Malcerówna, której brak talentu rekompensował budzący ogólny podziw biust, od czasu do czasu prezentowała z gracją taniec brzucha. Zaczął się pojawiać smukły, wyposażony w haczykowaty nos Wolski, który zakładał sobie nogi na szyję. Nauczył się tego od jakiegoś Hindusa w Afryce, gdzie walczył w szeregach Dąbrowskiego. Wąsowicz, który urodził się jako autentyczny hrabia, pewnego dnia przyniósł herb rodowy i przy wszystkich się na niego odlał.

Dziadzio Plersch, sędziwy dekorator, całymi nocami opowiadał i opowiadał rozwlekłe anegdoty z połowy ubiegłego stulecia, podczas gdy inni dawno już chrapali. Głównie

przestrzegał przed alkoholem szybko upijającego się Malinowskiego i niezliczoną ilość razy opowiadał, jak w 1792 przed premierą *Kazimierza Wielkiego* Bogusławski zamknął w garderobie Owińskiego, głośnego wówczas aktora, gdyż ani Niemcewicz jako autor, ani też król nie ucieszyliby się zbytnio, gdyby Owiński zagrał po pijanemu *Kazimierza Wielkiego*, i to dokładnie w pierwszą rocznicę Konstytucji 3 maja.

- A kiedy Owiński wypowiedział na scenie - ciągnął Plersch - „na czele hufców stanę”, król powstał w loży i wykrzyknął: „Na czele hufców stanę!”. O, jakie dostał wtedy brawa. Przebił swoją grą Owińskiego! A potem nie stanął na czele hufców.

Wolski ze szmat porobił kukły nieobecnych, do których jak do celu pluli obecni. Jako tarcza na spotkaniach pojawiał się w formie kukły Kudlicz, prawa ręka Owińskiego; Szczurowski, pyszałkowaty bas; Rywacki, młody amant o wydatnym tyłku; Elsner, smutnooki kompozytor, niegdyś przyjaciel Bogusławskiego; Kratzer, korepetytor muzyki o wątpliwym słuchu; histeryczka Szczurowska; kolejny kompozytor muzyki Kurpiński, zawistny trębacz König; Werowski, nowy nabytek, młody aktor charakterystyczny, którego kukła nie wydawała się Szymanowskiemu dostatecznie odpychająca.

- Wtedy jeszcze nikt nie wierzył - snuł rozważania dziadzio Plersch, przygryzając zwisające, pożółkłe od tytoniu wąsy - że caryca Katarzyna może użyć przemocy. I co się stało? Stało się to, czego nikt się nie spodziewał. Caryca Katarzyna użyła przemocy. Choć nikt się tego nie spodziewał.

Dziadzio Plersch z szelmowską miną pokiwał głową, jakby to on właśnie doradził carycy Katarzynie przeprowadzenie ostatniego rozbioru Polski.

W Zaduszki całą noc pohukiwali owinięci prześcieradłami, po północy zaś wymaszerowali z domu i snuli się w tych prześcieradłach po Miodowej. We wszystkich oknach płonęły znicze, co było godne podziwu, gdyż już na tydzień przed Dniem Zadusznym handlarze pochowali wszystkie znicze, aby dopiero ostatniego dnia rzucić je na rynek z cztero-, pięciokrotnie wyższą ceną. Wyły psy, dał silny wiatr, gdzieś na Nowym Mieście biły dzwony, zniknęli z ulic lampiarze - oni też zasiedli w domach, by łączyć się ze swoimi zmarłymi i oplakiwać ich, jak każe obyczaj. Procesja widm z powodu zimna nie trwała długo, obawiali się zresztą, że ktoś może ich obić, więc zawrócili i na Długiej, przed domem Bogusławskiego, kilka kroków od teatru, zaimprovizowali serenadę na swoją cześć. Fiszer walił w przyniesiony z sobą bęben, a stary Różyczka, pan Wacław, rzępolił na skrzypcach. Ledwo go było słyhać, wiatr porywał dźwięki, mimo to promieniał dumą, bo to na jego skrzypce rozłoszczeni żałobnicy wylali wodę z któregoś piętra.

- Jestem kotem - zamiauczał Różyczka.

O świcie znów wyszli na ulicę, złapali dorożkę i ruszyli przez całe Stare Miasto. Kilka razy objechali okolice Piwnej i Krzywego Koła, ominęli ratusz, nie odważyli się wjechać na plac Zamkowy i Dzień Zaduszny ostatecznie zakończyli w mieszkaniu Żółkowskich na ulicy Piwnej, kompletnie zalani.

Postanowili, że każą się pochować we wspólnej trumnie, co przypieczętowali umową podpisaną przez wszystkich własną krwią. Zamiast krwi użyli atramentu.

Bogusławski nie miał serca przerywać wspólnych spotkań, chociaż uznał, że posunął się za daleko. Na wszelki wypadek każdemu oznajmił, iż w teatrze mają się zachowywać względem niego i pozostałych powściągliwie, co przez wszystkich zostało zaakceptowane. Fiszer zredagował tekst przysięgi, zgodnie z którą w teatrze mieli okazywać Mistrzowi bezmierną nienawiść; takie ślubowanie musiał złożyć każdy, nie wyłączając Bogusławskiego.

Spotkania trwały jeszcze przez pierwsze dni listopada, kiedy to Bogusławski zawiesił je ze względu na zbliżającą się wizytę cara.

Pierwsze dwa tygodnie listopada upłynęły pod znakiem kolejnych uroczystości. Trzeciego rozpoczął działalność Trybunał Najwyższy, na którego czele stał Szaniawski. Siedzibą sądu był pałac Krasieńskich, który z grubsza odremontowano. W środku panował okropny bałagan, na dziedzińcu walały się sterty śmieci, lecz ani sąd, ani też rząd - który również obradował w tym budynku - nie były w stanie doprowadzić do tego, by remont ukończono do dnia koronacji. Stało się jasne, że car nie zostanie zaproszony do pałacu. Rozeszła się pogłoska, że jeszcze pod koniec października car przyrzekł listownie Woroniczowi diecezję krakowską. Ten gest został przyjęty z aplauzem, zaczęto snuć wielkie marzenia, wielu sobie kombinowało, że po koronacji na króla Polski car Aleksander niezwłocznie rozpocznie kampanię wojenną przeciw Imperium Rosyjskiemu i na czele polskich oddziałów zajmie Moskwę. Wielki Książę Konstanty dwa razy dziennie przeprowadzał w Ogrodzie Saskim i na polach pod Belwederem ćwiczenia polskich oddziałów, a ponieważ gwałtownie się ochłodziło, wielu żołnierzy zmarło na zapalenie płuc. W tym samym czasie, piątego listopada, uroczystość poświęcono sztandary pułkowe. Sensację wzbudził fakt, iż tej łaski dostąpiła jedynie piechota, ułani zostali jej pozbawieni; oficerowie ułanów snuli gorzkie domysły nad przyczyną pominięcia ich w tej uroczystości, gdyż w ten sposób pozbawieni zostali kolejnych awansów. Z drugiej strony jednak byłym generałom Napoleona podniesiono renty, Sokolnicki i Krukowiecki mieli ponoć otrzymywać rocznie dziewięćdziesiąt tysięcy, a Wincenty Krasieński sto tysięcy, tyle co Nowosilcow.

Uroczystość w Ogrodzie Saskim obejrzał liczny tłum; oddziały dzielnie trwały w bezruchu, mimo że padał śnieg. Woronicz pobłogosławił sztandary i zaszlochał; na

sztandarach malowniczo powiewały białe orły na czerwonym tle. Nigdzie ani śladu czarnego orła, godła imperium. Pod niebo biła muzyka wojskowa, nieco ciszej rozbrzmiewał *Veni creator*.

Mówiono, że car Aleksander jest już w Wilnie, a książe Czartoryski wyjechał mu naprzeciw. Ze zdwojonym wysiłkiem kontynuowano prace nad budową bramy triumfalnej na obrzeżu Mokotowa, po czym nagle je przerwano. Zdaniem dobrze poinformowanych car zakazał budowy związanej z tak dużymi kosztami, a zaoszczędzoną sumę przekazał do polskiego skarbu państwa. Do połowy gotowa brama triumfalna wznosiła się wśród przybranych już w kolory jesieni gaików i z wolna zaczynała się rozpadać. Jej rozbiórkę senat przewidująco powierzył przedsiębiorczości złodziei.

Pełną emocji atmosferę wyczekiwania tylko na krótką chwilę przerwała wieść o ucieczce francuskiego marszałka Murata, która dotarła do Warszawy razem z wiadomością o śmierci byłego króla. Jeszcze nie tak dawno liczone się z możliwością objęcia polskiego tronu przez Murata, teraz jednak wspomniano tę kreaturę u boku Napoleona ze wzdorliwym wzruszeniem ramion. Godne politowania indywiduum, zbieg, który na rynku w Pizzo wykrzykuje: „Jam jest Joachim, wasz prawdziwy król”, a wokół głucha cisza, wszystkie bramy pozamykane, okna pozasłaniane i żywego ducha na ulicy. Jak opowiadano, Murat błąkał się samotnie po wsiach i nikomu nie zależało zbytnio na tym, by go pojmać. W końcu jednak złapano go i rozstrzelano. Jedno tylko poruszyło serca, to mianowicie, że Murat nie zgodził się na przewiązanie mu oczu i sam wydawał rozkazy plutonowi egzekucyjnemu. Dobrze poinformowani mówili o ośmiu, a jeszcze lepiej poinformowani o trzydziestu pięciu kulach, które go trafiły.

Dwie stołeczne gazety, „Gazeta Warszawska” i „Gazeta Korrespondenta Warszawskiego”, w niedzielę, dniu przyjazdu Aleksandra, zamieściły wiadomość o wielkim wydarzeniu. Rzecz jasna przybliżonego terminu wizyty można się było domyślić już w piątek, kiedy to nagle poprawiło się zaopatrzenie w sklepach, a ceny kilku rzadko używanych artykułów pierwszej potrzeby zostały nieco obniżone. Zniknęli żebracy, których przy takich okazjach zwykło się wyłapywać. Ludzie tłoczyli się przed sklepami. W niedzielę rano Żółkowski wyrwał Bogusławskiego ze snu wiadomością, że aresztowano Wolskiego, a poza tym zabrano jeszcze kilka innych osób. Bogusławski był trochę rozczarowany, że jego także nie uznano za niebezpieczny element i zostawiono w spokoju. Później wspólnie doszli do wniosku, że aresztowania mogły dotyczyć jedynie byłych oficerów, którzy mimo prośby Aleksandra nie przeszli do oddziałów Wielkiego Księcia, lecz wybrali cywilne zawody. Żółkowski cieszył się, że zakończył wojaczkę w dziewięćdziesiątym czwartym i nie wstąpił

później do Napoleona.

Dotarli na plac Zamkowy, gdzie kłębił się ogromny tłum; poszła plotka, że z balkonu pałacu królewskiego car wygłosi orędzie do ludu. Ulice udekorowano biało-czerwonymi flagami. Bogusławski zaśmiał się: w *Kazimierzu Wielkim* wszystkie postaci kazał ubrać w te dwa kolory, wtedy właśnie biały i czerwony stały się barwami narodowymi, przeszło dwadzieścia lat temu. Od tamtej pory oba znakomicie dają się wykorzystać do wszelkich uroczystości.

Z perspektywy Bramy Krakowskiej spoglądali na ustawione na Krakowskim Przedmieściu drewniane trybuny, uginające się pod ciężarem gapiów. Od tej strony nadjedzie car.

Zjawił się Szymanowski i oznajmił, że z teatru zabrano jedynie Wolskiego. Szymanowski miał przy sobie dwa dzienniki, przeczytali więc niepodpisany nawet inicjałami artykuł wstępny Niemcewicza w "Gazecie" i dowiedzieli się z niego, iż w osobie cara Aleksandra lud polski wita swojego zbawcę. Marcin Molski, zawodowy poeta, zamieścił również hymn pochwalny. Żółkowski cytował z pamięci inny wiersz Molskiego napisany na cześć Napoleona, a Szymanowski i Bogusławski, zerkając w gazetę, podziwiali niezrównaną pamięć Żółkowskiego: pułkownik Molski umiał zmodyfikować swój przydatny na wszystkie okazje światopogląd za pomocą kilku zaledwie nowych rymów.

Kłębiący się na placu Zamkowym tłum był dobrze poinformowany. Zgodnie z planem car o jedenastej dotrze na Mokotów, gdzie się przebierze, siądzie na konia i w towarzystwie brata Konstantego przejedzie Alejami Ujazdowskimi. Przy rozkradzonej już bramie triumfalnej Aleksandrowi zostaną wręczone klucze do miasta, a wtedy rozdzwonią się dzwony i Aleksander przejedzie konno Nowym Światem, a następnie do Ogrodu Saskiego, gdzie odbędzie się parada. Aleksander będzie w polskim mundurze, a Konstanty przypnie mu Order Orła Białego. Potem Aleksander przypnie Order Orła Białego Konstantemu. Najwyższe polskie odznaczenie wojskowe przyznał im magistrat na nadzwyczajnym nocnym posiedzeniu, na wniosek Ostrowskiego, przewodniczącego senatu. Na zakończenie parady Aleksander odznaczy również inne osoby, a następnie obdaruje końmi godnych tego obywateli. Ostatnim punktem programu będzie przejazd Krakowskim Przedmieściem na plac Zamkowy, na który nie wprowadzono żołnierzy, by Aleksander, już jako polski król, mógł spotkać się z polskim ludem na spontanicznie zgromadzonym wiecu. Kapłani poproszą o błogosławieństwo dla króla i pociągną za sznury w dzwonnicy katedry wawelskiej, gdyż tam właśnie koronowano zawsze polskich królów.

Weteranom, inwalidom i sierotom ze Szpitala Dzieciątka Jezus wyznaczono miejsce

pod kolumną Zygmunta, gdzie wszyscy tłoczyli się tłumnie. Po *Te Deum* car wrócił do swojego gabinetu na zamku, gdzie miał przyjąć Ostrowskiego, przewodniczącego senatu.

Świąteczne wydania obu gazet zgodnie stwierdzały, że wraz z wizytą młodego panującego rozpoczyna się nowy okres zarówno w dziejach Polski, jak i świata. Dzisiejszy dzień jest trwałym fundamentem w procesie odbudowy ojczyzny. Car Aleksander osobiście wywalczył na kongresie wiedeńskim możliwość wpisania się Księstwa Warszawskiego, występującego teraz pod nazwą Królestwa Polskiego, w historię świata. Król Aleksander przyrzekł, że już wkrótce zostanie przyłączone Wielkie Księstwo Poznańskie. Car Aleksander darował zaległości podatkowe. Król Aleksander zezwalał na wprowadzenie ulg w handlu bydłem. Obietnice, którymi Napoleon tylko mamił, car i król Aleksander w jednej osobie wprowadza teraz w życie.

- Dobry dowcip - szepnął Żółkowski. - Już na dziesięć lat naprzód mamy zapłacone podatki, a teraz na te same dziesięć lat daruje się nam zaległości podatkowe.

- Ćśśś - szepnął Szymanowski.

Żółkowski rozzłościł się.

- A odszkodowania wojenne, których domagają się Prusy i Austriacy? Czemu ich nam nie daruje?

- Zwróć się do Metternicha - doradził Bogusławski.

W tłumie szeptano, że polskim królem zostanie Czartoryski.

Rozpętały się dyskusje; znalazło się kilku pesymistów, których zdaniem królem nie może być jednocześnie car Aleksander i książę Czartoryski.

Bogusławski obserwował zamroczone alkoholem twarze. Ciekawe, pomyślał, znów się szczerze czymś entuzjasmujemy. To się dobrze nie skończy.

- Co za głupia hałastrą - wymamrotał. - Naprawdę powinni zrozumieć, co jest ważne.

- A co jest ważne? - zainteresował się Szymanowski.

- To, że wojna się skończyła, że spadnie cena pszenicy i że zanim wygrzebiemy się z masy upadłościowej, popadniemy pięknie w nowe bankructwo.

Dziadzio Plersch również znalazł się w tym tłumie, lekko zawiany.

- Pssst - powiedział tajemniczo i przyłożył palec do ust. - Tylko nikomu nie mówcie: dziś w południe studenci zakopią pustą trumnę.

- Co zrobią?

Ale dziadzio zniknął już w tłumie.

Rozległa się salwa armatnia, w Ogrodzie Saskim rozpoczęła się parada dwunastu tysięcy żołnierzy.

U wylotu Krakowskiego Przedmieścia, w okolicy rozklekotanej bramy miejskiej pojawiła się policja konna. Bogusławski zastanawiał się, czy nie należałoby podejść nieco w stronę kościoła Świętej Klary, by w razie potrzeby ukryć się w nim, ale Żółkowski go wyśmiał i Mistrz poddał się losowi.

Nadbiegły jakieś dzieci, rozpowiadające, że car niczego nie zjadł na Mokotowie, wypił tylko filiżankę bulionu, chociaż czekało na niego śniadanie za dwieście dukatów.

- Za dwieście dukatów?!

- Naprawdę!

- Wielki z niego pan, jeśli, ot tak, rezygnuje z tak drogiego śniadania.

Żółkowski szepnął:

- Chyba się bał, że go otrują.

Tłum wciąż rósł, Bogusławski wietrzył możliwość zamachu. Zastanawiał się, co by było, gdyby ktoś zamordował teraz cara. Niewątpliwie zamordowano by także Wielkiego Księcia, skoro już był pod ręką. Wówczas w Petersburgu ogłoszą carem Mikołaja, a Królestwo Polskie znów zniknie z mapy. Wraz z nim również teatr. Bogusławskiemu zrobiło się zimno i zaczął żałować, że zamachów nigdy nie dokonują takie stare lisy jak on, które brały już udział w kilku rewolucjach i przestały podskakiwać.

Dwadzieścia pięć lat wcześniej, 17 kwietnia, stał dokładnie w tym samym miejscu, pod kolumną Zygmunta - w 1811 roku odnowiono ją za 12 826 złotych, przypomniał sobie. Jak bardzo przydałyby mu się wówczas te pieniądze - kiedy w Warszawie wybuchło powstanie, niedługo po tym, jak Igelström, ówczesny ambasador rosyjski, zakazał grania *Cudu mniemanego*. Igelström bardzo by się zdziwił, gdyby wiedział, ile razy i na czyją cześć wystawiano potem tę rewolucyjną jego zdaniem operę. Dwadzieścia pięć lat temu nawet Bogusławski wierzył jeszcze, że coś się z tego wysmaży i jako członek Komitetu do spraw Przesłuchań jeszcze tego samego dnia dostał się do zamkniętego na siedem spustów gabinetu Igelströma. Bogusławski zabrał się do przeglądania raportów o Polakach, pisanych przez samych Polaków, i na całe życie zachwiała się jego wiara w ludzką uczciwość. Później też stał tutaj, kiedy jakobini zaczęli wieszać ludzi. Widział powieszzonego Boscampa, carskiego szpicla, a zarazem utalentowanego nauczyciela języków wschodnich. Widział egzekucję hetmana Ożarowskiego i biskupa Kossakowskiego, który z pętlą na szyi krzychał: „Powieście i króla!”. Trudno zaprzeczyć, coś w tym pomyśle było. Zawisli też Zabiello, Grabowski i Massalski, oraz, rzecz jasna, kilku niewinnych ludzi, których również wyrwano ze źle strzeżonych więzień. Na przykład Wulfers i Majewski.

Później, w listopadzie, generał w zwiędłym telegramie składał relację z egzekucji

dwudziestu tysięcy Polaków: „Praga, hura!”, na co Katarzyna równie zwięźle odtelegrafowała: „Brawo, generale”. Bogusławski uciekł do Lwowa z magazynem kostiumów teatralnych, rekwizytami oraz rękopisami i wrócił do Warszawy dopiero po pięciu latach, zmuszony uciekać ze Lwowa przed Austriakami. Jakimś cudem udało mu się uratować kostiumy, rekwizyty i rękopisy.

Dokładnie w tym miejscu stał również kilka lat temu, kiedy to magistrat właśnie tutaj oraz na placu Krasieńskich kazał na żądanie Francuzów uroczyście spalić na olbrzymim stosie rosyjskie i angielskie towary przeschumowane przez przemytników. W tym samym czasie w Petersburgu w podobny sposób uroczyście rozprawiono się z towarami francuskimi. Był to pierwszy spektakularny przejaw blokady kontynentalnej. Już wtedy stało się jasne, że Napoleon będzie musiał wyruszyć w rosyjską zimę. Bogusławski znów spakował kostiumy, rekwizyty i rękopisy, a potem spokojnie je rozpakował i się upił.

Odnalazł w tłumie jasnowłosą głowę Fiszera i przywołał go do siebie.

- Niech się pan tu nie kręci w takiej chwili, mój królu - powiedział surowo. - Proszę iść do teatru i usiąść gdzieś w kącie.

- Ale czemu, Mistrz też tutaj jest, i Szymanowski, i Żółkowski.

- Myśmy się już nauczyli, kiedy trzeba dać drapaką, mój królu.

- Nie robię nic złego.

- Nie sprzeczasz się, mój królu, bo każę cię wyrzucić z teatru, słyszysz?

Fischer odszedł przestraszony.

Wyszło słońce. Tłum zawył, widząc w tym palec boży. Bogusławski też odetchnął; żywił zabobonną nadzieję, że może jednak nie będzie zamachu.

- Jadą! - rozległo się nagle.

Zaczął się przepychanie. Kobiety wychylały się z okien, powiewały chusteczki, rzucano kwiaty. Dwa i pół tysiąca odkomenderowanych uczniów krzychało „niech żyje”. Czyjeś łokcie wbijały się Bogusławskiemu w żebra, Żółkowski rzeził, starając się złapać powietrze. Zabiły dzwony. Konni torowali komuś drogę w stronę Zamku Królewskiego. Niech żyje. Tłum stawał na czubkach palców, mając nadzieję cokolwiek dojrzeć. Kilka minut później jakieś postacie pojawiły się na balkonie zamku. Niech żyje car, nasz król. Na balkonie ktoś otwierał usta, ale niczego nie było słychać.

- Car mówi po polsku! - rozniosło się echem wśród tłumu.

- Co powiedział? Co powiedział?

- Powiedział: Bardzo kocham Polskę!

- Tak powiedział?

- Nie słyszałeś pan, głuchy pan jesteś?

- Naprawdę tak powiedział? No, no, rzeczywiście tak powiedział! Słyszeliście? Car kocha Polskę!

- A jaki ma dobry akcent!

- Jego matka była Polką.

- Polką była jego niania, drogi panie.

- Jeszcze lepiej. Zawsze powtarzałem, że car nas kocha.

- Należałoby przyznać nianie order.

- Ja ją znałem. To była młoda Komorowska, już w dzieciństwie miała w oczach ogień. Tłum wiwatował.

Zdawało im się, że wśród stojących na balkonie rozpoznają Wielkiego Księcia Konstantego, księcia Czartoryskiego, generała Wincentego Krasińskiego, ministra spraw wewnętrznych Mostowskiego, Ostrowskiego, przewodniczącego senatu, i generała Zajączka; rozniosła się pogłoska, że jest tam także generał Dąbrowski, lecz wielu temu zaprzeczało, powołując się na wiarygodne źródła.

Zaczęto mówić, że Kościuszko wrócił z Francji, by ślubować wierność carowi.

Teraz przemawiali polscy notable.

- My to się wszystkim podniecamy - powiedział cicho Szymanowski - bo to wymaga mniej wysiłku niż praca.

- Widzisz, mój królu - odrzekł Bogusławski - dlatego nie będziesz wielkim aktorem. Jesteś zbyt mądry.

- Co pan mówi? - zapytał Żółkowski.

- Marcin nie będzie wielkim aktorem! - odrzyknął Bogusławski. - Nie będzie bardzo dobrym aktorem, boskim aktorem, cały kłopot w tym, że rozumie każdą swoją rolę. Gdyby choć trochę zgłupiał, mógłby być lepszym aktorem ode mnie.

- Jakież mądry z pana człowiek, Mistrzu - odrzekł ponuro Szymanowski.

- Wypraszam sobie - powiedział Bogusławski. - Gdybym był mądry, mój rozum stałby między mną a rolą i mógłbym zostać tylko urzędnikiem.

Żółkowski zarechotał.

- Dobrze ci zrobi rola ojca, mój królu - przekomarzał się Bogusławski. - Dobrze, że sprowadzono Werowskiego, ten jest głupi, ty zaś inteligentny, nie dla ciebie ani Romeo, ani Hamlet.

Notable dalej otwierali usta, lud pomrukiwał.

- Naprawdę byłem dobry i w roli Romea, i w roli Hamleta - zaperzył się

Szymanowski.

Ludzie obok zaczęli posykiwać, Bogusławski dokończył cicho:

- Byłeś dobry, byłeś, czy ja mówię, że zły?

Żółkowski nadstawił uszu, a Bogusławski zaczął analizować przedstawienia sprzed dziesięciu lat. Scena po scenie analizował *Groby Werony* i parodiując kreację Szymanowskiego, dowodził, że Marcin nie był dość szalony. Szymanowski protestował, wymyślał na Ledóchowską, która nie miała jeszcze doświadczenia i była nieznośną histeryczką, przez co kładła każdą dużą rolę.

- Teraz też to robi - zauważył Żółkowski, który nie cierpiał wielkiej tragiczki.

Tłum dawno już się rozszedł, a oni we trójkę ciągle jeszcze stali na placu Zamkowym, Bogusławski grał, Szymanowski był czerwony z wściekłości, oczy mu się zwężyły, cienkie usta zrobiły się jeszcze cieńsze, a Żółkowski zauważył, że ten i tak już chudy jak szczapa aktor schudł w ciągu kilku minut parę kilo.

- Mówią o Talmie - powiedział na koniec Bogusławski - że na początku kariery przed wejściem na scenę wkładał sobie w tyłek ostrą paprykę, aby dodać sobie wigoru. Raz spróbowałem, potworne uczucie, żadna myśl nie została mi w głowie, ale całą rolę wykrzyczałem. Podobno wtedy byłem najlepszy. Szedłem na scenę, jakbym wchodził na szafot, aby do ostatniej chwili walczyć o życie. Na szafocie człowiek przestaje myśleć, są już tylko instynkty. Dlatego tak przydatna jest ostra papryka.

Szymanowski uciekł.

- W jakiej to było roli, Mistrzu? - zainteresował się Żółkowski.

- Nie pamiętam - skłamał Bogusławski, po czym skłął się w duchu. Jakież ze mnie idiota. Powinienem to powiedzieć Marcinowi po pijanemu i w cztery oczy. Zawsze będę jak duże dziecko.

Jakiś pijany jegomość zaczął im tłumaczyć, że na placu Zamkowym zostanie zbudowany kościół Świętego Aleksandra i tu weźmie swój początek droga z Warszawy do Petersburga.

W teatrze od rana trwała próba wieczornego spektaklu, na który wszem wobec ogłoszono wolny wstęp, a służba bezpieczeństwa otrzymała bilety dwa tygodnie wcześniej, zgodnie z dokładnie ustalonymi dyrektywami. Osiński kazał zamknąć wszystkie drzwi na scenę oraz widownię, nie zezwolił nawet na przerwę obiadową. W knajpie przebywali jedynie ci, którzy nie brali udziału w spektaklu.

Bogusławski skinął na Fiszera.

- Nie drocz się ze mną, mój królu - powiedział. - Masz szczęście, że nie jestem

dyrektorem.

Fischer milczał.

- A swoją drogą - dodał Bogusławski - prosiłem kiedyś, żeby zebrał mi pan informacje z terenu uniwersytetu.

- Nie nadaję się na szpicla - odrzekł Fischer zachrypłym głosem.

Bogusławski omal się nie roześmiał.

- W porządku, no... - powiedział i odwrócił się od chłopaka.

Łysiejący już młody Piotrowski opowiadał, jak to dokładnie w południe studenci starali się pogrzebać pustą trumnę w dolnej części kościoła Świętego Krzyża, obok pochowanego rok wcześniej Poniatowskiego. Wszystkich zatrzymano, a trumnę zarekwirowano.

- Dwie puste trumny obok siebie - mamrotał pijany Nacewicz. - A to dobre, dwie puste trumny.

Bogusławski na próżno starał się go uciszyć.

- A to czemu? - obruszył się Nacewicz z pijacką złością. - Wszyscy wiedzą, że Poniatowski utonął w Elsterze, chociaż Cyganka mu wróżyła, by wystrzegał się srok, Elstera i tak porwała jego zwłoki, nie znaleziono ich, che, che, a mimo to zachowujemy się tak, jakby cuchnęły w tej trumnie. Tam nic nie śmierdzi! - wrzeszczał. - Tam ich nie ma! Sroka złodziejka! Ukradła nawet zwłoki!

Ledóchowska złapała go za ramię, Nacewicz uspokoił się i pozwolił wyprowadzić z knajpki.

Pijany w sztok Szymanowski siedział w kącie, a jego pryszczaty syn Hieronim, teatralny perukarz, siedział obok i uśmiechał się boleśnie.

- Jesteś durniem, mój synu - mamrotał Szymanowski, który upijał się jedynie przy szczególnych okazjach. - Jesteś durniem, ale udowodnię ci, że i tak nie będzie z ciebie żaden aktor. Golibroda, to owszem. Ten baran Macrott cię tego nauczy.

Zdanowicz tym razem nie błaznował, samotnie podpierał ścianę i coś go wyraźnie gryzło. Jasnowłosa Joanna od samego rana była na próbie i nie pozwolono mu do niej wejść. Joanna nie miała wielkiej roli, w finale jako anioł zjeżdżała z pomostu na dwugłowym czarnym orle, by w powiewnym, biało-czerwonym kostiumie skropić głowy Polaków święconą wodą.

Macrott gorliwie popijał herbatę, nadstawiał ucha i notował wszystko w głowie. Możliwe, że słowa Szymanowskiego to zakamuflowana obraza majestatu, trzeba je dokładnie zapamiętać. Tobiasz Macrott był człowiekiem starej daty, nie przyszło mu na myśl, by

z braku faktów zdać się na własną fantazję.

Aszpergerowa, która jak na swoje dwadzieścia lat dość sporo już przeżyła, flirtowała z Malinowskim. Aszperger, nie zwracając uwagi na żonę, z twarzą pełną wyrazistych zmarszczek świadczących o intensywnym trybie życia, wyjaśniał olśniewającej bujnymi piersiami Melcerównie istotę też Geoffroya. Melcerówna zawisła rozmodlonym wzrokiem na wargach wykształconego aktora. Dmuszewski stał nieco z boku, co jakiś czas przerywał mu bełkotliwie. Cztery lata temu, będąc w Paryżu, miał nie tylko okazję kupić recenzje Geoffroya zebrane w kilku tuzinach tomów, ale mógł także zobaczyć, jak grają Talma i Duchesnois, wobec czego doszedł teraz do wniosku, iż, podobnie jak Geoffroyowi, jemu również nie podoba się ten powszechny styl, jakim wielcy aktorzy francuscy raczą swoją publiczność.

Opowiedział o losach jednej z rzeźb dziadzia Plerscha. Od pół wieku Plersch dostawał wiele zleceń od króla, a wszystkie bez wyjątku rzeźby znajdujące się w najbardziej znaczących miejscach spotkał tragiczny los, niektóre, jak to bywa, zniszczyły hordy przeciągające przez Warszawę. Plersch potrafił świetnie wyjaśnić, czemu Prusacy wysadzili jego rzeźbę Wenus i czemu Francuzów tak bolało jego popiersie Hermesa w szyszaku. Potem opowiedział pouczającą historię o tym, jak pomnikowi Bolesława Śmiałego obcięto głowę.

Nikt nie wiedział, czy car przyjdzie wieczorem, nikt też nie ustalił, co kto ma robić. Bogusławski uspokajał ich z uciechą, że Osiński działa z głową.

O aresztowanym Wolskim nikt nawet nie wspomniał.

Dmuszewski długo wyzalał się Bogusławskiemu z powodu *Łaski imperatora*.

- Mógłbym ją napisać sam, w ciągu jednego dnia - powiedział wzburzony - jak swego czasu sztukę o powodzi, kiedy rano wyszliśmy kopać rowy, a wieczorem była już premiera. Ale teraz Osiński i Lipiński ciągle wtrącaли swoje trzy grosze. Lipiński przy każdym wątpliwym przecinku dostaje zawału. Nie mam już wiele wspólnego z tekstem - zapewnił Mistrza. - Wszystko, co jest tam lizaniem dupy, to ich robota.

Bogusławski dobrodusznie mu uwierzył.

Wczesnym popołudniem w teatrze zjawili się tajniacy, pan Bautz na gwałt musiał zamknąć interes, aktorzy bez szemrania opuścili knajpę. Na scenie nadal trwała próba. Bogusławski siedział już wtedy w suterenie, Macrott ponownie golił go na gładko. Wpadli tajniacy, Macrott zaświadczył, kim jest Mistrz, którego mimo to obszukali, po czym odeszli. Potem Bogusławski umył włosy, poprosił o kompres na twarz i kazał sobie obciąć paznokcie. Kompres musiał długo schnąć, Bogusławski rozsiadł się spokojnie. Macrott najchętniej poleciałby do miasta, by jak najwięcej stron zappełnić w nocy kaligrafowanymi literami, ale Mistrz przysporzył mu wiele roboty.

Kompres jeszcze schnął, gdy wpadł Henryk, kilkunastoletni syn Tobiasza. Miał duże, czarne oczy, okrągła głowa wyrastała prosto z ramion, brakowało w tym wszystkim szyi.

- Co tam, Henryku? - spytał przyjaźnie Bogusławski.

- Udało mi się tu prześlizgnąć - zaśmiał się szczeniak - choć tak bardzo nas pilnują.

- Wielkie nieba! - przestraszył się Bogusławski. - To mogą nas stąd nie wypuścić?

- Mogą - powiedział Henryk. - Wszystkie drzwi są zamknięte. Przybędzie car, Wielki Książę, Nowosilcow i cały rząd.

- Czemu tak sądzisz, mój królu?

- Takie przygotowania kosztują sporo wysiłku. Podśluchałem, co się dzieje na scenie, pan dyrektor od tego krzyku teraz już tylko szepcze.

- Jak tu się dostałeś?

- Mam klucz.

Tobiasz pokręcił głową.

- Mistrzu - wybuchnął Henryk - niech mnie pan weźmie na reżysera.

Bogusławski osłupiał.

- Jak to na reżysera?

- No, takiego jak pan Kudlicz, jak pan Dmuszewski. Który mówi aktorom, co mają robić.

- Do tego musiałbyś również być aktorem - powiedział Bogusławski.

- Och - wtrącił wyrostek - ja nie zostanę aktorem. Dla mnie to za mało.

Tobiasza przeszył bolesny dreszcz, ale w obecności Mistrza nie chciał dać synowi w twarz.

- Wcale nie byłbym dobrym aktorem - ciągnął Henryk. - Nie mam ładnego głosu ani warunków zewnętrznych. Ale i tak wiem lepiej od innych, jak trzeba grać.

- Skąd wiesz? - zainteresował się Bogusławski.

- Bo wiem. Sztuki nie umiem napisać, to potrafi Fiszer. Sam z siebie nie umiem wymyślić błazeństwa. Ale gdy czytam jakąś sztukę, widzę ją na scenie.

- Czytałeś sztukę Fiszera?

- Czytałem. Fajna.

Tobiasz dostrzegł z ulgą, że Bogusławski się nie gniewa.

- Zdolny szczeniak - powiedział. - To nieprawda, że nie potrafi pisać, ma ładny styl.

- To co innego. - Henryk machnął ręką. - Tak każdy potrafi. Ale ja umiem opisać tylko to, co widzę. Nie mam pomysłów.

- Z tym będzie trudniej - odrzekł Bogusławski. - Nie znam takiego gatunku, który

byłby dobry dla ciebie.

- Ja bym to zrobił lepiej, niż pan Dmuszewski z panem Kudliczem.

- Nie ja jestem dyrektorem. Porozmawiaj z panem Osińskim.

- Nie ma sensu - odparł Henryk z rezygnacją. - Zakradłem się na kilka jego wykładów na uniwersytecie, mówił o *Iliadzie* i *Raju utraconym*, ale on nic nie rozumie.

Tobiasz chrząknął przerażony.

- Taki sam jak księża - powiedział Henryk z pogardą. - Do nich też chodziłem, ale święceń i tak mi nie dadzą.

I pożegnał się.

- Ma trudny charakter - skomentował Tobiasz. - Całkiem niedawno miał czelność powiedzieć Aszpergerowi, że źle interpretuje *Cyda*. Wyobraża pan sobie, Mistrzu? Aszperger miał potem przez tydzień grypę.

Bogusławski roześmiał się.

Na korytarzu i przed garderobami stali cywile. Bogusławski z wyniosłym spokojem wszedł do garderoby Kudlicza, która teraz była także jego, i włożył świąteczne ubranie uszyte mu łaskawie przez pana Cieślaka na kredyt. Dłuższą chwilę przybierał różne pozy przed lustrem, był zadowolony z efektu. Jak nic dziesięć lat mniej, pomyślał.

Ćwiczył właśnie sprężysty krok, gdy do garderoby wpadł śmiertelnie zmęczony Kudlicz.

- Witaj, mój królu - rzucił pobłaźliwie Bogusławski.

W odpowiedzi Kudlicz tylko jęknął.

Był wysoki, dobrze zbudowany i mocno owłosiony, niedawno skończył trzydzieści pięć lat. Zaczynał przy Bogusławskim, później przeniósł się do Wilna, skąd po pół roku wrócił do Warszawy. Już na początku jego kariery Bogusławski czuł, że Kudlicz jest człowiekiem fałszywym, ale wówczas był mu potrzebny, bo teatrem wstrząsały nieustanne konflikty, a najlepsi aktorzy opuszczali go jeden po drugim. A Kudlicz starał się jak mógł dogodzić Bogusławskiemu i wydawało się, że zaakceptuje jego gusta nastawione na modne komedyjki oraz melodramaty, jednak już wówczas brakowało mu poczucia humoru. Od tamtej pory wcale mu go nie przybyło, a co więcej przerzucił się na francuskie komedie, i teraz, dzięki zainteresowaniu Osińskiego klasyką, wyrósł z niego taki drugi Osiński. Po wyjeździe Bogusławskiego przejął Szkołę Dramatyczną i mianowano go reżyserem. Bogusławski często parodiował jego napuszony ton.

- Jaka jest ta opera? - zainteresował się Bogusławski.

- Ładna.

- A transparent gotowy?

- Gotowy.

Transparent, zasłonę z przezroczystego materiału, zaprojektował Plersch, ale dzień wcześniej nie było jeszcze pewne, czy tkalnia zrobi go na czas. Olbrzymi samodziół zakrywający cały otwór sceny miał być zawieszony między aktorami a widownią, zobaczyć go jednak można było tylko przy specjalnym oświetleniu. Namalowane na nim nimfy i putta wlatywały ku umieszczonemu pośrodku wieńcowi, na którym laurowe liście obejmowały profil cara Aleksandra. Z głowy cara rozchodziły się promienie. Nad centralnym wieńcem unosiły się anioły. A niżej, między nimfami i puttami, jaśniała pochodnia. Podobny transparent nad teatralną rampą powieszono także na cześć Napoleona, lecz został, niestety, zniszczony podczas oblężenia, więc na podstawie szkicu Plersch musiał go zaprojektować ponownie, tym razem na cześć cara.

Za dziesięć szosta Bogusławski przeszedł od strony sceny przez widownię do foyer i zmieszał się z przybywającym tłumem. Skinieniem głowy pozdrawiał co ważniejszych panów i damy, książąt i księżne, hrabiów i hrabiny, baronów i baronowe, generałów i generałowe, ministrów i ministrowe, a także inne osobistości. Wiele osób odwzajemniło ukłon.

Ze ścian foyer z lekką drwiną spoglądały na niego wizerunki zmarłych aktorów. Większość portretów była dziełem nieżyjącego już Smuglewicza. Dopiero teraz Bogusławski zauważył, że między portretami dwóch jego kolegów, Osińskiego i Świerzawskiego, pozostawiono miejsce na jeden jeszcze portret. Rozejrzał się po pozostałych obrazach. Byli na nich wszyscy, był Truskolaski (ojciec Ledóchowskiej) i Salomea Deszner, Barbara Sierakowska i Karolina Gronowiczowa, zmarli nie zmienili się, było tylko to jedno puste miejsce między portretami. Bogusławski zrozumiał, że Osiński zostawił je dla niego. I uśmiechnął się.

Przechadzał się wśród zgromadzonych tak, jakby całe to dostojne towarzystwo, olśniewające w najbardziej wykwintnych strojach, osobiście zaprosił na wyreżyserowane przez siebie przedstawienie, w którym główną rolę powierzył trzydziestodwuletniemu, wielce utalentowanemu, odkrytemu przez siebie aktorowi, carowi Aleksandrowi.

Kiedy w 1790 roku Stanisław August, wciąż jeszcze ostatni z królów polskich, wezwał go nieoczekiwanie do Warszawy i powierzył pieczę nad królewskimi widowiskami, dobrze wyuczył się tej roli. Ale tłum paradujących gości nie zauważył, że Bogusławski jest cokolwiek bledszy niż zwykle. Powtarzali wzruszające słowa Aleksandra: „Jest to najszczęśliwszy dzień w moim życiu” - powiedziałyby polski król i uroniłyby łzę.

Gdy rozległ się trzeci dzwonek, Bogusławski poszedł na piętro, stanął przed lożą dyrektora i spojrzał w wysokie lustro; przybrał taką postawę, jakby wchodził na scenę, wyprężył się, by wywołać właściwy stan ducha, po czym minął dwóch przestraszonych cywilów, bez wątpienia stojących na straży, i włożył klucz do zamka.

Wszedł do loży. Uśmiechnął się przyjaźnie do Osińskiego, który odwrócił się gwałtownie i pobladł, po czym usiadł obok Rozalii, swej córki i zarazem żony Osińskiego. Siedzący nieco dalej w kucki sekretarz Maciej Unicki zaczął głośno szczekać zębami. Zajmując miejsce, Bogusławski lekko zwrócił się w jego stronę i uprzejmie skinął mu głową.

Jego przewidywania się sprawdziły: Osiński nie odważył się wywołać skandalu. Mistrz pochylił się nieznacznie do przodu i rzucił okiem na znajdującą się naprzeciw podwójną lożę królewską. Na białym mundurze dzielnego cara Aleksandra za okratowaniem połyskiwały orderzy. Za nim z boku siedział Wielki Książę Konstanty, z zadartym nosem i najwyraźniej jakiś bardzo usztywniony. Chyba znowu włożył zbyt obcisłe spodnie, pomyślał Bogusławski. Oficerowie gwardii przybocznej wtapiali się w tło tapet.

Bogusławski, aczkolwiek nikt z loży królewskiej nie spoglądał w jego stronę, nie wstając, pochylił głowę w ukłonie. Słyszał, jak Osiński i Rozalia także wstrzymali oddech.

Na parterze w pierwszym rzędzie zasiadali członkowie rządu. Bogusławski nie dostrzegł jednak ani generała Dąbrowskiego, ani Sołtyków.

Obok loży królewskiej, naprzeciw Bogusławskiego, siedział Niemcewicz jako senator, radca stanu Sierakowski, radca stanu Kajetan Koźmian, generał Morawski oraz kilka wytwornych dam. Bogusławski dostrzegł wśród nich Marię Wirtemberską, siostrę księcia Czartoryskiego. Niemcewicz właśnie podniósł do oczu lornetkę, Bogusławski odczekał, aż wyceluje ją w niego, i złożył mu ukłon.

W następnej loży odkrył Lipińskiego, sekretarza stanu do spraw edukacji, współautora sztuki, sekretarza w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Wyszowskiego oraz braci Platerów. Za nimi siedział człowiek o znajomej twarzy. Bogusławski nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go widział.

W loży honorowej umieszczonej prostopadle do sceny królował Nowosilcow, warszawski komisarz carski obdarzony przez Aleksandra wszelkimi pełnomocnictwami, a po obu jego stronach zasiadali: jego sekretarz Dechant oraz baron Mohrenheim, prawa ręka Wielkiego Księcia. W tej samej loży znajdowali się również generałowie pruski i austriacki oraz szwedzki admirał. Oficera angielskiego Bogusławski nie dostrzegł.

Spojrzał na trzecie piętro. Z jaskółki wpatrywała się w niego grupka aktorów. Bogusławski ukłonił się w ich stronę.

Dziwne, pomyślał, spoglądając na pierwszy rząd parteru, przecież Czartoryski powinien zasiadać w łoży królewskiej.

W teatrze tłoczyło się co najmniej półtora tysiąca osób. Liczbę miejsc Bogusławski zwiększył do 1350 jeszcze w roku dziewięćdziesiątym czwartym, podczas generalnego remontu.

Rozalia i Osiński oddychali już spokojniej.

Widownia uciszała się z wolna, potem zabrzmiały burzliwe oklaski: kurtyna się uniosła, snop światła buchnął ze sceny na widownię, orkiestra zagrała tusz i z przemysłnego urządzenia przerobionego z działa wystrzelono w stronę królewskiej łoży liście laurowe. Car powstał i złożył ukłon. Publiczność biła brawo na stojąco. Car odwzajemnił brawa. Dość długo się nawzajem oklaskiwano.

Następnego dnia gazety przyniosły obszerne relacje z premiery nowej sztuki. Autor artykułu w "Gazecie Warszawskiej" - zamiast nazwiska widniały trzy gwiazdki - z przejęciem wychwalał oryginalną polską operę, wzniosłe wiersze pana Osińskiego, muzykę pana Elsnera opartą na motywach polskich, a ponadto wyrażał radość, iż blasku owej operze swą obecnością przydał Aleksander, car wszech Rosji i król Polski.

Inne pismo, „Korrespondent”, w odróżnieniu od „Gazety” zamieściło pełną listę dostojników, a powszechne zdziwienie wzbudził fakt, że wydrukowano ją w porządku alfabetycznym, przez co Czartoryski znalazł się dopiero na drugim miejscu, za rosyjskim ministrem spraw zagranicznych Kapodistriąsem. Autor - zamiast nazwiska widniały trzy gwiazdki - w dwóch i pół wiersza donosił również o tym, że przedstawienie zaszczycił swą obecnością i okazał mu swe uznanie Wojciech Bogusławski, niezmiernie zasłużona, wielka postać polskiego teatru.

Oba dzienniki zwyczajowo ukazywały się dwa razy w tygodniu, we wtorek i sobotę, tym razem jednak wydano je w dwóch kolejnych dniach z rzędu w celu podkreślenia tak doniosłego wydarzenia. Było oczywiste, iż artykuł zamieszczony w "Gazecie" znalazł się w drukarni jeszcze przed premierą, natomiast ten w "Korrespondencie" napisano już po przedstawieniu.

Kiedy Bogusławski dotarł przed południem do teatru, zebrani w knajpce aktorzy zamilkli. Zamówił herbatę i skromnie zasiadł w kącie, zagłębiając się w myślach. Mieszał herbatę, znów zaczęły się rozmowy, ale najwyraźniej na inny już temat. Nie będzie u mnie więcej żadnego pijaństwa, pomyślał. Choć kilka osób zaczęło go już naprawdę lubić.

Nie szkodzi. Niech się boją i zazdroszczą. Kogo zaczynają lubić, ten źle skończy.

Poprosił o jeszcze jedną herbatę i oznajmił, że od tej chwili konsumuje już na kreskę.

- Ależ naturalnie, Mistrzu - uśmiechnął się radośnie pan Bautz. Uśmiech na lisiej twarzy odsłonił nieliczne już pozostałe zęby.

Bogusławski zauważył, że Fiszer unika jego wzroku.

Poszedł na górę do pokoju dyrektora, w holu zdawkowo przywitał się z Unickim, który miał zmiętoszoną i stężoną twarz, po czym wszedł do Osińskiego. Na małej jak u niemowlęcia głowie dyrektora falowały nowe zmarszczki.

- Chcę grać - powiedział Bogusławski.

Osiński przytaknął.

- Jak najszybciej.

Osiński przytaknął.

- Chcę zaśpiewać arię Bardosa. Zagrać moją wielką rolę.

Osiński spoglądał na niego w milczeniu.

Bogusławski wyszedł z pokoju, wymamrotał coś do Unickiego, potem już przy drzwiach odwrócił się. Jakby już go gdzieś widział. Wczoraj wieczorem, w łoży Lipińskiego.

- Powiedz mi, mój królu, nie ma pan przypadkiem brata?

- Mam starszego.

- Jak się nazywa?

- W zasadzie to mój brat przyrodni. Augustyn Karski.

- Czy to przypadkiem nie sekretarz hrabiego Mostowskiego?

- Przypadkiem tak.

- Rozumiem. Niech pana niebo błogosławi, mój królu.

Ruszył w stronę garderoby Ledóchowskiej.

Ledóchowska zachowała nazwisko męża, chociaż rozeszła się z nim już dziesięć lat temu. Jej mąż, hrabia, obiecywał wielkie pieniądze, jeśli Ledóchowska zrezygnuje z nazwiska, ale aktorka nie zamierzała tego robić. Uznała, że korzystniej będzie, jeśli nikt nie zapomni, iż miała kiedyś prawdziwego hrabiego za męża, nie chciała też grać pod nazwiskiem Truskolaska, gdyż była już kiedyś wielką aktorką o tym nazwisku, jej matka. Kilka lat temu Truskolaska się wycofała i na nikim, nawet na najbardziej obytym towarzysko człowieku ta staromodnie ubrana dama nie była w stanie zrobić wrażenia femme fatale, kilkadziesiąt lat temu jednak prowadziła z Bogusławskim długie i wyczerpujące boje o palmę pierwszeństwa w Warszawie, a Bogusławski często wychodził z tej walki pokonany. W czasach najburzliwszej wojny teatralnej mieszkali przypadkowo w jednym domu, niedaleko teatru, przy Świętojerskiej, Truskolaska na parterze, Bogusławski na piętrze, i szczerze odseparowując się od siebie, przekabacali na swoją stronę aktorów z konkurencji.

W owych latach świetności nawet Bogusławski w pewnej chwili zmuszony był przystać do trupy Truskolaskiej, choć już wtedy uchodził za szczywanego lisa i dobrze wiedział, w jaki sposób uniknąć smutnego losu Bizestiego i Baudouina, dwóch kutych na cztery nogi wielkich dyrektorów teatru. Truskolaska zaś związała się na pewien czas z Kazimierzem Poniatowskim - przypadkiem ów mężczyzna okazał się także najmłodszym z braci polskiego króla. Mimo to Truskolaska się wycofała, Bogusławski pozostał, podobnie jak córka Truskolaskiej, Ledóchowska, trzydziestopięcioletnia wówczas wielka tragiczka, którą Bogusławski wielbił i szanował, i raz tylko, wiele lat temu, próbował jej zaszkodzić, aby jego córka Rozalia nie miała konkurencji. Wzajemny stosunek Bogusławskiego i Ledóchowskiej stał się przyjazny, gdy Rozalia uznała, iż nad zmienne koleje życia aktorskiego przekłada karierę żony u boku pana poety Osińskiego.

Bogusławski ślepo wierzył w geniusz Ledóchowskiej, każdą jej propozycję przyjmował z delikatnym, pełnym uznania uśmiechem.

Subtelna, dziewczęca Ledóchowska o wielkich oczach i potarganych włosach naląła Mistrzowi herbatę.

- Trusiu - Bogusławski był jedynym człowiekiem, który ją tak nazywał - wracam od Osińskiego, zgodzi się na to, bym wrócił na scenę w roli Bardosa. Bardzo proszę, by zagrała pani ze mną podczas mojego pierwszego występu.

Ledóchowska podciągnęła nogi na siedzenie fotela.

- To nie będzie dobre, Mistrzu - powiedziała cicho. - Ja na pana miejscu nie wracałabym w tej roli.

- Czemu? - wybuchnął Bogusławski.

- Niech pan zagra Leara. Lub zacznij *Saulem* Alfieriego.

- Więc nie chce pani ze mną zagrać. Pani też mnie zdradziła.

- Mistrzu!

Oboje umilkli, każde głęboko dotknięte.

- Panu najbardziej potrzebny jest teraz powrót w glorii - odezwała się Ledóchowska. - Wielki sukces. Jeśli zaśpiewa pan Bardosa, da im okazję do porównania tej kreacji z dawniejszą, i od razu będzie się mówić, że to już nie ten dawny Bogusławski.

- Pani też tak uważa, prawda?

- Dla mnie mógłby pan grać, co zechce, nawet mając dziewięćdziesiąt lat. Ale oni tutaj są teraz dość niebezpieczni. Od kilku miesięcy, od czasu, gdy pan wyjechał, dwa pisma prawie w każdym numerze zamieszczają recenzje teatralne. Zmieniły się gusta, Mistrzu, a kto reprezentuje starą szkołę, tego się atakuje.

- Krótko mówiąc, wyszedłem z mody. Zestarzałem się.

- To oni się zestarzelili, Mistrzu. Nowe nie zawsze oznacza lepsze.

- Co mnie obchodzi, że pismacy wysmarowują jakieś bzdury. Ja gram dla publiczności. Kto pisze te recenzje?

- Nikt się nie podpisuje.

- Już ja się dowiem, kto jest kim, i zamknę mu gębę.

Ledóchowska odstawiała herbatę.

- Publiczność też się zmieniała, Mistrzu. Do teatru już nie chodzą ci, co kiedyś.

- I chwała Bogu. Dla nich Bardos będzie nowością. Mam kilka pomysłów, być może zmienię w sztuce kilka arii.

- Ta dzisiejsza publiczność jest bardzo niedobra.

Ledóchowska znów nalala herbaty.

- Nie ma złej publiczności, jest tylko zły teatr. Mam to pani tłumaczyć, Trusiu? Zawsze rację ma publiczność.

- Nie zawsze. Już kilka razy wygwizdali nawet Żółkowskiego. A przecież on naprawdę gra dla nich, nie to co ja. Wie pan, kto chodzi teraz do teatru? Arystokracja i urzędnicy. Pańska publiczność, Mistrzu, to zasiadające na parterze mieszczaństwo i rzemieślnicy na jaskółce, ale oni już w Warszawie wymarli.

- Przyjdą nowi na ich miejsce.

- Tu się teraz zaczyna dziwny świat, Mistrzu. Ta publiczność nie zna się na żartach.

Bogusławski milczał.

- Widzę, że pan mi nie wierzy - stwierdziła Ledóchowska.

- Nie za bardzo.

Ledóchowska uśmiechnęła się.

- Bo i też nie należy wierzyć, Mistrzu. Może panu się powiedzie. Dałby Bóg. Nam się nie udało, ale jeśli jest tu Bogusławski...

- Jeśli Osiński pójdzie na to, bym zaśpiewał Bardosa - zastanawiał się głośno Bogusławski - to wtedy pani będzie miała rację.

- Proszę nie dawać Osińskiemu takiej okazji.

- Trusiu, Trusiu, niech pani mi powie, czy to nie przeklęty zawód? Podły, niezdolny i niewdzięczny zawód. W każdym innym człowiek może robić błąd po błędzie, to się nie liczy, ma czas. Ale tutaj wystarczy małe potknięcie, by człowieka odsunąć. Czy tu coś znaczy fakt, że przez trzydzieści lat byłem wielki? Psa z kulawą nogą to nie obchodzi. Jeden zły wieczór i mogę iść do diabła.

- Właśnie - uśmiechnęła się Ledóchowska.

Bogusławski roześmiał się, pożegnał, wrócił do Osińskiego i oznajmił, że chciałby wystąpić nie w roli Bardosa, tylko Leara bądź Saula.

- I to jak najszybciej - dorzucił.

Tego dnia dowiedział się, że zmarła Zosia. Zatrzymał go na korytarzu Nacewicz, który z tej okazji kompletnie się spił.

- Biedna dziewczyna - szlochał. - Biedna Marianna.

- Kiedy umarła? - spytał gniewnie Bogusławski.

- Rano - odparł Nacewicz i w dowód współczucia pocałował go w oba policzki.

Bogusławski pobiegł do mieszkania Nacewicza. Drzwi otworzyła Aniela ubrana już na czarno.

- Usnęła - powiedziała, mając na myśli Mariannę.

Bogusławski wszedł do pokoju. Ignacy siedział na łóżku obok matki i z nienawiścią spojrzał na Bogusławskiego.

- Co było Zosi? - spytał cicho Bogusławski.

- Zapalenie płuc - odparł Ignacy.

Bogusławski próbował przypomnieć sobie twarzyczkę dziewczynki, ale widział tylko ciemne plamy. Spojrzał na śpiącą Mariannę i westchnął. Ich burzliwa miłość powinna się była urwać wtedy, gdy po narodzinach Ignacego Bogusławski został w Wilnie, a Marianna pojechała z dzieckiem do męża do Warszawy, później zaś uciekła do Krakowa, gdzie przez krótki czas utrzymywała siebie i dziecko z prostytutce. Przypadek jednak sprawił, iż król wezwał Bogusławskiego do Warszawy i tego dnia, kiedy po czterogodzinnej rozmowie Bogusławski nakłonił króla, by powierzył mu pieczę także nad włoskim baletem, pojawiła się u niego Marianna. Mistrz był w dobrym humorze i nie wyrzucił jej, tylko przedstawił swe wielkie zamierzenie: mimo zakazu króla będzie grać opery po polsku. Jednocześnie oznajmił, iż będzie utrzymywać kochanki, a Mariannę przekwalifikował na kucharkę. W ten sposób bardzo szybko przyszła na świat Rozalia. Potem Marianna zaopiekowała się także Zosią, owocem jednej z przelotnych miłości Bogusławskiego.

Bogusławski poczuł wyrzuty sumienia i cały czas mówił do siebie: że też właśnie teraz musiało się to stać, właśnie teraz.

- Chcę, by miała piękny pogrzeb - powiedział i wyszedł.

Pieniądze na pogrzeb dostał od Dmuszewskiego i Rutkowskiego. Wenigera, kierownika zespołu złożonego z muzyków i ekipy technicznej, który jako mistrz ceremonii pogrzebowych dawał ludziom możliwość dodatkowego zarobku, poprosił o wzięcie udziału

w pochówku.

- Załatwione, Mistrzu - powiedział Weniger, sumiasty oboista.

Przygnębiony Bogusławski stłumionym, cichym głosem prosił aktorów, by dzielili z nim żałobę i wzięli udział w ostatniej drodze Zosi.

Przyszło mu do głowy, że dobrze byłoby, gdyby nad trumną dziewczynki mowę pogrzebową wygłosił jakiś biskup. Malczewski? Hołowczyc? Woronicz? Wcześniej powinien się domyślić, że to niemożliwe. Nagle wezbrała w nim złość na biskupów, kazał wezwać zwykłego kleryka i postanowił, że pogrzeb nie będzie miał charakteru religijnego, lecz narodowy.

Przekazał Wenigerowi nuty swoich wielkich tragicznych ról operowych, by ten skomponował wiązanek melodii i zaaranżował w stylu żałobnym. U Cieślaka zamówił na kredyt żałobny garnitur, prosząc jednocześnie o przygotowanie całunu z białego jedwabiu z naszytymi na nim płomienście czerwonymi literami: „Zmartwychwstaniemy”.

Na murach kościołów porozwieszał klepsydry. Wbrew zwyczajowi jedną zawiesił także na bramie uniwersytetu. Następnego dnia wszystkie poznikały.

W dniu pogrzebu około dziesiątej Bogusławski zauważył z okna, że na plac Krasieńskich zajechała podniszczona karoca zaprzężona w dwie smutnawe szkapy, wioząca trumienkę z surowego drewna. Kilka postaci otoczyło pojazd. Podeszło też kilku żandarmów, którzy bezradnie stanęli i zaczęli oglądać karocę.

Chwilę później od strony Miodowej pojawiły się karety i zniknęły z oczu Bogusławskiego. To ministrowie zjeżdżali do pałacu Krasieńskich.

Po mniej więcej dziesięciu minutach Bogusławski zauważył, że kilku oficerów w wielkim pośpiechu wyprowadza kogoś z teatru. Bogusławski z zadowoleniem przymrużył oczy.

- Przestraszyli się pogrzebu - powiedział do Marianny. - Zabierają Osińskiego do Rady Ministrów.

W tym czasie wokół trumny zebrał się już prawie cały teatr. Samowolnie opuszczono przedpołudniową próbę. Tłum narastał. Bogusławski wyobraził sobie, że ministrowie w towarzystwie Osińskiego tak samo obserwują plac, jak on: żałował, że domy po drugiej stronie Długiej zasłaniają widok na pałac Krasieńskich.

O jedenastej nadszedł nowy oddział żandarmerii, a jego dowódca zaczął pertraktować z wcześniej przybyłymi żandarmami. Tłumu nie rozpędzono.

- Teraz możemy już iść - powiedział zadowolony Bogusławski.

Marianna zaczęła płakać.

Car z pewnością spał snem sprawiedliwego w buduarze jakiejś polskiej damy, gdy Bogusławski wyprowadzał z domu szlochającą Mariannę. Żandarmi nie odezwali się do nich ani słowem. Cisza panowała również na samym placu, kiedy Mistrz stanął na czele konduktu, i szedł teraz chudy i wyprostowany, z odkrytą głową, stawiając wolno długie kroki, z wbitym w ziemię wzrokiem. Nie spojrzął w stronę pałacu, gdyż dobrze wiedział, iż wszyscy ministrowie patrzą teraz na niego. Tuż za nim szła rodzina, Aniela i Ignacy z obu stron podtrzymywali Mariannę. Przyszła także Rozalia w pięknym, długim płaszczu, w etoli z norek, z tyłu niania pchała wózek dziecięcy Karola. Aktorów prowadził Dmuszewski, trzymając na ręku Stanisława, syna swej żony i Bogusławskiego. Na ulicę wyszli sklepikarze i z czapkami w dłoniach spoglądali na mijający ich kondukt. Coraz więcej dzieci i psów przyłączało się do idących.

Dął zimny wiatr, niebo przesłaniały ciemnoszare chmury, wszystkie domy zrobiły się przeraźliwie szare. Taka pogoda będzie także podczas mojego pogrzebu, zdecydował Bogusławski i z oczu spłynęły mu łzy. Wstrząsane niemym paroksyzmem ramiona robiły wielkie wrażenie, a z konduktu raz po raz wzlatywał urywany szloch.

Przy uniwersytecie do konduktu dołączyło parę kilkuosobowych grup studenckich. Policjanci na koniach jechali w dużej odległości za trumną. Stangreci zjeżdżali na boki, zatrzymywali się po obu stronach ulicy, z powozów wychylały się damy i żarliwie żegnały się znakiem krzyża. Kondukt rozlał się już na całą szerokość ulicy. W zalegającej ciszy słychać było tylko stukot kroków na wyboistym bruku.

Na Marszałkowskiej zawrócili w stronę Nowego Miasta. Źle poinformowani aktorzy dopiero teraz zorientowali się, że nie idą na stary cmentarz, lecz na Powązki, a Bogusławski zamierza poprowadzić ich przez całe udekorowane flagami miasto świętujące koronację cara.

Na cmentarzu zebrało się pół tysiąca ludzi. Z uznaniem szeptano, że na murze przycmentarnego kościoła wisi nowiusieńka marmurowa tablica z wymyślonym naprędce wierszem Bogusławskiego:

Zwiędłaś jak róża, gdy ją mroźny wiatr owieje,

Ciężką ojcowskie serce okryłaś żalobą;

Tę mi jedną w starości zostawiasz nadzieję,

Że wkrótce pójde za Tobą.

- Piękny - mówiły damy i roniły łzy.

Nagie gałęzie i liczne wrony tworzyły specyficzny dla cmentarzy nastrój. Młody ksiądz mówił cicho i prosto, sens jego wypowiedzi był taki, że podobny los czeka nas wszystkich. Kończąc przemowę, zarzucił na trumnę biały całun. Czegoś takiego jeszcze nie było, w tłumie wybuchło zdumienie, a czerwone litery płomieniście odcinały się od bieli. Ludzie szeptali między sobą. Wszyscy spoglądali na Bogusławskiego, który jak prorok stał nieruchomo, z odkrytą głową, nad otwartą trumną, a z jego zapadniętej twarzy sterczał ogromny żółtawy nos. Marianna, Aniela i Ignacy cofnęli się nieznacznie. Czekali, co uczyni Bogusławski. Mieli nadzieję, że zacznie przeklinać, że będzie wznosić okrzyki na cześć niezawisłej Polski, że odśpiewa *Mazurek Dąbrowskiego*, że tak czy owak wywoła jakiś skandal. Ale Bogusławski tylko stał w tej panującej wokół ciszy, a kiedy napięcie sięgnęło zenitu i grabarze ruszyli nagle, by rzucić pierwsze grudki ziemi na trumnę, kiedy ucichły szepty dolatujące od strony tajniaków, powoli, z pełnym dostojęstwem i wielkim bólem w zdającym się pękać kręgosłupie ukląkł, zanurzył w ziemi długie, smukłe palce, po czym uroczyście ucałował garść ojczystej ziemi.

W tym momencie odezwał się chór. Weniger nadał ton obojem, wspaniałym i cennym instrumentem, z którym rzadko się rozstawał. Chór w spowolnionym rytmie żałobnym z wielkim uczuciem odśpiewał słynne role Bogusławskiego; do tej wiązanki melodii Mistrz napisał słowa, proste i łatwe do zapamiętania, gdzie dwa-trzy wiersze powtarzały się w różnych wariantach w zależności od rytmu: zmarła, zgasła, odeszła, już nigdy nie powstanie, już nigdy jej nie będzie, a jednak żyje, wciąż żyje nadzieja.

Tego dnia napisano wiele raportów na temat pogrzebu Zosi. Według raportu podpisanego własnoręcznie przez generała Roźnieckiego była to pierwsza antycarska demonstracja od początku wizyty Aleksandra. Zgodnie z raportem prezydenta miasta Węgrzeckiego nie doszło do żadnego zakłócenia porządku, a odpowiedzialnością za histerię obarczył tajne służby. Minister spraw wewnętrznych, hrabia Mostowski, napisał do Wielkiego Księciu, że po gruntownym i wielostronnym zbadaniu sprawy doszedł do wniosku, że pogrzeb dziecka zmarłego w wyniku choroby nie ma nic wspólnego z wizytą króla Aleksandra w Warszawie. Nowosilcow, który zreasumował raporty przeznaczone dla Wielkiego Księcia, zaproponował, by kierującego pracą tajnych służb generała Roźnieckiego odznaczyć za właściwe wywiązanie się z zadań, co wykazał w tej trudnej i delikatnej zarazem sprawie. Konstancy to zaaprobował.

Jeszcze po południu Osiński został poinformowany o wydarzeniach. Rywacki, słuchacz Szkoły Dramatycznej, który na egzaminie wstępnym recytował odę do Kopernika, znany wiersz Osińskiego, co dyrektora wzruszyło do łez, szczegółowo odmalował zachowanie Bogusławskiego. Osiński bezradnie przyjął do wiadomości, że jego teść był przy zdrowych zmysłach, a do sprawy pogrzebu nie ma się co przyczepiać.

Jednak dla Bogusławskiego śmierć Zosi nastąpiła w złym momencie. Stracił sporo czasu na przygotowania do pogrzebu, a tymczasem Osiński błyskawicznie opracował listę sztuk na przyszły sezon i zatwierdził ją wspólnie z ministrem oświecenia, Kostką Potockim. Na liście nie było ani *Leara*, ani *Saula*. Do końca sezonu role ojców wyznaczył Szymanowskiemu, a Bogusławskiemu nie zostawił nic. Szymanowski wcale nie zamierzał protestować. Informacje Osińskiego, że aktor wciąż jeszcze jest zły na Mistrza, okazały się ścisłe.

Wrażenie, jakie wywołała wspaniała kreacja Bogusławskiego na pogrzebie, nie trwało zbyt długo, już następnego dnia odsunęła ją na dalszy plan sensacyjna wieść, iż Wolskiego wypuszczono, wcale go nie bito i trzy razy dziennie dawano mu jeść. Były szwoleżer na wszelki wypadek wygłaszał w bufecie gorzkie mowy na temat niegodziwości, jakie go spotkały, a ojczyzna, jak stwierdził, ta ojczyzna nie tylko nie okazuje mu żadnego szacunku, ale każe go nad ranem siłą ściągnąć z łóżka i aresztować, jego, który przelewał krew w Hiszpanii, pod Austerlitz, Wagram, na równinach Rosji. Przypadek Wolskiego został z kolei przyćmiony przez ogólne oburzenie po tym, jak „Gazeta” poinformowała czytelników, że car Aleksander złożył wizytę dowódcy dawnych szwoleżerów, generałowi Wincentemu Krasińskiemu, niegdyś wiernemu Napoleonowi, bohaterowi spod Somosierry, i podarował mu piętnaście tysięcy rubli asygnatami oraz pierścionek z brylantem.

- Nie dość, że Napoleon do samego końca popierał arystokrację - mówił z goryczą Wolski - to teraz car robi tak samo. Choć przysięgam - krzychał - że nie było nikogo wierniejszego niż ja!

Wizyta cara u Krasińskiego także z innych powodów była znakomitym tematem plotek. Joanna, piękna jasnowłosa statystka, po premierze *Łaski imperatora* otrzymała od rodziny Krasińskich zaproszenie do wzięcia udziału w żywych obrazach przygotowanych na cześć cara. W tych żywych obrazach latorośle arystokratycznych rodów wcielały się w duchy, bachantki, rycerzy oraz konie, a także - wywołując wielki aplauz - śpiewały i tańczyły. Po przedstawieniu car chciał usłyszeć dzieci recytujące wiersze, a czteroletni Zygmunt Krasiński, synek gospodarza, któremu na chrzcie ojciec nadał także imię Napoleon, chociaż ostatnio rzadko go używano, wystąpił ze znanym fragmentem z drugiego aktu: *Śmierci Cezara: Tu*

dors Brutus et Rome est dans les fers. Usłyszawszy o tym niebywałym, bohaterskim czynie chłopca, cała Warszawa przez półtora dnia żyła w zabobonnym lęku. O tym opowiedziała Joanna w teatrze, skąd lotem błyskawicy wieść rozniosła się po mieście.

Zdanowicz nerwowo wysłuchał relacji Joanny; od czasu premiery opery Joanna stała się jakby nieco bardziej wobec niego oziębła. Ponadto pokłóciła się z Kudliczem - nie zgodziła się na rolę statystki w kolejnej sztuce, gdyż, jak stwierdziła, jej talent uprawnia ją do czegoś więcej.

- A to dziwka - podsumowała Aszpergerowa, która do tej pory także nie otrzymała żadnej głównej roli.

Natomiast druga córka Rutkowskiego, Helena, uznała, że Joanna ma rację.

Rutkowski przez wiele godzin zmywał córkom głowy, bojąc się, że cała kara za ich nieprzemyślane wypowiedzi spadnie na niego.

- Problem nie w tym - stwierdził na koniec - co powiedziałyście, lecz w tym, żeście w ogóle coś powiedziały.

Kiedy Bogusławski wstąpił do Osińskiego dowiedzieć się, kiedy może przystąpić do prób nad *Learem* lub *Saulem*, dyrektor odchylił się na krześle i wskazał papiery zalegające biurko.

- Kostka Potocki to zaakceptował - powiedział z ubolewaniem.

Bogusławski nawet nie spojrzał na listę i oznajmił uprzejmie, że jemu w końcu wszystko jedno, nawet z najmniejszej roli może zrobić coś wielkiego, ale już naprawdę pora, by „pan dyrektor” wypowiedział się wreszcie w tej sprawie.

- Wiesz co - powiedział Osiński życzliwie - spotkałem Stanisława Platera, który i tak otrzymał już przecież od ciebie zlecenie, przypuszczalnie w moim imieniu, na tłumaczenie sztuki Kotzebuego. Jak już liczysz na moją pomoc, to zagraj w tej sztuce.

- W porządku - odparł Bogusławski - ale wobec tego to ja ją przetłumaczę.

- Jak sobie chcesz - uśmiechnął się Osiński. - Daję ci wolną rękę... i dwa tygodnie na próby.

- Mało.

- Mało?! Dla ciebie, największego polskiego aktora, dwa tygodnie to mało? Ja ze swoim skromnym talentem przez dwa tygodnie nie tylko wyreżyserowałem, ale i napisałem oryginalną operę przeznaczoną na mocno nieprzyzwoitą imprezkę. Tobie wystarczą nawet trzy dni.

- Dobrze, mój królu - odparł Bogusławski. - Zrobię to w dwa tygodnie.

- Kogo chcesz na reżysera? Kudlicza czy Dmuszewskiego?

- Sam to wyreżyseruję.

- Nie da rady - powiedział zatroskany Osiński. - Po to dostają pensje, by reżyserowali wszystkie sztuki. Takie ustalenia wprowadziliśmy także do nowego statutu teatru. Nie czytałeś go?

- Umknął mej uwadze - warknął Bogusławski. - Dobrze. Niech reżyseruje Dmuszewski.

- Proszę bardzo. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, ja się zgadzam.

Bogusławski zszedł do garderoby Ledóchowskiej.

- Kotzebue - powiedział z uśmiechem. - To będzie wspaniałe przedstawienie. Pani oczywiście w nim zagra, prawda, Trusiu?

- Ależ tak - odpowiedziała Ledóchowska.

- Mamy na to dwa tygodnie - rzekł Bogusławski. - Dziś w nocy przetłumaczę, jutro możemy zacząć.

Ledóchowska zastanowiła się.

- Na początku grudnia mamy wznowienie Niemcewicza i jestem w tym obsadzona. A w styczniu mamy ponoć grać *Cyrulika sewilskiego*, w nim też występuję.

- To nie tak dużo - uznał Bogusławski.

- Przedpołudniami Kudlicz nie będzie mnie puszczać, próby zawsze prowadzi potwornie powoli.

- Więc będziemy próbować nocą.

- Chętnie. Proszę powiedzieć, jaka to sztuka.

- A jaka miałyby być? Komedia, jakich wiele. Potem dorzucę kilka scenek, które postawią całość na głowie.

- Proszę uważać, Mistrzu. Osiński skontroluje wierność tłumaczenia.

- Jeśli chodzi o mnie, to tłumaczenie będzie dosłowne! Osiński to literat o duszy estety, zupełnie głuchy na sceniczny dialog. Bardzo się zdziwi nasz dyrektor, kiedy usłyszy ten tekst. Będziemy mieli taki sukces, jakiego tu jeszcze nie było.

Bogusławski promieniał. Ledóchowska z przyjemnością obserwowała, jak wygładzają się zmarszczki na twarzy Mistrza.

W tym czasie car rozdzielał odznaczenia. Ku ogólnej konsternacji generał Roźniecki, szef żandarmerii, otrzymał Order Orła Białego, taki sam, jaki ostatnio przypięli sobie nawzajem na piersiach Aleksander i Konstanty. Wysokie odznaczenie otrzymał również jednonogi generał Zajączek, a także generał Dąbrowski, generał Wielhorski, minister wojny, oraz radca stanu Sierakowski. Generał Wincenty Krasiński otrzymał Order Świętej Anny

z diamentowymi gwiazdami.

Panowało ogólne przekonanie, że to i tak lepiej, niż gdyby Aleksander szukał odwetu na zdeklarowanych niegdyś wrogach. Wielki i mądry władca. Bije w nim polskie serce.

Potem niespodziewanie przybyła rosyjska armia powracająca do kraju z Paryża. Warszawa znów zapełniła się obcym wojskiem. Rząd zobowiązał właścicieli wszystkich domów do zakwaterowania żołnierzy nadciągających oddziałów. Niedawno tak samo trzeba było przydzielać kwatery Francuzom, potem Prusakom, następnie Sasom i w końcu Austriakom. Jak zwykle w takich wypadkach chorych wysyłano ze szpitali do domów, a ich miejsca zajmowali żołnierze, co najmniej dwóch na łóżko. Kilka kościołów znów zamieniono na hotele. Arsenał i więzienie także opróżniono, więźniów pognano w długim konwoju do okolicznych wsi, gdzie nocowali pod gołym niebem i nie mieli nic do jedzenia. Rząd zapomniał zawiadomić wcześniej sklepikarzy o nadejściu wojska i w ciągu kilku dni dwustutysięczna armia wyjadła wszystkie zapasy. Nie ogłoszono wprawdzie godziny policyjnej, mieszkańcy jednak doskonale zdawali sobie sprawę, że po zapadnięciu zmroku lepiej nie wychodzić na ulice. Ponownie sypnęły się zamówienia dla ślusarzy i kowali, wszyscy rzucili się do wzmacniania zawiasów i rygli u bram. Z kanałów powyłazili złodzieje, rabusie i dziwki. Carowi tak zorganizowano program pobytu, by nie musiał opuszczać Zamku Królewskiego, albo zabierano go na polowanie do okolicznych lasów. Przebąkiwano, iż prezydent miasta Węgrzecki z powodu zaistniałych trudności złożył dymisję, ale nie została ona przyjęta.

Do mniejszego pokoju w mieszkaniu Bogusławskiego wprowadził się młody sierżant rosyjski, jasnowłosy i niezbyt okrzęsany, który uśmiechał się z zażenowaniem do Mistrza i do znudzenia powtarzał:

- Dwadcat' piat' let służu, finfundwancig anne.

- Wiem, mój królu, wiem - poklepywał go Bogusławski. - Załatwię ci wódkę.

Sierżant był szczęśliwy, chociaż Bogusławski nigdy mu tej wódki nie załatwił. Kiedy pod koniec listopada młodemu człowiekowi przyszło się pożegnać, z płaczem rzucił się Mistrzowi na szyję, podarował mu przepiękne, artystycznie wykonane z kości słoniowej pudełeczko na tytoń i cały czas powtarzał:

- Ja czelowiek, ty czelowiek, ja czelowiek, ty czelowiek, wsie my ludzi.

Bogusławski poklepał go po ramieniu i przytaknął.

W tych uroczystych dniach i tygodniach Bogusławski nie przejmował się, że już nie on stoi na czele teatru, niech teraz Osińskiego boli o to głowa. Trzy dni trwały próby nad *Jadwigą*, do której Kurpiński napisał muzykę, a Niemcewicz tekst, potem próby trzeba było

zawiesić, gdyż ktoś wpadł na to, iż w sztuce jest mowa o unii polsko-litewskiej, a teraz nie był to temat zbyt na czasie. Jednocześnie po kilku próbach zawieszono prace nad *Otellem* i *Makbetem*: w jednej sztuce doszło do uduszenia, a w drugiej do królobójstwa.

27 listopada książę Czartoryski przedłożył projekt konstytucji.

Bardziej wykształcone kręgi w stolicy przemieniły się na kilka dni w prawników. Osiński zwołał czołowych aktorów i uświadomił ich, że w całej Europie właśnie polska konstytucja będzie najbardziej postępową i najdoskonalszą pod względem prawnym.

- Cóż mi po tym - mrucał Bogusławski w teatralnej knajpie. - Przecież to w angielskiej konstytucji jest także zapis o legalnej opozycji.

Szymanowski złościł się, że liczące już czterysta lat prawo *neminem captivabimus* chce się teraz zastąpić nową formułą: *neminem captivari permittemus nisi jure victum*, coś takiego musi kłuć w oczy, gdyż na tej podstawie w przyszłości będzie się można dopuszczać czynów niezgodnych z prawem.

W zorganizowanej dyskusji radca stanu Ksawery Potocki zaproponował, by z konstytucji austriackiej przejąć słynny *passus*, zgodnie z którym każda myśl antyrządowa traktowana jest jako przestępstwo przeciw państwu, a orzeczenie o winie odnosi się także do osoby, która co prawda sama nie głosiła takich koncepcji, ale słyszała je i o tym nie doniosła.

Ten *passus* został włączony do konstytucji.

Drugiego grudnia, kiedy dyskusja nad projektem konstytucji jeszcze trwała, ogromne zaskoczenie wzbudził fakt, iż to nie książę Czartoryski, lecz generał Zajączek został przez cara mianowany namiestnikiem.

Czartoryskiego odstawiono na bok! Przyjaciela zabaw dziecinnych cara, jego najlepszego przyjaciela! W młodości zamierzali wspólnie uciec do liberalnej Anglii, a przynajmniej takie krążyły pogłoski. Później car Paweł usunął Czartoryskiego z Petersburga. Potem cara Pawła zamordowano, nowym carem został Aleksander; książę Adam, „*cher Adam*”, jak go nazywał Aleksander, kierował polityką zagraniczną rosyjskiego imperium, a na kongresie wiedeńskim właśnie on był najbardziej zaufanym doradcą Aleksandra. Przecież w Wiedniu wszystko, od początku do końca, odbyło się tak, jak książę Adam podszeptował do ucha Aleksandrowi! Być może jednak szeptał mu w to przygłuche ucho, jak mówiono na mieście; wiele osób wiedziało, że Aleksander jest głuchy na jedno ucho, tylko nie wiadziiano na które. Teraz można się było zakładać, o które chodzi.

Ale jeśli nawet Czartoryski upada, to czemu właśnie Zajączek?!

Generał nie cieszył się popularnością, choć walczył jeszcze pod Kościuszką, kilka lat przesiedział w carskich więzieniach, a po bitwie pod Berezyną, gdzie stracił nogę, spędził

dwa lata w Połtawie. W tej samej bitwie przestrelono Dąbrowskiemu rękę i chociaż nie trzeba jej było amputować, to bohaterem okrzyknięto Dąbrowskiego, a o Zajączku krążyły przeróżne dowcipy.

- To oczywiste - tłumaczył Bogusławski Ledóchowskiej. - Czartoryski jest zbyt silny, mógłby jeszcze zacząć samodzielnie politykować, Konstany go nie chce. O Potockim nie mogło być mowy, bo Czartoryski go nienawidzi, a Adam jest w końcu przyjacielem cara. Także żaden cywil nie może być dobry, bo Konstany jako głównodowodzący nie mógłby wydawać mu rozkazów. Inni generałowie nie są dobrzy, gdyż mają autorytet. Został Zajączek, a to doprawdy powinienem już wcześniej przewidzieć.

W tych dniach mianowano nowych senatorów, którzy złożyli zwyczajową przysięgę. Wśród nich było dwóch Rosjan, gubernator Łanskoj i Nowosilcow.

W końcu wszyscy mogli być zadowoleni: armia rosyjska odeszła, Aleksander otworzył rosyjską granicę i pozwolił polskiemu handlowi wejść na tamtejszy rynek, warszawskim fabrykantom przydzielił kredyty, przyznał Warszawie prawo do organizacji targów przemysłu lekkiego, hodowcom koni zezwolił na powiększenie stadnin, wydał zgodę na zakładanie fabryk produkujących maszyny, a ponadto przyrzekł, że uzyska od Austrii korzystne umowy na dostawy soli.

Młody polski król zatroszczył się o wszystko. Przyznał rentę Kilińskiemu, legendarnemu szewcowi, słynnemu przywódcy ludowemu z okresu insurekcji kościuszkowskiej, który długi czas przesiedział w Twierdzy Pietropawłowskiej, a ostatnio przymierał z głodu. W kompetentnych kręgach mówiło się, że Polacy pozwoliliby umrzeć mu z głodu, a car go wynagrodził.

Prócz tego Aleksander ściągnął z Włoch do Warszawy pewnego szeregowca nazwiskiem Kuźma, który dawno temu, bo w listopadzie 1771 roku, wykradł Rosjanom Stanisława Augusta, ostatniego polskiego króla, i przyznał Kuźmie dodatkowo dość wysoką rentę.

Mieszczanstwo poszeptowało, że Aleksander doprowadził do stworzenia jedności narodowej. Oto na balu z okazji mianowania namiestnika generał Zajączek na drewnianej nodze kuśtykał pod ramię z biskupem Skarszewskim, który w dziewięćdziesiątym czwartym chciał skazać Zajączka na karę śmierci za zdradę stanu i gdyby Kołłątaj go nie ułaskawił, generał zostałby powieszony. A teraz, patrzcie, były jakobin i dawny zdrajca prowadzą przyjacielską rozmowę.

Gdybyż tak raz na zawsze skończyły się wreszcie te nieszczęsne konflikty i kontrowersje.

Zgromadzenie ustawodawcze powołało komisje weryfikacyjne, których zadaniem było ustalenie rent, poborów i ewentualnych odszkodowań dla oficerów i żołnierzy walczących u boku Napoleona. Każde oświadczenie (dotyczące przebiegu służby, doznanego uszczerbku itp.) winno być poświadczone przez dwóch świadków, a wiarygodność tych świadków przez następnych, tak że w Warszawie zaczęło się szaleństwo z wyszukiwaniem świadków i już od początku było wiadomo, iż komisje weryfikacyjne będą miały robotę na kilka dziesiątków lat.

Tymczasem przekład sztuki Kotzebuego był już gotowy i Bogusławski łamał sobie teraz głowę nad obsadą. Osiński nie oddał Unickiego, w związku z czym Bogusławski postanowił, że sztukę przepisze mu w czternastu egzemplarzach Henryk Macrott. Bogusławski nie był zwolennikiem rozpisywania tekstu na poszczególne role, uważał, że lepiej jest, jeśli każdy aktor przeczyta całą sztukę, a kiedy udało mu się dojść do porozumienia, domagał się dodatkowo, by każdy aktor uczestniczył we wszystkich próbach do końca. Wysłuchał wszystkich propozycji, choć nie po to, by je od razu lub w ogóle zaakceptować, lecz każdy pomysł podsuwał mu dziesiątki innych. Jak każdy aktor z krwi i kości chętnie widział na próbach publiczność. Z własnego doświadczenia wiedział, iż obecność publiczności korzystnie wpływa na próby. Teraz jednak musiał się śpieszyć i dlatego kazał Henrykowi rozpisać tekst na poszczególne próby. Przesiadywał w teatralnej knajpie, gdy Dmuszewski i Kudlicz pracowali na dużej scenie lub scenie prób nad innymi przedstawieniami, obserwował wałęsających się aktorów, po czym błyskawicznie przedłożył Osińskiemu projekt obsady. Osiński przejrzał listę, zaakceptował ją, a następnie oświadczył:

- Nie mogę od razu zwolnić dużej sceny. Kudlicz zaczyna teraz nowego Niemcewicza. Poza tym wznawiamy *Cynnę* z Kudliczem w roli głównej, a te próby będzie miał na małej.

- Biedny Kudlicz - powiedział Bogusławski, bolejąc nad losem kolegi. - Prowadzić próby na dwóch scenach jednocześnie to nie przelewki.

Osiński przytaknął i ponownie zerknął na listę.

- Ledóchowska też jest w Niemcewiczu.

- Wiem - odparł Bogusławski. - Ustaliłem z nią, że będziemy próbować wieczorami.

- Mamy mało oleju - rzekł Osiński. - Nie mogę dać lamp na nocne próby.

- Wystarczy, że dostanę scenę z gotową dekoracją dwa dni przed spektaklem, szybko ją ogramy. Do tego czasu próby będą u mnie.

Osiński wyraził nadzieję, że będzie mógł przekazać salę prób na kilka przedpołudniowych zajęć.

- Tyle że Wąsikowski jest zajęty - dorzucił. - W dwóch pozostałych przedstawieniach

pełni funkcję suflera, a po spektaklach jest śmiertelnie zmęczony.

- Więc suflerem będzie Henryk Macrott - zdecydował Bogusławski. - I tak zna już całą sztukę na pamięć.

- Syn golibrody? - zdziwił się Osiński.

Ale i tak się posprzecjali, gdy poszło o inspicjenta. Niegdyś Osiński wyznaczył na niego Zielińskiego, słabego aktora. Poprzedni inspicjent, Kopiński, często suflerował, kiedy jednak Bogusławski złożył rezygnację, on także odszedł z teatru i od tamtej pory nie widziano go w Warszawie. Teraz Zieliński był zajęty przy innych przedstawieniach. Bogusławski zaproponował, by zaangażować jako inspicjenta mistrza łoży, Świerczyńskiego, ale Osiński się nie zgodził i skłaniał się raczej ku temu, by zatrudnić do tego jakiegoś kolejnego aktora. Bogusławski argumentował, że dla każdego aktora byłoby to poniżające, nie ma też aktora, z wyjątkiem tego idioty Zielińskiego, któremu z całym zaufaniem można byłoby powierzyć zadanie inspicjenta.

- Nic na to nie poradzę - odparł Osiński. - Zieliński jest mi potrzebny, a poza tym ze zdenerwowania i tak ma już sensacje żołądkowe.

Po rozmowie Bogusławski zaczął w knajpcie na Fiszera.

- Antoni - zwrócił się do niego, na co tamten ogromnie się zdziwił, gdyż nie przypuszczał, iż Bogusławski pamięta jego imię. - Proszę mi pomóc, mój królu. Potrzebny mi inspicjent. Zgodzi się pan?

Fiszer się wahał.

- Wiem, że pan mnie nie cierpi - rzekł z powagą Bogusławski - ale przyrzekam, że natychmiast po premierze przeczytam pańską sztukę.

Fiszer tylko wzruszył ramionami.

- No dobrze - powiedział Bogusławski. - Wiem, że chodzi o coś innego. Nienawidzi mnie pan za to, że lizałem dupę carowi. O to chodzi, prawda?

Fiszer uniósł brwi.

- Spokojnie może mnie pan dalej nienawidzić - ciągnął Bogusławski. - Ale jeśli zamierza się pan uczyć teatru jako dramaturg, niech zostawi pan na boku uczucia. Niech pan mnie wykorzysta, a potem, mój królu, spokojnie sobie nienawidzi. Zgadza się pan?

Fiszer skinął głową, Bogusławski podziękował mu i taktownie opuścił teatralną knajpę.

W niedzielę wieczorem aktorzy w towarzystwie Henryka Macrotta jako suflera i Fiszera jako inspicjenta zebraли się w mieszkaniu Bogusławskiego. Marianna była jeszcze w żałobie; podawała herbatę i ciasto, które kupiono z pieniędzy pożyczonych na pogrzeb.

Dziadzio Plersch wpadł nieco spóźniony, ale po jego minie widać było, że jest w miarę trzeźwy.

Bogusławski zabrał się do pracy. Oznajmił, że sztuka nie jest żadnym arcydziełem i gdyby mógł, toby ją przerobił, zwłaszcza zakończenie, ale niestety nie może, bo Osiński ingerowałby w każdą najmniejszą choćby zmianę. Główną rolę był łaskaw przydzielić sobie. Zresztą na premierze w Wiedniu w roli tej wystąpił Brockmann, a w Berlinie sam Iffland. Sztukę napisano czternaście lat temu, kiedy nie było jeszcze mowy o Napoleonie, o kampanii zimowej Francuzów ani też o kongresie wiedeńskim, a wobec tego tekst jest całkowicie niewinny, stwierdził z kamienną twarzą Bogusławski.

Od takiego prologu rozpoczęły się próby nad komedią Kotzebuego zatytułowaną *Die beiden Klingsberg*.

Bogusławski zapoznał wszystkich z obsadą.

Hrabia Klingsberg - Bogusławski;

Adolf von Klingsberg, jego syn - Dmuszewski;

Hrabina Wellbrat, z domu von Klingsberg - Żółkowska;

Baron de Sztein, porucznik - Malinowski;

Henryka, jego siostra - Grudzińska;

Madame Amalia Friedberg - Dmuszewska;

Krautmann, dzierżawca u hrabiego - Zdanowicz;

Pani Wunszel - gospodyni oberży - Ledóchowska;

Baltazar, kamerdyner hrabiego - Żółkowski;

Ernestyna, pokojówka hrabiny - Helena Rutkowska;

Jakob, służący hrabiego - Rutkowski;

Służąca - Melcerówna.

Wielkie zdziwienie wzbudził fakt, że Joanna otrzymała tak dużą rolę jak Henryka, a wszyscy osłupieli, usłyszawszy, że Ledóchowska zagra rolę komediową. Żółkowska, brzydka, lecz utalentowana aktorka z pokaźnym nosem, westchnęła, gdyż sądziła, że w roli pani Wunszel może sobie całkowicie zlekceważyć przedstawienie.

- Mam nadzieję, że wszyscy przeczytali już jedyny kompletny egzemplarz - powiedział Bogusławski - ale mimo to opowiem, o czym jest sztuka. Mamy dwóch Klingsbergów, starego hrabiego i jego syna. Obaj bez wytchnienia uganiają się za kobietami i z każdą chcą iść do łóżka. Liczba kobiet jest ograniczona, więc cały czas obaj wchodzą

sobie w paradę. Mamy też porucznika de Szteina, zbyt dumnego, by się przyznać, że urodził się baronem, a teraz przyszło mu żyć w ubóstwie, ma też młodszą siostrę Henrykę. Tę właśnie Henrykę każdy z Klingsbergów pragnie zaciągnąć do łóżka. Henryka to wzniosła dusza, tyle że biedaczka musi szyć, szyć i szyć, by utrzymać unikającego pracy brata. Jednocześnie porucznik ma potajemnie żonę, Amalię, z którą również obaj Klingsbergowie starają się przespać. Ową Amalię, z polecenia starego Klingsberga, ukrywa w domu niejaka pani Wunszel. Szczerym pragnieniem Amalii jest znalezienie w tajemnicy pracy swojemu ubóstwianemu, lecz zubożałemu i dumnemu mężowi, porucznikowi de Szteinowi. W pewnej chwili jednak młody Klingsberg, Adolf, naprawdę zakochuje się w Henryce i po wielu nieporozumieniach i komplikacjach, dzięki starej hrabinie pochodzącej z rodu Klingsbergów, żeni się z dziewczyną, Sztein i Amalia znów są razem, a Sztein znajduje dobrze płatną posadę.

Fiszer wpadł w rozpacz.

- Tak więc dobro triumfuje - podsumował Bogusławski. - Powiem szczerze, że są momenty, w których całkowicie zgadzam się z autorem. Ja na przykład jestem podłym, goniącym za przyjemnościami staruchem, który cały majątek obraca na zdobycie kobiety. To oczywiste. Jednak w odróżnieniu od autora nie mogę powiedzieć, że wszystkie występujące w sztuce kobiety są aniołami. Śmiem twierdzić, że każda w tej sztuce jest dziwką.

Fiszer zaczął słuchać uważniej.

Bogusławski zwrócił się do Dmuszewskiej grającej Amalię.

- Konstancjo - powiedział. - Żyjesz z dala od męża. Ale dlaczego? Tego autor nie wyjaśnia. Moim zdaniem dlatego, że nienawidzisz życia w nędzy. Natomiast zdaniem autora wyjeżdżasz po kryjomu do Wiednia, aby znaleźć mężowi posadę. Tylko że ty wcale nie szukasz mu pracy, przyjmujesz natomiast zaloty obu Klingsbergów. Zdaniem autora nie przeczuwasz nawet, iż obaj ci zacni panowie mają wobec ciebie ukryte zamiary. Według mnie, wygadując te swoje naiwne kwestie, dajesz odczuć, że za pieniądze skłonna jesteś zrobić wszystko, tylko że twoim zdaniem kwota jest jeszcze zbyt mała. Jesteś wyrafinowaną dziwką, która pod koniec sztuki tylko dlatego pada mężowi w objęcia, że wreszcie udało mu się znaleźć dobrze płatną posadę.

Dmuszewska przytaknęła.

- Mamy też małą modystkę, Henrykę - zwrócił się Bogusławski do Joanny. - Z żalosego krawiectwa utrzymuje siebie i swojego brata. Ale jednocześnie przyjmuje zaloty obu naszych Klingsbergów. Z żadnym z nich nie idzie do łóżka, o nie. Bo chce wydać się dobrze za męża. Jest pani ładna i dobrze pani o tym wie. Czeka pani cierpliwie, aż jakiś hrabia,

baron, a może nawet jakiś księżę panią poślubi. Czeka pani jak pająk przy swej sieci.

Zrobiło się cicho, wszyscy patrzyli na Joannę. Zdanowicz bębniał nerwowo palcami o blat stołu. Joanna teraz także miała na sobie drogą suknię. Zimno i zuchwale spoglądała na obecnych.

- Jasne - powiedziała. - Jak pająk przy sieci.

- Ernestyna, pokojówka - ciągnął Bogusławski. - Heleno, obaj hrabiowie chcą panią zaciągnąć do łóżka. Zgodnie z tekstem nie pozwala się pani uwieść. Czemu pani się nie zgadza? Mądra służąca by się zgodziła. Ale pani jest mądrzejsza. Pani wie, że za usługę otrzymałaby pani jakąś chustę. Taka chusta to jednak dla pani za mało. Kiedy będę przed panią wymachiwać jedwabną chustą, musi mi pani dać do zrozumienia, że za sto takich chust jest pani gotowa uczynić każde świństwo. Nie ma pani żadnej szansy, by nie skończyć jako podstarzała dziwka lub żebraczka. Nie jest pani, jak inne, urodzoną dziką. Zalotność nie leży w pani naturze. Ale pani musi być zalotna i musi robić dobrą minę, by nazbierać sto takich chust, które na starość będzie można sprzedać. To pani renta i trzeba ją wydusić od tych rozpustników.

Helena gorzko się uśmiechnęła. Fiszer był zdumiony, że już teraz Helena ma na twarzy uśmiech postaci, którą dopiero ma zagrać.

- Mamy też służącą - powiedział Bogusławski do Melcerówny. - Zaledwie dwie, może trzy kwestie w końcówce. Jeśli uda się pani tak wypaść w finale, by zamiast pani zagrały tylko pani piersi, wówczas w tej ogólnej szczęśliwości i wśród padających sobie w objęcia par pani piersi zagrają główną rolę. Nie da się ich nie zauważyć, wpychają się w usta każdemu. I proszę się uśmiechać, ale tak brzydko, z taką dozą zepsucia, jak tylko pani potrafi.

Melcerówna uśmiechnęła się. Tak właśnie.

Tajemniczo uśmiechnął się również Dmuszewski wyznaczony na reżysera tej sztuki.

- Ku memu największemu żalowi - oznajmił Bogusławski - o panach nie mogę powiedzieć wiele dobrego. Mój syn, zdaniem autora, zapałał szczerą miłością na widok naszej małej modystki. Tyle że w sztuce mamy dziwną scenę pojedynku: mój syn walczy z porucznikiem Szteinem, który go wyzwiał w obronie czci siostry. Ciekawe, że pojedynek nie kończy się krwawo. To jedyna naprawdę wielka scena w tej sztuce, tu pan Kotzebue dał się porwać talentowi i zapomniał o swoich mądrych interpretacjach. Nagle widzimy, jak Szein odsłania pierś, by mój syn mógł przesyć go szpadą. Ten jednak przerażony nie zadaje ciosu i zaczyna idiotyczną rozmowę z porucznikiem. Szein w końcu występuje, iż jest baronem. Od początku sztuki czekał na taką okazję. Mój syn wybuchą radością i w tej doniosłej chwili wyznaje swą gorącą miłość do nieobecnej Henryki. Sytuacja jest jasna, zakochał się w tytule,

a nie w dziewczynie.

- A co ze mną? - spytał zniecierpliwiony Malinowski, odgarniając czarne kędziory.

- Pan, panie poruczniku Sztein - odparł Bogusławski - jest zgodnie z tekstem postacią uczciwą, pełną poświęcenia i szlachetną. A według mnie jest pan próżnym, odmóżdżonym i skłonnym do nieobliczalnych burd baronem. Zgodnie z tekstem pan, sympatyczny porucznik, szuka pracy. Ja w to nie wierzę. Pan chce pasożytować na swej siostrze. Zostawił pan żonę na wsi, bo rodzina pana nudzi i panu przeszkadza. Wiesz, co mi zagraj, mój królu? Polskiego bohatera. Wyobraź sobie, że Sztein jest szwoleżerem, żołnierzem Napoleona, złupił Hiszpanię, gwałcił rosyjskie chłopki, a teraz wrócił do domu i chce żyć za darmo, powołując się na to, że przelewał krew za niezawisłość Polski.

- Ale przecież jestem bohaterem - zaprotestował Malinowski. - Bohaterem, którego pozbawiono służby wojskowej, stopnia, wszystkiego.

- Oczywiście, mój królu - z kamienną twarzą odparł Bogusławski. - Właśnie o tym mówię.

Ledóchowska z trudem powstrzymała śmiech.

Potem Bogusławski pouczył Zdanowicza, że Krautmann, dzierżawca u hrabiego, ukrywający u siebie Amalię, jest w zasadzie stręczycielem, a Ledóchowskiej wyjaśnił, iż rolę pani Wunszel, wiecznie paplającej staruszki, dostała dlatego, że to gadatliwe stare babsko jest w tej sztuce jedyną znaczną postacią.

- A znaczną dlatego - odpowiedział Mistrz - że jest kompletnie głupia i nie ma nawet tyle rozumu, by popełnić jakąkolwiek podłość. Myślę, że nie muszę wchodzić w szczegóły.

Nie musiał.

Żółkowska poskarżyła się, że nie wie, jak podejść do roli starej hrabiny, wiele razy rolę czytała, miała piekielną, bezsenną noc, ale postaci nie czuje, nie jest w stanie jej zagrać. Bogusławski wysłuchał jej spokojnie.

- Hrabina to postać najbardziej podła w całej sztuce - oznajmił uspokajająco. - Według autora rozplątuje wszystkie wątki i w swej dobroci kojarzy pary. My jednak, Mario, widzimy i to, że hrabina rozkoszuje się ludzkim cierpieniem. Trudno było pani wyobrazić sobie tę postać, Mario, bo intuicyjnie wyczuła pani, że nie można jej zagrać tak, jak ją napisano.

Żółkowska rozpromieniła się.

- Oczywiście także hrabina jest głupia - ciągnął Bogusławski. - Nie dostrzega, że wszyscy są zepsuci, i do końca żyje w przekonaniu, iż te pary naprawdę się kochają. Właśnie dlatego na przykład przeciąga jak może spotkanie Amalii ze Szteinem, na polecenie hrabiny Amalia podsłuchuje jej rozmowę, a hrabina stawia porucznikowi tak kłopotliwe pytania, że

w końcu Szeitein zdradza, iż w jego życiu są także inne kobiety. Hrabina grzebie w duszy porucznika, ale nie dostrzega, że Szeitein jest mądrzejszy od niej i wie od dawna, iż żona ich podsłuchuje. Między dwiema zepsutymi, choć w różny sposób osobami nie może być porozumienia, co już dawno zauważyłem.

Żółkowska przytaknęła z entuzjazmem, tak, ona też o tym myślała.

Na koniec Bogusławski poprosił Żółkowskiego i Rutkowskiego, by grając, błaznowali, jak tylko można.

Niezadowolony Żółkowski stęknął, że nie potrafi ot, tak sobie błaznować i choć to prawda, że Baltazar jest postacią drugoplanową, to przecież jakoś należałoby ją wykreować, a tu znów zostawia się go samemu sobie, nikt go nigdy nie instruuje, każdy ma go za beztalencie, cholera jasna.

Bogusławski poprosił aktorów, by do premiery w miarę możliwości nie rozpowiadali o koncepcji sztuki, bo Dmuszewski jako reżyser mógłby mieć niepotrzebne kłopoty.

- Będzie z tego skandal - powiedziała Ledóchowska, która wychodziła ostatnia.

- Niech sobie będzie - odparł Bogusławski. - Teatrowi skandal wychodzi na dobre. Ale nie będą mieli do czego się przyczepić. Kotzebue to marka. Akcja dzieje się w Wiedniu, kilka dobrych lat przed Metternichem. I zdradzę pani: zgodnie z tekstem stary Klingsberg cierpi na podagrę, w związku z czym całą sztukę przekuśtykam.

- Niech pan tego nie robi.

- Czemu nie? Nikt nie będzie miał odwagi pomyśleć o kuśtykającym Zajączku.

- Liczę tylko na to - powiedziała Ledóchowska - że nikt z nas nie jest na tyle dobrym aktorem, by konsekwentnie zrealizować pańskie zalecenia. Po co obsadził pan Joannę? Wszyscy plotkują, że chodzi do pałacyku Brühla i wraca stamtąd karetą.

Bogusławski coś tylko odburknął.

- Chyba nie obawia się pani, Trusiu, że wezmą to za aluzję?

- Ja bym się z tego nie wyśmiewała. I po co opiera pan finał na biuście Melcerówny? Jak mówią, ta dziewczyna uczestniczy w orgietkach, tańczy nago i polewają ją czekoladą, którą potem wylizują.

- Coś takiego.

- Te orgie organizuje Nowosilcow z kompanami, Okołowem, Roźnieckim, Birnbaumem i innymi starymi capami.

- Ejże, czyżbyśmy byli aż tak zepsuci?

Ledóchowska ze smutkiem popatrzyła na rozbawionego Mistrza.

- Niech pan powie, Mistrzu, czemu jest pan tak zgorzkniały?

- Sam nie wiem - powiedział Bogusławski. - Nie mam żadnego powodu.

- Wie pan oczywiście, że ojciec suflera jest donosicielem?

- Co też ty mówisz, Trusiu! - załamał ręce Bogusławski.

- Nie myśli pan, że jeszcze przez lata będzie pan musiał grać?

Bogusławski wzruszył ramionami.

- Czy gram zgodnie z ich gustami, czy nie, i tak mnie załatwią. A tak mam dla siebie przynajmniej kilka miłych chwil. Cóż ja mogę stracić? Majątek? Zabić mnie, nie zabiją. Aż do przesady będą nad tym czuwać w królestwie konstytucyjnym, by nie robić żadnego skandalu.

- Ale nie pozwolą też grać.

- A teraz pozwalają?

Następnego dnia nie mogli przystąpić do prób, gdyż Osiński oznajmił: z powodu wyczerpania nerwowego Kudlicza w *Cynnie* zagra Bogusławski. Bogusławski wahał się, czy przyjąć tę rolę. Jednocześnie Osiński nadmienił, że Ledóchowska także nie będzie w najbliższym czasie wolna, gdyż przydzielił jej główną rolę w *Atalii*. Bogusławski wiedział, że tej propozycji Ledóchowska nie odrzuci.

- Innych trudności nie ma? - spytał.

Osiński z zatroskaną miną oświadczył, że Zdanowicz będzie Figarem w *Cyruliku sewilskim*.

- Mam nadzieję, że nie przysporzy to żadnych trudności - dodał.

Bogusławski roześmiał się.

- Malinowski przypuszczalnie zagra w Niemcewiczu, a Żółkowska niespodziewanie dostanie benefis - rzucił jakby lekceważąco do Osińskiego. - W porządku, mój królu. Przełożymy próby.

W głębi serca był szczęśliwy, że wkrótce znów będzie mógł zagrać.

- Nie cierpię tych francuskich klasyków - powiedział Ledóchowskiej. - Są śmiertelnie nudni.

Ledóchowska także była szczęśliwa; teraz Mistrz sto razy będzie mógł się zastanowić, czy warto walić głową w mur.

Premierę *Cynny* w dawnym tłumaczeniu Osińskiego wyznaczono na 24 grudnia. Tego dnia uroczyste zostanie ogłoszona konstytucja, a jednocześnie świętować się będzie rocznicę urodzin cara Aleksandra.

- Ci to mają szczęście - z goryczą perorował w knajpcie Malinowski. - Przez przypadek całe Boże Narodzenie mogą zamienić w święto prawosławne.

Bogusławski nie podzielał złego humoru Malinowskiego. Będzie grać! Car Aleksander opuścił już Warszawę, ale poza nim przedstawienie obejrzy cała wierchuszka władzy.

Odbyły się tylko dwie próby, ale i tak więcej nie trzeba było robić: w tak wzniosłej sztuce aktorzy stoją zazwyczaj przy rampie i zwrócieni twarzą ku widowni mówią i mówią, i mówią długie monologi. Takiego teatru Bogusławski nie cierpiał. Tym razem wyjątkowo nie wściekał się na nudę, bo też nie musiał się troszczyć o szukanie kontaktu z partnerami na scenie, a ze Szczurowską i Werowskim przypuszczalnie i tak to by się nie udało. Bogusławski zdawał sobie sprawę z zalet roli Augusta i czuł się w niej bezpiecznie. Nikt nie mógłby napisać recenzji, która zawierałaby jakkolwiek krytyczną uwagę pod adresem aktora kreującego postać cara, bo wówczas wstąpiłby przeciw carowi.

- Zagram bardzo źle - zapowiedział Ledóchowskiej. - Nic oryginalnego nie wymyślę.

Jednak wymyślił. Na próbach melodyjnie deklamował tekst, który całkiem dobrze pamiętał jeszcze z wcześniejszych przedstawień, a w domu z pomocą Marianny, która mu partnerowała, ciężko pracował nad rolą. Zgodnie z tekstem August to najspokojniejsza ze wszystkich rola, w jego żyłach zamiast krwi płynie woda i choć przyszło mu ponoć rządzić w atmosferze pełnej zdrad i spisków, z niewzruszonym spokojem filozofuje i zachowuje się w sposób niezwykle afektowany. Bogusławski ćwiczył długie, wygładzone monologi, biegał niespokojnie po pokoju, niekiedy przystawał, szczerzył w uśmiechu zęby, zgrzytał nimi i dalej trajkotał tekst. W przestraszonych oczach Marianny dostrzegł, że ten szalejący cesarz budzi lęk nawet wtedy, gdy jego słowa są pełne namaszczenia.

W noc poprzedzającą premierę Bogusławski przerwał nagle bieganinę, przystanął i spytał:

- Czy jestem dość przerażający?

- Aż nadto - odparła zatroskana Marianna.

- Przekleństwo - sarknął Bogusławski i wyduł wargi. - Całą energię angażuję w pozory. Muszę być rozbiegany wewnętrznie, a nie na scenie. W ten sposób nie jest to przerażające, tylko śmieszne. Czemu nie powiedziałaś?!

Marianna milczała przestraszona.

Bogusławski zaczął sprawdzać, jakie wrażenie wywiera tekst, gdy wypowiada się go bez bieganiny i szczerzenia zębów, tłumiąc wewnętrzne napięcie. Tylko z rzadka można było wyczuć w sposobie akcentowania, że dobrotliwy i mądry cesarz w każdej chwili może wybuchnąć nieludzkim wrzaskiem. Ani razu tego nie robi, lecz publiczność będzie na to czekać.

- Już mam - rozchmurzył się. - I co dziwniejsze, ten proces poszukiwań powtarza się już od czterdziestu lat i zawsze mi się wydaje, że właśnie odkrywam go po raz pierwszy.

Później jeszcze dorzucił:

- Swoją drogą w ten sposób jest to mniej niebezpieczne.

Przybyli dostojnicy, panie paradowały w strojach balowych. Stan gotowości wokół teatru i na jego tyłach, a także za kulisami był prawie taki sam jak wtedy, gdy teatr zaszczylił swą obecnością car. Bogusławski przemierzał nerwowo scenę i co chwila przez szparę spoglądał na widownię. Przy trzecim gongu mocniej zabiło mu serce. Poglądał kulisę, poczuł drżenie w nogach, wydawało mu się, że zaraz zemdleje.

Zaczął się spektakl. Bogusławski, który do wejścia na scenę miał jeszcze pół godziny, cały ten czas spędził na zapleczu, spacerując nerwowo na drżących nogach za kulisami i słuchając deklamacji pozostałych aktorów. Mógł ich zobaczyć jedynie wtedy, gdy czasami odchodzili w głąb sceny. Zapomniał o wszystkich krzywdach i osobistych animozjach, dobrze znane głosy przywdziały teraz w jego wyobraźni rzymskie maski, a on, August, przechadzał się od kulisy do kulisy i zgrzytając zębami, powtarzał sobie, że musi, mimo wszystko musi okazać łaskę tym nikczemnym łajdakom, którzy zamordowali cesarza.

Wczuwanie się w rolę nie przeszkadzało mu czuć przeciągu na scenie ani też słyszeć dość głośnych szeptów majstra od dekoracji i jego pomocników. Obok dziadzia Harazyna drzemiącego przy rekwizytach kręciły się dwie staruszki w podniszczonych sukniach; służący wyniósł z zaplecza butelkę wódki, widocznie podczas antraktu dostojni panowie będą sobie popijać u dyrektora; biednie ubrana kobieta w średnim wieku rozmawiała z inną, a dokładniej mówiąc, ciągnęła monolog: „Czemu jesteś taka smutna?” - spytała, a nie otrzymawszy odpowiedzi, rzuciła: „Ja też jestem dzisiaj jakaś smutna”, po czym dodała jeszcze: „Wszyscy są tacy smutni”. Bogusławski zakonotował sobie tę rozmowę, słuchając jednocześnie pokręconego tekstu Osińskiego, którego już dawniej tyle się nasłuchiwał, że znał go niemal na pamięć; srogim i władczym tonem poprosił inspicjenta Zielińskiego o wodę i wypił ją, trzęsąc się, zgodnie z rolą, ze złości.

Tak bardzo wszedł w rolę, że o mały włos spóźniłby się z wejściem na scenę. Nie dosłyszał końcowej kwestii Emilii, czyli Dmuszewskiej, ale wałęsający się bezproduktywnie za kulisami Żółkowski w ostatniej chwili wypchnął go na scenę.

Bogusławski zaczął tak, jak to przećwiczył w domu, lecz widownia obserwowała go z rezerwą i bez zainteresowania. Mistrz przez dobrą chwilę miotał się w pustej przestrzeni, a kiedy wrócił za kulisy i zobaczył przerażone spojrzenia innych, zrezygnowany machnął ręką, ale znalazłszy się ponownie na scenie, deklamował już tak samo bez emocji

i melodyjnie jak na próbach.

Spektakl dobiegł jakoś końca. Ledóchowska powiedziała potem, że wcale nie był taki zły i dobrze, że Mistrz umiał zmienić styl. Bogusławski ciskał się ze złości, że sufler jest za cichy, a dekoracje źle poustawiano.

- Miałem już większe sukcesy - oświadczył, ochłonawszy nieco w teatralnej knajpce. Kilka osób pogratulowało mu, a on zachowywał się tak, jakby się cieszył.

Sprawdziły się przewidywania Osińskiego. Następnego dnia panowało powszechne przekonanie, że to już nie ten dawny Bogusławski.

- Nie był dostatecznie rozluźniony - stwierdził Szymanowski, który nie widział spektaklu.

Nazajutrz wieczorem Bogusławski już nie eksperymentował, od początku do końca grał tak jak pozostali.

Z ponurą twarzą przeczytał kilka dni później długą recenzję zamieszczoną w "Gazecie".

- Kto napisał te bzdury? - wypytywał wszystkich.

Nikt nie wiedział. Recenzja była podpisana X.

- Ostrzegałam Mistrza, by uważał - powiedziała Ledóchowska i pokazała mu numer sprzed tygodnia, w którym zamieszczono recenzję ze sztuki Niemcewicza *Władysław pod Warną*. Także pod nią autor podpisał się jako X. Nie analizował sztuki, tylko opowiedział jej treść i narzekał, że aktorzy nie pamiętają tekstu; kto zaś go umie, jak Ledóchowska, mówi za cicho; czas też przenieść gdzie indziej suflera, gdyż aktorzy nie mają odwagi podejść do rampy w obawie, że nie usłyszą podpowiedzi.

- Wszyscy umieliśmy role - skomentowała Ledóchowska - ale dla niego jest za cicho, jeśli ktoś nie zdziera sobie płuc, tylko mówi naturalnie.

Bogusławski odburknął coś, przedstawienia nie widział ani nie zamierzał oglądać. Raczej raz jeszcze przeczytał recenzję z *Cynny*. Krytyk wynosił pod niebiosa przekład Osińskiego i dokonany przez niego wybór sztuki, na wszelki też wypadek napisał jedno pochlebne zdanie o Bogusławskim: „Pełen lat i zasług pan Bogusławski przejęty wielkością Rzymu i osoby, którą wystawia, wzniosł się (w pierwszym szczególnie wystawieniu) do godności samego Augusta, a poważną i dokładną wymową przydał zalety samemu wierszowi”, poza tym jednak snuł długie wywody filozoficzne na temat sztuki Corneille’a i nie wykorzystał nawet okazji, by w zakamuflowanej formie napisać panegiryk na cześć cara.

Ponad siedem lat temu Bogusławski grał tę rolę na cześć króla pruskiego, wówczas

musiał się wznieść do majestatu pruskiego władcy. Przyszło mu na myśl, że Fiszer z pewnością będzie nim teraz pogardzać, i uśmiechnął się. Biedne dziecko, pomyślał, nie ma pojęcia, co znaczy grać. Nieważne nawet, czy poniesie się porażkę. Nic się nie liczy, byle tylko grać. Wszystkie intrygi, przepychanki, upokorzenia, zdrady i nikczemności są tylko po to, by człowiek mógł się w końcu znaleźć na tej ograniczonej z dwóch stron żelaznymi drzwiami przestrzeni, gdzie tworzy się niemożliwa do opisanego słowami więź między aktorem a aktorem, między aktorem a widownią, więź niepodobna do niczego, więź, o której nie może nawet śnić nikt z zewnątrz, najpiękniejsza, najbardziej bliska i wzruszająca więź między człowiekiem a człowiekiem, pełna nieoczekiwanych głębi, pełna objawień, radości i bólu, piękniejsza niż miłość, bardziej intymna niż przyjaźń; nie ma w niej nic z ustawicznego liczenia na pomoc innej osoby ani dziecięcej, prymitywnej radości z gry; zadziwiające, fantastyczne i wszechogarniające poczucie pełni, kiedy człowiek jest czymś więcej niż tylko sobą, gdy rodzą się nowe przymioty i cechy nieznanie nawet jemu samemu, a inne cechy i przymioty rozplývają się podczas gry na scenie; to wzmożone życie, różnorodne i nieprzeliczalne w swym bogactwie życie; przestrzeń między dwiema parami żelaznych drzwi wypełniona jest cudami.

Dla tego warto żyć, a kto tego nie wie, temu próżno to tłumaczyć.

W sylwestra odbyła się premiera nowej komedii Niemcewicza *Pan Nowina*. Nieciekawa sztuka odniosła zasłużony sukces, potem całe towarzystwo, także ci, którzy w niej nie grali, z Osińskim i autorem na czele, poszło do Chovota, by powitać Nowy Rok i spić się dokumentnie za pieniądze Niemcewicza. Bogusławski też tam był. Osiński pił mało, lecz zachowywał się tak, jakby był pijany, a Bogusławskiemu, którego przede wszystkim interesowała osoba X-a, nie udało się wyciągnąć od Niemcewicza niczego ciekawego. Z niewinną miną Niemcewicz oznajmił, iż nie zna tego człowieka, a jego recenzji nie czytał. Bogusławski był pewien, że Niemcewicz dobrze zna pana X, o ile sam nim nie jest.

Po północy, w pierwszych minutach Nowego Roku, dobrotliwa i długonosa Żółkowska dzięki staraniom podjętym jeszcze pod koniec starego roku doprowadziła do tego, że Osiński i Bogusławski tręcili się kieliszkami. Akt ten powitano owacją, brawami i wołaniem o bis. Żółkowska z zażawionymi oczami podchodziła do aktorów i opowiadała każdemu o tym wiekopomnym wydarzeniu, o pogodzeniu się dwóch wielkich ludzi, które jest ostateczne i nieodwracalne, dzięki któremu w przyszłości nie trzeba się będzie obawiać rozdźwięków w teatrze.

- Musimy trzymać się razem, w końcu jesteśmy polskimi aktorami - argumentowała z przekonaniem.

W popijawie nie uczestniczyły ani Joanna, ani Melcerówna. Z pewnością obie witały Nowy Rok w bardziej wytwornym towarzystwie. Bogusławski zauważył, że Henryk Macrott chyłkiem przycupnął blisko Osińskiego.

Tłumnie otaczano Wolskiego, który od wizyty cara zyskał, dzięki aresztowaniu, dużą popularność i także teraz opowiadał o swoich przeżyciach na wojnie.

- Podczas wielkiego odwrotu - wspominał zapatrzoną w przestrzeń - na zasypanym śniegiem pustkowiu, przy czterdziestostopniowym mrozie, z odmrożonymi uszami, nogami i palcami przypomniałem sobie, że było gdzieś miasto, Warszawa, w którym był teatr, a my siedzieliśmy tam na widowni, w ciepłe, i oglądaliśmy przedstawienie, kochaliśmy się w aktorkach i rzucaliśmy im kwiaty albo obrzucaliśmy jajkami, i biliśmy brawa albo gwizdaliśmy, i klęliśmy na przedstawienie, i takie były czasy pokoju... Opowiadałem wszystkim, że w Warszawie był teatr... i wszyscy płakali, a łzy zamarzały nam na twarzach... że gdybyśmy mogli jeszcze raz się tam znaleźć, w tym przytulnym ciepłe, i nie mieć nic innego do roboty, tylko patrzeć na przedstawienie... To było jak sen, jakby nigdy nie istniał żaden teatr ani nie było Warszawy, tylko to zasypane pustkowie, na którym umieraliśmy.

Wolski przerwał na moment, a po chwili ciągnął dalej:

- Tylko po co ja teraz o tym opowiadam, teraz to zaśnieżone pustkowie jest snem, jakby to wszystko mi się nie przydarzyło, przecież trudno sobie wyobrazić, by teatr tak bardzo mógł być wszystkim. Czy to nie dziwne? Opowiadam, że było tak a tak, ale sam już nie za bardzo wierzę, że dla nas teatr był tam, na pustkowiu...

Malinowski przerwał mu, mówiąc, że przedwczoraj powróciło z Francji dwa tysiące polskich żołnierzy, którzy w zeszłym roku towarzyszyli Napoleonowi na Elbę. Pogłoskę potwierdził także milczący do tej pory Rivoli, dodając, że ich dowódca Jerzmanowski nie wrócił z nimi, został na emigracji podobnie jak Kniaziewicz, Woyczyński i Paszkowski.

- Teraz ich zdemobilizują - dorzucił Malinowski.

Inni dowodzili, że powracający żołnierze otrzymają przyzwoite renty; Wolski prorokował, że zostaną rozmieszczeni na całym obszarze Królestwa Polskiego, by przypadkiem nie mogli się więcej spotykać.

Później Wolski opowiadał plotki dotyczące rywalizacji w wyższych kręgach wojskowych; o ile mu wiadomo, kłócą się głównie o to, kto półtora roku temu ocalił Napoleonowi życie w bitwie pod Arcis-sur-Aube. Zdaniem Wolskiego to ocalenie przypisują sobie zarówno Koziętulski, jak i Łubieński oraz Skrzynecki, chociaż prawda jest taka, iż tego bohaterskiego czynu dokonał Ambroży Skarżyński.

Bogusławski pokiwał głową; tak to zwykle bywa.

Nad ranem Niemcewicz, Osiński i Rozalia opuścili towarzystwo, tłumacząc się zmęczeniem. Bogusławski przypuszczał, że idą gdzie indziej, do księcia Mostowskiego lub Nowosilcowa, u tego ostatniego pijatyka będzie trwać do prawosławnego Nowego Roku. Postanowił, że on także nie pozostanie tu dłużej, niech myślą, że jest gdzieś zaproszony. Gestem światowca pożegnał rozpijające się wzajemnie towarzystwo. Wolski wciąż jeszcze snuł swoje opowieści, Bogusławski słyszał go, stojąc w drzwiach.

- Pod Wagram - opowiadał Wolski z zasnutymi już mgiełką oczami - znów od nas zależało przechylenie szali zwycięstwa, Austriacy rzucili do ataku ostatnie oddziały, jeśli przetrzymamy, wygramy, jeśli nie, to koniec, a cesarz może iść na emeryturę. Austriacy szli i szli w naszą stronę zwartymi szeregami, z nałożonymi bagnetami, my staliśmy, czekając, a potem Koziętulski krzyknął: „Naprzód chłopcy, za Polskę!”. I rzuciliśmy się do ataku. Wtem słyszemy, jak po stronie Austriaków też ktoś krzyczy po polsku: „Naprzód chłopcy, za Polskę!”, to byli chłopcy z Galicji. Zwycięstwo przypadło nam, bo z nami był cesarz, ale serca mieliśmy rozdarte, jak nigdy dotąd.

Opowieść Wolskiego poparta żywą gestykulacją trafiała jednak w próżnię. W tym samym czasie Wąsowicz kreślił interesującą historię swojego wuja: starszy pan opuszczał dom w niewłaściwym czasie, wszystkie armie brały go do niewoli, ciągle ktoś chciał go rozstrzelać, a któregoś dnia starowina w sposób graniczący z cudem aż trzykrotnie uniknął szubienicy.

- Wy nic nie wiecie! - wykrzykiwał Wolski z poczerwieniałą twarzą. - Myśmy zdychali na polu bitwy, a wyście robili w Warszawie interesy.

Nikt nie zwracał na niego uwagi, bo nie miał już innych historyjek.

Bogusławski przeszedł Senatorską na plac Zamkowy. Śnieg sięgał do kostek, w pierwszych promieniach świtu dwie postacie sikały u podnóża kolumny Zygmunta, jakby ciekawe, czy strumyczki zamarzną jeszcze w powietrzu. W bramach na Świętojańskiej leżeli śpiący pijacy, do rana kilku zamarznie na śmierć. Na Dziekaniu przyłączyła się do niego jakaś wychudzona, nędznie odziana postać z zapaloną latarnią, ale Mistrz wcale jej nie zauważył, gestykulując i coś mamrocząc, jakby z czymś dyskutował i próbował odpędzić własne widziadła.

Szedł Kapitulną i Miodową w stronę domu. Na wszystkich wejściach do sklepików żelazne kraty i kłódki, na niektórych więcej niż jedna, wszystkie okna zasłonięte okiennicami. W pokoju było zimno, Marianna poszła na sylwestra do syna i nie napaliła wieczorem. Bogusławski nie zdjął futra, przysunął krzesło do zamalowanego kwiatami mrozu okna i wyczekiwał ranka. Brakowało mu Marianny, chciał ją teraz pogłaskać. Na moment rozczulił

się i prawie rozplakał, lecz szybko się opamiętał: jeszcze nie czas.

W tym roku skończę pięćdziesiąt dziewięć lat, pomyślał, i żeby odegnać złe myśli, zaczął się uczyć roli starego Klingsberga.

Drugiego stycznia wezwał go Osiński.

- Są kłopoty z tą sztuką Kotzebuego - powiedział zmartwiony. - Są zastrzeżenia do tekstu.

- Czytałeś ją, prawda?

- Czytałem.

- I zaakceptowałeś.

- Ja tak. Ale potem czytali ją inni.

- O ile wiem, nie ma cenzury - powiedział niewinnie Bogusławski.

- Lipińskiemu nie podoba się w niej kilka rzeczy.

- A co Lipiński ma wspólnego z teatrem?

- Od pierwszego stycznia jest prezesem rady dyrektorów.

Bogusławski milczał.

- Prosił też - ciągnął Osiński - żebym zwołał wszystkich zainteresowanych, by przedyskutować, co z tym zrobić.

- Kiedy to ma być? - spytał Bogusławski, pełen złych przeczuć.

- Dzisiaj. Zaraz po obiedzie. I przyjdzie nowa rada dyrektorów. Lipiński, Kudlicz, Niemcewicz, Pękalski, Dmuszewski, ty jako tłumacz i ja.

- Pękalski? - spytał Bogusławski z nadzieją, lecz powiedział to tak, jakby chciał zaprotestować. - A co prokurator ma wspólnego z teatrem?

- Jest redaktorem naczelnym „Korrespondenta”.

- I co z tego? A Lesznowski jest naczelnym „Gazety”. Jego też mogliście zaprosić, on również zamieszcza recenzje teatralne.

- Pękalski - powiedział Osiński - zamieszcza te same recenzje co Lesznowski. A poza tym jako obserwatorzy przyjdą jeszcze Szaniawski z Włodkiem.

- Więc o której?

- O drugiej, u mnie.

Mam jeszcze trzy godziny, pomyślał Bogusławski. Dmuszewskiego nie znalazł w teatrze, pobiegł więc do niego do domu. Dmuszewski jak zwykle coś tłumaczył.

- Wiesz, co się szykuje? - rzucił Bogusławski, wpadając do pokoju.

Dmuszewski uśmiechnął się zmieszany.

- Chcą zakazać Klingsberga - dyszał ciężko Bogusławski.

- To nie jest pewne - odparł Dmuszewski. - Możliwe, że tylko coś wykreślą.

Bogusławski przerwał mu niecierpliwie i nie dopuszczając go do głosu, przedstawił mu dalsze kroki.

O drugiej w pokoju Osińskiego byli już wszyscy. Bogusławski usiadł skromnie w kącie, skąd obserwował zebranych.

Włodek nienawidzi mnie najbardziej, pomyślał rzeczowo Bogusławski.

Dziecięco naiwna, jakby nieco obrażona twarz starego cenzora niewiele zmieniła się przez lata, usta nadal były wykrzywione grymasem pogardy, tak samo jak w ostatnich latach Królestwa Polskiego, kiedy to, dokładnie pierwszego marca 1794, palnął wielkie głupstwo, wydając zgodę na wystawienie *Cudu mniemanego*. Na jego obronę trzeba dodać, że cenzura była jeszcze wtedy w powijakach, próby trwały już kilka tygodni, Włodek z przesadną gorliwością domagał się dostarczenia egzemplarza dla cenzury, ale Bogusławski przeciągał to jak mógł i dopiero rano, w dniu premiery przesłał mu egzemplarz. Włodek tylko rzucił nań okiem i nie znalazł niczego niewłaściwego. Wieczorem na przedstawieniu zdał sobie sprawę, że stał się ofiarą diabelskiego podstępu, ale było już za późno, publiczność domagała się bisów i wraz z Bogusławskim odśpiewała arię Bardosa. Jeszcze tego samego dnia wieczorem Igelström wysłał kurierem jeden egzemplarz do Petersburga i zarządził śledztwo. Potem wyszło na jaw, że sypnął ich Sierpiński, który powiedział, iż zlecenie na napisanie sztuki Bogusławski otrzymał od wolnomularzy, a co więcej, od samego Węgierskiego. Po drugim spektaklu sztukę zdjęto z afisza. Wezwany na przesłuchanie Bogusławski zwałił wszystko na Niemcewicza, jakby to on napisał, choć Niemcewicza nie było wtedy w Warszawie. Bogusławskiego omal nie zesłano na Sybir, na szczęście jednak wkrótce wybuchło powstanie.

Włodek zbytnio na tym nie ucierpiał, wyszedł z całej historii wyjątkowo dobrze, gdyż stojąc przed trybunałem rewolucyjnym, powołał się na fakt, iż to on wyraził zgodę na wystawienie rewolucyjnej opery, i jeszcze tego samego roku wstąpił do tajnej służby powstańczej - Mistrza również zaproszono do współpracy, ale propozycję z żalem odrzucił, motywując to złym stanem zdrowia; później Włodek wykorzystał swą fachową wiedzę podczas pracy w tajnej służbie najpierw u Francuzów, potem u Prusaków, a ostatnio u Rosjan. Nie należał, to fakt, do uznanych autorytetów, ale byt miał zapewniony. I chociaż karierę zawdzięczał właściwie Bogusławskiemu, w swej nienawiści do Mistrza był nieprzejednany.

Teraz jednak uśmiechnął się do niego. Bogusławski odwzajemnił się tym samym.

Szaniawski z groźnie zaciśniętymi ustami przenikliwie patrzył przed siebie, widać było, iż zdaje sobie sprawę ze swej roli i znaczenia. Z pewnością dniami i nocami stara się na takiego kreować, pomyślał Bogusławski i uznał za wielce prawdopodobne, że ten łajdak

naprawdę ugina się pod ciężarem odpowiedzialności za los kraju. W dziewięćdziesiątym czwartym zaczynał jako jakobin, podlizywał się Kołłątajowi i Kościuszcze. Potem przesiadł się na innego konia, zaczął się parać donosami, a później zdobył zaufanie księcia Czartoryskiego podobno tym, iż w filozofii Kanta i Schellinga czuł się jak ryba w wodzie. Starego Czartoryskiego można było sobie zaskarbić wykształceniem; Niemcewicz, faworyt starego księcia, wyznał kiedyś, że przez tego starego snoba musiał zostać erudyta.

Później Szaniawski zniknął, by nieoczekiwanie znów się pojawić, dwa lata wcześniej Mostowski i Matuszewicz wysłali go z Warszawy do Krakowa, z tajną misją do księcia Poniatowskiego; po to, jak mówiono, by namówił głównodowodzącego wojsk polskich walczących u boku Napoleona do przejścia na drugą stronę. Mostowski i Matuszewicz działali jeszcze wtedy w Warszawie jako ministrowie rządu powołanego przez Napoleona, ale już zaczęli szukać nowych dróg na przyszłość. Poniatowski jednak nie przeszedł na stronę Aleksandra, podążył za wycofującymi się oddziałami francuskimi i bohatersko utonął w Elsterze.

O czym pertraktował Szaniawski z Poniatowskim, tego być może nigdy nie uda się dowiedzieć. Bogusławskiego ubodło to, że Szaniawski pojawił się również na kongresie wiedeńskim jako sekretarz księcia Czartoryskiego juniora, reprezentującego interesy Polski i Rosji; podobno dostarczał informacje i doradzał także samemu Aleksandrowi. Mistrz podejrzewał, że w owym czasie ludzie Mostowskiego prowadzili skomplikowaną podwójną grę i być może misja Szaniawskiego polegała na przekonaniu Poniatowskiego, by do końca trwał przy Napoleonie, gdyż w ten sposób uda się więcej uzyskać od Aleksandra, zwycięsko pracującego do przodu. W każdym razie nikt nie był już w stanie zaszkodzić Szaniawskiemu, został wówczas członkiem Akademii, a potem mianowano go prokuratorem generalnym; Szaniawski, były jakobin, w każdym wystąpieniu głosił świętość zasad katolicyzmu; w każdej epoce umiał iść z postępem.

U Włodka można przynajmniej znaleźć jakieś ludzkie cechy. U Szaniawskiego żadnych. Tacy ludzie w ogóle nie istnieją, pomyślał Bogusławski. Nawet obdarzony znikomą fantazją autor powieści grozy potrafi wymyślić lepszą postać. A teraz takie zero chce zakazać wystawienia sztuki.

Mistrz westchnął; chciałby tu zobaczyć Bacciarellego, kutego na cztery nogi, szczwanego cenzorskiego lisa, któremu nawet najzagorzalsi wrogowie nie mogli zarzucić braku wspaniałego poczucia humoru. Przypuszczalnie nie zaproszono go dlatego, że Bogusławski przyjaźnił się z jego ojcem, słynnym malarzem.

Bogusławski zdecydowanie lubił Pękalskiego. Ten niewysoki mól książkowy,

redaktor naczelny „Korrespondenta”, od kilku lat tłumaczył sztuki dla Bogusławskiego, napisał także trzy własne, a jego opera z muzyką Stefaniego od ośmiu lat cieszyła się wielkim powodzeniem. Pękalski od dawna pisał dowcipne recenzje pod pseudonimem Hiacynt Suflerowicz, a raz, w roku 1812, był nawet członkiem rady dyrektorów. Bogusławski ubolewał, że ostatnio Pękalski go unika, przypuszczalnie dlatego, że wolnomularze powierzyli mu tajne zadania. Podejrzewał, że dał się wciągnąć do którejś z tajnych służb policyjnych i przeżywa teraz duchowe rozterki. Pękalski siedział ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń i na nikogo nie patrzył.

Kudlicz rozsiadł się majestatycznie na krześle i rozkoszował się tym, że będąc tylko aktorem, może wpływać na wielką politykę. Osiński spoglądał niewinnym, dziecięcym wzrokiem i jak zwykle w takich chwilach, jego oczy szkliscie błyszczały. Dmuszewski wiercił się niespokojnie, nie miał odwagi spojrzeć na Mistrza, który siedział kilka krzeseł dalej. Siedzący za biurkiem Osińskiego Niemcewicz nieco ironicznie, ale przyjaźnie uśmiechał się do Bogusławskiego, dawnego towarzysza bojów.

Pierwszy zabrał głos Lipiński.

Jedno oko miał niżej niż drugie, pod oczyma głębokie zmarszczki. Ten gładko ogolony mężczyzna w średnim wieku często się wzruszał, zaczynał wówczas zezować i płakać. Mając oczy pełne łez, przetłumaczył *Bukoliki* Wergiliusza i pisał sentymentalne powieści o niebezpiecznych namiętnościach. Nie pogardzał też odami i przypowiadkami. Jednak najbardziej dumny był z dwóch rzeczy: z książki o poezji chłopskiej oraz z przyjaźni z Nowosilcowem. Wiadomo było powszechnie, iż to on redagował generałowi Wincentemu Krasińskiemu zjadliwe antysemickie broszury.

Lipiński zaczął od powiadomienia obecnych, że posiedzenie nowej rady dyrektorów dnia pierwszego stycznia postanowiło, że w przyszłości nie będzie się grać tak zwanych sztuk popularnych.

Słowem, nie zobaczymy więcej małą na scenie, pomyślał z żalem Bogusławski.

Następnie Lipiński przeszedł do kwestii czystości obyczajów, ciepła ogniska domowego, bezwzględного poszanowania norm religijnych, i przekonująco gestykułując, oznajmił, iż wzniosłym zadaniem teatru jest kształtowanie ludzkich dusz. Powoływał się na poświęcone temu zagadnieniu prace Schillera, ukazał ogromną odpowiedzialność teatru, wrócił do polityki repertuarowej Teatru Narodowego, która w ostatnim czasie odzwierciedla już nową linię i dzięki ofiarnej działalności pana dyrektora Osińskiego wytknęła sobie za cel głoszenie prawdziwych cnót, odrzucając jednocześnie podrzędne, bezwartościowe i budzące zażenowanie banalne aktorstwo.

Lipiński przemawiał z wielkim patosem, czasami załamywał mu się głos, a wywołany emocjami szloch dławił mu gardło.

Bogusławski nieco odetchnął, Lipiński powiedział to, czego od niego oczekiwano.

Lipiński wybuchnął prawdziwym płaczem, gdy przyszła kolej na rozważania o polskiej duszy, której nie udało się zdławić nawet w ciągu tylu lat walki, która odnosiła zwycięstwa zarówno nad wrogiem zewnętrznym, jak i wewnętrznym, która jest silniejsza i potężniejsza niż kiedykolwiek, i w tej walce na śmierć i życie Teatr Narodowy pod merytorycznym kierownictwem pana dyrektora Osińskiego postanowił odegrać wielką, znaczącą i godną podziwu rolę.

Następnie oświadczył, ale już sucho, iż wobec powyższego sztuka Kotzebuego nie spełnia stawianych jej wysokich wymagań, a poza tym propaguje niemoralność, która w obecnej sytuacji jest równoznaczna ze zdradą ojczyzny.

Usiadł i drżącą ręką sięgnął po tabakierkę. Wszyscy milczeli. Bogusławski zrobił zatroskaną minę. Nie patrzył na Dmuszewskiego, przed którym dwie godziny temu odegrał wystąpienie Lipińskiego.

Nadal panowała cisza, nikt nie chciał przedstawić swojej opinii. W końcu odezwał się Pękalski, poprosił o egzemplarz sztuki. Bogusławski omal nie zarżał z radości i z wdzięcznością spojrzął na małego mola książkowego. A zatem Osiński nie przygotował planu ataku.

Pękalski zagłębił się w rękopisie.

Zapadłą na nowo ciszę przerwał Szaniawski.

- Przyłączam się do pana Lipińskiego - powiedział. - Poza tym mam kilka konkretnych zastrzeżeń.

Wyciągnął egzemplarz. Bogusławski zauważył, że nie jest to żaden z tych z rozpisanyimi rolami, które przygotował Henryk.

- W pierwszej scenie drugiego aktu - powiedział Szaniawski - pani Wunszel, mieszkająca we Wiedniu właścicielka oberży, mówi takie oto słowa, cytuję: „Żyję z wynajmowania pokoi. Niedawno mieszkał tu dzielny książę rosyjski, z gwiazdą na piersi. Każdego ranka mył się śniegiem i nie znał nawet słowa po niemiecku. Kiedy odjeżdżał, poklepał mnie po twarzy”... I tak dalej, ciekaw jestem, czy ten passus istnieje w oryginale.

Bogusławski usłużnie wyciągnął z kieszeni egzemplarz po niemiecku i zaczął szukać kwestii pani Wunszel.

- Dalej - kontynuował Szaniawski - w scenie jedenastej drugiego aktu, kiedy Henryka zostaje sama, mówi, co następuje, cytuję: „Och, mój drogi bracie! Twe ramiona nie są słabe,

lecz nie nawykły do szewstwa. Nieszczęście spadało na ciebie tak rzadko, jak ulewa na Świętej Helenie”.

Kudlicz głośno syknął i rozejrzał się, czy inni także zrozumieli aluzję. Długo kręcił się na wszystkie strony, aby każdy widział, że on rozumiał.

Bogusławski powtykał skrawki papieru w niemiecki egzemplarz.

- W scenie piętnastej drugiego aktu - ciągnął Szaniawski z niezwykłą surowością - Adolf von Klingsberg wypowiada słowa, cytuję ponownie: „...los jest bardziej kapryśny niż starożytni Egipcjanie, bo wówczas z cebuli uczynił boga, a prawdziwą cnotę utopił w Nilu”...

Bogusławski wsadził do książki kolejny skrawek.

- Chyba nie muszę wyjaśniać - oznajmił uroczyście Szaniawski - co znaczą te fragmenty. Książę przebywający we Wiedniu to car Aleksander, o którym wszyscy wiedzą, że zwykł się myć w zimnej wodzie. Gwiazda na jego piersi to niedwuznaczna aluzja do Orderu Orła Białego, którym naszego króla tak uroczyście udekorowano przy okazji wizyty w Warszawie. Mieszkaniec Świętej Heleny z ulewą to Napoleon. Ta aluzja jest szyta zbyt grubymi nićmi i ordynarna. Mówienie o egipskich bogach odnosi się do wyprawy wojennej generała Dąbrowskiego, a jeszcze wyraźniejsza jest wzmianka, że z cebuli robimy sobie boga.

- Jak to? - spytał, zrywając się, Pękalski.

- Z cebuli, czyli z cebulastych kopuł - tłumaczył z pełną ironii wyższością Szaniawski.

- To szydzenie z prawosławnej religii państwowej. Takiej sztuki rojącej się od wyrafinowanych i podłych aluzji nie możemy wystawić.

Bogusławski podał mu niemiecki egzemplarz.

- Całkowicie zgadzam się z panem Szaniawskim - powiedział - ale proszę zerknąć, wszystko to słowa autora, a ja tłumaczyłem dosłownie.

Szaniawski przejrzał zaznaczone fragmenty i poczerwieniał. Lipiński także je przeczytał. Książka obiegała wszystkich i wróciła do Bogusławskiego. Zapadło kłopotliwe milczenie. Nasyciwszy się wywołanym wrażeniem, Bogusławski zabrał głos:

- Te zdania należy bezwzględnie wykreślić, rzeczywiście wykazałem tutaj karygodną lekkomyślność, bardzo dziękuję, że panowie zwrócili mi na to uwagę. Co kilka par oczu, to nie jedna. Popełniłem błąd, biorąc poważnie zalecenie pana Osińskiego, by przekład był wierny, by niczego nie dopisywać ani nie skreślać.

Nogi Osińskiego zaczęły dziwny taniec pod biurkiem.

- Sądzę - zauważył Niemcewicz - że nie ma sensu czepiać się poszczególnych zdań, spójrzmy raczej na całość pod kątem wartych przemyślenia uwag pana Lipińskiego.

Bogusławski przytaknął i zerknął na Dmuszewskiego.

Możliwe, że Niemcewicz chce mi pomóc, pomyślał.

Dmuszewski chrząknął nerwowo, jakby stremowany.

- Pan Dmuszewski chciałby coś powiedzieć - uprzedził Osiński.

- Jestem zaskoczony - zaczął Dmuszewski, czerwieniąc się - że pojawiły się tutaj zastrzeżenia w odniesieniu do dzieła pana Kotzebuego. W dalszym ciągu uważam, że osoba autora jest dla nas gwarancją. Pan Kotzebue, chciałbym to panom przypomnieć, rozwinął ofiarną działalność w Rewlu, od lat jest gubernatorem carskim i nie sądzę, byśmy mogli znaleźć kogoś bardziej odpowiedniego na stanowisko nadwornego autora Teatru Narodowego.

- Mówimy o sztuce - zwrócił uwagę Szaniawski.

- Zastanawiam się - wtrącił się Bogusławski - co by się stało, gdyby, powiedzmy, Wielki Książę lub car dowiedzieli się, że nie chcemy wystawić sztuki wiernego sługi imperium rosyjskiego. Dzięki swemu pochodzeniu i powołaniu pan Kotzebue jest ucieleśnieniem pruskiej i rosyjskiej strony Świętego Przymierza, a obierając za miejsce akcji Wiedeń, odzwierciedla także trzeciego partnera.

- Zapewniam panów - ciągnął nieco już spokojniej Dmuszewski - że wybierając tę sztukę, kierowaliśmy się najlepszymi intencjami, nie mówiąc o tym, iż z powodzeniem graliśmy już niezliczoną ilość sztuk tego autora.

- To jeszcze o niczym nie świadczy - odparł podenerwowany Szaniawski.

Bogusławski wzrokiem bez wyrazu spojrział mu w oczy. Trzy lata temu pełniący funkcję cenzora Szaniawski zakazał grania *Beniowskiego* i od tamtej pory robił się nerwowy na sam dźwięk nazwiska Kotzebue.

- Pan La Harpe - argumentował Szaniawski - miał jak najgorszą opinię o sztukach pana Kotzebuego. Nie znalazł w nich nawet śladu trzech jedności. A przecież pan La Harpe znał się na dramacie.

- Za pozwoleniem - przerwał mu Bogusławski. - Ja też niezmiernie cenię sobie opinię pana La Harpe'a, ale jeśli mnie pamięć nie myli, nigdy nie pisał o sztuce *Dwaj Klingsbergowie*.

- Niewątpliwie dlatego - zareplikował Szaniawski - że uważał ją za jeszcze słabszą od pozostałych. Pan La Harpe w ogóle nie miał dobrego zdania o sztukach Kotzebuego i ten fakt musimy wziąć pod uwagę, zwłaszcza jeśli uzmysłowimy sobie, iż pan La Harpe był guwernerem naszego nowego króla Aleksandra.

Na moment zrobiło się cicho, milczenie przerwał Niemcewicz:

- Dla mnie jednak bardziej przekonujący jest fakt, że pan Kotzebue jako urzędnik cara,

a obecnie także naszego króla, przyczynił się w Rewalu do rozkwitu imperium.

- Doprawdy postać pana Kotzebuego jest kontrowersyjna - zauważył ostrożnie Lipiński.

- Nie zapominajcie panowie, że car skazał już raz pana Kotzebuego na Sybir.

- Piętnaście lat temu - odparł Bogusławski. - A kilka miesięcy później ułaskawił i zezwolił na powrót do Petersburga.

- Kotzebue napisał wyśmienitą książeczkę o katordze - włączył się ponownie Niemcewicz. - Wstrząsająca lektura, mnóstwo w niej nędzy i spustoszenia, panowie jej nie czytali?

- Z jakiegoś powodu - rzekł drwiąco Szaniawski - trzeba go było skazać na zsyłkę. Czy to panów nie zastanawia?

- To było piętnaście lat temu - powtórzył Bogusławski - a nie trzy lata temu, jak to się zdarzyło w przypadku naszego wielce szanownego namiestnika, generała Zajączka.

- Na tej podstawie - powiedział Niemcewicz - moich sztuk również nie wolno byłoby wystawiać, wszak i ja siedziałem w Twierdzy Pietropawłowskiej. Pójdę do ministra spraw wewnętrznych i powiem, by mnie też zakazano grywać... Chociaż właśnie sobie przypominałem, że i on siedział w tej twierdzy... No i kłopot.

Tę odsłonę my wygraliśmy, pomyślał Bogusławski i spojrzał dobrodusznie na Szaniawskiego.

Wszyscy chwilę milczeli, pierwszy oprzytomniał Dmuszewski:

- Akcja toczy się w tysiąc osiemset pierwszym roku, nie może więc zawierać aluzji na temat Napoleona ani cara, naszego króla. Pan Kotzebue nigdy, nawet w jednej sztuce nie zgrzeszył przeciw moralności, co więcej, w sztuce tej wyraźnie dąży do uszlachetnienia postaw widzów. Ta komedia mówi o porażce starego Klingsberga, natomiast jego syn, młody Adolf, którego gram ja, zmienia się i żeni z pewną bardzo cnotliwą kobietą. Zresztą wszystkie postacie kobiece są bardzo przyzwoite, dla nich małżeństwo jest rzeczą świętą jako trwała instytucja państwa opartego na zdrowych obyczajach. Autor troszczy się również o to, by nikt nie wyniósł z tej sztuki wrażenia, że obaj hrabiowie są niemoralni, w przeciwieństwie do społeczeństwa.

- A gdzież ta moralność starego Klingsberga? - warknął Włodek.

- Staje się lepszy - powiedział Dmuszewski.

- Hrabia uganiający się za spódniczkami! - jęknął Włodek. - Iście rewolucyjna przemiana!

- Natomiast porucznik Szein - wtrącił się Bogusławski - o którym dowiadujemy się

pod koniec, że jest baronem, to najbardziej przyzwoita i najszlachetniejsza postać w sztuce. Sympatia pana Kotzebuego, proszę tylko uważniej przeczytać sztukę, jest po stronie baronów.

- Sztukę przeczytałem - odparł krótko Włodek.

- Panowie, to niesłuchanie istotne - powiedział Dmuszewski - że bohaterem sztuki jest dobry baron! Teraz w Warszawie, kiedy nasza rodzima arystokracja stała się celem wielu karygodnych i niezasłużonych ataków, trudno byłoby znaleźć bardziej odpowiednią sztukę.

Pękalski parsknął nagle śmiechem, wszyscy odwrócili się w jego stronę. Zakłopotany Pękalski poczerwieniał.

- To wcale nie takie złe - wyjaśnił. - To byłaby dobra pointa.

I to zdecydowało. Jeszcze tylko Szaniawski przyczepił się do kilku źle przetłumaczonych zwrotów, które wspólnie i w wielkiej zgodzie przeredagowali.

W teatralnej knajpce Bogusławski pochwalił Dmuszewskiego.

- Byłeś wielki, mój królu - powiedział - chociaż prawdę mówiąc oni zachowali się jak idioci. Ja na ich miejscu potrafiłbym zakwestionować sztukę. Przyczepiłbym się do stylu, a nie do moralności. Styl to sprawa gustu, nie da się go podeprzeć żadnymi argumentami. Gdyby Lipiński zaczął od stylu, musiałbym teraz szukać innej sztuki.

- Czegoś takiego do tej pory nie było - odparł Dmuszewski. - To dziwne, że nawet o złą sztukę trzeba walczyć.

Bogusławski wzruszył ramionami.

- Wcale nie jest taka zła - powiedział. - I tak lepsza niż gdyby napisał ją Schiller. Przynajmniej można ją grać bez obawy, że publiczność uśnie. Nie najgorszy tekst, aktor ma szansę wypełnić swą grą wszystkie dziury. Gdyby Kotzebue nie był takim podlecem, mógłby się stać drugim Molierem.

Dmuszewski był wniebowzięty, że Mistrz wtajemnicza go w swoje koncepcje.

- Niemcewicz zachował się nad wyraz porządnie - rozważał usatysfakcjonowany Bogusławski - chociaż dobrze wiedział, że należałoby przyczepić się do stylu. Z pewnością pisze nową sztukę i przeznaczył dla mnie którąś z ról. Boi się, że zniszczę mu arcydzieło - powiedział ze śmiechem. - Ale pozostali to kompletni idioci. Z wyjątkiem Pękalskiego.

Dmuszewski także uważał, że to wielcy idioci.

- Kiedyś miałem przeciw sobie rozżłoszczonego króla - wspominał Bogusławski. - Co tu dużo mówić, aniołem nie był. Nawet František Bulla lepiej znał się na intrygach niż Osiński. Piętnaście lat temu zrobił się taki skandal wokół *Otona z Wittelsbach*, że o mały włos straciłbym głowę. Pamiętasz?

- Wtedy jeszcze nie byłem aktorem.

- Zaatakowali mnie jak nigdy dotąd. Na szczęście generał Köhler, gubernator Warszawy, był wolnomularzem, zarekomendował mnie ministrowi Vossowi, więc poszedłem do niego. Minister miał pod sześćdziesiątkę i do tego był ohydny, ale żonę miał czarującą. Poszedłem z nią do łóżka. To było w Poznaniu. Następnego dnia przyszli po mnie i postawili przed królem. Fryderyk Wilhelm przyjął mnie miło, odesłano mnie z powrotem do Warszawy i zamknięto w teatrze. Nie wolno mi było wychodzić z budynku, ale mogłem grać, co chciałem. To była miła kobieta, potem jeszcze raz mi pomogła, w osiemset czwartym, kiedy Döbbelin chciał mnie wygryźć. Pojechałem do nich do Berlina, przyjęła mnie Vossowa, wspomnieliśmy naszą dawną miłość, była już wtedy dość nadgryziona zębem czasu, ale kiedy zobaczyła, że dla teatru gotów jestem znów się z nią położyć, machnęła tylko ręką. Powiedziała, że niezmiernie się cieszy, iż dzięki mnie jej protegowany zaczął być sławny. Chodziło o pewnego młodego kompozytora, Ernesta Theodora Hoffmanna, którego żona jest Polką, a ja wystawiłem jego operę z librettem Brentana. Gdy wróciłem, Döbbelin był już unieszkodliwiony, a ja mogłem przejąć także jego niemiecki teatr.

Bogusławski roześmiał się.

- Inna sprawa - dodał - że na tym splajtowałem.

Dmuszewski cały dzień chodził szczęśliwy, miał poczucie, że to on wymyślił, jak wybronić *Dwóch Klingsbergów*, a Bogusławski jedynie mu asystował.

Bogusławski w dobrym nastroju poszedł do garderoby Ledóchowskiej. Aktorka, otulona dwoma szalami, ślęczała nad *Atalią*. Ról uczyła się zawsze w teatrze, gdyż w jej mieszkaniu było zimno, nie stać jej było na opał, swoją gażę do ostatniego prawie grosza wydawała na kostiumy. Wysłuchiwała radosnego sprawozdania Bogusławskiego i uśmiechnęła się smutnie.

- Co pani jest, Trusiu? - oprzytomniał Bogusławski.

- Męcę się nad *Atalią* - odparła. - Czytam i czytam, i nic mi nie przychodzi do głowy.

- To nie taka zła rola - powiedział Bogusławski bez przekonania.

- Być może.

Bogusławski milczał. Nie chciał zniechęcać Ledóchowskiej do tej roli.

- Niech pan powie, Mistrzu, po co mamy to grać?

Bogusławski natychmiast przypomniał sobie sztukę. Piętnaście, może dwadzieścia lat temu grał w niej Abnera; *Atalię*, złą królową, grała wtedy matka Ledóchowskiej. O czym to jest? *Atalia*, czcicielka pogańskich bogów, zamierza uśmiercić syna króla innego plemienia, młodego Joasza, bo miała sen, że chłopiec ją zabije. Sztuka wypełniona jest odami śpiewanymi przez chór, ale wszystkie te partie trzeba było wykreślić z przyczyn

technicznych, bo nie mieli chóru, który mógłby je sensownie zaśpiewać.

Bogusławski myślał intensywnie, Ledóchowskiej nie można było oszukać.

- Dajemy to w tłumaczeniu Niemcewicza, prawda? - spytał.

Ledóchowska skinęła głową.

- Tłumaczył to lewą ręką w petersburskim więzieniu, bo prawą miał postrzeloną - ciągnął Bogusławski, krążąc myślami wokół utworu - biedakowi Atalia przypominała postać despotycznego cara, a młody królewicz utraconą Polskę. O ile znam jego wrażliwą duszę, każdą łzę przelał w tłumaczony tekst.

- To było dawno - odparła Ledóchowska. - Reżyseruje Kudlicz, nie daje żadnych instrukcji, tylko mówi: macie się wczuć, dzieci. Kurpiński skomponował tak hałaśliwą muzykę, że widownia zesra się ze strachu. Na próżno zmagamy się z chórem, tak wywrzaskuje tekst, że nie można niczego zrozumieć. Tylko Helena jest dobra, w roli Joasza. Istota żalosa i pełna goryczy. Proszę powiedzieć, Mistrzu, co mam robić?

- Sądzę - powiedział Bogusławski - że tragedia nie na tym polega, iż ktoś chce coś zrobić, ale mu się nie udaje, lecz na tym, że ktoś nie chce czegoś zrobić, a mimo to musi. Robi to, czego najbardziej się boi, i od tego ginie. Taka jest zasada, ogólna prawidłowość. Ona decyduje, jakie jest to przeznaczenie. Do wszystkiego człowiek jest w jakiś sposób przymuszony. Zarówno do dobrego, jak i do złego. Sami z siebie bylibyśmy nijacy. Prawdziwa tragedia nie mówi o człowieku, lecz o zasadzie, ogólnej prawidłowości, która szarpie człowiekiem jak marionetką. Uważa się ciągle, że tragedia jest sztuką o ludziach. Nieprawda. Jest sztuką najbardziej nieludzką.

- Co mogę zrobić z Atalią? - dopytywała się cierpliwie Ledóchowska.

- Niech się pani oprze na tym, że Atalia ma rację, szczerze pragnie pokoju, ma to pani w tekście, kiedy pierwszy raz spotyka pani chłopaka.

Ledóchowska przytaknęła.

- Mówi mu, by służył tylko swojemu bogu, ona nie zabrania. Nieszczęście zaczyna się, gdy wychowawcy wpajają w chłopaka fanatyzm, i szczeniak staje się gorszy od inkwizytora. Cóż z tego, że Atalia szczerze go kocha, chce go nawet usynowić, bez złych intencji. Chłopak został wychowany w nienawiści do Atalii. Tak długo spiskuje się i podburza dzieciaka, aż Atalia zmuszona jest przeistoczyć się w krwiożerczą bestię. Jest zmuszona do okrucieństwa, choć można jej zarzucić wszystko, tylko nie okrucieństwo.

- Interesujące - odparła Ledóchowska. - Spróbuję.

Bogusławski roześmiał się.

- Z czego się pan śmieje? - spytała zaskoczona.

- Tylko z tego, że ta koncepcja pokrywa się z ich planem. Niech Polacy zachowają spokój i nie doprowadzają poczciwego Aleksandra do szaleństwa. - Trząśnięty się ze śmiechu. - To oczywiście coś zupełnie innego - powiedział. - Chociaż i w odniesieniu do nas jest to absolutna prawda, ponieważ jednak oni tego chcą, wszystko zamienia się w kłamstwo. Dziwne, prawda? Bo prawda zależy od tego, kto ją głosi.

Zamilkli.

- Nie tak dawno przeżyłem dziwną historię - odezwał się Bogusławski. - Wyjechaliśmy już z Krakowa, zapadał zmrok wokół wzgórza, gdy nagle ukazała się niewielka dolina, a w dole, na polanie, ogarnięty krwawymi płomieniami budynek. Ogień buchał przez okna, sycząc i buzując, wszyscy byli skąpani w czerwonej poświacie. Wysiedliśmy z dyliżansu i staliśmy zapatrzeni. W dole, wokół ognia uwijały się w jakimś ustalonym porządku czarne sylwetki i podsycaly ogień. Choć były daleko, maleńkie jak mrówki, widziałem na ich czołach rogi; miałem wrażenie, że w tym piekielnym gorącu, docierało do nas falami i utrudniało oddychanie, te ciemne istoty wachlują się ogonami. Wiedzieliśmy, że to huta, ale w głębi serca byliśmy przekonani, iż jest to wejście do Hadesu, do którego Wergiliusz poprowadził Dantego. I dostrzeżliśmy, że to nie diabły podsycają ogień, tylko ogień wypływa z siebie wciąż nowe diabły. Drobne uwijające się ciemne pałeczki to duchy ognia, który nieustannie pochłania je i znów wypływa; ten ogień był ogromną, czerwoną jak krew, żywą istotą wijącą się w bólach porodowych, która zgodnie ze swoją potrzebą, a może fantazją, rodzi i wyrzuca z siebie, a potem znów pochłania materię, którą się żywi. Kiedyś w dzieciństwie widziałem hutę, właśnie w okolicach Krakowa, może nawet tę samą, ale nie dostrzegłem wtedy, że to nie ludzie podsycają ogień, lecz on sam wije się w bólach porodowych. Wróciliśmy do wozu, nie rozmawialiśmy, huta zniknęła już za nami i tylko niebo długo jeszcze jarzyło się czerwienią.

Milczeli.

- To też coś takiego, z czym nie wiadomo co zrobić - powiedział po chwili Bogusławski. - Trusiu, jest pani smutna nie tylko z powodu Atalii.

- Ależ skąd.

- Mnie pani nie oszuka.

Ledóchowska zadrżała.

- Od kilku dni jestem śledzona - powiedziała cicho. - Dwaj, czasem trzej mężczyźni czekają na mnie przed domem i idą za mną, póki nie zniknę w teatrze. A wieczorem po spektaklu towarzyszą mi pod sam dom.

- To z pewnością lampiarze - osądził Bogusławski.

- Nie mają ze sobą lamp. Czasem podchodzą i szepczą coś w imieniu mocodawcy, który przysłała po mnie karetę, wolno sunącą za mną. I tak dwa razy dziennie. Nie mogę zasnąć. Kiedy nocą wyglądam przez okno, widzę, że sterczą przed domem.

- Więc lepiej nie wyglądać - odparł Bogusławski.

- Myślałam nawet o tym, by przeprowadzić się z powrotem do mamy.

- Trudno byłoby pani uwolnić się od niej - stwierdził Bogusławski. - To by panią jeszcze bardziej wyprowadziło z równowagi.

- Wiem. Moja matka dzień i noc przekonywałaby mnie, nie bądź głupia, córeczko, taka wytworna kareta, co tu się zastanawiać, idź z tym bogatym panem do łóżka.

- Cóż, to zaiste wielki pech, że nie urodziła się pani dziwką.

- Też żałuję. Przynajmniej miałabym na opał.

- Nie domyśla się pani, kto to może być?

Ledóchowska milczała.

- Zależy mu właśnie na pani?

- Powiedziałam jednemu, że ich mocodawca ma zły gust, jestem drobna, chuda, mam zbyt kościste ramiona, zmarszczki, od noszenia peruk brzydkie i łamliwe włosy, zbyt chude nogi, mam ponad trzydzieści pięć lat, nie nadaję się do zabaw, interesuje mnie tylko moje powołanie.

- Pani wielbiciel, Trusiu, musi być inteligentnym człowiekiem.

Ledóchowska siedziała zapatrzona w swe guzowate palce.

- Okołów - powiedziała.

Bogusławski zbladł.

- Jak pan myśli, powiedzieć Osińskiemu? - spytała.

Bogusławski milczał.

- Do tej pory nic mu nie mówiłam - dodała. - Jest zbyt mały, by stanąć na drodze Okołowowi.

Bogusławski przygryzł wargi.

- Rozważałam już nawet najbardziej szalone rzeczy - ciągnęła Ledóchowska. - Na przykład, by poprosić o audiencję u Wielkiego Księcia, który jak ma dobry humor, jest bardzo rycerski. Albo, proszę się nie gniewać, wykorzystać pana, by wystarał się pan o jakąś niezłą rolę dla Joanny albo Melcerówny... bo one mają dobre układy... pan wie, Mistrzu, że jestem w dobrych stosunkach z Wąsikowskim, on wie to i owo...

- Dlatego został donosicielem.

- Wąsikowski to mój cichy wielbiciel, ale robi to dyskretnie. Mówił, że Melcerówna

chodzi do Nowosilcowa, a Joanna jest kochanką Wielkiego Księcia...

Bogusławski aż gwizdnął.

- Nawet by mi to nie przyszło do głowy - powiedział.

- Gdyby pan jakoś nakłonił te ladacznice, by wstawiły się za mną... ja się do tego nie nadaję. Ale potem zrezygnowałam z tych pomysłów. Nowosilcow pozwala Okołowowi na wszystko, po co miałby mu ucierać nosa z mojego powodu.

- To Okołów finansuje całą tę bandę - stwierdził Bogusławski.

- Wiem. Niech pan powie, Mistrzu, nie ma pan jakiegoś dojścia do Birnbauma?

Bogusławski potrząsnął głową.

- Pytam tylko dlatego, że to Birnbaum udziela Okołowowi kredytów. I gdyby Birnbaum przypadkowo... - Ledóchowska urwała i uśmiechnęła się smutno. - Nie znam się na tych sprawach - dodała.

- Cały kłopot z tym, Trusiu, że Okołów jest nie tylko ohydny łajdakiem, ale także jedynym w Warszawie, który zna się na pieniądzu. Ileż to razy Matuszewicz mówił, że Okołów kradnie, oszukuje, defrauduje, kłamie, fałszuje i donosi, inni zawsze go bronili. Czartoryski już dwa razy wyciągał go z bagna, chociaż Wielki Książę robił kwaśną minę. Mówi się, że Zajączek niedawno Okołowa spoliczkował, być może za jakieś chamskie słowa, potem jednak posłał po niego, błagając, by nie zostawiał go samego podczas obiadu i dotrzymał mu towarzystwa.

Oboje umilkli.

- Mistrzu - powiedziała błagalnie Ledóchowska - pan ma takie dobre stosunki.

- Moje stosunki! - rzucił gorzko Bogusławski. - Moi najwyżej postawieni protektorzy dawno gniją już w ziemi, a ci, co zostali, gniją, chodząc po niej.

- Wyjadę z Warszawy - postanowiła Ledóchowska. - Nigdzie jeszcze poza nią nie grałam, ale w rolach babć chętnie by mnie widziano w Wilnie albo Krakowie.

Bogusławski przechadzał się po pokoju. Ledóchowska skuliła się w fotelu.

- Niech mi pani powie, Trusiu... proszę się nie gniewać, że pytam... czy nie miała pani kochanka, który mógłby teraz pani pomóc?

Ledóchowska potrząsnęła głową.

- Wielki błąd. Pani matka naprawdę mogła panią nauczyć, co powinna robić aktorka, jeśli chce występować. Gdybyśmy mogli szybko włączyć do repertuaru *Intrygę i miłość*, a pani zagrałaby Luizę, może by to jakoś pomogło. Ale to też głupi pomysł.

Umilkł, a po krótkiej chwili podjął:

- Wie pani co, Trusiu, dopóki nie wymażymy czegoś lepszego, proszę zamieszkać

u mnie. Jeśli i tam będą panią nachodzić, przeprowadzi się pani do mojego syna, w końcu Ignacy jest oficerem, ma także ogromny muszkiet, a do płaczu dziecka można się przyzwyczaić...

Jeszcze wieczorem pomógł jej przenieść najpotrzebniejsze rzeczy do siebie. Nie musieli pokonywać dużej odległości, Ledóchowska mieszkała na Miodowej pod numerem 486. Marianna od razu zaofiarowała się, że będzie spać w przedpokoju, Ledóchowska zaproponowała, to ona będzie tam spać, ależ nie, nie i nie, odparła Marianna i zabrała swoją pościel. Bogusławski zżymał się w milczeniu, poszedł do przedpokoju i wrócił z wyniesioną przed chwilą pościelą. Marianna robiła z siebie męczennicę, Ledóchowskiej było przykro i powiedziała, że to nic takiego, iż chodzi za nią trzech uprzejmych przecież panów, przeprasza za swoje historie, na co Bogusławski zaczął krzyżeć, by wreszcie się zamknęły, to on będzie spać w przedpokoju.

- Jesteście przecież spowinowacone, prawda? - warknął do Marianny. - Proszę spać w jednym pokoju z bratanicą. Krew Marunowskiej - dorzucił zgryźliwie.

- Niech pani nie histeryzuje, Trusiu - powiedział rano, kiedy Ledóchowska znów chciała się wyprowadzić.

Przez następne dni Ledóchowska szła do teatru razem z Bogusławskim, z nim też wracała po przedstawieniach do domu. Grała w każdej prawie sztuce, Bogusławski czekał na nią w teatralnej knajpie. W teatrze rozniosło się, że Ledóchowska zaszła w ciążę z Bogusławskim, szeptano także, iż to prawie kazirodztwo, bo któż może wiedzieć, czy swego czasu nie było czegoś między Truskolaską a Bogusławskim, mniej więcej wtedy, kiedy przysłała na świat Ledóchowska. Rutkowski energicznie przykazał córkom, by powstrzymały się od wygłaszania jakichkolwiek opinii. Dmuszewski dokładnie relacjonował Ledóchowskiej wszystkie plotki w nadziei, że tą drogą dowie się o nich również Mistrz. Dmuszewski był zmęczony, miał podkrążone oczy; żona zadręczała go bardziej niż zwykle, więc podejrzewał, iż robi to dlatego, że jest zła, bo Bogusławski ma nową kochankę. A Malinowski pogratulował Bogusławskiemu:

- No, no, Mistrzu - powiedział; Bogusławski patrzył na niego osłupiały.

Wąsikowski, jak nigdy dotąd, zaczął nienawidzić Bogusławskiego i w tajnych raportach donosił, iż ten szydzi sobie z cara i rządu, a kiedy tego nie robi, obraża moralność. W tym samym czasie bezstronny Tobiasz donosił, że w teatrze spokój, Bogusławski też nie broi.

Osiński ocenił uwiedzenie Ledóchowskiej jako kolejny chwyt Bogusławskiego, mający na celu wykazanie tężyzny i młodości Mistrza. Zrobił w myślach przegląd wszystkich

aktorek, które wypadłyby dobrze u jego boku, potem jednak doszedł do wniosku, iż nie powinien mieć kochanki poniżej pewnego poziomu, nawet gdyby zmuszały go do tego okoliczności. Do takich okoliczności należało zaliczyć Rozalię, którą dwa razy dziennie zalewała zółć, że ojciec zdradza jej matkę z dawną wielką rywalką jej - Rozalii - i to, jak mówiła, „na oczach tej idiotki, mojej matki”.

Tak naprawdę w swoim żywiole poczuła się Truskolaska. Energiczna dama postanowiła, że zemści się teraz na Bogusławskim za doznane niegdyś krzywdy, i kiedy już po kilku chwilach rozmowy Ledóchowska wyrzuciła ją ze swej garderoby, przestrzegając, by nie ważyła się tam więcej postawić nogi - to była wielka scena, Truskolaska tarzała się na podłodze korytarza, jakby córka ją pobiła, a licznie zebrani mogli obejrzeć wielką, emerytowaną już aktorkę w kolejnej kreacji - potem kochająca matka poleciała na posterunek, gdzie przestraszonym jej najściem funkcjonariuszom tłumaczyła, że Bogusławski uwiódł nieletnią, tylko ona o tym wie, tylko ona broniła dziewictwa swej córki, pan, oczywiście, zna ją, wielką tragiczkę nazwiskiem Ledóchowska, to prawda, że rozwiedziona, ale jej mężem był prawdziwy hrabia.

W tym czasie kilku jegomościów gorliwie towarzyszyło Ledóchowskiej i Bogusławskiemu w drodze do teatru i z powrotem, a nocami pełniło wartę przy domu na ulicy Długiej.

- Już się przyzwyczaiłem - uspokajał Bogusławski Ledóchowską. - Co tu kryć, lubię być w centrum zainteresowania.

Ledóchowska była podenerwowana, ale ukrywała to ze względu na Bogusławskiego. Mistrz okazał się bardzo miłym *garde de dame*, na krótkiej trasie z teatru do mieszkania przy Długiej prowadził Ledóchowską wolnym krokiem, co chwila przystawał i opowiadał o swoich zamierzeniach, o teatrze i dramaturgii, szczerze i otwarcie, jak nigdy dotąd. Ledóchowska szła u boku gestykulującego Mistrza nieśmiała i nieco zalękniona, jak pełna pokory uczennica; ona także przeżywała te nieoczekiwane lekcje na temat historii teatru i dramatu, tak jak on zapominając na moment, iż kilka kroków za nimi kroczy paru jegomościów, a kręcący się w okolicach teatru znajomi argusowym wzrokiem śledzą każdy ich ruch. Bardziej od nagabywań Ledóchowska bała się spojrzenia Bogusławskiego, pełnego oddania i psiej wierności. Po przedstawieniach Mistrz czekał na nią w teatralnej knajpce i przez myśl mu nawet nie przeszło, iż nie ukrywa swej radości, kiedy widzi w drzwiach nadchodzącą Ledóchowską.

W tym czasie prowadzono równoległe próby nad *Cyrulikiem sewilskim* i *Atalią*, Ledóchowska uczyła się i pracowała w garderobie lub spędzała dzień na scenie. Premiera

Cyrulika sewilskiego odbyła się czwartego, a *Atalii* trzynastego i Osiński zgodził się w końcu, by Bogusławski rozpoczął swoje próby, gdyż wystawienie *Dwóch Klingsbergów* zaplanowano około dwudziestego.

Gdy Bogusławski ponownie zaprosił grających u niego aktorów, Melcerówna oświadczyła, że nie zagra służącej, to dla niej za mało, natomiast chętnie wystąpiłaby w roli Amalii bądź Henryki. Na obskurnej scenie prób pojawiła się w futrze z gronostajów i na podniszczonym fotelu wyglądała dość egzotycznie. Joanna była ubrana skromniej, choć z wyszukaną elegancją, w królewskiej pozie zasiadła w innym, nie mniej odrapanym fotelu, i kiedy Melcerówna skończyła, cicho i delikatnie oznajmiła, że ona także pragnie zagrać Amalię. Wszystkich zmroziło, po chwili Dmuszewska zaczęła chichotać i długo nie mogła przestać.

Bogusławski błyskawicznie ocenił sytuację. By zachować autorytet, powinien natychmiast wyrzucić obie dziwki, tylko że Joanna, jeśli to wszystko prawda, może zacząć obwiniać go przed Wielkim Księciem, a Melcerówna przed Nowosilcowem, przy czym ten ostatni mógłby mu zaszkodzić bardziej niż pyszałkowaty i kapryśny Wielki Książę. Z pozorną obojętnością Bogusławski usiadł na krześle i obserwował innych, jakby czekających na jakiś znak z jego strony. Muszę ich jakoś skłócić, pomyślał, niech donoszą wzajemnie na siebie, byle nie na mnie.

Nieoczekiwanie odezwał się Henryk Macrott, zaangażowany jako sufler. Oświadczył, że sam chciałby wyreżyserować sztukę.

Poblądle twarze skierowały się ku czarnowłosemu, przysadzistemu chłopczkowi, który uśmiechał się bezczelnie, a potem wybuchł ogólny śmiech.

- Co was tak bawi? - wykrzyknął Henryk i przestał się uśmiechać. - Zawsze ktoś zabawia się moim kosztem!

Buchnął jeszcze głośniejszy śmiech.

- Jestem najzdolniejszy z was wszystkich! - wrzeszczał Henryk. - Wiecie, kim jesteście? Idiotami!

Fiszer wstał i podszedł do Henryka. Ten go odepchnął. Bogusławski także podszedł do chłopaka. Henryk zerwał się, ale i tak nie wyglądał pokaźnie przy wysokim, chudym Mistrzu. Młody Macrott cały drżał, ale nie odważył się rzucić na Bogusławskiego, splunął tylko mu pod nogi i wybiegł.

Zapadła cisza, wzburzony Fiszer skoczył do drzwi, ale się zatrzymał.

- No - rzucił Bogusławski z kamienną twarzą - kto podejmie się roli suflera?

Napięcie opadło, to intermezzo wymazało efekt oświadczeń Joanny i Melcerówny.

Posypały się dowcipy, tylko Ledóchowska i Fiszer zachowali powagę.

Po tym zajściu Bogusławski oznajmił, że na dzisiejszej próbie chce tylko oświadczyć, iż należy się liczyć z pewnymi zmianami ogólnej koncepcji, a próby rozpoczną się następnego dnia.

Nie poszedł z innymi do knajpki, odwiedził za to Tobiasza Macrotta. Tobiasz wiedział już o całym zajściu i załamał ręce.

- Nie rozumiem tego, nie rozumiem - powtarzał. - Staralem się wychować go na uczciwego człowieka, a on...

Powiedział, że dzieciak po prostu zwariował, nie można z nim normalnie rozmawiać, nie wiadomo nawet, co z tego wyniknie, raz już obraził do żywego Osińskiego, wszedł do niego bez zaproszenia, wyobraża pan sobie, Mistrzu, położył przed nim jakąś sztukę pełną uwag i dodał, że chce ją natychmiast reżyserować...

- Co na to Osiński? - spytał rozbawiony Bogusławski.

- Nie wiem - odparł Tobiasz ostrożnie. - Nie byłem przy tym.

Bogusławski właściwie był wdzięczny Henrykowi za rozwiązanie nieznośnej sytuacji, lecz nie wspomniał o tym Tobiaszowi.

Poszedł do garderoby Ledóchowskiej, by poznać jej zdanie.

- Ja natychmiast bym obie dziwki wywalila - oznajmiła stanowczo Ledóchowska.

- Oczywiście - odparł Bogusławski. - Żeby Wielki Książę wraz z Nowosilcowem mnie także wywalili.

- Są sytuacje, do których nie wolno dopuszczać - stwierdziła Ledóchowska.

- A ta była taką?

- Była.

- Jest pani trochę idealistką, Trusiu - odparł nieco rozdrażniony Bogusławski.

- Czasem trudno mi się połapać, Mistrzu - powiedziała Ledóchowska - kiedy jest pan odważny jak lew, a kiedy bardziej tchórzliwy od zająca.

Bogusławski zawrzał z wściekłości i wyszedł bez pożegnania; obawiał się, że mógłby powiedzieć Ledóchowskiej, by jak najszybciej przespała się z Okołowem.

W knajpce spory tłumek ubiegał się o względy Melcerówny. Joanny nie było, ostatnio dość rzadko wpadała do teatralnej knajpy. Bogusławski poprosił o herbatę i ulokował się w kącie. Nikt się nie przysiadł, teraz Melcerówna była ośrodkiem zainteresowania nawet dla tych, którzy demonstracyjnie usiedli jak najdalej od niej. Wśród świeżo upieczonych wielbicieli Melcerówny byli nie tylko Rutkowski i Szczurowski, ale także Aszperger, wykształcony i inteligentny aktor, oraz jego żona. No tak, pomyślał Bogusławski, od

przyjazdu z Wilna nie dostali żadnej ciekawej roli.

Malinowski z demonstracyjną obojętnością przedefilował przed Melcerówną, spojrzął na nią, jakby była ze szkła, i zrobił taki ruch, jakby miał jej usiąść na kolanach.

- No! - rzuciła Melcerówna, blednąc.

- *Pardon, madame* - poderwał się Malinowski. - Myślałem, że tu nikt nie siedzi.

Bogusławski uśmiechnął się. Dmuszewski odsunął się cichcem od Melcerówny, ale że incydent nie przerodził się w awanturę, wrócił na miejsce.

Bogusławski przywołał gestem siedzącego bez humoru Zdanowicza.

- Co się stało Joannie? - spytał.

- Skąd mam wiedzieć?

Bogusławski zrobił wielkie oczy.

- To już nie jesteście razem?

- Ależ nie! - zaproponował Zdanowicz.

- Nie do wiary - rzucił Bogusławski. - Była w tobie zakochana po uszy. To tak łatwo nie mija.

- Mała dziwka - stwierdził Zdanowicz. - Myśli tylko o pieniądzach.

- Kto jej daje? - zainteresował się naiwnie Bogusławski.

Zdanowicz zaśmiał się gorzko.

- Pamięta pan, Mistrzu? Kiedy jesienią zabawialiśmy się u pana, naśladowałem i parodiowałem Wielkiego Księcia.

- I bardzo dobrze.

- Nie powinienem - odparł głucho Zdanowicz. - W ten sposób zwróciłem uwagę Joanny na Wielkiego Księcia. Jestem bydlę! - Walnął się pięścią w czoło. - Jestem osłem!

Bogusławski pokręcił głową, jakby niczego nie pojmował.

- A co Joanna ma do tego?

- Uważam - powiedział Zdanowicz w zaufaniu i z wielkim przekonaniem - że Wielki Książę nie potrafi mnie naśladować.

Bogusławskiemu aż szczęka opadła ze zdziwienia.

- Chyba nie...? - urwał.

- Dwa tygodnie temu - ciągnął roztrzęsiony Zdanowicz - Joanna powiedziała, że między nami wszystko skończone, że Wielki Książę ma uczciwe zamiary i ożeni się z nią.

- Przecież ma już jedną żonę, księżnę Koburg.

- Tej głupiej gęsi wydaje się, że Wielki Książę rozwiedzie się dla niej! Śmiechu warte! Tym karmi swoje dziwki. Wielki Książę! Dla jakiejś aktoreczki! Rozwiedzie się! Mój ty

Boże! Mając tyle kochanek!

Bogusławski położył mu rękę na ramieniu i uspokajał go jak dziecko; to nie poważnego, trzeba tylko odczekać, trzeba być rozsądnym, jeśli ona kocha naprawdę, i tak dalej. Zdanowicz patrzył ponuro przed siebie i szarpał przykrótki wąs.

- Nie poddawaj się - rzekł Bogusławski. - Musisz o nią walczyć, jeśli to naprawdę takie ważne.

Zdanowicz smutnie, lecz także z odrobiną nadziei patrzył na Mistrza.

Przy stoliku Melcerówny perorował Aszperger, objaśniając, w czym sztuka Racine'a przewyższa sztukę Corneille'a. Aszpergerowa cały czas trajkotała, ciekawa, gdzie Melcerówna szyje sobie stroje. Aszperger perorował dalej.

Bogusławski dostrzegł Fiszera.

- Co się stało pańskiemu koledze? - spytał.

Fiszer wzruszył ramionami.

- Trudno to wytrzymać - odparł.

- Co?

Fiszer wskazał głową siedzących.

- Wszystkie miejsca zajęte - powiedział. - Nawet statyści rękami i nogami bronią swoich pozycji. Niezbyt to budująca rzecz poczuć w sobie talent.

- Wydaje mi się - zastanawiał się głośno Bogusławski - że w tym wieku byłem bardziej cierpliwy.

- Będąc w moim wieku, Mistrz był już uznanym aktorem. Wtedy, jak sędzę, nie było takiego tłoku w środowisku aktorów. Nawet moja sytuacja w orkiestrze zaczęła być nie do zniesienia, od kiedy zostałem inspicjentem u Mistrza. Im się wydaje, że to coś wielkiego, i boją się nawet zakpić z początkującego tympanisty, którym jestem.

- Pan też chce zrezygnować? - spytał Bogusławski.

- Nie - odparł Fiszer.

Bogusławski postanowił na razie, że zagra przeciw Melcerównie, stawiając na Joannę, poinformował więc sekretarza Unickiego, że Melcerówna wywołała skandal i powinien się o tym dowiedzieć Osiński.

Po wieczornym spektaklu Ledóchowska w drodze do domu, mając za plecami trzech jegomościów, powiedziała Bogusławskiemu, że zbyt długo już korzystała z gościnności Mistrza, nie chce więcej przeszkadzać i jeśli nikomu nie sprawi to kłopotu, przeprowadzi się do Ignacego, a za kilka dni zobaczy, co dalej robić.

Bogusławski protestował, ale Ledóchowska nalegała. W milczeniu i złych humorach

dotarli do domu, Ledóchowska od razu poszła spać, Marianna wypytywała Mistrza o przedpołudniowy skandal, na co tylko dość nieprzyjemnie jej odburknął. Nazajutrz Ledóchowska, zabrawszy nieco manatek, przeniosła się w asyście Bogusławskiego oraz trzech idących dyskretnie za nimi jegomościów do mieszkania Nacewicza.

Aniela przyjęła ją serdecznie i pomogła się rozpakować. Dała jej pokój dziecinny, bo oni, jak powiedziała, zmieszczą się w dużym. Bogusławski wyraźnie się odprężył, zadowolony że nie będzie skrępowany obecnością Ledóchowskiej, znów spokojnie będzie mógł się oddać ponurym rozmyśleniom. Chciał porozmawiać z Anielą, ale przy Ledóchowskiej było to niemożliwe. Nie widział Anieli od pogrzebu Zosi; dziewczyna była jakby wyższa i zrobiła się bardziej kobieca. Ukradkiem zaczął ją porównywać z Ledóchowską, zaskoczyło go, jak bardzo są do siebie podobne, i poczuł się zakłopotany. Wspomniał coś o pilnych sprawach, zostawił je, by spokojnie wszystko urządziły.

Sekretarz Unicki przywitał go wiadomością, iż pan Osiński musiał pójść do Akademii i nie ma czasu zajmować się sprawami personalnymi, w związku z czym daje Bogusławskiemu wolną rękę, może ukarać aktorkę tak, jak uzna za słuszne.

Bogusławski usiadł w swej garderobie, z której w panice uciekł Kudlicz. Wyciągnął kartkę papieru i rozpiął obsadę *Klingsbergów*. Nie ma suflera. Nie ma służącej. Nie ma Henryki. A próby i tak trzeba zacząć, inaczej opóźni się premiera, a Osińskiemu kilka dni zwłoki wystarczy, by nie tylko odrzucić *Klingsbergów*, ale też wyrzucić z hukiem samego Bogusławskiego. Prawdopodobnie nie tylko Ledóchowska jest teraz na niego zła za to niezdecydowanie, ale także Dmuszewski, który czuje, że jego rola jest zagrożona. Dmuszewski nie będzie chciał zagrać, jeśli jego żona odrzuci swoją rolę. A to by oznaczało, że sztuka straci reżysera z urzędu, Osiński wstawi na to miejsce Kudlicza, i wtedy koniec ze wszystkim.

Co by było, gdyby w roli Henryki obsadzić Aszpergerową?

A służącą zagra Aniela.

Aszpergerowa wykończy się, jeśli nie będzie grać; poprzez obsadzenie jej zyskałby wdzięczność także Aszpergera; Dmuszewski boi się Aszpergera, przeczuwając w nim przyszłego reżysera, i dlatego musiałby zagrać nawet wtedy, gdyby jego żona zaczęła histeryzować. Ale kto na suflera? Żadnego aktora nie może o to prosić.

Przejrzał w myślach wszystkich zatrudnionych w teatrze, musiał się jednak liczyć z tym, że Osiński nie odda mu dekoratorów ani tym bardziej muzyków, a już zwłaszcza Elsnera, który upatrywałby w tym atak na swoją osobę.

Pomyślał o smukłym, przyszczatym synu Szymanowskiego, Hieronimie, zdolnym

perukarzu.

Przed poranną próbą Bogusławski błyskawicznie wszystko załatwił. Przeprosił Szymanowskiego za wcześniejsze zdarzenie i zapewnił, że w *Hamlecie* był znakomity, a w *Romeo i Julii* nie mniej dobry; dostał potwierdzoną wzruszeniem ramion zgodę Szymanowskiego, by Hieronim był suflerem. Poprosił Aszpergerową o zagranie Henryki, co aktorka przyjęła z radością. Fiszera posłał do Anieli, by natychmiast przyszła na próbę. Wszedł do garderoby Melcerówny i poinformował z wielkim żalem, iż wczoraj wieczorem wysłannik Wielkiego Księcia zakazał mu obsadzania jej w jakiejkolwiek roli w sztuce. Piersiasta aktorka wybuchła histerycznym płaczem, a Bogusławski się ulotnił. Wszedł do garderoby Joanny i poinformował z wielkim żalem, iż wczoraj wieczorem wysłannik Nowosilcowa zabronił, by Joanna zagrała. Ku jego zdumieniu Joanna odpowiedziała ze smutkiem, że spodziewała się tego, ale że wysłannik nie był od Nowosilcowa, tylko od Wielkiego Księcia, gdyż Konstancy domaga się za wszelką cenę, by porzuciła teatr. Bogusławskiego zaskoczyła nie tyle szczerść Joanny, ile wrażenie, że ona naprawdę kocha teatr. Wymamrotał coś na pocieszenie i oddalił się.

O dziesiątej stawili się wszyscy.

Z uwagi na niezwykle krótki termin Bogusławski z góry ustalił harmonogram prób aż do premiery. Liczył się z tym, że Osiński pod byle pretekstem odbierze mu salę prób, a tym samym aktorów, zrezygnował więc ze swej dotychczasowej zasady, by na próbach byli także aktorzy niepotrzebni w danym momencie. Fiszler z zapałem zapisał harmonogram i przyrzekł, że do rana przepisze go w czternastu egzemplarzach, by rozdać zainteresowanym.

Zaraz potem odbyła się pierwsza próba czytana. Bogusławski często przerywał aktorom, zrywał się z krzesła i odgrywał fragmenty poszczególnych ról, analizował, potem znów siadał na krzesło i dyktował Fiszlerowi, kto, kiedy i z której strony wchodzi na scenę. Fiszler gryzmolił i dziwił się, że Bogusławski dyktuje z taką pewnością, jakby widział całe przedstawienie. W końcu doszedł do wniosku, że Bogusławski rzeczywiście je widzi.

Tego samego dnia, trzynastego wieczorem, Bogusławski obejrzał premierę *Atalii*. Przedstawienie było jeszcze nudniejsze, niż oczekiwano. Wszyscy aktorzy wypowiadali swoje kwestie bezbarwnie, nawet Ledóchowska. Bogusławski wiercił się w fotelu, tyłek zdrętwiał mu całkowicie i tylko dlatego nie wymknął się chyłkiem ze spektaklu, że publiczność okazała się całkowicie odmóżdżona: coraz częściej i głośniejszy słychać było szlochy, widownię opanowało takie samo wzruszenie jak kilka tygodni temu, gdy oplakiwano tę przyzwoitą małpę. W tym przypadku małpę zastąpił królewski syn, w którego wcieliła się Helena. Ona także grała karygodnie, do końca szczebiocząc nienaturalnym głosem.

Bogusławski obserwował z ostatniego rzędu dygoczące od szlochu głowy zapatrzonych widzów, myśląc o tym, że obecni tu panowie i panie o subtelnych duszach, którzy tyle łez wylewają nad losem przyszłego króla, wrócą potem grzecznie do swych domów i wygrzmocą do krwi swe rozwrzeszczane dzieciaki.

Po spektaklu Bogusławski złożył wszystkim aktorom z wyjątkiem Heleny i Ledóchowskiej gorące, płynące z serca gratulacje.

- Posłuchaj, moja duszko - powiedział Helenie. - Nie wierz w to, że tym szczebiotem daleko zajdziesz.

- Nie myślę tak - ponuro i krnąbrnie odparła Helena.

- O właśnie! - wykrzyknął Bogusławski. - To ten ton!

- Co takiego? - spytała Helena z nienawiścią.

- Jeszcze lepiej! Niech pani przy tym zostanie i mówi tekst! Szybko! Niech pani zacznie od dowolnej kwestii i właśnie tak na mnie patrzy!

Helena zaczęła mówić kwestie Joasza tak, jakby chciała posłać Bogusławskiego do wszystkich diabłów. Bogusławski z zachwytem przytakiwał. Helena urwała i przygryzła wargi.

- Będzie z pani, Heleno, dobra aktorka. Może tego dożyję - powiedział Mistrz.

- Byłam bardzo niedobra - orzekła Ledóchowska, gdy zostali sami. - Wiem, że źle zagrałam. Niczego nie czułam, dlatego tak dziko wytrzeszczałam oczy, dlatego całość zagrałam na krzyku.

Bogusławski nie zaprzeczył.

- Niech mnie pan odprowadzi do Nacewiczów - poprosiła Ledóchowska.

- Oczywiście, że panią odprowadzę.

- A potem do domu - powiedziała Ledóchowska. - Już się spakowałam.

- Do którego? Do mnie?

- Nie. Do mnie. Nacewicz był bardzo miły, Ignacy też, Aniela urocza, ale nie mogę nadużywać ich dobroci. Ani pańskiej, Mistrzu.

- Coś się stało?

- Nie, nic takiego. Przełożeni powiedzieli Ignacemu, że nie wolno mu udzielać noclegu obcym.

- Kiedy?

- Po południu.

- Szybko się rozeszło.

- Szybko.

- Kto mu to powiedział?

- Jakiś pułkownik.

- A mój syn był tak podły, że panią wyrzucił?

- Zagrozili mu, że jeśli nadal będę u niego mieszkać, zdegradują go.

Bogusławski westchnął.

- Mam syna tchórza - powiedział. - Nie można ot, tak sobie kogoś zdegradować.

Trzeba to uzasadnić. Może się przecież powołać na to, że służył w wojsku Poniatowskiego.

- Ech, zawsze coś znajdą - zniecierpliwiła się Ledóchowska. - Gdzie każdy jest tchórzem, można robić, co się chce.

Bogusławski milczał zmieszany; Ledóchowska nigdy nie traciła panowania nad sobą.

W milczeniu poszli do mieszkania Nacewiczów, trzech dżentelmeni postępowali ich śladem w przyzwoitej odległości. Kiedy weszli, Ignacy nie podniósł oczu. Aniela właśnie trzymała na ręku niemowlę.

Bogusławski naskoczył na Anielę, zarzucając jej, że nie powiedziała o tej degradacji zaraz po próbie. Aniela bez słowa wyniosła niemowlę do drugiego pokoju i już nie wróciła.

- Wtedy jeszcze nie wiedziała - powiedziała Ledóchowska.

Zmieszany Nacewicz pomagał aktorce się pakować. Ignacy i Bogusławski stali w milczeniu.

Na ulicy Bogusławski chciał wziąć od Ledóchowskiej torbę.

- Nie, proszę zostawić - zaproponowała.

- Musi pani odgrywać męczennicę? - warknął.

- Niech mi pan da święty spokój.

Bogusławski zatrzymał się, Ledóchowska poszła dalej. Po chwili Bogusławski pośpieszył za nią i do samego domu szedł obok.

- Jeśli pani chce, spędzę tę noc u pani.

- Nie chcę.

Ledóchowska weszła do bramy, Bogusławski włóczył się przez chwilę pod domem, potem ruszył w swoją stronę. Trzej panowie zakotwiczyli po drugiej stronie ulicy. Bogusławskiemu przeszło przez myśl, by przepędzić ich stamtąd, lecz w porę sobie uprzytomnił, że wówczas przegranym mógłby być tylko on.

Sama tego chciała, uspokajał sam siebie, źle zagrała i teraz histeryzuje.

Dołączył do niego gadatliwy, bezzębny lampiarz o podejrzanym powierzchowności i za wszelką cenę chciał go zaprowadzić do ładnych pańienek. Bogusławski odepchnął go, lampiarz nie protestował, szedł dalej obok i mrucał mu coś do ucha. Bogusławski zatrzymał

się i odwrócił, by mu przyłożyć. Wtedy podszedł do nich drugi lampiarz.

- Chciał mnie okraść - powiedział bezzębny z grymasem uśmiechu na twarzy.
- Chciał cię okraść? - spytał młodszy i ruszył groźnie w stronę Bogusławskiego.
- Wynocha albo będę krzyczeć - powiedział Bogusławski.
- Dobry dowcip - rzucił bezzębny i zaśmiał się.
- Nie przyświecamy za darmo - oznajmił rzeczowo młodszy.

Teraz zaśmiał się Bogusławski, na co obaj umilkli zaskoczeni. Bogusławski złapał się za brzuch.

- Ty, on się śmieje - powiedział niespokojnie bezzębny.
- Chodźmy - rzucił młodszy.

Bogusławski wyrzucił kieszenie. Na ziemię posypały się okruchy chleba.

- Jestem aktorem - powiedział wesoło.
- Aktor - rzucił bezzębny z rozczarowaniem.

Bogusławski całą noc nie mógł zasnąć. Widział przed sobą twarz Anieli, jak nie odpowiada na jego krzyki, a potem odwraca się i wynosi dziecko do drugiego pokoju. Widział jej kark, odwróconą głowę. Do tej pory zawsze mógł pójść do Anieli, gdy coś mu ciążyło na sercu, mógł się jej zwierzyć z najbardziej osobistych spraw. Nie tak jak Ledóchowskiej. Z tamtą mógł tylko rozmawiać o pracy.

Teraz był rozgniewany na Ledóchowską, miał poczucie, że tylko wykorzystywała jego wiedzę, nie dając w zamian niczego, nie mógł jej nawet opowiedzieć o swoich kłopotach.

- Czego oni ode mnie chcą? - jęknął i zaszył się pod kołdrę, jak wtedy gdy był dzieckiem. - Czemu właśnie ode mnie? Czemu to ja muszę być silny?

Nad ranem przyszło mu coś do głowy. Uśmiechnął się i zasnął.

Na próbę byli wyznaczeni Aszpergerowa, Dmuszewska, Dmuszewski, Ledóchowska i Malinowski, gdyż miano robić pierwszą, trzynastą, piętnastą i szesnastą scenę drugiego aktu, pozostali byli wolni. Bogusławski oznajmił, iż jest zmuszony poprzestawiać obsadę, na szczęście nikt jeszcze nie nauczył się swojej roli. Zmiany są takie, że Ledóchowska zagra Amalię, a Dmuszewska wystąpi w niezwykle wdzięcznej i komicznej roli pani Wunszel.

Wszyscy zbledli. Ledóchowska nie mogła zrozumieć, co się stało Mistrzowi. Dmuszewska dostała spazmów i krzyczała, że nie, nie, ona tego nie zamierza grać.

- Masz nową dziwkę? - wrzeszczała Dmuszewska, gdy doszła już nieco do siebie. - Masz nową dziwkę? Ona zagra główną rolę?

Doskakującego do niej Bogusławskiego ugryzła w rękę i wybiegła. A Dmuszewski za nią.

- W takim razie - powiedział Bogusławski do Fiszera - ponieważ czas nagli, rolę pani Wunszel przejmie Żółkowska.

Zapadła cisza. Fiszer odezwał się nieśmiało:

- Żółkowska gra hrabinę.

- Tym lepiej - odparł wesoło Bogusławski. - W żadnej scenie te role nie zachodzą na siebie. Żółkowska kilka razy się przebierze. To będzie naprawdę interesujące. Paplająca, głupia pani Wunszel oraz rzekomo mądra i dobra hrabina będą w ten sposób podobne. Konieczność jest najlepszym reżyserem.

- I po co to wszystko? - spytała Ledóchowska.

- Miałem w nocy wizję - powiedział tajemniczo Bogusławski. - Ujrzałem przed sobą uskrzydloną Amalię, w białej sukni, w glorii i niewinną, na scenie mej duszy poszła w stronę orkiestry, dała mi w pysk za to, że jestem takim łajdakiem, a ona jest osaczona, zapędzona w pułapkę, wszelkimi sposobami próbują ją zdobyć, ale ona się nie poddaje.

Ledóchowska ujrzała już siebie na scenie, jak siedzącemu w pierwszym rzędzie Okołowowi rzuca w twarz słowa Amalii, i opanowało ją radosne podniecenie.

Fiszer był bardzo rozczarowany, chociaż nie dał tego po sobie poznać. Sądził, że Mistrz stracił odwagę i nie ma dość siły, by konsekwentnie zrealizować swoją koncepcję. A przecież jak byłoby wspaniale, gdyby się okazało, że wszystkie kobiety to kurwy.

Mistrz to wielki błazen, stwierdził, i nic więcej.

Bogusławski wysłał go po Dmuszewskiego i zaczął próbę. Dmuszewski był zaskoczony, ale przyszedł. Sprawdziły się przewidywania Bogusławskiego, Dmuszewski bał się Aszpergera. Dmuszewskiej nikt nie mógłby przyznać racji, nawet Osiński, gdyż wprawdzie odebrano jej rolę, ale przecież zaproponowano inną, być może jeszcze wdzięczniejszą.

Biedny Dmuszewski, pomyślał Bogusławski, był wielkim idiotą, że ożenił się z matką mego syna.

Rozpromieniona Żółkowska zgodziła się na obie role.

Na szczęście dla Bogusławskiego dość szybko wybuchła kolejna awantura, przysłaniając poprzednią. Aszpergerowa zrobiła w teatralnej knajpie wielką scenę swojemu mężowi i oświadczyła, że przeprowadza się do Malinowskiego. Aszperger zachował się nadzwyczaj kulturalnie, informując Malinowskiego opanowanym głosem, co zazwyczaj jada jego żona. Słyszając to, Malinowski zaczął krzyżeć, by przestano go wreszcie terroryzować i nie wtrącano się do tego, co kto ma jeść. Przez wiele dni było więc o czym plotkować w bufecie i nie rozprawiano więcej o trójkącie Bogusławski-Ledóchowska-Dmuszewski.

Fiszera ku swemu zdumieniu uświadomił sobie, że przebywa wśród wielkich aktorów, czego wcześniej nie dostrzegał - ci szaleńcy nie są w stanie nawet złej sztuki zagrać bez emocji - i stwierdził, że nie potrafi zdecydować, czy szanować ich za to, czy wyśmiewać.

Był zaskoczony, że Bogusławski i Żółkowski tak długo próbują pierwszą scenę. Nie było w niej niczego błyskotliwego: Baltazar, kamerdyner, jest na scenie sam, z sypialni wychodzi w szlafroku stary Klingsberg i ziewa, po czym pyta, co nowego, Baltazar odpowiada, że przyszedł list od tej małej Włoszki, u której pan hrabia spędził noc. Mistrz wraz z Żółkowskim sto razy powtarzali pierwsze kwestie i wciąż byli niezadowoleni, wzajemnie się poprawiali, ciągle szukali sobie na scenie nowych miejsc i Fiszera siedział znudzony.

- Nudzisz się, mój królu? Niesłusznie - odezwał się w pewnym momencie Bogusławski. - Pierwsze chwile decydują, jak wypadnie przedstawienie. Potem każdy może sobie robić, co chce, całość będzie taka, jak pierwsza scena, a dokładniej pierwsze pół minuty. Jeśli już na początku ktoś się obja, to potem wszyscy będą się objać.

Najdłużej zastanawiali się nad didaskaliąmi Kotzebuego, a mianowicie, czy stary Klingsberg rzeczywiście powinien ziewać, czy nie. Żółkowski uważał, że to ziewanie będzie znakomitym wprowadzeniem do dwugodzinnej drzemki. Bogusławski coś mrucał pod nosem, wahał się, przecież Kotzebue nie jest idiotą, by ziewnięciem już na samym początku zabić komedię. W przerwie między próbami Fiszera sprawdzał przed lustrem wszystkie warianty ziewania, a aktorzy snuli się beczynnym po teatralnej knajpie.

Żółkowski nieznośnie długo cackał się nad co najmniej dwudziestorzędną, epizodyczną rolę kamerdynera. Chciał zbudować całą przeszłość i przyszłość Baltazara, to wszystko, co Kotzebue uznał za zupełnie nieistotne. Oświadczył, że nie jest w stanie zagrać, nie wiedząc, jaką grzechotką bawił się Baltazar jako niemowlę w kołysce. Ponieważ Bogusławski nie potrafił odpowiedzieć, czy Baltazar w ogóle miał jakąś grzechotkę, Żółkowski się obraził i ze skargą zaczął wypytywać innych, czy sztukę ma prawo reżyserować ktoś, kto nie ma zielonego pojęcia o postaciach.

Na jednej z prób Żółkowski pojawił się z kielnią, cyrklem i białym fartuchem, a gdy Bogusławski spytał, co to takiego, Żółkowski odparował innym pytaniem:

- Czyżby pan hrabia nie pamiętał? Pan mi to podarował.

- Wiesz chociaż, co to takiego?

- Ja nie, ale podoba mi się. Ładne, prawda?

Bogusławski nagle uderzył się w czoło; ależ jasne, wykrzyknął, rzucił się Żółkowskiemu na szyję i ucałował go. Potem biegał po sali prób i wałąc się pięścią po

głowie, wołał: jakież ze mnie osioł! Do Fiszera powoli zaczęło docierać, że Żółkowski odkrył przeszłość starego Klingsberga. Stary hrabia musiał kiedyś być masonem, oświeconym umysłem, później, *tempora mutantur*, stał się łajdakiem, a zbyteczne już i pozbawione znaczenia symbole podarował nic nierozumiejącemu kamerdynerowi. Dzięki tym kilku błahym rekwizytom na scenie pojawiła się historia i stało się jasne, czemu stary hrabia został cynicznym uwodzicielem.

Po tej próbie już nie nudziły Fiszera ciągle wątpliwości Żółkowskiego.

Później Żółkowski wpadł na pomysł, by trzymać kielnię pod fartuchem, a kobiety przechodzące przez scenę miały na nią spoglądać. Na próbie każdy gest związany z kielnią wzbudzał żywiołowe oklaski. Bogusławski powiedział, że kupuje ten pomysł i wykorzysta w przedstawieniu. Żółkowski promieniał. Podczas przerwy aktorzy rywalizowali o kielnię, włączyły się nawet panie.

Po próbach Żółkowski wypijał ogromne ilości piwa i mrucząc do siebie, marudził nad rolą.

- Ależ trudna - westchnął do Fiszera, który ukradkiem zerkał na grubego komika - ależ ona trudna.

Kiedy poczuł na sobie wzrok Fiszera, już tylko udawał niezadowolenie.

Ledóchowska, gdy tylko mogła, przesiadywała na próbach, obserwowała je uważnie i często się wtrącała. Wtedy Bogusławski przerywał próbę, by aktorka zagrała to, co myśli. Fiszer był zaskoczony, że Ledóchowska przeważnie koryguje drobne gesty oraz szuka sobie odpowiednich miejsc na scenie. Aszpergerowa wręcz się obraziła, gdy Ledóchowska tłumaczyła jej, że źle siedzi przy stole krawieckim.

- Nie możesz siedzieć byle jak - powiedziała Ledóchowska i zajęła miejsce Aszpergerowej, która stanęła obok rozzłoszczona, nie wiedząc, co zrobić. - Nie możesz się czuć swobodnie. Bo nie uwierzę, że pracujesz. Gdy siedzisz, musi ci być niewygodnie, bołą cię plecy, cała musisz być spięta, by czuć ból, inaczej nie pokażesz, że jesteś w złym nastroju.

- Henryka nie jest w złym nastroju - zaoponowała Aszpergerowa.

- Ależ jest - odparła Ledóchowska. - Dzień i noc szyje, ma już skrzywiony kręgosłup. Boli ją. Podrzucicie mi tekst.

Hieronim ocknął się i zaczął podpowiadać kwestie Henryki. Ledóchowska mówiła je cudownie, aż Fiszerowi zrobiło się żal modystki. Twarz aktorki poszarzała z wysiłku, wzrok utkwiała w pustce, jej ręce chodziły jak maszyna. Aszpergerowa musiała przyznać jej rację.

Bogusławski nie każdą uwagę akceptował, ale zawsze głośno analizował nowy punkt widzenia, dopóki nie doszedł do kompromisowego rozwiązania. Następnego dnia często je

odrzucał, „sprzedamy to później - mówił - świetne, ale nie tu”.

Dmuszewski odstawał nieco od zespołu. Był przeciętny, wiedziano, na co go stać, toteż Bogusławski rzadko dawał mu instrukcje. Tylko raz Mistrz się zdenerwował, kiedy Dmuszewski miał długi monolog.

- Nie śpiesz się! - krzyknął ze złością. - Po co się śpieszysz? Nie staraj się tego odbębnić! Jest ci dobrze, póki grasz!

Fiszer aż zadrżał.

Bogusławski, Ledóchowska, Żółkowski, jego żona oraz Malinowski zarówno przed, jak i po próbach trzymali się zwykle razem i przychodzili do siebie z nowymi pomysłami. Fiszer nie wyobrażał sobie, jak po premierze da się wrócić do dawnego stanu, sytuacji przed próbami, gdy poza mało znaczącymi dowcipami w ogóle ze sobą nie rozmawiali. Bogusławski, Ledóchowska i Żółkowski gorętkowali się najbardziej, z radością dyskutowali i wzajemnie się besztali za brak talentu. Żółkowski, o którym było powszechnie wiadomo, że nie cierpiał Ledóchowskiej, teraz także dawał wyraz swym uczuciom w bufecie albo na ulicy, ale na próbach miało się wrażenie, iż uwielbia kruchą tragiczkę, i nie czynił sobie wyrzutów ze swej niekonsekwencji.

Próby przebiegały w gorączkowym tempie, ale Fiszer wyczuwał, że sztuki nie uda się sklecić do premiery. Bogusławski nie znał dobrze swoich kwestii i pracował tylko nad scenami, w których nie występował. Inni także zaczęli się denerwować i wyglądało, że zapomnieli to, co już znali. Fiszer jako inspicjent był niezbyt stanowczy, więc aktorzy znikali gdzieś albo spóźniali się na próby, wchodzili na scenę w nieodpowiednim momencie, ustawiali krzesła w niewłaściwych miejscach i poruszali się w złych kierunkach. Klęli na Hieronima, który nieuważnie podpowiadał i nie wyczuwał, kiedy aktor robi zamierzoną pauzę, a kiedy po prostu zapomina tekstu. Dmuszewski z próby na próbę był słabszy, ale Bogusławski się tym nie przejmował. Dmuszewskiemu wystarczało samo ukazanie się jego nazwiska na plakacie, bo nie należał do aktorów, których życie i kariera podporządkowane są sukcesowi. Chodził jak śnięty, przypuszczalnie żona robiła mu w domu sceny; między nią i Mistrzem czuł się jak między młotem a kowadłem. Okazało się, że sypiąca wspaniałymi pomysłami Ledóchowska niezbyt dobrze pamięta tekst Amalii i co chwila wrzuca kwestie pani Wunszel, którą początkowo miała zagrać. Żółkowską przerażało, że Bogusławski nawet słowem się nie odzywa, gdy ona, grając hrabinę, mówi i zachowuje się jak pani Wunszel, nie potrafi bowiem przejść z roli do roli. Sądziła, że hrabina nie może być osobą pospolitą, ale nie umiała zmienić tonacji. Malinowski był wybitnie niezadowolony z siebie i wciąż szukał głębszych, bardziej wyrazistych intonacji, wychodził z roli porucznika Szteina i snuł

rozważania na temat świata duchowego aktora, czym przerywał rytm pracy na próbach i działał wszystkim na nerwy. Aszpergerowa za wszelką cenę próbowała udowodnić, iż jest największą aktorką w zespole, do czego w dużym stopniu przyczyniała się obecność Malinowskiego, zachowywała się w sposób wielce afektowany i chciała wpełznąć w rolę Henryki wszystkie pomysły z granych niegdyś w Wilnie postaci. Zahukany Zdanowicz czekał z wejściem do chwili, gdy miał pewność, iż Joanna nie odezwie się do niego, a kiedy Fiszer wzywał go na scenę, komik z sumiastymi wąsami natychmiast szukał miejsca, z którego mógłby zaprezentować swój profil tak, by inni go zbytnio nie zasłaniali.

Fiszer, gdy minął mu już początkowy entuzjazm, z coraz większą niechęcią obserwował ogólny rozgardiasz, w którym przecież on także uczestniczył. Drażniło go, że aktorzy, oczekując na wejście, jemu właśnie skarżą się jedni na drugich, iż to tamci dostali trzy razy dłuższą rolę i pół minuty dłużej będą na scenie. Nie rozumiał, czemu Bogusławski przygląda się temu z takim spokojem, jakby miał do dyspozycji jeszcze kilka tygodni albo miesięcy.

- Kiedy wejdziemy na dużą scenę - uspokajał aktorów Bogusławski - będzie jeszcze gorzej. Wszystko, co jest teraz w porządku, i tak się potem rozleci.

I dalej, jakby miał nie wiadomo ile czasu, cackał się z początkiem trzeciego aktu, w którym porucznik Szejn pojedynkował się z uwodzicielem swojej siostry, młodym Klingsbergiem. Fiszer najchętniej usunąłby tę scenę, Bogusławski zaś wciąż do niej powracał i odrzucał wszystkie propozycje dotyczące skracania kwestii. Ledóchowska robiła, co mogła, umawiała się z aktorami, że w odpowiedniej chwili postara się namówić upartego Mistrza do skrócenia sceny, a Fiszer w swej zapalczywości pod koniec przerwy powiedział Bogusławskiemu, że, jego zdaniem, Mistrz wybaczy, scena jest przydługa i nudna. Bogusławski obraził się i nie odpowiedział. Ledóchowska zbesztiała Fiszera.

- Trzeba poczekać na odpowiedni moment - powiedziała rozzłoszczona. - Tego nie można robić ot, tak sobie! Wszystko pan zepsuł.

Kontynuowali scenę pojedynku, Malinowski szybko się zmęczył i długo leżał na deskach, odpoczywając. Dmuszewski snuł się po scenie i mamrocząc kwestie, wymachiwał szablą.

Wszystko się rozprzęgło. Aszpergerowa się przeziębila, owinęła szyję czterema szalami, ale i tak była zachrypnięta; Zdanowicz poszedł w jej ślady, powiedział, że ma zapalenie oskrzeli i dłużej już nie pociągnie, on także stracił głos; Malinowski zwichnął nogę w kostce i kuśtykał. Żółkowski przyłapał Ledóchowską na jakimś źle zaznaczonym akcencie i całymi dniami naśmiewał się z tragiczki, lamentując, o ileż lepsza od córki była

Truskolaska. Była to jedna z rzeczy, których Ledóchowska nie potrafiła znieść i na jednej próbie wybuchła płaczem. Fiszer zaczął mieć wątpliwości, czy przedstawienie w ogóle dojdzie do skutku.

Mieli tylko dwa dni na próby na dużej scenie i przyzwyczajanie się do większej przestrzeni. Głos brzmiący naturalnie na sali prób nagle okazywał się zbyt słaby, elementy scenografii stały dalej od siebie, niż markowali to wcześniej taboretami i krzesłami, przez co wszyscy gubili się na scenie i nie umieli we właściwej chwili zacząć swoich kwestii. Sprawdziła się przepowiednia Bogusławskiego, na dużej scenie rozleciało się nawet to, co udało się sklecić w sali prób. Mistrz długo szeptał z dziadziem Plerschem, po czym ku ogólnemu zaskoczeniu scena zapełniła się bezsensownymi, pochodzącymi z wcześniejszych przedstawień gratami, wszyscy czuli się obco w kostiumach i co chwila sypali nowymi pomysłami, co takiego oraz jak powinien zawiesić na nich dziadzio Plersch, by wzmocnić efekt komiczny. Tym razem Bogusławski był bardzo uparty i nie pozwolił, by nakładali sobie na głowy pończochy, a do nóg przywiązywali kapelusze. Najbardziej ubolewał nad tym Zdanowicz.

Fiszer szybko rozpoznał elementy scenografii. Jeden fotel występował w operze granej na cześć cara, drugi dwa i pół roku temu w *Cudzie mniemanym*. Rutkowski gotów był się założyć, że pokój z garderobą starego Klingsberga zagrał już w *Kazimierzu Wielkim* Niemcewicza. Na scenie nie było pomieszania stylów, tylko zwykły chaos. Nie mniej niedorzecznie dobrano kostiumy. Stary Klingsberg paradował w osobliwym uniformie z zawieszonymi na piersi różnego rozmiaru gwiazdami oraz guzami ze szlafmicy; można by pomyśleć, że to mundur polskiego generała, gdyby nie kolory odpowiadające francuskim barwom narodowym, dystynkcje przypominające pruskie i krój kojarzący się z uniformami rosyjskimi. Młody Klingsberg paradował w kostiumie francuskiego kroju, a Sztein, niemiecki oficer, w mundurze przypominającym rosyjski, Amalia wyglądała na polską mieszkę, podczas gdy hrabina miała na sobie strój sprzed czterdziestu lat, z czasów Stanisława Augusta. Na ścianie garderoby starego Klingsberga wisiał portret, ale twarzy nie można było rozpoznać z powodu ogromnego kleksa, natomiast po innych obrazach pozostały na brudnej ścianie tylko jaskrawobiałe ślady.

Przecież to idiotyczne, uznał Fiszer i zaczął żałować Bogusławskiego, który co prawda dawał mu od czasu do czasu genialne instrukcje, ale teraz nie był już w stanie dopatrzeć wszystkiego. Może Mistrz był kiedyś wielki, ale obecnie byłoby lepiej, gdyby się wycofał.

Wszyscy buntowali się przeciw takim dekoracjom, nawet Żółkowski. Gruby komik

z wielkim zapałem protestował przeciw każdemu elementowi scenografii i wszystkim kostiumom, gdyż, jak się wyraził, to jest prawdziwy teatr, tu gra się na tle czarnego horyzontu, do końca sztuki gra się w stałym oświetleniu i to aktorzy swoją grą uzmysławiają widowni, jaka jest pora dnia. Bogusławski w pełni się z nim zgadzał, ale zaznaczył, że do tego potrzebna jest dojrzała i inteligentna publiczność, która byłaby na tyle wyrafinowana, by udawać naiwną i bawić się wspólnie z aktorami. Dodał także, iż coś takiego może zrobić również publiczność całkiem prymitywna, jeśli taka w ogóle istnieje, lecz obecnie nie ma ani jednej, ani drugiej. Dmuszewski odparł, że dobrze, niech sobie te skrajności będą, jeśli nie może być inaczej, ale w takim razie wszystko musi być okazałe i budzące zachwyt. Bogusławski mu przytaknął, mówiąc, że on również tak uważa, lecz nie dostał od Osińskiego dość pieniędzy na bogate przedstawienie i może dysponować tylko tym, co znajduje się w magazynach.

- Nie ma nawet magazynu dekoracji - odburknął Żółkowski.

Ale od kwestii braku pieniędzy nie było apelacji.

Ostatnie dwie próby, kończące cierpienia na dużej scenie, obejrżeli także zaufani Osińskiego: Szczurowski, Kurpiński, Kudlicz i Werowski. Bogusławski nie zwracał na nich uwagi, traktując jak powietrze. Nieproszeni goście wyszli w dobrym nastroju i z pewnością mieli niezłą zabawę podczas relacjonowania Osińskiemu swoich wrażeń.

Bogusławski siedział na widowni i dyktował coś Fiszerowi, gdy na scenie trwała próba generalna.

- Malinowski znów robi co innego - szepnął Fiszer do Mistrza.

Malinowski rzeczywiście grał inaczej, wbrew zaleceniom Bogusławskiego tworząc z leniwego porucznika Szteina coraz sympatyczniejszą postać.

- Nie szkodzi - odszepnął Bogusławski. - Ciągle staram się reżyserować karykaturę, a aktorzy zawsze wyciągają się z gówna.

Fiszer zbladł.

- Ledóchowska jest bardzo niedobra - powiedział po chwili Mistrz.

Fiszer zawzięcie notował.

- Niech pan, mój królu, tego nie pisze, chyba pan zwariował! - syknął Bogusławski. - Jeszcze mi pan rozwali Trusię.

Fiszer podarł notatki.

- Teraz podarł pan wszystko - zaczął lamentować Mistrz. - Z czego będzie pan wydawał polecenia?!

- Ja? - wyjąkał Fiszer.

- Ja już nic im nie powiem.
- Ale oni mnie i tak nie słuchają...
- I dobrze.

Wszyscy zwariowali, pomyślał Fiszer, może ja także.

W ostatnich dwóch dniach Bogusławski kazał trzy razy z rzędu zagrać całość. Wszyscy byli śmiertelnie zmęczeni. Mistrz nie zwracał na to uwagi. Półtorej godziny zamęczał ich dokładnym ustawieniem finału. Okazało się, że do ostatniej sceny kazał Weinertowi skomponować utwór na flet, jedyną muzykę w całym przedstawieniu, ale do tej pory nie było czasu, by ustawić tę pantomimiczną w charakterze scenę.

Pierwszą próbę generalną zakończył o piątej po południu Zieliński, mówiąc, że trzeba rozstawić dekoracje do wieczornego spektaklu. Grano *Atalię*, Ledóchowska i Helena były potwornie zmęczone, obie ledwie dowlokły się do garderoby, by za półtorej godziny zagrać w spektaklu. Pozostałe osoby Bogusławski zaciągnął do sali prób i dalej pracował z nimi nad sceną finałową. Helenę zastąpił Fiszer, a Ledóchowską Hieronim. Bogusławski na próżno prosił, by podesłano im chociaż jednego muzyka, Osiński przekazał mu przez Unickiego, że w *Atalii* potrzebni są wszyscy muzycy, zresztą i tak brakuje tam Fiszera, którego przy bębnie musi zastępować König od trąbki. Mistrz sam usiadł przy pianinie, zastąpiwszy siebie w finałowej scenie dostawionym krzesłem. Hieronim nie potrafił ruszać się w takt muzyki, Bogusławski huknął na niego, by przynajmniej stał nieruchomo na swoim miejscu.

- Po co to wszystko? - wybuchnął Żółkowski.
- Ty idioto - powiedział Bogusławski - nie widzisz, że w takim tempie pójdą brawa?!
- Brawa! - krzyknął Żółkowski. - Pójdą gwizdy, a nie brawa.

Następnego, czyli ostatniego dnia rano Elsner, obrażony na Osińskiego, gdyż w recenzjach o *Atalii* wycięto wszystko o muzyce oraz chórze, który on sam przygotowywał do spektaklu - ponadto był przekonany, iż Osiński dostał recenzję jeszcze w rękopisie - szepnęła Bogusławskiemu, że Osiński wykupił pół widowni na premierowe przedstawienie.

Bogusławski przywołał Fiszera.

- Niech pan posłucha, mój królu, od pana zależy moje życie. Nawet nie przyrzekam, że przeczytam pana sztukę, po prostu apeluję do pańskiego serca. Dzięki Osińskiemu połowa widowni będzie świecić pustkami. Przed połową sali nie da się grać. Ja muszę mieć komplet. Niech pan zbierze na przedstawienie tysiące. Wejdą za darmo. Ma pan przyjaciół wśród studentów. Niech im pan powie, że tak wywrotowego przedstawienia jeszcze pan nie widział. Wiem, że pan mi nie wierzy, ale niech pan sprawi, by oni uwierzyli. Niech pan wreszcie pokaże, że ma duszę artysty. Zrobisz to, mój królu?

Fiszer przytaknął i choć nie był przekonany, pobiegł na uniwersytet.

Próba generalna wypadła słabo. Fiszer nie widział jej, po powrocie jednak usłyszał miażdżące opinie. Bogusławski wziął go pod ramię i wspólnie przeszli przez garderoby. Malinowskiemu, który i tak przesadnie dramatyzował na scenie, Bogusławski powiedział, by jak najgłębiej wczuł się w tragiczną sytuację Szteina. Aktor żarliwie przytaknął i mając przyzwolenie Mistrza, oświadczył, że on osobiście znacznie, ale to znacznie głębiej i bardziej tragicznie zagrałby również rolę Dmuszewskiego i jeśli Mistrz wybaczy, nawet w postaci starego Klingsberga starałby się ukazać tragizm.

- Dobry aktor ten Malinowski - powiedział Bogusławski na korytarzu. - Strasznie głupi, ale aktor dobry. Zawsze chce reżyserować, ale nigdy nie zrozumie, że chciałby tylko zagrać rolę reżysera. Tacy są prawdziwi aktorzy, Antoni. Chcą zagrać nawet niemego odzwiernego. Reżysera, autora i suflera. Nie znoszą tylko być widzami.

Fiszer znów nabrał wątpliwości. Nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, iż tak mądry człowiek nie dostrzega, jaką bzdurę reżyseruje.

- Jesteś silnym człowiekiem, mój królu - powiedział Bogusławski Dmuszewskiemu, który przeżywał rozterki. - To dobrze, bo Albert jest równie silny. Dlatego cię obsadziłem. To nie rzuca się w oczy, ale jest to nad wyraz twardy i ucziwy człowiek. Na pewno będziesz dobry, staraj się tylko nie trzymać sztywno karku.

Fiszer nie wierzył własnym oczom: Dmuszewski wyprostował się i uśmiechnął, jak twardy człowiek świadomy swej siły.

Mistrz poprosił Żółkowską, by grała instynktownie, niczym się nie przejmowała, a już najmniej swoimi wątpliwościami. Zarówno w roli pani Wunszel, jak hrabiny niech robi to, co w danej chwili czuje, i zapomni o reżyserskich instrukcjach.

Aszpergerowa, pokaszując, wysłuchiwała Bogusławskiego, który wbrew oczekiwaniom Fiszera nie starał się jej namawiać do mniej płacziwej gry, przeciwnie, skwitował te starania samymi pochwałami.

- To też aktorka z krwi i kości - powiedział Mistrz na korytarzu. - Trzeba ją tylko zostawić w spokoju. Opowiadają, że w Wilnie przeszła przez nią cała francuska armia. Z tego Aszpergerowie mogli sobie kupować książki do swojej bogatej biblioteki. Ta kobieta dużo wie, Antoni, a taka wiedza jest bezcenna.

Fiszer ukrył swoje odczucia.

U Ledóchowskiej Bogusławski wreszcie usiadł.

- Trusiu, proszę tylko o to, by od tej chwili nie myślała pani o roli. Pani wie, co robimy i po co, wystarczy, że będzie pani genialna.

- Będzie skandal - powiedziała Ledóchowska. - Coraz bardziej czuję, że tego nie przełkną.

Bogusławski roześmiał się:

- Przecież sporo odpuściłem z pierwotnej wersji. Niech pani sobie wyobrazi, co by się stało, gdybyśmy ją zagrali.

- Teraz jest jeszcze gorzej.

- Nie będą mieli odwagi się przyczepić. Nikt nie będzie taki głupi, by napisać, o czym jest przedstawienie. Ludzie zazwyczaj nie składają donosów na samych siebie.

Fiszler gapił się na nich w milczeniu. Nie rozumiał, do czego ktoś mógłby się przyczepić, i żałował Ledóchowskiej, tej bladej, kruchej i cudnej aktorki o wielkich oczach, którą tak naprawdę powinno się nosić na rękach, bo ta skromna, cicha i wielka artystka wciąż wierzy, że w tej okropnej, nic niemówiącej sztuce jest jakaś prawda.

Fiszler uznał, iż czas już podjąć decyzję: pozostać tu, aż jego uczucia zostaną porażone infekcją i stanie się taki jak inni, czy też definitywnie rozstać się z teatrem.

Dwudziestego trzeciego stycznia, za piętnaście siódma wieczorem, po foyer kręciła się już oficjalna publiczność premierowa, gdy na placu Krasieńskich pojawiła się licząca około pięciuset osób grupa studentów. Przybyli dygnitarze z przerażeniem spoglądali przez wąskie oszklone drzwi wejściowe. W mroku wyglądało to jak przygotowanie do demonstracji. Żandarmi rozstawieni na posterunkach wokół teatru nie wpuszczali do foyer ani studentów, ani osób z biletami, mówiąc, że wszystkie bilety na premierę są wyprzedane. O siódmej Bogusławski jeszcze w cywilnym ubraniu wszedł do foyer i oświadczył, że studentów zaprosił Osiński. Bileterzy zaczęli protestować, ktoś poszedł po Osińskiego. Ten zjawił się natychmiast i poblady obserwował plac. Część dygnitarzy siedziała już na widowni, czekając na rozpoczęcie spektaklu, i z dreszczykiem podniecenia węszyła jakiś skandal. Bogusławski cichym głosem wypytywał Osińskiego, czemu nie wpuszcza się studentów, skoro i tak pół widowni świeci pustkami. Osińskiemu trudno było coś wymyślić, bał się też, że źle wypadnie w oczach swoich studentów, musiał się więc zgodzić, by wpuszczono ich do środka. Bogusławski wygłosił krótką mowę powitalną, zaznaczając, że dyrektor teatru, pan Osiński, będący zarazem profesorem na uniwersytecie, z radością widzi studenterię, której jest w Warszawie coraz więcej i która, ma nadzieję, jak najszybciej zajmie miejsca na widowni. Osiński miło się uśmiechnął, a kiedy Bogusławski skończył i ruszył do garderoby, w krótkiej mowie naszpikowanej cytatami z greki i łaciny oznajmił, iż jego najgorętszym pragnieniem jest, by ten wieczór stał się początkiem nowych i owocnych stosunków między teatrem a studentami, będącymi strażnikami polskości. Potem pognął do swego gabinetu i polecił

Unickiemu, by żandarmeria przysłała posiłki.

Spektakl rozpoczął się z półgodzinnym opóźnieniem.

Fiszera stał przy pulpicie inspicjenta po lewej stronie sceny i już po kilku minutach zorientował się, że na próbach widział zupełnie inne przedstawienie. Podczas prób aktorzy, choćby nie wiadomo jak się starali, tylko szkicowali swoje role, teraz natomiast grali naprawdę. Już po kilku chwilach pierwsza scena powtarzanego do znudzenia otwierającego dialogu między Bogusławskim i Żółkowskim stała się czytelna. Fiszera zauważył, że na scenie pojawiły się też rekwizyty, których nie było na próbach generalnych. W rogu pokoju z garderobą starego Klingsberga stała oparta niedbale o ścianę słynna maszyna elektryczna, prywatna własność Bogusławskiego. Ta przenośna, dająca się nakręcać maszyna występowała niegdyś w *Cudzie mniemanym*: dzięki niej student Bardos mógł zapobiec bójce między Krakowiakami a Góralami - w domyśle między Polakami a Rosjanami - rozpiął pod ich nogami druty, a kiedy zaczynała się bitwa, przekręcał pokrętło, wszystkim walczącym włosy stawały dęba, każdy był przerażony i szybko nastawał pokój. Na scenę wkroczył Bogusławski w szlafroku; szlafrok obwieszony był błyszczącymi, autentycznymi polskimi i francuskimi odznaczeniami. Ponadto Bogusławski kuśtykał. Był zręczliwy i cyniczny. Na próbach nigdy taki nie był. Żółkowski nawet na moment się zmieszał. Fiszera pojął, że komik wiedział, jak w przedstawieniu zagra Bogusławski. Żółkowski jako kamerdyner miał duszę lokaja i był równie zręczliwy jak jego pan.

Zmówili się obaj, zaświtało Fiszera w głowie i poczuł się lekko urażony.

- Nie będzie antraktu - szepnął mu Bogusławski, schodząc ze sceny. - Niech pan powie wszystkim, że lecimy ciurkiem do końca, inaczej podczas przerwy zakażą nam grać.

Fiszera obszedł wszystkich snujących się i próżnujących aktorów.

Ledóchowska się zgodziła, Rutkowski bał się, że publiczność po godzinie wyjdzie, a pętający się za kulisami Unicki popędził do Osińskiego.

Z tyłu wszyscy nasłuchiwali reakcji widowni, z pokasływań, skrzyknięć krzesel, z natężenia i długości śmiechu starając się odgadnąć, czy będzie sukces, czy nie. Fiszera zaskoczyła dziwna reakcja widowni. Zgrabne, potoczyste i pełne point dialogi Kotzebuego cieszyły się mniejszym powodzeniem, niż przewidywał, natomiast fragmenty uważane wcześniej za pozbawione znaczenia wzbudzały nieoczekiwaną wesołość.

Bogusławski, gdy akurat nie przebywał na scenie, stał obok Fiszera i obserwował innych. Fiszera uświadomił sobie, że Mistrz wszystkie swe zejścia ze sceny zaplanował właśnie na tę stronę, a czekający na wejście aktorzy z góry o tym wiedzieli i tu przystawali, póki Fiszera nie dał znaku, by się przygotowali. Bogusławski tak bardzo pochłonięty był

obserwowaniem kolegów, że zapominając się, mamrotał ich kwestie i żywo gestykułował.

- No, teraz niech pan uważa - potrząsnął ramieniem Fiszera, gdy Dmuszewski i Malinowski wyszli do pojedynku. - Jeśli załapią początek, wygraliśmy.

Dmuszewski zaczął swoją kwestię zbyt słabo i za szybko. Malinowski dramatyzował, a jego głos był głębszy. Fiszer się skrzywił. Bogusławski sapał mu do ucha.

Zgodnie z tekstem Adolf pragnie walczyć. Sztejn chce z nim rozmawiać i oświadcza, że ma żonę oraz siostrę. Niech Adolf przyrzeknie, że w przypadku jego śmierci zatroszczy się o biedne, samotne kobiety. Zniecierpliwiony Adolf przyrzeka. Sztejn kładzie na ziemi notes z zapisaną informacją o swym tytule barona, który całe życie ukrywał. Adolf zaczyna wypytywać go o tytuł, a Sztejn na to, że nie, nie, póki żyje nikomu go nie zdradzi.

Widownia wybuchnęła śmiechem. Tego aktorzy się nie spodziewali. Dmuszewski jako Adolf stał niepewny i gapił się głupio na notes. Malinowski nagle załapał o co chodzi i zaczął grać rolę tak idiotycznie koszmarne, że aż skręcał się ze wstydu.

Bogusławski krzyknął z radości.

- Mamy to! - sapał głośno. - Teraz już mamy.

Publiczność wyśmiała nieudany pojedynek, a kiedy obaj mężczyźni, obejmując się ramionami, opuszczali miejsce starcia, rozległy się pierwsze brawa przy podniesionej kurtynie.

Bogusławski rzucił się Malinowskiemu na szyję i ucałował go. Dmuszewski głupio rechotał, cały rozanielony. Fiszer omal nie zapomniał wypuścić aktorów do następnej sceny.

Z boku, z pulpitu inspicjenta nie było widać całej sceny, tylko jej głębię. Fiszer przeważnie słyszał jedynie tekst, a i to nie zawsze, gdyż aktorzy grali zwróceniem twarzy ku widowni. Podczas długiego monologu Amalii panowała cisza, ale przy następnej scenie znów wybuchły śmiechy. Nieoczekiwanie największe brawa zdobyła Aszpergerowa, kiedy - grając, zdaniem Fiszera, bardzo nienaturalnie i nieszczerze - powiedziała: „Gdzie miecz nic nie rozwiąże, bo wytrwałość jest w cenie, my, kobiety, wciąż trwamy: cierpimy, milczymy, wierzymy, wygramy!”.

Okazało się, że dzięki publiczności sztuka wzbogaciła się o kilka nowych point. Wielkim śmiechem skwitowano zupełnie niewinną kwestię Dmuszewskiego: „Czy możesz mi powiedzieć, miła dziewczyno, co za korzyść będzie dla świata, że pan X przypadkiem odkryje korzenie jakiegoś arabskiego słowa lub inny X przesylabizuje hieroglif z Persepolis?”. Publiczność potraktowała to jako przytyk do pana X pisującego recenzje teatralne w „Gazecie” i „Korrespondencie”. Fiszer nie umiał rozstrzygnąć, czy podczas prób Bogusławski pomyślał o czymś takim.

Bogusławski był znakomity, co Fiszer mógł skonstatować nawet ze swojego miejsca przy pulpicie inspicjenta, ale nie rozumiał tego. Stojący obok niego Mistrz nie tylko obserwował grę innych, ale także w wolnych chwilach jadł chleb i bez opamiętania dłużał w nosie, po czym jakby mimochodem, bez przygotowań i tremy wchodził na scenę, by w roli starego Klingsberga z elegancką pewnością siebie nie pointować kwestii, które wszyscy inni staraliby się na jego miejscu wykorzystać. W swej kreacji Bogusławski ukazał postać pustego wewnątrz, pozbawionego ideałów podłego starca i mniej więcej w połowie sztuki Fiszer zrozumiał wreszcie symbolikę odznaczeń przypiętych do szlafroka. Okrutny i samolubny starzec z braku innych osiągnięć zaczął uwodzić kobiety. Nie potrafił wykorzystać swej energii na inne cele i gdyby nie uganiał się za kobietami, pożarłby sam siebie. W postaci starego dziwkarza było coś diabelskiego i po każdej jego replice Fiszera przechodziły ciarki, choć setki razy słyszał te kwestie na próbach. Nie tylko jemu podobał się Mistrz. Żółkowski, który rzadko pojawiał się na scenie, stał obok niego, zacierając ręce i chichocząc z uciechy. Fiszer już dawno przyzwyczał się do tego, iż aktorzy zawsze grają siebie samych, większość spektakli oglądał, siedząc w kanale dla orkiestry, i nieustannie ziewał. Teraz zobaczył coś zupełnie innego.

Największy aplauz wywołały jednak sceny z Żółkowską, i to nie w roli pociesznej, plotącej bzdury pani Wunszel, lecz jako dobrotliwej hrabiny. Żółkowska w dalszym ciągu nie umiała się uwolnić od pewnych charakterystycznych cech pani Wunszel, toteż spoza szlachetnych słów i wzniosłych gestów hrabiny wyzierało nieokrzesanie i głupota pani Wunszel. Dopiero teraz Fiszer zrozumiał, że Bogusławski z rozmysłem pozwolił Żółkowskiej źle grać.

- Mocna rzecz - zaśmiał się obok niego zachwycony Żółkowski.

Scena finałowa. Dwie zakochane pary wreszcie się połączyły, Dmuszewski obok Aszpergerowej, a Malinowski z Ledóchowską, chwila ciszy i nagle muzyka Weinerta. Zakochani kołyszają się w takt muzyki. Wśród nich z pełną powagą i roztaczając aurę grozy, kołysze się Bogusławski. Fiszer nie widział ich, ale czuł, że wszyscy szyderczo uśmiechają się do widzów. Teraz Aniela wlatuje nad scenę doprowadzającymi do szaleństwa uwodzicielskimi ruchami. Ona też szyderczo się śmieje. W rytm muzyki na scenę wchodzi Zdanowicz, a po nim Helena, oboje rozkołysani i z szyderstwem na twarzach. I ruszają w tan. Żółkowska jako hrabina unosi spódnicę, a na nogach ma znoszone trzewiki pani Wunszel. Muzyka przechodzi w szyderczy chichot. Była skomponowana w tempie marsza, nieco miaukliwa, a bas fagotu i koloraturowy sopran fletu tworzyły komiczny dysonans.

Fiszer w końcu zobaczył ich, gdy odeszli w głębi sceny. Stanęli, kołyszając się

i uśmiechając szyderczo. Brawa. Bogusławski nie uśmiechał się, tylko drwiąco patrzył na widownię. Brawa. Było jasne, że teraz zaczną się prawdziwe kłopoty. Żółkowski, z szyderczym uśmiechem na twarzy, patrzył na Bogusławskiego jak chytry, podstępny lis, czekający na chwilę, w której znów mogliby zburzyć szczęście młodych.

Fiszera przy pulpicie inspicjenta też zaczął bić brawo, potem nagle przestał. Po diabła klaszczemy? - pomyślał. - Raczej trzeba by płakać.

Niewiele brakowało, a zapomnieliby opuścić kurtynę.

Rozanielony przechadzał się po scenie za opuszczoną kurtyną, dotykał dekoracji, wśród których jeszcze chwilę temu grano, wokół niego aktorzy całowali się z radością, spocony i brudny Bogusławski wyjaśniał coś Zdanowiczowi, techniczni rzucili się na dekoracje, by jak najszybciej jej uprzętać, usmolony Hieronim wypełznął z budki suflera z egzemplarzem sztuki pod pachą i sterczał, gderając, na środku sceny, po czym obrażony wyniósł się ukradkiem. Fiszera uznał, że ma prawo cieszyć się razem z innymi. To był sukces. Ogromny sukces. Dziwna sprawa, wszystko to tylko sztubackie psikusy, bez sensu, jeśli spojrzeć od strony wyższych racji, z pewnością to nie jego powołanie, a przecież śmieje się i jest szczęśliwy, i bardzo chciałby wyściskać po kolei wszystkich grających. Zjawił się zasapany dziadzio Plersch i we właściwym miejscu ustawił na stole wazon i pilnował, by nie wynieśli go techniczni. Rekwizytor Harazyn przyniósł jakieś odznaczenie i podszedł do Bogusławskiego otoczonego wianuszkami ludzi, by mu je przypiąć.

- To jest lepsze - powiedział, odpinając Mistrzowi jakieś mniej znaczące odznaczenie.

Aktorzy powoli znikali w garderobach.

- Nie odchódź - powiedział Żółkowski do Fiszera, pierwszy raz mówiąc mu per ty. - W sali prób będzie bankiet.

- Ja też mogę przyjść? - spytał Fiszera, ale Żółkowskiego już nie było.

Bogusławski przygotował się wcześniej do bankietu, obsłudze technicznej kupił sporo skrzynek piwa i mówiono, że pozostali mogą pić wino i wódkę na rachunek Mistrza. Długi stół zastawiony był trunkami, wokół zgromadzili się już muzycy, garderobiani i garderobiane, stolarze i krawcy, wszyscy którzy nie musieli się przebierać. Unicki kazał dwóm technicznym przynieść dodatkowy stół i kilka foteli, które ustawiono w kącie, jak najdalej od wspólnego stołu. Będzie więc także Osiński.

Kiedy wszyscy już się zebrali - Bogusławski, dostojny w odświętnym ubraniu, przy nim Dmuszewski, Osiński przy oddzielnym stole, obok niego Rozalia w kosztownej wieczorowej sukni z dekoltem, a przy nich Unicki oraz świta - Mistrz pełnym wzruszenia głosem podziękował obecnym za wspaniały sukces i po kolei uściśnął każdemu dłoń.

Ledóchowska w imieniu zespołu podziękowała Mistrzowi - zjawiała się w prostym, czarnym i zapiętym pod szyję kostiumie, który jeszcze bardziej podkreślał jej kruchość i bladość - po czym cały porządek się rozleciał i wszyscy rzucili się coś wypić. Większość szybko się upiła. Osiński siedział ponury i widać było, że za chwilę wybuchnie, gdyż nie miał udziału w sukcesie. Bogusławski nie podszedł do niego, a Osiński nie zamierzał opuszczać swego miejsca.

Następnego dnia Tobiasz Macrott i sufler Wąsikowski napisali szczegółowe raporty na temat bankietu. Oba sprawozdania pokrywały się, nie doszło do zakłócenia porządku, znieważenia cara ani spisku, aktorzy wystawili parodię *Dwóch Klingsbergów*. Żaden ze szpicli nie mógł załączyć tekstu sztuki, bo parodię improwizowano na scenie. Zdaniem Tobiasza parodia została odegrana z zachowaniem umiaru, Żółkowski zagrał Bogusławskiego, Bogusławski Ledóchowską, Ledóchowska Żółkowskiego i tak dalej. Wąsikowski wyraził podejrzenie, iż aktorzy opracowali dla swych potrzeb sekretny język i być może w tym przestępczym żargonie doszło do obrazy majestatu. Z kolei Macrott, całkowicie niezależnie od Wąsikowskiego, w tej kwestii napisał, że prawie cały wieczór aktorzy rozmawiali ze sobą, posługując się tekstem sztuki. Nad ranem zegrali ją jeszcze raz, sami dla siebie, prawdopodobnie w taki sposób, w jaki zamierzali to zrobić pierwotnie. Tobiasz wyraził podejrzenie, iż był w tym pewien posmak obrazy majestatu, ale całkowitej pewności mieć nie może. Natomiast Wąsikowski, całkowicie niezależnie od Tobiasza, napisał w tej kwestii, że Żółkowski grał rolę Baltazara, kamerdynera, leżąc na ziemi, a rolę pana Krautmanna, dzierżawcy, zagrał Fiszer, zastępując kompletnie pijanego Zdanowicza. A ponieważ Ledóchowska już sobie poszła, Żółkowska zagrała nie dwie, ale trzy role. Bogusławski także był pijany, ale nie wrywał się z wypowiedziami mającymi charakter obrazy majestatu.

Podczas przyjęcia, prawdopodobnie jeszcze na samym początku, Aszperger wdał się w ewidentnie przyjacielską rozmowę z Malinowskim, jednym z bohaterów spektaklu, i można było przypuszczać, że Aszpergerowa zerwała z Malinowskim i wróciła do męża.

Fiszer konwersował z kompletnie pijanym Zielińskim, profesjonalnym inspicjentem teatru, i za wszelką cenę chciał się dowiedzieć, o czym jest ta sztuka i czy naprawdę to taki sukces, jak teraz wszyscy mówią. Zieliński nie potrafił mu tego wyjaśnić.

Nad ranem wiele osób uznało, iż wielkim wydarzeniem podczas bankietu było pojawienie się Truskolaskiej, ale jakoś nie mogli dojść do porozumienia, co Truskolaska robiła i czy w ogóle tam była. Zdaniem Harazyna Ledóchowska wyszła wcześniej, bo jej matka zaczęła wygłaszać monologi Amalii, gdyż w tajemnicy nauczyła się roli, licząc na to,

że wskoczy na miejsce córki. Inni uznali tę opowieść za niewiarygodną.

Osiński wyszedł jeszcze przed północą razem z żoną, Unickim i swoją siostrą (Szczerkowski, Kudlich, Werowski i Kurpiński). Elsner został do rana i rozmawiał ze swoją dawną wychowanką, haniebnie porzuconą przez Mistrza i wciąż jeszcze piękną Dmuszewską. Dmuszewski podobno o czwartej nad ranem zaczął tłumaczyć przy stole bankietowym przyniesioną francuską komedię, oznajmiwszy, że każdego dnia o czwartej rano siada do przekładu. W każdym razie udało mu się zebrać od kolegów sporo drobnych dla żebraków.

Fiszer miał nadzieję, że podniosły nastrój nie rozplynie się wraz z końcem bankietu i odurzające uczucie wywołane wspólną pracą i odniesionym sukcesem będzie trwać nadal. Następnego dnia w teatralnej knajpie wszyscy wychwalali Mistrza, który z niespotykaną rozrzutnością urządził bankiet za pieniądze Żółkowskiego i Rutkowskiego; to był piękny, pański gest ze strony Mistrza, mówiono z uznaniem. Żadna część tego uznania nie przypadła w udziale Żółkowskiemu ani Rutkowskiemu, którzy pożyczili Mistrzowi pieniądze.

Skacowani aktorzy odkrywali w swej grze coraz głębsze wartości, Fiszer nie wiedział, czy to kwestia przepicia, czy może nie dostrzegł wszystkiego zza pulpitu inspicjenta. Bezskutecznie wypytywał aktorów niegrających w przedstawieniu, o czym w końcu był ten spektakl. Może studenci mi powiedzą, pomyślał.

Bardzo żałował, że kolejny spektakl będzie dopiero za tydzień; ciekawe, snuł rozważania w obecności Heleny Rutkowskiej, nigdy by nie uwierzył, że wspólna praca aż tak potrafi porwać ludzi.

- Bo nie jesteś aktorem - odparła pogardliwie Helena.

W teatralnej knajpie panowało powszechne przekonanie, że w historii teatru zaczyna się nowy złoty wiek.

Pan kapelmistrz Kurpiński przydybał Fiszera i przedstawił mu swoje poglądy na kwestie estetyczne. Fiszer, jeszcze niedawno pogardzany tympanista, świadom swej doniosłej roli odegranej w sztuce o Klingsbergach, protekcjonalnie potakiwał.

- Rzecz jasna, teraz każdy będzie go molestować, by dostać dobrą rolę - gderał zawistnie Szymanowski, mając na myśli Mistrza.

Żółkowski roześmiał się, po czym naśladując głos Bogusławskiego, zapewnił zebranych, że aczkolwiek jego plany nie są jeszcze sprecyzowane, to jednak liczy bezwzględnie na wszystkich, każdy jest znakomitym aktorem, a on, Bogusławski, gwarantuje, że...

Bogusławski nie pojawił się w teatralnej knajpce. Fiszer, znając już nieco

Bogusławskiego, uznał, że Mistrz pojawi się dopiero w kulminacyjnym momencie peanów, by zgarnąć owoce sukcesu. Nie przyszło mu do głowy, że Mistrz po prostu śpi.

W południe do knajpki wpadł Nacewicz z gazetami.

- Wydrukowali! - krzyczał. - To wstyd! Skandal! Czegoś takiego jeszcze nie było!

Wszyscy rzucili się na gazety.

Zamieszczone w obu pismach identycznej treści recenzje napisał pan X.

„Jedna z najlepszych sztuk teatru niemieckiego, sztuka charakterystyczna, prowadzona zręcznie, dialogowana dowcipnie, ale w wystawieniu warszawskim sztuka mdła, sceny przewlekłe, ton nieprzyzwoity, czym się to dzieje?”

- No, czym? - rozległy się oburzone głosy.

„Scena nasza jest tak uorganizowana, że jeśli dzieło dramatyczne ma jakie piękności, rzadko kiedy dokładnie będą wydane; jeśli się, przeciwnie, wady jakie w nim znajdują, z największą przesadą będą wystawione. Reprezentacja *Klingsbergów* najżywiej tę prawdę wyświeca”.

W bufecie wrzało, Nacewicz próbował przekrzyczeć hałas.

„Dialogi są dowcipne: nie słyhać ich; ale niektóre sceny są za długie, nieumienie ról jeszcze je przedłuża. Rola Henryki ma wiele delikatności i czucia: nie umiała jej wydać aktorka, ale scena pojedynku, już w oryginale niedorzeczna, więc ją w karykaturę obrócili”. I na koniec: „rola starego Klingsberga dla wielorakich śmieszności, które jej autor narzucił, przez aktora tylko we właściwej godności utrzymana być może: nie miał tego względu artysta, wziął ją właśnie z płaskiej, najwygodniejszej strony i tym samym całą sztukę upodlił”...

- Co? Jak to? - sypnęły się pytania, a Nacewicz powtórzył wrzaskliwie:

- ”Upodlił”!

Trudno było zmusić aktorów, by w jakiej takiej ciszy wysłuchali czytającego dalej Nacewicza.

„...jużeśmy się dawno przekonali, że ten szanowny sceny polskiej dowódca odrębną sobie do sławy toruje drogę. Nie to, co małej liczbie znawców dogodzić może, ale raczej to, co wszystkich w oczy uderza, za przedmiot usiłowań swoich obrał; więc już nie te delikatne cienie, gdzie częstokroć aktor z autorem walczy; nie te trudniejsze jeszcze odznaczenie w jednej osobie dwóch przeciwnych uczuciów, nie tym się on zajmuje. Przenosi on te grubsze rysy, które i tłum zrozumie, i woli on liczniejsze, choć mniej rozważne oklaski”.

- Do diabła z rozważnymi oklaskami! - krzyknął Żółkowski.

- Nawet nie ma takich oklasków - mruknął Rivoli.

„Klingsberg jest jednym z pierwszych magnatów wiedeńskich, obcuje w najwyższym społeczeństwie, powinien zatem mieć ułożenie szlacheckie, mimo zdrożności, w które się wdaje. Więc chód jego powinien być przystojniejszy, ubiór nawet wytworniejszy i bogatszy. Nie uszły zapewne te spostrzeżenia pana Bogusławskiego rozważać. Od przeszło dziesięciu lat polskiego Roscjusza grę pilnie uważając, upewniliśmy się, że miast ukształcenia smaku publiczności, podniesienia jej do siebie, sam się do niej zniżył. Poszedł w ślady Szekspira i Moliera, którzy także tłumowi hołdownali, ale niechże wspomni, że potomność wiecznie im to wymawia”.

Pan X dorzucił też swoje trzy grosze na temat przekładu Bogusławskiego: dowcipne dialogi należało nieco uwznioślić, a niezdarną konstrukcję utworu okiełznać i uporządkować. Ponadto proponował, by usunąć scenę pojedynku, wykreślić ze sztuki drugą parę zakochanych, bo zaburza przebieg akcji - która para jest druga?, zastanawiali się aktorzy - a całość niech zakończy się wielką sceną pojednania, ale nie tak jak teraz, tylko wcześniej, czyli należy zupełnie zrezygnować z roli hrabiny.

Fiszer dorwał się do lekko już podniszczonej gazety jako jeden z ostatnich. Kiedy, zatkawszy uszy, dokładnie ją przeczytał, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Pan X domagał się, by wykreślić porucznika Szteina. Ale czemu? W jaki sposób? I po co sztuka miałaby się kończyć w pokoju Henryki? Co znaczy ta wielokrotnie powtarzana uwaga, iż chód starego Klingsberga „powinien być przystojniejszy”?

Żółkowska wybuchła płaczem. Czemu pan X ani słowa nie odniósł do jej kreacji? Aszpergerowej recenzent poświęcił jedną krytyczną uwagę, co Dmuszewski skwitował triumfującym uśmiechem. Żółkowski zaczął coś mamrotać. W teatralnej knajpce rozeszła się wiadomość, że Osiński, przeczytawszy recenzje, wpadł w złość i wspominał coś o bajecznych honorariach.

Krótko po dwunastej do knajpki wpadł Bogusławski i poniosło go. Klął na czym świat stoi, wyzywał pana X na pojedynek, uznał Osińskiego za bydlaka nad bydlakami i walił pięścią w stół, póki Ledóchowskiej nie udało się wyciągnąć go z knajpki.

- Przecież to tylko bezsensowna recenzja - powiedział Fiszer.

- Ty idioto - odparł Żółkowski. - Gdyby recenzja była przychylna, sztuka mogłaby mieć ze dwadzieścia przedstawień! Pół Warszawy by ją obejrzało!

W garderobie Ledóchowskiej Bogusławski nieco się uspokoił.

- Cały kłopot w tym, Trusiu - powiedział - że Osiński może ją teraz zdjąć z afisza, bo ma się na co powołać. Może nawet po to, by mnie wylać.

- Nie sędzę - próbowała go uspokoić Ledóchowska.

- Nie mam żadnych argumentów. Zobacz pani, że jutro moi aktorzy nawet mi się nie odклонią.

- Ubóstwiają pana, Mistrzu.

- Nic podobnego! - Bogusławski machnął ręką. - Stosuję prymitywne środki i zniżam się do poziomu plebsu. A dla kogo, u diabła, mam grać? No, dla kogo? Czyż nie dla publiczności?

- Cóż - powiedziała Ledóchowska - to wcale nie takie pewne, że teraz musimy grać dla publiczności.

- Więc dla kogo? Dla pana Iksa?

Ledóchowska milczała.

- Tę recenzję napisano o jakimś starcu, który przestał się już liczyć. Za którym nikt nie stoi. Do tej pory też nikt nie stał, ale tylko ja o tym wiedziałem. Teraz to napisano, wydrukowano, każdy może psy na mnie wieszać.

Ledóchowska nieśmiało zaprotestowała.

- Odpowiem na krytykę - postanowił Bogusławski.

- To nie ma sensu.

- Nie będę siedział cicho! Kim jest ten nieopierzony żółtodziób, który widział mnie na scenie wszystkiego dziesięć lat? Właśnie że mu odpowiem. Mówi pani, że i tak nie wydrukują?

- Tego nie mówiłam.

- Czemu nie mielibyśmy się dowiedzieć, kto wypisuje takie kalumnie?

Bogusławski wypadł z garderoby Ledóchowskiej i zaczął wypytywać wszystkich, od bileterów po aktorów, kto z wybitnych osobistości był na premierze. Skrzętnie notował nazwiska, po czym poprosił bibliotekarza Kellera o wcześniejsze recenzje pana X. Pół godziny później Keller wręczył mu ładnie przewiązane wstążką odpowiednie numery „Gazety” i „Korrespondenta”. W garderobie Ledóchowskiej Bogusławski rozłożył plik gazet w obecności aktorki i Żółkowskiego.

Interesowały go jedynie recenzje z tych przedstawień, które widział.

We trójkę przeczytali recenzję z *Atalii*, opublikowaną dwudziestego stycznia. Bogusławski podejrzewał autorstwo Niemcewicza, potem musiał się jednak zgodzić z Żółkowskim, że to nie jego styl.

Ledóchowska zwróciła uwagę na nazwiska cytowane w recenzji jako niezaprzeczone autorytety; La Harpe, Geoffroy i Schlegel z pewnością nie należeli do ulubionych autorów Niemcewicza.

- Nawet ich nie czytał - wysunął przypuszczenie Żółkowski.

- Ale może się na nich powoływać - mruknął Bogusławski.

- Niemcewicz nie byłby takim idiotą - powiedział Żółkowski - by uznać *Atalię* za najlepszy utwór Racine'a.

- Jeśli nawet nie Niemcewicz - odparł Bogusławski - to z pewnością dobrze go zna. I tu, proszę, tak pisze o tłumaczu: „okoliczności i miejsce, w których się znajdował, musiały mieć wpływ szkodliwy na jego pracę”! Nie wszyscy wiedzą, że Niemcewicz tłumaczył *Atalię* w petersburskim więzieniu.

Z tym się zgodzili.

- Osiński?! - zastanawiał się Żółkowski.

Ledóchowska opowiedziała o oburzeniu Osińskiego; na własne uszy słyszała, jak wspominał o bajecznych honorariach pana X.

- To może być taktyka - skwitował lekceważąco Mistrz.

Potem jednak musieli przyznać, iż Osiński nie mógł napisać recenzji z *Atalii*: pan X narzekał, że krzesła na widowni są niewygodne, obwiniając dyrektora teatru.

- Osiński nie ma poczucia humoru - mruknął ponuro Bogusławski. - Nie byłby w stanie dla kawału skrytykować samego siebie.

W nieco wcześniejszym numerze, z trzynastego stycznia, pan X podczas analizy *Cyrulika sewilskiego* stwierdził, iż Beaumarchais jest autorem gorzej niż średnim.

- Więc bez wątplenia to nie Niemcewicz - powiedział Bogusławski. - Można sobie jeszcze wyobrazić, że przypnie łatkę komuś, kto jest dla niego wielkim wzorem, komuś, kto jest od niego lepszy, ale nie będzie kopał dołków pod własnymi komediami.

W gazecie z szóstego stycznia mogli przeczytać wielką i entuzjastyczną recenzję nowej komedii Niemcewicza.

Tę jednak mógł napisać sam Niemcewicz.

- Musimy zdać się na plotki - uznał Bogusławski i niczym surowy sędzia śledczy przystąpił do przesłuchania Ledóchowskiej oraz Żółkowskiego.

Ledóchowska nic nie wiedziała.

Żółkowski powiedział, że zdaniem Szymanowskiego dwa tygodnie temu Kudlicz rzucił kilka epitetów pod adresem matki Ludwika Platera, jako przypuszczalnego krytyka *Atalii*.

- Co wspólnego z teatrem ma radca stanu do spraw leśnictwa? - zainteresował się Bogusławski.

Żółkowski nie wiedział, ale wspomniał, że Plater zdobył duże wpływy

u wolnomularzy, więc być może oni także maczają w tym palce.

- A Dmuszewski czegoś nie wie? - spytał Bogusławski.

Żółkowski zaprzeczył.

- Według Zdanowicza - powiedział komik - pan Iks to Koźmian.

- Skąd to przypuszczenie?

- Od Joanny. Koźmian trzyma z Osińskim i Niemcewiczem.

- I co dalej? Czy Koźmian był na premierze?

Tego nie byli pewni. Bogusławski zaczął grzebać w swoich notatkach; figurowało w nich nazwisko Koźmiana. Dalej myszkowali po recenzjach. W zasadzie mógł je pisać Koźmian, może z wyjątkiem tej o komedii Niemcewicza.

- Nie cieszyłbym się z tego - mruknął Bogusławski. Zamajaczył mu przed oczami obraz pozbawionego poczucia humoru łajdaka z wysuniętym arogancko podbródkiem. Koźmian ma wysoką pozycję. Jest radcą stanu do spraw religii, a także radcą w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Ma dobre układy. Ciągłe widuje się go z Mohrenheimem, sekretarzem Wielkiego Księcia. Mohrenheim jest nie tylko osobistym sekretarzem, ale także łącznikiem między Wielkim Księciem a namiestnikiem Zajączkiem. Dzięki temu Koźmian może wiedzieć o wszystkim, co się dzieje na świecie.

Koźmian spotyka się także z Okołowem.

Bogusławski zerknął na Ledóchowską.

Wystarczy, że Okołow zawarczy, a Koźmian w te pędy zniszczy w recenzji przedstawienie *Klingsbergów*.

- Byłoby lepiej, gdyby poświęcił się dziełu swego życia - mruknął Bogusławski.

Od wielu lat Koźmian pisał ogromny epos o polskiej szlachcie; w wyższych kręgach wiele sobie po nim obiecywano.

- Niech niebo chroni Polskę przed poetami - westchnął Żółkowski.

- Innych plotek nie ma?

Żółkowski potrząsnął głową.

- Trusia?

Ledóchowska tego też nie wiedziała.

- Pójdę do Lesznowskiego - oświadczył Bogusławski.

- Niech pan idzie raczej do Pękalskiego - zaproponowała Ledóchowska. - On też zamieszcza te same recenzje. Lesznowski jest zbyt uzależniony od hrabiego Mostowskiego, z pewnością nie uczyni niczego wbrew woli swego pana. Natomiast Pękalski, o ile pamiętam, lubi pana.

- Kiedyś może i lubił.

- No!

- Były już różne cuda. Ale podejrzewam, że Pękalski jest szpiclem.

- A kto nie jest? - zapytał Żółkowski.

- Po teatrze szwenda się nowy szpicel - powiedziała Ledóchowska. - Mistrz jeszcze go nie widział? Młody, w długim szynelu... Wybałusza te swoje wielkie oczy, przynajmniej na mnie. Nazywa się Ogiński. W zeszłym tygodniu odciągnął mnie na stronę i jakby składając wyznanie miłosne, przestrzegł, bym nie odzywała się w jego obecności.

Na moment zapadła cisza. Bogusławski uśmiechnął się.

- To ładne - powiedział. - Kiedyś to wykorzystam.

Omówili, co powinna zawierać odpowiedź Bogusławskiego. Ledóchowska zwróciła Mistrzowi uwagę, że nie byłoby korzystne wracać do interpretacji przedstawienia, by nie robić donosu na samego siebie. Zdaniem Żółkowskiego, Mistrz jak najczęściej powinien powoływać się na krwawą i pełną chwały historię Polski, na swoją przeszłość, o ile to możliwe, grać wyłącznie na uczuciach oraz podkreślić, że uwagę o podagrze starego Klingsberga można znaleźć w didaskaliach, Mistrz zagrał zgodnie z uwagami Kotzebuego i ani mu się śniło parodiować Zajączka.

- Niech pan tylko nie wymienia nazwiska namiestnika! - krzyknęła Ledóchowska.

- Takim idiotą jeszcze nie jestem - odparł Bogusławski. Wycofał się do swojej garderoby i pół godziny później wrócił z odpowiedzią.

Dwójka aktorów czytała ją uważnie.

- No i...? - spytał Bogusławski z dumą.

- Koniec mi się nie podoba - powiedziała Ledóchowska. - To chyba zbyt mocne, że „Byłby zapewne pan X równie jak stary Klingsberg poznał te wszystkie własności roli jego, gdyby mniej zatrudniony swoim ołówkiem nie pisał już wcześniej wyroku potępiającego i grę, i sztukę, o której jeszcze przed skończeniem onej już w garderobie wiedzieliśmy”.

- Może po tym zawyje i zdradzi swe nazwisko - zaśmiał się Bogusławski.

- Zbyt mocne - powtórzyła Ledóchowska.

- I co z tego? Panu Iksowi mogę przypisać takie świństwa, jakie tylko zechcę. Niech ja mam jakąś korzyść z jego incognito.

- Trzeba by to jakoś wygładzić - zasugerował ostrożnie Żółkowski.

- Nie będę się wyrażać delikatniej - oburzył się Bogusławski. - Jeśli będę łagodny, zaraz mnie wygryzą.

Zacisnął usta i przybrał groźną minę. Ledóchowska roześmiała się: Mistrz wczuł się

w rolę.

- Jeszcze jedno, Mistrzu - powiedział Żółkowski. - Wiedział pan, że oni się ciągle pojedynkują?

- Jacy oni?

- No, księżę Czartoryski i generał Pac.

- Co robią?

- Już trzy razy się zmierzili z powodu Anny Sapieżanki. I trzy razy wkraczali żandarmi.

- Nie żartuj - mruknął Bogusławski. - Sapieżanka jest żoną Czartoryskiego!

- W wyższych sferach - uśmiechnął się drwiąco Żółkowski - nie stanowi to przeszkody, by generał Pac starał się o jej rękę.

Bogusławski spojrzał na Ledóchowską, która potwierdziła słowa Żółkowskiego.

- Powariowali! - wybuchnął Mistrz.

Żółkowski wzruszył ramionami.

- Czy ja mówiłem, że nie?

- I teraz myślę, że wykpiłem ich w scenie pojedynku?!

Żółkowski rozłożył ręce i zaryzykował:

- Myślałem, że Mistrz świadomie z nich szydzi.

Zrozpaczony Bogusławski przygryzł wargi. Cóż z tego, że Czartoryski nie został namiestnikiem, nadal jest największym potentatem. W porównaniu z nim i Zajączek, i Okołów to w tej komedii władzy tylko niemi odzwierci.

- Ten idiota Pac! - wybuchnął ze złością. - A ja muszę pokutować za to, że on ciągle ubóstwia Napoleona!

Po chwili wyznał ze śmiechem, że scenę pojedynku i tak by zostawił, nawet gdyby wcześniej wspomniano mu o tej aferze. Co więcej, tym bardziej by ją zostawił.

- Moja prorocza dusza - stwierdził z zadowoleniem - nigdy nie potrafi bujać w obłokach.

Żółkowski wyszedł, Bogusławski został i spytał Ledóchowską, czy jeszcze za nią chodzą. Zmęczonym głosem potwierdziła.

- Moją matkę też omotali - dodała. - Cały czas siedzi mi na karku. Kochana córeczko, nie bądź głupia, trzeba się z tego cieszyć, oburącz łapać okazję.

- Nie przepadam za pani matką - wymamrotał Bogusławski i pomyślał, że Truskolaska ma sporo racji.

- Mam mu się oddać? - spytała Ledóchowska.

Zamilkli, Bogusławskiemu minął dobry nastrój.

- Boję się - powiedział - że Osiński się zorientuje, jak bardzo żyję na łaskawym chlebie. Nie musi nawet powoływać się na recenzję. Wystarczy, że ściągnie ze mnie stare długi. Może postawi przed sądem. Zamkną mnie albo będę zmuszony uciekać.

Znów zamilkli.

- Oczywiście - odezwał się Bogusławski, rozmyślając nad czymś - już dawno mógł to zrobić. A jednak nie zrobił. Nie musiał od razu przyjąć mnie z powrotem do teatru, a mimo to przyjął. Myślałem, że to moje stosunki... ale teraz ta recenzja... coś mi tu nie pasuje.

- Myśleli, że Mistrz rozpadł się duchowo jak oni. Za mało bali się pana. Nie mogli przypuszczać...

- Mówiąc krótko, jestem skamieliną - powiedział Bogusławski.

- Właśnie.

Bogusławski dłuższy czas milczał, potem obruszył się. Co za idiotyczny pomysł z tymi recenzjami; kilka lat temu liczyło się tylko to, czy jest publiczność, a jeszcze wcześniej, czy przedstawienie podoba się królowi. Sprawa była jasna. Król także był typem kapryśnym, głupim i próżnym, więc łatwo go było rozszyfrować, a teraz wychodzą z jakąś estetyką, to już chyba przesada.

- I po diabła pisują te recenzje?

- Skoro pisze się za granicą, to i u nas trzeba - powiedziała Ledóchowska ironicznie. - Zapelnia się nimi wolne miejsca w gazecie. Zamiast komunikatów wojennych informowaliśmy o balach, teraz zamiast komunikatów pokojowych możemy poczytać o teatrze.

Bogusławski mruczał coś pod nosem.

Usunął z brudnopisu kilka mocniejszych epitetów i ruszył do Pękalskiego.

U wylotu Nowiniarskiej pozdrowił go jakiś szewc.

- Widziałem Mistrza - powiedział z promienną twarzą. - Widziałem i dziękuję.

Bogusławski podał mu rękę, ten zdjął kapelusz.

- Mistrzu - wyjąkał. - Darmo zrobię panu trzewiki, panu i pańskim potomkom, jakie tylko łaskawie sobie zażyczą! Niech pan raczy wpaść kiedyś do mnie, bym mógł wziąć miarę pańską i pana potomków.

Bogusławski ponownie uściśnął dłoń majstra i uznał, że to dobrze wróży jego działaniom. Na razie wszystko przebiega pod szczęśliwą gwiazdą.

Poza artykułem polemicznym miał przy sobie jeszcze ostatni numer „Korrespondenta” i tak uzbrojony wszedł do zatęchłego, przesyconego zapachem margaryny budynku.

Pękalski przebywał w sekretariacie redakcji, na parterze, w pokoju z pokrytymi grzybem ścianami. Towarzyszyli mu sekretarz i drukarz. Coś sobie jedli. Na rozrzuconych bezładnie gazetach widniały ogromne plamy tłuszczu; na krzesłach wybrudzone części ubrania, kilka kromek chleba oraz jedna pończocha; na podłodze walały się butelki po wódce i resztki jedzenia. Na ścianie czerniało kilka rozgniecionych pluskiew. Nieogolony Pękalski z głęboko podkrążonymi oczami siedział przy stole, podpierając rękami głowę, a jego zmięty krawat zwieszał się smętnie nad talerzykiem pełnym smalcu.

- A, Mistrz - powiedział i uprzejmie podsunął Bogusławskiemu napoczętą kromkę. - Proszę usiąść.

Bogusławski nie usiadł.

- Przyniosłem artykuł polemiczny - oznajmił twardo.

Pękalski nie był zaskoczony, jadł dalej chleb. Sekretarz i drukarz z wielkim zainteresowaniem gapili się na nestora polskiej sceny.

- Chodźmy raczej do pokoju - zaproponował Pękalski; złapał butelkę wódki i dwie wątpliwej czystości szklaneczki, potem, ponieważ Mistrz stał bez ruchu, poszedł przodem.

W oknach podobnego do celi pokoiku tkwiła ozdobna krata, panował półmrok, a zapach margaryny był jeszcze silniejszy niż w przedpokoju. Dwa niewyglądające na zbyt wygodne krzesła, podniszczony stół i prycza. Z sufitu zwisała lampa olejowa. Ściany nagie.

- Czasem tu sypiam - wyjaśnił Pękalski i usiadł na krześle. - Nie wiem nawet czemu. Mam ładne mieszkanie. Bogato umeblowane. Ciekawe obrazy. I inne rzeczy. Mistrz się napije?

- Nie.

Bogusławski usiadł na drugim krześle i nachmurzony położył na stole rękopis. Pękalski nawet nie rzucił okiem na treść, patrzył tylko w zamyśleniu na Mistrza.

- Żądam - powiedział Bogusławski - by moja odpowiedź ukazała się w najbliższym numerze.

Pękalski kiwnął głową, po czym nalał sobie wódki. Na jego inteligentnej, wyrazistej twarzy pojawił się pełen autoironii uśmiech.

- Kiedyś - odezwał się - prawie udało mi się napisać genialny dramat.

Bogusławski milczał.

- To było jeszcze za Napoleona - ciągnął bez żadnej zachęty Pękalski - kiedy właśnie dzięki panu uchodziłem za dobrego dramaturga i wydawało się, nieprawdaż, że będzie ze mnie polski Kotzebue.

- Nie po to przyszedłem - warknął Bogusławski.

- Krótko mówiąc - kontynuował Pękalski - jako talent rokujący nadzieje uważałem się za kogoś niezwykle ważnego, chociaż pan, oczywiście, wystawił moją najgorszą sztukę zamiast najlepszej.

Bogusławski uniósł brwi.

- Och - powiedział Pękalski - już wtedy nie miałem o to do pana żalu, gdzieżby; przecież teatr to miejsce zinstytucjonalizowanego kompromisu, nieprawdaż, przecież nie muszę tego panu tłumaczyć. Krótko mówiąc, dwa razy wtedy uczestniczyłem w spisku. Najpierw razem z innymi skleciłem pewną broszurę, potem...

- To mnie nie interesuje. - Bogusławski sposepniał.

- No cóż - odparł Pękalski - za drugim razem w ciekawy sposób spłodziłem kolejną broszurę... Pana to nie interesuje, co? A przecież obie sprawy to wielki temat. Najpierw było tak, że czytaliśmy broszurę, która była znakomita, odważna i zuchwała, i tak się obsraliśmy ze strachu, że spaliliśmy jedyny egzemplarz. Rękopis palił się długo, i kiedy tak płonął, owładnęła nami ogromna radość, że jesteśmy tacy wielcy, bo stworzyliśmy coś godnego spalenia. Przez długie tygodnie czuliśmy się tak, jakbyśmy dokonali niewiarygodnie bohaterskiego czynu... zwłaszcza że któryś z nas doniósł o tym i tygodniami chodzono za nami na ulicy... z powodu broszury spalonej przez nas samych...

Pękalski dobrze się bawił, Bogusławski czekał, przygryzając usta.

- Za drugim razem - dalej snuł swą opowieść Pękalski - spróbowaliśmy napisać parodię. Jej nie spaliliśmy. Może dlatego mnie w to wciągnięto, że, nieprawdaż, wielki Bogusławski promował mnie na dramatopisarza najpodlejszą sztuką, jaką kiedykolwiek napisałem, o której i ja wiedziałem, że jest marna; jednakże moi współtowarzysze, uczeni i szczerzy ludzie, przyjęli mnie do siebie dzięki sukcesowi, jaki ta marna sztuka odniosła... Tak zwykle bywa. Krótko mówiąc, napisaliśmy broszurę i myślę, że zaczęliśmy ją rozpowszechniać po to, by nas aresztowano i porządnie torturowano... to już, nieprawdaż, początek okresu męczeństwa, a myśmy znów mogli się poczuć niezwykle ważni...

- Zamieścisz mój artykuł czy nie?

- Chwileczkę, Mistrzu. Muszę dokończyć.

Pękalski napił się prosto z butelki.

- Krótko mówiąc, czekaliśmy i czekaliśmy, aż cios kata spadnie na nasze głowy, ale na próżno, wcale nie byliśmy tacy ważni. Tę zniewagę oczywiście trudno było nam znieść. Mój genialny dramat miał być właśnie o tym. Konspirowaliśmy. Przydaliśmy sobie tajemniczego blasku. Coś - nasza odwaga - kazało nam czuć się lepszymi od innych, na których być może spadły większe ciosy, lecz nie byli tak odważni jak my. Patrzyliśmy na

siebie z podziwem. Bardzo chcieliśmy patrzeć na siebie z podziwem. Krótko mówiąc, zaczęliśmy się wzajemnie nienawidzić za prześladowania, których nie było. To osiągnięte z takim trudem bohaterstwo zaczęło z wolna cuchnąć. Oczywiście, tak sobie o tym myślę teraz, patrząc z perspektywy lat, wtedy jednak żyłem w niewypowiedzianym zamęcie, miałem być może znacznie więcej ciekawszych, ludzkich uczuć i mogę je sobie dokładnie przypomnieć, tłumacząc się teraz w tak ułomny i fałszywy sposób. Ale sens jest taki: ja, Wojciech Pękalski, istota świadomie walcząca sama ze sobą i moralna - a tacy nie powinni przystępować do spisku - której moralność stoczyła bój, a więc była wyższa niż moralność innych, mówiąc krótko, jestem jednym z pierwszych, którzy się poddali. Być może stało się tak z braku miłości, której nie otrzymałem od innych za swą odwagę. I jak szalony zacząłem ich nienawidzić. A oni z kolei mnie.

Zaczął się śmiać.

- A jeśli napiszę, Mistrz ją wystawi?

Bogusławski milczał.

- Cóż - rzekł Pękalski. - Powiedziałem swoje, teraz możemy wrócić do rzeczy. Nie mam żadnych wyrzutów sumienia, że ta haniebna recenzja dotycząca pana ukazała się w mojej gazecie. Sedno moich przemyśleń można ująć krótko: otóż w pewnym okresie życia wyrzuty sumienia stają się przeżytkiem, są po prostu niemożliwe. Nie muszę tego panu tłumaczyć, nieprawdaż, przecież bez tego praktycznego zmysłu rozdeptywania wszystkiego, co jest przeszkodą, Mistrz nie mógłby kierować teatrem tyle dziesiątków lat.

Bogusławski uśmiechnął się mimo woli.

- Chciałem Mistrzowi dać broń do ręki - powiedział Pękalski. - Niech pan swoją wiedzę o sobie udostępni i nam, którzy teraz zwróciliśmy się przeciwko panu. Proszę sobie wyobrazić Bogusławskiego tam, gdzie stoją tylko z pozoru tacy mali „nie-podskakuj-Pękalscy” i im podobni.

Bogusławski jeszcze bardziej polubił tego małego i mądrego człowieka.

- Kim jest ten Iks? - zapytał.

Pękalski uśmiechnął się.

- Nie wiem - odparł. - Dostaję artykuł i muszę opublikować.

- I nikogo, mój królu, nie podejrzewasz?

- Rzecz jasna próbuję zgadnąć - odparł wesoło Pękalski - ale nie chciałbym pana wprowadzić w błąd lub jakąś informacją odwieść od pańskiego zamiaru. Bo na podstawie moich sugestii Mistrz mógłby obrać niewłaściwą taktykę.

- A jeśli chodzi o odpowiedź, zamieścisz ją?

Pękalski przytaknął.

- To nalej mi wódki.

Tręcili się szklankami.

- To było ładne - powiedział Bogusławski - kiedy wysmiałeś rękopis *Klingsbergów*.

Na naradzie cenzury, pamiętasz?

- Ech, to tylko moje poczucie humoru - odparł Pękalski. - Taki atawizm.

- Powiedz mi - Bogusławski przymrużonymi oczami badał czystość wódki - czy nie wkalkulowano z góry, że ewentualnie poniesie mnie złość i napiszę odpowiedź?

Pękalski także badał swą szklaneczkę, podnosząc ją bliżej lampy olejnej.

- Z doświadczenia wiem - powiedział, przymrużając oczy jak Bogusławski - że większość politycznych akcji nie jest do końca przemyślana, nie planuje się z góry kolejnych kroków, oni też drepczą w miejscu.

- Oni? To znaczy kto?

Pękalski tylko machnął ręką.

- W tej chwili - odparł i pociągnął łyk wódki - istnieje tylko kwestia, jak postąpią, gdy nieoczekiwanie staną nową sytuację. Dopiero wtedy będzie można dalej kombinować. Dobrym przykładem jest Napoleon. Nikt nawet nie przypuszczał, iż coś takiego jest możliwe, ale kiedy to się stało, zaczęto nad tym kombinować. To nie moja koncepcja, generał Morawski zastanawia się nad Napoleonem jako całkowicie nowym zjawiskiem.

Bogusławski zakonotował sobie: generał Morawski.

- Albowiem nie ja będę podejmować decyzje za pana - stwierdził Pękalski. - Jeśli postanowi pan stawić im czoło albo zaatakować, to chyba pan wie, na kogo można liczyć.

Bogusławski zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Kto twoim zdaniem może mnie zaatakować? - zapytał.

- Tylko zgaduję, Mistrzu.

- W Warszawie są tylko dwie gazety, jedna jest twoja. Zamieszczasz to samo co Lesznowski. Jeśli gdziekolwiek są dwie identyczne formy, to szybko przechodzą w dwie różne.

Pękalski machnął ręką.

- Tu nie ma prasy - powiedział. - A gdyby nawet pojawił się gabinet cieni zdolny do ataku, Mistrz także by o tym wiedział.

- Skąd miałbym to wiedzieć? Może właśnie od ciebie, czyż nie?

- Ech, Mistrzu, co by to panu dało, gdyby gabinet cieni miał ten sam program, co ci, którzy są u władzy w rządzie?

- Mój królu - powiedział Bogusławski. - Nawet dla mnie jest jasne, że Osiński to element programu rządowego. Ale przecież Osiński nie może być także elementem programu opozycji! Kogo można byłoby wyznaczyć jako przeciwwagę wobec Osińskiego? Szymanowskiego? Żółkowskiego? Gdzież tam! Poza mną w teatrze nie ma nikogo takiego.

- Niezupelnie mówię o teatrze - odrzekł Pękalski.

- Oczywiście - rzucił niecierpliwie Bogusławski. - Zamiast Czartoryskiego, który jest silny, potrzebny jest Zajączek, bo walczył przeciw carowi i jest kompletnym idiotą.

Pękalski machnął ręką.

- Niżej trzeba szukać, Mistrzu, niżej. Niech pan weźmie po kolei ministrów i radców stanu. Zna pan lepszych na ich miejsce? Niech mi pan przedstawi sensowny gabinet cieni i jakiś program. Jeśli pan to zrobi, to schylę przed panem czoło, a swoje pismo poświęcę pochwałam pod pana adresem.

- Ale powiedz, mój królu, czy tego pana Iksa nie powinienem przypadkiem szukać wśród ministrów?

- Ten Iks, Mistrzu, to pana idée fixe.

- Dziwisz się?

- Skądże.

Po chwili milczenia Pękalski wstał i wziął do ręki odpowiedź Bogusławskiego. Bogusławski również wstał. W drugim pokoju Pękalski wręczył rękopis sekretarzowi.

- Zanieś do drukarni. To do następnego numeru.

Bogusławski stał bez humoru w pokoju sekretarza.

- Niech pan tylko sobie nie myśli, Mistrzu, że robię politykę - powiedział Pękalski. - Ja tylko zarabiam na chleb. Nie pragnę już niczego, tylko w miarę spokojnie przeżyć resztę swoich dni. I od czasu do czasu sobie porozmyślać, bezproduktywnie, ale z odrobiną rozkoszy.

Wyglądał na zasmuconego.

- A ja, mój królu, chcę grać - odrzekł Bogusławski.

To ładny gest z jego strony, pomyślał, że bez czytania wysłał moją odpowiedź do drukarni. Chociaż i tak przeczyta ją na odbitkach szrotkowych. Urodzony aktor.

Długo zastanawiał się nad tym, co usłyszał. A nuż Pękalski przekazał mu ważne informacje. Gabinet cieni! Gdybyż taki istniał! Lecz nawet gdyby istniał, Bogusławski nie czuł w sobie zbyt dużego zapału, by mu służyć. Dopiero w dziewięćdziesiątym czwartym wystąpił otwarcie przeciw władzy, gdy lada moment miało wybuchnąć powstanie. To mu się opłaciło. Lecz od tamtej pory nie czynił nic poza wysługiwaniem się władzom: saskiej,

francuskiej, pruskiej i rosyjskiej; ostrożnie dochodził do ostatecznej granicy tego, co można jeszcze znieść, ale nigdy jej nie przekroczył. Był dyrektorem teatru. Heroiczną postawą jest pozostawanie na uboczu, ale to niezbyt owocne podejście. Zwłaszcza dla aktora.

Natomiast Pękalski jakby chciał mu powiedzieć, że decyzja jeszcze nie zapadła. Może rząd wcale nie chce się go pozbyć. Nie wiadomo nawet, czy nie liczono na jego odpowiedź. Jeśli tak, a Pękalski opublikuje ją na wyraźne polecenie, to widocznie mają w tym jakiś cel. Pękalski łatwo mógłby mu odmówić zamieszczenia odpowiedzi. Żaden redaktor nie opublikuje artykułu jedynie z dobrego serca, podobnie jak dyrektor teatru nie wystawi genialnego dramatu wyłącznie z uwagi na walory artystyczne.

Bogusławskiemu przemknęło przez myśl, że może właśnie tą odpowiedzią zamierzają sprowokować dyskusję. W takim razie dał się nabrać. Ale nawet jeśli tak, to co z tego? Niczego nie da się przewidzieć, mruknął ponuro. Nie jest nawet pewne, czy zamieszczą odpowiedź w następnym numerze, przyszło mu do głowy.

Trzeba by ją jakoś wydać.

Kto mógłby pomóc?

Minister oświecenia Kostka Potocki? Osiński, którego przecież musi boleć, że przejechano się po przedstawieniu w jego teatrze? Sołtyk? Mój Boże, pomyślał Bogusławski, przecież decydujące jest to, że i Sołtyk, i Czartoryski są żonaci z córkami Sapiehy.

Na pewno nie można zwrócić się do rządu. Trzeba uzyskać poparcie wszystkich senatorów, ale tak, by nie mieć żadnych zobowiązań wobec nikogo.

Pobiegł do Dmuszewskiego i zaczął wypytywać, co się działo w polityce, gdy on leniuchował we Lwowie. Dmuszewski uczciwie opowiedział to, co mógł opowiedzieć. Bogusławski tylko kręcił głową.

Wyruszył do generała Chodkiewicza. Senator i członek Akademii. Może interesuje go jeszcze teatr; kiedyś tłumaczył dramaty, a nawet pisał tragedie. Ewentualnie pochlebi jego pisarskiej próżności, proponując, że wrzuci którąś z jego sztuk do repertuaru, a sam zagra główną rolę.

Chodkiewicz był w domu, w znoszonym szlafroku mrugał oczami, gapiąc się na Bogusławskiego.

- Proszę - powiedział zaskoczony i zaprosił go do środka.

Mieszkanie przypominało laboratorium i muzeum zarazem: leżące bez ładu i składu próbówki, spirytusowe palniki, próbki skał, preparaty zwierzęce, książki naukowe, minerały, jakieś ciecze. Bogusławski nie miał gdzie usiąść i na stojąco podał cel swojej wizyty: czy generał nie napisałby artykułu w obronie *Klingsbergów*?

Chodkiewicz dmuchał na lewą rękę, czymś ją sobie oparzył, smarował masłem, ale nadal bolała.

- Nie widziałem przedstawienia - powiedział przepaszająco. - Gazet również nie czytam.

- Przedstawienie było dobre - powiedział Mistrz. - Może mi pan wierzyć...

- Wierzę - odparł Chodkiewicz - ale przecież go nie widziałem...

Bogusławski milczał.

- Bardzo żałuję - powiedział generał i zatoczył wkoło ręką - ale właśnie siedzę po szyć nad księgą o chemii... tom piąty jest z grubsza gotowy... Ja pana rozumiem, teraz i pana chcą wykończyć, mnie także wyrzucili z wojska, pozbawili władzy, co z tego, że zrobili senatorem. Ale teraz i tak nie można politykować, drogi panie. Wiedza jest jedyną rzeczą, którą można jeszcze uprawiać. Co człowiek może zrobić sam, to jest dozwolone. Na przykład mineralogia nie może być zakazana. Trzeba więc robić to, co można. I co z pewnością jest pożyteczne.

- Ja nie jestem alchemikiem - stwierdził Bogusławski.

Chodkiewicz chrząknął z żalem.

- Ja też nim nie byłem - powiedział po chwili. - Ale ja zerwałem z teatrem. Definitywnie, bo zbyt go kochałem. Jeśli teraz ta miłość wróci, nie będę w stanie ślęczeć nad analizami chemicznymi. Pan to rozumie, prawda?

Po krótkim zastanowieniu podał kilka nazwisk; może oni zechcą pomóc.

- Nie wtrącam się do polityki, drogi panie, jeśli nie muszę - powiedział na pożegnanie.

- Chciałbym spokojnie pracować. Obawiam się, że już niedługo i na to mi nie pozwolą. Każdego dnia pierwsza rzecz, jaką robię po obudzeniu, to powtarzanie sobie: nie trzeba działać w pośpiechu, niczego nie trzeba przyśpieszać, w przyszłym tygodniu także będę mógł się w tym grzebać. Bez tej wiary, którą sobie wmawiam, nie mógłbym zrobić nawet tego, co można.

Pójdę do Linowskiego, postanowił Bogusławski już na ulicy. Kiedy wyjeżdżał do Lwowa, Linowski był ministrem policji w nowym rządzie; kiedy wrócił, Mostowski usunął go już z ministerstwa. Nieważne jaki jest, z pewnością uda się go namówić.

Bogusławski nie znosił Linowskiego, z którym kiedyś łączyły go serdeczne stosunki. Właściwie to nigdy go do końca nie rozumiał. Linowski był zadziwiająco zdolny i zadziwiająco głupi. Kiedyś Bogusławski wyraził się o nim: Linowski ma wszystko co trzeba, brak mu tylko choćby miligrama mózgu. I to bardzo. Do końca życia będzie dzieciuchem.

Teraz to może i dobrze.

Nienawidzi Niemcewicza, który może pisze recenzje pana X. Nienawidzi Kostki Potockiego, który być może także pisuje jako X. Kiedyś ze wzajemnością kochał się w Marii Wirtemberskiej, siostrze Czartoryskiego, pisywał do niej marne wiersze, teraz może się zemścić. Jemu z pewnością przypadło do gustu, iż stary Klingsberg kuśtykał w sposób przypominający Zajączka, gdyż Zajączka także nienawidzi, jeszcze podczas powstania wykpiwał w ulotce generała oraz Kołłątaja, gdyż nie uważał ich za dość radykalnych. W ogóle nienawidzi wszystkich, którzy mają władzę i nie dzielą jej z nim. Co prawda, zdaniem Trusi, jest obecnie w dobrych stosunkach z Okołowem, ale możliwe, że to tylko z powodu kobiet. Linowski ma chrapkę na każdą, którą mieli już inni. I uwielbia, gdy prosi się go o pomoc, a on może łaskawie jej udzielić.

Teraz jest radcą stanu do spraw poczty. W jego przypadku trzeba zagrać na właściwej strunie, powiedzieć, że byłby odpowiednią osobą do kierowania radą dyrektorów teatru. W teatrze jest dużo kobiet. Na poczcie tylu nie ma.

Dłuższą chwilę Bogusławski pukał do drzwi i już chciał odejść, gdy odruchowo nacisnął klamkę. Drzwi się otworzyły. W trzecim dopiero pokoju Bogusławski natknął się na Linowskiego, który leżał nagi w łóżku z równie nagą kobietą. Kobieta odwróciła się do ściany.

- O, Mistrz - uśmiechnął się szeroko Linowski. - Jakie wiatry pana tu przygnały?

Wydatne brwi nadawały mu nieco małpi wygląd; Bogusławski miał wrażenie, że brwi są jego przebraniem.

- Czyta pan gazety? - spytał.

- Niczego w nich nie ma - odparł Linowski.

- Widział pan *Klingsbergów*?

- Nie. A co, powinienem?

Bogusławski wyłożył cel swojej wizyty. Linowski ożywił się, narzucił szlafrok. Kobieta dalej sapała odwrócona do ściany. Miała duże, obwisłe piersi i czerwony tyłek.

Linowski poczęstował Mistrza winem. To niesłychane, opowiadał, co się dzieje w tym państwie, udającym, że istnieje. Broniec, wicemarszałek sejmu, na dwanaście lat dostał w dzierżawę majątek koronny przynoszący 26 000 guldenów, to niesłychane, po raz pierwszy oddano majątek koronny w dzierżawę.

A ty nic z tego nie masz, pomyślał Bogusławski, sącząc wino.

To niesłychane, że Aleksander nie zgodził się na powołanie sądu przysięgłych... z Zajączka wyczarowano księcia, z jakiegoś tam Zajączka, czy to nie świetne? Takich to się

rozpieszcza i Staszic oczywiście od razu zaczął się podlizywać Zajączkowi, a zresztą czego można się po nim spodziewać, mówi się, że na każdym posiedzeniu bredzi do znudzenia, a ponadto ma sporo papierów wartościowych, i tak to wygląda, kiedy jakiś napuszony dureń „bezinteresownie” wyzwala chłopów pańszczyźnianych i rezygnuje z majątku ziemskiego.

Przez dłuższą chwilę wylewał potok słów i trzeba było nieco odczekać.

Kiedy skończył, Bogusławski opowiedział o *Klingsbergach*. Odmalował przedstawienie jako dość rewolucyjne, ale przede wszystkim republikańskie, a Linowski wybuchami śmiechu skwitował parodię Zajączka.

Linowskiemu obilo się o uszy, że pseudonimem X zwykł podpisywać się generał Morawski. Bogusławski zdziwił się, lecz nie okazał powątpiewania: Linowski nienawidził także Morawskiego, gdyż ten swego czasu nie poinformował go o tajnych rokowaniach prowadzonych z Rosjanami. Niech więc X-em będzie Morawski.

- No dobrze - powiedział w końcu Linowski, ulegając namowom. - Napiszę odważny artykuł.

Odetchnął głęboko i przybrał zdecydowany wyraz twarzy. Liczy na to, pomyślał Bogusławski, że ten odważny artykuł mu zatrzymają, i wówczas cała Polska powstanie, wstawiając się za nim. Linowski marzy o roli skazańca wstępującego na szafot. O publicznej egzekucji.

Rozmowę przerwała miaukliwa skarga kobiety, która odwróciła głowę i obrażonym tonem domagała się, by wreszcie i nią się zająć.

Bogusławski uznał za prawdopodobne, iż Linowski rzeczywiście napisze artykuł, nie był tylko pewien, czy ukaże się on drukiem.

Jeśli wystąpią jakieś przeszkody, trzeba będzie porozmawiać z Sołtykiem, ewentualnie z generałem Dąbrowskim.

Następnego dnia nie mógł odbyć próby wznowieniowej, gdyż aktorzy grający w *Klingsbergach* uczestniczyli w innych próbach; cały dzień przeleciał mu jakoś między palcami. O mało co nie poszedł ponownie do Pękalskiego, ale się rozmyślił. To był niedobry dzień, bez sensu.

Na moment w dobry nastrój wprowadził go pan Uszyński: na następny spektakl *Klingsbergów* wyprzedano prawie wszystkie bilety.

Trzeciego dnia ukazały się gazety. W „Korrespondencie” pojawiła się nie tylko odpowiedź Bogusławskiego, ale także artykuł autorstwa jakiegoś J...cz.

J...cz zarzucił panu X, że „...jedynym jego zamiarem było poniżyć Bogusławskiego grającego pierwszą rolę, poniżyć najzasłużeńszego na scenie narodowej. Kto zna *Dwóch*

Klingsbergów, zgodzi się zapewne, że sztuka ta sama swoim utworem doprowadzona jest do najwyższego stopnia upodlenia. Ale pan X zarzuca, że ją spodlił, artyście, który we wzorowych dziełach przez trzydziestoletni zawód sprawiedliwie zbierał zasłużone wawrzyny, a któremu sam pan X w trudnej roli Augusta nie śmiał odmówić pochwał”.

Nie jest to zbyt zręczne, mruknął Bogusławski. Głupi ten Linowski.

„Pan X wystawia sobie starego Klingsberga jako magnata obcującego w najpierwszym społeczeństwie, o chodzie przystojnym i tak dalej. Lecz autor wystawił go zwiędłym rozpustnikiem, włączającym się po oberżach lub bawiącym się lubieżnym opowiadaniem niecnych czynów swego syna. Trudno w tym poznać jednego z pierwszych magnatów, a że chód starego podagryka nie jest dość przystojny, winić w tym należy podagrę. [...] Pan X dobrze jednak uczynił, porównując naszego szanownego Weterana z Molierem. Wymawiać może będzie potomność Molierowi jego uległość dla tłumu, mimo tego jednak dzieła Moliera będą wielbionymi, a imię jego wieków przeciągiem zgładzonym nie zostanie. Takież los czeka i polskiego Moliera”.

W teatralnej knajpie delectowano się przede wszystkim odpowiedzią Bogusławskiego. Chichotano nad tym, że Mistrz za nic w świecie nie zamierzał wyjaśnić, jakiemu celowi miały służyć autentyczne odznaczenia przypięte do szlafroka starego Klingsberga, bezładnie porzrucane rekwizyty, albo dlaczego Żółkowska jest tak chamsko ordynarna w roli hrabiny. Zamiast tego Bogusławski poświęcił sporo miejsca podagrze starego Klingsberga, szpikując swe wywody terminami lekarskimi, tak że wyjaśnienia były jeszcze wymowniejszą parodią Zajączka niż gra Mistrza. Poklepując się po plecach, aktorzy ryczeli ze śmiechu nad zakwestionowaną przez Ledóchowską ciętą pointą, której Bogusławski nie miał serca skreślić: „Byłby zapewne pan X równie jak stary Klingsberg poznał te wszystkie własności roli jego, gdyby mniej zatrudniony swoim ołówkiem nie pisał już wcześniej wyroku potępiającego i grę, i sztukę, o której jeszcze przed skończeniem onej już w garderobie wiedzieliśmy”.

„...już w garderobie wiedzieliśmy”! - niosło się echem przez rozentuzjasmowaną salę.

Bogusławski wyrażał radość, iż porównano go do Szekspira oraz Moliera; dowodził, że w sztuce teatralnej nie należy zniżać się do poziomu tłumu, lecz wyrastać ponad nim, albowiem tłum składa się z różniejszych ludzi, których nikt nie ma prawa wyrzucać poza nawias polskości, po czym odpowiadając na zarzuty pana X dotyczące stylu gry, oświadczał uroczyście, że nigdy nie będzie naśladować obcego stylu: „Polak, dla Polaków grać będę”.

Wreszcie pan X powinien przyjąć od Bogusławskiego jedną radę:

Abrotonum aegro

Non audet nisi qui didicit, dare. Quod

medicorum est

Promittunt medici: tractant febrilia

fabri.

Nieliczni aktorzy, którzy ukończyli liceum, zgodnie uznali cytaty z Horacego za bardzo ostre. Pan X, kimkolwiek by był, nie będzie mógł zostawić bez odpowiedzi obraźliwego komentarza Mistrza, że „Trzymam ja się w tej mierze Horacjusza zdania, że tylko kowal kowala uczyć powinien”...

Szymanowski zwrócił uwagę cytującemu z pamięci Bogusławskiemu, że „abrotonum” na pewno zaczyna się na „h”. Bogusławski tylko wesoło machnął ręką. Z wydaną właśnie gazetą w ręku czuł się silny.

- Przecież to ważne - powiedział urażony Szymanowski. - Mogą się do tego przyczepić.

Jeszcze chwilę burczał o haniebnym upadku kultury, czego przykładem jest błąd ortograficzny Mistrza.

Zdaniem Bogusławskiego przynajmniej ktoś wreszcie napisał, że jest on największym polskim aktorem.

- Nie o to chodzi, że jestem nim, niezależnie od opinii pana J...cz - oznajmił Mistrz z czarującą bezstronnością i obiektywizmem - ale o to, że ktoś wreszcie to napisał.

W teatralnej knajpce Bogusławski był centralną postacią, ale jeszcze bardziej cieszyło go to, że w drodze do teatru, na Długiej, obiegło go kilku sklepikarzy, wcisnęli mu do kieszeni jakieś korzenne przyprawy, do ręki wepchnęli oryginalną angielską herbatę, tłumacząc się, że niestety obecnie więcej dać nie mogą, żyjemy w ciężkich czasach, Mistrzu, w naprawdę ciężkich czasach. Jakiś sklepikarz wypytywał go o następną rolę, zapewniając jednocześnie, że chociaż on nigdy jeszcze w teatrze nie był, to jego syn od trzech lat nie opuścił żadnego przedstawienia, zawsze tłoczy się z innymi na jaskółce, Mistrz musiał go widzieć, taki wysoki, szczupły chłopak. Na placu Teatralnym wielu mieszczan pozdrowiało

Mistrza z wielkim szacunkiem, a on z uśmiechem odwzajemniał ukłony.

Jak król niewzruszenie panował w knajpie i z dostojeństwem przyjmował hołdy.

- Gratuluję zwycięstwa - powiedziała Ledóchowska w garderobie.

- Jestem niewymownie wdzięczny panu Iks - rzekł Bogusławski, zachowując obiektywizm.

- Oczywiście, inaczej nie miałby pan okazji mu odpowiedzieć.

- Nie dlatego. W samą porę przyszło ostrzeżenie. Już, już zaczynałem wierzyć, że nawet pies z kulawą nogą nie zwraca na mnie uwagi. Zacząłem rozumieć, że muszę się zebrać w kupę, jeśli chcę dotrzymać kroku... sam jeszcze nie wiem komu i czemu. Sztuka nie była zbyt dobra.

- Ależ skąd!

- Trusiu! Nie oszukujmy się. *Klingsbergowie* to była prywatna sprawa nas dwojga. Możliwe, że trzeba to było zagrać zupełnie inaczej, tylko nie wiem jak. Nieważne, trzeba zagrać wiele razy, a potem się zobaczy.

Ledóchowska westchnęła.

- Ja z kolei miałam całą serię przedstawień - powiedziała - i każdego wieczoru czuję przez skórę, że nic z tego nie kupują.

- Być może nie próbuje pani wystarczająco wielu wariantów. Jesienią mocno się wyłożyłem w roli Augusta. Im nie był potrzebny nerwowo chory, wariat, przecież na widowni siedzieli sami nienormalni. Być może oni mieli rację. Gdybym mógł zagrać Augusta z dziesięć razy, na którymś spektaklu trafiłbym wreszcie na właściwy styl. Nie ma sensu przesiadywać tutaj, snując czcze rozważania, na co da się złapać publiczność.

- Czemu pan myśli, że nie udałoby się panu osiągnąć tego właśnie w *Klingsbergach*?

- Przeczucie - odrzekł Bogusławski. - Ale *Klingsbergów* zagramy jeszcze ze dwadzieścia razy i zobaczy pani, na koniec będziemy grać zupełnie inaczej. Mam kilka pomysłów. Na premierze nie było prawdziwej publiczności, ale ta prawdziwa publiczność nam pomoże.

Ledóchowska z niedowierzaniem pokręciła głową; przecież byli tam też studenci.

- Szukam czegoś, Trusiu, jakiegoś stylu, czegoś, czego nie dogrzebaliśmy się na premierze.

- Ma pan zbyt duże wymagania, Mistrzu.

- Gdzież tam - powiedział Bogusławski. - Powinna pani wiedzieć, że nie zamierzam bawić się w sztukę. Chcę tylko zapewnić sobie chleb na najbliższe lata. Jeśli nie uda mi się złapać tego stylu, będę zmuszony odwołać się do swojej rutyny, a to jest śmierć.

Nagle wpadło mu coś do głowy i wyskoczył z garderoby Ledóchowskiej.

- Słyszę - powiedział w knajpie, z niezadowoleniem kręcąc głową - że chcecie w nocy zagrać serenadę pod moim oknem.

W knajpce rozniosło się, że tej nocy przemaszerują z pochodniami przed domem Bogusławskiego.

- Uważajcie - ciągnął Bogusławski z niepokojem. - Takich rzeczy teraz nie lubią. Posłuchajcie lepiej zgrzybiałego staruszka i zrezygnujcie.

Aktorzy zaczęli szemrać, że nie ma takiej siły, która by im tego zabroniła, oni pragną wyrazić Mistrzowi swoją wdzięczność i szacunek! To prawda, organizują wielki marsz z pochodniami i nikt im tego z głowy nie wybije, nawet Mistrz!

- Nie jesteśmy aż takimi śmierdzącymi tchórzami! - krzyknął Malinowski.

Zaczęła się zacięta walka o autorstwo pomysłu z serenadą, ale Mistrz nie czekał zakończenia. Z daleka słyszał jeszcze wybijający się ponad inne głos Malinowskiego usiłującego przekonać wszystkich włącznie z samym sobą, że pomysł pochodzi od niego.

Nocą prawie cały teatr pomaszerował z pochodniami na róg Długiej i Miodowej. Aktorzy paradowali w najróżniejszych kostiumach, niektórzy włożyli ironicznie uśmiechnięte maski; powiewali czerwonymi i białymi draperiami, zdartymi głosami wyrzaskiwali arie z oper Bogusławskiego. Żandarmi konni, którzy nadjechali dopiero pół godziny później, nie otrzymali rozkazu rozpędzenia demonstracji i jadąc nerwowo w pewnej odległości, gapili się na tę dziwną, przypominającą Cyganów hałastrę. Groźba użycia przemocy, a zarazem bierność żandarmów niezmiernie dodały aktorom odwagi, ale nad wyraz rozzłościło ich to, że przez cały ten czas Bogusławski ani razu nie pojawił się w oknie, kilka razy wyjrzała do nich tylko mocno przestraszona Marianna.

Obywatele mieszkający na styku Długiej i placu Krasieńskich pośpiesznie zamykali okna, zaciągali żaluzje i, jak to już mieli w zwyczaju, barykadowali drzwi szafami.

Kiedy wrzaski aktorów osiągnęły punkt kulminacyjny i z wolna jęły przycichać, a ich repertuar operowy zaczął się wyczerpywać, otworzyło się okno naprzeciw mieszkania Bogusławskiego, pojawił się w nim mężczyzna w oficerskim uniformie i czaku nasuniętym głęboko na czoło, który stentorowym głosem zaczął łąać aktorów, bezczelnych krzykaczy, którzy zakłócają ciężko wywalczony odpoczynek spokojnie śpiących, porządnych obywateli. Przekłeta, rozpuszczona banda, wrzeszczał oficer, nie mają co robić; doprawdy trzeba by wreszcie zamknąć teatr, ten wrzód na zdrowym ciele, to haniebne i bezbożne siedlisko niemoralności i rozpusty!

Rozzłoszczeni aktorzy odszczekiwali mu się ordynarnie.

Oficer użył tuby, żeby ich przekrzyczeć. Nienadającymi się do powtórzenia epitetami obdarzył Bogusławskiego, tę starą małpę, której miejsce jest na cmentarzu, a najlepiej to w piekle.

Aktorzy zaczęli ciskać kamieniami.

- Niech żyje pan Iks, zbawca naszej ojczyzny! - wrzasnął oficer, a kiedy kamienie zaczęły padać coraz bliżej, zdjął czako i oświetlił pochodnią swą twarz.

Zebrani na dole aktorzy powitali go teraz burzą oklasków: to Bogusławski wymachiwał do nich z okna.

- Nie ma co, Mistrz to Mistrz - mówili do siebie ze śmiechem, powoli zbierając się do odejścia.

Ci inteligentniejsi tłumaczyli głosem pełnym entuzjazmu, że donosiciele nie będą mogli wykorzystać genialnie obmyślanego żartu Bogusławskiego, gdyż Mistrz wiwatował na cześć pana Iksa i kto im uwierzy, iż była to drwina?

Malinowski rozповідаł, że Mistrz wcześniej zdradził mu swoje plany, ale on, to znaczy Malinowski, świetnie potrafi dochować tajemnicy.

- Mieliśmy w zanadru jeszcze inne kawały - opowiadał poufnie - ale zabrakło czasu.

Dopytującym się nie udzielił bardziej szczegółowych wyjaśnień.

Następnego dnia Bogusławski delectował się swoją popularnością. Od Uszyńskiego i innych dowiedział się, że przedstawienie *Klingsbergów* cieszy się na mieście coraz większą sławą, na reprzykę wszystkie miejsca są wyprzedane, Uszyński żałował, że nie odłożył sobie kilku biletów, mógłby je teraz drożej sprzedać. Ponoć tu i ówdzie pojawiły się plakaty z napisami „*Klingsbergowie* są nasi!”, „Obejrzyjcie *Klingsbergów!*” oraz podobnymi, przy czym część została zerwana.

- W porządku - powiedział Mistrz i z chęcią zrobiłby próbę wznowieniową, ale większość aktorów uczestniczyła już w próbach do innych sztuk. Przyrzekli, że wpadną wieczorem, po przedstawieniu, lecz jedynie Aniela i Żółkowski dotrzykali słowa, więc tylko w tym gronie błaznowali do rana.

- Ta sztuka już teraz ma takie powodzenie - powiedział Żółkowski - że moglibyśmy nawet pozapominać wszystkie kwestie i przez dwie godziny otwierać tylko usta, nie mówiąc niczego.

W następnym numerze „Gazety” i „Korrespondenta” pojawiła się czyjaś wypowiedź na temat *Klingsbergów* sygnowana literą X wydrukowaną poziomo. Leżący X wystąpił w obronie stojącego X-a, wyjaśniając, iż sami Niemcy uważają pana Kotzebuego za miernego pisarza, i powołał się na Ifflanda, który jemu, to znaczy leżącemu X-owi, oświadczył kiedyś, że *Dwóch Klingsbergów* należy grać nadzwyczaj ostrożnie i subtelnie, gdyż na przykład w Wiedniu nawet wielki Unzelmann położył sztukę. I rzeczywiście, pisał z zapałem leżący X, Bösenberg w Dreźnie, Weidmann w Wiedniu i Voss w Stuttgarcie zagrali rolę starego Klingsberga znacznie, ale to znacznie subtelniej niż Bogusławski w Warszawie.

Ton artykułu wydawał się umiarkowany, więc Bogusławski przez pewien czas nie wiedział, co o tym sądzić. Ponownie zwołał radę mędrców do garderoby Ledóchowskiej. Żółkowski stał na stanowisku, że i na to należałoby odpowiedzieć, wykorzystując jaśniejącą w tych dniach popularność Mistrza. Ledóchowska doradzała ostrożność i przypomniała Mistrzowi, że co prawda mamy (oczywiście) wolność prasy, ale nadużywanie jej należy uznać za przestępstwo. Zdaniem Żółkowskiego ani wcześniejszej, ani nienapisanej jeszcze odpowiedzi Bogusławskiego nie można uznać za nadużycie wolności słowa. Ledóchowska uważała, że w razie potrzeby to prawo da się rozciągnąć na dowolną wypowiedź.

- Napiszę parę nowych rzeczy - postanowił ostatecznie Bogusławski. - Najlepszą obroną jest atak. I wspomnę, że kilka lat temu napisałem dla Szkoły Dramatycznej *Dramaturgię* i planuję jej wydanie, może nawinie się jakiś wydawca, też byłyby z tego jakieś pieniądze. Co prawda, całość przetłumaczyłem z Engla, ale nie muszą o tym wiedzieć.

Przesłał Pękalskiemu przez Fiszera swój artykuł, który ukazał się szybko, choć z pewnymi skrótami. Artykuł nie był zbyt interesujący; polemizując z leżącym panem X, Bogusławski napisał, iż wszyscy wspomniani przezeń aktorzy niemieccy występowali wcześniej w komicznych rolach ojców i wobec tego także starego Klingsberga mogli potraktować jako rolę komediową. Wracając do podagry starego Klingsberga, przytoczył

cytat z Sokratesa: „Trzy są rzeczy, które równają wszystkich ludzi na świecie: nauka, choroby i śmierć!”.

Pękalski wykreślił co do jednej wszystkie ważniejsze uwagi, również ten fragment, w którym Bogusławski jako przyczynę powszechnego upadku gry aktorskiej uznał odsunięcie na plan dalszy komedii i w ogóle tak zwanych sztuk popularnych. Ten drobiazg do tego stopnia wyprowadził Bogusławskiego z równowagi, że od razu pobiegł wzburzony na Nowiniarską. Tym razem Pękalski nie zaprosił go do swego pokoju.

- Niech się Mistrz tak nie ciska - powiedział szczerze, a zarazem ponuro. - I tak podjąłem zbyt duże ryzyko. Polecili nie zamieszczać niczego, co wyszło spod ręki Mistrza.

- Kto polecił? Rząd? Gabinet cieni?

- Czy to nie wszystko jedno? Oni. Boją się każdej indywidualności. Teraz nie można być indywidualnością. Proszę mnie posłuchać, Mistrzu...

- Skreślono najważniejsze fragmenty!

- Niech się pan nie gniewa, Mistrzu, ale nie mogę więcej zamieszczać pańskich artykułów.

- Zabronili?

- Tak.

- Linowski też nie może pisać?

- Kto?

- Linowski.

Pękalski nie zrozumiał.

- Nie udawaj, mój królu - powiedział Bogusławski. - Czy to nie Linowski pisał pod pseudonimem J...cz?

Pękalski milczał.

- Ejże - rzucił Bogusławski. - Więc czemu do tej pory pozwalano zamieszczać moje odpowiedzi?

- Jeśli interesuje pana moje prywatne zdanie, Mistrzu, to niech pan wyjedzie teraz na kilka tygodni.

- Dziś wieczorem gram w *Klingsbergach*!

- Niech pan wyjedzie, Mistrzu.

Bogusławski wszedł przygnębiony do teatru, gdzie na dziesiątą wyznaczono próbę wznowieniową *Klingsbergów*. Jego artykułu nawet nie przeczytano, wszyscy byli zajęci czymś innym: wczoraj wieczorem wygwizdano Żółkowskiego.

- Co zrobiono?!

- Wygwizdano Żółkowskiego!

Poprzedniego wieczoru miał benefis, wystąpił w komedii Kotzebuego *Miasteczko niemieckie* i zgodnie z oczekiwaniami powinien odnieść ogromny sukces. Prawdopodobnie zrobiło to kilku opłaconych wyrostków. Po przedstawieniu Żółkowski od razu spił się do nieprzytomności, być może nadal włóczy się po ulicach. W takich przypadkach Żółkowska zwykła chodzić za nim w bezpiecznej odległości, by potem za nogi zawlec do domu, gdy na jakimś rogu Żółkowskiego nagle zmorzy sen.

Bogusławski zaczął się denerwować; Żółkowskiego w knajpce nie było. Jeśli będzie zbyt pijany, nie weźmie udziału w próbie.

Zdanowicz wymachiwał „Gazetą”, w której do czytania nadawała się nie odpowiedź Bogusławskiego (opublikował ją jedynie Pękalski), lecz recenzja pana X z wczorajszego benefisu, którą Bogusławski natychmiast przejrzał. Pan X naigrawał się z klęski Żółkowskiego i skorzystał z okazji, by zaatakować Kotzebuego. Jak gdyby chciał zakazać zarówno występów Żółkowskiego, jak i grania komedii. Bogusławski zrozumiał, że z tego właśnie względu Pękalski musiał skreślić pochwałę komedii jako takiej.

Tej recenzji w żadnym razie nie mógł napisać Niemcewicz. Spojrzenie Bogusławskiego zatrzymało się na ostatnim akapicie: pan X zdrowo przyłożył także tłumaczowi, Stanisławowi Platerowi. A mówiło się, że panem X może być właśnie Ludwik Plater. Kto o tym wspominał? Żółkowski, powołując się na uwagi Kudlicza.

W knajpce wciąż jeszcze rajcowano o wczorajszej klęsce Żółkowskiego (ciesząc się lub współczując), gdy wpadł dziadzio Harazyn i krzyknął, że w nocy Żółkowskiego napadli bandyci, obrabowali go i zabili.

- Nie żyje?!

Okazało się, że dziadzio Harazyn niezbyt ściśle się wyraził, nie zabili go, lecz pobili.

- Ale mocno.

- Należało mu się - powiedział Szczurowski z zadowoleniem. - Gra hołocie komedie, no to dostał teraz od nich za swoje.

Bogusławskiemu przyszło do głowy, że Żółkowskiego pobito z pewnością z jego powodu. W ten sposób chcą uniemożliwić zagranie dziś wieczorem *Dwóch Klingsbergów*, drugiego spektaklu, reprzyzy, na którą, dzięki prasowej polemice, sprzedano komplet biletów.

- Gdzie on teraz jest? - spytał nagle.

- Leży w domu - powiedział dziadzio Harazyn. - Jest bardzo pobity.

Bogusławski pobiegł do Żółkowskich.

- Śpi - powiedziała zmęczona Żółkowska z czerwonymi od płaczu oczami. Kiedy cała

drżąca otwierała Mistrzowi drzwi, ścisnęła w rękę siekiere.

- Bardzo go pobili?

- Dostyc. Było ich trzech. Rzuciłam się na nich, ale mnie przytrzymali. Kopali go na moich oczach! Leżał na ziemi kompletnie pijany i kopali go! Miał wszystkiego dziesięć złotych! Omal go nie zabili, za marne dziesięć złotych!

Bogusławski machnął ręką.

- Może zagrać wieczorem?

Żółkowska niemal warknęła:

- Nie pozwolę, by wypruwano z niego flaki! On jest chory!

- To mnie nie interesuje.

- Niech Mistrz idzie do diabła! - krzyknęła Żółkowska i zamierzyła się siekiere.

- A cóż to znowu?! - ryknął wzburzony Mistrz. - Co pani sobie wyobraża?! Z byle powodu nie odwołamy przedstawienia!

Z pokoju wyszedł chwiejnie Żółkowski z owiniętą głową i próbował się uśmiechnąć.

- Wracaj z powrotem do łóżka! - krzyknęła na niego Żółkowska.

- Zagram dziś wieczorem - wyseplenił Żółkowski.

Wybito mu również kilka zębów.

Żółkowska lamentowała jeszcze chwilę, po czym zagnała męża do pokoju, podsunęła mu krzesło, dała w twarz zaciekawionej pasierbicy, dziewięcioletniej Nepomucenie, córce Żółkowskiego z pierwszego małżeństwa, która nie mogła się zdecydować, czy dalej chichotać z powodu obwiązanej głowy ojca, czy płakać z powodu otrzymanego policzka. W drugim pokoju zapłakał półtoraroczny Alojzy junior i Żółkowska pobiegła do niego. Tymczasem Nepomucena zdecydowała się na płacz, a Bogusławski zauważył, że Żółkowski ma spuchniętą połowę twarzy.

- Będiesz mógł mówić? - spytał rozdrażniony.

- Spróbuję - wyseplenił Żółkowski. - Do wieczora może trochę zejdzie.

- Zostań tak przez chwilę - poprosił Bogusławski.

Żółkowski stał z zamrożonym na połowie twarzy uśmiechem.

- To nie takie złe - stwierdził Mistrz, przyglądając się jego twarzy. - Całkiem zabawne.

Żółkowska przybiegła z drugiego pokoju, Nepomucena wlaźła pod stół i dalej beczała.

- Jest pan świnią, Mistrzu - powiedziała Żółkowska z nienawiścią. - Ja też kocham teatr, ale zdychać za niego nie będę!

- Zamknij się - wyseplenił Żółkowski.

Kiedy Żółkowska starała się wywabić Nepomucenę spod stołu, Bogusławski oznajmił,

że trzeba będzie zmienić nieco pierwszą scenę, w której Żółkowski ma sporo tekstu.

- Możesz chodzić? - zapytał.

Żółkowski wstał, postępując.

- Podejdź do drzwi.

Żółkowski powlókł się ku drzwiom.

- Trochę kuleję - wykrztusił.

- Nie szkodzi, mój królu - orzekł Bogusławski rozpozgodzony. - Zrobimy tak, że cały czas będziesz stać za krzesłem, a kiedy skończysz mnie golić, zostaniesz na miejscu, a ja będę chodzić...

- Ty przeklęty bachorze! - wrzasnęła Żółkowska. - Niech cię tylko złapię!

Nepomucena wyczekała odpowiedni moment i między nogami macochy smyrgnęła do drugiego pokoju. Żółkowska za nią.

- Można jeszcze zrobić tak - powiedział Bogusławski - że kiedy podniosę się z krzesła, ty usiądziesz i oprzesz na ręce pobitą połowę twarzy, a widać będzie tylko drugą... Siadaj z powrotem!

Żółkowski pokuśtykał do krzesła i z trudem usiadł. Bogusławski patrzył na niego nieruchomym wzrokiem.

- Pobito cię z jakiegoś powodu.

- Oczywiście że z jakiegoś powodu - zaseplenił Żółkowski. - Dla kilku groszy albo po to, żebym jakiś czas nie mógł grać.

- Nie to miałem na myśli - odparł Bogusławski. - Fascynujący początek sztuki: jedna z postaci jest pobita. To znacznie lepsze niż to moje idiotyczne ziewanie, którego w żaden sposób nie mogliśmy rozwiązać. Czemu pobito Baltazara, mój królu?

Żółkowski zastanowił się.

- Krótko mówiąc, w sztuce jestem pobity... Cóż, być może rzuciły się na mnie kobiety, które mu railę... Przecież to ja mu je podsyłam.

- Nooo, tak... można tak zagrać, ale to głupie.

- Czemu? - spytał obrażony Żółkowski.

- Bo pobita postać budzi współczucie i trzeba to wykorzystać. Poza tym publiczność wie, że ciebie naprawdę pobito. Jak tylko cię zobaczą, zaczną się szloch. I będą po twojej stronie!

- Wygwizdali mnie wczoraj!

- Przestań marudzić, jesteś ich pupilkiem. To były wynajęte młokosy, nie publiczność... Trzeba by jakoś wykorzystać tych szczeniaków w przedstawieniu. Czemu nie

miałaby to być sztuka o tym, że wczoraj cię pobito?

- Pomysł jest dobry - zaseplenił Żółkowski - tylko nie do tego tekstu.

- Zagramy bez tekstu, musimy tylko wymyślić, czemu cię pobito.

- To wymyślmy.

Bogusławski nerwowo przemierzał pokój.

- Na ciebie zwalają odpowiedzialność za świństwa obu hrabiów... - Przystanął i znów zaczął chodzić. - Tylko kto? Powiedzmy, że nie masz zielonego pojęcia o knowaniach obu uwodzicieli, potem spadają na ciebie razy...

- Taki głupi to ja już nie jestem - zaprotestował Żółkowski.

- Będziesz polskim ludem - powiedział Bogusławski - który na oślepe pędzi ku śmierci, bo jest aż tak głupi.

- Dobrze, jestem głupi. A kto mnie pobił?

Bogusławski stał na środku pokoju.

Żółkowski z wielkim trudem przysiadł na drugim pośladku i pojękując, powiedział:

- Nie chcę nic mówić, ale czas ucieka i w takim tempie niczego nie wymyślimy.

- Nie ma pośpiechu - uspokoił go Bogusławski. - Do próby mamy jeszcze pół godziny, masę czasu, jeśli nie będziemy działać w pośpiechu. Pięć minut przerwy. Daj herbatę.

Bogusławski siedział na skraju łóżka, mieszając herbatę. Żółkowski obmacywał twarz i językiem dotykał dziur po wybitych zębach.

- Teraz zaczyna boleć - oznajmił.

- Nie zwracaj na to uwagi - poradził mu Bogusławski.

Żółkowski zaklął.

- Powiedz mi - zapytał z namysłem Mistrz - czemu twoim zdaniem tak nie cierpią *Klingsbergów*?

- Są tam dwa, trzy momenty wzięte z życia, ale nawet tyle to dla nich za dużo.

- Tak się nam tylko wydaje. W porównaniu z tym, co powinno się zagrać, nie ma w niej niczego.

- Ale dla nas jest ważna, może tego właśnie nienawidzą.

- Dla nas jest ważna tylko dlatego, że chcą jej zakazać. To oni podbili stawkę.

Żółkowski mruknął coś niewyraźnie.

- Oczywiście zawsze tak było - westchnął Bogusławski. - No, wymyśliłeś coś?

Żółkowska z wściekłą miną weszła do pokoju i skinęła na Bogusławskiego, by wstał. Usłuchał, a ona wyciągnęła spod łóżka brudne ubrania.

- Mario - powiedział ciepło Bogusławski - jest pani taka zdolna, a my jesteśmy osły.

Co by pani przyszło na myśl, gdyby w pierwszej scenie zobaczyła pani Baltazara?

Żółkowska wlepiała w niego wzrok.

- Pierwsza scena - tłumaczył Bogusławski. - Wchodzę, ziewam i nagle widzę, że Baltazar został pobity...

Żółkowska zastanawiała się, patrzyli na nią z nadzieją.

- Pan hrabia go pobił - powiedziała.

- Za co?

- Może... może ostrzegał kobiety przed hrabią... a ten się o tym dowiedział.

Zapadła cisza.

- Tak pani mówi? - spytał Bogusławski.

Żółkowski krzyknął:

- No jasne! - I ciągnął szybko: - Ja zanoszę jego listy, ja naganiam mu kobiety, za to hrabia mi płaci, muszę to robić, ale jednocześnie chcę, żeby hrabiemu się nie udało, staram się je zniechęcić, one jednak donoszą mu o tym i hrabia mnie bije...

- Z tego powodu mógłby pobić kto inny - podjął Bogusławski. - Ale nie hrabia.

- Takie rzeczy zleca się innym - powiedziała Żółkowska.

- Krótko mówiąc - kontynuował Bogusławski - zostałeś w nocy pobity, bo jakaś kobieta, może nawet ta Włoszka, doniosła na ciebie hrabiemu. Teraz jest rano, czujesz się bardzo źle i postanawiasz, że już nigdy nie będziesz się bawić w dobroczyńcę, jeśli taka jest tego cena. Ja wchodzę, zachowuję się tak, jakbym nie widział twoich obrażeń, publiczność je widzi i to jest dobre. Przyjmuję za pewnik, iż lekcja się przydała, i spokojnie sobie rozmawiamy, gwarzymy. No tak. Tylko że później także to musi być jasne, inaczej będzie nieczytelne.

- W mojej roli nie ma do tego kwestii - powiedział Żółkowski zrezygnowany. - W tekście nikogo przed niczym nie przestrzegam. Nie mam nawet wspólnej sceny z Amalią i Henryką. Jeśli w sztuce nie będę próbował ich przestrzec, nikt nie zrozumie, czemu jeszcze przed rozpoczęciem akcji mnie pobito.

- Poczekaj. Na początku oznajmiasz, że list pisała ta Włoszka. Ja ostentacyjnie ziewam, całą noc spałem, nie mam nic wspólnego z twoimi obrażeniami, nie interesuje mnie, czemu kulejesz. A później... później czasem udaje ci się opanować strach i zamierzasz powiedzieć coś Amalii i Henryce, ale w ostatniej chwili przeszywa cię ból i się opamiętujesz.

- Nie rozumiem, czemu cierpię w milczeniu. Widzą tylko, że chciałbym coś powiedzieć, ale co?!...

- No tak - przyznał Bogusławski. - Ale to byłoby dobre.

- Mistrz mógłby dopisać kilka zdań - zaryzykował Żółkowski.

Bogusławski pokręcił głową.

- Nie można, zabronią - powiedział. - Nie masz jakiegoś pomysłu, Mario?

Żółkowska zrobiła grymas.

- Przemyślmy to do końca - westchnął Bogusławski. - Powiedzmy, że stoisz przed Amalią, szarpiesz ją za suknię, ona spogląda na ciebie pytająco, czego od niej chcesz, a ty już, już masz wykrztusić...

Żółkowska z brudną bielizną na ręku stanęła obok męża i wszedłszy w rolę Amalii, pytająco spojrzała mu w oczy.

- Będę Dmuszewskim - powiedział Bogusławski. - Teraz wychodzę, Amalia zostaje, bo jakoś ją obraziłeś albo coś nie tak szeptnęłeś...

Zapadła cisza, Żółkowska pytająco patrzyła na męża, Żółkowski z bolesnym wysiłkiem starał się coś powiedzieć...

- Nudzi mnie to i odchodzę - powiedziała po chwili Żółkowska.

Bogusławski zaklął.

- Popróbujmy jeszcze raz.

Stanął obok Żółkowskiej, po czym zostawił ją samą; Żółkowski ciężko dyszał, przykuśtykał do niej z tyłu. Nagle odwrócił głowę. Bogusławski mimowolnie poszedł za jego spojrzeniem, w drzwiach stała Nepomucena, ssąc z zainteresowaniem palec.

Żółkowska rzuciła brudną bieliznę i z krzykiem podbiegła do drzwi. Nepomucena wybiegła, becząc, Żółkowska za nią.

- Mam! - krzyknął Żółkowski.

Żółkowska dopadła dziewczynkę w drugim pokoju. Bogusławski zobaczył, jak obejmuje ją i całuje.

- Wspaniale! - zawołał i uśmiechnął się z zadowoleniem.

Żółkowska wróciła, popychając przestraszoną Nepomucenę.

- Mała jest genialna - powiedział uradowany Żółkowski. - Będzie aktorką.

- Krótko mówiąc, od czasu do czasu wprowadzimy tego łajdaka, który był tu tej nocy jeszcze przed początkiem sztuki - rzekł Mistrz, kiwając głową. - Albo lepiej dwóch. Nieme postaci, niczego nie trzeba dopisywać, zjawiają się co jakiś czas, a ty robisz ze strachu w portki.

Uśmiechnął się z uznaniem do ciągle jeszcze przestraszonej Nepomuceny.

- Kto zagra tych łajdaków? - spytał Żółkowski.

- Nieważne - odparła Żółkowska. - Ktoś w to wskoczy.

- Też niedobrze - powiedział zdeprimowany Bogusławski. - Nie zgodzą się na dodatkowe role. I nie ma kostiumów.

Znów zaległa cisza.

- Ale to byłoby dobre - myślał głośno Mistrz. - Teraz jest prawdziwie. W końcu to Zajączek, czyli stary Klingsberg, wydał rozkaz tym wyrostkom, żeby cię pobili, i taka jest prawda, nawet jeśli Zajączek takiego rozkazu nie wydał i w ogóle nie wie, kim jest Żółkowski.

- Jak mógłby nie wiedzieć - zachnął się komik. - Przecież widział, jak grałem.

- Ewentualnie przebierzemy Fiszera - zastanawiał się Bogusławski. - Od czasu do czasu wejdzie na scenę, spojrzy na ciebie i wyjdzie.

Milczeli. Pomysł nie był zbyt dobry.

- Najprostszym rozwiązaniem byłoby wymierzyć policzek - powiedział Bogusławski.

- To by pasowało - skrzywił usta Żółkowski.

- W sztuce hrabia ma służącego i dzierżawcę - wtrąciła Żółkowska.

Bogusławski zerknął na nią i uśmiechnął się wzruszony.

Żółkowski kwiknął z radości.

Nepomucena wybiegła i zaczęła beczeć w drugim pokoju.

Alojzy junior także zaczął płakać.

- Jesteśmy durnie - gorączkował się Bogusławski. - Za bardzo tkwimy w przedstawieniu i nie umiemy spojrzeć z dystansu.

Żółkowski był trochę zły, że żona okazała się lepsza, i chcąc to sobie powetować, zaczął się rozwodzić, że przecież Mistrz nieraz już mówił Zdanowiczowi, który gra Krautmanna, iż jest nie tylko dzierżawcą, ale też stręczycielem; natomiast Rutkowski, służący, chce się dochrapać godności kamerdynera, od tego trzeba było od razu zacząć. Bo w ten sposób mamy tu do czynienia z szajką przestępców!

Perorował nieprzerwanie, jakież to wywoła wrażenie, gdy stanie przed Amalią i Henryką, już otwiera usta, a z tyłu pojawiają się Zdanowicz i Rutkowski; on ich nawet nie zauważy, tylko wyczuje ich obecność, słowa uwięzną mu w gardle i zacznie się nimi dławić...

- Nie trzeba robić długich pauz - przeraził się Bogusławski. - Nie chcę, byś mi rozbił całą sztukę pauzami!

Całą drogę z mieszkania Żółkowskich na Pivnej aż do teatru Bogusławski pędził jak odurzony. Zdanowicz od razu pojął, o co chodzi, Rutkowski niczego nie zrozumiał, ale bez słowa skargi czy wyrzutu zapisał w swoim egzemplarzu sztuki, kiedy powinien w milczeniu i z niemą groźbą przejść przez scenę. W egzemplarzu Fiszera Bogusławski zaznaczył nowe

elementy i pognął z tym ponownie do Żółkowskiego, który zdążył już podkreślić w swoim tekście zdania i kwestie, których sens w nowej koncepcji stawał się dwuznaczny. Bogusławski z wielkim trudem namówił go, by zrezygnował z ukazywania w każdej kwestii czystej duszy kamerdynera. Usunęli wcześniejsze zabawy z masońskimi symbolami; Mistrz szybko wrócił do teatru i powiadomił o zmianach dziadzia Harazyna. Potem pobiegł do domu po swój egzemplarz, przejrzał wszystkie sceny i wpisał uwagi, gdzie powinien dać odczuć, iż do samego końca toczy się walka między nim a kamerdynerem.

- Właśnie o tym jest cała sztuka! - tłumaczył gorączkowo niczego nierozumiejącej Mariannie. - Co za szczęście, że Żółkowskiego pobito. Tego brakowało w przedstawieniu, terroru, dlatego wszystko było zawieszona w próżni. Przecież w każdej chwili mogą nas pobić! Konstytucja? Gdzie tam! Pan Kotzebue pisze jakby nie na temat, a myśmy się na to nabrali. To dopiero będzie! Publiczność i tak przyjdzie zademonstrować Żółkowskiemu swoją sympatię i nagle zobaczą go pobitego, będą trzymać za niego kciuki, by wreszcie otworzył usta i powiedział prawdę, wydusił z siebie kilka ludzkich słów, a Alojzy będzie przeżywać męczarnie: chce coś powiedzieć, ale nie potrafi!

Marianna wiedziała, że w takich chwilach należy gorąco przytakiwać.

- To dar od Boga - zacierał ręce Bogusławski - że milczenia na scenie nie można ocenzurować! Nie ma innego równie wspaniałego gatunku sztuki!

Przyszedł do teatru na długo przed rozpoczęciem spektaklu, by ustalić nowe wejścia i zmienić tempo poszczególnych scen. Wpadł do garderoby Ledóchowskiej i zaczął mówić, co powinna robić, ilekroć Żółkowski będzie chciał coś jej powiedzieć. Nagle zamilkł i spojrzał uważnie na aktorkę.

- Co za róż ma pani na twarzy, Trusiu?

Nagły rumieniec, widoczny nawet spod szminki, oblał twarz Ledóchowskiej.

- Niech mi pani nie szuka teraz nowej charakteryzacji - ofuknął ją Mistrz. - Jak pomalowała pani oczy? Proszę to natychmiast zmyć!

Ledóchowska z opuszczoną głową powiedziała:

- Dzisiaj gramy *Atalię*.

Bogusławski nie zrozumiał.

- Osiński zdjął *Klingsbergów* - wyszeptwała Ledóchowska i po chwili dodała: - Z powodu choroby Żółkowskiego. Innych już zawiadomiono.

Bogusławski usiadł na krześle, wziął flakonik z tuszem i zaczął się nim bawić.

- Ach tak - odpowiedział po chwili oschle.

Ledóchowska wybiegła z garderoby.

Bogusławski zaczął coś sobie nucić, oparł się rękami o stół i uporczywie patrzył w lustro. Próbował wyrazić mimiką różne formy zdziwienia. Po chwili nadał twarzy wyraz rozpacz i zwątpienia.

Poczuł ogromną pustkę. W ciągu pięciu miesięcy wszystkiego dwie role. Tylko trzy razy pojawił się na scenie. To niewiele, to naprawdę niewiele, nucił sobie półgłosem.

Znacznie łatwiej być stolarzem, rzeźbiarzem lub malarzem, ci mogą pracować bez przerwy. Jeśli nie mają zlecenia, mogą coś dłubać dla siebie, najwyżej umrą z głodu.

Cóż to byłaby za scena, przeleciało mu przez głowę: już na początku wprowadziłby Zdanowicza i Rutkowskiego, Żółkowski skomlałby ze strachu, tamci bez słowa zeszliby ze sceny i wtedy pojawiłby się on, Bogusławski, a Żółkowski zgodnie z rolą zacząłby go golić lekko drżącą ręką, wszyscy by oczekiwali, że poderżnie mu gardło, ale on by tego nie zrobił. Jakież to byłyby wspaniałe początek.

Ale czy naprawdę nie dałoby się wywołać skandalu?

Żółkowski rzeczywiście wygląda paskudnie, łatwo poznać, że nie jest w stanie dzisiaj zagrać. Bronią biedaka. Osiński będzie utrzymywać, że kiedy tylko aktor wróci do zdrowia, znów będzie można grać *Klingsbergów*.

Tak naprawdę Trusia go nie zdradziła. Jej wszystko jedno w czym wystąpi, może zagrać i dziś wieczorem. Głupio wyszło, nie wolno było dopuścić, by aż tak to zabolalo.

A publiczność zbiera się, by zobaczyć *Klingsbergów*.

Wybiegł do holu. Wszędzie wisiały afisze *Atalii*. Drzwi wejściowe były jeszcze zamknięte. Na okienku kasowym wywieszka: wszystkie bilety wyprzedane. Uszyński siedział wygodnie w środku. Bogusławski podszedł do drzwi i nasłuchiwał. Na zewnątrz gromadziła się już publiczność, ale panowała cisza. Należałoby wywołać demonstrację. Choćby niewielką.

Wrócił na korytarz prowadzący do garderób. Czemu nie ma jeszcze Żółkowskiego?

Od Dmuszewskiego dowiedział się, że Żółkowskiego zabrano do szpitala.

Ale kto?

Tego Dmuszewski nie wiedział; słyszał tylko, że Żółkowska pojechała razem z mężem. Pod naporem wydarzeń Dmuszewski popadł w apatię. Nic nie da się zrobić; okazało się, że bilety na *Klingsbergów* zostały wykupione nie przez publiczność, lecz przez kogoś innego.

- Jakiego innego?

Bogusławski zacisnął zęby. Był zły na siebie, powinien był się z tym liczyć.

Wyszedł z teatru; powoli wpuszczano już publiczność. Oficerowie i cywile.

Oczywiście. Może nawet przyjdą ci, którzy naprawdę byli ciekawi *Klingsbergów*, z pewnością jednak nie będzie ich wielu. Na drzwiach również wisiał afisz *Atalii*. Nie ma tu już nic do roboty.

Niech więc będzie skandal prasowy.

Artykuł muszą jednak napisać ci, którzy są u władzy. Linowski już nie wystarczy.

Odźwierny Sołtyka oznajmił, iż jego pan wyszedł z wizytą i nic mu nie wiadomo do kogo. Pałac nie był oświetlony, Sołtyk nie udawałby, że nie ma go w domu. Bogusławski polecił odźwiernemu, by niezwłocznie przekazał swemu panu, iż on tu był. I wcisnął mu do ręki kilka złotych.

Może Dąbrowski jest w Warszawie, pomyślał i poszedł do rezydencji generała. Kilku nieznanym mężczyznom spojrzało na niego z konsternacją, a wraz nimi dwaj Niemojowscy. Dąbrowskiego wśród nich nie było. Sołtyka także.

Bogusławski odciągnął na bok Wincentego Niemojowskiego, cieszącego się dużym autorytetem przywódcę posłów kaliskich, i w wielkim pośpiechu krzycał mu do ucha, po co tu przyszedł. Niemojowski był niskim starcem o poranej zmarszczkami twarzy. Stał, przykładając do ucha blaszaną trąbkę.

- Że co mam napisać? - spytał, krzyząc głośniejszym głosem od Mistrza.

- Artykuł! - wrzasnął Bogusławski. - W obronie *Klingsbergów*!

- Niech pan mi tu nie wrzeszczy - obraził się staruszek. - Rozumiem, co pan krzyczy.

Bogusławski zamilkł.

- Że co mam napisać? - ponownie spytał krzykliwym głosem Niemojowski.

- Artykuł - powiedział pozbawiony już nadziei Bogusławski.

Niemojowski odsunął trąbkę od ucha.

- Mój synu - powiedział surowo - nie jest pan takim wielkim aktorem, jak mówią ludzie.

Bogusławski przytaknął zrezygnowany.

- Cóż z tego, że król pana kochał - ciągnął Niemojowski. - Pan nigdy nie był tak wybitnym aktorem, jak sądził król.

- Nigdy tak wybitnym nie byłem - zgodził się Bogusławski. - Napisze pan artykuł?

Niemojowski już nie słyszał, trąbkę trzymał w ręku, a obie ręce miał opuszczone.

- Pan, mój synu, nie potrafi zagrać polskich typów - oświadczył. - Pan nigdy nie żył w kręgach Polski prowincjonalnej.

Bogusławski milczał.

Chodkiewicz twierdził, że Niemojowski jest jednym z przywódców opozycji.

- Jednym słowem, zakazali? - zapytał starzec.

Bogusławski przytaknął. Zastanawiał się, do kogo jeszcze mógłby pójść.

- No, coś na to poradzimy - powiedział Niemojowski. - Ale proszę nam tu dobrze grać, mój panie. Hę?

Bogusławski obserwował, jak Niemojowski starannie wtyka trąbkę do ucha. Co teraz powiedzieć?

- Hę? - powtórzył Niemojowski.

- Będę grać dobrze - przyrzekł Bogusławski.

- Polskie typy, mój panie, nie zapomni pan?

- Nie zapomnę, mój królu.

Niemojowski wyjął trąbkę z ucha - audiencja była skończona.

Oni się teraz organizują, pomyślał Bogusławski na ulicy.

Jeśli panem X jest Koźmian, można go łatwo wykończyć. Koźmian napisał odę na cześć Napoleona i w wielkim poemacie wychwalał podpalenie Moskwy; odradzono mu, co prawda, wydanie poematu, ale są egzemplarze krążące po Warszawie, można je odszukać, przepisać i porozdawać. Koźmiana dałoby się usunąć.

Przystanął niezdecydowany. Staszic?

Przy kościele Świętego Krzyża ponownie przystanął. Może to ma sens.

W teatrze grają już drugi akt *Atalii*.

Pałac był zamknięty i dobijanie się niczego nie dało. Sklął Staszica od najgorszych i ruszył do Linowskiego, jego zacieklego wroga. Linowskiego także nie było w domu.

- Bardzo się zestarzałem? - spytał późnym wieczorem w domu Mariannę.

Pogładziła go po siwych włosach. Mistrz nie cofnął głowy.

- Co mi zostanie, jeśli nie będę mógł już grać? - spytał i spojrzał na nią szeroko otwartymi, zdziwionymi oczami.

Marianna milczała i głaskała go. Rzadko kiedy Bogusławski tak bardzo należał do niej.

Potem Bogusławski zjadł kolację.

Przy śniadaniu po bezsennej nocy powiedział:

- Nie muszę się od razu poddawać, prawda? Jeszcze będą źle o mnie pisać. Ale nieważne, co piszą, tylko żeby w ogóle pisali.

Przybrał minę zadowolonego z siebie i wyszedł. Marianna spoglądała za nim przez okno, potem klęcząc przy piecu, długo się modliła, wyznawała swoją grzeszną, egoistyczną radość z minionego wieczoru.

Pod oczami prezydenta Węgrzeckiego rysowały się głębokie cienie, jakby już od tygodni nie spał.

- Co można by wykombinować? - zapytał Bogusławski, skończywszy długą przemowę.

Węgrzecki milczał.

- Mam antyszambrować u Wielkiego Księcia? - spytał Bogusławski. - U Czartoryskiego? Ogłosić powstanie narodowe? Odszukać bandytów, którzy pobili Żółkowskiego, i wydusić z nich zeznania?

- *Quae antea crimina fuerunt, mores sunt* - Węgrzecki przywołał słowa Tacyta.

Zniecierpliwiony Bogusławski tylko coś mruknął.

- Nie dziwisz się, że mnie tu widzisz? - zapytał Węgrzecki. - Bo ja tak. Dwa razy składałem rezygnację i nie przyjęli. Od tygodni nie wykonują moich poleceń. Ja nie istnieję. Jeśli nie przyjdę, nikt tego nie odczuje, kiedy przychodzę, czuję się, jakby mnie tu nie było. Wiem, że moje miejsce zajmie Weyda, ale na coś czekają. Chcą mnie złamać. Uda im się. Może nawet już się udało. Nie rozumiem tylko, czemu, do diabła, tak długo utrzymałem się na tym stanowisku.

Bogusławski zrobił bardzo kwaśną minę.

- Ja na twoim miejscu bym się cieszył, że nie pozwalają mi grać - powiedział Węgrzecki. - Przynajmniej się nie hańbisz. Maksimum, co można zrobić, to definitywnie zniknąć... Przyszłość jest stracona... Dziwne, co? W takich chwilach krew się burzy, ale teraz się nie wzburzy... nawet to się nie stanie... w ten sposób wszystko się pięknie rozleci, stopniowo, dopóki nie przyjdą młodzi i na nowo nie zaczną rewolucji, tak samo połowicznie, głupio, fanatycznie, nieprzemyślanie i niezdarnie, a potem pójdą na kompromisy, bo cóż innego mogą zrobić... i dalej będzie się toczyć ten tingel-tangel...

Bogusławski nerwowo wyczekiwał końca, a Węgrzecki bez ładu i składu zasypywał go faktami:

Mostowski wydał najstarszą córkę za Mohrenheima, by mieć swojego szpicla w bliskim kręgu Wielkiego Księcia;

biskup Woronicz płacze nad Biblią, okłada sobie czoło chusteczką zwilżoną czerwonym winem, by rozbudzoną wyobraźnią zrównoważyć ból serca, a do tego pisze marne wiersze;

Sobolewskiego już raz nie przyjęto w Petersburgu, od czasu gdy mianowano go polskim ministrem przy carze;

Aleksander przyznał Koźmianowi pięćdziesiąt tysięcy z tytułu utraconych w czasie

Księżstwa pensji;

matka generała Roźnieckiego wyszła za Jana Potockiego, młodszego brata swojego byłego kochanka, którego, jak już wiadomo, otruto w Wiedniu, a więc generała będzie popierać także arystokracja;

Konstanty domaga się, by armię całkowicie uzależnić od rządu, to zarzucił mu Niemojowski, na co Zajączek krzyknął: Co mi tam konstytucja, ja ją dostałem od cara;

generał Łanskoj został wreszcie odwołany i wraca do kraju, w pałacu Pod Błachą zostawił po sobie ruinę, Niemcewicz widział, jak Kozacy wycinali płótna z ram i zawijali w nie słoninę;

na Mokotowie znów buduje się bramę triumfalną, z której zrezygnował Aleksander, tym razem powstanie ze składek społecznych;

w wojsku kolejna seria samobójstw, Wielhorski nic w tej sprawie nie robi, choć jest ministrem spraw wojskowych, ale nie składa dymisji, bo po nim może być gorzej, jak argumentuje.

- Najzabawniejsze jest to - zaśmiał się drwiąco Węgrzecki - że ma trochę racji.

Przemierzał pokój po przekątnej. Bogusławski patrzył na niego ponuro.

- Tak tu chodzę od rana do wieczora - powiedział Węgrzecki i przystanął. - A od wieczora do rana w domu. Tu jest osiem kroków, tam sześć i pół. Próbowałem stawiać krótsze kroki, próbowałem dłuższe, zawsze jest tyle samo. Ty to chociaż możesz zwrócić się do mnie. Ale do kogo ja mam pójść?

- Kim jest Iks? - zapytał Bogusławski.

- Skąd mam wiedzieć! - krzyknął Węgrzecki. - Mostowski. Skąd mam wiedzieć! Czy to nie wszystko jedno?

Bogusławski tak go zostawił. Na ulicy wymyślał przodkom Węgrzeckiego, czemu ich potomek nie poczekał z rozstrojem nerwowym jeszcze kilku dni. Wpadł do teatralnej knajpy, kilka osób rzuciło okiem w jego stronę, ale Mistrz nie był w nastroju do przeżywania klęski, bardziej interesowała go mina Szczurowskiego, nieskrywająca zadowolenia z cudzego nieszczęścia. Mówiono, że Żółkowskiego kazał zabrać do szpitala Osiński, Rozalia przesiedziała całą noc przy chorym, teraz jest z nim lepiej, rano dużo zjadł.

- No, chwała Bogu - mruknął Bogusławski.

- Może nie trzeba było drugi raz odpowiadać - zaryzykował Dmuszewski. - To ich rozzłościło...

Bogusławski posłał go do wszystkich diabłów.

W garderobie zredagował wniosek do ministra spraw wewnętrznych Mostowskiego,

w którym domagał się podjęcia kroków w celu zapewnienia ochrony cielesnej aktorów. Zabrał wniosek do bufetu i go odczytał. Kilka osób mu przyklasnęło, istotnie, w takiej atmosferze nie da się grać. Większość milczała, niektórzy wyszli.

- No, to podpiszcie - powiedział Bogusławski.

Zapadła cisza, ci akceptujący wniosek milczeli zakłopotani.

- I tak nie przyniesie skutku - odezwał się Rutkowski.

- Żółkowski też by tego nie podpisał - rzucił Zdanowicz. - Jestem aktorem, nie pisarzem.

Malinowski rozejrzał się drwiąco, po czym oświadczył, że on jednak podpisze. I podpisał się starannie pięknymi, pełnymi zawijasów literami.

Po krótkim wahaniu Dmuszewski także złożył podpis.

Szymanowski dokładnie przestudiował tekst i orzekł, że nie jest zbyt klarowny.

- To co powinienem napisać? - zapytał Bogusławski.

Zapadła cisza, każdy czekał, aż ktoś inny zabierze głos.

- No to wspólnie zredagujmy to lepiej - zaproponował Mistrz.

- Wsadźmy tu i pana Iksa - wyskoczył Malinowski. - Trzeba mu zakazać pisania.

- Tylko żadnej polityki! - wystraszył się Rutkowski.

Dmuszewski wreszcie się przełamał:

- Trzeba by dopisać, że nie wolno ot, tak sobie zdejmować przedstawień cieszących się powodzeniem...

- Dopiszmy też - krzyknął niespodziewanie Aszperger - że dyrektor teatru obowiązany jest przydzielać dobre role wszystkim aktorom... przynajmniej trzy razy w roku!

- Sześć! - zawołał Malinowski. - Dwanaście!

Szczurowski uznał postulat za bezprawny. Wolski zaproponował, by powołać gwardię samoobrony; ona nauczy wszystkich władania szablą.

- Zgadzam się - powiedziała Helena.

Ojciec gniewnie coś do niej warknął.

- Mimo to zgłaszam się! - oświadczyła Helena. - Mężczyźni to tchórze.

- Niech rozwiążą sprawę ogrzewania teatru - odezwał się Rivoli.

Kilka osób weszło z korytarza, zjawili się także muzycy i techniczni, pan Bautz zastanawiał się, czy nie należałoby zamknąć interesu.

Rutkowski wygłosił mowę na temat rady dyrektorów teatru i został wygwizdany. Wniosek podpisał także Fiszer, a potem kilku muzyków; Kurpiński oświadczył, iż nie bierze odpowiedzialności za muzyków.

- Nie musi pan - powiedział Weniger. - Za te głodowe pensje Osiński i tak nie znajdzie nikogo na nasze miejsce.

Muzycy postulowali, by dorzucić jeszcze żądania płacowe.

Postulat ten poparł także Gerlicer.

- To idiota - skostatował Szczurowski. - Jeśli go wywałą, wraz z pracą straci też mieszkanie!

- Niech pan sam zamieszka w tej dziurze - odparował Gerlicer. - Pod dachem, który przecieka nawet wtedy, gdy od tygodni nie pada, niech pan tam zamieszka, panie artysto.

Zdaniem Fiszera powinno się raczej napisać artykuł nawiązujący do dyskusji wokół *Klingsbergów*.

- Kto by to podpisał? - rzucił drwiąco Kudlicz od drzwi. - Pan Igrek?

Wszystkich przekrzyczał Malinowski:

- Musimy wybrać nową radę dyrektorów! Zastąpimy starą!

- Radę dyrektorów zatwierdził rząd! - wrzasnął Kudlicz.

- Ale ja rządu nie wybierałem! - huknął Malinowski. - Nawet pies z kulawą nogą mnie o to nie zapytał!

Rutkowski wznosił ręce ku niebu, jakby powtarzając słynny gest Bogusławskiego, i oświadczył, że to nie sejm, tylko teatr.

- We Francji - zauważył cicho pan Cieślak - w takich chwilach przerywa się pracę.

Bogusławski z uznaniem kiwnął głową w jego stronę. Potem już nie czekał, aż zwrócić się do niego, by stanął na czele powstania, tylko złapał podanie i zaniósł do garderoby Ledóchowskiej.

- Tu trzeba podpisać - stuknął palcem w kartkę.

Ledóchowska zaczerwieniła się i sięgnęła po papier.

- Mogę podpisać - powiedziała po przeczytaniu. - Myśli pan, że to odniesie jakiś skutek?

- Bez wątpienia.

Ledóchowska podpisała.

Bogusławski spojrział na kartkę.

- Ejże, Trusiu - powiedział pełnym wyrzutu ojcowskim tonem. - Jak może pani być tak nieodpowiedzialna? Pani nie może podpisywać byle głupstw, powinna się pani zatroszczyć o własną karierę.

Podarł podanie na drobne kawałki i przy drzwiach dodał:

- Kiedy Żółkowski wyzdrowieje, wprowadzimy wczorajsze zmiany. Do tej pory

przedstawienie było o pani, a od tej pory już nie.

Ledóchowska milczała zawstydzona.

W knajpie gwar już przycichł, wszyscy się wykrzyczeli, muzycy wrócili do kanału orkiestry, majstrzy do swoich ciemnych pracowni, a Malinowski błyskawicznie się upił. Tobiasz Macrott i Wąsikowski nabazgrali już swoje raporty, gdy Cieślak złapał Bogusławskiego na korytarzu.

- Jest nas kilku, Mistrzu - szepnęła. - Rozmawialiśmy już o tym, czyby nie wydać ulotki, ale mamy jeden warunek...

- Hm?

- Ja się z nim nie zgadzam... ale cóż, chcę, by Mistrz przysiągł na gilotynę.

Pan Cieślak uśmiechnął się z udręką.

- No cóż - powiedział Bogusławski.

Zamilkli. Po chwili Mistrz klepnął Cieślaka w ramię dla dodania mu odwagi.

- Nic się nie poradzi na swoich szefów, mój królu - powiedział ciepło.

Wyszedł z teatru. Dokąd teraz? Dominik Krysiński to radykał, odważny chłopak, studenci też go kochają, cisną się na jego zajęcia z ekonomii. Tak, ale przechrzczony Żyd i jeśli Krysiński stanie w obronie Bogusławskiego, zaczną go atakować wszyscy antysemitami.

Krysiński odpada.

Znów poszedł do Staszica i tym razem go zastał. Kamerdyner go zaanonsował, Staszic wszedł do salonu.

- Nie należało kpić z Zajączka - powiedział zamiast powitania.

Bogusławski odpowiedział mu coś w tym sensie, że on też już to teraz widzi, a tak w ogóle to wcale tego nie chciał.

- Pamiętasz? - spytał Staszic. - Już w dziewięćdziesiątym czwartym przepowiadałem: „Próżno Kościuszko stara się być Waszyngtonem, Polskę może uratować tylko nowy Sulla”.

Bogusławski mruknął, że pamięta.

- Historia przyznała mi rację - stwierdził Staszic. - Czy dzieci, według ciebie, są jeszcze niewinne?

Bogusławski nie zrozumiał tej nagłej wolty.

- Pracuję nad poematem *Ród ludzki* - oznajmił Staszic. - To będzie nowe *De rerum natura*. Jest tam rozdział o dzieciach, ale nie mogę sobie z nim poradzić... Zeszłej niedzieli zabrałem grupkę zabiedzonych dzieci do lasu i pozwoliłem im się rozbiec, by zobaczyć, co zrobią. Według mnie powinny zacząć coś robić, włączyć na drzewa w poszukiwaniu owoców, bo były głodne, nie dałem im nic jeść...

Nerwowo przygryzł usta.

- Ale te zasmarkane szczeniaki nic nie zaczęły robić, przybiegły do mnie z powrotem, abym zabrał je do domu... Następnej niedzieli znów wezmę ze sobą grupkę, ale tym razem wybiorę z innych warstw...

Bogusławski szybko zmienił temat: powiedział, że ponownie przeczytał manifest Staszica sprzed ćwierć wieku, ostatnie ostrzeżenie dla Polski, i znalazł w nim sporo prawdy. Staszic wcale nie był zdziwiony, wszystko było tam prawdą, nie tylko pojedyncze stwierdzenia.

- Postęp - oznajmił - i monarchia.

Potem dodał z wyrzutem, że Mostowski chce mu odebrać kontrolę nad kopalniami. Bogusławski ostro to zganił.

- Wstaw się za *Klingsbergami*, mój królu - poprosił w końcu prezesa Akademii.

- Niby ja? Mam bronić *Klingsbergów*? Co ci przyszło do głowy?

- Twoja plebejuszowska koncepcja...

- W *Myśli o równowadze politycznej Europy* - odparł Staszic - wyraźnie stwierdziłem, że szlachta jest rdzeniem narodu.

- Co nie przeszkadza, byś bronił *Klingsbergów*!

- A gdzież jest tam mowa o polskiej szlachcie? Gdzie jest tam mitologia słowiańska?

Staszic był obrażony.

- Już nieraz mówiłem Niemcewiczowi, że idzie złą drogą. Ty też błędzisz, w twojej grze nie ma żadnej filozoficznej wzniosłości. Czego mam bronić w pełnym błędów przedstawieniu? Już ksiądz Delille pisał...

Późnym popołudniem Bogusławski dotarł do pałacu Wincentego Krasińskiego. Kamerdyner zaanonsował go, lokaj podsunął krzesło, przyjął go młody sekretarz ubrany z dużym szykiem, zwłaszcza krawat był nadzwyczaj elegancki.

Bogusławski oznajmił, iż z chęcią zorganizowałby dla pana generała domowe przedstawienia teatralne.

Sekretarz uprzejmie go wysłuchał. Potem oznajmił, że niestety pan generał z powodu nawału zajęć nie może przyjąć pana Bogusławskiego, ale chętnie wpisze go na listę.

- Na listę?

Młody sekretarz uśmiechnął się przepaszająco.

- Inni także zaoferowali już swoje usługi - powiedział grzecznie. - Co najmniej połowa trupy Teatru Narodowego. Pan Bogusławski znajdzie się oczywiście na liście. Gdyby pan Bogusławski z jakimś swoim przedstawieniem zamierzał uczestniczyć w którymś

z czwartkowych obiadów pana generała, proszony jest o napisanie listu szczegółowo omawiającego propozycję.

Z miłym uśmiechem sekretarz wstał z krzesła, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

Padał deszcz, miasto było przygnębiająco spokojne, a Bogusławskiemu zdawało się, że nikomu tutaj na niczym nie zależy, a już najmniej na teatrze. Być może *Klingsbergowie* odnieśli duży sukces, ale jeśli nawet tak, to ten sukces dawno się rozplynął.

Siedział zmęczony w domowym fotelu, Marianna raczyła go mało znaczącymi wieściami, Żółkowski wrócił już do domu, studenci nadal rozwieszają ulotki dotyczące *Klingsbergów*, a żandarmi je zrywają. Linde, językoznawca, a zarazem dyrektor liceum, zagroził na przyszłość karą dyscyplinarną tym uczniom, którzy bez zezwolenia pójdą do teatru.

- Jeśli Alojzy już wyzdrowiał, z pewnością znów będziesz mógł zagrać - powiedziała Marianna pocieszająco.

Następnego dnia Marianna poszła po zakupy, potem szybko wróciła z nowym numerem tygodnika „Pamiętnik Warszawski”. Bogusławski przejrzał go i pognał do teatru. Wpadł do garderoby Ledóchowskiej.

- Nareszcie! - zawołał i wskazał jakiś akapit.

Ledóchowska coś bąknęła, Bogusławski zaczął się niecierpliwić:

- No niech pani wreszcie przeczyta!

„Osobliwi są to ludzie ci panowie Iksowie, do których towarzystwa, że nie mam honoru należeć, święcie zaręczam, choć mam sobie za zaszczyt należeć do ich zdania, bo to, przynajmniej dotąd, zawsze nieuprzedzonym i rozsądnym znalazłem”.

- Więc jest ich więcej?! - zdumiała się Ledóchowska.

- Na to wygląda - odparł Bogusławski i zatarł ręce.

- I pan się z tego cieszy?

- Tak jest ciekawiej, prawda? No, proszę czytać!

Ledóchowska przejrzała artykuł do końca.

- Wu - powiedziała z namysłem. - To „W” było dotąd znakiem Kostki Potockiego.

- Z pewnością jest nim i teraz. Przynajmniej wiemy, że nasz minister oświecenia nie jest Iksem.

- A więc kim mogą być ci Iksowie?

Pan W, uciekając się do dawnych metod krytyki, włożył w usta pana J...cza zdania, których w jego artykule nie było, a potem po kolei pięknie się z nimi rozprawił. Stosując inną

metodę krytyki, porównał pana J...cza z Bogusławskim i rozprawił się z artykułami obu panów. A korzystając z trzeciej przydatnej metody krytyki, postawił znak równości między aktorem Bogusławskim a odgrywaną przezeń postacią. W ten sposób doszedł do konkluzji:

„Pomniki i zasłużeni w kraju - mówi on - są własnością narodową, ich niesprawiedliwe obrażanie staje się niejako obrazą powszechną; w takiej ja odzywam się sprawie. Co za wstęp szumny, jak wielkie obiecujący rzeczy!... Nie zdajeż się czytającemu, że ktoś Poniatowskiego, Ignacego Potockiego lub Kościuszkę oglądał i że szlachetny obrońca sławy narodowej na ich występuje pomstę? Bynajmniej, panowie moi, idzie tu o Klingsberga, któremu śmiano powiedzieć, nie że źle grał rolę swoją, ale że był inny, może przyzwoitszy sposób jej grania. Zgadzam się wreszcie, że Klingsberg jest pomnikiem narodowym; dwa ich tedy mamy w Warszawie: starego Zygmunta i starego Klingsberga. Przecież kiedy się pierwszy nieco z wiekiem pochylał, a minister Łuszczewski sprostować go kazał, czyn ten zaszczycił ministerstwo jego. Dziś, kiedy pp. Iksowie, idąc za tym przykładem, chyłący się z wiekiem (bo cóż się z nim nie chyli?) drugi nasz pomnik sprostować usiłują, jest to obrazą powszechną własności narodowej. Tak różny los dwóch pomników skądzież pochodzi? Oto że Zygmunt od dwóch wieków śpi w grobie i że o nim sądzimy bez uprzedzenia, kiedy Klingsberg żyje i zbyt żywych ma stronników”.

- To mamy zdechnąć dla jego przyjemności? - spytał Bogusławski.

„Klingsberg nie chce gry swojej nigdy stosować do gry zagranicznych artystów i kończy na tych wielkich słowach: «Polak, dla Polaków grać będzie». Nie odmawiamy Klingsbergowi niepospolitego talentu, ale niech nam nawzajem wierzyć pozwoli, iż sposób grania, który sobie utworzył, nie jest koniecznie najlepszym na świecie, i że by się nie mógł być czegoś nauczyć od Garricka, od Lequina, od Previlla, a nawet od Talmy i Ifflanda. Do tego zważmy, czy tu o narodową idzie sztukę, Klingsberg jestże Polakiem, nosiż wąsy, kontusz, jestże mieszkańcem wioski lub miasteczka naszego? Nie, jest on płodem sztuki niemieckiej, w niemieckim chodzi stroju, a polskim tylko mówi językiem”...

- A może i tego nie - powiedział Bogusławski. - Gdybyśmy żyli w kulturalnym kraju, napisałbym taką odpowiedź, że cały kraj trzymałby się ze śmiechu za brzuch. Napisałbym, jak pan Wu, będąc premierem, prowadził rokowania z Napoleonem. Wie pani, co powiedział Napoleonowi w chwili, gdy powinien reprezentować naród? Psioczył na francuski teatr, że tak źle grają Racine'a! I próbował namówić Wodza Armii, by zakazał niechlujnie wyrażającego się Moliera! A wszystko to uczynił tu, w Warszawie, podczas gdy Francuzi objadali nas ze wszystkiego, a my staliśmy u progu śmierci głodowej! Ależ oczywiście, skąd mógł o tym wiedzieć ten cały Kostka Potocki, on nigdy nie widział kolejek przed piekarnią.

Potem, podczas wojny, jako człowiek odpowiedzialny, zakopał się w archeologii i pieczołowicie tłumaczył Winckelmanna!

- I co z tego, my w tym samym czasie graliśmy komedie - powiedziała Ledóchowska.

- Inaczej umarlibyśmy z głodu. Ale Kostka Potocki? Wielki Mistrz Wielkiego Wschodu Narodowego Polski? Który otworzył dla tłumów podwoje galerii obrazów w swoim pałacu, by każdy mógł zobaczyć przemycony między płótnami Canaletta i Bacciarellego nowy obraz, portret aktualnie nam panującego?!

- My też to robiliśmy - zauważyła cicho Ledóchowska. - Mistrz od dziesiątków lat gra role aktualnie panujących, na przykład w *Cynnie*.

- Bo ja z tego żyję - zbył ją Bogusławski. - A on jest ideologiem, on nie jest do tego zmuszony, trawi go chorobliwa mania. Proszę tylko przeczytać koniec.

„...Na koniec wszystkie odwołania się do narodowości, chęć pociągnięcia za sobą duchem patriotycznym zdania publiczności, miotane na stronę przeciwną podejrzenia o brak tegoż nie zdają mi się środkami człowieka tak znakomitego własnym talentem, jak nim jest Klingsberg. Nie masz tu i być nie może patriotyzmu, jest tu tylko Teatr, Aktor i Krytyka. Nie mieszajmy rzeczy tak od siebie różnych, a nawet zapomnijmy, żeśmy je kiedyś mieszały. Od niejakiego czasu dość miała Polska rzetelnych obywateli i rycerzów, by się bez urojonych obeszła. Połóżmy więc rzeczy na miejscu swoim, każdej właściwy oddajmy szacunek; tym prawem życzę, by teatr polski miał wielu podobnych do Klingsberga aktorów, a to głośno wyznając, pono trafniej za nim mówię, niż on i obrońca jego; bo jeśli komu, to znakomitym talentom skromność przystoi, a nawet je zdobi”.

- Mnie można dręczyć - powiedział Bogusławski. - Klingsberga też można przeklinać. Narodowości nie. To ogromny błąd. Zobaczysz pani, Trusiu, zrobi się z tego afery. - Zaśmiał się. - Czternaście lat temu, pamięta pani? Musieliśmy wystawić sztukę Kostki Potockiego, była kłapa, i to jaka!... Od tamtej pory mnie nienawidzi. Biedaczyna. Choć napisał ją pod pseudonimem.

Bogusławski kupił kilka egzemplarzy tygodnika i przez Mariannę przesłał je Sołtykowi, Linowskiemu, Niemojowskiemu, Chodkiewiczowi i Niemcewiczowi.

- Może nie czytali - powiedział, uśmiechając się złośliwie.

Od Fiszera dowiedział się, że na mieście pojawiły się egzemplarze sztuki Kotzebuego.

- I dobrze - skwitował.

Osiński przez cały dzień był niewidoczny.

Następnego dnia rano Bogusławski obserwował z okna zrujnowany plac Krasińskich: mieszczanie gromadzili się wokół gazeciarzy i czytali pisma. Marianna zbiegła na dół.

W "Korrespondencie" jakiś autor podpisujący się literą Y - Kudlicz okazał się natchnionym prorokiem - pisał, co następuje:

„...Byłbym zapewne całkowicie JPana X zdania i gdyby sami jedynie znawcy, a naukom i literaturze oddani ucześniecczali na scenę ludzie, rad bym innych na niej nie oglądał, jak Woltera, Rasyana, Kornela, a nawet nad nowoczesne płody przełożyłbym Sofokla, Eurypidesa, Terencjusza i Plauta dzieła. Lecz w mieście takim, jakim jest Warszawa, gdzie jeden tylko teatr jedną składa publiczność, czemuż nie mamy być pobłażającymi gustowi i zabawie różnych klas ludzi też składających publiczność? Czemu naganiać i zazdrościć, że tak powiem, iż całodzienną pracą utrudzonego rękodzielnika, gospodarskimi i domowymi mozolami znękanego obywatela, samego nawet w naukach zagłębianego literata wieczorem na moment rozśmieszają tyle razy nam już przez JPana X wyrzucane *Kminki*, *Kasperki*, *Puszcze*, *Lasy* etc. Łatwiej oczyścić gust i wybór zrobić w innych Europy stolicach, gdzie teatru w większej znajdują się liczbie, dzielą między sobą obowiązek rozrywania publiczności jedne, drugie - zachwycania i uczenia. Łatwiej mając drugi mniej kosztowny teatr, a zatem stosowniejszy dla uboższej części mieszkańców miasta, te pryncypalną narodową podnieść i wywyższyć scenę samym wyborem dzieł dramatycznych. Lecz póki antrepryza nie będzie w stanie podzielić się i zrobić tę dogodność, której liczna nader i coraz zwiększająca się warszawska publiczność wymagać się zdaje, dopóty bądźmy i na innych wyrozumiałymi; pamiętajmy, że i najwyższych piątr widze zapracowanym groszem szukając rozrywki, zupełnie zapomnianymi od nas być nie powinni”.

Bogusławski i cieszył się, i nie. Jak, do diabła, ten artykuł mógł przejść przez cenzurę? Przecież domaga się w nim demokracji! Pękalski stał się nagle odważny? W jaki sposób?

W "Gazecie" niejaki pan Ł zagrał na podobnej strunie:

„W każdej wyroczni zdanie porównywa przedmiot, o którym stanowi, z innym przedmiotem tego rodzaju, w pamięci wyobrażeniem obecnym. Ci, którym stopniem porównania Bogusławski, Ledóchowska, ci, co teraz Paryż widzieli, i ci, co by Rosciusza i Garryka pamiętać mogli, nigdy by nie byli w jednym stopniu wyobrażenia doskonałości, w jednym pobłażania pomniejszym zaletom.

Pobłażanie umiarkowane do czasu i kraju zdaje się być zasadą właściwej krytyki narodowej naszej sceny; wspomnijmy na małą ludność miast, obojętność ku widowiskom, niedawne założenie Szkoły Dramatycznej, publiczność jedynie zabawy pragnącą, a wzajemna łagodność zbliży nas do siebie.

Gdzie hojne dochody nie tylko potrzeby, lecz i uciechy zabezpieczają, tam talent samym zdrowym rozsądkiem publiczności utrzymuje się: lecz gdzie publiczność zaledwie

żywi kilkanaście osób do wszelkich rodzajów sceny (król schodzi na sługę, tragiczny na komika, dramatyk na śpiewaka, tam potrzebą zgwałcony talent szczególne uwagi na chwilę natężą... może i zniechęcą?

Zamiar uwag nad sceną narodową jest sprawiedliwy; chęć chlubnego uczestnictwa studzą we mnie jedynie pamiętne słowa Barona, kiedy słusznie ze sceny w roli Rodryga w *Cydzie* użalał się na niewdzięczność pierwszemu w świecie parterowi. Rozbawionej publiczności, która w pewnym momencie nie mogła powstrzymać śmiechu na widok starego aktora w tak nieodpowiedniej dla niego roli, oburzony Baron miał odpowiedzieć: *Ingrat parterre, que j'ai élevé!*"

- Więc jednak przydała się moja intryga - powiedział Bogusławski do Marianny z drwiącym uśmieszkiem. - Zobaczysz, *Klingsbergowie* dojdą nawet do dwudziestu przedstawień.

W teatralnej knajpie omawiano recenzje. Bogusławski usiadł skromnie za stołem dla stałych gości, od którego uprzejmie odeszli muzycy. Pan Bautz osobiście przyniósł mu herbatę.

- Jak się pan miewa, mój królu? - spytał protekcyjnie Bogusławski.

Pan Bautz uśmiechnął się zaszczycony. Nadal nie miał wstawionych zębów.

Przysiadł się Piotrowski. Tego wyniosłego, jasnowłosego i lekko łysiejącego aktora bez etatu Osiński wepchnął dwa lata temu do Szkoły Dramatycznej. Bogusławski nie dostrzegał w nim zbyt wiele fantazji, ale go przyjął, w tamtym czasie nawet z takich trzeba się było cieszyć. Piotrowski należał do osobistej świty Osińskiego.

Teraz w imieniu całego zespołu ciepłym głosem gratulował Mistrzowi zwycięstwa.

Bogusławski podziękował mu wzruszony.

Oklaski.

- Mistrzu - ciągnął Piotrowski - większość zespołu gorąco pragnie, by Mistrz zgodził się współzarządzać teatrem.

Bogusławski zdziwił się.

- Tego chce większość? - spytał, kręcąc głową.

- Chcemy tego! - rozległo się z różnych stron.

- To nie przejdzie - oświadczył Bogusławski. - Pan Osiński uczciwie kupił ode mnie teatr.

- To niech go pan odkupi, Mistrzu! - zawołał Malinowski.

- Za co, mój królu? - zainteresował się Bogusławski.

Cisza.

- Ale tak dalej być nie może! - powiedział Malinowski ze łzami w oczach.

- Długo zastanawiałem się nad takim rozwiązaniem - wyznał Bogusławski - i nie widzę wyjścia, o ile... - zrobił znaczącą pauzę - o ile nie...

Patrzył przed siebie pogrążony w zadumie. Nadal panowała cisza.

- No! - jęknął Wolski.

- O ile zespół nie napisze podania do rządu, w którym zażąda autonomii Teatru Narodowego.

- Autonomii... - przeleciało echem po bufecie. Bogusławski podniósł rękę i dodatkowo wyciągnął palec.

- Prosząc oczywiście o bezpośrednie zwierzchnictwo rządu - dodał. - Czyli musimy prosić, by państwo przejęło teatr od pana Osińskiego. Jeśli tak się stanie, rząd w porozumieniu z zespołem wybierze dyrektora teatru, który nie byłby jego właścicielem, tylko pracownikiem państwowym. Tym samym zespół miałby status urzędników państwowych.

W knajpce wybuchła burza oklasków.

- Ale ja nie będę urzędnikiem! Jestem artystą! - wrzasnął Malinowski.

Zakrzyczano go.

- Mielibyśmy emerytury! - argumentowano krzykliwie. - Stałe pensje! Pewne co miesiąc!

- W przeciwnym razie... - powiedział Bogusławski i odczekał, aż zapadnie cisza. - W przeciwnym razie nad głowami zawisnie nam kryzys. Nie życzę panu Osińskiemu, by znalazł się w takiej sytuacji, w jakiej często bywałem, ale, niestety, może się zdarzyć, że i on nie będzie mógł wypłacić wam gaży.

- Rzeczywiście może się zdarzyć - rozległo się w knajpce.

- To pięknie - powiedział Bogusławski - że w interesie duchowego wychowania narodu na wysokim szczeblu potępiono sztuki popularne, ale na razie to właśnie z nich żyjemy. Pan Osiński, sam będąc artystą wzniosłej natury i mając dobre intencje, chce grać jedynie tragedie. Zamysł piękny, trzeba to przyznać. Cóż jednak z tego, że to doceniamy, jeśli skończy się krachem finansowym, i to wkrótce.

- Właśnie!

- Spójrzmy na sprawę obiektywnie - argumentował Bogusławski. - Straciliśmy najważniejszą część publiczności, tych, którzy do tej pory cisnęli się na komedie i melodramaty. Zostali tylko posiadacze abonamentów, którzy lubią tragedie. Ale dla tych z abonamentem każdą sztukę można zagrać tylko raz.

- To prawda!

- Z tego względu musicie pracować więcej za te same pieniądze.

- A tymczasem tracą one na wartości!

- Co tydzień jedna albo dwie premiery - ciągnął Bogusławski. Ciągłe nowe teksty. Nowe dekoracje. Idzie na to mnóstwo pieniędzy. Nawet tu nie mamy już czasu porządnie przepisać. Chór nie może w spokoju nauczyć się niczego. Latem nie ma sensu grać tragedii na prowincji, w ramach przedstawień objazdowych, przez co tracimy pokaźne sumy. Nie byłoby tak, gdyby rząd zapewnił nam stałe pensje.

Pozwolił dojść do głosu innym.

W ogólnej wrzawie padały argumenty za i przeciw Bogusławskiemu. Szymanowski stwierdził, że przecież pan Osiński pragnie forsować gusta rządu i jeśli rząd będzie sterować teatrem, jeśli subwencja będzie stuprocentowa, wówczas z całą pewnością nie będą grać dla publiczności. Ale zakrzyczano go. Piotrowski znów wysunął się na pierwszy plan, z propozycją, by natychmiast zredagować podanie do rządu i by cały zespół to podpisał. Ponownie odbyła się dyskusja nad podaniem dotyczącym pobicia Żółkowskiego, tym razem o wiele szybciej i efektywniej. Aktorzy wybrali odpowiedzialnych za zredagowanie podania: projektodawcę Piotrowskiego, Malinowskiego, Dmuszewskiego, Ledóchowską i Werowskiego - ten ostatni do tej pory unikał okolic bufetu, tym razem jednak cały czas stał w drzwiach. Ponieważ nazwisko Werowskiego rzucił Kudlicz, chcąc, by wśród redagujących znalazł się również człowiek Osińskiego, Werowski, zaufany dyrektora, nie mógł zbyt energicznie protestować przeciw kłopotliwemu dla siebie zaszczytowi.

Bogusławski odrzucił propozycję włączenia się do zespołu redagującego podanie. Oświadczył, że byłaby wielka szkoda, gdyby rząd uznał, iż podanie jest efektem jego osobistych intryg przeciw Osińskiemu; odebrałoby to sens i znaczenie żądaniom zespołu.

- Podanie jest pomysłem pana Piotrowskiego - powiedział Mistrz i była to w zasadzie prawda - a ja osobiście nie mam żadnych zastrzeżeń wobec pana Osińskiego, znakomitego poety i uczonego literata, który, dobrze wiem, znalazł się w trudnej sytuacji, i gdybym to ja siedział na jego miejscu, z pewnością również miałbym ogromne trudności z naprawieniem popełnionych przez niego błędów.

Wybrana komisja udała się w spokojniejsze miejsce, do garderoby. Muzycy sarkali, że znowu nikt ich nie uwzględnił. Kilku technicznych pod przywództwem Cieślaka podeszło do Bogusławskiego z prośbą, by Mistrz rzucił na szalę cały swój autorytet w celu przyznania im statusu urzędników. Bogusławski przyrzekł im to.

- To nie da żadnego efektu - powiedział Szymanowski do Mistrza.

- Ale i tak to dobra heca - odparł Bogusławski.

Pan Unicki cicho i bardzo grzecznie poprosił Mistrza, by znalazł trochę czasu, pan dyrektor chciałby go teraz widzieć.

- Zaraz przyjdę - rzucił Bogusławski i spędził w knajpce jeszcze pół godziny na pogawędkach.

Osiński przyjął go z ponurą miną. Bogusławski z pełnym życzliwoci współczuciem przyglądał się temu siwemu niemowlakowi o dużym brzuchu i nieruchomych oczach. Wśród takich przedwcześnie postarzałych szczeniaków jest mnóstwo geniuszy. Aż dziwne, że Osiński nie jest jednym z nich.

- Chyba wiesz, że twoje podżeganie nie ma szans? - spytał Osiński, wydymając pogardliwie usta.

- Oczywiście - przytaknął Bogusławski.

- Pod względem prawnym moja pozycja jest nie do podważenia - oznajmił Osiński. - Niezależnie od tego, rząd też mnie popiera. Nadal nie ma pieniędzy, by wziąć sobie na kark tak wielką masę upadłościową. Wystarczy mu deficyt państwa. Wahają się nawet z przyznaniem niedużej subwencji, o którą błagaliśmy.

- No cóż - powiedział Bogusławski - ale sytuacja nieco się zmieniła. Sami nadali teatrowi większe znaczenie, niż na to zasługuje, i teraz będzie trudno nagle się z tego wycofać.

- Ze wszystkiego można się wycofać - odparł Osiński. - Nie myśl, że po paru artykułach w prasie siedzisz już pewnie w siodle.

- Wcale tak nie myślę, mój królu - powiedział Bogusławski.

- Więc czego chcesz?!

- Chcę grać - odparł Bogusławski. - Gdybyś nie zdjął *Klingsbergów*, nie byłoby teraz tej całej afery.

- W każdym razie nie zagrasz już więcej Klingsberga - syknął Osiński.

- Jest mi obojętne, kogo gram - uśmiechnął się ciepło Bogusławski i wyszedł z pokoju.

Tymczasem w bufecie debatowano nad przygotowanym projektem wniosku. Ledóchowska i Werowski posprzeczali się nad jednym zdaniem, Ledóchowska wyraziła się drwiąco o temperament Werowskiego, który, jej zdaniem, miał w żyłach zsiadłe mleko; w odpowiedzi Werowski wdał się w rozważania na temat wrodzonej głupoty tragiczek.

- To, że muszę się troszczyć o rodzinę i dzieci, a pani porzuciła męża, albo mąż porzucił panią, kto wie, z jakich powodów, nie oznacza jeszcze, że jest pani odważną kobietą, jaśnie pani hrabino! - zakończył dźwięcznym głosem.

Cała knajpka znakomicie się bawiła, gdyż Ledóchowska w rewanżu zaczęła się mizdrzyć do rozwścieczonego Werowskiego i naśladując jego żonę, słodkim głosem namawiała do ostrożności z uwagi na potomstwo. Czerwony jak piwonია Werowski wypadł z bufetu.

- Skupuje książki - rzekł z pogardą Szymanowski. - Przesiaduje w antykwariatach, bo się dowiedział, że ja zbieram książki. Nawet w tym musi mnie małpować! Wredny cymbał. Tyle razy sprzątnął mi przed nosa rolę i myśli, że uda mu się także odebrać mi moje wykształcenie!

Co ostrożniejsi proponowali wybrać w miejsce Werowskiego pana Kudlicza, ten jednak opuścił już knajpę. Z tego więc względu, jak również mając na uwadze muzyków, do komitetu redagującego wniosek wybrano Elsnera. Wiecznie zafrasowany kapelmistrz, choć z ociąganiem, zgodził się w nim uczestniczyć.

Przed teatrem, jak w starych, dobrych czasach, Bogusławskiego otoczyli wielbiciele; pojawili się dawni znajomi oraz znajomi samozwańcy, którzy powołując się na dawne kontakty, prosili Mistrza o załatwienie jakichś zawiłych spraw. Bogusławski wpisał do notesu wiele drobnych, spornych przypadków, przyrzekając uczynić wszystko, co możliwe. Uwolnił się z otaczającego go zbiegowiska, wygadawszy się niby to przypadkiem, że po południu został zaproszony do namiestnika i musi teraz nieco odpocząć.

W bramie czekał na niego kamienicznik, który prosił uprzejmie Mistrza, by swych wielbicieli raczej nie przyjmował w domu, bo on ma już dosyć zakłócania nocnej ciszy oraz innych rzeczy.

- Innych rzeczy? - zainteresował się Bogusławski.

- Tak, proszę pana - powiedział kamienicznik uniesieniem głosu. - Nie chciałbym po raz trzeci otrzymać wezwania na posterunek.

- Czyżby dwa razy już pan otrzymał?

- Właśnie, proszę pana. Dzisiaj po raz drugi mnie tam zabrali.

- Mam nadzieję, że nie zrobili panu krzywdy, mój królu.

- Nie, jednakowoż spotkały mnie różne afronty.

- Nie żądali, by mi pan wymówił?

- W taki sposób sprawy nie postawiono, proszę pana.

- A w jaki?

- Wypytywali, czy, za przeproszeniem, Mistrz nie zalega z czynszem.

- I nie zalegam?

- Jak mi się wydaje, to jeszcze nie, proszę pana.

- Mnie też się tak wydaje - odparł Bogusławski. - Troskliwie przechowuję kwity od waszmość pana.

Marianna przygotowała królewski obiad. Było nawet mięso, cielęcina! Przynieśli ją w prezencie wielbicieli teatru, ale nie podali nazwisk.

- To chyba publiczność - powiedział znużony Bogusławski. - Zawsze jest jakaś publiczność, cała rzecz w tym, czy uda się do niej przebić.

- Co teraz będzie? - spytała Marianna.

Bogusławski nie wiedział.

- Trzeba im sprawiać jak najwięcej kłopotów - powiedział niezdecydowanie - żeby nie myśleli, że od razu skapitulujemy.

Po południu lokaj od Sołtyka przyniósł zaproszenie. Tego wieczoru kasztelan przyjął dwóch gości. Bogusławskiemu zrobiło się niedobrze na widok Stanisława Grabowskiego. W dotyku ręki tego człowieka o chytrym spojrzeniu, jak przynajmniej zdawało się Bogusławskiemu, było coś oślizłego i lepkiego. Nie spotykał się z nim zbyt często, jeszcze dwadzieścia lat temu Grabowski wydawał mu się sympatyczny i mądry, a jako syn Stanisława Augusta z nieprawego łoża, z dumą i pewnością siebie człowieka przedwcześnie dojrzałego odpowiadał na obmierzłe zaczepki oraz gadaninę dorosłych. Jego matka była donosicielką Igelströma, towarzyszyła również królowi na miejsce wygnania, ponoć to ona namówiła go, by podpisał abdykację. Chłopak utrzymywał, iż bezpodstawnie uważa się jego matkę za donosicielkę. Są tylko dwa sposoby uporania się z czymś takim, pomyślał Bogusławski. Albo człowiek zostaje rewolucjonistą, albo trzyma się kurczowo tradycji rodzinnej i staje się jeszcze większym łajdakiem. Grabowski wybrał wariant drugi i nie krył się z tym, że był konfidentem Prusaków, Francuzów, a obecnie z pewnością pracuje dla Rosjan. Mimo to Bogusławski nie zdziwił się zbyt, widząc go w towarzystwie Sołtyka. Człowiek, w którego żyłach płynie krew ostatniego polskiego króla, bez wątpienia musiał być uwzględniany w spekulacjach dotyczących władzy.

Ale w dobry humor wcale go to nie wprawiło.

Bogusławski usiadł i gorąco podziękował kasztelanowi za pomoc okazaną w polemice na temat *Klingsbergów*.

Sołtyk pokiwał głową nieco zafrasowany.

- Sądzę - powiedział po chwili milczenia - że dalszego ciągu już nie będzie. Pękalskiemu porządnie się za to oberwało.

- Myślę - odrzekł Bogusławski - że mimo wszystko miał trochę satysfakcji.

- Na ile to było możliwe - odparł kasztelan.

Zamilkli. Sołtyk nie wyglądał na nastawionego zbyt wojowniczo. Tu nigdy nie powstanie gabinet cieni zdolny do podjęcia ataku.

- Ci Iksowie - powiedział kasztelan - z pewnością dali się panu dobrze we znaki, ja jednak nie przypisywałbym ich działalności większego znaczenia. Bez wątpienia chodzi im o to, by każdy pozostał tam, gdzie zastał go koniec wojny. Chcą utrzymać społeczeństwo w stanie zamrożenia.

- To samo powiedział Kostka Potocki - zauważył Bogusławski.

- Tak. Tylko że do tej pory każdy z takim programem prędzej czy później ponosił porażkę. Im też się nie uda.

- Jest tylko pytanie - odrzekł Bogusławski - ile to zabierze czasu. Nie mam już przed sobą dziesiątków lat życia.

- Ani my - odezwał się Grabowski.

Zapadło milczenie.

- Polemika musi się skończyć choćby dlatego - ciągnął po krótkiej przerwie kasztelan - że naszym zdaniem Iksowie czepiają się teatru, wychodząc z błędnego założenia. Wydaje im się, że teatr ciągle jeszcze jest tym otwartym forum publicznym, które dziesięć, dwadzieścia lat temu umiało poruszyć tłumy, oni się tego boją, dlatego bez zastanowienia piszą o wszystkim, co im się nawinie pod pióro. Chociaż teatr jest już zupełnie nieciekawym.

- Bardzo przepraszam - przerwał mu Bogusławski - ale jest to kwestia podejmowania odpowiednich decyzji. Rząd nie chce w teatrze tłumów. Jeśli jednak ktoś dojrzy w teatrze masowym pewną dozę fantazji, to istnieją środki, by teatr znów dało się zamienić w otwarte forum.

- Tylko że my tego nie chcemy - dorzucił ostro Grabowski.

- Jesteśmy w innej sytuacji, Mistrzu - powiedział Sołtyk nieco łagodniejszym tonem. - Nie możemy się zdać na niedający się ukierunkować gniew ludu. Jest pewne, że w ciągu krótkiej chwili udałoby się zdławić bunt dowolnej wielkości tłumy. Mamy w Warszawie carskiego brata, głównodowodzącego wojsk polskich... car jest w zмовie z Metternichem... zresztą mniejsza o szczegóły. Każde, najmniejsze nawet naruszenie porządku mogą zdławić tysiąckroć większymi siłami gdziekolwiek, w Warszawie, w Italii, Hiszpanii, Grecji... Po to powołali do życia Święte Przymierze. Człowiek przy zdrowych zmysłach nie uwierzy, że jest teraz choćby cień szansy, by w teatrze rozpocząć jakąkolwiek rokującą nadzieję walkę polityczną, nie mówiąc już o sterowaniu nią. Za wywołanie masowej hysterii nas przede wszystkim pociągnięto by do odpowiedzialności. Wszystkie przeszłe i przyszłe grzechy spadną na nas. Jeśli car wstanie lewą nogą, nawet bez powodu mogą polecieć nasze głowy.

Inną, ale równie zasadniczą sprawą jest to, że nie chcemy, nie możemy się dłużej domagać bezsensownego rozlewu krwi.

Bogusławski przytaknął. Oto skutki tego, że car w swej wielkiej mądrości gotów jest rozpieszczać najbardziej nawet zbuntowaną opozycję. Sołtyk ma zbyt wiele do stracenia.

- Pan, Mistrzu - kontynuował Sołtyk - niewątpliwie jest nadal genialny. Mój cały szacunek i głęboka sympatia są po pana stronie.

- I ja się przyłączam - dorzucił protekcjonalnie Grabowski.

Bogusławski przygryzł wargi.

- Trzeba jednak zrozumieć - powiedział kasztelan - że ta linia, którą wypróbował pan w *Klingsbergach*, nie może liczyć na nasze poparcie. Mówiąc szczerze, znając pańską wyjątkową umiejętność wyczuwania sytuacji, oczekiwaliśmy, że zerwie pan z popularnym stylem gry i wypracuje coś mniej niebezpiecznego, nie tak efektownego, ale za to takiego, co mimo wszystko moglibyśmy poprzeć, występując przeciw linii rządu. Nie wiem, czym by to miało być, pan powinien lepiej to wiedzieć. W tym wypadku bez wątpienia moglibyśmy pana bronić. Moglibyśmy także poprzeć starania, by mógł pan stworzyć niezależny teatr, bo w ten ostrożny, ale wyraźny sposób zaznaczylibyśmy nasze odmienne stanowisko.

- Jestem w stanie to zrobić - powiedział Bogusławski ożywiony nadzieją.

- Takiej możliwości wcale nie odrzuciliśmy - rzekł Sołtyk obiecująco.

- Ale teraz nie ma na to szans - oznajmił Grabowski.

- Widzi pan, Mistrzu - powiedział kasztelan - gram w otwarte karty. Aleksander już wpadł na to, że trzeba stawiać na religię, tym właśnie ogłupił Woronicza, a rząd niczego jeszcze nie zauważył. Oni ciągle wierzą, że nadal żyjemy w czasach Oświecenia. Nie dostrzegają, że każdy teraz zamyka się w sobie, bo nic innego mu nie pozostało. Nawiazaliśmy stosunki z Kościołem, a nasza strategia ma szansę powodzenia. Według posiadanych przeze mnie informacji w całej Europie sytuacja jest podobna. - Zaśmiał się krótko. - Mnie co prawda nieśpieszno do tej całej obłudnej klerykalnej bandy - ciągnął - ale musimy zdać sobie sprawę, że w ciągu kilku lat cała Europa wpadnie w religijny obłęd. Wrócą czasy średniowiecza, więc i my musimy się przestawić na średniowieczny styl walki. Katolicyzm jest jedyną siłą, która ponownie może przekształcić Europę w zbiorowość zdolną do akcji. Jeśli Polska stanie na czele tej walki, można będzie ogłosić krucjatę przeciw carowi. Trzeba się oprzeć na wojnie religijnej, u nas może to być nadzwyczaj szczęśliwa forma, przeciw protestanckim Niemcom i prawosławnym Rosjanom Polaków uda się zmobilizować. Dzięki religii możemy pozyskać jako sprzymierzeńców także katolickie kraje Europy. Próżno ubóstwialiśmy Napoleona, to był tylko człowiek, a każdy człowiek jest aż nazbyt zmienny

i nazbyt śmiertelny, by można było na nim opierać długofalową politykę. Potrzebny jest trwały i niezmienny, akceptowany przez inne narody bóg, i nie sądzmy, że uda nam się znaleźć bardziej odpowiedniego do naszych celów boga niż ten, którego od wieków i tak już mamy. Za szczęście trzeba uznać fakt, że byliśmy zbyt słabi, by oświeconymi umysłami wymazać tego boga z ciemnych dusz ludzkich. Zobacz pan, za dwadzieścia, trzydzieści lat pod przewodnictwem Watykanu rozpocznie się międzynarodowa krucjata o wyzwolenie Polski.

- Już tego nie doczekam, mój królu - odrzekł Bogusławski.

Zapadła cisza.

- Pański teatr, Mistrzu, jest nazbyt świecki - powiedział Sołtyk. - Ja wiem, i często zwykłem to podkreślać, że tkwi w panu zarodek wielkiego polskiego proroka. Ale nie możemy się powoływać na szansę istniejącą jedynie w zarodku. Kiedy wcieli się pan w tego proroka tkwiącego w panu, rzucimy na szalę wszystkie nasze siły. Jednak w obecnej chwili, proszę to zrozumieć, sytuacja jest taka, że pański sposób gry jest szkodliwy nie tylko dla Iksów, ale także, biorąc pod uwagę jego zbytnią świeckość i racjonalność, niezbyt korzystny dla nas.

Bogusławski milczał. I dla was jestem niebezpieczny, pomyślał z satysfakcją.

- Długofalowa polityka jako taka - wyjaśniał błyskotliwie kasztelan - składa się z małych kroków i nie teatr jest jej miejscem. My z jednej strony pragniemy iść za drzeniem dusz ludzkich i ostrożnie nimi sterować, z drugiej natomiast w obecnej sytuacji zmuszeni jesteśmy wpychać się w każdą istniejącą szczelinę. Polemika wokół *Klingsbergów* pojawiła się w dogodnym momencie, byśmy mogli sprawdzić, czy tę taktykę da się zastosować, i naprawdę jesteśmy panu wdzięczni, że pomógł nam pan się upewnić co do słuszności naszych koncepcji. Okazało się bowiem, że niektórzy członkowie rządu i pewne kręgi ich popleczników skłonni są prowadzić podwójną grę. To już duże osiągnięcie. Myślę tu nie tylko o Pękalskim. Również wśród Iksów są tacy. I, co tu kryć, pan także, Mistrzu, się do nich zalicza. Myślę, że nie obrażę pana, mówiąc, iż jest dla nas oczywiste, że przy nadarzającej się okazji mógłby pan przejść na stronę Iksów.

Bogusławski milczał.

- Według moich informacji - powiedział kasztelan, przesuwając wzrokiem po zdobionych ścianach pancerzach, lancach i szablach przodków - Iksowie zbierają się każdej środy w pałacu Mostowskich.

Bogusławski słuchał z kamienną twarzą.

- Wyklinają wszystkich, którzy wyłamali się z utartych dróg - mówił drwiąco Sołtyk. -

Mozarta, bo zniszczył harmonię, Beethovena, bo rozbił formę sonaty, Talmę krzyczącego na scenie... Małpują obiady czwartkowe Stanisława Augusta.

- Nie mam wstępu do pałacu Mostowskich - powiedział Bogusławski.

- Ani ja - rzekł Sołtyk z ironią. - Niech pan spróbuje zapolować na każdego oddzielnie. Lipiński, Osiński, Matuszewicz, Niemcewicz, obaj Platerowie, Fredro i Koźmian zwykli tam bywać każdej środy. Niekiedy i Czartoryski. Sierakowski i Wyszkowski. Pańskiej uwadze polecam szczególnie generała Morawskiego, to bardzo wykształcony i interesujący młody człowiek.

- Wszyscy są Iksami? - Bogusławskiemu zakręciło się w głowie.

- Pani Wirtemberska także, pani Elżbieta Krasińska również tam bywa. Zna ją pan? Niezwykle dowcipna dama, szkoda tylko, że garbata. Goethe też za nią przepadał, w Karlsbadzie mieli ponoć romans. Niech pan sobie wyobrazi Goethego z garbatą kobietą w łóżku. - Sołtyk wybuchnął śmiechem.

Kiedy Bogusławski wyszedł na ulicę, był jak odurzony. Grzebiąc z roztargnieniem po kieszeniach, stwierdził, że tym razem kasztelanowi nie przyszło do głowy wspomóc go jakąś sumką, i cały czas mruczał do siebie: sami ministrowie i radcy państwowi.

Pan Iks to sam rząd.

Marianna powitała go wiadomością, że pod jego nieobecność przed domem odbyła się manifestacja z wyrazami poparcia, ale żandarmeria ją rozpedziła.

- Bohaterska opozycja wezwała mnie do kapitulacji przed rządem - powiedział Bogusławski, szczerząc zęby. - Wspaniałe, prawda?

Gdy Marianna stawiała przed nim jedzenie, warknął krótko i pochylił się nad swoimi notatkami.

Rutynowo, bez zbytniego przekonania zebrał wszystkich Iksów, na każdej karteczce zapisał jedno nazwisko, po czym przetasował je i rozłożył. Od tego powinienem zacząć, pomyślał, który z nich może prowadzić podwójną grę.

Trudno mu było się skupić.

Krzyknął do Marianny, czemu nie podała jeszcze kolacji. Marianna bez słowa skargi ponownie nakryła do stołu.

Nie tylko Iksów drażni ta polemika, ale też Igreków.

Przecież ostatecznie chcą tego samego. Po prostu niczego.

Rząd czy opozycja, kler czy inny diabeł, mnóstwo oświeconych Kostków Potockich, biskup Skarszewski, Zajączek, nieważne, wszędzie są tylko złe strony.

Sprawa prawdopodobnie wygląda tak, że Iksowie i Igrekowie zmówili się ze sobą.

Problem tylko w tym, czy w owym pakcie istnieje jakaś klauzula dotycząca osoby Wojciecha Bogusławskiego, a jeśli tak, to czy Iksowie poczują się w obowiązku ją respektować.

A powiadomienie go o tym zlecono Sołtykowi. Z uwagi na ich dawne kontakty jako towarzyszy broni.

Marianna powiedziała, że idzie teraz do syna, bo może mógłby pomóc, ale doprawdy nie wie, co może zrobić. To idź, burknął Bogusławski. Wyszła. W pokoju było zimno, Mistrz narzucił na siebie futro, potem zebrał wszystkie głosy w dyskusji, przejrzał swoje odpowiedzi i opanowała go gorycz.

Kto je przeczyta, może sądzić, że pan Bogusławski żyje sobie w normalnych warunkach, być może nawet w dobrobycie, przecież w gazecie wydrukowano jego nazwisko, jest sławny, może pisać, o czym chce, podczas gdy po żyjących w biedzie milionach nie zostanie nawet podpis wydrukowany na lichym papierze w jakimś szybko żółknącym piśmie. Panu Bogusławskiemu łatwo mówić, on ma wszystko, atakują go, ale też popierają, po prostu sławny człowiek. Opanowała go jeszcze większa gorycz. Dał się nabrać na polemikę. Nie powinien się do niej włączać.

Drzwi się otworzyły, Bogusławski myślał, że wróciła Marianna. Zamiast niej do pokoju wszedł Niemcewicz.

- Ładne rzeczy popisałeś - powiedział zamiast powitania i rozpiął futro, ale go nie zdjął. - I dobrze zagrałeś.

- Dziękuję.

Niemcewicz usiadł i odrzucił do tyłu gęstą, siwiuteńką czuprynę. Jego rysie oczy rozblęły drwiną.

- Coś zimno u ciebie. Chyba nie klepiesz biedy?

Bogusławski uśmiechnął się ironicznie.

- Ile zalegasz z czynszem? - zaciekawiał się Niemcewicz.

- Wyobraź sobie, mój królu, że jeszcze miesiąc mogę tu pomieszkać.

- Masz tu weksel - Niemcewicz wyciągnął jakiś świstek - na dwadzieścia pięć tysięcy.

Bogusławskiemu zakręciło się w głowie.

- Kup sobie jakąś kamienicę - doradził Niemcewicz.

- Co w zamian?

- Sam zgadnij.

- Nie mogę już grać? - spytał Bogusławski i głos mu się załamał.

- Ależ możesz. Tylko inaczej. Rzadziej.

- Ugrzeczniony?

- Ty to powiedziałeś.
- To nie są twoje pieniądze - rzucił Bogusławski.
- Jasne, że nie - odparł Niemcewicz. - Dla mnie nie jesteś tyle wart.
- To ty napisałeś recenzję o sobie, prawda?
- Nie jest chyba tak źle, jeśli nadal można rozpoznać mój styl.
- Kto napisał pozostałe?
- Ci, którzy przesyłają ten weksel. Twoi protektorzy.
- Podaj nazwiska.
- Nie jesteśmy w więzieniu w Petersburgu.
- I tak je znam - mruknął Bogusławski.

- Oczywiście, że znasz - powiedział Niemcewicz uprzejmie. - I daliby więcej, gdybyś tak, powiedzmy, wydał jakąś atakującą ich ulotkę. Bardzo na to liczyłem i byłem zaskoczony, że żaden drukarz nie doniósł na ciebie, że starałeś się go do tego namówić.

Bogusławski uśmiechnął się smutnie.

- Nie jesteś już co prawda taki jak kiedyś - ciągnął delikatnie Niemcewicz - ale muszę przyznać, że Klingsberg był genialny. - Wybuchnął śmiechem. - Żebyś widział ich twarze! Ależ przyłożyłeś Iksom!

- Ty napisałeś tę krytyczną recenzję o mnie?

- Ja nie piszę o tobie źle. Może się zdarzyć, że niczego o tobie nie napiszę, ale na pewno nie źle. Muszę jednak powiedzieć, że twoi protektorzy także nie byli zachwyceni starym Klingsbergiem. Gdyby ich wypowiedzi nie były tak ugrzecznione, z pewnością dostałbyś więcej. Ale odwaga jakoś do nich nie pasuje. Zanim odważyli się wreszcie wychylić, mój stary... sądzeni, że to ty uderzysz. Ale jeśli ktoś miał odrobinę odwagi, temu zatkali usta tłustymi kaskami. Jak i twoje.

- Nie mów tak, mój królu - odparł Bogusławski z namysłem. - Żółkowskiego na przykład pobito.

- Pardon, to nie byliśmy my. Paru nadgorliwych pętaków zbyt się wzburzyło, ale dostali za swoje. Jeśli wkrótce dowiesz się o kilku zaskakujących sprawach, nie zdziw się zbyt. Linowski trochę się wzbogacił. Pan Linde dostanie order, niewątpliwie za swój słownik. Roman Sołtyk otrzyma wreszcie tak upragniony paszport. Kilku młodszych referentów awansuje na starszych referentów pod skrzydłami zaufanych przełożonych. Generał Dąbrowski nie zostanie aresztowany, dano mu do zrozumienia, że jego tajna organizacja nie jest aż tak tajna. Jedyne stary biedaczysko Niemojowski nie dostanie niczego, wyobraź sobie, niepotrzebne mu pieniądze ani władza, ale i tak coś mu skapnie, brat

Koźmiana zostanie biskupem w Kaliszu. Wygląda na to, że na sprawie *Klingsbergów* najgorzej wyszedł biedaczek Niemojowski. No i Woronicza trzeba wysłać na biskupa do Krakowa; nie miał co prawda na nic wpływu, ale Sołtykowie zbyt często naskakiwali na niego.

Niemcewicz umilkł i z lekko drwiącym uśmiechem popatrzył na Bogusławskiego. Ten ściągnął brwi i siedział zamyślony. Po chwili jakby z rezygnacją wzruszył ramionami.

- Śmiertelnie chore społeczeństwo rękami i nogami trzyma się swojej choroby. Jeśli się z niej wyleczy, to zdechnie.

Bogusławski ciągle się nad czymś zastanawiał. Właściwie sami sprowokowali polemikę. To o tym mówił Pękalski.

- No - rzucił Niemcewicz i wskazał weksel. - Masz tu dwadzieścia pięć tysięcy iksów.

Wstał i zapiął futro.

- Osiński da ci role - dodał. - Z nim nie poszło łatwo. Gdyby *Klingsbergowie* nie mieli takiego powodzenia, nie byłoby cię już w teatrze. Ale jeszcze szybciej rozstałbyś się z teatrem, gdybyś zagrał zgodnie z naszymi gustami.

Długo chichotał rozbawiony.

- Zgodnie z naszymi gustami! Dobrze, co? Nie mają pojęcia o teatrze. Nie wyobrażasz sobie, ile point muszę skreślić, by każde danie spodobało się ich pozbawionej poczucia humoru naturze. Muszę pisać z namaszczeniem i nie naruszając zasad moralności. Ja! Wyobraź to sobie.

W drzwiach jeszcze się zatrzymał.

- Słyszałeś, że Węgrzecki został zdjęty? Nie? Wczoraj wieczorem. No bo proszę, Węgrzecki całkiem ogłupiał. Wielki Książę wydał ukaz, by krawcy szyli teraz mundury dla wojska za piętnaście groszy. Za każdą sztukę dostaną piętnaście groszy. Za nowy mundur, z wszystkimi galonami i naszywkami. Więc Węgrzecki odpisał Wielkiemu Księciu, że takiego zarządzenia nie wyda, bo to poniżające dla krawców; niech płacą im więcej albo niech Wielki Książę sam je szyje z milionem swoich generałów. Dobrze, co? Powołał się na konstytucję, jakieś międzynarodowe głupoty, Deklarację praw człowieka. Biedak. Umieszczę go w swoim pisanym w najgłębszej tajemnicy pamiętniku. Woyda już zasiadł na jego tronie. I sam powiedz, Węgrzecki, taki mądry człowiek! Żeby się poślizgnął na takim głupstwie! Nas czeka to samo. Pa.

Wyszedł.

Bogusławski popędził do syna. Marianny u niego nie było, powiedziano, że poszła do teatru. Ignacy i Aniela szykowali się już do snu, Nacewicz chrapał w małym pokoju,

niemowlak się darł, Aniela w nocnej koszuli starała się go uspokoić.

- Dostałem dwadzieścia pięć tysięcy złotych! - zawołał rozentuzjasmowany Bogusławski. - Kupię sobie dom, z samego rana! Na rogu Żelaznej i Żytniej jest pałacyk, dawno go już sobie upatrzyłem, cudowne miejsce, z dużym ogrodem, dwie nieduże przybudówki przy bramie, piętrowy, rano go kupię! A potem powiemy, że pieniądze dostałem od was, nie od Iksów.

- Od Iksów? - spytał Ignacy, niewiele rozumiejąc.

- Myślę - ciągnął Bogusławski - że w ten sposób na zawsze mają mnie w garści. Grubo się myślą. Całe piętro będzie moje, na parterze kuchnia i salon...

- A co z Marianną? - spytała Aniela z dzieckiem na ręku.

- Na parterze będzie jeszcze jeden pokój - powiedział Bogusławski. - Albo urządzę dla niej którąś z przybudówek obok bramy.

Młodzi nie ucieszyli się tak bardzo, jak należało oczekiwać, i Bogusławski szybko się opamiętał.

- Ewentualnie i wy możecie się tam wprowadzić - rzucił wspaniałomyślnie. - Ostatecznie powinna mi wystarczyć większa część piętra, dla was wydzieli się jeden pokój.

Aniela milczała.

- Raczej zostaniemy tutaj - powiedział Ignacy.

- Dobrze - odparł Bogusławski z ulgą. - Kupię jeszcze jeden dom dla was, oni tak bardzo się mnie boją, że uda mi się jeszcze coś od nich wydusić. Będziemy mieli pieniędzy jak lodu.

- Jesteś winien Osińskiemu - przypomniała cicho Aniela.

- To się nie liczy - zbył ją Bogusławski. - Nie będzie miał odwagi ich zażądać. Iksowie nakłonili go, by w przyszłości przydzielał mi role. Gdyby Osiński chciał mnie szantażować procesem, dawno by to już zrobił, ale nie ma odwagi!

Długo jeszcze Bogusławski gadał w euforii. Możliwe, że na piętrze urządzi niewielki teatrzyk, miejsca jest sporo, zmieści się nawet pięćdziesięcioro widzów, a jeśli za bilet zażąda tyle, ile wynosi cena teatralnej łoży, co wieczór miałby z tego do trzystu złotych. Gdyby przez miesiąc dawać co dzień przedstawienie, zebraloby się dziewięć tysięcy złotych. Pięćset z tego pójdzie na kostiumy i dekoracje, aktorzy dostaną dwa tysiące i na czysto zostanie, lekko licząc, sześć tysięcy. Jeśli w ciągu roku da tylko trzy premiery, uda mu się zebrać pieniądze na następny dom. Tak, trzeba będzie tak zrobić. W domu będzie mógł wystawiać to, co tylko zechce, Sołtyk mu w tym pomoże, na parterze urządzi się foyer i szatnię, wtedy Marianna zamieszka w jednej przybudówce, a on w drugiej. Nieduży pokój z kuchnią, czegoż więcej

trzeba?

- O tym Iksowie nie pomyśleli. - Bogusławski uśmiechnął się triumfująco. - To ich kompletnie zaskoczy.

- Taka przebudowa sporo kosztuje - wtrąciła Aniela. - Skąd wezmiesz na to pieniądze?

- Mam dwadzieścia pięć tysięcy - odparł Bogusławski.

- Nie starczy nawet na dom - rzucił Ignacy.

- Zdobędę jakieś pieniądze - odrzekł z wielką pewnością siebie Bogusławski. - Najpóźniej za kilka miesięcy. Latem pojadę z tournée do Kalisza albo do Poznania czy Wilna, Osiński i tak nie gra w lecie, zabiorę najlepszych ludzi, wówczas jesienią będziemy już mieć pieniądze.

Młodzi milczeli.

- Co was ugryzło? - spytał Mistrz, nic nie rozumiejąc. - Siedzicie smutni w domu, gapicie się w pustkę i nie umiecie się cieszyć. Co za ludzie! Przecież tyle można zrobić!

- Ignacy jest zmęczony - powiedziała Aniela. - Powierzyli mu szkolenie rekrutów, cały dzień męczy się z nimi nad krokiem defiladowym.

- Krok defiladowy! - powtórzył Bogusławski i zacisnął usta.

- Tak - odparła Aniela. - Za to dostaje żołd. A jeśli podczas parady nie będą maszerować zgodnie z regulaminem, Ignacy za to odpowie.

- Przekłęci Żydzi - wyrzucił z siebie Ignacy zduszonym głosem. - Nie chce im się ćwiczyć. Kładą się w błocie i ani drgną! Bo religia im zabrania!

- Rzuć to wojsko - zaproponował Bogusławski.

- I co mam robić? - rzucił z gniewem Ignacy. - Mam iść do urzędu za połowę tego? Albo zostać szpiclem za dwa razy tyle? Otworzyć kramik i zaraz zbankrutować? Być szewcem? Są szczęściarze, którzy żyją z pieniędzy swoich ojców, podróżują, jeżdżą konno, pojedynkują się, utrzymują kochanki, ale ojciec nigdy niczego mi nie dał.

- A z czego, do diabła, miałbym ci dać? - wybuchnął Bogusławski. - Wszystko, co do grosza, zabrał mi teatr. Co mogłem poradzić na to, że spadła cena zboża i splajtowałem?

- To nie twoja wina - powiedziała Aniela. - Ignacy nie to miał na myśli.

Zapadło milczenie, potem Bogusławski powlókł się do domu. Do wszystkich diabłów posyłał syna i cały świat. Nie pozwalają człowiekowi już nawet się cieszyć.

Marianna późno wróciła do domu i doniosła, że Osiński wyrzucił z teatru Piotrowskiego za jego knowania. Tylko Malinowski ujął się za nim i zaraz potem się upił. Osiński pojawił się osobiście w teatralnej knajpie, przeprowadził rozmowy z aktorami i wszystkim, którzy podpisali wniosek, wspaniałomyślnie wybaczył.

- Biedny Piotrowski - powiedziała Marianna.

- Nie żałuj go - odparł ponuro Bogusławski. - To pozbawiony talentu osioł.

Dwa dni później Mistrz przeniósł się do upatrzonemu, nieco podniszczonemu pałacyku.

W bufecie barwnie opisał pałacyk; oznajmił również, że już najwyższy czas, by zamieszkał gdzie indziej, teraz będzie miał dalej do teatru, a bliżej na cmentarz. Ale w głębi serca żałował, że ze swojego okna nie będzie już miał widoku na teatr.

Wierzycieli przeprosił za kolejną zwłokę, ale dom kosztował go o cztery tysiące więcej, niż miał. Ani Dmuszewski, ani Rutkowski nie łudzili się już, że kiedykolwiek jeszcze zobaczą pieniądze pożyczone Mistrzowi na pogrzeb Zosi.

Bogusławski był do tego stopnia bezczelny, że pożyczył cztery tysiące od Osińskiego. Będzie mu teraz winien siedemdziesiąt sześć tysięcy, oświadczył, to nie ma już większego znaczenia. Osiński nawet się nie zdziwił i przez Unickiego wypłacił żadaną sumę.

- Obniżę ci nieco gażę - powiedział na koniec miłym głosem. - Moi czołowi aktorzy buntują się, że dostajesz więcej od nich.

Bogusławski przełknął uwagę i spytał po chwili:

- W czym teraz zagram?

- Nie mam jeszcze sprecyzowanej koncepcji - odparł Osiński.

- Ale wiesz, mój królu, że mam grać?

- Doniesiono mi o tym - odparł Osiński spokojnie.

Ignacy i Aniela pomogli mu się przeprowadzić, po czym poszli po rzeczy Marianny. Bogusławski samotnie sterczał na piętrze wśród podniszczonych mebli, rękopisów i starych rekwizytów. Marianna obiecała, że wraz z rzeczami przyniesie także kolację. W domu było bardzo zimno, od lat nikt tu nie mieszkał. Piec miał niezły ciąg, Bogusławski napalił w nim dwoma starymi krzesłami, potem ubrany w futro schodził kilka razy na parter i wracał na górę; już mniej więcej wiedział, gdzie urządzi foyer, a gdzie szatnię; rozważał, które ściany zburzyć, by uzyskać odpowiednio wielką scenę. Niedawne plany przestały go już cieszyć; żaden z aktorów nie zaoferował pomocy przy przeprowadzce i nie było wśród nich takiej atmosfery, by miał ochotę zaprosić ich na oblewanie domu.

Sukces *Klingsbergów* zgasł nieco za wcześnie.

Mistrz wyszedł do ogrodu, obszedł go w zapadającym zmierzchu. Oto moja posiadłość, mówił cicho do siebie. Dotknął kamiennego muru okalającego ogród, dotykał uschniętych drzew, raz po raz odczytywał ozdobny napis „Parva sed apta” nad bramą pałacyku. Któryś z dawnych właścicieli kazał go tam wyryć jeszcze w ubiegłym wieku; no cóż, ani on mały, ani przytulny, pomyślał Bogusławski, ale nic to, jest mój.

Ludzie są jednak dziwni. Aktorzy z dnia na dzień odwrócili się od niego. Niewątpliwie Osiński musiał rozpowiedzieć, że Mistrz dostał pieniądze od Iksów, więc wszyscy jak jeden mąż odwrócili się plecami. Jakby te pieniądze miały jakiegokolwiek znaczenie.

Bogusławski zauważył, że oczy Ledóchowskiej były dziwnie przymglone, gdy spotkali się w podziemiach teatru, a ona spojrzała na niego z dezaprobatą; Mistrz jednym tchem zasypał ją wszystkimi swoimi planami, ona jednak tylko potakiwała z roztargnieniem.

Bogusławski wciąż siedział pośród swego śmietnika i starał się sobie wmówić, że chociaż naciągnął Iksów, to ten dom nie zobowiązuje go do niczego, i jeśli uzna, że zbyt często mu to wypominają, zwróci go im i ponownie wprowadzi się do mieszkania na rogu Miodowej i Długiej. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że zmieniły się jego stosunki z Osińskim. Do tej pory jego zięć nigdy nie zachowywał się spokojnie, gdy musiał z nim pertraktować. Jestem zdany na jego łaskę, pomyślał Bogusławski, nie powinienem zbyt podskakiwać, jeśli chcę dostać lepszą rolę.

Ale ten dom naprawdę do niczego go nie zobowiązuje.

Pałacyk sprawiał wrażenie zupełnie opuszczonego. Bogusławski doszedł do wniosku, że w tamtym tandetnym wynajmowanym mieszkaniu uspokajająco działała na niego bliskość właściciela i jego głupawej córki; widywał ich rzadko, ale wiedział, że mieszkają pod nim na parterze i będzie miał kto na przykład wezwać lekarza, gdy on zacznie rzeźzić w nocy.

Żeby już przyszła ta Marianna.

Bogusławski przyłapał się na tym, że klęczy na podłodze pośród rękopisów, starych rekwizytów, kostiumów i rozpadających się mebli, i że coś do siebie mruczy, jakby się modlił. Szybko się podniósł, jak gdyby przyłapał się na jakiejś profanacji. Wyjrzał przez okno. Otwierał się przed nim widok na bezkształtne, ośnieżone bryły, na przestrzeń niedającą nadziei i otoczone ogrodami drewniane domy; większość okien była ciemna, tylko gdzieś migotała świeczka lub płomyk lampy oliwnej. Trudno sobie wyobrazić, by w tych ubogich klitkach ktokolwiek myślał o teatrze. Ludzie są zajęci podstawowymi, prymitywnymi problemami, zastanawiają się, gdzie mogliby znaleźć mięso za niewygórowaną jeszcze cenę, od kogo dałoby się wycygnić nieco cukru, tytoniu czy wódki, jakby tu awansować szczebelek wyżej w urzędowej hierarchii, jak wygryźć z konkurencji sklepikarza z sąsiedztwa, jak poprawnie napisać donos; modlą się, by Pan Bóg wreszcie wezwał do siebie ich zgrzybiałych ojców, matki i teściowe, stanowiących teraz zbędny już tylko balast; są oczywiście też tacy, którzy wyczekują powrotu poległych mężów i dzieci; w tych mrocznych chatynkach nawet wielkie sny noszą piętno przyziemności, wszystkim

dążeniom przyświeca tylko jedno, by mimo wszystko jakoś przeżyć to życie, te pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat, które z jakiegoś powodu należy przetrwać. Za tymi ciemnymi oknami można się tylko klócić, krzyczeć i wybuchać płaczem, długimi godzinami się modlić, dzień w dzień, i pić, pić aż do omdlenia, póki nie nadejdzie sen.

Być może nigdy już nie uda się zrobić teatru.

Wpatrzony w mrok pomyślał nagle, że jedną ze scen *Klingsbergów* trzeba było zagrać inaczej. Stary Klingsberg zaleca się do pokojówki Ernestyny i licząc na erotyczną usługę, próbuje wręczyć jej w upominku szal. Bogusławski zagrał w tej scenie starego satyra, a przecież powinien był, choćby przez moment, ukazać piekło w duszy starego Klingsberga. Gdyby samotny, nieodwołalnie już starzejący się człowiek uchwycił się tego szala jak ostatniej deski ratunku, cudownego środka niosącego zbawienie i chroniącego nawet przed śmiercią, gdyby ten szal w jego rękach przeistoczył się w kobiety, za którymi ugania się na scenie, ależ tak, tak byłoby o wiele lepiej. A na dodatek gdyby Ernestyna dostrzegła to i choć przez chwilę okazała współczucie. Helena Rutkowska byłaby w stanie to zrobić, potrafiłaby nawet zagrać, jak po chwili ulatuje z niej litość i współczucie, jak w bezkresnym egoizmie młodości, udając, że niczego nie dostrzega, przyjmuje szal. To mogła być wielka chwila.

Jakoś to przeoczyłem, pomyślał Bogusławski, i zabolowało go teraz, że więcej nie zagra tej sztuki. Oczywiście, pomysł będzie można wykorzystać w kolejnym przedstawieniu. Ale czy będzie kolejne, a jeśli nawet, to kiedy?

Czym wypełnię te dni? - pomyślał nagle przerażony i nie był w stanie wyobrazić sobie siebie bez teatru. Gra już przecież czterdzieści lat, czterdzieści lat żyje teatrem. Nie będzie spacerującym ścieżkami warszawskich parków emerytowanym i głuchym jak pień oficerem artylerii, który razem z innymi trzymającymi się jeszcze życia kolegami, podobnie jak on znużonymi, stetryczalymi i zidiociałymi zdemobilizowanymi oficerami, będzie na nowo odgrywać dawno przebrzmiałe bitwy, kreśląc na ziemi laską lub kulą pozycje wojsk. Nie będzie dobrotliwie skretyniałym dziaduniem, przy którym nawet czteroletni wnuczek ma większą wiedzę o życiu. Nie będzie pisać pamiętników, bo i tak nie znajdzie żadnego wydawcy, a poza tym nie obchodzą go przemijające lata. Czterdzieści minionych lat nadaje się tylko do tego, by wykorzystując zgromadzoną wiedzę o ludziach i sztuce aktorskiej, grać teraz jeszcze pełniej i głębiej niż kiedyś. Nie interesuje go nawet danie do ręki aktorskiej młodzieży fachowego podręcznika, jak to napisał w swej drugiej odpowiedzi w "Korrespondencie". Dobrze byłoby wykładać w Szkole Dramatycznej, na oczekaniu improwizowano by jakieś sztuki, grano by dla siebie i swoich kolegów, miało by się poczucie, że się żyje. Ale w jego Szkole Dramatycznej uczy teraz Kudlicz, to odmóżdżone beztalencie,

i na dziesiątki lat zabija polską sztukę aktorską, uczy wzniosłych, zakłamanych uczuć, a te dzieciaki, wciąż jeszcze pełne szczerości, za dwadzieścia, trzydzieści lat będą uczyć innych tego samego. Sztuki też nie napisze. Nigdy nie pisał sztuk, jeśli okoliczności nie zmuszały go do tego. Wtedy pisał je w ciągu trzech, czterech dni, żadna nie miała znamion wielkości, ale dzięki nim udawało mu się wyczarować wielkie chwile dla publiki i dla siebie. A kiedy wielkie chwile mijały, nigdy nie zabolalo go w sercu; jeśli następnego dnia zapominano już o sukcesie, jedynie wzruszał ramionami, bo umiał patrzeć tylko przed siebie.

Ale co teraz ma przed sobą?

Kiedy Marianna przysłała ze swoimi tobołkami, nie odczuwał już radości ani chęci, by oprowadzić ją po domu i pokazać, gdzie ulokuje suflera.

Jednocześnie przestał też myśleć, że robienie teatru stało się niemożliwe.

- Okopię się tutaj - wtajemniczył Mariannę w swoją strategię. - Jeśli wojna błyskawiczna nie jest możliwa, trzeba się przygotować na wojnę pozycyjną.

Z głębi kufra wygrzebał swoje karteluszkę i zaczął je rozkładać jak pasjansa.

- Nie chcesz się rozpakować? - spytała Marianna.

- Później - mruknął Bogusławski.

Ranek zastał go ciągle jeszcze bawiącego się karteczkami. Marianna przypomniała mu, że warto by poustawiać meble i porozkładać rzeczy.

- Ech - zachnął się Mistrz. - Może tak zostać, w końcu to tylko stan przejściowy.

- Jak to przejściowy?

- Nie warto tu niczego urządzać, z tego pokoju też zrobimy teatr.

- Ale kiedy to będzie! Trzeba wezwać malarza, zduna, stolarza...

- Tak też może zostać - burknął Bogusławski.

Siedział na skraju łóżka i mrugał, przed nim leżały fiszki wypełnione nazwiskami oraz nazwami instytucji. Zastanawiał się nad czymś, zapełniał kolejne karteczki różnego rodzaju celami i zadaniami, potem wszystko sortował, układał zgodnie z jakąś hierarchią i znów tasował.

Marianna sama zaczęła rozstawiać co lżejsze sprzęty.

Przyniosła mu także nowy numer „Pamiętnika Warszawskiego”.

Tym razem pan W wyjaśniał jakiemuś fikcyjnemu przybyszowi z Włoch historię oraz obecną kondycję polskiej sztuki aktorskiej. Między innymi napisał:

„...Od ostatecznego podziału Polski daliśmy komedianom naszym pewną wagę, której nadużycie często ich samych śmiesznością okrywa. Nie wiem, czy się oni za znakomitych w stanie mężów mają, lecz wiem, że dosyć długo byli ludzie, co ich za takich święcie mieli.

Jakoż w czasie zupełnego Polski niebytu teatru jedynym zgromadzeniem narodowym stały się. Stąd gruba pomyłka tych, co na scenę przenieśli zaszczyt widzom należny; lecz minęły już te czasy. Kulisowych rycerzów zastąpili rzetelni, a dzięki wspaniałomyślnemu Aleksandrowi już nie tylko na teatrze ojczyznę i wolność mamy. Śmiesznymi są więc dzisiaj te teatralne uniesienia, które w czasie swoim przynajmniej wymawiał powód.

Niech kto chce twierdzi, że ten lub ów aktor utworzył teatr narodowy; każdy człowiek rozsądny śmieje się z tego, bo wie dobrze, że on czasu, okoliczności i usiłowań świątłych obywatelów za czasów Stanisława Augusta jest tworem. Ale może komuś utrzymanie go w krytycznych polskich czasach drugim jego zda się tworem. Lecz to utrzymanie nie jestże twoim, publiczności, dziełem? Tyś go opieką i hojnością swoją w najcięższych wspierała czasach, uważając jako jedyną prawie pozostałą, a wtedy narodową własność. Niech więc mówią, co chcą, o mniemanych twórcach jego czy zwiedzeni, czy zwodzący ludzie, bez ciebie, publiczności, i bez twojej ku niemu hojności byłby upadł od dawna teatr polski. Za jej pomocą przetrwał on wszystkie burze i do dziś dnia stoi; pozostaje mu tylko, by się światłą doskonalił krytyką. Ku temu nie masz środka, jak odpychać z jednej strony próżność, co aktorów naszych doskonałymi w własnych oczach uczynić może; z drugiej hamować te pochlebne głosy, co ich w tak błędne wprawiają mniemanie. Ta jest największą przysługą, którą dziś teatrowi naszemu uczynić można. Te mu świadczą światli Iksowie, za których niech się nie obawia «Tygodnik Wileński», by go kiedy wzięto; tak grubym pomyłkom nie podpada publiczność.

Kończąc ten artykuł, zamknę w krótkich słowach co do przeszłych czasów rachunek dyrektorów i aktorów naszych z publicznością. Służyli oni jej gorliwie, tego im nie zaprzeczam; lecz ona ich hojnie płaciła, tego oni zaprzeczyć nie mogą; a jeśli ją niekiedy bawili, sami się lepiej za jej bawili pieniądze. Zgoła ciężkie owe czasy dzięki publiczności dla nich złotymi były czasami”.

Bogusławski zachichotał. To dobre, zręcznie wymyślone, tego nie mógł wykombinować Kostka Potocki, to wspólna robota Iksów. Szkoda, że poza Żółkowskim żaden aktor tyle nie zarabiał, ta podła aluzja o horrendalnych kwotach sprawi, że opinia publiczna zwróci się przeciw teatrowi. Odpowiedzieć już się nie da. Ostatnie słowo należy do Iksów.

Z pewnością istnieją naiwni czytelnicy, którym się wydaje, że ich odpowiedź zostanie wydrukowana i napiszą jeszcze kilka słów w obronie *Klingsbergów*.

Rozzłościł się. Czemu są tacy naiwni? Zamiast tego powinni raczej wydać podziemne ulotki. Zamiast tego powinni... sam już nie wiedział, co powinni zamiast tego zrobić.

Brat Józef Krasiński, nieco młodszy od generała Wincentego Krasińskiego, chudy i kościsty, powitał w swym domu brata Bogusławskiego, wyrażając nadzieję, że Mistrz weźmie udział w murowaniu, czyli w tworzeniu wspólnej wolnomularskiej świątyni.

- Cały czas jest to moim zamiarem - powiedział Bogusławski. - Niestety, do tej pory każdą wolną chwilę zabierał mi teatr.

Potem w barwnych słowach odmalował, czym w przeszłości było dla niego wolnomularstwo i jak bardzo brak mu tej wspólnej, wzniosłej pracy, tego zbiorowego wysiłku umysłowego, z którego rozkoszami, jeśli można to tak nazwać, nie może się równać nawet praca w teatrze.

- Dożyliśmy pięknych czasów - zgodził się brat Józef, natchniony tą wypowiedzią. - Wykonaliśmy piękną pracę - powtórzył - chociaż, co możemy teraz łatwo dostrzec, nasza ówczesna działalność cierpiała na różne choroby okresu dojrzewania. Naszą uwagę nazbyt zaprzętały marności tego świata i nie dotarliśmy do autentycznej głębi.

Twarz Bogusławskiego przybrała wyraz mądrości i zrozumienia.

- Myślę o tym - ciągnął brat Józef - że tajne związki powinny głęboko i trwale, w sposób naprawdę nierozzerwalny połączyć jednostki ludzkiej społeczności. Istotą naszej obecnej działalności jest dążenie, by usunąć wszelkie przypadkowe i powierzchowne różnice między ludźmi, a więc podejmujemy się rzeczy najdonioślejszej: ukazania boskiej istoty człowieka.

Bogusławski wyraził gotowość i chęć uczestniczenia w tym szlachetnym przedsięwzięciu; z bezgranicznym zainteresowaniem, surowo zacisnąwszy usta, z maniacką niezłomnością w dążeniu do celu siedział zaszuchnięty w słowa brata Józefa, naświetlającego kolejne aspekty tego najnowszego i niewątpliwie najbardziej dojrzałego etapu działalności wolnomularskiej.

Okazało się, iż wolnomularstwo ponownie zaczęło się zajmować przekazywaniem myśli i uczuć, które brat Józef, powołując się na nauki zmarłego rok temu znanego wiedeńskiego lekarza Mesmera, nazywał magnetyzmem.

Więc i do nas to dotarło, pomyślał Bogusławski, który już w latach osiemdziesiątych zeszłego stulecia słyszał o paryskich sukcesach tego znachora; sporo hałasu narobiły wówczas jego seanse hipnotyczne, a tuż przed wybuchem rewolucji ponoć leczył masowo cierpiących na neurozy arystokratów, a szczególnie panie. Wówczas Bogusławski sceptycznie wysłuchiwał entuzjastycznych doniesień o tym, jak w hipnotycznym śnie chorzy odkrywają przyczyny swoich chorób psychicznych; powiadał wtedy, że to nic nowego pod słońcem, i powoływał się na fakt, że już starożytni Grecy leczyli w ten sposób szaleństwo, tylko nie

paplali o jakimś tam zwierzęcym magnetyzmie. Mistrzowi bardziej odpowiadała ta grecka metoda sprzed dwóch tysięcy lat: wtedy chorzy głodowali przez kilka dni w grotach z wyziewami, a po wyjściu na powierzchnię kapłani wypytywali ich, jakie sny mieli pod ziemią, i na tej podstawie wróżyli przyczyny choroby. To była czysta metoda, bez zabawy w hokus-pokus.

Ale świat Hellady też w końcu się rozleciał, powtarzał sobie wówczas Bogusławski, by zejść z chmur na ziemię.

- W trakcie murowania - mówił brat Józef z entuzjazmem - uwolnimy naszą osobowość od zbędnych, paraliżujących nas więzów, odkryje się przed nami istota naszego człowieczeństwa w swym pierwotnym stanie, pulsująca i pozbawiona balastu idei, oto jest prawdziwe wyzwolenie człowieka!

Bogusławski usłyszał, że skorupy, w których pochowali się ludzie i które oddzielają ich od siebie, skorupy wychowania, wykształcenia, własnych interesów i poglądów nie są nie do skruszenia. W oczach brata Józefa zapłonął ogień. Jest nadzieja, że wszyscy ludzie będą braćmi, każdy ożywiony właśnie tą nagą, pulsującą jak krew treścią może się zjednoczyć ze wszystkimi innymi braćmi, z milionami, o czym tak pięknie marzyli niegdyś przodkowie, tylko że ich praktyczne wskazania były przedwczesne, a nawet karygodnie uproszczone.

- To nie jest religia - oznajmił brat Józef surowo. - Nie mamy nic wspólnego z twierdzeniami, dogmatami i ograniczonymi systemami filozoficznymi, choć wiele nas łączy z purytańskimi, ogólnoludzkimi dążeniami pierwszych chrześcijan oraz ich stylem życia, w dużym stopniu realizującym zasady równości. My nie jesteśmy ruchem politycznym ani żadną władzą! Nie jesteśmy podporządkowani żadnemu państwu ani żadnej wspólnocie językowej! Świat jest jeden i jest niepodzielny, nie do przyjęcia jest także podział ludzi na sługi i panów! Ale nauczyliśmy się od naszych przodków, głównie na błędach naszych francuskich braci, którzy zdeprawowali nasz święty ruch, czyniąc go służą szumnych ideologii. My nie zajmujemy się wymyślaniem ani głoszeniem przebrzmiałych i skompromitowanych koncepcji ekonomicznych czy politycznych, mających zbawić świat. Nie zajmujemy się nawet sztuką. Naszym celem jest cel najwyższy - nawet na siedząco brat Józef zdawał się górować nad gapiącym się na niego Bogusławskim - naszym celem jest stworzenie na ziemi czyśćca!

Cień brata Józefa zakołysał się wysoko na ścianie.

- Nasz cel to ponownie stworzyć z okruchów Boga, z nas samych, jedność, coś jednolitego, całość!

Teraz również w pełnych nabożeństwa oczach Bogusławskiego zapłonął ogień.

Oto mógł dostrzec, jak słowa przepelnione fałszem zwodzą na manowce intelekt zrodzony do obiektywizmu, dlatego bracia podczas murowania wystrzegają się ukrywania za osłoną zdradliwych słów.

Kiedy więc Bogusławski wyraził w związku z tym swą głęboką radość, albowiem on też, podczas rozmyślań w samotności, doszedł do podobnych wniosków dotyczących przesłania ruchu wolnomularskiego, brat Józef, nie przerywając trajkotania, zaczął besztuć wszystkich łotrów i nikczemników - cóż, nadal sporo jest takich, choć oczywiście ich liczba z dnia na dzień, ba, z godziny na godzinę spada - którzy nie wstydzą się zakładać partykularnych łóż i głosić partykularnych celów, bezczelnie nazywając siebie jedynymi prawowitymi przedstawicielami wolnomularstwa. Dostała za swoje Świątynia Izis, do której należał Bogusławski, loża wojskowych, Bracia Polacy Zjednoczeni, dostało się także Świątyni Mądrości, najbardziej cenionej polskiej loży, posiadającej także w innych krajach największy autorytet, w zasadzie dostało się wszystkim trzydziestu lożom z ich czterdziestoma tysiącami braci, oczywiście z wyjątkiem Loży Eden, kolebki wolnomularskiej działalności brata Józefa. Brat Józef niezwykle starannie dobierał obelgi i obraźliwe sformułowania, omawiając Niemcewicza i przygotowywaną przez niego reformę wolnomularstwa.

Potem pełnym uznania tonem wspomniął o pomocy udzielanej przez wolnomularzy rosyjskich; z radością powiadomił Bogusławskiego, że owszem, także sam Wielki Książę Konstanty potwierdza swą obecnością znaczenie murowania; niekiedy obok niego pojawia się Kostka Potocki, co ma swoją wymowę, gdyż minister oświecenia rzadko opuszcza swój majątek w Wilanowie. Loża Eden ma znakomite kontakty z hrabią Iwanem Worozowem, księciem Württembergiem, Aleksandrem Naryszkinem, generałem Pestelem i innymi znakomitościami, które na swoim polu z równie wielkim zapalem troszczą się o samorealizację ludzi.

- Te wielkie osobistości - oznajmił na koniec brat Józef, a jego mizerną i kościstą twarz rozjaśnił uśmiech radości - zachowują się wobec nas z bezprzykładną szczerością, traktują jak równorzędnych im braci i z dziecięcą niewinnością poświęcają się wysiłkom i dążeniu do odkrycia tego, co wspólne. Zobacz pan, jakie to wzniosłe uczucie ujrzyć, jak Wielki Książę i generał Roźniecki ukazują się przed nami w swej nagiej i bezbronnej kondycji człowieczej. Także i w panu umocni się wiara, iż ten świat to miejsce egzystencji jednego tylko rodzaju człowieka, a ten jedyny prawdziwy, pozbawiony maski i cudowny człowiek jest wspólnym, niedającym się przywłaszczyć ogromnym skarbem nas wszystkich.

Na pożegnanie brat Józef zaprosił Bogusławskiego do uczestnictwa w najbliższym

murowaniu.

Spotkanie odbywało się w kamiennym pałacyku na Nowym Świecie. Na parterze lokaj odebrał od Bogusławskiego futro. Mistrz dowlókl się na piętro, gdzie skąpe światło nielicznych lamp olejnych nadawało cichym, dystyngowanym rozmowom pań i panów atmosferę intymności. Panował nastrój jakby nie z tego świata. Goście poruszali się z wystudiowaną swobodą. Wyraźnie żyte towarzystwo, skonstatował Bogusławski.

Zobaczył braci Platerów, obaj odwzajemnili ukłon.

Był też bas Szczurowski, który przyszedł bez żony. Zanim przeszli do pokoju pełniącego funkcję łoży, w trzydziestoosobowym z grubsza tłumie Mistrz dostrzegł także Elsnera.

Łożę stanowił zwykły pokój, na żadnej ścianie nie było zwyczajowego napisu „Labor omnia vincit”. Brakowało również symboli Wschodu, był tylko podłużny stół na środku i rozstawione przy stole krzesła, na których zasiadło całe towarzystwo, choć niegdyś tylko mistrz i jego dwaj pomocnicy mogli zasiadać przy stole.

- Kielnia i cyrkiel są w szufladzie stołu - szepnął mu brat Józef.

Na stole stał ozdobny srebrny świecznik, pięć grubych świec służyło za całe oświetlenie.

- Wszyscy jesteśmy dziećmi Wschodu - powiedział ściszym głosem brat Józef.

Bogusławski skinieniem głowy przyjął tę rewelację do wiadomości.

Niegdyś bracia ustawiali się w dwóch rzędach, po prawej był Jachyn, po lewej Boaz, a dwaj dozorujący strzegli Prawa i Rytułu. Teraz nie było po tym śladu. Bogusławski nigdzie nie dostrzegł księgi ani protokolanta, bez których dawniej nie można było rozpocząć murowania.

Panowała cisza, po czym wstał Ludwik Plater i nałożył fartuch. Poza nim nikt tego nie zrobił.

- U nas zamiast obrządku francuskiego i szkockiego... - szepnął brat Józef, ale zaraz zamilkł, bo zaczęło się murowanie.

Plater nie otworzył oficjalnie obrzędu, tylko zaczął mamrotać jakieś pozbawione sensu słowa. Przez pewien czas słyhać było tylko jego mamrotanie, potem siedzący wokół stołu zaczęli cicho pomrukiwać, jakby się modlili. Bogusławski nie zamierzał ostentacyjnie milczeć, więc ledwie słyszalnym, monotonnym głosem powtarzał wielki monolog Hamleta. Mamrotanie Platera powoli stawało się melodyjne, kobiety wcześniej niż mężczyźni zaczęły nucić półgłosem. Wszyscy coś sobie nucili, lecz nie było w tym jednolitej melodii, tylko narastająca kakofonia.

Nagle Plater zaczął podrygiwać. Siedzący obok Bogusławskiego brat Józef poszedł za jego przykładem. Panie zalotnie kołysały głowami na boki lub do tyłu.

Plater wstał i powoli, mruczając melodyjnie i ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, rytmicznym krokiem zaczął okrążyć stół. Inni nie ruszali się z miejsc. Plater stanął za jedną z pań, ta wydała krótki okrzyk i znów zaczęła nucić i kołysać się na boki.

Wszystko odbywało się powoli, jakby ospale, Bogusławski nudził się, ukradkiem zerkał na innych, którzy - jak się zdawało - w ogóle nie zwracali uwagi na siedzących obok.

Plater prychnął, siedząca przed nim dama zeszywniała, a po chwili cicho pisnęła. Inni dalej nucili i kołysali się na boki. Nagle krzyknęła następna kobieta. Stłumiony śpiew stał się bardziej gardłowy i urywany. Bogusławski pilnował się cały czas, by nie wybuchnąć śmiechem, powoli jednak on także dał się wciągnąć w nastrój ogólnego niepokoju i udawanych emocji.

Stłumione, nieartykułowane nucenie coraz częściej przerywał charkoti sapanie. Bogusławski zezował na boki, brat Józef z uduchowionymi i szklistymi oczami ciężko dyszał obok niego, na skroniach perliły mu się krople potu, nieruchome spojrzenie zawisło w pustce i Bogusławski uświadomił sobie, że przez cały czas bratu Józefowi nawet nie drgnęła powieka. Plater nadal stał w bezruchu, pochylony za krzesłem wybranej damy, i dyszał jej w kark, ale jej nie dotykał.

Ktoś zaszlochał.

Bogusławski poczuł, że jego umysł ogarnia odrętwienie.

Mało kto już się kołysał, większość rzeziła lub płakała, kobietami co chwila wstrząsał dreszcz. Plater krzyknął, z kilku stron odpowiedziały mu urywane krzyki.

Nagle Plater podskoczył i głośno tupiąc, obiegnął pokój. Kobieta, za którą sterczał tyle czasu, także się poderwała i ruszyła w jego ślady. Przez chwilę kłusowała po pokoju, po czym przystanęła i kiwając się, szukała czegoś po omacku w powietrzu. Świszczący oddech przerywały co chwilę sekwencje słów, Bogusławski miał wrażenie, że kobieta coś znalazła, że z kimś rozmawia.

Siedzący wokół stołu nadal nie zwracali uwagi na Platera ani na kobietę. Kilka osób oparło głowy o blat. Bogusławski zrobił to samo, lecz stół był dla niego zbyt twardy. Wyprostował się i w zalegającym półmroku próbował się zorientować, kto czym się zajmuje. Szczególnie interesowali go Elsner i Szczurowski, lecz obu zasłaniali mu charczący i kiwający się bracia.

Kobieta wydawała teraz jakieś nieludzkie odgłosy i skowyty, przed nią stał Plater i wpatrywał się w nią nieruchomym wzrokiem. Zawodzenie kobiety stawało się coraz bardziej

nieznośne, potem zaczęła drzeć i nagle rzuciła się na ziemię. Bogusławski omal nie zerwał się, by jej pomóc, ale nikt się nawet nie ruszył, więc siedział dalej. Chwilę później Plater, sztywny jak deska, runął na ziemię.

Część siedzących pań jak na komendę wpełzła pod stół. Brat Józef złapał rękę Bogusławskiego i pocałował ją. Bogusławski wyrwał mu dłoń i zerwał się z miejsca, potem się przeraził, że chyba palnął jakąś gafę, ale rychło spostrzegł, że wszyscy biegną teraz chaotycznie po pokoju, każdy robi, co mu się podoba, i to go uspokoiło.

Obląkane skowyty, bieranina i rżenie trwały jeszcze dłuższy czas, kilka dam zrzuciło z siebie wierzchnią odzież, kilku panów także zaczęło się rozbierać, płomienie świec targane podmuchami bezładnej bieraniny migotały jak oszalałe. Szaleństwo skończyło się, gdy Plater, cały spocony i zzieleniały na twarzy, ponownie usiadł i trzykrotnie uniósł w górę świecznik. Uczestnicy spotkania stopniowo uspokajali się i osuwali na podłogę obok stołu.

Cały obrządek trwał mniej więcej pół godziny. Wreszcie wszyscy usiedli, spoceni i wymęczeni, niektórzy w niekompletnych lub potarganych strojach, dysząc ciężko w ciszy, w której słychać było tylko skwierczenie świec.

Dwaj lokaje wnieśli napoje dla orzeźwienia.

Kiedy uczestnicy nieco już ochłonęli, Ludwik Plater, pełniący pieczę nad obrzędem, pocałował każdego w czoło. Po chwili także siedzący zaczęli składać sobie wzajemnie pocałunki na czołach.

W milczeniu podnieśli się z miejsc i przeszli do przedpokoju, gdzie płonęło więcej świec niż w świątyni. Panie i panowie poprawiali przed lustrem fryzury, strzepywali kurz z ubrań, półnagie panie znikwały w niewielkiej garderobie, skąd po chwili wyłaniały się w innych, idealnie czystych i odprasowanych strojach.

W przedpokoju mówiono już normalnymi głosami, ale były to rozmowy o niczym. Niektórzy - zarówno panie, jak i panowie - całowali się w sposób świadczący o dużej zażyłości. W pewnej chwili Bogusławski zorientował się, że otrzymał pocałunek od Elsnera. Nim się jednak ocknął, Elsner zniknął wśród tłoczących się w ciasnym pomieszczeniu.

Na dole lokaje pomagali nakładać płaszcze.

- Poczuleś to, prawda, mój bracie? - spytał przed domem brat Józef.

Bogusławski przytaknął z przejęciem.

- Ogromniem kontent - powiedział brat Józef, a Bogusławski wyczuł, iż Józef Krasieński naprawdę się z tego cieszy. - Gdyż nie każdy jest podatny na działanie magnetyzmu. Są tacy, w których jest to tak głęboko ukryte, że nawet największe nasze starania nie potrafią tego wydobyć. Przychodzą do nas pełni przesądów racjonalności, mający

jakieś zastrzeżenia lub zwyczajnie nas nienawidzący, i takich, niestety, nie da się już uratować. Chociaż żywię głębokie przekonanie, iż to ziarno i w nich musi istnieć. Ale cóż, ci nieszczęśnicy definitywnie już zniszczyli samych siebie.

Bogusławski z ubolewaniem pokiwał głową.

- Można jeszcze kiedyś przyjść? - spytał po chwili milczenia.

- Ależ oczywiście! - zawołał brat Józef. - W każdą środę i sobotę jest praca.

No tak, uświadomił sobie Bogusławski, tę obłąkaną bieganinę brat Józef nazywa pracą.

Z bramy wyszedł radca stanu do spraw leśnictwa, znany geolog Ludwik Plater w towarzystwie swego brata i trzech elegancko ubranych dam. Chyba zamierzali się przespacerować, gdyż Ludwik jednym skinieniem odesłał dwa wspaniałe powozy czekające na ulicy. Brat Józef pozdrowił ich, grupka przystanęła, panie miały nieco zniecierpliwione miny. Plater z pełną dostojeństwa oziębłością odwzajemnił ukłon, nic nie wskazywało na to, że jeszcze kilka minut temu tarzał się po podłodze.

Po chwili Ludwik odszedł z trzema damami, został tylko jego brat. Brat Józef odprowadził ich do rogu, po czym zaczął się wymawiać, że musi wracać do domu, w nocy czeka go dużo pracy.

- Chodźmy do kawiarni - zaproponował Stanisław Plater.

Bogusławski przystanął zaskoczony. Stanisław wydawał się zmieszany i niezdecydowany.

- Chodźmy do Chovota - zaproponował.

- Dobrze - odparł Bogusławski.

Stanisław zawahał się.

- Może gdzie indziej - powiedział. - Tam zbyt elegancko...

Bogusławski spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Dziurka Marysi? - podsunął.

- Za dużo znajomych - mruknął Stanisław.

- To Honoratka.

Ruszyli na Miodową. Stanisław milczał, co jakiś czas zerkał do tyłu, jakby się bał, że ktoś za nimi idzie. Bogusławski o nic nie pytał. Dobrze byłoby podzielić się z kimś, choćby nawet ze Stanisławem, swoimi kłopotami. Opowiedzieć, jaką wspaniałą rzeczą było niegdyś wolnomularstwo. W dziewięćdziesiątym drugim ku wielkiemu rozgoryczeniu Igelströma rosyjscy oficerowie należący do wolnomularstwa byli najwdzięczniejszymi widzami polskich seansów patriotycznych. Potem generał Köhler wybronił Mistrza, gdy ten wydał w ulotce

jeden z wierszy z siejącej wówczas zgorzenie sztuki *Otto z Wittelsbach*. Członkowie *Montagsgesellschaftu* to byli wspaniali chłopcy, na przykład Zacharias Werner, poeta, który w loży zajmował się teatrem i robił wszystko, by Bogusławski mógł grać to, co chce; miał wyrzuty sumienia, że Prusacy okupują Warszawę, i potrafił głośno o tym mówić. Natomiast Voss dowodził, że połowa mieszkańców Prus to Polacy, i próbował ostudzić rządzącego twardą ręką Hoyma, a kiedy to nie wyszło, storpedował jego plany. Wolnomularzem był ksiądz Bogucicki, katecheta Bogusławskiego w Krakowie; był przechrztą i człowiekiem wielkiej odwagi - pewnego razu w obecności króla i prymasa wystąpił przeciw Kościołowi i wygłaszał poglądy Jana Husa. Cud, że go nie wypędzono, ale w tamtych czasach także przeciwnicy szanowali odważnych. Później Bogusławski przedstawił Bogucickiego pod postacią Bardosa w *Cudzie mniemanym*.

Dawniej w wolnomularstwie pojawiała się mnóstwo takich Bogucickich, bezstronnych i niezależnych umysłów. No i ta doprawdy nieznośna naiwność: bez zbędnych pytań pomagać ludziom ze swego grona! Gdy się patrzy wstecz, to aż niepojęte, że także w Warszawie wiedziano o wszystkich ważniejszych wydarzeniach politycznych lub duchowych, niezależnie od tego, czy miały one miejsce w Petersburgu, Weimarze czy Siedmiogrodzie. Kiedy w Wiedniu aresztowano osoby kierujące wolnomularstwem, panowała akurat zaraza i nie wolno było podróżować. A jednak dwa dni później cała Europa знаła listę aresztowanych i wszczęto, zakończone potem sukcesem, kroki mające na celu ich uwolnienie.

To także się skończyło, pomyślał Bogusławski.

U Honoratki Plater zamówił herbatę i grog. Bogusławski miał nadzieję, że Stanisław zapłaci.

- Ja też jestem Iksem - rzucił nieoczekiwanie Plater. - I być może jedynym, który traktuje to poważnie.

Bogusławski ożywił się, ale obojętnym wzrokiem przyglądał się kieliszkowi. Ten wieczór przynosi jednak coś istotnego.

Kiedy Stanisław umilkł, Mistrz o nic nie zapytał. Widział, że jego rozmówca jest w nastroju do zwierzeń.

- Początkowo - powiedział Plater, a w jego oczach pojawiło się zdziwienie - uważałem to za zabawę. Pana wtedy nie było w Warszawie... co środę zbieraliśmy się u hrabiego Mostowskiego, pod opiekuńczymi skrzydłami pani Michałowej, i przeskakując z tematu na temat, miło rozprawialiśmy o sztuce, polityce i innych sprawach. Mostowski zaproponował, na pewno, dobrze pamiętam, on właśnie zaproponował, by te nasze rozmowy utrwalić na papierze, i wtedy Niemcewiczowi przyszedł do głowy pomysł, byśmy wspólnie pisali

recenzje, a że ich autorstwo trudno ustalić, bo wszyscy zabieramy głos, podpisujemy się zgodnie jako Iks. Pomysł był zabawny i wywołał aplauz. W końcu każdy zna się na teatrze.

Bogusławski nie odezwał się ani słowem.

- Mieliśmy znakomitą zabawę - ciągnął Plater. - Opowiadano pieprzne historyjki, ploteczki, a zarazem toczyły się dyskusje literackie na wysokim poziomie i podawano znakomite napoje... Okazało się, że Mostowski jest prawdziwym, głębokim erudyta, generał Morawski bardzo mądry, a Niemcewicz mnie rozczarował, jest płytszy, niż myślałem... Zresztą co tam, ja w każdym razie byłem zachwycony, że istnieje taki salon, że nie zaniknął jeszcze ten gatunek wzniosłych i uczonych rozmów. I tak było aż do tego skandalu. Być może błędem było powierzenie recenzji *Klingsbergów* Osińskiemu.

- Komu?

- Osińskiemu. To on napisał tę miażdżącą krytykę na pana temat.

Bogusławski z zastygłą twarzą wpatrywał się w kieliszek.

- I chociaż reprezentowałem pogląd, że ta krytyka jest zbyt ostra, być może nawet zbyt stronicza w stosunku do pana, inni mieli z tego wspaniałą zabawę i idąc za radą Mostowskiego, niczego nie skreśliliśmy, chociaż wcześniej każdy tekst musiał być poprawiony i wygładzony... Głównie Niemcewicz uważał to za wielką niesprawiedliwość, ale i jego zakrzyczeli.

- A panu podobało się przedstawienie, mój królu?

- Nie widziałem go. A zatem, nic nie zostało wykreślone i recenzja się ukazała. Ale to jeszcze nic. Potem Pękalski popełnił głupstwo i sprowokował dyskusję na jej temat. Lipińskiego i Osińskiego wielce to wzburzyło, Morawski wziął stronę Pękalskiego, Sierakowski domagał się od Mostowskiego, by Pękalskiego wyrzucił, hrabia jednak tylko zacierał ręce i w kółko powtarzał, pamiętam dokładnie: „Wreszcie jakaś prawdziwa pseudodyskusja, może będzie dalszy ciąg”. Powiem szczerze, nie spodziewałem się po Mostowskim takiego cynizmu i nie za takiego go uważałem. Może zbyt pochopnie rzucił to zdanie, może uważał to za dowcip, nic więcej... Wtedy nie było jeszcze dalszego ciągu dyskusji, ale kiedy Lesznowski pokazał kilka listów, w których czytelnicy, bądź kto wie jaki element, w bezpardonowy sposób napadli na pana Iksa, to nas wzburzyło. Mnie także, co tu ukrywać, bo przecież... Ale o tym później, jeśli pan pozwoli. W tym nastroju świętego oburzenia zrodziły się następne artykuły, a my powoli zaczęliśmy sobie uświadamiać, że te artykuły piszemy nie tylko my. Jakimś sposobem prasa wymknęła się nam z rąk, sam nie wiem, jak do tego doszło. Wywołało to popłoch i tylko Mostowski zachował obojętność... teraz mogę przyznać, że jego zachowanie jest dla mnie zagadką. Ale nie o tym chciałem

mówić. Chyba wybaczy mi pan, prawda, że z takim trudem to z siebie wydobywam...

Bogusławski nadal czekał.

- Wie pan - powiedział Stanisław i wziął głęboki oddech - kilka dni temu naprawdę się przeraziłem. Na odstrzał poszedł tłumaczony przeze mnie Kotzebue, w którym wygwizdano Żółkowskiego... wtedy nikt jeszcze nie wiedział, że sztuka zakończy się klapą, sam nie mam pojęcia, co się stało w teatrze. Koźmian napisał recenzję o sztuce i jej polskim przekładzie, a o przedstawieniu miał później napisać Morawski... potem wyznaczono do tego Lipińskiego, nie wiem nawet dlaczego... Krótko mówiąc, Koźmian z jakichś względów potwornie skrytykował mój przekład. Niech pan sobie wyobrazi, siedzę razem z nimi, przetłumaczyłem te sztukę uczciwie, może nie nazbyt błyskotliwie, ale starając się zrobić to jak najlepiej, a Koźmian obrzuca mnie epitetami wprawiającymi człowieka w osłupienie. Zacząłem protestować, inni stanęli po stronie Koźmiana... i wtedy...

Bogusławski nadal czekał. Stanisław wypił duszkiem zawartość kieliszka.

- Wtedy przyszło olśnienie i sam zacząłem krytykować swoje tłumaczenie. Rozumie pan, Mistrzu? Gdy patrzę na to teraz, z perspektywy czasu, trudno mi już sobie przypomnieć, nad czym wcześniej dyskutowaliśmy, omawiając jakiś słaby lub w miarę poprawny przekład... Ale wtedy ogarnęło mnie uniesienie, a bezgraniczną radością nappełniła świadomość, że razem z nimi mogę coś zaatakować, przypadkowo własną pracę, i w tej wzniosłej chwili nagle dotarło do mnie, że wszyscy tam obecni to moi bracia, moja krew, oni są mną, i muszę wyznać, że takiego szczęścia jeszcze nigdy nie odczuwałem. Widziałem też, jak Koźmian ze wzruszeniem ciepło na mnie spogląda, a nawet wiecznie cyniczny Niemcewicz jest poruszony... dlatego że w ocenie swojego tłumaczenia byłem nawet bardziej bezlitosny niż oni...

Stanisław na krótką chwilę znów zatopił się w sobie.

- Od tamtej pory mój umysł okryła jakaś mgła. Wtedy zrozumiałem, że jestem Iksem... a mówiąc ściśle, nie tyle zrozumiałem, co przeistoczyłem się w Iksa... w rzeczywistości wszyscy jesteśmy Iksami, takie nic, jedna litera uczyniła nas pobratymcami... a gdyby ta litera gdzieś się zapodziała, gdyby usunięto ją z alfabetu, stałbym się bezradny i bezbronny wobec tego świata. Rozumie pan, Mistrzu? Nie mam pojęcia, czego chce pan Iks, który pisze nasze recenzje, nie domyślam się jego celów, jego punktów widzenia, on nie dzieli się ze mną swoimi myślami, ale uwielbiam go i chylę przed nim czoło. A jeśli kiedyś będę musiał ponownie napisać sygnowaną przez niego recenzję, zastanawiałem się nad tym już od wielu dni i ogarnęła mnie radosna trema... to postaram się mu dorównać, choć to nie ja będę układać tekst, ktoś inny będzie to robić za mnie, pan Iks, który nie jest

żadnym z nas, a jednak oddycha naszymi płucami, a w jego żyłach krąży nasza krew.

Plater wychylił jeszcze jeden kieliszek.

- Otwierają się przede mną ogromne perspektywy anonimowości i również moje studia o archeologii nabierają teraz innych barw. Jakże budujące i wzniosłe musiało być to uczucie, gdy jeden z członków jakiejś dzikiej wspólnoty wystrugał postać zwierzęcia, które i inni mogli uznać za swojego bożka! W podobny sposób patrzę teraz również na urzędników. Długi czas ich nienawidziłem. Być może nie rozumie pan mojej niechęci... być może moje odczucia nie były całkiem normalne... brzydziłem się i czułem wstręt do urzędników! Teraz jednak w ich działalności znajduję coś pięknego, coś wspaniałego! Jakżeż to wzniosłe i budujące, kiedy ktoś dodaje niezrozumiałe kolumny liczb i wypełnia niezrozumiałe rubryki, czując jednocześnie, że jego anonimowa i źle opłacana praca w jakiś sposób, niezależny od niego, w niedającej się ogarnąć odległej perspektywie w pewnej chwili nabierze sensu. My do tej pory... w każdym razie ja do tej pory sądziłem, że szczęśliwy jest ten, kogo znają z nazwiska, kogo pokazują sobie na ulicy, za kim ludzie się oglądają i szepczą między sobą... i dlatego właśnie wszystkie nasze sprzysiężenia obróciły się wniwecz, że w spiskowcach żyła nieprzeparta, dziecinna żądza wyeksponowania siebie. Ale teraz... teraz jakby coś się radykalnie zmieniło.

Stanisławowi z emocji płonęły uszy.

- Mostowski - ciągnął - opowiadał kiedyś o wolnomularzu, który chciał zakładać coraz to nowe loże, by mieć na co składać donosy. Wymyślał najróżniejsze konstytucje i zasady obrzędowe, gromadził zwolenników i denuncjował zarówno ich, jak i własną działalność. W donosach przedstawiał siebie w jak najgorszym świetle, Mostowski cytował całe fragmenty, ten typek był przekonany, że jego działalność w zasadniczy sposób wstrząśnie naszym państwem. Dziwne jest to, iż moim zdaniem pisał o sobie prawdę. Bo cóż pobudzało tego szaleńca do działania, pytam? Chorobliwe pragnienie wybicia się? Tak uważał Mostowski. Ale ja już zrozumiałem, że powodowała nim radość anonimowej działalności w tajnych organizacjach. Jestem przeświadczony, że ten człowiek działa w każdej założonej przez siebie loży z niekłamanym entuzjazmem i szczerze, że we wszystkich jego posunięciach dominuje poświęcenie i skromność, potem z tego powodu odczuwa wyrzuty sumienia, gdyż wpojono nam, że źródłem radości może być tylko grzech, za to musi potem odpokutować, a on robi to w ten sposób, że z całej działalności spowiada się ministrowi spraw wewnętrznych. Spowiada się z tego, rozumie pan? Tak samo jak ja spowiadam się teraz panu... Bo jestem szczęśliwy, że mogę być Iksem, ale to szczęście może wytrysnąć jedynie ze źródła pełnego grzechu. Jakbym zrezygnował z czegoś, nieważne nawet z czego, przez sam

fakt, że jako Iks...

- Proszę powiedzieć - odezwał się Bogusławski, wysłuchawszy wszystkiego w milczeniu - nie wiesz, mój królu, kto podpisał się jako J...cz i stanął w mojej obronie?

- Kto? - ochłonął wreszcie Stanisław. - Ach, tak. Niemcewicz.

- Jak to Niemcewicz? Przecież on też jest Iksem!

- Zrobił to dla żartu... albo Mostowski go o to prosił, już nie pamiętam. Niech mi pan powie, nie chciałby pan być Iksem? Prawda, że bardzo by pan chciał?

Śnieg jeszcze nie topniał, chrząścił pod wysokimi butami Bogusławskiego wracającego nocą do domu. Rozgrzał go grog, a Stanisław na szczęście za wszystko zapłacił. Mistrz nie chciał zaprzętać sobie głowy przykrymi sprawami, przygnębiło go jednak, że na próżno pokładał nadzieje w jakimś nieznanym panu J...cz, który nie był Linowskim; to tylko Niemcewicz zakpił sobie z Mistrza.

Niemcewicz. Ależ oczywiście. J...cz. Julian Ursyn Niemcewicz.

Pierwsza i ostatnia litera. Od razu powinienem był to odkryć.

A więc w dyskusji wokół *Klingsbergów* Iksowie byli łaskawi zarówno napaść na niego, jak i go bronić. Jakież to przebiegłe. Pozwolić opozycji wytknąć głowę, by łatwiej móc zamknąć jej usta.

Julian, ten mały spryciarz. To on go przecież bronił. Napisał jak można było najlepiej. Mógłby się nawet podpisać pełnym nazwiskiem. Napisał prawdę: inna sprawa, że zrobił to w imię nieczystych rozgrywek.

Nie o to nawet chodzi, że ich zabawa może położyć kres jego karierze, lecz o to, że nie użyją go więcej jako swojej marionetki. Dopóty jest dobrze, dopóki z różnych stron szarpie się i ciągnie ku sobie człowieka, wtedy zawsze otwiera się jakieś, choćby niewielkie, pole działania. Źle zaczyna być wtedy, gdy człowieka nie ma już na szachownicy. Gdy nikt nie kombinuje, jak nim zagrać.

Osiński napisał pierwszą miążdzącą recenzję... A jak był nią oburzony!

Mistrz zastanawiał się, czy on, będąc dyrektorem, zdyskredytowałby jakąś sztukę we własnym teatrze dlatego tylko, że zagrał w niej jego rywal.

Możliwe, że przyszłoby mi to na myśl, skonstatował rzeczowo.

Marianna nie spała, czekając na niego. Bogusławski nie odezwał się ani słowem i poszedł spać.

Rano znów pochylił się nad karteluszkami.

Mógłby spróbować zdobyć względy Zajączka. Gdyby tak wyreżyserować u niego jakieś przedstawienie, jak swego czasu u Sołtyka i innych, za coś takiego zwykli dobrze

płacić. Wincenty Krasiński też może teraz dobrze zapłacić. Z tym jednak należy poczekać. Być może Zajączek nie widział *Klingsbergów*, ale z pewnością powiedziano mu, że Bogusławski go parodiował. Zabłąkane owieczki zawsze mogą powrócić, ale powinno się nieco odczekać.

Czartoryski. On nie siedzi w rządzie. Więc ma najwięcej do powiedzenia. Tak, tylko że jest niezwykle ostrożny. Być może całe życie przetrwoni, zachowując ostrożność w nadziei na koronę. Czartoryski nie odezwie się do aktorki będącego bohaterem skandali. Musi uważać. On to przyszłość. Nie wolno mu zajmować stanowiska.

Bogusławski zmiął karteluski.

Marianna znów wspomniała, że czas byłoby uporządkować co nieco dom.

- Dobrze - powiedział Bogusławski. - Teraz wstąpię do teatru, po południu będę wolny.

Pokażę się tam, rozmyślał po drodze, to nic nie kosztuje.

W teatralnej knajpie przysiadł się do niego Zdanowicz i opowiedział kilka dowcipów; dodał, że Żółkowski wystąpił o zgodę na posiadanie broni; potem poszedł na scenę, bo wezwano go na próbę.

Bogusławski przywołał Fiszera.

- Powiedz mi, mój królu, czy studenci już się teraz nie organizują?

- A co Mistrza interesuje?

- Czym się zajmuje młodzież? Tak ogólnie.

Fiszera skrzywił się.

- Dwudziestu, może trzydziestu spotyka się u kupca Gołońskiego na Freta. Wydaje im się, że są bardzo ważni, bo znalazło się wśród nich także kilku donosicieli.

- I co robią?

- Filozofują.

- To niewiele.

- Pewnie, że nie. Ich zdaniem prawdziwymi ludźmi byli tylko ci, co zginęli z bronią w rękę.

- Z bronią w rękę ginęli nie tylko ci najlepsi, mój królu.

- To ich teoria, nie moja. Dla nich tylko ten nie jest zepsuty, kto dopiero teraz zaczyna dorastać i nie popełnił jeszcze żadnej podłości.

- Kwestia czasu - uznał Bogusławski. - Ówczym wieku temu w pewnej chwili król powiedział Niemcewiczowi: nie jest sztuką napluć społeczeństwu w twarz. Niemcewicz odpowiedział, że to jednak sztuka. Piętnaście lat później przy jakiejś okazji Niemcewicz

przekonywał mnie, że to żadna sztuka, gdy ze sceny pluję widowni w twarz. Powiedziałem, że to jednak sztuka. Teraz kolej na mnie, bym to powiedział; i tak dalej.

Fiszer wzruszył ramionami.

- Nie wiem, czym jest sztuka - odparł. - Jeśli Mistrza interesują młodzi, chętnie pana do nich zaprowadzę.

- Warto pójść?

- Nie.

- Niezbyt ich lubisz, mój królu.

- Nudzą mnie.

- Więc czemu do nich chodzisz?

- Z nudów. Czasami są zabawni. Jest taka grupka, która chce synka hrabiny Walewskiej na króla, bo to dziecko Napoleona. Inna grupa podzieliła już Polskę, wyznaczono również tych, którzy mają zostać posłami. Całymi dniami potrafią się spierać na temat przyszłych granic województw. Niektórzy twierdzą, że Chrystus zmartwychwstanie w Polsce, są też głosy, że tak naprawdę to Chrystus był Polakiem. Rozsiewają przeróżne budzące grozę i frapujące pogłoski, ostatnio na przykład taką, że karbonariusze porwali papieża i w ten sposób w Europie nastąpią zasadnicze zmiany.

- Długo mogą sobie czekać - mruknął Bogusławski.

- Powiadają także, że na czas trwania kongresu wiedeńskiego Metternich chciał przewieźć do Schönbrunnu bramę katedry mediolańskiej, ale podobno karbonariusze dowiedzieli się o tym, zdjęli w nocy bramę i gdzieś ją ukryli. W odpowiedzi Metternich miał zlecić wykonanie kopii, by przywieźć ją do Wiednia, ale po drodze ukradziono tę fałszywą bramę, tak mówi plotka.

- Nawet niezły pomysł - odrzekł Bogusławski. - Nadałby się na komedie.

- Mam lepszy temat - powiedział Fiszer. - Niech pan sobie wyobrazi, Mistrzu, jesteśmy w Wiedniu, miejscem akcji jest ulica, za ozdobną piękną bramą toczy się kongres wiedeński, a przed bramą, między żołnierzami, żandarmami i oficerami w cywilu wałęsa się także dwóch Polaków, dwóch dobrze poinformowanych Polaków. Żaden nie wie, co się dzieje w środku, ale przelicytowują się nawzajem najświeższymi i rzecz jasna najprawdziwszymi doniesieniami. Tajniacy słuchają tego i sądzą, że obaj Polacy należą do ich grona, tylko znacznie więcej wiedzą; donoszą przełożonym o wieściach rozsiewanych przez Polaków, przełożeni przekazują je obradującym w środku, a ci nawet nie wiedzą, o czym i po co tak obradują, gdyż sami nasłuchują głosów z zewnątrz, a nuż stamtąd przyjdzie rozwiązanie. W końcu także oni zaczynają wierzyć w fałszywe pogłoski rozsiewane przez

obu Polaków. Cały kongres się rozpada, pośpiesznie ogłasza się zjednoczenie Polski, do naszego kraju zostaje przyłączony Wiedeń, Paryż, Petersburg i Berlin, a w całej Europie językiem urzędowym staje się polski. Tak oto Polacy tworzą historię.

- Na jeden akt wystarczy - uznał Bogusławski. - Za kilka pokoleń może to i wystawią.

- Wtedy nie będzie już aktualne.

- Czy tę sztukę mam u siebie?

- Nie - odpowiedział Fiszer. - Już nie spisuję własnych pomysłów.

- Nie postarzałeś się przedwcześnie, mój królu?

- Proszę nie brać mi tego za złe, Mistrzu, ale myślę, że tak naprawdę jestem starszy od pana.

- Interesujące, mów dalej.

- Żył pan dłużej ode mnie, Mistrzu, ale ja więcej czułem i rozmyślałem. Proszę się nie gniewać, Mistrzu.

- Nie gniewam się, mój królu.

- Co z tego, że ma pan sześćdziesiątkę...

- Pięćdziesiąt dziewięć...

- Pardon. Nic panu nie dało te pięćdziesiąt dziewięć lat, Mistrzu, pozostał pan młodziankiem. Zazdroszczę panu, Mistrzu. Może to dziwne, ale dla mnie wszystko to już zamierzchłe czasy. Nawet to, co się dzieje obecnie. Nie wiem, czy to, co mówię, jest klarowne. W ostatnich miesiącach przepadły bez śladu całe stulecia, choć nikt o tym nie mówi. Istotą sprzed potopu jest także ten chłopaczek, który półtora roku temu napisał pierwszą swoją sztukę.

- To bardzo zabawne, co mówisz, mój królu.

- Być może. Wszystko jest zabawne. Czyli że takie nie jest.

- Właściwie to powinieneś się przyłączyć do pana Iksa i prowadzić wojnę przeciwko komedii.

- Nie znam pana Iksa, ale to, co nie jest tragedią, przeminęło wraz ze swą epoką. Takiej epoki jak ta jeszcze w historii nie było, Mistrzu, ale nikt tego nie dostrzega. Takiej parszywej i podlej epoki jak ta.

- Każda epoka jest taka, Antoni.

- Ale nie tak. Nie aż tak.

- Napisz o tym, mój królu - rzucił Bogusławski.

- Już napisałem! Kłopot w tym, że raz o tym napisałem i już nic nowego nie jestem w stanie wymyślić. Tę sztukę napisałem półtora roku temu, od tamtej pory i ona się

zestarzała. A na jej miejsce nie mam żadnej nowej! Ja też się zestarzałem, i co mi to da, że o tym wiem? Dziwne, prawda? To wszystko nie ma sensu.

- Tak już jest.

- Pan potrafi się z tego śmiać, ja nie. W tym cała różnica. Dlatego panu zazdroszczę, Mistrzu.

Bogusławski wstąpił do garderoby Żółkowskiego, gdzie Żółkowska właśnie prała kostiumy męża w dużej drewnianej balii.

- Nie wiem, gdzie jest Alojzy - odpowiedziała na pytanie Mistrza. - Ledwo go widuję.

- Aha - rzucił Bogusławski. - Rany już się zagoiły?

- Rany tak - ucięła krótko Żółkowska.

No tak, pomyślał Mistrz, znów nie najlepiej między nimi.

Usiadł na krześle i patrzył, jak Żółkowska pierze z wściekłością.

- Wiesz, Mario - odezwał się po chwili - zaczynam żałować Truskolaskiej.

Zdziwiona Żółkowska uniosła głowę.

- Nie było jej łatwo, kiedy ją w końcu zniszczyłem - powiedział Mistrz zatopiony we wspomnieniach. - Tak naprawdę mogłaby grać jeszcze kilka lat. No cóż, nie miała szczęścia, biedna, że los nas rzucił przeciwko sobie.

Żółkowska wbiła wzrok w zabrudzone kostiumy.

- Swoją drogą była już dość stara - odparła po chwili.

- Nie miała jeszcze sześćdziesiątki - dumał głośno Bogusławski. - Nie taki znów sędziwy wiek.

- My nawet tego nie dożyjemy - powiedziała Żółkowska. - A na pewno nie Alojzy. Kto jak on korzysta z życia, szybko je zakończy.

- To też jest rozwiązanie - odparł Bogusławski.

W garderobie pojawił się Żółkowski i z miejsca napadł na żonę, czemu, do diaska, pierze jego kostiumy, wcale jej o to nie prosił.

- Bo nikt ci tego nie wypierze, jeśli ja tego nie zrobię - odpowiedziała.

- Nie prosiłem, żebyś z mojego powodu została męczennicą! - wybuchnął Żółkowski.

- Człowiek robi wszystko, żeby on mógł spokojnie pracować, i oto wdzięczność!

Bogusławski nie ujawnił swego stanowiska.

Żółkowska cisnęła namoczoną koszulą, z balii chlusnęły strugi wody, Żółkowski nagłym gestem złapał się za twarz. Ona, przeklinając, wybiegła na korytarz.

Żółkowski także ciskał przekleństwami, lżąc przy okazji rodzinę żony.

- Masz teraz zdrowe rumieńce - zauważył Bogusławski.

Żółkowski usiadł.

- Ciągłe boli mnie głowa - powiedział ponuro.

- Może to kac - zasugerował Mistrz.

- Maria już się poskarżyła, co?

- Nic nie powiedziała.

- Dobra, piję, i co z tego? Każdy dobry aktor musi pić. - Znużony machnął ręką. - Każdej nocy pijemy. Do samego rana. Czy Mistrz zna coś lepszego? Dziś wieczorem także będzie towarzystwo i tej nocy znów się upiję! Mam pieniądze i będę je przepuszczając, jak mi się podoba.

Bogusławski milczał.

- Wygwizdano kiedyś Mistrza? - przerwał ciszę Żółkowski.

- Opłacone młokosy już nieraz.

Znów zapadła cisza.

- Przemyślałem tę sprawę - odparł Żółkowski. - Moim zdaniem pobito mnie tylko dla pieniędzy. To nie było ukartowane. Nie posunęliby się tak daleko.

- Być może.

Żółkowski spojrzał niepewnie na Mistrza. Podbródek opadł mu smutnie na widoczną pod rozchełstaną koszulą owłosioną pierś.

- Niech Mistrz przyjdzie dziś wieczorem - powiedział. - Przy takich okazjach Maria zabiera się z dzieckiem do matki... Będzie kilka panienek, znają się na rzeczy.

- Bo ja wiem - odparł Mistrz. - Powinienem coś porobić w domu, zabrać się do półek na książki...

I zaraz dodał, że chciałby robić w domu teatr. Żółkowski milczał sceptycznie.

- Nie wierzysz w to, co? - spytał Bogusławski. - Nie musisz. Najwyżej będę wygłaszać monologi do czterech ścian, to też jest coś.

- Gdy Mistrz się przeprowadzał - powiedział Żółkowski - leżałem jeszcze chory.

- Czemu o tym mówisz?

Bogusławski wyszedł z teatru i na myśl o tym, że musi wrócić do ogromnego, pustego domu, ogarnęło go przerażenie. Włóczył się bez celu po ulicach, powietrze było czyste i rześkie, starał się więc w sobie także wywołać uczucie czystości i rześkości. Głęboko oddychał i powtarzał sobie: nic się w końcu nie stało, że wylano mnie z teatru. Trzeba się wnieść ponad to. Tyle się już w życiu napracowałem, że krótka przerwa nie zaszkodzi.

Po obu stronach ulicy, dziw nad dziwy, domy stały jak wtedy, gdy był aktorem. Choć gwoli prawdy już dawno powinny się rozpaść. Bogusławskiemu nie mieściło się w głowie,

czemu wokół nie roztacza się widok ruin. Byłoby naturalne, gdyby na miejscu Warszawy wyrosła puszcza.

Powinien powiedzieć o tym Anieli.

Miał już nawet gotowe pierwsze zdanie: „I tak jest najlepiej; bierze człowiek książkę, czyta ją powoli i żadne drobiazgi nie są w stanie go dotknąć”.

Aniela otworzyła mu drzwi w kompletnym dezabilu.

- Ach, to ty? - rzuciła.

- Czekaaś na kogoś?

- Na nikogo nie czekałam.

Bogusławski wszedł do pokoju. Niemowlę spało.

Mistrz nie wygłosił przygotowanej kwestii. Spoglądał na niemowlaka, swego wnuka.

Po diabła ludzie się rozmnażają?

- Chyba schudłaś - odezwał się po chwili.

- Od kilku dni - rzuciła Aniela - śmiertelnie mnie drażnią stołowe nogi.

Bogusławski obejrzał je.

- Od kilku dni - powtórzyła Aniela ze znużeniem. - Co by było, gdybym cisnęła dzieckiem o ścianę?

- Jeszcze nim nie cisnęłaś? - zaciekawiał się Bogusławski.

- Jeszcze nie. Trudno byłoby je zeskrobać.

Bogusławski roześmiał się.

- Wiesz co, maleńka, jeśli chcesz, przenieś się do nas na jakiś czas.

Aniela wzruszyła ramionami.

- Chyba żrecie się z Ignacym - rzekł Bogusławski.

- Ach - odparła Aniela - jesteśmy jak te gruchające gołąbki, Ignacy mnie ubóstwia, a ja wiem, że nie ma na świecie drugiego tak wspaniałego męża. Niczego nie mogę mu zarzucić, rozumiesz? Ani swojemu cudownemu syneczkowi. Wszystko wokół jest takie wspaniałe. Muszę coś naprawdę bardzo popsuć, by mieć powód do rozpacz.

- Zbyt młodo wyszłaś za mąż - odparł Bogusławski, mając nadzieję, że Aniela się uspokoi, a wtedy on będzie mógł wylać wszystko, co mu leży na sercu.

- Wyszłam za mąż z nudów, ale teraz też się nudzę. Wiesz, czasem myślę o tym, że wprowadzenie rozwodów było czymś niedobrym. Bo wyobraź sobie: gdybym nie mogła się rozwieść, całe życie czułabym się nieszczęśliwa z powodu nieudanego małżeństwa i w ten sposób wszystko byłoby rozwiązane. A tak, jeśli zechcę, mogę się rozwieść. Ignacy jest takim osłem, że nie umiałby mnie powstrzymać, nawet gdyby miało go to zniszczyć. Nie mogę więc

obwiniac żadnego prawa, żadnego zakazu czy osoby i dlatego codziennie muszę wynajdywać nowe krzywdy, by się pobudzić do nienawiści. Bo jeśli nie można kochać, to trzeba nienawidzić.

- Możesz nienawidzić mnie - zaproponował Bogusławski.

- Ty jesteś daleko - odparła Aniela - a nienawidzić warto tylko kogoś, kto jest pod ręką, inaczej nie dostanę swej codziennej dawki... Ignacy nawet do tego niezbyt się nadaje... Tobie jest łatwo.

- Doprawdy?

- Nie kręć głową, tobie jest najłatwiej. Chcesz grać i szlus.

- Ale czemu chcę grać?

- Bo kiedy ci nie pozwalają, to walczysz o to, a kiedy pozwalają, to jesteś szczęśliwy. Jesteś mało skomplikowanym człowiekiem, Mistrzu, zdrowym, prymitywnym człowiekiem.

- Ciekawe, dziś nawet Fiszer już mnie tak uhonorował.

- Ale ja nie widzę sensu w graniu. Nie żebym wątpiła w swój talent. Gdybym chciała, w ciągu kilku lat mogłabym być lepsza nawet od Ledóchowskiej. Ale nie chcę chcieć. Jeśli widownia zgotuje mi owację, jeśli ktoś mnie pochwali, jeśli pan Iks dobrze o mnie napisze, nie będzie to miało dla mnie żadnego znaczenia. To niedobrze utracić w młodości całą swoją próżność. Chciałabym wierzyć, że swoją karierę poświęciłam dla rodziny, chętnie byłabym męczennicą, to też niezła rola, ale cóż, kariera jest dla mnie niczym, więc jak mogę być męczennicą?

Bogusławski milczał.

- Denerwuję się - mówiła Aniela. - Kłuje mnie w sercu, brzuch mnie boli, nie mogę złapać tchu... Doktor powiedział, żebym spacerowała. Kiedyś głowa mi pęknie. Czasami rzucam talerzami o podłogę, ale i to za mało. Chcę awantur i chcę mordować. Chcę być niebezpieczna dla wszystkich. Ale jestem niebezpieczna tylko dla samej siebie.

- Tylko jeden człowiek byłby w stanie ci pomóc, dając ci parę razy po buzi - powiedział Bogusławski. - To ja, ale o dwadzieścia lat młodszy.

- Mylisz się. Dwadzieścia lat młodszy Bogusławski byłby dziś nerwowo chorym człowiekiem, słabym i marzycielskim, nawet na jawie dręczonym przez fantomy.

Po krótkiej chwili dorzuciła:

- Już dobrze. Trochę się wyzłościłam, to mi pozwoli przeżyć do wieczora, potem znów zacznę swoje czary nad mężem... tym dobrym człowiekiem.

- A co ja mam zrobić? - spytał Bogusławski.

Aniela uklękła i spojrzała na niego z błaganiem w oczach.

- Wymyśl coś, proszę cię! Ty jesteś Mistrzem i byłoby okropne, gdybyśmy i ciebie musieli widzieć takim, jakimi sami jesteśmy! Musi być ktoś, do kogo można podnieść wzrok, kto jest ponad naszymi małymi egzystencjami, kto z zewnątrz patrzy na ten bezsensowny chaos. Byłoby straszne, gdybyś ode mnie oczekiwał rady, ode mnie, która sama trwam w bezradności, ode mnie, którą całe światy dzielą od twego... jak by ci to powiedzieć, od twego zuchwałego orlego nosa. Najlepiej byłoby, gdybyś był pomnikiem, a my moglibyśmy odbywać pielgrzymki do twego pomnika, aby się odprężyć, po duchową pociechę. To okrutne, co mówię? Myślę, że i ty jesteś tylko człowiekiem... ale dobrze byłoby mieć poczucie, wiedzieć, że przed i nad nami istnieje ktoś, kto jest czymś więcej niż my sami, niż może być człowiek.

Bogusławski pogładził ją po głowie.

- Zabrałbym cię na koniec świata - powiedział. - I oboje zaludnilibyśmy ziemię.

Aniela płakała, Bogusławski delikatnie ją głaskał.

Potem odszedł, nie chciał spotkać się z synem, który lada moment miał wrócić na obiad.

W domu chodził z kąta w kąt, bez przekonania mierzył ściany i grzebał wśród desek. W trzech dużych kufrach leżały wrzucone bezładnie książki, rękopisy i bez wątpienia mogłyby sobie tak pozostać. Marianna przed południem zrobiła jakie takie porządki, przesunęła łóżka w inne kąty, Bogusławski nie mógł się zdecydować, czy nie zrobić awantury z powodu przesunięcia łóżek.

Wieczorem poszedł do Żółkowskiego.

Zastał u niego dwóch zamożnie wyglądających kupców wraz z towarzyszącym im orszakami, bardzo mu się nie podobali. Dziewczyny też były, rozświergotane i udawały ważne. Żółkowski siedział w szlafroku na dywanie pośrodku pokoju, obok niego kilka butelek wódki, w ręku trzymał ogromny kawał pieczeni.

- Mamy też antałek piwa! - przywitał Mistrza z pełnymi ustami.

Nie sprawiło to jednak Bogusławskiego w stan ożywienia.

Goście czuli się jak u siebie, widać było, że często spotykają się w tym gronie.

- Ale z ciebie duży wieprz - rzucił Mistrz do Żółkowskiego.

Nie zmieniając pozycji, aktor złapał za nogę jedną z dziewczyn, która z piskiem wylądowała przy nim na dywanie. Żółkowski wyszczerzył zęby i poklepał ją po tyłku.

Bogusławski wyszedł do kuchni. Spłoszona Nepomucena spojrzała na niego znad książki.

- Siedz - powiedział Mistrz. - Chciałem tylko coś przegryźć.

Nepomucena siedziała wtulona w kąt.

- Czytasz? - spytał bezradnie Bogusławski.

Nie odpowiedziała.

- Hę? - mruknął pogodnie Mistrz.

Dziewczynka milczała.

- No dobrze - rzucił Bogusławski, ukroił kromkę chleba i zaczął ugniatać miąsz. -
Teraz zrobimy małego ludzika - oznajmił i całą uwagę poświęcił ugniataniu.

Nepomucena śledziła jego ruchy.

- Ma być gruby jak twój tatuś? - spytał Mistrz. - Ma mieć duży brzuch?

- Nie ma mieć - oświadczyła Nepomucena.

Bogusławski starał się ugnieść smukłego ludzika, miąsz kruszył mu się w rękach.

- Widzisz, jaki jestem niezdarny, co? Jako aktor byłem lepszy niż teraz jako rzeźbiarz.

- Może być z tego jeszcze żółw - powiedziała Nepomucena.

- Myślisz? - ucieszył się Bogusławski. - Robiłaś już żółwia?

- Nie.

- A widziałaś kiedyś żółwia?

- Nie.

- Nie?

Dziewczynka potrząsnęła główką.

- Więc skąd wiesz, jak wygląda?

- Nie wiem - wyznała.

- Aha. Ja też nie wiem.

Bogusławski zrobił kwaśną minę, Nepomucena się roześmiała.

- Może ma trąbę - powiedział Mistrz. - Myślisz, że ma trąbę?

- Ma - powiedziała Nepomucena.

- I ma skrzydła - dodał Bogusławski.

- Ma - potwierdziła Nepomucena i otworzyła książkę. - Już go narysowałam.

Na marginesie książki kłębiły się dziwne stworki, trudne do rozpoznania zwierzątka.

- Nie za bardzo je lubisz - orzekł Mistrz.

- One mnie nie lubią - powiedziała Nepomucena.

- A kiedy je narysujesz, jest lepiej?

Nie zrozumiała, wzruszyła ramionami.

Jeden z elegancko ubranych kupców wszedł do kuchni i zatrzymał się w drzwiach.

- Mistrz konwersuje z dzieckiem? - spytał z dyskretnym uśmiechem.

Bogusławski wybuchnął:

- Przeszkadza to wielmożnemu panu?

Mężczyzna był skonsternowany:

- Że jak?

Bogusławski bębnił palcami po stole.

Nepomucena milczała.

- Grzeczna dziewczynka - powiedział intruz i zrobił kilka kroków. - Zdaniem Alojzego będzie z niej aktorka. Zostaniesz aktorką?

Nepomucena milczała.

- Powołanie rozstrzyga się już w kołysce - powiedział gość do Bogusławskiego. - Lekarze mówią, że można to stwierdzić na podstawie kształtu głowy.

- Nie inaczej - przyznał Mistrz. - Ja na miejscu akuszerki nawet bym wielmożnego pana nie wyciągał. Wepchnąłbym go z powrotem. Chcesz wyleźć, zakuty łbie? Marsz z powrotem!

Wgniółł trzymane okruchy w rozkrojony bochenek.

- Ja sobie wypraszam!... - krzyknął mężczyzna. - Jak pan śmie?

- Marsz z powrotem! - wrzasnął Bogusławski.

Handlarz wyskoczył z kuchni, coś bełkocząc.

Bogusławski zerwał się i wybiegł za nim. Wzburzony kupiec tylko wskazywał palcem na winowajcę, wypraszając sobie, by go odsyłano z powrotem do maci, i zanim zdążył wykrztusić choć słowo, Mistrz zaczął wrzeszczeć. Wszyscy patrzyli na niego sparaliżowani, a on krzychał, że to niesłychane, że nie ma ochoty znosić od byle kupczyka, że taki zasrany kupiec!...

Kupiec biegał po pokoju i jękając się, powtarzał w kółko, że sobie wyprasza, by go odsyłać z powrotem do maci.

Wyrzucane przezeń zdania brzmiały jak parodia melodyjnych kwestii Bogusławskiego, w pewnej chwili umilkł i z niedowierzaniem, przejęty grozą wpatrywał się w Mistrza, nie mogąc w to wszystko uwierzyć.

- Ale to on mnie tam posłał! - powiedział, wykrzywiając płaczliwie usta, i błagalnie rozejrzał się dokoła.

Bogusławskiego poniosło i rzucił się na kupca, ale go powstrzymano, chwytając za ramiona. Stał zasapany.

- Coś takiego, coś takiego - dyszał. - Jakiś zasrany kupczyzna, tylko dlatego, że ma pieniądze i ma na dziwki!...

Żółkowski siedział na dywanie i trząsał się ze śmiechu.

Bogusławski cisnął jeszcze kilka gromów i przekleństw na głowy zebranych i głęboko urażony wyszedł.

Po tym incydencie Żółkowski, z trudem dochodząc do siebie, tłumaczył wzburzonym gościom, że Mistrza nie można brać serio, to przecież aktor, a aktorzy mają nierówno pod sufitem.

Goście pokręcili głowami, gdy kupiec opowiedział, co się zdarzyło w kuchni, po czym zajęli się pić. Potem zagrali w butelkę: kręcili pustą flaszką na podłodze, a na kogo z siedzących wokół wskazała szyjka, musiał się pozbyć jakiejś części ubrania. Ciągnęli grę, dopóki ktoś nie został całkiem nagi.

Przed południem następnego dnia, gdy wszyscy jeszcze leżeli pokotem obok siebie, zjawiała się zapłakana Marianna. Powiedziała, że Bogusławski bardzo źle wygląda, całą noc nie spał i wszystkim się odgraża.

- Całkowicie stracił panowanie nad sobą - powiedziała do Żółkowskiego.

- No tak - odparł aktor, rozcierając pulsujące bólem skronie. - Trzeba by coś wymyślić.

- Pomóżcie mu - błagała Marianna.

Tego dnia Żółkowski po raz drugi lub trzeci w życiu zastukał do garderoby Ledóchowskiej i próbował razem z nią coś wymyślić.

Medytowali długo, ale bez skutku.

- Gdyby chociaż pozwolili mu uczyć - westchnęła Ledóchowska. - Taki wspaniały człowiek, wie wszystko o aktorstwie i naturze człowieka, a oni pozwalają, by zmarnował całą tę wiedzę.

- No cóż - mruknął rozeźlony Żółkowski. - Jeśli mnie kiedyś zawieszą, założę pismo satyryczne albo pod innym nazwiskiem będę pisać farsy. Ale on nie z tych. On nie lubi pisać.

- Cokolwiek napisze, i tak zostanie zakazane - uspokajała go Ledóchowska.

- Pożyczyć mu pieniądze? - zastanawiał się Żółkowski. - Mógłbym mu sporo pożyczyć, ale nie tyle, by był w stanie przerobić dom na teatr.

Ledóchowska pokręciła głową.

Po południu Żółkowski znów do niej zastukał.

- I nic? - zapytał.

- Nic.

- Pytałem także Fiszera - powiedział Żółkowski. - Wygląda na to, że Mistrz go lubi. Fiszer też niczego nie powiedział, chociaż może coś podsunął. Trzeba by jakoś zorganizować

ponownie Szkołę Dramatyczną. Sprawdziłem to, Szkoła nie jest własnością Osińskiego, Mistrz założył ją, mając państwowe dotacje, teraz automatycznie przejmie ją Osiński. Jeśli udałoby się go nakłonić, by wyrzucił Kudlicza...

Zamilkli. Osiński nie wyrzuci Kudlicza, to jego najważniejszy człowiek.

- Jakoś załatwimy Kudlicza - powiedział Żółkowski. - Ośmieszymy go... pobijemy...

- Kudlicz funkcjonuje dlatego, że jest nikim - odparła Ledóchowska - a to nie daje podstaw do ataku. Gdyby się nawet udało, Osiński mianuje kogoś innego, Werowskiego albo Rutkowskiego.

- To byłby już skandal.

- Gdzież tam. Nikt by nawet nie zauważył.

Żółkowski westchnął z żalem.

- A gdybyśmy napisali petycję do Osińskiego? - spytał. - Domagając się, by Mistrz otrzymał jakąś rolę?

- Możemy napisać - odparła bez przekonania Ledóchowska.

Było jasne, że po Piotrowskim każdy się teraz zastanowi, zanim cokolwiek podpisze.

- Gdybym tylko wiedział, co Mistrz teraz robi - rzucił z roztargnieniem Żółkowski.

- Pierożyńska była tu w południe - powiedziała aktorka. - Mówiła, że montuje półki na książki.

- Jak długo można montować półki?

Zamilkli.

- Przeżyłam już coś takiego z mamą - powiedziała Ledóchowska. - Kiedy Mistrz wysłał ją na emeryturę, także musiałam coś wymyślić, i nic z tego nie wyszło.

- Pani mama to lżejszy przypadek - stwierdził Żółkowski. - Stara histeryczka, zawsze wynajdzie sobie coś głupiego, pożyje tym ze dwa, trzy dni, a potem wypełni sobie łeb innym kretynstwem.

- Potrzebna byłaby inna Szkoła Dramatyczna - podsunęła Ledóchowska. - To by go zajęło.

Żółkowski zastanawiał się.

- Nie zgodzą się - powiedział. - A poza tym nie potrzeba tylu nowych aktorów. Wystarczy im jedna szkoła.

- A może jako prywatne przedsiębiorstwo...

- Jaki idiota chciałby być teraz aktorem? Ale co by było, gdyby... - Żółkowski przerwał i przymrużył oczy. - Co by było, gdybyśmy chodzili na naukę do Mistrza? Nam by to odpowiadało, nieprawdaż? Ja opłacę także pani czesne.

Ledóchowska zapaliła się do pomysłu.

- Ale w takim razie nie tylko my dwoje - powiedziała. - Zaprośmy wszystkich...
Najlepszych!

Żółkowski obleciał teatr i pod wieczór miał już listę.

Helena Rutkowska przyłączyła się ochoczo, Aszpergerowie byli rozpromienieni, że inni na nich liczą, Szymanowski co prawda nieco zrzędził, ale powiedział, że dołączy, jak coś z tego wyjdzie. Rzecz jasna, Dmuszewski chętnie się przyłączył.

Żółkowski myślał także o Konstancji Dmuszewskiej, ale tylko delikatnie zahaczył o to w rozmowie z Dmuszewskim z uwagi na dawne związki między Bogusławskim a Konstancją. Dmuszewski odparł wymijająco, że żona sama podejmie decyzję.

- Wiesz, jaka jest nieobliczalna - dodał na usprawiedliwienie.

Zdanowiczowi Żółkowski nic nie powiedział. Jeden komik wśród uczniów, uznał. Zupełnie wystarczy.

W antrakcie wieczornego spektaklu złożył Ledóchowskiej relację z osiągniętego rezultatu.

- Trzeba mu to jakoś delikatnie oznajmić - powiedziała aktorka - żeby nie odebrał tego jak jałmużny. Jest na tyle próżny, że gotów to odrzucić.

- To nie jest jałmużna - obruszył się Żółkowski. - Ja naprawdę chcę się od niego uczyć!

- Ja także - uspokoiła go Ledóchowska. - Ale sądzę, że my nie możemy mu tego powiedzieć. Byłby przekonany, że to jakaś rekompensata czy jałmużna.

- Więc zdajmy się na plotki - powiedział Żółkowski. - Jutro cały teatr będzie o tym wiedział, a pojutrze oczywiście zbiorą się na naradę Iksowie. Prędzej czy później dowie się o tym, czyż nie?

- Mimo to musimy go poprosić. Może przez Pjerożyńską.

Żółkowski pokręcił głową.

- Może właśnie się klóć - odparł. - Przez to mogłoby się nie udać.

Następnego dnia przed południem u Mistrza pojawił się Fiszer i nieco stremowany, płacząc się, oznajmił, że pomyśleli sobie, jak by to było dobrze, gdyby Mistrz podjął się nauczania ich za skromną opłatą, albowiem są tacy, co to by chcieli robić teatr, ale oficjalnie właśnie się nie da.

Bogusławski stał w szlafmocy u dołu schodów i mrużył oczy.

- Patrzcie tylko - powiedział drwiąco. - Chcą się ode mnie uczyć.

Żółkowski przygotował Fiszera, co ma zrobić, jeśli Mistrz będzie dawał się prosić,

więc teraz Fiszer coś z szacunkiem jąkał i bełkotał, najpierw mówił o młodych, o Helenie i Anieli, dorzucając stopniowo i jakby mimochodem, że czołowi aktorzy także chcieliby uczęszczać do Mistrza.

- Czyj to był pomysł? - spytał Bogusławski.

- Nawet nie wiem - odparł Fiszer. - Wisiał tak jakoś w powietrzu. Możliwe, że kilka osób wpadło na to jednocześnie.

Po odejściu Fiszera Bogusławski wbiegł na piętro i galopując w dół i w górę, zaczął wyliczać, ile powinien zażądać, by przez półtora roku, dwa lata zebrać sumę konieczną na stworzenie małego teatru.

Dobry pomysł, nieważne czyj. Osiński nie może zabronić aktorom przychodzić na lekcje. Trzeba będzie tylko uważać, by spotkań nie uznano za spiskowanie.

Kiedy Marianna wróciła z zakupów, Bogusławski złapał ją za ramiona i chwilę z nią tańczył, potem zaciągnął na piętro i zaczął przesuwac meble, by zrobić jak najwięcej miejsca na scenę prób. W południe poszedł do teatru naradzić się z Plerschem; chciał ustawić w domu kilka dekoracji. Dziadzio Plersch coś zamruczał, przecież na scenie prób nigdy nie ma dekoracji, nawet Szkoła Dramatyczna obywa się bez nich.

- Miesięcznie mogę mieć nawet półtora tysiąca dochodu - wyliczał Bogusławski.

- Zrzuć to na mnie - zaproponował Plersch. - Moim zdaniem nie będą przeszkadzać, ale zdrowo to opodatkują.

O tym Bogusławski nie pomyślał. Zaklął, a potem powiedział, że zażąda więcej od uczniów.

- Kiedy będą się odbywać lekcje? - spytał Plersch.

- W nocy - odparł Bogusławski. - Po spektaklach. Dwa, trzy razy w tygodniu. - Promieniał. - Wypróbuję kilka pomysłów - powiedział. - To znakomici aktorzy, będę miał czego się od nich uczyć. A oni mi jeszcze za to będą płacić!

- Może i ja czasem wpadnę - powiedział Plersch.

Pan Bautz uprzejmie zaproponował, że od czasu do czasu dostarczy do pałacu Mistrza jakieś napoje, jeśli on także niekiedy, jako statysta, mógłby uczestniczyć w lekcjach Mistrza. Bogusławski oznajmił z żalem, że nie jest w stanie otworzyć szkoły dla większej liczby osób, ale może zaproponować Szkołę Dramatyczną pana Kudlicza.

- Byłbym idiotą, gdybym wpuścił szpicla - mruknął na korytarzu do Plerscha.

W domu wygrzebał z kufrów kilka sztuk z małą obsadą. Z wyniku nie był zadowolony, nie napisano ich w celach szkoleniowych. Być może sami będą musieli sklecić jakieś sztuki. Albo zrobią commedia dell'arte.

Wybiegając myślami w przyszłość, zastanawiał się, jak można byłoby dokonać teatralnego przewrotu na bazie prywatnej szkoły. Mógłby zaproponować swój dom arystokratom na przedstawienia teatralne, wtedy pobierałby nie tylko chesne. Trzeba sobie zaskarbić żonę hrabiego Mostowskiego, panią Tadeuszową. Szkoda, że brat Józef Krasieński nienawidzi swego starszego brata Wincentego. Mistrz zastanawiał się także nad zaproszeniem Pękalskiego, mogliby razem napisać sztukę, ale potem zrezygnował z tego pomysłu: sytuacja Pękalskiego jest za bardzo dwuznaczna.

- Anieli będzie ciężko uwolnić się z domu - powiedziała Marianna, gdy Mistrz przedstawił jej listę uczniów. - Ignacy często ma służbę w nocy, nie zgodzą się powierzyć dziecka Nacewiczowi.

- Niech przyjmą nianię.

- Krótko mówiąc, to ja mam wtedy iść do nich pilnować dziecka - powiedziała Marianna z goryczą.

Bogusławski rozzłościł się.

- Z tego będziemy żyć! Czego chcesz? Powiedz wreszcie, czego chcesz?

Ja też chciałabym grać, mogłaby powiedzieć Marianna.

W teatrze znów wystawiano *Atalię* z Ledóchowską i Heleną, wznowiono operę Salieriego *Szkola zazdrosnych* (tekst Mazzoli Bogusławski przetłumaczył prawie czterdzieści lat temu, teraz dostał za to jakieś nędzne grosze), ponadto przy dużej reklamie wystawiano komedię Dmuszewskiego o Barbarze Zapolskiej. Promowano ją jako nową, chociaż Dmuszewski za łaskawą sugestią pana Osińskiego w ciągu kilku nocy przerobił napisaną prozą sześć lat temu sztukę na dramat wierszem. Wersja prozą też nie była oryginalna, Dmuszewski przepisał francuską farsę i nadał postaciom polskie nazwiska.

Na najbliższe dni reklamowano farsę pióra Destouches'a, główne role Osiński przydzielił Żółkowskiemu, Dmuszewskiemu i Ledóchowskiej. Rozgłaszano ją jako benefis Ledóchowskiej; wcześniej dyrektor nie chciał nawet o tym słyszeć.

- Zadziwiające, że w każdej grają moi uczniowie, co? - spytał Mistrz Mariannę, zacierając ręce z zadowoleniem.

Żółkowski, Dmuszewski i Aszpergerowa z góry wpłacili chesne za pierwszy miesiąc, pozostali prosili o kilka dni zwłoki. Dmuszewski opłacił także chesne swej żony. Z tego Bogusławski kupił ozdobne świeczniki i mnóstwo grubych świec. W parę godzin skończył montowanie półek na książki, nad którymi wcześniej guzdrał się całymi dniami; zrobił porządek w kufrach i na biurku; razem z Cieślakiem doprowadził do porządku swe ubrania, za co zresztą zapłacił, chociaż mistrz Cieślak długo się wzbraniał. Kupił też od handlarza

starzyzną kilka ław, by mieć gdzie posadzić uczniów.

Może warto byłoby zacząć *Szkołą kobiet*, pomyślał podczas przeglądania niezliczonych sztuk. Swe dawne tłumaczenie uznał za okropne, sama sztuka też nie podobała mu się tak jak kiedyś; we wcześniejszych Molierach prawdziwe i istotne akcje toczą się za kulisami. Może przepisze to z uczniami w duchu dojrzałego już Moliera, jako studium dramaturgiczne też byłoby to nie do pogardzenia.

W przeddzień otwarcia szkoły, w południe, u Bogusławskiego pojawił się elegancko ubrany, ale nieco zakłopotany młody człowiek. Wyglądał znajomo, ale Mistrz nie przypominał sobie, skąd go zna.

- Jestem generał Morawski - powiedział wysoki młodzieniec. - Proszę się nie gniewać, Mistrzu, że tak się wdarłem do domu... ale brama była otwarta i wszedłem na schody...

Bogusławski poprosił go, by usiadł.

Morawski miał koło trzydziestki, inteligentną twarz, twarde, męskie rysy, długi nos i wystający podbródek. W jego wyglądzie było coś z angielskiej oschłości. Może z powodu cienkich warg. Był szefem sztabu generała Kniaziewiczza, brał udział w kampanii moskiewskiej, potem także jego wcielił do swojej armii Aleksander, awansując na generała, gdy zezwolił powrócić do kraju polskim jeńcom przebywającym w Danii. Studiował na niemieckich uniwersytetach, uchodził za człowieka wykształconego. Ponoć we Frankfurcie zaczął tłumaczyć Byrona i Schillera.

- Chodzi o to - powiedział Morawski i opierając się na łokciu, wyciągnął się na ławie - że człowiek jest zamknięty w jednym bogu, chociaż bogów jest nieskończenie dużo.

Bogusławski nie okazał zdziwienia, tylko usiadł za biurkiem niczym sędzia śledczy. Może warto go wysłuchać, przecież Morawski to także Iks.

- Pan to nie za bardzo czuje - ciągnął Morawski - bo jest pan aktorem. Ma pan tyle osobowości, ile ról pan gra. Mnie natomiast niezmiernie przeszkadza, że dysponuję jakąś istotną treścią. Rozumie pan?

Bogusławski coś odmruknął.

- Aktor - tłumaczył Morawski - jest jak cebula: łupina pod łupiną, w nieskończoność. To jest zdrowe, przynajmniej w naszych czasach to jedyny sposób, by można było przeżyć... Przypuszczalnie wcześniej nie było to aż tak... Czy jest w domu coś do picia?

- Niestety nie, mój królu - powiedział Bogusławski. - Ale mogę pana poczęstować suszoną rybą.

Morawski machnął ręką.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, mam już za sobą śmierć Boga. Istnienie Napoleona

jest najlepszym dowodem przeciw istnieniu Boga. Tylko że to jeszcze nie stwarza klarownej sytuacji... Proszę powiedzieć, jeśli przeszkadza panu moja paplanina.

- Proszę spokojnie paplać dalej.

- Nieznośne jest i to, że człowiek ma w sobie kawałek czegoś boskiego, a już najbardziej zdumiewające, gdy ma tego więcej.

Morawski zerwał się z ławy i zaczął chodzić po pokoju. Zatrzymał się przy biurku, wziął do ręki egzemplarz *Szkoły kobiet* i zerknął do środka.

- Mistrz będzie to grać? Dobra sztuka. Ja też umiałbym taką napisać... zresztą niewykluczone, że napisałem. Rozumie pan, prawda? Dla mojego ja nie ma granic. W przeszłości też nie było. A w przyszłości... mógłbym być Molierem, pytanie tylko, czy muszę chcieć. Bo nie chcę. Albo, żeby być szczerym, chcę, czemu miałbym nie chcieć, kłopot w tym, że chcę być wszystkim, tylko czasu nie starcza. I dlatego przyszedłem do pana. Od dobrych kilku dni włóczę się wokół pańskiego domu, nie rozumiem, czemu nie miałem śmiałości wejść. - Wrócił na ławę. - Mistrzu - powiedział błagalnie - proszę mnie nauczyć aktorstwa! Proszę mnie przyjąć do swej szkoły!

Bogusławski patrzył na niego bez wyrazu.

- No właśnie! - wykrzyknął Morawski. - Proszę mnie tego nauczyć! Bo tylko bez istotnej treści i sedna można wytrzymać! Z radosną samodegradacją! Pan, Mistrzu, za wszelką cenę nie chce dorosnąć do tego, kim się pan sobie wydaje. Nawet pan nie ma idealnego obrazu samego siebie. Ale kto nie jest aktorem, ten pragnie siebie zaprojektować, chce się upodobnić do swego boskiego obrazu, każdy ma takiego autoboga, jakim chciałby znać i widzieć samego siebie, być może to z naszych porów wysnuwa się ten mglisty obraz, ten fantom, to rozkazujące i nieznośne sprzeciwu nie wiadomo co... Piekielny ciężar! Dopóty nie spocznę, dopóki nie stanę się taki, jak ten fikcyjny Franciszek Morawski. Jest we mnie pęd, nieznośny przymus, by w każdej chwili być tym, czym mógłbym być.

Bogusławski przytaknął, by dodać mu odwagi.

- Tylko że, Mistrzu, ja znam nie jednego Franciszka Morawskiego. Morawskich jest dużo! Jest jakiś idealny generał Morawski, jakiś idealny pisarz, i tłumacz, i filozof Morawski, jest polityk Morawski, jest jakiś Iks Morawski, jakiś samiec Morawski i rzesza innych Morawskich, mam wiele obliczy, ale nie mam nawet jednego oblicza prawdziwego, żyję, nie wiedząc, do jakiego należą gatunku, chociaż wszystkie istniejące i potencjalne gatunki jednocześnie mnie pociągają, dręczą i prześladują. W każdym momencie czuję: nie to i nie tutaj powinienem czynić i czuć, ja muszę czynić i czuć wszędzie nieskończenie dużo. Ja nie jestem zaspokojony daną chwilą, daną sytuacją i danym sobą samym! Rozumie pan? Na

własny użytek nazywam to bezbożnym wyrzutem sumienia, to chyba jasne, prawda? Jeśli nie ma jednego boga, wszystko może nim być; źródłem mojego poczucia grzechu nie jest jeden tylko wymóg, lecz nieskończenie wielki splot wymogów. Każde moje działanie jest działaniem pozornym, bo przecież nic nie jest istotne, choć wszystko może takie być, więc każde moje działanie jest istotne; nie potrafię odpocząć, nie mogę się rozluźnić, dwadzieścia cztery godziny na dobę żyję w konwulsjach. Pan jest jedyny, który może mnie wyleczyć, bo to jest choroba, a pan jest lekarzem! Proszę wyrzeźbić ze mnie aktora! Musi mi pan odebrać osobowość! Niech mi pan pomoże!

- Chce pan zostać aktorem? - spytał osłupiały Bogusławski.

- To, to! Człowiek cebula! Ze wszystkich moich autobogów niech pan wykroi jedną postać! Postać można wytrzymać! Pan gra na scenie niezliczone postaci, pan potrafi przetrwać wszystkie możliwości i uwolnić się od nich! Pan umie rozkroić się na postaci, umie też rozcinać się w czasie, to jest to, czego ja nie potrafię.

- Słowem, mój królu, mam dawać panu lekcje - upewnił się Bogusławski.

- Nie chcę się zapisywać - powiedział Morawski. - To oczywiste.

- Nie?

- Jasne, że nie.

- Ale jeśli chce pan zostać aktorem...

- Wytłumaczyłem czemu! Nie było jasne?

- Kiedy życzy pan sobie mieć pierwszą lekcję? - spytał Bogusławski wymijająco.

- Teraz! - Morawski wyciągnął weksel. - Trzy tysiące złotych - powiedział zmieszany - jeśli Mistrz zaszczyci mnie ich przyjęciem...

- A więc dobrze, panie generale - powiedział Bogusławski po namyśle. - Niech pan teraz wyjdzie, parę minut postoi w bramie, potem wróci i powie wszystko od początku, ale tak, żebym pękł ze śmiechu.

Morawski przerwał spacer.

- Proszę mnie nie odsyłać! - jęknął przerażony.

- Nie odsyłam. To pierwsza lekcja. Proszę zagrać to, jak pan przed chwilą pojawił się u mnie, ale tak, żeby mnie to rozśmieszyło.

- Mam zagrać siebie?

- Tak.

- Ale kiedy tego jest więcej!... - Morawski ociągał się. - Ale wpuści mnie pan, prawda?

- Przyrzekam.

- Zostawię tu płaszcz.

Bogusławski milczał.

- Chyba nie pójde aż do bramy - mruknął Morawski. - Tylko wyjdę za drzwi...

- Proszę.

- Pan rozumie, Mistrzu? - spytał generał, stojąc w otwartych drzwiach; wyglądał, jakby stracił wszelką nadzieję. - Ja nie jestem identyczny...

- Proszę wyjść, a potem wrócić - powiedział Bogusławski.

Morawski wyszedł. Mistrz poszedł za nim, zamknął drzwi, usiadł za biurkiem i zapatrzył się na weksel.

Morawski otworzył drzwi, przystanął niepewnie i popatrzył błagalnie na gospodarza.

- No dobrze - powiedział Bogusławski. - Proszę, mój królu, wyjść jeszcze raz. Ale aż do bramy. To pomoże. Będzie lepiej, jeśli otworzy pan drzwi z rozmachem, trochę zadyszany na schodach. Gdy się tylko stoi, trudno się wprawić w stan podniecenia.

- Dlaczego, czy byłem podniecony, kiedy przyszedłem?

- Podniecony i zakłopotany. Zakłopotanie zostało, to dobrze. Proszę się zmęczyć, panie generale.

Morawski wyszedł, potem szybko wrócił, oddychał ciężko.

- Oczywiście te trzy tysiące złotych to nie koniec...

- Zacznijmy, proszę - przerwał mu Mistrz.

Morawski wyszedł; odczekawszy chwilę, powrócił i rozejrzał się bezradnie.

- Zaczął pan od usprawiedliwień - przypomniał mu Bogusławski. - Potem wyciągnął się pan na ławie.

Morawski machnął ręką.

- Może jednak zacznijmy kiedy indziej - powiedział z rezygnacją. - To wszystko jest dla mnie nowe, jeszcze nie jestem gotów... Ale będę się bardzo starać! Prawda, że przyjmie mnie pan do szkoły? Żebym mógł być między wami!

- Dobrze - odparł Bogusławski. - To zaszczyt, że pan generał pragnie być moim uczniem. Proszę przyjść jutro wieczorem, na pierwszą lekcję. Z radością pana powitam. A chesne będzie znacznie niższe.

- Ale proszę przyjąć tę drobnostkę! Przecież jestem bogaty! Dla mnie to tyle, co dla pana trzysta złotych. Mam też boga przejętego od jakobinów, który w ten sposób pragnie złagodzić społeczną niesprawiedliwość... Do jutra!

I uciekł.

Bogusławski szedł do kuchni.

- Kto był u ciebie? - spytała Marianna.
- Pewien generał - powiedział Mistrz. - Dał mi trzy tysiące, chce zostać aktorem.
- Wariat.
- Diabli wiedzą.
- Czy to trochę nie za dużo?
- To chesne - powiedział Bogusławski i wyszczerzył zęby.

Następny dzień spędził na goleniu się, sprzątaniu i porządkowaniu. Czasem wpadał do kuchni, by zobaczyć, co robią Marianna i Aniela, jakie będzie ciasto.

- Czuję się jak stara baba - powiedział - gdy wreszcie przychodzi do niej zalotnik.

Pod wieczór co pięć minut wyglądał przez okno, a kiedy uznał, że już pora, udał się do wychodka, gdzie opatulony w kozuch siedział w kucki, słuchając tupania przychodzących i strzępów rozmów, a kiedy uznał, że już nikt nie nadejdzie, ostrożnie, by nie zaskrzyphiały, otworzył drzwi, zamknął je za sobą, powąchał ramiona i ręce, po czym powolnym krokiem wszedł do domu.

Dostojne wejście nagrodzono spontanicznymi brawami.

Mistrz z uśmiechem skinął głową i usiadł za biurkiem na jedynym krześle, które lojalni uczniowie pozostawili dla niego.

Zlustrował zgromadzonych spojrzeniem. Morawskiego wśród nich nie było. Wszyscy spoczęli na ławach, w półleżącej pozycji, co stworzyło miłą atmosferę. Ledóchowska była wystrojona, reszta ubrana normalnie. Aniela i Marianna postawiły na podłodze przed gośćmi ciasto, obok Żółkowskiego stało kilka butelek wina, właśnie zmagął się z korkiem.

- Wiem - zaczął Bogusławski z namysłem - że kilkoro z was traktuje tę szkołę jako jałmużnę.

Podniósł rękę, by powstrzymać głosy oburzenia.

- I to miłe z waszej strony, że znaleźliście pretekst, by pomóc staremu aktorzyynie. Tylko że ja naprawdę chcę was uczyć i pragnę uczyć się od was. Nie chcę tu rządzić, uważam, że najlepiej będzie, jeśli wszyscy na równych prawach weźmiemy udział w grze. Bo będziemy grać, nic więcej i tak nie możemy.

To również przyjęto gorącymi brawami.

Wtedy zjawił się Morawski. Był w cywilu, jego przybycie wzbudziło zdziwienie. Bogusławski przedstawił go i oznajmił, że pan generał także pragnie nauczyć się gry aktorskiej, niechaj obecni przyjmą go serdecznie. Zapadła cisza, Morawski usiadł skromnie na ławie między Fiszerem a Ledóchowską. Fiszer gapił się na niego, Ledóchowska ostentacyjnie nie odwróciła nawet głowy, siedzący na innych ławach tylko łypali oczami

w jego stronę.

- A więc, drodzy uczniowie - rzucił szybko Bogusławski - długo się głowiłem, jaki program mam ustalić. Jest tu w kufrach sporo sztuk, możemy sobie jakąś wyciągnąć. Jest też inna możliwość. Jeśli ktoś dostanie od pana dyrektora trudną rolę, będziemy wspólnie z nim próbować, pomożemy mu. Jeśli, powiedzmy, pan Kudlicz rozpocznie jakieś próby, my też możemy to zrobić w nieco skromniejszym wymiarze.

Uczniowie zachichotali.

- Możliwości - ciągnął Mistrz z poważną miną - są niewyczerpane. Tylko oper nie będziemy się uczyć, bo, jak widzicie, nie mam fortepianu.

- To drobiazg - wtrącił Morawski. - Załatwimy.

Znów wszyscy na niego spojrzeli.

- Postanowiłem - oznajmił Mistrz - że wspólnie wymyślimy, co chcemy robić.

Zebrani zastanawiali się w milczeniu, szeptali między sobą, rzucając strzępki pomysłów, ale nikt nie odezwał się głośno.

- Proszę, porozmawiajmy szczerze - pośpiesznie zaproponował Morawski. - Wiem, że moja obecność może państwa niepokoić, ale zapewniam, nic przeze mnie stąd nie wycieknie.

- A pan generał nie boi się - odezwał się Żółkowski z butelką wina między kolanami - że coś od nas wycieknie na pana temat?

Morawski zaśmiał się.

- Udało mi się wyrobić sobie opinię ekscentryka, od razu podejrzewa się mnie o wszelkie wariactwa. To ten Morawski, idiota, powiedzą i machną ręką, a to będzie równoznaczne z wyrokiem uniewinniającym.

- Czy wiedzą, że przychodzi pan tutaj uczyć się aktorstwa? - zapytał grzecznie Aszperger.

- Ja nikomu nie mówiłem - odparł Morawski - więc z pewnością już wiedzą.

Można się było uśmieć.

Żółkowski znów szukał jakichś przeszkód.

- Nie wątpię w nasze wzajemne dobre intencje - powiedział z namysłem - ale aktorstwo to niebezpieczna dziedzina, czasem na próbach mogą wypłynąć jakieś brzydkie rzeczy o człowieku. Tego też się pan nie obawia?

- Z całym szacunkiem - odparł Morawski - nie sądzę, bym był bardziej interesujący niż wspólna praca, do której pan Bogusławski nas tu zaprosił. Nie wiem, czemu właśnie na mnie się zafiksowano.

- Bo pan jest Iksem - powiedziała Ledóchowska.

- Pani artystko - odwrócił się do niej Morawski. - Proszę zrozumieć, że ja tylko wśród Iksów jestem Iksem. Tu nie jestem ani Iksem, ani generałem, tu jestem Franciszkiem Morawskim, lat trzydzieści dwa, kawalerem. Kiedyś we Frankfurcie chodziłem na filozofię, a mając dwadzieścia lat, przewędrowałem cały świat, poszedłem pieszo do Królewca, do Kanta. Gdy wyruszałem, jeszcze żył. Kiedy dotarłem na miejsce, już nie żył. Chciałem go zapytać, skąd w nim taki optymizm, jeśli i tak myślimy o wszystkim *a priori*, a więc nigdy nie potrafimy się uwolnić od ciasnych kategorii myślenia człowieka. Kant nie mógł mi odpowiedzieć *post mortem*. Od tamtego czasu nie odłożyłem pytania *ad acta*. Może właśnie po odpowiedź przyszedłem teraz do was. Ale tutaj nie jestem też filozofem. Chciałbym zostać aktorem.

- To parszywy zawód - powiedział Żółkowski współczująco. - Podły, wstrętny zawód. Nie tęskniłbym tak za naszym towarzystwem, panie generale.

- Proszę powiedzieć, panie generale - wtrąciła się Ledóchowska - kiedy wróci pan stąd do domu albo spotka się z Iksami, co się z panem stanie? Pozostanie pan kandydatem na aktora czy zmieni skórę na Iksa?

- Tego nie wiem - przyznał smutnie Morawski.

- Interesujące - burknął Żółkowski i wreszcie wyciągnął zębami korek. - Może jednak wypłynąć z jakiegoś ja pana generała coś, czego pan generał nie będzie chciał...

- Jeszcze jedno pytanie, jeśli pan pozwoli - przerwała mu Ledóchowska. - Kiedy pan bywa człowiekiem?

Żółkowski syknął niezadowolony.

- Chyba nigdy - powiedział Morawski przygnębiony.

Bogusławski z kamienną twarzą siedział okopany za biurkiem i przeklinał siebie, że wpuścił Morawskiego do domu.

- Naszym zadaniem - postanowił przejąć inicjatywę - jest właśnie ustalenie tego. Jestem wdzięczny panu Morawskiemu, że tak jasno to ujął. Chciałbym gorąco prosić wszystkich, by byli tak bezbronni w swej szczerości, jak przed chwilą pan Morawski. Musimy wyjść od tego, że ostatecznie nie wiemy nic ani o sobie, ani o naszych rolach. To może być bardzo obiecujący punkt wyjścia.

Rozległo się kilka pomruków aprobaty.

- Przepraszam, że mówię jak głupia kobieta - powiedziała Aszpergerowa głosem bardziej piskliwym niż zwykle - ale wobec tego to nie jest szkoła. Zebraliśmy się tu po to, by Mistrz przekazał nam swoje doświadczenia, a teraz się okazuje, że doświadczenia Mistrza są nic niewarte.

- Więc możesz iść do domu - powiedziała jej młodsza siostra - a tatunio poprosi potem o zwrot czesnego.

- Moja droga Katarzyno - odezwał się Aszperger - przecież wiesz, jak bardzo potrzebujemy Mistrza!

- Moim zdaniem - powiedziała Helena - niech idzie do domu każdy, kto przyszedł tutaj, bo liczył, że Mistrz wkrótce znowu zostanie dyrektorem.

Fischer zachichotał.

- Co powiecie na małą improwizację? - podsunął Żółkowski.

Bogusławski przytaknął.

- Na przykład - ciągnął Żółkowski - moglibyśmy zagrać Iksów.

Morawski zaśmiał się, reszta milczała dość zakłopotana.

- To byłaby niezła zabawa - argumentował Żółkowski. - Komu nalać?

Kilka osób podsunęło kieliszki.

- Moglibyśmy zagrać, jak się pisze krytyczną recenzję - powiedział Żółkowski i zaczął nalewać. - Pan generał nie życzy sobie? Nie. Przyznaję, bez punktu oparcia trudno improwizować, czy mógłbym więc prosić pana generała, by zrelacjonował nam posiedzenia Iksów, przedstawił charakter każdego Iksa, żebyśmy mogli od czegoś zacząć?

Zapadła cisza, znowu wszyscy wpatrywali się w Morawskiego.

Ten zagryzł wargi.

- Wygląda na to - powiedział - że dopiero wtedy przyjmą mnie państwo, gdy zdradzę wszystkich, których znam.

Nie było odpowiedzi.

- Mają państwo rację - powiedział Morawski. - To w końcu ja się tu wepchnąłem. No tak, wepchnąłem się tutaj bez zaproszenia, to fakt. Niech taki generał, taki Iks, taki zamożny człowiek udowodni... nawet nie wiem, co mam udowodnić. Że nie utożsamiam się ze swoim statusem. Mają państwo prawo oczekiwać tego ode mnie, dlatego bowiem chcę zostać aktorem, że i ja wymagam tego od siebie.

Żółkowski parsknął z powątpiewaniem, reszta uważnie śledziła rozwój sytuacji. Bogusławski z kamienną twarzą bębnił palcami po stole.

- Wiem, że muszę złożyć przed państwem egzamin - powiedział Morawski. - Ten egzamin jest bardzo mi potrzebny. Nie chcę się usprawiedliwiać, ale muszę powiedzieć: Iksowie mają tajną konstytucję, całej nie pamiętam, tylko ją przejrzałem, ale utkwilo mi w głowie, że Iksowie zobowiązują się do zachowania całkowitej tajemnicy, a wraz z nimi i ja. Nie chcę, by państwo myśleli, że traktuję poważnie taką dziecianną konstytucję. Przeciwnie.

I teraz najbardziej dziwię się temu, że mimo to waham się wydać swoich towarzyszy. Jeszcze przed kilkoma minutami byłem pewien, że zrobię to bez wahania, czemuż by nie, ja tylko wśród Iksów jestem Iksem, gdzie indziej nie, tu na przykład chciałbym być aktorskim sługą...

- Odwrócił się do Ledóchowskiej. - Ma pani zupełną rację, pani artystko, ja naprawdę nie wiem, kiedy jestem człowiekiem, ale pytam: jeśli wśród państwa będę się zachowywać jak aktor, a państwo mnie zaakceptują, kto zagwarantuje, że uda się być człowiekiem między wami?...

Morawski zamilkł, zerwał się z ławy i zaczął chodzić po pokoju.

- Nie dręczcie już tego biednego młodzieńca! - krzyknęła Marianna.

- Sam się zadreżca - orzekła Aniela, obserwując chodzącego Morawskiego.

- Gdybym to ja był generałem - zauważył Malinowski - wiedziałbym, co robić.

- To co by pan zrobił? - spytał Morawski, zatrzymując się przed nim.

Malinowski wstał, by nie zadzierać głowy do góry.

- Wyciągnąłbym szablę i wydał rozkaz do rozpoczęcia powstania.

- Znakomicie - powiedział Morawski i uśmiechnął się. - Ale przeciw komu?

Przeciwko czemu?

- Przeciwko carowi, Austriakom, Prusakom. Przeciwko Świętemu Przymierzu. Za Polskę!

- No tak - powiedział Morawski i spojrzał na spoczywające w leniwych pozycjach towarzystwo. - Założmy, że wyciągnę teraz szablę. Pójdziecie za mną?

- Jakżeby nie! - wykrzyknął Malinowski.

- A państwo?

Pozostali milczeli.

- Ja z pewnością nie - wysapał Żółkowski. - Pan generał jest teraz w cywilu... Zresztą ja już pod Kościuszką dość się nawojowałem. On był naszym największym wodzem, nieprawdaż? I nawet w jego przypadku okazało się, że to dyletant.

- Nieprawda! - wykrzyknął Malinowski. - Największy europejski specjalista od wojny partyzanckiej! Każdy autor prac fachowych...

- Najgorsze jest to - odezwał się Szymanowski - że w czasie powstania powinien był także dowodzić regularnym wojskiem. I nie ma co przeczyć, to już mu się nie udało.

- A jak się miało udać! - ryknął Malinowski. - W Komisji Wojny siedzieli sami idioci, nie było ani żarcia, ani prochu, ani organizacji!...

- Pardon - powiedział Morawski. - Komisji Wojny rozkazywał król, a on do końca szukał sposobu, jak uzyskać przebaczenie od carycy...

Mówili jednocześnie, przerywając sobie, potem nagle obaj zamilkli.

- Nie to chciałem powiedzieć - podjął po chwili Morawski. - Załóżmy, że dysponuję cnotami Napoleona. I pytam ponownie: pójdziecie za mną?

- Ja bym pozostał w Warszawie i zagrzewał do walki za pośrednictwem teatru - odparł dyplomatycznie Szymanowski.

Pozostali milczeli.

- Tak więc - podsumował Morawski - piękna to rzecz powstać za Polskę, ale czym jest ta Polska? Albo kim?

Malinowski zrobił szeroki gest ramionami, pokazując: to wszystko jest Polska.

- Byłbym wielce rad - powiedział Morawski - gdyby ktoś kiedyś precyzyjnie zdefiniował, czym jest Polska, za którą przecież nasze życie i krew... Dla Czartoryskiego z pewnością Polska to jego majątki, tyle że obecnie jest to terytorium częściowo austriackie, a częściowo rosyjskie... A swoją drogą Polska bardzo łatwo pełźnie po mapie wte i wewte. Dla księcia Radziwiłła oznacza Poznań z Landrechtem oraz żonę z Hohenzollernów. Gdy moi żołnierze wracający z tułaczki dotarli do ich wsi, okazało się, że dla nich dwie-trzy mile kwadratowe ziemi to państwo, a i ta ziemia też nie była ich. Kto ma tu rację?

- Ja - powiedział Żółkowski i pociągnął z flaszki.

Morawski stracił nieco rozpęd i spojrzał na niego. Żółkowski wznosił butelkę w jego stronę i dopił resztę.

- Dla mnie Polska - podjął Morawski - to fantom. Coś, co przeminęło, o czym można paplać. Ale przeszłość każdy inaczej sobie wyobraża, przeszłość też jest w ruchu, pełźnie tam i z powrotem. Powołują się wszyscy na państwo Stanisława Augusta; ale czym ono jest? Ja go nie widziałem. Kiedy zobaczyłem, było właśnie po rozbiorach. Ale przecież i wcześniej je rozbierano! A może język? Walczyliśmy na pradawnych ziemiach polskich, gdzie chłopci ani w ząb nie rozumieli polskiego. Ukraińcy, Litwini, Żydzi, czy oni to nie Polska?

- A temu co do tego? - mruknął Malinowski obrażony.

- Jedna trzecia Warszawy jest żydowska - odwrócił się ku niemu Morawski - więc Warszawa to nie do końca Polska?

Malinowski milczał wściekły.

- Oczywiście, że nie - ciągnął Morawski. - Bo Polska to zamglony obraz, nie można wziąć głębszego oddechu, bo się rozwieje.

Dla efektu zrobił pauzę, Szymanowski tego nie zauważył:

- Im bardziej niewyraźny jest zamglony obraz, tym jest silniejszy - powiedział i sam sobie przytaknął.

- Zauważyłem - znów zabrał głos Morawski - że każdy pamięta przeszłość według swoich pragnień. Przeszłość jest więc przyszłością! To, co pragnę osiągnąć, wyobrażam sobie na podstawie przeszłości! Tak czyni filozofia od setek lat. Czemu nikt nie zwrócił na to uwagi? Polska to podwójny fantom: zachowany w pamięci obraz i utopia, bądź definiując *negative*: jest wszystkim, czym nie jest teraz. To, proszę państwa, dotyczy także mnie: mam w pamięci pewien obraz samego siebie i mgliste wyobrażenie o tym, jakim chciałbym być. Tylko że nie jestem tożsamy z tym, który teraz tu przed państwem gestykuluje.

Żółkowski już od dawna nie zwracał na niego uwagi, ale teraz go usłyszał i gorliwie przytaknął. Helena roześmiała się cicho. Tymczasem Żółkowski poprosił Mariannę o talerzyki i teraz kroił ciasto. Czynił to bardzo uważnie, tym także można się było zabawić, i nic nie mówił, zachowywał się tak, jakby chciał przytłumić nawet szcęk talerzyków, byle tylko nie zakłócić gonitwy myśli generała Morawskiego.

- Polska czy Franciszek Morawski - kontynuował gość - to ta sama mglistość. Ma się rozumieć, że oczywiście moja pamięć i fantazja działa na podstawie jakichś reguł, które można nazwać, powiedzmy, bogiem, ale to, skąd biorę swe wartości i zasady, a mówiąc jeszcze wznioślej: imperatyw kategoryczny, to zakrywa najgęstsza mgła.

Talerzyki krążyły z rąk do rąk. Żółkowski wyczarowywał coraz to nowe butelki wina, pokazywał ich marki, na migi dopytywał się, kto jakie woli. Pozostali odpowiadali mu też gestami. A Morawski mówił dalej.

- Czy obecnie filozof również ma się zajmować tym, czym według naszych wyobrażeń zajmowali się dawniej filozofowie? Przyłączyłem się do Iksów, którzy zorganizowali się po to, by wspólnie pisać recenzje teatralne. U nas już od kilku lat niektórzy gryzmołą takie recenzje na francuską lub niemiecką modłę. Że Lessing tak sobie gryzmolił, to zrozumiałe: miał swoje pismo, czymś musiał je zapełnić. Ale po co teatralne recenzje piszemy my? Bo takie czy inne recenzje mają Niemcy i Francuzi, no to niech będą także u nas. Tylko po co? Może źle pojmujemy przeszłość i terażniejszość, to, co francuskie, i to, co niemieckie. A jeżeli jakiś gatunek nie został jeszcze przez nikogo wymyślony, to my sami z siebie nie potrafimy na to wpaść. Widzę to tak: u nas nic nie powstaje samo z siebie, spontanicznie, w sposób oczywisty, zgodnie z naturalnym przebiegiem funkcji życiowych, wszystko musimy zaplanować, musimy się do tego zmuszać, bo gdzie indziej albo w źle rozumianej przeszłości coś podobnego już zrobiono; zajmujemy się małpowaniem! Małpowaniem!

Kilka osób go słuchało, Aszperger kręcił głową, Żółkowski pokazał gestem, by pozwolono mu dalej mówić, jego to interesuje.

- W takich chwilach czuję - ciągnął Morawski i widać było, że wyczuwa, iż teraz

naprawdę go słuchają - że potrzebna jest nam teoria, uporczywe wytyczanie celu, byśmy potrafili rozwiązać nasze codzienne oddawanie stolca. Bardziej szczęśliwe narody oddają stolec, gdy czują taką potrzebę, my natomiast jedynie wtedy, gdy się zorientujemy: inni zwykli oddawać stolec, my mamy z tym problemy, może nieprawdziwe, ale tak się nam wydaje, więc zgrzytając zębami, bohatersko musimy udowodnić wykształconemu i wybrednemu światu, że oto i my wcale nie jesteśmy gorsi!

Na twarzy Żółkowskiego pojawił się grymas; wyraźnie z czymś się zmagał, jakby zrobiło mu się niedobrze. Większość zebranych to spostrzegła, zaniepokojona Marianna uniosła brwi.

- Czyżby ta wtórność, to małpowanie, miało być Polską? Gdyby tak było, to powinniśmy zadać sobie logiczne pytanie: czy za taki kraj warto poświęcić życie i przelewać krew? Anglik nigdy nie powie o sobie, że jest Anglikiem; nie musi takim argumentem co chwilę podpieierać swojego niepewnego istnienia, jego angielskość jest czymś naturalnym...

Żółkowski skulił się, przycisnął ręce do brzucha, Bogusławski uśmiechnął się leciutko.

- A jednak musi się czymś być - powiedział Fiszer. - Może decydują o tym ci, dla których my jesteśmy Polakami... oni mogli zmusić mojego ojca, który urodził się jako Niemiec, by rozzłoszczony uznał się za Polaka; mój stryj także był Niemcem i zginął pod Moskwą jako polski generał, oczywiście za Francję...

- Kto to był? - spytał Morawski. - Jak się nazywasz?

- Fiszer. Antoni.

- Fiszer? Chyba nie...

- Jego stryjem był generał Fiszer - wtrąciła Helena.

- Ja go nie znałem - rzekł Fiszer - nigdy go nie widziałem...

Morawski ze wzruszeniem położył rękę na ramieniu chłopaka.

- Ubóstwiałem generała - powiedział. - Był bohaterem, prawdziwym bohaterem!...

Twarz Żółkowskiego wreszcie złagodniała, pojawił się na niej uśmiech błogości, wiercił się na ławie, szczerząc z rozkoszy zęby. Potem podejrzliwie zaczął węszyć wkoło. Nawet Ledóchowska nie mogła się powstrzymać od śmiechu, choć gardziła takimi atrakcjami.

Żółkowski przybrał niewinną minę, z zaciekawieniem odwrócił się w stronę Morawskiego i słuchał, kiwając głową, co sprawiło, że wiele osób roześmiało się głośno.

- W osiemset dziewiątym - wspominał Morawski z rozczuleniem - byłem jego adiutantem, on wywalczył dla mnie Virtuti Militari... Chcesz, żebym cię usynowił?

Zmieszany Fiszer zaśmiał się głupkowato.

- Pan generał musiałby być dojrzały płciowo już w wieku dziesięciu lat - powiedział niedorzecznie.

- Więc traktuj mnie jak starszego brata. Mówię poważnie! Ty też jesteś aktorem?

- Muzykiem - odparł Fiszer niepewnie.

- Dramatopisarzem - wtrąciła szyderczo Helena.

- Ooo - powiedział Morawski. - Pokażesz swoje utwory?

- Ja tylko chciałem powiedzieć - Fiszer chrząknął i cofnął się - że jest jednak coś, co można nazwać polskością.

- Naprawdę? - spytał Morawski. - A co z tymi niemieckimi generałami, którzy służyli w wojsku carskim przeciw generałowi Fiszerowi? Za Rosję? Nie zaprzeczam, że jest w tym coś, czego nie rozumiemy i nie znamy, stwierdzam tylko, iż jest jakaś ważna życiowa kwestia, a mianowicie to, że dla mnie nie ma już naturalnych okoliczności i ani Polska, ani Franciszek Morawski nie są czymś zrozumiałym samo przez się, lecz łamigłówką wymagającą rozwiązania.

Zwrócił się do Ledóchowskiej:

- Morawski - powiedział - przypuszczalnie chce być człowiekiem. Ale jaki ideał człowieka nie jest mi obcy? Lecz jeśli nawet jakiś istnieje, to swoje ideały czerpię z mimowolnie zinterpretowanej przeszłości! A może takie immanentne ograniczenia zawężają mój sposób myślenia, dzięki któremu w każdej chwili, zawsze wyznaczam sobie za cel jedynie anachroniczny ideał człowieka? - Przystanął przed Ledóchowską. - Jest pani wielką aktorką. Proszę mi powiedzieć, czy zdarzyło się już, by w jakiegokolwiek roli zmienił się pani sposób myślenia? Że była pani zdolna do innej logiki niż ludzka?

Aktorka zastanowiła się.

- Nie chodzi o sposób myślenia - odrzekła po chwili. - Ja wypowiadam gotowy tekst, który podyktowała logika autora; czemu logika autora miałaby być inna? Zresztą słowo „logika” nie jest dobre. Zdarza się tylko, że wybuchają we mnie emocje, o których istnieniu wcześniej nie wiedziałam.

- No więc ja - powiedział Morawski - muszę wyznaczyć drogę życiową Morawskiego, jak pani wczuwa się w napisaną rolę. Tylko że i tę rolę sam muszę napisać. A jeśli nie jestem dobrym pisarzem? I jaką rolę mam napisać, jeśli w minionym dziesięcioleciu zdobyłem tylko jedno ważne doświadczenie: takie, że każda dotychczasowa rola była zła? - Spojrzał z rezygnacją na wrogo nastawionych milczących aktorów. - Najgorsze jest to - zakończył, już tylko do siebie - że muszę wątpić także w swe zwątpienie.

Usiadł na ławie. Marianna roznosiła nowe ciasto. Milczenie trwało długo.

Bogusławski patrzył w płomyk świecy, wreszcie przemówił:

- Proszę nie wierzyć, panie Morawski, że jesteśmy zbyt głupi na przyjęcie pańskich rozważań. Ale postarajmy się zrozumieć jeden drobiazg. Ani w życiu, ani na scenie nikt z nas nie grał takiej roli, w której mógłby się uwolnić od własnych ograniczeń. Jakoś zawsze przydziela się nam role przegranych, które każdy w zależności od swego talentu i siły musi rozgryźć. My także, panie generale, żyjemy wśród ograniczeń, niekiedy bardzo dużych. My, panie generale, nie możemy uciec tam, gdzie nas oczy prowadzą. Pan ma zbyt dużo swobody, panie Morawski. Pan spokojnie może szukać przeszkód w samym sobie. Natomiast dla nas te przeszkody istnieją raczej na zewnątrz.

Rozgniatając ciepły kawałek wosku, który spłynął ze świeczki, Bogusławski mówił dalej:

- Być może, mój królu, pańskie problemy są wyższego rzędu. My musimy przede wszystkim zatroszczyć się o jedzenie, byśmy mogli się wznieść do tak sugestywnie odmalowanego przez pana jako trudność oddawania stolca. Z pańskiej wysokiej pozycji może rzeczywiście problem oddawania stolca ma znaczenie drugorzędne. Ale proszę nie myśleć, że w tej części świata jest to najważniejszy problem.

Żółkowski chichotał ubawiony.

- Wszystko można podać w wątpliwość - odezwał się Fiszer - poza jednym: tym, że żyjemy.

- Bzdura - powiedziała Helena.

- Albowiem - ciągnął niezmiyszany Fiszer - ja widzę to tak: wszystkich nas łączy doświadczenie życia. Nie wierzę, by można było żyć na zbyt wiele sposobów. Dla pana, panie generale, wątpliwa stała się pierwsza część „cogito ergo sum”. Również dla mnie. Ale może trzeba by to ująć inaczej: „cogito ergo sum et cogito”. Albo, gdyby było w łacinie takie słowo, w miejsce „sum” i „cogito” powinniśmy stworzyć jeden czasownik, który by zawierał oba te znaczenia, bez związku przyczynowo-skutkowego. Nie ma „ergo”. Nie dlatego jestem, że myślę, i nie dlatego myślę, że jestem, tylko po prostu myśląc - jestem, bądź istniejąc - myślę. I najchętniej wtopiłbym do tego czasownika to, co do tej pory traktowałem oddzielnie, mógłbym to nazwać myśleniem w bycie, które trwa tyle, ile trwa ludzkość; kiedy zniknie ludzkość, zniknie też samo myślenie; wraz z myśleniem zginie przedmiot myślenia...

- Ja z tego pojmuję tylko tyle - rzekł Morawski - że zawsze istnieliśmy, myśląc, a moje pytanie istnieje, od kiedy człowiek...

- I właśnie to znaczy - powiedział Fiszer.

- Tak sądzisz? - spytał zaskoczony Morawski. - Sądzisz, że już tysiąc lat temu w taki

sposób powinniśmy byli zaplanować samych siebie?

- Tak sędzę - odparł Fiszer.

- Czy kiedyś się to komuś udało?

- Nie.

- I nie uda się?

- Nie.

Niezadowolony Żółkowski gderał, że taką sofistykę można sobie darować, nie tego oczekiwali za swoje pieniądze.

Fiszer jeszcze tylko pokazał swe ręce:

- Mam przed sobą ojca - powiedział. - Zatopiony w myślach, potrafił z radością obcinać sobie paznokcie u nóg, a potem i tak zmarł.

- O co tu chodzi? - spytał Aszperger nerwowo.

- Nie wiem - odrzekł Fiszer. - Ale czy to nie jakiś obłąd? Człowiekowi tylko rosną, tylko rosną te paznokcie i nic nie może na to poradzić! - Roześmiał się przez zęby.

Marianna zatrzymywała szykujących się do wyjścia gości, ci powoływali się na późną porę, następnym razem z pewnością przyjdzie kolej także na aktorstwo. Przyniosą sztuki i pomysły. Marianna usiłowała wepchnąć im kolejne kawałki ciasta. Malinowski mruknął, że z tego nic nie wyjdzie. Bogusławski nadal siedział za biurkiem; zauważył, że Aszperger znieawidził Fiszera; Morawski, Fiszer, Ledóchowska chcieli jeszcze zostać, Helena w drzwiach dała znak Fiszerowi, że zaczeka.

- No, chodź - powiedział Morawski do Fiszera, złapał go za kark i po przyjacielsku wyciągnął za drzwi.

Aszpergerowie podeszli do Mistrza, by wyrazić wdzięczność, że mogą uczestniczyć w zajęciach w jego szkole, która z pewnością okaże się wspaniałą, i niech Mistrz będzie spokojny, każdy początek jest trudny, ale wkrótce będą grać razem. Szymanowski nie powiedział nic.

Marianna zeszła otworzyć bramę, w pokoju z Mistrzem zostały tylko Ledóchowska i Aniela.

- Bardzo mądry człowiek ten Morawski - odezwała się Ledóchowska.

- Fiszer też - powiedziała Aniela. - Nigdy bym się nie spodziewała.

Bogusławski potrząsnął głową.

- Nie mądrość decyduje - odburknął. - Mądry może być każdy.

- Nie bądź zazdrosny, Mistrzu - roześmiała się Ledóchowska. - Zrobimy tak, by najbliższym razem pan był w centrum.

- Nie można było stawiać Morawskiego w tak niezręcznej sytuacji - oburzyła się Aniela. - Po co się wpychać w mentalność Iksów?

- Z pewnością Mistrz zbiera informacje - powiedziała z uśmiechem Ledóchowska.

Obie panie też już miały wyjść, ale wyglądało na to, że nie chcą iść razem. Bogusławski patrzył na nie i poczuł się bardzo stary.

- No dobrze - powiedziała Ledóchowska. - Ja już idę.

Włożyła płaszcz.

- Mogę tu spać? - spytała Aniela.

Bogusławski wzruszył ramionami i zszedł do kuchni.

Najpierw wyszła Ledóchowska, potem powoli także Aniela.

Marianna sprzątała do rana.

Bogusławski sądził, że na następną lekcję nikt nie przyjdzie, ale ku jego zaskoczeniu pojawili się wszyscy. Morawski przyszedł z Fiszerem, najwyraźniej zdążyli się zaprzyjaźnić. Generał zaczął od *mea culpa*: ma wielką nadzieję, że będą grać i się uczyć, on uroczyście przyrzeka, że weźmie się w garść i nie będzie męczyć towarzystwa gadaniną.

- Byłoby wspaniale - stwierdził optymistycznie Żółkowski.

Tym razem ciasto podawała Aniela. Ignacy był na służbie, Marianna musiała zająć się dzieckiem.

Bogusławski zaproponował, by odegrali *Szkolę kobiet*, on na poczekaniu zrobił już podział ról, ale zgodnie z życzeniami uczniów może oczywiście go zmienić. Wybuchło ożywienie, domagano się przedstawienia obsady, Bogusławski przeczytał ją z karteczek. Po chwili gderania i szeptów Ledóchowska zauważyła:

- Morawski nie dostał żadnej roli.

Zapadła cisza, Morawski zaczerwienił się i po chwili powiedział:

- Nie szkodzi, wręcz przeciwnie, zobaczę, jak państwo grają, to także nauka.

- Myślałem też o tym - powiedział szybko Bogusławski - że wspólnie przelecimy całość. Ewentualnie weźmiemy od pana Moliera zarys akcji i będzie z tego *commedia dell'arte*... A w końcu możemy dopisać nowe role, na przykład dla pana generała.

Morawski oświadczył, że *commedia dell'arte* bardzo go interesuje.

Dmuszewski podsunął nieśmiało, że mogliby napisać również całkiem nową sztukę, to nie potrwa długo, dawniej często pisało się sztukę w ciągu dwóch, trzech dni.

- Napiszmy sztukę o Iksach - zaproponował Żółkowski.

Morawski roześmiał się.

- Dobrze - powiedział. - Jestem za tym.

- Daj już spokój tym Iksom - huknęła Żółkowska. - To jakaś mania.

- A co, niedobra komedia? - spytał Żółkowski, robiąc niewinnie wielkie oczy. - Siedzi sobie grupka idiotów i plotą bzdury... Ja na przykład z przyjemnością zagram rolę Koźmiana.

Wysunął podbródek i zrobił mroczną, surową minę.

Zebrani roześmiali się.

- Ja będę generałem Morawskim - powiedział Fiszer zuchwale.

- A ja Osińskim - mruknął Mistrz z umiarkowanym entuzjazmem. - Dajmy sobie spokój z Iksami.

W drzwiach ktoś zakasłał, odwrócili się.

Stał w nich Niemcewicz w futrze narzuconym na ramiona i uśmiechał się złośliwie.

- Słyszę, że można się tu nauczyć pisania sztuk - powiedział i wszedł głębiej. - Widzicie jeszcze we mnie odrobinę fantazji?

Przywitano go wśród śmiechu, radosnymi okrzykami, aktorzy go kochali.

- Jakie jest czesne? - spytał Niemcewicz, podchodząc nieśmiało jak uczeń do biurka Bogusławskiego.

- Jesteś beznadziejnym przypadkiem, mój królu - zachnął się Bogusławski. - Masz darmo.

Nie dostrzegłszy wolnego miejsca, Niemcewicz rozłożył przed biurkiem futro i usiadł na nim.

- Całe miasto o was mówi - powiedział i wziął od Anieli ciasto. - Myślałem, że co najmniej kompania wojska pilnuje bramy, ale nie, nasz rząd jest liberalny, wszystko otwarte na oścież... atmosfera wzajemnego zaufania. Kontynuujcie, nie przeszkadzajcie sobie.

- Szukamy sztuki - powiedział Żółkowski. - Napisz nam sztukę o Iksach.

- Ech - prychnął Niemcewicz. - Nieciekawa banda. Mam lepsze tematy, swego czasu wspomniałem o nich świętej pamięci panu dyrektorowi Bogusławskiemu, ale on bał się o swoją skórę i tak dzieło mojego życia zostało zaprzepaszczone.

- Więc nadarza się okazja - powiedział Fiszer.

Niemcewicz przyjrzał mu się.

- Kim jest ten rozmarzony tytan? - zapytał.

- Bratanek generała Fiszera - powiedział Morawski.

- Zamknij się wreszcie - zaperzył się poczerwieniały Fiszer.

- No proszę - powiedział Niemcewicz. - Wcale nie jesteś do niego podobny... Generał był niski, miał krzywe nogi, garb i ciągle palił fajkę... Wiesz, że był moim najlepszym przyjacielem?

- Nie interesuje mnie to - odparł Fiszer.

- Miły dzieciak - zwrócił się Niemcewicz do Bogusławskiego. - Generał Fiszer byłby dumny z niego, gdyby żył... - Umilkł na chwilę. - Razem wieziono nas z Maciejowic do Petersburga - powiedział rozmarzony. - Ledwo mieliśmy co jeść... Całkiem piękna podróż. Konwojem dowodził pewien generał, wszędzie zabierał rodzinę, żonę i dwójkę dzieci, włókł ich ze sobą do każdej potyczki, szczeniaki tak uganiały się między trupami, jakby to dla ich rozrywki pozabijano tych ludzi... Biegały tam i z powrotem po kałużach krwi, jedynie w zgrzebnych koszulkach... A kiedy tak telepaliliśmy się przez Polskę, a potem przez Ukrainę, ich tatko wszędzie rekwirował dla nich lalki, najróżniejsze lalki, mnóstwo lalek, aż w końcu cztery powozy pełne były lalek, wiele cetnarów lalek, większy dzieciak miał sześć lat, nazywał się Iwan, pamiętam, zobaczyłem go raz, jak siedział wśród tysięcy lalek z oczyma bez wyrazu i blasku... nawet nie sięgnął po którąś... z tych cetnarów lalek.

- Potworne - szepnęła Aniela.

Zapadła cisza.

- No tak - powiedział Niemcewicz. - Trochę to niewiarygodne, ale Kościuszko też to widział, zapytajcie go... I o tym można by napisać jakąś scenę. Piękna była też scena, gdy Fiszera załadowano do innej karety, rzuciliśmy się sobie na szyję, jakbyśmy nie mieli więcej się spotkać, ale spotkaliśmy się, czemu nie mielibyśmy się spotkać, osiem lat później... - Roześmiał się. - Biedak siedział w sąsiedniej celi, dość często go bito, chcieli wymusić na nim zeznania, potem skazano go na zesłanie, nim jeszcze przywieziono Mostowskiego, Potockiego i Kilińskiego... No, a potem wszystkich z wyjątkiem Kilińskiego przeniesiono w porządniejsze miejsce, ale my dwaj nie mieliśmy protekcji... Jeśli chcecie, napiszę wam o Twierdzy Pietropawłowskiej. Czy pan dyrektor życzy sobie dramat więzienny?

Bogusławski milczał.

- To byłoby ciekawe - powiedział Żółkowski. - Dziadzio Plersch ma trochę projektów dekoracji, same fantastyczne więzienne wnętrza...

- Znam je - zbył go Niemcewicz. - Jedna w drugą to kopie z Piranesiego. Nieco poetyckie, nigdy nie siedział w więzieniu. Prawdziwe więzienie jest znacznie prostsze. Nic nie jest takie, jak można by sobie pomyśleć. Myślę, że wy nic o sobie nie wiecie, bo nigdy latami nie byliście zamknięci w odosobnieniu.

- Szkoda - powiedział Fiszer - że ze sztuk pana Niemcewicza nie wypływa ta przeogromna wiedza o ludziach.

Niemcewicz zaśmiał się z uznaniem.

- Powiedz tylko, syneczku, co byś robił w takiej celi? Wyobrażałeś to już sobie?

- Wyobrażałem sobie. Pisałbym.

- Aha. Gdyby ci pozwolono. No, a gdyby ci pozwolono, co byś pisał?

- Prawdę.

- Wspaniale! Też to robiłem. Lewą ręką, rzecz jasna, bo prawą postrzelono mi pod Maciejowicami, a w więzieniu jeszcze mi się paskudziła... więc pisałem lewą. Codziennie po jednym wierszu, po jednej scenie, potem to paliłem, codziennie po jednym wierszu, po jednej scenie. Myślałeś o tym, że trzeba spalić to, co napisałeś?

Fischer milczał.

- Przecież to proste - powiedział Niemcewicz. - Mogą to wykorzystać przeciwko tobie.

- Można też robić inne rzeczy - wtrącił Aszperger.

- Oczywiście - powiedział Niemcewicz. - Nie twierdzę, że tylko mój sposób jest zbawienny. Na przykład Kapostas nawet nie jadł tej odrobiny mięsa, którą dawali, gdyż chciał być w kontakcie z mocami niebios; każdego wieczoru przyzywał duchy, recytował z pamięci fragmenty Talmudu; na każdy dzień wybierał inny, a nuż to właśnie będzie owo czarodziejskie słowo, które otworzy mury więzienia. Nie za bardzo mu się udawało, zawsze koło północy zaczynał wyć i walić głową w mur. Potem nad ranem pukał nam przez ścianę, że to nie duchy są złe, lecz on jest idiotą, bo wybrał zły cytat. To też jest sposób na przeżycie... Siedział cztery lata, nieco później niż mnie wypuszczono jego, nie wytrzymał wolności, umarł.

- Dziwne miał nazwisko - powiedział Szymanowski.

- Był Węgrem - odparł Niemcewicz. - Do Warszawy przyjechał po to, by założyć polski Bank Narodowy... Rosjanie okropnie go nienawidzili, ktoś później powiedział, że był łącznikiem z węgierskimi jakobinami, Austriacy także mogli powoływać się u carycy na jego zasługi... Ale ja najbardziej lubiłem Kilińskiego.

- Szewca? - spytał Fischer.

- Szewca - powiedział Niemcewicz. - Ha! Ha! Dostał teraz rentę od cara. Wtedy go tak nie pieszczono. Codziennie pisał podanie do Katarzyny, domagał się kobiety, bardzo brakowało mu kobiet. Dostawał jeszcze mniej jedzenia niż ja, w końcu ja byłem szlachetnie urodzonym, a on tylko szewcem, mimo to paradował w więzieniu w szykownych strojach, bardzo to sobie cenił. To był ktoś. - Uniósł z żalem brwi. - Napisał też wspomnienia - powiedział - i dał mi je. Ma fantastyczne poczucie humoru. Takie obrzydliwe poczucie humoru.

- Można je przeczytać? - zapytał Fischer.

Po chwili milczenia Niemcewicz powiedział:

- Musiałem je spalić.

Zapadła cisza. Nie pytano, czemu musiał je spalić.

- No, a pod koniec - dodał Niemcewicz - ja też nieco zwariowałem, chciałem się stać niewidzialny i w ten sposób uciec. Z pewnością by mi się udało; niestety, wypuszczono mnie wcześniej.

Rozejrzał się po towarzystwie, czy zabłysły mu drwiną, wydał z pogardą usta.

- Z pewnością zaplanowaliście sobie, że będę spacerować po celi, co? Mądry pomysł.

A jak wy byście spacerowali?

- Tam i z powrotem - powiedział Żółkowski.

- Dokładniej.

- Jak to dokładnie?

- W którą stronę?

Żółkowski wzruszył ramionami.

- Po przekątnej, Alojzy, po przekątnej, bo w ten sposób można zrobić całych siedem kroków! No, widzisz, o tym nie pomyślałeś. Stary, ja przez dwa lata zostawiłem na ziemi ślad głęboki na pół cala. - Niemcewicz zaśmiał się triumfalnie. - No, w co byście się bawili, gdyby wam do diabła wszystko zabrano?

Żółkowski powiedział, czym by się zabawiał.

- Nie wolno! - wykrzyknął Niemcewicz. - Surowo wzbronione! Ale są tam na przykład szczury, piękne, duże szczury, obserwowanie ich jest nad wyraz zabawne. No, czym jeszcze byście się zabawiali?

Nikt nie miał pomysłu.

- Mnie uratowała piłka - powiedział Niemcewicz. - Cały dzień grałem w piłkę.

- To dali ci piłkę? - spytał Malinowski.

- Gdzie tam dali - rzekł Niemcewicz pobłaźliwie. - Zebrałem wypadające włosy, także z brody, i z tego ugniotłem piłkę. - Odwrócił się do Fiszera. - I co, syneczku, wpadłoby ci to do głowy?

Fischer milczał.

- Przyznaję - powiedział Niemcewicz - takich i temu podobnych rzeczy nie zamieściłem w swoich nieprzemijających komediach. Ale jeśli sobie życzyście, bez nazwiska, na domowy użytek, coś dla was sklecę.

- Więc proszę tylko powiedzieć - zaproponowała Helena. - Fischer i tak pisze dramaty, on to jakoś skleci.

- Ejże - powiedział Niemcewicz. - Jeszcze pisze dramaty, biedaczysko. Dam ci jeden temat, tylko odważ się go napisać. Proszę bardzo... ale czy ja państwa nie zanudzam?

Gorąco zaprotestowano.

- Mistrz pozwoli? - spytał Niemcewicz, zerkając do góry.

Bogusławski przytaknął.

- Więc opowiem wam pewną historyjkę - powiedział Niemcewicz. - Właśnie walczę po stronie Józefa Poniatowskiego, kiedy król ciach, mach, dwudziestego trzeciego lipca podpisuje jednak Targowicę, zawieszenie broni, koniec wszystkiego, na darmo ofiara z krwi i tak dalej. Co koń wyskoczy nadeżdża adiutant króla, jakieś nie wiadomo co nazwiskiem Kirkor, żeby natychmiast przestać walczyć, to koniec. No to zaczęliśmy grać w faraona. Wiesz, młody Fiszerku, co to jest faraon? Nie? Krótko mówiąc, graliśmy w karty do upadłego. Kto już nie może, wycofuje się i strzela sobie w łeb. Gramy sobie pięknie całą noc, pięciu czy sześciu już się zastrzeliło w łeb, przychodzi kolej na mnie, wyciągam ostatni grosz, jeśli wygram, to słodki Boże, mam pecha, jeśli przegram, ale i tak dobrze, to przecież Polska też przegrała, więc po co żyć dalej. I co robi Bóg? Wygrałem. Później w ten sposób jeszcze kilka razy udało mi się przegrać kraj. Czy to nie dobra scenka?

- Bardzo dobra! - skomentował Morawski.

Niemcewicz kiwnął głową.

- Albo inna - powiedział. - Caryca Katarzyna właśnie zmieniała kochanka. To się jej często przytrafiało, słodki Boże, w końcu jesteśmy ludźmi. Teraz już boska caryca postępowała w ten sposób, że kandydatowi na kochanka rozkazywała się spotkać ze swoją garderobianą, po czym dokładnie wypytywała damę, czy upatrzony mężczyzna rzeczywiście coś potrafi. Jeśli potrafił, caryca żeniła z kimś swego byłego kochanka, jeszcze tego samego dnia odbywał się ślub. No, ale tym razem były kochanek opowiedział młodej małżonce sypialniane sekrety carycy, a ta była na tyle głupia, że je wypaplała. Wobec tego caryca sprowadziła grupkę oficerów, by na oczach młodego małżonka zniewolili zbiorowo jego żonę, a gdy już nie oddychała, jeszcze i mąż musiał zgwałcić jej trupa...

- Nie! - krzyknęła Ledóchowska.

Niemcewicz zaśmiał się zadowolony.

- Jesteś pijany - stwierdził obiektywnie Bogusławski.

- Niewykluczone - odparł Niemcewicz - ale to nie zmienia faktu, że mógłbym pisać dramaty szekspirowskie. Nie wiem tylko, co mnie powstrzymuje.

Nastąpiła cisza, Ledóchowska poprosiła Anielę o wodę. Niemcewicz westchnął.

- Ale to tylko historyjki - powiedział. - Nigdy mnie specjalnie nie pasjonowały. Tylko

raz, jedyny raz miałem duży temat, mógłbym go jeszcze teraz napisać, najwyżej dostałbym za to stryczek... Może młody Fiszer napisze go kiedyś. - Zamilkł. - Jednak go opowiem - oznajmił po chwili.

Po krótkiej efektownej pauzie zaczął opowieść:

- W czerwcu dziewięćdziesiątego trzeciego zebrał się nowy sejm w Grodnie, mnie tam nie było, potem opowiadali mi o tym uczestnicy. Katarzyna kazała aresztować grupę posłów, pozostałych doprowadzono do zamku, gdzie mieli przegłosować rozbiór państwa.

- To wiemy - powiedział Malinowski. - I przegłosowali. Tchórze.

- Pardon - zaproponował Niemcewicz - to nie było całkiem tak. Posłowie są w zamku, na zewnątrz w gotowości ogromna ilość wojska, wiele carskich pułków, posłowie przemawiają, nie wypuszczą ich z zamku, dopóki nie przegłosują rozbioru. Działa wycelowane w zamek, posłowie zamknęci. Ci biedacy nie mogli żądać wiele, tylko tyle, by zwolniono zatrzymanych, gadali o nietykalności posłów i obiecali, że jeśli będą obecni wszyscy, zagłosują. Rosjanie pokazali im figę. Powiedzieli, że zamek z dostojnym sejmem rozwałą w drzazgi. Proszę głosować. Więc sejm siedzi bezczynnie w zamku, a ktoś, nie wiadomo kto, nagle wymyśla, że nie powie ani tak, ani nie, będzie milczał. Rozumiecie? Będą milczeć po wsze czasy. Nikt nie odezwał się ani słowem. Możliwe, że nikt tego nie wymyślił, w każdym razie sejm, jak jeden mąż, zaczął milczeć. Milczą jedną godzinę, milczą drugą, siedzą bez jadła i napitku, i milczą. Sievers i Rautenfeld biegają tam i z powrotem, na zewnątrz wojsko, armaty nabite, artylerzyści czekają na rozkaz otwarcia ognia, a w środku sejm milczy. Z szacunku dla króla trzeba tu dodać, że i on odważnie milczał. To było jego pierwsze i ostatnie sensowne wystąpienie podczas całego panowania. I milczeli. Rosjanie rwali sobie włosy z głów, dostali rozkaz, by wymusić na sejmie przegłosowanie rozbioru, a nie by wszystkich powystrzelać. Choć oczywiście nie miałyby to żadnego znaczenia, rozkaz brzmiał inaczej. A sejm ciągle milczał. I milczeli aż do chwili, gdy temu przekłętemu Ankwiczowi przyszło do głowy, że przecież milczenie oznacza zgodę. Wstał i powiedział to. Rosyjski Poseł Sievers z okrzykiem triumfu wybiegł z sali: sejm przegłosował, gdyż milczał! A wtedy sejm nie mógł już nic poradzić, posłowie wstali, nic nie powiedzieli, tylko ładnie, w milczeniu opuścili zamek. I skończył się sejm, i skończyła się Polska, choć nikt nie odezwał się ani słowem.

Niemcewicz umilkł.

- Nawet nie wiedziałem, że tak to się odbyło - powiedział Morawski pogrążony w myślach.

- Tak to się odbyło - powiedział Niemcewicz. - Nie ma geniusza, który umiałby coś

takiego wymyślić. Niezły dramat, co? Wyobraźcie sobie, wchodzi aktorzy grający główne postaci, po czym od aktorów grających drugoplanowe role poznajemy sytuację, widownia czeka, jak będzie wyglądać głosowanie... a aktorzy w głównych rolach zaczynają milczeć. I milczą przez trzy, może pięć aktów. Wyobraźcie sobie, jak z aktu na akt rośnie w teatrze napięcie? Podczas przerwy publiczność z podnieceniem roztrząsa, czy ktoś się odezwie w następnym akcie, a jeśli tak, to co powie... Największy polski dramat. Przysięgam. Nawet nie trzeba go pisać. Aktorzy w rolach drugoplanowych mówią coś przerażeni po rosyjsku i niemiecku, ale tylko jedno zdanie, „milczenie oznacza zgodę”, pada po polsku. Zdanie kasztelana sądeckiego, Ankwicza. Ale jest to bardzo polskie zdanie. Najbardziej poetyckie, jakie kiedykolwiek w Polsce wymyślono.

- Ale dlaczego my o tym nie wiemy?! - wybuchnął Fiszer. - Dlaczego nikt tego nie napisał?!

- Czego? Milczenia? - spytał ironicznie Niemcewicz. - Czy poeci srającego słowami narodu mieliby napisać milczenie? A może ja miałbym to napisać? Ja, który nagryzmołem już tysiące linijek i napiszę jeszcze wiele tysięcy, jeśli Bóg pozwoli?

- Ale czemu nie napisali tego uczestnicy? - spytał ponuro Żółkowski.

- Czemu, czemu! - Niemcewicz wzruszył ramionami. - Czy to aż tak duża sprawa, że poza milczeniem nic wam nie przychodzi do głowy?

Milczeli wszyscy.

- Więc tak - podjął Niemcewicz. - O Stanisławie Augustie też można by napisać dramat... Anglicy opisali takie postaci, na przykład Otway, najpierw trzeba byłoby wystawić jego *Plot Discover'd*... albo Szekspirowskiego *Ryszarda II*, który był tak słabym panującym jak nasz król, tylko że ja wiem o Stanisławie Augustie więcej, niż stary William mógł wiedzieć o Ryszardzie II. Król, którego panowanie upływa na tym, że ciągle rozbiera się jego państwo, ma tylko jeden cel, jedno pragnienie i nadzieję: pragnie wyjechać jako osoba prywatna raz, tylko raz w życiu, do Italii! Gdy o tym powiedział, łzy stanęły mu w oczach i z wyrzutem spojrzął na mnie, którego stary Czartoryski zabrał ze sobą do Italii; mogłem zobaczyć wszystko, czego on, będąc królem, nigdy nie ujrzał; jakiś car mógłby mnie za to skazać na śmierć, ale Stanisław August był dobrym człowiekiem, biedaczysko, więc mi wybaczył; kazał sobie opowiadać o Wenecji, Rzymie i płakał... Potem wziął się w garść i w zaufaniu wtajemniczył mnie w swój plan o doniosłym znaczeniu: ponownie uda się do Petersburga, ponownie jak dawniej prześpi się z Katarzyną, w ten sposób obroni kraj, a potem wreszcie pojedzie do Italii. Plan był wielki, godny panującego; on poważnie w to wierzył.

- Ale dlaczego o tym wszystkim się nie pisze? - spytał wzburzony Fiszer. - To sprawy

sprzed ćwierć wieku, teraz już można!

- Jakaż ta młodzież naiwna - powiedział Niemcewicz pobłażliwie. - Jak łatwo jej wmówić, że to wszystko minęło, że teraz świat jest inny... Syneczku, zaledwie trzy lata temu niejaki hrabia Markow, który niegdyś, jeszcze jako syn chłopca pańszczyźnianego, był w łaskach u ministra Bezborodki, więc ten Iwan Markow trzy lata temu najpoważniej w świecie zaproponował Aleksandrowi, by całą polską szlachtę przesiedlić na Syberię, a Polskę porozdzielać między moskiewskie rodziny.

- Ależ skąd! - zaproponował Malinowski. - Czegoś takiego nie można zrobić.

- Teraz nie - odparł Niemcewicz. - Ale kto wie, co będzie za trzy lata.

- Panie Niemcewicz - powiedział wolno Fiszer. - Może szuka pan sobie powodu do strachu, by mieć się na co powołać.

Morawski wybuchnął głośnym śmiechem. Bogusławski cmoknął z uciechą i ironicznie spojrzął z góry na Niemcewicza siedzącego po turecku tuż przy biurku.

- Masz rację, mój synu - rzekł Niemcewicz. - Całe życie tańczyłem na ostrzu brzytwy, huśtałem się raz w jedną, raz w drugą stronę, teraz może też, nawet jeśli nie trzeba. Teraz także, gdy nadejdzie wiosna, powróci choroba jelit, której nabawiłem się jeszcze w więzieniu i nigdy się od niej nie uwolniłem. Jakiś poważniejszy skurcz jelit z pewnością trochę przestroił także moje poglądy od tamtej pory. Przyzywa tam, skąd przyszedłem, i dokąd w każdej chwili mogę powrócić. Natomiast na dłuższą metę, mój synku, może to jednak ja miałem rację. Nie zamierzam się powoływać na podobne do mnie chorągiewki na wieży, ale polecam twej uwadze dwie skrajności. Słyszałeś może o Książniczynie, genialnym poecie, który po drugim rozbiorze zwariował. Inna droga to Trembecki, on także był niezwykle uzdolniony, a potem potoczyło się tak, że musiał pisać dla tego, kto za to zapłaci; pisał dla króla, dla Kościuszki, dla Szczęsnego Potockiego, a przy tym sumiennie chodził na dziwki i grał w szachy. Kto tutaj cokolwiek robi, niekoniecznie dużego, ale cokolwiek, ten stara się trzymać pomiędzy obiema drogami. Ja już chyba nie dożyję czasu, gdy ty, syneczku, opowiesz się za którąś skrajnością. Ale niezależnie od tego, czy zwariujesz, czy zostaniesz pochlebcą, czy wstąpisz do klasztoru, jak moja starsza siostra lub nieco bardziej ode mnie utalentowany Zabłocki piszący dramaty, niechaj ci się przypomni ta miła, prowadzona w spokoju paplanina i pomyśl o mnie serdecznie.

Niemcewicz zamilkł wzruszony; Żółkowski uśmiechnął się, pomyślał, że w pana autora została wtłoczona spora dawka krwi aktorskiej, ale nic nie powiedział.

Zebrani w zadymionym, mrocznym pokoju mrugali przekrwionymi oczami, zrobiło się późno, czuli przyjemne znużenie, ale nie chcieli jeszcze wychodzić. Wiercili się na

ławach, pogryzali chleb i podzieliwszy się na mniejsze grupki, rozmawiali o nieco już mniej pouczających sprawach. Niemcewicz opowiadał Aszpergerom anegdoty; Bogusławski królował za biurkiem; uznał, że także ten wieczór się nie udał.

Dlatego też przyrzekł aktorom, że na następnej lekcji przejrzą *Szkołę kobiet* i nauczą się z grubsza przydzielonych im ról, które otrzymali w skrzątnie przepisanych ręką Mistrza egzemplarzach.

- Czemu Mistrz nie powiedział? - rzucił zaskoczony Aszperger. - Sami mogliśmy zrobić kopie!...

Bogusławski tylko machnął ręką.

- Nie wpuszczaj tutaj byle kogo - powiedział Niemcewicz, kiedy wszyscy zaczęli już wychodzić. - Przepapłają ci każdą lekcję.

Bogusławski uśmiechnął się kwaśno.

Patrzył przez okno na odchodzących. Świtało, Morawski, Fiszer, Ledóchowska i Aniela szli w grupie i w bramie ogrodu o czymś dyskutowali; Niemcewicz pomógł Helenie wsiąść do powozu i odjechali razem. Pozostali ruszyli razem w stronę śródmieścia. Bogusławski żałował, że nie może teraz z nimi wracać skądś do swojego domu. Został od czegoś odsunięty.

Trusia znalazła nowych ochroniarzy, pomyślał.

Prawie wybiegł za nimi, ale doczłapał tylko do bramy, zamknął ją i powlókł się z powrotem do domu.

Marianna wróciła nad ranem, Bogusławski nie kładł się i siedział teraz między resztkami jedzenia i opróżnionymi talerzykami na popiół. Marianna od razu zaczęła wietrzyć i sprzątać, na jej pytania Bogusławski jedynie odmrukiwał, że spotkanie było dziwne.

- Twoja bratanica - powiedział, robiąc aluzję do Ledóchowskiej - owinęła sobie generała wokół palca.

- Zajmujesz się stręczeniem - odparła na to Marianna.

Bogusławski zaśmiał się ponuro.

Marianna uznała, że to właściwa chwila, by poruszyć inną sprawę: z powodu szkoły popsują się stosunki Ignacego z Anielą. Aniela wróciła do domu dopiero nad ranem, Ignacy już na nią czekał; Aniela nie chciała powiedzieć, gdzie była, chodziła po pokoju, nucąc, była podchmielona.

Bogusławski wzruszył ramionami:

- Niech sami załatwią to między sobą.

- Ignacy również chciałby przyjść na kilka lekcji.

- Nie jestem instytucją dobroczynną.
- Ale przecież każdy może przyjść, prawda?

Bogusławski milczał.

- Co chcesz mieć z tego wszystkiego? Wiesz w ogóle, czego chcesz?
- Nie wiem. - Bogusławski wyszczerzył zęby. - Kiedyś coś z tego będzie.

Na następną lekcję także przyszli wszyscy z wyjątkiem Niemcewicza. Towarzystwo leniwie, już tu zadomowione, rozłożyło się na ławach, jako rzecz oczywistą traktowano już fakt, że dostają ciasto, a Żółkowski znów przyniósł wino; dyskutowali o wczorajszym spektaklu, operze Bertona *Romans*, której libretto przetłumaczył Kudlicz, a grał w niej inny zespół: Szczurowski, Kratzer, młoda żona Elsnera i inni.

Bogusławski zauważył, że Osiński uczcił drugą rocznicę detronizacji Napoleona niezbyt znaczącą sztuką.

- Mój ty Boże, rzeczywiście! - wykrzyknął Aszperger.

Na chwilę zapadła cisza; jakim wielkim wydarzeniem dla świata była dwa lata temu, czwartego kwietnia, detronizacja; wszak dwa tygodnie temu świętowano urodziny Zajączka, a oto teraz wszyscy zapomnieli o detronizacji, nawet studenci nie demonstrowali!

Potem znów czepiano się przedstawienia.

Bogusławski pomyślał, że z pewnością zapomną także o dziewiątym kwietnia, jego urodzinach. Kiedy był dyrektorem, każdego roku obsypywano go prezentami i życzeniami; zdawał sobie oczywiście sprawę, że świętowanie dotyczy nie jego, lecz każdego kolejnego właściciela, ale i tak było to przyjemne. Pewnie kiedyś o nim zapomną.

Mistrz rozglądał się z uśmiechem. Zauważył, że Morawski, Fiszer, Ledóchowska i Aniela siedzą daleko od siebie, przemieszani z innymi, jakby nie mieli ze sobą nic wspólnego. Pewny sygnał, pomyślał Bogusławski. Nie musieli nawet tego ustalać.

Helena ostentacyjnie kokietowała Malinowskiego; było to wycelowane w Fiszera, podobnie jak fakt, że dwa dni temu odjechała z Niemcewiczem. Na to Aszpergerowa oczywiście znów zaczęła flirtować z Malinowskim; musi rywalizować z młodszą siostrą. Aszperger więc zaczął się umizgać do Anieli. Jakże przejrzysti bywają ludzie.

Rozmowa zesłała na politykę. Dla nich teatr nie jest już ważny. Bogusławski nie wiedział, od czego zacząć. Nieoczekiwanie nawet dla samego siebie włączył się do rozmowy.

- To dziwne - powiedział, a ponieważ odezwał się po raz pierwszy tego wieczoru, wszyscy unieśli głowy - dziwne to. Niedawno ktoś mi powiedział: idziemy do czasów średniowiecza, musimy więc wrócić do średniowiecznego stylu walki. Teraz myślę, że coś w tym było. Każdą rewolucję i każdą wojnę trzeba przegrać dwa razy. Do tej pory przegraliśmy tylko ojczyznę. Teraz także siebie.

Jego słowa zabrzmiały bardziej gorzko, niż można się było spodziewać w tej atmosferze, spojrzeli nań zaskoczeni. Morawski nie zauważył, że atmosfera nagle zrobiła się ciężka.

- Rewolucję przegrał Napoleon - oświadczył z przekonaniem - kiedy udowodnił, że metody, przeciw którym powstał lud, to metody najbardziej typowe dla rewolucji, należy je tylko wielokrotnie wzmocnić.

- Jednak od tamtej pory - powiedział Aszperger z naciskiem - straciliśmy także Napoleona, i to dwukrotnie: nie pamiętamy już nawet jego detronizacji.

- Nie straciliśmy go - zaprzeczył Morawski. - W tym właśnie kłopot, że nie potrafimy go z siebie wyeliminować. Mogą go zabić na Świętej Helenie, ale usunąć nie mogą. Pan też jest Napoleonem, tylko pan o tym nie wie.

Aszperger protestował, on nie jest Napoleonem, jest Aszpergerem!

- Nic podobnego - powiedział Morawski. - Kłopot w tym, że obecnie każdego chce się zmusić do tego, by był Napoleonem, także wtedy, gdy wewnętrznie jest powołany do czegoś innego. Mówi się: wolność, równość, braterstwo. Tej świętej trójcy nie da się już nigdy usunąć. Kto raz to usłyszał, będzie tego pragnął. Ale gdzie jest państwo, pytam, które odpowiadałoby tym hasłom?

- A co ma z tym wspólnego Napoleon? - spytał Aszperger.

- Mój ojciec - odezwał się Fiszer - uwielbiał Napoleona. Kiedy na zapadłą Ukrainę nadeszła wieść o podbojach Napoleona, ojciec zaczął się wściekać, miał poczucie, jakby Napoleon zdradził jego osobiście, słowem, świat ojca rozpadł się na kawałki.

- Beethoven - powiedział Morawski.

- Możliwe, że dlatego mój ojciec umarł tak młodo.

- No i co? - spytał Aszperger. - Po co to mówisz?

- Chwileczkę - rzucił Fiszer. - O Napoleonie po raz pierwszy usłyszałem podczas

klótni rodziców, moja matka na podstawie fałszywych pogłosek wyobrażała sobie Napoleona jako diabła, może nawet widziała rogi na jego głowie. I to ten obraz pozostał we mnie, a nie abstrakcyjny entuzjazm mego ojca. Miałem może dwanaście lat, byliśmy jeszcze przed kampanią rosyjską, kiedy dotarły do nas apokaliptyczne wieści o ohydnych czynach Napoleona, o wymordowaniu różnych narodów, krótko mówiąc, wtedy właśnie pewnej nocy naszła mnie myśl: jestem synem Napoleona.

- Co takiego? - spytał Malinowski.

- Synem Napoleona z nieprawego łoża - powiedział Fiszer. - Czyli moi rodzice tylko adoptowali mnie w tajemnicy, mnie, bękarta Napoleona, czyli diabła; ojciec nie jest moim ojcem, a matka nie jest moją matką.

- Bzdura - powiedział Malinowski.

- Nie inaczej - odparł Fiszer. - Ale ja byłem pewien, że Napoleon po to ukrył mnie daleko od świata, na zapadłej Ukrainie, by uratować mnie przed skrytobójcami, których całe bandy szukają mnie gdzieś w Europie. Uważałem za logiczne, że ludzkość chce się uwolnić ode mnie, w którym może rozpleniać się dalej zło diabelskiego Napoleona. Przygarnęli mnie dobrzy ludzie, kochali mnie tak, jakby rzeczywiście byli moimi rodzicami, ale ja byłem diabłem, którego celem jest zemścić się na nich za ich dobro. Były to, rzecz jasna, fantazje dorastającego chłystka; tylko że czasami budzę się z tym, że wiem: jestem synem Napoleona z nieprawego łoża.

- Masz diabelską duszę, Antoni - powiedziała Aniela. W jej głosie brzmiał pełen wyrozumiałości szacunek.

Bogusławski westchnął; wyczuwał, że Fiszer mówił do Ledóchowskiej.

- Od wieków ludzie biegali tu i tam - odezwał się Szymanowski. - Raz od śmierci, raz ku śmierci, z jednej wiary w drugą, heroicznie, głupkowato, jak durnie, ale teraz nie mają dokąd biec, jednak z tej biegania gdzieś coś przecież się zachowało.

Aniela gorąco przytaknęła: rzeczywiście czuje, że kiedy tak tu sobie siedzi, na pozór spokojnie, wszystko w niej, żołądek i wnetrzności, dokąśś pędzi.

- Chyba powinnaś więcej grać w teatrze - powiedział Żółkowski.

Aniela bardzo się obraziła.

- Dziękuję za radę - powiedziała z goryczą. - Tak jak Antoni budzi się, gdy śni, że jest synem Napoleona, tak ja śnię własny, pełen grozy, piekielny sen, że mam dziecko, jestem jego matką i muszę o nie dbać. Wtedy budzę się zrana zimnym potem, moją pierwszą myślą jest, że to tylko sen, i wtedy mój bachor zaczyna płakać...

- Antoni śni o tym, Antoni śni o tamtym, kim jest ten Antoni? - spytał drwiąco

Żółkowski.

Fischer zagryzł wargi.

- Nie krzywdź tego dzieciaka - rzuciła ostro Ledóchowska.

Bogusławski słuchał, jak głosem pełnym słodyczy odmalowuje ciężki los Anieli i jej wyjątkowy talent; obserwował drgającą twarzyczkę Anieli i twarz Morawskiego, patrzącego z uwielbieniem na obie kobiety; być może Trusia naprawdę tak myśli o Anieli, ale niech to robi u siebie w domu; tutaj też może tak myśleć, byle nie głośno. Trusia brzydko się dziś zachowała.

Ze złośliwą satysfakcją Bogusławski słuchał, jak podenerwowany Żółkowski, kierując się bezbłędnym instynktem, odpowiada nie Anieli czy Ledóchowskiej, lecz Morawskiemu.

- Mój królu - mówił aktor dobitnie - ma pan oto okazję zauważyć, jacy bezinteresowni i głęboko czujący są ci aktorzy, którzy tak sobie wzajemnie szkodzą rozmaitymi intrygami. Gdyby w swym godnym szacunku incognito zjawił się pan wśród nas w teatralnej knajpce, dostrzegłby pan jedynie, że aktorzy to dość obmierzłe towarzystwo, które poza sprawami łóżkowymi zajmuje się wnikliwie jedynie kwestiami finansowymi. Ale należy pamiętać, mój królu: aktor dlatego jest aktorem, że zaczyna kłamać natychmiast, gdy dostrzeże publiczność. Pan, mój królu, jest dla nas widownią, więc proszę nie zapominać: tu nie może pan nas poznać, tu może pan tylko zobaczyć nasze role.

- I po co pan teraz o tym mówi? - spytał zdenerwowany Morawski.

- Jest dobra publiczność i jest zła - tłumaczył Żółkowski cierpliwie. - Zła publiczność wypiera się swych autentycznych uczuć, w ich miejsce wprowadza uczucia nieszczerze i udaje uczuciowość. Zła publiczność, panie generale, to publiczność tchórzliwa. Dla tchórzliwej publiczności najodważniejszy aktor nie może zagrać uczciwie. Mówię to, panie generale, choć to może dziwne, w obronie pani Ledóchowskiej.

- A czego to wypiera się pan generał? - spytała Ledóchowska opanowanym głosem.

Żółkowski tylko machnął ręką.

- Proszę, niech pan odpowie - powiedział Morawski.

- Jeśli chodzi o mnie - odparł Żółkowski z nutką autoironii - nigdy nie czułem się niemoralny, gdy chciałem się przespać z kobietą, ale wtedy, gdy wymyślałem do tego gustowne teoryjki.

- Jesteś idiotą - powiedziała ponuro Żółkowska.

- Chyba mi państwo wybaczą - wtrącił się Bogusławski - jeśli poproszę wszystkich, by swoje duchowe brudy prali w czterech ścianach własnego domu. Zbieramy się, aby grać i próbować, a nie żeby się spowiadać. Zmarnowaliśmy czas na gawędy. Poproszę postaci

sceny pierwszej, zapraszam na środek i zaczynamy.

Zapadła cisza, nikt się nie ruszył.

- Coś się stało? - spytał Bogusławski. - Jeśli ktoś zostawił egzemplarz w domu, to mu dam, w wolnym czasie przepisałem sztukę w dwóch egzemplarzach.

Pierwszy zgłosił się Malinowski, prosił o wybaczenie, ale miał tyle spraw w teatrze, że nie mógł nauczyć się roli, ale przyrzeka, że na następnej próbie bez wątpienia...

- Czy ktoś jeszcze chciałby wyznać to samo? - spytał Mistrz.

Powoli wyszła na jaw przykra prawda, że poza Żółkowskim nikt nie zna roli.

- Ja zerknąłem - tłumaczył się Szymanowski - ale i tak nie ma mnie w pierwszej scenie...

- No, to ja sobie pójdę - powiedział Żółkowski i wstał. - Nie zamierzam wyłamywać się z towarzystwa, troszkę mi wstyd, że nie byłem koleżeński i nauczyłem się tekstu. Będzie chyba lepiej, jeśli wystąpię z tej szkoły. Nadal jednak będę płacił chesne.

Potem zwrócił się do żony:

- Nie idziesz?

- Nie!

Żółkowski posłał zebrany całusa, uklonił się i wyszedł.

Ledóchowska napadła na Morawskiego, dlaczego go nie zatrzymał. Morawski zbladł; a czemu miałby go zatrzymywać?

- Dlaczego pan obraża się na słowa jakiegoś pajaca?! - wykrzyknęła Ledóchowska. - Jeśli bierze je pan do siebie, tylko je pan potwierdza!

- Pani wybaczy, pani artystko - odparł Morawski - ale pan Żółkowski zaatakował panią, nie zauważyła pani? Czemu pani go nie zatrzymała?

Ledóchowska nie odpowiedziała. Helena chichotała złośliwie.

Wszyscy byli zmieszani, nikt nie patrzył na Mistrza.

- Przeczytajmy sztukę - zaproponowała nieśmiało Aniela.

Rozległ się pomruk aprobaty.

- Nie - powiedział Bogusławski. - Trzeba było się nauczyć.

- Marcin przeczytał swoją rolę - powiedziała Żółkowska rozpaczliwie. - Może gdyby ją zagrał, a my byśmy ją omówili...

Szymanowski zaperzył się.

- Oczywiście - powiedział - mam być ofiarą, bo zadałem sobie nieco trudu i zerknąłem do sztuki. Potem nie zostawicie na mnie suchej nitki, chociaż wiecie, że się nie przygotowałem... A pan Iks będzie łaskaw opublikować w jutrzejszej gazecie podłą krytykę

o nieprzygotowanym Szymanowskim...

- Wypraszam sobie! - zerwał się Morawski.

Szymanowski spojrzał nań wilkiem.

- Gdyby była tu rękawiczka - powiedział - dałbym jaśnie panu po twarzy.

Morawskiego zatkało.

Malinowski zaproponował swe usługi jako sekundant przy pojedynku.

- No - skomentował Bogusławski - nieźle sobie radzicie, nawet Kotzebue mógłby to napisać.

Żółkowska roześmiała się głośno.

- I co teraz będzie? - spytał Aszperger, gdy Morawski znów usiadł na ławie.

- Przegryźcie trochę ciasta - zaproponował ironicznie Bogusławski.

Zbierali się do wyjścia w ciszy i zakłopotaniu. Ledóchowska histerycznie odmówiła, gdy Morawski chciał jej podać płaszcz. Malinowski na krótko przytulił Helenę, potem zaproponował Fiszerowi, by wpadli gdzieś do knajpy, jeśli jakaś jest jeszcze otwarta. Aszperger obejrzał książki Mistrza i na chybił trafił wybrał dwie do pożyczenia.

Morawski wybiegł za Ledóchowską.

Aniela oznajmiła, że musi wracać do domu.

- Odprowadzę cię - powiedział Fiszer.

Żółkowska naskoczyła na Szymanowskiego, oskarżając go, że rozwalił szkołę Mistrza.

- Ja?! - oburzył się Szymanowski.

- Dlatego że nie wyszło ci z kobietą... ale nawet mimo tego nie powinienes tak się zachowywać! - krzyknęła Żółkowska.

Szymanowski zająknął się, potem oznajmił, że jego noga więcej tu już nie postanie. Spojrzał błagalnie na Bogusławskiego, ale Mistrz nie poprosił go, by wycofał swe słowa.

- Nigdy więcej! - krzyknął Szymanowski i wybiegł.

Bogusławski widział z okna, jak Morawski i Ledóchowska klóć się na ulicy przed bramą. W świetle padającym z okna zobaczył, że dołączyli do nich także Fiszer z Anielą. W końcu oddalili się we czwórkę. Bogusławski narzucił futro i zbiegł na dół, ale przed bramą zastał już tylko Malinowskich. Wraz z nimi, Heleną, Żółkowską i Aszpergerami włączył się po nocy, tamci klęli na czwórkę odszczepieńców. Na Mariensztacie popili sobie, potem dowlekli się do Żółkowskiego, wyciągnęli go z łóżka i chlali dalej. Żółkowski szybko się upił i przeproszał Mistrza, Bogusławski, chichocząc, walił go po ramieniu, nie liczy się, powiedział, razem zagramy jeszcze coś wielkiego, prawda, Alojzy?

Żółkowska hołubiła w kuchni rozwrzeszczane niemowlę; Nepomuceny nie było widać.

- Co ja narobiłem? - powtarzał Żółkowski, bijąc się pięścią po głowie. - Morawski nas zniechęcił, w przyszłości pan Iks będzie jeszcze bardziej bezwzględny!

- Nie szkodzi, Alojzy - powiedział Bogusławski i roześmiał się. - O mnie i tak nie może napisać recenzji, tylko o was, ha, ha. A swoją drogą, byłem osłem. Czemu pozwoliłem, by wmieszał się między nas? Za te nędzne trzy tysiące? Albo dlatego że chciałem politykować? Wkręcić się do nich? Jakbym miał w tym rozeznanie!

Żółkowski zaproponował, by kontynuowali naukę, ale bez Morawskiego i Ledóchowskiej. Widząc wahanie Mistrza, zaoferował na ten cel swoje mieszkanie; niech będą dwie szkoły, a każdą niech prowadzi Mistrz.

- Ale noga Morawskiego u mnie nie postanie - powiedział surowo. - Ani Ledóchowskiej! A na Fiszera też patrzeć nie mogę!

- Dlaczego? - zapytał Bogusławski. - Z takim entuzjazmem pracował przy *Klingsbergach*!

- Znam ja takich szczeniaków - powiedział Żółkowski z niechęcią. - Zaczynają na dole, skromni, gotowi do pomocy, potem nagle hop, pojawiają się jakieś koligacje i już tańczą nam na głowach. Generał Fiszera był jego stryjem, to nie wystarczy? Morawski już teraz zrobił z niego dupowłaza. Niedługo będzie z niego nowy Pękalski albo Lipiński.

- To mądry chłopak - bronił go Bogusławski.

- Tym gorzej. Gra na kontrabasie i wali w kocioł, a przy okazji jest też mądry. Potworne. I do tego jeszcze nie jest aktorem! Dajcie mu rok, a wlezie na nas, na przykład jako reżyser. Mistrz przynajmniej ze względu na syna...

Bogusławski wpadł w złość.

- Co mnie obchodzi syn! Chciałem zrobić z Ignacego aktora, ale on miał to gdzieś i wbił się w mundur. Gdyby Aniela miała choć krztynę rozumu, popchnęłaby go, gdzie by tylko chciała.

- Aniela! - krzyknął Żółkowski pogardliwie. - Nie cierpię takich nieopierzonych tragiczek! Chełpią się swą duchową subtelnością, one są takie wrażliwe, tak cierpią!... Zaczęły zbyt wysoko, Ledóchowska raz chce być hrabiną, innym razem generałową, a ja, który sam wyciągnąłem się z dołów, pozostanę w ich oczach prostakiem, choćbym nawet stanął na głowie! Gdy Truskolaska mnie odkryła i zaczęła uczyć, mała Józefa już od dawna była cudownym dzieckiem, łąziła po pokoju i z drwiną obserwowała moje męczarnie; jeszcze nie było pewne, czy jej mama w ogóle mnie zaangażuje, katowała mnie jak zwierzę, ale

wiadomo było, że z jej córeczki będzie aktorka, tragiczka! I od tamtej pory co się dzieje? To ja ciągnę wóz, ja przynoszę zyski teatrowi, ze mnie żyje cała rodzinka, a ona pasożytuje na mnie i jeszcze uważa, że ma prawo mi przysrać!

Bogusławski nie mógł się powstrzymać, by nie powiedzieć mu coś kontra.

- Szanuję twą plebejską wrażliwość, Alojzy, ale niech sobie podliczę: masz cztery, pięć razy większe dochody od Trusi, z pewnością zarabiasz nawet więcej od Morawskiego, więc chyba masz coś nie tak w głowie.

- Logika Iksów, Mistrzu - odparł sucho Żółkowski.

Potem pili. Rano Bogusławski z piekielnym bólem głowy, zataczając się, wyruszył do domu. Żółkowska zasnęła w kuchni; Aszperger chrapał na podłodze w przedpokoju, ułożywszy przed zaśnięciem swoje starannie wypielęgnowane kędziory na dwóch pożyczonych książkach; w dużym pokoju w jednym łóżku leżeli Malinowski z Aszpergerową i Żółkowski z Heleną. Bogusławski wyobraził sobie, że w nieco bardziej kulturalnych warunkach to samo robi kwartet Morawskich. Każda dyskusja dotycząca zasad kończy się w łóżku, pomyślał, i tylko jedna rzecz jest bardziej prawdziwa, ta mianowicie, że on, Bogusławski, na kacu, wlecze się pusty wewnątrz do swojego domu, gdzie nie czeka na niego nawet pies z kulawą nogą.

Marianna czekała z zapłakanymi oczami; powiedziała, że Ignacy znów na nią nakrzyczał, czemu Aniela nie wróciła na noc. Jeszcze wieczorem u Nacewicza zjawiała się Rozalia i powiedziała Mariannie, by wprowadziła się do nich, bo Osiński już nie może patrzeć, jak jego teściową niszczy to grzeszne stowarzyszenie. Ignacy, jak wyłkała Marianna, pokłócił się z Rozalią i stanął po stronie Truskolaskiej, która chce się procesować z Morawskim, zarzucając mu sianie rozpusty i deprawację jej córki. Rozalia była wrogo nastawiona do Truskolaskiej, gdyż ta starucha od wielu dni usiłuje zmusić Osińskiego, by bronił jej córki przed szkodliwym wpływem Bogusławskiego...

- Wstąpię do klasztoru - łkała Marianna.

Bogusławski przytaknął z roztargnieniem.

W południe zjawił się Morawski, prosił o wybaczenie, a potem wykrztusił: chyba ożenię się z Ledóchowską.

- Nie jestem jej ojcem - odparł Bogusławski.

- Ja tylko tak zakładam - powiedział Morawski zmieszany. - Pani Ledóchowska nie wie o moich zamiarach...

Bogusławski wzruszył ramionami.

- Bo wieczorem pokłóciliśmy się - wyjaśnił Morawski. - Odbiegła, wysłałem za nią

Fiszera... Biedna Aniela. Czy to możliwe, że jestem jak zwierzę?!

Bogusławski milczał.

Morawski chciał mu wcisnąć kolejne tysiąc złotych na rzecz Szkoły Dramatycznej, ale tym razem Bogusławski ich nie przyjął.

- Rozumiem, oczywiście, rozumiem - mruknął Morawski i wyszedł przygnębiony.

Mistrz powyciągał karteczki i zaczął na nich notować:

„Oczywiście, że nie uczą się ról”.

Podkreślił to i dodał dwa wykrzykniki.

„Ja także bym się nie uczył” - napisał na innej.

„Jeśli nie będzie Morawskiego, i tak to się rozleci”...

Z pustką w głowie patrzył przez okno na niebo. Po raz ostatni czuł się beczynny, kiedy był studentem w Krakowie, wtedy jeszcze nie przygotowywał się do niczego, przypadkowo został porwany przez wydarzenia i przypadkowo z nich wypadł. Jeszcze niczego nie chciał od świata. Później ten okres, tę spokojną, kontemplacyjną beczynność nazwał na własny użytek płodnymi latami przygotowań; a przecież jego los mógłby wyglądać zupełnie inaczej. Po przybyciu do Warszawy został oficerem, jak inni młodzi, i gdyby przypadkowo nie pojawił się w pałacu Radziwiłłów, gdzie właśnie szukano aktorów do amatorskich przedstawień starego księcia, dawno by już zginął w jakiejś bitwie. Albo jadłby w Paryżu emigrancki chleb. Z pewnością zetknąłby się gdzieś z Niemcewiczem i może nawet by go wysłuchał; swego czasu Julian po powrocie do kraju z podróży po zachodniej Europie gorzko utyskiwał, iż gdzie indziej człowiek może mieć cywilny zawód, może zostać inżynierem, kupcem, prawnikiem czy rolnikiem, mieć coś stałego i pozytywnego, i tylko w Polsce będzie zdany na łaskę innych, działającym w próżni literatem, czyli nikim. Może powinienem zostać kapitanem statku, pomyślał Bogusławski. Oczywiście to obojętne. Jako student w Krakowie nie był przygotowany do niczego. Była to piękna, pozbawiona wad i humanitarna beczynność, szkoda, że nie da się jej powtórzyć.

Dziwne, że w pewnym momencie człowiek staje się jednak kimś, a później nie jest w stanie z tego wyjść.

Wylegiwał się, podzemujać, przez całe popołudnie i wieczór, ubrany, gotów do skoku. Tuż przed północą zjawili się Żółkowscy, wracali po spektaklu. Bogusławski poczęstował ich resztkami jedzenia. Żółkowski trajkotał o szczegółach spektaklu, Żółkowska lamentowała, że piją już nie tylko w knajpce, ale też za kulisami; pan Bautz przemycza napoje i sprzedaje cygara, Osiński o tym nie wie, to się źle skończy.

Wreszcie się pożegnali. Bogusławski widział z okna, jak wsiadają do czekającego na

nich powozu, którego Żółkowski nie odesłał, a więc z góry zakładał, że kurtuazyjna wizyta będzie krótka.

Żółkowsy też więcej nie przyjdą, pomyślał. Mają rację. Pracują, kłócą się, żyją, w dodatku jeszcze troszczą się o mnie, choć jestem dla nich ciężarem. A ja co robię? Nic. Jestem żaloszny.

Chodził wściekły po pokoju. To kiepska wymówka, że niczego nie może zrobić. Nie jest tak, by nie dało się czegoś wymyślić.

Ale niczego nie wymyślił.

Następnego dnia w południe zjawiła się Ledóchowska; była smutna i miała poważną minę. Bogusławski widział, że ma jakiś spory kłopot. Marianna zeszła do kuchni.

- Morawski najwyraźniej kocha się we mnie - stwierdziła obiektywnie Ledóchowska bez wstępów. - Ja również odwzajemniam jego uczucia, jak sądzę. Z pewnością Mistrz jest w stanie lepiej ode mnie ocenić, ile w tym prawdziwego uczucia do niego... a ile wyrachowania.

Bogusławski nie odezwał się słowem.

- Poprosił mnie o rękę - ciągnęła rzeczowo Ledóchowska - prosiłam o czas do namysłu... nie w taki sposób, by nie było jasne, że powiem tak... Nieważne. Morawski powiedział: chodźmy razem do Iksów, przedstawi mnie.

Urwała na moment, wzruszyła ramionami i mówiła dalej:

- Wziął mnie za rękę i poszliśmy w stronę pałacu Mostowskich. Nie potrafił ukryć zadowolenia, że idziemy razem do Iksów, był rozradowany jak dziecko, podskakiwał, obudziły się we mnie macierzyńskie uczucia, w końcu jest młodszy ode mnie... Ja też byłam szczęśliwa; cieszyłam się, że dzień wcześniej się pokłóciliśmy, bo pogodzenie się mogło być piękne. Na schodach, już w pałacu, zaczęłam drżeć, po uścisku jego dłoni poznałam, że i on się denerwuje. Wchodziliśmy na górę w milczeniu, jakbyśmy się gotowali na podbój świata... jakbyśmy nie byli już po trzydziestce. Takiej dziecięcej szczęśliwości nigdy wcześniej nie przeżywałam, przyszła trochę zbyt późno, a z tego, jak trzymał mnie za rękę, wyczułam, może wcale nie bez podstaw, że dla niego jestem pierwszą miłością... Być może oboje tylko to sobie wmówiliśmy, ale chyba się udało, to była prawdziwa pierwsza miłość i te kilka chwil wystarczyło... Na pewno wystarczyło!

Głos jej się załamał, ale mówiła dalej:

- Iksowie, jak sadzę, patrzyli na nas zdziwieni, dla mnie te twarze zlały się w jedną; byli uprzejmi, nawet taktowni; nie dali mi odczuć, że jestem tylko pospolitą aktorką, przez przypadek konkubiną Morawskiego. Przedtem powiedział, że nikomu nie mówił i jak to

dobrze, że możemy ich wprawić w zakłopotanie; bardzo się śmiał, jak wcześniej, na ulicy, a ja także cieszyłam się, że robimy im psikusa... Potem, jak pamiętam, staliśmy w sali razem z innymi, następnie usiedliśmy przy ogromnym, okrągłym stole, ja obok Morawskiego, lokaje nam usługiwali, wtedy pojawiła się pani Tadeuszowa, pełna wdzięku, ciągle jeszcze piękna dama, widać Mostowski ma delikatny gust; pani Tadeuszowa zauważyła nas i ze szczerym zaciekawieniem, może w dobrej intencji ruszyła w moją stronę. Nie poznała mnie chyba, z pewnością mnie nie poznała, choć wielokrotnie mogła mnie widzieć w teatrze, ale to zrozumiałe, tak bardzo nie spodziewała się mnie przy stole, nie widać było po niej żadnej, ale to żadnej złej intencji, gdy szeptem spytała o coś męża, z pewnością o to, kim jestem... Zanim Mostowski zdążył odpowiedzieć, Morawski, który siedział między mną a hrabią, powiedział:

- Nie wiem... sędzę, że to jakaś aktorka.

Zapadła głęboka cisza, zobaczyłam gwiazdy, jakby nagle ktoś walnął mnie obuchem w głowę, wstałam i spojrzałam na nich. Niczego nie widziałam, czułam tylko, że wszyscy są zaskoczeni, może nawet chcieliby mi pomóc...

Nikt się nie poruszył, wtedy moje spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Morawskiego, a on, widziałam, wyraźnie widziałam to w jego oczach, nie wiedział, kim jestem. Nie wiedział. W tej chwili widział mnie pierwszy raz w życiu i jakby szukał we wspomnieniach, gdzie ma mnie umieścić. Nie pamiętam, czy coś powiedziałam, chyba nie, ale na pewno znalazłam drogę do drzwi, z pewnością jak lunaticzka, i pamiętam już schody, także to, że lokaj w milczeniu podał mi płaszcz. Na ulicy przystanęłam i spojrzałam w oświetlone okna; nikt za mną nie wyszedł; nie czułam żadnego bólu, tylko zdziwienie, że przed chwilą tam byłam, ja, tam, gdzie palą się setki świec, ale to wszystko zdawało się całkiem nierzeczywiste, jakby ze snu. Byłam pusta wewnątrz i lekka, chciało mi się wymiotować i dopiero w domu zaczęłam płakać...

W trakcie opowieści Ledóchowska pobladła, ale do końca pozostała spokojna.

- W tym wszystkim najdziwniejsze jest to - odezwała się po chwili - że nie czuję oburzenia ani złości, mam raczej wyrzuty sumienia: jakby mój związek był grzeszny, a Morawski słusznie mnie za to ukarał... nieważne czym i jak. Jest coś paskudnego w mej duszy, za co zasłużyłam na każdą karę. Ohydne jest to, że moja logika podburzyła we mnie samicę, ale rozsądek uchodzący za moje uczucia wziął górę, w ten sposób zdradziłam naturę, która stworzyła mnie kobietą. Do tej pory o tym nie myślałam. Ale powoli zaczynam już widzieć: popełniłam grzech przez to, że zostałam aktorką: przeżywam życie nie jako kobieta i prędzej czy później muszę to odpokutować. Jestem tak egoistyczna i histeryczna, że czuję teraz do Morawskiego niepowstrzymaną złość i chęć zemsty, a przecież nadal nie chcę go

skrzywdzić, być może mam do niego jeszcze jakąś słabość... może powinnam być mu wdzięczna?... Dziwne. Możliwe, że i to tylko sobie wmawiam, chcąc być nad nim górą...

Uśmiechnęła się i zaczęła płakać.

Bogusławski milczał. Widać przestał się już liczyć, skoro można się tak przed nim wypowiadać.

Ledóchowska rozmazała drobnymi piąstkami łzy, uśmiechnęła się przepaszająco, łzy wsiąkły w zniszczoną od szminki skórę i uwydatniły zmarszczki. Jej szare oczy błyszczały, usta jak u małej dziewczynki sprawiały groteskowe wrażenie na nagle postarzałej twarzy. Bogusławski spuścił oczy, by nie widzieć jej tak obnażonej.

- To takie proste - wyszeptła. - Z pewnością chciałam, by ktoś z wyższych sfer obronił mnie... przed wyższymi sferami.

Wyszła, uśmiechając się, zmarniała; zbyt długie ramiona sięgały prawie kolan. Te wyśmiewane niegdyś w recenzjach ramiona przypomniały teraz Bogusławskiemu ręce goryla. Natura tylko raz stworzyła kogoś tak cudownego, lecz czemuż tak kruchego.

Później pomyślał, jak mógłby ją uspokoić. Powie jej, że aktor jest jedyną ludzką istotą, która z pożytkiem może przetworzyć nawet najpotworniejszy ból; aktorowi każde emocjonalne doświadczenie wychodzi na dobre, smutek czy radość, aktor ma nad wszystkimi jedną niedającą się przecenić korzyść: nie traci nawet jednej minuty, tak pełnym wykorzystaniem życia nie może się poszczycić żaden inny zawód...

Ale już nie nadarzyła się okazja, by to powiedzieć.

Kilka dni później powiedział Anieli, że rozwiązuje swoją Szkołę Dramatyczną. Gdy do niej przyszedł, Ignacego nie było w domu.

- Szkoda - odparła Aniela. Nie była zaskoczona. - Teraz nawet do ciebie nie można już pójść.

- Do mnie? - spytał ironicznie Bogusławski.

- Do twojego domu. Czy to nie wszystko jedno? Za każdym razem szłam do ciebie bardzo podekscytowana, aż mnie głowa od tego bolała...

- U mnie toczyło się wielkie, prawdziwe życie, co?

- Można się było pospotykać.

- A ja stręczę żonie mego syna kochanków.

- Nie udawaj, że jesteś oburzony.

Bogusławski roześmiał się.

Aniela wyciągnęła z szuflady jakiś list.

- Dzisiejszy list miłosny Fiszera. Potem i ten odeślę, jak poprzednie, by wysłał go na

adres Ledóchowskiej. U nadawcy będzie najlepsze miejsce, tam Ignacy nie będzie ich szukał.

Bogusławski mruknął coś na temat Fiszera.

- Tylko mu nie dokuczaj! - wykrzyknęła Aniela. - Posłuchaj, co mówi: przyszło mu do głowy, jak to jest, że przy pulpicie staje kapelmistrz, daje znak i orkiestra zaczyna grać.

Bogusławski uniósł brwi.

- Poczekaj. Fiszer pyta mnie: skąd to takie oczywiste, że muzycy tak posłusznie zawsze grają frazy zapisane w nutach, każdy swoje? Jego zdaniem byłoby naturalne, gdyby w ogóle nie było ani kapelmistrza, ani kompozytora, nawet nut, a każdy muzyk improwizowałby na własną odpowiedzialność, może nawet w tej samej tonacji.

Bogusławski pokręcił głową, niewiele rozumiejąc.

- To bzdura, oczywiście - powiedziała Aniela. - Ale Fiszer spytał o to z jakimś potwornym bólem. Nie można było pozostać wobec niego obojętnym...

- Jeśli człowiek pragnie się zakochać, starczy nawet nagniotek, by go uwielbiał.

- I co dalej?

Przez chwilę milczeli. Aniela trąciła stopą kołyskę, Wojciech Maurycy zakwilił.

- Fiszer zwykł mówić, że nie jesteśmy dość ważni. Spytał mnie: jak w ogóle Warszawa może być ważna? Dla niego nawet Iksowie nie są ważni.

- Tylko to, by napisać sztukę - zachnął się Bogusławski.

- Zdaniem Morawskiego jest genialna.

- Ty czytałaś?

- Nie. Ty masz jeden egzemplarz, u Morawskiego jest drugi, a u Niemcewicza trzeci.

- Jemu też dał? - spytał Bogusławski urażony.

- Źle zrobił?

Mistrz wzruszył ramionami:

- Nie wierzę autorom dramatów, żaden nie był aktorem.

- Mógłby z niego być dobry Iks.

- Z kogo?

- Z Fiszera. Niemcewicz zaproponował Iksom, by razem z nim pisali recenzje.

- Żółkowski ma dobry węch - warknął Bogusławski. - Wkrótce Fiszer zostanie reżyserem pod skrzydłami pana Osińskiego.

- Byłby mądrym reżyserem.

- Nie jesteś nieco zaślepiona, maleńka?

Aniela znów trąciła kołyskę.

Bogusławski wstał, zaczął chodzić po pokoju, dawny dobry nastrój nie chciał teraz

wrócić.

- Czemu muszę się zajmować twoimi miłosnymi sprawami? - zapytał. - Jestem aktorem, nie spowiednikiem.

- A ja jestem aktorką, nie gospodynią.

- No to więcej graj i wszystko się ułoży.

- Nic się nie ułoży. Nie ma co się ułożyć.

- Czego ty właściwie chcesz od życia?

- Niczego.

Bogusławski zaklął.

- Myślisz, że wasze życie jest takie straszne, co? Że wam jest najtrudniej? Co jest dla was takie trudne? A w ogóle czegoś chcecie? Ktoś wam przeszkadza? Nie o to chodzi, że nie jest ważne, ale o to, że zbyt ważne jest dla was to wasze zsrane małe życie. Jesteście młodzi, zdrowi, czego więcej trzeba?

Aniela odwróciła się na taborecie, położyła ręce na klawiszach fortepianu z furją, obiema dłońmi zaczęła walić w klawiaturę. Dziecko się rozwrzeszczało.

- Improwizacja - wyjaśniła Aniela, gdy wreszcie raczyła przerwać.

Bogusławski kilka razy wpadł do knajpki, wypił herbatę, potem powłókł się do domu. Towarzystwo było dla niego miłe, niektórzy wyłącznie z przywiązania dawali mu znać o sobie; każdy woli mieć do czynienia z chodzącym trupem niż z kimś żywym, pomyślał Bogusławski obiektywnie.

Potem już się w knajpie nie pokazał. Marianna przynosiła mu teatralne plotki. Nie zwracał na nie szczególnej uwagi, bo nie jego dotyczyły. Uczestnicy prywatnej szkoły wpadali do niego pojedynczo, we dwójkę lub trójkę; zjawiali się o różnych porach, wiedzieli, że Bogusławski jest w domu i przeważnie spaceruje tam i z powrotem po niepotrzebnie dużym, zapuszczonym ogrodzie pełnym zieleniących się powoli chwastów. Żółkowscy odgrywali swoje najnowsze pomysły i prosili Mistrza o opinię, inni przychodzili raczej porozmawiać. Najchętniej by się wypowiedali, ale on do tego nie dopuszczał.

Aniela nie przyszła, a Marianna powiedziała, że pogodzili się z Ignacym, który już się odzwyczaił od nazywania domu ojca burdelem. Bogusławski zachnął się tylko i dodał, że na miejscu syna wyrzuciłby Anielę, a na miejscu Anieli rzuciłby swego syna.

Fiszler początkowo przychodził razem z pozostałymi, którzy rzucali w jego stronę uszczypliwe uwagi; przez jakiś czas znosił to w milczeniu, potem już się nie pokazał. Zdaniem Marianny włóczył się po mieście w towarzystwie Niemcewicza i Koźmiana, wiele osób to widziało; prawdopodobnie pisywał dla Iksów recenzje. Osiński, jak mówią, wyznaczy

go na drugiego sekretarza obok Unickiego. Ale na razie Fiszer wali w orkiestrze w bęben.

- Trzeba umieć zrezygnować - powiedział Bogusławski pewnego razu do Ledóchowskiej; byli w ogrodzie pod grubym, wysokim na dwa i pół metra kamiennym murem, który odgradzał ich od wyboistej, zabłoconej ulicy i zaniedbanych drewnianych domów po drugiej stronie. - Ja już zrezygnowałem i teraz czuję w sobie wielki spokój. Jeśli spotka się pani z Niemcewiczem, proszę mu przekazać: w trakcie bieganiny za swoimi sprawami niech sobie wreszcie obliczy, ile ma lat...

Spacerował po ogrodzie przygarbiony, powłócząc nogami. Ledóchowska zauważyła, że Mistrz nieźle odgrywa rolę staruszka.

O Morawskim krążyły pogłoski, że poróżnił się z Iksami, którzy go wyrzucili; według innych pogłosek tłumaczył powieść Goethego *Wahlverwandtschaften*. Bogusławskiego nie interesował ani Morawski, ani powieść. Pod koniec kwietnia Morawski przysłał ot tak kwesnel na trzy tysiące złotych; Mistrz go nie odesłał.

Tej wiosny rzadko padało, Bogusławski wałęsał się po ogrodzie, coraz rzadziej przychodzili goście, Marianna z wychodzącego na ogród okna korytarza na piętrze obserwowała sylwetkę Mistrza, który łąził po ogrodzie, gestykulując, jakby mówił do drzew i zarośli albo dla nich grał. Nie słyszała z góry jego głosu, może wypowiadał kwestie swych dawnych ról, a może nowych, nawet jeszcze nienapisanych. W domu był milczący, Marianna nie miała odwagi go wypytywać, raz tylko wymusnęło się jej, że kiedyś mimo wszystko panowały lepsze stosunki, każdego wielkiego aktora uroczyście żegnano benefisem.

Zaraz tego pożałowała. Bogusławski spojrzał na nią jak na zbrodniarkę. Ale nic nie powiedział, zszedł do ogrodu. Marianna śledziła go. Mistrz badał gruby kamienny mur, jakby sprawdzał, w jaki sposób można się wdrapać i uciec z ogrodu.

Marianna pobiegła w tajemnicy do Rozalii i błagała ją z płaczem, by pomogła ojcu; Rozalia wykręcała się, teatrem kieruje Osiński, ona nie ma prawa się wtrącać. Gdy Marianna przyszła do Truskolaskiej, ta, ciesząc się z jej nieszczęścia, powiedziała: widzisz, widzisz, nie trzeba było za niego wychodzić, ty idiotko. Marianna odparowała, że przecież wcale nie są małżeństwem. Ignacy nie pojmował, jak i w czym mógłby pomóc ojcu. Aniela przyrzekła, że częściej będzie odwiedzać Mistrza; ani razu nie przyszłaś, powiedziała Marianna; potem Aniela i tak nie mogła się wyrwać z domu, miała dużo roboty.

- Rano pójde do wszystkich - oznajmił nieoczekiwanie Mistrz pewnego wieczoru. - Niemożliwe, by ktoś mi nie pomógł...

Marianna udawała, że śpi.

Rano Bogusławski naprawdę poszedł, w południe był już w domu. Nic nie powiedział;

Marianna nie pytała, u kogo był. Bogusławski chodził tam i z powrotem po pokoju, grzebał w kufrach, raz po raz wyglądał przez okno, znów chodził po pokoju. Marianna uciekła do kuchni.

Poszedł za nią.

Marianna gotowała jajka.

- Postanowiłem - powiedział Bogusławski zdecydowanie - że wreszcie nauczę się angielskiego. Co na to powiesz?

- Bardzo dobry pomysł - stwierdziła.

- Prawda? - ucieszył się Bogusławski. - W ciągu kilku tygodni nauczę się angielskiego. Ciekaw jestem, czy mój mózg chwyta tak, jak kiedyś. Jeszcze dziś zacznę, zobaczysz, za dwa tygodnie będę doskonale czytać.

Złapał płaszcz i wybiegł.

Na Mariensztacie poszedł do antykwariatu Gecla Salsztejna.

Wysoki Żyd z długą brodą powitał Mistrza pełnym szacunku ukłonem.

- Widziałem Mistrza w *Klingsbergach* - powiedział. - Czym mogę służyć?

- Muszę się nauczyć angielskiego - oświadczył Bogusławski tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Proszę mi dać powieści, dramaty, słowniki, wszystko.

- Proszę uprzejmie, niech Mistrz usiądzie w pokoju, natychmiast przyniosę kilka tuzinów książek. Proszę wejść.

Bogusławski wszedł do małego pokoju oddzielonego zasłoną, w którym ledwo można się było ruszyć wśród książek, jedzenia i robactwa. Usiadł na taborecie, rozejrzył się. Na sięgających do sufitu półkach książki, na podłodze książki, na stole książki. Bogusławski przeraził się, widząc tyle nieprzydatnych rzeczy.

Gecel zjawił się szybko z kupką książek.

- Zaraz jeszcze przyniosę - powiedział i chciał wyjść.

- Niech pan poczeka, mój królu. To wszystko po angielsku?

- Tak.

Bogusławski przekartkował jedną książkę, odrzucił, przekartkował drugą, tę również odrzucił.

- Może mógłbym którąś z nich polecić? - zaproponował Gecel uprzejmie.

- Pan, o ile mi wiadomo, nie potrafi czytać, mój królu - powiedział Bogusławski. - Skąd pan wie, w której co jest?

- To można wyczuć - odparł Gecel.

Usiadł na innym taborecie, wziął do ręki jakąś książkę, długimi palcami pogładził

grzbiet.

- Skąd pan wie, która książka jest po angielsku, a która, powiedzmy, po niemiecku?

Gecel uśmiechnął się.

- W niemieckich książkach łązą małe robaczki - odparł. - Brzydkie, wąsate robaczki, przerażające małe robaczki.

- To prawda - powiedział Bogusławski. - Ale jak pan odróżnia książki angielskie i francuskie?

- W książkach francuskich są dłuższe słowa - odrzekł Gecel. - A także można to stwierdzić na podstawie ich oprawy i ciężaru... Francuskie książki są zarozumiałe, Mistrzu. Zwłaszcza ostatnio.

Bogusławski uśmiechnął się.

- Znam każdą książkę osobiście - powiedział Gecel ze szczerością. - Kupuję tylko taką, o której właściciel opowiada, co w niej jest. Można się więc dowiedzieć, kto sprzedaje książkę z konieczności, a kto z nienawiści... to znaczy dlatego, że nie zdobyła jego sympatii. A jeśli człowiek zna się choć trochę na ludziach, może to na podstawie wielu oznak wykorzystać także przy książce.

- A gdybym przyniósł panu jakąś książkę na sprzedaż, co by pan o niej pomyślał?

- Mistrz nigdy jeszcze nie sprzedał żadnej książki, prawda?

- Prawda.

- Widzi pan, Mistrzu, ja bym od Mistrza nie kupił książki. Mistrz sprzedałby ją z biedy, a potem tego żałował. Swoją drogą Mistrz z pewnością zaproponowałby sprzedaż dobrej książki.

Bogusławski obserwował palce głaszczące grzbiet tomu.

- Po hebrajsku też pan nie potrafi czytać? - spytał.

- Nie potrafię, niestety - powiedział Gecel. - Ale modlitwy znam na pamięć.

- Proszę mi opowiedzieć o tej książce. - Bogusławski szturchnął Gecla w rękę.

- No więc, Mistrzu, tam wielki sukces, na pewno sukces. Ja jej nie lubię.

Bogusławski wziął książkę, otworzył. Przeczytał tytuł - *The Mysteries of Udolpho*.

- Z czego pan wnosi, że to wielki sukces? - spytał.

- Gruba - powiedział Gecel - i wydrukowana drobnymi literami. Dość brzydkie litery. Są w niej też brzydkie rysunki. Coś takiego jest przeznaczone dla niewykształconego motłochu.

- Z tego jeszcze nie wynika, że to sukces.

- Jakżeby nie, Mistrzu. Tylko pasjonujące, chociaż kiepskie książki drukuje się tak

paskudnie, bo i tak je kupią.

- Dobrze - powiedział Bogusławski. - Proszę ją odłożyć, kupię ją, a potem powiem panu, czy miał pan rację. A ta?

Gecel wziął do ręki cienką broszurę.

- Co to jest? - spytał Bogusławski.

- Powieść - odparł Gecel. - Tę też napisała jakaś kobieta, jak tamtą. Ale to dobra książka. Traktuje o Irlandczykach i jest ciężko napisana, powiedział mój klient.

- Na pewno dobra książka? Zna pan treść?

- Dobra książka. Treści nie znam, ale proszę spojrzeć, ładne litery, chociaż okładka słaba, nie ma w niej rysunków, wydawca nie mógł być bogatym człowiekiem, ale kochał książkę, proszę się tylko przyjrzeć; i taki cienki tom, lubię takie, jeśli ktoś potrafi krótko opowiedzieć to, co chce, to ma elegancki umysł. Tego nie napisał dla pieniędzy. Gorąco polecam ją Mistrzowi.

Castle Rackrent, przeczytał tytuł Bogusławski, *by Maria Edgeworth*.

- Kupuję - powiedział. - Wie pan co, tyle wystarczy. Przeczytam je w miesiąc i będę znał angielski. No tak, słownik też jest potrzebny.

- Tym też mogę służyć, ten tutaj jest dość dobry, angielsko-niemiecki. Jest trochę podniszczony, ale użyteczny, często go używano, więc dobry.

- Proszę dać.

Bogusławski chwilę pomyślał i powiedział:

- Wie pan co, Gecel, wezmę tylko jedną, tę grubszą.

- Ta cieńsza jest znacznie ciekawsza.

- Jest w niej mało słów.

Gecel wstał.

- Mistrzu - powiedział z szacunkiem - proszę przyjąć te książki ode mnie w podarunku.

Bogusławski zmieształ się i też wstał.

- Dziękuję - mruknął. - Kiedyś przetłumaczę *Natana mędrca* Lessinga... lub napiszę uczciwą komedię o Żydach.

Gecel nie odpowiedział. Bogusławski wahał się.

- Nie ma pan jakiejś... jakiejś angielskiej komedii?

- Zobaczą - powiedział krótko Gecel.

Mistrz z trzema książkami pod pachą przeszedł za nim do sklepu.

Gecel jakiś czas wybierał, potem wręczył mu cienki zeszytek.

- Cztery złote - oznajmił.

Bogusławski zapłacił bez słowa.

Gecel stał za ladą, Bogusławski sterczał w drzwiach, przeglądał sztukę.

- Garrick - powiedział zdziwiony - zna pan to?

Gecel nic nie odpowiedział.

- Nie chciałem pana obrazić, mój królu - rzekł Bogusławski.

Gecel przytaknął.

- W końcu przecież - dodał Mistrz i przełożył książki pod drugą pachę - trzeba byłoby kiedyś napisać o pułku Berka Joselewicza... który poległ co do jednego w obronie Pragi...

- Wie pan, Mistrzu - powiedział Gecel z godnością - jestem chasydem. A chasydzi mają pewną modlitwę: „Panie świata, zbaw Izrael - tak ona brzmi i mówi dalej: - A jeśli tego nie chcesz, to proszę, zbaw inne narody”.

- Ładne - mruknął Bogusławski i wyszedł ze sklepu.

Od strony kościoła Świętej Klary spojrzał do tyłu na rozciągającą się poniżej piękną dzielnicę i poczuł mgliste wyrzuty sumienia. Westchnął i ruszył w stronę domu.

- Nauczę się z nich angielskiego - pokazał książki Mariannie. - Z tą grubszą skończę w ciągu tygodnia, zobaczysz. Kiedy chodziłem do pijarów, w ciągu miesiąca nauczyłem się francuskiego. Angielski jest znacznie łatwiejszy. Spójrz tylko, co drugie słowo jest z łaciny, co trzecie francuskie, a co czwarte niemieckie. W ten sposób muszę się nauczyć tylko pierwszego słowa.

Poszedł na górę do pokoju, potem zbiegł na dół.

- Niech nikt mi nie przeszkadza - polecił. - Dla teatru też nie ma mnie w domu. Pracuję.

Wbiegł na górę, położył przed sobą słownik, grubą powieść, pióro, trochę papieru i przystąpił do nauki.

Tytuł jest zrozumiały, *Misteria Udolpho, czyli tajemniczy Udolpho*. Kartkował książkę, na drzeworytach uznanych przez Gecla za brzydkie elegancko ubrani panowie i damy zamarli w wymuszenie dostojnych pozach; coś czytali albo leżeli sobie pod drzewami, damy w białych strojach, brząkając na harfach, podziwiała krajobraz i wznoszące się nad ich głowami ruiny zamku. Nie były to doprawdy poruszające obrazki, Bogusławski przewertował książkę do końca i napisał tam atramentem: „Znam już angielski!”. Jeśli za dwa, trzy tygodnie dotrze do tego miejsca, zapis będzie prawdziwy.

Jak miło będzie wtedy.

Chap. I. Rozdział pierwszy.

Tego nie trzeba szukać w słowniku.

Cytat wierszem na początku rozdziału pochodzi od jakiegoś Thomsona, to mało ważne, nie warto czytać.

On the pleasant banks of the Garonne, in the province of Gascony, stood, in the year 1584, the Chateau of Monsieur St. Aubert.

On: na czymś. *The*: oczywiście, niemieckie *der, die, das*, w każdym rodzaju. Wspaniale, nie ma rodzajów, to upraszcza sprawę. *Pleasant*: tego nie trzeba szukać, francuskie słowo, przyjemny lub wspaniały. *Bank*. *Bank*. Ale jak to „na banku jest przyjemnie”? *Bank... bank...* brzeg czegoś. Jasne, przecież Garonne to rzeka, Garonna. A więc na brzegu Garonny. Od czego jest ten *bank*? Może od niemieckiego słowa *Bank* albo włoskiego *banco*? Brzeg rzeki?

Na wszelki wypadek zapisał to słowo, pierwsze na czystej kartce.

Szybko zapadł zmrok, Bogusławski zapalił lampę. Marianna postawiła przed nim kolację. Mistrz skubał jedzenie między szperaniem w słowniku a czytaniem. Koło dziesiątej Marianna poszła spać, a on nadal pochylał się nad książkami.

- Jeszcze się nie położyłeś? - spytała Marianna koło północy.

- Nie - mruknął Bogusławski i potarł powieki. - Wyobraź sobie, w angielskim także jest silna i słaba koniugacja, prawie tych samych czasowników, co w niemieckim.

- Ciekawe - powiedziała Marianna.

- Jak się, do diabła, wymawia te słowa? - mruczał Bogusławski.

Rano Marianna znalazła go śpiącego z głową na stole. Położyła go spać, w półśnie Mistrz mamrotał coś o kretyńskich przedrostkach czasowników w angielskim.

Obudził się dopiero w południe, posępnie spojrzał na biurko.

- Temu kretynowi Niemcewiczowi to też poszło łatwiej - burknął. - Już stary Czartoryski zabrał go ze sobą do Anglii, potem raz lub dwa emigrował i angielski po prostu do niego przylgnął. A ja nigdy jeszcze nie miałem czasu emigrować!

Przy jedzeniu poweselał i chełpił się, że wczoraj wieczorem udało mu się przeczytać prawie dwie strony.

- Zostało już tylko trzysta, czterysta stron - dodał.

Nieco później zaczął filozofować na temat tego, jak cudownie jest uczyć się języka. Człowiek jakby wstępował do tajemniczego, cudownego, nowego świata, pełnego obietnic i podniecających rozkoszy. Wielkie, niedające się z niczym porównać uczucie, które znika dopiero wtedy, gdy się okazuje, że w każdym języku ludzie są takimi samymi kretydami.

Usiadł przy biurku i westchnął.

- Nikt mnie nie szukał? - spytał mimochodem.

Marianna potrząsnęła głową.

- Niech mi nie przeszkadzają - prychnął Mistrz i poruszając niemo wargami, zaczął powtarzać wypisane wczoraj słówka.

Adjoining the eastern side of the green house, looking towards the plains of Lanquedoc, was a room, which Emily called her's, and which contained her books, her drawings, her musical instruments, with some favourite birds and plants. Here she usually exercised herself in elegant arts, cultivated only because they were congenial to her taste...

Pilnie wertował słownik, ale nie mógł znaleźć wyrazu *her's*. Po półgodzinnym zastanawianiu się wpadł na to, że w rodzaju żeńskim oznacza to: jej. Z radości uderzył ręką w stół.

Kiedy cały akapit był gotów, znów go przeczytał, by wreszcie zrozumieć.

Niezadowolony zszedł do Marianny do kuchni.

- Jakieś to gówniane - powiedział. - Bohaterka otacza się instrumentami muzycznymi, książkami, wykonanymi przez siebie malowidłami, ptakami i ozdobnymi roślinami. Kompletna nuda. Jestem przy końcu drugiej strony i nic się jeszcze nie wydarzyło.

- Przeczytaj następną - zaproponowała Marianna i namoczyła kalesony. - Będzie szybciej.

- Nie poddam się tak łatwo - odparł Mistrz i wrócił na piętro.

Kilka godzin później znów zapalił lampę.

Marianna już zasypiała, gdy Bogusławski cisnął książką o ścianę.

- To już szczyt wszystkiego! - krzyknął Mistrz. - Głupia dziwka, która to napisała, nigdy nie nauczyła się redagować! Posłuchaj tylko! - Podniósł książkę z podłogi i usiadł na brzegu łóżka Marianny. - Tu powinna zacząć, widzisz?

Pokazał palcem akapit u dołu trzeciej strony i zabrał się do czytania tak, jak to zapisano:

The first interruptions to the happiness he had known since his retirement, were occasioned by the death of his two sons. Co znaczy: po raz pierwszy jego szczęście, od czasu wysłania go na emeryturę, zakłóciła śmierć jego dwóch synów. Tak należało zacząć. Jeśli pierwsze zdanie jest takie, czytelnik zaczyna się interesować, dlaczego był szczęśliwy, kto wysłał go na emeryturę, a przede wszystkim, czemu nagle zmarli obaj jego synowie. Zaczyna kombinować, może otruto mu synów, może to on ich otruł, nie wiadomo. Ale ta dziwka przez całe strony papie bez sensu o przyrodzie, kwiatkach, cierpieniu matki... W takim kształcie nie nadaje się to do czytania. Niech szlag trafi tego spryciarza Gecla, z góry to wiedział.

Bogusławski nie mógł przejść do porządku dziennego nad głupotą autorki, Mrs. Ann Radcliffe.

- Jutro zacznę drugą powieść - oznajmił. - Jeśli i ta jest tak okropna, nauczę się na pamięć słownika i natychmiast zabiorę się do wszystkich dzieł Szekspira.

Wściekły położył się spać. Marianna słyszała, zasypiając, jak wierci się w łóżku, potem się zerwała, gdy znów siadł przy stole i zaczął czytać.

- Jednak czytasz? - spytała lekko nieprzytomna.

- To już sztuka - powiedział Bogusławski.

- Szekspir? - zapytała.

- Garrick.

Kiedy nad ranem Marianna przebudziła się ponownie, Bogusławski cały czas przy biurku grzebał w słowniku. Marianna zaczęła krzyczeć, czemu się nie oszczędza, po co wariuje, w normalnym tempie też mógłby się nauczyć, jeśli już tak mu zależy.

- Nie potrafię inaczej! - wrzasnął Bogusławski. - I nic ci do tego! Jeżeli ci przeszkadzam, zejź na dół i śpij w kuchni!

Marianna zalała się łzami.

- Czemu ryczysz, przestań ryczeć, przynieś lepiej herbatę! Muszę się nauczyć angielskiego, nie rozumiesz? Nie chcę występować, póki nie nauczę się angielskiego! Przynieś wreszcie tę nieszczęsną herbatę!

Zanim Marianna była gotowa z herbatą, Bogusławski chrapał z głową na stole.

W południe zbudził się całkiem rozbity.

- Dużo udało ci się przeczytać? - spytała Marianna pojednawczo.

- Ech - mruknął głupawo Bogusławski.

- Wpadł tu Żółkowski, odesłałam go.

- Ty idiotko, czemu mnie nie obudziłaś?

- Powiedziałam mu, że uczysz się angielskiego.

- Czego chciał?

- Niczego, wpadł tylko na parę minut.

- Nic oficjalnego?

Marianna milczała. Nie wspomniała, że Ledóchowska też tu była.

- No, jest dobrze - powiedział Bogusławski. - Następnym razem nie wpuszczaj nikogo, denerwują mnie.

Powoli doprowadził się do porządku, zjadł suszoną rybę, powiedział, że Garrick to mimo wszystko Garrick, to, co pisze, to z pewnością teatr, aktor zwykle nie pisze złych ról.

Opowiedział Mariannie, że sztuka nosi tytuł *Sekretne małżeństwo* i po raz pierwszy zagrano ją na scenie Drury Lane w 1766 roku.

- Miałem wtedy dziewięć lat - powiedział. - Nawet nie wiedziałem, że na świecie jest coś takiego jak teatr, dopiero osiem lat później, kiedy oglądałem opery obłąkanego Kajetana Sołtyka, coś mnie tknęło... Angażował do przedstawień dzieci i, jak przypuszczam, uwodził je...

Później zaczął głośno rozmyślać o tym, że kiedy on rozpoczynał karierę, Garrick jeszcze żył, zmarł dopiero w 1779. Pokazał Mariannie tylną stronę okładki, z której się tego dowiedział. Potem przeczytał Mariannie przedmowę wydawcy:

His body was interred with great pomp at Westminster Abbey.

- Człowiek tylko tam powinien iść na aktora, gdzie może liczyć na wspaniały pogrzeb - oznajmił.

Potem zabrał się do pracy. Na oddzielnej kartce wypisał sobie *dramatis personae*, by podczas czytania nie musieć znów kartkować wstecz do spisu postaci. Gapiąc się w nazwiska, próbował ustalić, który mężczyzna zwiąże się z którą kobietą w dalszej części sztuki.

Przyrzekł sobie, że na podstawie pierwszych stron ustali resztę sztuki. Zadanie napelniło go entuzjazmem, zabrał się do tekstu.

„Act I. Scene I. - A Room in Sterling's House. Enter Fanny and Betty, meeting.

BET *running in*. Ma'am! Miss Fanny! Ma'am!

FAN. What's the matter, Betty?

BET. Oh, la! ma'am! as sure as I am alive, here is your husband! I saw him crossing the court-yard in the boots.

FAN. I am glad to hear it. - But pray now, my dear Betty, be cautious”...

Podkreślił imię Fanny w spisie - ona z pewnością jest główną postacią kobiecą, która w tajemnicy wyszła za mąż, jak obiecywał piękny francuski tytuł sztuki, *Clandestine Marriage*. Betty to z pewnością służąca.

Dlaczego Fanny wyszła za mąż w tajemnicy? Zgodnie z uwagami autora dom należy do pana Sterlinga, który przypuszczalnie jest bogaty, jak już wskazuje samo nazwisko; Fanny z pewnością jest jego córką, ale pana Sterlinga interesują tylko pieniądze, a nie szczęście córki; poślubiony w tajemnicy mąż prawdopodobnie jest biedny.

Mamy więc akcję sztuki.

Bogusławski był pewien, że nie może się mylić. Wreszcie coś, co jest angielskie, a jednak niezłe się zaczyna. Dobra ekspozycja, w trzecim zdaniu wiadomo, że Fanny czymś się denerwuje i z jakiegoś powodu musi utrzymać to w tajemnicy.

Dobrze jest, biedny stary Garricku, byłeś sprytnym gościem.

- Przeczytałem półtorej strony - oznajmił potem Mariannie. - Widzę już całość. Niedobre jest tylko to, że jego wizję muszę wydłubywać słowo po słowie, chociaż całość znam z góry na pamięć. Tak że i to już mnie nudzi.

Marianna nie wiedziała, co powiedzieć.

- Ciekawe - ciągnął Mistrz - człowiek w młodości chętnie zagłębia się w szczegóły, wszystko jest dla niego nowe. Wygląda na to, że na starość nie stałem się bardziej rozumny, tylko niecierpliwy. Bardzo bym chciał, żeby dobry stary Garrick zaskoczył mnie jakąś nieoczekiwaną woltą i zrobił ze mnie idiotę, ale obawiam się, że nie miał takiego zamiaru.

Marianna nie rozumiała.

Bogusławski zaczął gryzmolić na kuchennym stole, pięć minut później powiedział Mariannie, o czym jest sztuka: panna Fanny wyszła za mąż za gołego pana Lovewella - nazwisko mówi wszystko, dodał Mistrz tonem osoby wtajemniczonej; pan Sterling, ojciec Fanny, o tym nie wie i chce zmusić córkę do poślubienia bogatego konkurenta. Z pierwszej sceny można wywnioskować wszystko, a scena druga, którą Bogusławski już przeczytał, pięknie komplikuje sprawę: Fanny ma starszą siostrę, małą dziwkę o pustym łbie, zainteresowaną tylko biżuterią.

- No i teraz - powiedział Bogusławski - moim zdaniem stanie się tak, że pan Sterling zaprosi do domu konkurentów starających się o rękę córki, którzy jednak będą się zalecać do Fanny zamiast do starszej siostry; poślubiony w tajemnicy mąż Lovewell jest zazdrosny, Fanny zaczyna cierpieć, dochodzi do kilku nieporozumień, w końcu jednak wychodzi na jaw, że Fanny ma już męża i wszyscy konkurenci zostają na lodzie...

Mistrz skrzywił się.

- Żadna wielka sztuka - powiedział, zerkając do karteczki. - Z pewnością znajdzie się również jakiś porządny facet, który, bo to komedia, będzie śmieszny, ale dobroduszny i w jakiś sposób pomoże młodemu.

- Chcesz ją doczytać do końca? - spytała Marianna.

Mistrz się oburzył:

- Nie dają już człowiekowi się pobawić! - powiedział i obrażony poszedł do swego pokoju.

Wieczorem, zrzędząc, wślizgnął się do łóżka.

- I jaka? - spytała Marianna.

- Jak by to powiedzieć... - odparł. - Jedna rola jest napisana przyzwoicie, niejakiego lorda Ogleby, starego faceta, zgrzybiałego, dokucza mu reumatyzm, ledwo chodzi, ale ciągle

chce się zenić i wielbi ród niewieści. Z pewnością biedny Garrick pisał to o sobie. Reszta to długie, sentymentalne kwękanie, rzadko trafia się jakaś pointa...

Marianna milczała.

- Angielska publiczność - zastanawiał się Bogusławski - być może jest głupsza od naszej. U nas przynajmniej były okresy, gdy domagano się duchów i widowiskowości. Taka sztuka jak ta pewnie nawet teraz nie odniosłaby u nas sukcesu, bo pozostało w nas więcej niż u nich nieokiełznania. Takie rozrzewniające monologi chyba nie robiłyby jeszcze u nas wrażenia... chociaż, kto wie.

Krążył jakiś czas wokół tematu.

- Zresztą co w tym dziwnego - powiedział po chwili. - Anglicy od dziesiątków lat drukują piekielnie nudne tragedie francuskie, tam publiczność już na zawsze pozostanie kiepska.

- Szekspir też był Anglikiem, prawda?

- To było dawno - powiedział Mistrz. - Z pewnością dziś już siedzą na tym jak na tureckim kazaniu.

Następnego dnia rzucił w kąć niedoczytaną sztukę i wyciągnął drugą powieść. W południe zszedł do kuchni.

- To ciekawe - powiedział, przeciągając się - jeszcze nie czytam powieści, tylko masę przypisów na końcu, wydawca dał objaśnienia do powieści. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Wygląda na to, że została napisana w jakimś dialekcie irlandzkim i część słów trzeba Anglikom przetłumaczyć.

- Może to nie z niej powinienes uczyć się angielskiego - zaryzykowała ostrożnie Marianna.

- Przeciwnie - powiedział Bogusławski. - Jak z nią skończę, będę znać nie tylko angielski, ale i irlandzki.

- Jaki tytuł?

- *Castle Rackrent*. Zamek Rackrent. Rackrent to z pewnością nazwa posiadłości albo nazwisko właściciela.

- No tak - powiedziała Marianna. - Tę też napisała kobieta, prawda? Zagiąłeś parol na angielskie kobiety.

- Zobaczymy - odparł Mistrz. - Jeśli i ta będzie zła, dam po łbie Geclowi.

Jeszcze przez chwilę przechadzał się po kuchni, zrobił skłon, przyszło mu do głowy, że skleci sobie stojący, wysoki pulpit, przy nim będzie się uczył, bo siedzenie nie jest zdrowe, potem machnął ręką, w ten sposób straciłby dwa, trzy dni, a to, licząc sto pięćdziesiąt słów

dziennie, niewątpliwie pokażna liczba.

- Dziś już zbliżam się do tysiąca słów! - powiedział z dumą. - Za tydzień będę znał podstawowy zasób słów.

Nie chciało mu się już wracać do książek, poprosił Mariannę, by go przepytala. Marianna posłusznie poszła na górę po notatki Mistrza ze słówkami. Czytała polskie słowa, a Bogusławski, łażąc po kuchni, odpowiadał jej angielskimi. Miała podkreślać te, których nie zapamiętała.

- Wieczorem jeszcze raz je wykuję - obiecywał sobie. - Wtedy najlepiej się utrwał.

Był zadowolony z wyniku.

- Niezadługo napiszę dramat wierszem, po angielsku - oznajmił. - Już wczoraj napisałem trzy linijki wspaniałego dzieła. *The silver Moon /will be up soon / even at-noon.* Nieźle brzmi, co?

- A co to znaczy?

- Srebrny księżyc zaraz wzejdzie, choć jest południe.

- Całkiem dobry.

- Poetyckie, co? - zaśmiał się Bogusławski. - Choć nie jest pewne, czy to rzeczywiście rymy. Diabli wiedzą, jak się je wymawia. Możliwe że z soon rymuje się też *son*, *son* to to samo, co *Sohn* w niemieckim, a *soon* z pewnością pochodzi od niemieckiego *schon*.

- A *schön*?

- To *beautiful*. Z tak łatwym językiem jeszcze się nie spotkałem.

W podniosłym nastroju powrócił do dalszych studiów.

Pod wieczór, z książką w ręce, zszedł szeroko uśmiechnięty do Marianny.

- Posłuchaj tego! - powiedział i zaczął czytać, wymawiając, jak mu się zdawało, po irlandzku: - *The Irish have been always remarkable for the funeral lamentations, and this peculiarity has been noticed by almost every traveller who visited them...* To kretyńskie *who* zawsze myślę z niemieckim *wo!*...*And it seems derived from their Celtic ancestors, the primaeval inhabitants of the isle...* I dalej!...*It has been affirmed of the Irish, that to cry was more natural to them than to any other nation, and at length the Irish cry became proverbial...*

- Co to znaczy? - spytała przestraszona Marianna.

- To znaczy, że Irlandczycy zawsze byli znani z lamentowania, a to z pewnością odziedziczyli po przodkach, po Celtach. Irlandczycy ciągle płaczą i potrafią tak długo płakać, bądź oplakiwać, trwać w żałobie, że stało się to już przysłowiowe. Musi to być niezły ludek, co? Ubóstwiają grzebanie zmarłych! Wydawca pisze w przypisach, że podczas pogrzebu wystawiają zwłoki, wszyscy się gromadzą, natychmiast dzielą się na dwie grupy i w dwóch

partiach głosowych zaczynają lamentację. I tak to trwa do chwili, aż główny bard, który rozpoczyna te szloch, da znak, żeby wreszcie przestali. Wtedy zaczynają zawodzić pojedynczo i dopytują się, z jakiego powodu zmarł nieboszczyk. Dopytują się tak godzinami. Zdaniem wydawcy nawet w najmniejszej wiosce gromadzą się setki i tysiące, by się dobrze wyrzyczyć, choć nawet nie wiedzą, kogo trzeba opłakiwać. Wydawca pisze... poczekaj... *The proof that a poor man has been well beloved during his life, is having a crowded funeral...* Czyli cnoty nieboszczyka mierzy się tym, jaki tłum zbierze się na pogrzebie. Tacy sami jak my! Wydawca dokładnie wyliczył jeszcze, to jest tutaj... *The time spent in attending funerals may be safely valued at half a million to the Irish nation: the Editor thinks that double that sum would not be too high an estimate. The habits of profigacy and drunkenness which are acquired at wakes are here put out of the question. When a labourer, a carpenter, or a smith is not at his work, which frequently happens, ask where he is gone, and ten to one the answer is - „Oh, faith, please your honor, he couldn't do a stroke to-day, for he's gone to the funeral!”*.

Śmiał się i klepał po kolanach.

- Ja też chciałabym się pośmiać - poprosiła Marianna.

- Niewątpliwie czas zmarnowany na cmentarzu przynosi irlandzkiemu ludowi pół miliona funtów strat, ale zdaniem wydawcy jeden milion też nie jest przesadnym szacunkiem, a przecież nie ma w tym kosztów tradycyjnej pijatyki podczas czuwania przy zmarłym! A jeśli jakiś przedsiębiorca ma właśnie zamknięty interes, to dziesięć do jednego że poszedł na pogrzeb, i to zdarza się cały czas! Uważają to za rzecz zupełnie normalną!

Z uznaniem pokręcił głową.

- Mimo wszystko ci Anglicy są kulturalni - powiedział. - U nas nikomu nie przyszłoby do głowy policzyć, ile naszą polskość kosztuje niezliczone mnóstwo pogrzebów. U nich czas to pieniądz. No tak.

Zagłębił się w książce; Marianna stała nad rosnącym ciastem.

- *Ullaloo* to po irlandzku opłakiwanie - mrucał Bogusławski - a wydawca pisze, że w Dublinie był spektakl teatralny, gdzie zgodnie ze sztuką opłakiwano zmarłego w irlandzkim stylu i jeśli dobrze zrozumiałem tekst, widownia też zaczęła opłakiwanie, jak na prawdziwym pogrzebie, i tak to trwało dłuższy czas, płakano, załamywano ręce, szlochał cały teatr, potem jakaś kobieta z widowni odwróciła się nagle do sąsiadki i zapytała: a właściwie to kogo opłakujemy?

Roześmiał się.

- Wyobraź sobie, jaka by to była niezła komedia, przedstawienie dotyczy tylko

pogrzebu, dwie godziny szlochania, w trakcie wspomina się domniemane czyny nieznanego nieboszczyka, bardowie i osoby urzędowo czuwające przy zmarłym wszystkim dyrygują, a widownia tonie w morzu łez! - Po krótkiej zadumie dodał: - Obejrzałbym sobie taki pogrzeb. Jest całkiem pewne, że płacze się tylko przy samej trumnie, dalej w trakcie rutynowego opłakiwania każdy żyje własnym życiem, robi się interesy, wymiany, może robi się też dzieci, ale wszystko płacząc!

- Jak możesz być taki?!...

Bogusławski machnął ręką i wrócił na górę.

Marianna zbudziła się nad ranem, gdy Bogusławski zaczął nią szarpać jak szalony.

- Mam! - wrzeszczał, wymachując książką. - Miałem rację!

Przeżazona Marianna omal nie zemdląca.

Mistrz czytał triumfalnie:

...In Ireland a wake is a midnight meeting, held professedly for the indulgence of holy sorrow, but usually it is converted into orgies of unholy joy...

- Mówiłem! - wrzasnął: - Czuwanie przy zmarłych zamienia się w orgię! Tu jest napisane! Mówiłem to wcześniej! Znam Irlandczyków! Wiesz, co pisze wydawca? Wydawca pisze tak: *...it is said that more matches are made at wakes than at weddings...* Więcej relacji zawiązuje się podczas czuwania przy zmarłych niż podczas ślubu! Dosłownie tak pisze! Widzisz, głupia, ludzie są jednakowi. Teraz możesz już spać.

Marianna wybuchnęła płaczem.

Mistrz wślizgnął się niezadowolony do łóżka.

Następnego dnia rano oznajmił, że jeden dzień będzie robić powtórkę, a dla odpoczynku przetłumaczy dwie strofki pieśni żałobnej znajdującej się w książce.

Po południu grzebał się jeszcze nad przekładem. Marianna ze strachem postawiła przed nim jedzenie, ale Mistrz miał dobry humor i kilka razy nawet się do niej uśmiechnął. Marianna dawno nie widziała go tak szczęśliwego. To napełniło ją jeszcze większym strachem niż panika minionej nocy. Co będzie, jeśli nagle znudzi mu się nauka angielskiego?

- To zwięzły język - powiedział Bogusławski wieczorem. - Pełno w nim *accuminfów*, *gerundiów* i innych smacznych kąsków. Na pewno daje się w nim dobrze śpiewać. Jakoś podejrzewam, że Anglicy śpiewają także prozę. Nasz język jest zdumiewająco monotony. Mamy długie słowa. Może dlatego nigdy nie będziemy mieć dobrego dramatu. Angielski, jak myślę, nie jest taki: krótkie słowa, krótkie frazy... wychodzisz na scenę, zaczynasz śpiewać prozę i od razu wznosisz się na boskie wyżyny, choćbyś sobie na to nie zapracował...

Kartkując książkę, odkrył dwie dołączone piosenki, podobała mu się zwłaszcza jedna,

pokazał ją nawet Mariannie, ale nie odważył się przeczytać:

He that goes to bed, and goes to bed sober,

Falls as the leaves do, falls as the leaves do, and dies in October -

But he that goes to bed, and goes to bed mellow,

Lives as he ought to do, lives as he ought to do, and dies an honest fellow.

- Piękny, nie?

- Jak to jest po polsku?

- Tłumaczenie mi nie wyszło, wyrzuciłem je - odparł Mistrz i Marianna nigdy się nie dowiedziała, o czym jest piosenka.

Bogusławski znów aż do zmroku ślęczał nad książką.

- Jest też do niej słowo wstępne - powiedział, trąc oczy, gdy Marianna przyniosła kolację. - Dość ciekawe. Piszą, że niedawno Irlandczycy utracili niepodległość, ale powieść odnosi się do wcześniejszego okresu... To znaczy, że ukazała się piętnaście, szesnaście lat temu. Gecel ma całkiem świeży towar. Biedni Irlandczycy. Była niepodległość, nie ma niepodległości. Z pewnością jeszcze się do tego nie przyzwyczaili, mogliby się uczyć od nas... Modłę się, by powieść była dobra, może warto by ją przetłumaczyć. Może Glücksberg by wydał. Skoro już mam ją przeczytać, niech będzie z tego także jakiś pożytek.

Po kolacji zapalił lampę.

- Mało oleju - powiedział do Marianny. - Przynieś.

Marianna siedziała przy stole, milcząc.

- Nie słyszałaś? - fuknął na nią Bogusławski i zaczął czytać.

- Nie ma - powiedziała cicho Marianna.

- Nie ma?

- Nie ma.

- Nie ma oleju?

Bogusławski patrzył na nią z niedowierzaniem.

- W całym mieście nie można dostać - powiedziała pobladła Marianna.

- Więc przynieś kaganek albo świeczkę.

- Tego też nie można dostać.

- To się postaraj.

Marianna zaczęła płakać.

- Czy ty wiesz - załkała - co ja muszę wycierpieć, gdy ty wkuwasz ten głupi angielski! Za co masz jedzenie, za co miałaś do tej pory olej, jak ci się zdaje? Z pieniędzy na żywność? Czy ośmielam się prosić cię o pieniądze? Zamknąłeś też gdzieś chesne zebrane na swoją prywatną szkołę, mam o nie prosić?

- Nie histeryzuj - poradził chłodno Bogusławski.

- Jak myślisz, z czego żyjemy? Olej też do tej pory kradłam, od własnego syna, ale już dłużej nie śmiem, zorientuje się!

- Nie interesuje mnie, skąd ukradniesz, ja muszę mieć w nocy lampę. Wydobądź choćby spod ziemi.

- Sam ukradnij - rzuciła Marianna i wybiegła.

Bogusławski zerwał się i zaczął wrzeszczeć, że w tym kraju nawet czytać nie można, niech diabli wezmą Polskę, zbyt wiele z niej zostało. Po kilku minutach uspokoił się, włożył płaszcz i ruszył do teatru.

- *Nations as well as individuals gradually lose attachment to their identity...* - nucił sobie jedno zdanie ze wstępu, wymawiając słowa z francuskim akcentem rozcieńczonym polszczyzną.

Od wielu dni nie był na ulicy. Było ciemno, latarnie nie świeciły. W teatrze leci już pierwszy akt. Z pewnością coś grają.

Jakiś gadatliwy lampiarz dołączył do niego, ale Bogusławski go ofuknął, lampiarz gdzieś zniknął. Mistrz nie zamierzał dać mu nawet grosza.

Orientując się na podstawie lamp i świec migoczących za oknami, dotarł do teatru.

U pana Bautza było otwarte, zawsze czekał do ostatniej przerwy. Wieczorami aktorzy zwykle jedli więcej niż przed południem, w przerwach podczas prób.

- Dawno nie widzieliśmy Mistrza - powitał go uśmiechnięty pan Bautz.

- Chwilowo wycofałem się z życia, niezwłocznie muszę się nauczyć angielskiego.

- O, angielskiego! - powiedział pan Bautz z szacunkiem.

- Angielskiego - przytaknął ponuro Bogusławski.

Usiadł w kącie i wciągnął haust śmierzącego powietrza wypełniającego knajpkę.

- Czemu tu tak ciemno? - zapytał.

- Na polecenie pana dyrektora Osińskiego - odparł Bautz. - Trzeba oszczędzać olej. Na scenie również może się palić tylko co druga lampa.

- Nie mów pan - mruknął Bogusławski. - Co na to publiczność?

- I do tego się przyzwyczajają - odparł Bautz.

- To prawda - powiedział Bogusławski. - Do wszystkiego się przyzwyczajają.

Do knajpki przyłazł Fiszer i zaskoczony spojrzał na Mistrza. Ten przywołał go skinieniem. Fiszer miał zmierzwiłone włosy, twarz okalał mu ostry zarost.

- Co słychać, mój królu?

Fiszer z irytacją wzruszył ramionami.

- Co dziś leci?

- Nicolo.

- *Kopciuszek*?

- Właśnie. Nie dotrwałem do końca pierwszego aktu.

- Kto tam jest?

- Dmuszewska, Żółkowski...

- Z pewnością się nudzą - orzekł Bogusławski. - Swego czasu często to graliśmy.

Fiszer milczał.

- Czemu pan tak kiepsko wygląda? - zapytał Bogusławski.

- Nie zwracam na to uwagi, jak Mistrz widzi - powiedział Fiszer. - Czasem jeszcze nadal wierzę, że mogę się czegoś w teatrze nauczyć.

- Niech pan powie, mój królu, nie mógłby mi pan ukraść nieco oleju?

Fiszer był zdziwiony.

- Dzień i noc uczę się angielskiego - wyjaśnił Bogusławski - i skończył mi się olej.

- Nie będzie łatwo - rzekł Fiszer niepewnie. - Ja już od wielu dni nie zapalam lampy w domu... Nigdzie nie można dostać. Świece też tylko spod lady. Mówi się, że wkrótce w ogóle ich nie będzie. Na czarnym rynku kosztują już cztery razy tyle, co w zeszłym tygodniu.

- Dlatego trzeba kraść - zauważył Bogusławski.

Fiszer milczał.

- Słyszę - powiedział Mistrz - że kręci się pan koło Iksów. Czy nie po to powstał deficyt oleju, by ludzie nie mogli nocami spiskować?

Fiszer roześmiał się.

- Niezły pomysł - powiedział. - Jeśli w najbliższym czasie zobaczę jakiegoś Iksa, powiem mu to.

- Oni sami dobrze o tym wiedzą - mruknął Bogusławski. - Jak pan sądzi, czemu teraz tak mało kawiarni?

- Myśli Mistrz...?

- Och, mój Boże - sarknął Bogusławski. - Jak pan może zostać prawą ręką Osińskiego, skoro nie ma pan nawet tyle wyczucia polityki?

- Osiński tylko myśli, że będę jego prawą ręką.

- No, niech pan uważa, Antoni, człowiek zaczyna jako autor dramatów, a kończy jako garderobiana. Przyniesie mi pan olej?

Fiszer zaśmiał się, powiedział, że spróbuje, ale będzie ciężko, po przedstawieniu, kiedy tylko zdemontują dekoracje, od razu chowają lampy, a także olej.

- Klucz jest u Henryka. Henryka Macrotta.

- Jak to? - zapytał Bogusławski.

- Osiński zatrudnił go jako inspektora sceny, obserwuje każdy spektakl i próbę, a potem pisze o tym raport.

- Takiej profesji do tej pory nie było.

- Teraz jest.

Bogusławski zamyślił się.

- Dziwny szczeniak z tego Henryka - powiedział. - Pan go z pewnością nienawidzi.

- Nie - odparł Fiszer. - O dziwo, nie czuję do niego nienawiści. Jest mądry. Nie potrafię nienawidzić mądrych ludzi.

- Nie myśli pan, że to, co robi pański przyjaciel, to swego rodzaju donosicielstwo?

Fiszer wzruszył ramionami.

- Nie jest moim przyjacielem, a jeśli nie on, robiłby to ktoś inny. Ja nie, ja jestem wybredny. Co ma zrobić mądry chłopak, jeśli chce się realizować? Nic na to nie poradzi, że jego ojciec jest tylko golibrodą. Gdyby ojciec był aktorem, Henryk być może teraz byłby już reżyserem.

- Krótko mówiąc - podsumował Bogusławski - potrzebny mi olej.

- Postaram się - powiedział Fiszer i opuścił knajpkę.

Chwilę później skończył się pierwszy akt, wymalowani aktorzy w bajkowych kostiumach tłoczyli się w drzwiach bufetu. Bogusławski starał się ukryć zazdrość. Żółkowski i Dmuszewski od razu się do niego przysiedli; Żółkowski powitał go z radością, potem skulił się w sobie, nie wiedział, co powiedzieć, siedział tylko bezradnie. Dmuszewski kłął na kiepski przekład libretta opery, ten Pękalski, powiedział, nigdy nie umiał po polsku.

Dmuszewska nie podeszła, Aszpergerowa również.

Dyrygujący operą Elsner tylko skinął głową.

Zieliński już wezwał ich na scenę, przy nim pętał się Henryk Macrott.

Znajdę się w jego donosie, pomyślał Bogusławski.

Knajpka opustoszała. Nieokrzesa bandy, pomyślał Mistrz pogardliwie, nie znają nawet słowa po angielsku.

- Pan Osiński - powiedział pan Bautz poufnie, płucząc w cebrze butelki - wydał zarządzenie, że podczas gry na scenie nikt nie może przebywać w bufecie, wszyscy aktorzy muszą się znajdować za żelaznymi drzwiami, nawet wtedy, gdy mają wejście później.

- Słusznie - mruknął Bogusławski. - Jeśli nie ma już nawet oleju, niech będzie żelazna dyscyplina.

Fiszer chyłkiem wszedł do knajpki z małą bańką.

- Nie mnie się należą podziękowania. Dziadzio Harazyn to ukradł, kazał Mistrza pozdrowić. Proszę schować pod stołem, ktoś może wejść.

- Przyniosłem to ze sobą z ulicy - powiedział ze złością Bogusławski i postawił bańkę na stole.

Fiszer uśmiechnął się.

Szczęśliwy Mistrz zabrał bańkę do domu.

- Jest olej - powiedział do czuwającej Marianny - trzeba się tylko umieć zakręcić.

Usiadł przy stole, litery skakały mu przed oczami, opanował go podły nastrój.

- Nawet tyle nie mogę od ciebie oczekiwać - mruknął do Marianny.

Odwróciła się do ściany.

Bogusławski był zmęczony, ale musiał udowodnić, że olej był mu potrzebny. Szkoda, że musiałem pójść do teatru, pomyślał, teraz przez kilka dni będę od tego chory. Niech to diabli porwą... jak to jest po angielsku?

Słownik był dla ludzi grzecznych, więc tego zwrotu nie znalazł.

Jego myśli uleciały z powrotem do teatru.

Zerknął na podtytuł powieści: *An Hibernian Tale*. Obejrzał pierwszą stronę, zaczął wyszukiwać w słowniku pojedyncze słowa, żadnego nie rozumiał. Na biurku wały się porzucane kupki notatek ze słówkami. Kilka zwrotów i słów było wielokrotnie podkreślonych i ujętych w ramki, ale teraz już nawet ich nie pamiętał. Z wytężonego wkuwania przez minione dni nie zostało nic. To, czego się nauczył, wyparowało mu z głowy, jak role, których nie musiał już grać. Każda nowa rola wymazuje wszystkie poprzednie. Miał pamięć aktorską; broniąc się przed nadmiernym obciążeniem, jego umysł stosował metodę radykalnego zapominania. Inna jego pamięć, reżyserska, niczego nie zapominała, ale zachowywała sztuki jedynie jako całość, bez słów i poszczególnych kwestii.

Pamięć reżyserska nie była teraz używana.

Ponownie przekartkował przeczytane wcześniej i rozszyfrowane już przypisy wydawcy. Na chybił trafił wziął się do jednego zdania, ale go nie zrozumiał. A przecież już raz je przetłumaczył.

Ten angielski przestał już być taki ważny, pomyślał ze smutkiem, teraz nie wypruję sobie żył, by się go nauczyć. Nie będę znać angielskiego. Jak nie, to nie. Też żaden kłopot.

Z ulgą i smutkiem zaczął się rozbierać. Potem wstał i z powrotem się ubrał. Teraz, kiedy przestało już to być ważne, dalej może sobie czytać.

Przecież wszystko jest grą.

Człowiek gra źle, nerwowo, wtedy, gdy bardzo mu na grze zależy. Kiedy się orientuje, że wszystko to żart, całość idzie gładko, wypływają także nieprzeczuwane wcześniej ukryte głębie. Czy właśnie on, Bogusławski, nie powinien tego wiedzieć?

Do świtu udało mu się przeczytać pięć stron. Wtedy się położył, a w łóżku zaczął rozmyślać.

Dziwnie zaczynająca się powieść. Stary sługa, niejaki Thady Quirk, pisze wspomnienia o swoich panach, właścicielach zamku Rackrent. Pomysł całkiem niezły. Biedny Thady jest wielkim głuptasem, czuje się to w każdym jego zdaniu. A cóż może zrozumieć z historii głupi starzec?

Być może sama powieść będzie równie interesująca, jak przypisy wydawcy.

An Hibernian Tale.

Zimowa baśń? Zimowa opowieść? Tytuł wnosi jakiś szczególny nastrój. Bogusławski zastanawiał się, czy rzeczywiście odnosi się do tak odległych czasów, jak nie omieszkał zaznaczyć wydawca. A może odnosi się do Irlandii, która utraciła niepodległość. O Polsce też można byłoby pisać pod takim tytułem. Kraj pod śniegiem. Kraj wtopiony w śnieg. Wymarzły kraj. Baśń o śniegu w lecie...

Następnego dnia pracował dalej z czystym umysłem.

Sir Patrick died that night - just as the company rose to drink his health with three cheers, he fell down in the sort of a fit, and was carried off...

Mistrz nie wierzył własnym oczom, przeczytał ponownie, ale nie było żadnej pomyłki, pan zamku Rackrent umarł. Piękne, treściwe zdanie. Prawie niemożliwe, by pisała to kobieta. I staje się to już na początku...

Możliwe, że będzie jeszcze więcej zgonów, pomyślał Bogusławski.

Nadal pilnie kartkował słownik, ale paplanina starego Thady'ego nudziła go. Długie, prawie niepowiązane ze sobą zdania rozwinięte trzeba było rozszyfrowywać, całkowicie brakowało także interpunkcji; zbyt związane zdania złożone zlewały się w jedno, tak że ledwie

mógł znaleźć początek i koniec. Jako monolog ciekawe, pomyślał, ale w przypadku powieści?...

- I jaka? - zapytała Marianna.

- Dziwna - odparł. - Jakaś Angielka nie może być mądrzejsza ode mnie, ale jeszcze nie rozgryzłem jej triku. Stary sługa, który to wszystko opowiada, gada niestworzone rzeczy, o panach zamku wiemy tylko tyle, ile on sam o nich wie. Początkowo widzi same drugorzędne rzeczy, z wyjątkiem tego, że jego pierwszego pana w zwięzłym zdaniu trafia szlag i już wynoszą jego zwłoki. Ale nie wiem, na czym się to skończy... Będę czytać tylko do chwili, gdy już sam zdołam kontynuować opowieść. Wtedy przestanę. Ale do tego czasu niech nikt mi nie przeszkadza! - zawołał z groźbą w głosie.

Przeczytał, co zdarzyło się po śmierci wesołego z usposobienia Sir Patricka, zapoznał się z przypadkowymi wydarzeniami z życia Sir Murtagha, a kiedy nie spodziewał się już niczego dobrego, Sir Murtagh również nieoczekiwanie odszedł z tego świata. Ponieważ był bezdzietny, majątek przeszedł na własność niejakiego Sir Kita.

- No więc - powiedział Mistrz do Marianny - ta kobieta w kilka chwil potrafi załatwić swoich bohaterów. Jej zwięzłość jest jak z Tacyta. Żadnego wydziwiania, bawienia się w szczegóły, posłuchaj tylko: *...my lady sent for five physicians, but Sir Murtagh died, and was buried*. Lady posłała po pięciu doktorów... po pięciu doktorów naraz, znakomite! Ale Sir Murtagh umarł i pochowano go. Dobre, co? Ta kobieta umie pisać!

Przez następne półtora dnia Bogusławski w dobrym nastroju i w spokoju grzebał w słowniku.

Marianna była coraz bardziej poirytowana.

- Zabawne - opowiadał jej. - Sir Kit ożenił się z Żydówką i z jej powodu kilka razy musiał się pojedynkować. Wygląda na to, że i tam pojedynkują się o byle głupstwo. To chyba jakaś umysłowo chora banda.

Godzinę później znów zjawił się w kuchni.

- Sir Kit też został pogrzebany - oznajmił uroczyście. - Już trzeci gospodarz zamku umarł, a teraz zaczyna się dopiero druga część powieści!

- Ciągle jeszcze jest to opowieść tego głupiego sługi?

- Ciągle. I ciągle jeszcze nie wiem, o czym jest całość... Kolejny właściciel nazywa się Sir Conolly. Na ile znam tych Irlandczyków, wkrótce i on wyciągnie kopyta.

Sir Condy Rackrent, by the grace of God heir at law to the Castle Rackrent estate, was a remote branch of the family...

Bogusławski gorączkowo grzebał w słowniku.

- Ciekawe - powiedział - każdy, kto wprowadza się do tego zamku, paskudnie kończy. Przeklęta posiadłość to Rackrent... A może ta nazwa coś znaczy? Jeszcze nie znalazłem w słowniku...

Po chwili zarechotał.

- Boskie! - powiedział. - Kobieta mnie przechytrzyła! Rackrent oznacza lichwiarską dzierżawę! Samo *rack* to ława tortur, natomiast *rent* to szczelina, pęknięcie albo komorne! Płacą komorne za ławę tortur... Znakomite! Ci nieszczęśni bohaterowie wraz z zamkiem dziedziczą swoje fatum! Co za pomysł!

Długo szukał odpowiednika *rackrent* i zasypywał Mariannę najróżniejszymi wersjami tłumaczenia tej nazwy; ostatecznie zwyciężył tytuł „Zamek cierpienia”.

- Warto by napisać sztukę - zastanawiał się. - Miejscem akcji jest zamek, którego właściciele padają jeden po drugim i nikt nie rozumie dlaczego. Do zamku przypisany jest pewien stary kamerdyner, który nie przeczuwa, że po zamku grasuje złe fatum, z niezłomnym entuzjazmem służy swoim panom wyciągającym jeden po drugim kopyta, i pracowicie ich grzebie. Wyobraź sobie, ile stukniętych postaci można byłoby zebrać w tym zamku! Najbardziej charakterystyczną rzeczą u każdego jest sposób, w jaki ginie... Mógłbym przebierać w najróżniejszych rodzajach śmierci... Ja zagrałbym głupiego sługę, który przeżył wszystkich.

- Oczywiście - powiedziała Marianna. - Bo to jedyna postać, która może grać do końca sztuki.

Mistrz zaśmiał się łobuzersko.

- To jest jej trik - powiedział po chwili. - Teraz już wiem. Ten zamek to Irlandia, w której każdy musi zdechnąć. Ta kobieta jest genialna. Co by było... co by było, gdybym sobie wybrał pałac Radziwiłłów? I tak stoi pusty, jest wypalony, całość to kompletna ruina. Przychodzi publiczność, potyka się o gruzy, a ja, odwieczny sługa pałacu, przyjmuję ich w liberii lokaja... Publiczność nie ma gdzie usiąść... I przychodzi pierwszy właściciel, i umiera. Przychodzi drugi, umiera. Przychodzi trzeci, umiera. Można by z tego wysnuć całą historię Polski ostatniego ćwierćwiecza! Nie byłoby mowy o niczym innym, jak tylko o tym, kto jak wyciągnął kopyta. Tylko głupi służący, tylko oni przeżyją.

Biegał podniecony po kuchni.

- Całość można naszpikować naszymi narodowymi głupotami... Tylko śmierć, a jednak komedia... Antologia całego polskiego wariactwa w zrujnowanym pałacu, a ja, służący, jestem zajęty swoimi małymi problemami, szukam szczotki pod gruzami, czyszczę buty, pilnuję zachowania ceremoniału, i nie mam pojęcia, gdzie żyję... Nie zauważam nawet,

że pałac leży w ruinie! Mój Boże, ile można by z tego wyciągnąć!

Bogusławski natychmiast poleciałby do pałacu Radziwiłłów, a nie zrobił tak tylko dlatego, że w ciemności niczego by nie zobaczył.

- Nie szkodzi, można jutro - powiedział. - Zostało już tylko pięćdziesiąt stron, zdążę je przeczytać, może da się coś jeszcze z nich wyłowić.

Jeszcze w nocy Mistrz miał możliwość się dowiedzieć, że podobnie jak u innych cywilizowanych narodów, także analfabeci Irlandczycy podpisują się krzyżykiem w obecności odpowiedniej grupy osób piśmiennych.

Długo nie wytrzymał, był kompletnie wyczerpany, litery zlewały mu się przed oczami. Nad ranem Mariannę obudziły paskudne przekleństwa, Bogusławski ubliżał matkom Anglików i Irlandczyków, czemu nie nauczyły ich jakiegoś kulturalnego języka.

Następnego dnia poszedł do pałacu Radziwiłłów.

Otoczono go ogrodzeniem, by jakiś spadający konar kogoś nie zabił. Naprzeciw pałacu błyszczał pięknie odpucowany pałac Potockich, siedziba Nowosilcowa, przed nim warta. Bogusławski prześlizgnął się przez jakąś szparę, wybitą w parkanie przez jego poprzedników, którzy z pewnością wynieśli wszystko, co dało się zabrać. Dziedziniec porastały chwasty, piętro pałacu zdobiło nieduże drzewko, najwyraźniej już od lat rosło sobie w szczelnie wypełnionej przywianą ziemią.

Pałac trwał milcząco w oplakany stan. Schody były nienaruszone, jednak ze ścian zerwano nie tylko stiukowe ozdoby, lecz także zbito z nich tynk; nie było żadnych drzwi, a z ozdobionych niegdyś rzezbami korytarzy wyłamano i wykradziono nie tylko rzeźby z cokołami, ale też kamienną posadzkę.

Bogusławski wszedł ostrożnie do budynku. Patrzył co chwilę pod nogi, a zanim przekroczył próg jakiejś sali, badał wzrokiem sufit, czy coś nie spadnie mu na głowę. Po kątach leżały skamieniałe ludzkie odchody, gdzie indziej fragmenty porozbijanych mebli; znalazł też zniszczone żelazne łóżko, z pewnością pochodzące z czasów, gdy całą Warszawę trzeba było zamienić na szpital wojskowy.

Porządnie zrujnowany, pomyślał zadowolony, znakomity na scenę.

Momentami miał ochotę zapłakać. Przecież tu był kiedyś jego teatr, jeszcze za czasów starego księcia Radziwiłła. Co by teraz powiedział, gdyby żył? Śmiałyby się głośno, trzęsąc brzuchem, szczerze rozbawiony echem powtarzającym jego śmiech, i plątałyby się w swoich łgarstwach, jak robił to przez całe życie, a tymczasem pod jego potężnym brzuchem dwie dziewczyny naraz robiłyby co trzeba.

Warto byłoby opisać starego księcia Radziwiłła. Jakież on miał niezmierny humor, ten

człowiek to było półtora cetnara humoru, zadziwiająca inteligencja, właściwa jedynie analfabetom, do których także książę się zaliczał. Pozwolił, by rozdrapano mu majątek wart wiele milionów. Obchodził go tylko jego harem i antałki wina, zresztą i to wszystkim rozdawał. A jak umiał opowiadać! I on, jak Cyrano, był na księżycu, lub leciał jak Münchhausen na kuli armatniej, jego fantazja czuła się jak w domu również na dnie morza, a o tym, że przyszło mu kiedyś urodzić bliźniaki, opowiadał z takim przekonaniem, że trudno było w to nie uwierzyć. Gdyby ktoś spisał te jego opowieści!... Czemu jest tyle sardynek na świecie? - zapytał kiedyś, po czym wytłumaczył: bo na brzeg morza fale wyrzuciły kiedyś syrenę, nieźle się z nią zabawił, no i z tego jest tyle sardynek na świecie.

Szkoda, że nie można o nim pisać ani nie można tego zagrać, nawet najskromniejsze jego wybryki i wypowiedzi uznano by za skandal. A przecież tylko korzystał z życia. No cóż, chyba właśnie dlatego trzeba go negocjować.

- Najważniejsze, że jest porządnie zrujnowany - powiedział Mistrz w domu do Marianny. - Może go oddadzą.

Nie wiedział, w czym posiadaniu jest pałac, możliwe że miasta. Trzeba byłoby jakoś to załatwić.

- Dekoracje są - powiedział - niczego nie trzeba już robić. Potrzebni są tylko aktorzy i ktoś, kto to napisze.

- Ty nie chcesz napisać? - spytała Marianna.

Bogusławski skrzywił się.

- Ja chcę tylko zagrać służącego - powiedział. - Może uda mi się namówić tego głupka Niemcewicza, pisze lepiej ode mnie. Zresztą musi się wgryźć w pomysł.

Po południu czytał. Powieść już go tak nie podniecała, uznał ją za rozwlekłą, jakby autorka nie potrafiła znaleźć niczego nowego. Stary Thady coraz bardziej się rozgadywał, Mistrz stwierdził z żalem, że *Castle Rackrent* nie jest aż tak wielkim dziełem.

Jeden przypisek u dołu strony znów wprowadził go w dobry humor.

- Wiesz, co znaczy irlandzkie słowo *gossoon*? - zapytał.

Marianna nie wiedziała.

- Chłopiec na posyłki - powiedział Bogusławski triumfalnie. - Pochodzi od francuskiego *garçon*. Ci Irlandczycy muszą być dość nędznym towarzystwem, wydawca pisze tak: podobno kiedyś taki nieszczęsny posłaniec musiał przebiec od świtu do nocy pięćdziesiąt jeden mil angielskich. Potworny dystans. Co najmniej dwa razy tyle, co bieg maratoński.

Wkrótce zachwyił go irlandzki system wyborczy.

- A to dopiero podłe! - cmokał. - Kandydat na posła karmi i poi swoich wyborców, obiecuje im gruszki na wierzbie, a od pijanych zbiera podpisy. Oczywiście potem nic nie robi. Jest tak od niepamiętnych czasów, a jednak wszyscy na nowo dają się na to nabrać i są przekonani, że ten, co ich upija, będzie godnie reprezentować ich interesy. W dniu wyborów każdy jest spity na amen. Znakomite.

Potem zaskoczyło go, że kolejna pani średniowiecznego zamku, żona Sir Connolly'ego, czyta *Cierpienia młodego Wertera*.

- Chociaż nie powinienem się dziwić - rozważał. - Irlandczyk też by osłupiał, gdyby się dowiedział, że jakiś Polak gdzieś na krańcach świata słyszał, że gdzieś coś tam dzwonią o Goethem.

Marianna już nawet zbyt się nie zdziwiła, gdy Mistrz obudził ją w nocy.

- Wiesz, czym wycierają kurze? - spytał, szczerząc zęby w uśmiechu.

Marianna zaczęła płakać.

- Swoimi perukami! - wykrzyknął Bogusławski.

Marianna płakała.

- Gdybym wcześniej o tym wiedział, Żółkowski w *Klingsbergach* sprzątałby w klozecie własną peruką!

Marianna dostała spazmów.

- No, już dobrze - wymamrotał przestraszony Bogusławski i pogłaskał ją po głowie. - Już więcej nie będę cię budzić. Nie gniewaj się.

Następnego dnia kupił kwiaty, a Marianna, ściskając je w rękę, znów dostała spazmów. Bogusławski przygryzł wargi i stał przy niej, rozmyślając.

- Wiem, że jestem nieznośny - mamrotał - ale to ty chciałaś ze mną zostać...

- Ty stary komediancie - chlipała Marianna.

Pod koniec powieści Bogusławski znów się ożywił.

- Ta kobieta to coś wspaniałego - powiedział zadziwiony. - Sir Conolly, będąc w ostatniej potrzebie, oddaje pałac na licytację, przeprowadza się na prowincję i wpada na pomysł, by urządzić własny pogrzeb. Jest ciekaw, kto przyjdzie! Kładzie się pięknie w trumnie i oto przychodzą ludziska oplakiwać zmarłego. W końcu jednak Sir Conolly jest znudzony leżeniem w trumnie w roli trupa i Thady wyjaśnia ludziom, że wszystko to żart. Tak więc Sir Conolly zmartwychwstaje, publika nie jest panicznie wystraszona, domaga się tylko zwrotu pieniędzy za wypalony podczas oplakiwania tytoń. To wspaniały obraz, co? Wyobraź to sobie na scenie! Zrobimy z tego cały jeden akt. U tej kobiety to tylko króciutki epizod, bo ona już tak pisze.

Niedługo potem Sir Conolly jednak umiera. Bogusławski ubawił się jeszcze przy posłowi, w którym wydawca wyraża wątpliwość, czy skierowana do Irlandii angielska policja potrafi nauczyć Irlandczyków picia piwa, podobnie jak nie jest wcale pewne, czy Anglicy przyzwyczajają się kiedyś do irlandzkiej whisky.

Potem zebrał swoje notatki.

- Jestem wykończony - oświadczył Mariannie.

- Ale nauczyłeś się angielskiego - dodała mu otuchy.

- Ze słownikiem, czytać. Do jutra zapomnę.

- Zawsze byłeś takim durniem. Jak coś ci się uda, nie potrafisz się już z tego cieszyć.

- Zmarnowałem dwa tygodnie - stwierdził Bogusławski. - Jutro wpadnę do Osińskiego.

- Może uda ci się *Zamek cierpienia* - powiedziała Marianna i zmusiła się do uśmiechu.

Bogusławski gapił się bezmyślnie w przestrzeń.

- Mimo wszystko ktoś mógłby tu zajrzeć - powiedział z goryczą. - Jak człowiek wycofa się na kilka dni, od razu mają go za trupa.

- To ty im zabroniłeś...

- Aniela mogła przyjść.

- Maurycy był chory... niańczyła go...

- Nawet wtedy.

Marianna omal się nie wygadała, że raz szukała Mistrza Ledóchowska.

W nocy budziła się wiele razy, słyszała miarowe sapanie Bogusławskiego.

Złożyła ręce i modliła się, by był jeszcze na świecie jakiś język do nauczania się.

Rano Bogusławski szykował się dłużej niż zwykle. Starannie się ogolił, wymasował twarz, włożył najlepsze ubranie, które zamówił u Cieślaka przed otwarciem prywatnej szkoły, wyszczotkował cylinder. Zjadł przykładnie śniadanie, usiadł przy biurku i z kartek ze słówkami porobił papierowe czaka i lódeczki.

- Maurycy ucieszy się z nich, gdy kiedyś podrośnie - wyjaśnił.

Dopiero o dziesiątej ruszył do teatru, nie chciał czekać na Osińskiego, który późno wstawał.

Unicki zaanonsował go. Bogusławski nie usiadł, stał w pokoju sekretarza i oglądał jedwabne afisze na ścianach. Wywieszono tylko te, na których figurował Osiński jako tłumacz. Bogusławski policzył, ile razy pojawiał się jego nazwisko. Był zadowolony z wyniku, Osiński nie mógł go usunąć z afiszów.

Dyrektor przyjął go, siedząc na swym tronie za biurkiem. Mistrz usiadł naprzeciw

i założył nogę na nogę.

- Czas, żebym zagrał - powiedział.

Osiński przytaknął.

- Wszyscy Iksowie bardzo cię cenią. W tym sezonie możesz wystąpić w jeszcze jednej sztuce. Wznowimy *Cynnę*, jeśli zechcesz...

- Mam już dość *Cynny* - odburknął Bogusławski.

- Niestety - powiedział Osiński - *Cudu mniemanego* już nie wystawiamy...

- Nie szkodzi, też mam go dość.

- Jeśli chcesz, dam ci plany repertuarowe, wybierz...

- Mam pewien pomysł - powiedział nagle Bogusławski. - Niemcewicz mógłby to napisać. Myślę, że nie masz nic przeciwko niemu, w końcu też jest Iksem...

- Decyzje podejmujemy wspólnie - odparł Osiński wymijająco. - Komedia?

- Jakżeby nie.

Mistrz zrobił pauzę.

- Ale nie grałbym tutaj - powiedział.

Osiński patrzył na niego nieruchomym wzrokiem, panowała cisza.

- Tylko?

- W pałacu Radziwiłłów.

- Sama ruina.

- Właśnie dlatego. Sztuka traktuje o zamku w ruinie.

Osiński z niewinną miną i naiwnie wyдутymi wargami patrzył na równie niewinną twarz Bogusławskiego. Milczenie trwało dość długo.

- Nie chcę się wtrącać do repertuaru teatru - uśmiechnął się Mistrz - ani tym bardziej obciążać cię odpowiedzialnością. Wszystko, o co proszę, to czterech, pięciu aktorów, ze dwie, trzy aktorki, sufler i ktoś od oświetlenia. Dekoracji nie trzeba. Kostiumy dam ja. Muzycy też niepotrzebni.

- Kogo chcesz?

- Jeszcze to ustalimy.

Osiński zaczął bębnić palcami po stole.

- A więc myślisz - mówił powoli - że równoległe z repertuarem Teatru Narodowego mógłbyś grać w pałacu Radziwiłłów, czy tak?

- Dla ciebie to też dobre - odparł Bogusławski. - Finansowo nie ryzykujesz niczego. Jeśli sztuka zrobi klapę, to my zbankrutujemy. Zobowiązuję się przez miesiąc płacić gażę występującym w sztuce aktorom.

Osiński uśmiechnął się.

- Chyba nie myślisz, że stworzę konkurujący ze mną teatr?

- Mowa tylko o jednej sztuce - powiedział Bogusławski. - I nie można tego zagrać gdzie indziej. W teatrze też nie.

- Naturalnie - odparł Osiński. - Nie będę miał żadnych obiekcji, jeśli odejdiesz z zespołu i będziesz się zadawać z aktorami ściągniętymi skądinąd. To nie podlega moim kompetencjom, na coś takiego może zezwolić komendantura miasta, minister spraw wewnętrznych i nie wiadomo ile innych urzędów. Niestety, nie jestem w stanie dać aktorów, program jest tak napięty, że nie mogę się obejść bez któregoś z nich... W Warszawie, Niestety, jest tylko jeden teatr. Mój.

Bogusławski milczał.

- Boję się o ciebie - powiedział Osiński. - Mimo wszystko masz u mnie stałą miesięczną pensję; jeśli odejdiesz i rzucisz się w trudną do realizacji przygodę, nie będę mógł cię chronić...

- Dobrze - powiedział Bogusławski. - Rozejrzę się za jakimś mecenasem.

Miło uśmiechnął się do Osińskiego. Ten nie odwzajemnił uśmiechu.

- Wiesz, że nie wtrącam się w twoje plany - powiedział - ale czy warto ci ryzykować dla jakiejś przygody? Przecież możesz grać u mnie...

- To inna sprawa - uznał Mistrz. - Tego chcieliby także Iksowie. Ale mam pewien temat... Oczywiście można go zrobić i z amatorami.

Znów miło się uśmiechnął.

Osiński zrobił się nerwowy, powiedział, że Unicki ma program na resztę sezonu, niech Mistrz wybierze sobie jakąś rolę, jemu to obojętne; teraz ma inne sprawy.

Bogusławski życzył dyrektorowi wszystkiego dobrego i poszedł do sekretarza.

Unicki wyjął listę zatwierdzonych sztuk.

Atalia. Wesele Figara. Kotzebue: Nienawiść ludzi i żal. Dubois: Szkoła sędziów. Opera Paera Kamilla. Collin D'Harleville: Zamki na lodzie, komedię tłumaczył Lipiński. Molier: Szkoła kobiet, benefis Żółkowskiego. Dorat: Regulus, w tłumaczeniu Pękalskiego. Opera Nicola Doktor turecki. Komponowana przez sześć lat opera Elsnera Leszek Biały.

Zdaniem Unickiego premiera dwóch ostatnich oper prawdopodobnie ma zostać przełożona na przyszły sezon.

Bogusławski przeglądał listę z niezadowoleniem. Dość dużo sztuk, nową trudno byłoby gdzieś tu wpasować. W grę wchodzi tylko *Zamki na lodzie* albo *Regulus*, reszta to opery lub obsada już zamknięta.

Nie chciał grać w sztuce, którą tłumaczył Lipiński, przecież to przesada, by swoją grą wspierał takie bydlę. Pękalski z pewnością dobrze przetłumaczył *Regulusa*, ale to tragedia, a Mistrz nie miał na nią ochoty. W przyszłości Osiński i tak zawsze będzie go angażować w tragediach klasycznych lub pseudoklasycznych, w których nie można grać, trzeba tylko deklamować.

- To będzie jedyny osierocony Molier? - spytał z kwaśną miną.

Unicki obojętnie skinął głową.

Bogusławski przejrzał tablicę prób, Kudlicz miał próby na dużej scenie; poszedł więc porozmyślać do garderoby.

Na nową sztukę Osiński nie zezwoli, może powołać się na to, że program został już zatwierdzony przez niezliczonych, choć oficjalnie nieistniejących cenzorów.

Pozostał tylko Molier.

Mistrz przesłiznął się myślami po rolach. W końcu doszedł do wniosku, że warto zagrać tylko główną rolę, Arnolphe'a. Rolę Żółkowskiego. Którą w Szkole Dramatycznej również on sam przydzielił Żółkowskiemu. Wówczas Żółkowski nawet się jej nauczył. To byłby jego benefis, pierwsza dobra rola od chwili, gdy został wygwizdany w Kotzebuem.

Trzeba będzie go o nią poprosić.

Niezbyt podobał mu się ten pomysł. Nie byłoby dobrze, gdyby poróżnił się także z Alojzym. Obok Trusi to najpewniejsza podpora.

Ale grać też trzeba.

Postanowił, że przejrzy recenzje Iksów mówiące o Żółkowskim, może znajdzie taki wątek, dzięki któremu udałoby się dać Żółkowskiemu do zrozumienia, że we własnym dobrze pojętym interesie powinien zrezygnować z głównej roli w *Szkole kobiet*.

Bez pośpiechu poszedł do ulokowanej na poddaszu biblioteki pana Kellera. Keller, niski, siwy mężczyzna o wielkim nosie i wyglądzie mola książkowego, całe życie zajmował się sprawami urzędowymi, ale namiętnie kochał teatr. Wytrwałą pracą osiągnął to, że na stare lata, za połowę państwowej pensji Osiński zatrudnił go jako teatralnego bibliotekarza.

Gdy budowano teatr, nikt oczywiście nie zaplanował nie tylko rekwizytorni i garderób, ale też pomieszczenia na bibliotekę, i w czasie pierwszej przebudowy, kiedy maszyniście urządzano na poddaszu mieszkanie służbowe, Bogusławski uszczknął z tej przestrzeni nieco miejsca także na bibliotekę. W wąskim pokoju, którego okno spoglądało ukośnie na niebo, a z powodu wypaczonej drewnianej framugi często przeciekało, książki i rękopisy leżały w stosach sięgających pasa, bo na półkach nie było już miejsca. Bogusławski, póki tu rządził, ważniejsze książki i libretta trzymał u siebie, a Osińskiemu

wraz z teatrem przekazał bibliotekę upchaną jedynie dość lichymi książkami. Fakt, że pan Keller w bardzo krótkim czasie zdobył kilka ciekawszych sztuk i dzięki mrówczej pracowitości wyszukał i kupił, przeważnie za swoje grosze, prawie wszystkie egzemplarze suflerskie z ostatnich lat, aby obok umów, dokumentów finansowych oraz najróżniejszych szpargałów także one dawały późniejszym czasom dokładny obraz funkcjonowania teatru.

Pan Keller niewątpliwie liczył na takich przyszłych entuzjastów teatru, jakim był on sam. Zbierał komunikaty prasowe dotyczące teatru, a jego germańska dokładność objęła również recenzje Iksów.

Niegdyś Bogusławski, gdy już zbyt długo naprzykrzano mu się w dyrektorskim gabinecie, wdrapywał się tutaj i godzinami przesiadywał wśród zakurzonych książek. W takich razach zamykał się w bibliotece, spacerował lub patrzył w niebo, a deski podłogi miło trzeszczały pod nogami; w tym pokoju czuł się uniezależniony od życia płynącego pod pokładem.

Teraz prócz Kellera zastał w bibliotece także Kratzer, korepetytora muzyki.

Nieco zadyszany Bogusławski usiadł i poprosił zrywającego się do usług pana Kellera, by poszukał recenzji dotyczących Żółkowskiego.

- Są uporządkowane - oznajmił z dumą Keller. - Trzeba je tylko znaleźć.

Zaczął szukać. Kratzer wręczył Bogusławskiemu plik papierów.

- Mistrzu - powiedział i twarz mu zadrżała - to koniecznie trzeba przeczytać.

- Dramat? - spytał podejrzliwie Bogusławski.

- E, gdzie tam - zaprzeczył Kratzer. - Nowy rodzaj sztuki.

- Naprawdę? - spytał Mistrz ubawiony i obserwował Kellera, który na czworakach gmerał wśród papierów. Powinien mieć zarękawki także na kolanach.

- Odkryłem widzialną muzykę, Mistrzu - powiedział Kratzer, pochylił się i wpatrywał w twarz Bogusławskiego. - Pokażę.

Mistrz patrzył odrętwiały, jak Kratzer wyciąga z pliku długą, niekończącą się wstęgę papieru i ją rozkłada. Czerwone, żółte, białe, niebieskie, lila i brązowe kwadraty, prostokąty, romby, trójkąty oraz koła piętrzyły się na wstędze jeden za drugim, różnej wielkości, a pod nimi nuty.

- To Salieri - oznajmił z dumą Kratzer.

- Właśnie tak to sobie wyobrażałem - mruknął Bogusławski.

- Prawda?! Nie można sobie tego inaczej wyobrazić. Każdej nucie odpowiada inny kolor i figura geometryczna, c jest zielone, f niebieskie... trzydziestki dwójki są najmniejsze, biedule, całe nuty są największe, wyniosłe... utwór można spisać obrazkami, dla głuchych, by

też mogli przeżywać muzykę...

- A ślepi? - spytał Bogusławski niewinnie.

Kratzer zmieszał się.

- Oni słyszą - odezwał się spod stołu Keller.

- Właśnie! - wykrzyknął Kratzer. - Oni słyszą!

Bogusławskiego ciekawiło, od czego to zależy, że jakiś dźwięk kwalifikuje się jako trójkąt albo prostokąt.

Kratzer wykręcał się:

- To trzeba czuć - powiedział. - Na tym polega dusza piszącego obrazkami... która dalej tworzy muzykę, na wyższym poziomie, ze względu na nowy rodzaj sztuki... Tu należy podpisać - wskazał jakiś fragment papierowego węża, gdzie Bogusławski rozpoznał skrócone podpisy Żółkowskiego i Heleny Rutkowskiej.

- Czemu należy podpisać?

- Osoby podpisujące - wyjaśnił Kratzer - uczestniczą w nowym rodzaju sztuki, ich nazwiska wraz z moim przejdą do historii ludzkości... Pan Osiński kazał już zaplanować nowe foyer... zapisany obrazkami utwór muzyczny będzie tam rozdawany przed i podczas trwania spektaklu, gdy gra orkiestra... Ale są i tacy, którzy się ociągają, którzy nie chcą nowego, przeciwko nim bronią jest każdy podpis...

Bogusławski bez wahania podpisał wstęgę.

- Niniejszym - powiedział Kratzer uroczyście - został pan przyjęty w poczet moich członków.

- Jeszcze pan nie znalazł, panie Keller? - spytał Bogusławski ponagłajaco.

- Znajdzie się, Mistrzu, zaraz... wszystko tu jest, tylko mało miejsca...

- No a teraz - powiedział Kratzer zdecydowanie - teraz wtajemniczę pana w inne moje dzieło!

Wyczarował nowy plik papierów i podsunął Bogusławskiemu pod nos.

Mistrz zerknął na grubawy manuskrypt.

Kratzer zapisał drobnym perlem kilkaset stron, Bogusławski zdrygnął się.

Konstrukcyjne odzwierciedlenie samobieżnego mostu pancernego nad Warszawą - koncepcyjny wynalazek inżynierii wojskowej na czas pokoju przeznaczony celem zachowania polskości - przeczytał tytuł naukowej rozprawy.

Zerknął na Kratzera, który, nawet siedząc, dyszał tak, jakby biegł.

- Mistrzu - powiedział Kratzer bez tchu - Mistrzu...

- W domu bezwzględnie przeczytam - powiedział szybko Bogusławski, wstał i wsunął

rękopis pod pachę. - Panie Keller!

Keller wynurzył się cały zakurzony.

- Wszystko jest! - oznajmił triumfalnie.

- To też wezmę - powiedział Bogusławski.

Uciekłby od razu, ale Keller kazał mu podpisać pokwitowanie, że zabrane materiały zwróci w całości, bez tłustych plam i kleksów.

- W przeciwnym razie wszystko zejdzie na psy... - usłyszał jeszcze biadolenie Kellera, zbiegając po trzeszczących kręconych schodach.

O mało nie złamał karku na tych schodach, tak szybko chciał stamtąd uciec. Mój Boże, westchnął, żebym tylko ja nie posunął się tak daleko.

Wrócił do garderoby, zamknął się w niej i zagłębił w recenzjach.

Jego wzrok zatrzymał się chwilę na jednej recenzji, kartkował dalej, potem się cofnął i zaskoczony wpatrzył się w tytuł: *Szkoła kobiet, pan Żółkowski...*

Spojrzał na datę, była sprzed roku, kiedy przebywał we Lwowie. Czyli Żółkowski grał już rolę Arnolphe'a. Więc dlatego znał ją na pamięć, pomyślał Bogusławski. On także nie nauczył się roli wyznaczonej mu w prywatnej szkole, po co miałby to robić, już wcześniej znał ją na pamięć. I jaką zrobił z tego scenę!

Bogusławski roześmiał się smutnie.

Z recenzji był zadowolony

„Sztuka Moliera! - pisał pan Iks. - Żółkowski grać będzie! Horyzont zachmurzony, dzień niedzielny, przy tym *Szkoła kobiet!* Cóż to za ścisk będzie na parterze... gdyby tylko jeszcze można dostać bilet... - tak mówiąc do siebie, biegłem ku teatrowi. Już bije 7-ma, a ja jeszcze na Miodowej ulicy, co za nieszczęście! Śpieszę się, biegnę, lecę i zastaję - trzy dryndulki przed teatrem, kilka osób w łóżach i większą część parteru pustą. Niegdyś nad Kornela wynosił się Skudery, szcycąc się, iż na jego sztuce trzech odźwiernych uduszono w tłumie. Molierze! W dzień ten triumfowali podobnie nad tobą inni autorowie. [...] Pan Żółkowski dowiódł w tej sztuce, iż odrzuciwszy wszelkie przesadzanie (nawet śmieszące), może śmiało powierzyć się talentowi swemu, i że idąc za tak pięknym przewodnikiem, zawsze będzie na drodze wyższej zalety”.

Nieźle, pomyślał, skończywszy. Żółkowskiego wprawdzie nie skrytykowano, ale nie napisano o nim entuzjastycznie. Na to może się teraz powołać. Iksowie mu pomogli.

Czytał dalej.

„Czyż się godzi klasycznych autorów tak psuć i kaleczyć? [...] Molière pisał wierszem pełnym mocy i oryginalności, jego tłumacz dosyć słabą i bardzo pospolitą prozą”.

Grano ją w tłumaczeniu Bogusławskiego.

Dobrze jest, pomyślał, można spróbować.

W knajpie rozmawiano o wczorajszym spektaklu, Żółkowski się wściekał, w drugim akcie kawał tynku spadł na scenę, o włos od jego głowy.

- A przecież mogłem tam stać - burczał. - Kto zapłaci mi za zagrożenie utraty życia?

Zdanowicz wyraził przekonanie, że cały teatr, tak jak jest, trzeba byłoby wysadzić w powietrze i posypać to miejsce solą, jak to zrobiono z Kartaginą. Szymanowski uważał, że nie trzeba wysadzać, teatr i tak sam się zawali.

Bogusławski zaczął obgadywać Osińskiego, który nie kwapi się, by remontować teatr.

- Nic dziwnego, nie jest aktorem - mówił Mistrz. - Gdyby choć raz, jeden jedyny raz zagrał niewielką rolę i musiał się trząść z zimna od przeciągów na scenie, od razu zacząłby szanować waszą pracę.

Te słowa wywołały burzę, wszyscy zaczęli rozprawiać o zimnie, szczurach i wszach, warunki są nie do zniesienia, tego nie da się już wytrzymać. Bogusławski nie chciał przewrotu pałacowego, trochę go zaniepokoiła tak gwałtowna reakcja. Dziwne, że w jednej chwili wszyscy stali się tacy rozgoryczeni. On, Bogusławski, mógł obiektywnie stwierdzić, iż przez ostatnie lata warunki wcale się nie zmieniły. Dlaczego tak nagle wzrosły wymagania?

Bolało go, że przyjęto go tak, jakby wczoraj też był razem z nimi. A przecież nie widzieli go od tygodni!

Potem burza ucichła, tylko Żółkowski nadal się wściekał; wszyscy poza nim czuli się na liście osób do wywalenia. Później Żółkowski także zmienił temat, opowiadał o Nepomucenie, że już teraz jest znakomitą aktorką i że ostatnio przechytryła durnego doktora. Doktor chciał się z nią bawić, zaszczebiotał ecie-pecie, na co Nepomucena tępym wzrokiem zapatrzyła się w jeden punkt.

Żółkowski z głupekowatą miną wlepił oczy w stół.

Trwał tak przez dłuższą chwilę; nie sposób było powstrzymać się od śmiechu. Bogusławski również się uśmiechnął, choć na pamięć znał sztuczki Żółkowskiego. Za moment wróci do roli gawędziarza i z wolna, przeciągając chwilę, ze zdziwieniem będzie opowiadać, jak doktor nadszakiwał dziecku, a dziecko robiło raz tak, raz siak - i znów gapiło się drętwo w przestrzeń. A on sam będzie się najbardziej dziwić, czemu to wszystko jest takie zabawne, dlaczego ludzie wokół rżą coraz głośniej.

I tak się stało. Żółkowski z niepojęcie głupekowatą miną Nepomuceny obserwował rżących z radości, a ci, widząc to, zanosili się jeszcze głośniejszym śmiechem.

- Mój królu - powiedział Mistrz, gdy przycichły śmiechy - daj mi rolę Arnolphe'a.

Żółkowski zapatrzył się weń ze zdumieniem. Mistrz uśmiechnął się do niego serdecznie.

- Tylko na kilka spektakli - powiedział. - Potem ci oddam. Mam parę pomysłów, chciałbym je wypróbować... Wiem, jakie to poświęcenie z twojej strony...

- Ależ wcale nie - zaprotestował Żółkowski, w dalszym ciągu kompletnie nic nie rozumiejąc.

- Ależ tak, ja to wiem... nawet jeśli Iksowie nienawidzą tej sztuki i znów chcieliby cię w niej objechać... tak jak objadają mnie...

- Ach, chodzi o Arnolphe'a - zrozumiał wreszcie Żółkowski. - Jasne, niech pan weźmie, Mistrzu.

- Ale żebyś nie pluł sobie potem w brodę! - pogroził mu Bogusławski swoim słynnym długim wskazującym palcem.

Aktor potrząsnął głową.

- Ja dla Mistrza wszystko...

Był wzruszony własną wspaniałomyślnością. Zaczął wyjaśniać, że chociaż to Truskolaska odkryła go niegdyś, on wszystko jednak zawdzięcza Mistrzowi. Kiedy dwadzieścia - ależ nie, dwadzieścia sześć lat temu, mój ty Boże! - Mistrz grał we Lwowie, zdumionymi, pełnymi łez oczami oglądał Wielkiego Bogusławskiego pewien sierota, niezdolny do wojaczki, nędzny urzędniczyna...

- To byłem ja - mówił Żółkowski. - Tak. Dwa lata trwało, nim udało mi się zebrać tyle pieniędzy, by móc za Mistrzem uciec do Warszawy.

Sprawa oczywiście nie była wcale taka prosta, pomyślał Bogusławski i uśmiechnął się.

- Mistrz być może już nawet nie pamięta - ciągnął Żółkowski z zamglonymi oczami - to było z piętnaście lat temu, mieliśmy próby *Grobów Werony*, gdzie Szymanowski był Romeem, a Ledóchowska Julią... ja grałem Merkucja. Była to moja pierwsza dłuższa rola i akurat zwały się na scenę sztankiety, musieliśmy pójść do sali prób, ale była pełna rupieci, więc mogliśmy tylko siedzieć przy długim stole i wałkować tekst. Szymanowski miał gorączkę, nie przyszedł, a jego tekst mówił sufler... jak mu tam było... jeszcze tego samego roku odszedł... zresztą nieważne. Ja siedziałem obok Mistrza, pamięta pan, Mistrzu?

Bogusławskiemu nic jeszcze nie zaświtało w głowie, ale przytaknął.

- Siedzieliśmy przy stole - opowiadał dalej Żółkowski. - Obok mnie Mistrz, który reżyserował, sufler wałkuje tekst Szymanowskiego, siedząc na drugim końcu stołu, kończy kwestię, zaczynam mówić swoją, ten długi monolog na początku, o swoim śnie, o baśniowej

kobiecie, dobry tekst, można pobłaznować, nagle czuję, że coś się stało. Podnoszę wzrok, widzę oczy Mistrza, zacisnąłem zęby, ale nic, lecę dalej, zrozpaczony, że Mistrzowi się nie spodobało, byłem nawet zły, czego, do diabła, chce Mistrz, przecież tylko czytamy tekst, krótko mówiąc, dokończyłem kwestię zaczepnym tonem, ale już w trakcie czułem, że dobrze mi leży, że to tekst dla mnie. A tekst był sympatyczny, pełen czułości i wdzięku. I wtedy powstała postać Merkucja, którego wcześniej uważałem za wesołego, beztroskiego gościa, jakim zagrał go także Döbbelin. A przecież Merkucjo nie jest taki, to nieszczęśliwy, niepewny i pełen rozterek dzieciak, który błaznuje tylko dlatego...

Żółkowski machnął ręką, co ma tłumaczyć, sztuki już dawno nie grano.

- Po próbie - podjął - poszedłem do Mistrza i zapytałem, czemu tak szatańsko na mnie patrzył.

- I co powiedziałem? - spytał Bogusławski.

- Powiedział: „Ja tylko pomagam”. I rzeczywiście pomógł. Dziś też mam przed sobą twarz Mistrza, wydęte usta, przymknięte oczy, bacznie wpatrzone szatańskim wzrokiem... nie z jakiejś roli ani jako reżyser... jakby sam Pan Bóg obserwował, czy zdaję sobie sprawę, jak została napisana rola... Teraz też cierpię mi skóra, gdy o tym myślę. To było coś piekielnego... od tamtej pory wiem, jak demoniczne jest nasze rzemiosło.

Bogusławski uśmiechnął się. W tamtych czasach mogłem być utalentowany, pomyślał.

- Gdyby wtedy Mistrz nie zasiał we mnie niepewności - słyszał dobiegający gdzieś z oddali głos Żółkowskiego - do końca życia pozostałbym marnym aktorzyną. Od tamtej pory wiem, że... nawet wtedy, gdy nie gram, po prostu wiem, że... każdy człowiek i każda rola jest tak zawila, rozpaczliwa i grzeszna, jak ja sam w chwilach największej szczerości.

Bogusławski z zamętem w głowie wałęsał się pod teatrem. Nie potrafił cieszyć się szczerze, że zagarnął benefis Żółkowskiego. Od Żółkowskiego nauczył się teraz tego, czego sam go kiedyś nauczył; Mistrz nie umiał sobie wyobrazić, że teraz w podobny sposób mógłby komuś pomóc. Nawet nie przyszłoby mu to do głowy. Przez te lata stał się rutyniarzem, rzemieślnikiem, nad którym góruje wielki aktor, jakiś Bogusławski, nieosiągalny wzór.

Już od dawna nie wątpił w siebie, pomyślał zdziwiony.

Sprecyzował zadanie: wymazać teraz wątpliwości z głowy.

I zmusił się do roztrząsania nowych kombinacji. Trzeba postraszyć Osińskiego pałacem Radziwiłłów, w przeciwnym razie wycofa także tę jedną obiecaną rolę... Trzeba działać... zresztą i tak trzeba zrobić *Zamek cierpienia*.

Zamek cierpienia jest bardzo ważny.

Pospieszył do Józefa Krasińskiego. Brat Józef był w domu, na widok Bogusławskiego nieco się zmieszał. Mistrz powiadomił go, że zamierza połączyć teatr z działalnością wolnomularza, jak czynił to przez dziesiątki lat; teraz znalazł znakomitą nową siedzibę dla magnetyzowania ludzi, pałac Radziwiłłów...

- Widzi pan, Mistrzu - powiedział tyczkowaty brat Józef. - Ja wielce pana szanuję i osobiście nie mam żadnych zastrzeżeń do pańskiej pracy... powiem nawet, iż wagę naszego murowania w dużym stopniu podniósłby pański...

- Ale?

- To bzdura - powiedział brat Józef i spłonął rumieńcem. - Ale część braci obraziła się na pana... Ja nie widziałem *Klingsbergów* i nie sądzę, że zamierzał pan drwić z masońskich symboli...

- Ja? - spytał Bogusławski ciężko urażony.

- To nie ja mówię, to oni.

Bogusławskiego zatkało.

- Twierdzą, że drwił pan z kielni, cyrkla i białego fartucha...

- To nieprawda - powiedział Bogusławski. - Dzięki nim właśnie nadałem ludzką głębię stworzonej przez siebie postaci!

- Wierzę, Mistrzu, na miłość boską!... - Brat Józef zamilkł pełen smutku. - Mam nadzieję, że Mistrz mnie źle nie zrozumiał?...

Kiedy Bogusławski wrócił do domu, Marianna uznała, że lepiej się do niego nie odzywać.

Mistrz siedział nad *Szkolą kobiet* i gapił się przez okno. Zastanawiał się po kolei nad swoimi ludźmi, od Marianny do Żółkowskiego, od Anieli do Ledóchowskiej, chcąc się upewnić, że wszyscy kochają i szanują w nim starego Bogusławskiego, tego, od którego można się było uczyć, który wyciosał z nich aktorów. Na razie nie dostrzegają, a może raczej nie odczuwają, że tego dawnego widzą w nowej sytuacji, zapamiętany obraz widzą w kimś, kto nie istnieje, w tym prawie już pozbawionym ciała szkielecie.

Od lat nie wykształcił już prawdziwego aktora. A przecież tyle czasu uczył w Szkole Dramatycznej. Te dzieciaki też miały talent, podobnie jak Ledóchowska czy Żółkowski. Mimo to pozostali nijacy. Dlaczego? Przeze mnie, pomyślał.

Może kiedyś Aniela... Albo Helena Rutkowska.

Co dostały od niego Aniela albo Helena? Nie postrzegały go już jako kogoś naprawdę wielkiego. Może szanują tylko legendę.

I to możliwe, pomyślał, że zrobiłem się przemądrzały.

Piętnaście, dwadzieścia lat temu wiedział znacznie mniej, ale więcej czuł i więcej grał. Wtedy oczywiście nie przejmował się jeszcze myślami, jak wygrzebać się z materialnego dołka.

Poczuł w ustach smak goryczy: jego los zależy od doraźnej łaski Żółkowskiego. Ale może to wcale nie takie złe, że został zdegradowany z dyrektora na aktora. Może tak jest lepiej. Na pewno tak jest lepiej, powtarzał sobie w myślach.

Jakim wielkim przedstawieniem byłby *Zamek cierpienia*! Gdyby tylko miał jeszcze kiedyś władzę i pieniądze, jak dawniej!

Podejrzliwie wpatrywał się w przemykającą przez pokój niczym złodziej milczącą Mariannę. Nie pojmował, dlaczego przyjęła rolę służącej przy wysłużonym i wypalonym wraku, którego wielkość już przeminęła. Jeśli zrozumie, że to mój koniec, pomyślał, ona również mnie porzuci.

- Zrobię dobrą *Szkołę kobiet* - powiedział.

Marianna coś wymamrotała.

- Cóż to, nie cieszysz się?

- Ależ się cieszę - powiedziała Marianna z uśmiechem.

Bogusławski odwrócił się.

Marianna przebudziła się w nocy, gdy Mistrz chodził wte i wewte po rozbrzmiewającym głuchym echem pokoju i coś pomrukiwał.

- Idź już spać - poprosiła go rozespana.

- Uczę się tekstu, ty dziwko! - wrzasnął, wybity z rytmu.

- Wosiu...

- Nigdy nie dasz mi spokoju, nigdy nie dajesz pracować, siedzisz mi na karku, trzydzieści lat to znoszę!

Podbiegł do szafy i zaczął wyrzucać rzeczy Marianny. Cały czas wrzeszczał; na koniec rzucił dobitnie:

- I nigdy nie dajesz mi spać!

Wyciągnął krzyczącą Mariannę z łóżka i próbował ją ugryźć. Potem, wrzeszcząc: zabiję cię, ty dziwko! Zamierzył się na nią krzesłem.

Marianna wybiegła, Bogusławski cisnął krzesłem za nią. Następnie wyrzucił na schody jej płaszcz; przerażona złapała go, z krzykiem wybiegła w noc i zniknęła za rogiem. Mistrz pobiegł na piętro i rzucił się na półki z książkami. Przez jakiś czas niszczył wszystko, potem chciał podpalić dom, ale nie miał czym, więc innym krzesłem skutecznie rozbił okno.

- Uczę się roli! - krzyknął w uliczkę.

Na ulicy w żadnym oknie nie zabłysło światło.

Potem, pomrukując z ulgą, położył się do łóżka jeszcze ciepłego po Mariannie.

Rano ze złością stwierdził, że półki na książki zostały zniszczone; mając przy tym w głowie, że Marianna wyszła w nocy, wzruszył ramionami, przecież w końcu wróci, z pewnością przyniesie też mleko. Zamiast Marianny przyszła Aniela i zaczęła krzyżeć. Bogusławski obojętnie przyjął do wiadomości, że Ignacy tak się w nocy wściekł, gdy przyszła matka, że złapał siekierę i ledwie udało się go powstrzymać.

- Co za nieudolny baran - powiedział. - Nawet własnego ojca nie potrafi zabić.

- Jesteś potworem! - krzyknęła Aniela.

- Mogłaś przynieść mleko - odparł na to Bogusławski i zatrząsł się, bo z rozbitego okna ciągnęło zimno.

Aniela oniemiała, bezradnie rozejrzała się po pokoju i wyszła.

Na stole leżał nieruszony egzemplarz *Szkoły kobiet*. Podeszedł i nie widział dobrze liter, ale nie mógł się zdobyć na to, by trzymać rękopis z dala od oczu. Czuł, że uczenie się teraz tekstu poszłoby na marne.

Zaczął grzebać w kufrach. Nie wiedział, czego szuka, ale czegoś szukał. Wokół niego narastały stosy sztuk, listów, tak przydatne niegdyś w życiu świstki; bezradnie obracał w rękach pojedyncze kartki, niczego nie mógł sobie przypomnieć. Nie wiedział, kto napisał dany list i z jakiej okazji, ani skąd pochodzi jakiś fragment sztuki. Obojętnie przyglądał się swoim zapiskom. Jakie to smutne, tyle tylko pozostało z jego życia. Wszystko należałoby wyrzucić.

Jakiś dramat, pisany obcą ręką. *Tulacze*. Kto, do diabła, mógł to napisać?

Odłożył go na bok i dalej szperał po podłodze.

Założenia konstrukcyjne samobieżnego mostu pancernego...

A tak, wczoraj dostał od Kratzera.

Nagły zapał minął, Bogusławski nie rozumiał, po co tak grzebie. Wrzucił pożyłkę, pogniecione papiery z powrotem do kufrów, razem z częścią książek wywalonych z półek; kiedyś, gdy będzie miał czas, posegreguje je.

Trzeba wezwać szklarza, pomyślał.

Z rękopisem Kratzera wycofał się do kuchni i napalił w niedużym piecu.

„...W zgodności z tymi planami, powstałymi dla naszych rodaków zamierzających postawić przyszłe place i pałace w miejsce bram miejskich, ratusza oraz wyburzanego Marywilu, ciągnących się zarazem ku trudnym do spalenia, niedrewnianym częściom miasta, aby przy nadarzącej się okazji w przypadku wojny nie zostały podpalone, jak Praga przez

Suworowa, co, w przypadku istnienia takiego mostu, nie niosłoby takich skutków śmiertelnych wśród naszych rodaków”...

Bogusławski zamyślił się. Czwartego listopada 1794 z królewskiego zamku obserwował drugi brzeg Wisły. Praga płonęła, jakby polano ją oliwą. Wybuchła prochownia, żołnierze Suworowa ostrzeliwali kartaczami łodzie z uciekającymi, Wisła także płonęła. Dwadzieścia tysięcy zabitych. Czy Kratzer to widział? A może tylko o tym słyszał?

„...Również Napoleon Wielki, nasz chwalebny podburzyciel i król saski wnosił o wzniesienie wysmukłego mostu łączącego łukiem brzegi Wisły, biegnącego w linii wschód-zachód dla dobra przeciągających miastem wojsk, prostopadle przez rzekę od Zamku Królewskiego, a obecnie, gdy pokój rozciągnął swe błogosławieństwo nad nami, dzięki mojemu planowi może zapanować na wieki”...

Bogusławski kartkował rękopis.

„...*Uwagi wstępne.* Most jako taki to konstrukcja łukowa. Przeważnie ze względu na dziurkowane filary. Rzymski most to łukowaty akwedukt, nowoczesny most nad szeroką rzeką można otworzyć podczas przepływu statku, w Londynie utrzymują go żelazne sznury...

Rozwinięcie. Samobieżny most pancerny oparty jest na rozwiązaniu wzorowanym na szyszaku. Obudowa mostu pancerna, ładna, przyłbica na kształt grotów oszczepów naszych przodków, po wtopieniu kolczugi obudowa uzyskuje łuskowatą fakturę skorupy żółwia. Zawieszenie mostu to rusztowanie na podobieństwo miecza, element tkwiący w wodzie to nierdzewne szwedzkie ostrze, koszty wykonania można rozłożyć, o pożyczkę można prosić następcę tronu Szwecji...

*Wyszczególnienie...*na podjeździe powstanie park ochrony zwierząt z rzeźbami dzięki składce publicznej od Belwederu i Łazienek, można tu przenieść ogród Frascati i ogród Krasieńskich, wymagane podniesienie podatków, cen i tak dalej. Końcowy elementu ornamentu zdobiącego szczyt mostu to Wawel, jest w Krakowie, ale powinien znajdować się w Warszawie, przeniesiony tutaj i rozbudowany, włącznie z królewskimi grobami, których z pewnością będzie więcej, tu bije dzwon. Pod mostem urządzenie pompujące celem osuszenia wody podczas powodzi, most nadaje się do użytku, gdy nie ma wody...

Oddanie do użytku. Car Aleksander, nasz król, nadjeżdża w karocy z lewej strony, by nie zaziębił się kurek, wskazujący kierunek wiatru, umieszczony na szczycie kolumny Zygmunta, Namiestnik generał Zajączek wysiada z karocy Wielkiego Księcia Konstantego, z Wawelu rozlega się bicie dzwonu, podjazd na paradę wojskową jest szeroki, jak Ogród Saski po wyburzeniu Marywilu, jak pokazują plany, pozostał tylko pałac Brühla. Załącznik. Obecny jest także generał Dąbrowski. Po jego boku piramidy egipskie wykonane z kamienia,

takie same jak te na pustyni. Po obu stronach szpaler ochronny gwardii w odpowiednim umundurowaniu. Szerokość mostu jest taka, że zgromadzona na wyciągnięcie ręki ludność Warszawy może się tam pomieścić...

Uzasadnienie... we wszystkich dużych miastach, Paryżu, Sankt Petersburgu, Londynie, Rzymie także budowano mosty. Nad Bosforem mostu nie ma, ale go brakuje! Można go pokazać, niech się wystraszą zagraniczne mocarstwa, widząc, że zbudował go geniusz polski. Nie trzeba wzorować się na innych rzekach, Wisła jest nasza, ponowne przyłączenie Krakowa już w toku!...

Cele. Po otwarciu mostu Zamek Królewski nabiera strategicznego znaczenia. Póki most niegotowy, należy go traktować jak tajemnicę wojskową, ludność Warszawy nie powinna o nim wiedzieć, sporo nieostrożnie paplają. Sposób zakamuflowania budowy podano w załączniku, traktować jako niezależny patent i tajemnicę innowacyjną”...

Z tego też mogłoby być przedstawienie. Kratzer z batem w ręku biega po scenie i kieruje budową mostu, ogromne zamieszanie, wznosi się wieża Babel, most, w tajemnicy buduje się całą Warszawę, póki się efektownie nie zawali, grzebiąc pod sobą budowniczych... albo na przykład sztuka zaczyna się w chwili, gdy wali się most, ale postacie nie zauważają tego, jak w *Zamku cierpienia*.

To też jest *Zamek cierpienia*, pomyślał Bogusławski, koniecznie trzeba zrobić przedstawienie, w którym główny bohater jest zidiociał. Dzieje Polski oczami durnia. Gdyby Niemcewicz był choćby tylko nieco mniej przemądrzały, mógłby to napisać.

Bogusławski gapił się na ogród. Jest koniec maja, stwierdził zaskoczony. Prawie trzy miesiące upłynęły od premiery *Klingsbergów*. Trzy bezproduktywne miesiące. Co się w tym czasie wydarzyło? Prywatna szkoła, nauka angielskiego, Kratzer projektował most pancerny, nic szczególnego. Sezon teatralny wkrótce się skończy; jeśli wystąpi w roli Arnolphe’a, utraci na zawsze Żółkowskiego. Potem jesienią i na wiosnę może w jeszcze trudniejszych warunkach dalej siedzieć beczynn timer, nie będzie już podejmował prób ani z prywatną szkołą, ani z wolnomularzami, ledwo będzie umiał znaleźć sobie nowe szaleństwa zastępujące mu zmarnowane projekty. Jest zależny od dobrej woli Osińskiego.

Już koniec maja.

Trzeba zrobić latem tournée, przyszło mu do głowy.

Weźmie ze sobą część towarzystwa; jeśli tournée się uda, to jesienią reszta przez jakiś czas pozostanie przy nim. Osiński może się zgodzi, dla niego tylko Warszawa jest ważna. Jeśli udadzą się występy gościnne, może zbierze trochę pieniędzy, by przerobić dom na teatr.

Na kartkach dzieła Kratzera zapisywał stawiane sobie pytania.

Trzeba zdecydować, co naprawdę jest ważne, *Zamek cierpienia*, Arnolphe czy tournée.

Ważne jest to, co da się zrobić.

Szaleństwo Kratzera zdecydowanie poprawiło mu humor, czuł, że ma jaśniejszą głowę. Pusty dom też wpływał inspirująco, nie trzeba było grać przed Marianną ani słabego, ani silnego. Z rękopisu Kratzera porobił karteczki i opracował plan kampanii.

Jeszcze wieczorem, przed spektaklem, drżącym głosem powiedział w bufecie do Żółkowskiego:

- Zwracam ci Arnolphe'a, mój królu. Ty zagrasz lepiej ode mnie.

- Ależ nie - wyjąkał Żółkowski i wstał. Mistrz szerokim i pełnym dramatyzmu gestem objął go i rozplakał się. Wstrząśnięty Żółkowski także zalał się łzami. W knajpce nie rozległo się nawet piśnięcie, wszyscy byli jeszcze pod wrażeniem cudownej chwili, gdy Bogusławski ogłosił letnie tournée. Depcząc sobie po piętach, tłoczyli się przy Mistrzu i wpisywali swoje nazwiska. Żółkowski ze wzruszeniem zaproponował skromną subwencję na koszty podróży i natychmiast wymienił kilku przewoźników, którzy mogliby zabrać trupę najwygodniejszymi powozami.

- Porozmawiam z nimi - obiecał.

Zaraz potem Bogusławski poszedł do Osińskiego.

- W tym sezonie już nie zagram - oznajmił osłupiałemu dyrektorowi - ale latem wybieram się na tournée.

Osiński, podejrzewając jakiś podstęp, chwilę milczał, potem skinął głową.

- Zabieram ze sobą pół zespołu. Ty i tak latem nie grasz.

Osiński zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Pod dwoma warunkami - powiedział w końcu. - Pierwszy, że na początek sezonu wszyscy wrócą do domu.

- Oczywiście. Myślę o Kaliszu, Wilnie i Poznaniu. Repertuar zrobię ja.

- Nie wtrącam się do twoich planów - powiedział Osiński. - Mam jeszcze jeden warunek.

- Żebym nie grał w pałacu Radziwiłłów.

- Zabierzesz z powrotem Pierożyńską - odparł Osiński. - Mimo wszystko trudno mi ścierpieć, że mój teść wypędził moją teściową...

Bogusławski w duchu niemal zatańczył z radości, ale patrzył na Osińskiego z niewzruszoną miną. Tym da się szantażować, pomyślał zadowolony, Rozalia z pewnością wpadła w histerię.

- W porządku - powiedział. - Wypisz mi od razu upoważnienie.

- Jakie upoważnienie?

- Na poprowadzenie gościnnych występów. Dla mnie. Z wszelkimi uprawnieniami.

Osiński westchnął.

- Dobrze - powiedział. - Jutro każę to napisać Unickiemu...

- To zbyteczne - odparł Mistrz i wyciągnął z kieszeni dwie kartki. - Już napisałem.

Jeden egzemplarz dla mnie.

Osiński wahał się.

- Ewentualnie - powiedział beztrósco Bogusławski - wydziedziczę Rozalię. Być może wcale nie jest moją córką. Kto wie?

- A ja zażądam zwrotu długu!

- Ha, ha - zaśmiał się Mistrz. - Jestem niewypłacalny!

Osiński poczerwieniał. Zaraz szlag go trafi, pomyślał Bogusławski.

- No, a teraz ładnie podpisz - przycisnął.

- Jeszcze dziś zabierzesz z powrotem Pierożyńską!

- Obiecuję.

Osiński przeczytał upoważnienie i podpisał oba egzemplarze.

Późnym wieczorem nieogolony, niedospany, ale z płonącymi oczami Bogusławski zjawił się w mieszkaniu Nacewicza. Byli tam wszyscy, Nacewicz nieco podchmielony drzemał w kącie, Aniela siedziała przy fortepianie, w czarnej chuście na ramionach, lecz nie grała. Ze smutkiem spojrzała na wchodzącego Mistrza. Ignacy stał zmieszany za ojcem. Kiedy otworzył mu drzwi, był tak zaskoczony, że nawet nie przeszło mu przez głowę, by go wyrzucić, i teraz nie wiedział, jak ma się zachować.

Pobladała Marianna, owinięta pledem, siedziała skulona w fotelu. Bogusławski pośpieszył do niej, klęknął i położył głowę na kolanach. W tym momencie łzy już puściły mu się z oczu. Wejście udało się nadzwyczajnie, Marianna bezwiednie pogładziła długie, szare, skudłone i przeredzone włosy Mistrza. Ciszę przerwał płacz Wojciecha Maurycego z drugiego pokoju. Bogusławski odetchnął. Kwilenie dziecka rozległo się w odpowiedniej chwili, jakby zostało wyreżyserowane.

Mistrz, rozmazując łzy po twarzy, oznajmił, że latem wybiera się na objazd. Osiński w to wszedł. Zgłosiła się połowa zespołu. Mariannę i Anielę też zabierze, jeśli zechcą.

Aniela powiedziała tak, Nacewicz również się zgłosił, Ignacy z kolei zaprotestował: co ma robić z dzieckiem przez całe lato? Kiedy Aniela z Ignacym zaczęli się przerzucać złośliwymi uwagami, Marianna bez słowa przyniosła z kuchni swoje manatki. Gdy

wychodzili z Mistrzem, młodzi milczeli, trzęsąc się ze złości.

Kwestia gotowania i sprzątanania została rozwiązana; Bogusławski rzucił się do organizowania tournée.

Dmuszewski zmagał się z peruką, gdy Mistrz odnalazł go w garderobie.

- Miałem sporo do zrobienia w ostatnim czasie - powiedział zmieszany Dmuszewski. - Stanisław zachorował.

Nie dał konkretnej odpowiedzi, czy weźmie udział w tournée, jeszcze zobaczy; w zasadzie powinien zostać w Warszawie, tłumaczy coś i pisze sztukę, może też przejmie redagowanie „Kuriera”, teraz w pisaniu dla gazet jest więcej fantazji niż w teatrze... ale jeśli będzie możliwość, zagra oczywiście w trupie u Mistrza.

Ledóchowska zmizerniała, cera jej pożółkła i mogła mówić tylko szeptem.

- Ciągle jestem zachrypnięta - wyszeptała - chociaż zdaniem lekarzy struny głosowe mam w porządku. Może to nerwy... Teraz, gdy wchodzę na scenę, nie mam już takiego głosu, jaki miałam kiedyś...

- Dawno pani nie widziałem, Trusiu - powiedział Bogusławski.

- A zachodziłam do pana. Marianna mnie nie wpuściła.

- Jak to? Kiedy?

Ledóchowska opowiedziała. Bogusławski uśmiechnął się.

- Miła cioteczka wspominała mi tylko o Żółkowskim - powiedział. - Wszystko jedno.

Co u pani, Trusiu?

- Ciężko.

- Niech pani wyjdzie za mąż - zaproponował złośliwie Bogusławski. - Na przykład za jakiegoś księcia.

Ledóchowska milczała.

- Długo już nie wytrzymam - szepnęła po chwili. - Cały ten burdel intryguje przeciwko mnie. Szczurowska, Aszpergerowa, Dmuszewska, Kurpińska, wszyscy. Z ich oczu bije tylko nienawiść. A przecież w niczym im nie zawiniłam.

- A jak się miewa szanowna mamusia?

- Zrzędzi i zrzędzi - westchnęła Ledóchowska. - Chce mnie zmusić, żebym zrezygnowała z kariery... Jest zazdrosna. Skoro nie może już grać, niech i córka nie gra. Gdyby tylko mi to mówiła, to niech tam. Ale wszystkim naokoło rozpowiada, że się wypaliłam! Że nigdy nie miałam głosu! Będzie to mówić tak długo, aż wszyscy uwierzą. I jeszcze wymaga, żebym co drugi dzień ją odwiedzała i zajmowała się nią. Gdy jestem u niej, rzuca się na ziemię i wrzeszczy, że umrze. A jak wzywam lekarza, to albo nagle zdrowieje

przed jego nadejściem, albo rzezi jak umierająca i nie chce dopuścić lekarza, godzinami się z nim przekomarza. Pieniądze na lekarza też idą z mojej kieszeni.

- Aktorka - skwitował Bogusławski.

Ledóchowska powiedziała „tak” na tournée.

Po dokładnym rozeznaniu Bogusławski odrzucił i Kalisz, i Poznań. W Kaliszu mógłby dać najwyżej pięć, sześć spektakli, natomiast w Poznaniu musiałby rywalizować z konkurencyjnym zespołem niemieckim, poza tym w Warszawie nie byłoby mile widziane, że gra dla Prusaków. Kraków także przyszedł mu do głowy, ale znał już dobrze naturę Austriaków, lubiących wszystko utrudniać; być może nie wydaliby zezwolenia na wjazd. Pozostało więc Wilno; liczył, że ani polskie, ani rosyjskie władze nie będą robić szczególnych trudności przy tournée, a jeśli nawet zrobią, to on się powoła na politykę pełnego dobroci przyjaciela Polaków w jednej, niedającej się rozdzielić osobie - polskiego króla Aleksandra i rosyjskiego cara Aleksandra; wystąpi jako orędownik idei cara, nie będzie więc urzędnika, który nie skuliłby się przed nim.

Napisał list do dyrektora wileńskiego teatru Macieja Każyńskiego; wymienił warszawskich aktorów występujących w jego przedstawieniach gościnnych i zaproponował sztuki. Z ostrożności wymienił tylko takie utwory, które w minionych dwóch latach podobały się Iksom, a jako komedie umieścił na liście zaledwie kilka sztuk Goldoniego. Napisał też Każyńskiemu, iż nie zamierza grać sztuk kontrowersyjnych; znane w Warszawie aż do znudzenia sztuki mają tę przewagę, że aktorzy znają tekst, a więc próby nie będą chyba potrzebne, wystarczy tylko kilka razy powtórzyć tekst w trakcie podróży.

Każyński odpisał, że oczywiście cieszy się na gościnne występy wielkiego Bogusławskiego i znanych aktorów warszawskich; wszelako poprosił o pilne dostarczenie egzemplarzy sztuk, by, jak napisał, przygotować na czas afisze. Bogusławski pojął, że wileńska cenzura jest ostrzejsza od warszawskiej.

I wtedy zaczęły się kłopoty.

Okazało się, że z terytorium Królestwa Polskiego można wywieźć jedynie te rękopisy, które już wcześniej otrzymały pieczęcie niezliczonych polskich oraz rosyjskich urzędów i nie ma znaczenia, że większość tych sztuk Każyński ma w swoim wileńskim repertuarze. Bogusławski uznał, że je po prostu przemyci, ale Aszperger odwiódł go od tego; z jego doświadczeń wynikało, że na granicy każą się rozbierać nawet kobietom i za najbardziej niewinny liścik zatrzymują panie na wiele dni. Mistrz zastanawiał się już nad tym, czyby nie pojechać bez tekstów, wierzył w pamięć aktorów, ale musiał uznać, że bez egzemplarzy nie dadzą sobie rady. Zaczął więc przesiadywać w poczekalniach właściwych biur Ministerstwa

Spraw Wewnętrznych, komendantury miejskiej i Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia.

Jednocześnie wysiadywał w sprawach paszportowych. Okazało się, że zgodnie z jakimś zarządzeniem nie można od razu złożyć wniosku o paszporty dla całej trupy, tylko z każdym pojedynczym przypadkiem należy obejść wszystkie urzędy. Bogusławski argumentował, że tak naprawdę do podróży na teren imperium rosyjskiego nie jest potrzebny paszport, gdyż mamy unię personalną; nikt temu nawet nie próbował przeczyć, mimo to jednak paszport jest potrzebny, a mówiąc ściślej, zezwolenie na wyjazd i wjazd, którego uzyskanie wiąże się z przestrzeganiem bardziej skomplikowanych i sprzecznych ze sobą zarządzeń niż procedura otrzymania paszportu. Mistrz zorientował się szybko, że dające się w różny sposób interpretować i sprzeczne zarządzenia nie zostały tak bezsensownie napisane z powodu niechlujstwa. I zaczął żałować, że zdecydował się na Wilno; z Poznaniem i Krakowem poszłoby łatwiej, ale było już za późno i włożył zbyt dużo wysiłku w zorganizowanie podróży do Wilna.

W antyszambrowaniu w poczekalniach uczestniczyły również Marianna i Aniela; Żółkowski za pośrednictwem przyjaciół kupców posmarował łapę wielu urzędnikom i opłacił kilku (oficjalnie nieistniejących) cenzorów; w ogóle podtrzymywał na duchu całe towarzystwo zgłoszone na tournée, a Bogusławski był mu niezmiernie wdzięczny. Szybko się okazało, że Żółkowski jednak z nimi nie pojedzie, tylko zamierza latem występować sam jeden w Warszawie i okolicach, i dlatego z takim zapałem pomaga Bogusławskiemu. Mistrz był zawiedziony, ale musiał dostrzec, że Żółkowski jako organizator znaczy dla niego chyba więcej niż Żółkowski jako aktor.

Widząc trudności związane z zawirowaniami wokół wyjazdu, aktorzy stracili nieco humor. Przesiedleni z Wilna Aszpergerowie doszli nagle do wniosku, że do tej jaskini rozpusty, jak to nazwali, więcej już nie wrócą. Helena Rutkowska, będąca w konflikcie ze starszą siostrą, oczywiście nadal była pełna entuzjazmu. Malinowski kręcił się koło niej, a Zdanowicz i Rywacki, widząc, że Helena cieszy się zaufaniem Mistrza, też zaczęli smalić do niej cholewki. Szymanowski oznajmił, że latem chce odpocząć; w takich chwilach Rutkowski pomagał Mistrzowi, w innych wyrażał wątpliwości. Fiszer poprosił, by Bogusławski zabrał go ze sobą; nie jest co prawda aktorem, ale może się przyda.

Osiński rzeczywiście nie robił trudności przy organizacji, ale i tak zabrał po jednej roli Helenie i Malinowskiemu, żeby nie byli tacy rozentuzjasmowani.

Później, na początku lipca namnożyły się trudności. Malinowski spał pewnej nocy i zaczął się wydzierać pod pałacem Mostowskich, posyłał do diabła Wielkiego Księcia, cara

i całe to paskudztwo, a kiedy nadbiegli agenci i go zamknęli, jął wygłaszać kwestie z różnych ról, domagając się, by pokazano mu dom, w którym zamieszkuje Pan Bóg. Zabrano go do starej prochowni, potem do domu wariatów, gdzie zasnął. Następnego dnia go wypuszczono, bo niczego nie pamiętając, pełen skruchy wszystkich przepraszał; na wszelki wypadek Osińskiego wezwano do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdzie sam hrabia Mostowski miał jakoby zmieszać go z błotem.

Bogusławski kłął, chciał koniecznie zabrać do Wilna Malinowskiego, za którego paszport musiał teraz poruszyć niebo i ziemię.

Każyński milczał od czasu wysłania pierwszej listownej odpowiedzi; Bogusławski pisał do niego prawie każdego dnia, ale bez skutku; był pewien, że Każyński otrzymuje tylko część korespondencji, reszta jest konfiskowana.

I wtedy zniknęła Ledóchowska.

Szymanowski przyniósł wiadomość, że wyjechała nagle na wodną kurację.

- Jak to wyjechała? - spytał Bogusławski, niczego nie rozumiejąc. - A kiedy wróci?

Szymanowski nie wiedział. Bogusławski obiegił cały teatr, ale nikt nic nie wiedział. Unicki oznajmił, iż Osiński dał aktorce wolne do końca lata. Mistrz wysłał Mariannę do Truskolaskiej; Marianna dowiedziała się tylko tyle, że Ledóchowska utrzymywała w tajemnicy, dokąd jedzie.

Bogusławski zrozumiał, że zostawiła go na lodzie. To był ciężki cios. Nazwisko Ledóchowskiej poruszyłoby pół Wilna.

Wieczorem poszedł do syna z zamiarem nakłonienia Anieli, by szybko nauczyła się ról przeznaczonych wcześniej dla Ledóchowskiej. Dopiero po długim łomotaniu drzwi otworzył mu syn. Był tylko w butach z cholewami i długiej koszuli; zionął alkoholem.

- Aniela? - spytał Bogusławski, przeczuwając najgorsze.

Ignacy usiadł na podłodze w przedpokoju i zaczął płakać.

- Do ciebie mówię!

- Uciekła - zaszlochał Ignacy.

- Co zrobiła? Z kim? Dokąd?

- Z pewnym oficerem! - krzyknął Ignacy. - Moim najlepszym przyjacielem!

Bogusławski zaklął.

- Chociaż ja jestem wyższy stopniem! - łkał Ignacy.

Bogusławski popędził do teatru i odszukał Fiszera. Ten ze zdumieniem wysłuchał relacji.

- Nie wiedziałem - bąknął. - Jednym słowem, wszyscy uciekli. Gdybym tylko

wiedział, czego ja tu jeszcze szukam?

Bogusławski chciał, by Fiszer ruszył tropem albo Ledóchowskiej, albo Anieli, ale ten naprawdę nie wiedział, gdzie ich szukać.

- Ja też muszę odejść - powiedział cicho Fiszer. - Wiem od Morawskiego, że jesienią wyjdzie nowa ustawa, wszystkich mężczyzn między dwudziestką a trzydziestką powołają do wojska, z wyjątkiem księży, uczonych i lekarzy. Na piętnaście lat, wszystkich...

Bogusławski przebiegł myślą wszystkich aktorów i uspokoił się: ich to nie dotyczy.

- Nie można się wymigać - ciągnął Fiszer. - Chyba tylko w sposób, jaki zaproponował Morawski: jeśli przed wezwaniem założę mundur oficerski...

- Nie można trząść portkami - mruknął Mistrz. - Osiński zorganizuje pomoc...

- Może dla aktorów - powiedział Fiszer. - Ale ja nie jestem aktorem. Henryk Macrott zapisał się już na uniwersytecie na wydział lekarski, tak może się wymigać. Ale ja mam już dość uniwersytetu.

Bogusławski coś mruknął i zostawił go.

Poblada Marianna wysłuchiwała wieści o zniknięciu Anieli.

- A tak ładnie wszystko się już między nimi układało! - wykrzyknęła i popędziła do syna.

Bogusławski głośno jęknął. Naprawdę mogli poczekać do jesieni. Co on teraz robi bez aktorów?

Siedział jak głupi w teatralnym bufecie. Przy sąsiednim stole siedzieli Aszpergerowie. Podczas jedzenia pochylali się nad stołem i delikatnie, na oczach wszystkich się całowali. Przy innym stole w towarzystwie Kratzera i Kudlicza siedział nieznany młody człowiek, nowy aktor nazwiskiem Zawadzki, mocno łysiejący, o pełnych ognia, dużych oczach. Dobrze byłoby go udusić, pomyślał Bogusławski.

Nie pojedą z nim ani Żółkowski, ani Ledóchowska, ani Aniela, ani Szymanowski... a inni nie mają zgody. Każyński nie odpisuje. Trzeba będzie rzucić wszystko w diabły.

Bogusławski wyszczerzył zęby w uśmiechu. Jeszcze tego dnia odszukał Morawskiego, niech już przepchnie sprawę zezwolenia na wyjazd.

Morawski doradził, by Mistrz przedłożył do akceptacji także jakąś sztukę lub przekład Lipińskiego, wtedy na większości przybiją pieczętki. Bogusławski podziękował za pomysł.

- Nie wie pan, gdzie się podziała Ledóchowska? - spytał Mistrz, gdy Morawski przyrzekł, że ze swej strony zrobi wszystko.

- Nie - odparł smutnie Morawski. - Myśli pan, że popełniła samobójstwo?

Bogusławski tylko machnął ręką.

Parę dni później stracił także ostrożne poparcie Rutkowskiego. Wszyscy zbledli, kiedy wyszło na jaw, że Rutkowskiego zgłoszono jako kandydata na posła w jesiennych wyborach. Bezprzykładny zaszczyt dla aktora i, jak mówiono w teatralnym bufecie, jest to wyraz szacunku dla całego zespołu Teatru Narodowego. Starsi snuli marzenia, że może w przyszłości zostaną pochowani na Powązkach, tam, gdzie spoczywają zmarli bohaterowie, a nie na starym cmentarzu przy Marszałkowskiej, by gnili tam do dnia Sądu Ostatecznego, o ile wcześniej nie zabiorą ich wody gruntowe.

Nie wiadano, co robi taki kandydat na posła, ale to musi być jakaś duża rzecz. Rutkowski siedział w bufecie, płał się w chwale, uśmiechał się tajemniczo i nie zamierzał się wypowiadać w sprawie teatru wileńskiego, gdzie rozpoczął karierę.

Helena Rutkowska rzucała drwiące komentarze na temat wzniosłej roli sejmu, senatorów, wojewodów i kasztelanów.

W końcu na placu boju zostali tylko Marianna, Helena, Malinowski, Zdanowicz, Nacewicz i Żółkowska oraz Fiszer, którego Bogusławski wyznaczył na osobę do załatwiania urzędowych podań. Bogusławski z pewnością nie mógł liczyć na występy pijącego często Nacewicza; chciał go zabrać tylko po to, by z żalu po ucieczce Anieli nie wpadł kompletnie zalany do jakiegoś kloaczego dołu.

Potem odpadła także Marianna: Żółkowski zapytał, co ma zrobić z dziećmi, gdy żona będzie daleko, a on też wyrusza w indywidualne tournée; Bogusławski mógł wybierać między Marianną a Żółkowską. Po chwili Marianna podjęła się opieki nad dziećmi Żółkowskiego oraz nad swoim wnukiem, małym Maurycym, którego porzuciła matka.

Bogusławski napisał do Każyńskiego, że z chęcią zagrałiby wspólnie z wybitnymi i cenionymi członkami zespołu z Wilna. Nie informował, że liczba uczestników wyjazdu zmniejszyła się do siedmiu osób; niech to Każyński rozumie, jak chce, jeśli w ogóle otrzyma list.

Potem dostał nadany pięć tygodni wcześniej list od Każyńskiego, w którym ten wyznaczał koniec lipca jako początek tournée. Bogusławski biegał jak szalony po mieście, by mimo wszystko w jakiś sposób wymusić i wyblagać na czas z właściwych urzędów zezwolenia na wyjazd.

Dwa dni przed wyjazdem nic jeszcze nie było pewne. Nienawidzę was, nucił w duchu Bogusławski, idąc ulicą po całodniowej bieżance, czasem uśmiechał się do jakiegoś przechodnia i dalej podśpiewywał w duchu: nienawidzę was, och, jak bardzo was nienawidzę. Przechodnie oglądali się ze zdziwieniem za uśmiechniętym, wysokim, chudym staruszkim.

W domu zmęczony, pozbawiony nadziei, sortował sztuki. Na część sztuk

przekazanych do akceptacji dostał pieczętkę, pozostałe urząd odrzucił; nie sposób było odgadnąć, wedle jakiego klucza decyduje się, która zostanie zaakceptowana, a która odrzucona. Bogusławski poszedł za radą Żółkowskiego i kartki ze sztuk niewysłanych do cenzury wsunął między te zaakceptowane; z pewnością uda się je przewieźć, bardzo cieszył się z tego fortelu. W Wilnie i tak na nowo zaczęły się korowody z tamtejszą cenzurą.

Był tak wyczerpany, że nie miał siły położyć się spać i machinalnie kartkował porozrzucane rękopisy.

W jednym przeczytał dwa zdania, potrząsnął głową, nie znał tego. Przeczytał jeszcze kilka, dziwne to były zdania, napisane prozą, ale mimo wszystko sprawiały wrażenie wiersza, nie było w nich znaków przestankowych, tylko myślniki.

Co to może być, do cholery?

Zerknął na stronę tytułową. *Tułacze*. Zdawało mu się, że tytuł już gdzieś widział.

Rękopis też już gdzieś widział. Nagle przyszły mu do głowy próby *Klingsbergów*.
Fischer.

Nie chciał tego czytać.

Skończył nad ranem.

Przed opuszczoną kurtyną rozgrywają się trzy pierwsze sceny prologu. W łoży królewskiej stoi Cezar Zwycięski, z podniesioną ręką, potok światła; obok niego wśród Dostojników Zaufany wymienia nazwy nieznanych ludów - to je pokonał Cezar Zwycięski. Po każdej nazwie - odgłos werbli i fanfar. Cezar stoi w pozie triumfatora. Przy nazwie jakiegoś ludu Cezar mówi: „Niech zostanie wygnany lud tułaczy - którzy wspierali buntowników - daleko od równiny Padu - w Skaliste Góry Jałowe”. „Niech tak się stanie”, woła Zaufany; werble, fanfary. „A miejsce ich - mówi Cezar Zwycięski - każcie zasiedlić wiernymi Latynami - z krwi naszej, z naszego łona”. Odgłos werbli i fanfar. Cezar stoi, milcząc; przed kurtyną na dźwięk muzyki - Fischer napisał nuty u dołu strony - pojawia się lud tułaczy, według wskazówek autora ma to być tłum nieszczęśników, mężczyzn, kobiet, starców i dzieci, rzymscy legioniści przeganiają ich z prawej strony na lewą. Popychają ich, odbierają niewielkie tobołki, wrywają im z rąk domowe bóstwa, pamiątkowe drobiazgi, ładniejsze dzieci kierują na bok, „co już wtedy było zwyczajem”, zauważa Fischer. Do końca brzmi muzyka, triumfalna, głośna; cała scena rozgrywa się w milczeniu, triumfujący, zadowolony Cezar śledzi z łoża wydarzenia, w połowie sceny w otoczeniu Dostojników opuszcza łożę, w której pozostaje tylko Zaufany.

Lud tułaczy zostaje przepędzony; muzyka cichnie; Zaufany kładzie na balustradzie łoża piękną, dużą klepsydrę i zapowiada, że wygłosi monolog o czasie. O czasie, który

przemija, ziarenka piasku przesypują się w klepsydrze - o czasie, który przemija, „ale ja, Zaufany, żyję - Cezarowie umierają, Cezarowie się rodzą - ale ja, Zaufany, żyję - (i odwraca klepsydrę) - czasy zmieniają się na lepsze, na gorsze, dwadzieścia różnych pór roku goni jedna za drugą - ale ja, Zaufany, żyję - a póki żyję ja i żyje państwo, czas czyni cuda - (sięga po nową, jeszcze ozdobniejszą klepsydrę) - w moją skórę wchodzi inna postać - moje ciało opuszcza moje zgniłe ja - lecz póki przesypują się ziarenka piasku - trwam ja, Zaufany - trwam.

W loży pojawia się Cezar, kolejny, również Zwycięski, w glorii poprzedniego Cezara; Zaufany składa ukłon; Cezar niezbyt energicznie, powoli i niepewnie, świadom swej potężnej władzy szuka czegoś w pamięci: zdaje mu się, że był kiedyś na równinie Padu jakiś lud - gdzie jest teraz? - pyta. „W Skalistych Górach Jałowych - dokąd raczył go wygnać Cezar” - odpowiada Zaufany. „Doprawdy? - pyta Cezar - dawne dzieje, już nawet zapomniałem”. „Od tamtej pory minęły dziesiątki lat” - powiada Zaufany i głaszcze klepsydry. „No cóż, dziesiątki lat - mówi zadumany Cezar - jaki dziwny jest ten czas. Nie myślisz, Zaufany - pyta Cezar - że już czas, by wrócili - do ojczyzny przodków - z jałowych Gór Skalistych - na urodzajną równinę Padu?” „Już czas, o Cezarze” - odpowiada z zapałem Zaufany. - „Już czas” - rozlega się na scenie za kurtyną głos chóru. „Lecz, mój dobry panie - rzuca Zaufany i odwraca klepsydrę - od tamtego czasu na urodzajnej równinie Padu - pochodzący z naszej krwi, pracownicy Latynowie - żyją tam już dziesiątki lat - co teraz będzie z nimi?” Cezar wzrusza ramionami, wolno opuszcza rękę. „Jesteśmy łaskawi - powiada. - Jest dużo miejsca, niech sobie tu żyją”. „Gdyby Cezar jeszcze wysłuchał Zaufanego - rzecze Zaufany i odwraca klepsydrę - niechaj wrócą do swej ojczyzny - ale w pokoju, powoli jak ziarenka piasku - pojedynczo, mając na to wiele lat - a w naszym imperium nie zostanie zakłócony pokój”. „Niech się tak stanie” - mówi Cezar. - Słychać odgłos werbli, Cezar powstaje, rozbrzmiewają fanfary, Cezar w towarzystwie Zaufanego opuszcza lożę.

Wtedy unosi się kurtyna. Na scenie nie ma niczego, tylko masa kamieni, boki rampy i tylną część sceny zasłania kotara, niebo. Na scenie widać Starców, stoją po lewej stronie i kołysząc się, machają rękami; wykrzykują z wdzięcznością: „Cezar jest potężny - Cezar jest miłosierny - wybaczył nasze grzechy - do domu może wrócić tułaczy lud - ze Skalistych Gór Jałowych - do domu przodków - do urodzajnej doliny Padu - o, dzięki ci, Cezarze, dzięki ci, dzięki”. Milkną, przechodzą na środek, spoglądają na siebie bezradnie.

„Urodzajna równino - wykrzykuje jeden ze Starców - domu mój, ojczyzno, gdzie spoczywają nasi przodkowie - gdzie się urodził, gdzie dorastał - nie widzę ciebie - lata wymazały to z moich wspomnień!”

„Pad, Pad, Pad - jaka się drugi Starzec - piękną był rzeką, piękna to rzeka, wracamy do domu, wracamy do domu”.

Trzeci Starzec długo milczy. „Każdego roku ktoś może wrócić - powiada po chwili. - Każdego roku ktoś może wrócić - wybierzmy kogoś godnego - kto gołymi rękami, sam jeden - odzyska w walce naszą ojczyznę”.

„Popołudniowy sen będzie nam natchnieniem - rzecze czwarty Starzec. - W naszym śnie usłyszymy wezwanie - kto będzie godny odzyskać w walce naszą ojczyznę”.

Starcy znużeni naradą kładą się na podłodze do snu. Napływa tłum ludu tułaczy, tanecznymi krokami przeskakują ogromne głazy, zbierają zielsko, gryzą korzonki, z boku ktoś doi kozę, stoją w kolejce po mleko. Balet, napisał w didaskaliach Fiszer. Pojawia się Nauczyciel z dziećmi, obchodzą wkoło scenę; omijają śpiących Starców i balansując na środku sceny jak linoskokowicze, przechodzą po długiej skale. Rozpoczyna się nauka; Nauczyciel zadaje pytania z bohaterskich dziejów tułaczy, dzieci chórem odpowiadają zawsze „tak”, po lekcji wracają, znów balansując na długiej skale.

Jakieś dziecko wchodzi na inny głaz - rozlegają się piski; Nauczyciel i kobiety, słysząc pisk, rzucają się do dziecka, stawiają je na głowie, jakby chcieli wylać z niego wodę. Nauczyciel mówi ze strachem w głosie: „Pad to niebezpieczna i wartka rzeka - kto spadnie z mostu, utonie - uważajcie, jak chodzicie - na drugi brzeg można się dostać tylko po moście”.

„Trzeba go zanieść do znachora” - wykrzykują kobiety i pochód ponownie kręci się wkoło po scenie, niosą rude przestraszone dziecko, w jednym miejscu nagle się zatrzymują; na scenie niczego nie ma, Nauczyciel puka w powietrzu, ceremonialnie otwiera wyimaginowane drzwi, przejęty tłum wchodzi przez nie i znika za sceną.

Inni wnoszą ogromny kocioł. „Zanieśmy go przed Pałac Rady” - mówią, przenoszą kocioł i stawiają go przy śpiących Starcach. Zapalają pod nim ogień, wrzucają do niego ogromne jak ludzka głowa makówki, dolewają wodę, ludzie stojący blisko dojranej kozy ustawiają się w kolejce i modlą się pobożnie. Pojawiają się młodzi, skaczący po skałach jak gazele, powłóczący nogami starcy, niepewnie idące dzieci, omijając wyimaginowane ściany, idą w stronę kotła, jakby zamiast skał były tu ulice i place; wszyscy w końcu dochodzą do kotła, po balansowaniu na długiej skale, którą przed chwilą ominęło jedno dziecko. Nikt nie może przejść przez rzekę w innym miejscu!!! - napisał w didaskaliach Fiszer, dwukrotnie podkreślając zdanie.

Jakaś stara kobieta rozlewa płyn z kotła stojącym w kolejce, podają jej gliniane naczynia, piją powoli, ceremonialnie, zaczynają nucić i kołysać się, a siedzący na skałach śpiewają, przechylając głowy. Starcy się budzą, idą gęsiego po długiej skale, powoli,

dokonują rytualnych ablucji - bez wody; oni także podchodzą do kotła, oni także dostają wywar z makówek.

„Dzisiaj jest święto - powiada jeden Starzec - wspaniałe święto - Cezar nas ułaskawił - skończyło się nasze wygnanie - każdego roku tego dnia - do ojczyzny może wrócić jeden z nas - kto jest najbardziej tego godzien”.

„Wrócimy do domu - powrócimy do naszej ojczyzny - szczęście - dzięki ci, nasz boże” - szmerze chór ludzi odurzonych makowym wywarem.

„Miałem sen - odzywa się drugi Starzec - i oto we śnie ten tu młodzieniec (wskazuje młodego człowieka w tłumie) - mocnymi ramionami, gołymi rękami - miasto naszych przodków - walcząc z wrogiem, chwalebnie odzyskał!”

„Oto bohater, oto bohater” - śpiewa chór.

Młody człowiek wstaje, zataczając się, w rytm melodii chóru bełkocze niezrozumiale, wyciąga ramiona, prawie unosi się w powietrze z radości.

„W długą, długą drogę ruszasz - śpiewa trzeci Starzec - w niebezpieczną, odległą drogę ruszasz - nie wrócisz tu do naszej nowej ojczyzny - lecz powrócisz do ojczyzny pradawnej - pierwszym będziesz, który zobaczy miasto - gdzie spoczywają praojcowie - gdzie ziemia bogata ich duchami - lasy i pola strojnie urodzajem - niech błogosławiona będzie święta twa misja - posłańcze naszego powrotu!”

Jakaś kobieta rzuca się do stóp pijanego młodzieńca, na znak Starców tłum ją odciąga.

„Wielkie to święto - wspaniałe święto - radujcie się, tułacze! - wydziera się chór. - Nasze wygnanie dobiegło kresu - bohater rusza dziś w drogę!”

Oblekają młodego człowieka w kozią skórę, głaszczą go, a on śpiewa: „Podbiję pradawną ojczyznę - będę pierwszym z walecznych - gołym rękom siłę dadzą - nieśmiertelni bogowie”. Tłum chłepcze wywar z makówek, poją młodzieńca tym wywarem, kozim mlekiem, prowadzą najpiękniejsze, przystrojone w wianki dziewczęta, które radośnie śpiewają: „Bohaterowi urodzimy bohatera”. Na znak jednego Starca tłum odciąga pijanego, ubranego w kozią skórę młodzieńca poza scenę, dziewczęta z krzykiem biegną za nim. Zaczynają się zawody w toczeniu kamieni, tłum krzykiem zagrzewa chłopców, którzy zmagają się z ogromnymi, niedającymi się ruszyć głazami. Po jednej stronie rampy kuglarz wyciska wodę z kamienia. Nagle zapada noc, zapalają się pochodnie. Spod skał, ze szczelin i z grot wyłaniają się chwiejne widma, zmarli; „Myśmy umarli, ale wracamy - dzięki bohaterowi do pradawnej ojczyzny - cierpień naszych nadszedł kres - kości nasze tam spoczną wnet” - śpiewają. W blasku pochodni wyprowadzają zmaltretowanego bohatera, kozia skóra wisi na nim w łachmanach; dziewczęta idą radośnie za nim; Starcy całują go

w czoło, żegnają; „Długa, trudna droga jest przed tobą - czekają już upiory, nieprzyjaźni bogowie, mary - lecz wszystkich pokonasz, nasza siła jest z tobą - i dotrzesz do pradawnej ojczyzny”. Zataczającego się młodzieńca prowadzą wokół sceny, przeprowadzają przez wyimaginowany most, po lewej stronie sceny długo za nim machają - tam, gdzie na początku machali Starcy.

Scena rozświetla się, tłum chłepcze wywar z makówek, Starcy podchodzą do kotła, jeden mówi: „Zbyt ciężkie już dla mnie życie - lud wyjdzie na tym lepiej - gdy nie będę już jadł - wieczorem zaś pójdę i ja - za zmarłymi w ślad” - i chowa się pod jakiś kamienny głaz. Z tłumu wyłania się starszy mężczyzna i dołącza do Starca. Odzywa się inny Starzec: „To rok już, jak nasz bohater powrócił do domu - a Latynowie, którzy przywłaszczyli sobie jego pradawny dom - zastygli we własnej krwi pod jego ciosami - nadszedł już czas wysłać nowego bohatera - do tego, który czeka w swym odwiecznym domu”. Zaczyna się nowe świętowanie, znów wybierają jakiegoś młodego, odziewają w kozią skórę, dziewczęta zaciągają go na stronę; nastaje ciemność i płoną pochodnie, lud tułaczy tańczy ze zmarłymi, żegnają młodego, który znikną z lewej strony sceny, machają za nim.

Zaraz potem Starcy wybierają nowego młodzieńca; chór śpiewa uroczyście, pijanymi głosami; młody odchodzi, machają za nim; już pojawia się nowy bohater i odchodzi, scena jest oświetlona, ale pochodnie też płoną, ludzie karmią i poją młodzieńców kozim mięsem i mlekiem, najpiękniejsze dziewczęta śpią z nimi na scenie, uroczysty, triumfalny śpiew chóru staje się żalobny, oplakujący, balet - zgodnie z didaskaliami Fiszera - przeradza się w taniec śmierci, spod skał wyciąga się zmarłych i wlecze do tańca, chór szemrze: „Jak dobrze temu, co do domu wraca - nigdy tam nie dotarł - nigdy stamtąd nie powrócił”.

Starcy wybierają nowego bohatera, nowy bohater ma na sobie kostium z wymalowanym szkieletem, najpiękniejsze dziewczęta kładą się z nim. „Świąteczna noc, ostatnia noc - kto odchodzi, odchodzi na zawsze” - śpiewa chór.

Pojawia się drugi wybrany młodzieniec, wchodzi powoli między świętujących, tancerzy i pijanych, którzy milkną, zatrzymują się i spoglądają na niego w odrętwieniu. Panuje cisza, młodzieniec pada na kolana, wyznaje: był niegodny zaufania, nie przemierzył drogi do końca, drogi pilnują rzymscy legionieści. „Wyśmiewali się ze mnie - krzyczy młodzieniec - powiedzieli: w prastarej ojczyźnie Latynowie zabiją nas po kolei - nikt z nas nie przeżyje - lud tułaczy skazano na powolną śmierć - wróciłem do nowej ojczyzny - życie jest tutaj - nie w pradawnej ojczyźnie - okażcie mi łaskę”. Czołga się na kolanach przed Starcami, ci milczą. Tłum również milczy. Młodzieniec prosi o wodę, ale mu nie dają. Prosi o jedzenie, ale mu nie dają. Szybko umiera z głodu, jak pisze Fiszer w didaskaliach.

Starcy wybierają nową ofiarę. Znowu rozlega się chór, wnoszą odzienie z koziej skóry, młodzieniec zaczyna się jękać, a potem krzyczy: „To nie jest miasto - tu tylko skały - tu nawet nie ma rzeki - jesteśmy ślepi - wywar nas oślepią - zdejmijmy bielmo z oczu”. W przerażającej ciszy młodzieniec przebiega przez scenę, skacząc tu i tam po skałach; „Uderzył głową w ścianę - wykrzykuje tłum - wpadł do rzeki - zawalił się Pałac Rady - zniknął pod wodą!”. Młodzieniec nadal skacze po skałach, coraz szybciej, triumfalnie. Lud tułaczy milczy przerażony, potem niektórzy idą w ślad młodego, zaczynają biegać po skałach, Starcy boleśnie wykrzykują: „Zawaliło się miasto - runęło na nas miasto - które odbudowały całe pokolenia - to koniec naszego domu!”.

Matki domagają się powrotu synów wysłanych na śmierć, dzieci biorą w posiadanie skały, rozbiegają się tam, gdzie wcześniej było zakazane, resztką chóru śpiewa z rozpaczą: „To tylko skały - goły świat z kamienia - niczego nie ma, są tylko skały”. Rewolucja, napisał Fiszer w uwagach. Organizuje się zespół, Wódz wykrzykuje program: „Cały kraj wspólnie do pradawnej ojczyzny - ze Skalistych Gór Jałowych - z powrotem na równinę Padu - nie pojedynczo, lecz wspólnie - naprzód”. Tłum wybiega za Wodzem, na scenie pozostają tylko Starcy, staruszkowie, dzieci i chorzy, rozlega się marsz żałobny. Powraca tłum, ludzie z ranami od mieczy: „Wojsko pilnuje płaskowyżu - legionieści wyrzynają ludzi - najlepsi z nas padli - nie ma drogi powrotnej do prastarej ojczyzny”. Wódz też się ślania na nogach, rozgląda się: „Oślepiające skały - tu musimy żyć - co było naszym dawnym domem, teraz jest piekłem - gdzie nasi przodkowie nakłamlali o mieście - tysiące kłamstw przez wiele pokoleń - tchórzostwo nasze na nas spada - jak mogliśmy się tak oszukiwać?” Skały stają się bardziej oślepiające, zaznacza Fiszer. „Tu nie można żyć” - wykrzykuje chór. Ludzie tarzają się po ziemi. „Przepadła pradawna ojczyzna - przepadła nowa - co teraz z naszym życiem?” Wśród nich chodzą Starcy: „Niech nadal trwa święto - przerwane przez bunt - na nowo powstanie nowa nasza ojczyzna - święto żyje i będzie coraz piękniejsze - niech rusza w drogę nasz nowy bohater - którego los wzywa do pradawnej ojczyzny - by odzyskał ją od naszych wrogów”. Zakładają kozią skórę bijącemu się w piersi Wodzowi, on jest następnym bohaterem, następną ofiarą; najpiękniejsze dziewczęta tańczą wokół niego, do kotła wrzuca się makówki, znowu rozpala ją ogień, stara kobieta nalewa wywar, odprowadzają Wodza na prawy skraj sceny, a ten uroczyście przyrzeka: odzyska pradawną ojczyznę, rusza w drogę. Machają za nim: „Dobrej drogi - śpiewają - niech szczęście ci sprzyja, dotrzyj do naszej ojczyzny, dojdiesz, wiemy, że dojdiesz - czekaj na nas - my też pójdziemy za tobą - niedługo się spotkamy - spotkamy się tam, tam w domu, w domu”.

Z kotła bucha dym, zasnuwa scenę. Ludzie łapczywie piją wywar. Szlochają ze

szczęścia. Wpatrują się w ogień. Zapalają pochodnie; już noc. Wynurzają się zmarli. Pojawiają się wcześniejsi bohaterowie. Wódz zjawia się jako widmo. Wszystkie postaci płaczą. „Szczęśliwy ludu tułaczy - przybywasz do pradawnej ojczyzny - czeka cię dzień triumfu - nadchodzi Dzień Zwycięstwa - długa to droga, lecz powracamy - ze Skalistych Gór Jałowych - do pięknej ojczyzny przodków - gdzie jest miasto - lasy i pola - tam gdzie mieszkają bogowie”.

Ogień płonie, niczego nie widać przez dym.

Na oklaski, pisze Fiszer w swej ostatniej odautorskiej uwadze, w królewskiej łoży znów zjawia się Cezar, już trzeci, w asyście Zaufanego kłania się w pas. Werble. Fanfary. Kurtyna opada. Głos fanfar stapia się - jak pisze Fiszer - „z niemilknięcymi oklaskami”.

Bogusławski potarł piekące powieki. Nawet z zamkniętymi oczami widział oślepiające skały, rytmiczna proza szumiała mu w głowie.

Więc wszystko jasne.

Pomyślał o Zaufanym z klepsydrami, uśmiechnął się. Dobra rola, wspaniały mały monolog. Szkoda, że potem facet znika.

Cały czas tarł oczy. Trafiło go mocno. Dokonał tego ten smarkaty szczeniak. Dokonał tego.

Usłyszał chrapliwy oddech Marianny, chrząknął zniecierpliwiony, potem ostrożnie, z zapalonym kagankiem w ręce zszedł do kuchni, usiadł przy stole, gdzie na talerzu leżały resztki suszonej ryby i żytni chleb, wbił wzrok w przestrzeń.

Poczuł nagle smak pełnego zachwytu czytania kiedyś dawno temu. Kiedy nocą otworzył się świat, kiedy wypalił się już kaganek, on siedział po ciemku i wyczekiwał świtu, by pełen pożądania, pijany duchem powitać wschód słońca. Zwodnicza pewność, że nic nie może być niemożliwe. Roztopienie się w czymś ogromnym. Głębokie i pełne szczęścia nabranie oddechu.

Tej sztuki oczywiście nie można wystawić. Nikt jej nigdy nie zagra. Takiej sztuki? Nie, to nie do pomyslenia.

Kłębiły się w nim różne sprzeczne uczucia. Byłoby nawet lepiej, gdyby jej nie wystawiano. Nie o to chodzi, że mogłaby paść... Właściwie to jest genialna... ale czegoś w niej brakuje. Czegoś, czegoś bardzo ważnego brakuje temu szczeniakowi.

Chociaż trzeba przyznać, że chłopak wie, co pisze. Widzi to na scenie. Ma szaloną, pełną efektownych obrazów fantazję, temu nie można zaprzeczyć. Scenografia i sam pomysł sztuki są znakomite, wspaniałe, pełne rozmachu. Zwałowisko skał, które tułacze wyobrażają sobie jako miasto, to wspaniała wizja.

Ja też zrobiłem kiedyś taką, pomyślał z bólem, we Lwowie, w amfiteatrze pod gołym niebem, czegoś takiego jeszcze warszawiacy nie widzieli...

No tak, CAŁOŚĆ jest jasna, ale SZCZEGÓŁY jakby dorzucone. Jest w niej coś irytującego. Wszystko chodzi jak maszyna, szczeniak, pociągając za sznurki, porusza kukłami, nic o nich nie mówi, nawet nie chce, nawet ich nie zna. Wyjątkiem jest chyba Zaufany. Ewentualnie Wódz, który przedziera się i powraca... ale to nie jest napisane, jeśli zechcę, uwierzę mu, jeśli nie zechcę, to nie...

To nie są role.

Przebiegł w myślach całą sztukę, zastanawiając się, którą postać chętnie by zagrał. No więc żadnej. Może Zaufanego, gdyby miał więcej scen. Na przykład ze Starcami nie wiadomo co zrobić. Kilka zdań, potem śpią, piją wywar, to kompletnie nic, to nie są role.

W zasadzie wszystko jest tu jasne... tylko że szczeniak nie potrafi nakreślić słowami człowieka. Nawet nie zamierza. Do głowy mu to nawet nie przyszło. Nie interesują go ludzie. Ciągnie ich na prawo, każe maszerować na lewo, ze sceny na scenę, despotycznie, jak jakiś bóg. Trochę nieludzki chłopaczek. Trochę? Zrozumienie, ciepło, uniżenie, miłość, znajomość człowieka, tego mu brakuje.

Zgoda.

Ale mimo wszystko to wielka rzecz.

Gdyby tylko nie było takiej liczby postaci, a co druga to statysta!

Mistrz zaczął chodzić po kuchni.

Trzeba by to przerobić... Pokazać, że mimo wszystko są to ludzie... Inaczej będzie to tylko walnięcie w łeb, no... Gdyby budziły też współczucie... Ale chłopak ma poczucie humoru; a kto je ma, ten także musi umieć współczuć!

Gdyby Zaufany był do końca obecny... Albo głównym bohaterem zrobilibyśmy Wodza... Gdyby w sztuce była jakaś myśl przewodnia, jeden, może dwóch charakterystycznych głównych bohaterów, zakochanych czy coś takiego... kto to widział, by wszyscy byli tylko częścią chóru... gdyby była w tym jakaś opowiadka, fabuła, cokolwiek, co można by śledzić, zamiast tego chaosu i chłodu...

Tak nie da się tego oglądać. Publiczność ucieknie już po drugim chórze. Tak nie da się na tym wysiedzieć.

Ale czemu to on ma się nad tym głowić zamiast autora? Fiszer sam mógł to wymyślić; na tych osiemdziesięciu kilku stronach naprawdę by się to zmieściło...

Co by się zmieściło?

Trzeba by z Fiszerem napisać *Zamek cierpienia*, w pół słowa by zrozumiał.

Ale nie, nie umiałby napisać. Co on wie o tych typowo polskich postaciach, którymi trzeba zaludnić zrujnowany pałac Radziwiłłów?

Ale Skaliste Góry Jałowe to wielka rzecz, no, bez wątpienia wielka rzecz.

Znów usiadł przy stole, skrzywił się, spojrział na rybę na talerzu. W sztuce Fiszera on, Bogusławski, jest tylko jedną z wielu spośród zwodzących samych siebie postaci, cierpiących przez własną ślepotę. Oczywiście patrząc z daleka, z księżycą... Ale czy ktoś ma prawo, by z tak daleka... Chociaż autor także tkwi w tym po uszy. Jest na pewno efektowny; pasja też w nim jest, ale przecież to są bardzo złe wiersze, ot co!

Ucieszył się, znalazłszy jeszcze jeden słaby punkt.

Kaganek zgasł. Macając w ciemności, wszedł po schodach i położył się w ubraniu do łóżka. Czuł, że nie jest z nim dobrze. Wiercił się w półśnie, widział skalistą okolicę, a w niej mrowiących się zmarłych oraz tułaczy. Otwierał oczy, w blasku przenikającego niepewnie świtu czuł się w pokoju jak w grobowcu i przeszedł go dreszcz.

Za dwa dni, jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie już w drodze do Wilna. Dokąd to się wybiera? Do Wilna... donikąd...

Hej, jakżeż marne to życie.

Przygnębiony, z bólem głowy i gorączką wyskoczył z łóżka kilka godzin później. Musi wziąć na barki całą Warszawę, by móc wyjechać do Wilna, na dodatek jest chory, przeziębził się. Wzrokiem pozbawionym nadziei gapił się na rozrzucone na stole rękopisy, później, nie wybrawszy żadnego, wrzucił wszystkie do kufrów.

W brzydki, deszczowy dzień dwa kryte płachtami i nędznie wyglądające dyliżanse stały na placu Krasieńskich. Do każdego były zaprzężone cztery wychudzone szkapy. Aktorzy wsiedli, opatulili się pledami i starali się w miarę wygodnie usadowić między rzuconymi na kupę bagażami. Zaspani i w złym nastroju czekali na rozpoczęcie wielodniowego męczącego telepania się po drogach.

Bogusławski zarzucił na siebie dwa pledy, by wypocić chorobę. W małej kasetce obok niego leżały zdobyte w ostatniej chwili dokumenty.

- Ty też jedziesz jako balast, mój królu - mruknął do próbującego znaleźć miejsce długonogiego Fiszera. - No, już dobrze - dodał po chwili. - Jestem chory, nie gniewaj się.

Choć wyruszyli z placu Teatralnego, poza Marianną przyszedł się pożegnać tylko Żółkowski z Nepomuceną, który z ulgą dłuższy czas machał za odjeżdżającą żoną.

W ciągu lata mało wieści napłynęło z Wilna do Warszawy. Z wyczernionych, prawie całkowicie powykreślanych przez cenzurę listów wynikało, że wileński zespół wcale nie przygarnął do piersi warszawskich kolegów, jakby występował tylko Bogusławski, inni nie,

ale czym się ci inni mieli zajmować, trudno było ustalić. Jednak materialnie nie mogli wyjść na tym źle, bo nikt z nich nie wrócił wcześniej do Warszawy. W każdym razie linijki mówiące o braku gościnności i skąpstwie wileńskich Polaków dotarły do Warszawy bez ingerencji cenzury.

Ci, co pozostali w Warszawie, z całego serca cieszyli się z cudzego nieszczęścia.

Na początku września, gdy trupa powróciła, cała knajpa zgromadziła się wokół niej. Bogusławskiego nie było, podobno nie wyglądał najlepiej.

- Mogliśmy spokojnie zostać w domu - powiedział Malinowski z rozczarowaniem. - Nadal chciałbym wierzyć, że przynajmniej w Wilnie żyje jeszcze żywa legenda o polskim teatrze.

Natychmiast zaczął złopać wino pana Bautza i ostentacyjnie dał suty napiwek.

Bogusławski na próżno korespondował wcześniej z Każyńskim - którego uczestnicy tournée nazwali mięczakiem, zarozumialcem, idiotą i baranim łbem - wileński zespół zbuntował się i zagroził wypowiedzeniem pracy, jeśli dyrektor pozwoli wystąpić warszawiakom. Byli skłonni zagrać jedynie z Bogusławskim. Każyński przystał na to i Bogusławski nie miał wyboru; Mistrz dostał za występy spore honorarium, które rozdzielił równo między kolegów, zostawiając sobie tylko siódmą część. Dlatego inni również zostali w Wilnie, chociaż ani razu nie mogli wyjść na scenę.

Zostali także dlatego, że nie najgorzej poszła kontrabanda. Malinowski śmiał się; to prawda, że w drodze zostali zatrzymani na jeden dzień, bo celnicy odkryli kilka butelek szkockiej whisky, ale tytoniu nie znaleźli. Z powrotem przemycali wódkę; wepchnęli ją w końską uprzęż i inne sekretne miejsca, jej także nie wykryto.

- No tak - powiedział Malinowski. - Wtedy już wiedzieliśmy, któremu celnikowi trzeba posmarować. Jeśli jeszcze kiedyś się tam wybiorę, wezmę złoto, bo dobrze idzie.

Żywności też tam nie ma. Mają jeszcze mniej niż w Warszawie. Natomiast wódka jest tania...

- Teatr - opowiadała Żółkowska - jest kompletnie zapuszczony.

- Prześliczny pałac Radziwiłłów - powiedział Aszperger. - Kiedy my tam graliśmy, był jeszcze w dobrym stanie. Trzy rzędy łóż, galeria...

- Tylko że - wtrąciła Żółkowska - maszyna zupełnie nie działa...

- Za naszych czasów jeszcze działała - powiedział Aszperger, kręcąc głową.

- Ale teraz nie działa - ucięła Żółkowska. - Nic nie działa. Przechodząc przez scenę, wzbija się tyle kurzu, że potem każdy długo kaszle. Widownia z pierwszych rzędów też kaszle.

Aszperger ciężko westchnął.

- Dekoracji jak na lekarstwo - ciągnęła Żółkowska. - W każdym przedstawieniu ta sama, rekwizyty potworne, mają jeden miecz, którego nie można wyciągnąć z pochwy, bo jest cały przerdzewiały, ale grają nim, bo innego nie ma... Rekwizytor modli się przed każdym spektaklem, by świeczniki nie rozpadły się na otwartej scenie... każdy się boi, że powstanie pożar... aktorzy prawie nie mają strojów, wszystkiego dwa, trzy kostiumy, grają w nich opery, komedie, tragedie, sztuki grozy, wszystko. Tylko się i płakać.

- W dodatku - powiedziała Helena - z tyłu, w przejściu, zarwał się pomost, trzeba było go omijać i przepisywać sceny, by ten, kto wychodził z prawej, a miał wrócić z lewej, mógł zdążyć...

- Nie ma też inspicjenta - ciągnęła Żółkowska. - Tak mało mogą zapłacić.

- Jezus Maria! - wyrwało się Zielińskiemu. - Tak nie da się grać!

- Ale nie wszystko jest takie ponure - powiedział Zdanowicz. - Na kurtynie są piękne, kąpiące się nimfy. Szkoda tylko, że każdego wieczoru ją podnoszą.

- Bieda z nędzą - powiedział Nacewicz. - Publiczności nie ma, biedni jak myszy kościelne, sztukę mogą wystawić tylko raz...

- Wspaniałe towarzystwo - ocenił Zdanowicz, który widocznie miał powodzenie u wilnianek. - Podobały mi się zwłaszcza opery. Wyobraźcie sobie: odkryli, że każdą operę można grać w tej samej tonacji. Każdy śpiewa w takiej, do jakiej w danej chwili jest zdolny. Muzycy najpierw czekają, kto jakim głosem zaczyna, i dopiero potem wkraczają! Mistrzowie transpozycji! A jak potrafią zagrać bez przygotowania! Oczywiście, jeśli mają z czego; mają niewiele nut, na przepisanie nie ma pieniędzy ani ludzi, ale i tak brakuje na to czasu, dowiadują się, co będzie wystawiane, na dzień lub dwa przed spektaklem. Jak oni potrafią improwizować podczas przedstawienia!

- Czy u nas tego już nie wprowadzono? - zainteresował się Szymanowski.

Szczurowski aż zawył.

Potem uczestnicy tournée wrócili do spraw najważniejszych: wyklinali wileńskich aktorów, zwłaszcza tych głównych, Rogowskiego, Niedzielskiego, Kamińskiego i Skibińskiego, potem aktorki, zwłaszcza te główne, Skibińską, Kamińską, Hrehorowiczównę. Żółkowski słuchał, szczerząc w uśmiechu zęby, żona informowała go szczegółowo w listach o przygodach zespołu, o których nikt jakoś teraz nie chciał powiedzieć nawet słowa.

Dalszą relację kontynuowano w wąskim gronie, w mieszkaniu Żółkowskiego. Gospodarz siedział, obejmując żonę, zaczęło mu już jej brakować.

- Krótko mówiąc, nic nie było - powiedział. - A Mistrz? Niczego tam nie znalazł?

Żółkowska i Helena zaczęły mówić jedna przez drugą, potem skinęły do siebie; tylko po kolei, powiedziała Żółkowska. Bogusławski wystąpił w *Saulu* Alfieriego, w *Learze*, *Cudzie mniemanym* jako Bardos i komedii Goldoniego *Kawiarenka wenecka* w roli Don Marzia...

Helena wyciągnęła dwie recenzje „Tygodnika Wileńskiego”, przeczytała kilka fragmentów.

„Pan Bogusławski z rzadko widzianym zapalem i gorliwością wzniosł raczkujący teatr do wieku dojrzałości”...

- Ci też nie potrafia się wysłowić - orzekł Żółkowski.

„Zakończmy naszą krytykę tym, iżby Nestor polskiej sceny za nic w świecie nie miał nas za jakichś Iksów. Jesteśmy pełni przekonania, że dla naszych artystów wielce korzystne było chwalebne spotkanie z występującymi gościnnie artystami”...

- Rzeczywiście było bardzo owocne - wtrąciła Żółkowska. - Nie wpuścili ich na scenę.

„...a praca Mistrza rychle znajdzie swe sięgające na przyszłość odzwierciedlenie w naszym teatrze. Z nauk Mistrza polskiej sceny będzie więcej pożytku niż z pisaniny Iksów, Igreków czy I Greczków”...

- Stary tylko w *Learze* był naprawdę dobry - powiedział Zdanowicz.

- Nieważne - rzuciła Żółkowska. - Za to w *Kawiarence weneckiej*...

- Poczekaj - przerwała jej Helena. - Najpierw był *Lear*, w którym go chwalono, potem *Saul*, kiedy parodiował krytyków, a dopiero potem *Kawiarenka wenecka*...

Żółkowski je zbeształ, naprawdę mogłyby mówić do rzeczy.

- No - powiedziała Helena - krótko mówiąc, *Lear*. Przekład potworny, nie grają tego, co u nas, dwaj Francuzi sknócili go jeden po drugim, a potem spartaczyli to podczas przekładu na polski jakiś tamtejszy, anonimowy nasz rodak...

- Mistrz znał naszą wersję - ciągnęła Żółkowska - tak że kilkakrotnie mówił końcówkę, a tamci czekali, by coś jeszcze powiedział, i na odwrót, Mistrz wpadał im w słowo albo orientował się dopiero po dłuższej chwili, co się dzieje...

- To musiała być niezła heca - zaśmiał się Żółkowski.

- Mimo to miał świetny pomysł - powiedziała Helena. - Jednej osobie kazał grać Błazna i rolę Kordelii, bo zauważył, że nigdy nie spotykają się na scenie...

- Natomiast Hrehorowiczówna to gówno - stwierdził Zdanowicz.

Wszyscy się zgodzili.

- Kłopot w tym - powiedziała Helena - że publiczność wszystko kupi. Ktoś może grać bardzo dobrze albo bardzo źle, ludzie i tak się cieszą, że słyszą polskie słowo ze sceny, i są

wniebowzięci. Robiono mu wielkie owacje, to oczywiste, ale gdyby zagrał marnie, też by bili brawo. Nie zwracali w ogóle uwagi na to, jak gra... Tylko w *Kawiarence weneckiej*, kiedy to...

- Mistrz był wściekły - powiedział Zdanowicz. - Dlatego sparodiował wtedy krytyków, publiczność oczywiście tego nie zauważyła, tylko adresat... jak mu tam?

- Chodźko - podsunęła Helena. - Było tak, że Chodźko zauważył parodię i obraził się, choć to on przecież napisał pochlebną recenzję, więc potem już nic nie pisał o żadnym przedstawieniu...

- Z pewnością Mistrz wcześniej to przemyślał - orzekł Żółkowski. - Nie chciał, by ten Chodźko w dobrych intencjach zrobił na niego donos... bo inaczej Mistrz łatwo mógłby się znaleźć na Syberii.

- Mistrz jest znacznie mądrzejszy - zaprotestowała Helena. - Przecież dzień po przedstawieniu już wracaliśmy do domu... nie mogliby donieść!

Zdanowicz roześmiał się.

- Był boski - powiedział - kiedy rozwalilem dekoracje... Ciekawe - dodał - to dopiero trzy dni, a wygląda, jakby się zdarzyło całe lata temu... po prostu dlatego że przez ten czas przebyliśmy parę tuzinów mil.

- Nie mówcie zagadkami! - wrzasnął Żółkowski. - Co za dekorację rozwaliłeś?

- No, do *Kawiarenki* - wyjaśnił Zdanowicz. - Do trzeciego aktu niewiele z niej zostało! Myślałem, że już nie wyjdą...

- To dlatego Mistrz przerobił sztukę - powiedziała Helena. - Z początku drugiego i trzeciego aktu wyciął sporo wszystkiego, żeby to on wkroczył pierwszy na scenę... a skoro gra, to inni mają wyjść.

- Dostało mu się - powiedziała Żółkowska i wzdrygnęła się. - Teraz, gdy o tym mówicie, znów przechodzą mnie ciarki...

Żółkowski walnął ręką w stół:

- Na Boga, mówcie wreszcie jaśniej!

- Cóż - odrzekła Helena - spróbujmy to jakoś zebrać... Chociaż Fiszer wie lepiej, całą drogę powrotną zbierał fakty, był bardzo podniecony...

- Fiszer nawet tego nie widział - powiedziała Żółkowska. - Wtedy także się urwał i wałęsał z wileńskimi kolegami... studentami.

Helena dała jej znak, żeby zamilkła o tym i opowiedziała Żółkowskiemu treść sztuki. Akcja rozgrywa się na placu w Wenecji, dekoracja przedstawia trzy domy, jaskinię gier karcianych, kawiarnię, która jest zarazem gospodą, oraz salon golibrody. Właściciel kawiarni

to niezwykle dobry człowiek, próbuje wyrwać z rąk szulerów młodego człowieka imieniem Eugenio, wchodzącego na złą drogę. Ponadto jest fałszywy hrabia, który smali cholewki do pewnej tancerki, a który tak naprawdę jest buchalterem i ma żonę; jego żona pojawia się w przebraniu... żona Eugenia także wdaje się w tę awanturę... jasne więc, że cała sztuka to same awantury, zabawy w chowanego i krzyki, ludzie stale pożyczają od kogoś pieniądze, oszukują i kłamią. Najlepsza rola to Don Marzio - grał go Mistrz - z nudów nadstawia uszy na plotki, wszystko go interesuje, wszędzie węszy, wynajduje nieistniejące zbrodnie i rozpowiada to wszystkim dookoła, każdego naciąga, denuncjuje, donosi, aż w końcu wszystko wychodzi na jaw i zły Don Marzio musi opuścić Wenecję.

- Zresztą sztuka wypadła lepiej, niż ona wam opowiada - dorzuciła Helena. - Bo... to wymyślił Mistrz... podły Don Marzio nie potrafił w swej podłości wymyślić takiego świństwa, którego by inni nie przebili. Krótko mówiąc, wszystko jest pokręcone.

- To dobre - powiedział Żółkowski. - Kiedyś to zagram.

- Ale nawet nie o to chodzi - ciągnęła Helena. - Mistrz gruntownie skrócił sztukę... i zaproponował Każyńskiemu, że dobrze byłoby puścić między aktami muzykę wojskową.

Zdanowicz znów się zaśmiał.

- Każyński bardzo się z tego ucieszył. - Helena skinęła głową. - To może być dobre; natychmiast pojawił się dowódca rosyjskiego garnizonu, on też mógłby napisać w sprawozdaniu, że rosyjska orkiestra dęta wystąpiła w przedstawieniu polskiego teatru... Bogusławski zastrzegł tylko, by warszawscy aktorzy również mogli włożyć mundury rosyjskich muzyków... Każyński się zgodził, to nie występ, jego zespół nie będzie się przeciw temu buntować.

- Malinowski nie chciał - powiedział Zdanowicz. - On w mundurze carskim...! Za nic! Zresztą nie obejrzał żadnego przedstawienia, pił z wileńskimi Polakami i oplakiwał ojczyznę... Zostaliśmy więc tylko we dwójkę, Nacewicz i ja. Nacewicz do końca nie wypił nawet kropli...

- Strasznie biedny był staruszek - powiedziała Żółkowska. - W drodze przyszło mu do głowy, że może Aniela uciekła do Wilna i może ją spotka, po przyjeździe był już pewien, że jego córka tam jest, że pojechał na tournée za podszeptem Boga, i co wieczór czekał, że niespodziewanie wpadnie Aniela. Dlatego nie pił, biedaczysko. Nie chciał się z nią spotkać po pijanemu.

- A w drodze powrotnej powtarzał - dodała Helena - że kiedy przyjedzie do domu, Aniela już będzie na niego czekać.

- Nie czekała - powiedział Żółkowski.

- Staremu już wiele nie zostało - wtrąciła Żółkowska. - Jest cały żółty, oczy, skóra, wszystko... i ręce mu drżą nawet podczas snu...

- Jednym słowem - powiedział Zdanowicz - Nacewicz nie był pijany i można było na niego liczyć. Bo Mistrz prosił, byśmy podczas przerw, kiedy wejdą z orkiestrą wojskową, rozwalili za ich plecami dekorację... ale tak, żeby nie udało się jej już postawić... Zresztą i tak nie mogliby jej naprawić, nie opuszczono kurtyny, nie ma zmiany dekoracji, do końca jest ta sama... scenografowie poszli sobie przed rozpoczęciem przedstawienia... a co rozwalimy, pozostanie rozwalone.

- Mistrz prosił? - zdziwił się Żółkowski.

- Właśnie - powiedział Zdanowicz. - Żebyśmy rozwalili dekorację. A co zostanie po pierwszej przerwie, żebyśmy rozwalili podczas drugiej.

- I zrobiliście to?!

- I to jak! To nie była wielka sztuka przewrócić kilka drewnianych ścianek. Nacewicz wlał w to całą swą gorycz...

- Chwileczkę - przerwał mu Żółkowski z niedowierzaniem. - To jak to było? W drugim akcie nie było już dekoracji? A publiczność? A aktorzy?

- Pierwszy akt poszedł normalnie - znów zabrała głos Helena. - Nic szczególnego... poza tym że z dyrektorskiej loży zniknął Każyński. Później się okazało, że Mistrz spił go przed spektaklem i dyrektor do końca chrapał na podłodze w gabinecie... My też nie wiedziałyśmy, co będzie, nikt nam nie powiedział, patrzyłyśmy z Marią z jaskółki...

- Ponieważ Mistrz - wtrącił Zdanowicz - zabronił nam komukolwiek o tym mówić.

- No, i wtedy zaczyna się przerwa - ciągnęła Helena. - Kurtyna nie opada, od razu wchodzi orkiestra, wielki hałas, widzowie zostają na miejscach, ich również to zaskoczyło, czegoś takiego jeszcze nie widzieli. Myśmy już prawie wyszli... ale Maria zauważyła, że Nacewicz wali w czynele...

- A ja dostałem bęben - powiedział Zdanowicz.

- Tego nie mogłyśmy zrozumieć - dodała Żółkowska. - Z góry było widać, że obaj idą w głąb sceny... i coś majstrują... wtedy już wiedziałyśmy, że coś się wydarzy... a kiedy orkiestra wyszła, sztywno i hałaśliwie, nagle na scenie rumor, jaskinia gry i gospoda zostały zniszczone...

- Ale natychmiast na scenę wbiegł Mistrz - powiedziała podniecona Helena - w kostiumie Don Marzia i zaczął mówić swoją kwestię, jakby nic się nie zdarzyło...

- I kontynuowano grę - podjęła relację Żółkowska, zrywając się z krzesła. - Weszli pozostali, potykali się o szczątki, zaskoczeni, gapili się na widownię, ale Mistrz dał im znak,

by grali, i mówił, mówił swoje kwestie, czasem słowa zamierały, na widowni panowała potworna cisza... aktorzy wzięli się w garść i kontynuowali scenę... jakby nic się nie zdarzyło... jakby stały dekoracje...

W oczach Żółkowskiej pojawiły się łzy.

- My w tym czasie - uzupełnił Zdanowicz - piliśmy z muzykami w bufecie, na koszt Mistrza... po obu przerwach...

- Drugi akt przebiegał w fantastycznej atmosferze - powiedziała Helena. - Ścisaliśmy się z Marią za ręce... Aktorzy mówili tekst, prawie szlochając... Tylko Mistrz niczego nie widział i niczego nie słyszał, grał złego plotkarza Don Marzia...

- Na koniec aktu były niesamowite brawa. - Żółkowska aż zadrżała. - Publiczność nie wiedziała, co się stało z dekoracją, ale ten bohaterski wysiłek... bili brawa aktorom, że potrafili zagrać do końca...

- I znowu weszła orkiestra - powiedziała Helena. - Zaczęła ostro grać...

- Na widowni gwizdy - dodała Żółkowska. - Tamci trąbią...

- Weszliśmy - powiedział Zdanowicz. - Muzycy nawet tego nie zauważyli, stali przy rampie, a my, Nacewicz i ja, tym razem rozwaliliśmy kawiarnię.

- Jeszcze nie zeszli - ciągnęła Helena - kiedy wpadł Bogusławski...

- Bo trzeci akt też zaczynał się od niego - wtrąciła Żółkowska. - I ciągnął scenę...

- Zaczął mówić swój tekst - rzuciła szybko Helena - ale wtedy nic już nie zostało z dekoracji... a pozostali padali plackiem na scenę, gdy tylko weszli... byli kompletnie ogłupiali, ale grali... jakby stały jeszcze dekoracja, kawiarenka, jaskinia gry, salon golibrody...

- Zdumiewające - powiedziała Żółkowska, cała drżąc - co stało się z tekstem... Już na początku aktu Mistrz miał kwestię w rodzaju „przyjdź do mnie” jako fałszywy hrabia, „przyjdź do mnie, porozmawiaj ze mną jak dżentelmen z dżentelmenem, bo nikt nigdy niczego nie wie, bo jak nikt inny dobrze wiem, skąd tyle tu hałasu”, i zatoczył wokół ręką, to było coś zupełnie niesamowitego... nie jestem teraz w stanie tego opowiedzieć... zatoczył ręką wokół rozwalonej sceny... i publiczność to widziała, tylko tamci nie... Potworne... Później, dokładnie pamiętam, jest fragment, nic niemówiąca kwestia, którą wypowiada DonMarzio: „Mamy ładną pogodę”, na co milicjant, który przychodzi, mówi: „Mamy ładną pogodę”, zamawia kawę, właściciel kawiarenki wchodzi między zwalone szczątki... milicjant mówi: „Nastał teraz czas pięknej pogody”, Don Marzio: „Ale nie potrwa już długo”, na co milicjant: „Nie szkodzi, teraz jest ładnie”, a Mistrz: „Trzeba korzystać, kiedy tak ładnie”, to było niesamowite, beczalam... publiczność też...

- Na koniec - rzekła Helena i zaśmiała się - Don Marzio ma monolog, jest już

wyrzucony z miasta... mówi mniej więcej tyle, że wyprowadza się z tego miasta, w którym wszyscy żyją szczęśliwie, wszyscy są wolni, panuje pokój, beztroska, zabawa, a każdy może mądrze, rozsądnie i uczciwie zorganizować sobie życie... Wyłam ze śmiechu!

- A ja rżałam - powiedziała Żółkowska i poblady jej usta.

Zapadła cisza.

- Rozumiem - odezwał się w końcu błądy Żółkowski. - Ale za to naprawdę grozi Syberia!

- Widzisz, że nic się nam nie stało - odparł Zdanowicz. - Nie było żadnego z dostojników... Rimski-Korsakow, gubernator, widział tylko *Saula* z Mistrzem... komedii nie oglądają... ich gazetowego recenzenta też nie było, bo się obraził...

- Ale z pewnością byli szpicle! - krzyknął Żółkowski.

- Z pewnością - stwierdził Zdanowicz. - Myślisz, że ruszą za nami do Warszawy? Ależ myśmy niczego nie zrobili... zawałiła się dekoracja... zaprzeczę, że miałem z tym cokolwiek wspólnego!

- Grali źli aktorzy - powiedziała Żółkowska. - W pierwszym akcie, widząc ich, miałam złośliwą satysfakcję... że są tacy niedobrzy... ale w drugim akcie, kiedy się mordowali... nieszczęśliwie potykali... i próbowali zachować pozory gry...

- Nie będą o tym pisać - uznała Helena. - Ładnie to przemilczą. Napiszą, że Mistrz dał im po gębie: zajęci są drobnymi sprawami i w tym wszystkim niczego nie zauważają? Nielegalnie wymieniają pieniądze, przemycają, jak my, gdy tymczasem ich miasto przestaje już istnieć?

- Ale publiczność, co na to publiczność? - krzyknął Żółkowski.

Nie za bardzo wiedzieli. Oklaskiwano aktorów, to prawda. Ale wszyscy byli zdezorientowani. Tylko Mistrz nie, jakby nawet podczas oklasków nie zdawał sobie sprawy, że rozwalono dekorację. Można było dostrzec, że Hrehorowiczówna płakała na scenie. Była całkowicie wykończona. Według Zdanowicza orkiestra niczego zupełnie nie zauważyła, zresztą była już pijana. Helena i Żółkowska popędziły do garderoby, z aktorami nie dało się rozmawiać, jak w obłędzie patrzyli tępo przed siebie albo histerycznie wrzeszczeli. Pijany w sztok Każyński spał na ziemi, nie dało się go ocucić. Bogusławski gdzieś zniknął.

- Następnego dnia rano wyjechaliśmy - powiedział Zdanowicz. - Do tego czasu Fiszer i Malinowski już o tym wiedzieli, czyli że rozeszło się po mieście... Ale co? Mistrz źle się czuł... że niby żołądek czy coś... i bolała go głowa, sam niczego nie mówił...

- Ale on tylko grał, że go boli głowa - dodała Helena. - Po prostu nie chciał o tym rozmawiać.

- Spakowaliśmy się w nocy - powiedziała Żółkowska. - Nie potrafiliśmy rozmawiać z wilnianami.

- Najbardziej poruszony był Fiszer - wspomniała Helena. - Wracaliśmy w jednym dyliżansie, rwał sobie włosy, że akurat tego przedstawienia nie obejrzał... w nocy pił ze studentami, ma jakiegoś przyjaciela, Zana, który chodzi tam na uniwersytet, pili w jego mieszkaniu i tam przyszli inni po przedstawieniu, to oni im opowiedzieli... Nie wiem, co naopowiadali...

Po chwili milczenia Żółkowska powiedziała:

- Być może to wszystko nieprawda... jakby było snem. Jakbyśmy wcale nie wyjeżdżali z Warszawy... tu wszystko jest takie samo...

- Mistrz jechał innym dyliżansem - dorzuciła Helena. - Może wam coś powiedział...

Zdanowicz pokręcił głową.

- Całą drogę próbował uspokoić Nacewicza - wyjaśnił. - Malinowski wypytywał go, co się stało, ale tylko machnął ręką... To był kretyński dowcip. Czyż nie?

- Szatański pomysł - powiedział Żółkowski i wzdrygnął się. - No, coś takiego... Czemu nie pojechałem z wami?

- Ty też nie mógłbyś zagrać - powiedziała Żółkowska.

W tym czasie zmęczony i rozbity Bogusławski rozpakowywał w domu bagaże. Nie musiał przeliczać pieniędzy, by wiedzieć, że dopłacił do tournée. Wysoką gażę do ostatniego grosza przejedli pozostali; nie ma mowy o tym, by stworzył w domu nieduży teatr.

Od Marianny dowiedział się, co się działo w Warszawie. Aniela nie wróciła, nic o niej nie wiadomo. Ledóchowska może być w Karlsbadzie albo Marienbadzie, z Pragi napisała do Truskolaskiej. Latem Osiński rozpoczął remont teatru, na razie zatrudniał ludzi na czarno, płaca murarzy wzrosła do pięciu złotych dziennie, bo teraz w całej Warszawie zaczyna się budować, więc brak rąk do pracy; murarze pracują tylko dwa, trzy dni w tygodniu, mogą za to przeżyć, w pozostałe dni chleją i tłuką się.

- Chcesz jeszcze robić *Zamek cierpienia*? - spytała Marianna.

- Byłoby dobrze - powiedział Mistrz.

- Pytam dlatego - ciągnęła Marianna - że nie dostaniesz pałacu Radziwiłłów... Remontują go i dadzą namiestnikowi.

- Naprawdę?

- Spotkałam Niemcewicza, on mi to powiedział. Będzie kosztować sześć milionów...

Bogusławski wyprostował się przy kufrze. Po krótkim milczeniu roześmiał się.

- Ja to załatwiłem Zajączkowi, powinien mi być wdzięczny. Gdybym nie chciał tam

grać, zostawiliby to w ruinie.

- Dla Wielkiego Księcia odnowią Belweder - powiedziała Marianna. - Z pewnością po to, by miał więcej pałaców niż namiestnik.

Bogusławski wzruszył ramionami.

Dwa tygodnie temu, piętnastego sierpnia, w rocznicę urodzin Napoleona żandarmeria była w stanie gotowości, kilkuset żołnierzy krążyło po Miodowej, ale nic się nie wydarzyło, opowiadała Marianna. Potem poszła do syna.

Bogusławski położył się już wczesnym wieczorem, ale nie mógł zasnąć. Męczył go ból głowy i szum w uszach, tego szumu nie potrafił się pozbyć ani potrząsając głową, ani dłubiąc w uchu. Zaczęło się to jeszcze w Wilnie i, jak myślał, sprawił to klimat.

Leżał aż do rana, nie mogąc zasnąć. Klębiły mu się w głowie wileńskie epizody, w końcu nie było tak źle, mógł zagrać. Za *Kawiarenkę* dostał za swoje, ale i tak było warto. Szkoda tylko, że nie widziała tego warszawska publiczność. Lepiej by to odebrali i nie rozplynęłoby się bez śladu.

Jak zawsze po każdej nieprzespanej nocy i teraz długo się rano golił, umył się dokładnie w zagranej na piecu wodzie i względnie odświeżony po długim rytuale zjawił się nieoczekiwanie w teatrze.

W knajpce zorientował się, że Osiński plajtuje. Muzycy dostali latem jedynie połowę pensji, wobec czego Różyczka, jeden z pierwszych skrzypków, oraz KÖnig, trębacz, złożyli wypowiedzenie. Pozostali chcieli się procesować z dyrektorem. Przebąkiwano, że Osiński będzie zmuszony opóźnić o jeden, dwa tygodnie wypłatę aktorom wrześniowej gaży.

- To spory kłopot - mówiono w knajpce - przy takich cenach...

Okazało się, że w ciągu paru tygodni niewiarygodnie poszły w górę ceny żywności; jeszcze nigdy nie były tak wysokie, nawet w najgorszych latach wojny.

Nikt dokładnie nie wiedział, jaki jest deficyt Osińskiego, ale mówiło się o jakichś stu tysiącach, kilka dni temu rzekomo wypaplał to Unicki.

Bogusławski nie wierzył w to, sto tysięcy długu Osiński miał sześć lat temu, a od tamtej pory ten dług stopniowo narastał. Na wszelki wypadek nie wspomniał o tym. Jeśli Osiński jest w tarapatkach, to tylko dobrze. Dyrektor musi prosić o większe dotacje, z pewnością je otrzyma, Iksowie nie chcą, by pod ich rządami zlikwidowano Teatr Narodowy. Częściej będą się wtrącać w kierowanie, im więcej ich jest, tym sytuacja będzie bardziej mętna, może coś uda się na tym skorzystać.

Osiński nie należy do ludzi, którzy z takiej opresji potrafią wynieść cało głowę.

Obejrzał scenę. Remont się jeszcze nie skończył, część dźwigarów i mechanizm

obrotowy leżały rozłożone, nie zmontowano jeszcze nowej maszynowni. Zakończono tylko odnawianie widowni, wyrzucono ławki, w ich miejsce zamontowano fotele kryte czerwonym pluszem. Osiński zlikwidował wszystkie miejsca stojące, przez co liczba widzów na przedstawieniu została zmniejszona co najmniej o sto osób.

- I tu zaczyna się problem - powiedział Mistrz do Zielińskiego, który montował zapadnie z robotnikami. - Gdzie są wygodne siedzenia, tam już więcej nie da się grać. Prawdziwy teatr to taki, gdzie widzowie tłoczą się jeden przy drugim i są szczęśliwi, gdy widzą choćby pół sceny... Gdy widz zapada się w wygodny fotel, to nigdy stamtąd nie wychodzi i nigdy nie pada żadne przedstawienie... Dawniej dlatego pisano tak wspaniałe sztuki, że trzeba było jakoś zatrzymać widza... w każdej scenie trzeba było budować nowe napięcie... My piszemy niedobre sztuki i wygodnie sobie gramy, bo wiemy, że widz jest leniwy i nie chce mu się wstać, co najwyżej przyśnie. Wygodne krzesło to śmierć teatru.

Zieliński nie słuchał tego, wrzasnął na jakiegoś robotnika.

Później w knajpie Bogusławski dowiedział się od Żółkowskiego i Rivolego, że większość stałych widzów nie odnowiła abonamentu na łożę, tak że problem Osińskiego to już nie tylko to, że nie może grać przedstawień jednego po drugim, ale że zagrożone są również premiery.

- Przykre - uśmiechnął się Mistrz.

Żółkowskiego interesowało przedstawienie *Kawiarni*.

- Coś tam wypróbowałem - powiedział Bogusławski wymijająco - i zadziałało. Może kiedyś na coś się przyda.

Nic więcej nie udało się Żółkowskiemu od niego wyciągnąć.

Snujący się po knajpie byli w złym nastroju i milczeli. Pewne zainteresowanie wzbudziła wiadomość, że Napoleon uciekł ponoć ze Świętej Heleny i teraz w przebraniu, pod fałszywym nazwiskiem i w peruce ukrywa się w Berdyczowie u pewnego kupca, niejakiego Grzegorza Jarmutowicza.

Zły nastrój potęgował fakt, iż nie był jeszcze znany repertuar na sezon jesienny i nikt nie wiedział, w czym będzie grać, o ile w ogóle wyjdzie na scenę. Aszpergerowa i Szczurowska psioczyły na bawiącą nie wiadomo gdzie Ledóchowską, uważając, że to z jej powodu Osiński nie jest w stanie ustawić repertuaru.

Minęło kilka dni, Bogusławski biernie przesiadywał w knajpie z innymi, odpoczął już po występach gościnnych, teraz powinien organizować, przygotowywać i krzątać się wokół sezonu, ale przecież nie był dyrektorem. Trochę ze złośliwą satysfakcją, a trochę z oburzeniem stwierdził, że jego zięć nie wyczuwa, jak ważna jest atmosfera przed sezonem.

Za czasów Mistrza było nie do pomyślenia, by w pierwszych dniach września nie pracowano już z pełnym zaangażowaniem przy próbach na scenie, w sali prób, w mieszkaniach, garderobach, wszędzie. Jeśli Osiński nie może zapłacić, niech chociaż obiecuje gruszki na wierzbie, niech chociaż snuje nierealne plany, niech coś robi, cokolwiek! Prędzej czy później Osiński zbankrutuje na teatrze, i dobrze; ale do tego czasu zrobi się moralny kociokwik; kiedy odzyskam swój teatr, pomyślał Bogusławski, nie będzie już sensu go odzyskiwać.

Przesiadywał w knajpce i chociaż nic nie robił, jego obecność wpływała na aktorów kojąco. Ci, co wrócili z Wilna, dzięki Bogusławskiemu suto wynagrodzeni, ostentacyjnie do niego ciągnęli; na wszelki wypadek powiedział im, by byli łaskawi zamknąć gębę na temat przedstawień w Wilnie. Ale na przykład Werowski, pupilek Osińskiego, także dosiadał się do jego stołu, potem dołączył Szczurowski, który narzekał i rozglądał się demonstracyjnie, czy wszyscy widzą go w towarzystwie Bogusławskiego, przez całe popołudnie zanudzał go swoim chrypliwym basem. Również Elsner zebrał się w sobie i dosiadł do stolika. Bogusławskiemu zrobiło się go żal i tym razem uderzył w przyjacielski ton. Nie rozmawiali o niczym istotnym, po kwadransie Elsner wyraźnie rozluźniony wstał; wyglądał na zadowolonego.

Czyżby wybaczył mi Konstancję? - zastanawiał się Bogusławski.

Wychowanek Osińskiego Zawadzki, nowy nabytek o płonących oczach, spytał Mistrza, czy nie mógłby dokonać analizy *Szkoły kobiet*, co też Bogusławski uczynił w obecności wszystkich. Zawadzki słuchał przejęty.

Bogusławski nie przywiązywał takiego znaczenia do tych drobiazgów, jak całe to towarzystwo głodne informacji i groźnych wieści. Plajta to za mało, by aktorzy rzeczywiście przy nim stanęli. Na muzyków nie można liczyć, próżno niektórzy się burzą, Warszawa wykształciła w ostatnich trzydziestu, czterdziestu latach zbyt wielu muzyków i wraz z zanikiem prywatnych orkiestr dworskich oraz upadkiem opery nawet najlepszych można łatwo zastąpić.

Właściwie to Mistrz na miejscu Osińskiego też by nie umiał niczego wymyślić, jeśli nie ma się pieniędzy, to się ich nie ma; co najwyżej, znając aktorów, zacząłby blefować, czego Osiński nie potrafi. Największym problemem Osińskiego, pomyślał Mistrz, jest to, że boi się aktorów, bo ich nie zna.

Powinien jeszcze bardziej się bać, przyszło mu do głowy, i dostrzegłszy w knajpie Żółkowskiego, zaczął nagle mówić o swojej córce Rozalii, żonie pana dyrektora. Wielu nadstawiło uszu, Żółkowski przysiadł się, węsząc niezły żart.

- No, a potem córka wydorowała - doszedł do sedna Mistrz - zaczęli do niej

przychodzić różni faceci... i bałem się już wejść do jej pokoju, nie wiedząc, kogo zastanę...

- No, to prawda - zawtórował Żółkowski. - Pamiętam... jak to kiedyś czmychnąłem...

- Naprawdę? - oburzył się Bogusławski. - Więc ty też miałeś z nią jakieś stosunki?

- Tego nie powiedziałem - wycofywał się Żółkowski. - Tylko że Rozalia sama by chciała, miała wtedy gorącą naturę...

- A ja myślałem, że wydam ją za męża dziewicą! - krzyknął Mistrz pełen bólu. - Dla ojca najgorsze jest, gdy przychodzi na świat córka. Ale ja byłem łatwowierny... to znaczy miałem nadzieję, że córka nie skurwi mi się do końca...

Żółkowski milczał, czekał, dokąd zmierza Mistrz.

- Pewnego dnia - wspominał Bogusławski - zorientowałem się, że chyba nie jest sama... przecież to moja śliczna córeczka... ja ją karmiłem...

Śmiech.

- I wszedłem do niej życzyć dobrej nocy. Wchodzę, patrzę, córki nigdzie nie ma, tylko jej gołe nogi wystają spod jakiegoś pana. Wyobrażacie sobie, jak zbladłem? Pan zerwał się z łóżka, okazało się, że pod nim była też moja córka, nie tylko jej nogi; no i kto to był? Kto? Jak myślicie?

Padaly nazwiska, Bogusławski kręcił tylko głową.

- Alojzy wie - powiedział Mistrz. - Bo to on wtedy ukrywał się w szafie...

Żółkowski był przez chwilę mocno zmieszany.

- Spójrzcie tylko na niego - powiedział Mistrz. - Nawet teraz poczerwieniał.

- No, przecież to jasne - powiedział Żółkowski, jeszcze nie orientując się, o co chodzi.

- No, mój królu, kto zeskoczył z mojej córki?

Żółkowski zaśmiał się tajemniczo:

- Powiesz za wiele, będziesz jak cielę.

- Jasne - odparł Mistrz. - W zasadzie nie powinienem o tym mówić... może być z tego kłopot...

- Może być z tego duży kłopot - dodał Żółkowski.

- Kto to był? - wszyscy byli zainteresowani.

- No cóż, jak go zobaczyłem - powiedział Bogusławski - krew uderzyła mi do głowy, poleciałem po pistolet, wróciłem i wycelowałem w młodzika...

- Ja tymczasem narobiłem w szafie w gacie - przyznał Żółkowski - bo kula może trafić w szafę... a ja w środku...

- Wrzeszczałem, oczywiście - ciągnął Mistrz - możecie sobie wyobrazić, jaki byłem wzburzony...

- A ja się modliłem - zaskoczył wreszcie Żółkowski - żeby ten gość obiecał ożenić się z Rozalią, zanim Mistrz go zastrzeli...

- No i ożenił się z nią? - pytano ze śmiechem.

- Ożenił się, chwała Bogu - powiedział Bogusławski. - Pan Bóg uchronił mnie przed morderstwem.

Słuchający o czymś szeptali.

Bogusławski potakiwał zadowolony.

W ciągu godziny Osińskiego szlag trafi.

- Powinienem go zastrzelić - powiedział później Mistrz do Żółkowskiego. - Uwolnilibyśmy się od wielu kłopotów. Szkoda, że nigdy nie miałem pistoletu.

- Wielka szkoda - przyznał Żółkowski.

Później większość rozprawiała o tym, że Zdanowicz nieoczekiwanie zrezygnował, bo dostał skądś wielki spadek, ale ma szczęście, cóż, to cały Zdanowicz.

Kilka dni później Osiński rzeczywiście mógł wypłacić jedynie połowę gaży. Unicki wywiesił pismo, że zarządzenie ma charakter tymczasowy i jest spowodowane przedłużającym się remontem oraz nieoczekiwanym wzrostem wydatków; w październiku zespół otrzyma drugą połowę gaży, będzie też podwyżka płacy. Wśród narzekających był oczywiście także Bogusławski, ale do buntu nie doszło, zbyt długo wywoływano wilka z lasu, wszyscy od dawna byli przygotowani na niesprawiedliwe posunięcia. Widać było, że aktorzy pilnują się, rozmawiając między sobą. Intryganci przeszli na gadaninę o niczym, opowiadano sobie nijakie, dość grube dowcipy. Bogusławski nie tego oczekiwał. Po knajpie wałęsał się Wąsikowski, potem coraz częściej zaczął się pojawiać również Tobiasz Macrott, na ich widok urywały się najbardziej nawet niewinne rozmowy. Kilka miesięcy temu w takich momentach nie zamykano ust na kłódkę.

Dzień po wypłacie poniosło Wolskiego. Mówił o odwrocie z Litwy, w ostrych słowach opisywał, jak jeden z jego towarzyszy piekielnie powoli zwałił się w śnieg. Potem wybuchnął płaczem i przywoływał jedyną i niepodzielną Polskę, jakby za chwilę miała się pojawić w drzwiach knajpy. Nikt nie zareagował, pozbawiony widowni Wolski przestał płakać i ciężkim krokiem wytoczył się z knajpy. Tobiasz Macrott był zajęty piciem herbaty.

- On ma rację! - krzyknął Malinowski i obruszony milczeniem innych także wyszedł.

Następnego dnia, zataczając się, przyszedł Wąsowicz z zapłakanymi oczami: jego starszy brat powiesił się wczoraj.

- Biedak był żołnierzem gwardii przybocznej Napoleona - mówił Wąsowicz z głupkowatą miną zubożałego hrabiego. - Był cały siny.

Wieść zelektryzowała aktorów, pytali Wąsowicza, jak wyglądały zwłoki, jak bardzo wywalił się język, jak mocno były wytrzeszczone oczy, czy stanęło mu prącie, bo w takich przypadkach, jak mówią, powinno stanąć.

- To ja powinienem umrzeć! - krzyczał Malinowski. - Ja powinienem zdechnąć zamiast innych! Bo jak zginę, zginie cała Polska!

Nikt jakoś się nie śmiał, Malinowski krzyczał szczerze.

Aszperger przysunął się do żony i głaskał ją ze łzami w oczach.

Tego dnia w południe Marianna przeprowadziła się od syna do domu, była zmęczona i w złym humorze. Po południu nieoczekiwanie zjawił się Ignacy.

- Cóż to, nie możesz się obejść bez mamy? - mruknął Bogusławski.

Ignacy chodził jak śnięty. Miał na sobie galowy mundur, powinien wyglądać w nim bardziej okazale.

- Myślisz, mój królu, że mundur doda ci siły, co? - spytał drwiąco Bogusławski.

Ignacy pomagał matce w kuchni skrobać rybę. Mistrz w pokoju na górze znów nerwowo grzebał w rękopisach. Wieczorem Ignacy spytał, czy nie mógłby zostać u nich na noc.

- Co będzie z twoim szczeniakiem? - spytał Bogusławski.

- Teść go pilnuje - powiedział Ignacy. - Od powrotu z Wilna dzieciak jest dla niego wszystkim.

- Jest pijany?

- Nie.

Bogusławski burknął, że jak tak bardzo chce zostać, to niech sobie zostanie.

Ignacy spał na dole w kuchni. Rano włożył galowy mundur, ale przyszło mu do głowy, że nie może tak iść do koszar, pobiegł więc do domu się przebrać.

Marianna spytała, czy Ignacy będzie mógł u nich częściej nocować.

- Ma jakieś problemy. Dziwnie się zachowuje - dodała.

- Innych też rzuciły żony - mruknął Bogusławski. - Od tamtej pory naprawdę mógł już znaleźć sobie jakąś dziwkę.

Po chwili milczenia Marianna powiedziała:

- Już nawet nie myśli o Anieli. W nocy powiedział, że czuje się tak, jakby nigdy się nie żenił. Cztery ostatnie lata nie były niczym prawdziwym.

- Jak to nie były niczym prawdziwym?

- Tak jakby w ogóle ich nie było...

- Oczywiście. Napoleon zwyciężył i podarował tron Polakom, co?

- Potrzebujecie nas. W końcu to twój syn...

- Żeby tylko mnie nie potrzebował.

Bogusławski przeklął wszystkich przodków syna, potem wzruszył ramionami.

- Czasem może tu spać... Ale to nie może być zasadą! Co za oferta! Żebym tylko wiedział, po kim to ma!

Kwaśno spojrział na piętrzący się znów na stole stos rękopisów.

- Po mnie - stwierdził niezbyt radośnie. - Dwadzieścia kilo makulatury. Dorobek mego życia. Gdyby ktokolwiek chciał tylko dać za to dwudziestaka...

Zamilkł i podrapał się po nosie.

- Czy nie powinienem tego wydać? - zapytał nagle.

Wybiegł i po chwili wrócił po płaszcz.

- Świetny pomysł! - zawołał i wybiegł pędem.

Wieczorem z głośnym śmiechem rzucił na stół przed zdumioną Marianną stos pieniędzy.

- Że też nie pomyślałem o tym wcześniej! - utyskiwał Mistrz, promieniejąc.

Był u Glücksberga, wydawcy, i zaproponował, że wyda u niego swoje dramaty i przekłady. Jest tego z osiemdziesiąt sztuk, a co najmniej połowa może zainteresować czytelników.

- A na to Glücksberg, wyobraź ty sobie, powiedział: w porządku. Powiedział, że w porządku! Kulawy, łysawy rudzielec, prawdziwy talmudysta, ale bardziej polski od Polaków. Zaczął mi tłumaczyć, że te moje rękopisy to bezcenna wartość narodowa. Natychmiast zrobił kosztorys, ja czekam, on oblicza, zastanawia się, potem podsuwa mi to, tłumacząc się, że, niestety, musi być ostrożny, nieprawdaż? Patrzę na liczby, przecieram oczy. Bo jeśli jakaś książka ukazuje się przeciętnie w pięciuset, sześciuset egzemplarzach, a jeden tom kosztuje dwadzieścia złotych albo i więcej, a wydawca chce zarobić na jednym arkuszu przynajmniej dwadzieścia, dwadzieścia dwa złote... bo przez ten czas wyliczyłem, że ten Glücksberg o złotym sercu zapłaci mi może i trzydzieści złotych za przekład jednego arkusza... chociaż cena powieści to sześć, siedem złotych... wiesz, ile mi wyszło?

Marianna, nie pojmując związku między tymi liczbami, pokręciła głową.

- Za jeden tom... sto dwadzieścia złotych!

- Ile?

- Sto dwadzieścia!

- No to niedużo...

- Nie ja tyle dostanę, on za tyle sprzeda!

Marianna osłupiała.

- Nikt za tyle nie kupi.

- Jak to nie? Spójrz tylko! - Wyciągnął pomietą kartkę i wymachiwał nią. - Planuje piętnaście tomów, za jeden zażąda od subskrybentów sześćdziesiąt złotych, czterdzieści z góry, dwadzieścia po ukazaniu się... Kto nie zamówi subskrypcji, kupi dwa razy drożej... Wydanie, druk, kolportaż, cała reszta, podatek, wszystko będzie kosztować Glücksberga siedemdziesiąt tysięcy, tyle mu wyszło, nie wiem, ale on się na tym zna. Ale jeśli jeden tom przyniesie mu sto dwadzieścia złotych, jak zakłada, to licząc tysiąc egzemplarzy, da to sto dwadzieścia tysięcy, na czysto zostaje pięćdziesiąt tysięcy... Glücksberg chce tylko dwadzieścia procent, czy to nie fantastyczne? Więc na czysto zarobię czterdzieści tysięcy...

- Wcześniej mówiłeś, że subskrybenci mogą za sześćdziesiąt...

- Tylko na rozruch. Glücksberg powiedział, że jeśli zgłosi się co najmniej dziewięćset, od razu ruszy z trzema tomami... Potem zbierzemy subskrybentów... Jeśli akurat nie będę występować, pojeżdżę po kraju... majątne kobiety zapłacą.

Grzebał w leżących na stole pieniądzech.

- Pięćdziesiąt tysięcy zaliczki. Sięgnął do szuflady i przeliczył. Po prostu. I na dodatek to on był zaszczycony! Ty się nie cieszysz?

- Ależ tak - powiedziała Marianna - cieszę się... Myślę, że będę dziś spać u Ignacego. Nie szkodzi?

- Idź, dokąd chcesz - powiedział Bogusławski ze złością. - Tu każdy może doczekać się tylko tego, że nawet ta odrobina szczęścia, którą osiągnął, zostanie mu odebrana.

- Nie gniewaj się...

- Marsz do syna! - wrzasnął Bogusławski.

W nocy przyszło mu do głowy, że otrzymaną od Glücksberga zaliczkę powinien rozdzielić między aktorów. Dołoży zaległą połowę gaży, jeśli Osiński nie może już zapłacić. Będzie niezła heca, pomyślał zadowolony.

Ładnie zaplanował akcję. Marianna zanieś pieniądze kasjerowi, panu Uszyńskiemu, i powie, że przesyła je anonimowy miłośnik teatru. Wypróbował scenę z Marianną, która naprawdę bajecznie wręczyła pieniądze kasjerowi odgrywanemu przez Bogusławskiego. W tym momencie prawie uleciała z niego cała dobroczynność: tak wczuł się w rolę kasjera, że przyszło mu do głowy: trzeba by te pieniądze zdefraudować. Gdy Marianna zażądała, by pan kasjer poświadczył pisemnie odbiór całej kwoty, Mistrzowi omal nie pękło serce, że musi się rozstać z pięćdziesięcioma tysiącami.

Czerpiąc naukę z próby, Bogusławski namówił Żółkowskiego, by przypadkowo zjawił

się w pobliżu kasy, gdy Marianna będzie przekazywać datek Uszyńskiemu. Żółkowski bardzo się ubawił i przyszedł na czas. Osłupiały Uszyński przeliczył pieniądze i faktycznie nie chciał dać poświadczenia odbioru. Musi to jeszcze omówić z panem sekretarzem Unickim. Także gapiącego się Żółkowskiego Marianna poinformowała, że otrzymała pocztą pieniądze od nieznanej osoby. Żółkowski popędził do bufetu, by zmobilizować towarzystwo. Zanim Uszyńskiemu udało się powiadomić Unickiego, aktorzy już tłoczyli się w kolejce.

Chociaż pięćdziesiąt tysięcy nie wyrównało zaległej połowy gaży, można było mówić o całkowitym sukcesie. Jeszcze tego samego dnia kwota zawędrowała do kieszeni pana Bautza. Oczywiście Bogusławski nie przyszedł tego dnia do teatralnej knajpy.

W domu Mistrz odegrał Mariannie, co się teraz dzieje w knajpce, i promieniał.

- Na diabła mi publikowanie dorobku mego życia - powiedział. - Co było, minęło, ja chcę grać.

Następnego dnia wezwał go Osiński.

Dyrektor o twarzy niemowlęcia w ciągu kilku miesięcy jeszcze bardziej posiwiął i dorobił się pokaźnego brzuszyska. Rozdęty i sapiący patrzył szklistymi oczami na siedzącego po drugiej stronie stołu chudego Mistrza. Unicki przyniósł herbatę i bezszelestnie zniknął.

- Pomyślałem - odezwał się Osiński - że mógłbyś zagrać w *Horacjuszach*. Sabinę zagrałaby Żółkowska, Kuriacjusza Werowski, a młodego Horacjusza Szymanowski...

Urwał, widać było, że stara się panować nad sobą.

Bogusławski rozważał sytuację. Z pewnością mowa o starym Horacjusz. Już go grał, nie miał na to zbytnej ochoty, żadna duża rola, ale stary Horacjusz to szanowany, dostojny przywódca narodu, Iksowie w żaden sposób nie mogą go zaatakować, jeśli wystąpi w tej roli.

- Chętnie - oznajmił w końcu.

- Cieszę się - powiedział Osiński. - Dla żadnego z nas nie jest dobrze, że Iksowie tak po tobie łążą... A dla mnie to niedobrze, że jednego z moich aktorów... największego mojego aktora, zniesławiono.

- Rzeczywiście niedobrze - przyznał Bogusławski i łyknął nieco herbaty.

- Staralem się ciebie bronić - powiedział Osiński i sam w to uwierzył. - Ale inni... a ja, przecież wiesz, jak chwiejny jest ten stółek, na którym siedzę... z każdej strony dybią na człowieka.

- Pewnie - powiedział Bogusławski współczująco.

- Puśćmy przeszłość w niepamięć - zaproponował Osiński. - Zrobię dla ciebie wszystko, jeśli nie będziesz robić głupstw... po co nاپuszczasz na mnie Rozalię? W końcu to

twoja córka!

Bogusławski przytaknął.

- Za kilka tygodni - ciągnął ostrożnie Osiński - być może zdobędę jakieś pieniądze... Teraz nawet Iksowie nie mają, wszystko idzie na pałac namiestnika... i na pałac Brühla, remontują go dla Wielkiego Księcia. Belweder też mu z grubsza naprawiają... i sporo kosztuje droga, jaką budują dla cara... ale jak już będzie po wizycie Aleksandra, otrzymam zwiększoną subwencję... wtedy ci oddam, coś wczoraj pożyczył. Co rozdałeś między aktorów.

- Dobra - powiedział Bogusławski.

Osiński odetchnął.

- Złożyłem rezygnację - oznajmił - ale Iksowie nie przyjęli.

- Nie kupią teatru? - zainteresował się Bogusławski.

- Nie - odparł Osiński i zamilkł.

Bogusławski z żalem pokręcił głową.

- O ileż prostsze miałbym życie - westchnął Osiński. - Męczę się z tym teatrem, dopłacam do niego, puszczają mi nerwy, moje życie prywatne, dzieło mojego życia... od kiedy siedzę na tym stołku, nie byłem w stanie napisać nawet linijki!

Bogusławski skinął głową ze zrozumieniem.

- Gdybym miał choć trochę czasu, ukończyłbym swój poemat! Mam już dwa tysiące linijek, ale jak się można w niego wgłębić, jak, w takich warunkach?! Umówiłem się z murarzami, rozwalili teatr, a potem postawili nowe żądania, chcieli trzy razy więcej niż zafiksowana kwota! Jeśli nie zapłacę, pójdą gdzie indziej. Co mogłem zrobić?

- Coś takiego! - powiedział Bogusławski.

- Gdybym nie czuł odpowiedzialności, że to Teatr Narodowy, że cała kultura polska spoczywa na moich barkach... Kłopot w tym, że jestem taki jak ty, tylko sprawa. Sprawa mnie interesuje, nawet jeśli mam zginąć. - Osiński uśmiechnął się gorzko: - Potem jakiś pismak w ciągu pięciu minut wysmaruje nic niemówiący nekrolog. I po to walczymy, wykrwawiamy się i męczymy przez całe życie.

Bogusławski przytaknął. Zgłupiał do reszty, pomyślał.

- Nie rób żadnych bzdur. - Osiński spojrzał błagalnie na Mistrza. - Z Wilna nadeszło kilka poufnych raportów... Nie wiem, co nawyrabiałeś, ale byłoby okropnie nieprzyjemnie, gdyby, na nasze szczęście, nie to, że znów ma przyjechać car... Nie chcę teraz robić z tego sprawy... ale gdyby nie ta przypadkowa wizyta, to też spadłoby na moje barki!

- Nie gniewaj się - usprawiedliwiał się Bogusławski. - Nie wiedziałem, że tym ci zaszkodzi.

- A jaką przykrą pomyłką byli również *Klingsbergowie*! Gdybym ja o nich nie napisał, gdybym nie skrytykował i nie połapał się wcześniej niż Nowosilcow i jego banda, gdybyśmy nie udaremnili jego zamiarów, mógłby zamknąć nam teatr! Ale udało mi się i możesz nadal grać, a Nowosilcow nie mógł donieść carowi, że Bogusławski wznieca bunt przeciwko imperium! Bo myśmy sami to potępili. Rozumiesz? Sytuacja jest niezwykle delikatna...

- Nie trzeba było aż tak bać się skandalu - stwierdził Bogusławski. - Każdy skandal dobrze robi teatrowi.

- Ale nie tutaj! - wykrzyknął Osiński. - Ten kraj, ten naród został nam powierzony, musimy odpowiedzialnie ważyć nasze kroki... Nie możesz wezwać do powrotu Ledóchowskiej? - spytał nagle.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest - powiedział szczerze Bogusławski.

- Nie wiesz?

- Nie. Może trzeba spytać Morawskiego...

- Morawski pojechał do Paryża.

- Może Trusia też tam jest.

- Nie sądzę - mruknął Osiński. - To potworne, sam widzisz, także wśród Iksów są takie kapryśne, dyletanckie i niegodne zaufania potwory jak ten Morawski. Żeby mi chociaż raz Iksowie dokładnie powiedzieli, czego ode mnie oczekują.

Nieszczęsny czynownik, pomyślał Bogusławski, zerkając na Osińskiego.

Zbyt szczerze szafuję swoimi odczuciami, zbeształ się po chwili.

- Jeśli chcesz, po *Horacjuszach* możesz zagrać także Moliera - powiedział Osiński w nagłym przypływie wielkoduszności. - Kudlicz zaczyna próby *Skapca*, to akurat puścili... innych sztuk nie zaakceptowali... w cenzurze miesiącami siedzą nad papierami, każdy drzy... Wojciechu! Pracujmy razem! Żebyśmy, ty także, nie mieli kłopotów z aktorami.

Potrząsnął leżącym na stole dzwonkiem. Bogusławski dopiero teraz go zauważył, nowy nabytek. Osiński polecił Unickiemu, by przyniósł jeszcze herbaty.

- Porozmawiaj z Fiszerem - poprosił. - Jest niesłychanie bezczelny, w mojej obecności psioczy na mój teatr i nic nie mogę mu zrobić, jest pod ochroną Niemcewicza... którego sztuki, gorsze niż złe, wystawiam seriami, płacę mu tysiące, a on...

- Porozmawiam z Fiszerem - przyrzekł Bogusławski.

Unicki przyniósł herbatę i wyszedł dyskretnie.

- Jeśli będziemy trzymać się razem - szepnął Osiński - na przekór wszystkim trudnościom możemy stworzyć ogromny teatr, na europejskim poziomie...

Zerwał się, wyciągnął z szafy jakiś rękopis.

- Nowy przekład *Horacjuszy* - powiedział, kończąc rozmowę. - Prawie cały przepisałem, dwa lata nad nim pracowałem, poprawiałem, cyzelowałem, w tajemnicy, ukradkiem, by odpowiadał najwyższym ideałom stylu! Nikt jeszcze przede mną nie pisał wierszem po polsku tak gładko i szlachetnie! Każdy rym jest doskonały! Będziemy razem na scenie, nasza trójka, Corneille, Bogusławski i Osiński! To będzie wielka chwila! Bogusławski zagra w mojej sztuce!

- Zagram w *Horacjuszach* - zakomunikował w domu Bogusławski, wziął nowy przekład i wyciągnął stary, który kiedyś Osiński na jego zlecenie skleił w ciągu kilku dni. Przekład był znakomity, pełen polotu, nieporządny, samo życie, a niedokładności dobrze zrobiły zbyt wypieszczonym, nudnym francuskim wersom.

Otworzył nowy przekład, obsada napisana ręką Osińskiego, przy starym Horacjuszcu widniało przekreślone nazwisko Kudlicza, a nad nim napisane: Bog.

Co to było za przedstawienie, czternaście lat temu!

Czternaście lat temu Osiński, tłumacz, zagrał rolę Kuriacjusza. Był niski, tęgawy, pełen zahamowań, rumieniący się, świetnie się jego grą bawiono w pałacu Sołtyka, gdzie w sztuce wystąpili aktorzy wspólnie z amatorami; Bogusławski wówczas też był starym Horacjuszem, a Kamillą żona Sołtyka. Delikatny chłopaczek był wielce zaszczycony, gdy nazajutrz po amatorskim przedstawieniu wezwał go wielki Bogusławski, wcisnął mu do garści ładną sumkę i oznajmił, że jego przekład trafi też do teatru.

Osiński rumienił się jeszcze przez kilka lat, potem oczywiście postanowił zrobić karierę; jako prawnik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych elokwentnie bronił pułkownika Siemianowskiego, który ściał głowę swojemu podwładnemu. No cóż, mruknął teraz Bogusławski do siebie.

Już wtedy nie dawało się w teatrze obsadzić wszystkich ról. Na korytarzu przemknęła przed Mistrzem mała wychowanka Elsnera, siedemnastoletnia Konstancja Pięknowska, a jej kuszące kręcenie tyłeczkiem rozwiązało kwestię obsady. Konstancja wzruszyła ramionami, to też dobrze jej wychodziło, akurat może zagrać, jeśli Mistrz tego chce.

Oczywiście Konstancja była już pewna, że jeszcze tego wieczoru będzie uwiedziona, pomyślał teraz Bogusławski. I tak też się stało. Inna sprawa, że kiedy przed południem pojawiła się w sali prób i zaczęła czytać tekst Kamilli, wszyscy unieśli głowy. Coś się wydarzyło. Ktoś się pojawił.

Skandal. Elsner w suterenie wył z bólu. Rodzice wyrzekają się Konstancji. Marianna się wyprowadza. Truskolaska snuje intrygi. Rozalia ucieka z pensji. Było całkiem niezłe; Mistrz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

W trakcie prób wykreślił piąty akt, niech sztuka się kończy zabójstwem Kamilli, która osobiste uczucia ośmiela się przedkładać nad interes państwa. Premiera, sukces, Warszawa tłoczy się do teatru zobaczyć Konstancję. To były dobre, trochę szalone dni. Publiczność zakochała się w jego kochance. A przecież powinni jej nienawidzić, właśnie wtedy każdy był patriotą, właśnie toczyły się polityczne dyskusje na rogach ulic, Prusacy to, Francuzi tamto, Rosjanie owamto, nawet dzieciaki ze szkół, marszcząc czoła, omawiały żywotne kwestie państwa polskiego. Mimo to szaleli na widok apolitycznej Kamilli. Może pokutowali za swoje grzechy. Może i tak, kto tam zrozumie publiczność?

Nic z nich nie zostało, pomyślał Bogusławski z satysfakcją. Ani z publiczności, ani z Konstancji. Kiedyś o mało nie skoczyła do Wisły, w niepohamowanej radości, u szczytu powodzenia, Mistrz ledwo ją powstrzymał; może trzeba było jej pozwolić. Przed dwudziestką była już wypalona, opuchnięta od picia. Mówiła, jękając się, bez związku. Stała się bojaźliwa, zmanierowana, niepewna, próbowała naśladować innych i łkając, zupełnie pijana żądała od Mistrza, z którym mieszkała, by nauczył ją zawodu. Bogusławski rwał sobie włosy z głowy, o jakim zawodzie mówi Konstancja, czego ma ją nauczyć? Wrzeszczał do niej: „Ty jesteś innym gatunkiem człowieka, okazem jedynym w swoim rodzaju, ale może da się ciebie rozmnożyć, ty jesteś zdolna do rzeczy, których ja, istota z gatunku ludzi postępująca zgodnie z narzuconymi normami, nie potrafię!”. Więc co mam robić, pytała Konstancja. Pytanie było zasadne, uznał teraz, poniewczasie, Mistrz.

Nie znała się na ludziach, nie było w niej żadnego wyrachowania, tylko zachwycająca, szalona, niewinna, dziecięca i niedojrzała miłość bez poczucia grzechu. Nadawała się tylko do jednej roli, czystej i niewinnej Kamilli. Ktoś taki nie jest aktorem, pomyślał Bogusławski, Konstancja była tylko geniuszem, ale artystką stać się nie mogła.

Błyszcziała, póki nie starano się zrobić z niej aktorki. Bogusławski z pewną satysfakcją przypomniawszy sobie, jak aktorzy nienawidzili Konstancji, zwłaszcza Truskolaska. I Sołtykowa; nie chodziła już więcej do teatru, od czasu gdy zobaczyła Konstancję na scenie.

Ja też byłem osłem, rozmyślał Mistrz, patrząc na obsadę, w której przy Kamilli błyszczowało nazwisko Dmuszewskiej, Konstancji Dmuszewskiej. A Dmuszewski: nie ma żadnej różnicy między nim a mną. Ten idiota ciągle jeszcze wierzy, że dawne bożyszcze jest jego żoną, chociaż ja mu ją przekazałem, gdy nie mogłem już jej ścierpieć. Ja także wierzyłem, że Konstancja jest aktorką. I wmawiałem jej to. A ona naprawdę nigdy nie była gotowa do aktorstwa, umiała tylko podśpiewywać. Ale chciałem zatrzymać ją dla siebie. No cóż. Uczyć ją, bo byłem Mistrzem. Nie byłem już taki czysty i żywiołowy jak ona i zmusiłem ją do wejścia w bagno. A potem cieszyłem się z jej upadku. Że coś się jej nie udało. Że wiem

coś więcej, niż ona. Na przykład o grzechu, którego ona nie знаła.

Udało mi się ją złamać, pomyślał obiektywnie Mistrz. Już po kilku miesiącach powinna mnie przepędzić, zanim ją zniszczę, ale nie miała odwagi tego zrobić. Przecież z pewnością wiedziała, co się dzieje, była genialna, wiedziała o tym wcześniej niż ja. Wtedy to mogłoby być przykre dla tamtego Bogusławskiego. On jest Mistrzem, niedościgłym wzorem w tym zawodzie, i oto zjawia się jakiś podłotek, do którego ta wielkość narodowa powinna dorosnąć. Można się tego kurczowo trzymać przez kilka tygodni po takim cudzie. Ale przez miesiące?! Przez lata?!

Ładny zamęt panował w duszy tamtego Bogusławskiego, myślał teraz Mistrz z zazdrością. Diabli wiedzą, czemu na przykład sprokurowałem jej dziecko, Stanisława, gdy chciałem się już od niej uwolnić. Była już wtedy wypaloną, nieciekawą histeryczką, tylko Dmuszewski ciągle patrzył na nią z uwielbieniem. Wówczas wielką aktorką stała się Trusia, powoli, z mozołem. Wyzwolił ją upadek Konstancji.

Po cóż kochałem Trusię, pomyślał Bogusławski, przecież tak naprawdę zawsze byłem przeciwko niej.

No, przeciwko Konstancji także.

Ale jeśli się załamała, to się jej należy. Nie powinna się poddać. Byłaby silniejsza!

Kto powiedział, że jakiś Bogusławski musi zapanować nad takim niedającym się z niczym porównać zjawiskiem natury? Upłynęło już tyle czasu, że z Konstancji mogłoby się już coś wyłonić, cokolwiek, talent, geniusz, ohyda, niegodziwość, nieważne, cokolwiek. Nie wyłoniło się nic. Nic gorszego.

Teraz nawet nie pije. Przestała palić. Wierna żona. Matka. Przeciętą aktorka. To się jej należy! To się należy temu wypierdkowi Dmuszewskiemu. Jakiś bóg mu potrzebny. Taki słaby facet! Zakochany we wraku kobiety, a wmawia sobie, że jest piękna!

Ja też byłem taki. Czemu to ja nie rzuciłem Konstancji? Po dwóch miesiącach. Wtedy trzeba było.

Byłem zakochany, byłem zakochany, no tak. Bo miała ładny tyłeczek. No tak. Ja już wtedy się starzałem. Skomlać, chwytalem się młodości. I jeszcze doświadczyłem łaski, ja, Mistrz, odkrywca młodych talentów i ich opiekun. Tak jak Dmuszewski, który od czasu, gdy pojął za żonę ten wrak kobiety, z miłości, z humanitaryzmu, z okłamywania siebie znosi jej histerie.

Co za tchórzliwy, obłudny, głupi osioł ten cały Dmuszewski. Skowycząc i skomlać, od lat broni pozorów życia, utrzymuje stan nie do zniesienia, bo się boi. Boi się tego, co jest życiem. Że zostanie sam, że nie będzie miał przez kogo szlachetnie i w milczeniu cierpieć.

I w tym mnie małpuje, uśmiechnął się zadowolony Mistrz, to także swego czasu podpatrzył u mnie, tylko nie ma pojęcia, co z tym zrobić.

A przecież i bez niej nie jest tak źle. Było, minęło. Normalna rzecz. Nagrobny obrazek nie ma nic wspólnego z tymi, którzy nadal żyją. Taka jest natura wspomnień, wybiera sobie, jak chce, albo obrazek jest piękny, gdy tak trzeba, albo zwyczajnie zły. Tak oczywista jak relacja między dwojgiem ludzi. A jeszcze prościej: jedno żyje, drugie umarło.

Chociaż Konstancja jeszcze nie dość umarła.

A przecież Anna Lampel potrafiła umrzeć. Ale nawet jej śmierci nie da się porównać z tym, że oto on, Mistrz, siedzi teraz tutaj nad *Horacjuszami*, samotny i postarzały, czego nigdy nie umiałby sobie nawet wyobrazić. Wcześniej wyobrażał sobie, że po wycofaniu się otoczą go wychowankowie i wielbiciele, nadal będzie miał pełno kochanek, wszyscy będą go prosić o radę, a on nie poskąpi im życiowej mądrości, mówiąc powoli, spokojnie, w pełni zdrowia, jak niegdyś wyobrażał sobie starość.

Kto by pomyślał, że będzie mu doskwierać reumatyzm, że w uchu będzie szumieć, jak teraz, nie dając się jakoś wytrząsnąć, że w najbardziej nieoczekiwanych momentach będzie dostawać rozwolnienia, że nie będzie mógł zasnąć, że nawet z szumem w uszach będzie słyszał serce, gdy nazbyt szybko bije i dudni, a często następuje potężne, końcowe walenie, po którym zlany zimnym potem, skomląc ze strachu przed śmiercią, musi spacerować tam i z powrotem po pokoju, zapaliwszy świecę, jakby diabeł mógł zabrać człowieka tylko w ciemności.

Konstancję zabrał wcześniej. Bo trudniej mu było trafić na takie bezduszne kłody jak on, Mistrz.

Lecz wkrótce jego też zabierze.

Zaczął gwizdać i przejrzał obsadę *Horacjuszy*:

Tullus - Rutkowski

Stary Horacjusz - Bogusławski

Młody Horacjusz - Szymanowski

Kuriacjusz - Werowski

Waleriusz - Zawadzki

Sabina - Żółkowska

Kamilla - Dmuszewska

Julia - Aszpergerowa

Flawian - Wąsowicz

Prokul - Rywacki

Reżyser - Dmuszewski

Dekoracje - Plersch

Muzyka - Elsner

Rutkowski, jako kandydat na posła, co prawda dostał rolę epizodyczną, ale na afiszu znajdzie się najwyżej, on będzie królem.

Szymanowski i Werowski grają razem. Czy w ten sposób Osiński chce coś osiągnąć? Czy chce porażki Szymanowskiego w obcej mu roli? A może zwyczajnie nie wie, co robi? Lub, jego zdaniem, będzie lepiej, jeśli obaj nadal będą ze sobą rywalizować?

Zawadzki dostał rolę, oto nowy Kudlicz.

Więc zamiast Kudlicza będzie grać on, Bogusławski. Kudlicz nie może reżyserować, jeśli ma zagrać Bogusławski oraz Dmuszewska; to musi reżyserować Dmuszewski, przecież w roli Kamilli występuje jego żona...

Co za osioł, pomyślał Bogusławski o Osińskim. Konstancja się na tym wyłoży. Nie powinien tego robić.

Nawet jeśli nie można liczyć na Ledóchowską. Niech ktoś wreszcie przekona Osińskiego! Przecież Aszpergerowa też byłaby lepsza w roli Kamilli. Być może jej chciała, więc na otarcie łez dostała Julię.

Ale to, że na Sabinę wyznaczył Żółkowską, jest już z pewnością objawem choroby umysłowej.

Zgodnie z rolą Sabina jest piękną młodą kobietą; kiedy zobaczą Żółkowską, będzie zabawa do końca przedstawienia. W roli Sabiny należało obsadzić Joannę, jeśli jeszcze się kręci po teatrze. Albo Anielę... chociaż być może mogłaby być nową Kamillą, trzeba by było to sprawdzić, bo może... ale i tak nie ma jej w Warszawie.

Ale do tej pory czegoś takiego jeszcze nie było, teraz nawet jednej sztuki nie da się już sensownie obsadzić.

Co będzie z tym przedstawieniem? Można się na nim tylko wyłożyć.

Przekartkował nowy przekład i uznał go za fatalny. Pedantycznie czyste rymy, poprawne aż do bólu aleksandryny, nigdzie ani krztyny życia. Jak mógłby namówić Osińskiego, by wystawić sztukę w starym tłumaczeniu?

Wyciągnął pięknie oprawiony niewielki egzemplarz po francusku, zerknął do niego. Zaczął czytać przedmowę autora adresowaną do jego eminencji księcia kardynała Richelieu.

Sto osiemdziesiąt lat temu francuski twórca pisał:

Wasza Eminencja uwzniośliła cele sztuki, gdyż miast tego, byśmy podobali się narodowi, co nakazują nam nasi mistrzowie, a czym najzacniejsze osoby naszego stulecia, a także Scypion i Laelius nie potrafili się zadowolić, gdyż przykazała nam, abyśmy podobali się Waszej Eminencji i zabawiali Waszą Eminencję; a tym samym we wcale niepośledni sposób służyli państwu, albowiem przyczyniając się do zabawiania Waszej Eminencji, równocześnie przyczyniamy się do utrzymania tak zacnej i koniecznej jedności państwa. Wasza Eminencja ułatwił naszemu wymagającemu wiedzy i umiejętności zadaniu, gdyż nie musimy już więcej wgłębiać się w nauki, by takowe zdobyć, wystarczy jedynie, jeśli uwiesimy nasze spojrzenie na Waszej Eminencji, obserwując, w jaki sposób swą obecnością i uwagą honoruje wystawienie naszych poem. Takoz to, wyczytując z Jego twarzy, co się spodobało, a co nie, z całą pewnością będziemy wiedzieli, co jest dobre, a co złe, i zdobędziemy nieomylną receptę, ku czemu mamy dążyć, a czego unikać...

Bogusławski zarżał ze śmiechu. Nie jest nawet pewne, czy Richelieu wyczuł niemal nieskrywaną kpinę płynącą z tych słów. Jego eminencję kardynała przypuszczalnie kompletnie zaślepiła próżność i ucieszyła go dedykacja. Z pewnością się z niej ucieszył, gdyż sztukę wystawiono.

Co by było, gdyby przetłumaczywszy dedykację Corneille'a na polski, podpisał się pod nią Bogusławski i wysłał do któregoś Iksa? Ten też mógłby się tym wzruszyć.

A jednak monarchia absolutna to bardzo mądry ustrój państwowy, człowiek może nonszalancko napisać, jak Corneille, na końcu dedykacji: „quod spiro et placeo, si placeo, tuum est”, a jego eminencja nie zakaze wystawiania sztuki.

Biedny Corneille, za to też oberwał.

Napisał *Cyda*, potem szybko zmuszony był napisać kiepską i nudną sztukę pod tytułem *Horacjusze*. Szybko? Dusił się cztery lata, nim się poddał. Ile razy kazano mu przerabiać sztukę, by powstało wielkie, państwowotwórcze kłamstwo?

A przecież sytuacja jest pełna dramatyzmu, nie jakaś ugrzeczniona rzecz, to zdwojona historia Romea i Julii, której autora zmuszano, żeby bohaterem uczynił Tybalta, a nie Romea i Julię.

Rzym walczy z mieszkańcami Alby, to jest w porządku. Stojące naprzeciw siebie obozy łączą relacje małżeńskie i miłosne: żoną młodego Rzymianina Horacjusza jest pochodząca z Alby Sabina, a jego młodsza siostra Kamilla jest zaręczona ze starszym bratem Sabiny, Kuriacjuszem, którego jednak z powodu waśni młody Horacjusz musi wyzwać na pojedynek i zabija go. To też dobre. Sabina wyrzeka się swojego zabitego brata, czuje się już Rzymianką, natomiast Kamilla głęboko przeżywa żalobę, chociaż urodziła się Rzymianką. Znakomite. Młody Horacjusz w porywie patriotyzmu zabija Kamillę, własną siostrę, za postępowanie niezgodne z racjami Rzymu, że nie chciała ukrywać swoich ludzkich uczuć, to też świetne. W piątym akcie, który Bogusławski niegdyś opuścił, Tullus, władca Rzymu, siostrobójstwo młodego Horacjusza uznaje za słuszne, sumienie buntującej się Sabiny zostaje uspokojone i dalej szczęśliwie żyje z mężem, siostrobójcą oraz mordercą jej brata; natomiast oba narody, które w gruncie rzeczy są do siebie podobne, łatwo przechodzą do porządku nad przelewem krwi.

Ale sztuka w piątym akcie staje się powikłana. Być może teraz nie musiałby usuwać zakończenia, umiałby ostatni akt tak wyreżyserować, by wielkie pojednanie i ukojenie

wywołało u widzów mdłości, a nieobecność zamordowanej Kamilli wymownie podkreślała jej niewinność.

Możliwe, że jednak się czegoś przez piętnaście lat nauczyłem, pomyślał Bogusławski.

Trzeba dobrze zrobić piąty akt. Wzniosłe, brzmiące fałszywie i pusto słowa Tullusa wszyscy, poza do końca zaślepionym i nieludzkim młodym Horacjuszem, aprobują, tocząc wewnętrzną walkę. W starym Horacjuszu, wbrew tekstowi, może się budzić współczucie do mieszkańców Alby, w końcu jego córka nie żyje, może naprawdę oplakuje jej stratę, zachowując się jednak tak, jakby niczego nie czuł. Albo, to chyba lepsze, on także poczuje w sobie pustkę. Tak, to lepsze. A Sabina niech ewentualnie zadrży z obrzydzenia, gdy mąż wróci do domu, trzewia nie potrafią kłamać, chociaż w słowach znów wyzna mordercy miłość.

Przyszło mu do głowy, by to Tullus wymyślił pojedynek między młodym Horacjuszem a Kuriacjuszem, wiedząc, że Kamilla będzie cierpieć. Corneille nie był głupi, może jest w sztuce jakiś ukryty tekst, który można wykorzystać.

Zaczął kartkować tragedię. W pierwszej scenie Sabina kreśli Julii (co za nieciekawa postać ta Julia, pusta rezonerka, gówno warta ta cała klasyczna dramaturgia francuska) trudną sytuację: „Lecz dziś, gdy cios ostatni nie może nas minąć, / Kiedy trzeba lub Albie, lub Rzymowi ginąć, / Kiedy już po tej bitwie na zawsze upada / Zwyciężonym nadzieja, zwycięzcom zawada”¹... mówi Sabina - a gdyby w tle pojawił się Tullus, milczący, z szatańskim uśmiechem na twarzy, pozostał tam ukradkiem także w drugiej scenie, gdy Kamilla opowiada tejże Julii, w jakiej znalazła się pułapce: jako Rzymianka kocha wroga z Alby, Kuriacjusza... tutaj Tullus mógłby się uśmiechać bardziej szatańsko...

Bzdura. Bardziej wiarygodne będzie, jeśli wszystkie postaci będą niewinne, a fatum niszczy Tullusa tak samo jak pozostałych.

Przemknęły mu przed oczami obrazki z wcześniejszego przedstawienia i doszedł do wniosku, że tak wtedy zagrano, a to bardziej wiarygodne rozwiązanie pochodziło od Konstancji.

Westchnął.

Jakie to dziwne, lepiej rozumiał Mozarta wtedy, gdy żył razem z Konstancją, choć przecież często go śpiewał, zanim jeszcze się z nią związał.

Być może od tamtej pory ówczesne umiejętności z niego uleciały.

Muszę być bardzo rozgoryczony, skoro chciałem zrobić z Tullusa intryganta. Już ktoś to mówił, tylko kiedy? Przed próbami *Klingsbergów*, gdy miałem podobne plany. Tak. To mówiła Ledóchowska.

Dalej kartkował sztukę, by przypomnieć sobie tamto przedstawienie. Zaklął: to cyniczna, marna sztuka, nie można z tym nic zrobić. Kamilla to też zła rola, niewiarygodna, papierowa postać. Tak, ale wtedy jeszcze można było wierzyć takiej postaci.

Kto dzisiaj w imię miłości buntuje się przeciw kochaniu ojczyzny?

Już nawet nasze instynkty są chore, pomyślał Mistrz.

Gdzież jest ten monolog, który Konstancja umiała tak oszałamiająco powiedzieć? Potem mówi, że brat zabił jej miłość, więc to musi być w czwartym akcie.

Okrutni! Każę szczęście wynosić pod nieba

I żeby być wspaniałym, dzikim być potrzeba.

Nie znam twoich cnót, ojcze, stanę się wyrodną,

Powiedz, szlachetny bracie, żem siostrą niegodną.

Gdzie za cnotę uchodzi mieć serce ze skały,

Tam moja słabość prawo daje mi do chwały.

Jaż to mam tłumić boleść?! Precz obawa próżna,

Utraciwszy już wszystko, czegoż się bać można?!

Oczywiście jest to typowo corneillowskie wymądrzanie się, pokrętna, sztywna logika; człowieka w tym nie ma. Ale jak Konstancja potrafiła to powiedzieć, mój Ty Boże! Stoi na scenie przed czcigodną publicznością, której wzniosłe cnoty mają tak samo dużo w sobie okrucieństwa, jak u tych, którymi gardzi Kamilla; przecież całe dziesięciolecia ci czcigodni nie robili nic innego, jak tylko popełniali bestialstwa w imię miłości ojczyzny. Popełniali je także wtedy, w osiemset drugim. Konstancja dała im za to w twarz, czuli to, ale nie chcieli przyjąć tego do wiadomości, bo byłoby to zbyt bolesne.

Gdyby dziś ktoś chciał dać im w twarz, byłby to daremny trud. To pewne.

Bogusławski zaczął głośno czytać tekst; może mimo wszystko dałoby się to tak

powiedzieć...

Zaczął od nowa. To nie jest dobry głos. Nie. Nie przekonuje.

Gdyby pojawiła się teraz nowa Konstancja, nie zabłysła w tej roli.

Nie można pozwolić, by Konstancja poniosła w niej klęskę. Komu to potrzebne?

Zerwał się i zaczął chodzić.

Piętnaście lat temu wybrał tę sztukę, bo publiczność była przyzwyczajona do tego rodzaju dramaturgii, i aktorzy też nie potrafili wiele więcej niż stawać przy rampie i deklamować podniesionym głosem. Takiej dramaturgii wymagały także polskie sztuki, tego najłatwiej można się było nauczyć. Gdyby wówczas tej sztuki nie grał, nikt by go dzisiaj nie pamiętał, a Osińskiemu nie przyszłoby do głowy go prowokować. Mój Ty Boże, jak ktoś może być tak tchórzliwy i aż tak głupi!

Skoro nie ma Konstancji, nie można się będzie zorientować, że przedstawienie jest o Kamilli, a piątego aktu nie powinno być. Tak, rozpoczęli próby włącznie z piątym aktem i dopiero po jakimś czasie wpadli na to, że przedstawienie mówi o Kamilli.

Od tamtej pory Kotzebue wygrał z klasykami, czemu Osiński tego nie widzi? Kotzebue też jest kiepski, podły i cyniczny, ale przynajmniej pisze prozą, ma pointy, jest na tyle ograniczony, by pisać o znanych sobie postaciach, i jedną rzecz niezmiernie czuje: pozwala aktorowi, by do postaci naszkicowanej z dobrym wyczuciem, ale w wielkim pośpiechu, dorzucił także swoje doświadczenie i umiejętności.

W teatrze na dworze Stanisława Augusta trzeba było grać francuskie sztuki dworskie, król był szczęśliwy, że już nawet starzy Francuzi chwalą Jego Królewską Mość.

Ale czego chcą dzisiaj z tą przestarzałą tandetą?

Czego chcą, czego chcą? Tego samego, co z *Cynną*. Chwalić cara. Tullusa, który w *Cynn*ie nazywał się August.

Kandydat na posła Rutkowski będzie zachwycony.

Ja także, jeśli już o to chodzi, pomyślał Bogusławski. Ja się zgodziłem. Stary Horacjusz, przywódca narodu. Taki Czartoryski. Taki Zajączek. No właśnie.

To szatański pomysł, żeby rolę Kamilli znów przydzielić Konstancji. Jakby chciano powiedzieć: nic się przez czternaście lat nie wydarzyło, wszystko jest w porządku, jeśli ówczesna buntowniczka dzisiaj także może rozegrać swą małą rewolucję.

Co by było, gdyby nie zagrał starego Horacjusza?

Nie może zrezygnować, bo już nigdy nie mógłby wystąpić na scenie w Warszawie.

W Wilnie też nie. Dopóty może tam występować gościnnie, dopóki jest Mistrzem z Warszawy.

Żeby chociaż Ledóchowska była na miejscu, mógłby prosić ją o radę... Gdyby wtedy Trusia zamiast Żółkowskiej zagrała Sabinę, coś udałoby się wysmażyć.

Bogusławskiemu w żaden sposób nie mieściło się w głowie, że właśnie Żółkowskiej powierzono rolę Sabiny. Jeśli Iksowie wynegocjowali obsadę i poświęcili na to czas, to ich wybór nie mógł być przypadkowy. Aż tacy głupi nie są. Więc o co chodzi?

To śmieszne, ile czasu zabiera ustalenie obsady. Dawniej nigdy nie miał problemów z obsadą, jeśli wiedział z góry, że sztuka padnie. Może następna się uda. Ale teraz następnej nie będzie, jeśli padnie w tej.

Trzeba powiedzieć Dmuszewskiemu, że nie może dopuścić, by żona... Ale wtedy Dmuszewski nie będzie reżyserować. Powierzą to Kudliczowi, ten nie będzie chciał Mistrza na scenie, nawet gdyby bardzo tego chciał Osiński... ale aż tak bardzo nie chce.

Z mieszanymi uczuciami poszedł następnego dnia do teatru. Na dole, przy wejściu dla aktorów na tablicy widniało jego nazwisko obok pozostałych występujących, a także komunikat, że pan Dmuszewski rozpoczyna próby jutro o dziesiątej przed południem w sali prób i prosi wielce szanowne panie oraz panów, by nie byli opieszali i z uwagi na najbliższe przedstawienie zjawili się punktualnie.

- Czemu taka obsada? - spytał Mistrz Szymanowskiego.

Szymanowski wruszył ramionami. Obok nich Kudlicz z Zielińskim zbierali aktorów do próby opery Nicola *Doktor turecki*.

- Może Osiński podlizuje się Żółkowskiemu - spekulował Szymanowski - dając jego żonie rolę tragiczną... W zeszłym sezonie Żółkowski utrzymywał cały teatr, Osiński zaczyna rozumieć, że nie da sobie rady bez wystawiania komedii.

- Bzdura - powiedział Bogusławski. - Gdyby tak im sprzyjał, dałby Żółkowskiej kilka ról komediowych. Ale nie daje. Uwielbiam Żółkowską, ale nigdy nie dałbym jej roli tragicznej. A przynajmniej poczekałbym z tym dziesięć lat. Kiedy ją widzę, chce mi się śmiać. Wiszą jej piersi, dupa i talia to jedno, osoba z takim wyglądem musi błaznować w wielu farsach, nim nauczy się błyszczeć wewnątrz. Sabiny nie może grać paskudna baba, inaczej jako widz będę przekonany, że Horacjusz, zabijając szwagra, nieświadomie zabija własną żonę, i uwierzę mu, że aż tak się zapamiętał w patriotycznym uniesieniu. To może zagrać tylko śliczna kobieta!

- A gdzie tu jest taka? - spytał Szymanowski, zataczając ręką dokoła.

- Co robią Joanna i Melcerówna?

- Skurwiły się - odrzekł Szymanowski.

- Przynajmniej Joannę trzeba by ściągnąć... Zdanowicz nic o niej nie wie?

- Zdanowicz zrezygnował - przypomniał mu Szymanowski. - Dostał spadek i ślad po nim zaginął.

- No, nie wiem - mruknął Mistrz. - Gdybym ja dostał spadek, wybudowałbym dom, ale dalej bym grał. Dobry komik ten Zdanowicz, co mu się stało?

- Nie trzeba tonąć razem z łodzią - stwierdził posępnie Szymanowski.

W domu Mistrz powiedział Mariannie:

- Zrób herbatę dla trzech osób.

Podejrzenia się sprawdziły, po południu zjawił się Dmuszewski w towarzystwie sporego owczarka węgierskiego.

- Nikogo nie atakuje - zapewnił przestraszoną Mariannę. - Jest bardzo łagodny. Przed południem zabrałem go także do teatru.

- I co pieseczek widział? - zapytał Bogusławski.

Dmuszewski nie wyczuł, że tym zdrobnieniem pies został głęboko obrażony.

- Byliśmy na próbie Nicola - odparł. - Zwinął się na krześle i zasnął.

- Widać wrażliwe zwierzę - uspokoił się Bogusławski. - Herbaty nie pije?

- Nie sądzę.

Więc pili herbatę tylko we trójkę.

Dmuszewski doniósł, że owczarek przyplątał się do niego, gdy spacerował w ogrodach Frascati, że nie umiał się go pozbyć, więc zabrał do domu; pies patrzył na niego tak wiernie, z taką miłością, z jaką jeszcze żaden człowiek na niego nie patrzył, więc nie miał potem serca dać ogłoszenia. Nie wiedział, jak go nazwać, Stanisław wypowiadał jakieś niezrozumiałe wyrazy, taki ma zwyczaj, w końcu pies zareagował na słowo „medor” - nie wiadomo, co to oznacza w słowniku Stanisława - więc będzie to jego imię.

- Aha - powiedział Mistrz.

Dmuszewski mieszał herbatę.

- Kiedy Mistrz był w Wilnie - odezwał się po chwili - zostałem dziennikarzem.

- Brawo - powiedział Bogusławski. - Właśnie nadszedł czas.

Dmuszewski zaśmiał się, jakby usłyszał dowcip. Potem powiedział, że rzeczywiście kupił „Kurier”, zajmuje się ciekawostkami z kraju i ze świata, pismo sam redaguje, czyli wycina rzeczy z pism zagranicznych, rubryka ploteczek też już jest, to z pewnością zainteresuje publiczność.

- Słusznie - odparł Mistrz. - Tobie jeszcze warto wyskoczyć z teatru. Ja niestety nie mam już czasu szukać nowego powołania.

Dmuszewski gorąco protestował, Mistrz z pewnością znakomicie wykreuje postać

starego Horacjusza.

- Ech - zachnął się Bogusławski. - Moim zdaniem powinieneś zamieszczać także krzyżówki. Pismo będzie rozchwytywane.

- Dobry pomysł! - wykrzyknął Dmuszewski. - Bezwarunkowo!

Milczeli, pili herbatę.

Potem Dmuszewski przeszedł do sedna, zapewnił Mistrza, że zarówno przy *Klingsbergach*, jak i teraz jedynie nominalnie reżyseruje sztukę, będzie nieskończenie szczęśliwy, jeśli próby odbędą się pod kierunkiem Mistrza. Zwłaszcza że swego czasu Mistrz stworzył cudowne przedstawienie, niedościgłe przedstawienie.

- Twoja prośba przynosi mi zaszczyt i jest wzruszająca - powiedział Bogusławski - ale sądzę, że już pora, byś nauczył się reżyserować, nim się pożegnasz z teatrem.

Dmuszewski zamrugnął przerażony:

- Ja nie chcę odchodzić z teatru, a że kupiłem „Kuriera”, to tylko uboczny zarobek... dziesięć minut roboty dziennie...

- Więc tym bardziej stań wreszcie na nogi - powiedział życzliwie Bogusławski. - Mnie już niedługo nie będzie, kto wtedy będzie cię bronić przed Kudliczem?

Medor nagle zawarczał i wylazł spod stołu.

- Mądry pies - powiedział Bogusławski i ze szczerą sympatią pogłaskał zwierzaka.

Dmuszewskiego zaskoczyło zachowanie psa. „Kudlicz!” - zawołał. Pies groźnie zaszczekał.

- Ciekawe - mruknął Dmuszewski. - Ja go naprawdę tego nie uczyłem... Nie da się w tak krótkim czasie...

Zamilkł i popatrzył bezradnie na Mariannę, która nie ujawniała swej opinii.

- Oczywiście ci pomogę - ulitował się nad nim Bogusławski - ale szczerze przyznaję, że stare przedstawienie zupełnie uleciało mi z głowy.

Marianna uniosła brwi. Mistrz umiał sobie dokładnie przypomnieć nawet przedstawienia sprzed dwudziestu, trzydziestu lat; gdy przeczytał tekst, potrafił znowu zagrać całość. Dmuszewski także wiele razy miał okazję poznać w knajpie, mieszkaniu czy Szkole Dramatycznej historię teatru zawartą w głowie Mistrza.

- A właściwie - powiedział Bogusławski, ustępując - nie mam pojęcia, co dziś można zrobić z Horacjuszem. Nie mam żadnego pomysłu trzymającego się kupy.

- To skąd bym ja miał mieć taki? - wymknęło się Dmuszewskiemu.

- Przyjdzie, Ludwiku, na próbach się okaże.

- Nic się nie okaże - mruknął Dmuszewski.

- Ależ tak - powiedział Bogusławski z przekonaniem. - Nie należy naśladować moich dyktatorskich metod. To błąd, że zawsze ja robiłem przedstawienia, dlatego teraz wszyscy czują się opuszczeni. Kiedy zaczynałem, tacy jak Świerzawski byli już wielcy, jemu ani nie daj Boże Owińskiemu nikt żyjący nie mógł niczego doradzać, każdy grał tak, jak mu przyszła ochota, a potem przedstawienia i tak wychodziły. Nie odważyłem się instruować Świerzawskiego, ważył czterdzieści kilo więcej, małym palcem rozmazałby mnie na ścianie. Za jedno złe spojrzenie od razu zabierał się do bitki... Wówczas próby polegały na tym, że czytało się tekst, każdy uczył się wszystkiego w domu i każdy sam sobie wymyślał sposób gry. Ładne niespodzianki przygotowywali sobie na premierze... Ale mimo wszystko nie był to zły teatr...

- Tego dziś nie da się już zrobić - powiedział Dmuszewski. - Gdzie są teraz tacy aktorzy jak Świerzawski?

- Nie żałuj go - uśmiechnął się Bogusławski. - Z takim zbójem daleko byś nie zaszedł. Iksowie dostaliby dreszczy, gdyby musieli pisać o bandziorze, który ciągle ucieka z ciemnicy, bije strażników, rabuje wozy pocztowe, gwałci kobiety... Nie możesz narzekać, obsada jest znakomita, sami wybitni aktorzy... Pozwól, by to szło własnym torem, potem pod koniec prób zrób tak, jakbyś ty nimi kierował. Będą się cieszyć i rozpowiadać, jakim wielkim stałeś się reżyserem.

Dmuszewski poprosił, by mu naszkicować dawną dekorację, dziadzio Plersch zapomniał już, jak wyglądała. Bogusławski próbował, potem machnął na to ręką.

- Niech to cholera - mruknął. - W normalnym teatrze magazynuje się dekoracje, tylko u nas wszystkie się od razu rozwala.

- Przez piętnaście lat nawet w Paryżu nie przechowuje się dekoracji - zaryzykowała Marianna.

- Zdaniem dziadzia Plerscha dekoracją do *Horacjuszy* palił w piecu w osiemset siódmym Mistrz osobiście - powiedział Dmuszewski.

- Możliwe, było zimno.

Bogusławski wetknął mu do ręki dawny przekład *Horacjuszy*, niech każe skopiować, dostał go od Owińskiego, to wierny tekst. Dmuszewski podziękował.

Medor czuł się dobrze pod stołem i dopiero na zawołanie Dmuszewskiego „Kudlicz!” wyszedł, powarkując.

Następnego dnia w sali prób pojawił się także pan dyrektor Owiński i ku zaskoczeniu wszystkich w krótkiej przemowie pozdrowił aktorów. Mówił chaotycznie, prosił o dyscyplinę i ofiarną pracę, w obecnej sytuacji ma to nadzwyczajne znaczenie. Dość szybko skończył

i wyszedł, Szymanowski pokiwał głową, a kiedy Osiński już zniknął, powiedział z emfazą:

- Panowie aktorzy, proszę odnieść sukces, bo wtedy będzie duży sukces, panowie aktorzy.

Towarzystwo wybuchnęło śmiechem, próbę zaczęli w świetnym nastroju.

Teraz można by się za nich zabrać, pomyślał Bogusławski i spokojnie wyczekiwał, czy Dmuszewski przegapi tę okazję.

Dmuszewski, być może usłuchawszy rad Mistrza, kazał czytać tekst i nawet jedną uwagą nie przerwał międlenia. Wkrótce wszystkim opadły sennie głowy, a po przerwie Zielińskiemu dopiero przy użyciu najwulgarniejszych gróźb udało się zapędzić ludzi do sali prób.

Pod koniec czytania niespodziewanie wpadł Henryk Macrott i skromnie zajął miejsce w najdalszym kącie. Bogusławski błogosławił swój rozum, że zostawił Dmuszewskiego na pastwę losu. Pojawienia się Henryka jakby nie zauważono, jednak tekst Corneille'a brzmiący fałszywą złością nagle wypełnił się pasją, po każdym dobrze wymyślonym akcencie aktorzy unosili głowy.

Poza tym nic się nie wydarzyło.

Tylko Dmuszewski był zdenerwowany, w takich momentach podkreślał ołówkiem zdania w leżącym przed nim egzemplarzu, kartkował go tam i z powrotem, ani razu nie podniósł wzroku. Konstancja czytała tekst obojętnie i bezbarwnie, podobnie jak pozostali.

Początkowo Bogusławski podejrzewał, iż Konstancja w odruchu samoobrony sylabizuje, jakby nigdy nie grała tej roli, potem odkrył, że ona wcale nie udaje, może to wszystko jeszcze do niej nie trafiło.

Nie mogła kompletnie zapomnieć tekstu, pomyślał. Przecież to by było potworne.

Ale czemu miałyby być potworne?

Po próbie Żółkowska i Szymanowski próbowali w knajpie namówić Bogusławskiego, by wtrącał się podczas prób, oni naprawdę lubią Dmuszewskiego, ale nie chcieliby zrobić przez niego klapy; już pierwszy dzień był paskudny, Dmuszewski cały czas będzie się cackać, nie wyrobią się do premiery.

- Nauczcie się ról - radził Bogusławski. - To nigdy nie zaszkodzi.

Mistrz naprawdę nie wiedział, co by począł z tą sztuką, gdyby to on musiał reżyserować.

Następnego dnia na próbie Dmuszewski poprosił, by z uwagi na krótki czas ustalono ostatecznie dwie lub trzy pierwsze sceny. Oznajmił, że każdy aktor zobowiązany jest siedzieć na każdej próbie do końca, jak kiedyś, to zostanie zapisane na tablicy. Pan dyrektor też

uważa, że musi być dyscyplina.

Aktorzy występujący w pierwszych scenach snuli się z tekstem w dłoni, Dmuszewski siedział przy stoliku w towarzystwie Zielińskiego i Wąsikowskiego; inspicjent i sufler byli znudzeni, to jeszcze nie ich czas. Dmuszewski wyjął egzemplarz i kierował snujące się postacie to tu, to tam.

Henryk przyszedł już na początek próby i usiadł w kącie, skąd spokojnie mógł się przyglądać.

Już wtedy zrobiło się nerwowo.

Żółkowska w trakcie łażenia nagle oznajmiła, że zamierza występować w blond peruce, a jeśli nie wyrażą zgody, rezygnuje z roli. Dmuszewski najpierw powiedział, że to niewykłuczone, później naradzi się z dyrektorem, ale kiedy Żółkowska nadal żądała blond peruki, wybuchnął: to on, reżyser, będzie decydować, kto w jakiej zagra peruce, jeszcze tego nie wie, ale później podejmie decyzję, proszę się teraz nie wtrącać. Żółkowska zamilkła i od tej chwili nie opóźniała swoich kwestii.

Konstancja niczego nie żądała, ale czytała tekst tak pretensjonalnie, że Dmuszewski zmuszony był kilka razy zwrócić jej uwagę. Ona zagryzała wargi, dopiero po dłuższej przerwie zaczynała mówić dalej, znów afektacja, znów długa pauza. Dmuszewski nerwowo pokazywał, kto gdzie ma stanąć.

Po przerwie wybuchnął Szymanowski: co to jest, że cały czas pies na niego patrzy, on tak nie może pracować. Tego dnia Dmuszewski po raz pierwszy przyszedł z Medorem na próbę, owczarek leżał przy jego stopach; Dmuszewski, przytupując drżącymi nogami, dotrwał do przerwy. Był zaskoczony tym wybuchem, bo pies nikogo nie atakował.

- Może przyniesiemy jeszcze szczury jako publiczność - powiedział Szymanowski. - Całe zoo, tak będzie najlepiej.

Zaczęła się dyskusja na temat psa, przeszkadza czy nie, czy przy nadarzającej się okazji ugryzie kogoś, czy nie.

- Jeszcze nikogo nie ugryzł! - bronił go Dmuszewski.

- Już trzy dni jest u nas - powiedziała nagle Konstancja. - Przez ten czas faktycznie nikogo nie ugryzł.

Dmuszewski jęknął, żona zadała mu cios w plecy. Skinął na Wąsikowskiego, by wyprowadził psa.

- Dokąd go zabrać, panie artysto? - zapytał sufler.

Zaczęła się dyskusja, czy w ogóle pies może zostać w teatrze. Większość reprezentowała pogląd, iż zalecane byłoby warowanie przed teatrem. Medor wyczuł, że

mówią o nim, i zamerdał ogonem.

- Proszę go wziąć do pana Bautza - powiedział w końcu wymęczony Dmuszewski. - Niech je na mój koszt.

Wąsikowski wywlókł psa. Nie poszło łatwo, Dmuszewski wielokrotnie musiał wykrzyzczyć nazwisko Kudlicza.

Szymanowski zaraz złagodniał, powiedział, że w zasadzie to sympatyczne zwierzę, a w końcu, skoro nie gryzie, to mogłoby tu zostać.

- Nie zostanie tutaj - powiedział czerwony Dmuszewski. - Nigdy więcej go nie przyprowadzę. Kontynuujemy!

Kontynuowali. Dmuszewski przeganiał ich z kąta w kąt, zgodnie z wciąż nowymi wyobrażeniami o przestrzeni na scenie.

- Ciekawe - powiedział ostrożnie Werowski pod koniec próby. - Kudlicz reżyseruje zupełnie innymi metodami, ale możliwe, że te Dmuszewskiego też są skuteczne.

Dmuszewski i Konstancja poszli do domu na obiad, pozostali otoczyli w knajpie Bogusławskiego, który rozprawiał o istocie bycia psem i chwalił Medora; nie chciał, by aktorzy zmuszali go do reżyserowania sztuki. Potem Aszpergerowa zaczęła czytać rolę Kamilli półgłosem, aby wszyscy słyszeli: ona z pewnością lepiej stawia akcenty, niż Konstancja.

- Jak idą próby Dmuszewskiej? - spytała w domu Marianna.

- Nijak. - Bogusławski skrzywił usta.

- Nie powinieneś porozmawiać z Glücksbergiem? - dopytywała się Marianna. - Zbierać przedpłaty od ludzi... coś takiego...

- Potem.

Dmuszewscy musieli się w nocy pokłócić, bo nazajutrz Konstancja pojawiła się na próbie z czerwonymi od płaczu oczami i przerażonym spojrzeniem. Bogusławki wbił wzrok w zagubioną, skuloną Konstancję. Pozostali patrzyli z nieskrywaną satysfakcją i dawali sobie dyskretne znaki. Koniec Dmuszewskiej, więcej nie trzeba się z nią liczyć. Aszpergerowej dobrze by zrobiło wycofanie się Dmuszewskiej. Także Żółkowska była jakby ucieszona. No tak, pomyślał Bogusławski, zbiera siły, by zagrać Sabinę.

Dmuszewski często przerywał pozostałym, poprawiał, wydawał polecenia, bał się, że znów przyjdzie kolej na Konstancję. Ale i tak nie mógł tego uniknąć. Następna była Dmuszewska. Zapadła cisza. Konstancja stała pośrodku sali, z tekstem w ręku, usta wykrzywione, drżące ręce, po chwili oczywiście wybuchła płaczem. Dmuszewski milczał. Przykra scena; nikt do Konstancji nie podszedł, ale satysfakcji z jej porażki nie było teraz

widać u nikogo. W końcu wybuchnął Szymanowski: tak nie można pracować, zadaniem reżysera nie jest wykańczanie aktorów. Dmuszewski odpowiedział niezwykle ostro jak na siebie: niech tylko aktorzy nie wynoszą się ciągle nad reżysera, wszyscy winią reżysera za własny brak talentu.

Szymanowski uśmiechnął się drwiąco.

Głos zabrał Bogusławski, zaproponował, by wziąć te fragmenty, w których nie ma Kamilli, każdemu może zdarzyć się przerwa, w takich przypadkach należy przestać się znęcać nad człowiekiem. Dmuszewski słuchał tego z mieszanymi uczuciami, potem przytaknął. Mimo to musiał długo czekać, Dmuszewska nie chciała opuścić próby, płacząc, zapewniała, że potrafi czytać, potrafi pracować na próbach, niech jej nie zostawiają, chciałyby grać.

- Chodź, napijemy się czegoś - powiedział Bogusławski, wziął ją pod rękę i wyprowadził z sali.

Zabrał ją do teatralnej knajpy i oznajmił, że tego dnia już jej nie pozwoli uczestniczyć w próbach. Konstancja usiadła posłusznie, napiła się herbaty z rumem, powoli tajała.

- Bardzo mnie kiedyś zraniłeś, wiesz? - powiedziała.

- Wiele razy - odrzekł Bogusławski.

- Jeden raz bardzo. Kiedy w *Klingsbergach* zabrałeś mi Amalię.

Bogusławski westchnął:

- Nie gniewaj się. Później zrozumiałem, że byłabyś lepsza, niż była Ledóchowska.

Znowu westchnął, dawno już tak nie kłamał.

- Nie rozumiem, co tak wszystkich pociąga w Ledóchowskiej! - wybuchnęła Konstancja. - Drewniana tyka! Płaska jak deska! Nic szczerego w głosie! W ogóle nie ma głosu!

Bogusławski pociągnął łyk herbaty.

Konstancja wyszukanyimi słowy ubliżała Ledóchowskiej, tej rozpieszczonej, nadętej, histerycznej, kwękającej kurwie, żonie porzuconej przez hrabiów, która swoje braki rekompensuje zwyczajnym kręceniem tyłkiem. Bogusławski pozwolił jej mówić. Konstancja wylała z siebie złość, przycichła, nieco podpita podparła rękami coraz cięższą głowę, wyglądała jak rekonwalescentka po długiej chorobie. Po rękach spływał jej z twarzy róż. Bogusławski przyglądał się tym smużkom.

- Odprowadzę cię do domu - powiedział.

Po drodze Konstancja starała się być uprzejma, konwencjonalna wymiana zdań odebrała Mistrzowi cały zapal. Na dodatek w domu Konstancja poprosiła, by w końcu pobawił się kiedyś ze swoim synem. Jedenastoletni Stanisław patrzył na niego z nietajoną

nienawiścią. Bogusławski, przejawiając duże samozaparcie, zainteresował się nauką chłopca, spróbował z francuskim. Na francuski Stanisław odpowiadał po niemiecku, na niemiecki po francusku. Złośliwy drań, pomyślał Mistrz i uśmiechnął się. Ma boskie poczucie humoru, orzekła Konstancja i pogłaskała go po włosach. Jakże ma piękne, długie włosy, dodała. Chłopiec szarpnął głową. A ta krnąbrność jak do niego pasuje, powiedziała Konstancja przymilnie. Zagrała matkę, to było potworne. Zaczęła pokazywać rysunki Stanisława. Wyciągnęła kosmyk jego włosów z dzieciństwa, jeszcze blond. Bogusławski obejrzał i to.

Przykrą zabawę zakończyło przyjście Dmuszewskiego, chłopiec rzucił mu się na szyję, zostawiając przykucniętych nad dziecięcą układanką z klocków Konstancję i Bogusławskiego, którzy jeszcze jakiś czas bawili się małymi klockami.

Potem Stanisław zaczął histerycznie ryczeć, czemu przybrany tata nie przyprowadził do domu Medora. Konstancja z trudem wyprowadziła go do drugiego pokoju, Dmuszewski szybko się zgodził, by Mistrz zajął się Konstancją oddzielnie, no tak, dla niego też to dobre, więcej czasu będzie mógł poświęcić pozostałym aktorom. Mistrz pośpiesznie wyszedł. Biedny Dmuszewski, pomyślał, czekają go okropne czasy, wkrótce Stanisław wejdzie w wiek dorostania.

Po południu w złym humorze chodził z kąta w kąt, wieczorem ponownie poszedł do Dmuszewskich. Nie spodziewali się go, Dmuszewski raz jeszcze podziękował, że Mistrz będzie się zajmował jego żoną. Stanisława położono już spać, ale nie spał, domagał się z drugiego pokoju, by wpuszczono do niego Medora. Pies też dostanie wariactwa, pomyślał Bogusławski. Konstancja była w wyzywającym szlafroku, nie oczekiwała gościa, z pewnością włożyła szlafrok ze względu na męża. Dmuszewski pokazał małomównemu Mistrzowi kilka zagranicznych pism, z których chciał wykroić wiadomości do pierwszego numeru „Kuriera”. Bogusławski wydobyl portmonetkę i wysypał na stół wszystkie pięciogroszówki, bo Dmuszewski zbierał je dla biednych. Potem wreszcie odezwał się, chciałby zabrać Konstancję na spacer.

- Dobrze, oczywiście - odrzekł Dmuszewski.

Konstancja jęknęła, już późno, nie ma ochoty robić toalety, jest zmęczona.

Dmuszewski wyraźnie się ucieszył, Bogusławski musiał po raz drugi tego dnia usunąć się cichcem, mocno zawstydzony.

W domu zapytał Mariannę, czy nie mogłaby na czas *Horacjuszy* odciążyć Dmuszewskiego i wziąć do siebie Stanisława. Marianna zdenerwowała się: jeśli Mistrz nie znosi nawet Ignacego, a to przecież także jego syn, czemu ona, Marianna, miałaby znosić Stanisława, z którym nie ma nic wspólnego, już dość się nacierpiała z drugim nieślubnym

dzieckiem Mistrza, Zosią...

Bogusławski słuchał zaskoczony.

- Jeśli nie chcesz, nie będę nalegać.

Kiedy rano wyszła bez słowa, wiedział, że poszła się kajać nad grobem Zosi.

Podczas próby Konstancja nie robiła scen, z zaciśniętymi zębami czytała rolę, posłusznie starała się wykonywać nieczęsto zresztą wygłaszane zalecenia Dmuszewskiego. Czytała bez prawdy w głosie, ale uważnie, niekiedy mówiła z pamięci. Bogusławski nie patrzył w jej stronę. Samozaparcie Konstancji było adresowane do niego: sama też dam sobie radę, niech Mistrz nie próbuje się mną zajmować.

Dmuszewski był szczęśliwy, raz nawet pochwalił żonę. Rzućmy to w diabły, pomyślał Bogusławski i do końca próby tego się trzymał. Ale gdy wyszli z sali, Szymanowski zrobił pełną żółci uwagę na temat piskliwego głosu Dmuszewskiej. Mistrz nie wytrzymał:

- Konstancja jest więcej warta niż my wszyscy razem!

Szymanowski zdziwił się:

- Może kiedyś - powiedział delikatnie. - Ale talent nie jest czymś wiecznym, Mistrzu.

- Talent! - wybuchnął Bogusławski. - Co ty wiesz o talencie!

Szymanowski obraził się.

Bogusławski wszedł do knajpy ze zdeterminowaną miną i postanowił, że po obiedzie pójdzie do Dmuszewskich, nieważne jak będzie to przykre.

- Byłaś wspaniała! - rzucił od progu, gdy Konstancja otworzyła mu drzwi. - Na początku sceny jeszcze w to nie weszłaś, ale to powiedziałaś już zupełnie genialnie, jak to tam jest, wiesz, że „nikogo moje serce pokochać nie zdoła, kto rabem Rzymu jest, lub Rzym ten pokona!”.

Konstancja jeszcze nie pojęła tych słów, ale już wyprężyła się z dumą. Dmuszewski grzebał w gazetach i popatrywał na Mistrza, wypełniającego swą radością cały pokój.

- Tak - powiedziała po chwili Konstancja, zadzierając nosa. - Przy tym fragmencie czułam już postać...

- To trzeba złapać na samym początku - powiedział Bogusławski. - Jutro próbuj tak, że zanim przyjdzie kolej na ciebie, już to sobie mówisz i wchodzisz dopiero wtedy, gdy jesteś już we właściwym nastroju... Kamilla jest dumna i silna, już gdy pojawia się pierwszy raz, nie dochodzi do tego stopniowo.

- Tak jest prawdziwie - powiedział Dmuszewski z wdzięcznością. Z ulgą, ale podejrzliwie patrzył na Konstancję, bo zrobiła się wesoła, po raz pierwszy od tygodni. Próbował sobie przypomnieć cytowany przez Mistrza fragment, na próbach nie zauważył

niczego, za co można by ją pochwalić.

- Jeśli chcecie, możemy to zrobić teraz - powiedział Bogusławski. - Ja będę czytać rolę Julii...

Dmuszewski nie wyraził sprzeciwu. Konstancja prawie się zgodziła, ale potem dotknęła głowy, bardzo boli, powiedziała, teraz nie. Aktorka, pomyślał Bogusławski, nie chce źle powtórzyć tego, co rzekomo już raz jej wyszło.

- No dobrze - rzucił. - Nie po to przyszedłem, chciałem tylko powiedzieć, że tą drogą należy iść dalej.

Chciał odejść, ale go zatrzymali. Konstancja zaproponowała, że zrobi herbatę, a Dmuszewski odłożył swoją pracę.

O Kamilli więcej już nie rozmawiali. Zatroškany Mistrz omawiał z nimi dokonania pozostałych; wyraził niepokój, że Rutkowski nie będzie dobrym Tullusem, a Werowski dość wyrazistym Kuriacjuszem, jeśli tak dalej pójdzie, trzeba będzie coś wymyślić, by nabrali odwagi; zgadzali się w zasadniczych punktach i w dobrym humorze sączyli herbatę.

Stanisława na szczęście nie było w domu, francuska guwernantka zabrała go na spacer.

Dmuszewski wyjaśnił, czemu jest tak zdenerwowany: za parę dni przybędzie car, Osiński wezwał go i przypominał, że powinien prowadzić próby w sposób zdyscyplinowany, możliwe, iż car zaszczyca premierę, nie powinien pozwolić, by różnego rodzaju pogłoski wywołały w teatrze histeryczne nastroje.

- Jakie pogłoski? - zapytał Mistrz.

Dmuszewski opowiedział. Wielki Książę nie wyraził zgody na zwołanie senatu, chociaż nie ma z nim nic wspólnego i jest to złamanie konstytucji; w tych okolicznościach senat uznał, że będzie lepiej, jeśli nie zbierze się z własnej woli.

- Hmm - mruknął Bogusławski.

Dwa dni temu Konstancy wyznaczył kilku wyższych oficerów na miejsce wojewodów oraz prefektów, choć zgodnie z konstytucją nie ma prawa rozdzielać stanowisk cywilnych, ale Konstancy nawet nie przeczytał konstytucji, chociaż to oni, Rosjanie, ją podyktowali.

- Ejże - powiedział Bogusławski.

- Teraz każdy ślęczy nad konstytucją - ciągnął Dmuszewski. - Paragrafy sto piętnasty i sto siedemnasty mówią o funkcjonowaniu senatu, całkowicie jednoznacznie, że senat nie podlega ani wojsku, ani namiestnikowi, ale Zajączek tym się nie przejmuje. Ponadto Osiński zwrócił uwagę, że powinienem odradzić Mistrzowi...

- No?

- Wykorzystywanie środków z Klingsberga do roli starego Horacjusza... Nie możemy się odwoływać do postaci Zajączka... bo ma kochankę, panią Walicką, i wyrzuca na nią pieniądze zupełnie jawnie, jak stary Klingsberg.

Bogusławski wybuchnął śmiechem.

- Nie bój się - powiedział. - Dla mnie też przedstawienie jest ważne. Nie jestem w takiej sytuacji, by pozwolić sobie na klapę. A jeśli całe przedstawienie miałooby zrobić klapę, odpukać, to po cóż miałbym grać dobrze i ostrożnie. Dla mnie nawet gra Zawadzkiego jest ważna.

Dmuszewski przytaknął, Konstancja uniosła głowę. Bogusławski milczał. To mi się udało, pomyślał, umiałem to szczerze powiedzieć.

A zresztą, pomyślał, naprawdę tak jest.

Szybko się pożegnał.

- Ja też jestem zmęczony - powiedział ze smutkiem, jakby czuł nadchodzącą starość. - Od kiedy dostałem rolę, prawie nie mogę sypiać.

To nie była prawda, nie udało mu się tego prawdziwie zagrać, ale nie popsuł nastroju.

Na kolejnych próbach pozostali jakby zmówili się przeciw Dmuszewskiemu, choć tylko instynktownie próbowali uniemożliwić mu pracę. W zasadzie słusznie go krytykowano, ale w taki sposób szeptano sobie drwiąco za jego plecami, by on także to usłyszał. Bogusławski się nie wtrącał. Dmuszewski pozornie nie zwracał uwagi na złośliwe szeptki kolegów. Nie miały sensu, ale on nie odważył się ich krytykować. Mistrz bardzo uważał, by nie zdradził go szczerzy ton głosu. Swoją rolę się nie przejmował, i tak jest tylko epizodyczna, więc zapewniał Dmuszewskiego, że do próby generalnej będzie umiał ją na pamięć.

Na jednej z prób zjawił się Unicki i oznajmił, że na cześć cara buduje się bramę triumfalną, a życzeniem pana Osińskiego jest, by wszyscy zatrudnieni w teatrze dobrowolnie przekazali czterodniowe zarobki jako swój patriotyczny wkład w jej budowę. Wszyscy milczeli, póki kandydat na posła, pan Rutkowski, nie powiedział, że z chęcią ofiaruje swój tygodniowy zarobek.

- Tak nie można - odparł Unicki. - W całej Warszawie każdy może przekazać jedynie czterodniowe zarobki.

Rutkowski pokręcił głową, to dobra inicjatywa, powiedział, ale należy podchodzić do niej elastycznie.

W knajpie Malinowski się wściekł: czterodniowe zarobki, kiedy nie potrafią nawet wypłacić gaży, wystarczyłyby przecież zarobki za dwa dni, przecież dostali pensję tylko za

pół miesiąca. Żydzi z pewnością nie płacą; słyszał, że dostali ochronę od wojska, przekupili Nowosilcowa siedmiuset tysiącami.

Wolski to potwierdził, prawda, tak było; znamienne, że płacą florenami, Nowosilcow nie przyjmuje już złotych, to początek końca.

W bufecie wyliczano, po ile dziś floren; Bogusławski usłyszał zastraszające ceny czarnorynkowe, cena złota w ciągu paru dni wzrosła trzykrotnie.

Mówiono, że z okazji wizyty Aleksandra odbędzie się kolejna uroczysta feta.

- Idioci - wściekał się Nacewicz, który znów był pijany. - W zeszłym roku Aleksander kazał zniszczyć bramę, nie potrzebował jej, z pewnością i te pieniądze teraz zdefraudują.

Na próbach Dmuszewski coraz częściej zwracał się do Mistrza, chcąc, by ten ustawił poruszanie się na scenie, podobnie jak to było piętnaście lat temu. Bogusławski narzekał na słabą pamięć. Szymanowski grał w tamtym przedstawieniu, podrzucił kilka pomysłów, ale pokłócił się z Żółkowską występującą w roli, którą niegdyś zagrała Truskolaska, jego zdaniem znakomicie. Po tej wymianie zdań Szymanowski więcej się nie odezwał.

Faktycznie, pomyślał Bogusławski, przecież Sabinę grała jeszcze Truskolaska. Wyleciało mu to z głowy. Wspomnienia o Konstancji wymazały inne.

Osiński wpadł na pomysł, by muzykę do sztuki napisał Elsner i żeby podczas antraktów aktorzy witali ariami wchodzącego do łoży Aleksandra. Decyzję dyrektora przekazał pobladły Dmuszewski. Żółkowska ponownie chciała zrezygnować z roli, nie jest śpiewaczką, jeszcze nigdy w życiu nie śpiewała. Szymanowski zwracał uwagę, że w jej roli nie wypada śpiewać, niech zaśpiewają Dmuszewska i Aszpergerowa. A zresztą gdzie nuty i tekst?

Muzyka była gotowa po dwóch dniach, pomogła diabelska rutyna Elsnera, ale brakowało tekstu, nie było jasne, czy napisze go Osiński, czy komuś zleci. Dmuszewski radził się Bogusławskiego, co powinien zrobić: napisać do muzyki jakiś tekst chwਾਲący cara i króla, czy poczekać na decyzję Osińskiego.

- Spytaj go - poradził Bogusławski.

Dmuszewski westchnął.

- Nie da się z nim rozmawiać - powiedział. - Jest w kompletnej hysterii, nie potrafi o niczym mówić, tylko o tym, jakie to ważne, by wszystko było absolutnie w porządku.

- Naprawdę możesz go zapytać, kto ma pisać tekst.

- Już pytałem! - krzyknął Dmuszewski. - Ale nawet nie słucha!

Konstancja bardzo się wystraszyła pomysłu ze śpiewaniem, nie ma teraz zbyt dobrego głosu, przy takiej brzydkiej jesiennej pogodzie w każdej chwili może się zaziębić i co wtedy?

Mistrz przepisał z partytury arię Konstancji i zaproponował korepetycje.

Udręczony Dmuszewski nie wiedział jak mu dziękować. Po wielu namowach udało mu się wreszcie przekonać Konstancję do przyjęcia pomocy. Ale ani Bogusławski, ani Dmuszewscy nie mieli fortepianu. Konstancja nie chciała słyszeć, by Bogusławski towarzyszył jej przy pianinie w sali prób: każdy może wejść, zresztą tego fortepianu używają stale Elsner oraz Kurpiński. Elsner ma w domu fisharmonię, Mistrz mógłby ją ewentualnie pożyczyć, ale Konstancja zaprotestowała: nie cierpi dźwięku fisharmonii.

W końcu najprostszym rozwiązaniem okazał się fortepian Nacewicza, którego od zniknięcia Anieli i tak nikt nie używał. Nie był to jakiś znakomity instrument, ale swego czasu Nacewicz długie miesiące głodował, by móc go kupić córce, zrezygnował wtedy nawet z picia. Bogusławski wspomniał, że mógłby go wypożyczyć, ale Nacewiczowi aż oczy zasły łzami - nawet na krótko nie zamierza się z nim rozstawać, bo to jedyna rzecz, która przypomina mu córkę.

Masz jeszcze wnuczka, pomyślał Bogusławski.

W końcu Nacewicz zaproponował, by Mistrz dawał korepetycje Konstancji u niego w domu.

Teraz trzeba było już tylko pozbyć się Ignacego, który nienawidził Konstancji, tej uwodzicielki, która kiedyś odebrała jego ojca mamie.

Marianna rozplakała się bezradnie, gdy Bogusławski oznajmił jej, że kiedy będzie udzielał korepetycji Konstancji, Ignacy ma mieszkać u nich.

Ignacy wprowadził się z dzieckiem do domu ojca. Bogusławski wyobraził sobie, że wkrótce cały pokój będzie pełen obsranych pieluch, i skrzywił się, pociągając nosem.

Nacewicz był szczęśliwy, gdy Mistrz wepchnął mu do ręki kilkaset złotych za korzystanie z fortepianu. Wszystko przepije, pomyślał Bogusławski.

- Zaczniemy po obiedzie - oznajmił następnego dnia po próbie Dmuszewskiemu.

- Dobrze - odparł ten, zmieszany.

Chociaż Konstancja powiedziała wstępnie tak, teraz zbladła i w bufecie nie była w stanie przełknąć nawet kęsa. W tym czasie Mistrz zabawiał aktorów.

W milczeniu zmierzali do domu Nacewicza. Wiał zimny wiatr, ale nie padało, drewniane domy na Świętokrzyskiej sprawiały przykre wrażenie.

- To dom tej kanalii Koźmiana - Bogusławski wskazał jedyną na tej ulicy ładną kamienicę.

Konstancja nie odpowiedziała. Zatrzymała się spięta przed ogrodową furtką, jakby zamierzała uciec. Podczas mocowania się z zardzewiałym kluczem Bogusławski czuł, że jeśli

teraz Konstancja ucieknie, nigdy już nie zdoła jej zmusić do powrotu. Co za cholerny zamek, klął w duchu, nie dam rady go otworzyć.

Kiedy zamek wreszcie puścił, wyczuł, że wystarczyłaby jeszcze chwila tej zabawy, a Konstancji już by przy nim nie było.

Przeszła przez ogród jak lunatyczka i weszła do mrocznej sieni.

Bogusławski mruknął coś o synu, który po ucieczce Anieli zaniedbał mieszkanie, Marianna musi ciągle sprzątać, no proszę, wystarczyły dwa dni, a już tyle tu brudu. Rzeczywiście, wszędzie walały się niepozmywane naczynia i butelki po wódce, na parapecie schły pieluchy. Bogusławski wytarł fortepian jakimś obrusem i otworzył go.

- Jest ciemno - powiedziała stercząca na środku pokoju Konstancja.

- Mogę zapalić lampę - zaproponował Bogusławski.

- Raczej otwórz okno.

Bogusławski uchylił okno, potem znalazł w kuchni lampę, wlał oliwę, wytarł ręce o obrus. Wyciągnął z płaszcza nuty i położył na pulpicie. Nie zdjął płaszcza, w domu było zimno.

Usiadł na skrzypiącym taborecie przy fortepianie.

- Nie usiądziesz? - spytał, nie odwracając się.

Konstancja jeszcze chwilę stała, potem usiadła na skraju kanapy, gotowa w każdej chwili uciec.

- Całkiem znośna ta muzyka - powiedział Mistrz i chrząknął, by oczyścić gardło.

Konstancja milczała.

- Od której arii zaczniemy?

Nie odpowiedziała.

- Nie masz ochoty?

Konstancja siedziała niema na skraju kanapy.

- Wiesz co - powiedział Bogusławski. - Masz rację, beze mnie też to zrobisz. Jeśli jednak poczujesz, że mogę ci pomóc, to powiedz.

Zdjął nuty i zamknął fortepian. Wstał, Konstancja gotowa w każdej chwili się zerwać tkwiła przycupnięta na kanapie.

- Jeśli chcesz zostać, zostawiam klucz - powiedział Bogusławski i opuścił dom.

Szedł powoli, Konstancja dogoniła go jeszcze przed furtką. Teraz to Mistrz się przyglądał, jak Konstancja mocuje się z zamkiem.

- Niech zostanie u ciebie - powiedziała i oddała mu klucz.

W milczeniu wracali powoli Świętokrzyską.

- Weź nuty do domu - powiedział Bogusławski na rogu Świętokrzyskiej i Nowego Światu.

- W domu mam ich sporo, te niech zostaną u ciebie.

Bogusławski skinął na fiakra.

- Chcę się przespacerować - powiedział.

Konstancja wsiadła, fiakier trzasnął biczem.

- Krótko to trwało - powiedziała drwiąco Marianna, gdy wrócił do domu.

- Straciła głos - odparł zdawkowo Mistrz.

Nazajutrz na próbie Mistrz nie wspomniał o korepetycjach. Konstancja była roztargniona, przekreśliła kilka kwestii, nie wchodziła w odpowiedniej chwili. Dmuszewski panował nad sobą.

Po próbie Bogusławski zaproponował, by wstąpili do jakiejś kawiarni. Dmuszewski powiedział, żeby poszli, on spróbuje porozmawiać z Osińskim.

Konstancja i Mistrz wyszli z teatru. Nigdzie nie usiedli, łazili ulicami, zblądzili nad brzeg Wisły pokryty błotnistym namulem, gdzie pod pojedynczymi, grubymi drzewami stało tylko kilka szop; szli obok siebie, brodząc po kostki w błocie. Oboje dawno tu nie spacerowali, w ogóle dawno nie chodzili gdziekolwiek na spacer; z tego miejsca, od strony zalewiska miasto było ledwo widoczne: kryło się za wzgórzem porośniętym drzewami, krzewami i trawą. Po drugiej stronie rzeki płasko, biednie i cicho rozciągała się Praga.

Prowadzili rozmowę o wszystkim i niczym, Konstancja raczej słuchała, Bogusławski tłumaczył jej, dobre granie wcale nie jest ważne, w ogóle granie nie jest ważne, w końcu nie jest też ważne, żeby człowiek był aktorem, bo czemu właśnie aktorem i co to znaczy ważne. Niekiedy przerywał sobie w pół zdania, uznawszy własne myśli za idiotyczne, i twierdził coś przeciwnego, niż powiedział wcześniej, a Konstancja temu też przytakiwała. Gonitwę myśli Bogusławski przerywał w stylu rapsodii, stwierdzając co jakiś czas, że błoto sięga im kostek, może powinni pójść nieco wyżej; co jakiś czas czekały na nich psy, Bogusławski im odszczekiwał, potem kontynuował swój podniosły filozoficzny monolog; Konstancja już dawno przestała zwracać uwagę na sens słów, mamrotanie Bogusławskiego odbierała jak muzykę.

Chodzili wśród małych sadów, między rozrzuconymi z rzadka nędznymi chatynkami skleconymi z marnych desek, obok ogródków warzywnych rozdzielonych płotami.

- Francuski doktor uzdrowiciel - opowiadał Mistrz - powiedział kiedyś smutnej carycy Katarzynie, kiedy już na próżno zmieniała co miesiąc kochanków: *Pajdi gulat', Katinka, gulaj, a budiesz zdorowa.*

Konstancja przytaknęła.

W końcu mieli już dość łażenia po błocie, a że nie chciało im się wspinać do miasta, poszli z powrotem w stronę Mariensztatu. W drodze powrotnej Bogusławski powoli przestał mówić, bez słowa patrzył na szarą rzekę, spokój z wolna go opuszczał, ustępując miejsca niepewności. Chciał jakoś zatrzymać euforię z ponownego spotkania sprzed kilku minut. Konstancja też tego chciała, nieoczekiwanie zaczęła mówić, zaimprovizowała deklarację o wierności, poświęconą znaczeniu rodziny i niemożności zastąpienia jej czymkolwiek, oświadczyła, że bez syna jej życie nie miałoby sensu oraz że nie mogłaby znaleźć bardziej wyrozumiałego męża niż Dmuszewski i szczerze życzy wszystkim aktorkom, by miały tak udane małżeństwo jak ona.

Bogusławski przytaknął.

Konstancja mówiła dalej, ale już się tylko powtarzała, choć innymi słowami, coraz bardziej rozwlekłe, z coraz mniejszym przekonaniem, lecz coraz większą elokwencją. Bogusławski wcale nad tym nie ubolewał, osiągnął to, że Konstancja przemówiła. A ona mówiła spokojnym, lecz pełnym zwątpienia, smutnym głosem.

Powoli doszli do placu Bernardyńskiego. Pod kolumną Zygmunta Bogusławski się zatrzymał, Konstancja również stanęła.

- Naprawdę pomożesz? - spytała, jakby Mistrz przypadkowo i nieodpowiedzialnie dopiero teraz zaofiarował swoje usługi.

- Tak - odparł.

Konstancja skinęła głową i ruszyła do domu. Patrzył za nią jak idiota.

Następnego dnia także był kłopot z otwarciem furki do ogrodu Nacewicza, ale tym razem świetnie się przy tym bawili. Bogusławski odkurzył krzesła i fotel, Konstancja napelniła lampę olejem. Było zimno, Konstancja pozostała w płaszczu, Bogusławski narąbał drewno i napalił w piecu.

- Ten cały Nacewicz któregoś dnia we własnym domu zamarznie po pijanemu - sarknął.

- Nie było go tu od wczoraj - stwierdziła Konstancja.

Bogusławski mruknął, że wobec tego znajdą go na ulicy zamarzniętego na śmierć.

Konstancja chodziła po pokoju, chuchała w dłonie, Bogusławski owinał się pledem i trzymając w ręku rolę Kamilli, próbował nakłonić Konstancję, by się rozluźniła, niczym się nie przejmowała i jak najprościej mówiła tekst.

- To nie będziemy śpiewać? - spytała.

- Bzdura - odrzekł. - Masz ładny głos, będziesz umiała zaśpiewać. Jeszcze nie ma

tekstu. Weźmy raczej Kamillę.

Konstancja bez przekonania zaczęła wałkować rolę, przerwała, w takim zimnie nie potrafi się rozluźnić. Może później, kiedy będzie cieplej, prosiła, zostawmy to wszystko.

- Dobrze - zgodził się Mistrz. - Odpocznij chwilę.

- Jak mam odpocząć?

- Wyrzuć z głowy dawne przedstawienie.

Konstancja zarumieniła się.

- Sądzę - powiedziała - że nie mam już nic wspólnego z tamtym przedstawieniem.

- No! - krzyknął Bogusławski. - To już jakiś sukces!

Konstancja usiadła w kucki na taborecie przy fortepianie i zaczęła się na nim kręcić.

- Powinnam rzucić to pajacowanie, nie sądzisz?

Bogusławski milczał.

- Ze mnie już nic nie będzie - powiedziała Konstancja. - Boję się sceny. Bardzo się boję. Nic z tego nie wyjdzie.

- Innym też nie wychodzi.

- Komu zależy, żebym teraz była dobra? A jeśli i wtedy nie byłam dobra, tylko tak sobie myślano... Mogli się mylić. Ale jeśli byłam jednak dobra... inni nawet przez chwilę nie potrafią czegokolwiek znośnie zagrać, czyż nie? Kogo obchodzi, czy w ogóle kiedykolwiek grałam?

- Nikogo.

- Więc po co to wszystko? Kto powiedział, że muszę robić wygibasy na scenie?

- Ale masz głos - powiedział obiektywnie Bogusławski.

- Mam co?

- Głos. Głos Kamilli. Powiedz teraz tym głosem tekst. Ze skargą, cicho, bez nadziei.

Zaczynaj, gdzie chcesz.

Podsunał jej tekst, by nie musiała mówić z pamięci. Przymkniętymi oczami patrzyła w postrzępiony, pokreślony gdzieśgdzie egzemplarz.

- Nie powiem.

- Dlaczego?

- Bo wtedy nie będzie prawdą to, co powiedziałam wcześniej.

- Nic nie jest prawdą - uspokoił ją Bogusławski. - No, lecimy.

- Nie wiem...

- Ależ wiesz. Wczuj się trochę w swoją beznadziejną sytuację, jak chwilę temu.

- Jesteś potworem!

- Jasne.

Konstancja wzięła tekst i zaczęła czytać. Bogusławski szybko zatkał uszy, Konstancja wymiędliła bezbarwnie kilka zdań i znów przeszła w nieznośny pisk. Po chwili przygryzła usta.

- To żadna pomoc - powiedziała. - To zupełnie nic. To jeszcze gorsze. Daj mi wreszcie spokój.

- Ależ proszę cię bardzo - powiedział Bogusławski urażony. - Nie musisz dla mnie tygodniami cierpieć. Rób to sobie sama.

Zerwał się i wzięł płaszcz. Nim go włożył, złość z niego wyparowała.

- Co za idiotka z ciebie - powiedział z czułością. - Spróbujmy jeszcze raz. Możesz mówić nawet ze złością, nieważne, bądź tylko szczerą... Jeśli teraz nie pójdzie, to przyrzekam, więcej nie będę cię męczyć.

Konstancja wahała się chwilę.

- Dziś raczej nie. - Spojrzała na niego błagalnie. - Jutro. Raczej jutro.

Bogusławski próbował ją przekonać, by nie przeciągać do jutra, lecz niespodziewanie pojawił się Nacewicz. Gapił się na nich baranym wzrokiem, aha, bąknął, to może sobie pójdę.

- Zostań - skorzystała z okazji Konstancja. - Na dziś i tak skończyliśmy.

Nacewicz rozejrzał się, zdziwił, że nie są w łóżku. Konstancja się roześmiała. Bogusławskiemu także poprawił się humor i ucieszeni nieoczekiwanym spotkaniem zasiedli przy wódce.

Na ulicy Konstancja wzięła Mistrza pod rękę, chichocząc:

- Od dawna już nie piłam, wiesz?

- Ummm.

- Ten dupek Nacewicz, co on może sobie o nas pomyśleć!

- No.

- Wyszło znakomicie! - powiedziała radośnie Konstancja.

W domu Marianna przywitała go słowami, że Dmuszewska już nigdy nie będzie aktorką, czemu się z nią patyczkuje, zamiast zająć się własną rolą.

- Skąd wiesz, że nie będzie z niej aktorka?

- Od ciebie. Niedawno to powiedziałaś. Nie pamiętasz?

Bardzo dobrze pamiętał.

- Nic takiego nie powiedziałem. A poza tym nie znoszę, gdy wszyscy przeszkadzają mi w tym, co robię.

- Ja tylko dbam o ciebie! - krzyknęła Marianna. - Spotkałam się z siostrą, powiedziała,

że nie zaszkodziłoby ci rzetelniej podejść do roli, bo mogą się przyczepić.

- A kiedy Truskolaska dobrze mi życzyła?! - wybuchnął Bogusławski.

- Powiedziała - ciągnęła Marianna - że w najwyższych kręgach mają jakieś plany dotyczące przedstawienia...

- Przy każdym przedstawieniu durnie chcą coś wywalczyć! A co mi do tego? Twoja siostra wymyśla sobie bajeczki o duchach, a potem sika ze strachu...

- Nawet nie warto ci nic mówić - poddała się Marianna.

Jeszcze tego dnia pod wieczór pojawił się Dmuszewski.

- Mistrzu! - krzyknął już od progu. - Niech pan nie zostawia Konstancji!

Bogusławski patrzył na niego, niewiele rozumiejąc.

Dmuszewski trząsał się z emocji.

- Usiądź - powiedział Mistrz. - Chcesz herbaty?

Dmuszewski z wolna się uspokajał. Okazało się, że Konstancja bez przerwy beczy, z trudem udało mu się z niej wyciągnąć, iż to dlatego, że Mistrz nie zostawił na niej suchej nitki i powiedział, że dłużej nie zamierza się nią zajmować.

- Co takiego powiedziałem? - spytał Bogusławski osłupiały.

Dmuszewski powtórzył.

- I ma na ciele ogromne, czerwone plamy - dodał jako troskliwy mąż. - Rozdrapuje je do krwi, źle to wygląda...

Bogusławski zrelacjonował, co się naprawdę wydarzyło; Konstancja zachowywała się nad wyraz normalnie i były chwile, gdy udawało się już całkiem znośnie próbować.

- Więc to wszystko sobie wymyśliła? - zastanawiał się Dmuszewski z niedowierzaniem.

- Tak, o ile nie ma w Warszawie jeszcze jakiegoś Bogusławskiego.

Dmuszewski ukrył twarz w dłoniach.

- Ja tego dłużej nie wytrzymam - jęknął. - Gdybym miał tylko pół godziny spokoju, niecałą godzinkę, rano czy po południu, nieważnie kiedy... wtedy mógłbym jakoś przeżyć...

Mistrz nie wiedział, co powiedzieć.

- Dość mi jednej Konstancji - powiedział Dmuszewski bezbarwnym głosem - ale żeby całe miasto włąziło mi na łeb? I, do diabła, nawet nie powiedzą, czego ode mnie chcą.

Bogusławski przytaknął. Jego spokój zrobił swoje i Dmuszewski już po chwili zaczął wylewać swe żale. W południe po próbie wezwano go do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdzie Koźmian przyjął go niezwykle chłodno i oznajmił z marsem na czole, że jeśli coś będzie nie w porządku przy przedstawieniu, postara się, by Dmuszewski nie

zatrzymał więcej powietrza w teatrze.

- A spytałeś go przynajmniej, jaki ma z tobą kłopot?

Dmuszewski zbytnio się nie dopytywał, po tym zmyciu głowy wyszedł pełen zamętu, jakby zrobiono z niego durnia.

- Nigdy nie miał ze mną kłopotów - lamentował teraz. - Nigdy nic mu nie zrobiłem, a teraz takim tonem...

- Jakiś powód musi jednak być.

- Może z powodu dorzuconego tekstu... słyszałem, że miał go napisać Koźmian, potem jednak Unicki wspomniał o Niemcewiczu... Żółkowski słyszał, że Koźmian chciał wystąpić w czasie przerw z długim poematem... skróconym... do muzyki... i nie zgodzono się... Może dlatego?

- Tekst ma napisać Niemcewicz? - zapytał Bogusławski.

- Tak mówią.

Bogusławski milczał. Niemcewicz już rok temu napisał swoje, w anonimowym artykule wstępnym, chyba nie napisze wiersza na cześć cara, to byłaby przesada, jego nazwisko pojawiłoby się w programie teatralnym. Niemcewicz zawsze unikał takich wyróżnień, chyba że był do tego zmuszony.

- To jeszcze nic - jęczał Dmuszewski. - Wchodzę do teatru, czeka na mnie wiadomość, że Szaniawski natychmiast chce ze mną rozmawiać. Wracam pędem do ministerstwa, nie chcą mnie wpuścić, przecież niedawno wyszedłem. Pół godziny tłumaczyłem, aż przekonałem strażników, by posłali kogoś do Szaniawskiego. Szaniawski spienił się, co ja sobie wyobrażam, kradnę mu czas. Nie interesowało go, że strażnicy... Mówię, że wcześniej byłem u Koźmiana. To też go nie obchodziło. On także mi groził, że jeśli coś nie będzie w porządku, mam się pilnować. I wyrzucił mnie. Wróciłem do domu, położyłem się, dobrze byłoby nieco się przespać, od wielu dni męczę się po nocach... wtedy zjawiała się Konstancja, widzę, że wniebowzięta, więc z pewnością nie powinienem, ale czasem muszę otworzyć serce, więc zacząłem jej opowiadać, co się zdarzyło, słucha, chmurzy się, zaczyna płakać, że Mistrz ją zostawił, od tamtej chwili płacze...

Bogusławski pokręcił głową.

- Po co się cackać z taką premierą? - spytał raczej samego siebie. - Sztuka prosta jak w pysk strzelił, wystarczy się jej nauczyć, trochę posterczeć i mówić tekst... Jeden tydzień by wystarczył, a my powoli dochodzimy do końca drugiego... To prymitywna klasyka. Czemu się nad nią tyle dłubiemy?

Dmuszewski wpadł w rozpacz.

- Osiński - powiedział - prosił Plerscha, by zaprojektował jakąś niezwykle piękną scenografię. Jaka ma być ta niezwykle piękna scenografia? Kiedy już zaczęto malować! Jeszcze na początku września Osiński zatwierdził projekt, a teraz mówi, że nie jest dobry, on potrzebuje niezwykle pięknej scenografii! To też na mojej głowie! Oczywiście Plersch tylko przytaknął, zrobi się, będzie niezwykła scenografia, synku, powiedział Osińskiemu, czemu nie. I nic nie zrobił! Kiedy ponaglałem, by wreszcie wymyślił coś niezwykłego, zaczął anegdotkami, że, synku, jeszcze gorzej było wtedy, gdy Prusacy w osiemset trzecim... wojska carskie w dziewięćdziesiątym czwartym... a Sasi już nie wiem kiedy...

Bogusławski zachichotał.

Dmuszewski, wyczerpany narzekaniem, ruszył sennie do domu. Na odchodne Bogusławski krzyknął mu, iż nigdy nie robi kłapy przedstawienie, które ogląda król.

Bogusławski nie mógł zasnąć, dzieciak płakał, Marianna bezskutecznie go uspokajała. Ignacy z pewnością śpi, ze złością pomyślał Mistrz, o ile lepiej byłoby mu na dole, w kuchni. Tuż po północy zasnął, ale wtedy zjawił się dokumentnie pijany Nacewicz, szlochał, że chciałby zobaczyć wnuka, bo ten ma główkę jak Aniela. Bogusławski wrzasnął do Marianny: co za dom wariatów, nawet jednego zramolałego klasyka nie potrafią wystawić!

Nazajutrz na próbie pojawił się Osiński. Też był niewyspany i zatroskany; podał wszystkim rękę; oznajmił, że chociaż dekoracja nie jest jeszcze gotowa, próby będą się już odbywać na dużej scenie. Całe towarzystwo zeszło na dużą scenę, gdzie właśnie trwała próba *Filipa* Alfieriego w reżyserii Kudlicza. Wzburzonemu Kudliczowi dyrektor kazał się zwyczajnie wynieść. Wywołało to ogólną konsternację.

- Zaczynamy próbę? - zapytał Dmuszewski.

- A co myślałeś? - zagrzemiał Osiński. - Aha, i jeszcze jedno. Wcześniej chciałbym zwrócić uwagę zespołu, że ta sztuka jest znakomita, a dzięki dobremu przedstawieniu teatr może odzyskać dobre imię. Proszę panie i panów, by dołożyli wszelkich starań...

Długo tak głądził, aktorzy udawali zainteresowanie. Po reprimendzie dyrektor chciał odejść, ale niespodziewanie odezwała się Żółkowska: nie jest w stanie wywiązać się z roli, rezygnuje.

Osiński zbladł i opadł na ostatni fotel z prawej w pierwszym rzędzie.

- Tak, rezygnuję - wybuchnęła płaczem Żółkowska. - Aszpergerowa też się jej uczy za moimi plecami, bo wszyscy chcą, żebym się na tym wysypała, a wtedy ona ją przejmie, ja nie jestem w stanie...

Zaryczana wypadła na korytarz.

- A cóż to jest, za przeproszeniem?! - wrzasnął Osiński. Zerwał się, podbiegł do

Dmuszewskiego i złapał go za krawat.

Przez chwilę nim szarpał, potem puścił. Zapadła cisza, nikt nawet nie zachichotał.

- No proszę - powiedział Osiński. - Wezwać ją. Nie ma tu czegoś takiego, ja przepraszam, by ktoś zrezygnował z roli. Zmuszę was choćby wojskiem, byście dopełnili swoich obowiązków! Wezwać ją natychmiast! Jeszcze jej tu nie ma?!

Zawadzki wybiegł na korytarz.

- Panie dyrektorze - odezwała się ze sceny Aszpergerowa - jeśli Żółkowska ma zagrać, to po co mam się tego uczyć?

- Niech się pani zamknie! - powiedział Osiński i by uprzedzić dalsze pytania, dźwigając przed sobą okazały kałdun, opuścił widownię.

Żółkowska, trąc oczy, przywlokła się z powrotem, z ponurym Zawadzkiem za plecami. Aktorzy zaczęli mówić wszyscy naraz. Szymanowski wypytywał Aszpergerową i Żółkowską, czemu obie uczą się roli Sabiny; Werowski, szeroko gestykułując, powtarzał, że to niespotykane; Rutkowski z jakiegoś powodu krzyczał do suflera; Zieliński rozwijał kurtynę, aby coś robić; Dmuszewski wołał Plerscha, który spokojnie drzemał w ostatnim rzędzie; Bogusławski cały czas obserwował Konstancję, po której nie było widać wczorajszego szaleństwa opisywanego przez Dmuszewskiego.

Nikt nie próbował powstrzymać zamętu, wygasł sam z siebie. Ciszę przerwał Zawadzki.

- Czy mogę coś zaproponować? - spytał Dmuszewskiego, który wycierał sobie kark, i nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: - Jestem przekonany, że kiedy pani Dmuszewska wchodzi w drugim akcie, a pan Szymanowski mówi: „Słyszałaś, siostrze, jak bardzo Alba ceni twojego narzeczonego”, wtedy powinny zabić dzwony, a pani Dmuszewska powinna uklęknąć.

Szymanowski gwizdnął. Wszyscy patrzyli na Zawadzkiego, który z płonącymi oczami stał dumnie na scenie.

- Co pan mówi? - spytał Dmuszewski.

- To kluczowa scena! - krzyknął Zawadzki. - Gdy fatum po raz pierwszy spada na Kamillę! Nie wyjdzie bez bicia dzwonów! Już to omówiłem z panem dyrektorem.

- Dobrze - powiedział Dmuszewski. - Kontynuujcie beze mnie, ja składam rezygnację.

- Nie! - krzyknęła Konstancja. - Nie zostawiaj mnie samej!

Dmuszewski zatrzymał się w drzwiach, nie mógł się zdecydować, wyjść czy zostać.

Bogusławski wszedł na scenę, skinął na aktorów, zaklął brzydko. To podziałało, aktorzy z Dmuszewskim podeszli do Mistrza.

- Nie jestem dyrektorem - powiedział ponuro Bogusławski - ale jeszcze mogę być. Za moich czasów za podobną grę od razu byście wylecieli. A ty, mój królu - zwrócił się do Zawadzkiego - najpierw naucz się mówić, a dopiero potem wybałuszaj proroczo oczy.

Rozległy się chichoty; Zawadzki nie śmiał się odezwać.

- A teraz niech każdy mówi, jaki ma problem. Alfabetycznie. Dalej.

Aszpergerowa powiedziała, że na prośbę Osińskiego prócz roli Julii nauczyła się także roli Sabiny.

- Po co? - zainteresował się Bogusławski.

Nie wiedziała.

Konstancja nie chciała mówić.

Rutkowski wyraził przekonanie, że jeśli każdy zbierze wszystkie siły, to zrobią wiekopomne przedstawienie.

Rywacki złożył Mistrzowi i Dmuszewskiemu deklarację wierności.

Szymanowski wrzucił ramionami; chce grać, to jedyne jego życzenie, jeśli w ogóle jeszcze to kogokolwiek obecnie obchodzi.

Wąsowicz oznajmił, iż miałby kilka dramaturgicznych uwag o kluczowym znaczeniu dla sztuki. Mistrz poprosił, by przedstawił je przy innej okazji.

Zawadzki początkowo nie chciał nic powiedzieć, potem jednak wyznał, że pan dyrektor, wysłuchawszy jego koncepcji, wyraził aprobatę i przyrzekł, iż jeśli cokolwiek się stanie, powierzy mu reżyserowanie sztuki.

Większość aż syknęła.

- Szpicel - powiedziała głośno Żółkowska.

Zawadzki zajęczał, kucnął na ziemi i w tej pozycji oświadczył, że kieruje nim jedynie służba sztuce, a o jego umiejętnościach jest przekonany nie tylko pan dyrektor, ale również Iksowie.

Żółkowska snuła się przygaszona po scenie.

- Sabina jest piękna - powiedziała z bólem - a ja jestem brzydka. Czemu wszyscy chcą, żebym się na tym przejechała? Czemu? Niech gra ją Aszpergerowa. Albo niech Helena zostanie Sabiną. - Tu zwróciła się do Rutkowskiego: - Andrzej, porozmawiaj z Osińskim, niech twoja córka będzie Sabiną, mi wszystko jedno, ja się usunę na bok, poddam się, i tak stoję wszystkim na drodze!

Wybuchnęła płaczem.

Rutkowski taktownie milczał.

- Ja mu powiem - uspokoił ją Bogusławski. - Julia to żadna rola, każdy może ją

zagrać.

- Jeśli mogę coś dodać - wtrącił skromnie Werowski - to uważam, że obsadzenie pani Żółkowskiej w roli Sabiny jest świetnym pomysłem. Sabina jest tylko pozornie piękna. Ale byłoby jeszcze ładniej i bardziej wiarygodnie, gdyby ta nieatrakcyjna z wyglądu, ale piękna wewnątrz kobieta stała się przeciwwagą dla Kamilli! W mojej ocenie Kamilla jest rzeczywiście piękna z wyglądu, ale wewnątrz pusta! Tym samym tragedia Sabiny powinna wyjść na pierwszy plan zamiast Kamilli!

- O dobry Boże - powiedział Szymanowski. - Mamy wśród nas geniusza!

Werowski przygryzł wargi.

- Rozprawianie o urodzie pozostawmy osobom do tego powołanym - rzekł Bogusławski. - My jesteśmy tylko aktorami.

Zwolnił uspokojonych aktorów, mówiąc, że po obiedzie będą dalsze próby, a sam poszedł do Osińskiego.

- To strasznie ważne, że trzymamy się wreszcie razem - powiedział doń Osiński i prawie się rozplakał. - Jeśli będziemy sobie we dwójkę pomagać, nie będą mogli nic nam zrobić!

- Przekaż Aszpergerowej rolę Żółkowskiej - poprosił Bogusławski.

- Nie mogę.

- Powiedz, czy to prawda, że Aszpergerowa nauczyła się jej na twoją prośbę?...

- Bo drzę na myśl, że Żółkowska zrezygnuje...

- Więc czemu ją zmusiłeś? Czemu nie...?

- Nie mogę!

- Ale dlaczego?!

- Bo nie mogę! Nie wolno mi! Zabronili!

- Kto? Iksowie? Dlaczego im zależy, by Żółkowska się na tym wysypała?

Osiński wyskoczył zza biurka, podszedł do Bogusławskiego i objął go.

- Wojciechu - powiedział - uwierz mi, że na moim miejscu zachowałbyś się tak samo... Porozmawiaj z Fiszerem! Przyrzekasz? Porozmawiasz z nim?

Bogusławski nie rozumiał.

- Nie chce napisać tekstu!

- Jakiego tekstu?

- Tekstu arii! Porozmawiaj z nim!

- Ja słyszałem - powiedział Bogusławski - że ma to napisać Koźmian albo Niemcewicz...

- Nie napiszą! Niemcewicz przerzucił to na Fiszera...

- A czemu ty nie napiszesz?

Osiński zaśmiał się głośno:

- Bo chciałem! Rozumiesz? Ten, kto by chciał, nie może, tego, kto nie chce, zmuszają... To nowa linia. Taka. Właśnie. Porozmawiaj z Fiszerem!

Bogusławski spytał w bufecie Żółkowską, czy przespała się z jakimś Iksem. Nie obrazila się, tylko potrząsnęła głową.

- Nie rozumiem - mruknął Bogusławski. - To niepojęte...

- Może jednak mogłabym zagrać - powiedziała Żółkowska z nadzieją. - Nie jestem taka brzydka.

O drugiej Mistrz zaczął szukać Dmuszewskiego, by kontynuować próbę, ale nigdzie go nie było. Keller szepnął mu, że pana Dmuszewskiego wezwano do ministerstwa.

- Skąd pan wie? - spytał Bogusławski.

- Przyszli po niego żandarmi.

- Żandarmi?

- Widziałem z góry, jak go wzięli.

Bogusławski uniósł brwi. Przemknęło mu przez głowę, że poprowadzi próbę zamiast Dmuszewskiego, ale szybko uznał, że lepiej będzie zostawić to w spokoju.

Konstancję udało mu się znaleźć na korytarzu.

- Mnie to wszystko nie interesuje - powiedział. - Niech robią, co chcą, ale w ciebie włożyłem tyle pracy, że teraz muszę się uganiać za pieniędzmi.

- Będziesz ze mną próbować? - spytała Konstancja z nadzieją.

- Oczywiście.

Bogusławski wdrapał się do biblioteki. Keller zdjął binokle.

- Mistrz sobie życzy?

- Skąd pan widział, jak zabierają Dmuszewskiego?

Keller poczerwieniał, potem po krótkim wahaniu zdjął deskę z pochyłego stropu i przywołał Mistrza do szczeliny. Bogusławski stanął na taborecie i zerknął przez dach. Widział część placu od strony pałacu Krasieńskich.

- To pan tym się zabawia, panie Keller?

- Ja tylko - jękał się bibliotekarz - chciałem sprawdzić, czy widzę jeszcze na odległość po dłuższym czytaniu.

- No i widzi pan?

- Przez kilka minut muszę przyzwyczajać wzrok, a potem widzę.

- Jak pan wpadł na ten pomysł?

- To nie ja, Mistrzu, skądże - wykręcał się Keller. - W zeszłym tygodniu było tu kilku panów, to oni wyjęli deskę.

- Kilku panów.

- Trzech.

- Ciekawe. Przychodzili od tamtego czasu?

- Nie. Ale podejrzewam, że znów mnie odwiedzą.

- Z pewnością spodobała im się taka ilość książek - skomentował Bogusławski.

Na parterze natknął się na Plerscha. Plersch był rozbawiony, pod pachą trzymał sporej wielkości zwinięty jedwabny afisz.

- Będzie drukować nowy afisz - poinformował Mistrza.

- Kto?

- Osiński.

Rozwinął afisz przygotowany na premierę *Horacjuszy*.

- Ale dlaczego, jakiś błąd?

- Przyjrzyj się.

Bogusławski studiował afisz, ale niczego szczególnego nie odkrył.

- Nieziemski byk - chichotał Plersch. - Jeszcze nie widzisz?

- Nie.

- Dokądże to doszliśmy, nawet ciebie opuściła czujność! - wykrzyknął Plersch z zadowoleniem. - Wiesz, czemu trzeba jeszcze raz drukować? Bo zamieszczono inicjał każdego imienia.

- I co z tego?

- Tego nie wolno.

Bogusławski nie rozumiał.

- Przecież to proste - chichotał Plersch. - Osiński zobaczył, złapał się za serce i padł. Potem wyszedł z siebie. Głównie dlatego, że jest tu także inicjał imienia Dmuszewskiej. Inne, powiedział, mogą zostać, ale ten może spaść nam na głowę.

Bogusławski obejrzał inicjał imienia Konstancji, K, w porządku.

- No?! - spytał triumfalnie Plersch i zwinął afisz.

- Ale co za problem z tą literą?

- Cóż, tego nie powiedziano.

Bogusławski pośpieszył do domu Nacewicza, by napalić przed nadejściem Konstancji. Przed furką na próżno grzebał po kieszeniach, gdzieś zostawił klucz. Potem zauważył, że

zostawił także rolę starego Horacjusza, chociaż zawsze miał ją przy sobie na wypadek, że może czasem do niej zerknie. Obliczył, że zanim w teatrze - może w sali prób, może na górze w bibliotece - odnajdzie klucz i wróci na Świętokrzyską, Konstancja dawno już pójdzie sobie do domu, obrazi się, zacznie histeryzować i nie będzie się dało z nią rozmawiać. Postanowił więc, że poczeka przed domem i pójdą gdzieś, choćby pospacerować, może znów będzie dobrze.

Konstancja przysłała pewna siebie i elegancka, ale dobry humor ją opuścił, gdy dowiedziała się, że Bogusławski posiał klucz.

Wystroiła się maleńka, pomyślał Bogusławski, wzruszył się i przeklął swoje roztargnienie.

- Przejdźmy się - zaproponował, wziął Konstancję pod rękę i opowiedział o desce i afiszu.

To podziałało, Konstancja się oburzyła: jak to, dlaczego zdejmują inicjał jej imienia z afisza. Na większości afiszów pojawiała się jedynie jako pani Dmuszewska, bez imienia i bez inicjału, teraz jednak wyciągała zbyt daleko idące wnioski z tej ciężkiej dla siebie obrazy. Bogusławski uspokajał ją i cieszył się, że sprawa tak się potoczyła.

Dmuszewska nie wspominała o mężu, a Mistrz nie powiedział jej, co widział Keller.

Konstancja rozluźniła się; włóczyli się po ulicach; powiedziała, że przemyślała zaproponowane przez Zawadzkiego swoje pierwsze wejście na scenę, ale nie rozumie, po co miałyby bić dzwony i czemu ma przykleknąć. Bogusławski zalecił jej, by nie słuchała nikogo, zwłaszcza aktorów, którzy udzielają rad swoim partnerom bynajmniej nie z pobudek altruistycznych. Opowiedział, jak kiedyś Owiński próbował mu przeszkadzać swoimi ojcowskimi dobrymi radami; Bogusławski, wówczas kompletnie zielony, starał się grać zgodnie ze wskazówkami, ale był jeszcze zbyt słabym aktorem, więc jego wysiłki na nic się zdały i tylko dlatego nie wyłożył się tak bardzo w swoich pierwszych występach.

- Owiński też musiał być wielkim łobuzem - powiedziała rozbawiona Konstancja.

- Był wielkim aktorem - Bogusławski z szacunkiem skinął głową - bardzo dużo mu zawdzięczam. Większość moich trików pochodzi od niego i nadal jest skuteczna.

Opowiedział, że był świadkiem, jak Owiński doprowadził do porażki już wówczas błyskotliwą Truskolaską, przeciw której szczywany lis nic szczególnie nie miał, poza tym, iż jest kochanką bratanka króla.

- Próbowali najwyżej dwa, trzy razy, Owiński był do rany przyłoż, Truskolaska myślała, że stary się w niej zakochał. Później na spektaklu, kiedy stary skończył swą kwestię, a ona zaczynała swoją, cicho, by słycać było tylko na scenie, prawie nie otwierając ust,

powtarzał: ty zasrana kurwo, kiedy wreszcie skończysz?! Stałem wśród statystów, słuchaliśmy tego, purpurowi na twarzach, ale król także był na spektaklu, trzęśliśmy się i dusiliśmy ze śmiechu. Należy oddać Truskolaskiej sprawiedliwość, że jakoś dokończyła kwestię, potem szalała za kulisami, płakała, pobiła rekwizytora, chciała wydrapać oczy Owińskiemu, który przyrzekł, że już dobrze, raz wystarczy, w następnej scenie zostawi ją w spokoju. Oczywiście nie zostawił, tak było przez cały spektakl; kiedy Truskolaska wyjąkiwała do ucha obejmującemu ją Owińskiemu wyznanie miłosne, zwrócony w naszą stronę cicho mamrotał: ty zasrana kurwo, czy wreszcie skończysz?! Jednocześnie na jego twarzy widać było miłosne uniesienie. Potem Truskolaska dwa tygodnie chorowała.

- A jak ty byś się z tego wybronił? - zapytała Konstancja.

- Mam swoje sposoby. Myliłbym końcówki swoich kwestii, już po drugiej takiej pomyłce partner byłby skołowany.

- Niezłe - skwitowała Konstancja i roześmiała się swobodnie. Wrócił jej dawny, zmysłowy alt, nie ścieniała go już w nienaturalny szczebiot.

- No więc - powiedział Mistrz - tego nauczyłem się już w zespole Truskolaskiej, gdy chciała mnie w podobny sposób załatwić.

- Kiedyś to wypróbuję - powiedziała Konstancja z zapalem. - To musiał być wielki teatr, gdy zaczynałeś.

- Uhhh - powiedział Bogusławski. - Aktorzy już w wieku trzydziestu lat pluli krwią i nie mogli się ruszać z powodu reumatyzmu. Kiedyś jakiś chory na płuca statysta włamał się do magazynu francuskiej trupy w poszukiwaniu lekarstwa ratującego życie i zmarł w areszcie. To były wielkie czasy.

Był wieczór, gdy Mistrz odprowadził Konstancję do domu. W bramie prawie ze łzami w oczach dziękowała za spacer. Oboje dreptali niezdecydowanie, Bogusławskiego opuścił dotychczasowy spryt. Konstancja stała na pierwszym schodku, była teraz tylko nieco niższa od Mistrza, który opuścił głowę, nie umiał się zmusić, by odwrócić się na pięcie. Długo stali zmieszani i milczący.

- Ludwik z pewnością wrócił już do domu - odezwała się wreszcie Konstancja. - Nie wpadniesz na herbatę?

- Raczej pójdę nauczyć się roli - bąknął Bogusławski. - Już czas.

Konstancja weszła do bramy.

Mistrz sterczał tam jeszcze przez chwilę. Potem ruszył do domu.

- Koniec korepetycji? - spytała w domu Marianna. Stała na schodach w nocnej koszuli, wyglądała jak zasuszona. Bogusławski patrzył na nią z nienawiścią.

- Twój syn i wnuk mogą się przenieść do siebie - powiedział i minął ją w drodze na górę.

Następnego dnia knajpka była przepelniona. Dmuszewski dostał honorową eskortę, żandarmi śledzili każdy jego krok. Rano Konstancja zrezygnowała z roli, korowód żalów i niedomówień trwał. Osiński szalał. Może nie dojdź do premiery. Dmuszewski odchodzi. Dmuszewski będzie dyrektorem. Konstancja jest kochanką kogoś z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Aszpergerowa zagra Kamillę, Kudlicz zostanie wyznaczony na reżysera (dlatego drukuje się nowy afisz). Dmuszewski przemycał papierosy, stąd miał tyle pięciogroszówek, teraz wpadł. Szymanowski wyzwiał Werowskiego na pojedynek, który miał się odbyć po południu w ogrodach Frascati. Nie, będzie w Łazienkach, i to nie Szymanowski wyzwiał Werowskiego, ale odwrotnie. Powodem jest Dmuszewska, obaj się w niej kochają.

Bogusławski mógł sobie wyobrazić, jakie plotki krążą na temat jego i Konstancji.

Zieliński powiadomił wszystkich, że próba rozpocznie się z opóźnieniem, bo na jedenastą Osiński wyznaczył zebranie zespołu.

Cały teatr zebrał się w foyer, włącznie z muzykami i krawcami. Osińskiemu towarzyszyli Szaniawski oraz Lipiński, dyrektor był blady, ale najwyraźniej zdeterminowany.

- Znów staliśmy się elementem przetargów politycznych - cicho powiedział Żółkowski do Mistrza. - Miałeś jakieś przecieki?

Bogusławski potrząsnął głową.

Dmuszewski stał przy szatni, trzymał za rękę Konstancję. Patrzył tępo przed siebie, nie odpowiadał na powitania.

Sekretarz Unicki przytąszczył nieduży stół, stosik papieru, pióro i atrament, ustawił stół przy filarze.

Po przeciwnej stronie Fiszer dyskutował z kontrabasistą Portsmanem.

- Namówiłem Marię - powiedział Żółkowski - by nie zrezygnowała z roli... A może źle zrobiłem?

Bogusławski coś odburknął, obserwował Konstancję.

Osiński zaczął mówić o historycznej misji i tradycjach Teatru Narodowego, które zobowiązują. Złożył wyrazy uznania zespołowi. Nie powiedział za co. Dyrekcja, oznajmił, ustanawia odznaczenie Medal Teatru Narodowego. Brawa.

-...proszę więc osoby, które akceptują treść oświadczenia, o złożenie podpisów - zakończył Osiński.

Zapadła cisza, Żółkowski szturchnął Mistrza.

- O co chodzi? Co podpisać? - ocknął się Bogusławski.

- Właśnie mówi.

- Ach tak. Co powiedział?

Żółkowski uznał, że Mistrz stroi sobie żarty, i nie odpowiedział.

Tymczasem Unicki już wywoływał po kolei członków zespołu. Bogusławski rozejrzał się. Panowała cisza, wszyscy skamienieli. Patrzyli na technicznego od dekoracji, który podszedł do stolika, rozejrzał się, wziął do ręki pióro, potem, co widać było nawet z daleka, nakreślił na dokumencie krzyżyk. I stanął bezradnie z piórem w dłoni. Unicki ocknął się, podziękował, wziął pióro, dopisał coś na kartce, przypuszczalnie nazwisko robotnika, zaczął klaskać. Po chwili inni też bili brawo.

Wywołano Aszpergerów. Podeszli do stolika, podpisali. Oklaski.

Bogusławski usłyszał swoje nazwisko. Wszyscy na niego patrzyli. Chyba musi wystąpić. Wolno, dostojnie podszedł do stolika, Unicki podał mu pióro, w oczach miał strach. Mistrz pochylił się nad kartką i zaczął czytać zawierający jedno tylko zdanie tekst napisany ozdobnymi literami.

„Artyści, pracownicy i cały zespół Teatru Narodowego w Warszawie do Wielkiego Księcia Konstantego z najlepszymi życzeniami”...

Niewątpliwie mógłby to podpisać.

Wziął pióro i omal nie roześmiał się głośno. Co by było, gdyby narysował krzyżyk? Albo Iksa?

Tak powinien. Iksa.

Podpisał się zamasyście swoim nazwiskiem. Unicki klasnął w ręce. Towarzystwo biło brawo. Unicki uśmiechnął się z ulgą. Mistrz spojrział na Osińskiego, poblady dyrektor uśmiechnął się i skinął głową. Bogusławski z kamiennym obliczem wrócił na miejsce obok Żółkowskiego.

Kolej na Elsnera. Podeszedł do stolika, stanął i rozejrzał się niezdecydowanie. Powiało mrozem, Unicki spurpurowiał, popatrzył na zgromadzonych. Rozległ się szmer. Elsner nerwowo przestępował z nogi na nogę. Unicki jak zając pokicał do Bogusławskiego.

- Mistrzu, pióro...

- Ach tak, pióro... sądziłem, że mogę je wziąć na pamiątkę.

Żółkowski zaskowyczał z uciechy. Znowu rozległy się szmery, potem śmiech. Purpurowy Unicki odebrał pióro. Lipiński patrzył na Bogusławskiego wściekłym wzrokiem.

Teraz już podchodzono do stolika bez wywoływania nazwisk, poważna atmosfera przysła, przy stoliku zaczęły się przepychanki.

- Obłąd - stwierdził Szymanowski i poszedł się podpisać.

Unicki bez skutku próbował wprowadzić porządek.

Po zakończeniu aktu podpisywania podano wódkę. Osiński stuknął się kieliszkiem ze stojącymi obok Szaniawskim i Lipińskim, po czym znów wygłosił przemowę. Wzruszony nawiązał do sukcesu uroczystego spotkania zespołu i oświadczył, że dokument zostanie wystawiony w witrynie foyer, by dostojni goście przychodzący na premierę *Horacjuszy* mogli go zobaczyć pierwsi. Od tego momentu, dopóki istnieje będzie Teatr Narodowy oraz naród polski, deklaracja wierności będzie spoczywać w foyer.

Z inicjatywy Unickiego znów rozległy się brawa.

Osiński uznał spotkanie za zakończone, gdy o głos poprosił Zawadzki.

- Ale w jakiej sprawie? - zapytał dyrektor, przeczuwając coś złego.

- Korzystając z uroczystej chwili - odezwał się Zawadzki z płonącym wzrokiem i gwałtownymi ruchami zaczął odgarniać przydługie włosy - chciałbym złożyć dodatkową deklarację...

Widząc bezradność Osińskiego, szybko ciągnął dalej:

- Ze swojej strony uroczyste przyrzekam Wielkiemu Księciu... że od tej chwili nigdy więcej nie będę podpierać się suflerem. Każdy tekst będę umiał tak, iż nigdy, w żadnych okolicznościach go nie poplączę!

Rozległy się chichoty. Twarz Osińskiego spurpurowiała, ale nie miał odwagi przywołać Zawadzkiego do porządku.

- Bardzo dziękuję - powiedział zamiast niego Lipiński, po jego oczach było widać, że zaraz się wzruszy. - Oby wszyscy dążyli ku takiej ofiarności i sumienności, jaką deklaruje pan artysta Zawadzki!

Lipiński rzeczywiście się wzruszył.

- Proszę o brawa - odezwał się Osiński.

Wybuchły brawa, jakich jeszcze nie było, trudno było je przerwać. Zawadzki skłonił się i skromnie wycofał za filar. Nadal klaskano, Szaniawski rozglądał się ponuro.

Osiński chciał już uciec, ale zanim dobiegł do drzwi, Wolski krzyknął:

- Ja też mam propozycję! Wpiszmy to do akt!

Osiński był zmuszony się zatrzymać.

- Słuchamy, słuchamy! - wołała większość i od razu zaczęto bić brawo Wolskiemu.

- Teatr to niesłychanie ważna instytucja! - krzyknął Wolski. - W czasie pokoju warta tyle co cała armia!

- Właśnie! Dobrze mówi! - zawtórowali mu niektórzy, a najgłośniej Żółkowski.

- Proponuję - przekrzykiwał harmider Wolski - by wprowadzić w teatrze stopnie

wojskowe! Wielki Książę byłby szczęśliwy!... Rada dyrektorów będzie jak sztab wojskowy...

W powstałym zgiewku trudno było coś więcej usłyszeć.

Teraz już wszyscy śmiali się bez skrępowania. Unicki chwycił kartkę, przebił się przez tłum i dał drapaka. Osiński rzucił Wolskiemu aprobujący uśmiech i pośpiesznie wyszedł.

- Malinowski gdzieś przepadł - Bogusławski usłyszał oburzony głos Aszpergera. - Upija się. W takiej chwili! Sodoma i gomora...

Mistrz natknął się wzrokiem na Fiszera, który uśmiechnął się szyderczo i dalej głośno o czymś rozprawił. Szczeniak zrobił jakiś kawał, przemknęło Bogusławskiemu przez głowę, być może rzeczywiście podpisał się jako Iks.

- Potworne - usłyszał obok siebie głos Zielińskiego. - Zamiast próbować, tracimy czas na takie... różne...

Wystraszył się i połknął resztę zdania.

Bogusławskiemu zrobiło się go żal, ale nic nie powiedział.

- Gdyby był inny teatr - mrucał na korytarzu Szymanowski - dałbym się wyrzucić... ale cóż...

- Tam też trzeba byłoby podpisać - uspokajał go Mistrz.

W teatralnej knajpie obaj Macrottowie, ojciec i syn, spokojnie sobie popijali, gdy wparowała reszta. Bogusławski rozpytywał, kiedy będzie próba, ale nikt nie wiedział.

Szczurowski wyjaśniał, jakim znakomitym pomysłem jest deklaracja lojalności, już dawno trzeba było ją wymyślić, teatr lepiej by funkcjonował. Mistrz mieszał herbatę. Tyle czasu zmarnowała Konstancja zupełnie bez sensu. Czemu tak boli, że ktoś poniósł w ostatnich latach porażkę? Inni też przegrywali. Czemu ma się rozczulać właśnie nad Konstancją?

- Myśli mi umykają - wyznał Plerschowi, który się dosiadł. - Nie ma już we mnie dość egoizmu. Niedobrze.

Plersch pokiwał głową, to pewnie starość, sam tego doświadcza.

- Drukują już nowe afisze?

- Drukują.

- Nadal nie wiesz dlaczego?

- Nie.

W knajpce pojawił się Zawadzki w towarzystwie Wolskiego, obaj przepełnieni dumą podeszli do pana Bautza.

- Idioci - mruknął Bogusławski. - Tacy sami jak my; chcą odnieść sukces.

Plersch uśmiechnął się.

- Oni jeszcze tkwią w tym życiu - tłumaczył. - Dla nich jeszcze ma znaczenie... Jak pomyślę, że pół wieku temu o mały włos nie zostałem samobójcą, kiedy ten, jak mu tam... pomóż mi, wylatują mi z pamięci nazwiska... nieważne, kiedy rzeźbiłem księcia w kontrapoście, zaczął wrzeszczeć, że wygląda, jakby zwichnął sobie biodro, i rozwalił rzeźbę... to był drogi marmur...

- Jeśli nie będzie próby - powiedział Bogusławski, myśląc o sobie - powinienem pójść do domu. Zdechnę z nudów. Masz na to jakieś lekarstwo?

- Ano mam - powiedział Plersch. - Właściwie to się ucieszyłem, że muszę na nowo zrobić afisz... miałem na noc robotę... to była dobra noc...

Bogusławski nie wytrzymał długo solidarnego, przyjacielskiego utyskiwania. Mądrość jest czymś bezużytecznym, pomyślał i bez pożegnania wyszedł z knajpy.

Przy wyjściu dla aktorów zawrócił go pełen szacunku i bardzo zmieszany Zieliński. Zgodnie z poleceniem pana Osińskiego osoby występujące w *Horacjuszach* do godziny piątej muszą w każdej chwili być w pogotowiu i nie wolno im nigdzie wychodzić.

- Więc jednak będzie próba?

Tego Zieliński nie wiedział.

- Jesteśmy niewolnikami teatru - mruknął Szymanowski na korytarzu przy garderobach, gdzie wałęsał się znudzony.

- Z pewnością po to, byś nie pojedynkował się z Werowskim.

Szymanowski pogardliwie machnął ręką.

- Gdzie jest Dmuszewski?

Szymanowski słyszał, że razem z żoną sterczą w gabinecie Osińskiego.

- Zróbmy coś - zaproponował. - Przynajmniej przelećmy tekst.

Bogusławski nie miał ochoty.

- A ja bym chciał, żeby Mistrz mnie także dawał korepetycje - zauważył Szymanowski z lekką drwiną.

Bogusławski nie odpowiedział.

Dołączył do nich Wąsowicz, już we trójkę wałęsali się po korytarzu. Wąsowicz słyszał, że jakoś po południu odbędzie się próba generalna i obejrzy ją Osiński razem z Szaniawskim i Lipińskim. Wąsowicz na własne oczy widział, że Szaniawski sprawdził w pracowni wszystkie fragmenty dekoracji i odręcznie je oznaczył.

To ich rozpogodziło.

O czwartej po południu Zieliński w te pędy pozbierał aktorów na próbę.

Pełna wątpliwości Aszpergerowa wypytywała wszystkich, czy mają już kostiumy, bo

ona nie ma, Plersch o niej zapomniał, i co teraz, jak wyjdzie na scenę bez kostiumu.

Okazało się, że w tym zamieszaniu gdzieś się zawieruszyły projekty kostiumów, pracownia krawiecka niczego nie zrobiła, chociaż kilka tygodni temu Dmuszewski wszystko z nimi omówił.

- Ja nawet nie widziałem projektów - powiedział stanowczo Cieślak i mrugnął do Mistrza.

Chyba krawcy nie sabotują? - przeszło Bogusławskiemu przez myśl.

Na widowni pojawił się Dmuszewski w towarzystwie Elsnera. Osiński, Szaniawski i Lipiński na serdeczne zaproszenie sekretarza Unickiego zajęli miejsca w środku siódmego rzędu.

Pojawiło się kilku muzyków, snuli się bez celu.

- To zaczynamy - powiedział Dmuszewski apatycznie.

Elsner oznajmił, iż z taką liczbą muzyków wiele nie zrobi. Po ostrej wymianie zdań okazało się, że muzycy poszli sobie do domu, ich nie dotyczyło polecenie Osińskiego.

- Dlaczego nie zaczynamy? - spytał Szaniawski.

- Nie mam kim zagrać uwertury - Elsner wskazał kilku głupowato wyglądających muzyków.

- Nie będzie muzyki - oświadczył Szaniawski. - Proszę zaczynać.

Elsnera poniosło:

- Jak to nie będzie muzyki? Proszę? Skomponowałem uwerturę, skomponowałem arie, w ciągu dwóch dni, i proszę...

- Nie słyszał pan? - warknął Szaniawski. - Nie będzie arii. Proszę stąd wyjść.

- Nie będzie arii? - spytał zaskoczony Osiński.

- Nie - oświadczył Szaniawski. - Co ma być teraz?

- To wyjaśnimy sobie na górze - powiedział Lipiński pojednawczo.

- Tak? - spytał Elsner znacząco. - Tak? Proszę. Tak też dobrze. Proszę. Poszukajcie sobie kapelmistrza. Ja tu nigdy więcej...!

Wyszedł, trzaskając drzwiami.

- Nie trzeba było takim tonem - powiedział podniesionym głosem Osiński. - Skąd teraz wezmę takiego świetnego muzyka?!

- To już pańska sprawa - warknął Szaniawski. - Zacznijmy wreszcie!

Aktorzy wolno zeszli ze sceny. Nie wszystkie elementy dekoracji udało się ustawić, dziadzio Harazyn przepędził guzdrzących się robotników, dekoracje stały porozrzucane, tylko kilka znalazło się na właściwym miejscu. Zieliński spuścił kurtynę, potem ją podniósł.

Słysząc było wyraźnie zgrzytanie nienaoliwionych trybów.

- Każę to doprowadzić do porządku - zaklinał się Osiński na widowni. - Miano wymienić także korbę, ale nie znalazłem rzemieślnika...

Lipiński syknął.

Żółkowska i Aszpergerowa weszły na scenę, Żółkowska zaczęła mówić tekst.

Nie gań słabości, przestań obwiniać mą żalność,

Kogóż w takim nieszczęściu nie opuści śmiałość?

Gdy nieba zewsząd burzę zwiastują nam srogą,

Najtęższe umysły zatrwożyć się mogą.

Dusza męska, na wszystkie przeciwności śmiała,

Nielatwo by tu swoją dzielność zatrzymała.

- Zatrzymać się - rozległo się z widowni.

Żółkowska urwała, spojrzała na widownię, z różnych kątów powychodzili niewystępujący w tej scenie aktorzy. Szaniawski z plikiem kartek w rękę zerwał się z krzesła.

- Tu nie ma tego tekstu. - Wymachiwał kartkami. - Podobny, ale nie do końca. Kolejność też inna!

- Proszę dokładnie mówić tekst - polecił Osiński aktorce. - Nie ma suflera? Gdzie jest Wąsikowski?

- Tu jestem - Wąsikowski ukazał się z prawej strony.

- Proszę uważnie podpowiadać. Zaczynamy od początku.

- Ja dokładnie powiedziałam tekst - usprawiedliwiała się Żółkowska.

Wąsikowski poparł ją, oczywiście, tak samo ma w swoim egzemplarzu.

- Proszę mi go dać - rzekł Szaniawski.

Wąsikowski podszedł do prawego skraju sceny i podał mu tekst. Zapadła cisza, Szaniawski porównał pierwsze strony obu egzemplarzy.

- Nie są identyczne - powiedział złowieszczo.

- Jak to nie są identyczne? - Osiński zbladł i podszedł do Szaniawskiego. Dołączył do nich Lipiński, zaczęli przeglądać strony.

Po kilku chwilach Osiński krzyknął boleśnie zaskoczony:

- To stary przekład! Ten jest stary! Stary!

Zasłonił twarz dłońmi i odwrócony tyłem do widowni oparł się o barierkę kanału dla orkiestry.

Dmuszewski także podszedł i baranim wzrokiem patrzył na egzemplarz.

- Ja zwariuję, zwariuję - jęczał Osiński.

Szaniawski oświadczył ponuro, że dostał inny przekład i albo będą łaskawi zagrać zgodnie z jego tekstem, albo nie ma mowy o przedstawieniu. Aktorzy na scenie szeptali, że widocznie są dwa tłumaczenia i oni uczyli się nie tego, które przeszło przez cenzurę.

Zrozpaczona Żółkowska oznajmiła, że w ciągu tych kilku dni, które pozostały, nie da rady nauczyć się drugiego przekładu. Nowego tekstu owszem, ale podobnego już nie. Szymanowski wyraził identyczną opinię. Największe kłopoty są wtedy, gdy dwa teksty różnią się tylko nieznacznie.

- W tym przekładzie są lata pracy i męczarni! - krzyknął zrozpaczony Osiński. - A wygrzebuje się stary! Kto mi to zrobił? Kto się ośmielił?

Dmuszewski stał jak sparaliżowany, wytrzeszczonymi oczami gapił się przed siebie.

- Nie dopuszczam przedstawienia - powiedział Szaniawski.

Tym razem Lipiński nie zachował swojego ugrzecznionego stylu i posykując, zaczął dowodzić, że przedstawienie musi się odbyć, Szaniawski wie o tym tak samo dobrze, jak on.

- Nie biorę za to odpowiedzialności - powiedział Szaniawski. - Kto wie, co jest w tym tekście.

- Niech więc jaśnie pan go przeczyta - wysyczał Lipiński. - Za to wam płacą!

- A jak pan myśli - wyszczerzył zęby Szaniawski - ile czasu zabiera uważne czytanie? Ile nocy mi upłynie, zanim znajdę wszystkie podłe aluzje, by jaśnie pan mógł sobie z kolegami spokojnie spać? To nie pójdzie ot tak sobie, płacą mi za rzetelną pracę, jaśnie pan rozumie?

- Jest pan dyletantem, cenzorze Szaniawski - stwierdził Lipiński. - Mając tyle lat doświadczenia, nie potrafi pan przeczytać jednej sztuki! Dobry Boże, to dlatego jesteśmy tam, gdzie jesteśmy! W cywilizowanych krajach to nie do pomyślenia!

Szaniawski nie raczył odpowiedzieć; zamknął oba egzemplarze i wsunął je pod pachę.

- Proszę nie pisać raportu. - Osiński oprzytomniał i przestał lamentować. - Na pewno można to jakoś przeczytać... Unicki! Idziemy na górę! Bardzo proszę, panie Szaniawski...

Proszę poświęcić nam kilka minut...

- I kilka tygodni, i miesiące - powiedział Szaniawski. - Myśli pan, że pański teatr jest taki ważny? Korba skrzypi, to też moja wina? Niech pan uważa, panie Osiński, państwo kupi ten teatr za niewielką cenę!

- Nie mają prawa!

- Nie mają? - zaśmiał się Szaniawski. - Tak pan myśli?

Osiński złapał go za ramię i wyprowadził z widowni. Aktorzy mogli patrzeć już tylko na Lipińskiego. Czekali na jego wyjaśnienia albo polecenia. Lipiński zmieszał się i też wyszedł.

Dmuszewski stał półprzytomny na scenie, Konstancja podeszła do niego, ale nie wiedziała, co powiedzieć. Żółkowski zamknął usta, Żółkowska i Aszpergerowa próbowały dowiedzieć się od Zielińskiego, co mają robić, ale inspicjent tylko wzruszył ramionami.

- W burdelu jest większy porządek - oświadczył Szymanowski.

Werowski poczuł, że musi wtrącić: demokracja i tak jest lepsza od despotyzmu. Szymanowski skontrował: anarchia to pierwszy krok do terroru.

Rywacki się śmiał, innym nie było do śmiechu.

Bogusławski wahał się, czy podejść do Dmuszewskiego i przyznać się, że to on podsunął mu stare tłumaczenie. Szlachetny gest może by podziałał na Konstancję... ale to bez sensu.

Patrzył ze smutkiem na stojącą bezradnie Konstancję i wydawała mu się coraz piękniejsza.

Ich spojrzenia spotkały się; Konstancja zaczerwieniła się, w jej oczach zabłysła nienawiść. Bogusławski przygryzł usta, czując wewnątrz dziwną pustkę. Mruknął coś i zszedł ze sceny.

Na placu Krasieńskich potknął się o kamień i zaklął. Drażniły go nagie drzewa. Na wszystko patrzył wściekłym wzrokiem. Powinien się teraz upić.

Zmierzchało; pogrzebał w kieszeniach, przeliczył pieniądze. Zaśmiał się ponuro w duchu, zgrzytnął zębami.

Burdel też będzie dobry.

Na Nowym Mieście było kiedyś dużo burdeli, ruszył w tamtą stronę.

Niegdyś wąskie uliczki Nowego Miasta tętniły życiem. Jeszcze dziesięć lat temu przed niektórymi domami ustawiano lustra, które dziewczyny przybyłe z zagranicznych portów traktowały jako szyld swej profesji; czasami Bogusławski w wesołym towarzystwie odwiedzał to osławione miejsce, jego stosunki z dziewczynami miały jednak raczej charakter

przyjacielski, inni wyrzucali tu pieniądze.

Obejrzał domy. Nic się nie zmieniły, tylko ludzie zniknęli na zawsze. Gdyby nadeszło zmartwychwstanie, pomyślał, a wszyscy przyszli tu jednocześnie, na nowo zapełniłyby się wymarłe uliczki, Kazimierz Poniatowski znów zabrałby do powozu dwie nagie baleriny, w jednej, Sitańskiej, ten dawny Bogusławski był przez pięć minut zakochany, jakież dziwne uczucia miał wtedy on, ówczesny dyrektor teatru; byłby więc tu młodszy brat króla, pojawiłby się także jego bratanek, książę Józef, prosto z nurtów Elstery znowu jechałby nago na koniu przez całe miasto po bankiecie, wywołując zgorszenie, kompania słabo uzbrojonych żołnierzy słuchałaby rozkazów nagiego generała; przyszedłby tutaj prezydent miasta Węgrzecki, by zobaczyć, jak żyją dziewczyny, i wydałby tu znaczną część pochodzącej od zacnych rzemieślników sumy na budowę szpitali, a chore lub postarzałe dziewczyny umieściłby w lepszych klasztorach z uwagi na ich błogosławioną działalność związaną z turystyką zagraniczną w swoim mieście; zjawiłaby się Madame Vauban, wielka francuska kurtyzana, kochanka króla, arystokratów i Linowskiego - czemu nie miałyby się zjawić tu, gdzie być może nigdy nie była, w ramach zmartwychwstania i to byłoby możliwe; pani Witt również powstałaby z martwych w kwiecie wieku, niech i ona przybędzie, najpiękniejsza kobieta, którą kupiono na targu niewolników w Konstantynopolu, niechaj wróć z grobów jej kochankowie, z księciem Potiomkinem na czele, wlokącym się z płaczem na kolanach za idącą tanecznym krokiem Greczynką; nakryto ją kiedyś w łóżku z jego pasierbem; niech wyjdą z ziemi baleriny i śpiewaczki dawnego Teatru Narodowego, przekazywane sobie z rąk do rąk przez będących przy forsie miłośników teatru, którzy w starych, dobrych czasach rzucali na scenę mieszki pełne złota, niech opuszczą cmentarze, a jeśli nadal żyją, powinni z kamienną twarzą opuścić swoje przyzwoite rodzinne gniazdka, to żadna przyjemność grać przed głupcami bigota pilnującego moralności i przestrzegać ich córki przed chodzeniem w zakazane okolice; niech wróci atmosfera końca świata, znów warto ją przeżyć, człowiek nie potrafi już sobie przypomnieć, jaki był przed końcem świata, kiedyś; niechaj zjawią się wielcy karciarze, geniusze szachowi, magicy, hipnotyzerzy; gdzie zniknął ten półświatek, gdzie się podzieli autentyczni pozerzy, pełni fantazji kłamcy, gdzie się podziały trwające całymi dniami libacje i picie na umór, politykujący w burdelach jakobini o płomiennych oczach? Gdzie się podzieli ci pruscy, francuscy, rosyjscy, austriaccy, dalmaccy i hiszpańscy klienci, którzy z takim uznaniem mówili o miłych uciechach oferowanych w Warszawie - w ich słowa nikt nie wątpił, zwiedzili już kawał świata; gdzie się podzielała bezwstydną, bezczelną otwartość, gdzie się podziały pewne siebie dziewczyny? Przecież są tu jeszcze te domy, te same domy, te same ulice.

W którym domu uprawia się jeszcze w tajemnicy tę profesję?

Trzeba by kogoś spytać. Nie natknął się na lampiarzy, kilka biednie ubranych postaci przemknęło w pobliżu, nie dostrzegł kobiet.

Nawet to mi się nie uda, pomyślał ponuro.

Na końcu ulicy pojawił się jakiś mężczyzna. Dostrzegłszy Bogusławskiego, przystanął. Mistrz widział tylko jego sylwetkę. Może mnie zabić, przeleciało mu przez głowę. Okna pozamykane, bramy zatrzaśnięte. Na próżno wołałbym o pomoc.

Przeszedł na drugą stronę. Mężczyzna zrobił kilka kroków, znów przystanął.

Będzie, co będzie, pomyślał Bogusławski, lepiej atakować niż uciekać. Ruszył w stronę mężczyzny, ten się odwrócił, ale zatrzymał się przy jakiejś bramie.

Bogusławski szedł zdecydowanie. Brakowało mu jeszcze jakichś dwudziestu metrów do postaci w płaszczu, gdy usłyszał:

- Kogo ja widzę, Mistrz! Czyż nie?

- Jej, Pękalski - wyrwało się Bogusławskiemu.

Pękalski podbiegł do niego, uradowany niespodzianką; on też się bał, że dostanie nożem.

- No, to ja, mój królu - powiedział już pewny siebie Bogusławski.

- Czego Mistrz tu szuka? Chyba nie...?

Pękalski roześmiał się radośnie, wziął Mistrza pod ramię i zaprowadził do jakiejś bramy.

- Mistrz jest moim gościem - oświadczył i cztery razy zastukał antabą w kształcie głowy lwa. - Ależ nie, proszę nie protestować, jestem tu jak u siebie w domu, że się tak wyrażę... Ten dom należy do najlepszych... Często tu wpadam, z każdą dziewczyną jestem w dobrych układach, można z nimi szczerze porozmawiać... Och, żeby nie zapomniał, Mistrzu, te dziewczyny uwielbiają donosić, najlepsza kurwa ma szarżę majora... Tak mówią, poważnie. Poza tym to przemiłe stworzenie, przedstawię ją Mistrzowi.

Otworzyły się drzwi, w mroku bramy Bogusławski widział tylko rękę trzymającą kaganek, Pękalski wyciągnął drobniaki i włożył je do tej ręki.

- Proszę wejść, Mistrzu.

Usłużnie pomógł mu wspiąć się po kręconych schodach.

- Wódki! - wykrzyknął w przestronnym, stosunkowo gustownie urządzonej pokoju z kanapami i fotelami. - Proszę usiąść, Mistrzu! Tak się cieszę, że pana widzę. Szczerze mówiąc, wiele razy chciałem pana odszukać... - roześmiał się - ale tak jest lepiej. Wódki, hej tam!

Do pokoju weszła elegancko ubrana dama w średnim wieku.

- Madame - odezwał się uroczyście Pękalski - chyba nie muszę przedstawiać ojca polskiego teatru...

- Pan Bogusławski! - wykrzyknęła dama. - Jaki to zaszczyt...

- Pan Bogusławski jest moim gościem.

- Już wydaję dyspozycje - powiedziała dama i dyskretnie wyszła.

- Niech pan siada, Mistrzu. Proszę się tu czuć jak u siebie w domu.

Bogusławski zapadł się w fotel i przyjrzał się szczerzącemu zęby Pękalskiemu. Mój Boże, jak on schudł, coś mu jest... no tak, wypadło mu kilka zębów. Jakiś szary nalot na dziąsłach.

- Nie wyglądasz zbyt dobrze - powiedział.

- Eee tam... - mruknął Pękalski. - To wspaniały dom... oczywiście, już nie taki jak kiedyś. Wojsko odeszło, interes podupadł. Powszechny upadek i tu daje się odczuć, ale mimo wszystko... Ściągnąć dziewczyny?

Mistrz zrobił przeczący gest.

- Przypomnę im o picciu - powiedział Pękalski i wybiegł ożywiony.

Z pewnością to salon, pomyślał Bogusławski i rozejrzał się. Było zaskakująco czysto, na ścianach wisiały trzeciorzędne, ale stosunkowo mało kiczowate pejzaże, w oknie sympatyczna kotara, częściowo odsłonięta, okno za nią było zabite deskami. Pękalski miał rację, nie taki zły ten dom.

- To miejsce świetnie nadałoby się do grania - powiedział, gdy Pękalski wrócił.

Ten przytaknął i pokazał butelkę. Był to francuski koniak.

- Będę ci winien majątek.

Pękalski machnął ręką i zaczął się mocować z korkiem.

- Też już o tym myślałem - powiedział. - Prawdziwa mała scena. Tylko nie na farsy... Ewentualnie jakiś współczesny Lessing... Gdybym tylko miał dziesięć lat mniej... Tu marnują się wielkie talenty. Na zdrowie, Mistrzu.

Trącili się kieliszkami.

- Dawno nie byłem w burdelu - wyznał Mistrz.

- Ja zacząłem dość późno - odparł Pękalski. - Może dlatego nie potrafię się odzwyczaić... To ohydne miejsce, Mistrzu - wyrwało mu się i zamilkł.

Bogusławski przytaknął. Czuł się jakoś bezpiecznie z tym ruchliwym, niedużym człowiekiem. W pokoju było przyjemnie ciepło, w kominku płonęły szczapy. Madame nie wróciła. Z pewnością Pękalski poprosił ją, by nie przeszkadzała.

- Dobrze tu palą - roześmiał się Pękalski i pociągnął łyk koniaku. - Strach pomyśleć, co będzie z tymi dziewczynami... Są wśród nich ładne stworzenia... Po wsiach jeżdżą dobrze zorganizowani naganiacze, rodzice chętnie pozbywają się dziewczyn, bo to tylko dziewczyny, co z nimi zrobić... Innej możliwości nie mają, mogą zostać albo zakonnicami, albo kurwami... Ale klasztory są przepełnione. To wielki przemysł, Mistrzu, nie cackają się z dziewczynami, jak parę lat temu, jeśli któraś się wypali, ściągają następną... Wśród dostojnych artystów Teatru Narodowego jest kilku cwanych drani... na przykład Maleciński...

- Drugie skrzypce?

Pękalski przytaknął.

- Moim zdaniem milioner - powiedział. - Na zdrowie, Mistrzu.

Wypili.

- Czasem uczę dziewczyny czytać... opowiadam im bajki... mówię o światowej literaturze, żeby dowiedziały się o czymś pięknym, zanim wyciągną kopyta... W zeszłym tygodniu dostarczyli przepiękną dziewczynkę do haremu Okołowa, tak zdumiewająco inteligentną, fantastyczna pamięć, gdyby urodziła się gdzie indziej, mogłaby być cudem świata... Ale już zrezygnowałem z zamiaru, by się z którąś z nich ożenić. - Pękalski zaśmiał się. - Wydaję na nie wszystkie pieniądze, w ten sposób uspokajam nieco sumienie, że tak cholernie dużo płacą mi za lizusostwo. Jakby dzięki temu udało się nieco naprawić świat. Wypijmy, Mistrzu!

- Twoje zdrowie - powiedział z szacunkiem Bogusławski.

- Pamięta pan, Mistrzu? Kilka lat temu powiedział mi pan: „Beztalencie sprzeda się od razu, utalentowany po jednym dniu, geniusz po dwóch dniach”. Ja miałem tylko talent, teraz jednak honorują mnie jako geniusza. Doprawdy, chyba zasłużyli na to, by kiedyś w podły sposób ujawnić ich tajemnice. Szkoda tylko, że nie ma komu.

Pękalski znowu wypił, jego szara twarz z lekka poczerwieniała. Bogusławski przyglądał mu się z zadumą.

- Powiedz mi, Wojciechu - odezwał się - co to za szaleństwo wokół *Horacjuszy*?

Pękalski wybuchnął śmiechem.

- Dlatego chciałem pana odszukać... potem jednak nie zdecydowałem się na to. Ale skoro już się tak stało...

- Jak nie chcesz, to nie mów.

Pękalski wzruszył ramionami.

- Głupstwo. Trzeba uważać... Nie dotyczy to Mistrza, ledwo można to powiązać ze starym Horacjuszem... Kiedyś, gdy nie zaglądałem za kulisy, wydawało mi się, że wielką

politykę robią dorośli, dojrzały i mądrzy ludzie... chociaż i oni są tacy dziecinni... tacy głupi... Proporcjonalnie jest wśród nich tylu mądrych, ilu wśród szewców, dziwek albo aktorów... a i tam mądrzy nie decydują. Są wspaniałe postacie w historii ludzkości, czemu miałyby ich nie być, ale cała ta ludzkość jest umyślowo chora. - Pękalski wybuchnął śmiechem. - W tym burdelu powinien się odbyć ślub Joanny, to adekwatne miejsce... - Znów zaczął się śmiać. - Mówiąc krótko - dokończył - Wielki Książę żeni się z Joanną.

- Z kim?

- Z Joanną Grudzińską. Mistrz ją zna, była przecież aktorką...

- Kto się z nią żeni?

- Wielki Książę. Nasz własny, polski Wielki Książę. Konstanty.

- Nie żartuj, mój królu, on jest żonaty.

- Rozwodzi się.

- Z księżną Koburg? Aby się ożenić ze statystką?

- Dlatego trzeba wystawić *Horacjuszy*. Pojmuje Mistrz?

Bogusławski słuchał z rozdziawionymi ustami.

- Oczywiście. - Pękalski był nieco zniecierpliwiony. - Obłąd.

Bogusławski błyskawicznie przebiegł w myśli sztukę. Jeśli to prawda, to Wielkiego Księcia ucieleśnia młody Horacjusz, a Joannę Sabina; sztuka nie tylko jest aluzją do polsko-rosyjskiej unii personalnej, ale też bardzo konkretnie zmiata z powierzchni ziemi wszystkie Kamille.

Zaraz, pomyślał Bogusławski. To oczywiste, że postawny Szymanowski ma zagrać Wielkiego Księcia, musi to być jakiś przystojny aktor... i być może jakiś wpływ mógł mieć fakt, iż jego dziadek był Rosjaninem. A ja gram Czartoryskiego. I to jak!

- Ale żeby jakaś marna aktoreczka... - zastanawiał się głośno.

- A co, jej ojczym to zdeklarowany lizus... pan Broniec, właściciel ziemski. Jest pewne, że wcześniej był francuskim szpiegiem, Aleksander nie ma w zwyczaju zaszczycać uwagą ludzi bezwartościowych... Powstaje już drzewo genealogiczne Joanny, myślę, że wyskrobią z niej księżnę łowicką, otrzymałem już kilka poleceń...

- Ale co na to Prusacy?

- Nie ucieszą się. - Pękalski wzruszył ramionami. - Oczywiście jeśli wziąć pod uwagę, że księżna Koburg piętnaście lat temu uciekła z Petersburga, rozwód nie będzie trudny. Słyszałem niedawno, w noc poślubną Wielki Książę zastrzelił z łoża kilka żywych szczurów na cześć małżonki... Dobrze, co?

- Poniekąd - mruknął Bogusławski.

- Myślę, że kryje się za tym jeszcze kilka spraw osobistych. Swego czasu z księżną Koburg sypiał najmłodszy chłopak Czartoryskiego, może teraz czas ukarać go za to... Młody Konstanty Czartoryski złapał od księżnej Koburg trypra, księżna wyszła za mąż jako dziewica, ergo dostała trypra od Wielkiego Księcia.

- Ależ, proszę...

- Nowy kurs - powiedział Pękalski. - Być może Aleksander zrezygnuje z koalicji z Austrią i Prusami... Może chodzi o Galicję, ale możliwe, że o Turcję. Moim zdaniem Święte Przymierze w każdej chwili może się rozlecieć, gdy każdy się tak zbroi, to może się skończyć wojną rosyjsko-austriacką... Niezłe pociągnięcie, Mistrzu. Poza tym Polacy do szaleństwa będą uwielbiać Wielkiego Księcia. Jeśli przypadkiem Aleksander wykituje, rosyjską carycą będzie Polka. Jakaż to obiecująca perspektywa!

Oślupiały Bogusławski kręcił głową.

- Coś się nie zgadza - powiedział. - Roli Joanny nie może zagrać brzydka kobieta.

- Chodzi o Żółkowską?

- Tak. To kompletnie niemożliwe. A jednak Osiński upiera się przy swoim, chociaż Żółkowska chce zrezygnować z roli.

Pękalski wzruszył ramionami.

- To idioci - powiedział z głębokim przekonaniem. - Czemu Mistrz sądzi, że znają się na teatrze? Kiedy dostali baty, dzień i noc naradzają się, jak powinna wyglądać obsada, jakie zdanie poboczne powinno się znaleźć w recenzji po zdaniu głównym... Długie tygodnie pracuje nad tym całe Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Już dwa tygodnie temu dostałem tekst recenzji z mnóstwem pieczętek wielu wydziałów wewnętrznych. Oni myślą o wszystkim... - roześmiał się Pękalski. - Wie pan, jak przywrócono Joannie błonę dziewiczą? Wysłali Zdanowicza w cieplejsze okolice... bo on był jej ostatnim kochankiem przed Wielkim Księciem... Oni są przezorni, Mistrzu!...

- Powiedz mi, jak według recenzji zagrałem na premierze?

- Wspaniale, Mistrzu, wspaniale i z dostojeństwem. Szczególnie chwali się pełną godności prezencją Mistrza i znakomitą dykcją.

Bogusławski czuł, że Pękalski rzeczywiście cytuje napisaną recenzję.

- Więc dlatego trzeba było wydrukować nowy afisz - domyślił się.

Pękalski spojrział na niego pytająco.

- Zdjęli inicjały imion. Nie mogło być na nim imienia Dmuszewskiej. Konstancja... zbyt podobne do imienia Wielkiego Księcia.

Bogusławski potrząsnął głową, śmiał się zdziwiony.

- Oczywiście - powiedział Pękalski i machnął ręką - coś jeszcze może się zdarzyć. To znaczy ze strony Wielkiego Księcia. Za Boga nie chce zerwać z Fifiną, swoją kochanką, najszybsi posłańcy tym się teraz zajmują, Konstanty błaga Aleksandra, by mógł zatrzymać Fifinę obok Joanny, Aleksander jednak wyznaczył już nowego męża Fifiny, jakiegoś Weissa, oficera. Fifina miała się też wynieść z pałacu Brühla, ale Konstanty nie pozwala, histeryzuje... Niemcewicz przepada za Joanną, pewnie chciałby się z nią przespać, zawsze mu staje, gdy kobieta zajmuje wysoką pozycję, słowem, Niemcewicz utrzymuje, że Wielki Książę sprzątnie Joannę, zanim ją poślubi... w osiemset drugim to samo zrobił z pewną damą nazwiskiem Araougeot. Tak więc wszystko może się jeszcze zdarzyć. Czemu, do diabła, spóźniają się z tym jedzeniem? Już pół godziny temu zamówiłem...

Pękalski zerwał się i wyszedł.

Bogusławski siedział nieco skołowany w fotelu, nierzeczywiste wydawało mu się nie tylko to, co powiedział Pękalski, ale też pokój, w którym padły te słowa. To, co usłyszał, można było powiązać w logiczną całość, ale poczuł, że stoi z boku, nie ma z tym wiele wspólnego, na darmo napisali już recenzję o jego występie. Chichotał, choć nie miał dobrego humoru, mruzczał urywki melodii, bębnił palcami po obiciu fotela, wziął do ręki pusty kieliszek i patrzył przez niego, mrugając oczami.

Nieszczęsna Grudzińska. Zwariuje od tego.

Pękalski wrócił z młodą, rozczochraną dziewczyną o nalanej twarzy, wszedł do pokoju, trzymając ją za rękę. Miała na sobie długi, wyświechtany płaszcz; popatrzyła na Bogusławskiego bez wyrazu.

- To jest Danuta - powiedział Pękalski. - Nieszczęśliwa dziewczyna, półsierota... nieważne. Moim zdaniem dałoby się zrobić z niej aktorkę... to jeszcze dziecko. Czy nie mógłby pan czegoś dla niej zrobić, Mistrzu? Danuto, przywitaj wujka.

- Dobry wieczór - powiedziała dziewczyna i niezdarnie dygnęła.

- Przysięgam, Mistrzu, ta dziewczynka nie urodziła się, by zostać kurwą. Z pewnością można jej jakoś pomóc... Proszę, Mistrzu...

Pękalski puścił jej rękę, podszedł do drzwi, odwrócił się niezdecydowanie.

- Jest ich tu jeszcze sporo, nie tylko Danuta...

Bogusławski z uczuciem mdłości patrzył na tę dziewczynkę z nalaną twarzą, teraz najchętniej by uciekł. Pękalski wrócił do stołu, zbił pustą butelkę, w kącikach jego ust pojawił się przepraszający, nieśmiały półuśmiech. Bogusławski dostrzegł, że jest już pijany.

- Nawet teraz jeszcze się kontroluję - powiedział Pękalski ze znużeniem. - Nigdy nie potrafię do końca się upić... - Zaśmiał się głośno, Danuta patrzyła na niego obojętnie. - Zaraz

będzie żarcie, do tego czasu wleżę do pieca...

Bogusławski wstał.

- To bardzo dobry piec - zapewniał Mistrza Pękalski. - Pół godziny wystarczy. Jest już dobrze napalone.

Mistrz nie rozumiał.

- Chyba już pójdę, jeśli się pan nie pogniewa - powiedział.

Pękalski złapał go za rękę.

- Chodźmy, Mistrzu - zaczął go ciągnąć - nie widział pan jeszcze pieca...

Wyciągnął go na korytarz, w ciemnościach też dobrze się orientował, pchnął jakieś drzwi. Bogusławski wzdrygnął się, z pokoju buchnęło duszące gorąco. Palily się dwa, trzy kaganki, a w piecu stojącym na środku pokoju, znacznie większym niż normalny, palił się ogień. Rozebrany do koszuli mężczyzna rozgrzebywał polana, obok stała wielka balia pełna wody. Po chwili Mistrz zauważył w kącie dwie dziewczyny, które mieszały coś w drugiej bali.

- To najlepszy dom w całej Warszawie - powiedział Pękalski i zaczął się rozbierać. - Pół godziny wystarczy, da się jakoś wytrzymać...

Rozebrał się do naga, jedna z dziewczyn zgarnęła jego ubranie i położyła na krześle. Pękalski był chudy jak szkielet, w migotliwym świetle kaganków widać było jego kości sterczące przez skórę. Dwie dziewczyny zacerpnęły z bali jakiejś gęstej masy i wysmarowały nią ciało Pękalskiego. Palacz grzebał w ogniu i naciskając nogą miech, rozniecał płomień.

Pękalski powąchał balię z wodą.

- W tej wodzie już ktoś się kąpał - rzekł z oburzeniem.

- Ale gdzie tam, panie redaktorze - powiedziała druga dziewczyna, wycierając szmatą rękę.

Pękalski jeszcze przez chwilę obwąchiwał balię, potem westchnął i podszedł do pieca. Palacz otworzył z boku jakąś szczelinę. Pękalski, ku zdumieniu Bogusławskiego, wlaźł w szczelinę, palacz zatrzasnął pokrywę.

Bogusławski ocierał pot i z trudem łapał powietrze. Dziewczyny nic nie mówiły, palacz dalej naciskał miech. Trzeszczał ogień, Pękalski głucho charczał. Na ziemi między jakimiś błyszczącymi kulkami, obok stojącego kaganka łąziły trzy ogromne karaluchy.

- Jeśli wyciągnę kopyta choćby kilka miesięcy później - słyszał głos Pękalskiego dobiegający spod sufitu - to jest tego warte...

Bogusławski spojrzał w górę, widział tylko sufit. Powoli zrozumiał, że piec ma

podwójną ściankę i Pękalski nie wślizgnął się do ognia. W pokoju rozchodził się coraz większy smród, ledwo można było oddychać.

- Rtęć oczyści moją krew - słyszał spod sufitu charczący głos Pękalskiego stapiający się z traskiem szczap - chociaż ja w to nie wierzę... - Pękalski zaśmiał się głucho. - Proszę wejść, Mistrzu... gotujmy się na drugi świat...

Jeden karaluch doszedł do błyszczącej kulki, kulka się potoczyła. W piecu zapadła cisza; Bogusławski wyobraził sobie, że dwa kroki od niego, za ścianą, ciało Pękalskiego zaczyna się zwęglać, zluszczona skóra odpada, kości zaczynają trzeszczeć, za chwilę głowa oderwie się od poczemialej, cienkiej szyi, a potem z głuchym stukiem spadnie mu pod nogi.

Przeszedł go dreszcz, jedna z dziewczyn podeszła do niego i podała mu rękę. Patrzyła apatycznie wielkimi, pustymi, czarnymi oczodołami, jak Bogusławski sięga po płaszcz.

Dopiero na ulicy poczuł się lepiej. Oparty o ścianę oddychał głęboko, uczucie mdłości powoli ustępowało. Spojrzał na dach domu i pociągnął nosem, przekonany, że poczuje zapach palącego się ludzkiego mięsa. Kiedy nieco doszedł do siebie, uświadomił sobie, że otwierającemu bramę wcisnął do garści wszystkie pieniądze, pewnie był to palacz, i że na krętych schodach krzyczał, że chce wyjść, poręcz paliła go w rękę.

Dotarł do domu o świcie, Marianna czekała, nie śpiąc. Bogusławski przygotował sobie gorącą kąpiel i spędził w balii pół godziny. Marianna usłużnie polewała mu plecy podgrzaną na piecu wodą. Parskał z rozkoszy, a Marianna o nic nie pytała, szczęśliwa, że Mistrz się odnalazł, nie opowiadała, ile razy widziała go w nocy jako ofiarę przeróżnych rodzajów śmierci.

Na dziesiątą dowlókl się do teatru. Na bramie budynku jaśniał już nowy, właściwy afisz. Przy wejściu dla aktorów wisiał nowy komunikat: do czasu kolejnego zawiadomienia wszyscy aktorzy od początku próby aż do zakończenia wieczornego spektaklu mają obowiązek przebywać w gmachu teatru, niezależnie od tego, czy danego dnia mają próby, czy grają.

- Nie wywieszają deklaracji lojalności - powiedział cicho Żółkowski w knajpie. - Niech pan sobie wyobrazi, Mistrzu, przeliczono podpisy i wyszło o trzynaście więcej, niż powinno...

- Ki diabeł? - rzekł ubawiony Bogusławski. - Kto je spłodził?

Żółkowski nie wiedział. Dziadzio Harazyn zauważył rozmnożenie się podpisów, to on miał oprawić w ramki deklarację.

Bogusławski zamyślił się.

- W takich razach nawet skrupulatność bywa grzechem - orzekł.

Malinowski wściekał się na komunikat, nie podporządkuje się, i tak sobie teraz pójdzie. I poszedł, a zaraz potem przyprowadziło go trzech żandarmów. Wejścia dla aktorów pilnowali bileterzy, a na ich krzyki zjawili się żandarmi. Do czego to doszliśmy, szeptano w bufecie, już nawet bileterzy i pilnujący łóż robią z nami, co chcą.

Próba odbyła się w obecności Osińskiego i Henryka Macrotta, w porównaniu z obłędem wcześniejszych dni przebiegła bardzo spokojnie. Konstancja popiskiwała, Dmuszewski dał sobie z nią spokój. Zrobiło się małe zamieszanie, gdy Zawadzki zaczął mówić tekst nowego przekładu, a Osiński wcale się nie ucieszył i przywołał go do porządku.

Z pewnością Szaniawski całą noc przesiedział nad starym przekładem.

Muzycy przynieśli wiadomość, że przybył car, wiele hałasu przy tym nie było, tylko wojsko stało w szpalerze aż do zamku; brama triumfalna była gotowa, ale car nie przejechał pod nią na koniu, śpieszył prosto do zamku, gdzie, jak mówią, oblegli go interesanci.

W knajpce pito w oczekiwaniu na koniec opery Nicola, by wreszcie można było pójść do domu. Bogusławski popijał spokojnie, podczas gdy inni trzeźwili co godzinę, by znów się upić. Jediną osobą, która o coś go spytała, była Żółkowska: czemu właśnie ona ma grać Sabinę, czy Mistrz tego nie wie?

- Nie uwierzy pani - powiedział szczerze Bogusławski - ale nie mam pojęcia.

Żółkowska rzeczywiście nie uwierzyła.

W knajpce węszyli bileterzy i pilnujący łóż, sprawdzali stan osobowy. Szymanowski lżył ich matki, to już koniec, nastąpiła dyktatura bileterów.

- Mógł król przyjechać sobie kiedy indziej - mrucał Żółkowski z przekrwionymi oczami. - Naprawdę przyzwyczailiśmy się już do czolobitności, po co to wszystko?...

- Właściwie to jestem obrażony do żywego - powiedział Bogusławski. - Przy takich okazjach zawsze graliśmy *Cud mniemany*... - Z niezadowoleniem pokręcił głową.

Kiedy występujący w operze Nicola napłynęli wreszcie do knajpy, wszyscy wypadli wyjściem dla aktorów. Na ścianie wisiało nowe obwieszczenie; za dwa dni, w dniu premiery *Horacjuszy*, wszyscy pracownicy teatru, rekwizytorzy, krawcy, dekoratorzy itp., jak również aktorzy niewystępujący w przedstawieniu są bez wyjątku obowiązani „przebywać we właściwych dla siebie miejscach” i nawet choroba nie zwalnia nikogo z tego obowiązku. Łamiących zarządzenie dyrekcja będzie zmuszona przekazać żandarmerii.

Przed ostatnią próbą generalną, przed południem w przeddzień premiery, występujący aktorzy do upadłego uczyli się w knajpie tekstu. Bezgłośnie poruszając ustami, z pustym wzrokiem powtarzali swoje kwestie, kilka osób jednocześnie pytało Wąsikowskiego, czy dobrze mówią; sufler biegał od jednego do drugiego zrozpaczonego aktora. Panika ogarnęła

także Bogusławskiego, chociaż dwa dni temu wykuł się tekstu, a Marianna z dziesięć razy musiała go przesłuchać. Aktorzy niewystępujący w przedstawieniu z przerażeniem spoglądali na kolegów i cicho złopali wino pana Bautza.

Jednocześnie Zieliński wzywał pojedynczo aktorów do przymierzenia kostiumów, bo dopiero teraz były naszykowane; dziadzio Plersch wysiadywał w knajpie i kiwając głową, ze spokojem przyjmował zastrzeżenia powracających z przymierzalni aktorów, no tak, tu za ciasno, tu za długie, tu pije, nie szkodzi, moje dziecko, wytrzymasz. Dmuszewski jęczał bezgłośnie w udręce, ale nie mógł nic zrobić. Jedynie Rutkowski nie narzekał na kostium; Bogusławski zarzucił na siebie zbyt obszerną pelerynę i ściągnął ją paskiem wyciągniętym ze spodni; był ciekaw, czy ktoś coś powie, ale nikt nic nie powiedział.

Przed próbą, kiedy wszyscy już byli na scenie, Osiński oznajmił, że będzie ciąć tekst. Aktorzy wpadli w cichą rozpacz. Szymanowski mruknął, że Mistrz jeszcze przed próbami porobił wszystkie skróty, i teraz, proszę, na próżno się tego wyuczyl, zmieniają się także końcówki kwestii.

Osiński siedział z egzemplarzem w ręku do końca próby, każdemu powycinał kilka linijek, minęła prawie godzina, zanim naniesiono poprawki na swoich tekstach oraz na egzemplarzu Wąsikowskiego. Dmuszewski siedział wyczerpany na krześle i spał z otwartymi oczami. Później Osiński wezwał Konstancję, by powiedziała cały swój tekst sama.

- To my sobie pójdziemy - powiedział Rywacki.

- Wszyscy tu zostaną! - ryknął Osiński.

Konstancja powiedziała tekst, rzecz jasna, pomyliła kolejność, Osiński i Wąsikowski nerwowo kartkowali egzemplarze, próbowali nadażać za przeskokami.

Pod koniec Konstancja się rozzłościła i swój ostatni monolog wykrzyczała do Osińskiego:

Rzym... dziś największa serca mojego odrazo,

Dla któregoś w kochanku mym skrwawił żelazo!

Rzym, który tak kochasz, a ja nienawidzę,

Którym, że ciebie wielbi, tym bardziej się brzydzę...

Niech się na niego wszystkie sprzysięgną sąsiady,

Niechaj słabego państwa podkopia zasady;

A jeśli małe siły włoskiego narodu,

Niech powstaną mieszkańcy Zachodu i Wschodu,

Niech nań wzruszą ludy z obu krańców ziemi,

Niech przejdą góry, morza, siłami wszystkimi!

Niech bogowie skargami mymi zapaleni

Spuszczą nań grad piorunów i potok płomieni!

Bogusławski, nie czekając końca monologu, zaczął klaskać.

- Brawo! - krzyknął. - Tak trzeba to powiedzieć!

Zaczerwieniona Konstancja stała, dysząc, przy rampie i pogroziła pięścią siedzącemu bez ruchu przerażonemu Osińskiemu. Dmuszewski wbiegł na scenę i z wielkim trudem uspokoił żonę. Wtedy Osiński oznajmił, że monolog wylatuje.

- Czemu więc ginie zabita przez brata? - spytał Bogusławski. - Przecież po tym monologu tak się rozżłościł...

- Nie interesuje mnie to - powiedział Osiński. - Niech ją zabije bez tego.

- A ja po niej mówię - odezwał się Szymanowski - „To nadto!” i zabijam ją. Ale jeśli nie powie monologu, po co mam mówić „To nadto!”?

- Co sobie chcesz - oświadczył Osiński. - Możesz to powiedzieć także po jej wcześniejszej kwestii.

- To nie ma sensu - odparł Szymanowski. - Tam jeszcze nie mówi takich bluźnierstw.

- Nie szkodzi. Zabij ją wtedy.

- Czemu powiedziałaś to tak dobrze?! - napadł Szymanowski na Konstancję, gdy Osiński opuścił już widownię. - Jak mam teraz powiedzieć „To nadto!”? Nie mam powodu do wzburzenia! Nie dam rady zebrać się w sobie! Naprawdę mogłabyś powiedzieć to gorzej!

Zanim zeszli ze sceny, w foyer ustawiono już gablotę z deklaracją lojalności.

Dmuszewski obejrzał ją i poszedł do knajpy z wiadomością: tekst ten sam, ale przepisany na nowo, pod nim żadnego podpisu, tylko „Zespół”.

Ale w knajpie poza panem Bautzem nie było żywego ducha. Bautz, mrugając, znacząco wskazał głową suterенę. Więc wszystkich tam zamknięto. Po czym pan Bautz wyraził żal, że nie może niczego podać, gdyż jedzenie i picie „musi znieść na dół”.

- Ale bardzo pilnują, byśmy się nie upili - mruknął Szymanowski.

Na schodach prowadzących na piętro obserwowało go kilku obcych panów. Bogusławski był pewien, że punkt obserwacyjny pana Kellera zajęty już osoby do tego powołane.

Grający w *Horacjuszach* mogli pójść jedynie do garderoby. Gdy schodzili na dół, wejściem dla aktorów akurat wprowadzano podchmielonego Nacewicza; cywile nawet nie popychali starego, podążali za nim naprawdę z szacunkiem, mimo to aktorzy przyglądali się temu z przerażeniem. Było jasne, że wyłapią wszystkich, którzy nie zdążą do teatru na dziesiątą.

- Nie chodzi nawet o to, że jesteśmy więźniami - powiedział cicho Szymanowski. - Raczej o to, że tak łatwo, na jedno słowo...

Żółkowska wyjrzała przez drzwi wejściowe, ale na placu, o ile mogła zobaczyć, panował spokój. Zawadzki bardzo odważnie próbował wyjść, ale w mgnieniu oka sześć rąk naraz wepchnęło go do środka. Z zakłopotanym uśmiechem poprawił płaszcz; Bogusławski wyszczerzył zęby.

- Bandy grasują po Warszawie - usłyszeli za sobą głos sekretarza Unickiego - dlatego dyrekcja postanowiła, że w dbałości o zdrowie członków zespołu...

Patrzyli na niego z pogardą, Unicki zmieszał się i ulotnił.

Z sutereny dobiegł ich stłumiony śpiew; tamci już się upili.

- Ciekawe - powiedział Bogusławski do Szymanowskiego, który odprowadzał go do garderoby - teraz, kiedy nie ma Kudlicza i nikt nie pędzi po korytarzach, w teatrze wszystko jakby wymarło... został tylko sam gmach... i zamknięto nas w muzeum.

Szymanowski nie odpowiedział, nabrał wody w usta. Pijacki śpiew brzmiał upiornie: dusze dawno zmarłych powróciły do martwego budynku. Poza tym było cicho i zimno. Domyślili się, że Osiński zamknął w suterenie także palaczy, nie pomyślawszy, że przestarzałe piece żeliwne w kilka chwil zrobią się zimne.

Wcześniej zapadł mrok; Bogusławski zapalił wszystkie kaganki znajdujące się w garderobie i ogrzewał nad nimi ręce. Przeszukał szafę Kudlicza, ale nie znalazł nic do picia. Mruknął coś o grzesznym zapominalstwie dyletantów. Szymanowski zaśmiał się. Przez jakiś

czas siedzieli w paltach, milcząc, uszmkowani i w kostiumach, których nie zdjęli po próbie.

Malutkie, umieszczone tuż pod sufitem zakratowane okno garderoby wychodziło wprawdzie na plac Krasieńskich, ale na tę jego część, która znajdowała się po przeciwnej stronie głównego wejścia do teatru, tam, gdzie w normalnych okolicznościach mało kto się pojawiał z powodu sięgającego po kostki błota; teraz nikt tamtędy nie przechodził i na próżno wypatrywali oczy.

- W tym roku Dzień Zaduszny nadszedł miesiąc wcześniej - odezwał się Bogusławski.

Szymanowski przytaknął. Kaganki paliły się jakby dla dawnych aktorów oraz tych, których dusza pół piętra pod nimi śpiewała coraz słabszym głosem.

- Karolina Stefani - powiedział Bogusławski.

- Petrasch-Dmuszewska - powiedział Szymanowski.

- Pawłowicz - powiedział Bogusławski. - Ależ wielki aktor mógłby być z niego!

Na przemian wymieniali nazwiska zmarłych.

- Pamięta pan, Mistrzu? - spytał cicho Szymanowski po chwili milczenia. - Jeszcze rok temu...

- Ummm.

Mistrzowi też przyszedł na myśl Dzień Zaduszny sprzed jedenastu miesięcy, kiedy wesoło odprowadzali go na Miodową. Jakże to było dawno.

- Dziwne - powiedział Szymanowski. - Teraz czuję, że muszę wszystkim przebaczyć. Także tym występującym przeciwko mnie. Jakby żadnego znaczenia nie miały dawne urazy... umarli także ci, którzy mnie skrzywdzili... Wszystko przemija bez śladu. Ja też przeminałem.

- Nie popadaj w taki nastrój - przestrzegł go Mistrz. - Wieczorem grasz.

Szymanowski spojrzał nań z wdzięcznością.

- Wie pan, Mistrzu - powiedział po krótkim milczeniu - żał mi tych, którzy pana nie poznali. U Francuzów suflerzy co roku wydają historię zakończonego sezonu... i jeszcze na tym zarabiają. Trzeba poprosić Wąsikowskiego, żeby napisał... opisał kreacje Mistrza...

- Jeszcze tego by brakowało - roześmiał się Bogusławski - żeby jakiś sufler uwiecznił mnie dla dumnych potomnych!... Lepiej niech to będą Iksowie.

- Być może my też jesteśmy potomnymi - zastanawiał się Szymanowski. - Często czuję, że to my zawsze wracamy... nie potrafię tego dokładnie wyrazić... ale jakby cała historia należała tylko do żywych... jedyne, dziejące się stale Istnienie... jedyne, dziejące się stale zmaganie ze zmarłymi... nie potrafię szczerze żałować zmarłych, bo czuję jedno: ich nie ma... - Zmieszany, machnął ręką: - Niech aktor nie próbuje myśleć, prawda, Mistrzu?

Długo milczeli, potem z inicjatywy Bogusławskiego zaczęli sobie przepowiadać role.

Zieliński już o szóstej obszedł garderoby i wezwał wszystkich na scenę. Po aktorach jakoś nie było widać przedpremierowego napięcia, w opustoszałych korytarzach dało się słyszeć tylko dudniący echem odgłos kroków. Zbyt wiele było zawracania głowy na próbach, w zespole brakowało wzajemnego zrozumienia i entuzjazmu; choć wszyscy wiedzieli, że premiera ma większą wagę niż zwykle, jakoś tego nie czuli.

Po wpół do siódmej za opuszczoną kurtynę dobiegła narastająca w foyer wrzawa. Przez otwór w kurtynie patrzyli na publiczność, wybranych, eleganckich ludzi, ale na widowni nie czuło się atmosfery napięcia.

- Pewnie będziemy mieli nudną publiczność - powiedziała Żółkowska nieco uspokojona.

Obserwowali głównie lożę królewską, ale nie było śladu cara ani Wielkiego Księcia, gwardziści straży przybocznej też się nie pojawili. Przyjdą w ostatniej chwili, szeptano między sobą. Kiedy Zieliński pogończył ich za kulisy, loża królewska ciągle świeciła pustkami.

Kurtyna poszła w górę, Żółkowska i Aszpergerowa rozpoczęły sztukę, a w loży królewskiej nadal nie było nikogo.

Bogusławski stał obok Zielińskiego, na razie mógł być obiektywny, przecież wchodzi na scenę dopiero w drugim akcie. Po pierwszych paru kwestiach uznał, że nieciekawie grają nieciekawą sztukę dla beznadziejnej publiczności. Żółkowska i Aszpergerowa zaczęły bez energii, koniec, teraz już cały spektakl będzie taki. Konstancja, która słuchała pierwszej sceny, chodząc nerwowo, gdy pojawiła się w drugiej, dostosowała się do stworzonej już atmosfery; choć zagrała w miarę znośnie, była bezbarwna. Mogłaby przynajmniej popiskiwać jak na próbach, pomyślał ze złością Bogusławski. Na twarzy Dmuszewskiego dostrzegł ulgę. Baran.

Po skończeniu swojej kwestii Konstancja opuściła scenę z prawej strony, tam gdzie podpowiadał Wąsikowski. Nie chce się ze mną spotkać, domyślił się Bogusławski. No poczekaj, pomyślał z nagłą decyzją, to ci nie ujdzie płazem.

Między dwoma pierwszymi aktami nie było przerwy. Wchodzący na scenę wypowiadali swoje kwestie, potem wracali za kulisy. Werowski, kończąc swoją scenę i naśladując doświadczonych aktorów, ze scenicznej gestykulacji przeszedł natychmiast na prywatne poszeptywanie, aby nikt sobie nie pomyślał, że przeżywa swą rolę, lecz że jego gra wynika z błyskotliwej techniki. Bogusławski patrzył na to z nienawiścią. Oczekujący obok na wejście szeptali różne rzeczy: większość Iksów jest tutaj, przyszedł nawet Dechant, sekretarz Nowosilcowa; Szymanowski syczał, iż w pierwszym rzędzie siedzą obok siebie baron Mohrenheim, sekretarz Wielkiego Księcia, i hrabia Mostowski; owszem, Mostowski wydał

najstarszą córkę za Mohrenheima, mądry człowiek ten minister spraw wewnętrznych. Co tak szepczecie, idioci, pomyślał Bogusławski, lepiej śledźcie, co na scenie.

Pod koniec drugiego aktu odetchnął głęboko. Na scenie byli Szymanowski, Werowski, Żółkowska i Konstancja. Bogusławski czekał na końcówkę, którą miała powiedzieć Żółkowska: „Nie lękaj się, nie lękaj, na pomoc ci idą”; Mistrz załamywał ręce, przygryzał wargi, robił miny i przesadnie artykułując, powtarzał bezgłośnie pierwsze swoje zdanie, aby już na początku się nie ugotować: „Cóż to dzieci, miłości was bawią podniety”...

Potem wszedł. Cała czwórka spojrzała na niego. Na środku sceny mocno zwolnił, a energię szybkich kroków przelał na pierwsze wypowiedane słowa. Głos miał ironiczny, tego wymagała rola: stary Horacjusz beszta synów, że trwonią czas na kobiety, chociaż powinni uciekać przed rozlewem krwi:

Cóż to, dzieci, miłości was bawią podniety

I czas wam zabierają tak drogie kobiety?

Tu do walki iść trzeba, a was lzy trzymają;

Ustąpcie, niechaj one same narzekają.

Ale Bogusławski także później zachował ironiczny ton i patrzył na Konstancję, chociaż zgodnie z tekstem powinien się zwrócić do Szymanowskiego i Werowskiego:

Ich płacz nadto jest czułym, nadto niebezpiecznym,

Mógłby słabości mężom udzielić walecznym,

Ucieczką tylko można uniknąć tych grotów.

Nie odrywał drwiącego spojrzenia od Konstancji. Zgodnie z tekstem Żółkowska mu odpowiedziała, Mistrz dalej patrzył na Konstancję z drwiącym uśmiechem. Kiedy Żółkowska wypowiadała swoją kwestię, Konstancja nieoczekiwanie zaczęła płakać. Na widowni niczego

nie zauważono, to logiczne, że Kamilla płacze, przecież jej brata i narzeczonego podjudzono przeciw sobie. Tymczasem Żółkowska zauważyła, że coś się dzieje i zanim dokończyła kwestię, przy ostatnich słowach „Pójdźmy stąd, siostró” złapała Konstancję za rękę i wyprowadziła za kulisy.

Bogusławski, Szymanowski i Werowski pozostali na scenie. Szymanowski nagle zaczął mówić swoją kwestię w sposób przekonujący, patrząc na Bogusławskiego - jego rola także tego wymagała. Werowski niczego nie wyczuł.

Ostatnie zdania tego aktu należały do Bogusławskiego. Podeszedł do rampy. Szymanowski zerknął ukradkiem na bok: Konstancja stała obok Wąsikowskiego i patrzyła na Mistrza. On to czuje, pomyślał Szymanowski, spoglądając na pochylone plecy Bogusławskiego. Czuje plecami. Bogusławski powiedział filozoficznie, z goryczą:

Ach, nie rozrzewniaj serca smutnym pożegnaniem,

Chcę ci dodać odwagi, na słowach mi zbywa;

Szymanowskiego przeszył dreszcz. To demon, nie człowiek, żeby tak umieć to wypowiedzieć?

Nie wiem, czego się trzymać, myśl moja wątpliwa...

Dobry Boże, pomyślał zdumiony Szymanowski.

Sam leż wstrzymać nie mogę, ale czas zbyt drogi...

Czyżby Mistrz żegnał się z życiem?

Długa pauza. Publiczność też to czuje. Jaka nastąpi cisza.

Wszyscy patrzyli urzeczeni na maga. Jak długo będzie tak milczał?

Bogusławski westchnął i wzruszył ramionami.

Pełnij swoją powinność, resztę zdaj na bogi.

Spadła kurtyna. Tym razem Zieliński opuścił ją we właściwym momencie. Wybuchły gromkie brawa. Za kurtyną aktorzy stali w oszołomieniu, Mistrz uratował cały akt.

Dmuszewski rzucił się Bogusławskiemu na szyję; Mistrzu, bełkotał, Mistrzu... Aktorzy cały czas patrzyli na Bogusławskiego. Kilka chwil szczeroci wymazało godzinę czystej nudy. Jakim cudem to zrobił?

Mistrz uwolnił się od Dmuszewskiego i rozluźnił się. Powrócił zły humor, przyglądał się opuszczonej przed sobą kurtynie, teraz, kiedy miał już wreszcie w garści widzów, wszystko naraz się skończyło, przyszła przerwa, będą pić herbatę, czy nastrój się nie rozplynie, gdy znów wejdzie na scenę?

Za kurtyną pojawił się Osiński, za nim podążał Unicki w towarzystwie Bautza, nieśli bańkę z herbatą i keksy. Przy wejściach stali cywile. Nie można było opuścić sceny. Osiński wygłosił głupią mobilizującą przemowę, aktorzy, siedząc w kucki lub stojąc, popijali herbatę i gryźli keksy; Unicki opowiadał jakieś dowcipy, idiota, bydle, pomyślał Bogusławski, który nie jadł i nie pił, rozchrzanili wszystko. Dmuszewski chodził niespokojnie, jak przystało reżyserowi, ciągle jeszcze żył napięciem z czasu prób i cały drżał.

Unicki powiedział na pocieszenie, że już jest pewne: nie pojawi się ani car, ani Wielki Książę, a Nowosilcow przysłał w zastępstwie swojego sekretarza.

Konstancja oparta o stolik suflera popijała herbatę, Bogusławski nie patrzył w jej stronę.

Przerwa nadeszła w bardzo złym momencie. Podczas kolejnego wejścia na scenę Bogusławski próbował tego, co prawie niemożliwe, ale on także już na tyle się rozluźnił, że nie potrafił ponownie wzbudzić w sobie złości. Teraz nie zwracał nawet uwagi na to, co mówi; cały czas obserwował z ukrycia Konstancję; poruszając bezgłośnie wargami, mówił wraz z nią kwestie Kamilli, gestykułując przy tym, jakby reżyserował, jakby pokazywał jej, jak ma grać; raz czy dwa syknął przy złym zaakcentowaniu kwestii, ale kilkakrotnie machnął do niej z uznaniem: to było dobre, tak, właśnie tak!

Konstancja grała w miarę dobrze. Emanował z niej prawdziwy, szczerzy żal, widownia uhonorowała to ciszą. Niekiedy jednak wpadała w płaczący ton, jak na próbach; na widowni skrzypienie krzeseł, chrząkania. W takich momentach Bogusławski tylko szczerzył zęby. Zieliński na wszelki wypadek odsunął się od niego, by gestykułujący Mistrz nie trafił go w głowę. Większość obserwowała to ze zdziwieniem. Szymanowski zauważył sceptycznie, że rolę Kamilli trzeba było dać Bogusławskiemu, zagrałby ją lepiej niż swoją.

Podczas drugiej przerwy Osiński znów płał się wśród aktorów. Bogusławski omal nie wrzasnął, by poszedł do diabła. Szymanowski parę razy podchodził do niego, widział, że Mistrz cierpi, ale nie znalazł nawet kilku słów, które nie zabrzmiałyby idiotycznie.

Po drugiej przerwie Mistrz nie wypowiadał już tekstu wspólnie z Konstancją. Zmęczony usiadł na ziemi przy stoliku suflera. Zieliński zawsze go uprzedzał, by strzepnął kurz z płaszcza, nim wyjdzie na scenę.

- No, to był całkiem spory sukces - powiedziała niepewnie Żółkowska, gdy przycichły brawa i po opuszczeniu kurtyny zupełnie zamilkły.

Nie tylko ona była niepewna. Jedyne Dmuszewski z radości wybuchnął płaczem i ucałował aktorów; nie było skandalu, nie pójdzie siedzieć. Konstancja od razu poszła do garderoby. Ponownie zjawił się Osiński, wszystkim pośpiesznie gratulował, po czym gdzieś popędził; Unicki powiedział, że chociaż nie będzie bankietu, to u pana Bautza każdy może jeść i pić na koszt dyrekcji, potem on także się oddalił.

Bogusławski zmył w garderobie charakteryzację, przebrał się i w złym humorze wszedł do knajpy. Nie było dużo osób; Dmuszewski z żoną poszli już do domu, choć aktorzy ich zatrzymywali; pozostałych pracowników teatru wypuszczono z sutereny, ale większość była pijana i tylko nieliczni dali radę pić dalej u pana Bautza. Zainteresowanie przedstawieniem wykazywał jedynie zataczający się i szczerzący zęby Żółkowski, ale nie był w stanie wysłuchać odpowiedzi, przepraszająco machał ręką, dając do zrozumienia, że odpowiedź i tak nie dotrze do jego świadomości.

- Nie wyszło - powiedział Bogusławski do Szymanowskiego.

- Mistrz był dobry. Był dobry. A ja byłem łajzą.

- Trudno zaprzeczyć, byłeś łajzą.

Szymanowski obraził się i odszedł.

Wąsikowski oznajmił, że już nie pilnują teatru; fagocista Czyże płaczącym się językiem oświadczył, że następnego dnia rozpocznie się dochodzenie w sprawie zbyt udanego zbierania podpisów pod deklaracją lojalności, już w południe przesłuchani zostaną w suterenie muzycy i dekoratorzy, pojutrze pojedynczo aktorzy.

Bogusławski doszedł w końcu do wniosku, że powinien się upić, kiedy wpadła Marianna ze łzami w oczach.

- Aniela wróciła! - krzyknęła radośnie.

- Jasne - mruknął Bogusławski - nadchodzi zima, trzeba napalić w piecu, wtedy wracają córki marnotrawne.

Marianna poinformowała wszystkich, że wróciła Aniela, w drodze do domu co chwila

podrygiwała tanecznie u boku Bogusławskiego, potem znów czepiała się jego ramienia; przed domem przypomniała sobie, że rano przyszedł jakiś list, ale nie można było wejść do teatru.

Bogusławski przejrzał w pokoju list, Pękalski życzył mu poprawy zdrowia i wyrażał nadzieję, iż Mistrz szybko się wyleczy.

- Ten Pękalski to idiota - mruknął Bogusławski. - Wcale nie choruję... Albo nie łapię już jego poczucia humoru.

Ranek powitał Warszawę paskudną, mglistą pogodą, siąpił deszcz, ulicami przemykały zmęczone, owinięte płaszczami postacie, panowała wielka, niczym niezakłócona, przejmująca cisza, tak przynajmniej wydawało się Mistrzowi, gdy szedł do teatru. Czym może się jeszcze rozczarować, czy zostało jeszcze coś takiego? Kupił od gazeciarza „Gazetę” i schowawszy się pod drzewem, przejrzał recenzję pana X o *Horacjuszach*. Była nudna, szkoda było ją redagować przez tyle tygodni. O Bogusławskim napisano tylko tyle, że „...był prawdziwym Rzymianinem, szczególnie zaś celował grą swoją, gdy odebrał wieść okropną o ucieczce syna i w gwałtownym przejściu z rozpacz do radości”. Mistrz raz jeszcze przeczytał odnoszący się do niego akapit; Pękalski mówił nieco inaczej; wzruszył ramionami, potem zerknął, co pan X napisał o innych.

Żółkowską łagodnie skrytykowano; Dmuszewska grała na ogół ładnie, jej wymowa była urozmaicona, pełna odcieni. Pan Werowski wyraźnie zrobił wielkie postępy w deklamacji, ale nie do końca zrozumiał swoją rolę, bo raz w sposób nazbyt rycerski wypowiedział słowo „honor”. Panu Szymanowskiemu zwrócono uwagę na to, że Talma w tej samej roli zawarł więcej szlachetności.

Idioci, pomyślał Bogusławski. W całym przedstawieniu był tylko jeden wspaniały moment i oczywiście go nie zauważono.

Przypomniał sobie Konstancję, której cztery wersy nadal brzmiały mu w uszach:

Nie tak nisko bogowie zstępują do ziemi,

Bliżej obcują z królami, zastępcami swemi.

Ci niepodległą, świętą władzą obdarzeni,

Łatwiej z tronów sięgają niebieskich promieni.

Paskudne cztery wersy, Corneille należy do grona wielkich lizusów, mimo to wczoraj Konstancja powiedziała to cudownie, po królewsku, z dzikim bólem. To o niej, Konstancji, mówią te cztery wersy, dobrze wiedziała, bestia, że o niej; mój Boże, gdyby można ją było przekonać, że te cztery linijki to ona...

Bogusławski jeszcze raz przejrzał recenzję, szukając w niej ukrytych aluzji politycznych, i ukłuło go w oczy, że Żółkowska grająca Joannę Grudzińską została w końcu oceniona negatywnie. Może Iksowie nie cieszą się z małżeństwa Wielkiego Księcia? Poza tym jednak w recenzji nie było niczego podejrzanego, a szczerze mówiąc, Żółkowska wcale wczoraj nie zachwyła.

Mistrz poszedł w stronę pałacu Mostowskich; wydawało się, że jest teraz bardziej pilnowany niż dawniej. Bogusławski spojrział na okna na piętrze, to za nimi Iksowie redagują swe nieśmiertelne recenzje i są szczęśliwi, gdyż sądzą, że robią politykę.

Z jakiegoś powodu skręcił w prawo, w stronę Marywilu. Okolice hali targowej były wyludnione, większość straganów pozamykana; te, które były otwarte, oferowały przybyłym służącym nędzny towar. Wszedł do hali z cichą nadzieją, że go poznają, nazwą Mistrzem i, jak bywało po premierach, będą mu gratulować, ale rzemieślnicy i przekupki spoglądali na niego bez zainteresowania, żałując, że pan nie ma ochoty niczego kupić. Pół roku temu, po premierze *Klingsbergów*, każdy ścisnął mu rękę. A przynajmniej tak mu się teraz wydawało.

Od strony Ogrodu Saskiego zbliżał się w zwartym szyku oddział konnicy pod dowództwem kapitana, przejechał kłusem przed Marywilem i skierował się w stronę Bramy Krakowskiej. Wszyscy spoglądali za nimi apatycznie.

Bogusławski wiedział, że na premierę *Horacjuszy* wybrano widzów z najwyższych sfer, których rzadko można spotkać na ulicy, ale i tak go to zabolalo. Spektakl był niedobry, można się było przyczepić, ale żeby chociaż napatoczył się ktoś, kto by mu powiedział: Mistrzu, kiedy wreszcie zagrać coś dobrego, coś interesującego?

Udało im się zabić teatr. Zwyciężyli.

Bogusławski czuł się, jakby chodził po obcym mieście, nie znając języka mieszkańców. Skręcił w stronę Starego Miasta i doszedł do ratusza; podobno ma być wyburzony, do murów zrujnowanego budynku przykleiły się stragany podobne do tych w Marywilu, śniące jesienne sny. Czuł, że ta nieruchoma, pełna chłodu cisza będzie mu już towarzyszyć do końca życia.

Poszedł na Nowe Miasto i przeszedł Długą na plac Krasieńskich. Połatany gmach teatru z minionych lat pozostawiono na środku placu jakby przez zapomnienie. Rozbuchany architektonicznie pałac Krasieńskich zabawnie sterczał na końcu placu. Po co taki duży pałac

rządowi takiego malutkiego, sztucznego państewka? Ciało obcięto kończyny, pozostała tylko głowa na chuderlawym kadłubie, śmiesznie duży, przykryty kędzierzawą peruką łeb typowy dla wodogłowie, Warszawa, stolica, a w niej dwa gmachy patrzące na siebie wilkiem: pusty teatr i pusty pałac rządowy.

Trzeba będzie powiedzieć Konstancji, że te cztery wersy wyszły jej znakomicie.

Przy wejściu do teatru zorientował się, że już kilka osób dołączyło do niego i pytluje z podnieceniem.

- Czytał pan, Mistrzu? Co pan na to, Mistrzu?

Dotarło do niego, że wymachują nie „Gazetą”, lecz „Korrespondentem” Pękalskiego. Obok ciągle ktoś przebiegał w jedną lub drugą stronę, na zakręcie schodów Bogusławski w otoczeniu grupki aktorów przejrzał recenzję.

Pisał ją niejaki B...wicz. Bogusławski trzy razy musiał czytać pierwszy akapit; autor artykułu, używając bezsensownie skomplikowanych zdań, snuł rozważania na temat dramaturgii Corneille'a. Po trzeciej próbie Mistrz się poddał i odszukał swoje nazwisko. Przeczytał, zarżał osłupiały, pokręcił głową i uśmiechnął się z niedowierzaniem.

„...Dopóki w Teatrze Narodowym przeżyte już od dawna mumie tłamszą co młodsze talenty, dopóki stary Horacjusz panuje nad duszami, za lojalne uznając oportunistyczne zachowanie, póty nie możemy mieć nadziei, iż nasza narodowa gra teatralna znów będzie zachwycać swym minionym blaskiem i pełnią”...

- No tak - powiedział zdziwiony.

Pan B...wicz ani słowem nie wspomniał roli Szymanowskiego i Werowskiego, Żółkowskiej i Dmuszewskiej poświęcił tylko zdawkowe uwagi, ale nie wdawał się w oceny.

Parszywy Pękalski, pomyślał prawie z uznaniem, żeby coś takiego zamieszczać o mnie w gazecie!

Co też napisał we wczorajszym liściku? Życzył mu poprawy zdrowia. Być może chciał powiedzieć: niech pan nie występuje na premierze, a ostrzeżenie przyszło za późno?

W porządku, dzieci, tylko spokojnie, powiedział tłoczącym się wokół niego i udał się do garderoby. Usiadł przed lustrem, położył przed sobą obie gazety i zamyślił się.

Niewątpliwie atak dotyczy nie jego, tylko roli. Więc dlaczego nie napisano otwarcie, że są niezadowoleni z Czartoryskiego, a zamiast tego wszystko zwalono na Mistrza? Tyle że Iksowie nie mogli tego wyraźnie napisać, w końcu Czartoryski to ich człowiek... czyż nie? Byłoby logiczne, gdyby Iksowie go bronili.

W żadnej recenzji nie było wzmianki o Wielkim Księżciu. Gdyby Wielki Książę podjął ostateczną decyzję, że ożeni się z Joanną, trzeba byłoby uderzyć w wielkie dzwony. Czy to

możliwe, że premiera *Horacjuszy* odbyła się zbyt wcześnie? Przybył car i teraz wyklóca się z młodszym bratem? Dlatego nie uczestniczyli w premierze?

Ale jak to, do cholery, możliwe, że takie śmieci zamieszczają u Pękalskiego? Z pewnością nie może się na tym poślizgnąć, przecież tekst redagowano długie tygodnie. Ale Iksowie nie mogli napisać czegoś takiego, zaatakowałiby własną politykę. A może to ich nowa taktyka?

Przez jakiś czas Bogusławski chłodno rozważał, do kogo się zwrócić o zadośćuczynienie, i z wolna zaczął wpadać w panikę. Wstał, zaczął spacerować i dopiero wtedy wyszedł z garderoby, gdy poczuł, że udało mu się wcielić w rolę gotowego do działania, zdecydowanego i silnego Mistrza.

Na korytarzu Rivoli powiedział, że Osiński zdjął z repertuaru *Horacjuszy*, zamiast niego będą grać komedię Caigneza, która trzy lata temu zrobiła klapę. Kudlicz już ją próbuje, pojutrze powinna być gotowa. Aszpergerowa dostała główną rolę, którą dawniej grała Ledóchowska. Żółkowski prosił Mistrza, by zajrzał do garderoby jego żony, z powodu recenzji dostała spazmów. Bogusławski był oburzony: cieszcie się, że i tak wyszła z tego cało, a co ja mam powiedzieć?

Ulica Nowiniarska była wymarła i cicha. Bogusławski szedł i niedowierzał: w nocy z pewnością masa ludzi za czymś gonila, prawdopodobnie w pewnych miejscach także teraz trwa zabawa, czyta się, pisze i analizuje recenzje, kombinuje i drży ze strachu, a mimo to Warszawa jakby śpi spokojnym snem zimowej nocy.

Pękalski przywitał go z czerwonymi z niewyspania oczami i bardziej niż zwykle zmiętoszonym ubraniu.

- Nic nie mogę zrobić, Mistrzu! - wykrzyknął z udręką, gniotąc w rękę kawałek chleba. - W czasie przerwy przypętał się Karski z wiadomością od Mostowskiego, że piszą nową recenzję... potem przyszedł Szaniawski i przyniósł tekst... drugi, bo pierwszy dostarczył Karski... i powiedział, że to ostateczna wersja... mnie za to płacą, Mistrzu! Nie mogę inaczej!

- Z czego miałem się wyleczyć?

- To nie było jasne?

- Kiedy napisałeś ten liścik?

- Gdy...

- Przed spektaklem? Podczas przerwy? Później? Kiedy?

- Nie pamiętam - wybuchnął Pękalski. - Całą noc siedzieli mi na głowie!

- Chciałbym, mój królu, wiedzieć konkretnie - powiedział zdecydowanie Bogusławski. - Kiedy go wysłałeś?

- Przed spektaklem - powiedział załamany Pękalski. - Już wtedy były pewne sygnały...

- I miałaś potem spokojną głowę, co? A że ja dostanę go z opóźnieniem, to się nie liczy! Co?

- To wszystko wielkie nieporozumienie, Mistrzu! Powiedziałem im, że zrezygnuję, zostawię to... Gdybym podskoczył, gdyby mnie wreszcie wyrzucili, poszedłbym do klasztoru, jak Zabłocki... ale nie mam uczciwego zawodu! Gdybym się wyuczył na inżyniera, Warszawa już by mnie nie zobaczyła, wyjechałbym do Ameryki...

- Co z małżeństwem?

- Nic nie wiem, Mistrzu, przysięgam! Zrobię wszystko, dam Mistrzowi satysfakcję...

- Warto pisać odpowiedź?

- Ja nie mogę zamieścić.

- Warto się zwrócić do Sołtyka?

Pękalski milczał.

- Masz już w szufladzie artykuły polemiczne, co? Kto je pisał?

- Nie mam niczego w szufladzie, Mistrzu!...

- Gabinet cieni? Linowski? Sołtyk? Niemojowski? A może Osiński i Niemcewicz atakują Iksów, żeby wypłoszyć leniwych małych opozycjonistów? Żeby zamknąć im usta? A może będzie teraz podrzynanie gardel?

Pękalski cicho zaskomlał i nie odpowiedział, uciekł do swego pokoju.

Co za łajno, pomyślał Bogusławski na ulicy, mój Boże, co za śmieć.

Znów stanie na szachownicy? Jako pionek, aby go poświęcić? Przy jakim ataku go poświęcą i kto to zrobi? Biali czy czarni? Niezła partyjka: po obu stronach same czarne figury. Co tu ukrywać, on też jest czarny.

Być może dorzucą mu jeszcze jeden dom.

Byleby nie grał już tyle, co do tej pory.

Czy ma znów antyszambrować u Wincentego Krasińskiego, Staszica, Sołtyka, Linowskiego i innych baranów? Ma chodzić na budowanie u wolnomularzy? Ma się płaszczyć przed możnymi? Znów biegać od Annasza do Kajfasza?

Odebrali mu teatr, trudno. Nie oddadzą go, nigdy więcej nie będzie dyrektorem, też trudno. Na starość zostanie zwykłym aktorem i Bogu dzięki. Ale wobec tego dlaczego nie może żyć tak jak inni aktorzy? Czemu ciągle czepiają się właśnie jego? Czemu tylko jemu nie pozwalają grać?

Jeszcze nie opustoszał ani pałac Krasińskich, ani teatr. W dodatku jest tu jeszcze car.

Wrócił do domu, po twarzy Marianny widział, że już czytała. Nikt go nie szukał, nikt

nie zostawił wiadomości. Wysłał Mariannę do Sołtyka i wrócił do teatru. Tam również nikt go nie szukał; powiedziano mu, że Osiński zawiesił dochodzenie wszczęte w sprawie deklaracji lojalności, nie przesłuchał aktorów, od południa nie ma go w teatrze.

Nie czuło się już przedpołudniowego napięcia, w końcu zjechano tylko Bogusławskiego, a nie cały zespół. Spokojnie przygotowywano się do wieczornej opery Nicola, nikt nie miał wątpliwości, że *Horacjusze* już więcej nie pójdą. W salce Kudlicz nadal prowadził próby nad sztuką Caigneza z Aszpergerową, Żółkowskim i Rywackim. Dmuszewskiego nie można było znaleźć.

Bogusławski znów ruszył do domu. Po drodze minął pałac Mostowskich. Może właśnie teraz Iksowie mają nadzwyczajne posiedzenie. Może i car tam jest, kto wie. Wszędzie biało-czerwone flagi. Wszędzie biały orzeł obok czarnego. Co by było, gdyby pojawił się wśród Iksów, wywołując konsternację na uroczystym posiedzeniu? Gdyby przepuszczono go przez bramę i nie zrzucano ze schodów, gdyby stanął przed nimi...

Co miałby im powiedzieć?

Co można powiedzieć?

- Nikt mnie nie szukał? - spytał w domu.

Marianna pokręciła głową.

Nie powiedziała słowa o Sołtyku, Bogusławski nie wypytywał o to, jak odzwierny ją odprawił.

- Gdybyś wiedziała - westchnął - jak nie mam ochoty uczyć się angielskiego!

Poszedł do pokoju. Mógłby przynajmniej zrobić coś wielkiego i odważnego w *Horacjuszach*. Przynajmniej minimum, jak w *Klingsbergach*. Ale to też już się nie uda. Nie ukażą się na ścianach pełne zachwyty napisy o *Horacjuszach*.

Marianna otoczyła go licznymi drobnymi dowodami swej troski. Zdobyła gdzieś wołwinę, nowy knot do lampy, ułożyła jego porozrzucane ubrania i zapiski, naląła atramentu do kałamarza. Wszystko to rozstroiło go bardziej niż zjadliwa krytyka.

Wieczorem zjawiała się Aniela z ojcem.

Aniela była wychudła, Nacewicz pławił się w szczęściu i co chwila rzucał się jej na szyję; Marianna zabrała go do kuchni, może znajdzie sobie coś do picia.

To też dowód troski Marianny, pomyślał Bogusławski, sprowadza mi miłych gości.

- Co się dzieje? - spytał Anielę napastliwie i ze złością.

Włosy miała upięte w kok, przez co jej twarz wydawała się szczuplejsza. Milczała bezbronne. Choć bardzo chciałby ją znienawidzić, nie potrafił tego okazać. Wcale by się nie zdziwił, gdyby Aniela nagle uniosła się w powietrze i zaczęła fruwać po pokoju. Bogusławski

powoli się uspokoił i ze zdziwieniem stwierdził, że prawie się cieszy, iż krytyka go zjechała; teraz, stojąc przed tą kobietą-dzieckiem, poczuł się oczyszczony.

Aniela odezwała się dopiero wtedy, gdy milczenie Mistrza przestało jej ciążyć.

- Dziwne było to - powiedziała - że ta włóczęga wcale nie była zła, póki nie nabrałam wstrętu do samej siebie, po prostu była nudna i bez sensu. I powoli zaczęłam rozumieć, że najbardziej brakuje mi ojca. Że nikogo tak bardzo nie kocham, jak durnego, zapijaczonego ojca. Ale być może to nie dlatego musiałam wrócić... ostatecznie wróciłam z powodu dziecka... chociaż nie potrafiłam przypomnieć sobie jego buzi... miałam przed sobą tylko twarz ojca. Ale mimo wszystko to moje dziecko... a raczej jestem jego matką... Przeciw czemu kiedyś protestowałam, bo tak bardzo wybiło mnie z nurtu życia, bo przeznaczenie uznało, że powinnam zostać matką, jak jakaś suka... bo życie uznało, że trzeba rzucić na mnie, jak na wszystkie kobiety, przekleństwo wychowywania potomka... i ktoś uważa, że muszę urodzić mu dziecko, a to szczenię uznać za swoje... słowem, pogodziłam się z tym. Muszę się poddać przeznaczeniu. Nie mogę żyć dłużej, niż to dane kobiecie. Nie do końca jestem sobą... jestem częścią jakiejś potwornej, nieludzkiej tragedii... czemu miałabym żyć dłużej niż one, dawniej... czemu właśnie ja? Tak to było... Poddałam się. Szanuję wszystkich, którzy trwają do końca, nie kapitulują. Ja skapitulowałam. Widać nie jestem wyciosana z dość twardego drewna.

Trzeba poprosić Bacciarellego, póki jeszcze żyje, żeby ją namalował, pomyślał Bogusławski. Przyglądał się nieregularnej, mizernej twarzy Anieli.

Potem przyszedł Nacewicz, objął go za szyję i zaczął przekonywać, że to podła recenzja, wielkie nic, nie trzeba się przyjmować, są w życiu większe tragedie.

- Kiedy straciłem moją biedną żonę - powiedział drżącym z przepicia głosem - i zostałem sam z Anielą, którą musiałem karmić piersią, ale nie miałem czym, mleko mi nie wychodziło, choć Bóg mi świadkiem, że próbowałem wycisnąć je z piersi, modliłem się, żeby miały mleko, prosiłem o to Boga, każdą wziąłbym za żonę, nie dla siebie, lecz dla tego brzdąca, ale nie trafiła się ani jedna aktorka czy krawcowa, która chciałaby za mnie wyjść! Nie trafiła się żadna kobieta, w całej Warszawie! Chciałem ją dla tego brzdąca, nie dla siebie, ale żadna kobieta mi nie pomogła! To była tragedia, a nie te recenzje!

Zmoczył Bogusławskiemu łzami kark i uszy, wreszcie Anieli udało się wyciągnąć go do domu.

Tylko spokojnie, mówił sobie wieczorem Mistrz, przewracając się w łóżku, niczego nie wolno przyspieszać, trzeba czekać, trzeba odczekać.

- Powinienem teraz biegać tu i tam, prawda? - Potrząsnął w środku nocy Marianną,

która zaczęła szlochać przerażona. - Powinienem teraz walczyć o swoją prawdę... Zamiast tego przyjacielsko rozmawiam z Pękalskim, który mnie zniszczył, z Anielą, której nie potrafię pomóc, i spokojnie chodzę pod pałacem Mostowskich, jakby tam nie decydowano o moim losie...

W jego głosie brzmiało raczej zdziwienie niż rozpacz; Marianna przytuliła się i pogłaskała go.

- A przecież w życiu byłem już w gorszych sytuacjach - zastanawiał się głośno. - Czy to możliwe, że się zestarzałem?

- Nie zmieniłeś się bardzo - powiedziała Marianna, ucieszona, że odzyskała Mistrza, który nie myśli już o Konstancji.

Następnego dnia Bogusławski długo odprawiał ceremonię kąpieli, znów dokładnie się golił, przebierał wśród koszul i wyświeżony ruszył do teatru. Zadarł odważnie orli nos, uniósł głowę, siedł jak jedyny właściciel Warszawy, głęboko oddychał i czuł, że jest spokojny i silny, żadne nieszczęście go nie dotknie. Głowił się nad możliwą taktyką; postanowił w duchu, że na razie nie będzie antyszambrować u nikogo, nie pozwoli, by od razu go wypraszano, przecież później może im jeszcze być potrzebny, a ponadto nie pozwoli sobie na utratę z powodu czyjzegoś widzimisię spokoju, jaki osiągnął podczas golenia.

Z namysłem, sięgając do doświadczeń długich lat, układał dalsze posunięcia, był pewien, że nie wolno rezygnować z dawnych przemyśleń. Na razie nie wiadomo, co oni chcą osiągnąć; może sami nie wiedzą; jakaś przypadkowa impertynencja może obrócić w gruzy całe pokolenia lub otworzyć nowe perspektywy i trzeba się zdać na intuicję: nadal potrafi być bezczelny, jeśli będzie tego wymagał cel.

W teatrze nie było właściwie nic nowego. Osiński wpadł rano, potem pośpiesznie wyszedł. Atmosfera nie była sympatyczna: zespół już nie wracał do recenzji pana B...wicza, ale Bogusławskiego nadal traktowano jak człowieka przegranego. To dodało mu ducha i przez całe przedpołudnie błaznował w knajpie; wszyscy wspaniale się bawili, gdy odegrał histeryzującą Dmuszewską, potem małpował Żółkowską, szukając na głowie jej wyimaginowanej blond peruki. Płacząc role Kamilli i Sabiny, odegrał parodię *Horacjuszy*. Żółkowska i Konstancja obrażą się, ale nie szkodzi.

Po południu był już zmęczony i pośpieszył do domu, by nie widziano, w jak podłym jest stanie. Marianna powiedziała, że nikt go nie szukał. Mistrz poszedł na górę. Błaznowanie to niezła taktyka, człowiek nie robi się wtedy śmieszny, tylko że to prowadzi donikąd.

Później Marianna powiedziała, że idzie do syna.

- To idź - burknął.

Kiedy rzeczywiście sobie poszła, Mistrz obraził się na nią, uzmysłowił sobie, że ich syna kocha bardziej niż jego, a więc nawet Marianna go opuściła. To była kropla przepełniająca czarę.

Podsumował swoje porażki. Przez lata klęski dodawały mu świeżych sił. Z głęboką goryczą skonstatował, że Anna Lampel odumarła go już piętnaście lat temu; nie powinna umierać, tak dotkliwego ciosu nie da się znieść. Za osobistych wrogów uważał wodzów armii przechodzących przez Warszawę, na pierwszym miejscu Napoleona, bo doprowadzili go do bankructwa; nienawidził tych, którzy jakoś przetrwali zły czas i potem szczęśliwie umarli; nienawidził tych, którzy jeszcze mogą go do czegoś zmobilizować: Aniela i Helena, Fiszer i Żółkowski nigdy chyba nie zrozumieją jego cierpienia.

Teraz umrę, postanowił w duchu. Zbiegł do piwnicy i związał kawałki sznura. W pokoju wbił w futrynę drzwi mocny gwóźdź i związał pętlę.

Teraz umrę.

Zebrał swoje rękopisy i rozrzucił je po podłodze w artystycznym nieładzie, potem wyciągnął czystą kartkę, by napisać list pożegnalny.

Usiadł przy biurku i nic nie przychodziło mu do głowy. Wstał, obszedł pokój i powtarzał sobie: to nie ma sensu, dłużej tego nie wytrzymam.

Wyobraził sobie, jaki rozdzierający krzyk wyda Marianna, gdy wróci do domu. To mu się spodobało, splótł ręce i z drwiącą miną zapatrzył się w futrynę. Potem się rozplakał. Dzwoniło mu w uszach.

Znów pochylił się nad listem pożegnalnym i napisał: „To nie ma sensu, dłużej tego nie wytrzymam”.

Tu znowu utknął, rozważając, czy tyle wystarczy, może trzeba coś jeszcze dodać. Mojego bólu nie da się wyrazić słowami, pomyślał.

Może powinien wystosować orędzie do narodu? Oskarżyć Wielkiego Księcia? Czy ma się zajmować takimi drobiazgami, gdy stoi u progu wieczności? Nie, to tego niewarte.

Wyciągnął ubrania, długo dobierał, co ma założyć. Żałował, że nie związał się uczuciowo z rzeczami, z wyjątkiem paru rekwizytów; w piwnicy stoi maszyna elektryczna z pierwszego przedstawienia *Cudu mniemanego*; czy wyciągnąć ją teraz? Nie chciało mu się ponownie zejść do piwnicy, odwiesił też do szafy ubrania.

Znów się popłakał, bezsensownie i gwałtownie, po chwili się uspokoił. Bez widowni nie mógł być nawet samobójcą.

To mi się nie uda, pomyślał, rzucił się na łóżko i przez kilka minut ryczał ze śmiechu. Później z wielkim trudem wyciągnął z futryny gwóźdź i razem ze sznurem cisnął pod łóżko.

List pożegnalny spalił nad świecą i nie mając nic do roboty, siedział bezradnie w fotelu.

Ciekawe, pomyślał, właściwie naprawdę to nie ma sensu i naprawdę dłużej tego nie wytrzymam.

Następnego dnia znowu przyszedł do teatru, odegrał silnego, pewnego siebie Mistrza i osiągnął pewien sukces, ale mniejszy niż dzień wcześniej: tym razem mniejszy był kontrast między oczekiwanym a rzeczywistym zachowaniem Mistrza. Po południu znów poszedł zmęczony do domu. Próbę samobójstwa zagrał już wczoraj, więc na wieczór nie miał nic do roboty.

- Jutro się rozstrzygnie - powiedział do Marianny. - Wszystko zależy od tego, co napiszą.

Dobrze mu zrobił ten szum w uszach, na który nie miał czasu zwracać uwagi podczas prób *Horacjuszy*, bo teraz zastanawiał się, czy nie ogłuchnie, i tym się przejmował aż do zaśnięcia.

Następnego dnia rano ogolił się powoli i ostrożnie. Niech sobie gazety piszą, co chcą, to nie jest aż takie ważne, by się pozacinać.

Potem na ulicy pobiegł do pierwszego gazeciarza.

W czternastym, sobotnim numerze „Gazety” pojawiły się dwa teksty. Autorem pierwszego był niejaki Stanisław Iksienko, a drugiego niejaki pan A.C.

„...Niech pan B...wicz nie rozumie, abym w tej walce, która między artystami i krytykami powstała, ślepo trzymał stronę aktorów. Byłem i ja za granicą, robiłem porównania i wiem dobrze, jak wiele jeszcze scenie naszej nie dostaje. Potrzebna zatem krytyka, która by uprzedzonym przypominała, jak są jeszcze daleko od celu. Pan X jej się podjął i pan X tym samym wielką czyni narodowi przysługę. Wtenczas nawet, gdyby uwagi jego zupełnie były niesprawiedliwe (czemu ja zaprzeczam), wtenczas jeszcze krytyka byłaby użyteczną. Tego gatunku postrzeżenia zaostrzają ciekawość widzów i wzniecają talent w artyście. Najgorzej bowiem ten wychodzi, który wcale nie jest wspominany... Uwielbiam zatem usiłowania pana X i proszę go moim i wielu innych imieniem, aby się nie zrażał ani drażliwymi odpisami pana Bogusławskiego (których jednak nikt mu zabronić nie może), ani nedorzecznym oskarżeniem pana B...wicza”.

Bogusławski osłupiał. Wygląda to tak, jakby to on z tym panem B...wiczem razem atakowali Iksów, jakby pan B...wicz wynosił pod niebiosa jego kreację. Jakby to on swoją kreacją starego Horacjusza nie przysłużył się właśnie Iksom. A gdzie i kiedy pan B...wicz atakował Iksów? Przecież atakował tylko on, Bogusławski! To już można pisać wszelkie kłamstwa?

Szybko przeskoczył do drugiego tekstu.

„...Dwie tylko są władze, naprzeciw którym żaden aktor powstawać nie może, to jest: dyrekcja rządowa teatru i władza, że tak powiem, opinii, czyli zdania w czasie gry przez parter ukazanego. Oklaski dane przez parter w dniu odpowiedzi Klingsberga za ukazaniem się jego na scenie niezaprzeczoną są dowodem, iż publiczność nie wzięła pana X za siebie, lecz uważała go jako stronę, której przysądziła przegraną. Klingsberg przeto miał prawo odpowiedzieć panu X, bo go nie uważa za publiczność, lecz bierze za jedną osobę, za jaką także w dniu tym parter go uważał. Z tego wszystkiego cóż wnosić wypada? Oto odpowiedź starego Klingsberga nie mogła i nie powinna być przez policję zabroniona, bo się nie tyczyła ani władzy postanowionej przez rząd, ani publiczności, od której pełnomocnictwa pan X w żaden sposób dowieść nie może. Dowiedliśmy, że Klingsberg miał prawo odpowiedzieć; a kto czyni na prawie, ten obrażać nie może. Kto więc gorszy obywatela? Nie ten zapewne, kto mając słuszne powody i prawo do odpowiedzi, używa odwetu, lecz ten, co się zaczepionego odpowiedzią uraża i pierwszy ośmiela się powstawać naprzeciw wolności druku. Mało jest krajów mogących się szczycić podobną swobodą: ona jest rzetelną cechą wielkich monarchów, ona dowodzi ufności poddanych. Pielęgnujmy to dobro, którego nam wiele narodów zazdrościć będzie, a godnie odpowiadając ufności, używajmy go statecznie na oświecenie współbraci, lecz nigdy sami nie podkopujmy swobód naszych. Te są uwagi, które pan B...wicz, jako pochodzące z serca, do serca swego przyjąć raczy”.

Obie recenzje napisali Iksowie. Nie ma po co iść do Pękalskiego. Pójdzie do „Gazety” i zrobi wielki skandal.

Wdarł się do redakcji, ale nim dotarł do pokoju Lesznowskiego, drogę zastąpił mu Niemcewicz.

- Ty jesteś Cerberus, co?! - wrzasnął Bogusławski z furią.

- Ty idioto! - odwrzasnął Niemcewicz i tym razem nie zaczął od razu obracać wszystkiego w żart. - Idź do domu, nic nie rób!

Jeszcze przez chwilę Bogusławski wrzeszczał, lżąc przodków Niemcewicza; przerażeni pracownicy pisma umknęli z pokoju, by wysłuchiwać tego za drzwiami. Potem Mistrz zagryzł wargi i umilkł, mierząc wzrokiem Niemcewicza, który w drogim futrze ze świstaków reprezentował wszystko to, przeciw czemu musiał walczyć.

- To kompletni idioci - powiedział Niemcewicz, nieco już spokojniejszy. - Polityczni analfabeci, historyczne staruchy. Ale teraz już będzie koniec, Iksowie cię obronią. Idź do domu, bardzo cię proszę!

Bogusławski oburzył się.

- Dziś też świetnie mnie obroniliście! - Machnął dwiema gazetami. - Jakbym to ja napisał te ponizające brednie przeciwko sobie! Jak doszliście do tego, by pomylić starego Horacjusza ze starym Klingsbergiem, a ich obu ze mną?! Musisz wiedzieć - tu znowu podniósł głos - że to nie ja wychodzę za mąż za Wielkiego Księcia!

Niemcewicz doskoczył do niego i zakrył mu dłonią usta.

- Wariat! - zasyczał. - Pomyśl, o czym mówisz!... Cokolwiek zrobisz i powiesz, zaszkodziś tylko sobie!

- Nie zauważyliście, że w sztuce grałem Czartoryskiego?!

- Zauważyliśmy! Nie jesteśmy takimi idiotami! Kłopot w tym, że inni też to zauważyli!

- Podłożyłem się wam czy nie? I oto wdzięczność! Kto pisze pod pseudonimem B...wicz?

- Grabowski.

To był cios. Bogusławski usiadł na krześle. Pojawiła mu się przed oczami ohydna postać Grabowskiego, którą ostatni raz widział u Sołtyka. No jasne. Tamtym też wszystko jedno.

- Nowosilcow prowokuje, nie rozumiesz tego? - gestykulował mu przed oczami Niemcewicz. - Musi jakoś uzasadnić, czemu siedzi tu na karku Wielkiego Księcia, już rozumiesz? Konstancy chce go wyrzucić, natomiast Aleksander chce, by pilnował mu brata... Jeśli nie ma skandalu, zrobi go za nas Nowosilcow, by mieć powód do odgrywania ważnego!

- Tę bajeczkę słyszałem już od Osińskiego.

- Ale to prawda!

- Daj już spokój! Nowosilcow nie mógł kazać Grabowskiemu, by źle o mnie pisał, ani Pękalskiemu, żeby wstawił to do gazety...

- Ale tak to było! Wiesz, czemu nie możemy się uwolnić od Pękalskiego? Nie wiesz, co? Ty tylko chodzisz z nim do burdelu... Jeszcze przed próbami *Horacjuszy* Nowosilcow dał Wielkiemu Księciu do podpisu decyzję o odznaczeniu Pękalskiego. Orłem Białym, Bóg jeden wie czym, nieważne. Jeśli wyrzucimy z posady kogoś, kogo Wielki Książę na oczy nie widział, ale podpisał decyzję o jego odznaczeniu, no to już po nas! Rozumiesz? Nowosilcow już wtedy wykombinował, że będą szantażować Pękalskiego...

- Kto?

- A jak myślisz? No? Nie wiesz? Roźniecki!

- Żeby Roźniecki, szef tajnych służb, miał się sprzymierzyć z Sołtykiem... swoim wrogiem... To bajki.

- Do diabła z bajkami. Dla twoich szanownych przyjaciół to obojętne, czy będzie się atakować Iksów z pomocą wynajętych skrytobójców... Chcą tylko władzy. Za wszelką cenę. Szaniawskiego też zaszantażowali, to on zaniósł Pękalskiemu artykuł Grabowskiego i powiedział, że wysłali go Iksowie. To było dobrze pomyślane... moim zdaniem Pękalski postawił warunek, by tekst przyniósł ktoś, przed kim będzie musiał stanąć na baczność, by potem mieć się na co powołać...

- Takich idiotów jak Iksowie w życiu nie widziałem! - krzyknął Bogusławski. - Tygodnie wcześniej recenzja była gotowa! Czemu nie była dobra?

- Bo nie wiadomo, czy rzeczywiście dojdzie do małżeństwa! - wrzasnął Niemcewicz i walnął pięścią w stół. - W dniu premiery cały czas antyszambrowałem u Wielkiego Księcia, osobiście, ale nie mogłem się do niego dostać! Jeszcze przed południem Dechant przysięgał, że Wielki Książę będzie na premierze! Ale mnie nie przyjął! Car w tym czasie był, rzecz jasna, na polowaniu. Do dziś nie wiem, czemu Wielki Książę nie wyszedł z pokoju, być może po prostu jego nowe spodnie nie były dostatecznie obcisłe albo pękły mu w kroku, skąd mam wiedzieć! Myślisz, że jest nam łatwo? Po pierwszym akcie wysłaliśmy Karskiego do gazet, mają czekać, będzie nowa recenzja, bez żadnych aluzji... Bo teraz może już ani Wielki Książę, ani car, ani caryca matka nie wiedzą, czy chcą Joanny, czy nie... Po przedstawieniu pobiegliśmy do Mostowskiego, w bólu i udręce spłodziliśmy nowy tekst, też nie miałbyś żadnych zastrzeżeń, przysięgam, tak pochwalny, że aż śmieszne, Karski poleciał z nim do Lesznowskiego i Pękalskiego... kto by sobie, u diabła, mógł pomyśleć, że Szaniawski i Pękalski nas zdradzili? A w dodatku nie można się do nich dobrać.

- Jasne - Bogusławski wyszczerzył zęby. - Bo cała banda dostaje pieniądze od Okołowa...

- Jaka banda?

- Wszyscy! I Nowosilcow, i Iksowie.

- Tylko Koźmian i Plater! Ja nigdy nie dostałem nawet grosza.

- Ty, mój królu, dostajesz od Mostowskiego. Czy to nie wszystko jedno?

Niemcewicz westchnął:

- Z pewnością sporo osób złoży ci wizytę. Chcą cię wciągnąć w najróżniejsze brudne sprawy... Nie daj się. Nowosilcow masie aktorów przyrzekł dyrekcję Teatru Narodowego... barany dały się nabrać, co do jednego.

- Niech tylko przyjdą do mnie. Sami powiedzą mi o tym, czego wypierają się Iksowie.

- Twój dom, mój miły, to teren niezupełnie neutralny. On też należy do Iksów. Nie pamiętasz już, jak go dostałeś?

- Nie ma na to dokumentu.

- Masz dług u Osińskiego. Ściągnie go od ciebie, mój stary.

Bogusławski milczał.

- Patrz nieco dalej niż czubek swojego nosa - powiedział po przyjacielsku Niemcewicz. - Nie o ciebie chodzi ani o polski teatr. Kogo już obchodzi teatr? Ciebie i mnie. Szlus. Gdyby Warszawa zbuntowała się przeciw Rosjanom, Metternich miałby wolną rękę na Bałkanach...

- Co mi tu wyjeżdżasz z Bałkanami?

- Ja tylko proszę, wycofaj się! Na kilka tygodni! Potem znowu możesz grać.

- Dwa razy w sezonie. Dziękuję, nie. Nie jestem pisarzem i nie potrafię układać grzecznych rymów o wielkiej polskiej przeszłości, nie mogę pisać powieści o starożytności, uzupełniając je takimi przypisami, by nikt tego nie zrozumiał, byle tylko sumienie piszącego było spokojne, że on przecież o wszystkim napisał. Jestem aktorem, każdego wieczoru muszę grać, inaczej zwariuję.

- Poczekaj, aż wyjedzie car, przyrzekam, wystaramy się u Osińskiego...

- W czym imieniu przyrzekasz? Kim ty jesteś? Wielkim Księciem? Samym carem? Jesteś trzęsącym portkami bałwanem razem z twoimi Iksami. Czemu udajesz wielkiego pana? Znam cię czterdzieści lat!

- Niech Bóg ma cię w opiece. - Niemcewicz przybrał błagalny ton. - Jeśli zamkną teatr, gdzie, do diabła, chcesz grać? Jeśli skandal będzie trwał nadal, przyjdzie ukaz z Petersburga: był polski teatr, nie ma polskiego teatru. Tego chcesz?

- Grałem już po niemiecku, mogę grać i po rosyjsku.

- Na co ci to warcholstwo? Chodzi o polską kulturę, o język!

- Mnie nie obchodzi polska kultura. Jestem aktorem. Mogę grać nawet bez słów.

- Kompletnie zgłupiałeś - powiedział załamany Niemcewicz. - Nie zamierzam dyskutować z wariatem, ale kim był człowiek, który wyniósł z płonącej Warszawy wszystkie rękopisy polskich dramatów? Kto ukrył kostiumy przed przeciągającymi oddziałami? To nie byłem ja, to ty! Wojciech Bogusławski, nestor polskiego teatru!

- Więc bądź łaskaw to napisać w jakiejś recenzji, pod pseudonimem „iks”, wtedy niezmiernie się wzruszę. Do tego czasu jednak będę wierzyć tylko w to, co tu napisano - Mistrz machnął „Gazetą” - bo to też napisali Iksowie, ale byli na tyle tchórzliwi, że nawet nie podpisali się pseudonimem.

- Nie ja to napisałem, przysięgam! - jęknął Niemcewicz. - Kazali napisać Sierakowskiemu i Wyszkowskiemu, Mostowski poprawił, ja nawet tego nie widziałem, tylko

Koźmian i Matuszewicz... i ten idiota Morawski, ale on teraz o niczym innym nie umie paplać, tylko o tym, jak piękne jest życie w Paryżu...

- Tylko nie narzekaj na Iksów - oburzył się Bogusławski. - Jesteś Ikssem, dlatego w każdym sezonie wystawiają dwie, trzy twoje marne sztuki. Nie masz prawa ich przede mną obwiniać.

Wstał i ruszył do drzwi.

- Poproszę Mostowskiego - rzucił za nim Niemcewicz - by kazał cię trzymać w areszcie domowym.

- Wiem - powiedział Bogusławski w drzwiach. - To także tylko w moim dobrze pojętym interesie.

Gdy się wykrzyczał, wróciła mu trochę wewnętrzną równowagę.

Na wszelki wypadek poszedł do teatru. Wszystkim minęło już pierwsze wzburzenie wywołane recenzjami, nieco ospale wyczekiwali wiadomości, a ponieważ nie nadchodziły, sami fabrykowali panikarskie pogłoski. Ze szczególną atencją otoczyli Bogusławskiego. To zaskoczyło Mistrza. Czy można interpretować oba teksty inaczej niż jako jego porażkę?

Nos mu podpowiedział, że dalej powinien odgrywać pewnego siebie Mistrza. Wykonawcy *Horacjuszy* skupili się w grupce, Dmuszewski też do nich dołączył. W innym kącie siedzieli Aszpergerowie z grającymi w sztuce Caigneza; Żółkowski ostrożnie krążył między jednymi a drugimi. Bogusławski zorientował się dopiero po dłuższej chwili, że premiera *Horacjuszy* staje się legendą: zainteresowanie wywołała częściowo polemika, a częściowo to, że żaden z aktorów niegrających w sztuce nie widział jej, gdyż wszyscy byli zamknięci w suterenie. Zmianę najłatwiej można było dojrzeć, obserwując Żółkowską: wysmukłała, znikła niepewność, jakby w przedstawieniu *Horacjuszy* dokonali jakichś wielkich i odważnych czynów.

Bogusławski zamyślił się.

Może jednak przedstawienie nie było takie słabe, skoro zrobił się z tego taki skandal?

Widział, że dla innych wspomnienia o wrzawie wokół *Klingsbergów* nie były tak przygnębiające, jak dla niego. Jakby inni nie odbierali całej tej dyskusji jako jego porażki. Gdy próbował spojrzeć na siebie innymi oczami, nawet on się zdziwił, że ten wielokrotnie rozgromiony Bogusławski, którego od roku starają się powoli wyrugować ze sceny, tak twardo siedzi w kącie knajpy. Gdyby rzeczywiście pokonano go w dyskusji wokół *Klingsbergów*, w żadnym wypadku nie siedziałby teraz tak niewzruszenie na tyłku.

Ten nieoczekiwany punkt widzenia zmusił go do rozmyślań. Może jego sytuacja nie jest taka beznadziejna, jak sądzi. Może bez żadnego powodu chce zrezygnować z samego

siebie i jedynie ze względu na zmęczenie nie jest w stanie knuć intryg, tylko usilnie czegoś próbuje i wyczekuje w przedpokojach. Czy to możliwe, że z rozmysłem chce się załamać?

Błądnował przez całe popołudnie, a kiedy grający Caigneza zaczęli się przygotowywać do spektaklu, pomyślał sobie, że czas do domu. W drzwiach dla aktorów przyłączył się do niego Dmuszewski z Medorem. Opowiedział, że po mieście chodzą pogłoski, że *Horacjusze* odnieśli sukces, wiele osób dowiadywało się u niego, kiedy będzie można zobaczyć sztukę, Konstancja ćwiczy w domu rolę, idzie jej coraz lepiej, dzięki bezinteresownej pomocy Mistrza. Kiedy ta awantura przycichnie, dodał optymistycznie, z pewnością znowu będzie można grać *Horacjuszy*. Osiński, jego zdaniem, czeka tylko na wyjazd cara.

Bogusławski coś mruknął.

Było kilka minut po szóstej, zapadł zmrok, z foyer buchał zgiełk, tłum lampiarzy rozświetlał plac. Bogusławski ruszył w tamtą stronę, przystanął, popatrzył na zbiegowisko. Dmuszewski też się zatrzymał i osłupiały spoglądał na czerniejący przed teatrem tłum.

- Co dziś idzie? - spytał Bogusławski.

- Caignez - odparł Dmuszewski - *Kochankowie ekstrapocztą*.

Był zdenerwowany, to on tłumaczył sztukę.

- Na pewno to idzie? - zapytał zdziwiony Bogusławski.

- Pójdę i zobaczę - odparł Dmuszewski. - Popilnowałby Mistrz Medora? - I pośpieszył do wejścia dla aktorów.

Mistrz popuścił nieco smycz, Medor biegał wokół niego, Mistrz musiał stale się obracać.

Tymczasem również przy wejściu dla aktorów zebrał się już już mały tłumek. Bogusławski poczuł atmosferę dawnych wielkich przedstawień; bywało, że koniki przez jeden wieczór zarabiały więcej niż występujący w sztuce aktorzy razem wzięci. Podeszedł bliżej głównego wejścia i z zadaszonego postoju dla powozów obserwował zgromadzonych. Było zadziwiająco dużo studentów i oficerów. Medor wystraszył się tłumu i szarpnął smycz.

- Ale dobrze byłoby pójść do teatru - westchnął z boku Fiszer.

Bogusławski wzdrygnął się.

- Wejść do foyer - ciągnął Fiszer rozmarzony - czekać na coś wielkiego, prawdziwego i pięknego... usadowić się na krześle i oglądać publiczność, pomachać do znajomych... paradować jak wielki człowiek: taki, który chodzi do teatru i stać go nie tylko na miejsce na jaskółce, a na koniec będzie bić brawo... Potem czekać, aż pojawią się aktorzy. Znać plotki na ich temat. Kochać się w aktorkach. Podpatrywać gesty i intonację głosu zakochanych

bohaterów, a w domu, przed lustrem ich naśladować... Wyobrażać sobie, że los może się odwrócić, może kiedyś człowiek zasiądzie w łoży, dlatego naprawdę warto pracować od świtu do nocy. Wyobrażać sobie, że Bóg tak pokieruje sprawami człowieka, iż kiedyś, być może, dzięki cudowi, będzie mógł pisać recenzje teatralne, nawet niedużo, wystarczy jedna, i powiedzieć panu Iksowi, że oto i inni znają się na teatrze... I wówczas można patrzeć na przedstawienie w taki sposób, że oto aktorzy grają dla mnie, siejącego postrach krytyka, tylko dla mnie, wsłuchują się w moje oklaski i odróżniają je od innych... Czyż nie byłoby dobrze, Mistrzu, być wtajemniczonym w życie teatru?

Milczeli; grupa studentów podkradła się do okna przy wejściu dla aktorów, zdobyli skądś drabinę i oparli o ścianę.

- Antoni, rzeczywiście dziś idzie Caignez?

- Tak - odparł Fiszer i patrzył, jak studenci wchodzą na drabinę, a z otwartego okna wyciągają się ramiona niby macki ośmiornicy i pomagają im dostać się do teatru. - Ludzie powariowali. W południe sporo studentów błagało mnie o bilety, powiedziałem im, że sztuka jest marna, przedstawienie jeszcze gorsze, nie uwierzyli. Niech pan powie, Mistrzu, czy *Horacjusze* byli tacy dobrzy?

- Gdzie tam - odparł Bogusławski. - Caignez dziś wieczorem będzie znacznie lepszy.

Medor nadal szarpał smycz. Od tyłu teatru wybiegło kilku żandarmów, ale na widok tłumu zatrzymali się i bezradnie patrzyli na tłoczących się ludzi. Drabinę wciągnięto przez okno, teatr podniósł kotwicę.

- Powiedz mi, Antoni, to ty podpisałeś się za nieistniejących aktorów?

Fiszer roześmiał się.

- Tylko za czterech. Próbowałem wysledzić, kto dopisał pozostałych, ale musiałem zrezygnować, myślano, że szpieguję z polecenia Osińskiego... że jestem oczami na szypułkach pana Iksa.

- A nie jesteś, mój królu?

Fiszer przygryzł wargi. Bogusławski rzucił na niego okiem. Grecki profil, piękna głowa w tym półmroku.

- Jednak bardzo by się teraz przydało - westchnął pojednawczo - gdybyś miał te oczy na szypułkach w pobliżu Niemcewicza... trudno ci będzie oglądać przedstawienia z łoży, jeśli nie przyjmiesz niczyjej protekcji.

- Mógłbym się stać drugim Pękalskim - wybuchnął Fiszer i zatrzęsł się z obrzydzeniem.

Po krótkiej ciszy powiedział:

- Powinienem napisać swoje dramaty... Złapałem naraz pięć, sześć tematów, bałem się, że nie będę miał czasu ich napisać... ale nie myślałem, że będę miał aż tak mało czasu.

- Z niczym się nie śpiesz - poradził Bogusławski. - Życie jest długie.

- Morawski proponował, żebym dla uniknięcia poboru włożył mundur kadeta... Zamienił dziesięcioletnią służbę na dożywotnią...

Bogusławski nie wiedział, co powiedzieć.

Pod teatr przybyły nowe oddziały żandarmów, z daleka obserwowali tłum.

- To niemożliwy kraj, Mistrzu... Miesięcznie trzy miliony idą na wojsko, a Aleksander chce teraz jeszcze więcej, słyszałem, że Matuszewicz zaoferował dalsze czterdzieści trzy miliony... I codziennie parada, w śniegu, na mrozie... Przedwczoraj zdegradowano i aresztowano wielu oficerów, bez żadnego powodu... Teraz miałbym zostać kadetem?

Podeszło do nich trzech żandarmów i teraz w piątkę obserwowali publiczność falującą przy wejściu do teatru.

- Kto będzie mi rozkazywał? - zapytał Fiszer nieco ciszej. - Wielki Książę? By nie zostać wychłostanym, mam kazać chłostać innych?

Bogusławski chrząknął ostrzegawczo.

- Albo syn Mistrza, on jest lepszy? - zapytał Fiszer. - Czy mają nas ćwiczyć ludzie jak Ignacy? Tu już nigdy niczego nie będzie.

- Popatrz na ten tłum - powiedział Bogusławski. - Wczoraj jeszcze nikogo nie było.

- To minie - odparł Fiszer.

Jeden z żandarmów pochylił się i podrapał Medora w ucho.

Zbiegowisko jakby nieco stopniało, część osób weszła już do środka. Stojący z tyłu nie rezygnowali, czekając na cud, sterczeli pod zamkniętym wejściem.

- Wiesz co, mój królu, podejźmy do nich, coś im zaimprovizujemy... Niech nie czekają na próżno... Chodź, ty będziesz panem Iks, ja twoim sekretarzem, narzekajmy, że nie udało nam się wejść na spektakl i teraz na ślepo będziemy musieli napisać recenzję...

- Nie jestem aktorem - powiedział ze smutkiem Fiszer. - Nie potrafię improwizować.

- To nie takie trudne, trochę zdecydowania, pewne wejście...

- Niech Mistrz idzie sam...

- A przydałaby się mała awantura - powiedział Bogusławski z urazą. - Masz smycz, potem oddasz psa Dmuszewskiemu.

Małe grupki ruszyły z placu Teatralnego w stronę śródmieścia, odjeżdżało też kilka powozów, jeden ochlapał ich obu błotem. Bogusławski zaklął i zaczął czyścić płaszcz.

Fiszer wziął smycz.

- Jak się ma Aniela? - zapytał.

- Sam ją spytaj.

Bogusławski ruszył do domu, Fiszer został.

Mistrz zasnął dopiero o świcie, do tego czasu rozważał swoje szanse. Marianna obudziła go rano o zwykłej porze, on, niewyspany, nie chciał wstawać. Drzemał do południa, wypił herbatę, po czym, nadal niewyspany, znów poszedł do łóżka. Marianna się przeraziła, że coś mu dolega, i co pół godziny do niego zaglądała. Bogusławski pomyślał z nadzieją, że może jest chory. Rzeczywiście, do dzwonienia w ucho dołączył teraz, jeśli bardzo chciał to poczuć, lekki ból. Leżał do wieczora, coraz rzadziej kręcąc się w łóżku, potem jednak się zerwał. Idę teraz do miasta, powiedział, wszystko załatwię. Marianna zatrzymywała go, lamentując, gdzie pójdziesz tak późno, co cię napadło. Bogusławski rozgniewał się, zawsze wisielei mu na karku tacy jak Marianna, dlatego do niczego nie doszedł; Marianna beczała, Mistrz został w domu i wrócił do łóżka.

Miał niespokojne sny: przyśniła mu się Anna Lampel, bardzo się postarzała. Mistrz, chociaż czuł wstręt do starej kobiety, uznał, że jego obowiązkiem jest znów ją uwieść; ale Anna po jego dotknięciu skurczyła się i schowała pod szafą, skąd w żaden sposób nie potrafił jej wyciągnąć. Potem brodził w mętnej rzece, był nagi i na próżno szukał ubrania, by zamulona woda nie zabrudziła mu ciała. Długo brodził w płytkiej wodzie, która nagle go przykryła, a on opadał coraz głębiej, w uszach szumiały mu kaskady wody i brakowało mu już powietrza, gdy się na chwilę obudził. Nie chciał zasnąć, by sen nie zaczął się znów pod wodą, ale nawet z otwartymi oczami, drapiąc chłodne deski łóżka, czuł, że nadal tonie. Wiedział, że Marianna zbudziłaby się na jego krzyk i wybawiła go od koszmaru, ale nie mógł wydobyć głosu.

Myślał o teatrze, przypominał sobie części maszynarii, to w końcu pomogło i zaczął miarowo oddychać.

Rano miał ochotę na kłótnię, ale Marianna pokazała mu gazety, po które już rankiem wyruszyła do miasta. Kłótnia zesła na drugi plan, Bogusławski zabrał się do czytania.

W "Gazecie" pojawiły się dwie recenzje, w "Korrespondencie" trzy, z czego dwie takie same jak w "Gazecie". Mistrz najpierw przeczytał tę, która pojawiła się jedynie u Pękalskiego; jej autor podpisał się jako Alfa.

Au Cid persécuté Cinna doit sa naissance - takie powiedzenie zacytował na wstępie Alfa, potem wyjaśnił, jak należy je rozumieć.

„Krytyka dążąca do kreowania nowych znaczących dokonań inspiruje artystów, a gdzie opinia publiki lub artysta nie dojrzała do przyjęcia krytyki, tam niewątpliwie i sztuka

musi okazać się niedojrzałą. Tak dzieje się gdzie indziej, w krajach, gdzie krytyka ma swoją tradycję. Inaczej jednak jest u nas, gdzie ową kwestię należałoby odwrócić; czy krytyka jest na tyle dojrzała, by powierzać jej ocenę dojrzałych artystów? Nie zamierzamy twierdzić, iż krytyki pana X nie mogą liczyć na zainteresowanie naszej publiczności i bynajmniej nie zamierzamy trwać w błędnej intencji niedoceniań dobrodziejstwa wynikającego z działalności Iksów. Lecz nie możemy przemilczeć i tego, że na razie rzeczą korzystną byłoby, gdyby obok Iksów także inni mogli wysłuchać opinii o działalności naszego teatru, tym bardziej że nie ma aż tylu Iksów, aby mogli oni zapełnić widownię teatru. Chciałbym wierzyć, że krytycy w naszych gazetach maczają zabójczy oręż, jakim są ich pióra, w atramencie, a nie we krwi aktorów. Musimy sobie powiedzieć: niezdrowa zapanowała u nas atmosfera, a jeśli Iks czy Ipsylon wypowiedzi się choćby tylko nieco ostrzejszym tonem o jakimś naszym aktorze, zaraz rozchodzi się pogłoska, iż dany aktor nie będzie już mógł wystąpić na scenie. Będziemy popierać teatralną krytykę, jeśli potrafi ona rozwiewać takie błędne idee. Jeśli jednak uznamy, iż nastroje ogółu są prawdziwe, będziemy zmuszeni napisać krytykę przeciwko krytyce wtedy, gdy zrozumiemy jedno: u innych narodów krytyka przyczynia się do rozkwitu sztuki scenicznej”.

Bogusławski klepnął się w kolana z radości. Cholera, odważnie napisane. Kto, do diabła, mógł to napisać? Więc jednak jest opozycja? Może są jeszcze ludzie i mogą mieć głos? Czyżby? Ale jak to przeszło przez Szaniawskiego?

Szybko ochłonął, nawet w recenzji pisanej w dobrych zamiarach należało się spodziewać podłych intencji. Szybko przeczytał dwa pozostałe artykuły.

Niejaki pan R wystosował do pana Iksa następujący list:

„Nie wiem, gdzie i jak Pana znaleźć; daruj więc, że publicznym głosem do niego przemówię.

Pochlebiam sobie, że Pan masz w zamiarze być użytecznym krajowi, sztuce, artystom. Muszę więc Pana ostrzec, że uwagi jego przeciwny robią skutek. Przyznasz Pan, że w tym razie nie oświeciłbyś, ale raczej przytłumiłbyś talent. Prawda, że mniej nas obchodzą te obce płody, już gdzie indziej sprawiedliwie i gruntownie ocenione. Ważniej dla nas nad krajowymi się zastanawiać. Więc rozbieraj je Pan dokładnie; ale wytykając wady, racz też i wdzięków dostrzec, a jeśli nadto drażliwy nasz artysta na żadne nie przystanie uwagi, natenczas lepiej zupełnie ich poprzestać, bo prędzej się obejdziem bez krytyki aniżeli bez dzieł”.

To przesada, pomyślał Bogusławski. To nie w porządku, że tak napadają na Iksów. Dobrze jeszcze, że w obu artykułach wypowiadają się ogólnikowo, bez podawania nazwisk.

Ponownie przeczytał artykuł. Mimo wszystko nie szkodzi, że niszczenie talentów

przypisuje się już nie jemu, tylko Iksom. Czytając raz jeszcze ostatnie zdanie listu pana R, wyczuł protest przeciw zakazowi wystawiania *Horacjuszy*.

Niemcewicz powiedział, że więcej artykułów nie będzie. A są trzy. Czyżby Iksowie działali w pośpiechu? A może są za słabi, by powstrzymać polemikę? Albo postępują tak, jakby i ich można było swobodnie krytykować?

Trzeci artykuł pojawił się podpisany przez W. Początkowo Bogusławski podejrzewał, że to Kostka Potocki, bo tak sygnuje dział „Świstek krytyczny”, ale styl nie przypomina obciążonego staroświeckimi zwrotami języka Kostki Potockiego. Może dla zmylenia przerobili go inni.

„Krytyka panów Iksów okropne, jak mi donoszą, na artystach dramatycznych sprawuje wrażenie. Oto jedna z aktorek, widząc tylko imię swoje w niej umieszczone, mdleje, drugą spazmy porywają, ta grać dnia tego nie chce, tamta gra na przekorę, a cały ciężar tego ich żalu częścią na teatralnego przedsiębiorcę, często [!] na publiczność spada. Cożkolwiek bądź sądząc o tak osobliwym tych dam urojeniu, bo w istocie XX grzecznie do nich mówią, potyczka ta krwawa nie będzie, a może zabawić publiczność...

Naprzód krytyk, jak aktor, dobrowolnie wystawia się na publiczne widowisko; jeden jak drugi chwalonym być chce, więc jeden jak drugi ganionym być może. Po wtóre, aktor często z potrzeby nim się staje; autor prawie zawsze z dobrej chęci porywa się do pióra, bo go pewnie to rzemiosło, mianowicie u nas, nie z bogaci, a często ruiną staje się księgarza, przez czyją winę? Czyli braku czytelników, czyli dobrych pisarzy, niech o tym sędzi sprawiedliwa publiczność.

Do teatru jednak przychodzi wiele ludzi, wśród nich także tacy, którzy pisać ani czytać nie umieją, wszelako o teatrze godzi się pisać, i to nie tylko by opisać samą grę aktorów, lecz i dlatego, gdyż godne jest spisania wszystko, co ich tyczy, a czego nikt by inaczej nie przeczytał lub przeczytać sobie innemu nie nakazał.

Niech więc piszą krytyki i Iksowie, i drudzy. Niech piszą jednak jasno, zrozumiale; aby ich słowa rozumiał i ten, który nie miał możliwości oglądać wystawień warszawskiego Teatru Narodowego.

Okropną klęską jest wojna; przecież bawi w gazecie. Wzdychaliśmy długo za pokojem, pokój na koniec nastąpił; świat wiele na nim zyskał, ale gazeta niemało stracić może. Przecież, gdym nad jej stratą głęboko rozmyślał, zdało mi się dostrzec, iż istnieje środek wynagrodzenia jej choć w części, to jest wzbudzenia w umysłach ludzkich tej niespokojności, tego ruchu, tej burzliwości, których są tak chciwymi.

Dostrzegłem bowiem, iż odtąd jak wojenna w gazecie ucichła wrzawa, wzrósł głos

i imię panów Iksów i że ich teatralne spory, na które dotąd mało kto uważał, co nikły przy wojennym zgielku, nabrały wagi i w rozmowach miejsce pierwszych zastępować zaczęły. W oczach wielu stary Klingsberg stał się rycerzem, a Camilla prawie romansową bohaterką. Wzrosły stronnictwa, wzmożła się ciekawość, zgoła przekonałem się, iż wojna literacka jest miniaturą wojny rzetelnej, która niemal równie ludzi bawi, a łączy do tego korzyść, że nie tylko nie jest szkodliwą, ale nawet użyteczną. Niech więc zamiast krwi ludzkiej leją potoki atramentu; niech się kruszą pióra; niech wystąpi cała ciężka i lekka krytyki artyleria; niech grzmią wszystkie jej działa... tym lepiej; ciekawość i nauka na tym zyskają... Dziś idzie tylko o to, żeby te blizny szlachetnie zadany były i żeby nikt się nie ważył podłej i podstępnej używać broni, czego wreszcie nie dozwala sama szlachetność. Nie dość jeszcze, by krytyka szlachetną była; żywą, przyjemną, wesołą być powinna, a nawet nieco złośliwą być niekiedy jej wolno, byle grzecznie i w miarę; nade wszystko zabronionym jest jej być zimną i tęskną, a to pod karą znudzenia czytelników, zawsze dla piszącego główną”.

Bogusławski popędził do teatru, teraz przyłapie Osińskiego i nakłoni go, by wycisnął z Iksów zgodę na *Horacjuszy*, teraz już można.

Na korytarzu wpadł na Szymanowskiego wymachującego wściekle „Gazetą”.

- Mistrz to czytał?

- Mój Boże - powiedział Bogusławski - staliśmy się potęgą w gadaniu od rzeczy.

- Ale przecież całkiem otwarcie!...

Pokazał pierwszą stronę gazety i podsunął Mistrzowi pod nos. Obywatele Pragi wystosowali list otwarty do swego króla, w którym uniżenie proszą króla o łaskawe wyrażenie zgody, by ich umiłowany Wielki Książę Konstanty, z uwagi na zakupiony niedawno majątek na Pradze, zasiadał w przyszłości w senacie jako ich przedstawiciel.

- O co ci chodzi? - powiedział Bogusławski. - Do tej pory jako Wielki Książę też był senatorem.

- No właśnie o to - odparł Szymanowski z goryczą. - Jeszcze im tego za mało, teraz będzie jeszcze reprezentować Pragę...

Bogusławski zostawił go.

Na schodach Wolski spytał go szeptem, czy to prawda, że pod pseudonimem pisze sam generał Dąbrowski? Mistrz poszedł dalej, na piętrze złapał go Żółkowski i odciągnął na stronę.

- Mistrzu, nie wie pan, czemu nie ma recenzji z Caigneza?

Bogusławski nie wiedział.

- Zadziwiająca cisza - powiedział nerwowo Żółkowski. - Naprawdę nie mam tu dużej

roli... czy mam się zgłosić, że jestem chory, Mistrzu?

Bogusławski przypomniał sobie sztukę. Głupia komedyjka; pewien oficer imieniem Walery ucieka dylizansem pocztowym przed damą imieniem Lucynda, której nie zamierza poślubić, ale Lucynda rusza za nim, na każdej stacji pocztowej przebiera się w inny strój, by go zwieść, w końcu Walery rezygnuje z oporu i żeni się z nią. Rola Lucyndy jest całkiem niezła; sporo cech charakteru może zagrać w kolejnych przebraniach, Walery jest ledwie zaznaczony; Żółkowski gra służącego oficera, ma wszystkiego ze dwa dobre momenty. Taka komedia naprawdę nie może być niebezpieczna. Chociaż, jeśli w oczach Iksów Lucynda będzie uosabiać Joannę, a Walery Wielkiego Księcia, jeśli sługę uznać za Zajączka albo Czartoryskiego...

- Graj bez obaw - doradził Bogusławski. - Jeśli ich to zaboli, po prostu wydadzą zakaz.

- Braw już zakazali - prychnął Żółkowski.

- Czego zakazali?

- Braw... Wczoraj przez kwadrans bito brawa... Dawno nie mieliśmy takiego sukcesu. Rano większość mówiła, że wywieszono obwieszczenia, Wielki Książę aresztował oficera nazwiskiem Kuszel, bo wczoraj zdjął przed teatrem czapkę, czyli niesubordynacja... a wojskowym do odwołania rozkazu nie wolno klaskać w teatrze... Nie chciałem w to wierzyć, ale tak mówiono, na Arsenale też to jest, poleciałem tam, rzeczywiście wisi takie obwieszczenie...

Bogusławski zaśmiał się zdziwiony. Żółkowski znów zrobił się nerwowy.

- I tak zgłoszę, że jestem chory - powiedział.

Pan sekretarz Unicki oznajmił, iż pan Osiński jeszcze się nie pojawił.

- A kiedy się pojawi? - zapytał Bogusławski.

- Nie wiadomo - powiedział Unicki. - Ostatnio rzadko przychodzi.

Po chwili wahania Mistrz ruszył do mieszkania Osińskiego.

Drzwi otworzyła służąca. Bogusławski oznajmił, że chce zobaczyć wnuka, i bez ceregieli wkroczył do środka. Osłupiała Rozalia zerwała się z kanapy.

- Twój pan i władca?

- Masz siebie na myśli?

- Twój pan małżonek?

- Nie ma go w domu.

- Muszę z nim rozmawiać.

- Uczy.

- Co robi?

- Na uniwersytecie... ma wykład...

- O tej porze?!

Służąca przyniosła w ramionach dwuletniego chłopczyka. Rozalia tupnęła ze złością, by dziewczyna się wyniosła.

- Ojej, mój wnuczek - powiedział zaskoczony Bogusławski. - Mały Maurycy.

- Karol - wycodziła przez zęby Rozalia.

- No tak, oczywiście, Maurycy to ten drugi. Pardon. Zawsze ich mylę...

Zmieszana dziewczyna wyniosła dziecko. Rozalia stała pośrodku pokoju, Bogusławski rozejrzał się i cmoknął z uznaniem.

- Widzę, córeczko, że macie się nieźle... Za ile kupiliście tę kanapinę?

- Za piętnaście tysięcy.

- Brawo. Widzę, że całkiem dobra robota.

- Ludwik przywiózł z Paryża.

- Ludwik. Aha.

Rozalia zagryzła usta.

- Chcesz jeszcze czegoś?

Mistrz wybrał sobie wygodny fotel i rozsiadł się w nim.

- No więc powiedz, córeczko, czy teraz ci dobrze? Zostałaś wielką panią? Tarzasz się na piętnastu tysiącach i tuczysz sobie dupę?

Rozalia milczała.

- A co za książka leży na tych piętnastu tysiącach?

- Najnowsza powieść Madame de Genlis - odpowiedziała posłusznie Rozalia.

Bogusławskiemu aż dech zaparło.

- Mój Ty Boże - powiedział szczerze. - Kiedyś miałaś lepszy gust!

Rozalia podeszła do kanapy i zamknęła książkę.

- Nie miałem szczęścia do potomków - stwierdził Bogusławski. - Zrobiłem jedną utalentowaną dziewczynę, a i ona wyszła na idiotkę. Ignacy jest lepszy od ciebie, on przynajmniej urodził się idiotą.

- Cieszyłbyś się, gdybym została aktorką, co? Gdybym razem z innymi cierpiała, błagała o główne role, może nawet jakąś bym dostała, zanim pojawiła się Ledóchowska albo zachciało ci się przespać z Konstancją!

- Jeśli mnie pamięć nie myli - zauważył Bogusławski - to w przeciwieństwie do Ledóchowskiej właśnie ciebie starałem się wypromować... nigdy nie miałaś żadnych

problemów, dziecinko, był z tobą tylko jeden malutki kłopot, to, że byłaś tchórzem.

Rozalia roześmiała się.

- A ty daleko zaszedłeś ze swoją odwagą - powiedziała. - Możesz się nawet powiesić. Ale nie włącz mi już na głowę, żebym była twoją podporą na starość. Bądź tylko dalej odważny... A twój wnuk, gdy podrośnie, będzie dumny, że jego ojcem jest Ludwik, który coś mu dał, a o dziadku komendancie nie będzie nawet pamiętać!

- W porządku - powiedział Bogusławski.

- Mama zawsze stara się mnie zmiękczyć, żebym ci pomogła... w końcu to twój ojciec, mówi... postaraj się, by Ludwik umorzył ten jego dług... Ale ja nie będę Ludwika do tego namawiać, na pewno nie ja. Przygarnę kiedyś mamę, nieszczęsna idiotka poświęciła ci całe swoje życie. Dla ciebie nawet palcem nie kiwnę!

Bogusławski pochylił się w fotelu i z uznaniem spoglądał na córkę.

- Byłabyś na scenie wspaniałą intrygantką, dziecinko - powiedział. - Nawet teraz, z taką dupą... Nie ma takiej w teatrze. Szkoda cię, córeczko, ale sama tego chciałaś.

Wstał i zapiął płaszcz.

- Spróbuję przyłapać twój Ludwika - powiedział. - Ale jeśli mi się nie uda, przekaż mu, żeby wziął się w garść i walczył, teraz wszystko można zdobyć. Pomogę wam, dziecinko, żebyście jeszcze dwadzieścia takich kanapek mogli przywieźć z Paryża albo z Ameryki, a jak dojdiesz do pięciu kwintali i nie dasz rady stać na nogach, będziesz mogła się przetaczać z jednej na drugą.

Biedna dziewczyna, przyszło mu do głowy, gdy służąca otworzyła mu drzwi, teraz dostanie za swoje.

W bramie uniwersytetu sterczała grupa studentów, podszedł do nich, zapytał o Osińskiego.

- Jest w środku - powiedzieli.

- Ma wykład - dodał jakiś chłopak.

- Nie da rady się dostać, niech pan nawet nie próbuje - powiedział inny.

- Dlaczego nie?

- Ma wykład o *Horacjuszach*. Już wczoraj trudno się było dostać.

Bogusławski oniemiał.

- Widzieliście przedstawienie?

Studenci milczeli.

- Jeśli nie widzieliście, to po co tu jesteście?

- No... pełno o tym w gazetach.

- Ale jeśli nawet nie można się dostać?...

Po chwili milczenia jakiś student powiedział:

- Może coś się zdarzy.

- Co miałyby się zdarzyć?

Patrzyli na niego podejrzliwie, Bogusławski zdał sobie sprawę, że go nie poznali. Może ci nigdy w życiu nie byli w teatrze. Przeszła mu ochota na rozmowę z Osińskim. Nadęty kapuściany łeb, nabija głowy tych idiotów estetyką i jest zachwycony, że ma publiczność.

Patrzył z nienawiścią na studentów, z ostrożności pogrążonych w milczeniu. To już nowe pokolenie. Mieszkają w Warszawie, a nawet go nie znają. Teraz dla nich teatrem jest Osiński! Wyobraził sobie siwiejące niemowlę z wydętymi policzkami, jak w najlepszym garniturze kryguje się przy katedrze, peroruje o trzech jednościach, odgrywa wielkiego dyrektora, a boi się wejść do teatru.

Rzucił w duchu kilka wyszukanych przekleństw i zostawił sterczących przy bramie studentów, którzy nie odezwali się nawet do siebie.

Wrócił do teatru. W knajpce panowało wielkie podniecenie: chwilę wcześniej Malinowski chlusnął Bautzowi w twarz gorącą herbatą, wrzeszcząc: mam dość zimnych herbat, mam dość zimnych herbat; Bautza zabrano do szpitala, bo krzyczał, że go oślepieno; właśnie zastanawiano się, czy można oślepnąć od zimnej herbaty.

- Od herbaty nie można oślepnąć - upierał się Szczurowski. - Od herbaty nikt jeszcze nie oślepl.

Wąsowicz był przeciwnego zdania.

Bogusławski wyszedł z knajpy. Bez celu błąkał się po korytarzach, potem zerknął na scenę. Między dekoracjami do Caigneza łąził Zieliński z jakimś obcym panem, wszystko dokładnie oglądali. Może usunęli podejrzane barwy, w każdym razie Mistrzowi rzuciło się w oczy, iż nigdzie nie widać koloru białego ani czerwonego. Wspaniale, pomyślał; ulice, z uwagi na obecność cara, nadal były obwieszane barwami narodowymi.

Jego wzrok zatrzymał się na budce suflera. Co by było, gdyby tak stał na scenie, wygłaszał jakiś monolog starego Horacjusza i nagle z budki wyszedłby sufler... ubrany jak któryś z Iksów... i wtrącił mu się do monologu? A za nim drugi Iks, trzeci, księżęta i hrabiowie... a on by nie mógł kontynuować monologu? Potem wybitne postacie wychodzące z budki suflera zajmowałyby miejsca w pierwszym rzędzie.

Budkę trzeba będzie przenieść w głąb sceny, bliżej zapadni, wszystkiego kilka metrów, na początku przedstawienia nie rzucałoby się to w oczy. I przerwać w ten sposób

jakiś ważny monolog. Byłaby niezła heca, tylko nie ma z kim tego zrobić.

Westchnął i wrócił do knajpki.

Do tego czasu pojawiły się nowe wieści: podobno Kudlicz powiedział, że Iksowie odbyli wczoraj naradę i Lipiński zaproponował, by zdjęto Caigneza, gdyż cieszy się zbyt dużym powodzeniem. W każdym razie Aszpergerowie siedzieli z ponurymi minami. Wcale nie byłoby źle, gdyby zdjęto przedstawienie, pomyślał Bogusławski, wówczas Aszpergerowie znów prosiliby go o pomoc.

Helena Rutkowska miała inną zdumiewającą informację: wykłady Osińskiego o dramacie też są zagrożone, w nocy studenci przemaszerowali Nowym Światem, grając Mazurka Dąbrowskiego, i wiwatowali na cześć Corneille'a.

- A jednak? - mruknął Bogusławski i pomyślał o głupkowatych twarzach studentów.

Unicki, jak mówiono, zamknął się w pokoju, bo zbyt wiele osób chciało się dowiedzieć, co będzie się grać dziś wieczorem.

Znów podszedł do niego Żółkowski i opowiadał, że pił w nocy ze szpionem nazwiskiem Ogiński, pętał się jakiś czas po teatrze, ale to porządny facet, powiedział aktor, i mówi szczerze; usłyszał od tamtego, że mianują nową radę dyrektorów, nie będzie w niej Iksa; Szaniawskiego też zwolnią, na jego miejsce teatralnym cenzorem zostanie Ogiński.

- To bardzo porządny facet - mówił z nadzieją Żółkowski. - Wstydzi się tego wszystkiego, może dzięki niemu wygramy...

Bogusławski nic nie powiedział, niech sobie Żółkowski wierzy, że już zyskał przychylność przyszłego cenzora.

Zastanawiał się, czy już czas iść do domu, w teatrze i tak nic się nie dzieje, kiedy wpadł Kudlicz, wrzasnął okropnie i wyleciał. Kilka chwil później wleciał Wąsikowski, „Drzwi!” - wrzasnął i też wyleciał.

Kilka osób wybiegło, z korytarza dochodził tupot nóg i krzyki, potem przez okienko bufetu usłyszeli także krzyki dobiegające z placu. Bogusławski wyszedł na korytarz, gdzie połowa zespołu krzyczała: jesteśmy zamknięci!

Nie dotarł do wejścia dla aktorów, które ze dwudziestu ludzi starało się wyważyć. Z zewnątrz dobiegały tępe uderzenia, jakby starano się rozbić drzwi taranem. Jest na dachu, krzyczano obok Bogusławskiego, wysadzi teatr!

Większość pobiegła na górę, Mistrz wraz z nimi. Na piętrze pędzący tłum uniósł go w pobliże okna rekwizytorni obok zamkniętego pokoju dyrektora i ponad głowami innych udało mu się spojrzeć na plac. Na dole zgromadził się spory tłum, wszyscy patrzyli w górę, na dach teatru. Przed tłumem stał kordon żandarmów, widać było koniec ogromnej kłody, która

znikała z oczu między kolejnymi tępych uderzeniami: nią rozbijano bramę. Z głębi placu nadjechała stępa żandarmeria konna. Przypuszczalnie po drugiej, niewidocznej stronie placu zbierali się strzelcy wyborowi, by go zestrzelić.

- Kogo?

- Kratzera! Jest na dachu i przemawia!

Kilka osób wychyliło się z okna rekwizytorni. Wykręcali szyje ku górze, ale nic nie widzieli, a głos krzyczącego, niewątpliwie należący do korepetytora muzyki, nie docierał tu przez ten zgiełk. Tymczasem na placu rozpostarto ogromną płachtę, dokładnie pod nimi. Może rzeczywiście ktoś jest na dachu, pomyślał Bogusławski. Na plac ściągnięto pośpiesznie długie drabiny, oparto je o ścianę teatru, ale nikt po nich nie wchodził, nie sięgały okien.

Mistrz z wielkim trudem wy dostał się z ciasnego pokoju. Na korytarzu kręciło się kilku majstrów.

- Głównego wejścia też nie da się otworzyć - powiedział grzecznie jeden z nich.

- Czemu ktoś nie wejdzie na dach? - zainteresował się Bogusławski.

- Nie da rady, Mistrzu. Wy dostał się z pokoju na poddaszu, z biblioteki, ale wcześniej roztrzaskał kręczone schody.

- Rzeczywiście na górze jest Kratzer?

- Cóż... mówią, że on, pan korepetytor.

Bogusławski znów przepchnął się do okna i spojrzał w dół. Bezpośrednio pod sobą zobaczył Malinowskiego, który patrzył w górę, podrygiwał i gestykułował jak lunatyk. Po chwili Bogusławski zorientował się, że Malinowski widzi Kratzera i całkowicie wczuwa się w sytuację korepetytora, jest na dole jego zwierciadlanym odbiciem. Patrzył urzeczony na głupio podrygującego Malinowskiego. Dobry aktor. A nieszczęsny Kratzer, tak, i on urodził się na aktora. Mistrz pozazdrościł Kratzerowi, gdyż wszyscy na dole gapili się na niego.

Tłum zawył, Malinowski zdrętwiał. Wzrok ludzi na dole zgodnie, jak na komendę, podążał za ruchami Kratzera, którego Bogusławski nie widział, nagle zapadła cisza, a od niewidocznej strony placu rozległ się rozdzierający krzyk i wrzaski. Tłum ruszył w tamtym kierunku. Kratzer spadł.

Kiedy niedługo potem udało się wyłamać drzwi w wejściu dla aktorów, wraz z żandarmami do teatru wlało się sporo ciekawskich. Niektórzy wznosili okrzyki na cześć *Horacjuszy*, inni na cześć Polski; ich głosy utonęły w ogólnym zgiełku.

Dopiero po półgodzinie udało się wyrzucić obcych dzięki żandarmom, którzy jeszcze jakiś czas kręcili się po teatrze; tajemnicze wnętrza i zakamarki teatru przyciągały ich nieodparcie, z dziecinną radością dotykali stojących na korytarzu dekoracji, wtargnęli do

magazynu kostiumów i nie przejmując się protestami pana Petraszka, obmacywali kostiumy, a nawet, jak opowiadał później Petraszek łamiącym się ze zdenerwowania i oburzenia głosem, jakiś młody żandarm przebrał się za anioła.

Uszyński naprędce przeprowadził inwentaryzację, by ustalić, co skradziono. Szybko się okazało, że zginęły dwie korony z pozłacanego papieru. Gerlicer z maszynowni z pomocą Kellera i dziadzia Harazyna ustalił przebieg wydarzeń. Rozklekotane, drewniane kręcone schody Kratzer mógłby zwalić w ten sposób, że w pokoju na poddaszu przymocował do czegoś powróz, drugim końcem przewiązał się w pasie, a po rozwaleniu schodów siekierą (siekierę znaleziono), podciągnął się. Pan sekretarz Unicki odważył się opuścić swoją dziuplę i wraz ze ślusarzami, którzy się dobrowolnie zgłosili, zabrał się do naprawy wejścia dla aktorów. Stwierdzono, iż Kratzer, zanim wszedł na poddasze, wlał w dziurkę od klucza roztopiony ołów - tak samo jak do zamka przy głównym wejściu - ołów zastygł i dlatego nie można było otworzyć drzwi kluczami.

Kratzer zginął na miejscu. Szeptano sobie o toczących się gałkach ocznych i wypływającym mózgu; nie można było ustalić, czy rzeczywiście ktoś widział martwe ciało. W bufecie żona pana Bautza litrami odmierzała najlepszą, przemyconą wódkę - jej mąż nie wrócił jeszcze ze szpitala.

Był wariatem, stwierdził Żółkowski. Był bohaterem, uznał Malinowski.

Elsner wspomniał ostrożnie, że nie można go będzie pochować, gdyż był samobójcą. Wolski uważał, iż odejście na wieczny spoczynek powinno się odbyć z salwą honorową i wojskowymi honorami, Kratzer przelał krew za polski teatr i polską ojczyznę - i nie był samobójcą, tylko został zastrzelony, czego był naocznym świadkiem.

Wielu słyszało ostatnie, prorocze słowa Kratzera, w których złożył hołd ojczyźnie, a zarazem domagał się wyższej gaży dla wszystkich członków teatru.

Na znak żałoby wieczorem nie wolno grać.

Ależ właśnie na odwrót, trzeba grać, a całą kasę przekazać wdowie po Kratzerze i jego biednym sierotom.

A co, był żonaty?

Wybuchła na ten temat dyskusja; nikt tego nie wiedział.

Potem nastąpiły samooskarżenia. Trzeba było bardziej uważać na biedaka. Jesteśmy winni, nie pomogliśmy mu. Rywacki oświadczył, że właśnie on jeden był jego przyjacielem, wielokrotnie pod koniec miesiąca wspierał go paroma dwudziestkami. Wąsowicz dał mu pięćdziesiątkę i nigdy nie prosił o zwrot. Tak, powiedział Zawadzki, jemu na przykład jest winien dwieście, ale on tego nie żałuje.

Jemu już jest dobrze, biedakowi: tam, gdzie jest, nie ma biedy i człowiek nikomu nic nie jest dłużny.

Coraz rzadziej wymieniano nazwisko Kratzera, modne stało się jego imię, Walenty. Biedny Walenty; gdyby nazywał się Kratzerowicz, nic by teraz nie stało na przeszkodzie, by ogłosić go bohaterem narodowym.

Wąsowicz znów opowiadał o swoim bracie samobójcy, który po śmierci miał fioletowy język. Plersch barwnie opowiedział dwóm malarzom, Scottiemu i Lisanderowi, jak umarła jego trzecia żona: poślizgnęła się w kuchni, a rozbita szklana miska przecięła jej gardło. Bogusławski znał tę historię od dwudziestu lat, a od dziewiętnastu i pół roku nie potrafił się już nią wzruszyć.

- Ładny haremik będziesz miał na tamtym świecie - rzucił Scotti.

Plersch uśmiechnął się chytrze.

- Miałem dobre, wspaniałe żony. - Pokiwał głową. - Doprawdy robię w życiu wszystko, by trafić za nimi do piekła.

Żółkowska rozpoczęła zbiórkę na nagrobek dla Kratzera. Bogusławski jakoś zawsze znajdował się w grupie, którą Żółkowska już obesła.

Do knajpki wpadł Osiński w towarzystwie Kudlicza i oznajmił zdyszany: teatr musi grać, nie wolno dać się nabrać na fałszywe pogłoski, teatr musi strzec swej neutralności, teraz najważniejsza jest jedność, w tych ciężkich godzinach każdy musi dokładnie wiedzieć, jakie są jego obowiązki. Tego jednak nie sprecyzował i wybiegł.

Kudlicz zakomunikował: Kratzer wygłaszał na dachu wywrotowe poglądy, obrażał Wielkiego Księcia, żandarmeria zatrzymała już jego towarzyszy.

Po tych słowach zapadła cisza.

- Dziś wieczorem idzie *Atalia* - rzekł Kudlicz. - Jeśli powstanie choćby najmniejsze zamieszanie, naruszający porządek będą przesłuchani w komendanturze miasta.

- Kto wskoczy na miejsce Ledóchowskiej? - zainteresowała się Aszpergerowa.

- Nikt - odparł Kudlicz. - Ledóchowska przyjechała wczoraj wieczorem, już ją zawiadomiliśmy.

No, pomyślał Bogusławski, za kilka minut wszyscy będą głosić, że Kratzer był beznadziejnie zakochany w Ledóchowskiej.

Zieliński wykrzyczał nazwiska występujących w *Atalii*; pan Petraszek polecał, by wyciągnąć właściwe kostiumy; dziadzio Harazyn pośpieszył po swoją kolczugę; dekoratorzy ruszyli na scenę, by rozebrać dekoracje do komedii Caigneza i ustawić kolumnadę do *Atalii*. Bogusławski ponuro patrzył na pustoszejącą knajpę: żaden skandal i pośpiech nie sprawi, by

wyciągnięto sztukę, w której on także występuje.

Aszpergerowa dostała spazmów. Bała się, że Ledóchowska dostanie z powrotem główną rolę w sztuce Caigneza. Aszperger, Rywacki i Żółkowski uspokajali ją.

- Zdrada - oświadczył Aszperger z grymasem na zmęczonej twarzy. - Wychodzenie na scenę w dniu żałoby to największa zdrada.

- Jeszcze ich przepędzimy - wyszeptał Malinowski zachrypłym od krzyku głosem i zwałił się na stół. - Na pamięć Walentego przysięgam: jeszcze Polska nie zginęła!

Wrócił pan Bautz (z jego oczami wszystko było w porządku) i złożył relację z zasłyszanych na mieście wiadomości. Wszyscy już wiedzieli, co stało się z Kratzerem; Kratzer przedstawił królowi projekt poprawek do konstytucji, ale król ich nie przyjął (a może przyjął), Kratzer grał najlepiej w *Horacjuszach* (albo w Caignezie); ciało Kratzera zabrali żandarmi - co zresztą było prawdą - ale zwłoki znikły po drodze, być może wykradli je Polacy, by sprawić mu godny pogrzeb.

- Trzeba pochować pustą trumnę! - krzyknął wstawiony Nacewicz. - Nie byłby to pierwszy taki przypadek!

Aniela, która przyszła do teatru po południu, słyszała, że pozostawione przez Kratzera rękopisy zabrali żandarmi i teraz dokładnie je studiują. Bogusławski zrobił się nerwowy, kto wie, co nawypisywał biedny szaleniec, może jego też pociągną do odpowiedzialności, przecież podpisał ten manifest o nowej sztuce. Przyszło mu do głowy, że ma w domu egzemplarz projektu mostu pancernego; po powrocie musi go spalić, żeby tylko nie zapomniał. Ale gdzie go mógł odłożyć? Musi jakoś go znaleźć, zanim będzie miał w domu rewizję, z pewnością agenci szybciej się na to natkną niż on.

Nowsze wieści przyniósł Dmuszewski: rękopisy Kratzera odebrali już panu Kellerowi i studiują je teraz w pokoju dyrektora; dziwnym trafem są tam Henryk Macrott i perukarz Hieronim Szymanowski.

Rozeszła się plotka, że Kratzer był tureckim szpiegiem i dlatego zwariował.

Był związany z austriackim generałem Wallmodenem, który nie kryjąc się, obserwuje parady oddziałów defilujących przed carem i Wielkim Księciem oraz robi z tego notatki; zupełnie otwarcie szpieguje na rzecz Austrii, cud, że car go toleruje.

Ale przecież Wallmodena sam car zaprosił do Warszawy!

Nieważne, jest szpiegiem; Kratzer był jego łącznikiem na Bałkany.

Kratzer nigdy nie był na Bałkanach.

To prawda, ale przeniósł się z Krakowa do Warszawy, Kraków jest na tyle daleko na południu, że już tam mógł zacząć szpiegować.

Poruszony Malinowski krzychał, że wyprasza to sobie, Walenty nigdy nie był szpiegiem, był najprawdziwszym Polakiem, który kiedyś wkręcił się do Teatru Narodowego.

Bogusławski pił razem z innymi i szybko się wstał.

Wroga cisza powitała Ledóchowską, gdy przekraczała próg knajpy.

Trochę się zaokrągliła i wyglądała wyjątkowo dobrze. O całe lata młodziej niż parę miesięcy temu, gdy wyjeżdżała. Czując pełną nienawiści ciszę, Ledóchowska bezradnie zatrzymała się w drzwiach, a Malinowski wrzasnął:

- Przyjechała hrabina!

Drwiący śmiech.

- Najlepsi z nas umierają! - krzychał Malinowski i chciał wstać od stołu, ale nie miał tyle siły. - I nadchodzi hrabina, by grać! Żeby wszystko zatrzeć! Kratzer był bohaterem, był jedynym, który odważył się działać, chociaż każdy powinien działać, poświęcił się za nas! Za panią też, hrabino!

Z płaczem zwałił się na stół, kilka razy mocno walnął głową o blat.

- Ja przelewałem krew za ojczyznę! - oznajmił Wolski. - W tym czasie inni wałkonili się w teatrze i sypiali z każdym tyranem!

- Łupiłeś Hiszpanię! - wrzasnął na niego Bogusławski. - Grabiłeś biedaków i zdusiłeś hiszpańską rewolucję! Więc zamknij gębę!

Wolski spojrzał nań zaskoczony.

- Jeśli wolno zauważyć - powiedział Aszperger i uklonił się drwiąco stojącej w drzwiach Ledóchowskiej - my tam w Wilnie wytrzymaliśmy w skrajnie trudnej sytuacji, czego warszawiaczy nie potrafią nawet pojąć. Nigdy nie uciekaliśmy się kurować!

- Kurować! - syknęła Aszpergerowa. - Akurat!

Ledóchowska wybuchnęła płaczem i wybiegła.

Bogusławski wyszedł za nią do garderoby, ale zamknęła się w środku.

- Trusiu! Niech mnie pani wpuści, Trusiu! - krzychał Mistrz, jeszcze chwilę walił w drzwi, potem wrócił do bufetu i pił dalej.

Później chodził tam i z powrotem po scenie, obserwował ludzi, którzy uwijali się przy dekoracjach. W tym urwaniu głowy uśmiechający się wyjątkowo życzliwie, podpity Mistrz nikomu nie rzucał się w oczy, czasem tylko odsuwano go na bok, by przenieść ścianki czy deski. W różnych zakamarkach sceny aktorzy powtarzali tekst *Atalii*, byli zrozpaczeni, grali ją dawno i sporo pozapominali. Ledóchowskiej wśród nich nie było, Zieliński na próżno próbował wyciągnąć ją z garderoby, co jakiś czas wpadał na scenę, porywał jakiegoś aktora i razem z nim biegł do drzwi garderoby Ledóchowskiej, by ją przebłagać. Kiedy Kudlicz,

reżyser *Atalii*, przybył do teatru godzinę przed spektaklem, powiedziano mu, że występ Ledóchowskiej jest niepewny. Aszpergerowa od razu oświadczyła, że zna tekst i chętnie zagra. Helena wtrąciła, że ona także zna tekst, ale nie rozumie, jak jej siostra mogłaby występować w takim dniu, dniu śmierci Kratzera.

- W takim razie co za kostium masz na sobie? - spytała rozzłoszczona Aszpergerowa. - Ty nie grasz?

Helena roześmiała się drwiąco i w swym dziecięcym kostiumie zaczęła biegać w kółko po scenie, naśladując ramionami bicie skrzydeł.

Przy Bogusławskim pojawił się Nacewicz i wcisnął mu do ręki butelkę wódki.

- Ja zawsze piję tylko z radości - szepnął w zaufaniu. - Niech pan sobie wyobrazi, Mistrzu, Aniela do tej pory drugi raz nie uciekła!...

Bogusławski pociągnął z butelki.

- Powinienem wydać ją za mąż - zastanawiał się Nacewicz. - Trzeba by jej znaleźć jakiegoś dobrego męża... Mistrz naprawdę mógłby pomóc, w końcu jest jej teściem...

Bogusławski roześmiał się.

Nacewicz zostawił butelkę i poszedł sobie. Bogusławskiemu kręciło się już w głowie, siadł na podłodze z butelką między nogami i dobrodusznie uśmiechnięty obserwował krzątanie. Ledóchowska w końcu się pojawiła w kostiumie do *Atalii*; był nieco przyciasny, poprawiała go nerwowo. Wszyscy kręcili się wokół niej, zabiegali o jej względy, nawet Kudlicz ją pieścił. Bogusławski chichotał. Potem Kudlicz zwrócił się do wszystkich niewystępujących, by wynieśli się ze sceny. Zieliński i Wąsikowski wśród tysiąca przeprosin wspólnymi siłami wytaszczyli Mistrza ze sceny. Bogusławski z oburzeniem zakomunikował: podczas spektaklu niespodziewanie pojawi się na scenie i powie rolę starego Horacjusza, czegoś takiego nie było jeszcze w historii teatru, zagrać dwie klasyczne sztuki sceniczne podczas jednego przedstawienia, o tym będzie się pisać przez stulecia. Właśnie teraz jest czas, by dokonał nowatorskiego kroku na skalę światową. Świetnie się bawił swoim pomysłem; pozbawieni poczucia humoru inspicjent i sufler wyprowadzili go na przylegający do sceny korytarz.

Kiedy zaczął się spektakl, Bogusławski zdziwiony stał na korytarzu wśród wyniesionych dekoracji do sztuki Caigneza. Chciał wrócić na scenę, ale żelazne drzwi były zamknięte. Mistrz pokręcił głową, mruknął, że będzie skandal, jeśli nikt nie wyjdzie na końcówkę jego kwestii, poszedł na korytarz przylegający do widowni i wkradł się na salę. Poczł dobrze znany zapach ciepłego, ciężkiego powietrza, wciągnął go głęboko do płuc i usiadł na skraju ostatniego rzędu na pustym krześle. Przy nikłym oświetleniu ledwie widział

scenę, słabo też słyszał gestykulujących aktorów. Widownia była wypełniona najwyżej w połowie. Mistrz cicho chichotał z satysfakcją, ściskając pustą butelkę po wódce. Z opadającą głową słuchał tekstu, wreszcie zasnął.

Obudziły go niemrawe oklaski, aktorzy na scenie kłaniali się i starym sposobem, przeciągając czas, próbowali wymusić jak najwięcej braw. Przedstawienie musiało być nudne. Publiczność dość cicho opuszczała widownię, kilka osób nadepnęło mu na nogi. Bogusławski znowu przysnął, potem ktoś nim potrzasnął. Zaraz, mruknął i dalej spał.

Zbudził się, czując zimno. Oślepił go jakiś blask i musiał przymrużyć oczy: scena i widownia były oświetlone. Rozejrzył się, był sam na widowni. Przetarł oczy, nie wiedział, czy się obudził, czy to jeszcze sen. Było nieznośnie jasno, paliły się wszystkie stare lampy oliwne; od czasu gdy Osiński wprowadził oszczędności, jeszcze się nie zdarzyło, by zapalono wszystkie lampy. Na scenie stały dekoracje do *Atalii*, nie rozmontowano ich, czyli jutro też będą ją grać.

Ze zdziwieniem patrzył na teatr, jakby widział go pierwszy raz. Jak ktoś, kto powtarzając jakieś słowa, nagle zapomina, co znaczy ta pusta forma fonetyczna, która obco i natrętnie brzmi w uszach, tak na kilka chwil zapomniał, po co ten nierealny budynek, wybrzuszone wnęki na piętrze, spiralne sztukaterie na ścianach; to łoże, wymamrotał, ale i tak zagadka nie zrobiła się mniej tajemnicza.

Wstał, wstrząsnął się i ruszył do przodu niepewnym krokiem. Teraz już wiedział, że nie śni, jak przez mgłę przypominał sobie, że po przedstawieniu próbowano go obudzić. Bolała go głowa, kac. Zostawili mnie tu, pomyślał. Ale kto, u licha, pozapalał lampy?

Rozejrzył się po rzędach, nigdzie nikogo. Chrząknął, nadstawił uszu. Na jaskółce zaskrzypiało krzesło. Bogusławski spojrzał w górę, ktoś wychylał się przez ciągnącą się pod sufitem balustradę.

Przez chwilę obaj patrzyli na siebie zdziwieni.

- To ty zrobiłeś tę iluminację? - zapytał Bogusławski.

- Ja - odpowiedział z góry zmieszany Fiszer.

- Zasnąłem - mruknął Bogusławski. - Już noc, co? Pewnie jesteśmy zamknięci?

- Nowy zamek nie jest jeszcze gotowy - powiedział Fiszer.

Zniknął za balustradą, po chwili zjawił się na parterze.

- Zimno tu o tej porze - powiedział Bogusławski. - I tak mi dudni w głowie!

Fiszer usiadł ze zwieszonymi nogami na barierce kanału dla orkiestry. Bogusławski znowu odchrząknął i powiedział:

- Na twoim miejscu, mój królu, przerzuciłbym się na inny gatunek sztuki. Wiesz,

zawsze tylko ten gatunek daje się rozwijać, którego jeszcze nie uznano za sztukę. Ten, na który zwracają uwagę oświecone umysły, który ma już ustalone reguły, który jest już pełen majestatu, ten gatunek jest już martwy. Wiesz, tam człowiek nie może się rozwijać razem z formą, forma jest już jak kłoda, nie da się jej rozciągnąć... Pisz powieści grozy... to uczciwy zawód... albo romanse... na to jest popyt...

Fiszer milczał.

- Teatr jest martwy, mój królu... uwierz mi. Trzeba znaleźć coś nowego.

- Byłoby szkoda - powiedział Fiszer. - Teatr to niezwykła instytucja... istnieje od tysięcy lat, rozwijał się, ukształtował... i teraz mamy z niego zrezygnować?

- Będzie coś innego. Ty też możesz jeszcze wskoczyć do ruszającego właśnie wozu.

Długo milczeli, Fiszer wymachiwał nogami, Bogusławski oglądał opustoszały teatr.

- Zgasić lampy? - spytał w końcu Fiszer.

- Nie trwośmy majątku pana Osińskiego - powiedział Mistrz.

Obeszli lampy na widowni i scenie, zgasili wszystkie.

Marianna znowu czekała na niego, nie śpiąc; miała zapłakane oczy, rzuciła mu się na szyję.

- No, no - powiedział Bogusławski.

- Już myślałam, że ciebie także zestrzelono z dachu!

- Gdzież tam...

Zaczął węszyć po kuchni i spojrzał pytająco na Mariannę. Ta, ciągle płacząc, postawiła przed nim pół kaczki. Bogusławski patrzył zdziwiony.

Marianna, pochlipując, wyznała, że kaczka jest za darmo, Kowalski, sklepikarz, prosi jedynie o bilet na następne przedstawienie *Horacjuszy*.

- I tak go nie będzie - powiedział Bogusławski z pełnymi ustami. - Mam nadzieję, że mu obiecałaś?

- Przynajmniej teraz nie ochlap sobie koszuli!

- Nic innego nie przynieśli? - zapytał Bogusławski i naszła go pokusa, by zjeść także udko.

- Był tu pan Gecel, przyniósł masę angielskich książek. W prezencie.

Mistrz skinął zadowolony głową i zabrał się do udka.

- Skąpy ten Kowalski - powiedział. - Mógłby przynieść całą kaczkę.

- Była cała - wyznała Marianna - ale wieczorem był tu Ignacy... Musiałam go nakarmić... Wezwali go do sztabu i kazali mu na ciebie wpłynąć...

- Cha, cha - zaśmiał się Bogusławski. - On na mnie.

- Ostrzegli go, że w przeciwnym razie go wyrzucą. Zaszantażowali, że rozpowszechnią dawne sprawki Anieli...

- Jakby nikt o nich nie wiedział - mruknął Mistrz i zaczął wysysać kostki.

Marianna chwilę milczała.

- Porozmawiaj z Fiszerem - powiedziała bojaźliwie. - Aniela jeszcze nie doszła do siebie, Fiszer ją zniszczy... biedaczka jest w okropnym stanie. Ignacy chce się z nią rozwieść, ale Aniela nie chce o tym słyszeć...

- Więcej nie ma? - spytał Bogusławski i z żalem spojrział na kości.

Marianna poszła na górę, Mistrz rozejrzał się po spiżarni. Stwierdził, że Marianna kupiła mnóstwo soli, smalcu i mąki, że trzy tuziny kaganków i zgromadziła cetnar drewna. Przygotowuje się na czas wojny. Cukru, jak skonstatował ze zdziwieniem, nie udało jej się kupić.

- Na targu wypytywano mnie - opowiadała Marianna w łóżku - czy i ty byłeś zamknięty przed przedstawieniem.

- Zamknięty? Gdzie?

- W suterenie, razem z innymi.

- Jak mogłem być zamknięty, skoro grałem?

- Też to mówiłam, ale podobno słyszeli z dobrych źródeł, że przed każdym twoim wejściem wyprowadzano cię z sutereny, a potem zamykano do kolejnego wejścia na scenę.

Bogusławski roześmiał się.

- Zobaczysz - powiedział - wkrótce i księża będą wygłaszać o mnie kazania.

- Już słyszałeś?

- Co?

- Na porannej mszy w kościele Świętego Krzyża mówiono o *Horacjuszach*.

- No i? Rzucono na mnie klątwę?

- Nie wiem... Podobno odprawiono mszę za duszę Corneille'a... Po południu, już po śmierci Kratzera, słyszałam, że Skarszewski nazwał *Horacjuszy* pogańską sztuką... teatr także... zabronił wierzącym chodzić do teatru.

- Ech - powiedział Mistrz.

Żadne z nich nie mogło zasnąć; w ciemnościach nasłuchiwali dalekich odgłosów miasta. Dwukrotnie oddział konny przejechał klusem pod domem, raz z kolei Marianna słyszała strzał, natomiast Mistrz przypuszczał, iż zaskrzypiała futryna drzwi.

Rano Marianna poszła do syna. Chwilę później wpadł Dmuszewski, ciągnąc za rękę Stanisława. Medor radośnie obwąchał Mistrza.

- Właśnie wracam z ministerstwa - powiedział Dmuszewski. - To potworne, ponoć Zajączek chce złożyć dymisję, a namiestnikiem będzie Wincenty Krasiński... Przestrzegano mnie, bym nie uczestniczył w mszy... u Mistrza nie byli?

- Kto?

- Księża... głoszą, że polski teatr jest polskim domem bożym i można do niego wejść tylko z odkrytą głową...

- Nikt tu nie przychodził - powiedział Bogusławski.

- Malinowski organizuje demonstrację... mówił, że Mistrz stanie na czele powstania, na pogrzebie Kratzera... Zawadzki zbiera składkę w imieniu komitetu pamięci Kratzera, dałem mu trochę, żeby się odczepił...

Powiedziawszy to wszystko jednym tchem, opadł na krzesło. Medor, potwornie szczekając, pognął do kuchni. Bogusławski pobiegł za nim i udało mu się wyciągnąć go ze spiżarni. Dmuszewski pojawił się u góry schodów, wymachując gazetami.

- Dziś też się ukazały, Mistrzu... jeszcze tak nie było, żeby dzień po dniu... podobno zdrożeją, bo popyt jest wielki... może i ja podniosę cenę „Kuriera”.

Bogusławski wypuścił Medora i popędził na górę.

- Nie ma w nich nic ciekawego - powiedział Dmuszewski - ale ledwie je zdobyłem... Mógłbym tu na jakiś czas zostawić Stanisława?

Bogusławski wołał poczytać, ale ubawiony przytaknął.

- Konstancja nie potrafi się w takich warunkach uczyć... dlatego pomyślałem, że może Marianna zajęłaby się dzieckiem... Jeśli Konstancja nie zechce występować, koniec z nami! Na miejsce Szymanowskiego i tak ktoś wskoczy...

- W co ma wskoczyć?

- No, w *Horacjuszy* - powiedział zaskoczony Dmuszewski. - Dziś wieczór znowu grają, Mistrz jeszcze nie wie?

- Nie! - wykrzyknął radośnie Bogusławski. - Dziś idą *Horacjusze*?!

- No tak. Sądziłem, że Unicki już tu był... odszukał mnie o trzeciej w nocy, dziś idą *Horacjusze*, ale Szymanowski pobił się z synem, jeszcze wieczorem, podczas *Atalii*... Poszedł do pokoju dyrektora, gdzie czytano rzeczy Kratzera... ale Hieronim złapał pistolet, na własnego ojca! Wykluczone, by Szymanowski mógł dziś zagrać, Kudlicz uczy się już roli, idę teraz do niego...

- Co jest z Szymanowskim?

- Załamał się duchowo... Żółkowski zabrał go do domu, by się nim zaopiekować... Mogę tu zostawić Stanisława?

- Rzeczywiście idą dziś *Horacjusze*? Na pewno?

- Na pewno - powiedział Dmuszewski. - Dlatego Unicki wybił mnie ze snu o trzeciej w nocy... a Szymanowski rano potwierdził...

Mistrz wytłumaczył się, że teraz oczywiście on też musi się uczyć na nowo roli, więc to miejsce nie byłoby chyba dla Stanisława odpowiednie, ale niech Dmuszewski spokojnie zabierze go do Nacewiczów, Marianna jest u nich, to się nim zaopiekuje.

- I tak bym tu nie został - oświadczył Stanisław.

- Nie? - Dmuszewski był zmieszany. - Dlaczego?

- Bo go nie cierpię - chłopiec wskazał Bogusławskiego.

Bogusławski z uśmiechem skinął głową.

- Potworne - szepnął mu do ucha Dmuszewski. - Gdyby był moim synem, dałbym mu teraz w twarz!

Mistrz patrzył za nimi z okna. Dmuszewski biegał między Stanisławem i Medorem, próbując ich jakoś okiełznać.

Bogusławski zagłębił się w gazetach. Obie pełne były pseudonimów, które zaczęły migotać mu przed oczami.

Towarzystwo Przyjaciół Prawdy podpisało się literami B, D, E, F, G, J, O, Q, T i U; z alfabetu brakowało X i Y, ponadto A i C - takie podpisy już były, podobnie jak R i W - oni również pisali już polemiki. Nie występowało także N. Może nie ma wśród nich Niemcewicza? Choć, kto wie, J jest może od imienia Julian i to on mógłby się pod tekstem podpisać.

„Czytając uwagi W Pana o teatrze znajdujemy, pozwól to powiedzieć, że niekiedy jesteś zanadto surowym. Trafiało się nawet, żeśmy bywali na sztuce, którą W Pan potępić raczyłeś. Lecz powiedz nam, co mamy teraz czynić, gdy zamiast ujmy przydajesz wartości dziełu nie wiedzieć z jakich powodów.

„Wina to jest aktorów - mówisz W Pan - którzy go za zimno wystawili”. Prawdziwie jest to bardzo wygodny sposób składać winę na kogoś obcego i przypomina znaną za czasów naszych anegdotę. W Paryżu w r. 1811 pani de Genlis napisała nudny romans. Ktoś przez żart powiedział, że temu winien był kometa, który wtenczas ponad światem naszym krążył. Nie wyszło 24 godziny, kometa został zawołanym grzesznikiem całego Paryża. Upadła sztuka w teatrze? Winien był temu kometa. Zrobił kto jakie dzieciństwo? Winien był kometa.

Wyrzucasz W Pan gminność artystom naszym. Czemuż ich nie wprowadzisz w lepsze towarzystwa, tych zwłaszcza, którzy na to zasługują przez dobre obyczaje. Lecz idealna piękność zbierana być może ze wszystkich stanów ludzkich. Kto ma dar spostrzegania i do

naśladowania talent, kto się przy tym wspiera nauką i doświadczeniem, może, nie bywając nawet po wielkich domach, aż do samej zbliżyć się doskonałości. Kończemy, Mości Panie X, zaklinając go na dobro sceny narodowej, jeśli chcesz, aby teatr tym był przynajmniej, czym go widzieliśmy za czasów śp. Stanisława Augusta. Jeśliby zaś trudno było WPanu być grzecznym, przestań lepiej i pomnij, że jeszcze nie było Iksa, kiedyśmy już mieli Truskolaską, Owińskiego, Świeżawskiego i Bogusławskiego, któremu podwójnej, literata i aktora, sławy nie ujmiesz i na którego daremnie tylko złość swoją wylewasz”.

Ho, ho, uśmiechnął się szyderczo Bogusławski.

Z Ignacego Zero, autora kolejnego artykułu, był mniej zadowolony.

Nunc est bibendum, nunc pede libero pulsanda tellus - zaczął pan Zero od cytatu z Horacego, po czym pisał: - „Dzięki koalicji wszystkich prawie alfabetu liter, że owe Iksowe *monstrum horrendum, informe, ingens, cui lumen adeptum* w odpowiedzi jej zwycięsko pokonanym zostało. Położone najpierwsze twierdzenie, że Iksowie więcej złego niżeli dobrego sprawili, jest niezaprzeczonem. Któż nie spostrzega, że wiele zalet, którymi aktorowie nasi świetnieli, od czasu jak Iksowie impertynenckie postrzeżenia swoje w gazetach mieścić odważyli się, powoli ze sceny zaczęły nam znikać! Coraz tam mniej upatrujemy tych przyjemnych zapomnień, tego lubego niedbalstwa, co się tyle zwykły do prowadzenia sztuki przyczyniać. Chwałę Iksowie panią Ledóchowską, panią Dmuszewską, pana Kudlicza, Żółkowskiego, Szymanowskiego, Zdanowicza, a w niektórych rolach (ile sędziwa pamięć dozwala) Nestora sceny naszej. Nieraz nawet mieszczą ich obok sławnych w Europie aktorów, lecz dlaczego? Zawsze jednak są sobą samymi, którzy gardząc urojonym mniemaniem, że aktor rolę swą umieć powinien, że zwykłą wielkim duszom ufnością powierzają się całkiem suflerowi i albo usłyszawszy, powtarzają, co on podszeptnie, lub nieraz wieszczym uniesieni jeniusem przewracają wiersze i rymy i na ich miejsce tworzą nierównie lepsze; którzy na koniec nie żyjąc, nie oddychając, jak dobrym o sobie mniemaniem z głuchą pogardą na poziomych patrzą słuchaczów.

Z słuszną zaiste zgrozą poskromiło pismo abecadłowe panów Iksów, że głośno ważą się wytykać błędy ww. artystów. Skądże to prawo? Czy dlatego, że artysta ma 10, 15 lub 20 tysięcy na rok (rachując w to benefis), już ma być wolno publiczności badać, czy dobrze lub źle gra, czy umie lub nie umie roli swojej? Już też to prawdziwie nadto. W Anglii, gdy się gra sławnego Garyka nie podobała, zarzucano go pomarańczami i wygwizdano, czy słowem, że wielcy ci aktorowie krytykę znosili i znoszą z pokorą i wdzięcznością”.

Pół roku temu w dyskusji wokół *Klingsbergów* wspomniano tylko o piętnastu tysiącach w złocie. Pieniądz nieźle się od tamtej pory zdevaluował.

Pan X również napisał recenzję, tym razem o Caignezie. Tekst nie był ciekawy; X zarzucił sztuce kiepską konstrukcję, oznajmił czytelnikom: *Rien n'est beau que le vrai, le vrai seul est aimable* i stwierdził z ulgą: kobiet fatalnych podobnych do Lucyndy z komedii Caigneza, dzięki Bogu, nie ma w Polsce dużo. Wyraził ubolewanie, że pani Aszpergerowa, podobnie jak kilka lat temu pani Ledóchowska, nie otrzymała zadania godnego jej talentu.

W gazetach była także odpowiedź pana ABC na wątpliwości pana X; jak napisał: „...Tłumacz sztuki w przedmowie do edycji oświadcza, iż publiczność paryska dobrze to dziełko przyjęła, napelniając salę do natłoku przez 20 następnych po sobie wystawień. Krytyka tameczna nie była nawet na tyle szczęśliwą, żeby dostrzegła w tym dziełku aż tyle wad, jakie baczności pana X nie uszły. Jednocześnie pan X nic nie wspomniał o wyśmienitej roli kapitana Walentego i jego doprawdy godnym miana bohatera zachowaniu, które wielce uwzniośla sztukę. Prosimy zatem pana X, aby przy kolejnych okazjach raczył baczniej oglądać wystawienia”.

Pomylił się, zauważył Bogusławski, zamiast Walery wstawił imię Kratzera, Walenty. Drobny błąd, który można zarzucić choćby drukarzom. Ale co chciał przez to osiągnąć i kim jest?...

Kolejna polemika: *List ze wsi do redaktora „Gazety”*, autor pan Cyprian Chudeyko.

„...Już od dwóch lat prawie umieszczasz WP. Dobrodziej w gazecie swojej gęste jakiegoś artykuły teatralne i zazwyczaj większa część dodatku nimi zapelniona. Nie wiem, jaki w tym gust najdują panowie warszawianie, ale my, na wsi mieszkający, wcale się na to nie piszemy. Przyznasz, że gazeta nie dla jednej przeznaczona stolicy; i my też płaciemy, i nam by też dogodzić wypadało.

Nadto dobrze trzymam o WPanu, abym miał rozumieć, że sam jesteś tych artykułów autorem; ale jeśli Pan «Xawery», «Xenofon» czy jak on się tam nazywa, co się w abrewiacji podpisuje, jeśli go taka świerzbączka pisania napadła, nie może on swoją mądrość gdzie indziej wylać? Po co mu do gazety?... Ale proszę W Pana Dobr., cóż nam po tych artykułach komedianckich? Czy oni tam dobrze lub źle grają, cóż to nas obchodzi? Najgorzej to, że jak się jeden paplarz zjawił, wszyscy za nim paplać zaczęli; stąd jedne w drugie responsy, kontraresponsy, a wszystko w gazecie, a wszystko z naszej kieszeni. Niechże nam zwróca za tę część gazety, która nam wniwecz poszła.

Ja już widzę, skąd tu wiatr wieje. Zapewne pan Bogusławski, czy kto tam teatrem zawiaduje, postrzegł się, że już nie bardzo do niego uczęszczają, więc wziął się do tego sposobu dla zaostrenia ciekawości. Z Panem Bogiem! Dobry to koncept, ale niechże to nie będzie kosztem naszej kieszeni, a nawet spokojności domowej. Proszę więc w moim i wielu

innych imieniu, żebyś albo przestał przyjmować owe teatralne gawędy, albo uwolnił nas zarazem od dodatku i od połowy abonamentu”.

- Cudowny człowiek - mruknął Bogusławski.

Niejaki pan Feliks w odpowiedzi adresowanej do pana Chudeyki przede wszystkim prosił czytelników o wybaczenie, że list pana Chudeyki w ogóle zamieszczono wcześniej na ich łamach, ale to, pisał pan Feliks, „stało się wyłącznie przez przypadek”. Chwycił za pióro, bo i on jest czytelnikiem wiejskim, więc postanowił, że tym sposobem odpowie swoim droгим krajanom.

„Nie w tym tkwi rzecz cała - kontynuował pan Feliks na Szczerowoli Prawdolubski - że Iksowie pisują krytyki, które ja z wielką przyjemnością czytuję, lecz tym, że z ich pisania wynika: w naszym Teatrze Narodowym nie dbają o wzniecanie ducha, o uszlachetnianie naszych cnót, a czcigodni Iksowie konstatują tamże o zachwianiu wiary chrześcijańskiej. Takoz my, wypełnieni wiarą prawdziwi Polacy, którzy mozolnie trudzimy się ku chwale naszej ojczyzny i naszego Boga, zmuszeni jesteśmy wyrazić naszą przyganę, czemuż to na naszej scenie narodowej już wcześniej upadła moralność nawet za gry takich wzniosłych aktorów, których dawniej mogliśmy považać nawet z dala od stolicy jako naszych bliźnich w tej samej wierze. Jeśli Iksowie rzuca to w oczy Nestorowi naszej sceny, będą mogli liczyć na poparcie licznych mieszkańców wsi”.

Panowie 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8 etc. starali się podsumować całą dyskusję o teatrze bez wdawania się w szczegóły.

„Liczne zastępy powstały przeciw Iksowi, wystawiono szesnaście ogromnych baterii; zwiększały się codziennie hufce przeciwników; wrzała zemsta; wojną tylko i wojną wszystkie brzmiały usta. Już się głębokie rozwinęły hufce; Towarzysze stanęli w centrum, Wieśniacy na prawym skrzydle, Pustelnicy na lewym, naczelny zaś dowódca, podług wszelkich prawideł taktyki, za środkiem

W najeżonej pozyturze

I z daleka, i na górze.

Zwykle korzysta się ze zbytniego zapędu nieprzyjaciół; lecz X wierny swemu planowi wolał nie przyjąć bitwy. Każdy mniemać będzie, iż kogo nie masz na placu walki, z tym walczyć nie można. Nie odpowiedział X na ich wystrzały, puścił ich nawet bokiem; oni przecież pędząc obławą, pukali i pukali, machali pałaszami po powietrzu.

Aby ująć śmieszności, trzeba było rzecz naprawić. Oto wymyślają sobie pośrednika, czyli też znajdują istotnego, który stawa między nimi a Ikssem ze świętymi wyrazami *pax vobis*. Biorą go za posłańca zbitych Iksów; wreszcie, niby zmiękczeni widokiem oliwnej

gałązki, bez wiedzy owego Iksa ni pytani, ni proszeni solenny z nim zawierają pokój. I tak X walczył, był pobity, zgodził się, a nigdy o tym nie wiedział.

Towarzystwo Przyjaciół Prawdy jako i innych, piszących pod abrewiacjami jego członków mam przyjemność tą drogą powiadomić, że pan Iks nie mógł zostać pobity w bitwie, która bez niego, a pod sztandarem wzniosłych jego zapatrywań i jego powołania toczyła się w nieznanym mu głębinach.

Pan Iks, jak mniemamy, uczestniczyłby chętnie w bitwie, ale prawdziwej. Jednakże warunkiem takiej bitwy jest, by nieprzyjacioły pana Iks wyćwiczyli się w sztuce krytyki teatralnej i podnieśli się do takiej doskonałości, do jakiej doszedł pan Iks. Niechaj piszą o teatrze, lecz tylko o teatrze, a nie wąż się wchodzić na pole polityki, gdyż od tego mamy powołanych ku temu polityków, dzięki którym staraniom nasz kraj znów stać się może bardziej wolnym i bogatym”.

No, no, mruknął Bogusławski.

Wieczorem wystąpi w *Horacjuszach*, to najważniejsze.

Wyciągnął egzemplarz sztuki, przejrzał go, może dałoby się coś wycisnąć z roli starego Horacjusza.

Powinien jakoś zagrać to, że zmieszano go z błotem. Ale w tej roli?

Chodził tam i z powrotem po pokoju, ale niczego nie mógł wymyślić.

Widział przed sobą zecernię, gdzie składa się tę kupę bzdur: czcionka X usamodzielniała się, nie ma głowy, ale pilnie składa czcionki, wersy, łamy, a drukarze i redaktorzy za plecami Iksów radośnie powielają polemikę.

Na scenie też można byłoby to zrobić: ktoś przebrany za X w milczeniu wykonuje balet wśród obecnych na scenie, ci go nie zauważają, lecz nieświadomie naśladują jego ruchy; byłaby niezła komedyjka: Iksowie obradują przy suto zastawionym stole, pedantycznie ustalają, jaki znak ma się pojawić w kolejnej recenzji, i wtedy nadchodzi baletowymi krokami niemy X, a w gazecie ukazuje się coś zupełnie innego, niż wysmażyli na naradzie. W następnej scenie pochylają się nad wydaną już gazetą i gapią się bezmyślnie na artykuł, który nie oni napisali, ale każdy mógłby od razu przysiąc, że artykuł jest dokładnie taki, jak go zredagowali; niemego, odgrywającego taniec zwycięstwa X nadal nikt nie zauważa.

Mistrz widział oczami wyobraźni, jak niemy X wykonuje balet na polu bitwy pod Waterloo, maszeruje po pokrytych śniegiem rosyjskich równinach, wzbija się na wieżę warszawskiego Zamku Królewskiego jako kurek na dachu, potem skurczony, maleńki zlatuje na ramię cara wygłaszającego mowę na balkonie zamku, a car ogłasza, że przyłącza do Królestwa Polskiego imperium rosyjskie jako podbitą prowincję. Polacy w upojeniu rzucają

się sobie w ramiona, po czym, zgrzytając zębami, skaczą sobie do gardeł, nad nimi lata X, pokazuje figę wzdychającym do niego i piejąc chichotliwie, śpiewa arię o ludzkiej głupocie.

Tak. Cała Warszawa na klęczkach modli się do czerwieniejącego na niebie X-a, zapłakany Stanisław Plater wyciąga ku niemu ręce; Niemcewicz dumnie pokazuje ku górze: to on wypisał na niebie gorejącą literę jako uwieńczenie dzieła swojego życia; Osiński wręcza ptakowi X podanie, błaga o subwencję, pod wnioskiem podpisał się serwilistycznie trzema X-ami; Wielki Książę próbuje wbić w ciasne ślubne spodnie swój rozłożysty tyłek i w płomiennych słowach wyznaje miłość ptakowi X; rycerze krzyżacy w obozie pod Grunwaldem zamiast krzyża przyszywają do swoich płaszczy czerwony X i w zbrojach ruszają co koń wyskoczy na plac Teatralny, by jednym szturmem zdobyć gmach i wpisać X do swoich praw; od strony Pragi armia biedaków na promach, łodziach i wplaw przepławia się przez płonącą Wisłę na Stare Miasto, na ich sztandarach łopocze litera X, nawet w ostatnim tchnieniu już pod wodą przyzywają i sławią X-a; pan dyrektor Bogusławski sortuje dokumenty zatrzymane w dziewięćdziesiątym czwartym, na każdym widnieje jedynie X; X-y donoszą X-owi o X-ach; płomienny X, zmieniający w zależności od upodobania swe wymiary i fizyczny stan skupienia, nadal jest niezmordowany, pojawia się w Wiedniu, w salach Schönbrunnu i na Świętej Helenie, nad głową kompletnie wysuszonego Napoleona; przeskakuje w okolice Krakowa, gdzie czarne diabły wykuwają po nocach X-y; księża w kościołach w kazaniach wygłaszają jedynie X-y, wierni wyśpiewują X-y; młodzi kochankowie mówią w łóżku do siebie „iks-iks-iks”, a niemowlęta szczebioczą to samo; skazani na śmierć żegnają się znakiem X zamiast krzyża, ale żegnają się odwrotnym X, bo właśnie za to skazano ich na śmierć; sztuki składają się tylko z tej jednej litery, aktorzy, którzy zapomnieli tekstu, spoglądają przerażeni w stronę budki suflera, skąd zrozpaczony sufler wrzeszczy do nich: „iks, iks, iks, iks, iks!”.

Tego już nie da się w teatrze wyobrazić. Takiego rodzaju sztuki nie ma.

Zapukano do drzwi, Bogusławski mruknął:

- Iks, iks.

Otworzyły się drzwi, Bogusławski spojrział w tę stronę, skinął z roztargnieniem głową, po czym wybałuszył oczy.

- Pan hrabia! - wyszeptał osłupiały.

- Dzień dobry, Mistrzu - powiedział minister spraw wewnętrznych Mostowski.

Bogusławski stał jak wrośnięty w ziemię; patrzył, jak Mostowski wybiera sobie fotel za biurkiem, a jemu wskazuje miejsce na kanapie.

Mistrz usiadł posłusznie.

Mostowski rozpiął futro, ale go nie zdjął. Dużymi, ciepłymi, rozmarzonymi oczami patrzył z sympatią na Mistrza; miał zgrabny nos, zmysłowe usta, z całej twarzy biła subtelna, wytworna zniewieściałość; wysokie czoło ulubieńca kobiet okalały długie, siwe kędziory, nadając twarzy szczególny wyraz.

- Może herbaty? - spytał niepewnie Bogusławski.

Mostowski machnął ręką i z nikłym uśmiechem rozglądał się po pokoju.

- Więc tu mieszka największy polski aktor wszech czasów - powiedział z nutką ironii.

- Proszę mi wierzyć, cieszę się, że po tylu latach znajomości na odległość mam okazję spotkać się z panem osobiście.

Bogusławski czekał z napiętą uwagą.

- Sądzę - ciągnął Mostowski - że posiada Pan niezwykły talent: pańskie kreacje są wyraziste i zawierają dozę szyderstwa nawet wtedy, gdy chciałby pan nie tylko ukazać charakter, ale także sprawić, by go zaakceptowano. Jest w panu dziwna dwoistość, Mistrzu, wielkie kreowanie idzie w parze z istic molierowskim upodobaniem do satyry. Chociaż widziałem pana na scenie nieprzygotowanego do roli, to jednak nigdy nie mógłbym uznać pana za bezwartościowego i nudnego. Francuzi byliby szczęśliwi, gdyby obok Talmy mogli się pysznić takim typem artysty jak pan.

- Nie sądzą, żebym mógł wyżyć w Paryżu, mój królu - powiedział ubawiony Bogusławski. - Im potrzebny jest Talma, a nam nie.

Mostowski przytaknął.

- Ma pan rację, nam niepotrzebny i dlatego nie możemy mieć Talmy, podobnie jak Napoleona czy Metternicha.

Na ustach Mistrza pojawił się przelotny uśmiech, co nie uszło uwadze Mostowskiego.

- Wiem, o czym pan myśli - powiedział z pełną dostojeństwa autoironią. - Rzeczywiście przejąłem parę sposobów postępowania Napoleona, na przykład czytając wybrane przez cenzurę prywatne listy, staram się każdego ranka stworzyć sobie obraz panujących powszechnie nastrojów, ale muszę wyznać, że to moje przedpołudniowe wylegiwanie się bierze się od hrabiego Kaunitza. Inna sprawa, że hrabia Kaunitz bez wątplenia miał wpływ także na styl ubierania się Metternicha; oczywiście, gdyby on był Polakiem, a ja Austriakiem, ale nie warto tego ciągnąć. No więc; przede wszystkim muszę przeprosić pana za dyskusję o *Klingsbergach*. To nie było zbyt ładne, że wykorzystaliśmy pańską popularność, i muszę także wyznać, iż pomysł dyskusji pochodził ode mnie. Sądzę, że powinienem być wobec pana całkowicie szczery, albowiem Iksowie zniszczyli pańską karierę, a chociaż nie chciałem tego, to jednak odegrałem w tym największą rolę.

Mostowski zamilkł. Bogusławski pochylił się do przodu.

- Dzięki dyskusji o *Klingsbergach* - podjął po chwili Mostowski - w sposób naprawdę kulturalny mogliśmy ukazać nasze polityczne idee zmuszające ludzi do zachowania spokoju; wykorzystanie pańskiej popularności, rzecz by można symbolicznej wielkości, bez wątpienia okazało się szczęśliwym pomysłem. Nie chcieliśmy kontynuować dyskusji, proszę mi wierzyć, i gdyby sytuacja nie okazała się tak niesprzyjająca, mógłby pan grać jeszcze wiele lat. Kłopot w tym, że pańska popularność nic nie straciła na dyskusji o *Klingsbergach*, wręcz przeciwnie; wykorzystano ją przeciwko nam w dyskusji o *Horacjuszach*, od której najchętniej byśmy się powstrzymali, lecz zmusiły nas do tego okoliczności.

Hrabia zerknął do egzemplarza *Horacjuszy*.

Bogusławski podążał za jego wzrokiem.

- Nie twierdę, Mistrzu - powiedział Mostowski - że wiem wszystko, mimo to powiem panu, co doszło do wiadomości marionetkowego ministra marionetkowego rządu. To, co najłatwiej można zauważyć, to ślub Wielkiego Księcia. Nie z własnej woli żeni się z Joanną. Dowiedziałem się, że wszystko wymyślił Aleksander, a jeśli informacja jest prawdziwa, to równocześnie z zawarciem małżeństwa Konstanty zrezygnuje z rosyjskiego tronu. Aleksander ma rację: gdyby cokolwiek mu się stało, na czele imperium nie powinien się znaleźć półgłówki. Na Polaków wystarczy zdziecinniały wariat, niech sobie z nim walczą, ale imperium jest święte, nie można go wystawiać na kaprysy postrzeleńca.

Bogusławski słuchał tego zaskoczony.

- Nasza pozycja, Mistrzu - ciągnął minister spraw wewnętrznych - nie jest mocna. Mam na myśli Iksów, czyli rząd. Mamy na karku wariata, którego gryzie w łydki zgłodniały wilk Nowosilcow, a Nowosilcowa szczuje z Petersburga car, o którym mógłbym powiedzieć wszystko, co najlepsze, i nawet nazwać go genialnym politykiem, ale są oznaki, że już niedługo będzie grać rolę elastycznego młodego panującego. Zwolennicy ascetyzmu Focjusza mają na niego wielki wpływ, niekiedy go hipnotyzują, Aleksander znika czasem na kilka dni, podobno modli się, bijąc w piersi i rwąc włosy, sporo ciężkich grzechów obciąża jego duszę i jakkolwiek to oświecona głowa, jest bardzo zabobonny, to, jak widać, trudno u Rosjan wypłenić. Duszę Aleksandra trzeba chyba na razie traktować jako sprawę jednostkową, ale jego samodyscyplina może się rozluźnić. To niebezpieczeństwo jest jednak odległe, kilka mamy bliżej.

Mostowski zerknął na Mistrza, czy słucha. Bogusławski słuchał w napięciu.

- Jedno jest pewne - powiedział minister - Iksowie to takie samo towarzystwo jak każde inne; zbieranina głupców. Nie wyobraża pan sobie, jakie dyskusje toczyliśmy

w naszym gronie o tym, jak bardzo powinniśmy cieszyć się z małżeństwa Wielkiego Księcia i w jak chytry sposób dać wyraz naszej wielkiej radości, dokładnie ustalonej poprzez głosowanie i inne demokratyczne ceremonie... Z pewnością rzuciło się panu w oczy, że w roli Sabiny obsadziliśmy Żółkowską.

- Tak - rzucił ostro Bogusławski.

- No więc - powiedział Mostowski, wykrzywiając drwiąco usta - tak robimy politykę. Do roli oblubienicy Wielkiego Księcia wybieramy brzydką aktorkę, pokazując, że i cieszymy się, i nie... w ten sposób zawieramy kompromis o ogromnym znaczeniu.

Bogusławski roześmiał się.

- Drugim niebezpieczeństwem jest znakomite wyczucie polityki przez Aleksandra - ciągnął Mostowski. - Wiele nam, rządowi, obiecywał i nie mogę powiedzieć, by tych obietnic nie realizował. W tym czasie jednak stworzył sobie, a głównie nam, taką opozycję, którą w każdej chwili może zagrać przeciwko nam. Aleksander świadomie trzyma w talii kartę Wincentego Krasieńskiego, który nawet jako beczynny obecnie kandydat na namiestnika zmusza Zajączka do pracy z większym zapalem; tak samo pozbawił władzy, co tu kryć, z naszą pomocą, ludzi Sołtyka, którzy niewątpliwie z poparciem tajnej służby Wielkiego Księcia bądź pośrednio za namową cara dopadli nas w dyskusji o *Horacjuszach*. Aleksander kontynuuje tę samą dobrze sprawdzoną politykę, co jego babka: w jednej dłoni prorosyjski rząd polski, w drugiej tylko pozornie nieprorosyjski rząd cieni. Teraz my jesteśmy w sytuacji Stanisława Augusta, a oni targowiczani; nie muszę mówić, że człowiekowi posiadającemu władzę znacznie trudniej improwizować.

Bogusławski przytaknął.

- Tyle tylko - mówił dalej Mostowski - że wydaje się, iż dla Aleksandra to za mało. Pewne oznaki pozwalają przypuszczać, że car chce założyć tajne organizacje patriotyczne w Warszawie oraz Wilnie, żeby nie był źle zrozumiany: tajne polskie organizacje patriotyczne. Takie jak Tugendbund. Aleksander z pewnością myśli, że takie organizacje i tak prędzej czy później powstaną, nie zaszkodzi, jeśli już na początku umieści tam swoich ludzi; takie spiskowe organizacje mają jeszcze tę zaletę, że dzięki nim może trzymać w szachu zarówno rząd, jak i opozycję. Co więcej, w ten sposób może też boleśnie dotknąć Wielkiego Księcia, a każdą sprawę postawić na ostrzu noża, jeśli to on, car, sam odkryje taki stworzony przez siebie spisek: Wielki Książę nie był dość ostrożny, więc można go skarcić.

Urwał i czekał; Bogusławski przytaknął. Mostowski ciągnął dalej:

- Tego, że się nie mylę, iż ten styl myślenia jest typowym wybiegiem Aleksandra, dowodzi fakt, że w podobny sposób podzielił naszych księży: rozprzestrzeniane pogłoski

o jego przejściu na katolicyzm zrobiły swoje, wyższy kler zachwyca się tym i zupełnie poważnie wyklóca się o to, kto ma zanurzyć cara w święconej wodzie, a niższy kler ich nienawidzi; ale głównie nas, carskie kreatury. Wkrótce Nowosilcow przedłoży w senacie wniosek o równouprawnieniu Żydów: niechaj do tych podziałów dojdzie jeszcze jeden element. Aleksander przekuł naszą chorobliwą opieszałość na swoją korzyść; z powodu naszej średniowiecznej polskiej gnuśności i uprzedzeń trzecia część mieszkańców prowincji należących do naszej marionetkowej władzy będzie tańczyć, jak zagra Aleksander.

Nieoczekiwanie wałnął głośno w stół, Bogusławski aż podskoczył.

- Nasza polska głupota! Nawet w rządzie wielu wyobraża sobie, że wszystko byłoby w porządku, gdyby zwyciężył Napoleon! Dla prawdziwego Polaka nadal większą wartością jest rzucenie się na koniu w nurt rzeki i bohaterskie utonięcie niż wytrwałe i pracowite działanie. Panu Romanowi Sołtykowi, jednej ze świetlanych postaci, podczas odwrotu po kampanii rosyjskiej Napoleon powierzył swój skarbiec, cały majątek narodowy Francji, trzydzieści milionów franków w złocie, a pan Roman Sołtyk, ten przykładowy patriota, mając u boku polskich szwoleżerów, z pełnym poświęceniem, przez wodę i ogień, dostarczył bez uszczerbku tę bajeczną sumę do Paryża! Wtedy nawet ślepy by widział, że Napoleon jest skończony, ale Napoleon wiedział, co robi: *Le Polonais passe par tout*. Gdyby wówczas Sołtyk ukraść ten fantastyczny majątek, który i tak częściowo został nam zrabowany przez francuskich towarzyszy broni, gdyby go sobie przywłaszczył albo gdzieś zakopał, można by było znakomicie zaszantażować Napoleona, by ogłosił naszą niepodległość, a po jego upadku moglibyśmy pertraktować z carem, mocno siedząc w siodle. Przecież pan wie, między czym a czym teraz żyjemy? Ale nie; z tych trzydziestu milionów durna polska armia przelewająca swą krew nie zobaczyła ani grosza, a po wojnie jesteśmy jeszcze wszystkim winni odszkodowanie. A wszystko dlatego, że pan Sołtyk i nasi polscy wojacy, odważni, pełni poświęcenia i trzymający się zasad patrioci, w swym oczarowaniu ideami średniowiecznej rycerskości po prostu nie wiedzą, iż narody stają się wielkie dzięki kradzieży i rabunkom!

Z obrzydzeniem machnął ręką.

- Teraz to już nieważne - powiedział. - System działa znakomicie. Na przyjęciu po przyjeździe cara Wielki Książę nieco grubiańsko, jak to ma w zwyczaju, oskarżył siedzącego obok Czartoryskiego, że knuje spisek przeciwko imperium; car oczywiście przywołał młodszego brata do porządku i nazwał księcia *cher Adam*; rzecz jasna *cher Adam* natychmiast poprosił o trzymiesięczny urlop i pojechał do swojego majątku. My jednak, niestety, nie potrafimy się wycofać z kłopotliwej sytuacji. W każdej przykłej sytuacji Aleksander demonstruje, że nie uważa Wielkiego Księcia za osobę poczytalną i głęboko nam współczuje;

potem żeni go z Polką, by na zawsze siedział nam na karku. Aleksander przyhamuje te jego szaleństwa. Oczywiście przyhamuje też Nowosilcowa, który ostatnio wystąpił z podrzuconą przez cara propozycją, byśmy wzięli od imperium pożyczkę w papierowych rublach. W papierowych rublach! Tym samym Aleksander powoli, nawołując swoich nadgorliwych zwolenników do umiaru i okazania zrozumienia, wpędzi zacofaną polską gospodarkę w głębszy niż kiedykolwiek kryzys.

Bogusławski coś mruknął, Mostowski uniósł rękę:

- Tak, Mistrzu, tyle że tak naprawdę Aleksander nie chce naszego krachu. Choć z politycznego punktu widzenia jest to korzystne, imperium ma dziewięćdziesiąt dwa miliony deficytu, tak że mimo wszystko przydałoby mu się dobrze prosperujące Królestwo Polskie. I tu jest punkt, gdzie nawet taki marionetkowy rząd będzie mógł coś zrobić.

Bogusławski oklapł, nagle poczuł ostry ból głowy i koncepcja Mostowskiego docierała do niego jakby z oddali: politycznie niczego nie można osiągnąć; Polska to bezbarwny kleks na mapie; jej byt zależy od różnych paktów; obecny układ sił między wielkimi mocarstwami gwarantuje, ale zawsze jedynie na okres przejściowy, że kilka milionów ludzi może jeszcze mówić po polsku. Wyłącznie konstelacja światowych mocarstw... którekolwiek z wielkich mocarstw weźmie sobie nas na głowę, tę masę upadłościową, dopłaci do nas... ale jeśli nasze istnienie będzie ekonomicznie uzasadnione...

- Czemu do południa wyleguję się w łóżku, wycinając z prasy europejskiej nowatorskie pomysły? - spytał minister.

Chwila ciszy, Bogusławski uniósł wzrok.

- Wkrótce pan usłyszysz, Mistrzu - powiedział Mostowski - że sprzedaję państwu swój pałac za sześćset tysięcy złotych, a za moment znów się do niego wprowadzę. Bezprzykładna podłość, czyż nie? Tylko że założyłem już na Marymoncie wspaniałe wzorcowe gospodarstwo, a moim celem jest stworzyć nowe; zaproszę rzemieślników, Niemców i Żydów, i chociaż najlepszych przyciągnie Wiedeń, a Konstany będzie robił trudności...

Głos Mostowskiego brzmiał jakby z oddali, zagłuszany szumem w uszach. Nasz potencjał ekonomiczny, najnowocześniejszymi metodami... kłopot wziął się stąd, że od strony Morza Północnego nie dało się niczego kolonizować, ale teraz... W ciągu kilku dziesięcioleci możemy mieć cara w kieszeni...

- Założę bank kredytowy - głos ministra przybliżył się, brzmiał zdecydowanie. - Będzie tu przemysł i nowoczesne rolnictwo... dlatego trzymam przy sobie pana Szterna, wynalazcę, oraz innych golców...

Aleksander będzie się cieszyć z silnej gospodarczo Polski, będzie musiał, znów

pojawia się dylemat Piotra Wielkiego: Wschód czy Zachód; można zauważyć, że idąc za głosem serca, Aleksander wybrałby Zachód, tylko że przeciw temu jest potworna opozycja, ale przekonujący przykład Polski...

- A co ja mam z tym wszystkim wspólnego? - zapytał Bogusławski.

- Tyle tylko, mój panie - odpowiedział twardo Mostowski - że stoi pan na drodze reform. Mnie jest potrzebny spokój, a nie histerie. Wytępię ducha bezsensownego buntu.

- Nie stoję niczemu na drodze, panie hrabio. Czy wzniecałem bunt w *Horacjuszach*?

Mostowski wyduł delikatne wargi i przekartkował egzemplarz *Horacjuszy*.

- Jeśli chodzi o *Horacjuszy* - powiedział - opozycja z trudną do przecenienia pomysłowością zadała nam cios w plecy; my jednak, nie będąc jeszcze przygotowani do sprawowania roli marionetkowego rządu, zaczęliśmy działać zbyt pośpiesznie. Muszę przyznać, że oni ze znakomitym wyczuciem wybrali pana, osobę, którą to myśmy w polemice o *Klingsbergach* zbyt spopularyzowali, a której później w obliczu opozycji nie mogliśmy bronić. Mieliśmy szczęście, że wrzawa przeszła oczekiwania naszej szanownej opozycji i tajnych służb; Roźniecki też nie jest szczęśliwy, iż młodzież Warszawy z imieniem nieszczęsnego głupka samobójcy na ustach zbiera się w bandy i trzeba konfiskować rojące się od jakobińskich sloganów ulotki, których najpiękniejsze zdania z całą pewnością zredagowali jakobińscy agenci, prawie pod nosem cara, który niedaleko stąd był na polowaniu. Tam, gdzie już nawet komedia Caigneza wywołuje rewolucyjne nastroje, mój panie, nie tylko rząd pociąga się do odpowiedzialności, ale także zwalnia się tajne służby. Na szczęście, choć to rzecz naturalna, że nasza opozycja nie ma programu, jej celem, jak zawsze każdej opozycji, jest jedynie wepchnięcie kilku swoich do rządu. Nie wystarczyło im to, co dostali po dyskusji o *Klingsbergach*. Ich apetyt wzrósł. Niech tak będzie. Wobec tego ustaliliśmy w nocy z ludźmi Roźnieckiego: znowu wrzucimy do repertuaru *Horacjuszy*, zamieścimy kilka polemik bez znaczenia i zamkniemy sprawę: car wczoraj wyjechał, potem ładnie ożenimy Wielkiego Księcia, do rządu w miejsce staruszka Matuszewicza i postrzeleńca Kostki Potockiego wejdą Lubecki i Grabowski; tyle się zdarzyło. Ostatecznie to my wyszliśmy zwycięsko z dyskusji; Matuszewicza czczę i szanuję, ale jest już schorowany, wkrótce umrze, natomiast Lubecki, którego osobiście nie cierpię, będzie realizować moje plany z taką mocą i tak bezpardonowo, jak się opozycji nawet nie śniło. Kostka Potocki na szczęście napisał antyklerykalny pamflet, pozwolimy mu to wydrukować, Kościół rzuci się na niego z wraskiem i tak oto drzwi staną otworem przed Grabowskim, który jest z gatunku drobnych łajdaków i donosicieli, nie ma co się z nim liczyć.

Bogusławski wzdrygnął się; Mostowski, nie wstając, zaczął zapinać futro.

- Pan dzisiaj wieczorem wystąpi w *Horacjuszach*, dodatkowo potraktujemy to jako benefis, cały przychód dla pana, ale potem pan się wycofa.

Bogusławski zbladł.

Mostowski wstał.

- Zapłacimy pański dług Osińskiemu. Załatwię, by ten imbecyl Staszic przyjął pana do Akademii. Będzie pan pierwszym aktorem, który otrzyma emeryturę. W końcu i pan może triumfalnie wycofać się z interesu. Nasza opozycja, mój panie, byłaby mniej szczodra. Muszę panu przekazać smutną informację: pierwszym punktem, który ustaliliśmy, jest pana odejście dziś w nocy. Oczywiście piękne pożegnanie będzie obowiązywać jedynie pod warunkiem, że dzisiejsze przedstawienie zakończy się bez skandalu.

Ruszył do drzwi.

- Panie hrabio! - jęknął Bogusławski i zerwał się. - Jeszcze mogę być wam potrzebny!

- Jest pan zbyt wielkim aktorem, mój panie. Wierzę, że pan szczerze i z pełną gotowością starałby się spełniać nasze życzenia. Jednakże pański talent, mój panie, jest jak pasmo gór i nawet pan nie przeczuwa, kiedy i jak ruchy górotwórcze wywołają w panu takie trzęsienie ziemi, które nas także zmiecie. Nam potrzebny jest Osiński, mój panie. Niestety rzadkim przykładem w sztuce jest geniusz goethowski, potrafiący roztrwonić gigantyczny talent przez przyjmowanie byle jakich zleceń. Przyznaję, może polityk mający więcej ode mnie inwencji umiałby nawet pana pociągać za sznurek, ale ja, a zwłaszcza my, Iksowie, możemy przegrać z powodu jednego, nawet odruchowego, szczerzego gestu.

- Panie hrabio! - powtórzył Bogusławski z zaschniętym gardłem. - Do realizacji pańskich reform potrzebni są panu ludzie myślący... Skąd ich pan weźmie, jeśli teatr będzie służyć ogłupianiu?... Gdyby chciano mnie wyrzucić po raz pierwszy, powołując się na dobro ogółu... Już nawet Stanisław August... Pańskie humanistyczne intencje są z gruntu nieludzkie, jeśli uznaje pan teatr za pierwszego wroga...

- Nie przyszedłem tu dyskutować, mój panie - powiedział zaskoczony Mostowski. - Bóg z panem.

- Może mógłbym pana czymś poczęstować - krzyknął zrozpaczony Bogusławski. - Mam w domu herbatę, może i kawałek kaczki... Proszę pomyśleć, panie hrabio, przecież całe życie ćwiczyłem sztukę kompromisu, bezczelnie wysługiwałem się władzy, poniżałem się, nadszakiwałem, jestem do tego zdolny i teraz, przecież mój talent też kiedyś się wyczerpie!

- Spodziewałem się po panu więcej godności - powiedział z żalem Mostowski. - Rozumiem pana, jest to ludzie i rozumiało... Zimno tu u pana. Każę dostarczyć drewna na opał... a jako akademik nie będzie miał pan kłopotów z tym, by Glücksberg wydał pana

dzieła.

Skłonił się i wyszedł.

- Tak, tak, tak - mrucał bezmyślnie Bogusławski i długo stał w miejscu. Poczł się lekko. Pociągnął nosem, zapach delikatnych perfum Mostowskiego jeszcze całkiem nie uleciał. Więc jednak tu był, pomyślał Mistrz. Podeszedł do stołu, popatrzył, jak przed chwilą Mostowski, na rozłożony rękopis *Horacjuszy*. Dialogi zlewały mu się przed oczami, może powodem tego było spojrzenie Mostowskiego, jego oczy odebrały zapisanym jedna pod drugą linijkom wszelki sens. Trudno sobie wyobrazić, aby te strony z literami i linijkami, na które minister rzucił urok, mogły cokolwiek znaczyć. Mistrz mrugał oczami. Czy przynajmniej potrafi odczytać napisane na początku każdej kwestii podkreślone imiona postaci? Ale między Sabinami, Kamillami i Kuriacjuszami nie znalazł starego Horacjusza. Mostowski zabrał go ze sobą.

Usiadł w krześle i zaczął się na nim poprawiać, tak jak Mostowski, gdy tu przyszedł. Musi mieć hemoroidy, przeleciało mu przez głowę. Choroba Napoleona. Kartkował *Horacjuszy*, trzymając rękopis z dala od oczu. Może jest tu scena, w której stary Horacjusz z jakiegoś powodu wyciągnąłby spod płaszcza nóż, by się nim dźgnąć. Potrzebny jest do tego znaczący tekst, publiczność zdrętwieje, inne postaci doskoczą do niego, wyrwą mu nóż z ręki. Ale czy się w porę zorientują? Trzeba by to zrobić tak, żeby był skandal i żeby go nie było... Można to zrzucić na sztukę, tak będzie dobrze. Chociaż... czemu nie miałyby być prawdziwego skandalu? Teraz i tak wszystko jedno.

A jeśli inni wcale do niego nie doskoczą? Będzie wymachiwać nożem i stanie się śmieszny. A jeśli żadna krwi publiczność będzie wyczekiwać, by stary Bogusławski wbił sobie nóż w brzuch? Wreszcie coś by się działo. Można byłoby potem cmokać nad tym z zachwytem.

Jaka będzie widownia? Jeśli w ostatniej chwili zapowiedzą to jako benefis, a wiszą jeszcze plakaty *Atalii* i dopiero przed samym spektaklem ogłoszą, że idą *Horacjusze*? Krnąbrnej, przygotowanej na coś innego publiczności nie można traktować jak partnera.

Jestem przecież rozsądny, stwierdził. I jest jeszcze czas na przemyślenia.

Rzeczowo rozważył, co osiągnie zwyczajną grą, a co może zyskać jakimś porządnym skandalem. W końcu uznał, że skandal niewątpliwie daje więcej niż spokojna starość. Gdyby nie był bezczelny podczas *Klingsbergów*, nie tylko zakazaliby mu grania, ale nie musieliby nawet dawać mu emerytury. Zbyt wiele proponował Mostowski za wycofanie się. Tym samym potwierdził... potwierdził, że... ludzie Sołtyka też potwierdzili...

Teraz naprawdę trzeba walczyć.

Gdyby opowiedział publiczności, co słyszał od Mostowskiego... o wszystkich politycznych machinacjach...

To niedobre, od razu rzucono by się na niego, wywleczono, wyładowanie w więzieniu nie jest dobrą perspektywą. Mimo wszystko lepsza jest emerytura.

Gdyby był jakiś wymowny wiersz, który zaczęłyby nagle deklamować; gdyby przynajmniej jakaś aria z *Cudu mniemanego* była mocniejsza, *Cud mniemany* jeszcze pamiętają, był napisany nazbyt ostrożnie, ale inni nie napisali niczego lepszego. Dlaczego nikt nie napisał naprawdę buntowniczego tekstu?

Coraz bardziej przygnębiony siedział nad egzemplarzem sztuki. Znowu ból głowy, znów dzwonienie w uszach. Czas płynie, nie wystarczy go na zorganizowanie czegoś.

Marianna już z dołu wołała, że wieczorem idą *Horacjusze*, usłyszała o tym od Anieli. Triumfalnie wpadła do pokoju; zatrzymało ją ponure spojrzenie Bogusławskiego. Wstał i nadal bez słowa patrzył w oczy wahającej się Marianny. Stała, nic nie rozumiejąc, i drżała, w oczach Bogusławskiego było coś dziwnego, nie mogła oderwać od nich wzroku. Jej uśmiech zbladł, nie miała odwagi się odezwać. Zdawało jej się, że patrzy w oczy Mistrza całą wieczność, zrobiło się jej słabo, zachwiała się; Bogusławski doskoczył i zanosząc się śmiechem, chwycił ją wpół i zaczął całować.

Od lat nie dowcipkował tyle, ile tego popołudnia. Cieszy się, że może grać, pomyślała Marianna, ale kilka razy ciarki przebiegły jej po plecach. W rękach Bogusławskiego z noża zrobiła się ryba przygotowana do skrobania, z kartki rękopisu talerz, z fotela Marianna, co za czarodziej, myślała Marianna między jednym a drugim wybuchem śmiechu i łzy płynęły jej po twarzy. Mistrz brał każdą łezkę na czubek palca i prowadził z nimi sprośne dialogi.

Marianna odprowadziła go do teatru. Jacyś trzej szli za nimi w pewnej odległości. Na końcu Długiej walały się na ziemi rozdeptane bukiety kwiatów, a miejsce, gdzie spadł Kratzer, otoczone było kordonem żandarmów.

W teatrze powiedziano im, że Szymanowski jest w swojej garderobie. Bogusławski poszedł do niego; aktor o posturze rycerza siedział skulony na krześle i podniósł na Bogusławskiego wymęczone oczy. Mistrz położył mu rękę na ramieniu.

- Trzeba grać, mój królu - powiedział, pocałował go w czoło i wyszedł.

Był półnagi, gdy zajrzała do niego Ledóchowska. Za nią stał w drzwiach Werowski. Ledóchowska ze współczuciem patrzyła na żebra Mistrza, prawie przebijające szorstką, brązowożółtą skórę. Klatka piersiowa była zapadnięta, spod siwego owłosienia prześwitywało kilka sporych znamion. Ledóchowska życzyła Mistrzowi połamania nóg i wyszła. Werowski za nią.

Potem przyszedł Dmuszewski, zapytał, czy Stanisław jest jeszcze u Nacewiczów. Marianna powiedziała, że tak.

- Jak to potrafi brakować takiego zwierzątka - dziwił się Dmuszewski. - Niezwykle się do mnie przywiązał, bez niego czuję się bezbronny.

Bogusławski coś mruknął i dopiero po odejściu Dmuszewskiego zorientował się, że ten nie mówił o dziecku, tylko o psie.

Pół godziny przed spektaklem zapukał pan sekretarz Unicki.

- Pan dyrektor pyta - zapytał, niezwykle blady - czy nie był pan łaskaw zachorować. Pan Kudlicz też jest bowiem gotowy, bo gra pan Szymanowski... tak więc pan Kudlicz wskoczyłby na miejsce Mistrza...

- Czuję się znakomicie - oznajmił Bogusławski i przykleił sobie pod nosem wąsy.

- Powiedziano nam, że Mistrz trochę niedomaga...

- Dzięki Bogu, nie ma o tym mowy - uciał Bogusławski i powiedział, patrząc w lustro:

- Jeśli oni nie wpuszczą mnie teraz na scenę, wzniesę taką rebelię, że wszyscy będą fruwać, razem z panem sekretarzem.

Unicki zdrętwiał.

- Gównno warte są te obecne kleje - zwrócił się do niego uprzejmie Bogusławski. - W końcu będę zmuszony wystąpić bez zarostu.

- Ależ proszę - wybełkotał Unicki i wyniósł się.

Wąsy i broda błyskawicznie znalazły się na swoim miejscu.

Mistrz szybko oddelegował Mariannę, by zebrała zaufanych ludzi i dzięki temu przeszedł potem przed szpalerem: w pierwszym rzędzie aktorzy pod wodzą Żółkowskiego, a za nimi nieodłączni cywile.

W przejściach również pętali się jacyś cywile.

- Przyszli inspicjenci. - Bogusławski, śmiejąc się szyderczo, wskazał ich Zielińskiemu, który trzymał się za brzuch i stał przygarbiony, z grymasem na twarzy.

Zerkając przez szpary w kurtynie, zobaczyli, że teatr jest nabity, siedziano nawet na podłodze.

- Teraz będzie prawdziwa premiera - szepnęła pobladła Żółkowska. Usta umalowała krwistoczerwoną szminką, oczy starannie powiększyła tuszem, chciała wyglądać ładnie.

Konstancja poprosiła Mistrza, by dopuścił ją do szpary w kurtynie. Ustąpił jej miejsca; patrzyła na publiczność, on na jej szyję.

- Znowu gramy razem - powiedział.

Konstancja się odsunęła.

Kurtyna poszła w górę, z widowni buchnęło napięcie. Żółkowska i Aszpergerowa zaczęły całkiem dobrze, w każdym razie pierwszy akt był znacznie lepszy niż na premierze. Kiedy Bogusławski wszedł na scenę, nastąpiła cisza przed burzą; w ostatniej chwili przed oklaskami Mistrz zaczął szybko mówić i bezbarwnie niczym epizodysta przeleciał swoją pierwszą kwestię. Demonstracyjne brawa ucichły, dało się słyszeć niecierpliwe skrzypienie krzeseł.

Potem już sztuka szła coraz słabiej, teraz aktorzy naprawdę byli podenerwowani. Jedynie Bogusławski recytował tekst dokładnie, z sensem, ale jakby otaczał się szklaną taflą. Szymanowski był blady i jakby szczuplejszy niż normalnie, Żółkowskiej drżały nogi, Konstancja grała słabo, zwracała uwagę głównie na Mistrza. Aszpergerowa była najlepsza z całego zespołu. Dmuszewski coraz bardziej bladł obok pulpitu suflera i w zdenerwowaniu ciągle przelykał ślinę. W wystąpieniach Werowskiego czuło się, że gra o dużą stawkę: za wszelką cenę starał się przebić Szymanowskiego.

W drugim antrakcie aktorzy snuli się rozczarowani między dekoracjami, tym razem nie dostali herbaty, cywile wałęsający się w przejściach klepali się po brzuchach, niektórzy ziewali. Żółkowska co jakiś czas zerknęła na Mistrza; ten spokojnie chodził po scenie i gryzł jabłko. Po Szymanowskim widać było, że źle się czuje; Zieliński przyłożył do piersi zimny okład. Dziadzio Harazyn tarł oczy, okryty futrem Plersch drzemał za pulpitem suflera.

Po przerwie Bogusławski i Szymanowski weszli na scenę, Mistrz zaczął:

Niezlamanego męstwa tę zapłatę mieli,

Że póki żyli, póty Rzym wolny widzieli,

Własnego mieli króla, nie znali poddaństwa,

Nie doczekali jarzma sąsiedniego państwa...

Na widowni zapadła cisza. Ostatnie dwa wersy Bogusławski nieoczekiwanie wypowiedział pełnym goryczy, wstrząsającym głosem; takiego cierpienia tego wieczoru jeszcze nie słyszano. Szymanowski spojrzał zaskoczony na Mistrza, który mówił dalej:

Plączcie nad trzecim, plączcie niezatartej plamy,

Którą po zdradzie jego wszyscy nosić mamy.

Placzie całego rodu mego pohańbienia.

Placzie wiecznej sromoty Horacych imienia.

Ostatnie dwa wersy wykrzyczał, zaciskając pięści.

Zamilkł. Panowała cisza. Szymanowski spojrzał na niego, czekał, by Mistrz wypowiedział kwestię do końca. Ten tylko spojrzał mu w oczy. Szymanowski stał w miejscu odrętwiały. Kiedy już nawet na widowni dało się wyczuć, że pauza jest zbyt długa, Bogusławski odwrócił się od wrośniętego w ziemię Szymanowskiego i powoli, patrząc w nicość, podszedł do rampy, daleko za linię, gdzie opadłaby kurtyna, gdyby Zielińskiemu przyszło do głowy ją opuścić.

W całym teatrze panowała cisza. Wszyscy wstrzymali oddech. Wysoka, chuda postać górowała nad nimi, stała bez ruchu i milcząc, wbijała wzrok w publiczność. Bez jednego mrugnięcia. Pomnik samego siebie. Z wystającym nosem, tyczkowatą, przygarbioną sylwetką, doklejonymi siwymi wąsami i długą rozwianą brodą Mistrz przypominał proroka. Ani z przodu, ani z tyłu nie doleciało nawet piśnięcie; wszyscy na niego patrzyli; czekano, aż się odezwie i rzucając na nich przekleństwo, wstrząśnie sklepieniem gmachu. On jednak milczał. W bezruchu. Pół minuty, a może godziny. Zniknął czas, półtora tysiąca osób chłonęło oczami jego postać i w upojeniu wsłuchiwało się w jego milczenie. Patrzyli na maga, wszystko i wszyscy zatopili się w otaczającym go mroku i półtora tysiąca ludzi pogrzyżyło się naraz we wspólnej, milczącej żałobie.

Ciszę przerwał rozzierający szloch, potem wybuchła wrzawa, widzowie zrywali się z miejsc i depcząc się wzajemnie, biegli do rampy, by dotknąć skraj szaty Bogusławskiego. Zieliński, który do tej pory stał urzeczony i sparaliżowany, opuszczał teraz kurtynę, ale już niepotrzebnie, gdyż widzowie wdrapywali się na scenę, przeskakiwali kanał orkiestrowy. Wzięli Bogusławskiego na ramiona i niosąc go, ruszyli do wyjścia.

Na scenie, widowni i w foyer rozpętało się piekło; sprowadzeni żandarmi i cywilni agenci otoczyli tłum i próbowali go wypchnąć na plac Teatralny, gdzie spodziewano się jakiegoś naruszenia porządku, ale dopiero później, po przedstawieniu. Nikt nie stawiał oporu, oddział rozproszył się bez żadnego rozkazu, nie padł żaden strzał. Niesionego na rękach

Bogusławskiego umieszczono na dachu jednej z karet czekających przed teatrem, w kilka chwil wyprzęgnięto konie i triumfalny pochód, na czele z karetą ciągnioną przez ludzi, ruszył Miodową.

Wszyscy krzyczeli, rzucali wymyślone naprędce hasła, każdy miał ważny powód, by opowiedzieć światu o swej rozpaczliwej sytuacji; każdy chciał być blisko karety, na której trzęsący się święty kurczowo trzymał się oburącz dachu. Nie wiadomo skąd pojawiły się zapalone pochodnie; wymontowano także większość teatralnych lamp olejowych i wyniesiono je na ulicę. Członkowie różnych zwalczających się do tej pory partii, grup oraz legalnych i tajnych stowarzyszeń wspólnie szaleli, radośnie obejmując się i ściskając, obce osoby wyszłochiwały się sobie nawzajem do ucha; milczenie świętego pozwalało wszystkim wylać innym swoje żale.

Rewolucyjna jedność tłumu trwała do końca Miodowej. Tam część ludzi ciągnących karete i kroczący tuż za nią wleli się przez Senatorską na plac Bernardyński, skąd można było pójść w kilku kierunkach: na Stare Miasto, dołem w stronę pałacu Pod Blachą, z powrotem wzdłuż muru miejskiego, bądź od Bramy Krakowskiej przejść obok kościoła Świętej Klary i Świętej Anny na Krakowskie Przedmieście. Tłum zaczął się rozpraszać i znikać w ciemnościach. Na rogu Miodowej i Senatorskiej rozbijano okna restauracji Chovota. Większość niosących pochodnie pozostała przy karecie, ale oni także szybko zaczęli topnieć, kołyszące się łuczywa jak robaczki świętojańskie rozleciały się po mieście; pochodnie schodzące w dół na Mariensztat stanowiły szczególnie piękny widok dla patrzących na to z góry. Ci bez pochodni przez jakiś czas biegali bezradnie między źródłami światła w poszukiwaniu większych skupisk, a nuż tam właśnie coś się dzieje. Karetę przeciągnięto jeszcze na Krakowskie, ale Bogusławskiego na dachu już nie było, jacyś ludzie go ściągnęli, jacyś ucałowali, jacyś częściowo podeptali mu kostium i powyrywali nieco szczeciniastych włosów z wąsów i brody. Mistrz poczuł się bezpiecznie dopiero w zamkniętym wozie w towarzystwie pięciu żandarmów; dokądś go wieziono. Na zewnątrz słychać jeszcze było wrzaski i krzyki, ale wrzawa powoli cichła i znikła w dali, aż zupełnie umilkła.

Został tylko stukot kopyt.

Wyrzucono go z wozu na dziedzińcu jakiegoś budynku, w ciemnościach nie widział, gdzie się znalazł. Żandarmeria? Koszary? Komendantura miejska? W każdym razie nie zabrali go do więzienia. Czterej żołnierze zaprowadzili go do bocznego skrzydła budynku, weszli po schodach, przeszli przez jakieś drzwi. Przed nimi szedł żołnierz ze świecą.

W pokoju było biurko i dwa krzesła, z czego jedno za biurkiem; Bogusławski usiadł na drugim, pod ścianą. Żołnierze odsunęli się.

- Zaschło mi w gardle - powiedział.

Żołnierze nie odpowiedzieli. Są wściekli, pomyślał Mistrz, przeze mnie muszą zarwać noc. Postanowił, że nie będzie ich drażnić. Rozdrażniony żołnierz może uderzyć. To i tak wspaniale, że może siedzieć.

Buzowały w nim sceny z ostatnich dwóch kwadransów. Jeszcze niecałe pół godziny temu wszyscy łazili tu i tam za opuszczoną kurtyną, a on jadł jabłko. Udało się, pomyślał i uśmiechnął się do swoich strażników. Nie odwzajemnili uśmiechu, ale spostrzegł, że jeden z nich patrzy na niego zdziwiony. Udało się. Reagują na niego. Talma by na to nie wpadł.

Od lat nie czuł się tak dobrze. Podczas spektaklu miał skurcze żołądka, teraz minęły bez śladu. Nie słyszy w tym momencie na oboje uszu, ale to chyba od owacji. Siedząc na krześle, starał się rozruszać barki, zacisnął pięści, poczuł miły ból w mięśniach. Zmęczony i szczęśliwy odchylił się do tyłu. Niczego się nie bał. W czym te glisty mogą zaszkodzić największemu aktorowi świata?

Kiedy prezydent Woyda wpadł wymęczony i ponury, Bogusławski wstał z szacunkiem i uklonił się z przyjaznym uśmiechem.

- Niech pan siada - warknął Woyda i opadł na krzesło za biurkiem. Szybko łapał powietrze, z pewnością go poganiano. Był niski, krępy, o wyglądzie raptusa, mocno łysiejący, z błyszczącym czołem. Ciężko oddychał.

- Co pan znowu takiego nabroił? - fuknął po chwili.

Bogusławski okazał niewinne zdumienie.

- Występowałem - powiedział. - Nie wiem, jak się tutaj znalazłem.

- Nie wie pan.

- Nie, zupełnie.

- Proszę opowiedzieć, co się wydarzyło.

- Pan prezydent nie był na przedstawieniu?

- To ja tutaj zadaję pytania.

- Więc proszę, mój krolu. Grałem starego Horacjusza, rolę, w której mam szczęście odtwarzać postać, która, przepraszam za wyjaśnienia, w naszej obecnej sytuacji jest powołana do ukazania naszym obywatelom zaufanego doradcy i przyjaciela naszego panującego, króla Aleksandra.

Zmieszany Woyda uniósł brwi.

- Krócej - warknął.

- Bardzo ładna rola - ciągnął Bogusławski - i bardzo się cieszę, że w zeszłym roku miałem okazję odtworzyć w *Cynnie* samego króla, a teraz jego najbliższego przyjaciela...

- Niech pan mówi, co stało się w teatrze!

- Właśnie mówię, mój królu. W trzecim akcie mam bardzo ładny monolog... jeśli pan prezydent pozwoli, powiem go...

- Niech mi pan tu nie bawi się w aktora, jasne?!

- Ale ja, uprzejmie proszę, chciałbym naświetlić, co stało się w teatrze...

Weyda zamilkł, Bogusławski zaczął mówić monolog:

Niezlamanego męstwa tę zapłatę mieli,

Że póki żyli, póty Rzym wolny widzieli...

- Niech pan mówi o skandalu! - wrzasnął Woyda. - Nie rozumie pan?!

- Chciałbym do tego dojść. Mianowicie kilka linijek dalej jest fragment, którego nawet na próbach trudno mi się było nauczyć, więc powiedziałem panu Osińskiemu, który to przetłumaczył, że będzie z tym problem, coś jest nie tak z prozodią, język mi się łamie, tekst wylatuje mi z głowy, ale pan dyrektor Osiński nie zechciał wysłuchać, wie pan, mój królu, jacy są ci pisarze, jak maniacy przywiązują się do każdej napisanej litery...

Weyda warknął, ale już zrezygnowany.

- Tego fragmentu - powiedział Bogusławski przepraszająco - zawsze się boję. Potworne uczucie, jeśli człowiek nie może się skoncentrować na tym, co właśnie mówi, bo chodzi mu po głowie, że kilka linijek dalej nie przypomni sobie dalszego ciągu, i robi się taki nerwowy, że nawet nie jest w stanie uważać na suflera. Z pewnością miał już pan takie przypadki, mój królu. W drugim antrakcie cały czas wałkowałem ten tekst, inni mogą zaświadczyć, jadłem jabłko i mówiłem ten monolog, wtedy go jeszcze pamiętałem. Teraz też pamiętam. Za pozwoleniem pana prezydenta powiem go teraz w całości, bezbłędnie...

- Nie! - wrzasnął Woyda.

- No trudno - powiedział Bogusławski i urażony milczał przez chwilę. - Chciałem tylko udowodnić, że pamiętałem monolog, ale w naszym zawodzie, niestety, zawsze wisi nad nami miecz dziurawej pamięci. To takie moje fatum, które prześladowa mnie przez całą karierę, że nie potrafię grać, słuchając podpowiedzi suflera. Zazdroszczę ludziom, którzy to potrafią...

Woyda zawarczał.

- Tak jest - pośpieszył z przeprosinami Bogusławski. - Nie czuję się pewnie, jeśli nie

jestem do końca gotowy do roli i w tym zdenerwowaniu nie słyszę nawet wrzasków suflera. Teraz mam jakieś kłopoty z uszami...

- Nie obchodzą mnie pańskie uszy - wysyczał Woyda.

- Proszę mi wybaczyć, mój królu, nie chcę zabierać panu czasu, ale przecież nie jestem tutaj z własnej woli.

Woyda drżącymi palcami kręcił guzikiem przy płaszczu.

- No trudno - powiedział Bogusławski, wzdychając z zawstydeniem. - Wysypałem się na swojej roli.

Zamilkł. Zapadła cisza, Woyda czekał na dalszy ciąg.

- I? - spytał wreszcie ochryple.

- Tak to właśnie było. - Bogusławski rozłożył szeroko ręce. - Reszty nie rozumiem, mój królu, trudno mi to pojąć... Wbiegła publiczność, wszyscy wrzeszczeli, myślałem, że rozerwą mnie ze złości, bo się wysypałem... chociaż być może nie myślałem o niczym, dopiero jakoś tak później, to było tak niespodziewane... wzięli mnie na ramiona, wrzucili na dach jakiejś karety, jak jakiegoś nędznego kota... No właśnie - dodał wzburzony - jakbym był bezpańskim kotem, mnie!... Potem panowie przyprowadzili mnie tutaj. - Westchnął i pokręcił głową. - Doprawdy winien jestem panom podziękowania, uratowaliście mi życie. - I uklonił się w stronę żołnierzy. Ci patrzyli na niego zdumieni: Bogusławskiego przekazało im pięciu żandarmów.

Woyda odchrząknął.

- Chyba nie chce mi pan powiedzieć, że nie wie, czemu się tu znalazł?

- Proszę się nie gniewać, mój królu, ale ja naprawdę nie wiem.

Woyda gapił się na Bogusławskiego.

- W tym kostiumie pan występował?

- W tym.

Prezydent przyjrzał się staremu Horacjuszowi, ale nie miał kostiumowi nic do zarzucenia.

- I niczego pan nie powiedział?

- Nie.

- Niczego, co nie było w roli?

- Niczego. Bo właśnie cały kłopot w tym, że nie powiedziałem swego tekstu!

- I dlatego wszyscy oszaleli i zaczęli się bunt.

- Tego to nie wiem, pan prezydent wybaczy. Ledwo się trzymałem na dachu karety i byłem przerażony, co się stanie, jak zlecę.

- Próżno pan kłamię - powiedział Woyda ze znużeniem. - Zrobimy konfrontację.

- Ależ proszę.

Woyda zerwał się z krzesła i pośpiesznie wyszedł.

Bogusławski usiadł, odchylił się do tyłu i przymknął oczy.

Drzemał może z dziesięć minut, znów przeżywał sukces, drobiazgowo i powoli analizował każdy ruch, kiedy wrócił Woyda z elegancko ubranym młodzieńcem.

- Teraz proszę mówić! - fuknął.

Mistrz otworzył oczy. Nie znał tego młodego. Ochoczo powtórzył swoje zeznanie.

- Tak było? - Woyda zwrócił się do młodego.

- Prawie. Panie Bogusławski! Czemu podszedł pan do rampy, jeśli nie mógł pan sobie przypomnieć tekstu?

- Bo nasz sufler stoi z przodu.

- Ale poszedł pan znacznie dalej.

- Żeby się nie domyślili... Zresztą, mój panie, nasz sufler podpowiada czasem z budki, czasem z boku, bo narzeka, że nie mieści się w budce, więc nawet nie mogłem wiedzieć, gdzie jest...

- Przez półtorej czy dwie minuty stał pan bez ruchu.

- Możliwe, tak. Nie wiedziałem. To potworne! Taki skandal!...

- Mógł pan zaimprovizować.

- Chciałem powiedzieć swój tekst!

- Pan, z taką rutyną, nie mógł jakoś z tego wybrnąć?

Bogusławski ze wstydem spuścił oczy.

- Rzeczywiście niczego nie powiedział? - spytał Woyda zaskoczony.

- Nie - odrzekł młodzieniec.

- Panie Wyszkowski - pytał dalej Woyda - siedział pan dość blisko?

- Blisko. Czemu?

- Może pan Bogusławski dawał komuś szeptem jakieś polecenia...

- Słyszałbym, nie dawał.

Wyszkowski, pomyślał Bogusławski, no tak, też jest Iksem, pracuje w ministerstwie pod Koźmianem.

- Wezwijcie tu suflera - zarządził Woyda. - Jak się nazywa?

- Wąsikowski - powiedział usłużnie Bogusławski. - Mogę też służyć adresem...

Woyda machnął ręką, skinął na jednego żołnierza i wybiegł. W drzwiach zderzył się z kimś, zrobił kilka kroków do tyłu, przepuścił wchodzącego, zsalutował i dopiero wtedy

wyszedł ponownie. We wchodzącym Bogusławski rozpoznał generała Roźnieckiego.

- Kontynuujcie - powiedział generał i zasiadł na trzeszczącym krześle Woydy.

Dopiero teraz Mistrza obleciał strach. Może dlatego, że dowodzący żandarmerią wyglądał zbyt młodo. Roźniecki był po cywilnemu, w nowym eleganckim ubraniu, w ogóle nie wyglądał na zaspanego czy zmęczonego jak inni. Niedbale założył nogę na nogę i rozglądał się z wyraźną drwiną.

Nie widać po nim, pomyślał Bogusławski, że każdej nocy pije, gra w karty, uganiania się za kobietami, bije swoich ordynansów i tak zbiera punkty u Wielkiego Księcia. Jeszcze Węgrzecki opowiadał, że Aleksander oznajmił dwa lata temu, że zreorganizuje żandarmerię carską, opierając się na reformach Roźnieckiego. Węgrzecki mówił wtedy, że Roźniecki kazał zamontować w drzwiach cel więziennych nowe niewielkie wizjery, by osadzeni nawet na chwilę nie mogli poczuć się sami, a znośnej wielkości okna w celach kazał zamurować od dołu, by nie wpadało słońce. Tym wynalazkiem zainteresowano się bardzo za granicą, mówił rozbawiony Węgrzecki.

Od tamtego czasu Roźniecki stał się przyjacielem Nowosilcowa, wkradł się w łaski Arakczejewa, z pomocą Okołowa i dzięki Mojżeszowi Birnbaumowi przechwycił czarny rynek, szybko nadrabiając to, że jeszcze kilka lat temu był tylko szarym adiutantem w sztabie Poniatowskiego.

Roźniecki o nic nie pytał.

- Zaraz przyjdzie sufler - powiedział Wyszkowski. W jego głosie dało się wyczuć niedostrzegalną niemal nutkę antypatii.

Woyda przekazał już generałowi, co wie o Bogusławskim. Roźniecki nic nie mówił, z rozbawieniem przyglądał się kostiumowi i charakterystyce Bogusławskiego.

Mistrz uprzejmie uzupełniał wypowiedzi Woydy.

Roźniecki milczał, Woyda coraz bardziej nerwowo nad czymś się zastanawiał, potem zaczął wypytywać Wyszkowskiego, jakby to on był oskarżony. Początkowo Wyszkowski odpowiadał krótko, w końcu wybuchnął:

- Panie prezydencie, proszę zauważyć, że to nie ja uczestniczyłem w buncie.

- Ja także w niczym nie uczestniczyłem - pośpieszył poinformować Bogusławski.

Dwaj żołnierze wepchnęli szturchańcami przerażonego Wąsikowskiego.

Sufler zaznaczył na wstępie, że wszystko szczegółowo napisze w swoim raporcie, zredagował już nawet pierwsze zdania, kiedy przyszli po niego, wyrwali mu pióro z ręki i wywlekli z domu. Zresztą już w swoim raporcie w południe napisał, że w teatrze panuje atmosfera skandalu, wskazywał także na fakt, że zalecane było zakazanie wszystkich

przedstawię.

Woyda warknął i zaczął wypytywać o wieczór. Wąsikowski potrafił tylko powtarzać, że siedział w kucki w budce suflera, niczego nie widział i zauważył jedynie to, że pan Bogusławski wysypał się w swej roli.

- Czemu mu pan nie podpowiadał?! - zaatakował go Woyda.

- Ależ ja, nieprawdaż, podpowiadałem! - odparł Wąsikowski i prawie się rozplakał. - Ja, nieprawdaż, nawet krzychałem! Natomiast pan Bogusławski przeszedł nad budką i nawet nie mogłem zobaczyć, co robi, widziałem tylko pana Szymanowskiego, nieprawdaż, który patrzył przed siebie i nic nie zrobił. Potwornie było widzieć, nieprawdaż, twarz pana Szymanowskiego... ja to dokładnie opiszę, nieprawdaż, jeszcze nigdy nie widziałem takiej twarzy na scenie, ale ładniej to przedstawię na piśmie, nieprawdaż, niż mówiąc, w tej chwili nie potrafię tego wiarygodnie odmalować... Potem nagle widzowie wdarli się na scenę i wszystko się poplątało.

- Co pan robił? - zapytał Woyda.

Wąsikowski po krótkiej walce duchowej wyznał:

- Schowałem się.

Przesłuchanie trwało do świtu. Po Wąsikowskim wezwano Tobiasza Macrotta, ale golibroda do końca przesiadywał w teatralnej knajpie, tam musiało być spokojniej, przypuszczał Woyda. Dość trudno było przywlec Dmuszewskiego, w domu zabarykadował drzwi szafami i odsunął je dopiero wtedy, gdy żołnierze na zewnątrz zagrozili, że ściągną armatę i rozwalą cały dom. Dmuszewski jękał się i nic nie wiedział. Oznajmił, że jego zdaniem w takiej atmosferze w ogóle nie da się grać, nic więc dziwnego, że Mistrz się pogubił i nie był w stanie kontynuować przedstawienia.

Nad ranem Bogusławski miał okazję ujrzeć także Osińskiego; dyrektor cały drżał, pocił się, wzdygał się na każdy krzyk Woydy; wił się w męczarniach, bo nie było go w teatrze.

- Co z pana za dyrektor?! - wrzeszczał Woyda. - Dzień i noc pańskim miejscem jest teatr!

Blady Osiński milczał jak dzielony obuchem.

Wezwano jeszcze sporo oficerów, którzy podczas spektaklu pełnili służbę na terenie teatru i placu Krasieńskich; starali się jak najwierniej oddać obraz tego, co się wydarzyło.

Rożniecki do końca nie odezwał się ani słowem i najwidoczniej szybko znudził go cały ten cyrk. Bogusławski doszedł do wniosku, że tłum został szybko rozpędzony i triumfalny pochód nie przerodził się w bunt.

W końcu nad ranem Roźniecki przemówił:

- Wszyscy mają iść do domu, stuknięta banda.

Bogusławski również wstał.

- Pan zostaje.

Wszyscy zniknęli, także żołnierze pilnujący drzwi.

- Zaszło mi w gardle - oznajmił Bogusławski, gdy zostali sami.

- Wkrótce będzie pan mógł iść do domu - powiedział Roźniecki i oparł się łokciami o stół. - W każdej chwili mogę pana przymknąć i nie tylko krewni nie będą wiedzieli, w jakich kazamatach pan siedzi, ale nawet sam pan minister spraw wewnętrznych. Łatwo dziś zatrzeć ślady po człowieku. Ale ja mam duszę humanisty. Za dobry uczynek oczekuję dobra. Każę teraz przymknąć paru ludzi, niech potem spróbują mi udowodnić, że wcale nie byli w teatrze. W zamian obronię pana przed Iksami. Iksowie szybko pójdą do wszystkich diabłów, do tego czasu liczę na pana.

- W czym mogę pomóc?

- Niech pan gra i szczuje przeciw Iksom.

- Mogę grać?

- Nie mam nic przeciwko temu.

Bogusławski odetchnął.

- Zrobimy w teatrze nową radę dyrektorów - powiedział Roźniecki. - Chce pan w niej być?

Bogusławski przytaknął.

- No, to się dogadaliśmy.

Mistrz patrzył niepewnie na generała.

- Może pan iść.

Dwóch żołnierzy odprowadziło Bogusławskiego do bramy. Okazało się, że trzymano go w budynku wewnętrznym przeznaczonym przez Łanskoja na komendanturę miejską. Kiedy żelazna brama zamknęła się za nim z hukiem, długo jeszcze stał w miejscu, w kostiumie starego Horacjusza, i skubał przyklejone wąsy i brodę.

Teraz zaczyna się nowy, wielki okres w jego życiu.

Fiszer, którego w nocy zatrzymano chyba z setką innych, po wypuszczeniu poleciał w południe do teatru i wypytywał o Mistrza. Rozchodziły się niesamowite plotki; opowiadano o zgwałconych staruszkach i rozochoconych starcach, którzy w tłumie, pod płaszczykiem rewolucji, uwodzili nieletnie dziewczęta i młodych chłopców; w każdej przełomowej dla historii chwili od tego się zaczyna, dowodził Żółkowski, ale co się dzieje z Bogusławskim,

nawet on wie tylko z drugiej ręki. Dopiero od Heleny Fiszer dowiedział się, że Mistrz jeszcze nad ranem wrócił do domu cały i zdrowy. Helena w nocy wyruszyła z odchodzącą od zmysłów Marianną szukać Bogusławskiego, godzinami biegały między teatrem, więzieniem, pałacem Mostowskich i domem Nacewicza; wielu panów składało nam określone propozycje, dodała zalotnie Helena.

- No, a potem odprowadziłam Mariannę do domu - powiedziała - a tam to dopiero było!... Masa wozów przed bramą, tłumy, demonstranci... Wtedy już świtało... Marianna otworzyła bramę, nie powinna, wszyscy włąli się do środka... Było ich chyba ze stu, może stu pięćdziesięciu...

- Połowa to szpicle, co?

- Z pewnością. Było okropnie zabawnie... Zwłaszcza wtedy, gdy przyszedł Mistrz, w kostiumie Horacjusza, więc od razu Malinowski padł mu do nóg, złapał zębami rąbek kostiumu i krzyczał, no, co krzyczał Malinowski? Krzyczał, uważaj, „Mistrzu, o Mistrzu!”. Tak krzyczał Malinowski. Potem Mistrz wyrwał ten rąbek. Wszyscy wisieli mu na szyi, wreszcie biedna Marianna, piszcząc, drapiąc i gryząc, wyrwała go, zawlokła po schodach na górę i wtedy Mistrz się położył, trzeba było przychodzić do niego pojedynczo, leżał na łóżku w kostiumie Horacjusza, nie miał tylko wąsów ani brody, leżał jak trup i każdy do niego podchodził, jak w mauzoleum. Myślę, że Mistrz sobie spał... Na dole Wolski powiedział, że Aleksander z pewnością przyłączy Litwę, mówiono różne rzeczy, Dmuszewski był zaskoczony, że jeszcze widzi Mistrza przy życiu, stracił już nadzieję, i przyniósł mu swój testament, pisał go w nocy, kiedy myślał, że go wykończą, więc przyniósł go do Mistrza, kazał nam podpisać, byłam jednym ze świadków, cały majątek zapisał Stanisławowi... wiesz, synowi Mistrza z Dmuszewską...

- Wiem. No i?

- Czy to nie dobre? Zabiera testament do Mistrza, bo tam będzie bezpieczniej... Aha, Marianna dała Dmuszewskiemu wódki, żeby już tak nie dygotał, nie wiem, skąd ją wzięła, do tego czasu wszystko już wywrócili do góry nogami i wyjedli całą spiżarnię... Było ich coraz więcej, przychodzili studenci, mieszcuchy, wyobraź sobie, był też Mauersberger... chciał wejść na górę do Mistrza, ale każdemu stawał na drodze Malinowski, można było wchodzić tylko pojedynczo, Malinowski wymachiwał szablą, może był to rekwizyt, Mauersberger krzyczał, że jest prezesem Panta Koina...

- Rany boskie! - Fiszer złapał się za głowę - Zwariował! Na pewno wszyscy byli szpiclami, a ten krzyczy!

- Bardzo przepraszam, ja, rzecz jasna, nie byłam szpiclem - zauważyła Helena. -

Wiesz, kto z nim był? Zan, z Wilna.

- Gdzie mieszka? - zapytał Fiszer.

- Skąd mam wiedzieć?

- Czemu go nie spytałaś, ty idiotko. - Fiszer znów złapał się za głowę.

- Bo nie dostałam od ciebie upoważnienia - powiedziała Helena.

- I co było potem?

- Mauersberger wołał, że Zan jest jego przyjacielem, właśnie przyjechał z Wilna, musi rozmawiać z Mistrzem, bo do jutra mogą go zamknąć, na co Malinowski powiedział, że żałuje, ale jemu to nawet Wielki Książę może skoczyć.

- Jezus Maria - powiedział Fiszer.

- No i wtedy się rozeszło, że na dworze stoją rysownicy, trzech, i każdego, kto wchodzi albo wychodzi, szkicują, więc wszyscy, wychodząc, mają odwracać twarze... oczywiście nikogo tam nie było. Była masa takich, co to rzekomo otrzymali od Mistrza niezwykle ważną tajną misję, że mają zrobić to i to, był jeden taki długi, szczupły głupek, stanął na krześle i przemawiał w imieniu Mistrza, kompletny wariat, tymczasem wszyscy czekali, kiedy pojawią się żandarmi, i latali za drzwiami i z powrotem, i mówili, że jeszcze ich nie ma, zupełnie jak w szkole. Moim zdaniem bardzo by się ucieszyli, gdyby przyszli, wtedy by było widać, jacy to oni ważni, nie? A że nie przyszli, pojawiły się głosy, że trzeba pójść gdzie indziej, tam gdzie są żandarmi, bo tam wybuchło powstanie i po co mają tracić czas przy jakimś aktorze. Studenci zaczęli tworzyć programy, wszelkiej maści jakobinizmy... Aha, ten tyczkowany na krześle krzyczał, że Mistrz przejął naczelne dowództwo, dopóki nie nadejdzie Kościuszko, i wyznaczył na arsenał dwa domki przy wejściu do ogrodu... Wtedy Dmuszewski wyleciał z domu, by prosić Osińskiego o wsparcie, gdyż bał się o Mistrza...

- A on co robił?

- Myślę, że spał. Nie wiem, nie dostałam się do niego, trzeba było stać w kolejce. Potem była bijatyka. Skoczyli na siebie z nożami i widelcami... Studenci i mieszczychy... Z powodu jakiejś sprawy politycznej. Wrzeszczeli na siebie, że ci drudzy to najemnicy Rosjan i temu podobne rzeczy. Ale kobiet nie bili. Za to oderwali nogi od stołu i rozbili wszystkie słoiki z przetworami. No i wtedy pojawił się Mistrz, stał na piętrze, Malinowski prosił, by się wreszcie zamknęli, będzie mówić Mistrz... I zrobiło się cicho... Mistrz stał, bardzo dobrze wyglądał, chociaż nie miał już wąsów ani brody, wyciągnął ręce... jak papież, by udzielić błogosławieństwa... Wyglądało prawie tak samo jak na scenie, gdy milczał, bo i teraz milczał... Bardzo zabawne, wiedziałam, że blefuje, ale i tak przeszły mnie ciarki.

Helena umilkła.

- I? I co? - zapytał Fiszer.

- I potem - zaśmiała się Helena - Mistrz powiedział coś takiego: „Idźcie do domu, moje dzieci, i czekajcie, bo już niedługo trwać będzie nasza bieda, niech was Bóg błogosławi”.

Fiszer roześmiał się.

- Potem - dodała wesoło Helena - wrócił do swego pokoju. Całe bractwo było mocno podłamane. Nawet się już potem nie bili, każdy grzecznie ruszył do domu, przecież Mistrz ogłosił im taką nowinę. Ja jeszcze zostałam, pomogłam Mariannie wymieść skorupy, a Mistrz spał. I to tyle. Kiedy wychodziłam, koło domu nie było nikogo. To i tak lepiej, niż gdyby mieli go powiesić.

Potem Helena zapytała Fiszera, z kim go zamknęli, Fiszer w skrócie opowiedział. Spotkał się z różnymi dziwakami, ciekawe, to też zawdzięcza Mistrzowi, bo gdyby Mistrz nie wywołał skandalu, nigdy w życiu nie zetknąłby się z takimi zadziwiającymi figurami.

- Jakimi? - zacięła się Helena.

- Kiedyś ci opowiem - powiedział Fiszer. - A Ledóchowska gdzie jest?

- Nie jestem jej niańką - oświadczyła poczerwieniała Helena.

Kiedy Marianna zamknęła bramę na kłódkę i popłakiwała w kuchni, Bogusławski tak od razu nie zasnął, bo z szafy wyszedł jakiś kapitan, wyjąkał przeprasząco, że ukrył się wcześniej w wychodku i przeprosza Mistrza za zapach.

Bogusławski leżał wyciągnięty na łóżku i jęczał.

- Mistrzu - powiedział kapitan, a oczy płonęły mu w szczupłej twarzy. - W przyszłości niech pan nie chodzi do łoża Edenu.

- Nigdzie nie chodzę - mruknął Bogusławski i rozejrzył się, czy nie ma w pobliżu pogrzebacza.

- Tylko łoża Braci Polskich Zjednoczonych jest prawdziwa - powiedział oficer. - Tam chodzi wojsko! Jestem kapitan Skrobecki...

- Wojciech Bogusławski - przedstawił się na leżąco Mistrz - cywil.

- To nieistotne! - rzucił ostro Skrobecki. - Jest wręcz pożądane, by również cywile byli wśród nas!

Rozejrzył się i kontynuował szeptem:

- Jak tylko mały Aleksander podrośnie... za dziesięć lat... ukoronujemy go na króla!

- Kogo?

- No, Aleksandra... teraz ma sześć lat... syna hrabiny Walewskiej...

Bogusławski uznał za konieczne zaznaczyć, że wszelkie kombinacje związane

z synem Napoleona z nieprawego łoża pozbawione są realizmu.

- Kto wie - uśmiechnął się zagadkowo Skrobecki; na jego czole błyszczały mało gustowne kropelki potu. - „Polskę można przyjąć od kogokolwiek, kto daje ją szczerze”.

- Znam - powiedział znużony Bogusławski. - Lata temu powiedział to Matuszewicz.

- Imperium rosyjskie - szepnął rozogniony Skrobecki - wkrótce upadnie!

Bogusławski słuchał z kamienną twarzą.

Dowiedział się, że Francuzi, którzy znów się zbuntują, zwiążą się z Austrią; Turcy najadą na nieckę Karpat oraz Ukrainę i dojdą do Krakowa; Hiszpanie zajmą Paryż; powstanie nowe mocarstwo, Stany Zjednoczone Włoch, Niemiec i Wielkopolski; Anglia nie będzie się wtrącać, będzie się bała, dlatego nie należy się obawiać, że zechce wziąć odwet za odrzucenie obrządku szkockiego.

Przyłączenie się do Związku Celnego. Razem z karbonariuszami. Moskiewski patriarcha Serafim jest nasz. Próżno Petersburg liczy, że Kapodistrias zorganizuje Hetairię przeciw Turkom, ma tajny układ z Canningiem, na dany znak najadą Petersburg...

- Kto to jest ten Canning? - spytał zaciekawiony Bogusławski.

Skrobecki z trudem łapał powietrze.

- Angielski minister spraw zagranicznych!

- Ach tak - powiedział Bogusławski.

Najwyraźniej sprawa była bardzo ważna, bo Skrobecki resztką sił wezwał Mistrza do zachowania tego w absolutnej tajemnicy i wymknął się z pokoju.

Ma suchoty, pomyślał Bogusławski.

Przespał ciurkiem dwadzieścia godzin, Marianna co godzinę zaglądała do niego sprawdzić, czy nadal oddycha. Dopiero następnego dnia po południu zaczął wracać do życia, gdy zjawili się Żółkowski z Dmuszewskim i Werowskim. Przynieśli najgorętsze pozdrowienia od wszystkich. Dlatego tylko oni, że ich wydelegowano, bo teraz i tak można chodzić po ulicy najwyżej we trójkę. Wieczorem i w nocy były aresztowania, ale z teatru nikogo nie zabrano. A właściwie to jednego Świerczyńskiego, odpowiedzialnego za łoże, biedaczysko. Ale za co, nie wiadomo.

- Prędzej czy później go puszczą - uważał Żółkowski. - Zrobili to dla przykładu.

Na tablicy prób Osiński zakomunikował, że dzięki zwiększonej subwencji rządu wszystkim może o dwadzieścia procent podnieść gąże i uposażenia.

Tak więc Mistrz milczał nie na próżno.

Bogusławski patrzył na nich z dość tępą miną. Ocucili go przeczytaniem nowych polemik na temat *Horacjuszy*, nie było w nich słowa o skandalu i milczeniu, milczenie też

można przemilczeć, zauważył Żółkowski. Kto nie był w Warszawie, może sądzić, że nic się nie wydarzyło. Z pseudonimów również nie można było niczego wykombinować: pisał pewien pan J.K., pewien pan + + + +, następnie pan Feliks N., ostatni tekst był autorstwa pana J. Prawdzisława. Nie napisano nazwiska żadnego aktora, nikogo nie atakowano ani nie broniono, nawet pana Iksa; nudnymi zwrotami, w napuszonych zdaniach roztrząsano charakterystyczne cechy dramatów Corneille'a oraz sugerowano, że aktorzy Teatru Narodowego powinni mówić bardziej melodyjnie i jeszcze bardziej uszlachetnić swoje gesty.

Potem goście złożyli sprawozdanie z posiedzenia rady dyrektorów, które odbyło się rano. Bogusławski nadstawił uszu.

- Że co?

- Zebrała się rada dyrektorów.

Mistrz słuchał, ciągle jeszcze zamroczony. Jak możliwe, że go nie zaproszono? Przecież Roźniecki mu to przyrzekł.

Przed posiedzeniem rady krążyły pogłoski, że odprawią Osińskiego, rząd odkupi teatr i wyznaczy komisarza. Zdaniem Żółkowskiego nie byłoby to dobre, z pewnością wsadzono by im na kark jakiegoś szarego, pozbawionego charakteru i potakującego czynownika, a historia powszechna pełna jest przykładów, jak z takich zer rodzą się najznakomitsi kaci.

- I co? - zapytał Bogusławski.

- Lipiński płakał. Coś nawet powiedział, ale co, tego nie udało się usłyszeć.

- No i odprawiono Osińskiego?

- Nie - powiedział Werowski.

- Teatr Narodowy jest jak Polska - stwierdził Żółkowski. - Kupić nie warto, ale jeszcze bardziej rozwalić to tak.

Podobno Niemcewicz ostro zganił teatr za brak odpowiedzialności. Nazwisk nie wymienił.

- Osiński o mało nie zemdleł - opowiadał Dmuszewski - kiedy Zawadzki krzyknął, że „nawet w czasach pokoju teatr jest linią frontu”.

- Jak Zawadzki się tam znalazł? - zapytał Mistrz.

- Jego również zaproszono - powiedział Werowski. - Mnie zresztą też.

- Później mówił Kostka Potocki. Ależ nie, przed nim jeszcze zabrał głos Wyszkowski.

- Wyszkowski to który? - spytał Werowski.

- No, ten, co siedział obok Szaniawskiego - odparł Dmuszewski.

- Ach ten! - powiedział Werowski.

- A co powiedział Osiński? - spytał Mistrz.

Żółkowski zaczął naśladować głos i sposób mówienia Osińskiego:

- Pewne siły... ehm... przeszkodziły mi w tym, by... ehm... panu, ze względu na jego chorobę, bym mógł się uwolnić... ehm... z powodu... od zarzutu wczorajszego skandalu... ehm... pan Niemcewicz jest świadkiem, że niezliczoną ilość razy proponowałem Iksom, ażeby, ehm... niestety, moja przezorność nic nie dała, ehm...

- Tak - powiedział Dmuszewski. - Mówił coś takiego.

- Skąd pan Żółkowski wie, co powiedział pan Osiński? - spytał, blednąc, Werowski. - Przecież nie było pana na posiedzeniu!

- Bo co? - odparł obrażony Żółkowski. - Powiedział to, czy tego nie powiedział?

Bogusławski zaśmiał się.

- Ale przecież pana tam nie było! - powtórzył Werowski.

- Nie? - zapytał Żółkowski i zaczął się zastanawiać.

Werowski niepewnie spojrzał na Dmuszewskiego.

Mistrz znów się zaśmiał.

- Będzie mnóstwo reform - powiedział Dmuszewski, po którym nie było już widać, że jego testament leży w pokoju Mistrza. - Do rady dyrektorów dostał się Elsner, a wypadł Zawadzki; ponadto dostali się Wyszkowski, Szaniawski i Koźmian... którego zresztą tam nie było. Mówiono o wyższej dotacji. Osińskiemu Niemcewicz powiedział otwarcie, że odbiorą mu prawo doboru sztuk... Wydaje mi się - dodał optymistycznie - że mamy przed sobą lepsze czasy.

Zaczęli się zbierać do wyjścia. Bogusławski zrobił się nerwowy.

- Co będzie z *Horacjuszami*? - zapytał.

- Nie sędzę, byśmy ich grali - powiedział zmieszany Dmuszewski.

Zapadła cisza.

- Co prawda nie byłem na posiedzeniu - powiedział Żółkowski, spoglądając na kolegów z lekką pogardą - ale słyszałem, że ponoć rozprawiono się z Mistrzem.

- Ze mną?

Dmuszewski z rozpaczy zaczął się jękać:

- Ja, Mistrzu, głosowałem przeciw, ale ich było więcej... Zawieszono Mistrzowi prawo do grania... na czas nieokreślony... więc nie definitywnie, Mistrzu, tylko dopóki nie przygaśnie ta atmosfera... to znaczy skandal... Jest całkiem pewne, że potem... Krótko mówiąc, wysłano nas po to, żebyśmy Mistrzowi powiedzieli...

Bogusławski milczał przez chwilę, po czym odezwał się:

- Macie źle w głowie, moje dzieci, marnujecie tu czas z przegranym człowiekiem.

Dmuszewski go przeprosił, Werowski i Żółkowski nie powiedzieli nic. Potem smętnie wyszli z pokoju.

Kiedy Marianna niosła na górę ciasto, schodzili już na dół.

Bogusławski zaczął się ubierać.

- Nie wiedzą - mruknął. - Jeszcze nie wiedzą.

- Czego? - spytała Marianna.

Nie odpowiedział.

Wyszedł pośpiesznie z domu, Marianna za nim, pełna złych przeczuc. W okolicach teatru snuli się agenci, Mistrz, nie przejmując się nimi, szedł długimi krokami, Marianna żwawo podążała za nim. W połowie placu, jeszcze dość daleko od teatru, Bogusławski przystanął. Uzmysłował sobie, że nie wie, co powinien zrobić.

Marianna tkwiła obok niego, nie rozumiejąc, dlaczego nie idą do teatru.

- Chodźmy do domu - zaproponowała po chwili bojaźliwie.

Bogusławski zwiesił głowę.

Padł na łóżko, przez tydzień leżał z wysoką gorączką. Marianna nie wiedziała, czy rzeczywiście jest chory, czy tylko wczuwa się w rolę chorego człowieka. Zdaniem lekarza Mistrza bardzo wyczerpały emocje, zalecił mu odpoczynek i na wszelki wypadek zapisał horrendalnie drogi zagraniczny lek. Marianna uganiała się za nim kilka dni; przynajmniej nie było jej w domu i nie musiała wysłuchiwać żalonych jęków Mistrza. Lekarstwo wcale nie pomogło, ale Marianna trochę się uspokoiła - zrobiła, co mogła. Lekarz sporo kosztował, zapożyczyła się u Dmuszewskiego i Żółkowskiego. Od Szymanowskiego też chciała pożyczyć, ale ten również wylądował w łóżku i nie przychodził do teatru.

Kilka dni później Bogusławski zaczął się złościć, że nawet pies z kulawą nogą go nie odwiedza, i Mariannie poprawił się humor - była to oznaka poprawy zdrowia. Mistrz postanowił, że za jednym zamachem wykuruje sobie także ucho i zachowujący się krnąbrnie brzuch. Znowu przyszedł lekarz, niski, krępy, wiecznie uśmiechnięty jegomość o czerwonej twarzy, i wymknęło mu się, że osłabienie słuchu to kwestia wieku. Bogusławski wrzasnął i wywijając miotłą, przepędził przerażonego lekarza, słał przy tym obietnice, że jeśli kiedykolwiek jeszcze go zobaczy, obietnie mu uszy. Tego wieczoru Marianna poszła w tajemnicy do lekarza, by mu zapłacić, ale ten nie odważył się wpuścić jej do domu.

Gorączka powoli spadała, ale teraz Mistrzowi dzwoniło już w obu uszach. Spędzał całe godziny na eksperymentowaniu: zasłaniał to jedno, to drugie ucho, badając, na które lepiej słyszy. Ganiał Mariannę z kąta w kąt pokoju i kazał jej raz krzyczeć, innym razem szeptać; odmierzał krokami odległość i zastanawiał się, jak będzie słyszeć na scenie. Potem

oświadczył, iż potrzebny mu najlepszy lekarz w Warszawie, Czekiński.

- Będzie sporo kosztować - szepnęła Marianna z najodleglejszego kąta pokoju.

Bogusławski usłyszał i ucieszył się.

- Pieniądze nie grają roli - machnął ręką. - Wszystkie wydatki mi pokryją.

- Kto, na miłość boską?

- Moi protektorzy. - Mistrz uśmiechnął się tajemniczo.

Marianna w sekrecie poprosiła Rozalię i Ignacego o pieniądze i kazała im przysiąc na wszystkie świętości, że nie powiedzą o tym Bogusławskiemu.

- No widzisz - powiedział Mistrz, kiedy oznajmiła, że przyjdzie Czekiński - jednak mam protektorów, ale ty nigdy we mnie nie wierzyłaś.

Czekiński zrobił swoje w sposób zdecydowany i świadczący o znajomości rzeczy. Znalazł osobliwą, charakterystyczną tylko dla aktorów i w zasadzie niegroźną chorobę uszu, której przyczyną jest drganie struny wydającej głos wewnątrz czaszki; powoduje to przejściowe dudnienie, ale da się wyleczyć, potrzebna jest tylko cierpliwość i oczywiście trzeba systematycznie zażywać proszki.

- Kiedy zacznę słyszeć? - zapytał Bogusławski.

- Za dwa, trzy miesiące.

- To za długo. Wcześniej też będę grać... muszę słyszeć swoich partnerów!

- Drogi panie - powiedział Czekiński urażony. - Jeśli to za długo, niech się pan zwróci do felczera.

Mistrz spokorniał i wyjęczał, że to dla niego bardzo ważne, gdyż w bieżącym sezonie czekają go jeszcze wielkie role.

- Spokojny tryb życia - zalecił surowo Czekiński. - Bo inaczej krew zgęstnieje w uchu i usztywni młoteczek. Jeśli młoteczek, mój panie, raz zdrętwieje!... - urwał.

Mistrz wyobraził sobie z przerażeniem, że może mu zdrętwieć młoteczek.

Czekiński przepisał mu ten sam nieskuteczny proszek, co poprzedni lekarz, ale zażyczył sobie więcej za wizytę, dzięki czemu Mistrz się uspokoił i odzyskał dobry nastrój.

Od tej pory jeszcze bardziej dbał o to, by nikt go nie odwiedzał. Marianna miała już przygotowaną odpowiedź: owszem, przychodzili, ale ona przepędzała wszystkich, gdyż Mistrz musi dużo odpoczywać.

Bogusławski zbeształ ją i był zadowolony.

Gazety znów pojawiały się dwa razy w tygodniu, nie zamieszczano w nich recenzji teatralnych. Marianna przyniosła wiadomość, że były nowe aresztowania i oficjalnie wprowadzono cenzurę; ponoć najpierw Koźmianowi zaproponowano godność głównego

cenzora za trzydzieści tysięcy franków rocznie; Koźmian się nie zgodził - zdaniem Żółkowskiego chciał wydebić więcej - więc zaproponowano to Szaniawskiemu, który wyraził zgodę.

- Rozalia opowiadała - zdawała relację Marianna - że Kostka Potocki nie chciał podpisać ustawy o cenzurze, udał chorobę, i podpisał ją Staszic... W senacie jest zabawnie, Niemojowski zgłasza weto, generał Morawski domaga się śledztwa...

- Tylko nie łaż do Rozalii - odparł na to Mistrz.

O teatrze nie chciał słyszeć. Kiedy już minęła gorączka, przeczesał kufry, przebierając między sztukami i rolami. Jak powiedział, to on będzie wkrótce dyktował, co ma być w teatrze, więc chce się dobrze przygotować.

Co jakiś czas pytał, czy nie przyszedł do niego list albo jakiś posłaniec.

- Nie - mówiła Marianna.

- W porządku - odpowiadał na to Bogusławski. - To oznacza, że sprawy dobrze idą.

- Jakie sprawy?

Mistrz uśmiechnął się tajemniczo.

Marianna poprosiła w teatrze, by od czasu do czasu odwiedzali Mistrza. W końcu przyszła Ledóchowska, ale nie sama: był z nią Werowski.

Zobaczywszy Ledóchowską, Mistrz poweselał, na widok Werowskiego opadł z sił i uznał, że będzie lepiej, jeśli znów się położy i pozwoli uzalać się nad sobą.

Werowski z głębokim szacunkiem, odklepując wyuczony wcześniej tekst, zapewnił Mistrza, że listu z wypowiedzeniem nie należy brać poważnie, w teatrze zapanowało wielkie oburzenie...

- List z wypowiedzeniem? - zapytał Mistrz.

Zapadła przykra cisza, Bogusławski zrozumiał, że go wywalili, ale Marianna to ukryła. Uśmiechnął się ironicznie i machnął ręką:

- Będzie wisiał w moim dyrektorskim gabinecie.

Roześmiali się. Marianna zbiegła do kuchni, by naprędce przygotować jakieś ciasto.

Bogusławski obserwował tę niepasującą do siebie parę, potem zaczął wypytywać Werowskiego o zdrowie jego miłej żony i młodego przychówku.

Werowski podziękował, mają się dobrze.

Ledóchowska szybko zeszła pomóc Mariannie, zaparzyć herbatę albo coś takiego, powiedziała. Werowski został sam z Mistrzem, który nie wszczynał rozmowy. Z radością przyglądał się temu chwackiemu mężczyźnie - zaczął już lekko tyć, a na czole spod rzednących włosów widać było podejrzane plamki - jak przybity chodzi po pokoju, przegląda

książki tak samo jak Aszperger, a od czasu do czasu mruczy do siebie: tak, tę też mam.

Werowski dostrzegł, że Mistrz uważnie go obserwuje, jak reżyser, sprawdzający, czy dobrze odgrywa rolę, więc się odwrócił i bez zapowiedzi zaczął mówić ze współczuciem o sytuacji biednej Ledóchowskiej; to było straszne, gdy po *Atalii* stała na korytarzu i nikt do niej nie podszedł, tylko on, Werowski; oczywiście obojętność innych jest częściowo zrozumiała, przecież wtedy Szymanowski pobił się z synem, to też jest straszne, żeby syn tak bardzo różnił się od ojca, biedny Marcin.

- No tak - uzalił się nad nim Mistrz.

Ledóchowska wróciła z herbatą i zaczęła opowiadać o Karlsbadzie. Jakżeż się rozkoszowała byciem z dala od tego wszystkiego! Spacerowała incognito wśród wypucowanych dekoracji, gdzie wszystko tchnie ceremonialnym wręcz spokojem, czas płynie niepostrzeżenie, zniknęła historia, wszyscy podnoszą do ust dzbanuszki z dziobkiem dokładnie takim samym gestem, charakterystycznym dla tego miejsca, jakim prawdopodobnie robili to dziesiątki lat temu i jaki zapewne nawet za kilkaset lat będzie dokładnie taki sam. Woda zdrojowa jest bezwartościowa, nie pomaga, ale też nie może zaszkodzić, to wspaniałe. A dopóki człowiek ma pieniądze, bardzo go szanują, nie obchodzi ich pochodzenie jego majątku; nie liczy się ranga ani rodowód, a kto jest tam już jakiś czas, dostaje się do kręgu tych, którzy mogą obgadywać nowo przybyłych; po paru tygodniach traktowany jest jak prawdziwy stały bywalec, a kelnerzy, pokojówki i sprzedawcy darzą go pełnym zaufaniem i opowiadają plotki o innych.

- Ciekawe - zakończyła swą opowieść - że z tego wszystkiego z czasem nic nie zostaje.

Bogusławski milczał, Werowski gorliwie przytakiwał i wdał się w szczegółową analizę dziwnych relacji między swymi snami a życiem na jawie.

Potem znów zamilkli, po chwili Ledóchowska spytała, czy to nie będzie zdrada, jeśli w takich okolicznościach nadal będzie występować.

- W jakich okolicznościach? - zainteresował się Bogusławski.

- No, ze względu na śmierć Kratzera... oraz na to, że Mistrz w obecnej chwili na razie nie...

Bogusławski nie wytrzymał.

- Jest pani aktorką czy nie? Pani sprawą jest grać! Kim jest ten durny osioł, który wbił to pani w głowę?

W tej sytuacji było jasne, o kim mowa, Bogusławski nie patrzył na Werowskiego i mówił dalej:

- Oni wszyscy chcą człowieka nagiąć do swojego poziomu, Trusiu. Niech pani się nie daje. Miała pani znakomity instynkt, niech pani go strzeże, bardzo panią proszę!

Ledóchowska zamieszała herbatę, upiła trochę. Potem poskarżyła się, że jej matka, choć zdaniem lekarzy wszystko w porządku, jest umierająca.

- Właśnie - włączył się Werowski. - Biedaczka jest w złym stanie, dwukrotnie osobiście czuwałem przy jej łóżku.

- Moje dzieci - powiedział Bogusławski. - Jeśli kiedyś definitywnie nie będę mógł grać, przez dziesiątki lat będę tak samo umierający jak Truskolaska.

Ledóchowska roześmiała się i westchnęła. Mistrz wygramolił się z łóżka i złapał ją za rękę:

- Prawda, że teraz pani nie ucieknie, Trusiu?

Spuściła głowę.

- Jeśli mi pani pomoże, będę robić to, co dwadzieścia lat temu zacząłem we Lwowie... Pani wtedy nie mogła o tym słyszeć, bo nie było jeszcze Iksów, którzy mogliby uczynić przedstawienia nieśmiertelnymi... A kiedy wróciłem do Warszawy, nie mogłem tego kontynuować, musiałem grać to, na co przychodzi publiczność... Wie pani, co robiłem we Lwowie? W parku Jabłonowskich urządziłem amfiteatr pod gołym niebem, scena wychodziła na wschód, mogło się zmieścić trzy tysiące widzów, po trzech spektaklach zwróciły się koszty amfiteatru, a nawet renowacji niemieckiego i polskiego teatru... Tam grałem *Iskahara*!

- Kogo? - zapytał Werowski.

Bogusławski puścił rękę Ledóchowskiej.

- *Iskahara* - powtórzył nieco zdeprimowany. - To była opera o zagładzie Indian. To grałem we Lwowie, mój królu, wojsko austriackie dało proch na fajerwerki, wycisnąłem z nich pieniądze, ale to takie... z całej Ukrainy ściągano dla mnie najlepszych muzyków, a podczas spektaklu spalaliśmy wiele cetnarów kadzidła... Rozpoczynaliśmy nocą, mój królu, a pod koniec przedstawienia nad sceną pojawiało się słońce, płonące czerwienią słońce, bo i słońce kazałam zamówić! Hiszpańskich zaborców grali austriaccy żołnierze, a nieszczęsnych Indian polscy aktorzy i czy pan wierzy, mój królu: na widowni Austriacy i Żydzi wspólnie z Polakami szlochali, gdy wstawał dzień! - Teraz już Bogusławski krzychał: - A zimą przykryliśmy amfiteatr, wystawiliśmy *Hamleta* z dwustoma statystami, pod koniec sztuki rozsunąłem dach i przy ostatnich słowach Hamleta „reszta jest milczeniem” na trupy padał śnieg, śnieg padał na widzów, to był prawdziwy śnieg, mój królu, i wdarło się przejmujące zimno! To był teatr, mój królu, a nie to rozlazłe bagno, w którym wyrosli warszawscy aktorzy!

Zakaszłał, machnął ręką i kiedy się już wykaszłał, dodał ze zdziwieniem:

- Dwadzieścia lat temu.

Marianna przyszła z kuchni i postawiła przed nimi ciasto.

- Przez rok zgromadzę tyle pieniędzy, Trusiu - powiedział Bogusławski z głębokim przekonaniem - że w ciągu kilku miesięcy będziemy mogli postawić amfiteatr. Zmieści się w nim cztery tysiące widzów. Wszystko przemyślałem, to się uda! Będzie tam wszystko, co człowiek może poczuć zmysłami, będzie widowisko, muzyka, ogromne efekty towarzyszące, pokażę bitwy morskie, jak kiedyś w Rzymie, będą rozpadające się zamki i wyrastające z niczego góry, co najmniej cztery zapadnie... i przepędzimy tę całą nudną, głupawą literaturę! I nie będę politykować, sram już na te małostkowe przepychanki wokół pustych garnków, co mi do tego, błędem było wszystko, co robię w kółko od dwudziestu lat... U mnie pojawią się bogowie, herosi, duchy i zwierzęta, będą chodzić lasy, będą się rodzić i umierać gwiazdy, będzie pospolita wrzawa i subtelny trel fletu, wszystko będzie razem, w jednej chwili, to będzie orgia, bezkształtna, tandetna i fantastyczna... będę pierwszy na świecie, Trusiu, który da po głowie widzowi! Do tej pory niczego nie napisano! To, co do tej pory nawet najlepsi wynieśli z teatru, to dziecinne gaworzenie! Stawiam tu pierwsze kroki, Trusiu, dopiero zaczynam, a rozpoczniemy od tego, że odrzucimy naszą wiedzę, zdamy się na instynkt, jedynie on jest nieomylny... Już czuję zapach, smak nadchodzącego renesansu... nie jest już daleko... zrobimy go my, Trusiu!

Opadł z sił, znów zaczął kaszleć. Zdezorientowany Werowski mieszał jego herbatę, Ledóchowska starała się nie wybuchnąć płaczem, Marianna czekała na okazję, by wmusić w Mistrza porcję cudownego proszku. Bogusławski kilka razy odchrząknął, po czym powiedział:

- Niezły mały monolog, co? Potem włączymy go do jakiejś sztuki.

Tej nocy Ledóchowska wyrzuciła Werowskiego i skleiła długi list do Mistrza: w Karlsbadzie postanowiła, że od tej pory będzie występować jedynie w rolach matek i nigdy więcej nie będzie udawać młodszej, niż jest. Po chwili jednak pióro odmówiło jej posłuszeństwa, trzeba je było zbyt często maczać w kałamarzu, nie zdołała napisać „w rolach matek”; jeśli napisze, sprawa będzie już na pewno skończona, a kto wie, może jest jeszcze trochę czasu, może da się to nieco odroczyć. Później podarła brudnopis, zamiast tego napisała karteczkę do Werowskiego: przeprasza go, ale przecież tak niedelikatnie dał Mistrzowi do zrozumienia, że Osiński dał mu wymówienie.

- Oni są teraz razem? - spytała później Marianna, raczej w trybie oznajmującym.

Bogusławski wrzucił ramionami.

- Głupi, żonaty facet - powiedział. - Jedyńm plusem jest to, że ona nie musi za niego wychodzić.

Następnego dnia polecił Mariannie, by poszła do Glücksberga i nakłoniła go, aby podjął się uporządkowania całej tej sterty postrzępionych kartek i zbierania subskrybentów. On nie ma teraz na to czasu, musi zaplanować przyszłą politykę teatru.

Marianna nic nie odpowiedziała.

Bogusławski doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli napisze list do Roźnieckiego; nie jest pewne, czy przyjąłby go osobiście. Krótki list redagował godzinami, wielokrotnie miał, poprawiał, czasem znajdował go zbyt uniżonym, czasem nadmiernie roszczeniowym. Trzeba pisać krótko, w takich miejscach nie czyta się długich listów. Trzeba tak polecić swoje usługi, by nikt poza Roźnieckim tego nie rozumiał, inaczej wykorzystają to przeciwko niemu. I powinien dyskretnie podkreślić, że nie zamierza być po prostu aktorem, tylko kimś w rodzaju francuskiego intendenta za czasów monarchii.

Kiedyś przez tyle czasu potrafił zaimprovizować cały akt sztuki.

Powoli zaczął rozumieć, czemu się nad tym tak długo męczy: nie zna Roźnieckiego, nie może się oprzeć na słabych punktach jego charakteru. W końcu wyczelował sformułowania w grzecznie nic niemówiącym liście i obracał go w rękach z niezadowoleniem. Nie jest wcale pewne, czy ponaganie takiego łajdaka ma sens. Należałoby poczekać, aż sam się zgłosi.

Ale czy w ogóle się zgłosi?

Może mu wystarcza, że Iksowie nie mogą już więcej pisać recenzji.

Potem jednak mimo wszystko wysłał list.

Dwa dni ożywiała go myśl, że oto Roźniecki dostaje list, a potem go czyta; trzeba czasu, nim podyktuje lub załatwi odpowiedź. Trzeciego dnia zdał się na dzień czwarty, a czwartego na piąty.

Wtedy napisał kolejny list, powołując się na poprzedni.

Mądry człowiek ten Roźniecki, pomyślał po tygodniu, dobrze odczekane, żebym jeszcze bardziej mógł odczuć jego łaskawość. To mądry człowiek, jest więc moim człowiekiem.

Przez ten czas wspominał Mariannie o swoim tajemniczym protektorze, który wszystko doprowadzi do ładu.

Tylko Żółkowski i Aszperger wpadli do niego na chwilę, Ledóchowska więcej nie przyszła, Szymanowski był chory. Marianna wyjaśniła, iż Aniela nie przychodzi tylko dlatego, że dzieciak choruje.

- Ciągłe jeszcze szantażują Ignacego? - spytał zaskoczony Bogusławski.

Marianna zaprzeczyła, Mistrz nie uwierzył.

- Wszyscy oni to aktorzy - powiedział pogardliwie. - Dla nich upadły aktor to trup, ale który jest u władzy, tego uwielbiają i lizają mu dupę. Taki to ludek - powtórzył z pełną wyrozumiałości miłością.

Po napisaniu trzeciego listu godzinami czatował w pobliżu żandarmerii. Była już zima, Marianna prosiła, by nie włóczył się na mrozie, przezięb się, zresztą lekarz zalecił odpoczynek. Bogusławski machnął ręką.

- Tak się czaisz, staruszk, jakbyś chciał coś wyżebrać! - wybuchła Marianna. - Nie wstydz ci? Największy polski aktor, a błaga o jałmużnę!

Stali na zaśnieżonej ulicy, Mistrz spojrzął na Mariannę.

- Tędy chodzi twoja publiczność - pokazała przemykające po bieli sylwetki. - Jak cię rozpoznają, wyśmieją cię!

Drżała na mrozie, szczelniej owinęła się płaszczem.

- Co tak pilnujesz? - spytał gniewnie Bogusławski. - Nie jestem twoim idiotycznym wnuczkim, na którego każdy krok trzeba uważać. Załatw raczej pieniądze, trzeba wezwać doktora Czekierskiego, niech mnie znów przebada.

- Gdzie mam załatwić?

- To mnie nie interesuje.

- Mam już tyle długów.

- Zwrócimy.

- Nie mam od kogo pożyczyć.

- Więc gdzieś ukradnij. Mam inne sprawy.

Potem poszedł jednak do domu, ogrzał dłonie nad piecem, zaczął pracować, bo, jak jej powiedział, po to wraca do domu; nie chciał, by to Marianna miała rację. Dla zabawy rozdrapał brodawkę na lewej ręce, to była ładna, duża brodawka, niedawno pojawiły się na niej małe bruzdy. Wsłuchiwał się, czy szumi mu w uszach. Szumiało.

Nie szkodzi, ostatnio znacznie się poprawiło.

Kiedy w gazetach pojawiła się wiadomość, że Wielki Książę Konstanty Pawłowicz poślubił Joannę Grudzińską, Bogusławski poczuł ulgę:

- Na to czekali, teraz już szybko mnie wezwą.

Oba tytuły zamieściły na pierwszej stronie wiadomość o wielkim wydarzeniu, choć relacjonowały to stosunkowo lakonicznie, w żarliwych słowach omawiano polityczne i wojskowe zasługi Wielkiego Księcia, jak również jego ofiarną działalność w interesie

polskości oraz przymioty osobiste: przenikliwy umysł, stanowczość, determinację, wrodzony instynkt przywódcy, a także jego wybitne osiągnięcia w sztuce jeździeckiej. Księżna Joanna znana ze swej działalności patriotycznej, zawsze była szanowana i kochana przez szerokie warstwy społeczne; jej wizyty w sierocińcach, fundacje na rzecz kalek, by już nie wspomnieć o jej nieprzemijających zasługach włożonych we wskrzeszenie polskiej sceny. Słowa te sprawiły, że zwilgotniały oczy milionów Polaków.

Obie gazety przypomniały, ileż to mogłaby zyskać Polska, gdyby świętej pamięci caryca Katarzyna spełniła prośbę ostatniego polskiego króla Stanisława Augusta, by będący wówczas w wieku niemowlęcym Wielki Książę Konstanty przyjął polską koronę; inaczej potoczyłaby się historia, a Polska bez błędzenia krwawymi, okrężnymi drogami doszłaby do obecnego, błogosławionego stanu.

W piśmie nadal nie było recenzji teatralnych.

Potem Marianna przyniosła wieści z miasta.

Wszyscy rozprawiają o tym ślubie. Podniecone grupki szepczą na ulicach. W teatrze panuje przekonanie, że dzięki temu Polska odzyskała swą pozycję w światowej polityce. Wolski dowiedział się, że byłym szwoleżerom podniosą rentę. Kudlicz miał powiedzieć, że nie będzie cenzury. Nawet Malinowski był rozentuzjasmowany: teraz już pewne, powiedział, że przyłączą Litwę. Ach, tak: jest amnestia, oficjalnie jej nie ogłoszono, ale wypuszczono prawie wszystkich, których aresztowano po *Horacjuszach*.

Żółkowski, opierając się na wiarygodnych informacjach uzyskanych od swych przyjaciół kupców, szepnął Mariannie, że Wielki Książę trzykrotnie w ciągu jednego dnia brał Joannę za żonę.

Wszystkie trzy śluby odbyły się na zamku. Pierwszy był cywilny, potem nastąpiła ceremonia prawosławna, na końcu obrządek katolicki. Podobno było niewiele osób - Żółkowski słyszał to od Niemcewicza - poza Nowosilcowem adiutanci Wielkiego Księcia: Kuruta, Dżakow, Kołzakow, Fanshave i Trębecki. Oni byli świadkami. Ojciec Joanny nie był obecny na ślubie, ale był jej ojczym Broniec, a na jego szyi wisiały łańcuchy warte setki tysięcy. I był tam doktor Czekierski...

- Kto taki? - zapytał z przerażeniem Bogusławski.

- Czekierski - odparła Marianna i zaczęła żałować, że wymówiła to nazwisko. Bogusławski wymamrotał coś w stylu, że znalazł się w niezłym towarzystwie.

Ale nie było tam żadnego Iksa, ciągnęła Marianna, ani barona Mohrenheima, ani Weissa, który ożenił się z Fifiną. Żółkowski dowiedział się, że aczkolwiek Fifina z nowo poślubionym mężem przeniosła się do zajazdu u Gąsiorowskiego, to Wielki Książę spędził

noc poślubną w pałacu Brühla, podczas gdy Joannę zabrano do Belwederu.

- He, he - skwitował to Bogusławski.

Ślubu katolickiego udzielał jakiś ksiądz nazwiskiem Marceli Gutkowski, nikt go nie zna, podobno ściągnięto go z prowincji.

- Ciekawe - powiedział Mistrz. - Wygląda na to, że biskupi odmówili.

Potem zastanawiał się nad tym, że to małżeństwo ma wsparcie wszystkich liczących się na tym bożym świecie i doprawdy nikt nie będzie już mógł go zaatakować.

- Jej, ależ potrafią politykować! - rzucił ironicznie.

Potem wypytywał o atmosferę w teatrze. Marianna spędziła tam tylko pół godziny; próbowała wszystko sobie przypomnieć. Rutkowski opowiadał, że pewnego razu widział na paradzie z bardzo bliskiej odległości Wielkiego Księcia, który zrobił na nim jak najlepsze wrażenie, był spokojny, pełen dostojeństwa, poważny i z wyostrzoną uwagą śledził toczącą się wokół niego dyskusję o imporcie soli.

- No tak - kontynuowała Marianna. - Rutkowski powiedział jeszcze, że od kiedy Wielki Książę jest reprezentantem Pragi w senacie, siedzi w ostatniej ławie, i że u wszystkich wywołuje to łyzy wzruszenia, i że tak właśnie powinni robić naszym wzorem demokratyczni Anglicy.

Bogusławski wypytywał o aktorów. Rivoli, jak można było oczekiwać, milczał. Dmuszewski się cieszył. Zdaniem Szczurowicza prędzej czy później Konstanty Pawłowicz zostanie carem i wówczas nastąpi ten wyczekiwany od stuleci przełom: imperium rosyjskim będzie rządzić Polak.

- No, a panie?

Tego Marianna nie wiedziała.

- Moim zdaniem posrały się - uważał Mistrz. - Bo teraz Joanna zemści się na nich.

Radośnie grzebał w swoich kufrach, Marianna obserwowała go, miała złe przeczucia.

Parę dni później zjawił się Unicki. Biła od niego uniżoność. Marianna zdrętwiała, widząc, że Mistrz nawet nie zaproponował sekretarzowi, by usiadł.

- Wrócę dopiero wtedy - oświadczył, zanim jeszcze Unicki mógł coś powiedzieć - gdy odzyskam pełną władzę.

- Ależ proszę, Mistrzu - bełkotał sekretarz. - Ja naprawdę nie jestem człowiekiem pana Osińskiego... że tak powiem, jestem stworzony do bycia sekretarzem teatralnym, bycia prawą ręką pana dyrektora, to przypadkowy dar, ale czyja akurat jest ta prawa ręka, to w zasadzie obojętne...

Marianna nie wierzyła własnym uszom.

- Za godzinę, Mistrzu, odbędzie się posiedzenie rady dyrektorów... na które mam zaszczyt Mistrza zaprosić.

I Unicki dał drapaka.

- Bądź rozważny - prosiła Mistrza pobladła Marianna.

Bogusławski zaśmiał się zgryźliwie.

- Wystarczy, że będziesz mógł grać...

- To za mało - uciał ostro Mistrz i zaczął się szybko ubierać.

W teatrze powitano go czołobitnie. Raczył odpowiedzieć tylko skinieniem głowy.

- Czemu wtedy nie umarł, kiedy nabrał wody w usta? - szepnęła Helena Rutkowska. - Czemu go szlag nie trafił?

Obok niej stał Fiszer, tylko on to słyszał. Westchnął.

W gabinecie dyrektora było już sporo osób, Osiński, Kudlicz, Dmuszewski, Elsner i Werowski, nieco dalej w odrębnej grupce Lipiński, Szaniawski, Wyszkowski i Koźmian. Niemcewicz wśród nich nie było.

Wszyscy spojrzeli na Mistrza, zamilkli. Lipiński podszedł do niego i z uśmiechem zapytał o zdrowie. Bogusławski serdecznie podziękował.

- Muszę przyznać - powiedział cicho Lipiński - że dobrą kreację stworzył Mistrz na premierze *Horacjuszy*... my jednak oczekiwaliśmy od Mistrza czegoś więcej... odważniejszej, bardziej satyrycznej gry... dawnego Bogusławskiego.

Bogusławski uśmiechnął się uprzejmie, policzył w duchu do pięciu.

- No cóż - powiedział po chwili - żaden z nas nie jest już taki jak dawniej.

Zostawił Lipińskiego i usiadł na krześle Osińskiego, za biurkiem.

- Może byśmy zaczęli - powiedział.

Osiński stał pobladły i ostatni usiadł na jedynym już wolnym krześle.

Wszedł Unicki, Mistrz warknął w jego stronę:

- Herbatę dla panów.

Unicki spojrział na Osińskiego, który oglądał sobie paznokcie. Sekretarz wyszedł. Przydługą ciszę przerwał Lipiński:

- Nie będę owijać w bawełnę, moi panowie. Odbył się dochodzenie, a za skandal żaden z pracowników nie ponosi odpowiedzialności. Naruszających porządek co do jednego zamknęła żandarmeria, natomiast wymiar sprawiedliwości nałożył na nas przykładową karę. Skandal sprowokowali jacyś podlece; w dużych miastach roi się od takich, a my dołączyliśmy do światowych miast europejskich. Niestety, rozkwit niesie z sobą takie mroczne strony, moi panowie. Z zeznań jednoznacznie wynika, iż niektórzy mylnie obwiniali pana

Bogusławskiego.

- Mylnie? - zapytał Bogusławski i przyłożył dłoń do ucha.

- Zbyt pochopnie i bezpodstawnie - powiedział Lipiński głośniejszym głosem. - Proszę mi wierzyć, Mistrzu, z ciężkim sercem pozbawiliśmy pana członkostwa w naszym teatrze, a teraz z głębi naszych serc cieszymy się, iż największego polskiego aktora z powrotem możemy przyjąć do naszego grona.

Zapadła cisza.

- Dalej - powiedział ostro Bogusławski.

Lipiński poczerwieniał, przełknął ślinę, rzekł ze wzruszeniem:

- Mistrzu, jest pan żywym pomnikiem, chodzącą wśród nas statua polskiej wielkości, świadkiem i uczestnikiem naszej burzliwej historii...

Unicki wniósł herbatę. Lipiński zamilkł. Unicki podawał, brzęcząc filiżankami. Po chwili wyszedł. Mieszali herbatę. Szczękały łyżeczki.

- Nie lubię długich posiedzeń - oznajmił Bogusławski.

- Mówmy jasno - powiedział Koźmian i wysunął podbródek. - Od tej chwili rada dyrektorów będzie mieć większe kompetencje, pan Osiński był łaskaw się zobowiązać, że jako członek rady będzie zarządzać teatrem zgodnie z dezyderatami większości.

- Który to teatr oczywiście nadal należy do niego - dodał Lipiński. - Sądzymy, iż wielka wiedza i doświadczenie pana Bogusławskiego w ogromnej mierze wspomogą pracę rady.

- Nie możemy zrezygnować z takiego wielkiego artysty - wtórował mu Wyszkowski.

- Wymaga tego również interes państwa - zauważył Szaniawski. - Im lepszy teatr, tym lepiej dla państwa.

- Tak powinniśmy myśleć - powiedział Lipiński. - W tajnym głosowaniu zadecydujemy, kto ma być członkiem nowej rady dyrektorów.

- To my nimi nie jesteśmy? - zainteresował się Bogusławski.

- Jeszcze nie - powiedział Szaniawski. - Będziemy nad tym głosować.

- Czy wszyscy głosujemy?

- Tak.

Mistrz rozważał, czy nie zażądać, by zagłosował cały teatr, ale szybko z tego zrezygnował. Zapytał tylko:

- Na nieobecnych też można głosować?

Wszyscy milczeli.

- Stawiam na Szymanowskiego albo Żółkowskiego - wyjaśnił Bogusławski.

- Jest nas dziesięciu - Lipiński przeliczył obecnych. - My, w liczbie dziesięciu, swoimi przemyślanymi propozycjami, autonomicznie, bez nacisków zewnętrznych możemy zadecydować o przyszłości Teatru Narodowego. Wszyscy, którzy tu siedzą, dużo już zrobili dla teatru i polskiej kultury. Nie przypuszczam, byśmy mogli obecnie znaleźć osoby bardziej do tego powołane, ale bardzo proszę, by panowie dokładnie to rozważyli, a jeśli uznacie to za słuszne, proszę głosować także na nieobecnych.

- Dobrze - powiedział Szaniawski.

- Trzeba siedmiu głosów - oświadczył Koźmian - by można było zostać członkiem rady dyrektorów.

- Czemu akurat siedem? - zapytał Bogusławski. - Sześć też wystarczy, jeśli jest nas dziesiątka.

- Musi być dwie trzecie - odrzekł Koźmian.

- Pięćdziesiąt jeden procent - powiedział Bogusławski. - Zresztą sześć głosów to więcej niż pięćdziesiąt jeden procent. A ponadto siedem głosów to więcej niż dwie trzecie.

Jakiś czas trwała dyskusja, w końcu stosunkiem głosów dziewięć do jednego odrzucono wniosek Bogusławskiego.

- Dobrze - powiedział Mistrz. - Ale wobec tego głosujmy jawnie.

- Nie pochwalam tego - oświadczył Koźmian.

- Dlaczego?

- Tajne głosowanie jest bardziej demokratyczne - powiedział Koźmian. - W najbardziej rozwiniętych krajach zwyczajowo głosuje się tajnie.

- To nie jest takie pewne - zaproponował Mistrz - że dorośliśmy już do tajnego głosowania. Może się zdarzyć, że każdy napisze inne nazwisko i nikt nie otrzyma koniecznych siedmiu głosów.

- Wtedy będziemy głosować ponownie - mruknął Koźmian.

- Możemy tak siedzieć do rana - zauważył Bogusławski z niepokojem.

- Trzeba spróbować - zaproponował Lipiński. - Potem zobaczymy.

Mistrz z zadumą obserwował nachmurzone twarze.

- Czy rada dyrektorów będzie miała prezesa? - spytał.

Odpowiedziała mu cisza.

- Bo na to stanowisko potrzebne jest odrębne głosowanie - wyjaśnił Mistrz. - Ewentualnie trzeba byłoby zaprosić Iksów oraz innych wielbicieli teatru, Nowosilcowa, generała Roźnieckiego... Oczywiście panowie też mogą zaproponować, kogo chcą.

Osiński zerwał się z miejsca.

- Ja w tej komedii nie wezmę udziału! - wrzasnął histerycznie.

Usadzono go z powrotem.

Bogusławski obserwował, jak porozumiewają się wzrokiem. Boją się mnie, pomyślał, na razie to wystarczy.

- No dobrze - powiedział, ustępując - głosujmy tajnie. A jeśli panowie nie chcą prezesa, to nie nalegam.

Lipiński odetchnął.

Kudlicz wezwał do pokoju Unickiego, by zebrał zapisane kartki, spiął je i podał wynik głosowania.

Unicki liczył, notował, inni tymczasem mieszały łyżeczkami w pustych filiżankach.

- Pan Osiński dziewięć głosów, pan Bogusławski dziewięć głosów, pan Szaniawski dziewięć głosów, pan Lipiński dziewięć głosów, pan Fiszer jeden głos, panna Helena Rutkowska jeden głos, pan Aszperger jeden głos, pani Ledóchowska jeden głos, pani Żółkowska jeden głos...

- Chwileczkę - powiedział Bogusławski. - Czegoś nie rozumiem. Na naszą piątkę padło po dziewięć głosów. Po tym, jak zaproponowałem tych, którzy dostali po jednym głosie, nie głosowałem na naszą piątkę. To oznacza, że poza mną każdy z kolegów mających dziewięć głosów głosował też na siebie. To niemoralne. Głosowanie jest nieważne.

- Mowy nie ma - powiedział Szaniawski. - Ja na przykład zamiast na siebie głosowałem na pana Aszpergera, a Mistrz głosował na mnie.

- Och, to łatwo ustalić - powiedział Bogusławski. - Znamy wzajemnie swój charakter pisma, niech pan Unicki będzie łaskaw podać karteczki, zaraz się przekonamy, że na Aszpergera głosowałem ja.

- Głosowanie jest tajne czy nie jest? - oburzył się Koźmian.

- Tajne, ale okazało się, że nieważne - odparł Bogusławski.

- Jeśli tajne, to po wszystkim nie można go zmienić na jawne - powiedział Koźmian kategorycznie. - Nie rozumiem zastrzeżeń pana Bogusławskiego. Otrzymał dziewięć głosów; jak powiedział, nie głosował na siebie, czyli że cieszy się zaufaniem nas wszystkich.

- Za zaufanie jestem wdzięczny i dziękuję - odparł uprzejmie Mistrz... - Jeśli panowie nie życzą sobie nowego głosowania, nie nalegam.

Panowie sobie nie życzyli.

Szybko zbierali się do wyjścia, gdy Bogusławski poprosił ich jeszcze o chwilę cierpliwości. Wyciągnął z kieszeni list z wypowiedzeniem i zapytał, co ma z tym zrobić.

- Nic - powiedział Szaniawski.

- Ależ oczywiście - powiedział Mistrz. - Ja tylko proszę radę dyrektorów o zgodę, bym mógł go oprawić i zawiesić w swej garderobie.

Zapadła cisza.

- Dziękuję - powiedział Bogusławski z wdzięcznością. - Przy okazji przyszło mi do głowy, że potrzebna jest mi nowa garderoba, nie chciałbym być dalej ciężarem dla pana Kudlicza.

- Oczywiście, że panu Bogusławskiemu przysługuje nowa garderoba - powiedział Dmuszewski.

- Pan Bogusławski nigdy mi nie przeszkadzał - zauważył Kudlicz.

- Dostaniesz oddzielną garderobę - syknął Osiński z przyklejonym do ust uśmiechem.

Zaraz po posiedzeniu Bogusławski przeniósł się do garderoby Szczurowskiego. Rozzłoszczony bas przeprowadził się do Rutkowskiego, który udawał, że się cieszy. Jednak kilka godzin później Rutkowski przeniósł się do garderoby Dmuszewskiego, ten zaś musiał pójść do Kudlicza, nie znalazłszy żadnych argumentów przeciw temu, by w jednej garderobie siedziało dwóch reżyserów.

Jeszcze tego dnia dziadzio Harazyn pięknie oprawił list z wymówieniem.

W tym czasie Bogusławski przesiadywał w knajpie otoczony wielbicielami. Marianna też tam siedziała i nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić.

Rozeszło się, jak to chwacko walczył Mistrz podczas głosowania, utworzyła się do niego kolejka. Pojawiła się w niej także Ledóchowska; wyglądała na zasmuconą i milczała.

- Jakież kłopoty? - zapytał Mistrz nieco rozdrażniony.

- Będę u siebie w garderobie - powiedziała i wyszła.

Nacieszywszy się popularnością, po półgodzinie Bogusławski poszedł do niej.

Siedziała w długim płaszczu, z podkurczonymi na krześle nogami, znów postarzały ją głębokie zmarszczki. Karlsbadzka cera i przybrane kilogramy gdzieś zniknęły.

- Wie pan, czemu pana przywrócono?

- Czemu mnie przywrócono?

- Proszę, Mistrzu, niech pan ze mną nie gra...

- Jestem wielkim aktorem czy nie jestem wielkim aktorem? Taki powinien grać, czyż nie?

- Ale za taką cenę?

- A jaką cenę?

- To Roźniecki wepchnął pana do rady dyrektorów.

- No i co?

- Wie pan, kim jest Roźniecki?

- Ma władzę, to nie wystarczy?

- Iksowie w porównaniu z nim to niewinne baranki.

- Jednak to oni chcą mnie definitywnie usunąć.

- Mistrzu, nadchodzi potworny świat... Roźniecki i ludzie o podobnych poglądach będą tu rządzić i usuną każdego, komu pozostała choćby odrobina człowieczeństwa.

- Zawsze ktoś rządzi. Kto ma choć odrobinę człowieczeństwa, tego zawsze się usuwa.

Nie ma w tym nic nowego, Trusiu. Ani w tym, że sprawą aktora jest grać.

Ledóchowska milczała.

- Mam plany, Trusiu! Chcę je zrealizować z panią! Czy to grzech?

- Mistrzu... swego czasu Okołów naraił mnie Roźnieckiemu...

Bogusławski zacisnął usta.

- Tak jak teraz Aszpergerowa jest kochanką Nowosilcowa - ciągnęła Ledóchowska. - Nawet nie o to chodzi, Mistrzu... ale o to, że i pan już używa takich argumentów, jak inni... Wie pan, co mówią w bufecie? „Oni nie są tacy źli”, „fajni goście”, „można z nimi wypić i pograć w karty”, a wszystko to mówią szpicle... Nie mówię tego przeciwko szpiclom, Mistrzu, tylko przeciwko Roźnieckiemu!

- Pani wolno, Aszpergerowej wolno, tylko mnie nie wolno?! Ja chcę wpływać na podwładnych Roźnieckiego, bo to oni decydują, co ma robić Roźniecki! Ale jeśli nie będę grać, jak mam na nich wpływać?

- To tylko teoria, Mistrzu. Tu artystą jest już tylko ten, kto umie milczeć. Panu mam to tłumaczyć?

- Niepotrzebnie uciekła pani do Karlsbadu, Trusiu, a ja niepotrzebnie milczałem. Mam milczeć do końca życia?! Gdzież jest ta ogromna różnica między Roźnieckim a Werowskim, moja droga? Pani kłopot polega na tym, że byłem dyrektorem, gdy rozwijała pani skrzydła. Inny dyrektor przede wszystkim podciąłby pani te skrzydła. Ze względów pedagogicznych. By uczennica zdobyła nieco wiedzy o ludziach i sytuacjach.

- Mistrzu!

- Czemu się pani obraża? Ja zrobiłem z pani aktorkę. Może pani błyszczeć jeszcze piętnaście lat, ale kto będzie wspierać mnie? Wierzyłem, że przynajmniej pani nie chce, bym przed czasem wyszedł nogami do przodu. Myliłem się. Jeszcze nie widziała mnie pani zawziętym. Może się zdarzyć, że zobaczy pani coś nowego.

Ledóchowska chciała powiedzieć coś brzydkiego, kiedy wszedł Werowski.

- Przeszkadzam? - spytał, szeroko się uśmiechając.

- Tak - odparł Bogusławski i też się uśmiechnął.

Werowski wziął to za żart i zachichotał.

Ledóchowska ukryła twarz na podkulonych kolanach i rozplakała się.

- Ta komedia z głosowaniem - powiedział Werowski - była fenomenalna...

- Ty też brałaś w niej udział, mój królu - zauważył Bogusławski.

- Ależ oczywiście - powiedział z dumą Werowski.

Ledóchowska dostała czkawki, jednocześnie zaczęła się śmiać, a przez cały czas łzy płynęły jej z oczu.

Werowski spojrział w jej stronę, zaśmiał się, wtedy dopiero zauważył, że ona płacze, i śmiał się dalej zmieszany.

Zapukano, w drzwiach pojawił się Fiszer. Cała czwórka była zmieszana. Fiszer zapomniał ich przywitać, wszedł do garderoby i zaśnieżonymi butami zabrudził dywan. Zapanowała cisza, Fiszer spojrział na swoje nogi i zaofiarował się, że zapłaci za czyszczenie. Ledóchowska otarła łzy i machnęła ręką. Fiszer zrobił ruch, jakby chciał zdjąć buty, potem wycofał się w stronę drzwi. Był rozczochrany i zaczerwieniony, stał, tupiąc, w miejscu i wyglądał jak człowiek, którego inni o coś oskarżają.

- Możliwe - odezwał się wreszcie - że dziś wieczorem podczas spektaklu zeskoczę z jaskółki na parter... a wcześniej krzyknę, że to nie teatr. - Roześmiał się smutnie.

- Co jest dzisiaj? - zapytał przestraszony Werowski.

Bogusławski jęknął.

- Bardzo przepraszam - powiedział Fiszer - nie chcę przeszkadzać... Chodzi o to, że Glücksberg ewentualnie wydałby moją sztukę, ale na mój koszt... Gdybym dostał po mamie spadek... ale to kilka tygodni, a sprawa bardzo pilna... I jeszcze chciałbym ją poprawić, ale nie mam już egzemplarza.

Spojrzał błagalnie na Ledóchowską.

- Nie mam pieniędzy - powiedziała.

- Może znalazłby się jakiś egzemplarz...

- U mnie nie ma - powiedziała zdecydowanie aktorka. - Ja go nie czytałam.

- Ale dałem pani jeden egzemplarz.

- Morawski o niego prosił, nie pamięta pan?! - krzyknęła Ledóchowska.

Werowski był zaskoczony.

- Czy mowa o generale Morawskim? - zapytał.

- Antoni - powiedziała Ledóchowska zduszonym głosem - mówiłam już wcześniej, że nie mogę panu pomóc.

- Ale teraz nie o tym mówię! - wykrzyknął Fiszer i poczerwieniał.

Zapadła cisza, Ledóchowska odwróciła się do niego plecami.

- Ile kosztuje wydanie? - zapytał Werowski. - Może mógłbym pomóc.

- Od ciebie nie potrzebuję - powiedział Fiszer pogardliwie.

Werowski zbladł.

Ledóchowska wstała, podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież.

Fiszer wybiegł, trzaskając drzwiami.

Ledóchowska sztywno podeszła do lustra.

- Stoi w drzwiach jak ukrzyżowany Chrystus! Za Boga nie chce zejść mi z karku!

Niedojrzały szczeniak.

- Żeby tympanista odzywał się takim tonem? - dziwił się Werowski.

Bogusławski wstał.

- A ty się zamknij - naskoczyła Ledóchowska na Werowskiego. - Fiszer ma talent!

Werowski zerwał się obrażony.

- Zostań, mój królu - powiedział drwiąco Bogusławski. - Przegłosowaliście mnie.

W bufecie usiadł z zachmurzoną miną obok Marianny.

- Te zgniłki jeszcze zobaczą - powiedział. - Nie wolno po mnie deptać.

Marianna spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc:

- Przecież cię przywrócono!...

Bogusławski milczał ponuro.

Przysiadł się Żółkowski, on też nie wyglądał na zadowolonego.

- Trzeba coś zrobić z Szymanowskim - powiedział. - Załamało go to, że syn został szpiclem, wszystkim rozpowiada, że tych czternastu studentów zamknięto nie z powodu donosu syna, lecz na podstawie doniesienia ojca chłopaka.

- Jakich studentów? - zapytał Bogusławski.

- No, tych, którzy dalej siedzą z powodu *Horacjuszy* - powiedział Żółkowski. - Trzeba byłoby namówić jakoś Marcina, aby grał... to dobrze mu zrobi.

Bogusławski milczał: sam ma sporo kłopotów, po co mu Żółkowski wyjeżdża z tym Szymanowskim?

- Na scenie jest normalny - ciągnął Żółkowski - tylko przedtem i potem... Ale Kudlicz

chce mu odebrać wszystkie role, dwie już przyrzekł Werowskiemu.

- Porozmawiaj z Ledóchowską - powiedział złośliwie Bogusławski.

Żółkowski zamilkł.

- Pan Szymanowski jest coś nie tego - bąknął zza kontuaru pan Bautz.

- Pije - dodał dość głośno Szczurowski.

- Nie pije - powiedział Bautz - tylko że... Ćśśś.

Przy sąsiednim stole drzemiący Plersch otworzył jedno oko.

- Będzie wielkim aktorem - wymruczał - jeśli przeżyje...

Mistrz poprosił Żółkowskiego, by wysłał do niego kogoś, jeśli w teatrze wydarzy się coś ważnego, dał znak Mariannie i wyszedł z knajpy.

- Mogłabyś podskoczyć do syna - powiedział na ulicy.

Urażona Marianna ruszyła w przeciwną stronę.

Bogusławski brnął sam przez sięgający kostek śnieg.

Samotny i zziębnięty, uspokoił się, teraz mógł spokojnie się nad wszystkim zastanowić. To pewne, że Roźniecki po coś go trzyma. Z pewnością też Iksowie dowiedzieli się o układzie zawartym z Roźnieckim. Ale skąd wie o tym Trusia? Tylko czuje, czy rozeszło się to już po Warszawie? Jeśli się rozeszło, to rozgłosił to Roźniecki. I co? Najwyżej będą się trochę bać.

Był wściekły na siebie, że Trusia nie potrafi się uwolnić od swoich obaw. Dlaczego Trusia sądzi, że można go wykorzystać... diabli wiedzą, przeciw czemu? Jakby Roźniecki oczekiwał, że on będzie mu pisać szpiegowskie donosy o teatrze. Chociaż nie było o tym mowy. A może jednak rzeczywiście na to czeka. To niech sobie czeka.

Powłóczył się trochę po ulicy, potem skierował się znów do teatru. Pójdzie do Osińskiego i od razu wyjaśni, w jakiej roli wystąpi w najbliższym czasie.

Teraz się go boją, ale skąd można wiedzieć, co będzie za parę dni?

Ku swemu zaskoczeniu w pokoju Unickiego znalazł Kudlicza, Dmuszewskiego, Szaniawskiego i Lipińskiego.

- Cóż to, mamy posiedzenie? - spytał uszczypliwie.

- Mistrz nie wie? - odparował Lipiński; w jego oczach było szczere zdziwienie.

Bogusławski spojrzał na Unickiego. Pan sekretarz nie miał odwagi odpowiedzieć mu spojrzeniem. Z pewnością polecono mu milczeć.

- Ależ oczywiście - powiedział Bogusławski i klepnął się w czoło. - Pan sekretarz jeszcze rano mówił, że będziemy kontynuować po południu, tylko wyleciało mi z głowy.

Unicki nadal milczał. Tak mu się za to dostanie, że wolałbym nie być w jego skórze.

Osiński wyszedł z gabinetu i zaprosił ich do siebie. Z zastygłą twarzą, szklanym wzrokiem patrzył na Mistrza, który usiadł skromnie na krześle przy drzwiach, zostawiając mu fotel za biurkiem.

Mowa była o repertuarze.

Osiński wyglądał na zmęczonego, ale starał się energicznie prowadzić spotkanie. Jak powiedział, teraz, gdy powstała cenzura, trzeba na nowo przejrzeć zaakceptowane wcześniej sztuki.

- Rada dyrektorów - powiedział Osiński - pokazałaby się w dobrym świetle, gdybyśmy ułatwili pracę cenzurze. Uważam za rzecz istotną, aby cenzura odnosiła się do nas z zaufaniem.

Wszyscy, z wyjątkiem Szaniawskiego, przytaknęli.

- Proszę panów - odezwał się Szaniawski - aby się nie ograniczali, ze swej strony w tym widzę zadanie cenzury, by jak najwięcej dobrych i pasjonujących sztuk pojawiło się w repertuarze teatru.

- Pan Szaniawski ma rację - powiedział Bogusławski. - Musimy proponować same odważne sztuki; cenzura nie odważy się ingerować w każdą sztukę, na dodatek nie ulega wątpliwości, że to my wyznaczamy wzorce, tak że kilka dobrych sztuk mimo wszystko powinno przejść. I obdarzył szczerym uśmiechem cenzora Szaniawskiego.

Pobladły Szaniawski milczał.

Zapadła cisza, po czym odezwał się Lipiński:

- Uważam za błędną tezę pana Bogusławskiego, jakoby nasz rząd powołał cenzurę po to, by zakazywać wystawiania dobrych sztuk. Wręcz przeciwnie: cenzura niewątpliwie będzie eliminować sztuki złe, bez wartości, niemoralne i słabe, do tego jest wyznaczona.

- Ależ tak - powiedział Bogusławski. - I ja to miałem na myśli. Jeśli mogę coś zaproponować, wstawmy do programu sztuki pana Moliera. Wszystkie.

Obecni pogrążyli się w myślach.

- *Skąpiec* i tak jest w planach - ciągnął Mistrz. - Dość dawno go nie graliśmy; jestem gotów zagrać Harpagona. Zresztą pan Osiński prosił mnie już o to kilka tygodni temu.

Znów zapadła cisza; Bogusławskiemu zdawało się, że słyszy skrzypienie mózgow zastanawiających się, w co, a zwłaszcza w kogo przeistoczyłby Harpagona.

- Ja również z radością zagram Harpagona - powiedział w końcu Kudlicz.

- Proszę panów - rzekł Lipiński - nie rozmawiajmy na razie o podziale ról, sądzę, że to rzecz pana Osińskiego. My tylko ustalmy tytuły sztuk, które potem prześlemy panu Szaniawskiemu.

- To po co jest tutaj pan Szaniawski? - mruknął półgłosem Bogusławski. - Jasne, jasne, oszczędność czasu - odpowiedział od razu sam sobie. - Może wezwijmy pana Unickiego i podyktujmy mu.

Osiński potrząsnął dzwonkiem, Unicki wszedł, wyszedł, znów wszedł zaopatrzone w pióro, papier i atrament, i przycupnął przy węższym boku biurka.

- Tak więc *Skąpiec* - powiedział Bogusławski. - Schiller: *Intryga i miłość*, Alfieri: *Filip*, Monvel: *Junius*, opery Mozarta... wszystkie... zwłaszcza *Don Giovanni*, kilka Goldoniego, wszystko jedno co, ale zwłaszcza *Kawiarenkę* i *Placyk*, Wolter, a od Kotzebuego *Beniowski*...

- *Beniowski* nie jest dobry - wtrącił się Szaniawski. - Już raz cenzura go zakazała.

- Cztery lata temu - skinął głową Bogusławski - ale to była inna cenzura, w innych okolicznościach. Nie mamy powodu zakładać, że nowa cenzura będzie tak samo ograniczona i trzęsąca portkami jak stara.

Szaniawski przełknął to. Cztery lata temu to on obstawał za zakazaniem *Beniowskiego*.

- Mamy mało oper - odezwał się Osiński. - Zagrajmy raczej operę Boieldieu, skomponowaną do sztuki Kotzebuego; zresztą w operze i tak nie słyhać tekstu. Proponuję jeszcze jedną operę tego znanego kompozytora pod tytułem *Kasztelanica na prędcę*.

Nie było sprzeciwu.

- Pan Kurpiński - Osiński kontynuował - chętnie skomponowałby operę, wiem, że pan Niemcewicz już planuje napisanie libretta o Janie Kochanowskim.

Unicki zapisał to.

- Pozostając przy operze - zabrał głos Bogusławski - proponuję dzieło Nicola: *Janek i Stefanek*.

- Tekst do tego napisał Wolter, czyż nie? - zapytał Lipiński.

- Tak - odparł Mistrz. - Czy to jakiś problem?

Lipiński zawahał się.

- Pan Wolter był w bardzo dobrych stosunkach z babką naszego króla - argumentował Bogusławski. - Jeśli już przy tym jesteśmy, weźmy *Mahometa* i *Śmierć Cezara*. To najlepsze jego dramaty.

Panowała cisza, wspomniane utwory znali tylko Osiński i Dmuszewski.

- Warunkowo możemy je przyjąć - powiedział Osiński po intensywnym namyśle.

Unicki nagryzmolił to na kartce.

- A przede wszystkim - ciągnął Bogusławski - wystawmy *Romea i Julię*. Ale nie

niemiecką przeróbkę. Musimy przygotować przekład z angielskiego. Niemcewicz z pewnością by się tego podjął, przepada za tą sztuką, wiele razy widział ją w Anglii.

- Proponuję raczej - powiedział Osiński - by Niemcewicz przełożył sztukę Garricka, czytałem ją po francusku i idzie tam z ogromnym powodzeniem, jakiś taki tytuł, o ile dobrze pamiętam, *Ton modny pod schodami*.

- Garrick - dyktował Lipiński.

- Jest jeszcze inny Garrick - mówił tymczasem Bogusławski - noszący tytuł *Clandestine Marriage*, z chęcią to przełożę i zagram jedną z postaci.

Trochę zakłopotani dopytywali się o tytuł, Bogusławski powtórzył.

- Ty znasz angielski? - zapytał Osiński.

- Oczywiście - odparł Bogusławski. - Ale nim zapomnimy: *Romeo i Julia*.

- To znaczy *Groby Werony* - wyjaśnił Lipiński. - Pod takim tytułem graliśmy ją wcześniej.

- GraliśMY? - zdumiał się Bogusławski. - JA grałem.

- Pierożyńska stworzyła w niej pamiętną kreację - pośpieszył dodać Lipiński.

- Była do niczego - powiedział Bogusławski obiektywnie.

Ponownie zamilkli.

- To ta sztuka, którą napisał Christian Weisse? - spytał Szaniawski.

- Nie - odrzekł Osiński. - To wspólne dzieło D'Ozincourta i Merciera.

- Ja mówię o tym - powiedział Szaniawski - które przełożył biskup Kossakowski.

- Ten Kossakowski, który swego czasu zadenuncjował u Igelströma tysiące naszych rodaków - zauważył Bogusławski z kamienną twarzą.

- Po co wyciągać stare sprawy? - warknął Szaniawski.

- Przepraszam - powiedział Bogusławski. - Więcej tego nie zrobię, przecież poszłaby na marne ciągłość prawa. Chociaż pan, panie cenzorze, reprezentował wówczas poglądy jakobińskie...

Dmuszewski zarżał ze śmiechu.

- A pan Dmuszewski, jeśli się nie mylę - powiedział ostro Lipiński - napisał operę na cześć Napoleona.

- Ale nie on przełożył ją na francuski - bronił go Mistrz - tylko pan Osiński.

- To też już problem?! - wykrzyknął Osiński.

- Ależ nie - uspokoił go Bogusławski. - Cesarz był wielce zadowolony z tłumaczenia.

- O ile pamiętam - powiedział Szaniawski - to w tym czasie teatrem kierował pan Bogusławski.

- Dobrze pan pamięta, panie cenzorze - skinął głową Bogusławski. - Krótko mówiąc, *Romeo i Julia*.

- Właściwie moglibyśmy to zagrać - powiedział szybko Lipiński. - Sztuka bardzo obyczajna, dzieci dwóch zwaśnionych rodzin są w sobie zakochane, a pokonawszy wszystkie przeszkody, pobierają się.

- To niemiecka przeróbka - powiedział Bogusławski. - Wiem od Niemcewicza, że w oryginalne dwoje młodych umiera.

- Chociaż - odparł na to Lipiński z namysłem - może rzeczywiście dlatego ta niemiecka wersja też nie jest taka znakomita... Pełno w niej absurdów, rozwodzenia się nad różnymi sprawami i, jak teraz sobie myślę, nawet w szczęśliwym zakończeniu leje się niepotrzebnie sporo krwi. I to wszystko na scenie! Nie mogę powiedzieć, by była to elegancka sztuka. Pozbawiona formy, tak, to jej największa wada. A część ról jest do niczego. O ile ją pamiętam.

- To genialna sztuka, mój królu - oświadczył Bogusławski. - Zwłaszcza jeśli koniec jest tragiczny. I są w niej znakomite role. Może pan Lipiński jeszcze pamięta, jak wspaniale zagrał Żółkowski w roli Merkucja...

- Ja bym tę rolę od razu wykreślił - powiedział Osiński. - Nie ma nic wspólnego z zakochanymi. Szekspir nie potrafił jej zbudować.

- Panowie, proszę - wtrącił Lipiński. - Jeśli młodzi umierają, to sztuka mówi o tym, że Polacy i Rosjanie się nienawidzą... Jesteśmy w swoim gronie, panowie... i chociaż Wielki Książę zakochał się w księżnej Joannie, to ta nienawiść jest u Rosjan większa. Tego nie można wystawić. Zresztą, dzięki Bogu, nie jest to zgodne z prawdą.

- Akcja toczy się w Weronie - powiedział Bogusławski. - Nie ma nic wspólnego z nami.

- To po co mamy ją wystawiać? - zapytał Osiński.

- Chyba nie chcesz powiedzieć - Bogusławski był zdziwiony - że grane przez nas sztuki mają mówić o nas? Do tej pory nie optowałeś za takim punktem widzenia.

- Mistrzu - perswadował łagodnie Lipiński. - Przykre doświadczenie z *Horacjuszami* skłoniło nas do tego, by w miarę możliwości nie ruszać romansów miłosnych. Nikt nie chce nowej dyskusji w prasie.

- Naprawdę bardzo skrupulatnie przeczytałem wszystkie recenzje - powiedział Bogusławski - ale nikt nigdzie nie napisał nawet linijki o kwestiach miłosnych.

- Ależ, za pozwoleniem - zniecierpliwził się Lipiński - wszyscy wiedzą, o co chodzi.

- W tej sytuacji nie da się przewidzieć skutków czegokolwiek - uznał Bogusławski -

więc najlepiej zamknijmy sklepik.

- Teatr musi funkcjonować - powiedział Kudlicz.

- Zamknijmy dyskusję - zaproponował Osiński. - Przegłosujmy *Groby Werony*.

- Panowie nie znają oryginału - sprzeciwił się Bogusławski. - Jak można odpowiedzialnie głosować?

- Pan też nie zna oryginału - powiedział Lipiński.

- Tylko że znam się na teatrze i przeczuwam, co Szekspir mógł naprawdę napisać.

- My też znamy się na teatrze, panie Bogusławski - odparł Szaniawski.

- A, to co innego. Zupełnie co innego. Głosujmy.

Szekspira odrzucono.

- Nie za bardzo rozumiem poglądy pana Bogusławskiego - powiedział po chwili ostrożnie Lipiński. - Zachowuje się tak, jakby chciał dać świadectwo swej niedojrzałości politycznej. Poinformowano nas w odpowiednich miejscach, że pan może się nam przydać. Dlatego jednogłośnie wybraliśmy pana Bogusławskiego do rady dyrektorów. Szkoda, że do tej pory zawiedliśmy się na panu. Mam nadzieję, że to jedynie stan przejściowy.

Bogusławski uśmiechnął się do niego. Kto opłaca teraz Lipińskiego? Iksowie czy Roźniecki?

- Panowie - powiedział. - Byliście ofiarami chytrej gierki, ale teraz muszę wyznaczyć swoje winy. Jak mógłbym być niedojrzały politycznie, skoro czterdzieści lat spędziłem na czele Teatru Narodowego? Jak panowie myślą, poważnie chciałem *Romea i Julię*? Albo że pomysł pochodzi ode mnie?

Lipiński był najwyraźniej zmieszany. Bogusławski wyobraził sobie, ile domysłów przelatuje przez głowę pana akademika, i wyszczerzył zęby.

- Już operę Mozarta *Don Giovanni* zaproponowałem tylko po to, by wystawić na próbę rozsądek panów. Nie analizowali panowie tego zbyt błyskotliwie. Czy w ogóle znają panowie te operę?

I Osiński, i Lipiński widzieli ją w Wiedniu, obaj byli oburzeni: oczywiście, że znają.

- Jednak nie mieli panowie nic przeciwko niej - pokiwał głową Bogusławski.

- Ma istotne błędy - powiedział ostrożnie Lipiński. - Ale to nie pierwsza słaba opera na świecie.

- To prawda - rzekł Osiński - że jej muzyka, ta tak zwana muzyka chromatyczna, cierpi na tej przesadzie, podobnie jak *Eliza*, *Fidelio*, a najbardziej utwory Cherubiniego oraz Spontiniego, i nie umywa się do dawnych Włochów. Mimo to jednak możemy ją jeszcze wystawić.

- U nas i tak nikt nie potrafi przeczytać skomplikowanej partytury - podkreślił Dmuszewski. - Nie pamiętam ani jednego przypadku, byśmy dokładnie zaśpiewali nuty. Moim zdaniem te przesadzone akcenty muzyki Mozarta znikną dzięki brakom w naszym wykształceniu muzycznym i może być z tego dobre przedstawienie.

Bogusławski spojrział badawczo na Dmuszewskiego, ale musiał stwierdzić, że ten nie chciał z nikogo zakpić.

- Zrobimy skreślenia - powiedział Osiński. - I ten duet z duchami jest za długi, zresztą według mnie duch nie powinien śpiewać. Te duchy działają mi na nerwy - zwrócił się do wszystkich.

- Na zakończenie zrobimy deszcz ognia - zaproponował Dmuszewski. - To efektowne; opery i tak raczej się tylko ogląda, niczego się nie słucha.

- Rzeczywiście jego muzyka jest niezrozumiała - stwierdził Lipiński. - Przemawia tylko do wtajemniczonych, samych muzyków, Mozart nigdy nie osiągnie popularności takiego Salieriego, Paera, Nicola czy Boieldieu.

- Panowie - odezwał się Bogusławski - ja nie mówię o muzyce. Jestem pewien, że nie potrafimy ani grać, ani śpiewać, nie trzeba mnie o tym przekonywać. Ale to, co mówi Mozart... to nie rzuciło się panom w oczy?

Obecni poruszyli się nerwowo.

- Ta opera - zaczął Bogusławski z ojcowską troską - mówi o tym, że Don Giovanni, ten działający bez skrupułów kobieciarz, ma rację, a uczciwi ludzie okazują się kompletnymi idiotami. Don Giovanni, panowie, to ucieleśnienie tak zwanej wolności skierowanej przeciw każdemu społeczeństwu. Don Giovanni, panowie, jeśli go zagramy, będzie policzkiem dla Królestwa Polskiego. Czy panowie nie zauważyli, że z tego Don Giovanniego rodzi się duch rebelii?

- Ale na końcu umiera! - wykrzyknął Dmuszewski, nic nie rozumiejąc. - Zapada się do piekła.

- A z nim zapada się wszystko, co wielkie. - Bogusławski pokiwał głową jak nauczyciel. - A ci, co zostają przy życiu, są szarzy i pozbawieni wartości, nawet nie pojmują, że mieli okazję spotkać się z czymś wielkim. Przy życiu, panowie, pozostają tylko łajdacy, a Don Giovanni śmieje się w kułak w zaświatach.

Zapadła cisza, Bogusławski zaśmiał się drwiąco.

- Panowie - powiedział - my winniśmy nauczać poszanowania porządku, postępowania zgodnie z cnotami obywatelskimi, by w naszej ciężko doświadczonej ojczyźnie nikomu nie przyszło już do głowy wpędzić nas w nową katastrofę podejrzanymi hasłami

o wolności, demagogicznym głoszeniem równości i braterstwa. - Zrezygnował z drwiącego uśmiešku i przybrał zatroskaną minę.

- Dlatego właśnie to zagramy - syknął Szaniawski.

- A rolę Don Giovanniego powierzmy słabemu śpiewakowi - próbował pogodzić sprzeczności Osiński. - W ten sposób główna postać padnie.

- Dobre rozwiązanie - ucieszył się Lipiński. - A jeśli idzie o hasła, panie Bogusławski: przecież my właśnie reprezentujemy szczytne idee wolności, równości i braterstwa, to gwiazda przewodnia naszego państwa i rządu... - W jego oczach pojawiły się wymuszone łzy.

- Na wszelki wypadek postawmy przy Mozarcie znak zapytania - odezwał się Kudlicz. Unicki doczepił Mozartowi znak zapytania.

Potem Mistrz nie zabierał już głosu w dyskusji. Do repertuaru włączono jeszcze następujące sztuki: *Hrabiego Essex* Dyke'a, *Tankreda* Rossiniego, *Sprzysiężenie Fieska* w *Genui* Schillera, *Krzyżaków i Saracenów* Le Roi oraz kilka jednoaktówek Martainville'a, by w razie trudnego do przewidzenia zamieszania można było coś szybko wystawić.

Po posiedzeniu Unicki rozlał szampana. Cała siódemka, wliczając pana sekretarza, wzniosła toast za dobrze wykonaną pracę. Bogusławski wyraził przekonanie, że nowa rada dyrektorów będzie działać owocnie; brakowało mu trochę nieobecnych członków rady, którym z pewnością przypadły ważniejsze sprawy. Wzniósł kielich na zdrowie wszystkich członków. Dmuszewski miał wrażenie, że Bogusławski i Osiński się pogodzili, szczęśliwy patrzył, jak dwaj wielcy ludzie całują się z dubeltówki.

- Muszę powiedzieć - chichotał Lipiński - że to milczenie, to milczenie, krótko mówiąc, to był znakomity dowcip z tym milczeniem, trzeba to przyznać.

Z uznaniem kiwnął głową.

Szaniawski też się śmiał i klepnął w plecy Bogusławskiego, który także się roześmiał i oznajmił, że ma w swoim repertuarze jeszcze inne triki, ale panowie to rozumieją, nie chce ich teraz wyjawiać, może się bowiem tak zdarzyć, że któregoś z nich będzie musiał użyć...

Wszyscy zaśmiali się filuternie, jako już wtajemniczeni.

Jedynie Kudlicz był bardziej ponury niż zwykle, naprawdę nic z tego nie rozumiał i był urażony, że Dmuszewski beczelnie wpakował mu się do garderoby.

Panowie rozeszli się; na korytarzu sterczało czterech obcych typów, cicho rozmawiali pod jedną z lamp olejowych. Jegomości ci nie mieli pojęcia o właściwym doborze ubioru, to, co mieli na sobie, mogło budzić zdziwienie: dobrze skrojone cywilne spodnie wpuszczone w buty jeździeckie.

Mistrz był zadowolony i miał wielką ochotę odegrać w domu, w jaki sposób

wystrychnął na dudka wysokie zgromadzenie. Okazało się, że nic z tego: w kuchni sterczał pijany Ignacy. Marianna objęła syna, by się nie przewrócił. Bogusławski się wściekł.

- Wynoś się, ty glisto! - wrzasnął. - Nigdy nie miałem gorszej nocy niż ta, kiedy cię zrobiłem!

Wdarł się do spiżarni; Marianna płakała, a Ignacy z pijackim uśmiechem wytoczył się w mrok nocy.

- Na górze czeka Niemcewicz - powiedziała Marianna, gdy Mistrz wyszedł ze spiżarni.

- Niech poczeka - mruknął Bogusławski, pogryzając suchy placek. - Co nowego?

Marianna otarła łzy.

- Wpadł Fiszer, zapraszał na jakieś zebranie.

Bogusławski wzruszył ramionami.

- Przez Niemcewicza przesłano także pewien list.

Mistrz przełknął placek. Spojrzał w górę, na trzeszczących schodach stał Niemcewicz, on też jadł placek.

- Co jest, mój królu, wywalili cię z teatru? - powitał go Bogusławski.

- Ja nie zostałem donosicielem - odparł Niemcewicz i wypluł kawałek ciasta.

- He, he - powiedział Mistrz.

- Wiesz w ogóle, w co się wplątałeś?

- Żal mi Iksów, mój królu, wasz czas minął.

- Ty stary łobuzie! Pchasz wóz z szambem i nic nie widzisz zza tego gówna!

- Ale widzę przynajmniej tyle, że ty tkwisz w nim po uszy.

- Ty idioto - powiedział Niemcewicz. - Przyszedłem po to, żebyśmy coś wymyślili...

Szaniawski zakazał mojej książki!

- A teraz mam ci pomóc, by przy najbliższej okazji od ciebie dostać pierwszy cios, co? Całe życie byłeś pozbawionym talentu pisarzyną, to dzięki mnie jesteś kimś!

Niemcewicz zbladł.

- To też było dawno, dwadzieścia lat temu; od tamtej pory ciągle robisz z siebie głupca. A teraz przychodzisz zabiegać o względy silniejszego, co, ty stara kurwo?

- Jeszcze ci za to odpłacę! - wrzasnął Niemcewicz.

Przeskakując jak młodzieniaszek po trzy stopnie, zbiegł na dół i wybiegł z domu.

- Tralala - zanucił Bogusławski i wszedł do pokoju.

Na stole rzeczywiście leżał jakiś list, Mistrz sięgnął po niego.

Nieczytelny Podpis i Pieczęć zawiadamiały pana Bogusławskiego, iż w ciągu

dziesięciu dni ma niniejszym zwrócić panu Osińskiemu 76 tysięcy złotych długu, w przeciwnym razie pan dyrektor Osiński będzie zmuszony oddać sprawę do sądu, co dla pana Osińskiego byłoby bardzo przykre. Data, kolejna Pieczęć, kolejny Nieczytelny Podpis.

Mistrz usiadł i tępo zagapił się w pustkę.

Marianna odważyła się bardzo ostrożnie wejść do pokoju.

- Nic strasznego - odezwał się. - Zapłacę.

- Co takiego?

- Mój dług, Osińskiemu. W ciągu dziesięciu dni.

Wyszczrzył zęby, Marianna jęknęła.

- Zresztą to tylko siedemdziesiąt dwa tysiące - powiedział chytrze Mistrz. - Na pozostałe cztery nie dałem pokwitowania!

Nagryzmołił list do Roźnieckiego z prośbą o osiemdziesiąt tysięcy złotych.

Następnego dnia z dramatami i przekładami mogącymi zapełnić trzy tomy, w tym z rękopisem *Cudu mniemanego*, stawiał się u Glücksberga.

- To pilne - powiedział. - Pierwsze dwa, trzy tomy powinny wyjść w ciągu dwóch tygodni.

Glücksberg westchnął. Spojrzał na rzucony na stół stos rękopisów.

- Po tej dyskusji o teatrze - argumentował Mistrz - będą to rozchwytywać jak cukier.

- Proszę pana - powiedział Glücksberg i pogładził się po łysej głowie. - Sytuacja jest taka, że drukarze podnieśli ceny o czterdzieści procent.

- I co z tego?

- Ja też mam drukarnię i też podniosłem. Pański zysk nie będzie aż tak wielki.

Bogusławski milczał.

- Chętnie zrobiłbym dla pana wyjątek - powiedział Glücksberg - ale to nie byłoby po koleżeńsku wobec innych.

Bogusławski przygryzł wargi:

- Nie ma żadnego drukarza, który...? Którego można by przycisnąć? Który miałby coś na sumieniu? Takiego można by jakoś zmusić... odgórnie...

- Jest jeden - powiedział Glücksberg.

Bogusławski ucieszył się.

- Kto taki?

- Ja - odparł Glücksberg.

Mistrz przygasał.

- Podpisałem jakąś ulotkę - powiedział Glücksberg. - Przypadkowo w pańskiej

sprawie. Z pewnością została gdzieś zapamiętana. Może na nią moglibyśmy się powołać.

Bogusławski milczał.

- Nie trzeba nawet pogromu - powiedział Glücksberg. - Wystarczy, że ktoś sobie o tym przypomni: ejże, to Żyd, czemu ma księgarnię na Miodowej, kiedy jego miejsce jest w getcie?

- Nie trzeba było podpisywać - mruknął Bogusławski.

Glücksberg roześmiał się. Zaczął wymieniać nazwiska drukarzy, a nuż wpadnie im coś do głowy.

- Zaczniemy od nowa - poprosił Bogusławski, kiedy doszli do końca listy.

Glücksberg zaczął od nowa. Przy przedostatnim nazwisku Mistrz nadstawił ucho.

- Siegmund? To ten Niemiec, prawda, który ma tę paskudną córkę?

Glücksberg skinął głową.

- Niemiec - zastanawiał się Bogusławski. - Tacy jak on sądzą, że powinni zrobić wszystko dla Polaków, byle tylko ci ich do siebie przyjęli.

- Tak jak i ja - zauważył skromnie Glücksberg.

- Proszę się nie gniewać - mruknął Mistrz - ale znalazłem się w ślepej uliczce. Jaki ten Siegmund ma majątek?

- To wiedzą lepiej w miejscu urzędowym - odparł Glücksberg.

- Na ile pan szacuje?

- To takie ważne? - zdziwił się Glücksberg.

- Można to ustalić - powiedział Bogusławski, zastanawiając się.

Glücksberg, podpierając ręką podbródek, podliczał coś w głowie przez długie minuty.

- No więc - powiedział - gdybym miał go zlicytować, wyszłoby tak ze sto tysięcy... ale to nie jest pewne, nie można tego traktować jako gotówki. W tym jest i drukarnia, i jego książki oraz dom.

- Dobrze - rzekł Bogusławski. - Zaniosę mu sztuki.

Glücksberg położył rękę na paczce z rękopisami.

- Taniej nie wydrukuje - powiedział. - I on nie zbiera subskrybentów.

- Nie szkodzi - odparł stanowczo Bogusławski.

- Mistrzu, niech pan będzie rozsądny. Uruchomię wszystkich swoich akwizytorów, by zbierali subskrybentów. Wydamy w ten sposób, że wydrukuje się na maszynach Siegmunda, ale na mój koszt... jeśli tak bardzo panu zależy. On rzeczywiście ma tańszy papier... a ja nie chcę obniżać płacy swoim drukarzom.

- W porządku - powiedział Bogusławski. - Przynajmniej nie muszę taszczyć tych

szpargałów. Ale to strasznie pilne!

- A dokąd teraz pan pędzi?

- Do tego Siegmunda.

- Nie jest pan ciekaw adresu?

- Ano, tak.

Glücksberg podyktował mu. Potem powiedział:

- Ja w tym czasie porozmawiam z paroma kolegami... może któryś...

Bogusławski wzruszył ramionami. Glücksberg nie rozumiał. Potem przy pożegnaniu spytał jeszcze, czy Mistrz zna takiego aktora Fiszera.

- Nie jest aktorem, ale znam. Czemu?

- Nie jest przypadkiem donosicielem?

- Nie - powiedział Bogusławski stanowczo. - Niech pan wyda jego sztukę, jest ciekawa.

- Pytam tylko dlatego, że to dziwna, niewyraźna figura... Było tak, że miał podpisać, to co i ja... potem dopisał kilka zdań... a w końcu wcale tego nie podpisał.

- Artysta - powiedział Bogusławski i szybko wyszedł.

Pan Siegmund przywitał go bardzo wylewnie, ze szczerą radością, od razu zawołał żonę i córkę, spójrzcie tylko, jaki spotyka nas zaszczyt. Żona była rumianą, postawną niewiastą, o dwie głowy wyższą i o półtora biodra szerszą od męża, mówiła lepiej po polsku niż on; pan Siegmund istotnie kaleczył język polski, ale paradował w polskim kaftanie, który już ze czterdzieści lat temu wyszedł z mody, Bogusławski skwapliwie go pochwalił. Sam kiedyś nosił taki na scenie. Córka Karolina była nieco rozlazłą dziewczynką o mlecznobiałej cerze, pulchnym ciele i małych głupich oczach. Gdybym ścisnął ją za ramię, pomyślał Mistrz, pozostałby ślad. I jeszcze utyje. Cóż, ja tego nie doczekam.

Żona i córka prędko wyszły, a pan Siegmund, powiadomiony o planie Bogusławskiego, nie omieszkał podkreślić, jak się cieszy, że Mistrz zwraca się z tym do niego, właśnie do niego. Pochwalił Glücksberga, który jako Żyd potrafił się stać takim dobrym Polakiem; gdyby tak wszyscy Żydzi poszli za jego przykładem.

Mistrz przeszedł na niemiecki, przez co pan Siegmund wzruszył się jeszcze bardziej. W płomiennych słowach, chociaż dla Bogusławskiego był to niezrozumiały, plemienny dialekt, mówił, jakim przeżyciem była dla niego niedościgła gra Mistrza. Przytaczał role i gesty, których większości Mistrz nie pamiętał. Ach, gdyby Mistrz przypadkiem urodził się Niemcem, a dokładniej Sasem, dziś na całym świecie byłoby o nim głośno; ale tak też nie ma tragedii, głównie z punktu widzenia ludu polskiego.

Odwzajemniając się, Bogusławski wspominał, że w młodszych latach często grał po niemiecku, a we Lwowie to prawie w ogóle stał się niemieckim aktorem; František Bulla nalegał, by jechał z nim do Pragi, do tamtejszego niemieckiego teatru, i doprawdy tylko przez przypadek nie szlifuje teraz desek sceny w Berlinie czy Wiedniu.

- Ja, proszę pana - powiedział pan Siegmund - widziałem Ifflanda, widziałem Döbbelina, ale muszę stwierdzić jedno, z czystym sumieniem, choć nie chciałbym zanudzać Mistrza swoim zachwytem: dla nas, warszawiaków, pańska obecność jest czymś niosącym nadzieję na przyszłość.

Bogusławski powiedział, że wkrótce zagra Leara, Saula i Harpagona, na co pan Siegmund zapewnił go, iż wraz z rodziną obejrzy wszystkie występy Mistrza, jak zawsze do tej pory, ile razy Mistrz był skłonny uradować warszawiaków swoją sztuką.

Pełen otuchy Bogusławski poszedł do teatru. Coś się jednak uda, pomyślał.

W knajpcie była nowa sensacja: wrócił Zdanowicz. Siedział w knajpie, jakby wcale wcześniej nie zniknął. Opowiadał skomplikowaną historię, że zainwestował spadek w jakieś przedsięwzięcie handlowe, które nie wyszło, ale nie szkodzi, przynajmniej mógł wrócić do teatru, to jego prawdziwy dom. Klął na kupców, zbójców, rabusiów, złodziei i lichwiarzy.

Helena Rutkowska przysiadła się do Mistrza, oczy miała zapłakane.

- Fiszer wyjechał - powiedziała cicho.

- Fiszer? Dokąd?

- Do Paryża.

- A kiedy wróci?

Helena milczała i tarła oczy.

- Wczorzem bardzo czekał na Mistrza - powiedziała po chwili.

- Na mnie? Gdzie?

- No, u pana w domu. Wydawał przyjęcie pożegnalne... zaprosił prawie wszystkich... ale przyszło nas tylko dwoje, Czyż i ja. Jedzenie i picie na dwadzieścia osób zostało w tej norze, gdzie mieszkał... wszystko tam zgnije!

Bogusławski milczał.

- Dał mi swoje książki... na przechowanie. - Teraz Helena nie kryła już łez. - Zwrócił wszystkim swoje długi. Dylizans odjechał nad ranem, tylko ja z nim byłem... nie zabrał ze sobą niczego... wyruszył tylko w tym, co miał na sobie... I do tego jeszcze padał deszcz!

Ukryła twarz w dłoniach.

- Czemu ten krajobraz jest taki płaski? - spytała z rozpaczą. - Widać było, jak dylizans się oddala... robi się coraz mniejszy, potwornie mały... a w nim Fiszer coraz mniejszy, jeszcze

mniejszy, tygi...

- Skąd miał paszport? - zapytał Bogusławski.

- Morawski mu załatwił. Jaki maciupki musi być paszport, jeśli już nic nie zostało z Fiszera?!

Bogusławski pogłaskał zwichrzone, sztywne włosy Heleny.

- Nie smuć się, córeczko - powiedział. - Ciesz się, że go spotkałaś.

Kiedy w bufecie pojawili się panowie w butach z cholewami, Zdanowicz oświadczył, że rzuca błaznowanie, od teraz będzie występować tylko w rolach tragicznych, omówił to już z Osińskim.

W garderobie, gdzie nikt mu już nie przeszkadzał, Mistrz pisał listy. W jednym przestrzegł Osińskiego, że jeśli nie rozpocznie natychmiast prób do *Skapca*, on zrezygnuje z członkostwa w radzie dyrektorów i "wyciągnie brudy na światło dzienne". Drugi list napisał do pana Siegmunda: zaproponował, że w wolnym czasie, rzecz jasna za darmo, będzie dawać panie Karolinie lekcje literatury polskiej. Trzeci list przeznaczył dla Roźnieckiego; zamierzał w nim zreferować, że w teatrze panuje zła atmosfera, pętają się jacyś obcy, a to nie będzie miało dobrego wpływu na przedstawienia. To byłby dobry kawał, ale później zrezygnował z niego.

Wieczorem porządkował w domu swoje sztuki, by jak najszybciej móc zanieść Glücksbergowi kolejne tomy. Potem kręcił się po kuchni; tam było dość ciepło, a w pokoju nie miał czym napalić. Marianna prała; Mistrz zdziwił się, jaka jest stara.

- Rano chciałbym włożyć czystą koszulę - odezwał się. - Wszystkie były brudne.

Marianna nie odpowiedziała, nie podniosła wzroku znad balii.

- Nie słyszysz?

- Słyszę.

- Człowiek mógłby przynajmniej tyle oczekiwać - powiedział Bogusławski i coraz bardziej go ponosiło. - Wszystko kompletnie brudne. Ja muszę pracować, a tu nie ma do tego najmniejszych warunków!

- Czego chcesz? - zapytała Marianna i wyprostowała się, masując bolące plecy.

- Mam cię już dosyć - powiedział Bogusławski. - Co tak patrzysz, jak jakaś święta? Tak się zachowujesz, jakbym wszystko ci zawdzięczał. Ale jeśli nie przestaniesz siedzieć mi na karku, to przysięgam, wyrzucę cię stąd.

Marianna wybuchnęła płaczem.

- Teraz ryczy - burknął. - Zawsze wtedy ryczy. Zamiast choć raz wyprać mi koszule.

- Chcesz, żebym odeszła? - spytała Marianna, pociągając nosem.

- Właśnie - odparł Mistrz i poszedł na górę.

Kilka minut później Marianna też przyszła na górę i hałasowała jak ktoś pakujący swoje rzeczy. Bogusławski obserwował ją, Marianna była zmuszona rzeczywiście się spakować. Robiła to powoli, z ociąganiem, ale w końcu i tak wszystko było gotowe. Zawiązawszy worek, usiadła i popłakiwała cicho.

- Przeżyłem z tobą całe życie - odezwał się Bogusławski zza świecy. - To okropne.

Wyszła. Mistrz przemierzał dom i wszystko, co mu ją przypominało, zapomniane przez nią ubrania, które nie zmieściły się w worku, i ozdóbki wrzucił do pieca i podpalił. Przynajmniej będzie ciepło.

Następnego dnia poszedł do Sołtyka, kasztelan natychmiast go przyjął. Mistrz prosił go o osiemdziesiąt tysięcy złotych. Sołtyk pobrał, długo milczał, potem oświadczył, że nie ma gotówki. Bogusławski skinął głową i odszedł. W garderobie napisał list do Roźnieckiego i pomijając kilka szczegółów, opisał swoje wcześniejsze rozmowy prowadzone z Sołtykiem. Zjadł coś w knajpie, po czym wrócił do domu, długo przymierzał przed lustrem ubrania i uznał, że nadal prezentuje się wspaniale.

Późnym popołudniem stawił się u Siegmundów. Drzwi otworzyła żona, na widok Mistrza oblała się rumieńcem i coś wyjąkała. Bogusławski wepchnął się do pokoju, pan Siegmund i panna Karolina natychmiast zerwali się z miejsc. Mistrz ucałował rączkę panny, która wybiegła zapłoniona.

- Panie Siegmund - powiedział do uśmiechającego się z zakłopotaniem drukarza - mam zaszczyt prosić o rękę pańskiej córki.

Siegmundowa krzyknęła piskliwie i wybiegła za córką.

Siegmund nie mógł wydobyć głosu, wskazał tylko gościowi krzesło. Mistrz usiadł wyprostowany, skrzyżował nogi, lewe kolano oparł na poręcz krzesła, wyglądał po królewsku.

Wyłożył pokrótce, że nie ma jeszcze sześćdziesiątki; zaśmiał się, by Siegmund mógł zobaczyć zdrowe zęby; ma dom, który jest dużo wart, jest członkiem rady dyrektorów w teatrze; za benefisy otrzyma w tym sezonie dość spore pieniądze; jego protektorzy wywodzą się z najwyższych kręgów; nade wszystko jednak jest zakochany. Ta miłość jest być może ostatnią namiętnością w jego życiu i byłoby dla niego potworną tragedią, gdyby los pozbawił go możliwości jej spełnienia.

Żółkowski dostał czkawki ze śmiechu, gdy Mistrz opowiadał mu o Siegmundzie, jękającym się, pełnym szacunku i przerażonym.

- I naprawdę zrzucił ze stołu wazon? - spytał, z trudem chwyając oddech.

- Naprawdę, mój królu - powiedział Bogusławski. - Ją-ją-jąkał się, ha-ha-hamletyzował i nagle buch. Mówię ci, nagle buch.

Żółkowski wciąż nie mógł dojść do siebie.

- A panie naprawdę się przebierały?

- Naprawdę - skinął głową Mistrz.

Siegmundowa i Karolina rzeczywiście przebierały się w drugim pokoju, chociaż kiedy się pojawiły, wyelegantowane i wypacykowane, Mistrz już potrząsał na pożegnanie ręką dzielnego drukarza i właśnie opowiadał, że w taki sam sposób uściśnął dłoń, tą samą ręką, samego wielkiego Napoleona.

- Tą samą ręką! - kwiczał Żółkowski.

- Idź jutro do nich - powiedział Mistrz. - Będiesz moim swatem.

- Nawet poobracam dziewczątko, jeśli Mistrz sobie tego życzy - powiedział Żółkowski usłużnie. - A swoją drogą, nie wiem, czy Mistrz wie, że Ledóchowska żali się wszystkim, że Mistrz wyrzucił z domu jej ciotkę.

Bogusławski wzruszył ramionami.

- Wiesz co, mój królu - powiedział - gdyby Marianna miała sto tysięcy złotych, przysięgam, że bym się z nią ożenił.

- "Tą samą ręką" - Żółkowski znów zaniósł się śmiechem.

Następnego dnia to on obudził śpiącego w jego łóżku Bogusławskiego.

- Byłem u nich - powiedział triumfalnie. - Wszystko kupili.

- Co im powiedziałaś?

- Rozwodziłem się nad tym, jak to Mistrz od wielu dni chodzi jak struty, nie je, nie pije, tylko opowiada o Karolinie.

- Ty idioto, nie prosiłem, żebyś mówił prawdę!

- Ha, ha - powiedział Żółkowski. - Małżonka promieniała, drukarzyna się rozmarzył, panienczka, paskudne stworzenie, gratuluję, wybiegła. Potem mnie ugościli.

- Dużo wypiełeś?

- Cóż... - Żółkowski lekko się zarumienił.

- No, opowiedz szczegółowo.

- Podałem analizie duchową postać Mistrza, za przyzwoleniem Mistrza. Że Mistrz rzadko się do czegoś zapala, ale jak już się zapali, to nie jest słomiany ogień. Jak już coś przyjdzie mu do głowy, i tak dalej. Odmałowałem nienaganną przeszłość Mistrza, uspokoiłem ich, że bękarty Mistrza są już dorosłe, rozwinęły skrzydła i nie będą wysuwać żadnych

roszczeń, tym bardziej że marzeniem Mistrza jest splodzić kiedyś legalnych potomków. Albowiem życiowym ideałem Mistrza jest ustatkowane, spokojne życie rodzinne po bożemu, trzaskający kominek z mruczącym przy nim kotem oraz oszczędna, poczciwa żoneczka, a Mistrz, *zum Trutz* wszystkim przeczącym temu pogłoskom, jest zwolennikiem urzędniczego stylu życia. Potem rzuciłem kilka negatywów, żeby się za bardzo nie entuzjasmowali.

- Co powiedziałaś, ty czorcie?

- Że Mistrz jest bezwzględny w pracy i potrafi wszystko organizować oraz reżyserować jedynie na sposób dyktatorski.

- To dobre, Niemcy to lubią.

- Wspomniałem też, że Mistrz jest wielkim aktorem tragicznym, natomiast jako komik jest aktorem drugorzędnym.

- To nieprawda! - oburzył się Bogusławski.

- Nie szkodzi; zobaczyli, że nie jestem zaślepiony.

- Będziesz moim świadkiem, Alojzy.

Potem Bogusławski poprosił Żółkowskiego o pożyczkę.

- Zwrócę z posagu - przyrzekł.

Kiedy został sam, zasiadł do pisania listu miłosnego. Pojawiło się przed nim pulchne, zbyt białe ciało dziewczyny, jej czerwonawe piegi, zebrało mu się na mdłości. Zresztą miał coś nie w porządku z żołądkiem, uderzenie gorąca i szumiało mu w uchu. Chyba z pół godziny męczył się nad listem, wyciągnął liche sztuki francuskie i niemieckie i przepisywał odpowiednie fragmenty.

Potem siedział, trzęsąc się z zimna, narzuciwszy na siebie kilka warstw odzieży. Za parę dni Osiński rozpocznie proces, o czym mogą się dowiedzieć Siegmundowie, no i z małżeństwa nici. Trzeba załatwić odroczenie.

Pochodził trochę, chuchając w dłonie. Bezmyślnie wyglądał przez okno, gdy zauważył Siegmunda i jego małżonkę, którzy zza ogrodzenia przyglądali się domowi. Bogusławski wybuchnął śmiechem. Obserwował ich zza firanki, dopóki kobieta nie odciągnęła gestykulującego z entuzjazmem drukarza, czepiając się jego ramienia.

W południe Mistrz wyruszył do znanego doktora Zabellewicza. Postanowił, że połowę pieniędzy od Żółkowskiego wyda na zaloty, ale gdy wszedł, wcisnął całość w dłoń młodego lekarza. Miał przecucie, że doktor wyczułby sumę schowaną w kieszeni i rozgniewany leczyłby go byle jak.

Zabellewicz kręcił tylko niezadowolony głową, słysząc o szarlatanerii poprzednich lekarzy. Przebadał Mistrza, opukał, potem dał mu jakiś proszek, tym razem nie szary, lecz

brązowy. Za parę tygodni Mistrz będzie świetnie słyssał. Bogusławski narzekał także na powracające co jakiś czas osłabienie. Zabellewicz wyraził przekonanie, że to z powodu nerwów.

- Może pan grać jeszcze dwadzieścia lat, Mistrzu, przeżyje pan nas wszystkich.

Bogusławski uznał za właściwe poklepać po plecach na pożegnanie znacznie młodszego od siebie doktora.

Dwadzieścia lat, pomyślał, jaki szmat czasu. Dożyć osiemdziesiątki. Ale jeśli udało się Plerschowi, można spróbować.

Przegryzał coś w knajpcie. Było niewiele osób, przysiadł się Zdanowicz i narzekał: koledzy chyba nie są wobec niego szczerzy, co ma zrobić?

- Hmm, mój królu - powiedział Bogusławski z pełnymi ustami. - Nie możesz wejść dwa razy do tego samego teatru.

Zdanowicz rozejrzał się, potem wyszeptał, że zabrano krawca Cieślaka i Malecińskiego, drugiego skrzypka.

- Nie mów. Dlaczego?

- Byli jakobinami.

Bogusławski jadł w milczeniu.

- Dziwne - kręcił głowę Zdanowicz. - Od Cieślaka nawet słowa się nie słyssało, był biedny jak mysz kościelna, a o Malecińskim wszyscy słysszeli, że lata za dziewczuchami. Jak oni się zeszlizli?

Siedział jeszcze przez chwilę, po czym odszedł.

Później dosiadł się Plersch.

Milczeli, popijając herbatę.

- Nie żal mi nas - odezwał się Plersch. - Cieszę się, że nie dożyję tego, co nadejdzie.

Bogusławski uśmiechnął się.

- Kiedyś - powiedział Plersch - czułem, że i tak mam przewagę nawet nad trupami gnijącymi od stu lat, bo oni już nie żyją, a ja tak. Teraz już w to nie wierzę. Może jest tylko jeden czas, czas życia.

- Słyssałem od kogoś - odparł Bogusławski - że trzeba prosić los nie o długą młodość, lecz długą starość.

- To prawda! - powiedział dziadzio Plersch wesoło. - Nie ode mnie to słyssałeś?

Pan Bautz przyniósł im jeszcze jedną herbatę.

- Pod koniec ubiegłego wieku - powiedział Plersch - choć możliwe, że gdzieś w jego połowie, jakiś hrabia czy książe... mam nazwisko na końcu języka...

- Nieważne.

- Ależ, no, przecież pamiętam nazwisko... niech to diabli!

- Więc?

- Założył się z pewnym doktorem, że jeśli ten utrzyma go przy życiu do wieku stu lat, dostanie milion. Potem umarł, mając dziewięćdziesiąt dziewięć i pół roku. Wyobrażasz sobie minę doktora?

- Ci arystokraci to skąpcy - pokiwał głową Bogusławski.

- Ty musisz to pamiętać, ten doktorek poległ w jakiejś bitwie w Prusach Wschodnich... no!

- Daj sobie z tym spokój, do diabła.

Plersch smutnie pokiwał głową.

- Wszystko zapominamy. Nie pamiętam już nawet swojego życia. Sam dla siebie jestem niewdzięczną potomnością.

- Tak - powiedział Bogusławski. - Tak.

- Może człowiek nie powinien się być starzec - zastanawiał się Plersch i wymienił wszystkie swoje dolegliwości.

Bogusławski uczynił to samo.

- Wszystkich po trzydziestce powinno się wytepić - powiedział Plersch. - Spośród nas najdłużej będzie żyć Niemcewicz.

- Możliwe - odparł Bogusławski. - Ludzie próżni i samolubni długo pożyją.

- Dużo jest takich - dodał Plersch i łyknął herbaty. - Ale z Niemcewiczem to inna sprawa. On ma cel w życiu. Kiedy zabrano go do Twierdzy Pietropawłowskiej, trzy dni musiał stać pod ścianą, twarzą do niej; gdy zemdłał, cucono go i nie dawano nic do picia. I stojąc pod ścianą, nagle miał wizję, zobaczył wspaniały ogród, werandę spowitą bluszczem, co jakiś czas podchodziła do niego piękna kobieta i częstowała cudownym napojem. Był to zielonkawobłękitny, przejrzysty napój o przedziwnym smaku, nieco gorzkawym... Jak cienie w ogrodzie. Kiedy odzyskał wolność, spróbował sporządzić napój, o którym wtedy śnił. Do tej pory próbuje. Niedawno go spotkałem, powiedział, że jest już całkiem blisko, ale jeszcze mu się nie udało. Nie umrze, dopóki go sobie nie sporządzi.

- Tego nigdy mi nie opowiadał - powiedział Bogusławski.

- Oczywiście - przytaknął Plersch. - Niewiele osób jest wobec ciebie szczerych.

Zamyśleni popijali herbatę.

- Taka wizja to wielka rzecz - powiedział Bogusławski i zamilkł.

- No - odparł Plersch.

Znów umilkli.

- Wszystko się ze sobą zlewa - odezwał się Bogusławski. - Pojawiają się widzenia...

- Właśnie - przytaknął Plersch.

- Światło.

- Tak.

Napili się herbaty.

- Mam wiele wspomnień - powiedział Plersch - o których nie wiem, czy mi się przyśniły, czy naprawdę je przeżyłem. Sądzę, że teraz to już nieważne. Tak czy owak są to wspomnienia. Tego, co przeżyłem czy tylko chciałem przeżyć.

Bogusławski uśmiechnął się.

- Ciekawa sprawa z tą próżnością - zmienił temat Plersch. - Przetrwa bardzo długo. Dręczy mnie to, że przetrwają płótna Canaletta, jego obrazy warszawskie... fragmenty są dokładne i wierne, ale na wszystkich jest pogodne światło słoneczne i od tego jeszcze teraz szlag mnie trafia. Ludzie będą sądzić, że to była radość mieszkać w tym pełnym słońca, uroczym mieście. A tymczasem tutaj zawsze jest tylko mgła i deszcz. Kurewski Canaletto!

- Czemu sam nie namalujesz innej Warszawy?

- Rzeczywiście, czemu nie? - spytał pogodnie Plersch. - Może nie przyszło mi to do głowy. - Roześmiał się z własnego dowcipu. - Ach, już nawet nienamalowane obrazy zaliczam do swojej twórczości. Co zrobiłem, i tak spalono, podeptano, zniszczono... na przykład te w Bibliotece Załuskich... moje rzeźby z kolekcji Sapiechów także wyprzedawano na kilogramy... teraz już wszystko mogę podciągnąć pod swoją twórczość.

Bogusławski kiwnął głową.

- Powiedz, czy ty zmartwychwstaniesz? - zapytał Plersch. - Bo ja postanowiłem, że nie. Raz wystarczy. Za drugim razem zanudziłbym się na śmierć. My urodziliśmy się jeszcze w dobrych czasach. Ale ci tutaj? - Wskazał głową na siedzących w knajpie. - Im nie będzie już dane to, co myśmy mieli. Oni już nie potrafią bez pośpiechu rozglądać się po świecie. Coś ich pogania. Oni, mój ty Boże, mają jakieś myśli, koncepcje! Ciągłe tylko myślą! Ci jaskiniowcy puciekali w głąb swoich czaszek! Już nie widzą, że poza ich czaszkami jeszcze coś jest! Nigdy już naprawdę nie zaistnieją. Myśmy jeszcze zaistnieli. Od tego płynął jakiś anielski spokój i naprawdę trudno mi żałować, że nie stałem się jakimś Lampim czy Canową.

- Jasne - powiedział Bogusławski. - W taki sposób się pragniesz pocieszyć. Bo nie chcesz bać się śmierci.

- Nie wiem - powiedział Plersch. - Teraz na przykład się nie boję. Jakbyśmy siedzieli tu od wielu dni, spokojnie pili herbatę i jakby zawsze miało tak być.

- Ummm - mruknął Bogusławski. - Modlisz się czasem?

- Nie wiem - wyznał Plersch. - Zauważyłem, że czasem mamroczę sobie pod nosem.

I możliwe, że do kogoś się modłę. Ale nie jestem tego pewien.

Bogusławski przytaknął.

- Trudne są zwłaszcza noce - powiedział.

- Tak - potwierdził Plersch.

Mieszał herbatę. Bogusławski patrzył na jego ręce malarza. Silna, żyłasta, guzowata dłoń, ciągle jeszcze sprawnie posługująca się pędzlem. Trudno było uwierzyć, że taka dłoń może kiedyś zniknąć.

- Powiedz mi tylko - odezwał się Plersch - co się właściwie z nami stało?

- Nie wiem - odparł Bogusławski.

Potem oznajmił:

- Żenię się.

- Świetnie - powiedział Plersch.

- Bądź moim świadkiem.

- Kiedy ślub?

- Za kilka tygodni.

Plersch zastanowił się.

- Pośpiesz się z tym - doradził.

Nadeszły dziwne dni, zlewające się ze sobą jak we śnie. Tylko jedna plotka rozweseliła na chwilę Bogusławskiego: przez pomyłkę zatrzymano Wyszковского, sekretarza Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, jednego z filarów grupy Iksów. Fama głosiła, że podeszli do niego na ulicy i wepchnęli do wozu. Według niektórych wersji został pobity na posterunku żandarmerii. Podobno kiedy krzyknął, że jest sekretarzem ministerstwa, żandarmi roześmiali się i jeszcze raz go pobili. Dopiero po dwóch dniach zauważono jego nieobecność i zaczęto go szukać. Mówiono, że Mostowski osobiście poszedł po niego do lochu żandarmerii; Wyszkowski stał się bezużyteczny, szeptano w bufecie.

Mistrz stracił poczucie czasu; leżał w łóżku, przykryty wszystkim, czym się dało, i wyobrażał sobie, że takimi czy innymi metodami zmusi Osińskiego do tego czy tamtego. Wywalczy sobie możliwość zagrania w operach. Wywalczy to, że Osiński umorzy mu dług. Osiński zażąda, by przyjął z powrotem Mariannę; on ją przyjmie, w zamian nie odbędzie się proces. Zagrozi Osińskiemu, że przez przypadek każe go zatrzymać, tak jak stało się z Wyszkovskim. Przy okazji dobitnie powie Osińskiemu, co o nim myśli: nigdy nie rozumiał teatru, pisał jedno pod drugim podobne słowa, w wielkiej męce wyliczał na palcach sylaby

i wyobrażał sobie, że jest artystą.

Kiedy w teatrze zobaczył obsadę *Skapca*, a przy Harpagonie swoje nazwisko, w pierwszej chwili nawet się nie zdziwił. Osiński był zmuszony ustąpić przed jego szantażem. Powoli docierało do niego, że będzie grać. Wrzasnął donośnie, wybiegł z teatru i pośpieszył w stronę domu Nacewicza, nim przyszło mu do głowy, że przecież tam się zaszyla Marianna i on nie może tam iść. Stał na ulicy i przeklinał Mariannę, która odebrała mu już nawet to, by wspólnie z nią i Anielą mógł się nacieszyć zwycięstwem.

Marianna była również przyczyną, dla której nie mógł pójść do Ledóchowskiej. Zresztą tam trafiłby może na tego idiotę Werowskiego. A jeśli ten nie tkwi już przy jej spódnicy, to jeszcze gorzej: Trusia zejdzie się z Roźnieckim.

Czemu ta Karolina nie jest stara i mądra? Czemu on nie może się podzielić z narzeczoną swoją radością i smutkiem? Czemu musi udawać? Czemu musi u tych kretyńskich Siegmundów powstrzymywać się siłą, by nie pierdnąć?

Ta cała Karolina jest jakaś taka młoda i głupia, nie będzie się mógł przed nią spokojnie rozebrać do naga, ale musi jakoś się z nią ożenić.

Wrócił do teatru, może zastanie tam Plerscha, gdzieś go zabierze i się upiją.

W knajpie powiedziano mu, że Plersch wrócił do domu. Bogusławski ruszył spacerkiem na Mariensztat; tam w małej mansardzie mieszkał od dziesiątków lat samotnie Plersch. Swego czasu Mistrz dość często do niego zaglądał, głównie w sprawie dekoracji i kostiumów, nigdy jakoś się nie zaprzyjaźnili, ale lubili się wzajemnie. Bogusławski w głębi duszy pogardzał nieco małymi artystami, a Plersch lubił się zagłębiać w drobne, niemające znaczenia szczegóły.

Był czas, pomyślał zdziwiony Bogusławski, kiedy myślałem, że są także szczegóły o dużym znaczeniu.

Przed domem Plerscha stało sporo osób, stare kobiety piskliwie o czymś rozprawiały, dzieci się gapily, maluchy beczaly. Mistrz pełen złych przeczuc przystanął, potem jednak zmusił się, by podejść bliżej. Z paplaniny wynikało, że ktoś umarł.

- Już go zabrali - powiedziała stara kobieta, z jej nosa wyrastały długie, szczeciniaste włosy. - Wyglądał, jakby spał.

- Jeszcze rano było z nim wszystko w porządku - powiedziała inna staruszka.

- Był bezbożnikiem - darła się jakaś brzydka młoda kobieta. - Ale Bóg go pokarał, Panie świeć nad jego duszą!

Młoda kobieta odwróciła się, Mistrz zauważył, że jest w ciąży.

- Tak młodo - powiedział gruby mężczyzna. - Tak młodo!

Bogusławski wdrapał się na górę. Skoro był młody, znaczy, że to nie Plersch umarł. Ale mimo wszystko nie wstąpił do niego. Taki był dziwny w knajpie, na czole miał wypisany znak.

To idiotyczne, pomyślał Mistrz. Jutro w teatrze opowie mu o tym, a Plersch się uśmieje.

Trzeba by pójść do Siegmundów, żeby nie pomyśleli, że się rozmyślił.

Wrócił do domu. Miał jeszcze trochę chleba w spiżarni, pokroił go. Bardzo szybko się zmęczył, dyszał, serce mocno biło i długo nie chciało się uspokoić. Potem napalił w kuchni i siedział, siedział przy świecy. Przejrzał się w lusterku zapomnianym przez Mariannę, zrobił dziarską, męską minę. Odegrał, jak stawi się następnego dnia u Siegmundów bardzo sprężyste, świeży, gładko ogolony i tak oto pojmie Karolinę za żonę, tak oto za darmo wyda swoje utwory, tak oto teść drukarz spłaci jego długi, a każdego dnia będzie chodzić do teatru. Drugiego Bogusławskiego, od którego przez ten czas nie potrafił się uwolnić, który był słaby i nieskuteczny, z drwiącym uśmiechem wyгнаł z lusterka.

Położył się tak, jakby łóżko było teatralnym rekwizytem, a on zgodnie z rolą miał rozprostować kości.

W nocy zerwał się spocony, usiadł i słuchał walenia serca. Powoli wrócił do siebie, głęboko oddychał i macał puls: już wolniejszy, już wolniejszy, powtarzał w duchu. Śniły mu się koszmary, coś z matką, mroczne obrazy kłębiły się jeszcze w głowie, ale szczegółów nie mógł sobie przypomnieć. Ale widziałem matkę, mruczał półgłosem, należy się z tego cieszyć.

Wstał, ubrał się, znów pochodził trochę po kuchni, pociągając z niedopitej butelki wódkę. Świeca świeciła teraz znacznie słabiej, niżby tego pragnął, poza bladym kręgiem ogromna ciemność rozwierała na niego paszczę. By ją odpędzić, śpiewał głośno i długo.

O świcie ponownie wsunął się do łóżka, ale się nie położył: oparł się plecami o wezłowie, by chociaż od tej strony być bezpiecznym, gdy nadejdzie śmierć i go zaatakuje.

W południe obudził się z uporczywym bólem głowy. Poszedł do teatru na obiad. Przyjęto go wiadomością, że dwie godziny temu zmarł Plersch. Mistrz wzruszył ramionami.

- Był już dość stary - powiedział.

Zamówił herbatę, ale nawet jej nie skosztował, tylko poszedł na widownię. Kurtyna nie była podniesiona. Jakie to szczęście, pomyślał. Westchnął. Teraz należałoby wyjąkać słowa wdzięczności. Na kurtynie był napis: „*Regit dictis animos et pectora mulcet*”. Namalował go tam Plersch. Tylko to po nim zostało, a nawet to napisał Wergiliusz.

Więc jednak drużbą będzie Żółkowski.

Wrócił do knajpki i zaczął siorbać herbatę. Przynieśli „Gazetę”: znów była w niej

recenzja teatralna, pan X zmartwychwstał. Ale nie pisał o Teatrze Narodowym, tylko o przedstawieniach francuskiej trupy przybyłej z Petersburga, które odbyły się w pałacu Brühla. Wystawiono komedie Monvela, Marivaux, De Lesseura i Pigault-Lebruna, pan X nie zostawił na nich suchej nitki i napisał: żadna aktorka tego zespołu nie jest zdolna rywalizować z Dmuszewską, Ledóchowską czy Aszpergerową.

Zbierano na pogrzeb i wieniec dla Plerscha, Bogusławski nie dał pieniędzy, ale wyraził gotowość wygłoszenia nad grobem mowy pożegnalnej. Okazało się jednak, że i Malinowski, i Wolski napisali własne; wręczyli je już panu Unickiemu, który prześle je do cenzury. Bo wyszło rozporządzenie, że mowy pogrzebowe również należy cenzurować. W knajpie pojawił się Aszperger i położył na stole dziesięciostronicowy rękopis, to także była mowa pogrzebowa. Poprosił obecnych o krytyczne uwagi, by móc jeszcze poprawić tekst, zanim go odda cenzurze.

Rutkowski uważał, że w tej sprawie należałoby zwołać radę dyrektorów. Później pojawił się Unicki i z żalem zakomunikował, że obie mowy pogrzebowe odrzucono: zgodnie z rozporządzeniem mogą w nich występować jedynie określone słowa, wyszczególnione na liście cenzury, a ostatnie pożegnanie w imieniu całego zespołu teatralnego zredaguje cenzura.

- Pan Osiński ma prośbę - powiedział - by mowę odczytał nad grobem pan Rutkowski, kandydat na posła.

Przynajmniej nie muszę iść na pogrzeb, pomyślał Bogusławski. Ucieszył się, że nie będzie musiał narażać się na przeziębienie.

Zresztą nie będzie miał na to czasu, zaczynają się próby *Skapca*.

Przeciągnął się i otrząsnął.

Namówił kilku muzyków, by wieczorem zegrali pannie Karolinie serenadę. Pół godziny się wykłócał, nim udało mu się zestrugać dwadzieścia procent z kwoty, której zażądał fagocista Czyże. Różnica nie była zbyt wielka, ale Mistrz cieszył się z sukcesu. Potem znów poprosił Żółkowskiego o pożyczkę na kolejne cele.

Spośród ubrań Szymanowskiego wybrał wspaniałą frak, przymierzył, nieźle się w nim prezentował. Szczęście, że Szymanowski też jest wysoki i szczupły. Jeśli nie oszaleje, dostanie go z powrotem.

Z magazynu kostiumów wypożyczył na czas nieokreślony piękny damski strój wieczorowy i zawinąwszy go w stare „Gazety”, przemycił z teatru.

Karolina była oczarowana. Mama jąkała się z wrażenia. Siegmund zrobił się czerwony jak rak. Bogusławski oznajmił, że jego żona może chodzić jedynie w najbardziej wykwintnych strojach, bo na przyjęciach i premierach musi błyszczeć.

Błagał o wybaczenie, że przez kilka dni nie mógł ich odwiedzić, ale zatrzymały go sprawy teatralne: przygotowuje się do roli.

- O - powiedział na to pan Siegmund.

- Harpagon - oznajmił Mistrz.

- O - powiedział Siegmund.

Bogusławski wtajemniczył rodzinę Siegmundów w nad wyraz sekretne sprawy: tajemnice kulis. Jak aktor przygotowuje się do roli. Co jest za kulisami i ogrodzeniami pałaców. Prawdziwie fantastyczny świat. Arystokraci, książęta, hrabiowie, aktorzy, muzycy, artyści. Cudowny świat. Mistrz błyszczał, wymyślał cudowne bajeczki, jego wyobraźnią zawładnął odmalowany przezeń wielki świat, w którym nie było ciemnych stron. Czarujące historyjki wymyślił także o Plerschu. Opisał kilka jego obrazów; fakt, że Plersch ich nie namalował, tylko ułatwiał sprawę.

Został na skromnej kolacji. Jadł wolno i dużo mówił; wreszcie rozległa się serenada. Bogusławski stał w otwartym oknie, dyrygował drżącymi na dole z zimna muzykami, potem z ich akompaniamentem śpiewał arie. Przed dom Siegmunda zbiegli się gapie - przekupnie, urzędnicy i rzemieślnicy, drukarz u boku Bogusławskiego pysznił się w oknie, jego szczęście nie miało granic.

Po odejściu muzyków Mistrz w rodzinnym gronie śpiewał po niemiecku Mozarta, potem przedstawił kilka monologów z przeróbek Szekspira dokonanych przez Schrödera. *Fantastisch*, powtarzał Siegmund. Bogusławski oświadczył, że Schröder jest największym dramatopisarzem na świecie i chyba nieprzypadkowo urodził się Niemcem. Siegmund oponował: przecież polscy dramatopisarze też nie należą do ostatnich.

Koło północy Mistrz zaczął się zbierać do wyjścia, aczkolwiek niechętnie: na twarzy miał wypisane, że boli go opuszczenie tej intymnej atmosfery i miłej rodziny. Siegmundowa zatrzymywała go, Siegmund zaproponował, by Mistrz spał u nich, byłby to dla niego wielki zaszczyt. Bogusławski wymawiał się, jak tak można, nie chce stwarzać krępującej sytuacji, zresztą nie byłoby to stosowne, co powiedzą sąsiedzi, miasto, że on, przed ślubem! Potem nagle przyjął propozycję. Siegmund osłupiał, nie oczekiwał tego. Karolina wybiegła, po niedługiej chwili wróciła przebrana w nocny strój, Mistrz był olśniony. W tym czasie matka poszła zmienić pościel. Siegmund, ślaniając się od wina i senności, wyciągnął ze spiżarki resztki, Bogusławski szybko je połknął.

Zapewnił pana Siegmunda, że jego zamiary są jak najbardziej czyste i jednak raczej pójdzie, gdyż nie tylko kocha Karolinę, ale również głęboko ją szanuje, nie chce się pokazać w złym świetle. Siegmund oświadczył, iż Mistrz zawsze byłby mile widzianym gościem

w jego domu, mógłby zostać, jak długo by tylko chciał, nawet jeśli nie łączyłyby ich więzy rodzinne.

Gdy tylko łóżko było gotowe, Mistrz życzył rodzinie dobrej nocy i umknął do przygotowanego pokoju.

- *Was für ein echter Chevalier* - usłyszał niski głos Siegmundowej.

Szybko się rozebrał i wsunął do łóżka. Był przekonany, że duchy szukają go w domu i nie odnajdą u Siegmunda. Ale je przechytryłem, pomyślał, chichocząc, i tak mocno uwierzył, że w obcym łóżku nic złego nie może go spotkać, że szybko zasnął.

We śnie przesłuchiwały go jakieś typy. Z chęcią odpowiedziałyby na wszystko, ale źle słyszał pytania, a przesłuchujący nie byli skłonni ich powtarzać. Stawali się coraz bardziej groźni, potem, to było w tym wszystkim najgorsze, nagle go wyśmiali. Obudził się zlany potem.

Odmówił zjedzenia śniadania i popędził do teatru na próbę.

Pełen świeżych sił, tanecznym krokiem pośpieszył do sali prób, serdeczny i pewny siebie, pozdrowił aktorów. Potem zrobiło się cicho. Zaczął mówić Kudlicz: jest bardzo mało czasu do premiery, niech każdy błyskawicznie nauczy się tekstu i jak najwięcej błaznuje, by publiczność rozbolał brzuch ze śmiechu.

Bogusławski patrzył ze zdumieniem na Dmuszewskiego, który ze zwieszoną głową słuchał słów Kudlicza.

- Co jest? - zapytał. - Kudlicz reżyseruje sztukę?

- Tak - odparł krótko Kudlicz.

- Było napisane, że reżyserem jest Dmuszewski.

- Było - powiedział Kudlicz. - Teraz jest inaczej.

Idiota Dmuszewski, klął w duchu Mistrz, dał sobie zabrać stołek, a przecież mógł się wybronić. Czemu w decydujących chwilach wszyscy są tacy słabi?!

- W porządku, mój królu - kiwnął głową do Kudlicza. - Zobaczymy, czegoś się nauczył od Iksów.

Stłumione śmiechy. Kudlicz spojrział ponownie na aktorów. Potem znów przypomniał, by nauczyli się ról, i oświadczył, że ku radości wszystkich Osiński sprowadza z Paryża dekoracje.

- Nie od tego zależy powodzenie sztuki - chlapanął Bogusławski i uderzył się w usta.

Kudlicz był zmuszony odczekać, aż ucichnie śmiech.

Potem powiedział, że dlatego jest ich teraz tak mało, że nie można jeszcze przydzielić roli Elizy, ponieważ pani Dmuszewska... cóż, pani Dmuszewskiej lekarz zalecił odpoczynek.

Na jej miejsce poproszono Aszpergerową, ta jednak nie zamierzała grać roli odebranej Dmuszewskiej.

Bogusławski zgrzytnął zębami. Takiemu baranowi jak ten Dmuszewski powinno się było choć trochę nadepnąć na odcisk i teraz on reżyserowałby sztukę. Czyli ja, pomyślał Mistrz.

- Kto więc będzie moją kochanką? - zapytał Malinowski.

- Myśleliśmy też o pani Ledóchowskiej - powiedział niechętnie Kudlicz. - Ale ona dostała główną rolę w innej sztuce... reżyseruje ją sam pan Osiński.

Zdziwienie. Wypytywania, co to za sztuka. Napisał ją Feliński, powiedział Kudlicz. A co to za jeden?

- Chyba nie ten, co napisał *Za pomyślność króla*? - zapytał Bogusławski.

- Ten - odparł zwięźle Kudlicz.

- Mój ty Jezu. - Bogusławski teatralnym gestem złapał się za głowę.

Widząc to, wtrącił się, wcale nie po koleżeńsku, Malinowski: Ledóchowska i tak jest za stara, jego sceniczną kochankę może grać tylko młoda kobieta.

Kudlicz ostro przywołał ich do porządku: mają teraz czytać sztukę.

Zaczęli. Rolę Elizy dukał z egzemplarza sufler Wąsikowski.

Czytali mechanicznie, Kudlicz im nie przerywał i nikomu niczego nie objaśniał. Tak doszli do sceny czwartej, gdzie Bogusławski-Harpagon oznajmia Dmuszewskiemu-Kleantowi, że zamierza poślubić Mariannę (o dziesiątki lat młodszą ukochaną jego syna). Bogusławski przeczytał tekst i czekał, aż zacznie Dmuszewski, ale panowała cisza. Mistrz podniósł wzrok. Wszyscy z pochylonymi głowami śmiali się bezgłośnie. Tylko Dmuszewski się nie śmiał, spoglądał smutno na innych.

Bogusławski opanował się i po chwili spytał niewinnie:

- O co chodzi?

Malinowski wybuchnął śmiechem. Inni już swobodnie dołączyli do niego.

- Cieszę się - oznajmił Bogusławski z wdzięcznością - że już teraz mam taki sukces.

Śmiechy nie ucichły.

- Może idźmy dalej - zaproponował Mistrz.

Dmuszewski zaczął swój monolog, ale inni wciąż rechotali, także w końcu on też zaczął się śmiać.

- Ja na twoim miejscu - powiedział Bogusławski po ojcowsku do Kudlicza - utrzymywałbym większą dyscyplinę.

Kudlicz patrzył pustym wzrokiem przed siebie.

- Udajesz teraz, że myślisz? - zaciekał się Bogusławski.

- Przestańcie już - powiedziała Helena Rutkowska, zdenerwowana i zawstydzona.

- Zakładam - powiedział Kudlicz swym pięknym, męskim barytonem - że publiczność będzie reagować podobnie.

- Mianowicie?

- Będzie się śmiać.

- I chwała Bogu - odparł Bogusławski. - To jest przecież naszym celem.

- Ale nie będą się śmiać z Harpagona.

- Tylko z kogo? - spytał Mistrz.

Zapadła cisza, czekali na odpowiedź Kudlicza. Ten bąknął wymijająco:

- Wszyscy znają warszawskie plotki...

- Ach - powiedział Bogusławski. - Ja też je znam. Jestem wtajemniczony w różne sprawy, że tak powiem. Ale co ma wspólnego Harpagon z moją szanowną osobą, pytam? A jeśli ma, to może zamierzam sparodiować w tej roli samego siebie? Mam prawo tak uczynić. Mam prawo czy nie?

- Publiczność - powiedział Kudlicz - będzie się śmiać z jednego z naszych aktorów, a to niedobrze.

- Ja się na to godzę - odparł Bogusławski. - Czytajmy dalej.

Już nikt się nie śmiał. Dmuszewski ruszył ze swoim tekstem, ale Kudlicz mu przerwał.

- Musimy to dokładnie przedyskutować. Żółkowski grał już tę rolę, z powodzeniem... z niego nikt się nie śmiał.

- Jeśli tak było, to niedobrze - powiedział Bogusławski. - Ze mnie mogą się śmiać. Lecimy.

- Zarządzam przerwę - oznajmił Kudlicz i zamknął egzemplarz.

- Wyjaśnijmy coś sobie - rzekł Bogusławski. - Dostałem tę rolę i ją zagram.

- Tylko że nie chodzi tutaj o osobę Mistrza - odparł Kudlicz - ale autorytet Teatru Narodowego.

- Jeśli ktoś chce bronić autorytetu teatru - powiedział Bogusławski - niech nie dopuszcza ciebie w jego pobliże, mój królu.

Kudlicz zagryzł usta.

- Dobrze - rzekł. - W tej sytuacji nie podejmuję się reżyserowania.

- W porządku - odparł Bogusławski. - Prócz ciebie są jeszcze inni reżyserzy.

- Bardzo cię proszę - odezwał się Dmuszewski - nie trzeba od razu takim tonem... można to przedyskutować, moim zdaniem zbyt dużą wagę przywiązujesz do prywatnego

życia Mistrza...

Bogusławski zbladł z wściekłości. To już nie tchórzostwo, to zdrada. Parszywy Dmuszewski, boi się, że znów go wezwą do ministerstwa. Spojrzał na niego z nienawiścią.

- Ty się nie wtrącaj - powiedział ostro Kudlicz. - Albo przejmij sztukę, nie muszę wszystkiego ja reżyserować... chętnie zrzeknę się tego na twoją korzyść.

- Ja zagram tylko wtedy, gdy będzie reżyserować pan Kudlicz - oświadczył nieoczekiwanie Rywacki.

- Ja także - powiedział Wąsowicz.

- Świństwo! - wybuchnęła Helena.

Ojciec zmusił ją do milczenia: nie wolno się do tego wtrącać.

- Co to znaczy, nie wolno?! - krzyknęła Helena z furją. - To niesłychane! My tu się zaśmiewamy, a tymczasem... Ja rezygnuję z roli, znajdźcie sobie jakąś kurwę, która to zagra!

Nagle wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Żółkowska próbowała mediować. Zawadzki trzymał z Kudliczem. Wąsowicz oświadczył, że zamiast sługi Jakuba chętnie zagra rolę pana Dmuszewskiego, jeśli ten na nią nie reflektuje. Zdanowicz powiedział, iż zagra niezależnie od okoliczności i niech nie próbują wciągać go do polityki.

- Ile masz lat, mój królu? - spytał Mistrz Rywackiego.

- Dwadzieścia pięć... A bo co?

- No, powiedz mi tylko, mój królu. Wyszło już zarządzenie... czy i ty musisz iść w kamasze?

- Wyszło... dwa dni temu... ale ja jestem niezdolny, mam papier!

Bogusławski skinął głową.

Nagle się wzdygnął. Klęczał przed nim Malinowski i błagał o wybaczenie, że przed chwilą ośmielił się z niego śmiać. Z takiego świętego człowieka!

Śmiech i wzruszenie po występie Malinowskiego dobrze podziałały na Kudlicza, bo wymknął się z sali prób.

- Dzieci, za dziesięć dni premiera! - krzyknęła Żółkowska. - Oprzytomnijcie!

Pół godziny później Wąsikowski napisał raport o awanturze i jeszcze przed obiadem przekazał go łącznikowi, kapitanowi Skrobeckiemu.

Bogusławski był ostatnim, który pozostał w sali. Nie mógł pójść po radę do Żółkowskiego, bo przecież zabrał mu rolę. Do Ledóchowskiej też nie mógł pójść. Co mogła powiedzieć mu Trusia? Pieniądzy trzeba, pieniędzy, by nie musiał się żenić. Koniecznie musi zdobyć pieniądze.

Mistrza nie było już w teatrze, gdy Malinowski odszukał Ledóchowską w jej

garderobie. Chciał ją namówić do pomysłu, by wszyscy aktorzy zrezygnowali z ról oraz prób, póki nie dostaną gwarancji, że Mistrz będzie mógł zagrać Harpagona. Tymczasem do Ledóchowskiej zdążyło już dotrzeć, że Malinowski nazwał ją starą, więc wyrzuciła go z garderoby. Nieco później zaproponowała jednak Werowskiemu, by oboje zrezygnowali z ról w sztuce Felińskiego i w ten sposób wywarli nacisk na Osińskiego i Kudlicza. I tak sztuka jest niedobra, argumentowała, rolę Barbary Radziwiłówny może zagrać ktoś inny.

Werowski nie zgadzał się z nią; to mogłoby ich rozdzielić. A sztuka Felińskiego wcale nie jest taka zła; właściwie jest znakomita; w gronie Iksów, jak słyszał, odniosła wielki sukces, sam hrabia Mostowski ją przeczytał, bo autor jest bardzo nieśmiały, a co czyta sam minister spraw wewnętrznych...

- Więc tylko ja zrezygnuję - powiedziała Ledóchowska.

- Nie wolno, maleńka. - Werowski pogłodził ją po głowie.

Ledóchowska ze wstrętem odepchnęła jego rękę.

- Porozmawiam z Osińskim - powiedziała i wyszła z garderoby.

Z Osińskim nie musiała jednak rozmawiać, ku zaskoczeniu wszystkich dyrektor był po stronie Bogusławskiego, krzychał na korytarzu, że nie znosi braku dyscypliny w teatrze, to on ustala obsadę, a jeśli komuś się nie podoba, może się wynosić; jeśli za dziesięć dni nie będzie premiery, wywali Kudlicza tak, by dobrze to popamiętał.

Kudlicza nie było w teatrze, gdy Osiński wrzeszczał, ale wielu aktorów to słyszało i właśnie oni opowiedzieli o tym zdumionej Ledóchowskiej. Weszła do pokoju Unickiego, ale ten zastąpił jej drogę i nie wpuścił do dyrektora. Ledóchowska oświadczyła, że jest gotowa zagrać zarówno rolę Barbary, jak i Elizy, w ciągu dnia i wieczorem będzie próbować z panem Osińskim, molierowskiej roli będzie się uczyć oddzielnie, po nocach, ale Unicki powiedział, iż dyrektor się na to nie zgodzi.

- Muszę z nim porozmawiać - uparła się Ledóchowska.

- Nie można - powiedział Unicki.

- Kto jest u niego? - spytała aktorka.

- Nikt - powiedział Unicki.

Nie uwierzyła, odsunęła sekretarza i wpadła do pokoju dyrektora. Był pusty.

- To w końcu kogo pan tu pilnuje? - zapytała Unickiego.

Ten westchnął, nie umiał odpowiedzieć.

Tymczasem Bogusławski siedział w komendanturze miejskiej i obserwował oficera, który ostentacyjnie grzebał w szafie.

Niechętnie go wpuszczono i ostatecznie nie zaprowadzono przed oblicze

Roźnieckiego. Kiedy przedstawił się oficerowi i oznajmił, iż potrzebuje pieniędzy, oficerowi nawet nie drgnęła powieka, zaczął grzebać w papierach.

- Wielokrotnie pisałem już do pana generała - powiedział Bogusławski z nadzieją. - W rozmowie również ustaliliśmy...

- Pieniądze - mruknął oficer z obcym akcentem. - Ależ oczywiście.

Rozwiązał tasemkę, wyciągnął jakieś kartki, przejrzał kilka i położył przed Mistrzem.

- Niech pan to przeczyta.

Na samej górze leżał raport o wydarzeniach na dzisiejszej próbie, pisany ręką Wąsikowskiego, Bogusławski tylko zerknął i odsunął go na bok.

Nieznana ręka informowała właściwe władze, że „Bogusławski chyba nie będzie mógł wrócić na scenę. Na prawe ucho częściowo, a na lewe prawie całkowicie ogłuchł”.

Do kartki były dopięte inne, Bogusławski przerzucił je.

„...w związku z duchowym niedomaganiem Szymanowskiego idącym w parze z dolegliwościami cielesnymi nie można liczyć na jego szybkie wyzdrowienie”...

„...Żółkowski wygląda kiepsko, w ostatnich tygodniach schudł, kaszle. Zapewne choroba płuc. Stara się to ukrywać”...

Kolejna odręczna notatka. Bogusławski czytał ją szybko.

„Pan Bogusławski rzadko uczy się swoich ról i lubi grać z udziałem suflera, porażki nie ścierpi”. Kilka nieciekawych zdań, po czym: „Podług moich szacunków Siegmund z córką może dać najwyżej 15-20 tysięcy złotych posagu. Jeśli, co niewykluczone, Bogusławski zlicytuje lub przeznaczy na główną wygraną na loterii swój dom, który otrzymał od Iksów, obie kwoty łącznie nie osiągną kwoty żądanej przez Osińskiego”.

Dobry pomysł, pomyślał Bogusławski, ta loteria. Można będzie wygrać dom.

Swego nazwiska więcej już nie znalazł, ale dowiedział się, że Ledóchowska potrzebowała *garde de dame* i dlatego wybrała Werowskiego, który z pewnością się dla niej nie rozwiedzie. Przczytał, że Osiński pokłócił się z Lipińskim i Niemcewiczem. Niemcewicz odwiedził wypuszczonego na wolność i przebywającego w areszcie domowym Węgrzeckiego, byłego prezydenta, ich rozmowa nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Węgrzeckiego odwiedzili jeszcze:... (nieznane nazwiska). Antoni Fiszer wyjechał do Paryża... Zatrzymano list adresowany do przebywającego w Paryżu Antoniego Fiszera, jego autorem przypuszczalnie jest usunięty z uniwersytetu osobnik nazwiskiem Zamoyski, członek grupy Mauersbergera...

Zdanowicz zachowuje się tak, jak można było oczekiwać, dalsza obserwacja jest zbędna.

Żółkowski błagał Osińskiego o rolę Falstaffa. Dwa omówienia sztuki Szekspira; autor notatki zdradzał dobre wyczucie literackie i zaznaczył, że komedia jest dość dobra, Żółkowski z pewnością zechce w niej wystąpić.

- Czy chce pan czytać dalej?

Bogusławski zerknął na dalsze kartki. Były wśród nich recenzje wycięte z gazet, trochę pisanych inną ręką raportów szpicli, kilka jego listów do Każyńskiego i Roźnieckiego. Nic ciekawego.

Potrząsnął głową.

Oficer pieczołowicie uporządkował kartki i spiął je dokładnie.

- Pan jest Francuzem, mój królu? - spytał Bogusławski po francusku.

Oficer westchnął.

- Niezupełnie - odpowiedział, również po francusku. - Nikt tu poza mną nie utrzymuje porządku, mój panie, czasem upływa wiele dni, nim coś nadejdzie.

- Niezbyt kompletne te moje materiały - zauważył Mistrz.

Oficer uśmiechnął się smutnie.

- Wiem - powiedział. - Ale co mam zrobić? Wy, Polacy, jesteście piekielnie niedbali. Polskie raporty pełne są domysłów, spekulacji, rzadko kiedy są w nich prawdziwe informacje. U was nawet donosiciele nie potrafią oddzielić faktów od własnych oczekiwań. Polakom, mój panie, brakuje obiektywizmu. Charakterystyczne, że najlepsze raporty piszą osoby obcego pochodzenia.

Macrott, przyszło na myśl Bogusławskiemu. Z pewnością ten młodszy.

- Ma pan sporo na głowie - powiedział.

- Kłopot w tym - ciągnął oficer - że nie potrafię się już odzwyczaić od rzetelności. Wbito mi ją do głowy za czasów Napoleona. A tutaj... Pan również mógł tego doświadczyć, mój panie, że nie honoruje się zasług i rzetelnej pracy.

Bogusławski przytaknął. Oficer odłożył plik papierów do szafy i ją zamknął. Usiadł. Westchnął:

- Niech pan powie, co ma zrobić człowiek, jeśli taki jest jego zawód?

Bogusławski przytaknął ze zrozumieniem. Może siedzący naprzeciw niego oficer to Vandernoot, o którym kiedyś wspominał Niemcewicz.

- W Europie, proszę pana, ten zawód jest szanowany, ale tutaj!... Dziwny bywa los człowieka, nieprawdaż? Nigdy bym nie uwierzył, że przeznaczenie zaprowadzi mnie do Warszawy, gdzie muszę dożyć swych lat, z dala od cywilizacji.

- Dostanę pieniądze, mój królu? - zapytał Bogusławski.

Oficer coś bąknął zamiast odpowiedzi.

- Wielokrotnie pisałem do generała Roźnieckiego... Pan z pewnością czytał...

- Pan też chyba widzi, że nie możemy liczyć na pańską współpracę - powiedział poważnie oficer. - Nie mamy czego honorować, mój panie.

- Ale przecież pan generał...

- Przykro mi. Nie możemy na pana liczyć.

Bogusławski wstał i ku zaskoczeniu oficera z radością i wdzięcznością uścisnął mu rękę.

Na ulicy śmiał się rozluźniony. Mój słuch nie da się wyleczyć? Nie muszę wydawać na lekarzy! Posag będzie mały? Nie muszę się żenić! Mój dom jest mało wart? Niech Osiński żałuje!

Zobaczą jeszcze cuda w Teatrze Narodowym. Nawet najlepszy donosiciel może się mylić. Będzie grać. Niepotrzebny mu sufler, naucz się roli.

Nikomu nic nie jest winien.

Pośpieszył do domu. Drżący z zimna przechodnie patrzyli za nim zdziwieni, w Warszawie od dawna nikt nie śmiał się na ulicy.

W domu napalił w kuchni, został w futrze i rękawiczkach, wygrzebał stary przekład *Skąpca* zrobiony przez Baudouina, obok położył nowy autorstwa Dmuszewskiego. Zabrał się do poprawek. To będzie dobry scenicznie tekst. Inni będą tylko mówili swoje kwestie oparte na dwóch jednakowo słabych tłumaczeniach albo sami je sobie przerobią.

W spiżarni było już niewiele do jedzenia. Klął w duchu, niech diabli porwą Mariannę, w takich chwilach nigdy nie można na nią liczyć.

Dalej ślęczał nad egzemplarzem sztuki. Szybko się zmęczył, odchylił się do tyłu na krześle, płomień świecy zakołysał się, w kuchni zrobił się przeciąg. Jakby ktoś chodził w ciemności. A przynajmniej Mistrz tego by chciał.

- Przyszedłeś, Jean-Baptiste? - mruknął Bogusławski dość uprzejmie.

Molier usiadł po drugiej stronie stołu.

- Czemu chcesz zagrać właśnie Harpagona? - zapytał.

- Czy to nie wszystko jedno? - odpowiedział pytaniem na pytanie Bogusławski.

Chwilę milczeli. Bogusławski czuł się zaszczycony.

- Prawie każda twoja sztuka jest znakomita, mój królu - powiedział duchowi.

Molier najwyraźniej ucieszył się z komplementu. Był to duch pełen próżności.

- Mimo wszystko Tartuffe bardziej by do ciebie pasował - oznajmił autor z lekką naganą, po czym się ucieszył: - W tych czasach, nieprawdaż... - Złośliwie wyszczerzył zęby,

co dotknęło Mistrza.

- Powiedz mi tylko - ciągnął impertynencko Molier, wykorzystując swój status gościa - czemu wieczorem, przed zaśnięciem, w łóżku Siegmunda, miałeś uczucie, że wszystko to już kiedyś przeżyłeś?

Bogusławski milczał.

- Powiem ci - oświadczył Molier, w dalszym ciągu złośliwie, z pozycji kogoś nieśmiertelnego. - Bo kiedyś już grałeś rolę Tartuffe'a.

- Czy musisz mi to wszystko przypominać? - zapytał Bogusławski.

Molier się obraził.

- To mogę sobie pójść - powiedział.

- Nie odchodź - poprosił Mistrz.

Molier został.

- No cóż - rzekł Bogusławski. - Właściwie powinno ci być przyjemnie, również po twojej śmierci tak pięknie się powtarzają wszystkie podstawowe sprawy.

Molier uśmiechnął się tajemniczo.

- Tyle tylko, mój królu - ciągnął Bogusławski - że dzisiaj trzeba by było zagrać twoją sztukę inaczej: to Tartuffe ma rację, a nie otaczający go idioci. Tego nie wiedziałeś, drogi Jean-Baptiste.

- Hm, hm - odparł tajemniczo Molier i zaśmiał się.

- No nie - powiedział Bogusławski. - Mimo wszystko nie byłeś aż taki mądry.

Ze świecą w ręce pobiegł do pokoju i wygrzebał francuski egzemplarz *Tartuffe'a*. Molier kłębił się jak dym wokół świecy.

- Spójrz tylko - Bogusławski pokazał egzemplarz, na którego marginesie pełno było jego uwag. - Tu trzeba trochę poprawić... i tutaj też... swoją drogą, bardzo dobre, nie przeraż się...

Molierowi się nie śpieszyło, odczekał, aż Mistrz zapisze na marginesie nowe poprawki.

- Kiedyś zrobię *Tartuffe'a* - oznajmił utrudzony Bogusławski z żarem w oczach.

Molier nie odpowiedział. Wyglądał na zasmuconego.

- Nie wierzysz? - zapytał Mistrz napastliwie.

Molier zaczął się rozwiewać, Bogusławski szybko go zapytał:

- Co było z tym kazirodztwem?

Molier westchnął.

- Teraz jestem starszy od ciebie - powiedział Bogusławski. - Ty przeżyłeś tylko

pięćdziesiąt lat.

- Pięćdziesiąt jeden - odparł duch. - Miałem czterdzieści, gdy poślubiłem Armandę.

- Widzisz - rzekł Mistrz. - Między wami było tylko dwadzieścia lat różnicy, między Karoliną a mną czterdzieści. Zrozum, to niemała odwaga z mojej strony...

- Ale ja umarłem na scenie - odparł Molier ze złośliwą satysfakcją.

- Bo co, a ja gdzie umrę?

Molier tylko się zaśmiał.

- Wcale nie umarłeś na scenie - powiedział gniewnie Bogusławski - tylko w domu!

Molier, zadzierając nosa, teraz już zdecydowanie gotował się do odejścia.

Mistrz zatrzymywał go; Molier skinął głową, jakby na pożegnanie; mogło to także oznaczać, że znów się kiedyś zjawi.

- Prawda, że mogę jeszcze grać? - zapytał Bogusławski i nadstawił ucha, czekając odpowiedzi.

Molier nic nie odrzekł, a jeśli tak, musiał to zrobić bardzo cicho, gdyż Mistrz słyszał tylko szum w uszach.

Przemył twarz w zimnej wodzie, odłożył na bok egzemplarz *Tartuffe*'ai zaczął wałkować rolę Harpagona w przekładzie Dmuszewskiego. Nie można poprawiać, Kudlicz może się przyczepić. Uczyl się całą noc, o świcie coś przegryzł, potem znów chodził w futrze i rękawiczkach, w kółko recytując rolę.

Rano na dziesięć minut zwałił się na łóżko. Wyciągnął się szczęśliwy. Ręce splótł na piersi, z niepokojem słuchał bicia serca, działało bez zakłóceń, biło ładnie i równo, Mistrz był wdzięczny niebiosom, że nie leży na łożu śmierci.

Prześcignie jeszcze i Moliera.

Pośpieszył do Siegmundów. Tyle różnych spraw, próby, na karku premiera, bardzo mu wstyd, ale ma zbyt mało czasu, by zobaczyć się z panną Karoliną.

Siegmund bardzo żałował. Mówił o tym i owym, Bogusławski nie potrafił się skupić. Była mowa także o kosztach druku i o sztukach Mistrza. Ten potakiwał, nie słuchając. Otworzyły się drzwi i wyjrzało kilka dziewcząt, przyjaciółek Karoliny. Zachichotały. O, to ten wielki aktor. Gapiły się na jego rozporek. Zachichotały. Bogusławski, uśmiechając się miło, pomachał do nich i przesłał im całusa. Potem zjawiła się Siegmundowa i przepędziła panny.

Mistrz ucałował przyszłego teścia w oba policzki i wybiegł.

Z okna spoglądały na niego rozchichotane dziewczyny, szedł sprężystym krokiem.

Na korytarzu teatru złapał go Rivoli i porzuciwszy zwyczajową małomówność,

powiedział: Kudlicz jest bardzo mocny, przeciągnął na swoją stronę większość młodych aktorów.

- Powiedz wreszcie - rzucił Bogusławski.

- Kudlicz faworyzuje ich za prowizję - oznajmił lakonicznie Rivoli.

Mistrz nie zrozumiał, Rivoli musiał się nieco wysilić.

- Kudlicz za każdą rolę bierze dwadzieścia procent z ich gaży.

- Jak to?

- Kto dostaje rolę, tego się doi.

- Kogo?

- No ich. Rywackiego, Zawadzkiego...

Bogusławski mruknął: aha.

- Kudlicz daje z tego dziesięć procent Lipińskiemu - wyjaśnił Rivoli i znów zamilkł.

Bogusławski poszedł do Dmuszewskiego, który potwierdził słowa Rivolego i dorzucił: Kudlicz kupił sobie za jednym zamachem dwa domy, piekielnie się wzbogacił, musi mieć pieniądze także z innych źródeł, z szantażu tyle się nie uezbiera.

- Od kogo dostaje?

Dmuszewski nie wiedział. Poinformował, że Kudlicz jego też chciał omotać.

- Żebyś i ty mu dawał?

- Żebym i ja w tym uczestniczył. Naturalnie odrzuciłem to z oburzeniem! Mam swoje źródło dochodu... „Kuriera”.

Mistrz milczał, Dmuszewski przeskoczył na inny temat: jest już Eliza, Osiński wezwał Anielę.

- To był mój pomysł - dodał skwapliwie.

Mistrz nie sprawiał wrażenia, że kocha Anielę równie mocno jak kiedyś, więc Dmuszewski dorzucił:

- Oczywiście niewykluczone, że pojawią się problemy... Osiński musi mieć do sztuki Felińskiego aktorkę, która zagra matkę Barbary... Ewentualnie i to musiałaby zrobić Aniela... Bo Ledóchowska będzie Barbarą...

- Co takiego? Aniela miałaby zagrać matkę Ledóchowskiej?!...

- No właśnie - odparł Dmuszewski bezradnie.

- Mój Ty Boże - powiedział Mistrz. - Przecież Aniela jest dokładnie dwa razy młodsza od Ledóchowskiej!

- Też to wyśmiałem... Kiedy to usłyszała Aniela, powiedziała, że jak najbardziej może zagrać sześćdziesięciolatkę, duchowo tyle właśnie ma...

- A nie przyszło do głowy temu idiocie Osińskiemu, by obsadzić role odwrotnie?

Dmuszewski znowu powiedział tylko tyle, że to również rozważali, ale zdaniem Osińskiego autor obstaje przy Ledóchowskiej, a Ledóchowska przy głównej roli.

- Barany - burknął Mistrz. - Zamiast tego mogliby znów ściągnąć Truskolaską. Choćby do jednej roli.

Aniela rzeczywiście była na próbie *Skapca*; zdenerwowana i milcząca siedziała sztywno na krześle. A przecież może jeszcze długo grać, pomyślał Bogusławski ze złością i nawet nie skinął jej głową.

Kudlicz, powołując się na brak czasu, nie kazał czytać dalej tekstu, tylko od razu zabrał się do ustawiania ruchu. Aktorzy z egzemplarzami sztuki w ręku snuli się po scenie, Kudlicz mówił, skąd wchodzi i gdzie mają wychodzić. Zieliński pilnie zapisywał ruchy w egzemplarzu inspicjenta. Tak łazili do południa, czytając w trakcie swe role; przy wczorajszej kwestii nikt nie wybuchnął śmiechem.

Po przerwie Aniela już nie wróciła - Osiński wezwał ją na dużą scenę na próbę sztuki Felińskiego. Kudlicz oznajmił, że właściwie on również powinien tam być, bo też gra w *Barbarze Radziwiłłównie*, kreuje kluczową postać Boratyńskiego, i wyraził ubolewanie, że nie może być w dwóch miejscach naraz.

- To może raczej pan Dmuszewski powinien nas reżyserować - zastanawiała się głośno Helena. - Wtedy pan Kudlicz nie musiałby tak biegać.

Kudlicz zapewnił ją, że dla dobra teatru gotów jest się poświęcić.

Dalej chodzili i czytali. Bogusławski odkrył, że większość czyta zbyt cicho, zwłaszcza mamrotanie Rywackiego, Wąsowicza i Zawadzkiego słyszał bardzo słabo. Kiedy Helena odezwała się przy nim normalnym głosem, Mistrz złapał się za głowę.

- Niech pani tak nie krzyczy - zbesztął ją Kudlicz. - Młodej dziewczynie nie przystoi podnoszenie głosu, proszę to zapamiętać na całe życie.

- Ja nie krzyczałam.

- Ależ krzyczała pani - powiedział Kudlicz. - Proszę łaskawie mówić ciszej i nieco delikatniej.

- Na dużej scenie trzeba mówić głośno - dowodziła Helena. - Zawsze jest tak, że pod dachem przyzwyczajamy się do takiej siły głosu, a na widowni ledwie nas słyszać.

- Niech pani nie będzie taka mądra - powiedział Kudlicz i dał znak, by kontynuować.

Bogusławski był przerażony. Patrzył na Wąsikowskiego, sufler właśnie rysował kwiatuszki w swoim egzemplarzu. Jeśli Wąsikowski będzie podpowiadać cicho, to koniec.

Na zakończenie próby Kudlicz z nieubłaganą surowością oświadczył, że następnego

dnia wszyscy muszą umieć swoje role. Dmuszewski, Rutkowski i Helena zaprotestowali. Przecież i tak nie przelecimy sztuki do końca, powiedziała Helena.

Kudlicz wzruszył ramionami.

- Wobec tego od jutra proszę grać z pomocą suflera - powiedział. - Nie chcę widzieć egzemplarzy.

Na korytarzu Bogusławski złapał Wąsikowskiego.

- Panie Franciszku - szepnął. - Proszę, by podpowiadał mi pan w miarę głośno.

- Zawsze głośno podpowiadam.

- Oczywiście, panie Franciszku. Ale jutro proszę podpowiadać jeszcze głośniej.

Wąsikowski milczał.

- Odwdzięczę się, Franciszku... Dostanie pan jedną czwartą mojej gaży... Słyszysz pan?

Po premierze... Ewentualnie jedną trzecią!

Wąsikowski mruknął coś niezdecydowanie.

Bogusławski popędził do Siegmundów, znów prosił o wybaczenie, że pracuje dzień i noc, cóż, taki zawód, Siegmund powiedział, że, za zgodą Mistrza, załatwi tymczasem wszystkie formalności. Mistrz ucałował go z radością. Siegmund napomknął o Glücksbergu, który go odwiedził. Siegmundowa zaproponowała, że może będzie Mistrzowi prac i gotować, skoro on ma tyle spraw. Bogusławski, nieco przestraszony, lecz pełen wdzięczności, odrzucił propozycję i popędził do domu wkuwać tekst.

W domu czekał liścik od Karoliny: w każdej chwili, o każdej porze dnia z radością będą go widzieć, niech traktuje ich dom jak własny i czuje się jak u siebie, i tak dalej. Był to pensjonarski liścik, z kilkoma błędami ortograficznymi, Bogusławski podkreślał je podczas czytania. Potrzebne jest także świadectwo chrztu i tak dalej. Gdzie, do cholery, mam świadectwo chrztu, zastanawiał się. A jeśli nie ma, to kto je sfalszuje? I żeby się wypowiedział w sprawie posagu...

Posag!

Trzeba wrócić do Siegmundów i szczerząc zęby, wyznać: moi drodzy, to wszystko był żart, możecie się śmiać.

Może Marianna wie, gdzie jest to świadectwo chrztu.

Napalił w piecu; usiadł, bo marzył; chciał wybiec z domu, poczuć się swobodnie, pójść do kogoś, do kogokolwiek. Że też ten idiota Plersch właśnie teraz musiał wykitować. A tak to by mu opowiedział, czegoż by mu nie opowiedział, opowiedziałby mu wszystko.

Usłyszał jakiś głos, zorientował się, że to on jęczy, przestraszył się.

Muszę teraz wkuwać tekst, przywołał się do porządku.

Pamiętał z grubsza rolę, ale wiedział, że pamiętanie z grubsza jest gorsze niż kompletna niezajomość roli, wypadają całe fragmenty, które niby to się zna, ale trudno je sobie przypomnieć: człowiek, broniąc się przed wysiłkiem, skłonny jest przymknąć na to oko i wmówić sobie, że przecież zna tekst.

Nie miał w zwyczaju wkuwać tekstu, w trakcie prób tekst niezauważalnie utrwał się w nim wraz z sytuacją i sposobem gry. Ale teraz nie ma na to czasu.

Obkuwał się, jak to zwykle robią początkujący, słabi aktorzy, czytał fragment, zakrywał go, recytował go z pamięci, doczytywał kolejny fragment, powtarzał z pamięci, znów zakrywał...

Gdyby chociaż ktoś podrzucał mu końcówki swojej roli. Marianna robiła to bosko, podrzucając końcówkę, pozwalala mu wyczuć także sytuację, tak łatwiej było się uczyć. Ale teraz nie ma Marianny.

Koło północy zbuntował się, zrobił przerwę, przegryzł kawałek chleba z soloną rybą. Dobrze, że jest stary, organizm nie czuje już prawdziwego głodu. Uspokoiła go myśl, że na próbie i tak nie wyjdą poza dwa pierwsze akty, a te z grubsza pamięta. Zwalczył nagłą senność i znów zabrał się do pierwszych dwóch aktów. Ale jakoś nie mógł niczego zapamiętać. Wszystko wyleciało mu z głowy. Nie szkodzi, pomyślał, może rano wróci.

Do drugiej marudził w pokoju na górze, szukał świadectwa chrztu. Sztuki, zapiski i listy wały się na podłodze, jak wtedy, gdy wprowadził się do domu i czekał, aż przyjdzie Marianna. Jakiż miał wówczas podły nastrój. Teraz jest inaczej. Teraz te listy nie wywołają w nim wątpliwości. Teraz nie ma poczucia, iż całe jego życie to tylko tyle. Dobry znak. Dobre w tym wszystkim jest to, że człowiek nie potrafi po raz kolejny przeżywać powtarzających się tragicznych sytuacji jako czegoś naprawdę tragicznego.

Ale mimo wszystko byłoby lepiej, gdyby ktoś przyszedł.

Powoli przestał rozumieć, po kiego diabła wkuwa rolę. Czy warto jeszcze walczyć? Świat jest pusty. Dziki. Kogo chciałby jeszcze ujarzmić, będąc na scenie? Kogo chciałby urzec na widowni? Komu chciałby się podobać?

Tym, którym chciał coś udowodnić, już to udowodnił. I ci ludzie już umarli. Kto jeszcze żyje, ten też jest skończony. Po co ma jeszcze się warcholić i robić burdy?

Gdyby potrafił się zakochać, raz jeszcze w życiu, gdyby jeszcze ktoś czy coś ożywiło jego próżność, gdyby jeszcze raz opanowała go jakaś namiętność, po raz ostatni... Ma uwieść Anielę? To byłoby piękne; skandal, intrygi, donosy, uwodzi żonę syna, prawie kazirodztwo. Moliere byłby zadowolony. Grzech. To byłby piękny grzech. Na wielką skalę, godny Mistrza.

Szkoda, że nad wszystkim tyle się zastanawia. Rok, pół roku temu mógłby to zrobić.

Teraz przywołana w pamięci twarzyczka Anieli już nie budziła w nim czułości.

Położyć się, wyciągnąć się w łóżku. Zostawić wszystko. Leżeć w bezruchu, czuć, jak stygnie krew. Poddać się wizjom, w nich ktoś może się jeszcze pojawić. Powoli umrzeć z głodu.

Rozważył i to, ale uznał, że na to jeszcze za wcześnie, do tego trzeba się zmusić, a tym samym pozbawić się radości z kapitulacji.

Potem zastanawiał się nad swymi myślami, nad swą przesadnie zdrową duszą, która zdolna jest rozumieć i rozważać. Czuł, że będzie przytomny, gdy dosięgnie go śmierć. Nie będzie mu dana łaska upicia się po raz ostatni.

Żałował, iż tak wcześnie zaczął się nad wszystkim zastanawiać, gdy akurat nie był w modzie strach przed Bogiem, wiara w Niego czy uwielbienie. Pod koniec życia duszy przywykłej do snucia wątpliwości trudno się przystosować. Widział co prawda efektowne nawrócenia, ale pozostał zimny. To też nie powróci.

A przecież nie ma tu wielkiej różnicy. Są tacy, którzy twierdzą, że tak postępują w praktyce, i tacy, którzy wyłącznie tak postępują. Tacy, którzy wierzą, że istnieją również inne różnice, tacy... tacy tylko w ten sposób postępują w praktyce.

Jeszcze raz złapać atmosferę tego wszystkiego. Warszawa leży na równinie. To wielka rzecz. Niedawno ktoś odkrył to na nowo, kto o tym mówił? Nie mógł sobie przypomnieć. Na tej równinie niebo jest wielkie, ogromne, nad drobnymi domkami widać nieskończoność. W miastach położonych w górach tak się tego nie czuje. To z pewnością jest dobre. Zaleta. Można poczuć to, co czuli pierwsi ludzie. Grozę przepastnych, ciemnych nocy. Cudowność świtu. Ten wciągający, czysty błękit, gdy mocno dmie północny wiatr i rozpędza chmury. To było dobre, można było poczuć wspaniałe rzeczy.

To też przeminie, zabudują niebo, już teraz wznosi się brzydkie, bardzo wysokie domy.

Plersch doskonale to rozumiał.

On, Mistrz, tkwił kiedyś cały w muzyce. Teraz z tej muzyki wypadnie.

Rozwiane myśli znów się chowają w zakamarkach czaszki. Może to tchórzostwo. To oczywiście zrozumiałe. Przecież wszystko, co piękne, narodziło się z tchórzostwa. Przede wszystkim teatr.

Z jednej strony potężne niebo, z drugiej teatr. Proste.

Wstał z krzesła, zszedł do kuchni, zaczął od nowa pierwszą scenę.

Następnego dnia na próbie nie było Anieli, Osiński zabrał ją na cały dzień. Żółkowska powiedziała, że Ledóchowska urządziła wielką historyczną scenę, kiedy się okazało, że musi

się zamienić rolą z Anielą, więc w końcu wszystko zostało po staremu, Barbarą będzie Ledóchowska.

- Wyłoży się - uznał Mistrz - a Iksowie będą ją wychwalać pod niebiosa.

Opowiadano również o tym, że na wczorajszej nocnej próbie pojawił się także autor; niski człowieczek o mysiej twarzy, prawdziwy katecheta z prowincji, nie dało się z niego wyciągnąć nawet słowa, ale kiedy usłyszał swoje wierszowane kwestie, łzy trysnęły mu z oczu i przeplakał całą próbę.

Rozeszło się, że narodził się polski Racine.

Z niczego, znikąd rozbłysła gwiazda przewodnia polskiego dramatu. Potem całą noc aktorzy dopieszczali i zagłaskiwali pana Felińskiego.

- Wspaniale - powiedział Bogusławski.

Nieoczekiwanie Kudlicz rozpoczął próbę od trzeciego aktu. Helena i Dmuszewski buntowali się, w nocy zdołali się nauczyć tylko dwóch pierwszych aktów, czemu trzeba zaczynać od trzeciego? Kudlicz oświadczył, że trzeci jest trudniejszy, trzeba nad nim dłużej pracować. Helena nie dostrzegła w akcie trzecim niczego szczególnie trudnego. Ojciec w imieniu Kudlicza przywołał ją do porządku. Mistrz nic nie powiedział; złościł się, że Kudlicz przechytrył go tak tandetnym fortem.

Akt rozpoczyna się od rozkazów Harpagona wydawanych wszystkim, Kudlicz usunął część tekstu, wykreślił w ten sposób trzy pomniejsze postaci. Obok Harpagona pojawia się jedynie syn (Dmuszewski), Jakub (Wąsowicz) i Eliza (zamiast nieobecnej Anieli stał przy nich Wąsikowski z egzemplarzem w ręku). Dmuszewski powiedział tekst normalnym głosem, ale Wąsowicz i Wąsikowski mówili niezwykle cicho, Bogusławski ledwo ich słyszał. Widocznie Kudlicz zaproponował suflerowi znacznie więcej.

Wielokrotnie przerywali, bo Bogusławski wchodził za późno. Śledził ruchy ich warg, ale oni nie zawsze odwracali się w jego stronę, poza tym musiał uważać na swój tekst, rzadko przypominał sobie pierwsze słowa, a Wąsikowski mu nie pomagał. Kudlicz czekał. Męczyli się jakiś czas, po czym do sali prób weszli Henryk Macrott i Hieronim Szymanowski.

- Nie przerywajmy - powiedział Kudlicz. - Czemu przerwaliśmy?

Henryk i Hieronim zajęli miejsca z tyłu.

- Zaczniemy od nowa - zarządził Kudlicz.

- Może jednak weźmy mimo wszystko pierwszy akt - zaproponował Bogusławski. - Wszyscy jesteśmy do niego przygotowani.

Po krótkiej dyskusji Kudlicz zgodził się, by zacząć od aktu drugiego. Pierwszą scenę uznał za zbyt łatwą, by zawracać sobie nią głowę (grali w niej tylko Dmuszewski

i Zawadzki), zaczęli więc od sceny drugiej.

Występował w niej także Bogusławski.

Zaczął ją Bogusławski, Rutkowski, Dmuszewski i Zawadzki. Kudlicz przerwał im i wysłał przysłuchującego się do tej pory w mroku Malinowskiego do Osińskiego, by dowiedział się, kiedy im odda Anielę.

Malinowski wyszedł.

Zawadzki szeptał, ale nie miał końcówki kwestii pod Bogusławskiego. Rutkowski i Dmuszewski ucziwie wykrzykiwali swoje kwestie. Mimo to scena szła kulawo, Mistrz się denerwował, tekst wyleciał mu z głowy, a Wąsikowski, zadumany, siedział sztywno na krześle.

- Zróbmy przerwę - poprosiła Żółkowska. - Męczymy się już dwie i pół godziny.

- Dobrze - zgodził się Kudlicz.

Bogusławski zszedł wolnym krokiem do knajpki, Żółkowska i Dmuszewski przy nim jak straż przyboczna. Dmuszewski swą obecnością demonstrował solidarność, Żółkowska niezadarnie próbowała rozweselić Mistrza i dodać mu otuchy.

- Często tak bywa - paplała. - Nagle ma się dziurę w mózgu, a potem i tak wszystko wskakuje na miejsce.

Bogusławski nie odezwał się ani słowem. Tego nie robią już Iksowie, tylko ludzie Roźnieckiego. Nadszedł czas, by wykorzystali donosy lekarzy.

Przyszedł mu na myśl Smuglewicz, scenograf. Nie żyje już pięć lat - nie, sześć. Zmarł, mając siedemdziesiątkę, po ciężkiej chorobie, w ostatnich miesiącach w obu oczach miał zaćmę. Mało jest na ziemi ludzi bardziej nieszczęśliwych niż ślepy malarz. Smuglewicz umierał długie miesiące, przez cały ten czas mrugał oczami, by sprawdzić, którym widzi lepiej. Pewnego razu powiedział odwiedzającemu go Bogusławskiemu:

- Dzięki Bogu nie do końca oślepnę. - I roześmiał się. - Zaćma nie rozwija się na tyle szybko!

I tak się stało. Smuglewicz jeszcze widział, kiedy umierał.

Jakież to szczęście, pomyślał Bogusławski.

Kiedy ponownie zaczęli, w sali obok Henryka i Hieronima usiadł także Lipiński. Aktorki pocałował w rękę, a prawice aktorów ścisnął długo i z szacunkiem, także dłoń Bogusławskiego.

Kudlicz zwolnił Malinowskiego i Żółkowską, którzy nie grali w tej scenie, bo tego dnia, jak stwierdził, już nie będą potrzebni. Dalej ciągnęli drugą scenę drugiego aktu. Bogusławski nie forsował molierowskiego tekstu, który wyparował mu z głowy, głównie

improwizował. Dmuszewski wziął kartki z tekstem, Rutkowski nie był pewien kwestii i się nie odzywał. Kudlicz nie miał przed sobą egzemplarza, na razie niczego nie podejrzewał. Lipiński coś mu szeptnął, więc przerwał aktorom, poprosił o egzemplarz suflera i zaczął go kartkować.

Przeglądał go jakiś czas, po czym odezwał się:

- Bardzo panów proszę, trzymajmy się tekstu.

Lipiński też zerkał do egzemplarza sztuki.

Ponownie zaczęli próbę.

Bogusławski szybko się pomylił, Kudlicz mu przerwał. Mistrz podszedł do stolika reżysera, spojrzął w tekst.

- Tu jest złe tłumaczenie - oznajmił. - Nie da się tego powiedzieć.

Kudlicz protestował, jego zdaniem tłumaczenie było dobre. Lipiński zapytał o to autora przekładu, Dmuszewskiego. Dmuszewski się zawahał. Po krótkiej dyskusji Mistrz przerobił zdanie. Lipiński wniósł zastrzeżenia stylistyczne. Znowu dyskusja, tym razem na temat szyku wyrazów w języku polskim. Zdanie rodziło się w wielkich bólach.

- Kontynuujemy - westchnął zmordowany Kudlicz.

Zaczęli od nowa. Po chwili Bogusławski znów się pomylił. Zatrzymali się. Bogusławski ponownie zwałił winę na pusto brzmiące zdanie, po czym wybuchnął: czemu już na pierwszych próbach trzeba lecieć tekstem z pamięci, jeśli do premiery jest jeszcze osiem dni.

Kudlicz powoli zamknął egzemplarz suflerski i wstał.

- Idę do Osińskiego - powiedział. - W tej sytuacji nie ręczę za premierę. Panowie także mogą zaświadczyć, że nie ma w tym mojej winy i że jestem bezradny.

Helena skrzywiła się i machnęła ręką, nudziły ją już te nieustanne dyskusje. A premiera i tak będzie, zawsze była. Bogusławski spojrzął na Dmuszewskiego. Jeśli teraz Dmuszewski ogłosi, że przejmuje reżyserowanie, Kudlicz poleci na pysk. Zapadła cisza, wiele osób patrzyło na Dmuszewskiego. Kudlicz oddał egzemplarz sztuki i ruszył w stronę drzwi.

Dmuszewski stał z pochyloną głową, Bogusławski zrozumiał, że popełnił niewybaczalny błąd. Nie wolno było wtrącać się do tekstu, trzeba to było omówić wcześniej z Dmuszewskim. Powinien się był z tym wszystkim liczyć. Nie wolno było pozwolić, by odesłano jego ludzi, Anielę, Żółkowską i Malinowskiego. Nie rozumiał, jak to możliwe, by taki stary lis jak on nie widział dalej niż czubek swojego nosa.

Dmuszewski nie odezwał się, Kudlicz wyszedł z sali, napięcie opadło, wszyscy

zbierali się do wyjścia; przynajmniej dzisiaj mogą wcześniej wrócić do domu. Najpierw oddalili się dwaj szpicle i Lipiński, potem wyszedł Dmuszewski, a za nim Rutkowski z córką, Zawadzki i Wąsikowski. Wąsowicz jeszcze odwrócił się w drzwiach.

Koniec, stwierdził obiektywnie Bogusławski.

Miał lekkie zawroty głowy, usiadł na krześle Kudlicza. Z dużym trudem trzymał głowę prosto. Rozejrzył się po sali prób; siedział daleki od wszystkiego wokół, w samym centrum swoich zawrotów głowy. Nierozpoznane, tajemnicze rekwizyty i dekoracje stały wzdłuż ścian, dwie kolumny naprzeciw niego złączone były żelazną sztabą, poręcz dla ćwiczących balet, na ścianie między kolumnami kurtyna. Za nią jest lustro, pomyślał Bogusławski. Zwykle tam jest. Po lewej parę krzeseł, po prawej fortepian, przykryty narzutą, przy wyższych rejestrach brakowało kiedyś kilku strun, teraz z pewnością też ich nie ma, trzeba by wypróbować.

Przebiegł myślami po składanych dawno temu egzaminach. Podobnie wyglądała pierwsza sala prób w pałacu Radziwiłłów, gdzie wtedy działał teatr, a on w nowiusieńkim garniturze składał egzamin przed Ludwikiem Montbrunem i najlepszymi aktorami trupy. Kilka dni później nie nosił już garnituru. Prawie czterdzieści lat temu. Teraz znów dopuścili go do egzaminu, ale go oblał. Pierwszy egzamin może dlatego poszedł mu dobrze, że nie traktował go poważnie. Ten jest ostatni, potraktował go chyba zbyt serio.

Kudliczowi mógłby jeszcze zaszkodzić. Lipińskiego mógłby jeszcze wyeliminować. Na Dmuszewskim może się zemścić. Henryka i Hieronima mógłby zadźgać na ulicy. A jednak nie może nic zrobić. Ciekawe.

Oslabienie nieco ustąpiło, Bogusławski nadal oglądał salę prób. Cud, że przetrzymał do tej chwili. Nie tylko sto dni do Waterloo, ale także po Waterloo, lata. Przecież już po upadku powstania Kościuszki wszystko się zawaliło, dwadzieścia lat temu. Od tamtej pory robi piruety na cienkim jak papier lodzie, który w każdej chwili może się pod nim załamać. Możliwe, że ten lód już się nawet roztopił, a on dalej kreśli w powietrzu piruety. Doprawdy miał już czas, by upaść.

Może nie był dość podły. Tutaj przydałaby się nikczemność w stylu Talleyranda.

Chociaż...

Niszczył ludzi bez pardonu. Kto stawał mu na drodze, tego wymiatał na bok. Nie ma sobie nic do zarzucenia. Nie ma takiego Szekspira, takiego Goldoniego, który by umiał dłużej to znosić.

Mała pociecha.

Położył głowę na stole, nie mógł już udźwignąć jej ciężaru. Zaprzagnął, by duchy

zaludniły salę prób, miejsce, gdzie spędził najwięcej godzin swojego życia. Niech z przeróżnych zakamarków wynurzą się kwilące, pokraczne widma, porwą go ze sobą, zabiorą daleko od teatru, do pieca, gdzie tańczą brzydkie diabełki, a tłuszcz z chorych ciał skwierczy na rozpalonym metalu...

Duchy nie przyszły, ani dobre, ani złe, ale poczuł gorąco.

Teraz Kudlicz przejmie rolę Harpagona. Z pewnością się na niej wyłoży, a Iksowie go pochwalą.

Raz jeszcze rozejrzał się po sali prób. Z tego tutaj musi zrezygnować. Gdzie indziej przeniesie swoje królestwo.

Pospiesznie, zataczając się, wymknął się na palcach z teatru, nie chciał, by przyłapali go jacyś profani.

Po próbie popołudniowej w teatrze rozeszła się wiadomość, że Bogusławski się nie pojawił, a Kudlicz przejął jego rolę. Wypytywano Dmuszewskiego, co się stało, ale ten nie mógł służyć dokładnymi wyjaśnieniami. Pewnie się obraził. On nigdy nie rozumiał Mistrza do końca. Możliwe, że coś teraz knuje.

Żółkowski, po raz pierwszy od dłuższego czasu, zszedł do garderoby Ledóchowskiej.

- Podejrzewam - powiedział - że Mistrz zrezygnował.

Ledóchowska milczała.

Żółkowski też milczał jakiś czas, po czym wyszedł z garderoby.

Unicki, nagle zadziwiająco skłonny do wynurzeń, przekazał, że adwokat pana Osińskiego zmuszony był wytoczyć sprawę sądową przeciwko panu Bogusławskiemu.

Ze zdziwieniem spoglądano na Bogusławskiego następnego dnia w knajpce. Mistrz z uśmiechem zajął miejsce, popijał herbatę z rumem pana Bautza, podczas gdy na dużej scenie trwała próba *Barbary Radziwiłłówny*, a w sali prób *Skapca*. Zieliński wielokrotnie wzywał aktorów na *Skapca*, poszli wszyscy prócz Bogusławskiego. Siedział i pił herbatę. Kilka osób przysiadło się do niego, zamienili parę słów o tym i owym, po czym odeszli. Bogusławskiego jakby otaczała szklana ściana.

- No to Mistrz się żeni? - spytał Żółkowski, szczerząc zęby w imitacji uśmiechu.

- Oczywiście - powiedział Bogusławski. - Będzie wielki, wspaniały ślub.

- Mogę nieco pomóc finansowo - powiedział Dmuszewski. Stał, bo nie miał odwagi usiąść.

- Byłoby dobrze - odparł rzeczowo Bogusławski.

To szybko się rozeszło. Nieoczekiwanymi ofiarodawcami okazali się Rivoli i Zdanowicz. Ten ostatni podjął się nawet zorganizowania bankietu. Żółkowski i Dmuszewski

uczili go szczególnie wysoką sumką. Poblądły pan Bautz obserwował, jak Bogusławski bez ceregieli wpycha banknoty do kieszeni. Czegoś takiego jeszcze nie widział: przychodzą do knajpy aktorzy i ot, tak sobie dają komuś pieniądze.

Zerkano na Bogusławskiego ukradkiem, Mistrz uśmiechał się i siedział ze stoickim spokojem. Pełen wyrozumiałości i stoickiego spokoju pozostał nawet wówczas, gdy do knajpy wszedł Rivoli z wieścią: Roźniecki zajął miejsce Mistrza. Rivoli zamilkł, Bogusławski zapytał grzecznie:

- Będzie grać?
- Tylko w radzie dyrektorów.
- Ach, tak - powiedział Bogusławski.

Rivoli czekał, może Mistrz coś powie. Po dłuższej chwili Bogusławski spojrzał na niego z uśmiechem:

- Cóż, wbijcie mu w plecy nóż do papieru.

Kiedy Bogusławski wyszedł, Rivoli jeszcze długo siedział, patrząc przed siebie tępym wzrokiem. Wokół rozprawiano na temat zachowania Mistrza, Rutkowski powiedział, że jeszcze nigdy nie widział go tak pewnego, nie trzeba się o niego bać. Także Unicki pojawił się w knajpie; wiedziano, że chciał się dowiedzieć o Mistrza. O niczym go nie poinformowano.

Żółkowski znów poszedł do Ledóchowskiej.

- Nie mogłaby pani porozmawiać z Pierożyńską? - spytał tragiczkę. - Ktoś powinien być przy Mistrzu...

- A co, nie żeni się?
- Ależ tak.

Milczeli chwilę, po czym Żółkowski wyszedł.

Pod wieczór Żółkowski słyszał na mieście, że Bogusławskiego widziano przy domu Siegmundów.

- Myśli o tym poważnie - zastanawiał się Żółkowski przy żonie. - Nie popełni samobójstwa.

- Pójdziemy do niego? - zapytała.

Nie poszli.

Do tego czasu Bogusławski sprzedał swoje książki Geclowi i czekał na gości, których przyszło sporo. Pierwszym był młody, elegancki pan o dziewczęcej twarzy, opatulony w futro. Dość podniecony przedstawił się jako Gustaw Olizar.

- Wielki Książę ożenił się z Grudzińską - oświadczył, lekko sepleniąc - więc

postanowiliśmy: pan, Mistrzu, bez wątpienia powinien poślubić Rosjankę!

Bogusławski spojrział na niego zdziwiony.

- Pańskie małżeństwo nie jest bynajmniej sprawą prywatną! - pouczył go młodzieniec.
- Pan *hic et nunc* nie może poślubić Niemki, nie wolno. Dwa narody, polski i rosyjski, powinny się zjednoczyć, ale na zasadzie równości, równouprawnienia. Nie możemy wywołać wrazenia, Mistrzu, iż w małżeństwie jesteście rodzaju żeńskiego, stroną pasywną! Pan musi skorygować błąd Grudzińskiej!

Bogusławski uśmiechnął się.

- Już wyznaczylismy żonę dla pana - pośpieszył poinformować młody arystokrata. - Mamy sporo kandydatek, Mistrz może sobie wybrać. Są wśród nich owdowiałe ziemianki, są także aktorki... Nasze towarzystwo rozważyło powstałą sytuację.

- Tak? - upewnił się Bogusławski.

- Niech pan nie pyta, Mistrzu, kim są członkowie towarzystwa... gdyż to tajne towarzystwo! Jeśli pan spyta, nie będę mógł odpowiedzieć. Wiąże mnie przysięga. Nie mogę udzielić szczegółowych informacji o paniach, ale niech Mistrz będzie spokojny, wszystkie są ozdobą swej płci.

Wyciągnął jakąś listę.

- Powtórzę, Mistrzu - powiedział i podał ją Bogusławskiemu - może pan swobodnie wybierać. Ale córka niemieckiego drukarza... tego nie może nam pan zrobić. Nie może pan tego zrobić Polakom!

- Ile pan hrabia może zaproponować? - zapytał Bogusławski po krótkim zastanowieniu.

- Proszę nie nazywać mnie hrabią - prosił poczerwieniały Olizar. - Jestem demokratą. Proszę mnie raczej nazywać poetą.

- Ile może zaproponować... pan poeta?

Olizar nie zrozumiał.

- Mój królu - powiedział Bogusławski. - Ja lubię uczciwe interesy. Zrobię to za dziewięćdziesiąt tysięcy złotych.

- Że co, jak to?

- Posag, mój królu. Mówię o posagu.

Dziewczęca twarz Olizara zapłonęła łuną oburzenia.

- Mistrzu! - zawołał. - Jak się w to wplątały brudne kwestie materialne?!

Złapał się za głowę. Zdrada, wymamrotał i wybiegł. Potem przyleciał z powrotem.

- Nie wolno było powierzać panu naszych tajemnic - szeptał. - Ostrzegam pana:

nikomu ani słowa o tym, co się między nami wydarzyło!

Wyciągnął paradną szablę i stanął w groźnej pozie przed siedzącym Mistrzem.

Bogusławski przysiągł, że nigdy nie wyda tajnego towarzystwa. Olizar odetchnął z ulgą i próbował wsadzić szablę do pochwy. Dłuższą chwilę mocował się z tym zmieszany, aż Mistrz wstał i wsunął szablę na miejsce.

Potem przyszła Truskolaska. Miała na sobie staromodne okrycie pełne falbanek i przeogromny paradny kapelusz w kolorach zielonym i lila.

Bogusławski nie zdołał się oprzeć kapeluszowi i wraz z nim wpuścił do domu także Truskolaską. Nieco zmieszana uprzejmością Mistrza, wkroczyła w milczeniu do środka. Bogusławski domyślił się, że liczyła na to, że będzie długo przytupywać przed zamkniętą furtką, aż zrobi się zbiegowisko. Uprzejmie pomógł jej zdjąć płaszcz i zostawił ją; spojrzała na niego ogromnymi, zdziwionymi oczami małej dziewczynki - pustymi i zimnymi - chyba była przekonana, że Mistrz cieszy się z tej wizyty.

Obeszła cały dom, przeciągała palcami po meblach i z niezadowoleniem zdmuchiwała z nich kurz; zajrzała do spiżarni i polamentowała, że taka pusta. Bogusławski zaprosił ją do pokoju; Truskolaska żwawo pobiegła na górę, tam oprzytomniała, zaczęła dyszeć i oznajmiła, że jej serce nie wytrzymuje już spacerów.

Mistrz poczęstował ją herbatą. Truskolaska z gracją usiadła na fotelu, założyła nadal jeszcze zgrabne nogi jedna na drugą, i zapaliła papierosa w długiej cygarnicze. Potem wytknęła mu, jak brzydko i podle postąpił z jej młodszą siostrą. Bogusławski przytaknął ze smutkiem, biedna Marianna, powiedział. Truskolaska, spłaciwszy swój dług wobec siostry jako reprezentantka jej interesów, przeszła do sedna: do córki, która jest taka niewdzięczna, że tylko raz w tygodniu, zaledwie jeden raz, przychodzi ją odwiedzić, a i wtedy ona czuje, że córka robi to z musu, po czym szybko wybiega; ponadto obecnie ciągle łązi z tym łajzą Werowskim, to brzydki, niezgrabny bubek o ociężałym umyśle, na miejscu Osińskiego natychmiast wyrzuciłaby go z teatru.

Bogusławski zgodził się z tym całkowicie.

Truskolaska wróciła do tematu córki, z powodu której może nawet umrzeć, a która nawet nie słucha tego, co ona mówi o swoich chorobach. Ejże, powiedział Mistrz z niezadowoleniem. Truskolaska, ocierając oczy, opowiedziała po kolei o swoich chorobach, ze szczegółami. W trakcie, co jakiś czas, powracała do Ledóchowskiej: niewdzięczna smarkula, wszystko zawdzięcza jedynie matce, ale czeka już tylko na moją śmierć. Czy po to poświęcałam się całe życie, zakończyła smętnie.

Popłakiwała jakiś czas, Bogusławski ponownie nalał jej herbaty.

Znów zapaliła w cygarnicze papierosa, posepnie wydmuchiwała dym, potem zabrała się do oczerniania Mistrza. Żaliła mu się jak kompletnie obcemu człowiekowi na dawnego podłego, podstępnego, nikczemnego dyrektora teatru, który zresztą prawie wszystko zawdzięczał jej, Truskolaskiej. Ale pozbawił ją majątku, zbałamucił aktorów, zniszczył jej karierę, a na dodatek nastawił córkę przeciwko niej. Bogusławski potakiwał ze współczuciem, Truskolaska, rozkoszując się tym, wymyślała mu dalej.

Następnie przyszła Rozalia jako reprezentantka interesów Karola i minęło trochę czasu, zanim Bogusławski się zorientował, że ten Karol to jego własny wnuk. Rozalia starała się namówić ojca, by sporządził testament na rzecz Karola i Maurycego, „zanim jeszcze wszystko zabierze ta kurewka”. Poza tym Rozalia była niezwykle miła i czuła; ostrzegała przed ciężkimi próbami życiowymi natury duchowej i fizycznej wiążącymi się z małżeństwem, przed „tymi nieszczęsnymi, nieokrzesanymi obcymi”, ale najważniejszym argumentem było to, iż Karolina jest od niej młodsza.

Mistrz wyjaśnił, że z chęcią zrezygnuje z małżeństwa, jeśli Osiński w rzetelnym, zaopatrzonym w pieczęcie oświadczeniu zrezygnuje ze swoich żądań. Rozalia machnęła tylko ręką: tego Ludwik, nawet gdyby chciał, nie mógłby zrobić, zresztą nie o to chodzi, tylko o honor rodziny i nazwiska. Właśnie tak, powiedział Bogusławski i uśmiechnął się.

Również Siegmundów zaszczycili swym najściem goście. Udzielili im dokładnych informacji o długach Mistrza, w rejestrze jego przestępstw znalazły się prawdziwe i zmyślane dzieci z nieprawego łoża, ponadto uwodzenie nieletnich, donosicielstwo, bezbożność, nienawiść do Niemców i różne inne. Rozalia zaproponowała Karolinie pewną sumkę, jeśli ta wyjdzie za kogoś innego. Zaczny drukarz w miarę uprzejmie i spokojnie powyrzucał gości, lecz bez wątpienia emocje go nadwerężyły i narzekał na bezsenność oraz bóle w okolicach serca. Bogusławski, odmalowując niemoralne postępowanie gości tak w życiu prywatnym, jak i publicznym, starał się uspokoić biedaka, poprosił także Żółkowskiego i Malinowskiego, by rozpoczęli kontrofensywę wobec oszczerców.

Obaj natychmiast przystąpili do opracowania planu wojennego.

U Bogusławskiego zjawił się również Ignacy z Nacewiczem, który był podпиты i nie potrafił niczego powiedzieć poza tym, że nie pochwała kroku Mistrza, bardzo nie pochwała, i kiwał głową. Ignacy był ponury i niepewny. Matka nie czuje się dobrze. No cóż, powiedział Bogusławski.

Potem Ignacy zapowiedział, że wniesie sprawę do sądu, jemu też się należy spadek po ojcu, Rozalii również, w końcu są jego dziećmi. Bogusławski setnie się uśmieł. Potem

Nacewicz zaczął oplakiwać wyjazd Fiszera, kochał tego szczeniaka, on był jedynym, który co jakiś czas gotów był zagrać z nim w szachy.

Najbardziej nieoczekiwanym gościem był Niemcewicz.

Ot, po prostu, chce się tylko wyzalić, dawniej także nachodziły go takie chwile, wtedy odrzucał maskę pisarza, polityka, senatora i intryganta, wówczas można go było naprawdę polubić. On sam, rozgrzebawszy z bólem i rozkoszą swą duszę, zawsze dobrze się czuje w roli człowieka.

- Jestem śmiertelnie wypalony - zaczął biadolić. - Czasem dochodzę już do tego, że powinienem rzucić to wszystko, wrócić do Ameryki, wybierać spod kurzych dup obsrane jajka, doić krowy i zwariować. Czy to nie lepsze niż to wszystko?

- To tak zrób - powiedział Bogusławski.

- Ech. - Niemcewicz z rezygnacją machnął ręką. - Ty tego nie rozumiesz, tobie zawsze wszystko się udawało. Byłeś kiedyś na skraju samobójstwa?

Potem wyłożył to, co najistotniejsze: na stole znalazła się obszerna, pięknie oprawiona książka.

- Dedykuję ją tobie - powiedział z dumą.

Bogusławski wziął ją do ręki, oszacował ciężar, przekartkował. *Dzieje panowania Zygmunta III*. Wrócił do dedykacji: „Panu Bogusławskiemu, z okazji pierwszego i prawdopodobnie nie ostatniego zawarcia związku małżeńskiego, z serdecznymi gratulacjami autor”.

- I mam ją przeczytać? - spytał Mistrz.

- No nie - odrzekł Niemcewicz. - Tego nie życzę. Jest w niej tylko jedna ciekawostka, z powodu której się rozejdzie, spójrz tylko.

Kartkował książkę i wskazywał zaklejone słowa. Był na nich nadruk: Rosjanin, Rosjanie.

- W oryginale byli Moskale - powiedział Niemcewicz i roześmiał się. - Ale Szaniawski kazał to w całej książce zakleić! Powiedz sam! Zrobił mi taką reklamę!

- Ile za nią dostałeś? - zapytał Bogusławski.

Niemcewicz powiedział z ubolewaniem, że wszystkiego dwa tysiące pięćset.

- Trzeba pisać powieści, mój stary - dorzucił. - Postanowiłem, że miesięcznie będę pisać po jednej w manierze Waltera Scotta, teraz jest na to moda, Glücksberg proponuje czterdzieści tysięcy za powieść. Choć możliwe, że chętniej będą kupować powieść w formie listów... cóż, jeszcze nie wiem. Z powieścią historyczną cały kłopot polega na tym, że trudno znaleźć właściwą epokę... to znaczy taką, która nie ma nic wspólnego z naszą. Teraz jakoś

wszystkie parszywe epoki pasują do naszej, a ja mam już dość tego, że każdy idiota czynownik wysysa mi krew. Chyba są jakieś granice odwagi, czyż nie? Mój stary, jeśli istnieje na świecie coś przeciwnego do kariery, to ja jestem tego przykładem. Obraziłem już każdego, kto może zrobić coś przeciwko mnie. Nigdzie nie znajdziesz takiego idioty, jakim sam jestem!...

- Nie jesteś już Iksem? - zapytał z uśmiechem Bogusławski.

- Iks! - wykrzyknął Niemcewicz, patrząc ze smutkiem w pustkę. - Wszystkie moje propozycje konsekwentnie odrzucano tylko dlatego, że pochodziły ode mnie... Już nie mam odwagi wejść do pałacu Mostowskich. Jak sobie pomyślę, że sam to stworzyłem! Ja nadałem nazwisko panu Iks! A teraz doszło już do tego, że Osiński, jakiś tam Osiński, rozumiesz? Takie zero odrzuca moje sztuki! Że teraz trzeba już pisać tak, jak Feliński!

- Jaka jest ta jego sztuka?

- Kretyńskie lanie wody niedouczzonego zakonnika... A Osiński powiada, że to artysta, polski Racine... Oczywiście, że potrzebny im Feliński, głupi, bigoteryjny, nieszczęśliwy facet, wyciągnęli go z zasmarkanego gniazda, gdzie nauczał idiotów, teraz czuje się zobowiązany... A zresztą, według mnie to on woli chłopców. To też dzisiaj się liczy. I koleżka Wyszowskiego... Ale jeszcze jestem Iksem. W dziesiątym punkcie... to znaczy zgodnie z dziesiątym punktem naszego tajnego statutu oświadczam, iż członków towarzystwa obowiązuje dochowanie tajemnicy. A każdy wszystko rozpowiada...

- Ty naprawdę zawsze umiałeś dochować tajemnicy, mój królu - powiedział złośliwie Bogusławski.

- W punkcie czternastym - ciągnął Niemcewicz - jest jasno powiedziane, że sekretarz prowadzący towarzystwo Iksów urzęduje przez trzy miesiące, po czym automatycznie obiera się nowego sekretarza. Jak myślisz, byłem już kiedyś sekretarzem? Nie, mój stary, ani razu. Koźmian już od pięciu miesięcy prowadzi sprawy, niezgodnie z duchem statutu.

Bogusławski przytaknął.

Następnie Niemcewicz pokazał brulion jakiegoś pisma, w którym rezygnuje z przywileju zagwarantowanego mu jeszcze przez Bogusławskiego, że do końca życia ma prawo do nieodpłatnego zasiadania w łoży teatru.

- Opublikuję to w gazetach - powiedział butnie. - Żeby wybuchł skandal. Jak myślisz, czy to wywoła sporą awanturę?

- Ale co?

- Mój list.

- No... cóż... - bąknął Bogusławski.

- Od lat nie dostałem żadnego odznaczenia - perorował dalej Niemcewicz - i jak sobie pomyślę, że tego durnego syna Szymanowskiego, tego donosiciela Hieronima odznaczają Orderem Świętego Stanisława... tego parszywego perukarza...

Nawiązując do tego, Niemcewicz podzielił się wiadomością, że kierowane przez Lubowidzkiego Biuro Centralne Policji zostanie połączone z Korpusem Żandarmerii kierowanym przez Roźnieckiego, i rzecz jasna znajdzie się pod kierownictwem Roźnieckiego; nie żeby zbyt wiele po tym oczekiwał, Wielki Książę ma bowiem swoją odrębną tajną służbę, nawet Nowosilcow nie jest o wszystkim informowany, oto jak wspaniale są zorganizowane liczne służby kontrwywiadowcze.

- Pisziesz jeszcze swój pamiętnik, mój królu? - zapytał Mistrz.

- Och - powiedział Niemcewicz. - Zaprzestałem... nie mam czasu... może później, jeśli zdążę.

- Chętnie przeczytam, co masz gotowe.

- Nie mam egzemplarza.

- Trudno - powiedział wyrozumiale Mistrz.

Niemcewicz rozzłościł się.

- Tylko mi niczego nie zarzucaj. Wiesz, komu utorowałeś drogę do rady dyrektorów?

- Roźnieckiemu.

- Już słyszałeś?

Niemcewicz był rozczarowany, że nie udało mu się niczym nowym Mistrza zaskoczyć.

- Gdybyś wtedy się powstrzymał - powiedział z wyrzutem - Roźniecki nie zdołałby tak szybko się wkręcić.

- Gdybym tylko wiedział, czego chce w teatrze - odparł Bogusławski. - Tam już się nic nie dzieje.

- Załatwić sobie jakieś baby - wzruszył ramionami Niemcewicz. - Tym bydlakom się wydaje, że kobiety także można zdobyć gwałtem i szantażem... Roźniecki uwielbia młode gęsi, ale z kręgów arystokracji żadna nie pójdzie z nim do łóżka, bo on nie ma błękitnej krwi... Obejrzał sobie uczennice Kudlicza. Już dostają role. Małe kurewki.

- Z tego Kudlicz ma dwa nowe domy?

- A jak myślisz, z dźwięku organów?

Niemcewicz milczał chwilę, po czym zapytał:

- Naprawdę się żenisz?

- Naprawdę. Nie odwiedzisz mnie od tego.

- Nawet nie zamierzam - odparł Niemcewicz i znowu zamilkł. Później z wahaniem wystękał: - Spałeś już z nią?

- Dopiero po ślubie - odpowiedział Bogusławski. - Jeśli to będzie konieczne.

- Nie podoba ci się?

- Posag jest ładny.

- Pytam poważnie!

- No cóż, jeśli taką wagę przywiązujesz do tej drobnostki... nie podoba mi się.

- Nie?!

- Nie.

Niemcewicz był oburzony.

- Ma boską dupcię - powiedział, a krzaczaste, siwe brwi podskoczyły mu na czole. - Nie zasługujesz na taką dziewczynę!

- Czyżbyś ją sobie obejrzał? - spytał zaskoczony Bogusławski.

- No tak.

- I podoba ci się?

- Podoba, i co ty na to?

Niemcewicz umilkł i zaczął burczeć coś do siebie, Bogusławski był zaskoczony.

- Oczywiście - rzekł po chwili. - Zawsze lubiłeś raczej takie w typie kucharek... Teraz też?

- Co teraz też?

- Z takimi?

- Z takimi. Ale nie dość.

Zapadła cisza.

- Czy to nie potworne - powiedział Niemcewicz z nieudawanym bólem - że człowiek od szesnastego roku życia do samego końca musi się męczyć z powodu takiego głupstwa? Mam pięćdziesiąt dziewięć lat, ale jeśli najdzie mnie samcza ochota, nie jestem w stanie myśleć o niczym innym, gonię po mieście, wte i wewte, zresztą to nie ja pędzę, ten mały krnąbrnie sterczy do przodu, jak palec wskazujący, a ja gnam za nim, wystaje mi z portek, wszyscy udają, że nie widzą, i coraz trudniej znaleźć jakąś, która po wszystkim odejdzie bez słowa, nie zrobi awantury, nie zechce opowiedzieć całego życia ani być matką moich potomków. A ty co w takich chwilach robisz?

- Rzadko mi się zdarza...

- Ale jak już się zdarzy!

- Cóż... do tej pory pod ręką była Marianna.

- Ale teraz nie jest pod ręką. Kogo masz więc pod ręką?

- Własną rękę.

- To ty... się onanizujesz?

Bogusławski przytaknął.

- Rzadko - dodał na usprawiedliwienie. - Na szczęście się postarzałem...

- Tak - powiedział Niemcewicz po krótkim namyśle. - To też jest rozwiązanie, w ciągu paru minut gotowe, potem znowu można pracować... zazdroszczę ci. Tkwi we mnie jakiś kretyński przesąd, że tylko z kobietami jest dobrze. Wpojono mi to jeszcze w dzieciństwie... i jakiś czas naprawdę się bałem, że będę wolał chłopców, kiedy w szkole kadetów grałem rolę kobiece... Ale potem uwiodła mnie żona pułkowego dobosza... I powiedz, myślisz wtedy o kobietach?

- No cóż... bywa.

- O jednej czy wielu?

- Sam nie wiem...

- O starych kochankach, co? Te są najgorsze... dawne kobiety, z którymi było dobrze.

A o kim myślisz najczęściej?

- Nic ci do tego - powiedział Bogusławski.

Niemcewicz odparł: dobra, dobra, podniósł do góry ręce, nie zamierza dalej wypytywać, może już sobie iść.

- Jeśli chcesz uwieść moją narzeczoną - powiedział Mistrz - macie moje błogosławieństwo.

Niemcewicz szczerze się ucieszył i przyrzekł, że mimo to nie zrobi Karolinie dziecka.

- Jeśli chodzi o dzieci, to jestem ich eksporterem - oświadczył. - Podobnie jak Mostowski.

- Właśnie, jak się mają twoje pociechy? - zainteresował się Bogusławski.

Z żoną ówczesnego ambasadora Prus Niemcewicz miał syna Maurycego, ale nic o nim nie wie. Wściekły jest za to na syna i córkę ze związku z austriacką baronową, gdyż musi z nimi korespondować i co jakiś czas na ich rzecz ściąga mu się jakieś sumy z dochodów.

- Zasadniczo to nadal jesteś żonaty, co?

- No tak - powiedział Niemcewicz zaskoczony. - Żonaty.

- A pani Kean nie zamierza tu przybyć zza oceanu?

- Nie, Bogu dzięki. Doi swoje krowy i gdacze z kurami.

Przez chwilę milczeli.

- Plersch i tutaj miał szczęście - odezwał się w końcu Niemcewicz. - Trzy lata temu po

raz ostatni ściągnął sobie kobietę, ale już mu nie stanął. Jakież był potem szczęśliwy! Powiedział mi, że wreszcie ma to już za sobą.

Duch dziadzia Plerscha przemknął po pokoju. Niemcewicz bez słowa zaczął się zbierać do wyjścia, długo ścisnął rękę Bogusławskiego i pogłaskał go po ramieniu. Potem wyszedł pośpiesznie, żeby się nie rozplakać. Z ulicy spojrzął na okna domu Mistrza i wielkie ciepło rozlało mu się w piersi.

Następnego dnia oznajmił Iksom, że to koniec Bogusławskiego. Zaczął też rozpowiadać, iż Bogusławski jest impotentem. Mniej więcej w tym samym czasie Bogusławski odmalowywał u Siegmundów Niemcewicza jako inkarnację szatana, a słysząc o podłościach popełnionych przez znanego poetę i męża stanu, pan Siegmund, który już porządnie osiwił, co jakiś czas pokrzykiwał z oburzeniem.

Pana Siegmunda szczególnie wzruszył fakt, że z powodu przygotowań do ślubu Mistrz był gotów zrezygnować z roli Harpagona. Własną gotowością do takich poświęceń wzruszony był nawet sam Bogusławski.

Swoją drogą atmosfera była dość nerwowa. Pod nieobecność narzeczonego Karolina wybuchała płaczem, przytaczając pełne żółci uwagi przyjaciółek. Siegmundową coraz bardziej drażnili krawcy, szewcy i kupcy, którzy uprzejmie dopytywali o szczegóły małżeństwa. Rozalia napisała do Siegmunda list z obszernymi informacjami o niezliczonych kochankach Bogusławskiego. Z drugiej strony Żółkowski, Dmuszewski i Malinowski, każdy na swój sposób, wzięli rodzinę Siegmundów pod swe opiekuńcze skrzydła; trudno się było oprzeć dowcipom Żółkowskiego; Dmuszewski wydał okolicznościowy numer „Kuriera” i ogłosił, że potomkowie Siegmundów zawsze będą otrzymywać gazetę za darmo; najważniejsza jednak była chyba uwaga Malinowskiego, że rodzina Siegmundów może być wzorem dla wszystkich Polaków.

W związku z rychłym ślubem Siegmund poszedł do Glücksberga i długo się z nim naradzał; po powrocie do domu powiedział żonie tylko tyle, iż Glücksberg „to porządny człowiek”, a jeśli małżeństwo przypadkiem się nie uda, zawsze można się rozwieść.

Słynny dyrygent Elsner również złożył wizytę drukarzowi i zaproponował, że udzieli panie Karolinie darmowych lekcji gry na fortepianie. Dowiedziawszy się o tym, Bogusławski pomyślał, że może Elsner chce się teraz zemścić za Konstancję i zamierza wyrwać mu Karolinę w ostatniej chwili z rąk. Ale Elsner więcej się tam już nie pojawił.

Aszpergerowie, Szczurowski i Kurpiński starali się przekonać listownie pana Siegmunda, że Mistrz rychło zniszczy jego małą córeczkę. Panna Karolina została zaproszona na posiedzenie Dobroczyńców. Nie poszła, Siegmund uznał, że lepiej będzie, jeśli „w tych

trudnych dniach” Karolina nie będzie uczestniczyć w żadnych spotkaniach. Żółkowski całymi godzinami męczył się z panem Siegmundem, próbując go wytresować, by mówił wielkiemu Bogusławskiemu „ty” i nie czerwienił się, nazywając go kochanym synem; Żółkowski odgrywał Bogusławskiego, ale drukarz w żaden sposób nie potrafił dostrzec w nim zięcia. Ponadto Żółkowski wydrukował zaproszenia u Glücksberga (za darmo), Siegmund zmieszany obracał w palcach ozdobne kartki i pomrukiwał, że on by zrobił ładniejsze.

Przed ustawicznymi odwiedzinami gości Siegmund najchętniej uciekłby do drukarni popracować, ale nie nadarzyła się okazja. Pracownicy zaczęli się obijać, na próżno Siegmundowa ich pilnowała, i nie wykonali wielu zleceń.

Aktorzy pragnący dobra Bogusławskiego całkowicie się u nich zdomowili. Jedli, pili, wznosili toasty za niemiecką gościnność, a przy każdej okazji wychwalali powaby Karoliny. Siegmund zaczynał pojmować, iż może nie każdego gościa należy traktować jadłem i napitkiem, żona jednak nie chciała o tym słyszeć: co by powiedziano na mieście?

Pewnego razu Malinowski tak się spił, że zaczął się domagać niezwłocznego opuszczenia świętej polskiej ziemi przez wszystkich obcych; Żółkowski z żoną z wielkim trudem wywlekli wrzeszczącego pijaka i kategorycznie zabronili mu przestępować próg domu Siegmunda.

Wkrótce pojawiły się nowe komplikacje, gdyż Żółkowski uwiódł dwie młode przyjaciółki Karoliny. Bogusławski dowiedział się o tym od Żółkowskiej, która prosiła go o radę, jak powinna się w takiej sytuacji zachować, przecież Alojzy jest chory, kto wie, jak poważnie, a ona nie jest w stanie określić, na ile może pozwolić mężowi. Jedno jest pewne: nie zamierza pozbawiać go ostatnich przyjemności w życiu. Bogusławski nie wiedział, co odrzec.

U Dmuszewskich działo się chyba gorzej, może Konstancja wpadała w histerię częściej niż zwykle, w każdym razie Dmuszewski kilkakrotnie redagował w sypialni Siegmundów „Kuriera” z przytaszczonych tam pism; znajomi Siegmunda bardzo się z tego cieszyli, mogli zobaczyć, jak robi się gazetę, a Dmuszewski wrzucał do rubryki plotek po kilka informacji usłyszanych od zacnych urzędników i introligatorów, którzy cieszyli się z tego jak dzieci.

W tym czasie Mistrz rozsyłał pocztą sterty zaproszeń, na karcie przeznaczonej dla Ledóchowskiej napisał, że „to jego zemsta”. Do domu nikogo nie wpuszczał, zresztą rzadko tam przebywał, głównie by się umyć i jakoś upiększyć, a ilekroć zbliżył się do domu, obchodził go dookoła i sprawdzał, czy nikt nie chce na niego napaść, furtkę do ogrodu otwierał dopiero wtedy, gdy był pewien, że w pobliżu nikogo nie ma.

Tuż przed wielkim dniem ślubu w domu Siegmundów zjawiła się Truskolaska i zalała ich łzami; zagrała swoją młodszą siostrę, czyli Mariannę, i tak znakomicie weszła w tę rolę, że pan Siegmund uwierzył i zaczął bełkotać coś o odszkodowaniu. Na szczęście zjawił się Żółkowski; Truskolaska wiała się właśnie i płakała na podłodze, a pan Siegmund stał nad nią bezradny i przerażony. Żółkowski błyskawicznie ocenił sytuację, oznajmił, że to nie jest Marianna Pierożyńska, lecz jej starsza siostra, słynna aktorka, z uznaniem wspominał o jej dokonaniach artystycznych, dzięki czemu udało mu się osuszyć łzy Truskolaskiej, a następnie wywalić ją na zbity łeb z domu.

Tego dnia wieczorem pan Siegmund, pierwszy raz w życiu, kompletnie się upił.

Był pijany dwa dni i doszedł do siebie całkowicie dopiero w restauracji Chovota, z potwornym bólem głowy. Rozglądał się głupkowato, stoły były suto zastawione, goście, wymieniając wzajemne grzeczności, zajmowali miejsca zgodnie z precyzyjnie i w męczarniach ustaloną wcześniej kolejnością; Siegmund patrzył na Bogusławskiego, dostojnie królującego na głównym miejscu z siedzącą po prawicy jakby nieco opuchniętą Karoliną, która oglądała wsunięty na palec pierścionek. Pan Siegmund zorientował się, że ślub już się odbył, i próbował uporządkować mgliste wspomnienia. Były organy, tak, z pewnością grał pan Elsner, który siedzi teraz skromnie na drugim końcu długiego stołu; przed muzyką organową była chwila ciszy, kiedy para stała przed ołtarzem, ktoś głośno zapytał: „Ale gdzie jest narzeczony?”. Pan Siegmund nie pamiętał, czy rzeczywiście padło takie pytanie, czy tylko mu się zdaje. Nasłuchiwał teraz, co mówią wokół niego w tym wielkim zgiełku; obok szeptem i drżącym głosem rozprawiano o bezczelności tego Żyda, który odważył się wejść do kościoła; to mógł być Glücksberg, tak, Siegmund chyba widział jego piegowatą, łysą głowę. W kościele było zimno, a na zewnątrz jeszcze bardziej, ale tutaj, w restauracji, dobrze napalono. Panu Siegmundowi bardzo chciało się pić, ale na stole nie widział żadnych napojów.

Mnóstwo gości znalazło się w oddzielnej sali u Chovota, wspólnie aktorzy, mieszczenie, znajomi i nieznajomi; a tu siedzą aktorzy, Żółkowski, Dmuszewski i wyglądający na łagodnego człowieka Malinowski, można było ich widzieć w prawdziwej postaci. Zagrali muzycy, z pewnością z teatralnej orkiestry. Najpierw zagrali polkę, potem przeszli do mazura. Pan Siegmund masował pulsujące skronie i patrzył, jak pan Bogusławski, nowy członek jego rodziny, podchodzi do orkiestry, bierze obój i wśród burzy oklasków zaczyna z wirtuozerią grać.

Może jednak warto było tego dożyć, pomyślał pan Siegmund i poczuł, że już dłużej nie wytrzyma, zaraz umrze.

Kilka minut później, zwalczywszy wyczerpanie, znów zaczął odbierać świat zewnątrz; jakiś niski starszy pan - dziadzio Harazyn, krzyczano obok z uznaniem i bito brawo - wręczył młodej parze nieduży, wykonany z drewna model Teatru Narodowego.

- Dłubałem go dziesięć lat - tłumaczył się cały czerwony. - Gdyby Mistrz poczekał jeszcze z rok, dwa, byłby ładniejszy...

Teatrzyk Narodowy przechodził z rąk do rąk.

Kiedy miało dojść do wzniesienia toastu, okazało się, że na długim białym stole nadal nie ma nic do picia. Żółkowski skinął na restauratora, ten uprzejmie oświadczył, że napojów, z całym szacunkiem, nie było w kosztach wesela.

- Jak to nie było? - Żółkowski zbladł.

Zrobiła się wrzawa.

- Proszę raczej spojrzeć na rachunki, z całym szacunkiem - powiedział przepaszająco restaurator.

- Pan się mścisz, bo kiedyś wybito panu szyby, co? - powiedział rozzłoszczony Żółkowski.

Restaurator uśmiechnął się grzecznie, rozkładając ręce.

- Zapłaciłem panu majątek! - wrzasnął Zdanowicz i walnął w stół.

Restaurator z ubolewaniem pokręcił głową.

- Nieważne - powiedział Dmuszewski wielkopańskim tonem. - Przynieś pan picie, zapłacę gotówką.

Dostał brawa. Jednakże restaurator nie pognął po napoje, zmuszony był poinformować gości, że w myśl zarządzeń komendantury miasta dotyczących tych kwestii może jedynie serwować napoje dopuszczone przez państwo, a te nie pod każdym względem spełniają wymagania pań oraz panów.

- Nie gadaj pan głupot - zgrzytnął zębami Żółkowski.

- Niestety - powiedział restaurator. - Nie może być w nich alkoholu.

- Dobra - powiedział Żółkowski i spojrzął na skwaszone twarze. - Przynieś pan wodę. Ale dużo! W butelkach! I kieliszki do wina! Dużo!

- Co mam przynieść? - dopytywał się Chovot. - Wodę?

- Zwykłą wodę - powiedział Żółkowski i zaśmiał się groźnie.

Restaurator najwyraźniej nie chciał przynieść wody. Sytuacja była dość oczywista, nawet Siegmund ją zrozumiał: chce za podwójną cenę sprzedać przemycone trunki. Dmuszewski jednak huknął na niego, żeby wreszcie przyniósł tę wodę, może ją policzyć jako wino. Wtedy restaurator wyszedł wreszcie z sali.

- Już ja mu pokażę - złościł się Żółkowski. - Żle na tym wyjdzie, świniorzysko. Popatrzcie wokół, ostatni raz widzicie ten lokal w całości.

Pięciu kelnerów wniosło na tacach wodę. Rozstawiali kieliszki, goście milczeli. Było jasne, że wiele osób szybko wyjdzie. Potem Żółkowski nalał sobie do kieliszka i wzniosł go na cześć młodej pary. Reszta zrobiła to samo. Atmosfera była kłopotliwa. Żółkowski nie dokończył toastu, znowu sobie nalał i szybko wychylił zawartość. Przemawiał dalej, ciągle pijąc za młodych. Jego miny i grymasy zaczęły robić swoje. Po czwartym kieliszku nieco poplątał mu się język. Ale dalej wygłaszał toast. Wtedy zaczęto patrzeć na niego baczniej. Po piątym kieliszku poczerwieniały Żółkowski rozglądał się przymglonymi oczami i z trudem utrzymywał równowagę. Szybko wyrzucał z siebie kalambury, ale co chwila plątał mu się język.

Niektórzy poszeptywali: granda, Żółkowski dostał wino. Pierwszy zorientował się Rivoli, też chciał wygłosić toast, ale okazało się, że on również jest pijany. Bogusławski z wdzięcznością skinął głową w stronę Żółkowskiego. Żółkowski zrobił do niego oko. Zdanowicz po trzecim kieliszku wody zupełnie pękł i zaczął błaznować, jak kiedyś, gdy był komikiem. W tym czasie Rivoli podszedł do orkiestry i przy jej akompaniamencie zaczął śpiewać arie operowe z naprędce improwizowanym okolicznościowym tekstem.

Wtedy już większość aktorów była pijana. Poblady Chovot stał w drzwiach sali i nic z tego nie rozumiał. Szepnął coś starszemu kelnerowi, ten również wyglądał na zdeorientowanego, po czym wysłał do stołu jakiegoś młodego, który powąchał jedną butelkę z wodą.

Burza oklasków. Chłopak poczerwieniał i uciekł przerażony. Jeszcze większe oklaski i bisy. Aktorzy, zarykując się pijacko, walili się z uciechy po piersiach.

Żółkowski siedział dumnie na krześle i z łagodnym, pijackim uśmiechem przyjmował gratulacje.

Także nieduża scenka, przygotowana przez Dmuszewskiego, a wykonana przez Malinowskiego, dobrze pasowała do szybko polepszającego się nastroju. W krótkim skeczu dwaj przejeżdżający przez Warszawę cudzoziemcy rozprawiali łamaną polszczyzną o dziwacznych rzeczach dziejących się w mieście; najbardziej zdumiewał ich niewymieniony z nazwiska wielki człowiek, o którym mówi cała Warszawa, który, bo tak mu się podoba, steruje polskim życiem duchowym, którego boją się zarówno ministrowie, przemysłowcy, krytycy, jak i Turcy zagrażający granicom imperium rosyjskiego; oto teraz, po raz pierwszy w życiu zdecydowawszy się na ożenek, doprowadził do wielkiej paniki na giełdzie w Królewcu i Gdańsku, a cena pszenicy natychmiast poszła w górę.

Dialog dwóch cudzoziemców często przerywały brawa i śmiech; Bogusławski objął młodą oblubienicę, z promienną twarzą przyjmował hołdy i nawet nie przyszło mu na myśl, że parę dni temu Dmuszewski mógłby mu się bardziej przysłużyć niż teraz, wymyślając ten skecz.

Potem aktorzy porwali do tańca Karolinę; okręcali ją, deptali jej po nogach, nieco nawet obślinili. Karolina szczęśliwa wirowała, drobiła nogami i chichotała, była czerwona i zdyszana; miło się zapowiadało to małżeństwo z rozsądku.

- Ależ będziemy mieć jutro kaca! - krzyknął z rozpaczą Żółkowski, wywijając napelnioną na nowo butelką. - Ale do diabła z tym, raz się żyje!

Chciał się trącić z Elsnerem, który nie pił, utrzymując, że nie zamierza rezygnować z życia w trzeźwości. Helena dała mu brawo, nigdy nie przypuszczała, że Elsner ma takie poczucie humoru.

Przybyli nowi goście, wśród nich Wolski i Rutkowski po wieczornej próbie. (Krewni Bogusławskiego cały wieczór demonstracyjnie się nie pojawili.) Opowiadali o reżyserskich inicjatywach pana Osińskiego. Żółkowski wytykał różne rzeczy Felińskiemu. Do czego to jest zdolny polski dramaturg, mówił ze zdziwieniem. Pod koniec sztuki każe ukatrupić Barbarę Radziwiłównę, główną bohaterkę, chociaż wszyscy wiedzą, że w rzeczywistości zmarła na syfilis. Każda sztuka jest teraz taka, nawet z największej ladacznicy robi się dziewicę.

Rutkowski z zakłopotaniem szczerzył zęby, a siedzącym obok wyjaśniał: Żółkowski zawsze wygaduje głupstwa, kiedy się upije. Potem nie rozumiał, czemu się tak śmieją; w końcu on także się roześmiał, doszedłszy do wniosku, że rzeczywiście powiedział coś śmiesznego.

Porządni mieszczenie, znajomi ojca panny młodej, ucieszeni ze swobody wynikającej z ogólnego pijaństwa, porwali do tańca Karolinę, Siegmundową i jej przyjaciółki, pociągnęli w krąg tańczących także pana Siegmunda; sadowiąc się obok poszczególnych aktorów, opowiadali całe swoje życie, które ktoś bez wątpienia powinien przenieść na scenę, pan artysta powinien to zagrać, wypytywali także o zakulisowe ploteczki. Z pana Osińskiego rychło zrobił się Ludwiś, a z Iksów ministrowie. Malinowski ogłosił donośnie, że obce wpływy rujnują teatr. Żółkowski wrzasnął: bzdura! i zatoczył ręką wokoło.

- To z ich powodu upadł teatr! - zawołał.

- Jak to z ich powodu? - zapytał Thugutt, kupiec korzenny.

- Z waszego powodu, moje duszyczki - śmiał się szyderczo Żółkowski. - Bo wy jesteście publicznością. Ale teraz się na was zemszczę!

Dowcipy robiły się coraz bardziej rubaszne, mieszano z błotem nieobecnych aktorów,

co w kręgu znajomych Siegmunda wywołało ogromną ciekawość.

Pan Siegmund siedział przy stole zmęczony i przybity. Bogusławski widział, że nietaktowny skecz obraził do żywego jego teścia, który wziął do siebie łamaną polszczyznę. Biedaczysko, pomyślał ze współczuciem i z uśmiechem kiwnął głową w stronę Siegmunda. Kiedy przyniesiono danie główne, w sali rozległ się pełen zachwyty szmer: mięsiwo! mięsiwo!, ucichła muzyka, wszyscy rzucili się na podaną wołowinę; Bogusławski posępnie obserwował mlaskających: to stypa, podano ludzkie mięso, jego, Siegmunda, Marianny, a może i tych, którzy sapiąc, z wybałuszonymi oczami, prawie bez gryzienia połykają teraz jedzenie.

Helena Rutkowska pierwsza już nie mogła jeść więcej. Cicho pożegnała się z Mistrzem, prawie się rozplakała.

- Przy najbliższej okazji panią wezmę za żonę - powiedział Bogusławski ze znużeniem.

Helena kiwnęła głową, uśmiechając się smutnie.

Koło północy niektórzy znikli na pewien czas, ale potem wrócili parami, z nowymi gośćmi, i przynieśli prawdziwą, przemycaną wódkę, razem chyba ze dwadzieścia litrów. Na próżno Żółkowski wołał rozpaczliwie, by nie psuli zabawy, armia gości rzuciła się na wódkę. Żółkowski płakał, wyśmiano go. Aktorzy i porządni mieszczanie pojedynczo lub grupkami wychodzili na ulicę rzygać, lub zebrani w kilku bez sensu próbowali się w coś zabawić. Kilka osób robiło bez muzyki wygibasy tam, gdzie wcześniej tańczono, inni znikali parami na krócej lub dłużej, na przykład Malinowski przygruchał sobie dość młodą sklepikarkę. Kiedy po szyję utyłany w błocie przyniósł ją z powrotem, oboje drżeli z zimna. Pan Siegmund pod wpływem nagłej decyzji znów zaczął chlać.

Z zewnątrz przeniknęli do sali woźnice oraz lampiarze i pozbierali resztki ze stołu. Dwaj popijali za plecami Bogusławskiego i ze smutkiem rozprawiali o tym, że teraz już na pewno wprowadzi się oświetlenie gazowe. Diabelski wynalazek ten gaz, od tej pory nikt już nie obroni człowieka na ulicy. Bo na pewno nie słupy lamp, powiedział drugi i splunął. Ale z nimi nie idzie gadać, wtrącił pierwszy.

O świcie na propozycję Siegmundowej zabrali się do wyjścia i pokrzykując, ruszyli w stronę domu Bogusławskiego. Mistrza wsadzono z Karoliną do jednego powozu, wyprężono konie i ciągnięto wóz za uprząż. Woźnica z myślą o napiwku zgodził się na ten paradny przejazd, na wszelki wypadek przywiązał konie do tylnej osi i człapał obok nich, mając oko na swój dobytek.

Dojeżdżający na przedmieście orszak zatrzymali żandarmi. Ustały pokrzykiwania,

żandarmi kazali wszystkim wysiąść z powozu i dokładnie każdego przeszukali. Mówili, że szukają obroży.

- Obroży? - spytał Bogusławski, nic nie rozumiejąc.

- Obroży - odpowiedział warkliwie jeden z oficerów.

Dmuszewski stał poblady, bo chociaż nie miał przy sobie obroży, to mogli przecież wiedzieć, że ma psa wabiącego się Medor.

Jeden z młodych żandarmów podszedł cichcem do Bogusławskiego i powiedział półgłosem:

- Szukamy psa, panie artysto. - I rozłożył ręce.

- No i co?

- Tylko mówię, panie artysto. Psa albo jego właściciela. Ma na szyi order. To znaczy pies ma na szyi. Kopię Orderu Świętego Stanisława.

Bogusławskiemu coś zaświtało w głowie; kogo to teraz tym odznaczono?

- Nieznani sprawcy - ciągnął młody żandarm półgłosem - złapali bezpańskiego psa, założyli mu na szyję kopię orderu i wypuścili na wolność. Wiejski pies. Zdziczały. Sparszywiały. Trzy dni już go gonimy, ale nigdzie nie wraca do domu na noc, nie daje się złapać. Ani właściciela, który zrobił ten głupi dowcip.

W oczach żandarma mignęła kpina, Bogusławski patrzył na niego zaskoczony.

- Jeśli znajdą panowie... obrożę - powiedział i opatulił się szczerzej - to wcale nie jest pewne... że będzie na niej order.

- Oczywiście - odparł żandarm. - Najważniejsze, żebyśmy znaleźli jakiś rzemyk, cokolwiek, wtedy kończymy służbę i będziemy się mogli wyspać. Smycz też byłaby dobra.

Żandarm uśmiechnął się ironicznie. Jego koledzy niczego nie znaleźli, orszak podążył swoją drogą. Pokrzykiwań już nie było.

Trzeźwiejąc, w złym nastroju i z bólem głowy pochód doszedł do Żelaznej. Konie człapały za wozem, Bogusławski i Karolina już nie wsiedli do środka, ale woźnica powiedział, że to już blisko i nie warto zaprzęgać koni, więc weselnicy dociągnęli pusty powóz do domu Mistrza. Ciągnęli bez skargi i bez zapału, konie człapały za nimi sennie.

Stopniała do około trzydziestu osób grupka tępo i cierpliwie odczekała, aż Bogusławski skończy szperać po kieszeniach w poszukiwaniu klucza do ogrodowej furtki. Nie pił dużo, a i ta niewielka ilość zdążyła już wyparować; najchętniej wysłałby całe towarzystwo do diabła, włącznie z żoną i nowo upieczonymi krewnymi, najchętniej przepędziłby ich z wrzaskiem. Siegmund stał obok niego, widać było, że chciałby pomóc w otwieraniu zardzewiałej kłódki. Żółkowski pochylony przy ogrodzeniu kaszłał

i wymiotował. Bogusławski spojrział w jego stronę, na śniegu zalśniły szybko blednące kropelki krwi, które drążyły małe dziurki w białej zaspie. Żółkowski wepchnął między kraty czubek buta i zgarnął nieco śniegu na plamy.

W końcu furtka się otworzyła i potykając się, weszli do ogrodu. W świetle świtu kilka osób z trudem odczytało napis widniejący na fasadzie: „Parva sed apta”.

Bogusławski otworzył również bramę i uprzejmie stanął, by przepuścić gości do środka. Żółkowski przekroczył bramę jako jeden z ostatnich.

- Ileż ty masz lat, mój królu? - zapytał go Mistrz.

- Siedemdziesiąt siedem - odpowiedział Żółkowski.

- Ile?

- Dwa razy więcej niż inni żarłem, dwa razy więcej piłem, dwa razy więcej sypiałem z babami - powiedział Żółkowski i hucznie się zaśmiał.

Goście rozejrzeli się po kuchni, powęszyli w przerażająco pustej spiżarni, weszli po schodach, zapalili świece, zaglądali w każdy kąt, obejrzeni pogniecioną, brudną pościel Bogusławskiego, kilka osób wyciągnęło się na niej, inni przysiedli skuleni na podłodze. Siegmundowie stali w bezruchu na środku pokoju.

- Taki mały ten dom? - spytał jeden z gości.

- Jest jeszcze trochę pokoi - powiedział Bogusławski. - Chcą państwo obejrzeć?

Pełne niezdecydowania pochrząkiwanie. Bogusławski podszedł do dwójga drzwi zasłoniętych kotarą, były zamknięte. Nie wiedział, gdzie są klucze, tylko Marianna raczy to wiedzieć.

- Włammy się - zaproponował grzecznie.

Zapadła cisza, podeszło kilka osób, zaczęli się mocować najpierw z jednymi, potem z drugimi drzwiami. Jedne i drugie szybko puściły. Większość gości, zaopatrzonych w świece i kaganki, weszła do środka. Po chwili oblepieni pajęczyną wyszli, bladzi, prychając, i wpatrzyli się w Bogusławskiego.

- Co tam jest? - zapytał Mistrz. - Ja tam jeszcze nie wchodziłem. Jest coś ciekawego?

Zdanowicz wyczarował z zakamarków spiżarni chleb oraz wyglądającą jak kawałek drewna suszoną rybę i przyniósł je na górę.

- Czy ktoś chce? - spytał i zaczął jeść.

Ciszę przerwał Thugutt: nie szkodzi, potem zoneczka zrobi porządki. Bogusławski zapytał, czy ma napalić. Odpowiedzi nie otrzymał.

- Trzeba by coś wypić - powiedział Malinowski.

- Niestety - odparł Mistrz.

- Niczego nie ma? - spytał Malinowski załamany głosem.
- Niczego - powiedział Zdanowicz. - Przeszukanie domu było bezowocne.
- Są nietoperze? - spytała sklepikarka.
- Może - mruknął lakonicznie Bogusławski.

Niektórzy coś sobie szeptali. Siegmundowie nadal stali odrętwiali na środku pokoju. Karolina nie wiedziała, czy ma omdleć, czy dostać spazmów. Bogusławski ich obserwował.

- Idźmy na cmentarz - zaproponował nagle Rivoli.

Kilka osób powtórzyło to najpierw tonem pytającym, potem oznajmującym.

- Tam jest zimno - zaproponował Rutkowski.
- Zwracam państwu uwagę - rzekł Zdanowicz, żując rybę - że tam też nie serwują napitków.

- Jest blisko - powiedział Dmuszewski. - Przejdziemy się trochę, potem każdy może wrócić do domu.

- Ja nie pójdę stąd na piechotę do domu - wyszeptała zdecydowanie Siegmundowa.
- Serdeńko - odszepnęła jej Siegmund - na dworze stoi karetka.

- Na cmentarz - przebiegło z ust do ust. Głosy były spłoszone, drżące i nieco zaniepokojone.

Z wolna, pojedynczo schodzili po schodach, szli do ogrodu, mijali furtkę i stawali zbici w gromadkę.

- Słyszysz pan? - wyjąkał Siegmund do Bogusławskiego. - Słyszysz pan?...
- Ja nie idę! - piszczała głośno Karolina, kiedy już prawie wszyscy opuścili pokój.
- Pójdiesz tam, gdzie wszyscy! - krzyknęła na nią ze złością matka.
- Boję się na cmentarzu!
- Już ja ci powiem, czego masz się bać! - krzyknęła piskliwie Siegmundowa. - Marsz na cmentarz!

I wypchnęła córkę z pokoju.

Bogusławski schodził powoli za Siegmundem. Na przedostatnim stopniu schodów Siegmund zatrzymał się i postukał w poręcz. Mistrz podsunął bliżej świecę, by teść mógł przyjrzeć się fakturze drewna, co też uczynił.

- Prawdziwy dąb - poinformował Mistrz.

Siegmund coś mruknął i wyszedł za bramę.

Towarzystwo stopniałe już do dwudziestu osób cierpliwie czekało, by Bogusławski, dokonujący skomplikowanych operacji, zamknął kłódkę. Mistrz rzucił na nich okiem. Ktoś ruszył w stronę cmentarza, reszta stadka za nim.

- Dokąd jedziemy? - zapytał woźnica.

- Na Powązki! - wykrzyknął Zdanowicz.

- O tej porze?

- O tej porze.

Pochód skręcił w Żytnią.

- Hej! - zawołał do nich woźnica. - Nie zostawiajcie mnie tutaj, skoro już tak daleko zajechałem.

Zatrzymali się.

- Zaprzęgaj konie - polecił Rivoli.

- Do diabła z tym! - machnął ręką Zdanowicz. - Pociągniemy.

Wrócił do powozu i złapał za uprzęż. Rivoli i Wolski poszli za jego przykładem.

- Moi panowie - krzyknął Wolski i założył sobie rzemienie - oto mamy niepowtarzalną okazję!

Dwaj szewcy i kramarz również się zaprzęgli.

- A pan zleż z kozła - zarządził Wolski. - Chyba pan nie myślisz, że będziemy ciągnąć woźnicę?

Woźnica uznał, że lepiej będzie zsiąść.

- Jazda! - rzucił Wolski po wojskowemu.

Orszak znowu ruszył. Wóz puszczono przodem, reszta kroczyła za nim. Bogusławski szedł z tyłu wozu, pozostali za jego plecami, zgodnie z etykietą w pierwszym rzędzie rodzina Siegmundów. Siegmundowa mocno trzymała popłakującą córkę za ramię. Elsner włókł się na końcu, później niepostrzeżenie zniknął. Bogusławski obejrzał się i przywołał gestem Żółkowskiego.

- Chodź, staruszkę - powiedział. - Twoje miejsce jest przy mnie.

Żółkowski przeszedł do przodu.

Zacni mieszczaństwo zwietryli jakieś wielkie wydarzenia, żaden już się nie ulotnił. Ktoś z tyłu zaczął śpiewać psalm, ale tylko nieliczni poszli w jego ślady, potem głosy zamarły.

- Wobec tego - krzyknął Zdanowicz - będzie to:

Świat srogi, świat przewrotny,

Wszystko na opak idzie,

Kto nie wart - pan stokrotny,

A człek poczciwy w biedzie.

Aktorzy wraz z nim buczeli arię Bardosa.

Odśpiewali ją raz, potem jeszcze raz, nikt nie miał nowego pomysłu i śpiew się skończył.

Był paskudny, szary poranek, ale przynajmniej wiatr ustał. W tej szarości kontury stawały się coraz ostrzejsze, a kolory jakby blakły. Odświętne stroje weselne, przesadnie strojne ubrania kramarzy i sklepikarek, fantazyjne płaszcze i rzucające się w oczy cylindry oraz kołpaki aktorów przybrały różne odcienie szarości, najbardziej czarny cylinder wcale nie był naprawdę czarny, śnieg wcale nie był naprawdę biały. Dwa kasztany człapały posłusznie za wozem.

Z drewnianych domków i ogrodów na Nowolipkach wynurzali się gapię. Uznali, że to czyjś pogrzeb, zawsze się na to gapią, chociaż dawno mogliby się już do tego przyzwyczaić. Obszarpane, opatulone od stóp do głów dzieciaki przyłączyły się do orszaku, doszło także kilka staruszek w czarnych chustach. Grupka znów się rozmnożyła, było ich teraz ze czterdzieścioro. Spłoszone wrony leciały leniwie za nimi, przysiadły na nagich drzewach stojących z rzadka po obu stronach marnie brukowanej ulicy i ponownie wzbijały się w powietrze ku następnemu drzewu, gdy ostatnia osoba w orszaku mijała już miejsce, gdzie siedziały.

Przy wysokim kamiennym ogrodzeniu cmentarza nie było bruku, wóz kilka razy grzązł w błocie, zaprzężeni z przodu ludzie nie mogli go wyciągnąć, wiele osób z orszaku pchało go, brnąc po kostki w tej brei, póki nie udało im się go wyciągnąć i znów nie zaskrzypiały koła. Woźnica stał z boku, z batem w ręku, bał się o wóz, ale nie śmiał się odezwać. Kilkoro dzieciaków pogłaskało konie.

Siegmundowie maszerowali tak, jakby wykonywali niezwykle istotną dla wszystkich misję. Na obliczu drukarza malowała się powaga, pochylił głowę i głęboko oddychał.

Doszli do bramy cmentarnej, była otwarta. Nim wspólnymi siłami wtoczono wóz, a woźnica odwiązał pilnie strzeżone konie, Bogusławski spojrzął, czy na boku kościoła jest jeszcze wśród innych tamta tablica pamiątkowa. Była. Podniósł wzrok, Żółkowski stał obok niego i czytał napis.

Zwiędłaś jak róża, gdy ją mroźny wiatr owieje,

Cieżką ojcowskie serce okryłaś żalobą;

Tę mi jedną w starości zostawiasz nadzieję,

Że wkrótce pójdę za Tobą.

- Marny wierszyk - powiedział Mistrz.

- Tam był park, prawda? - zapytał Żółkowski.

Bogusławski przytaknął. Dawniej na Powązkach był niezwykle zadbany, ogromny park, oglądać ten cud przychodzili także cudzoziemcy, było tu sztuczne jezioro, sztuczne ruiny, wszystko co jest na tym bożym świecie, może nawet sztuczne duchy; wszystko zburzono tak, by nie można już było tego odbudować.

- Zakładam pismo humorystyczne - powiedział Żółkowski.

- Świetnie - odparł Bogusławski.

Powóz podjechał do nich, stanęli za nim i orszak ruszył w głąb cmentarza.

- Wielu wspaniałych czynów bohaterskich musiał dokonać ten cmentarz - mruknął Żółkowski - skoro otrzymał za to tyle krzyży.

Ktoś za nimi to usłyszał i już głośniejszym głosem, jako własny dowcip, podał dalej.

Posuwali się najszerszą alejką między grobami.

- Popatrzcie! - krzyknął Zdanowicz zaprzężony z przodu powozu. - Sami symulanci.

Wskazał na kamienie nagrobne.

Zatrzymali się przy nieco szerszym skrzyżowaniu alejek, nie mogąc się zdecydować, którądy dalej iść. Wąsowicz proponował, by uroczyście pogrzebać powóz. Pomysł się spodobał. Oczy zacnych mieszczan błyszczały z podniecenia, teraz to będzie cyrk. Jeśli zrobi się skandal, wszystko zrzucą na tych komediantów. Zrozpaczony woźnica oponował przeciw pomysłowi, na co Wolski go spytał, za ile sprzeda wóz. Po chwili wahania chłop wymienił jakąś kwotę. Wolski zażądał publicznej składki. Zebrano nawet jakieś pieniądze, ale nie tyle, by można było kupić wóz. Zgromadzenie stało rozproszone i bezradne między grobami.

- Rivoli! - krzyknął nagle Rivoli.

Spojrzeli na niego; małomówny, tyczkowaty aktor studiował napisy nagrobne, po chwili znowu krzyknął:

- Osiński!

Śmiech. Rivoli podszedł do kolejnego grobu.

- Elsner!

Oklaski.

- Szymanowski! Werowski! Ledóchowska! Dmuszewski! Bogusławski! Zdanowicz!
Kudlicz! Żółkowski! Rutkowski!

- Ja nie! - zakwiczał kandydat na posła.

Rivolemu zabrakło nazwisk i zamilkł.

- Trzeba by splądrować groby - rzucił jeden rzeźnik.

- Trzeba by zobaczyć - rozważał głośno Żółkowski - gdzie jest pies pogrzebany.

- Jaki pies?

- Ten, którego obroży szukają.

Malinowski wskoczył na ozdobną płytę.

- Polacy! - krzyknął. - Drodzy rodacy!

Bili mu brawo. „Słuchamy, słuchamy!” Oblegli wkoło płytę, czekali na przemówienie.

- Polacy! - krzyknął ponownie Malinowski, po czym dodał ciszej: - Rodacy...

Stał tak jeszcze przez chwilę, po czym zszedł.

- Bravo! - krzyknął Rivoli. - Niech żyje mówca!

Kilka wiwatujących osób pochwyliło Malinowskiego i podrzuciło do góry.
Malinowski bronił się i śmiał.

- Czy ktoś jest głodny? - zapytał Zdanowicz i wyciągnął spod płaszcza suszoną rybę z zapasów Bogusławskiego.

- Kto głodny, niech stanie w kolejce - zarządził Wolski i wskazał na groby: - Ci także zawsze karnie i bez przepychanek ustawiali się w kolejce do obozowej kuchni, by dostać porcję bohaterskiej śmierci.

Dla zabawy kilka osób ustawiło się w kolejce. Wolski zdjął cylinder i poprosił o wrzucenie do niego kawałka ryby. Zaraz menażkami stało się kilka cylindrów i czapek; został nią nawet zdjęty but, którego właściciel stał jedną nogą w śniegu.

- Nie waż się stanąć razem z nimi - syknęła Siegmundowa do męża.

- Ale oni już tacy są, ci komedianci - powiedział Siegmund i uśmiechnął się z poczuciem porażki.

- Ja nie będę szorować twojego nakrycia głowy - oświadczyła Siegmundowa.

Powóz znowu ruszył. Gapiące się dzieci, goście weselni i żwawe staruszki tłoczyli się za nim. Bogusławski rozejrzał się, po czym ruszył między kwaterami w przeciwną stronę. Śnieg na cmentarzu był czysty i skrzypiący, a wystrugane z drewna krzyże między

wyniosłymi świerkami wydawały się tu zbyt liczne. Biedny to cmentarz, pomyślał Mistrz, zaledwie kilka kamieni nagrobnych, a i te są opuszczone. Prawdziwy cmentarz, pomyślał z zadowoleniem.

Spacerował, czasem przystawał, czytał napisy wyłobione na drewnianych nagrobkach. „Żył lat dwadzieścia sześć”. „Żył lat czterdzieści”. Próbował wyliczyć, ile rzeczy by stracił w życiu, gdyby mając tyle lat... Bardzo wiele.

Cmentarz zimą. Dobry tytuł, warto by dopisać do niego sztukę. Taki cmentarz to piękna scena, ośnieżone drewniane krzyże, wyniosłe świerki, z widowni nie widać nawet ich wierzchołków. W sztuce wszystko mogłoby się wydarzyć. To, co się zwykle zdarza, i to, co nigdy się nie zdarza. Między grobami mogłoby się roić od koboldów, duchów, nimf, bogów i diabłów, mogłyby pojawiać się wśród żywych i umarłych, trudno byłoby ustalić, który z nich jeszcze żyje, a który powrócił z zaświatów. Byłaby to piękna, pogodna i nastrojowa sztuka.

Koboldy skaczą z drzewa na drzewo, jak wiewiórki. To byłby poziom duchów, na konarach drzew. Na dole, może w zapadni, miejsce zaświatów. A między nimi świat żywych. Żyjący mogliby istnieć tylko na tym poziomie, bogowie i umarli na każdym z trzech. Można by z tego zrobić niezłą zabawę.

Czerwona tarcza wschodzącego słońca też mogłaby zagrać w sztuce, prześwitywałaby między iglastymi gałęziami dokładnie tak jak teraz.

Byłaby to pełna mądrości opera. Opera, bo cóż innego? Przecież wszystko i wszyscy śpiewają. Ogromne ślimaki wielkości człowieka poruszałyby się między zaspami śniegu. Czemu akurat ślimaki? Z pewnością muszą to być ślimaki.

To dziwne, że był czas, dawno temu, kiedy starał się omijać cmentarze i ich otoczenie.

Zapadając się po kostki w śnieg, szedł od drzewa do drzewa. Był sam. Mniejsze gałązki uginały się pod ciężarem lodowych sopli zdobiących je jak bożonarodzeniową choinkę. Nawet podzwaniają, gdy się je lekko trąci.

Dostrzegł towarzystwo stojące za wozem. Byli dość daleko, nie słyszał ich głosów. Na dachu wozu coś leżało, przymrużył oczy i po chwili stwierdził, że to kamień nagrobny. Zgarnęli go po drodze. Podeszedł bliżej. Nagrobek był zupełnie pozbawiony gustu, prawdopodobnie marmurowy; zdawało mu się, że z boku między przeróżnymi ozdóbkami są także postacie alegoryczne. Na górze krzyż z czarnego marmuru. Na szczycie i końcach ramion ozdoby przypominające płatki kwiatu. Towarzystwo mruczało jakąś pieśń żałobną, ledwie ich słyszał. Całkiem możliwe, że ją wyrzaskują. Wygląda na to, że wóz ugrzązł i dlatego przestali go ciągnąć. Próbowali go podnieść, nie udało się. Bogusławski obserwował

ich z daleka, przytulony do pnia drzewa. Z wielkim trudem zdjęto z wozu kamień nagrobny, który zakołysał się w powietrzu i runął w śnieg. Nie było słycać huku, tylko ludzie się rozbiegli i uniosły się kłęby śniegu. Postacie zaczęły się krzątać wokół prawie niewidocznego już kamienia. Po krótkiej chwili Mistrz zauważył, że kopią. Gdzie mogli znaleźć łopatę?

Kamień nagrobny przepisowo pochowano i wkrótce wszyscy się rozeszli. Woźnica krzyczał coś za odchodzącymi, próbował w pojedynkę wyciągnąć wóz, ale wreszcie on też go zostawił i zniknął między grobami i drzewami.

Wszyscy już dawno odeszli i było przepięknie cicho, gdy Bogusławski podszedł do zakopanego kamienia nagrobnego. W kopczyk ziemi ktoś wbił niewielki drewniany krzyż, a gałązki świerku przewiązał zmiętoszonym krawatem. Bogusławski spoglądał na kopczyk, stojąc przy przewróconym na bok wozie. Niczemu się nie dziwił. Potem powoli ruszył w stronę, gdzie, jak przypuszczał, znajduje się wyjście.

Przez wiele dni była to sensacja. W teatralnej knajpie robiono zakłady, czy Bogusławski się rozwiedzie, czy też uda mu się wycisnąć posag. Ze smakowitymi szczegółami omawiano gorszące zakończenie równie gorszącego ślubu. Wszyscy wiedzieli, że drugi dzień po ślubie świeżo upieczona małżonka spędziła u rodziców, a Mistrz zamknął się w swoim domu. Na trzeci dzień Siegmundowie odbyli pielgrzymkę do Bogusławskiego, gdzie czekali już na nich ciekawscy. Bogusławski nie wpuścił ani teścia, ani teściowej, każdy mógł usłyszeć, jak z okna na piętrze prowadził z nimi niezrównany dialog: domagał się posagu, a Siegmundowie błagali go, by wpuścił ich córkę do siebie i nie robił skandalu. Potem grozili mu sądem. Potem się wynieśli wśród szyderstw publiczności. Bogusławski jak zwyczajski wódz z uśmiechem pomachał z okna widzom i przesłał im całusa.

- Zrobił sztukę na jedno przedstawienie - powiedział Żółkowski w knajpie.

Na mieście, podobnie jak w knajpie, dalej mówiło się o ślubie Bogusławskiego, ale aktorów szybko opanowały tradycyjne emocje związane z premierą *Skapca* oraz *Barbary Radziwiłłówny*. Na dwie godziny przed premierą *Skapca* nieoczekiwanie pojawił się w teatrze Bogusławski, a czterech chłopców na posyłki niosło za nim osiem ogromnych świeczników, które Mistrz uroczyście, ku zachwytowi przygodnych świadków ofiarował bąkającemu coś z zakłopotaniem Kudliczowi. Pławcie się w premierowej powodzi światła, życzył wszystkim Bogusławski. Były to piękne, ogromne świeczniki, każdy zdobiło dwadzieścia świec o grubości ramienia. Kudlicz potrząsnął ręką Mistrza, który zaraz wyszedł i nie oglądał premiery.

Ta wypadła marnie. Z jakiegoś powodu wszyscy poruszali się bez najmniejszego sensu, byli dziwnie usztywnieni i uroczyści, widać było, że warstwa szminki na twarzach jest

zbyt gruba. Pod koniec spektaklu Ledóchowska odgadła powód klęski: próby odbywały się przy słabym oświetleniu, a gesty i grymasy, które były wtedy w porządku, w ostrym świetle zrobiły się nie do zniesienia.

- Stary ciągle jeszcze jest fantastyczny - szepnęła tragiczka do stojącego obok i gapiącego się bezmyślnie Werowskiego. Żółkowski to zrozumiał i przeklinał w duchu wszystkich świętych, chociaż powinien się cieszyć z klęski Kudlicza.

Bogusławski także czytał recenzję, która ukazała się dwa dni później.

W gazecie nie wspomniano o świetle, oświetleniu i świecznikach podczas spektaklu, natomiast dzięki Pękalskiemu czytelnicy „Korrespondenta” dostali informacje o wszystkich ważnych i aktualnych wydarzeniach politycznych.

Na pierwszej stronie Wielki Książę Konstanty w pełnych wzruszenia słowach podziękował polskim żołnierzom za wspaniałą, zdyscyplinowaną i wzorową musztrę, którą miał okazję obserwować, i z tej to okazji wystąpił o kilka nadzwyczajnych awansów.

Wielka księżna Maria wyruszyła z Petersburga w długą podróż morską. Upřednio wraz z mężem prosiła o błogosławieństwo w soborze Izaaka; na nabożeństwie pojawiło się kilku członków rodziny carskiej, a także wiele innych wybitnych osobistości.

Najwięcej miejsca z gazecie zajął nowy dekret cara Aleksandra dotyczący ceł. „My, z Bożej łaski Aleksander Pierwszy, Car Wszechrusi, Król Polski etc., etc.” Rozporządzenia dotyczyły przede wszystkim żeglugi, zawierały dokładne przepisy, procenty i inne sprawy związane z łodziami pływającymi po Bugu i Niemnie.

Z gazety wynikało również, iż na cześć cara Aleksandra w cerkwi wileńskiej zabrzmiało *Te Deum*, a obecny był tam także litewski generał-gubernator Rimski-Korsakow. Miasto było odświętnie oświetlone, a poza iluminacją urządzono wspaniałą pokaz ogni sztucznych. Ponadto odbyła się wielka parada wojskowa, która ukazała stan gotowości wojska oraz jego wysoki poziom techniczny i moralny.

Na jednej ze stron wewnętrznych księgarnia Zawadzki i Węcki informowała swoich klientów, iż jeszcze przez kilka dni można będzie nabyć zmniejszoną kopię srebrnego medalu Akademii, którą pan Linde otrzymał za *Słownik języka polskiego*.

Zamieszczono wiele listów gończych podpisanych przez pułkownika Akałowskiego.

Poszukiwano skazanego Michała Niedzielskiego, który uciekł z więzienia podczas wydawania chleba. Skazany urodził się w Toruniu, ma 34 lata, żonaty, katolik, 5 stóp wzrostu, włosy, brwi i wąsy czarne, twarz blada i pociągła, nos duży, mówi po polsku i niemiecku, ubranie szare, płaszcz zielony, wojskowy.

Poszukiwano także złodzieja Piotra Grzybiucha, złodzieja Kazimierza Wawrzyna,

złodzieja Jana Wasilewskiego, mordercy Jana Kołodziejczyka itd.

Według informacji w rubryce „Kursy” w Gdańsku nadal spada cena pszenicy, polski złoty znów uległ dewaluacji, tym razem o siedem groszy.

Pan X, porównując komedię Moliera ze sztuką Plauta *Aulularia*, zmuszony był przyznać palmę pierwszeństwa autorowi z czasów starożytnych. Pan X poddał wyczerpującej analizie pojęcie skąpstwa, jego sferę znaczeniową i formy, w jakich się objawia, po czym doszedł do wniosku, że skąpstwo samo w sobie jest poważnym grzechem, zbędne były więc starania pana Moliera, a tym bardziej jego przesadna gorliwość, by poza skąpstwem obciążać jeszcze postać Harpagona miłosnymi aberracjami. Zresztą Harpagon jest nie tylko skąpcem, lecz również lichwiarzem, a obie te rzeczy pan Molier znów niepotrzebnie pomieszał. Nic bardziej charakterystycznego dla niekonsekwencji pana Moliera niż to, że do szkatułki tak strachliwie pilnowanej przez Harpagona tak łatwo można się dostać. Co również dowodzi, iż pan Molier nie umiał dobrze skonstruować sztuki. Kluczem do doskonałej konstrukcji *Aulularii* jest to, iż mówi ona tylko i wyłącznie o sknerstwie. Pan Molier dobrze by zrobił, gdyby wraz z tematem przejął od Plauta także jego sposób konstruowania sztuki. Poza tym relacja ojciec-syn wcale nie wygląda w życiu tak, jak ją maluje Molier; to nieprawda, że ojcowie są ograniczeni i starają się zatruwać swoim synom i córkom życie, wręcz przeciwnie, ojcowie mądrze i roztropnie wprowadzają swoje dzieci w życie, a bez ich pomocy młodzi popełnialiby sporo głupstw.

Pan X dużo miejsca poświęcił kostiumom i zarzucił, iż strój Harpagona jest zbyt okazały, przeładowany złotem, przypominający drogi kontusz, chociaż z całą pewnością Harpagon, ze względu na skąpstwo, również na siebie żałuje pieniędzy.

O kreacjach aktorskich pan X ledwie wspominał.

Bogusławski czytał gazetę, jakby trzymał w ręku starożytną skamielinę. Widział też z boku siebie trzymającego gazetę. Gdyby jeszcze spojrzął na to z głębi swej duszy, mógłby napisać mądrą odpowiedź. Potrafiłby wytłumaczyć tym idiotom, że pan Molier dysponował nieco bardziej przebiegłym umysłem niż oni, a jego piórem kierowały nie zwiędłe już poglądy estetów, lecz samo życie; jaki sens miałby Harpagon jedynie jako skąpiec? Harpagon dlatego jest postacią z krwi i kości, że ma w sobie wiele ukrytych gwałtownych uczuć, dlatego jest wielki, że wszystko, przeciw czemu muszą buntować się jego, swoją drogą głupiutkie, dzieci, jest istotą jego samego... Ale on niczego nie będzie wyjaśniać. Co mógłby wyjaśnić tym dawno już, prawdopodobnie od niepamiętnych czasów, spróchniałym i zbutwiałym ludziom?

Wszystko przestało być ważne. Wsłuchał się w ciszę. Cisza szumiała w uszach.

Plersch mówił coś o tym, że jest już potomkiem samego siebie. To prawda.

Na stole leżał najnowszy, utrzymany w ostrym tonie list Nieczystelnego Podpisu.

W Anglii zamyka się ludzi w więzieniu dla dłużników. Szkoda, że w Warszawie takiego nie ma, sporo można byłoby tam zagrać.

Dwa dni później odwiedził go Żółkowski. Mistrz leżał na boku, było u niego bardzo zimno. Skrzywił się i zaczął narzekać, że może leżeć tylko na jednym boku, w drugim coś go gniecie i boli. Żółkowski nie wiedział, co powiedzieć. Przyniósł „Gazetę”, była w niej recenzja pana X z premiery *Barbary Radziwiłłówny*.

- Nic mnie to nie obchodzi. - Mistrz machnął ręką. - Wysiedlają mnie.

Żółkowski zaczął kaszleć.

- Nie da się czegoś zrobić? - spytał, gdy kaszel ustał.

- Chciałem dać ogłoszenie - powiedział Mistrz. - Pękalski oświadczył, że tekst ogłoszeń też się cenzuruje, nie może zamieścić mojego.

- Jakie ogłoszenie?

Bogusławski wyjaśnił, że zamierzał przeznaczyć dom na wygraną na loterii, a to należy zamieścić w ogłoszeniu.

- Ale nie można - powiedział i roześmiał się.

- Więc co będzie?

Mistrz zaśmiał się ironicznie.

- Przechytrzę ich - odparł. - Wykituję jako dłużnik.

Kiedy po kilku godzinach, już o zmroku Żółkowski znów się pojawił, Bogusławski leżał w łóżku w tej samej pozycji. Może tylko zimno było bardziej dokuczliwe.

Żółkowski nie powiedział mu, że nikt nie chciał się dołożyć, by ratować Mistrza. Przyniósł trochę wódki i kilka ciepłych szali. Bogusławski machnął ręką, co tam, daj spokój.

- Dobry tekst - pokazał gazetę i przeczytał fragment recenzji pana Iksa.

„Zawsze wspomnienia Polaka mile zwracać się będą w owe Zygmuntowskie czasy, w których ojczyznę jego sława u obcych i lepsze od niej szczęście domowe upiększały”...

- Co za zdanie! - mlasnął Bogusławski.

„...Z tego więc powodu Feliński zρέcznie wybrał i wystawił nam *Barbarę Radziwiłłównę*. Jednakże dzieje nasze między europejskimi są najmniej tragiczne”...

- Słyszysz, Alojzy? Wiesz, co jest zabawne? Że oni poważnie tak myślą!

„...Często zaburzone, lecz zawsze łagodne: nie ma w nich ani tych okropności w wojnach, ani osobistych napaści, ani krwawych odwetów, które gdzie indziej to rządzących, to rządzonych kaziły”...

- Cha, cha!

„...Naród polski jest, że tak rzekę, szczególnie romansowym. Mało wazący losy obecne, choć były najprzeciwiejsze, odbiegał łatwo od nich i w utajoną przyszłość [!] słodkie swe ułudzenia przenosił; w niej czerpał pociechę, otuchę, w niej żył istotnie”...

- To całkiem dobre, nie?

„...Przy takowej pośród pięknych urojeń istności a poświęcaniu rzeczywistych korzyści nabył i zachował koniecznie pewną wspaniałość w żądzach i szlachetność w uczuciach, które mu nie dozwalały poniżać się do pospolitych lub głęboko wysnowanych zbrodni. Zdarzenia zatem z historii naszej przeniesione na scenę tragiczną nie mogą wzniecać ani nagłego duszy wstrząśnienia, ani przerażać gwałtownie umysłu. Zając je tylko zdołają boleśnie i czule; skutkiem ich nie okropność, ale litość i łzy będą”.

- Tylko jedno jest od tego lepsze - powiedział Bogusławski, uśmiechając się drwiąco. - Kiedy na końcu pisze: „...zdaje się, iż można było albo zupełnie otrucie wypuścić i na triumfie Barbary z królem zakończyć, albo też wystawując na scenie umierającą Bonę w nadziejach triumfu zatrzymać i tylko na nią o tę śmierć cień podejrzenia rzucić”... Ten nieszczęśnik nawet nie rozumie, jaką prawdę napisał!

- No tak - mruknął Żółkowski. - Mam pewien pomysł. Trzeba pójść do Zajączka, on może zezwolić, by w gazecie publikowano teksty wszelkiego rodzaju ogłoszeń.

- Już i do tego potrzebny jest namiestnik? - zapytał Bogusławski. - Biedaczysko. Musi być strasznie zapracowany.

- Obecnie wprowadzono tam następujący system - zaczął Żółkowski. - Przy bramie pałacu jest na warcie dwóch ludzi. Dla zmylenia. Bo w środku stoją w gotowości dwie kompanie uzbrojone po zęby. Do zamku można się dostać jedynie po uprzednim zgłoszeniu. Wejść może ten, czyje nazwisko widnieje na liście wartowników przy bramie. Nie warto się wdzierać, omijając ich, bo w środku strzelają.

- No i?

- Kto jest na liście, tego wprowadza kilku strażników.

- I?

- Kogo nie wezwano, tego się nie wprowadza. Pojmuje Mistrz?

Bogusławski potrząsnął głową.

- Bo wejść może tylko ten, kogo wcześniej wezwano. Żeby nikt bezprawnie nie wtargnął i nie ogłosił się polskim królem, zanim go zastrzelą. Ale są tacy, których tam wezwano!

Bogusławski nie rozumiał, czemu twarz Żółkowskiego jest taka promienna.

- Mnie tam wezwano - powiedział Żółkowski, chichocząc. - Jeszcze za *Horacjuszy*, sądzili, że w nich gram, i chcieli mnie postraszyć... Ich rejestry nie są chyba zbyt precyzyjne. Ale nie o to chodzi. Jakiś pułkownik przesłał pocztą list, musiałem go pokazać wartownikom, ci bez słowa mnie wpuścili, w środku dostałem dwóch strażników... czy to nie wspaniałe?

- Co takiego?

- Każdy może wejść, Mistrzu! Ważne, żeby pocztą przyszedł list na adres Mistrza, z podpisem jakiegoś pułkownika! W Warszawie jest tylu pułkowników... przecież samych tylko generałów jest dziewięćdziesięciu sześciu!

- Tak... Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie jest pewne, czy każdy wartownik zna każdego pułkownika...

Bogusławski ryknął śmiechem i usiadł na łóżku.

- To dobre! - powiedział uradowany. - Zagramy im to!

Zredagowali list do pana Bogusławskiego, wezwali go do namiestnika na pojutrze, Żółkowski podpisał się lewą ręką jako pułkownik Akałowski, potem przeszedł się na pocztę i nadał list.

Następnego dnia Bogusławski długo obracał list w rękę. Przeszedł przez cenzurę. Nie odważyli się go zatrzymać. Roześmiał się.

Na trzeci dzień, ciężko dysząc, dotarł do bramy zamku. Nie musiał tego symulować, niedawno wolny spacer też go wyczerpał. Ze strachem pokazał list wartownikom i od razu ich zapewnił, że w żaden sposób nie naruszył prawa i nie rozumie, czemu ten list...

Krzyki siwiutkiego starca dość rozbawiły wartowników. Przeczytali list, chwilę naradzali się szeptem, po czym jeden podprowadził go do bramy i zrewidował przy przejściu prowadzącym na dziedziniec. Wprawne ręce najdłużej obmacywały wystającą kość biodrową Bogusławskiego, póki się nie okazało, że to jednak nie jest broń. Wartownik zaprowadził Mistrza na dziedziniec, gdzie wałęsali się żołnierze. Było ich sporo, więcej niż dwie kompanie. Jeden z oficerów zaprowadził Bogusławskiego na piętro. Tam też sterczało mnóstwo żołnierzy. Tu Bogusławskiego przejął inny oficer, razem z jego listem. Ten miał już w ręce pistolet. Doprowadził go na drugie piętro.

Bogusławski dawno nie był w zamku. Na zakrętach schodów również stali żołnierze z wycelowanymi karabinami gotowymi do strzału. Wystarczy jeden nieopatrzny ruch, pomyślał Mistrz oblany potem. Na korytarzu drugiego piętra straż pełnili cywile, ci również mieli karabiny.

Pałac stracił dużo z niegdysiejszej świetności. Gdzieś tam odpadał tynk, złocenia przybladły, w paru miejscach, na ile mógł zauważyć, część złocen została zdarta.

Nawet bez wartowników zamek sprawiałby wrażenie więzienia.

Bogusławski założył ręce do tyłu, czuł, że tak będzie bardziej na miejscu.

Przy jednych drzwiach oficer warknął „stać” i otworzył drzwi. Bogusławski wszedł, drzwi za nim zamknięto. Oficer nie mógł przekroczyć progu. Tylko on, z fałszywym wezwaniem.

Znalazł się w dziwnym, pięciokątnym pokoju bez okien przypominającym przedpokój. Stało w nim biurko i jedno krzesło, na którym siedział gnom. Miał dużą głowę, cienką szyję, nogami nie sięgał podłogi. Wzrokiem krótkowidza spojrzał znad papierów.

Bogusławski bez słowa wręczył mu list.

Gnom rzucił tylko okiem, wyszczerzył drwiąco zęby.

- Jestem Bogusławski - powiedział nerwowo Mistrz.

- Tak - odrzekł gnom, szczerząc zęby. - Aktor.

Przerwa trwała bardzo długo. Potem gnom zsunął się z krzesła. Na stojąco był jeszcze niższy, niż na siedząco. Może to sekretarz Wielkiego Księcia. Ale nie, to Francuz. Kim może być? Wspiąwszy się na palce, dosięgnął klamki, otworzył drzwi i wszedł kaczym krokiem. Bogusławski czekał. Gnom wrócił i szczerząc zęby, wskazał drzwi.

Bogusławski wszedł do gabinetu namiestnika.

Generał Zajączek siedział za biurkiem, z głową pochyloną nad blatem. Może śpi, pomyślał Bogusławski. Podszedł bliżej, uklonił się. Pokój był urządzonej purytańsko, prócz biurka i krzesła zajętego przez Zajączka stała tu tylko szafa. Na ścianach jasne prostokątne plamy, kiedyś wisiały tu obrazy. W oknach okiennice, między listwami przenikały promienie światła.

Wreszcie Zajączek podniósł głowę, spojrzał z odrazą na Bogusławskiego. Resztki włosów miał długie, szarobiałe, podobnie jak wąsy. Pod oczami wielkie nabrzmiałe wory. Pod cofniętym podbródkiem fałda tłuszczu, na którą z obu stron nachodziły splecione włoski przerzedzonych, siwych bokobrodów.

Generał skinął głową, jakby Mistrz powiedział coś mądrego.

- Swędzi - powiedział Zajączek - i nie da się podrapać.

Wstał, wykuśtykał zza biurka, podciągnął prawą nogawkę i kokieteryjnie odsłonił protezę. Kulą opartą o biurko wskazał drewnianą kostkę drewnianej nogi.

- Potrafi piekielnie swędzieć.

Bogusławski cmoknął ze współczuciem.

- Piękna sztuka, nieprawda? - spytał namiestnik, wspierając się na kuli.

- Bardzo.

- Proszę tylko spojrzeć. - Zajączek nacisnął jakiś rygielek, z kuli wyskoczyło ostrze, długie i błyszczące. - Prezent od Metternicha.

- Piękna sztuka.

Zajączek był zadowolony, pokuśtykał z powrotem za biurko, usiadł i podparł rękami głowę.

Przerwa. Bogusławski czekał.

- Męczące - burczał namiestnik, a stół głucho rezonował. - Nikt nie wie, co ja muszę znieść.

Mistrz kaszlnął cicho z ubolewaniem.

- Cały kraj - powiedział Zajączek do biurka - cały kraj, cały ten kraj na moich barkach. Czy nie można od tego oszaleć?

Przerwa.

- Za wszystko ja jestem odpowiedzialny - burczał Zajączek. Nadal podpierał głowę rękami, Bogusławski widział tylko jego tonsurę. - Jeśli umiera ktoś w wieku stu lat, ja jestem odpowiedzialny. Jeśli gdzieś rodzi kobieta, ja jestem odpowiedzialny. I muszę działać! - Uniósł głowę. - Bo jeśli nie będę gonił za wszystkim przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, jeśli nie sprostam zadaniu, jeśli nie poświęcę swego życia... wtedy nastąpi katastrofa narodowa! Tragedia całego narodu!

Bogusławski mruknął, że owszem.

Zajączek ściągnął brwi.

- Pan też mnie nienawidzi.

- Ależ skąd! - zaprotestował Bogusławski.

- Wszyscy mnie nienawidzą.

- Ja nie.

- Nie?

- Nie.

Zajączek nieufnie mierzył go wzrokiem.

- Dlaczego mnie pan nie nienawidzi?

- Bo nie mam powodu.

Zajączek długo zastanawiał się nad tą odpowiedzią, w końcu chyba uznał ją za pocieszającą, bo z wolna jego twarz się rozpozogodziła, a kulę z wysuniętym ostrzem, którą wciąż ścisnął w ręce, oparł o stół.

- W takich chwilach bywam nieco nieufny - powiedział łagodniej.

- Zupełnie zrozumiałe - uznał Bogusławski.

- Z tyłu stron atakują człowieka... intrygują... zmuszają do odwetu. Jestem zmuszony podejrzewać w każdym wroga.

- Ma pan pełne prawo.

- A pan to kto?

- Jestem Bogusławski, aktor.

- Ach tak. Aktor. Z pewnością widziałem pana... chyba w teatrze wystawiano jakąś sztukę...

- Dobrze pan pamięta, panie generale.

- Prawda? Mówię, że widziałem pana w teatrze. Ależ oczywiście. Jestem trochę zmęczony, zagoniony, ale pamięć jak dawniej.

- Pan generał mógłby nieco odpocząć...

- Ha, wszyscy tak gadają, ale gdyby tylko znaleźli się na moim miejscu!...

Zajączek gorzko się uśmiechnął, Bogusławski ze smutkiem kiwał głową.

- Przed każdą decyzją przeżywam piekielne męczarnie - szepnął Zajączek w zaufaniu.

- Nikomu nie mogę wierzyć, wszyscy dają nikczemne rady, jestem skazany na siebie i na Pana Boga, który kieruje moimi krokami... Ciężko, bardzo ciężko! Otaczają mnie tacy jak ten parszywy Czartoryski... i inni!

Bogusławski potrząsnął głową. Otworzyły się drzwi, Zajączek wzdrygnął się i skulił. Wszedł gnom, położył na stole jakieś papiery.

- A to co? - zapytał Zajączek ze strachem.

- Trzeba podpisać.

- Kto, ja?!

Zajączek pobladł i błagalnie spojrzał na Bogusławskiego, który tępym wzrokiem gapił się w okno.

- Powiedziałem panu - szepnął Zajączek do gнома - by nie wpuszczać tu takich, co podsłuchują!... Pan też podsłuchiwał, diable jeden, co?

- Proszę tu podpisać.

- Co to jest?

- No, pan Nowosilcow to przysłał - powiedział niecierpliwie gnom.

Zajączek podpisał dokumenty bez patrzenia na nie.

- Ten też - powiedział gnom.

- A to co?

- Nie wiem.

Gnom stanął na palcach i wczytał się w dokument. Zajączek z odrazą odwrócił głowę.

- Jakieś rozporządzenie - powiedział gnom. - Proszę podpisać.
 - Nie wytrzymam - szepnął Zajączek. - Jestem zmęczony.
 - Proszę już podpisać!
 - Źle się czuję - powiedział Zajączek i zaczął szybko oddychać. - Wezwijcie doktora!
- Bogusławski nie wiedział, co ma robić. Gnom stukał wskazującym palcem w stół.
- Tu proszę.
 - Z pewnością wyrok śmierci! - zaskomlał Zajączek.
 - Ależ nic podobnego - powiedział gnom. - Proszę już podpisać.
 - Wyrok śmierci, ja to wiem!
 - Podpisać! - krzyknął gnom.

Przestraszony Zajączek nabazgrał swój podpis.

- Na dzisiaj dosyć - powiedział głuchym głosem.
- Jest jeszcze...

- Jestem zmęczony! - wrzasnął Zajączek, zerwał się i chwycił kulę. - Niech mnie pan nie męczy, morderco! Niech się pan wynosi!

- Zostawię je tutaj - powiedział spokojnie gnom. - Potem po nie wrócę.

Wylazł z pokoju. Kiedy zamknął drzwi, Zajączek kulą zrzucił dokumenty ze stołu na podłogę.

- Czekają z tym - zasyczał - ukrywają to, do tej pory nie było żadnego wyroku śmierci, ale wiem, że będzie, do tego jestem im potrzebny... może jeszcze dzisiaj... Ale ja jestem żołnierzem! - krzyknął. - Moim żywiołem jest walka, rycerski pojedynek, *face to face*, męskie, twarde starcie! A to jest podstępne urzędnicze babranie się, od tego przyjdzie mi zginąć!

Znów usiadł za biurkiem.

- Pan czego tu szuka? - warknął na Bogusławskiego.
- Chciałbym dostać pismo...
- Pismo?!

- Przeznaczam dom na loterię... chcę dać ogłoszenie do „Korrespondenta”... Potrzebne jest do tego pańskie zezwolenie jako namiestnika...

Bogusławski paplał bezustannie, aby tylko Zajączek mu nie przerwał. Ten nie zwracał na to uwagi, wstał i kuśtykając, obszedł wkoło stojącego pośrodku pokoju Bogusławskiego, trochę jakby go obwąchując. Mistrz nie śmiał się odwrócić, stał sztywno w bezruchu i robił obojętną minę.

- Pismo - zastanawiał się głośno Zajączek. - Oczywiście, każdy chce jakieś pismo.

Właśnie ode mnie. Czy to dla pana nie podejrzane? Co pan powiedział, że czego pan chce? Co mam napisać?

- Pan, panie generale, nic, ja tu teraz, szybko, jeśli pan generał łaskaw, od razu to nagryzmolę, pan przejrzy, podasygnuje... bardzo, ale to bardzo uniżenie pana proszę...

- Proszę mi tu niczego nie pisać - powiedział ostro Zajączek. - Niech mi tu nikt nie gryzmoli różnych takich.

Podszedł do biurka i na odwrocie jakiejś kartki napisał swoje nazwisko. Wręczył kartkę Bogusławskiemu.

- Ma pan - powiedział. - Podpisałem, napisze pan na górze, co pan zechce, ale nie tutaj, rozumie pan? Proszę iść. Niech już idzie!

Mistrz uklonił się i szybko wycofał do drzwi. Zajączek zasiadł przy biurku i znów pogrążył się w cierpieniu. Bogusławski wypadł z pokoju.

- Co to za papier? - zapytał gnom.

Bogusławskiego przeszły ciarki. Gnom wyjął mu z ręki papier, odwrócił, znalazł podpis.

- A to co jest?

- Prośba... podanie... pan generał podpisał, a ja później napiszę tekst.

Gnom skrzywił usta, przekreślił zapisaną stronę kartki, po czym położył pióro na stronie z podpisem namiestnika.

- To niech pan dyktuje.

Mistrz podyktował. Gnom zapisał, przeczytał i wręczył mu kartkę.

- Gdyby jeszcze tak mógł pan łaskawie przyłożyć pieczętkę...- poprosił Bogusławski.

- Pieczętkę... dobrze.

Gnom grzebał w szufladzie stołu, Bogusławski zauważył w niej ptasie piórka oraz dwa kolczyki. Znalazła się pieczętka, gnom poślinił ją, przybił na papierze.

Oficer sterczący pod drzwiami odprowadził go na pierwsze piętro. Tam przejął go inny oficer, odprowadził na dziedziniec. Tam przejęli go strażnicy. A od nich wartownicy.

- I co, skazali? - spytał, śmiejąc się, jeden z wartowników.

- Gdzie tam - zaprzeczył Bogusławski. - Ja tylko...

- Niech pan idzie - powiedział drugi. - Tu nie wolno się gapić.

Tydzień później w teatralnej knajpie Żółkowski powiedział do Rivolego:

- Trzeba by się zrzucić na dom Bogusławskiego. Gdyby jakiś aktor wygrał go na loterii, moglibyśmy mu zwrócić.

- Na ile wyceniono ten dom? - zapytał Rivoli.

- Wart jest dość sporo - powiedział Żółkowski. - Czterdzieści trzy tysiące pięćset pięćdziesiąt jeden złotych.

Rivoli wywrócił kieszenie.

- Mogę dać dwadzieścia dwa złote.

- Ja sześć tysięcy - powiedział Żółkowski. - Dmuszewski cztery tysiące. Reszta mówi, że nie ma pieniędzy.

Przez chwilę milczeli.

- Proszę - powiedział Rivoli i wcisnął Żółkowskiemu do garści dwadzieścia dwa złote.

- Może właśnie za to kupisz szczęśliwy los.

Wieczorem przed spektaklem Żółkowski opowiadał przygnębiony, że dom Bogusławskiego wygrał los numer dwa tysiące dwieście sześćdziesiąt pięć. Jednej trzeciej losów, około ośmiu tysięcy sztuk nie wykupiono i wielu miało nadzieję, że Mistrz odzyskał dom. Ale potem zjawił się ten, który wygrał, rzeźnik z Pragi, a Bogusławski z uśmiechem mu pogratulował.

- Stary pięknie zagrał - mówił Żółkowski. - Dostał wielkie brawa. Wyglądało na to, że nienawidzi tego domu i jest szczęśliwy, że może go komuś wtrzyść.

Aktorzy milczeli.

- Ile straciłeś? - spytał nieco później Rivoli.

Żółkowski zacisnął usta.

- Osiemset złotych - przyznał na koniec.

Aktorzy rozbiegli się, poszli się przebrać.

Kilka dni później rozeszło się, iż Bogusławski wprowadził się do drewnianego domku przy ulicy Nowolipki.

Zrobiła się mała sensacja, gdy znów zamieszkała z nim Pierożyńska.

- Przecież ta kobieta to idiotka - powiedział dobitnie Szczurowski. - Bogusławski traktuje ją jak psa, jeszcze się nawet oficjalnie nie rozwiódł, a ona już do niego wraca! Więc zasłużyła sobie na taki los.

Wkrótce Marianna zaczęła się pojawiać w teatralnej knajpie. Prosiła Żółkowskiego o pieniądze, dał trzy tysiące, od Dmuszewskiego zebrała nazwiska lekarzy, prosiła o poradę, co można stosować na szum w uszach, brak apetytu, wysypki, a czasami tylko siedziała, słuchała, o czym rozmawiają, ale nie spędzała w teatrze więcej niż pół godziny.

Przynosiła Mistrzowi plotki.

- Trzeba by do niego pójść - powiedział Rivoli.

- Tak - odparł Żółkowski.

- Oczywiście - powiedział Dmuszewski.

Potem Dmuszewski nie mógł pójść, mnóstwo czasu zabierało mu redagowanie „Kuriera”, cenzorzy zaczęli się czepiać każdego zdania; Rivoli, choć się nie przyznawał, brzydził się ludzi chorych; Żółkowski nie chciał widzieć Bogusławskiego wyniszczonego chorobą.

Będzie jeszcze okazja, oszukiwał sam siebie. „Pozartujemy sobie potem, na jego pogrzebie”, zwykł powtarzać w knajpce.

Od Anieli dowiadywali się, co się dzieje z Mistrzem. Aniela udzielała niejasnych odpowiedzi, tylko raz była u teścia w drewnianym domku urządzonym w żaloszny sposób, Bogusławski miał właśnie gorączkę, nie dało się z nim porozmawiać.

- No, jest w złej kondycji - powiedziała zmieszana Aniela, jakby mogła cokolwiek poradzić na finansową i fizyczną klęskę Mistrza. - Sprzedał wszystko, co mógł... jeszcze zanim wróciła Marianna. Sprzedał portret Anny Lampel.

- Bacciarellego? - spytał z przerażeniem Rutkowski.

- Ten. I nieduży pastelowy portret Marianny. I maszynę elektryczną, której użył Bardos na pierwszym przedstawieniu...

- To mimo wszystko aż tak źle nie jest - rzekł Zdanowicz, kręcąc głową.

- Chce odejść z czystą kartą - powiedziała Helena i roześmiała się dziwnie.

Dmuszewski miał nieco inne zdanie, obecnie nie cenil wysoko malarza Bacciarellego, bo młodszy Bacciarelli, cenzor, dawał mu gorzkie lekcje.

Później Żółkowski mimo wszystko poszedł do Bogusławskiego, Marianna usilnie go zapraszała.

- Powiedz mu - prosiła - że z wieloma rolami czekają tylko na niego i że wszyscy go ciągle pozdrawiają. Umie rozmawiać tylko o teatrze... wierzy, że zostanie dyrektorem... wydaje polecenia, bym załatwiła to i tamto, wystarała się o coś, bo inaczej teatr upadnie... jakby był dyrektorem.

Drewniany domek nie był wcale taki okropny i nie do życia, jak opisywała Aniela, miał dwa dość obszerne pokoje oraz pomieszczenie mogące służyć za kuchnię, tylko wychodek był na zewnątrz, na końcu podwórka, i groził zawaleniem. Bogusławski siedział na fotelu opatulony pledami, wystawała mu tylko głowa. Nos mu się wydłużył, twarz zapadła, skóra pożółkła, widać było, że z trudem oddycha.

- Co jest, Mistrzu, sabotujemy teatr? - zaczął wesoło Żółkowski.

- Trochę niedomagam - powiedział Bogusławski. - Nie wyglądasz zbyt dobrze.

- Nie każdemu dane jest się wylegiwać - rzekł z zazdrością w głosie Żółkowski.

- Długo już to nie potrwa, mój królu - odparł Bogusławski.

- Jasne że nie - powiedziała Marianna. - Doktor Dziarkowski też to mówił...

- To szarlatani, ci parszywi lekarze - sarknął Bogusławski. - Zwłaszcza Dziarkowski.

- Jest taki kapryśny - zwróciła się Marianna do Żółkowskiego - a przecież leczą go najlepsi doktorzy. Doktor Wolff, Zabellewicz...

- Jeden w drugiego tacy sami - odburknął Bogusławski. - Faszerają mnie swoimi proszkami, a ja wcale nie jestem chory, tylko się podziubiłem i kaszlę. Ale to powietrze dobrze mi robi. Dlatego się tu przeprowadziłem. Tu jest lepsze powietrze. Jak się wykuruję, wrócę do swego pałacu i zrobię z niego nieduży teatr.

Marianna mrugnęła do Żółkowskiego, ale on i tak zrozumiał, i kiwnął głową.

- Co, u diabła, Mistrz robi przez cały dzień? - zapytał. - Nie lepiej to wpaść do teatru?

Marianna zdrętwiała.

- Uczę się ról - powiedział Bogusławski. - Wreszcie mam trochę czasu. W tej bieganinie po prostu nie starczało mi czasu na opracowywanie swoich ról.

- No tak - zgodził się Żółkowski. - Powiem tylko, że każdemu dobrze by zrobił taki odpoczynek, ale cóż, nie każdy może sobie na to pozwolić.

Marianna odetchnęła.

- Przynieś coś do picia, słyszysz? - fuknął na nią Mistrz.

Wyszła posłusznie.

- Podejdz bliżej - szepnął Bogusławski. - Ciągłe podsłuchuje, wiecznie mnie czymś zamęcza, nie mam przez nią chwili spokoju.

Żółkowski podszedł bliżej.

- Uwolnij mnie od niej - szepnął Bogusławski. - Nienawidzę jej.

- Czemu? To bardzo porządna kobieta.

- Brzydka - powiedział Bogusławski.

Żółkowski milczał.

- To upokarzające, że cały dzień muszę się gapić na brzydką kobietę - tłumaczył Mistrz. - Podstarzała aktorka, przy mnie!

- Bardzo ładnie z jej strony, że opiekuje się Mistrzem - mruknął Żółkowski.

- Mną nie trzeba się opiekować - stwierdził stanowczo Bogusławski. - Teraz trochę odpoczywam, bo się zmęczyłem, ale gdybym chciał, natychmiast rzuciłbym tę całą kurację i żyłbym tak jak dawniej.

- Na czym polega ta kuracja? - zainteresował się Żółkowski, uznając, że lepiej będzie nie rozwodzić się nad urodą Marianny.

Mistrz wymienił nazwy lekarstw i gadał niezrozumiale po łacinie, jak ktoś doskonale obeznany z medycyną. Żółkowski, pomrukując ze zdziwieniem i kręcąc głową, słuchał tego z szacunkiem.

- To wszystko jeszcze nic - powiedział Bogusławski coraz bardziej ożywiony. - Najlepszy jest uwalniacz wiatrów. Zażyjesz go i tak pierdniesz, że wyleci spod ciebie krzesło. Bardzo zabawne. Nie zaleca się brać go na spotkania towarzyskie. Ani grać po zażyciu... Wyobraź sobie, mówisz najpiękniejszy monolog i nagle puszczasz wielgachnego bąka. Jak wystrzał z armaty. Porządny huk. Na widowni konsternacja, co jest, skąd ten dźwięk? Każdy sprawdza sąsiada, może to on. Ogólne wężanie. A ty, jak gdyby nigdy nic, ciągniesz monolog. Ewentualnie ty także wężysz i patrzysz z wyrzutem na widownię. Żeby nikt jeszcze raz nie pierdnął.

Żółkowski roześmiał się i zaraz się rozkaszał.

- Mówię ci, że jesteś chory - orzekł Bogusławski. - Nie chcesz zabrać Marianny jako swojej pielęgniarki?

Żółkowski machnął tylko ręką, nie mógł na razie powstrzymać kaszlu.

Przysła Marianna, niosąc trochę wódki.

- Nie piję, szkodzi mi - powiedział Żółkowski ochryple, gdy przestał kaszleć.

- Mnie nie szkodzi - oznajmił Bogusławski. - Ja mogę pić.

- Nie pij - prosiła Marianna.

- Ta twoja wielka troskliwość wpędzi mnie do grobu - mruknął Bogusławski, ale już więcej nie prosił o wódkę.

Odwiedziny całkowicie wyleczyły Bogusławskiego, a Żółkowski z oczami płonącymi od gorączki i u kresu sił próbował jeszcze ciągnąć rozmowę. Szybko się pożegnał, wieczorem gra, przedtem chciałby nieco odpocząć. Marianna odprowadziła go do drzwi od ogrodu.

- Powiedz reszcie, by przychodzili jak najczęściej - poprosiła ze łzami w oczach.

Żółkowski, nie mając już złudzeń, patrzył na jej udręczoną twarz.

- Przeżyje nas wszystkich - powiedział z krzywym uśmiechem.

- Prawda? - rozpogodziła się Marianna.

Żółkowski nie opowiedział nikomu o odwiedzinach, ale i tak w teatrze rozeszło się, że dni Mistrza są już policzone. Prawie wszyscy zapisali sobie adres drewnianego domku: Nowolipki 2402. Dmuszewski po wielu zabiegach wystarał się, by Bogusławskiemu przyznano rocznie cztery tysiące złotych emerytury. Inni, którym nie przyszło to do głowy, uznali tę kwotę za niewystarczającą. Nawet dochód marnego urzędniczyny jest większy!

Pewnego popołudnia Ledóchowska doszła do wlotu Nowolipek, skąd było już widać

domek. Przystanęła i długo dreptała w miejscu. Wtedy podeszła do niej Aniela, która z takim samym trudem próbowała się zmusić do odwiedzin. Zmieszane i zawstydzone popatrywały na siebie i jednocześnie wybuchły płaczem. Ledóchowska dlatego, że Aniela ma taką gładką, młodą twarzyczkę, Aniela zaś dlatego, że już wiedziała, że nigdy nie będzie taką aktorką, jaką była Ledóchowska. Zapłakane objęły się, po czym wzięwszy się pod rękę, ruszyły z powrotem do miasta.

Bogusławski bardzo wyczekiwał gości, ale coraz rzadziej rozmawiał o teatrze. Co jakiś czas prosił Mariannę, by przyniosła do fotela szkatułkę z pieniędzmi, i liczył miesięczną ratę nieoczekiwanej emerytury.

Marianna chciała załatwić przyznanie mu jakiegoś orderu, a przynajmniej przyjęcie go do Akademii, ale na próżno rozmawiała z Osińskim, dyrektor z żalem zakomunikował, że nie może nic uczynić, wystarczy, że nie domaga się na drodze urzędowej spłaty zaległej części długu. Niemcewiczka nie znalazła, a Staszic jej nie przyjął.

Bogusławski jak dzień długi przesiadywał w fotelu i w półśnie coś mamrotał. Musiał mieć ogromne bóle, Marianna faszrowała go przeróżnymi proszkami, karmiła, poila, codziennie przemywała wilgotną szmatką, z trudem wsuwała pod niego nocnik. Mistrz marzył do kości, całe jego ciało pokrywały czarne punkty.

- Nie z tym jest kłopot - mamrotał. - To przejdzie.

- Jasne, że przejdzie - odpowiadała Marianna.

Innym razem Mistrz mówił jakby w zadumie:

- Boli. - I obmacywał brzuch. - Ale nie szkodzi - dodawał. - To tylko moje ciało.

Już ledwie mógł się poruszać, Marianna przenosiła go z fotela do łóżka, z łóżka na fotel.

Bogusławski tkwił w fotelu cały opatulony, oddychał ciężko, rzeżąc, coś cicho do siebie mamrotał. Marianna przeważnie siedziała na podłodze przed fotelem i starała się włączyć w to mamrotanie. Mistrz prowadził długie, niezrozumiałe dialogi z jedną bądź wieloma osobami, Marianna spostrzegła, że pewne dialogi toczy wielokrotnie.

- Co mówisz? - pytała często.

Bogusławski albo nie odpowiadał, albo mówił, że teraz będzie już dobrze.

- Uczysz się roli? - pytała Marianna.

Bogusławski tylko się uśmiechał.

- Oni nic nie wiedzą - powiedział kiedyś i oblizał wargi, które przyschły mu do zębów.

- Nie mają pojęcia.

- O czym?

- A - westchnął - tego nie wiedzą.

Innym razem ze zdziwieniem, zatopiony w myślach przyglądał się Mariannie i ubogim meblom w pokoju. Pozostały tylko te, za które handlarz starzyzną nie zaoferował nawet grosza. Trzeba stąd ruszać, wymamrotał, pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Będzie duża niespodzianka - powiedział później, przerwawszy ciche mamrotanie, i roześmiał się szczęśliwy.

Podejrzliwie badał twarz pochylonej nad nim Marianny.

- Potrzebna do tego dobra publiczność - mruczał - wrażliwa publiczność.

- Do czego?

- Inaczej to nie ma sensu - powiedział Mistrz.

Parę dni później Marianna przyjęła zakonnice. Choć ciało Mistrza robiło się lżejsze, coraz trudniej było jej mu pomóc. Bogusławski ucieszył się, że jeszcze ktoś jest przy nim.

- Niech ich przyjdzie jak najwięcej - szepnął. - Wezwij ich.

- Kogo?

- Wszystkich.

Zakonnica, wysoka, zażywna i niezdarna wieśniaczka o tępej twarzy nie mogła się nadziwić, że Mistrz jeszcze żyje. Dawno już powinien umrzeć.

- Nie rozumiem tego - powiedziała. - Musi mieć żelazny organizm.

- Musi bardzo cierpieć, prawda? - spytała Marianna.

- Tak myślę - odparła z wahaniem zakonnica.

Po Mistrzu nie było widać cierpienia.

Rankiem tego dnia przez okno wpadło słońce. Bogusławski mrużył oczy. Jakież ostre światło. I jak dobrze wszystko słyszeć. Zakonnica i Marianna obmyły go, potem ciepło opatulily i posadziły w fotelu. Gdy chciały napoić go herbatą, pokręcił głową. Opanowało go dziwne podniecenie.

- Spakuj się - powiedział Mariannie.

- Co mam spakować?

- Musimy się śpieszyć - dodał.

Marianna spojrzała pytająco na zakonnice, ta wzruszyła ramionami.

- Nie wychodźcie z pokoju - prosił obie Bogusławski.

- Nie wychodzimy - powiedziała Marianna.

Spojrzał na nie i uśmiechnął się podniecony.

- Zagram wam, że umieram - powiedział.

Kobiety nie przestraszyły się. Potem Mistrz coś tylko mamrotał, trudno to było

zrozumieć. Uśmiechnął się wyschniętymi ustami. Mrugnął do nich. Ależ się za chwilę rozbeczą!

Najpierw trzeba im zaaplikować małą scenkę z duszeniem się, od razu się wystraszą. Potem trzeba będzie zacząć rzeźcić, złęką się jeszcze bardziej.

Zupełnie jakby obserwował siebie z boku, niemal widział siebie, jak wytrzeszcza oczy.

Żebym tylko się nie roześmiał, mruknął do siebie zatroskany.

Choć śmiał się w kułak w duchu, wymusił spokój na twarzy. Nie spalić pointy.

Kobiety pochyliły się nad nim.

Dobra publiczność, pomyślał uspokojony Bogusławski, to zrobi na nich wrażenie.

- Czy on się z nas naśmiewa? - spytała zakonnica.

- Nie wiem - wyszeptała Marianna.

Bogusławski słyszał je, dla kawału mrugnął okiem, jego oddech stał się urywany, rzeżący. Kupiły to; widział trzy, potem czworo przerażonych oczu, roześmiał się.

Odniosłem sukces, pomyślał.

W promiennym słońcu wyniesiono trumnę z kościoła Świętego Krzyża.

Była jedenasta przed południem, na Krakowskim Przedmieściu szwadron strzelców oraz szwadron ułanów, pięć batalionów piechoty i dwa pułki gwardii ustawiły się w potrójnym szpalerze. Paradą dowodził generał Wincenty Krasiński, obok niego stał radca stanu Sierakowski oraz minister kultury Stanisław Potocki. Na ramieniu każdego żołnierza krepowa opaska. Na każdej broni krepowa wstążka. Po uroczystej mszy żałobnej wymaszerowali dostojnicy: namiestnik Zajączek, pozostali ministrowie, wszyscy sekretarze stanu i generałowie z Warszawy, w łącznej liczbie dziewięćdziesięciu pięciu. Mszę celebrował biskup Zambrzycki, potem Szaniawski wygłosił uroczystą mowę.

Tłum zapełnił okolice kościoła, ciągnął się aż do pałacu Saskiego.

Tłum falował. Powiewały czarne flagi.

Na lawecie ustawiono ciężką marmurową trumnę. Zagrzmiało dwanaście salw artyleryjskich. Karabiny kompanii honorowej trzykrotnie wystrzeliły w niebo.

Białe konie w przepięknej uprzęży - także udekorowane czarną wstążką - ruszyły powoli, ciągnąc trumnę. Za nią kroczył generał Wincenty Krasiński, administrator wojskowy Wołowicz oraz dostojnicy niosący czerwone poduszeczki z odznaczeniami i insygniami:

Biegański niósł buławę oraz szablę, Grabowski - Order Orła Białego, Cichocki - Krzyż Wielki Virtuti Militari, Falkowski - Legię Honorową, Antoni Potocki - Order Orła Czarnego, Kozieltulski, bohater spod Somosierry - jerozolimski Krzyż Świętego Jana.

Na małym podwyższeniu ustawionym na schodach kościoła stał Wielki Księżę w mundurze polskiego generała. Zasalutował. Ogromne wieńce ozdabiały białe i czerwone całuny na marmurowej trumnie, zgodnie z projektem nadwornego malarza Zygmunta Vogla. Znow rozległa się salwa artyleryjska. I komenda. Ułani w defiladowym szyku ruszyli za trumną, na ich czele kapitan Ignacy Bogusławski.

Rozległ się hymn Felińskiego *Za pomyślność króla*.

Stojący w tłumie Zdanowicz mruknął do gapiącego się obok Werowskiego:

- Biedny Bogusławski nie miał takiego pogrzebu.

- No nie - odparł Werowski i wspiął się na palce, by lepiej widzieć.

- Założę się, że w trumnie niczego nie ma - powiedział Nacewicz.

- Ciszej, na miłość boską - szepnął przerażony Werowski.

- Jak, do diabła, mogliby zebrać jego szczątki - upierał się szeptem Nacewicz - jeśli utopił się w Elsterze i uniosła je woda? Już dwa lata temu pochowano byle co i teraz to byle co zawożą do Krakowa!

Nacewicz zionął alkoholem, Werowski starał się zaszyć w tłumie jak najdalej od niego.

Trumna z księciem Józefem Poniatowskim toczyła się dalej na wypucowanej na wysoki połysk lawecie ku Alejom Jerozolimskim, gdzie zgodnie z wcześniejszymi planami generał Wincenty Krasiński wygłosił mowę. Nowy Świat był zatłoczony, nigdzie nie dałoby się wetknąć szpilki. Generał Krasiński ogłosił, że polski lud stawia pomnik swemu bohaterskiemu synowi i męczennikowi; wykonanie pomnika powierzono Thorvaldsenowi, duńskiemu rzeźbiarzowi.

Odpowiedzią było grzmiąco wykrzyczane „hura” na komendę Ignacego Bogusławskiego.

Zebrani w Alejach Jerozolimskich gromkimi brawami powitali idący z (przerobionego na więzienie) Arsenału pochód, który z jakichś powodów spóźnił się na początek przemówienia. Ostrzyżeni na zero więźniowie, głównie złodzieje i włamywacze (wśród nich znalazło się również kilku morderców) włożyli na tę okazję uszyte własnoręcznie białe koszule i czerwone spodnie.

Dmuszewski przepychał się w tłumie i udało mu się rozdać żebrakom, kalekom i dzieciom wszystkie pięciogroszówki.

W południe trumna ruszyła dalej, by ksiązę Józef Poniatowski mógł znaleźć wieczny spoczynek na Wawelu, w katedrze Wolnego Miasta Krakowa.

Naczelnny wódz Józef Poniatowski spocznie obok polskich królów.

Po drodze Linowski ma wygłosić wspaniałą, odważną mowę, tekst zatwierdzono mu po długiej i ciężkiej walce.

- To był pomysł Anny Potockiej - powiedział po południu Wolski w teatralnym bufecie.

Szczurowski wyraził zadowolenie, że ksiązę Józef na pomniku będzie siedział na koniu.

Wąsowicz przekazał półgłosem: doszły go słuchy, że za przyczyną Nowosilcowa księcia Józefa nie można przedstawiać w mundurze ułana i przypuszczalnie będzie siedział na koniu ubrany jak Rzymianin.

- I co z tego, nie wszystko jedno? - zapytał Rivoli.

- Nie! - ryknął Malinowski. - Niech raczej będzie nago!

Dmuszewski dowiedział się, że wczoraj otwarto trumnę i znaleziono księcia Józefa w dość opłakanym stanie, nie miał już nosa, a włosy z głowy spadły na dno trumny.

Elsner cały drżący powiedział muzykom, że nie pamięta takiego pięknego, słonecznego lata, a przecież niejedno lato już przeżył; to palec boży, szeptał zabobonnie.

Wieczorem w pałacu Mostowskich zebrali się Iksowie.

W uroczystości oświetlonej sali przyjęć Niemcewicz filozofował, że biedny ksiązę Józef zawsze miał pecha, Kościuszko powierzył mu dowodzenie w bitwie niemającej szans powodzenia, przegrał ją, przez co napiętnowano go jako zdrajcę ojczyzny; później znieawdziła go cała Warszawa, gdyż mówił tylko po francusku i organizował orgie w pałacu Pod Blachą; potem musiał poprowadzić tysiące Polaków na śmierć na mrozie w głębi Rosji; osiemdziesiąt tysięcy Polaków obciążało sumienie biedaka, gdy skoczył głową w dół do Elstery.

- Aby naprawdę ten styl konsekwentnie utrzymać do końca - rozmyślał głośno Niemcewicz - to ktoś powinien teraz jeszcze ukraść jego trumnę, by nie dotarł na Wawel.

- Napisz - powiedział Morawski - o romantycznym życiu księcia Poniatowskiego.

- Kogokolwiek byśmy wybrali spośród nas na bohatera - wtrącił hrabia Mostowski - Julian mógłby napisać to samo.

Także tutaj tematem rozmów był strój planowanego pomnika. Wcześniej ksiązę Czartoryski długo korespondował w tej sprawie z carem, aż w końcu udało się w ramach kompromisu wybrać Thorvaldsena.

Niemcewicz byłby niezmiernie rad, gdyby ktoś przepowiedział mu dalsze losy pomnika. Duński rzeźbiarz jeszcze tego samego roku zabrał się do roboty, wkrótce jednak porozbijał ze złości kolejne gipsowe modele: co miesiąc przychodziły od rządu polskiego sprzeczne zalecenia dotyczące postaci i stroju oraz stylu i wymiarów pomnika. Potem napłynął potok prywatnych listów; polscy patrioci domagali się takich to a takich kontrapostów, takiej to a takiej rasy konia, groźby przyprawiano dobrymi radami i wkrótce Thorvaldsen zaczął się bać. Potem polskie listy zaczęły przychodzić z różnych stron świata, także z Ameryki, Paryża i Galicji i Thorvaldsen był coraz bardziej przekonany, że wszędzie na tym świecie żyją jedynie Polacy. W to wszystko wmieszało się również carskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, oni także gryzmoлили w listach, co popadnie: czy w ręku jeźdźca ma być głowa Turka, czy jeździec może mieć ostrogi, czy na głowie może mieć szyszak; Thorvaldsen musiał sporo wydać na drogich majstrów, którzy założyli w drzwiach i oknach jego pracowni zamki niedające się otworzyć przez nieproszonych gości. W latach dwudziestych zapadła wreszcie decyzja, że Thorvaldsen skopiuje stojący na Kapitolu konny pomnik Marka Aureliusza. Model przybył ponad dziesięć lat po ekshumacji do Warszawy, gdzie powołano specjalną komisję mającą go obejrzeć. Zasiadali w niej ministrowie, radcy stanu i akademicy. Komisja nie potrafiła zająć wspólnego stanowiska i naradzano się aż do chwili, gdy w listopadzie 1830 roku wybuchło powstanie. Po jego upadku powstał nowy komitet złożony z ministrów, radców stanu oraz akademików. Wreszcie w 1832 roku wydano zgodę na zrobienie odlewu. Odlany pomnik dotarł nawet do Warszawy, ale szybko zniknął. Potem okazało się, że został pocięty na kawałki, a poszczególne fragmenty przechowywano po różnych piwnicach zamkniętych na trzy spusty. Później dyskutowano już o tym, gdzie go postawić. Mówiło się o placu Krasieńskich, gdzie dawniej stał Teatr Narodowy, o Rynku Starego Miasta, gdzie tymczasem zburzono stary ratusz, o placu przed nowym Teatrem Narodowym, czyli na miejscu Marywilu, który zniknął bez śladu, bo też został zburzony, a także o pałacu Radziwiłłów, do którego dobudowano dwa nowe klasycystyczne skrzydła, który wypiękniał jako pałac namiestnikowski i w którym mieszkał książę Paskiewicz. Kontrowersji nie można było rozstrzygnąć, a w tym czasie Paskiewicz w 1842 roku wywiózł w tajemnicy fragmenty do Homla, gdzie je zespawano i pomnik stanął w ogrodzie jego rezydencji. Pomnik Poniatowskiego na koniu wrócił do Polski w 1922 roku, wtedy uroczystie go poświęcono i stanął przed pałacem Radziwiłłów, który później stał się siedzibą Rady Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Gdy powstawała ta powieść, książę Poniatowski siedział w rzymskim stroju na pełnym gracji koniu z brązu, z obnażoną szablą w prawej dłoni, za nim stał biały gmach Rady Ministrów, a po lewej miał hotel Bristol, gdzie

wcześniej rezydowało gestapo, które wysadziło pomnik, tak że odlano go ponownie ze znajdującej się w kopenhaskim muzeum formy odlewniczej przekazanej jako dar rządu duńskiego. Pomnik spoglądał na budynek Ministerstwa Kultury PRL, w którego jednym skrzydle kiedyś, bardzo dawno temu, mieszkał każdej zimy Nowosilcow, a w drugim skrzydle Niemcewicz. Przewodnicy zwracają uwagę ciekawskich turystów na to, iż księżę Poniatowski w intrygujący sposób, czego nie da się zauważyć w przypadku innych pomników, zawsze wodzi wzrokiem za każdą idącą lub jadącą osobą. Autokary turystyczne zwalniają przy pomniku, a jeśli program nie jest zbyt napięty, zatrzymują się na kilka minut.

Tego dnia wieczorem Iksowie pili drogie tokaje i w miłym cieple patrzyli przez otwarte okna na uroczyście rozświetlone miasto.

- Znów wykradną olej z lamp - przypuszczał Niemcewicz.

Koźmian stał obok i mruknął oburzony, iż tym razem nie, bo taka uroczystość to rzecz święta, to święto wszystkich Polaków.

- Nigdy jeszcze nie widziałem takiej iluminacji - powiedział Niemcewicz - przy której nie rozkradzono by oleju. Ludzie mają do tego święte prawo i nie można im tego odbierać.

Hrabina Michałowa, żona ministra spraw wewnętrznych Mostowskiego, zaprosiła ich do suto zastawionego stołu, więc porzucili budujący widok rozświetlonego miasta.

W sali paliło się tyle świec, że było prawie tak jasno jak w słoneczny dzień; w powodzi światła, rozjaśniającej każdy kąt, bezszelestnie roznoszono przekąski, łososia, kawior, wątróbkę cielejącą, galaretowaty mózdzek, bulion, raki. Grono dam reprezentowały trzy panie: ciągle jeszcze piękna, elegancka i dystygowana pani Michałowa, matka wielu dzieci oddanych do francuskiego sierocińca; hrabina Maria Wirtemberska, młodsza siostra Czartoryskiego, która ćwierć wieku temu rozwiodła się z kuzynem pruskiego króla, spokrewnionym z rodziną carską, a ostatnio znów zabrała się do pisania powieści sentymentalnych; powszechnie znana ze swej mądrości pani Elżbieta Kasińska, z nieodłącznym garbem na plecach, który według wiarygodnych relacji niegdyś w Karlsbadzie głaskał sam Goethe.

Iksowie powściągliwie skubali przystawki, czekając, aż hrabia Mostowski przewodzący spotkaniu jako gospodarz zadzwoni widelcem w kieliszek. Generał Morawski i adiutant Fredro siedzieli wyprężeni w mundurach z gęsto przypiętymi na piersi odznaczeniami, pozostali byli we frakach. Wokół ogromnego, okrągłego stołu symbolizującego równość Iksów bezszelestnie uwijali się lokaje, kieliszki nie mogły być puste. Augustyn Karski, sekretarz Mostowskiego, stał skromnie przy wielkich dwuskrzydłowych drzwiach i mrugnięciem oczu kierował działaniami armii służących.

Wbiegła zdyszana czwarta z grona dam, Anna Sapieżanka, żona Czartoryskiego, i wspaniale upudrowana usiadła w milczeniu obok zapatrzonego przed siebie męża, którego sąsiad z prawej strony, posiwiwały radca stanu Sierakowski we fraku z odznaczeniami, zanudzał zwyczajowym u niego roztrząsaniem podstawowych zagadnień mitologii starosłowiańskiej.

Hrabia Mostowski nie zadzwonił jeszcze w kieliszek, gawędził z siedzącym obok Osińskim. Pani Michałowa opuszczała wtedy od czasu do czasu swoje miejsce i stając za krzesłami o wysokich oparciach, pochylała się nad gośćmi, a po paru miłych, pogodnych zdaniach mknęła dalej.

Z towarzystwa brakowało jedynie Ludwika Platera, przypuszczalnie gryzmolił recenzję z *Horacjuszy*, których wznowiono z okazji ekshumacji Poniatowskiego w całkowicie nowych dekoracjach i we wspaniałych kostiumach. Rolę starego Horacjusza zagrał Kudlicz.

- Byłby już czas zaprowadzić w teatrze porządku, kochany - powiedziała pani Michałowa do Osińskiego. - Jak długo będą jeszcze grać u ciebie takie rozkoszne damulki, jak ta, jak jej tam...

Osiński był zdezorientowany, od razu pomyślał o wszystkich aktorkach.

- Wiesz, kochany, ta, której ojciec był aktorem...

Osiński nadal był zdezorientowany. Takich jest wiele.

- Nacewiczówna - przypomniała sobie pani Michałowa. - Właśnie. Nacewiczówna.

Osiński coś wyjąkał. Więc Aniela nie dostanie więcej żadnej roli.

- Niech się pan raczej pozbędzie Ledóchowskiej - zagrzmiała basbarytonem Elżbieta Krasieńska. - Jest stara.

- Ile razy widzę ją na scenie - wtrąciła Maria Wirtemberska i uniosła urękawiczoną dłoń do wiecznie zachmurzonego i wiecznie bolącego czoła - to myślę sobie, że nie wytarłabym nią nawet swojego parkietu.

- Nią czy przez nią? - spytała ostro Elżbieta.

- Nią - powiedziała Wirtemberska i trochę się przestraszyła. - A co, źle powiedziałam?

Pani Elżbieta ze złośliwą pobłażliwością dla głupoty polskich powieściopisarek bardzo rzadko mówiących po polsku w kilku dosadnych zdaniach nakreśliła podstawowe reguły języka polskiego.

Anna Sapieżanka nie uczestniczyła w tej konwersacji, była najładniejsza, najmłodsza i miała najwyższą pozycję. Podczas takiej kulturalnej paplaniny zazwyczaj skubała jedzenie; teraz też to robiła.

Potem, nim wniesiono pierwsze danie, Czartoryski wstał, wytarł usta śnieżnobiałą

batystową chustką, dyskretnie zamienił kilka słów z Mostowskim i oddalił się w towarzystwie żony.

Jego prawie niezauważone odejście wywołało sensację, ale nie zdziwienie; książe Czartoryski rzadko pojawiał się na warszawskich spotkaniach towarzyskich, a jeszcze rzadziej wychodził wraz z innymi.

Kiedy już podano pierwsze danie, hrabia Mostowski zadzwonił nożem o wyrafinowanym kształcie w smukły, pięknie rżnięty kieliszek. Rozmowy ustały.

- Jeśli państwo nie mają nic przeciw temu - przemówił - otworzę nasze obrady.

Odcchrząknął. W nosie miał polipy, co nadawało jego głosowi niepowtarzalne brzmienie. Siedział w dość niedbalej pozie, zsunięty nieco z krzesła i wsparty jedną ręką o poręcz; wynikało z niej jednoznacznie, że Mostowski nawet z hemoroidów wykuwa sobie zasługi.

Podczas efektownej pauzy Elżbieta powtórzyła barytonem do ucha siedzącemu obok Fredrze kilka ulubionych powiedzeń Mostowskiego: „Coraz bardziej jest to samo”, „Ten czyni najlepiej, kto nie czyni niczego”, „Prędzej czy później i tak wszystko jedno”. Fredro zaśmiał się dyskretnie.

- Jestem winien zebranym dwa doniesienia - powiedział Mostowski. - Bardzo proszę Iksów, by ich wysłuchali, dopiero potem ustalimy porządek dnia.

- Oto gołębiarz - powiedziała Elżbieta do ucha Fredrze.

Fredro znów się zaśmiał dyskretnie, choć tym razem Elżbieta, wbrew swemu zwyczajowi, nie zakończyła wypowiedzi ostrą pointą.

- Pierwsza wiadomość, którą muszę zakomunikować Iksom - powiedział Mostowski - dotyczy zagadkowego losu naszego starego znajomego. Nie chciałbym urazić wrażliwych nerwów pań, mimo to jednak muszę przekazać państwu informację: dzisiaj rano wyłowiono z Wisły martwe ciało Pękalskiego.

Chwila ciszy, potem okrzyki przerażenia.

- Zdaniem lekarzy - ciągnął Mostowski - nie żył od dwóch dni.

„Pękalski”, rozległo się wokół ogromnego, okrągłego stołu.

- Spił się do nieprzytomności - odezwała się sznapsbarytonem pani Elżbieta.

- Całkiem możliwe - odrzekł Mostowski - choć nie można wykluczyć innych przyczyn. Być może doszło do samobójstwa; pan Pękalski miał ostatnio ku temu sporo ważkich powodów. Jest także możliwe, że nie poczekano, aż pan Pękalski sam zrozumie swoją beznadziejną sytuację. Faktem jest, że jesteśmy ubożsi o jednego nadgorliwego redaktora.

Rozemocjonowane damy kręciły głowami; Maria Wirtemberska podniosła do oczu chusteczkę. Niemcewicz rozejrzał się; widział po twarzach, że myślą o tym samym, co on: Pękalskiego usunęły jakieś tajne służby, za dużo wiedział.

Morawski siedział dość daleko od niego, nie mógł mu szepnąć: być może to my zabiliśmy Pękalskiego.

- Druga wiadomość - powiedział Mostowski, kiedy opadły emocje po pierwszej informacji - dotyczy tego, że dzisiaj po południu miałem przyjemność otrzymać od barona Mohrenheima pisemne pozdrowienia Wielkiego Księcia dla towarzystwa Iksów. Nasz Wielki Książę w najgorętszych słowach podziękuje osobiście księciu Czartoryskiemu oraz mnie, a ogólnie towarzystwu Iksów za długie lata ofiarnej działalności, dzięki której mogliśmy szerzyć korzystne wpływy w kręgach Polaków wrażliwych na światłe idee. Rzecz jasna, będą państwo mogli obejrzeć list Wielkiego Księcia.

Pan sekretarz Karski podszedł do stołu i stanął za fotelem Mostowskiego, trzymał złotą tacę z leżącym na niej listem.

- To piękny gest ze strony Wielkiego Księcia - powiedział z przejęciem Fredro.

Generał Morawski wybuchnął śmiechem. Fredro patrzył na niego, nic nie rozumiejąc, po czym rozejrzał się podejrzliwie. Iksowie siedzieli zmieszani, na twarzy Wyszковского malowała się rozpacz. Panowała cisza, potem wszyscy drgnęli: okna pałacu Mostowskich zdrząły od detonacji; zaczął się pokaz fajerwerków. Petardy wybuchały gdzieś na brzegu Wisły, ale wielkie rozbłyski widać było także tutaj; firanki w otwartych oknach falowały jak flagi - bardziej od nagłego podmuchu wiatru aniżeli gęstniejącej atmosfery w sali.

- To oznacza - jękał się Wyszkowski - to oznacza...

- Czy aby nie zostaliśmy rozwiązani? - zapytał retorycznie Niemcewicz.

Firanki nadal falowały.

- Że co? Mamy się rozwiązać? Dlaczego? - zapytał Stanisław Plater i podniósł wzrok znad talerza.

Mostowski z ponurą miną odpierał skierowane na niego spojrzenia.

- Może zrobimy rewolucję - zaproponował ironicznie generał Morawski.

- Ale jeśli Wielki Książę rzeczywiście nas pochwalił - powiedział Fredro - to wcale jeszcze nie musi oznaczać...

Pan sekretarz Karski podszedł do Fredry i podał mu list, ale Fredro nie odważył się wziąć go do ręki.

- No więc - powiedział hrabia Mostowski, gdy już nasycił się wywołanym wrażeniem - tyle miałem do powiedzenia na wstępie, a teraz, jeśli państwo sobie życzą, wrócimy do

porządku dnia. Jeśli dobrze pamiętam, pisaliśmy o przedstawieniu *Hrabia Essex...* który to był z nas?

- Ja - powiedział generał Morawski. - Jeśli panowie obstają przy tym, mogę to przeczytać. Choć nie sadzę, by miało teraz większy sens.

Zapadła cisza. Matuszewicz podniósł się ciężko z krzesła, podpierając się obiema rękami; wyglądał źle i z trudem oddychał.

- Panowie - powiedział. - Niedługo już stanę przed obliczem Pana. Do tego czasu podejmuję się pokierowania rządem rewolucyjnym.

- Ależ panie! - warknął nerwowo radca stanu Sierakowski. - Nie czas na żarty!

- Mówię poważnie - odparł, drżąc, Matuszewicz. - I tak już jestem ministrem jedynie nominalnie... wyznaczono mojego następcę... i moje dni są policzone... Jeśli Pan Bóg stworzył mnie po to, bym przed śmiercią czegoś dokonał...

Pani Michałowa wstała, podeszła do niego i delikatnie pogładziła go po plecach; Matuszewicz prawie się rozplakał, pocałował panią Michałową w rękę i uspokojony ponownie siadł na krześle.

- Ja nie znajduję niczego złego w uprzejmym liście Wielkiego Księcia - powiedział jakby do siebie Lipiński. - A jeśli uważa, że lepiej będzie, jeśli zaprzestaniemy naszej działalności, to, znając życzliwość Wielkiego Księcia, absolutnie nieprzypadkowo ten list oznacza, że musimy się liczyć z pewnymi zmianami.

- Nie można tego oczekiwać! - Wyszkowski klasnął w rękę. - Co najwyżej pobiją człowieka na żandarmerii... albo po dwóch dniach wyciągną ciało z wody!

- Niektórzy są dumni, gdy dostaną czasem po głębie - burknął Koźmian ponuro.

Wyszkowski przygryzł wargi. Słów bezpośredniego przełożonego lepiej nie komentować.

- Panowie - powiedział z uśmiechem Mostowski. - Przecież nic się takiego nie wydarzyło, po prostu dostaliśmy przychylne nam świadectwo, że naszą rolę, która dobiegła końca, odegraliśmy wspaniale.

- Nie trzeba jej ukrywać w kieszeni - dodał Morawski.

- Zostaliśmy uniewinnieni przez historię - wyjaśnił łagodnie Mostowski. - Teraz możemy spać spokojnie. Panowie razem ze mną łudzili się, że jesteśmy odpowiedzialni za losy państwa. Nie jest powiedziane, że uwolnienie się od tej gniołającej nas zmory nie wyjdzie nam na zdrowie.

- Mimo to wcale nie musimy się rozwiązywać - powiedział niezdecydowanie Fredro. - Nadal możemy działać w tajemnicy...

- Pod jakim pseudonimem będziemy zamieszczać recenzje? - zainteresował się Niemcewicz. - Polecam uwadze pana Maksymiliana fakt, że wszystkie litery abecadła zostały już wcześniej wykorzystane.

- Nie musimy niczego publikować - powiedział Fredro.

- Tylko co? - spytał Niemcewicz.

- Nie rozwiązujemy Iksów - błagał Stanisław Plater. - W końcu my też... jesteśmy czymś więcej niż tylko jakąś mało znaczącą grupką! Przekształćmy się w tajne stowarzyszenie!

- Muszę stwierdzić - powiedział Niemcewicz - że w takiej konspiracji, o której istnieniu nawet ja wiem, z zasady nie biorę udziału.

Z dowcipu zaśmiał się tylko Morawski.

- Proponuję - zabrał głos Mostowski - żebyśmy przyjęli rzecz taką, jaką w istocie jest. Polski teatr, dzięki naszej ofiarnej działalności, przestał istnieć. Osiągnęliśmy cel, prawda? Teraz już nie jesteśmy potrzebni.

- To znaczy, że co? - zapytał poruszony do żywego Osiński.

- Jeśli pan dyrektor nie raczył zauważyć - powiedział wesoło Niemcewicz - udało się nam tak głęboko zdeprawować teatr, że znajduje się tam, gdzie był kiedyś, jeszcze przed czasami Bogusławskiego. O kim mam pisać recenzje, komu mam pisać role? Nie ma Bogusławskiego, nie ma Żółkowskiego, nie ma Szaniawskiego, Ledóchowska coraz gorsza... W bezsenne noce próbowałem napisać rolę dla Kudlicza, ale stwierdziłem, że to wykracza poza moje zdolności.

Morawski głośno chichotał.

- Co ja na to poradzę? - zapytał wzburzony Osiński. - Chyba nie tylko mnie robisz wymówki?... Ja zawsze i we wszystkim postępowałem zgodnie ze wskazówkami Iksów!

- My też mówimy dokładnie o tym samym - uspokoił go Mostowski.

- Podejrzewam - powiedział ponuro Wyszkowski, że teraz, gdy nasze istnienie zostało zagrożone, mimo wszystko powinniśmy występować razem, zanim będzie za późno...

Osiński milczał, księżna Wirtemberska załamała rękę.

- Zawsze tylko ta okropna polityka! - westchnęła do siedzącego obok Sierakowskiego.

- Wy, panowie, nigdy nie potraficie znaleźć innego tematu! Dla was nic nie znaczą bolesne drżenia serca i duszy.

Radca stanu przytaknął ubawiony i poprawił order przypięty nad sercem.

Lokaje serwowali drugie danie.

- Teraz już - filozofował na głos Morawski - mamy wszelkie powody, by uznać naszą

dotychczasową działalność za bardzo ważną, co więcej, o znaczeniu historycznym, za kształtującą oblicze naszego narodu, wszak do pojawienia się zakazu byliśmy coraz bardziej niebezpieczni, nieprawdaż?

- Oczywiście Czartoryski jest w takim momencie nieobecny - wymamrotał Matuszewicz. - Gdy trzeba podjąć decyzję, zawsze ucieka...

- Przepraszam, że co? Że niby jak? Nie dosłyszałam - uniosła się Wirtemberska, dotknięta tak krzywdzącą oceną swojej rodziny.

- Nie wolno! - rozległ się w tym samym momencie pełen bólu krzyk Stanisława Platara. Towarzystwo zamarło, parę widelców wypadło z rąk. Głowy odwróciły się w tamtą stronę, twarz Stanisława trzęsła się wykrzywiona, pani Michałowa zerwała się, podeszła i również jemu położyła ręce na ramionach. Stanisław ukrył twarz w dłoniach.

- Jeśli się nad tym zastanowić - odezwał się Lipiński i podkrążonymi, pozbawionymi wyrazu oczami spojrzął na świeczniki - to nie ma powodu, panowie, by popadać w zwątpienie. Wielki Książę z niewątpliwie przemyślanych i korzystnych dla nas względów strategicznych może podjąć pozornie niekorzystne kroki taktyczne. Jeśli na przykład, tak sobie myślę, w najbliższej przyszłości w miejscu naszym pojawi się gwiazda innych kręgów czy innych osób, to może się zdarzyć, że późniejsze oburzenie obciąży ich, a nie nas... A nieszczęśni karierowicze na własnej skórze odczują ciosy wymierzone zasadniczo w nas.

- Niech żyją donosiciele! - krzyknął Wyszkowski. - Niech żyje ten bandyta Roźniecki! Lipiński zająknął się i umilkł.

Mostowski wodził wzrokiem po twarzach, jakby się rozglądał po ogrodzie zoologicznym. Wreszcie przerwał ciszę:

- Myślę, że nie ma już przeszkód, byśmy wysłuchali opracowania generała Morawskiego.

- Jakby nic się nie zdarzyło? - zapytał Wyszkowski. - Wymordują nas co do jednego, tak jak postąpiono z Pękalskim, a my tu dalej będziemy analizowali sztuki?

- Istotnie nie ma to większego znaczenia - powiedział Morawski. - I pewnym spokojem napawa mnie to, że swoich trafnych i dosadnych spostrzeżeń nie będę już więcej musiał zastępować pustymi frazesami proponowanymi łaskawie przez pana Koźmiana.

Koźmian się oburzył.

- Przynajmniej pan generał - odezwał się po krótkim namyśle - nie będzie w przyszłości musiał pisać jednego tekstu w naszym imieniu, a innego w imieniu naszych wrogów!

Morawski uśmiechnął się czarująco.

- Pan generał wcale nie nabył rozumu po wielkim odwrocie - wyrzucił mu Fredro z nienawiścią.

- O - powiedział Morawski i przyjrzał się Fredrze, jakby pierwszy raz go widział. - Pan adiutant doprawdy w porę, jeśli dobrze pamiętam, zmienił sobie pana, by nie musieć marznąć na rosyjskich pustkowiach.

Fredro zerwał się i wyciągnął szablę.

- I dobrze się ożenił - ciągnął spokojnie Morawski. - Wżenić się w rosyjską rodzinę to prawdziwy patriotyzm, moi panowie...

- Wydaje się panu - syknął Fredro z szablą w ręku - że tylko dlatego wszystko panu wolno, bo pański brat daje się korumpować w Najwyższej Prokuraturze?! Wiem, czemu jest pan wściekły: bo nie mógł pan zadeklamować ody, którą odczytał pan w Sedanie podczas pierwszego pogrzebu Poniatowskiego.

Morawski otarł usta i też wyciągnął szablę.

- Proponuję westybul - powiedział z kamienną twarzą. - Tu ludzie jedzą.

Fredro wymachiwał szablą. Nim jeszcze Karski, zebrawszy się na odwagę, wkroczył do akcji, między dwóch oficerów wśliznęła się pani Michałowa.

- I po co to, panowie? - powiedziała z uśmiechem i bardzo spokojnie. - Przecież jesteśmy Polakami! Przecież wybaczymy sobie wzajemnie nasze wcześniejsze błędy, prawda? Zresztą kto nie znalazł się w przeszłości po niewłaściwej stronie, w tamtych burzliwych czasach?

- Od tamtej pory też mamy szczęście stać po niewłaściwej stronie, moja pani. - Morawski stuknął z galanterią obcasami, schował szablę do pochwy i usiadł, by dalej biesiadować.

Fredro także usiadł.

- Chwileczkę - odezwał się Wyszkowski. - Czy w ogóle podjęliśmy już decyzję, że likwidujemy towarzystwo Iksów? O ile wiem, powinniśmy to przegłosować, a do podjęcia decyzji potrzebna jest większość dwóch trzecich. Tak wynika ze statutu naszego towarzystwa, jeśli dobrze pamiętam.

Zapadła cisza, Mostowski uśmiechnął się.

- Wreszcie wpadło to komuś do głowy - powiedział łagodnie. - Cieszę się, że nie musiałem sam wysunąć tej propozycji.

- Tak - podkreślił z nadzieją Stanisław Potocki - musimy głosować. Brakuje tylko mojego brata... a więc mamy kworum.

To było bezdyskusyjne, pojawiła się natomiast kwestia, nad czym dokładnie mają głosować. Mostowski nie brał udziału w dyskusji; Niemcewicz zaczął coś gryzmolić na kartce i nie zwracał na innych uwagi. Wpadałoby też przegłosować formułę pytania, na które będzie się głosować, podjął kolejną kwestię Matuszewicz, i sprawa nieco się skomplikowała. Fredro trwał na stanowisku, iż to wszystko nie ma sensu, jeśli Wielki Książę i tak już rozwiązał towarzystwo; Wyszkowski zauważył, że może powinni wspólnie przeczytać list, bo, jak wywnioskował ze słów pana ministra spraw wewnętrznych, nie ma żadnej przesłanki, że Wielki Książę uznał towarzystwo za nieistniejące. Spoglądano pytająco na Mostowskiego, który przytaknął, owszem, rzeczywiście tak to wygląda, Wielki Książę nie napisał nawet jednego złego słowa o towarzystwie, wręcz przeciwnie. Wyszkowski znów zaczął się czepiać Fredry: dopiero co pana adiutanta bolało rozwiązanie Iksów, a teraz jakoś nie boli, jak to jest

możliwe. Fredro odparł, że jego słowa najwidoczniej zostały źle zrozumiane; niezależnie od tego każdy ma prawo raz sądzić tak, a innym razem inaczej. Tak więc trzeba jednak będzie głosować, podsumował jego wypowiedź Wyszkowski. Fredro usiadł wściekły na poręczy fotela, poręcz się złamała. Pani Michałowa posłała adiutantowi uprzejmy i uspokajający uśmiech.

W końcu Karski przyniósł cylinder i rozdał kilka karteczek.

Najpierw głosowali nad formułą pytania, na które mieli następnie zagłosować; Koźmian na próżno pomrukiwał, że to niepoważne i żeby nie robili z siebie błaznów, jeśli już bawią się w demokrację.

- Ja nie będę głosować - oświadczył Morawski - bo jeśli mnie panowie przegłosują, i tak będę reprezentował panów stanowisko.

- Że co? - spytał Koźmian.

- Proszę państwa - powiedział Morawski. - Powiedzmy, że mam na coś własny pogląd, biorę udział w głosowaniu i pozostaję w mniejszości. Godząc się w ogóle na uczestniczenie w tej grze, uznaję, że podlegam władzy większości. Czyli i tak popieram większość, nawet jeśli przypadkiem się z nią nie zgadzam. Tak więc demokracja jest szwindlem. Za państwa zgodą nie będę głosować.

- Jeśli głosowanie jest tajne - wymruczał Koźmian - nie ma pan prawa głośno mówić, że wstrzymuje się pan od głosowania.

- Pardon - powiedział Morawski. - Ja się nie wstrzymuję od głosowania, ja nie będę głosować. To co innego.

Przez jakiś czas trwała dyskusja, czy ma się prawo odmówić udziału w głosowaniu. Potem głosowano. Karski podliczył głosy, jednego brakowało, a jedna kartka była przekreślona. Karski miał z tym kłopot, Niemcewicz podniósł wzrok.

- Ja nie głosowałem - powiedział. - Miałem prawo wstrzymać się od głosowania, prawda?

- Czy panowie się wstrzymują, czy w ogóle nie głosują? - warknął Koźmian.

Matuszewicz uspokajał go: właściwe głosowanie będzie dopiero teraz.

Pytanie brzmiało: czy ma zniknąć pan Iks, recenzent teatralny.

Karski policzył głosy i oznajmił: przy jednym głosie brakującym jednogłośnie zagłosowano za rozwiązaniem towarzystwa.

- I po to była ta cała komedia?! - krzyknęła księżna Wirtemberska.

Morawski oświadczył, że teraz nikt nie ma prawa wypytywać o recenzję *Hrabiego Essex*.

Wtedy przybył Ludwik Plater; siadł do stołu i zaczął obgadywać Kudlicza.

- Bóg mi świadkiem - powiedział - że nigdy nie mogłem ścierpieć stylu Bogusławskiego, ale mimo wszystko zawsze można było coś dobrego lub złego o nim napisać. A o Kudliczu trudno mieć jakiegokolwiek zdanie...

Słuchano go w milczeniu, nawet Osiński nie zareagował na jego słowa, Ludwik Plater rozejrzał się, na wielu twarzach zobaczył żalobę, na kilku zadowolenie.

- Stało się coś? - zapytał.

- Rozwiązaliśmy się - powiedział jego brat tragicznym tonem. - Właśnie nad tym głosowaliśmy.

Ludwik Plater nic nie rozumiał.

Niemcewicz przerwał bazgranie i odezwał się:

- Gotowe.

- Cóż to? - spytał podejrzliwie Koźmian. - Recenzja?

- Poniekąd - powiedział Niemcewicz i z satysfakcją twórcy przechylił się do tyłu na krześle. - Mogę przeczytać?

Byli Iksowie nie mieli nic przeciwko temu; serwowano owoce; Niemcewicz zaczął czytać swoje dzieło.

- *Zbór powszechny recenzentów*. Taki jest tytuł. „Relacja poniższa powstała podczas walnego zboru recenzentów teatralnych, który odbył się dla zbożnego celu, by za wspólnym porozumieniem dalej rozpowszechniać dotychczasowe błędy. Recenzenci uczestniczący w zborze jako dowód przynieśli chowane po kufrach w tajemnicy swoje dystynkcje, tworzone sekretnie dramaty oraz libretta operowe, także pełny materiał ich działalności krytycznej do tej pory, a że w kwestii ustalenia jednodążnych zasad krytyki ujawniły się w pewnej mierze podstawowe różnice opinii, zgromadzenie zgodziło się jednomyślnie zawrzeć umowę, ażeby w przyszłości dokonywać rozbioru utworów, oparłszy się o prawdziwą znajomość rzeczy”...

Niemcewicz rzucił okiem na słuchaczy. Tekst przyjęto milczeniem. Czytał więc dalej.

- „...zgodnie z umową krytykiem muzycznym w przyszłości może zostać jedynie taki, który przedstawi poświadczenie od doktora, iż nie jest całkiem głuchy; jeśli pisze o barwach i kształtach, w dający się udowodnić sposób nie może cierpieć na ślepotę w końcowym etapie; ponadto jeśli rządzi się czymś, co u innych nie jest dokładnie takie samo, a mianowicie, mówiąc prościej, własnym poglądem”...

Mroząca cisza. Niemcewicz czuł, że byłoby lepiej, gdyby teraz skończył, ale sporo jeszcze zostało i jako autor zmuszony był czytać dalej.

- „...Te i tym podobne powziąwszy zasady i poddawszy się im dobrowolnie,

zgromadzenie milczało czas dość długi, po czym każdy z obecnych jeden po drugim, wstępując na mównicę wśród gorących owacji słuchaczy, bił się w piersi, *mea culpa*, rozliczając się z sekretnych intencji swoich recenzji, ze szczególnym uwzględnieniem krytyk napisanych po premierze *Dwóch Klingsbergów* oraz *Horacjuszy*. Pan Y wyznał, że przy obu okazjach nie okazał zadowolającej bezstronności. Pan C obwieścił, iż rzeczonych sztuk, o których pisał, nigdy w życiu nie oglądał i zgodnie z jego najgłębszym przekonaniem nigdy ich nawet nie grano. Pan Stanisław Iksienko pokazał zaświadczenie z policji, wedle którego w rzeczonym czasie nie przebywał w stolicy, tak więc jego pseudonim wykorzystał ktoś mu nieznany. Towarzystwo Przyjaciół Prawdy w jednej osobie wyznało, iż bezprawnie wykorzystało litery alfabetu, i tą drogą poprosiło o wybaczenie wszystkie osoby, których litery zostały użyte. Pan Cyprian Chudeyko wyraził gotowość przerobienia swoich przyszłych recenzji jeszcze przed wysłaniem ich do drukarni, a następnie ich spalenia. Pan 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8 &, zdejmując maskę anonimowości, spuścił na wydarzenia zasłonę milczenia. Potem nadeszła kolej znowu na pana Y, który upraszał o objaśnienie mu, czemuż to w ogóle powinien rozlec się więcej niż jeden ton, aby dało się słyszeć akord. Dyskusja przeciągnęła się aż do późnego świtu, a do rana uczestnicy zebrania doczytali wielki słownik pana Lindego do litery C”.

Sam Niemcewicz też się tym znudził. Nie szkodzi, pomyślał, niech cierpią.

- ”...Kiedy wszystkie te słowa zostały zapisane, zebrani upoważnili Trzymającego Pióro, by był łaskaw nie opracowywać wspartego na prawdzie komunikatu ani wiadomości o naradzie. Takóż Trzymający Pióro w poczuciu pełnej odpowiedzialności oświadcza: powyższe zdania nie są zgodne z prawdą, wcale ich nie słyszał, nie czytał, wcale też ich nie spisywał. Podpisano: Trzymający Pióro”.

Skończył. Cisza.

Ludwik Plater cicho zapytał brata:

- Powiedz... naprawdę tak się stało?

Niemcewicz odchrząknął, Morawski zatrzęsł się ze śmiechu.

- Tekst całkiem dowcipny - powiedział Mostowski z pochmurną miną. - Myślę, że najlepiej będzie przesłać go tak jak jest do drukarni.

- Takie coś?! - krzyknął osłupiały Koźmian.

- Czemu nie? - zapytał Mostowski. - Jutro dam to Lesznowskiemu, jeśli go oczywiście do tego czasu nie zamordują. Nikt nie będzie się z tego śmiać. Nasz naród stracił poczucie humoru.

- Ale nie w tym celu to pisałem - zaczął się jękać Niemcewicz i nie umiał już dojść do

siebie.

- Znakomita okazja - powiedział Mostowski - by ogłosić, że Iksowie przestali istnieć.

Kończyli biesiadę w grupkach, na stojąco. Na dyskretne mrugnięcia okiem pana sekretarza Karskiego znakomicie zgrani lokaje roznosili na ozdobnych srebrnych tacach przedni tokaj, smacznego burgunda, wspaniały francuski koniak, świetną szkocką whisky oraz przekąski na wykałaczkach: ostrygi, polędwice, bażanta i raki. Na skinienie Karskiego doniesiono jeszcze kilka świeczników. Za oknami zakończył się już pokaz fajerwerków i pałac Mostowskich był teraz najjaśniejszym punktem Warszawy.

W pogodnej, żartobliwej paplaninie nie uczestniczył jedynie Koźmian, stał ponury przy oknie i patrzył w mrok. Kiedy hrabia Mostowski podszedł do niego, radca Ministerstwa Spraw Wewnętrznych mruknął zgryźliwie:

- Niezbyt długo mogłem kierować losem Polski!

Mostowski stłumił śmiech i westchnął ze współczuciem:

- No, tak bywa.

Księżna Maria Wirtemberska w gronie dam utyskiwała z niezadowoleniem, że „ten Wyszkowski to jakaś *impossible* figura, zawsze bez powodu maluje *diable* na ścianie”. Potem była mowa o tym, że generał Pac się ożenił; na to pani Michałowa cicho i dyskretnie opowiedziała, iż generał Morawski ma nowy obiekt miłosny, smali cholewki do młodzianki Anieli Wierzchowskiej, pupilki Izabeli Czartoryskiej, ale zważywszy na wysoką pozycję protektorki tego dziewczątka, tym razem trudno będzie mu wywinąć się od ślubu. Księżna Wirtemberska oświadczyła, że nie może ścierpieć Morawskiego, który nie ma gustu, tłumaczy takich autorów jak ten Anglik, ten Byron, a i spośród autorów niemieckich zawsze wybiera sobie tych najbardziej obrzydliwych, jak ostatnio tego niemożliwego, pozbawionego stylu Zachariasa Wernera.

Nadworni muzycy hrabiego Mostowskiego umilali subtelne pogaduszki sympatyczną muzyką, na trzech klawesynach naraz (to był najnowszy pomysł najjaśniejszej pani Michałowej) grano utwory nieznanego, dawnego kompozytora niemieckiego, niejakiego Bacha, z najnowszych nut przywiezionych z Wiednia przez Elsnera.

Stanisław Plater nieco się wstawił, chociaż nie pił dużo; podchodził do wszystkich po kolei i każdemu oświadczał, że on, ze swej strony, nadal czuje się Iksem; nadal będzie oglądać przedstawienia Teatru Narodowego i o każdym napisze recenzję; nie interesuje go, czy kiedykolwiek i gdziekolwiek to zamieszczą, on jest przekonany, że obowiązkiem Iksa jest wykonywać powierzone mu zadanie, czyli pisać recenzje teatralne.

- Jeśli nikt nie jest już Iksem - powiedział pan Stanisław zduszonym, pełnym

entuzjazmu głosem - jeśli zostałem już tylko ja, to nadal będzie istniał pan Iks, bo wiem, a wkrótce będą wiedzieć wszyscy, że w przyszłości bez niego żyć się nie da!

On też stanął później przy oknie i jak Koźmian patrzył w noc, pierś rozpieła mu nieznana wcześniej, ogromna siła i zmusił się do uronienia kilku łez.

Tydzień później w "Gazecie" pojawił się mocno zlagodzony komunikat Trzymającego Pióro o zborze powszechnym recenzentów. Spośród tysiąca prenumeratorów pisma pięciu roześmiało się, reszta albo nie rozumiała tego, albo nawet nie przeczytała. Skandalu po tym nie było. Niemcewicz na wszelki wypadek w długim artykule we wcześniejszym numerze „Gazety” nieco bez związku wychwalał działalność organów rządowych, urzędów i - w zakamuflowanej formie - Wielkiego Księcia, konsekwentnie i ofiarnie przyczyniających się do polepszenia życia i warunków pracy artystów Teatru Narodowego, w ogóle wszystkich artystów. Czytając artykuł, kilku studentów oburzyło się, „Niemcewicz definitywnie się podłożył”, mówili, po czym pognali na wykład pana Osińskiego, który z typowym dla siebie wczuwaniem się w temat analizował elementy poetyckie *Raju utraconego*.

Kilka lat później pewnej nocy aresztowano kilku młodych oficerów i arystokratów, jednego z nich zabrano w nocnej koszuli na przesłuchanie przed Najwyższą Władzę, koszula nocna nie okazała się odpowiednia na taką okazję, wobec czego chłopak wydał wszystkich swoich kolegów.

Krótko potem w Warszawie i Wilnie zlikwidowano wszystkie tajne towarzystwa; Wielki Książę zachowywał się z pozoru energicznie, w rzeczywistości jednak bardzo pobłażliwie i na pewien tylko czas udało się odroczyć grożący każdego dnia bunt. W tym czasie przyszli rewolucjoniści zaczęli zapuszczać wąsy.

Któregoś roku w styczniu, zimnego i mglistego dnia, przemarznięty do szpiku kości, odziany w łachmany mężczyzna z odmrożonymi uszami pojawił się na obrzeżach Pragi i cały drżący wdrapał się na drewniane ogrodzenie. Machał prawą ręką, jakby coś od siebie odpędzał: skaczące w śniegu wilki ujadły w dziwnym języku.

- Przeżyję to! - krzyknął po rosyjsku mężczyzna. - Zwycięzę i zwycięży Sprawa!

Wilków było coraz więcej, z ich oczu wycierał głód.

Mężczyzna zmówił krótką modlitwę i czekał na cud. Wilki podeszły bliżej i otoczyły go, wydając dziwnie piskliwe, pełne miękkich samogłosek dźwięki ludzkiej mowy.

- Polskie wilki - szepnął do siebie mężczyzna. - To już polskie wilki. Dzięki ci, mój Boże!

Dzieci, które mężczyzna wziął za wilki, tańczyły wokół niego i naśmiewały się, jak ze stracha na wróble.

Półtorej godziny później mężczyzna szedł już przez Nowe Miasto. Jak przez mgłę przypominał sobie, że ktoś napił go gorącą herbatą, rozcierano mu członki i ciepło odziano, a potem przeszedł przez zamarzną rzekę. Z podziwem obserwował toczące się wokół spokojne życie przed zmierzchem w zaśniewanym mieście.

Przyszło mu do głowy, że czas tutaj jest cofnięty o dwanaście dni, i na myśl o tym musiał się roześmiać. Różnica między dwoma kalendarzami napełniła go spokojem: tam, gdzie przekroczył granicę imperium, jego prześladowcy są nagle spóźnieni o całe dwanaście dni.

Podszedł do koni, pogłaskał je i wyszeptał wzruszony:

- Polskie konie.

Łzy nabiegły mu do oczu.

Potem na rogu zauważył stojącego na posterunku rosyjskiego żołnierza. Ucieszył się z widoku przypominającego mu ojczyznę, podszedł do niego, z uśmiechem skinął głową i zapytał po rosyjsku:

- Jakie nastroje w Warszawie?

Posterunkowy był dzieciakiem o jasnych włosach i okrągłej twarzy. Popatrzył na wychudzoną zjawę nedorzecznie szklanym, pustym wzrokiem.

- Jesteś, bracie, Rosjaninem, prawda? - spytał mężczyzna.

Posterunkowy po chwili namysłu przytaknął.

- Czy jest w Warszawie pospolite ruszenie? - pytał dalej mężczyzna.

Posterunkowy nie zrozumiał. Mężczyzna odetchnął z ulgą.

- Lud - szepnął pełen wdzięczności i znowu się wzruszył.

Posterunkowy podrapał się w brodę, potem na wszelki wypadek zdjął z ramienia karabin i szturchnął mężczyznę w bok.

- Paszoł - powiedział krótko.

Mężczyzna stał bez ruchu i patrzył w niewinne, błękitne oczy dzieciaka.

- Błękit nieba i niewinność - szepnął. - Za was walczyliśmy, nie rozumiesz?

- Nu, paszli - warknął posterunkowy i pchnął go.

Tego wieczoru w Belwederze, w pokoju przyjęć Wielkiego Księcia Konstantego generał Kuruta nerwowo chodził tam i z powrotem; baron Mohrenheim, sekretarz Wielkiego Księcia, stał zdenerwowany przy oknie; generał Storożenko, carski komisarz rządowy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, oraz generał Witt, naczelnik tajnej policji Południowej Rosji, siedzieli naprzeciw siebie i nerwowo bębniłi palcami w stół. Panowało milczenie, potem nagle Storożenko ryknął na Mohrenheima:

- Niech pan już idzie do niego!

- Dopiero co wyszedłem - wyjąkał sekretarz.

- Niech pan wejdzie jeszcze raz - szepnął generał Witt.

Sekretarz podszedł do drzwi, poblądły złapał za klamkę.

- Pan generał też mógłby pójść ze mną - wyjąkał przerażony.

Żaden z trzech generałów nie wziął tego do siebie.

Storożenko wstał i wyciągnął pistolet.

- Liczę do trzech - oświadczył. - Na trzy zastrzelę. Raz.

Mohrenheim jak w transie prześliznął się przez drzwi.

- Potworne - wyszeptał Witt.

Kuruta odwrócił się od okna.

- Chciałbym tylko wiedzieć - powiedział z namysłem - po diabła tak się denerwujemy... Schwytaliśmy również ostatniego konspiratora... Nad głową strażnika wisi list gończy, poszukiwany jest Küchelbecker... a ten nawet tego nie zauważa! Czemuż to mamy się tak denerwować?

Poetyckie pytanie było całkiem nie na miejscu, generałowie mieli wszelkie powody do zdenerwowania. Początek grudnia, od chwili nieco podejrzanej, niespodziewanej śmierci cara Aleksandra polityczne i wojskowe elity Warszawy przeżywały okropne chwile. Na marginesie dodajmy, że dwudziestego szóstego grudnia w Petersburgu zdławiono powstanie, co zresztą nie było trudne. Ale w Warszawie Konstanty całymi tygodniami prawie w ogóle nie spał, więc inni też nie mogli spać; wszyscy wychudli i poźółkli, gotując się na śmierć; przedstawiciele wielkich mocarstw na próżno czekali, równie wychudli i przerażeni, aż nowy car, któremu rosyjskie wojsko złożyło już przysięgę, przyjmie ich na audyencji; nowy car, Konstanty, który ani nie spał, ani nie jadł, tylko skomlał ze strachu, nikogo nie przyjął. Jednocześnie żandarmeria otrzymywała pięć tysięcy sztuk złota dziennie na zwiększenie liczby tajniaków; zatrzymano połowę warszawskich studentów; założono prowizoryczne areszty, rekwirowano także domy osób prywatnych i przerabiano je na więzienia; więźniom trzeba było zapewnić choćby minimalne wyżywienie, co spotkało się z ogromnymi trudnościami, poszczególne organy przerzucały jeden na drugi kwestię finansowania tego, a z sensowną propozycją, zgodnie z którą celem byłoby natychmiastowe rozstrzelanie więźniów, także nie można było się dostać do Wielkiego Księcia. W tym czasie Tatiszczew każdego dnia wysyłał wielu kurierów z Petersburga do Warszawy, jednak Wielki Książę, nie czytając listów, kazał je kurierom zjadać. Kurierów Wielkiego Księcia Mikołaja również nie przyjmował. W Belwederze szepmano: Konstanty nie chce zostać carem, boi się.

Potem Wielki Książę Mikołaj, młodszy brat Konstantego, opublikował tajny list Konstantego, od chwili ślubu z Joanną przechowywany w monasterze Uspińskim, w którym to liście Konstanty zrzekał się tronu. Potem Mikołaj kazał się koronować na cara i wtedy właśnie wybuchło powstanie. Zdławiono je, ale w Warszawie nadal panował strach, generałowie obawiali się, że Wielki Książę wypowie wojnę młodszemu bratu. Jednak Wielki Książę nie uczynił nic, tylko jak dzień długi skomlał ze strachu w swej sypialni.

Generałowie nerwowo przemierzali salę przyjęć.

Kuruta myślał, że dla imperium byłoby lepiej, gdyby powstanie zwyciężyło, ale sposób, w jaki je zorganizowano, nie świadczył o zbyt wielkiej fantazji.

Witt zastanawiał się, jak można było ochrzcić kogoś imieniem Konstanty, jeśli da się powiedzieć o nim wszystko, prócz tego że jest twardy. Witt wierzył zabobonnie w przysłowia i mądrość ludową, teraz całe jego jestestwo protestowało przeciw temu, by takie wspaniałe powiedzenie, jak *nomen est omen*, nagle okazało się nieprawdziwe.

Storożenko ponownie rozważał w duchu, co powinien zrobić, jeśli Konstanty mimo wszystko wezwie ich i oznajmi, że on jest prawomocnym carem. Ten cały carat nie jest jakoś zbyt doskonały. Storożenko wybił się z niskich warstw, musiał więc być mądry. Zerknął na Kurutę, „szczwany Grek” wyglądał przez okno. Jeszcze kilka dni temu omawiali między sobą w sekrecie różne kombinacje, potem rozmowy się urwały. W minionych tygodniach uwadze Storożenki nie uszło kilka interesujących drobiazków. Na przykład Küchelbecker jest krewnym barona Mohrenheima, bezpośrednie koneksje rodzinne wiążą go także z hrabią Mostowskim; to dość osobliwe, że w dniu powstania w Petersburgu wznoszono okrzyki na cześć Konstantego, przeciwko Mikołajowi; dziwne jest też to, iż Towarzystwo Północne, z którego programem Storożenko mógł się zapoznać jeszcze przed buntem, a zdołał także rzucić okiem na raporty donosicieli, poróżniło się z Towarzystwem Południowym właśnie w sprawie Polski oraz krajów skandynawskich: ci z Północnego jakby na rzecz Konstantego planowali wchłonięcie Polski i Szwecji, z czym nie zgadzali się ci z Południowego, którzy chcieli przyłączyć Bałkany i Azję. Storożenko żałował, że Küchelbecker został aresztowany i nikt, nawet on, nie mógł się do niego dostać. Ten chudy jak tyka poeta może sporo wiedzieć. Nigdy go nie wypuszczą.

Storożenko, w przeciwieństwie do wielu innych, nie uważał Wielkiego Księcia za wariata. Konstanty miał powody, by nie obejmować tronu: Mikołaj prędzej czy później ujawniłby jego list, podyktowany przez Aleksandra, o zrzeczeniu się tronu, a powołując się na prawo, łatwo mógłby obalić starszego brata. W ten sposób Mikołaj został znienawidzonym ojczulkiem carem, a jeśli nieco lepiej zorganizuje się powstanie, Konstanty obali Mikołaja

i już więcej nie będzie musiał się go obawiać. Ale nie wszystko stracone, Konstantemu pozostała Polska. W Storożence narastało przeczucie, że Konstanty, stojąc na czele Polaków, mógłby jeszcze wkroczyć do Petersburga. Na to, oczywiście, trzeba poczekać, grunt nie jest jeszcze przygotowany. Storożenko zaczął się domyślać, czemu Konstanty, znany z okrucieństwa i morderstw popełnianych w młodości, jest tak pobłażliwy wobec zdemaskowanych w Warszawie spiskowców.

Konstanty od tygodni znakomicie odgrywa swą rolę, pomyślał Storożenko.

Może dojść do paradoksalnej sytuacji, że on, Storożenko, generał armii carskiej, będzie kiedyś wspierać polską walkę o wolność.

Ponownie zerknął na Kurutę. To niemożliwe, by szczywany Grek tego wszystkiego sobie nie przemyślał. W głowie pozbawionego szyi, osadzonej na przysadzistym tułowiu, Kuruty przebiegały teraz skomplikowane operacje arytmetyczne i logiczne. Storożenko prawie słyszał melodię pracującego umysłu. Opanowało go dziwne, rozkoszne uczucie. Życie to fantastyczna i wielka sprawa.

Nagle drzwi się otworzyły, wbiegł Wielki Książę i rzucił się na ziemię.

Drżący na całym ciele Mohrenheim poszedł w jego ślady.

Trzej generałowie rozbiegli się po kątach, jak najdalej od tarzającego się po podłodze Wielkiego Księcia.

- Nie wytrzymam! - krzyczał Wielki Książę i wijąc się na ziemi, rwał sobie przerzedzone włosy. - Nie chcę! Boję się! Pomocy!

Przez inne drzwi wpadła do sali księżna Joanna w nocnej koszuli, krzycząc histerycznie; rozwiązane jasne włosy fruwały wokół jej głowy; podbiegła do okna, przy którym niedawno Kuruta obgryzał paznokcie, otworzyła je i wskoczyła na parapet.

- Wskoczę! - krzyknęła cienkim głosem.

Trójka generałów, opartych plecami o ścianę, nie ruszyła się z miejsca. Mohrenheim uznał, że najlepiej będzie zemdleć. Drżąca Joanna piszczała, wcale jednak nie rzuciła się z okna na parterze, tylko, ponieważ nikt nie zamierzał ratować jej życia, zeskoczyła z parapetu do pokoju i opuściła go na czworakach.

Wielki Książę z pianą na ustach podrygiwał.

Witt coś wyszeptał, ale sam nawet tego nie zrozumiał.

W końcu Wielki Książę wreszcie osłabł i przestał charczeć. Po krótkiej chwili zbliżyli się do niego generałowie.

- Zasnął - stwierdził z ulgą Kuruta.

Stali bezradnie nad leżącym księciem. Mohrenheim nie odważył się jeszcze dojść do

siebie, w malowniczej pozie spoczywał pod drzwiami.

- W takich chwilach Nowosilcow jest oczywiście w Petersburgu - wyszeptał Witt, by nie obudzić Wielkiego Księcia.

Storożenko przytaknął.

Zamilkli.

- Złożę dymisję - szepnął Witt.

Głodni i spragnieni generałowie spędzili noc w sali i czuwając, pilnowali się wzajemnie, podczas gdy Wielki Książę chrapał.

W tych dniach w Warszawie panowała jeszcze żałoba narodowa ogłoszona z powodu śmierci Aleksandra, chociaż gazety także wtedy publikowały dekrety podpisane w imieniu cara Aleksandra, a dopiero znacznie później przedstawiono sylwetkę Mikołaja I.

Potem wszystko wróciło jakoś do normy, część aresztowanych wypuszczono. W zaufanych kręgach można było szeptać z niezadowoleniem i wzburzeniem o pierwszym, bardzo obraźliwym zarządzeniu Mikołaja I, w myśl którego w armii trzeba wymienić dotychczasowe wąskie białe spodnie na niebieskie o szerszym kroju. Wraz z wymianą spodni zakończyły się stare, dobre czasy wielkich zwycięstw.

Wtedy już nawet Wielki Książę przestał histeryzować i pełen smutku mawiał do generałów:

- Ja mu przekazałem imperium, a on jeszcze zdarł ze mnie spodnie!

Z uwagi na żałobę o znaczeniu historycznym przez długie miesiące Teatr Narodowy nie funkcjonował. Pozostawieni przy życiu dekabryści wydeptywali już śnieg na Syberii, gdy w Warszawie znów podniosła się kurtyna. Dość uspokajający był fakt, że repertuar niewiele się zmienił; ze zrozumiałych względów zmalała jedynie liczba sztuk Kotzebuego: popularnego autora jakiegoś sześć lat wcześniej zamordowano w Mannheimie, więc nie można już było więcej powoływać się na to, iż jest carskim gubernatorem.

Tak więc teatr otworzył podwoje, na paru spektaklach była jeszcze publiczność, potem widzowie przestali przychodzić, a teatru nie zamknięto tylko dlatego, żeby z powodu braku widowni nie wyciągano niewłaściwych wniosków dotyczących polityki nowego cara. Minister oświecenia Grabowski systematycznie wypłacał dotacje, ale postarał się o to, by publiczność nie wracała już do teatru. Prezesem rady dyrektorów był wówczas generał Roźniecki, pierwszy, który za tę funkcję społeczną pobierał wysokie wynagrodzenie.

Aktorzy biedowali, ale nie mogli się buntować, minimum egzystencji, niezależnie od tego, czy grali, czy nie, czy mieli powodzenie, czy nie, zapewniała im dotacja. W tym czasie w teatralnej knajpie wspomniano o legendarnych apanażach świętej pamięci Bogusławskiego

i świętej pamięci Żółkowskiego, a jeśli któryś aktor dostawał kilka groszy więcej od przeciętnej, leciano w te pędy do Osińskiego lub członków rady dyrektorów. Częściej dochodziło do kradzieży, po śmierci dziadzia Harazyna magazyn rekwizytów zniknął bez śladu. Tylko pan Keller, bibliotekarz, mógł być zadowolony; tymczasowe schody prowadzące na poddasze, które początkowo zamocowano jedynie na kilka tygodni, stały się tak niebezpieczne, że poza nim nikt nie miał odwagi z nich korzystać. Dzięki temu przez dłuższy czas nikt nie kradł książek.

Muzykom wiodło się nieco lepiej niż aktorom, mogli dawać lekcje, od czasu do czasu grywali po domach. Ponadto wtedy jeszcze cenzura nie zajmowała się muzyką. W latach dwudziestych Elsner nawet się wzbogacił, ucząc muzyki. Także krawcy, cieśle i stolarze mieli fuchy poza teatrem. Dmuszewski, który do końca był członkiem rady dyrektorów, żył z "Kuriera"; jego pismo rzadko wchodziło w konflikt z cenzurą. Inni także chcieli założyć pismo, ale nie otrzymali zgody.

Ledóchowska jako jedyna wyrażała swoje niezadowolenie również na piśmie. Nie prosiła o podniesienie gaży, chociaż bardzo by jej się to przydało, ale domagała się, by zamiast ponownie włączonej do repertuaru sztuki Ducisa zatytułowanej *Macbeth* grać raczej sztukę Szekspira o podobnym tytule. Rada dyrektorów, także na piśmie, ostrzegła ją, by zamknęła gębę oraz zobowiązała się do zagrania głównej roli kobiecej w sztuce Ducisa. Ledóchowska była zmuszona zagrać; na premierze kilkakrotnie zapominała tekstu, ale reszta, nie bacząc na to, kontynuowała spektakl. Obyło się bez skandalu; premiera poszła przy połowie widowni, a recenzenci także ją oszczędzili: w tym czasie nie pojawiały się już recenzje krytyczne.

W tych latach Ledóchowska regularnie kłóciła się z Osińskim, który z rezygnacją przyjmował razy od losu; nie mógł wyrzucić żadnej bardziej znaczącej aktorki, a życie pokazało, że nawet po kilkutygodniowej nieobecności Ledóchowska i tak wróciła do teatru. Z Werowskim było gorzej; aktorka stosowała najrozmaitsze wymyślne tortury, by poniżyć starzejącego się kochanka; raz omal nie doprowadziła go do obłędu: w domu na parterze zostawiła karteczkę, że rzuciła się do Wisły, a kiedy Werowski odchodził od zmysłów i biegał brzegiem rzeki, nie mogąc się zdecydować, czy skoczyć na krę, ona snuła się po piętrze domku i ze złością dochodziła do wniosku, że ten dowcip wcale nie sprawił jej radości.

Wiosną 1831 roku, między zlinchowaniem jednego a potem drugiego Macrotta, mówiąc dokładniej siódmego marca, pod oknami domku Ledóchowskiej pojawili się wieczorem muzykanci i w świetle pochodni zagrali jej serenadę. Aktorka zapaliła świecę i stanęła w oknie. Na dole siedział na koniu generał w mundurze i spoglądał w górę. Był to

Morawski, którego w ramach rozwiązania kompromisowego mianowano tego dnia ministrem wojny, któremu podlegały także buntujące się oddziały. Ledóchowska poznała go; stała w oknie, czekając, co się wydarzy. Owdowiały kilka lat wcześniej Morawski tylko spoglądał w górę, jakby na coś lub na kogoś czekał, potem pełnym rozczarowania gestem odesłał muzykantów i nie obejrzawszy się, odjechał, udał się na karty do dyktatora, generała Chłopickiego. Kilka miesięcy później, kiedy miał jeszcze pod sobą sporo walczących oddziałów, podpisał kapitulację, potem otrzymał od cara emeryturę, starzał się zaszyty w swoim majątku, tysiące razy wygładzał wersy swojego poematu i spotykał się tylko z Koźmianem, który na wieść, że Niemcewicz nadal żyje na emigracji i pisze pamiętniki, też opisał swe wspomnienia, aby zrównoważyć ewentualne kłamstwa Niemcewicza. Ledóchowska wpadła w dziwny, chorobliwy stan, gdyż Morawski jej nie poznał; całą noc męczyła Werowskiego, drżąc w gorączce, dowodziła, że Morawski sądził, iż to nie ona stoi w oknie, lecz jej matka, Truskolaska; nad ranem twierdziła już, że Morawski wszystko z góry zaplanował, gdyż chciał się na niej zemścić. Werowski całą noc musiał jej powtarzać, że wcale się jeszcze nie zestarzała.

W ostatnich miesiącach powstania oraz przez wiele lat po jego upadku Ledóchowska każdego dnia godzinami stroiła różne miny, krygowała się przed lustrem i zaczęła się zachowywać niczym płaczliwe dziewczątko, jak kiedyś jej matka.

W długie zimowe wieczory Werowski musiał bez końca wysłuchiwać wspomnień kochanki o starych, dobrych czasach. Zresztą nie miał też nic innego do roboty; żona mu umarła, dzieci dorosły i go zostawiły. Słuchał więc opowieści Ledóchowskiej o Bogusławskim, który był jej „okiem i lustrem”, wysłuchiwał historii o Iksach, którzy znali się jeszcze na teatrze, bo byli to ludzie wykształceni, dowcipni i wrażliwi.

Przedpołudnia aktorka spędzała przeważnie w kościele, modląc się.

Znów upłynęło sporo czasu. Dziesięć lat po chłopskiej rzezi Szeli w Galicji, na początku stycznia do Warszawy dotarł list adresowany do pana Bogusławskiego. List przekazano panu Wojciechowi Maurycemu Bogusławskiemu, który z ogromnym trudem odcyfrowywał pismo, a następnie po krótkim zastanowieniu zaniósł do redakcji „Kuriera” swemu stryjowi, Stanisławowi Bogusławskiemu, który po śmierci przybranego ojca Dmuszewskiego odziedziczył pismo.

Stanisław Bogusławski był w redakcji; sądził, że Wojciech Maurycy przyszedł mu oddać karciany dług. Jednakże Wojciech Maurycy nie po to go odszukał, co od razu zapowiedział.

- Aha - powiedział skwaszony Stanisław. - Więc poczekaj, muszę napisać nekrolog

Paskiewicza. Do tej pory cenzura odrzuciła mi cztery nekrologi. A naprawdę były wzruszające!

- Nie będę ci długo zawracać głowy - powiedział Wojciech Maurycy i podał jeden z celów swej wizyty: czy Stanisław nie mógłby mu pożyczyć trochę pieniędzy, albo może jego syn, Władysław Bogusławski, który mimo młodego wieku był już uznanym recenzentem teatralnym.

- Wykluczone - potrząsnął głową Stanisław. - Ja nie mam, a Władzio jest winien dziesięć tysięcy Żółkowskiemu.

- To nic nie szkodzi - odparł Wojciech Maurycy; Alojzy Żółkowski junior był bardzo bogaty od czasu, gdy odniósł ogromny sukces w jednoaktówce Murgera *Stary drab* oraz w komediooperze Mélesville'a *Dawne grzechy*.

Stanisław jednak nadal kręcił głową.

- Widzisz, stary - powiedział - muszę wysmarkać ten nekrolog o Paskiewiczu...

- No, nieważne - mruknął Wojciech Maurycy. - Tu jest list, przez pomyłkę przyniesiono go do mnie. Ty mimo wszystko jesteś bliżej niego.

- Hę?

- Bliżej adresata. Dla mnie to dziadek. A dla ciebie to mimo wszystko ojciec.

Stanisław, nic nie rozumiejąc, wziął kopertę i wyjął z niej spory plik kartek zapisanych maczkiem.

- Co to jest? - spytał podejrzliwie.

- List do twojego ojca - powiedział Wojciech Maurycy. - Znamienne, że cenzor wszędzie skreślił nazwisko Mickiewicza, a to literatura obowiązkowa... i już od dwóch miesięcy nie żyje.

- Ten list... jest do trupa? - spytał Stanisław zaskoczony. - Jak długo szedł? Dziesiątki lat?

- Teraz nadano go na Ukrainie. - Wojciech wskazał na kopertę.

- Ale stary świntuch wykitował tysiąc lat temu! Kto to pisał?

Wojciech Maurycy wzruszył ramionami.

- Ani nadawcy, ani podpisu - powiedział. - Jakiś wariat. Ciekawe.

- Mam to przeczytać? - spytał Stanisław, krzywiąc się.

- Dam ci, jeśli ty dasz mi tysiąc.

- Na dziesięć procent, powiedzmy, na koniec tygodnia, jeśli na wyścigach twój koń wygra.

- Pięć procent...

- Jedenaście.

Wojciech Maurycy westchnął i skinął głową, potem Stanisław go wyrzucił.

Stanisław Bogusławski, który zgodnie z ostatnią wolą swojej matki, Konstancji Pięknowskiej, zmuszony był nosić nazwisko po ojcu, szybko wysmarował nekrolog. Tylko ostatnie zdanie szło mu bardzo trudno. Stanisław tarł oczy ze zmęczenia, potem położył przed sobą kartki listu. Były wypełnione staromodnym pismem, z zakrętasami, litery bardzo małe, by jak najwięcej zmieściło się na kartce. Kartki nie były ponumerowane, ułożenie ich w kolejności wydawało się czymś prawie niemożliwym. W końcu Stanisława zainteresował fakt, że cenzor, jak świadczyły o tym grube maźnięcia czarnym tuszem, dokładnie wczytał się w całość.

„...znalazłem się przypadkiem na festynie ludowym, wśród namiotów i kramów pieczono wołu, rzemieślnicy rywalizowali w zawodach powalania przeciwnika, siedząc w kucki, i we wspinaniu się na słup, nie byli takimi biedakami jak (skreślone), nalane twarze lśniły zadowoleniem, nie potrafiłem ich obserwować, jak sądzę, w sposób bezstronny: nawet oni są francuską *gloire*, czemu, myślałem z nienawiścią, nie mogłem być Francuzem, choćby i biedakiem, jak oni, ale francuskim; w Warszawie byłem człowiekiem, choć nikim, w Paryżu tylko Polakiem. I na tym jarmarku przypomniałem sobie: podobne wspinanie się na słup widziałem także w Warszawie, i tam słup był posmarowany mydłem, tyle że ten paryski był wyższy (*gloire*), mydło na mój węch lepsze, o bardziej mydlanym zapachu; wtedy (niezależnie z jakiego punktu na to patrzę, jest to już w moim przeświadczeniu kwestia epoki, kwestia «postępu», kwestia europejskości) pomyślałem sobie: ta różnica polega na ilości, na zaniedbaniu; wtedy jeszcze funkcjonowała, bez sprawiania problemów, moja polskość. W teatrze także byłem; z satysfakcją stwierdziłem, że wystawiają głupoty grane i u nas, od tego mogłem stracić wzrok (ta możliwość rzeczywiście się sprawdziła: naprawdę straciłem wzrok), i jakbym mógł wybierać (WTEDY tak właśnie MUSIAŁEM wybrać): albo nauczę się doskonale francuskiego, jak łobuziaki, które w wieku czterech, pięciu lat doskonale władały językiem ojczystym, i swe życie poświęcę na to, by wdrzeć się do francuskiego teatru (ale po co, to wtedy jeszcze nie było oczywiście istotne), albo zrezygnuję ze światowej sławy (z siebie, jak wtedy sądziłem). Mogłem tam pozostać, nadeszły pieniądze od matki, ale miałem poczucie, że jestem zbyt stary (!!!), mając dwadzieścia lat, człowiek nie może już zacząć nowego życia. Teraz, kiedy mam dokładnie tyle lat, ile miał Pan, kiedym go ostatni raz widział, ówczesny (wówczas - mądry!) swój wybór uważam za rezultat czegoś - swego tchórzostwa? ucieczki? samoświęcenia? samoobrony? swego pragnienia wolności nieznoszącego barier? - ciągnącego się przez całe me życie; jedno na usprawiedliwienie: nie

mogłem wtedy przeczuwać, że kiedyś Paryż zaleją pobici polscy (skreślone) emigranci. (Duży fragment skreślony) że wśród emigrantów także nie mógłbym do niczego dojść. Nie musiałbym kłaniać się w pas arystokracji (przecież to właśnie oni tam byli!), nie musiałbym dołączać do klik, nie musiałbym uwielbiać (skreślone) wielkiego księcia ogłoszonego następcą tronu, mógłbym czuć obrzydzenie do Zygmunta Krasieńskiego, mógłbym szydzić z mesjanistycznego towianizmu tego (skreślone), choć nie żyje zaledwie od sześciu lat, nieszczęsny plebejusz (skreślone, brak dalszego ciągu)

kiedy mam teraz dokładnie tyle lat, ile wtedy miał Pan, chociaż JA, tym oszukuję sam siebie, i być może to prawda, ale nie ma nikogo, kto mógłby to rozstrzygnąć, nadal mam dwadzieścia lat, bez wątplenia w odniesieniu do Pana, a w lustrze szaleniec z białą brodą, z płonącymi czerwonymi oczami, to widmo, jedno z wielu pośród niezliczonych INNYCH widm, pośród niezliczonych OBCYCH szaleńców, TERAZ piszę do Pana, który, jeśli dobrze liczę, nadal ma tylko 98 lat, w tych stronach studziesięcioletni starcy idą jeszcze na żniwa, a zwłaszcza dlatego, gdyż czterdzieści lat różnicy ciągle jeszcze jest na pana korzyść (jeśli jest «postęp», i tak dopowie Pan sobie w myślach cudzysłów, jeśli rzeczywiście od tamtego czasu «postęp następuje», paradoksalnie, nieprawdaż), więc bardzo proszę, by odpowiedział Pan pocztą zwrotną, NATYCHMIAST, teraz jest początek grudnia, a znając archaiczny kalendarz, jakim posługuje się poczta, i jej szybkość jeszcze z epoki kamiennej, najwcześniej w lutym można się spodziewać Pańskiej odpowiedzi, więc od pierwszego lutego każdego bożego dnia będę wędrował na stację, każdego dnia, ładna sumka wiorst, póki nie nadejdzie odpowiedź...

Dzięki od czasu do czasu przemierzającym to miejsce kalekom, wędrowcom szukającym Boga, jurodiwym, kupcom, urzędnikom, samotnym oficerom, a nade wszystko moim rzadkim, ale pełnym determinacji poszukiwaniom, nawet w tej wiosce na końcu świata udało mi się zebrać względnie przyzwoitą biblioteczkę; mam każde ważniejsze dzieło, które do wczoraj - lub przedwczoraj - wydano w Europie (czy zna Pan na przykład czterdziestośmiotomowy manifest komunistyczny Wagnera o sztuce? oczywiście, że zna go Pan; piszę o tym tylko dlatego, gdyż musiałbym się zgodzić z Pańską radykalną krytyką, gdybym już wcześniej sam nie dokonał wielokrotnie takiej krytyki przy Wagnerze - powiedziałbym nawet: na wyższym? - poziomie, czyli od strony mniej rzucającej się w oczy), i całymi dniami błogosławię półboga Gutenberga, Herosa, albowiem kiedy nie da się zrozumieć słowa wprost - w zasadzie to niemożliwe: naszym pierwotnym grzechem jest INDYWIDUALNOŚĆ - mimo wszystko możliwa jest WIELKA ROZMOWA z TRWAJĄCYMI W WIELKICH KSIĘGACH (a dla mnie Zmarłym Księgi jest również ten,

kto jeszcze żyje), więc teraz już także On jest wśród nich, dostałem teraz wiadomość, że skończył w Konstantynopolu (to, że ruszył tam śladami Byrona, uważam za rzecz prawdopodobną i niewymownie śmieszną), im również naleję herbaty, im, Autorom, moja żona już się nie przeraża, nie pyta, kogo oczekujemy wieczorem, przyzwyczaiła się, przecież ludzie przyzwyczajają się do każdego szaleństwa... (duży fragment skreślony)

natura szczodłą ręką rozdaje swe skarby, jeśli również mnie w tak łatwy sposób i bez pozostawianiu śladu przepuściła przez sito - ale wcale mi z tego powodu nie smutno, wręcz przeciwnie; co ma być napisane, zostanie napisane; Zamknięci w Księdze rozpadną się wraz z Księgą, Czytelnik jeszcze jest, ale być go nie będzie; nieważne więc, czyje nazwisko (nazwisko! oto całe nieszczęście) występuje na miejscu Wiecznego Autora: bezsensowny, jałowy ciąg głosek, którym staliśmy się wszyscy w chwili, gdy się urodziliśmy - gdy urodzono nas. Pan dobrze przeczuwał, że wcale nie jesteśmy predysponowani do sukcesu: pyszałkowatość, bo choć taki byłem, to w żaden sposób nie byłem agresywny - to też jest decyzja, stała się na koniec efektem decyzji mojego JA, jak - ale później - rozważyłem znaczenie swej decyzji: ja stałem się tym, JA, czym nie stał się nikt INNY: Tryumfem Porażki... (tekst nieczytelny)

wiele razy stawaliśmy, gdy dylizans grzął w błocie, za każdym razem szukaliśmy schronienia u chłopów. Mówili już po polsku, a gdy spoglądałem na Gwiazdę Polarną, gdzieś tam mogłem przeczuwać istnienie Warszawy, ale dokąd już - ja, grzesznik - nie miałem odwagi powrócić. Za mną Paryż, przede mną Ukraina, majątek matki (jakaś możliwość, sądziłem wówczas), i tam, u chłopów, musiałem zrozumieć: nie ma Warszawy, tylko kulisa, teatr to koszmarny sen marionetek, kulisa kulis: zwielokrotniona nierzeczywistość. Teatr, który kiedyś tak bardzo i tak nagle pragnąłem objąć w posiadanie! (brak dalszego ciągu)

Czy powinienem uznać Warszawę za tragiczne bądź komiczne miasto, które zmuszone jest trwać jako prowizoryczna, pozbawiona jednoznaczności mikstura? (Bo widzi Pan: oba podstawowe składniki mikstury wydawały mi się wtedy jeszcze autentyczne; dopiero później również je odważyłem się zakwestionować.) Warszawa, jak miałem okazję odkryć przy okazji obiektywnych badań prowadzonych przeze mnie w przeszłości, sprzyjała powstaniu określonego stylu myślenia (kiedyś mieszkał tam Hoffmann, może się Pan z nim spotkał, w jego przerażających, przejmujących dreszczem opowiadaniach zawsze czułem Warszawę, tę własną, i nie sądzę, abym się mylił), dlatego mogłem zrozumieć zarówno Wschód, jak i Zachód (tamci, ci z samego tylko Wschodu, jak i ci z samego tylko Zachodu już wtedy niczego nie widzieli poza czubkiem swojego nosa); ale ów styl myślenia, Pan to wie, jest całkowicie nieprzydatny do tego, by wydobyć z człowieka wszechpotężną, NA

ŚWIATOWĄ SKALĘ pasję do tworzenia wielkiej sztuki; a tamte widoki, krajobrazu, miasta, ludzi, twarzy, to zbyt mało, z nich nie da się niczego wyczuć. To, co mogło tam być naprawdę pouczające (zasadniczo mądrość), jest raczej przeszkodą niżli oparciem. (skreślone)

nostalgia, oczywiście, podejrzana, taka dziecinada, droga na manowce. Nie bierzmy jej na serio. Ale fakt: kiedy przekraczałem granicę Królestwa Polskiego i Imperium, i nic się nie zmieniało, ani krajobraz, ani nędza wsi, ani wyraz twarzy chłopów pańszczyźnianych, ani ja, to przecież: z niewidocznych znaków, bezgłośnych szmerów (dzięki memu wewnętrznemu widzeniu i wewnętrznemu głosowi, mej prekoncepcji i «wiedzy» - to wszystko jest złudzeniem, chociaż istnieje) natychmiast poczułem, iż znalazłem się w innym świecie, ogromnym, tajemniczym świecie, gdzie obłęd jest zupełny, niepodzielny, doskonały, trzeźwe roztrząsanie tego jest tu na nic; natomiast ja, Autor i Czytelnik Wiecznie Niespisanych Ksiąg Szaleństwa, wreszcie, po raz pierwszy w życiu, zwietrzyłem wieczną krainę łowów, swą własną przelaną tam (przeze mnie) krew. Spoglądam teraz w górę, w trakcie pisania tych słów do Pana; siedzę na werandzie, nad bezkresną i jednostajną aż do bólu krainą widzę bezkresne niebo, którego nie rozkrawają na części kontury domów samowolnie i tymczasowo postawionych nonszalancko ręką człowieka - to nie jest złudzenie, tu nie ma drogi ucieczki, to jest scena otwartej szczerości, ten widok sam w sobie wystarczy, by człowieka wyuczonego na postrenesansowych poglądach doprowadzić do obłędu. (Perspektywa! jedno z mych wielkich świadectw tego, w jaki sposób i kiedy nasze spojrzenie skierowało się do wnętrza, jednakże tak, iż nikt nie zauważył; najpierw budowane przez nas domy, tworzone przez nas linie równoległe, a dopiero potem poznanie: zbiegają się na horyzoncie - nawet ten horyzont jest tylko złudzeniem: także i go stworzyły nasze oczy, bez naszych oczu jest niczym, jest nierzeczywisty; najpierw praktyka, potem potwierdzenie tego doświadczalnie i koncepcyjnie; jakby sama praktyka i jej rezultat były «naturą»; zadziwiająca i podniosła chwila narodzin naszej tak produktywnej ślepoty!). Jeśli wówczas zajeżdżam powozem do wioski, natykam się na samych szaleńców, ich szaleństwo uspokaja mnie: trwa bezustannie i jest różnorodne, nie takie jednowymiarowe, jak kiedyś to nasze w Warszawie, więc może dość precyzyjnie (to moja mania; odziedziczyłem ją, a jako taka, Pan wie, ku niczemu nieużyteczna) wyrażę to tak: ku temu w duszach trwa także same bogactwo, jak w widoku oglądanym w Paryżu; w Warszawie z obu powstał deszczowy, zimny, nieciekawy konglomerat (kiedyś napisałem: zemsta za nieodwzajemnioną miłość - swoje zapiski trzymam uporządkowane, by osoba, która będzie je wyrzucać, nie miała zbytniego kłopotu... (brak dalszego ciągu)

Pan doskonale zdawał sobie sprawę z tej sytuacji, pamiętam (chyba nie wciskam własnych słów w Pańskie usta? taka już pamięć!) pańskie powiedzenie: «Dzisiaj wszystko

jest ważne, choć nic dostatecznie!» - krzyknął Pan kiedyś osłupiały, przeciwko czemu wówczas, wyznając religię ateizmu, gorąco protestowałem. Dzięki pierwszym operacjom myślowym wyjaśniłem (jestem zmuszony przeskakiwać na różne poziomy ironii, mniemam, iż Pan je rozumie, ja nie potrafię już inaczej się wysłowić), że w przeciwieństwie do Pańskiej siły witalnej oraz prymitywnej pewności duchowej, mi, tytułem rekompensaty, jakby prawa fizyki dawały się również stosować przy witalizmie, w ramach historycznego rozdziału ról przypadła w udziale dusza wrażliwa, rozchwiana i wielopłaszczyznowa. Już w Paryżu, gdy patrzyłem na to, Pańskie heroiczne boje teatralne zdawały mi się, do granic śmieszności, pozbawione znaczenia - wtedy nie potrafiłem jeszcze tak osadzić tego w czasie, jak czynię to obecnie. Mój następny krok: odrzuciłem znaczenie swego istnienia, by móc przekroczyć trójkąt Paryż-Warszawa-Petersburg (taka przypuszczalnie była już Ukraina, dzisiaj ku temu się skłaniam - czyli zamknięty w lokalnym czasie starałem się wydostać na powierzchnię czasu, całkowicie, rzecz jasna, bezskutecznie), na ścianie mego pokoju wymalowałem hasło: «Rozwiązanie dylematu: nierozwiązywalny trylemat», to nowoczesne ujęcie tematu (nie muszę wyjaśniać swej ironii), przecież Hegel, chociaż wtedy jeszcze go nie znałem, w skostniałych kategoriach scholastyki (brak dalszego ciągu)

miasta, gdzie rozpala się ludzka lawa i wytapia się, albo się stapia, traktuję jako dziejowy proces zagęszczania (to wspaniałe uczucie, każdemu filozofowi JEDNO takie się przydarza, będzie z tego światowej sławy poemat); każde centrum (na przykład, ale tylko na przykład: państwowe) jako erupcję wulkanu, od której rozchodzą się fale trzęsienia ziemi, a spotykając inne takie fale albo wzajemnie się wzmacniają, albo wzajemnie wygaszają, oplatają sobą całą Ziemię; zdałem sobie sprawę, iż myślące umysły, te bąble lawy, wzajemnie się i same siebie obwiniają za piekielny skwar - to śmieszne! I wtedy poznałem zasadniczą kwestię sztuki: jak można ukazać tylko i wyłącznie w BĄBLU to, za co umysł nie jest odpowiedzialny, gdyż to istnieje poza nim?

moja żona miała 13 lat, była chłopką pańszczyźnianą, gdy się z nią żeniłem; wszyscy tu się mnie bali, zwłaszcza ona; nie umiała pisać ani czytać, do dziś nie umie; od tamtego czasu przytyła, zrobiła się paskudna, ale chwała Bogu nadal drży przede mną, długi czas byłem ciekaw, czy mnie zamorduje podczas snu, ale nie zrobiła tego (prymitywna dusza), wychowuje szóstkę moich potomków, ledwo pamiętam ich imiona, już wcześniej mi się myliły; ja tu, na folwarku, oni we wsi, ale nie założę sekty - ja, znawca bąbli, pustych form przyczynowych, miałbym tworzyć sektę?!...

Tylko że, a była to wtedy przykra nauczka, czytając ponownie swój dramat, musiałem ze zdziwieniem stwierdzić, iż moje myślenie nie jest klarowne: było afektowane

i profetyczne, chociaż - jak pamiętam, pisał go zupełnie inny, pozbawiony iluzji dzieciak; ale nie: to dzieło duszy patrzącej w sposób utopijny, wierzącej w utopie, która w całej rozciągłości odrzuca istniejący świat z pozycji piękniejszej (lub uważanej za taką) przeszłości... (skreślone)

że nasze myślenie jest wiarygodne jedynie w pewnym kręgu, poza nim przestaje obowiązywać. Zastanawiałem się nad punktami stycznymi zbyt wielu takich kręgów, wewnątrz dowolnego kręgu mogłem sobie ironizować na temat poglądów obowiązujących w innych kręgach (oczywiście powierzchownie, jak się później okazało); mogłem zmieniać swój pogląd zgodnie z upodobaniem - zawsze do jakiegoś stopnia to byłem ja; *było zbyt wiele dróg*. Dlatego nie mogłem pójść żadną z nich; to stało się moim osobistym losem, a również z tego losu wynikało NIE. To poznanie prowadziło ku temu, bym zaczął się zajmować sposobem myślenia jako takim. Szybko udało mi się ustalić: sposób myślenia człowieka (w tym także mój) nie jest realnie zdolny do prowadzenia czystych, pojęciowych i abstrakcyjnych operacji, jest nazbyt popędliwy, afektowany i przyziemny (brak dalszego ciągu)

odcinając się od codzienności, od tak zwanej ludzkiej praktyki, na końcu każdej drogi widzę Karamzina, jak gryzie papieża w nogę, i biję brawo. Dla Pana z pewnością nie jest to nic nowego: jedną jest (wyrażający się poprzez teatr) kabaret, który następnego dnia umiera, drugą dramat książkowy skazany na wieczny byt, zamknięty w szufladzie, zakurzony od wiecznego nieczytania i czekający na myszy. Na końcu każdej drogi Karamzin gryzie papieża w nogę. Czy muszę wyjaśniać, że nie ma Karamzina, nie ma papieża, jest tylko ugryzienie w nieistniejącą nogę; nie ma również naocznych świadków...

teraz, w ostatniej godzinie, gdybym umiał JESZCZE odtworzyć wapniejącą we mnie nieświadomość, gdybym umiał wznieść most, zanim dopadnie mnie ponura, krwawa i porywcza nieświadomość; wąski, niedający się przejść most («nie ma drogi powrotnej na podwodnym moście», tak się kiedyś mówiło), «być niezauważalnie mostem, duchem między dwoma bezbrzeżnymi brzegami» (tekst nieczytelny)

błędem było (patrząc z perspektywy czasu, wszystko nim jest), że zasypałem Pana, człowieka pełnego pomysłów, nie będę wdawał się tu w szczegóły, na wszelki wypadek - czułem konieczność wypowiedzenia się - swoimi przeciwstawnymi odczuciami. Jednakże jest GRA (co prawda nie wiadomo, czy pozostawi po sobie jakieś znaczenie, wszak jest bąblem) - chociaż nie ma już Pan Penelopy!... Dlatego teraz Panu zazdroszczę. Bogowie wypędzili mnie z mego nieba, i teraz Pana, z braku czegoś lepszego, stawiam ponad sobą jak bożka - Pan nie musiał tego robić. Ale w jaki sposób?! (skreślone)

moja świadomość? Żyjemy w obłądnie; jestem tylko jednym wśród innych szaleńców; także mój prywatny obłąd jest w moich oczach INNY: funkcjonuję tak, jakby na zewnątrz istniało królestwo normalności (choć rozumiem, wiem, istnieję: nie ma, nie było, nigdy nie będzie); jedynym moim zaczepieniem jest brak punktu zaczepienia; religia też jest taka; rupiecie świadomości - ale nie mogę ich już odrzucić: wraz z każdym poważniejszym błędem tylko rósł jego ciężar gatunkowy i coraz bardziej tonąłem w morzu nieświadomości. Jest już tylko ten jeden punkt, który nadaje się jeszcze do GRY (skreślone)”.

Stanisław przejrzał list jak czytelnicy powieść: pobieżnie. Gdyby jednak czytał uważniej, i tak niewiele więcej by zrozumiał. Cóż za ludzie są na tym świecie, mruknął ze zdziwieniem. Pod wpływem nagłego impulsu wezwał najmłodszego pomocnika redaktora.

- Zanieś, chłopcze, ten list na cmentarz - powiedział, rozbawiony własnym dowcipem.

Chłopak wepchnął z powrotem kartki do koperty, spojrzął na adres.

- Na cmentarz - powtórzył Stanisław ze złośliwym uśmiechem. - Tam spoczywa adresat. No, zabieraj się.

Ponownie zabrał się do ostatniego zdania. Na czystej kartce wypisał najbardziej potrzebne formułki: najgłębsza żałoba, przygnębiający ciężar kolejnego naszego sieroctwa, nieprzemijające zasługi księcia Paskiewicza, jego serce nie przestanie bić w naszych sercach, świecący pustką osierocony pałac namiestnika, świetlisty krąg życia wiecznego, miejsce nieśmiertelnych w światłości. Nerwowo przygryzł wargi, musiał się pośpieszyć: pozostało już tylko siedem lat do kolejnej skazanej na klęskę walki Polaków o wolność.

Chłopak wyruszył na Powązki powozem „Kuriera”. Powietrze było czyste i chłodne, świeciło słońce. Przejechał trzęsącym się pojazdem obok ogromnych carskich koszar i obskurnej wytwórni tytoniu, przy bramie cmentarza zeskoczył i wszedł między groby. Stangret został na koźle. Chłopak wiedział, że przez jakiś czas powinien pochodzić między grobami, bo stangret złoży później raport panu Stanisławowi, podobnie jak on złożył kiedyś w tajemnicy raport na stangreta dotyczący wykonania powierzonego mu zadania. Pan Stanisław traktował te sprawy bardzo poważnie i chłopak uczciwie się starał, wiedząc, że inaczej niczego w życiu nie osiągnie.

Zamyślony spoglądał na okazałe, ogromne, bogato zdobione i kosztowne nagrobki, kapliczki, granitowe i marmurowe grobowce, mnogość subtelnie rzeźbionych krzyży; na wejściach do niektórych nowo postawionych krypt widniała tylko data urodzenia, brakowało daty śmierci. Wiele grobów otaczały ozdobne ogrodzenia z kutego żelaza, wewnątrz świeczki, pomniczki, skrzydlate aniołki, rzeźbione wazony na kwiaty, i temu podobne rzeczy. W tych kryptach można byłoby nawet mieszkać, pomyślał chłopak z zazdrością.

Pojawiła się grupka licealistów prowadzona przez katechetę. Zatrzymali się przed jedną z upstrzonych ozdóbkami krypt, nauczyciel coś paplał, prymus złożył pamiątkowy wieniec, lizusi zgromadzili się wokół nauczyciela, z tyłu kilku młodych grało z zapalem w karty; po chwili grupka ruszyła w stronę następnego grobu.

Chłopak jakiś czas łąził po cmentarzu, wreszcie, nie mogąc znaleźć grobu adresata listu, poszukał dozorca cmentarza. Mrukliwy staruszek z ociąganiem otworzył wielkie księgi, szukał i szukał, ale czas, na który opłacono grób, minął i nie został przedłużony.

Tak więc listu nie można było adresatowi doręczyć.

¹ Ten i pozostałe fragmenty *Horacjuszy* w przekładzie Tadeusza Boya-Żeleńskiego.



György Spiró (ur. 1946) - węgierski prozaik, dramatopisarz, eseista, tłumacz, dyrektor teatrów, wykładowca uniwersytecki. Znamca polskiej kultury, ma w dorobku przekłady dramatów Wyspiańskiego i Gombrowicza. Jest autorem powieści *Kerengő* (Krużganek, 1974), *Iksowie* (1981), *A jövevény* (Przybysz, 1990), *Mesjasze* (2007, W.A.B. 2009), bestsellerowej epeji *Fogság* (Niewola, 2004), licznych dramatów, w tym *Szalbierza* (1983), *Dogrywki* (1998) i *Stłuczki* (2004), zbiorów esejów i opowiadań. Otrzymał wiele prestiżowych nagród literackich i teatralnych, w tym Literacką Nagrodę Europy Środkowej Angelus (2009, za *Mesjaszy*) oraz Międzynarodową Nagrodę Wyszehradzką, przyznawaną przez ministrów kultury państw Grupy Wyszehradzkiej.

